

THOMAS HARLAN

**CIEŃ
ARARATU**

Przełożył
Janusz Ochab

Prószyński i S-ka

Tytuł oryginału:
THE SHADOW OF ARARAT

*Copyright © 1999 by Thomas Harlan
AU Rights Reserved*

Projekt okładki:
Piotr Łukaszewski

Redakcja:
Jacek Ring

Redakcja techniczna:
Małgorzata Kozub

Korekta:
Mariola Będkowska

Łamanie komputerowe:
Ewa Wójcik

ISBN 83•7337•955•x

Fantastyka

Wydawca:
Prószyński i S-ka SA
02-651 Warszawa, ul. Garażowa 7

Druk i oprawa: Drukarnia Naukowo-Techniczna SA
Warszawa, ul. Mińska 65

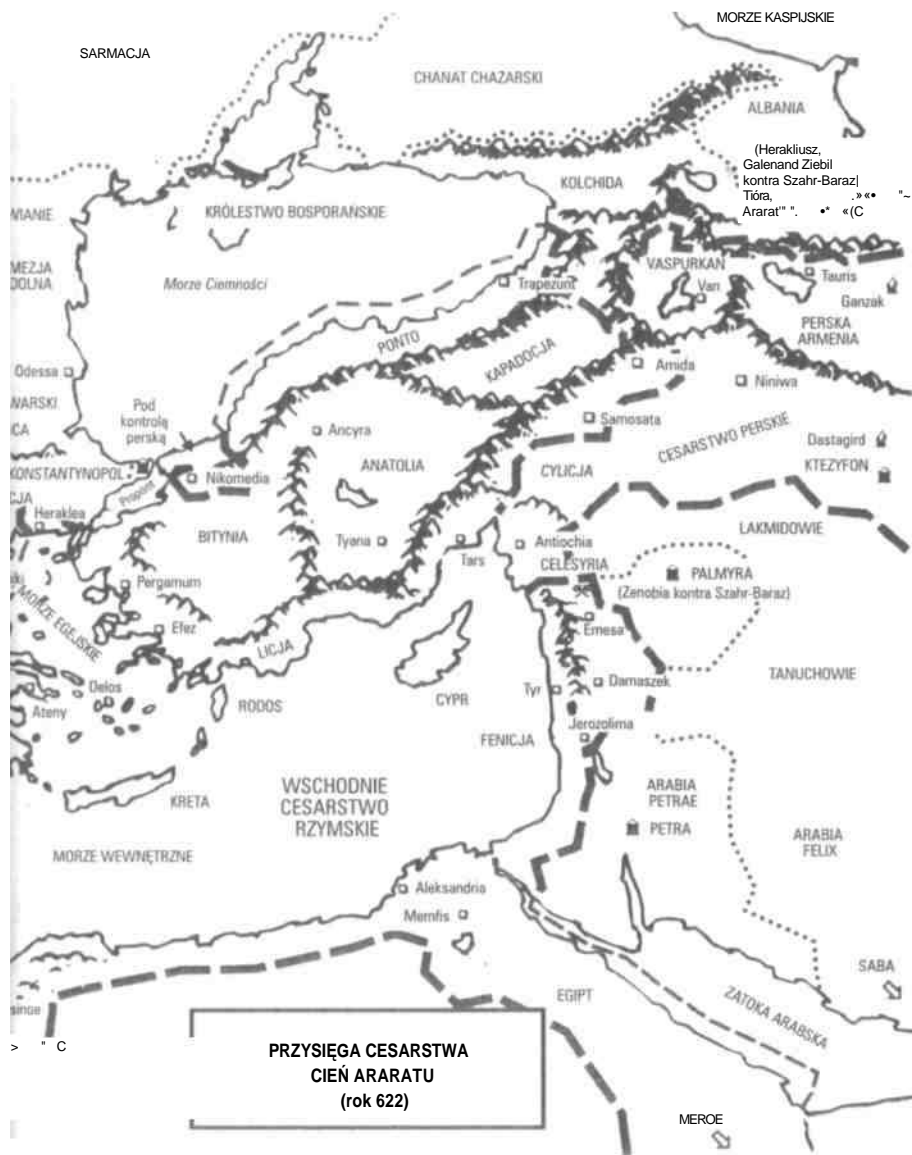
*Dla mamy i taty,
którzy wystali mnie w tę długą i krętą drogę.
Dzięki!*

Roma Mater (rok 622)

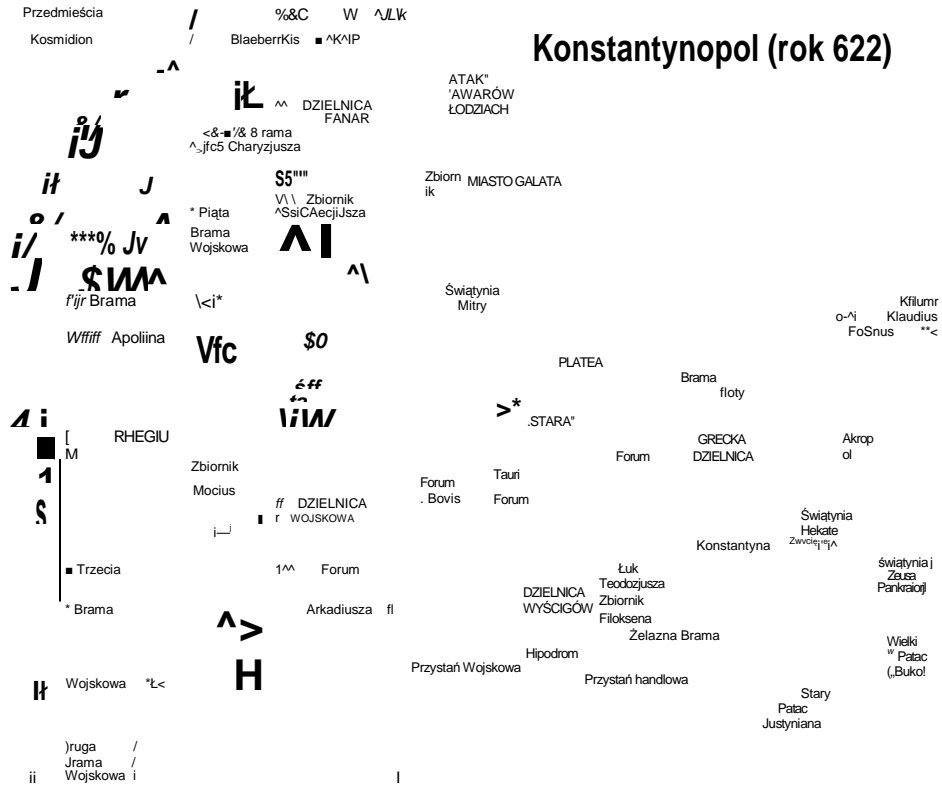


WYSYPISKO ŚMIECI
I KREMATORIUM





Konstantynopol (rok 622)





100 ₪

SOOm
(500 ft

Aleksandria (rok 622)

(latarnia morska)
-3K

"^
%00S^S •

ORZE WIEWNETRZNE

PORTUSEUNOSTUS
(port handlowy)

PORTUS
MAGNUS
(port wojskowy)

Sema %te^

(Grobowiec j^4****
Aleksandra) m

1 jy ^1 Nekropolia
i ss^|L^ ^%V miejska

DZIELNICA ^

famowsKA H

jf DZIELNICE

—Bdt GRECKIE

//

JB

^ff Kanaf Nilu

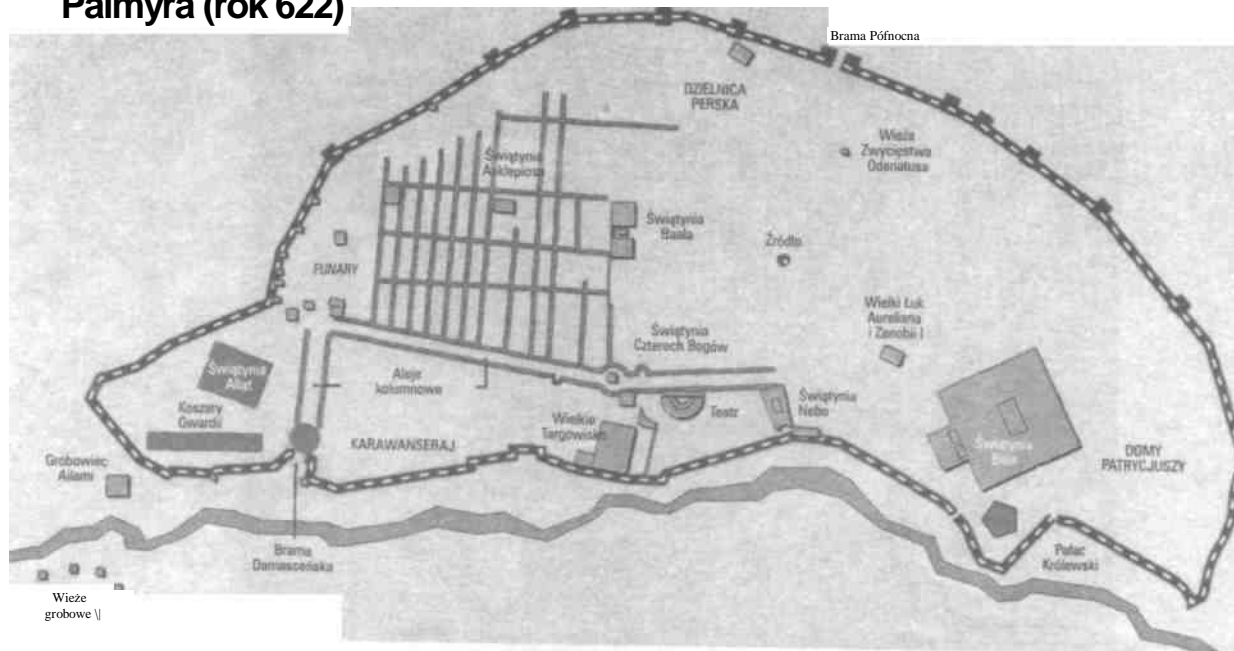
Serapeum

I #

Jezioro MAREOTIS

t

Palmyra (rok 622)

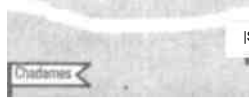


A

Do Aretuzy
i obozu
perskiego

BITWA POD EMESĄ (rok 622)

P Lekka
i jazda Uze



^Rhazates^
|Szahr-Baraz<^

1 Szahin <

StrumM

Perscy
rycerze i Perscy
rycerze

Perska
piechota j Perska
piechota j Perska
piechota j Perska
piechota

Perscy łucznicy i procarze



|Mahomet ^

Blemenejscy harcownicy

^m^
^alfnysrja | >i «ch0«' rfechola
|jja*flySI(a_ Q«r\$peJjs

JWorodes ^

|Galeriusz ^

Sczla™

|Obodas <**'

Zenobia ^

H

isoy 1
gwardziści!

Droga do Emesy

Thomas Hartan 1930

BITWA NAD KERENOS (rok 622)

A
Na północ
do Albanii
i Chazarii

Wojska Cesarstwa Wschodniego

Heraklinus 771
Cyrene

VII Achaea

X^BKILL

1 Teodor <*

S Ciężka jazda pontyjska	A Ciężka jazda anatolijska
---------------------------------------	---

Wojska Cesarstwa Zachodniego

EaZK

" " "l "Gwardia HP III
Audiatrix IIWaregów II Gallica

VI Gemina U Triana

JUJLJL

Chazarowie i Bulgarzy

pHK

Ctajarscy
wtóć?n=y

Taumaturgowie i procarze

m

[Hunowie J
I ____ _M

Perscy rycerze	Perscy rycerze
Luristańscy rycerze	rycerze

ljundarmasp^

rr~i
[Hunowie [

Perska piechota	Perska piechota	Perska piechota	Perska piechota	Perska piechota
Perska piechota	Perska piechota	Gwardia medyjska Rhamases	Perska piechota	Perska piechota

IThazarries ^

Clibanari	Clibanari
Clibanari	Clibanari

Sabalakus <
ThoniasHarlan1998



DELPHY, ACHAJA:
710 AB URBE CONDITA (31 p.n.e.)

n

W reczynka podniosła ręce. Jedwabny fioletowy woal zsunął się powoli na ziemię, odsłaniając jej blade, królewskie oblicze. W półmroku wąskiego pokoju błysnęły błękitne oczy. Na blade ramiona kobiety spływała kaskada kruczoczarnych włosów. Dym ze szczeliny unosił się wokół niej, kiedy stanęła w błagalnej pozie. Daleko za nią, na skąpanej słońcem plaży przed świątynią, dudniły głucho bębny. Czekwała cierpliwie i spokojnie.

Wreszcie, kiedy nieregularny rytm bębnow wsączył się w jej krew, a gorzki dym oszołomił ją i pozbawił sił, w ciemności zalegającej za blaskiem ognia poruszyła się jakaś postać. Błysnęły kosmyki białych włosów. Pomarszczone palce dotknęły krawędzi zardzewiałego trójnogu z brązu. W dymie pojawiła się jakaś twarz, a królowa z trudem stłumiła grymas przestrachu. W odróżnieniu od jarmarcznych pokazów w Siwie, tutaj nie było wspaniałego chóru kapłanów odzianych w szaty przetykane złotą nicią i obszywane perłami, nie było monumentalnych budynków i kopulastych sklepień z granitu, a tylko wąski ciemny pokój w maleńkim budynku ustawionym na stromym zboczu greckiego wzgórza. Jednak w Siwie przemówieniu wyroczni nie towarzyszył paraliżujący strach.

Tutaj sybilla była stara i pomarszczona, w jej pozbawionych wyrazu oczach tlił się tylko posępny czerwony odblask płomieni migocących w skalnej rozpadlinie. Usta staruchy się poruszyły, lecz nie wypłynął z nich żaden dźwięk. Powietrze zadrżało, a królowa poczuła z przerażeniem, że słowa docierają prosto do jej umysłu, formują się, kompletne i czyste, w jej myślach. Zadrżała i cofnęła się o krok, dłońmi łapała powietrze, bezskutecznie usiłując zatrzymać potok obrazów. Krzyknęła ze strachu i rozpaczy. Pusta twarz rozplynęła się ponownie w ciemności za trójnogiem i szczeliną. Ogień buchnął obłokiem iskier, a potem nagle zgasł.

Królowa leżała na szorstkich kamieniach posadzki, szlochając w bezsilnej złości, kiedy do komnaty wbiegli strażnicy, by zobaczyć, co się jej stało. Wizja ukazała jej to, co pragnęła zobaczyć, a nawet więcej.

NA POŁUDNIE OD PANAPOLIS,
PROWINCJA EGIPITU: 1376 AB URBE CONDITA**D**

I chłopiec szedł w mroku, ciemny kształt jego głowy odcinał się od słabego blasku Drogi Mlecznej. Chude nogi okrywała przykusa, ręcznie tkana bawełniana spódniczka. Wspiął się na wierzchołek wydmy. Za piaszczystym grzbietem rozpościerało się zachodnie pustkowie, skąpane w zimnym, srebrnym blasku księżyca. Chłodny wiatr, przesycony gorzkim zapachem pustyni, pomarszczył koszulę chłopca i odrzucił długie warkocze z jego twarzy. Chłopiec oddychał głęboko, czując, jak jego serce wypełnia się ciszą. Uśmiechnął się do siebie, a potem roześmiał głośno i obrócił w miejscu, pozwalając, by wielka kopuła nieba zatoczyła krąg nad jego głową. Ujrzał wielki, oślepiająco biały księżyc, a potem krystalicznie czystą rzekę gwiazd, wiry i prądy Zodiaku.

Westchnął głęboko i roześmiał się ponownie. Ruszył sprintem wzdłuż grzbietu wydmy, czując, jak mięśnie nóg napinają się i odpychają go od ziemi przy każdym kroku. Nabierał coraz większej prędkości, wydłużył krok i wreszcie, gdy dotarł już na skraj wydmy, wybił się w powietrze. Zawisł na moment w ciemności, smagany zimnym wiatrem. Długie warkocze uderzyły go w plecy, kiedy spadał w mrok.

Uderzył z impetem w powierzchnię wody. Czuł, jak ciepła, mroczna wilgoć rozstępuje się pod jego stopami, potem dotknął piaszczystego dna. Wystrzelił w górę, wynurzył się nad powierzchnię i odrzucił głowę do tyłu. Gwiazdy mrugały do Dwyrina spomiędzy wielkich liści palm. Chłopiec przekręcił się na plecy i niespiesznie podpłynął do porośniętego trzciniami brzegu. Pochwyił jakąś gałąź zwieszoną nisko nad wodą i wynurzył się z dopływu Ojca Nilu. Wycisnął wodę z warkoczy i ułożył je na ramionach. Potem zdjął ciężką od wody i oblepioną wodorostami tunikę. Owionął go zimny wiatr, lecz Dwyrin nawet tego nie poczuł.

Nim wszedł w wąską wyrwę w gęstwinie przybrzeżnych trzcini, obejrzał się za siebie, na szeroką wstęgę Nilu. Prawie pół mili otwartej wody, sunącej w ciszy pod bladym okiem księżyca. Na przeciwległym brzegu migały żółte światła wioski. Dwyrin sięgnął do przewiązanej sznurem torby, by sprawdzić, czy nie zgubił pomarańczy. Uspokojony ruszył ścieżką na południe wzdłuż brzegu rzeki.

Za wąskim pasem pół i palm wznosiły się potężne kamienie i głazy, usytuowane na długim jezorze wzgórz, który wbijał się niczym strzała w Nil. Tutaj właśnie, gdzie przed wiekami rzeka ustąpiła górą i otoczyła je szerokim łukiem, ludzie Starego Królestwa wzniesli budowlę z kolumn i ogromnych obelisków. Dwyrin wspinał się na gruzy znaczące miejsce, gdzie runęła północna ściana świątyni. Nad zboczem górowała ogromna kamienna postać o twarzy na wpół zniszczonej przez pustyń-

ny wiatr. Dwyrin przeskoczył nad masywnym, kamiennym ramieniem i przecisnął się pod zwalonym posągami. Nad głową miał teraz łukowate sklepienie wieńczące długie szeregi kolumn. Podłoga usłana była piaskiem i odłamkami kamieni. Dwyrin szedł w stronę szerokiego podwyższenia znajdującego się przed świątynią. Trzy kamienne postaci zasiadające na tym właśnie podwyższeniu patrzyły na północ, w dół Nilu, w stronę odległej delty i ich starożytnego królestwa.

Pośrodku zasiadał brodaty król. W skrzyżowanych na piersiach rękach trzymał popękane i zniszczone insygnia władzy. Po lewej stronie znajdowała się królowa-kocica, jego patronka, o twarzy zastygłej w kamiennym uśmiechu. Ktoś odrąbał jedno z jej spiczastych uszu, pozostawiając ciemną, poszarpaną plamę na gładkiej powierzchni granitu.

Dwyrin zawsze jej unikał, gdyż długie ręce zakończone były pazurami, a do tego wydawała mu się zimna i wyniosła. Zwrócił się więc ku posągowi potężnie umięśnionego mężczyzny z głową jastrzębia, zasiadającego po prawej ręce króla. Wspiął się na kolana rzeźby i usadowił między fałdami kamiennej tuniki, zwieszając nogi nad krawędź. W dole Nil z cichym chłupotem toczył swe wody.

Dwyrin zaczął obierać pomarańcze, jedną po drugiej, czekając, aż Re wróci z krainy cieni. Jadł owoce powoli, plamiąc sokiem palce i usta. Były cierpkie i słodkie jednocześnie.

Dwyrin dotarł wreszcie do terenu szkoły, dysząc ciężko. Sandały związane rzemykami na szyi chłopca obijały się o jego plecy. Przeskoczył jednym susem niski płot okalający ogródki warzywne i wbiegł na podwórko. Z dała, znad wybielonych dachów dobiegał poranny śpiew mnichów. Re dopiero wysunął się zza horyzontu, ale Dwyrin zabawił zbyt długo w starej świątyni, rzucając odpryśnięte kawałki łupków z podwyższenia na zielonobrunatne wody rzeki. Chłopcy stajenni przyglądali mu się z rozbawieniem, kiedy pędził przez podwórze do tylnej bramy ogrodu.

Rozpędzony, doskoczył do kamiennej ściany, uchwycił się górnej krawędzi, podciągnął i przerzucił ciało na drugą stronę. Wylądował na miękkiej trawie po drugiej stronie muru i przetoczył się na plecy, by zamortyzować upadek. Poderwał się do biegu, przemknął wzdłuż długiego szeregu kolumn okalającego ogród i zatrzymał przy drzwiach sypialni młodszych uczniów. Z wnętrza dobiegało głośnie chrapanie Nubijczyka, który spał na samym końcu szeregu łóżek. Dwyrin rozejrzał się jeszcze raz dokoła, potem uchylił lekko drzwi i wśliznął do środka. Zdjął tunikę, teraz już całkiem suchą, i powiesił sandały na kołku przy drzwiach.

Grube drzwi z trzciny po drugiej stronie sali otworzyły się powoli, a senną ciszę przerwał stukot laski nauczyciela uderzającej o białoróżowe płytki. Dwyrin zastygł w bezruchu. Widział, że mistrz Ahmet od-

wrócił się, by powiedzieć coś do przechodzących obok starszych chłopców. Nie zajął jeszcze do sali.

Dwyrin rzucił się na podłogę i przetoczył pod najbliższą pryczę. Galat, który na niej spał, przekręcił się z boku na bok. Tymczasem laska nauczyciela znów zaczęła stukać o podłogę, potem uderzyła w stopy chłopca leżącego na pierwszej pryczy po przeciwległej stronie sali. Ten przetarł zaspane oczy i podniósł się ociężale z łóżka. Dwyrin przesunął się pod następną pryczę, potem pod kolejną.

Niestety, jego łóżko znajdowało się po drugiej stronie przejścia, w połowie sali. Przesunął się do przodu na brzuchu, sprawdzając jednocześnie, gdzie zatrzymał się nauczyciel. Gdy znalazł się wreszcie naprzeciwko swej pryczy, zerknął ostrożnie na przejście. Mistrz stał odwrócony plecami od łóżek, pod którymi ukrywał się Dwyrin. Chłopiec sięgnął do zwiniętej tuniki i wyciągnął z niej skórki pomarańczy. Z bijącym sercem czekał, aż mistrz ponownie się odwróci, a potem pchnął zbite w jedną kulę obierki pod sąsiednie prycze. Kula potoczyła się pod łóżko Kylluna, uderzyła bezgłośnie o drewnianą nogę i rozsypała na podłodze u wezłowania pryczy.

Dwyrin podciągnął nogi pod siebie i wysunął ostrożnie spod łóżka. Mistrz stanął obok Kylluna i uderzył go lekko w odsłoniętą stopę. Potem zamarł na moment w bezruchu i zmrużył oczy, przyglądając się śmieciom rozsyanym obok łóżka. Nie namyślając się długo, postąpił o krok do przodu i pochwycił zaspanego Kylluna za wielkie, opalone na brąz ucho.

- Ach tak! Więc to ty jesteś tym łajdakiem, który zakradł się do sadu świętych mnichów! - Kyllun nie zdążył nawet wrzasnąć, gdy laska uderzyła go ze świstem w pośladki. - Zapewniam cię, że nie zrobisz tego więcej, mój chłopcze! - krzyczał mistrz, prowadząc go na drugą stronę pokoju i wymierzając kolejne razy. Kyllun wył już na cały głos. Korzystając z okazji, Dwyrin przemknął przez otwartą przestrzeń między szeregami pryczy. Wreszcie znalazł się we własnym łóżku. Bezpieczny.

Zawodzenie Kylluna obudziło pozostałych chłopców, także Patrokłusa, który spał obok Dwyrina. Sycylijszyk przyglądał się Dwyrinowi z niesmakiem, kiedy ten wśliznął się pod bawełniany koc i ułożył wygodnie.

- Jesteś mi winien deser - syknął Patrokłus, odrzucając koc i przeciągając długimi, szczupłymi palcami przez swe ciemne proste włosy. - Możesz wstać, i tak nikt już nie śpi - wyszeptał do Dwyrina. Ten odpowiedział mu głośnym chrapnięciem i przewrócił się ostentacyjnie na drugi bok, wysuwając spod koca jedną stopę. Patrokłus pokręcił tylko głową i przetarł zaspane oczy.

Mistrz powrócił do sali i zatrzymał się przy pryczy Dwyrina. Spojrzał na ułożoną w niedbałej pozie postać chłopca i otworzył szerzej swe ciemne, przypominające kształtem migdały oczy, gdy jego wzrok spoczął na odsłoniętej stopie ucznia. Laska zadrżała lekko w jego oliwkowej dłoni.

- Panie Dwyrin - przemówił łagodnym tonem. - Czas wstać i pozdrowić Re, gdy ten zaczyna swą długą wędrówkę przez niebiosy.

Dwyrin znów zachrapał i schował głowę pod cienką, wypchaną słomą poduszkę.

- Och, Dwyrin... Wstawaj, ty leniwy, dwulicowy złodzieju i oszuście! - ryknął mistrz i zdzielił chłopca laską po nogach. Dwyrin wystrzebił z łóżka niczym strzałę. Ręka mistrza błyskawicznie dopadła jego czerwone, piegowane ucho i wywlokła go na przejście między łózkami. Dwyrin zawył, kiedy laska wylądowała ze świstem na jego pośladek.

- Młodzi ludzie, którzy wymykają się w nocy na zewnątrz - warknął mistrz - powinni oczyścić stopy z trawy, nim wrócą do sypialni!

- Au! Au! Au! - wykrzykiwał raz po raz Dwyrin, prowadzony przez długi pokój. Pozostali chłopcy patrzyli ze zdumieniem, jak ich rudowłosy kolega zostaje wepchnięty do pokoju mistrza na koniec sypialni. Mistrz odprawił Kylluna ruchem głowy. Sycylińczyk wymknął się na zewnątrz, rozcierając obolałe ucho i spoglądając z nienawiścią na Dwyrina.

- No dobrze, młody mistrzu Dwyrinie - powiedział mistrz, zamykając za sobą drzwi. - Pozwolisz, że przypomnę ci, jak karzemy za kradzież, opuszczenie szkoły bez zezwolenia i ściągnięcie niesprawiedliwej kary na innego ucznia.

Dwyrin przełknął ślinę i pochylił głowę.

Wreszcie nadszedł koniec dnia, okręt Re chował się za zachodnimi wzgórzami, by rozpocząć podróż przez ciemność. Dwyrin podniósł głowę znad misy stojącej w kuchni, by spojrzeć na niebo i przecinające je złoto-fioletowe smugi, które powoli przechodziły w granat. Zza drzwi wyszli dwaj kucharze, nieśli kolejny łądunek brudnych misek i kubków. Umęczony Dwyrin ujął w czerwone, obolałe dłonie puste wiadro i ruszył ciężkim krokiem w stronę studni. Po raz kolejny ujął w dłonie uchwyt kołowrotu i opuścił wiadro w zimną, ciemną przestrzeń. Usłyszał odległy plusk i znajome bulgotanie wody. Oparł się o kołowrót i czekał, aż wiadro napełni się po brzegi. Blask zachodzącego słońca złocił jego miedzianorude włosy. Z podwórza dobiegł go radosny śmiech; koledzy skończyli właśnie kolację i udawali się na wieczorne zajęcia.

- Hej, Dwyrin! Dzięki za zmywanie!

Nad ścianą ukazały się uśmiechnięte szeroko twarze Patroklusa i Kylluna. Każdy z nich trzymał w dłoni deser; ociekające miodem ciastko. Dwyrin nie mógł patrzeć na ich zadowolone miny. Pokazał im język i zaczął wyciągać wiadro ze studni. Szło mu ciężko, mimo że wysiłek zmniejszał kołowrót i krążki. Tymczasem jego koledzy zniknęli za ścianą i z głośnym śmiechem pobiegli do swych zajęć. Dwyrin zaklął pod nosem, wyciągając pełne wiadro ze studni.

Mogłem zostać w domu i robić to samo, pomyślał gorzko. Żeby zostać taumaturgiem, trzeba się sporo nadźwigać...

Postawił wiadro na ramieniu i pojękując z bólu, wrócił do kuchennej misy. Kapłani znów wrócili z jadalni, napełniając zlew kubkami, miskami i szerokimi tacami. Dwyrin westchnął ciężko i wylał zawartość wiadra do misy.

Święci mnisi i kapłani, szczególnie ci, którzy potrafią przyzywać wiatr czy pioruny, powinni chyba umieć pozmywać po sobie!

Księżyc stał już wysoko na niebie, kiedy Dwyrin wrócił chwiejnym krokiem do sypialni. Myślał już tylko o miękkim łóżku. Umył się w miednicy stojącej na końcu sypialni, najdalej od pokoju mistrza. Ręce drżały mu ze zmęczenia, jego umysł był otępiały. Wreszcie dotarł do łóżka, wsunął się pod koc i okrył nim aż po czubek głowy. Schowany pod poduszką pozwolił sobie na chlipnięcie. Ale tylko na jedno: Patrokłus na pewno nasłuchiwał z sąsiedniego łóżka.

Swędziała go noga. Podrapał się. Swędziało go lewy bok. Podrapał się. Coś łaskotało go w brzuch. Wyskoczył z łóżka, czując, jak zaczynają go piec całe nogi. Odrzucił koc i skrzywił się ze złością, ujrawszy pokrzywy i rzepy, którymi usłane było jego łóżko.

Z pryczy Patrokłusa dobiegł go cichy śmiech. Dwyrin resztką sił powstrzymał wściekłość i nie rzucił się nań z pięściami. Podniósł koc, starając się nie zgubić ani jednej pokrzywy czy ostu, i wyszedł cicho z sypialni. Ręce i ramiona bolały go na samą myśl o wyciąganiu ze studni kolejnego wiadra. Pewne sprawy, pomyślał, pochylając się nad tarą do prania, muszą się zmienić. Mistrzowie uczą nas tyle, że potrafimy przywołać ledwie muchę, mruczał sam do siebie. Jak moge...

Znieruchomiał na moment, a na jego twarzy pojawił się chytry uśmiešek. Nagle nie czuł się już taki zmęczony.

ROMA MATER, ITALIA

P

Tenka smuga światła przebiła się przez chmury, okrywając bladym szarym blaskiem twarz młodej kobiety w poplamionej, niebieskiej szacie. Nie zważając na gęsty tłum wypełniający wąską alejkę, przepychała się między żebrakami, woźnicami, rzeźnikami niosącymi przewieszane przez ramiona świńskie łby, i edylami po służbie, by wreszcie dotrzeć na drugi koniec alejki. Kichnęła, wciągnawszy kurz szerszej ulicy, potem szybko przeszła między dwiema grupami rozmodlonych kapłanów. Nieśli mnóstwo chorągiewek i figurek, a do tego czynili ogromny hałas za pomocą trąbek, bębnów i grzechotek. Wierni postępowali powoli ulicą, śpiewając i modląc się na wzór swych kapłanów. Dotarłszy na drugą stronę traktu, pod daszek sklepu z ciastami, wsunęła pod połatany kaptur niesforny kosmyk złotych włosów i rozejrzała się dokoła.

Pół przecznicy dalej stał Nikos, skrywając pokrytą kilkudniowym zarostem twarz pod szerokim rondem słomkowego kapelusza. Pochwywszy jej spojrzenie, skinął głową, a potem dotknął kciukiem róna.

Nieprzeciętny wzrost - miała prawie sześć stóp - pozwalał jej śledzić go wzrokiem, kiedy wmieszał się w tłum i przepychał powoli w jej stronę. Z dala doleciał głos trąb i gongów. W dzielnicy Subura panował zaduch, powietrze przesycone było aż nazbyt znajomym smrodem. Thyatis odwróciła głowę, spoglądając na drugą stronę alei. Do tłumy dołączały wciąż kolejne grupy wiernych, blokując ruch i zmuszając dziewczynę do ciągłego lawirowania między ludźmi.

Tłum przerzedził się, kiedy droga skręciła w brudną dzielnicę farbiarzy. Cienkie nozdrza dziewczyny zadrżały, kiedy uderzył w nie smród skwaśniałego moczu. Wzdrygnęła się, jakby pod wpływem chłodu, gdy wróciły do niej na moment gorzkie wspomnienia. Prychnęła zdegustowana i odsunęła od siebie złe myśli. Jej przejrzyste, szaroniebieskie oczy otworzyły się szerzej, kiedy dojrzała Persa.

Stał w wejściu do garbarni, jakby zupełnie nieczuły na straszliwy odór bijący z lukowatych okien nad drzwiami. Był niezbyt wysoki, miał trochę ponad cztery stopy wzrostu. Zdobiona paciorkami czapka przylegała ciasno do jego głowy, na ramionach leżała starannie udrapowana turkusowa szata obwiedziona karmazynowa taśmą. Rozmawiał ze śniadolicym, ponurym mężczyzną w brązowym skórzanym fartuchu i brązowych butach z cielęcej skóry. Przemawiając, Pers raz po raz wskazywał na drugą stronę ulicy, na ciąg zamkniętych sklepów z tkaninami. Jego nadgarstki opłatały złote bransolety, o które opierały się mankiety dziewczyczo białej koszuli.

Brwi Rzymianki powędrowały mimowolnie do góry, kiedy spojrzała na jego bufiaste jedwabne spodnie. Była zaskoczona, że garbarz, pochodzący z pewnością ze starej rzymskiej rodziny, w ogóle chciał rozmawiać z tym zepsutym bogaczem ze Wschodu. Odwróciła się i naciągnęła kaptur na głowę. Na jej plecy opadła kaskada gęstych złotych włosów, przytrzymywanych tylko przez dwie bawełniane tasiemki.

Spoglądając w prawo, by nie wzbudzić podejrzeń Persa stojącego po jej lewej ręce, przeszła przez ulicę. Prawą ręką rozpięła klamrę peleryny. Peleryna zsunęła się nieco z jej opalonych ramion, co przyciągnęło wzrok garbarzy pracujących w pobliżu. Rzymianka uśmiechnęła się do najbliższego, lecz przelotny grymas pełnych czerwonych ust nie sięgnął zimnych oczu, toteż młody robotnik odwrócił wzrok.

Dłonią skrytą pod ubraniem wyjęła krótki miecz z pochwy przywiązanej do prawej nogi. Lewą ręką pochwyciła połą peleryny i naciągnęła ją na siebie. Prawa strona ubrania przesunęła się do tyłu, odsłaniając krótką, bawełnianą tunikę, fragment gładkiej, opalonej na złoty odcień nogi, buty z irchy sięgające niemal do kolan oraz miecz, który trzymała jakby od niechcenia między kciukiem i palcem wskazującym

prawej dłoni. Niespiesznym krokiem szła wąskim, wyłożonym ceglami chodnikiem prowadzącym do garbarni. Pers, żywo gestykulujący i wykrzykujący coś do garbarza, w ogóle jej nie widział.

Gdy od ofiary dzieliło ją ledwie parę kroków, kątem oka dojrzała jakiś ruch.

Thyatis odskoczyła w lewo i wpadła na dwóch niewolników niosących dwie wielkie bele egipskiej bawełny. W ścianę garbarni, tuż obok Rzymianki, uderzyła włócznia. Pers i garbarz odwrócili się w jej stronę zdumieni. Rozwścieczona Thyatis odrzuciła pelerynę i wysunęła miecz przed siebie niczym stalowy język. Pers otworzył szeroko oczy i usta, ozdobione eleganckim wąsikiem i kozią bródką, a potem wrzasnął przeraźliwie i rzucił się do wnętrza budynku.

Nie tracąc czasu na rozglądanie się za Nikosem czy którymkolwiek innym z jej partnerów, Thyatis skoczyła za nim. Przez moment biegła na oślep, ale wkrótce jej oczy przywykły do półmroku i dojrzała turkusową szatę Persa znikającą za rogiem na półpiętrze, przy końcu wąskiego holu. Trzema susami pokonała schody i wybiegła zza rogu, wpadając do bielonego pokoju pełnego stołów i zdumionych urzędników. Okiennice po drugiej stronie pokoju trzasnęły głośno, kiedy Pers wyskoczył na zewnątrz przez okno.

Za oknem znajdował się wąski ceglany balkon wychodzący na podwórze garbarni. Przestrzeń między budynkami wypełniały ciasno stoły i wielkie kadzie, z których muskularni, półnaczy mężczyźni wyciągali mokre, śmierdzące skóry, używając do tego kołków zakończonych hakami. Z kadzi buchał gęsty gryzący dym. Thyatis przebiegła przez balkon, pochylając lekko głowę, by nie zahaczyć o sznury, na których wisiały mokre prześcieradła i koce. Pers, który dotarł na drugą stronę balkonu, przystanął na moment, rozejrzał się dokoła, a potem skoczył do przodu, rozkładając szeroko ręce.

Rzymianka dotarła na skraj balkonu i wskoczyła w wąską smugę światła przedzielającą chaotycznie rozstawione budynki dzielnicy garbarzy. Podobnie jak Pers chwyciła się grubego sznura, podtrzymującego sztyld rozwieszony między garbarnią i budynkiem po drugiej stronie alejki. Przez moment widziała pod sobą rzekę zdumionych twarzy, potem uderzyła w okno zasłonięte owczą skórą i przy akompaniamencie trzasku łamanej futryny wylądowała we wnętrzu pokoju.

Wpadła prosto w stertę brudnej pościeli, potem uderzyła w połamane resztki łóżka. Błyskawicznie przetoczyła się na plecy, wykonując jednocześnie szerokie cięcie mieczem, jej ostrze nie natrafiło jednak na żaden przedmiot. Ogromny, czarny mężczyzna, który musiał wcześniej wyskoczyć z rozbitego łóżka, krzyknął ze strachu i cofnął się pod ścianę, przewracając nocny stolik i wazę z wodą. Thyatis zerwała się na równe nogi i bez chwili namysłu dopadła do wyjścia; zasłona, która pełniła tu niegdyś funkcję drzwi, leżała teraz zerwana i zdeptana na podłodze.

Thyatis nawet na nią nie spojrzała, podobnie jak na brudne ściany i pokrytą matami podłogę, które natychmiast zniknęły z pola jej widzenia. Twarz Rzymianki wykrzywił wściekły grymas, choć ta nie zdawała sobie nawet z tego sprawy.

Biegła przez wąski korytarz, mijając szereg niskich otworów drzwiowych. Na końcu korytarza znajdowały się schody niknące w ciemności wypełnionej dymem. Thyatis wbiegła na wyszczerbione stopnie, okazało się jednak, że przejście blokują jakieś stare szafy i puste słoje. Przeklinając głośno, zeskoczyła ze schodów i pobiegła w stronę wejścia, w którym zasłona odsunięta była na bok. Pokój zajęty przez nagiego legionistę i poirytowaną prostytutkę przemknął przed oczami Thyatis, kiedy dopadła jednym susem okna i schowawszy miecz do pochwy, pochwyliła otwarte skrzydła okna, podciągnęła się i wysunęła na zewnątrz.

Stopy Thyatis uderzyły w pochyły dach, kryty dachówką. Próbowwała zachować równowagę, lecz dachówki zatrzeszczały niczym pękająca pokrywa lodu, a Rzymianka się po nich zsunęła. Wymachując dziko rękoma, zdołała w ostatniej chwili pochwycić się gzymsu. Przez moment wisiała na jednej ręce, piętnaście stóp nad namiotami biedaków zamieszkujących tę okolicę, potem zdołała zaczepić nogę o krawędź dachu i wciągnąć się na górę. Gdy tylko poczuła się bezpiecznie, rozejrzała się dokoła, lecz nigdzie nie dostrzegła Persa. Stare wdowy i przybysze z obcych krajów mieszkający na podwórzu budynku przyglądali jej się z dołu ze zdumieniem.

- Na Hekate! - zakląła. Chwiejąc się nieco, stanęła na stromym dachu i przebiegła spojrzeniem po oknach i dachach najbliższych budynków. Nic. Odwróciła się do okna, z którego patrzył na nią rozbawiony, młody legionista i jeszcze młodsza prostytutka. Thyatis skrzywiła się ze złością.

Odwróciła się błyskawicznie, kiedy z tyłu dobiegło ją trzeszczenie dachówek. Po drugiej stronie dachu, obok muru okalającego ogród, znajdowało się podobne okno, z którego wygramolił się właśnie Pers, pozbawiony już czapki i drogiej jedwabnej szaty. Zbiegł ciężko po dachu i zeskoczył na krawędź muru. Thyatis gwizdnęła głośno, przyciągając uwagę wszystkich zgromadzonych w ogrodzie.

- Garść denarów za jego głowę! - krzyknęła Rzymianka, przysiadając na piętach i szykując się do skoku. - Oszukiwał mnie w kości!

W ogrodzie podniósł się krzyk i zamieszanie, kiedy bezrobotni poskramiacze zwierząt, płatne płaczki i ich leniwi mężowie zerwali się do biegu, skuszeni obietnicą zapłaty. Thyatis zeskoczyła na ziemię i ruszyła sprintem przez ogród. Pers, nie zważając na ścigający go tłum, szedł po murze z kruszących się, lepionych z błota cegieł, mając przy tym szeroko rozłożone ręce, co pomagało mu utrzymać równowagę. Thyatis dotarła na skraj ogrodu tuż za Persem. Wdrapała się szybko na stertę na-

wozu i dziurawych garnków. Próbowła dosięgnąć ręką stopy Persa, ten jednak odsunął się na bok i przeszedł za róg budynku, przytrzymując się etruskich płaskorzeźb zdobiących ścianę pomiędzy piętrami. Thyatis syknęła rozwścieczona i wskoczyła na mur, kalecząc się przy tym w nogę. Lewą ręką wyciągnęła zza paska płaski, pozbawiony rękojeści sztylet i wychyliła się na moment nad wąską alejką biegnącą między ścianą ogrodu i sąsiednim magazynem, oceniając odległość i przygotowując się do rzutu. Krzyk, który rozległ się za jej plecami, kazał jej się obejrzeć do tyłu.

Na mur wdrapał się właśnie muskularny mężczyzna w prążkowanej, żółto-czarnej szacie. Thyatis uświadomiła sobie z przerażeniem, że to jeden z towarzyszy Persa. Mężczyzna rzucił się na nią, wymachując pięściami owiniętymi w skórę, w której osadzone były metalowe ćwieki. Thyatis obróciła się na pięcie i zawisła nad alejką, opierając lewą stopę o ścianę, a lewą ręką przytrzymując się otworu strzelniczego. Cios mężczyzny, spóźniony o mgnienie oka, trafił w pustkę. Tymczasem Thyatis uderzyła prawą nogą o przeciwległą ścianę i odepchnęła się od niej, wykonując szerokie kopnięcie z półobrotu. Okuty brązową blachą czubek jej buta wbił się z nieprzyjemnym chrzęstem w gardło mężczyzny. Thyatis pozwoliła, by jej noga odskoczyła do tyłu, a potem kopnęła go ponownie, tym razem w brzuch. Napastnik zgiął się powoli w pół i runął do tyłu, prosto na stertę gnoju.

Gdy Thyatis wreszcie się odwróciła, Pers dotarł już niemal do drugiego końca wąskiej alejki. Rzymianka zmeła w ustach przekleństwo i sięgnęła do kolejnej płaskorzeźby, modląc się, by tania, betonowa figurka utrzymała ciężar jej ciała.

Dwie ulice dalej krępy łysy Ilir, Nikos, wrzucił ciało oszczepnika za wielką stertę pustych skrzynek i innych śmieci. Wytarłszy poplamione krwią ręce o nogawice, wyrzwał ponownie na zatłoczoną ulicę. Widział przedtem, jak Thyatis znika we wnętrzu garbarni, choć zajęty był unieszkodliwianiem gladiatora, który próbował zająć ją od tyłu. Upewniwszy się, że nic mu nie grozi, wyszedł z ukrycia i wmieszał się w tłum.

W ciągu kilku minut zdążył dobiec do wąskiej alejki ciągnącej się za garbarnią, sprawdzić, że nie ma tam ani jego dowódcy, ani też ofiary, i dołączyć ponownie do pochodu wiernych.

Uciekinierzy biegają w linii prostej, myślał, przepychając się przez tłum. Mam nadzieję, że ten wie, co powinien robić.

Ulica prowadziła do okrągłego placu, gdzie łączyła się z dwiema innymi. Ogromna procesja religijna całkowicie zablokowała skrzyżowanie, próbując dotrzeć do świątyni Heliosa, znajdującej się ponad trzy przecznice dalej, na wzgórzu. Nikos syknął ze złości: drogę blokowały mu setki pielgrzymów i kapłanów, a do tego kawalkada mułów, koni ze źrebakami i co najmniej trzy słonie. Na ulicy panował straszliwy hałas:

porykiwały muły i trąbiły niezadowolone słonie, a do tego dochodził brzęk gongów i cymbałów, w które bez opamiętania walili kapłani.

Tłum ruszył nagle do przodu, a Nikos został przyciśnięty do muru przez kłębowisko ciał. Z trudem łapiąc oddech, pochwycił się słupka podpierającego daszek przed sklepem z winem i wciągnął się na sztywne, napięte płótno. Pot ciekł strumieniami po jego łysej głowie, piekąc go w oczy. Stanie w upale, w ciasno zbitym tłumie, było ponad jego siły.

Zobaczysz największe miasto świata, mówili, przeżyjesz wspaniacie przegody, mówili.

Kręcąc głową z niesmakiem, przesunął się nieco wyżej, na samą górę płóciennego daszku. Z tej wysokości zobaczył, że procesję zatrzymuje jakieś zamieszanie.

Obuta stopa Persa trafiła Thyatis w głowę. Rzymianka zsunęła się nieco po grzbiecie słonia. Jej nogi zawisły nad głowami tłumu wściekłych, wrzeszczących kapłanów. Snopy jasnych iskier, które przez moment przesłaniały jej świat, ustąpiły sprzed jej oczu, podjęła więc przerwana wspinaczkę. Pers zachwiał się w koszu, kiedy słoń, najwyraźniej zirytowany faktem, że ktoś wspina się po jego ogonie, naparł na krępujące mu nogi kajdany. Poganiacz, wykrzykując najgorsze przekleństwa, uderzył Persa krótką dzidą z hakiem. Ten, choć raniony dotkliwie w ramię, wciągnął się z powrotem do kosza i pochwycił hak, którym zamierzał się nań poganiacz, po czym uderzył go nim w twarz. Rozległ się chrzęst łamanej kości, poganiacz krzyknął przeraźliwie, a potem spadł z grzbietu słonia.

Thyatis przerzuciła ciało nad krawędzią kosza i uderzyła w Persa, próbując mu jednocześnie podciąć nogi. Przerażony słoń przysiadł na zadzie, a Rzymianka i Pers polecieeli na tył delikatnej, wiklinowej skrzyni. Cienka ścianka pękła, i oboje wypadli na ulicę. W zgiełku i zamieszaniu nie słychać było trzasku pękających łańcuchów na nogach słonia.

Rzymianka zdążyła przykucnąć, nim uderzyła o bruk, nie była więc całkiem ogłuszona upadkiem. Pers nie miał tyle szczęścia i z hukiem wyrznął o ziemię. Kapłani odsuwali się do tyłu, przerażeni, zostawiając coraz szerszy krąg wokół walczącej dwójki i słonia. Thyatis podniosła się powoli i wyciągnęła z pochwy długi nóż. Pers, trzymając się za złamane i krwawiące ramię, zdołał usiąść prosto. Po jego twarzy płynęły łzy bólu. Thyatis zaczęła krążyć wokół niego, trzymając nóż w prawej ręce.

- ...ważaj! - dobiegł ją z góry czyjś krzyk, a tuż potem ryk rozwścieczonego słonia. Wystraszona, odskoczyła na bok, kiedy oszalały ze strachu i złości olbrzym wbiegł na ulicę. Poganiacz, wyrzucony z kosza, zginął pod nogami zwierzęcia. Pozostałe słonie, słysząc porykiwanie towarzysza, także zaczęły przysiadac na zadach i deptać na oślepie otaczających ich ludzi. Przerażona Thyatis zastygła na moment w bezruchu. Potem dostrzegła Persa pełznącego po ulicy w stronę wejścia do pobliskiej gospody.

Tymczasem rozwścieczony słoń zrzucił z grzbietu kosz, wzbijając przy tym chmurę kurzu, odłamków wikliny i sznurów, i rozpoczął przedziwny, niszczycielski taniec. Uderzał w witryny sklepów, rozrzucał na boki kapłanów i pielgrzymów. Thyatis przebiegła szybko przez ulicę i dopadła Persa tuż przed drzwiami gospody. Postępując z wysiłku, podniosła go nad głowę i upuściła prosto w ramiona Nikosa.

Chwilę później Nikos wypchnął głową Persa okno pokoju na pierwszym piętrze i wrzucił go do magazynu wypełnionego koszykami, garnkami i pustymi skrzynkami. Thyatis dołączyła do nich kilka chwil później. Na zewnątrz coraz głośniejsze ryki słońca zagłuszyły już niemal całkowicie szum miasta.

Thyatis podniosła Persa z podłogi i pchnęła go na ścianę, wzbijając przy tym obłok kurzu. Pers zaczął krzyczeć z bólu, lecz umilkł raptownie, kiedy na jego gardle zamknęły się poznaczone bliznami, twarde niczym imadło palce Nikosa.

Rzymianka pochyliła się nad swym jeńcem, pozwalając, by krew z rany na jej głowie kapłała na jego twarz. Uśmiechnęła się, błyskając białymi zębami w mroku pokoju. Wsunęła palce w gęste włosy Persa i odchyliła jego głowę do tyłu.

- Żaden mężczyzna nie mógł złapać Vologasa Persa - wyszeptła. - I żaden tego nie zrobił. Ale mnie się udało.

Poczucie ogromnego zadowolenia wypełniło Thyatis, kiedy patrzyła na perskiego agenta. Nikos wiązał mu właśnie ręce za plecami. Rzymianka odgarnęła włosy do tyłu i uśmiechnęła się ponownie. Dobra robota, pomyślała, naprawdę dobra robota.

SZKOŁA PTHAMESA

twyrin kucał w ostatnim rzędzie chłopców, w mrocznym pokoju, oparty plecami o ścianę. Uśmiechał się drwiąco pod nosem, obserwując kątem oka Kylluna i Patroklusa. Przyszli razem, spóźnieni, i nie dostrzegli go pomiędzy innymi chłopcami.

- Słuchajcie mnie uważnie - przemówił szorstki głos, wybijając się ponad szmer rozmów toczonych przez chłopców. - Dzisiaj zastanowimy się nad tym, co znaczy widzieć.

Dwyrin oderwał wzrok od swych dłoni równo ułożonych na kolana. Mistrz Fenops stał na otwartej przestrzeni przed grupą chłopców. Był nauczycielem podstaw taumaturgii, cudotwórstwa. Miał głęboki, niski głos, zupełnie nieprzystający do jego szczupłego i pomarszczonego ciała. Jego oczy spoglądały na chłopców spod krzaczących, nisko osadzonych brwi. Dwyrin przysłuchiwał mu się z uwagą,

była to bowiem jedyna rzecz, jaka przynosiła mu radość w tym starym zakurzonej miejscu.

- Wczoraj mówiłem wam o naturze otaczającej nas materii. - Nauczyciel postukał sandałem w ubitą na kamień ziemię. - Powiedziałem, że jest nietrwała, że zachowuje tylko pozory solidności. Ale nie uwierzyliście mi, widziałem to w waszych twarzach! - Fenops uśmiechnął się przelotnie, błyskając bielą zębów osadzonych w czarnych jak smoła dziąsłach. - Dziś pokażę wam, jak dziurawa jest ta materia. Najpierw jednak zastanówmy się nad naturą człowieka i naturą zwierząt. Co różni człowieka od zwierzęcia?

Fenops powiódł spojrzeniem po chłopcach, dojrzał na ich twarzach znudzenie, ospałość, brak zrozumienia. Pokręcił tylko głową z dezaprobatą i mówił dalej.

- Ty. - Wskazał kościstym palcem jednego z chłopców siedzących w pierwszym rzędzie. - Co różni cię od psa?

Wywołany chłopiec, długowłosej Syryjczyk, rozejrzał się niepewnie po swych kolegach, po czym odparł zadzierzystym tonem:

- Chodzę na dwóch nogach! Umieję mówić. Wiem, że istnieją bogowie.

Fenops skinął głową. *

- Małpa potrafi chodzić na dwóch nogach - powiedział. - Koty mówią, jeśli tylko wiesz, jak ich słuchać. Bogowie... tutaj masz trochę racji. Odpowiedź jest do przyjęcia, ale nie opisuje prawdziwej różnicy między ludźmi i zwierzętami.

Dwyrin wyprostował się i wyciągnął szyję, próbując dojrzeć nauczyciela ponad głowami innych uczniów.

- Tym, co naprawdę odróżnia cię, człowieka, istotę ludzką, od zwierzęcia, jest twój umysł. Nie tylko dlatego, że potrafisz używać różnych narzędzi czy krzesać ogień; nie - ty masz umysł, który może naprawdę widzieć świat.

Fenops potarł czoło, a potem ścisnął palcami nasadę nosa.

- Zrozumcie, że oczy, język czy ręka to narządy i członki ciała. Są fizyczne! Dotykają, smakują i widzą rzeczy materialne. Zwłaszcza oczy nie mogą zobaczyć wszystkiego, czego dotykamy, czego próbujemy czy co słyszymy. Te narządy - rozłożył szeroko ręce, a potem odwrócił wnętrza dłoni do uczniów - są ograniczone. Nie przekazują umysłowi wszystkiego, co można zobaczyć i usłyszeć, czego można posmakować.

Fenops umilkł na moment i przyjrzał się uważnie twarzom siedzących przed nim chłopców.

- Pewien niegłupi barbarzyńca powiedział kiedyś, że świat, który widzimy, jest tylko odbiciem innego świata, świata doskonałych form. Porównał naszą rzeczywistość do jaskini, w której wszystko, co widzimy czy czujemy, to cienie czy odbicia tych doskonałych form. Choć mylił się w swych założeniach, była to śmiała i nie tak bardzo daleka od prawdy próba opisanego prawdziwego świata.

Fenops przestał się przechadzać i przystanął ponownie przed młodym Syryjczykiem.

- Wstań, mój przyjacielu. Zademonstruję teraz porowatość i nie-trwałość tego świata tobie i twoim kolegom.

Syryjczyk wstał; był niemal o głowę wyższy od nauczyciela. Ten uśmiechnął się do niego i ujął go za nadgarstek. Podniósł rękę chłopca i rozłożył jego palce.

- Oto ręka - oświadczył. - To poprzez nią czujemy stałość, solidność świata. Widzicie, to oczywiste, że świat wokół nas jest stały. - Przyłożył palec do dłoni chłopca, nacisnął na nią mocno. - Jego ręka jest ciałem stałym, tak samo jak moja. Obie są materialne, mają kształt, rozmiar i ciężar. To rzecz oczywista!

Fenops odwrócił się do chłopców i wyciągnął przed siebie ręce, rozkładając szeroko palce.

- Pokażę wam jednak, że nie jest to cała prawda o materii. W rzeczywistości świat wokół was wcale nie jest stały. Świat, i wszystko, co go tworzy, składa się z wzorów, kształtów i form. A te wzory i formy są niematerialne. Żyjemy, istniejemy w wielkiej pustce. Kiedy nauczycie się patrzeć naprawdę, zobaczycie otchłań światła wypełnioną nicością. Powtarzam; nawet wzory i formy są niematerialne. Spójrzcie tylko.

Starzec odwrócił się i przyłożył dłoń do pleców Syryjczyka. Przez chwilę stał nieruchomo, z pochyloną głową, a powietrze w pokoju zaczęło się jakby zmieniać, stało się zimniejsze. Fenops podniósł głowę, uśmiechnął się i przesunął rękę do przodu.

Dwyrin wstrzymał oddech, widząc, jak palce nauczyciela wysuwają się z cienkiej tuniki okrywającej pierś chłopca. Po chwili widać już było całą dłoń, a potem przedramię. Fenops zajrzał przez ramię Syryjczyka, a potem uczynił krok do przodu, przechodząc przez niego.

Jeden z młodych Rzymian siedzących w pierwszym rzędzie zemdlał na ten widok. Syryjczyk stał nieruchomo jak skała, kiedy nauczyciel przeszedł przez niego jak przez powietrze, a potem zatrzymał się przed zgromadzonymi uczniami.

- Przestrzenie między wzorami tworzącymi tego chłopca są tak ogromne, że jeśli dostosuję odpowiednio własne, mogę przez niego przejść. On jest pustką, podobnie jak my wszyscy. Kruchym naczyniem wypełnionym jedynie wolą.

Fenops potrząsnął rękami, wyginając ramiona w górę, a potem z powrotem do dołu. Syryjczyk, drżąc na całym ciele, wrócił na swoje miejsce w pierwszym rzędzie. Starzec zatarł energicznie dłonie i uśmiechnął się szeroko.

- No! Co robić, by ujrzeć świat w jego prawdziwej postaci? W naszym zakonie używamy techniki nazywanej pierwszym otwarciem Hermesa...

Minął równy tydzień od historii z pomarańczami. Mistrz Ahmet spieszył do skryptorium, z którego wydobywały się jakieś dzikie wrzaski. Kiedy przepchał się przez tłum chłopców stojących w wejściu do tego starego, szacownego i zatęchłego pomieszczenia, ujrzał klasę młodszych chłopców w zupełnym bezładzie. Salę wypełniał rój ogromnych, rozszłoszczonych pszczoł. Najwięcej owadów kłębiło się wokół Cylicyjczyka, Kylluna, który tarzał się po podłodze pod stołem, wrzeszcząc przy tym wniebogłosy. Ahmet zazgrzytał zębami ze złości, a jego szczupła twarz, zazwyczaj śniada, przybrała ciemnoczerwony odcień. Widząc to, chłopcy stojący obok niego w drzwiach oddalili się czym prędzej, omal nie wpadając na dwóch mnichów idących korytarzem.

Ahmet wykonał w powietrzu dwa szybkie gesty ręką, a pszczoły natychmiast się uspokoiły, zbiły w ciasną gromadę i wyleciały przez drzwi, a potem przez najbliższe okno na podwórze. Ahmet obserwował przez chwilę, jak wzbijają się spirala w błękitne niebo, a potem skracają na południe i znikają za pokrytym czerwoną dachówką dachem budynku. Dwaj mnisi przerwali na moment swą odwieczną dyskusję o fizyczności bogów i spojrzeli ze zdumieniem na Ahmeta. Mistrz uśmiechnął się do nich cierpko, ukłonił, a potem zamknął za sobą drzwi skryptorium.

Chłopcy stali w krótkim, nierównym szeregu pomiędzy dwoma wielkimi stołami. Wszyscy obficie się pocili, choć w pokoju panował przyjemny chłód. Ahmet odwrócił się do mniejszego z dwóch stołów, zastanego pędzlami, pojemnikami z farbą, płachtami papirusu i pergaminu. Pod stołem, oparta o ciężką, rzeźbioną nogę, stała brązowa tuba na zwoje. Ahmet podniósł ją i potrząsnął nią lekko. Ze środka wypadł kawałek plastra miodu. Mistrz przeciągnął palcem po wnętrzu tuby i polizał go.

Potem, skrywając uśmiech, który cisnął mu się na usta, odwrócił się do stojących przed nim pięciu chłopców. Zauważył, że wszyscy poznaczeni byli czerwonymi kropeczkami; najgorzej wyglądał Cylicyjczyk Kyllun, ale rudowłosa Hibernijczyk* Dwyrin i Sycylijczyk Patrokłus także nie wyszli z tego spotkania bez szwanku. Dwaj pozostali chłopcy, obaj z pochodzenia Grecy, nosili tylko ślady jednego lub dwóch użądleń. Ahmet obdarzył wszystkich pięciu swym najgroźniejszym spojrzeniem, a cała piątka pobladła.

- Sofos, Andrades, sprowadźcie tu lekarza.

Grecy wymknęli się z sali niczym cienie. Ahmet przyglądał się uważnie pozostałej trójce. Kyllun, naprawdę mocno sponiewierany, pojękiwał cicho, Patrokłus i Dwyrin spoglądali na siebie spode łba. Ahmet westchnął ciężko: co roku to samo.

- Kara... - zaczął powoli, ściągając na siebie uwagę chłopców - ...za przeszkadzanie w nauce kolegom i zniszczenie własności szkoły - postukał lekko wygiętą tubą o blat stołu - jest dość surowa. - Mistrz uśmiech-

* Hibernia - Irlandia.

nał się. -Wszyscy poniesiecie konsekwencje tego, co się tu stało - zakończył, uśmiechając się ponownie. Trzej chłopcy pobledli jeszcze mocniej.

- Ach... - powiedział Ahmet, spoglądając na drzwi. - Jest już lekarz. « Poczekaj cierpliwie, aż wszystkie uządlenia zostaną pokryte balsamem i maścią, a potem wyprowadził trzech chłopców ze skrytorium.

Dopiero po czterech dniach Dwyrin mógł usiąść, nie krzywiąc się przy tym z bólu, choć śmiech i złośliwe uwagi chłopców były jeszcze gorsze. Ahmet zabrał ich do głównej jadalni podczas wieczornego posiłku, kazał im się rozebrać, a potem spuścił każdemu z nich takie lanie, że wrzeszczeli jak małe dzieci. Wszystko to odbywało się na oczach mnichów, nauczycieli i uczniów ze starszych i młodszych klas. Najgorzej zniósł to Patrokus, który teraz nawet nie spojrzał na Dwyrina. Kyllun był pokorniej szy, choć nie krył, że chętnie stłukłby Dwyrina na kwaśne jabłko.

Wszyscy trzej pozbawieni zostali wieczornego czasu wolnego, a Dwyrin dodatkowo pracował w kuchni przy zmywaniu naczyń. Dni ciągnęły się powoli, a Patrokus i Kyllun zaczęli spędzać coraz więcej czasu razem, czy to przy posiłkach, czy przy nauce. Dwyrin nie zwracał na nich uwagi, bo mistrz Ahmet wciąż miał ich na oku, a poza tym Dwyrin nasycał się zemstą, gdy zobaczył twarz Kylluna w momencie, kiedy z tuby wyleciała chmura rozzłoszczonych pszczoł. Dwyrin miał więcej czasu na naukę, robił więc szybko postępy i zbierał pochwały nauczycieli. Zauważył też, że Kyllun, pomimo długich wieczorów spędzonych nad zaplesniałymi zwojami i starożytnymi tomami, z których przyszło im się uczyć, radził sobie gorzej niż poprzednio. Patrokus także się poprawił, próbując prześcignąć Dwyrina. Mistrz Ahmet pozostawał czujny, nie dając im czasu na snucie intryg.

PORT OSTIA MAXIMA, ITALIA

D

iężkie dębowe drzwi zadudniły głucho pod pięścią młodego mężczyzny. Nad miastem zapadał już zmierzch, słońce zniżało się na zachodzie, a morze skrywało się już za chmurą dymu unoszącego się z niezliczonych kominów i za takielunkiem tysiąca okrętów. Znad wysokiego muru otaczającego dom cieśli okrętowego dochodził plusk fal bijących o kamienne nabrzeże. W tle słychać było pomruk tworzony przez tysiące robotników portowych, mułów i wózków; ludzie zajęci byli załadunkiem i rozładunkiem okrętów, które tworzyły krwiobieg imperium.

- Halo! - krzyknął młody człowiek, odrzucając do tyłu kaptur ciemnozielonej, wełnianej peleryny. Miał patrycjuszowską twarz, mocny nos

i włosy krótko przycięte, według najnowszej mody w cesarstwie. Mrok wypełniał powoli uliczkę, kiedy słońce zanurzało się w głębinach Posej-dona. Z wnętrza wciąż nie nadchodziła żadna odpowiedź.

Zaskoczony, młody arystokrata spróbował podnieść zasuwkę przy drzwiach, ta jednak była zablokowana po drugiej stronie. Potarł gładko ogoloną twarz, potem wzruszył ramionami. Zastukał ponownie, tym razem jeszcze mocniej, ale nadal nie doczekał się żadnej reakcji. Rozejrzał się ukradkiem dokoła; ulica była pusta. Wsunął rękę do skórzanej torby, którą nosił na ramieniu, i wyjął stamtąd mały, pocięty dzwonek z miedzi. Zdmuchnął z niego kurz, potem podniósł go na wysokość pier-si i zadzwonił.

Z wnętrza dobiegł głośny zgrzyt, a potem drzwi otworzyły się powo-li. Młodzieniec uśmiechnął się z zadowoleniem i wszedł do środka. Je-go buty z cielejącej skóry nie wydawały niemal żadnego dźwięku przy zetknięciu z pokrytą płytkami podłogą.

- Dromio? To ja, Maksjan. Halo? Jest tu kto? - szeptał w ciemno-ściach. Nadal nikt mu nie odpowiadał.

Mocno już zaniepokojony, Maksjan rozejrzał się w półmroku za ja-kąś lampą. Odszukał niemal po omacku jedną zawieszoną przy drzwiach i zdjął ją z żelaznego haka. Ścisnął między czubkami palców nasączony oliwą knot, a ten rozblysnął nagle płomieniem, parząc go w palec. Mło-dzieniec zaklął pod nosem i podniósł lampkę oliwną wyżej. Jej blade światło ogarnęło stoły ustawione w długim warsztacie. Narzędzia, per-gaminy, miary i siekiery leżały jak zwykle porozrzucane w nieładzie. Po drugiej stronie długi hol rozszerzał się i zamieniał w pomieszczenie mieszczące kadłub smukłej łodzi ustawionej na podeście z drzewa ce-drowego.

Maksjan podszedł do łodzi, nie mogąc oderwać oczu od jej eleganc-kich kształtów, wysokiej rufy, dziwnego rumpla, który wyrastał z uchwy-tów niczym wielka płetwa. Co dziwniejsze, na burtach nie widać było wiosel sterowych ani żadnych śladów świadczących o tym, że cieśla za-mierzał je zamontować.

- Takiego wierzchowca mógł dosiadać sam Odyseusz, opuszczając ruiny Troi. - Westchnął cicho. - Rozcinać ciemne jak wino fale jego smu-łym dziobem.

Za jego plecami otworzyły się drzwi, do wnętrza wpłynęła smuga czerwonego światła. Maksjan odwrócił się, a jego twarz wyrażała po-dziw i zachwyt. W drzwiach stała jakaś przysadzista postać, wsparta ciężko o futrynę.

- Książę? - rozległ się chrapliwy szept.

Maksjan ruszył do przodu, przełożył lampę do prawej ręki, lewą zaś podtrzymał osuwające się ciało cieśli.

- Dromio? - Maksjan patrzył z przerażeniem na swego przyjaciela: dopiero teraz zobaczył, że jego skóra jest żółta i pomarszczona, i wyraż-

nie rysują się pod nią kości, a oczy zasnuwa mlecznobiała mgła. Cieśla uchwycił się go kurczowo, a jego wielkie dłonie były słabe niczym ręce dziecka. Książę posadził go łagodnie na podłodze.

- Dromio, co ci się stało? Jesteś chory?

Mężczyzna pokręcił powoli głową. Oddychał z trudem, nieregularnie.

- Moja krew jest zepsuta - wyszeptał. - Jestem przeklęty. Wszyscy moi robotnicy też są chorzy, nawet moje dzieci. - Dromio wskazał ręką na tylną część domu, gdzie mieściło się jego mieszkanie. - Sam zobacz...

Maksjan, nagle przejęty strachem, przeszedł szybko na drugą stronę pomieszczenia, gdzie znajdowały się małe drzwi prowadzące do pokojów cieśli i jego rodziny. W bladym świetle lampy widział tylko płataninę bosych stóp wystających z ciemności niczym bochny chleba, lecz nos - przyzwyczajony do smrodu cesarskich szpitali polowych i klinik Subury - odpowiedział mu całą resztę. Lewa część jego twarzy drgnęła kilkakrotnie, kiedy usiłował zapanować nad emocjami. Cicho zamknął za sobą drzwi pokoju, który stał się grobowcem. Ujrzany przed chwilą widok przyprawił go o mdłości. Choć już od dziewięciu lat kierował się naukami Asklepiosa, wciąż nie mógł znieść widoku i zapachu śmierci. W dodatku tutaj ofiarami byli członkowie rodziny, którą znał od lat.

Dawno temu, kiedy był jeszcze dzieckiem, pojechał ze swym ojcem, wówczas gubernatorem Galii Narbońskiej, by zobaczyć wielkie dzieło cesarza Jaeniusa Aąuli. Jechali z miasta zwanego Tolosa, gdzie mieszkali już od trzech lat, drogą wijącą się wśród sosnowych lasów i otwartych łąk pokrywających wzgórza wznoszące się nad ukwieconą doliną rzeki. Ukryci pod zielonym dachem sosnowych gałęzi zjedli obiad podany na wielkim granitowym głazie. Słudzy, którzy podróżowali wraz z nimi, podawali im wino z wodą, figi i gotowane potrawy z jagnięciny, grochu i batatów. Gubernator, ubrany w zwykłe szaty, czyli prostą wełnianą tunikę, bawełniane spodnie i ciężki skórzany pas, siedział obok swego syna i milczał. Po obiedzie odpoczywali jeszcze przez chwilę.

Goccy strażnicy gubernatora siedzieli w cieniu drzew, milczący i nieruchomi. W ich jasne włosy wplecione były kwiaty, które zebrali wcześniej przy drodze. Wąskie, żółte smugi słońca prześwitujące między gałęziami odbijały się od lśniących, przypominających rybią łuskę zbroi. Słudzy objuczyli już muły i drzemali w słońcu, zakrywając twarze słomianymi kapeluszami o szerokich rondach. Młody Maksjan czuł się bezpieczny i szczęśliwy. Nieczęsto zdarzało się, by ojciec zabierał go za miasto czy w ogóle zwracał nań uwagę. To była naprawdę cudowna niespodzianka.

Po długiej chwili milczenia gubernator wyrwał się wreszcie z rozmyślań i odwrócił do syna. Ściągnął krzaczaste, białe brwi i potarł nos szeroką dłonią. Chwilę przyglądał się najmłodszemu synowi, a potem, nie zmieniając ani na moment wyrazu twarzy, nakazał mu gestem, by

wstał i się z nim udał. Podeszli do koni, trzymany już w pogotowiu przez sługi. Za nimi spomiędzy drzew wynurzyli się Goci, poprawiając broń i pasy. Wreszcie cała grupa ruszyła w dół, w dół wąskiej doliny po drugiej stronie rzeki.

Maksjan pokręcił głową, odganiając wspomnienia. Ostrożnie postawił lampkę na gzymsie ceglanego paleniska. Szybko rozpałił ogień i poszukał drugiej lampki. Dromio wciąż leżał na podłodze, ciężko oddychając. Kiedy w pokoju zrobiło się wreszcie jasno, Maksjan przejrzał wszystkie talerze, kubki i misy leżące na stole; zrobił to szybko, ale uważnie. Nie dopatrzył się metalicznego połysku trucizny, nie czuł żadnych podejrzanym, gryzących zapachów. Oddzielił naczynia zawierające płyny od tych z ciałami stałymi i ułożył je w dwóch równych stertach na szerokim kredensie. Potem uklęknął przy swoim przyjacielu. Dromio uniósł z trudem rękę, a Maksjan ujął ją w swe dłonie.

- Nie obawiaj się, mój przyjacielu, przegonimy z ciebie tę chorobę - wyszeptał księżę.

Świt skradał się powoli po dachach, przez głębokie, wysoko osadzone okna kuchni sączył się szary blask. Jakiś czas później ciepłe światło padło na popielatą twarz młodego mężczyzny, który leżał skulony na stole z grubych desek. Muchy budziły się i krążyły powoli po pokoju, przysiadając obok kałuż krwi. Napiwszy się do syta, podlatywały ociężale i niezdarnie do mięsa gnijącego na kredensie.

Jedna z wielkich zielonych much zachwiała się nagle w powietrzu, a potem opadła bezwładnie na stół. Po niej następna. Maksjan drgnął i przebudził się, odruchowo strącając z twarzy deszcz martwych much. Potrząsając nieprzytomnie głową, podniósł się ze stołu, trącając przy tym cynowy kielich, na wpół stopiony, jakby wyjęto go z żaru. Puchar upadł z brzękiem na podłogę.

Uzdrowiciel rozejrzał się dokoła, próbując zrozumieć, gdzie właściwie jest. Jego głowę wypełniał nieustający zgiełk, wielkie morze dźwięku, przypominające wrzawę tłumu wypełniającego po brzegi widowień cyrku. Odgarnął ze skroni długie, rozpuszczone włosy. Drgnął zaskoczony, potem przeciągnął dłonią przez włosy, które opadły w nieładzie na ramiona. Całkiem już przytomny, rozejrzał się wokół.

Powoli docierał doń ponury widok.

Bogowie, ależ się musiałem wczoraj upić! Co się stało z moimi włosami?

Cała kuchnia zasłana była skorupami rozbitych naczyń z gliny, pogiętymi patelniami i garnkami z brązu, kawałkami popękanych płytek oraz dziwnym białym pyłem. Większość podłogi pokrywały ciemnoczerwone kałuże, niemal czarne w świetle świtu. Ściany, niegdyś jasnożółte, upstrzone były tysiącami maleńkich czerwonych plam. Maksjan wzdrgnął się na ten widok, a potem wymiotował, zrozumiawszy, że stół za je-

go plecami pokryty jest setkami mniejszych i większych kości, głównie drobnymi kosteczkami palców, żebrami i łopatkami. Odruchowo podsumował w myślach tę zbieraninę: troje dorosłych, jeden wyjątkowo duży, czwórka dzieci...

Książę zamarł, uświadomiwszy sobie wreszcie, gdzie się znajduje. Dom cieśli okrętowego Dormia, jego żony, brata i dzieci. Z otchłani pamięci powróciło doń wspomnienie reszty długiej i straszliwej nocy. Przejęty grozą Maksjan zgiął się wpół i uchwycił kurczowo krawędzi stołu, by nie runąć na podłogę. Kości wpadały na siebie ze stukotem i ześlizgiwały się z przechylonego blatu, opadając na splamioną krwią podłogę.

SZKOŁA PTHAMESA

^ I iedługo przed nadejściem pory powodzi, kiedy znad pustyni zawa^v » częły napływać gwałtowne burze i ulewy, a wiatr niósł słodki zapach deszczu opadającego na wysuszoną ziemię, Dwyrin został wreszcie zwolniony z uciążliwych prac kuchennych. Wraz z innymi chłopcami, wśród których był także Kyllun, uprosił odźwiernego, by ten pozwolił im popływać w rzecę. Wyrwali też z popołudniowej drzemki Ahmeta. Mistrz, widząc radosny zapał na twarzach chłopców, zgodził się ich popilnować. Zabrał ze sobą parasol i kilka zwojów, które zamierzał ponownie przeczytać. Słońce świeciło jasno na pogodnym niebie, wiał lekki, przyjemny wiatr, i nawet Ahmet z przyjemnością myślał o krótkiej wycieczce.

Nad rzekę prowadziła ścieżka biegnąca w dół wzgórza wśród palm i trzcin. Wrzeszcząc ile sił w płucach i podskakując, chłopcy zbiegli na brzeg, na szeroką łąkę piasku, która tworzyła w tym miejscu płytką, osłoniętą zatoczkę. Ahmet przysiadł pod palmą i rozglądał się przez chwilę po rzecę, podczas gdy chłopcy czekali niecierpliwie przy brzegu. Wypatrywał podejrzanych pni, szczególnie pni, które potrafią się błyskawicznie ruszać. Zamknął na moment oczy, potem skinął głową chłopcom, którzy przestępowali już z nogi na nogę.

Dwyrin natychmiast wskoczył do wody. Nie pływał już od bardzo dawna, od czasu tamtej nielegalnej wizyty w świątyni Sokoła. Chłopcom nie wolno było się kąpać w rzecę, nie tylko ze względu na zdraдлиwe prądy i głębokie doły, ale i z powodu świętych krokodyli przyczajonych przy dnie i zawsze gotowych przyjąć dodatkową ofiarę, nawet jeśli nikt nie składał jej dobrowolnie. Sofos ochlapał Dwyrina wodą, ten złożył dłonie i zrewanżował się tym samym. Sofos wrzasnął i rzucił się na niego, ale Dwyrin ze śmiechem uskoczył na bok.

Okręt Re powoli płynął ku zachodowi, jego płomienne skrzydła dotykały cienkich chmur, znacząc je pasmami ciemnego różu i fioleto. Ahmet podniósł wzrok znad *Libre Evion* i ujrzał Dwyrina huśtającego się na długiej linie. Gdy chłopiec znalazł się w najwyższym punkcie łuku, wypuścił linę i wrzeszcząc dziko, runął do wody z donośnym pluskiem. Pozostali chłopcy tłoczyli się wokół wystającej nad rzekę palmy, w której koronie przywiązano linę. Sofos pochwycił ją mocno i rozpoczął rozbieg. Ahmet uśmiechnął się do siebie i powrócił do niejasnego fragmentu, nad którym się właśnie zastanawiał.

Dwyrin zanurkował w mętnej brunatnej wodzie. Jego stopy uderzyły o galaretowate dno i przywarły do niego. Chłopiec odepchnął się mocno, by wystrzelić ponownie w górę, lecz choć ręce uniosły ciało odrobinię, błoto nadal trzymało stopy. Dwyrin spróbował ponownie i poczuł, jak zdradliwy muł chwytą go coraz wyżej za nogi. Osiadł głębiej. Wysoko w górze widział blask Re iskrzący na powierzchni wody. Nie poddawał się jeszcze, ale woda wokół niego była coraz zimniejsza. Machał rozpaczliwie rękami. Zaciśnął mocniej usta, z trudem powstrzymując się od oddychania. Woda wpłynęła mu do nosa.

Ahmet podniósł wzrok znad drobnego pisma. Poczł jakies delikatne szarpnięcie na skraju bariery, która powstrzymywała krokodyle od ataku. Odłożył zwoje i wstał. Sofos zatoczył szeroki łuk w powietrzu i uderzył w powierzchnię wody. Pozostali chłopcy przepychali się, próbując dosięgnąć liny. Ahmet przyglądał się uważnie rzece. Sofos wynurzył się z wody i zaczął płynąć do brzegu. Znow coś naruszyło barierę ochronną. Ahmet sięgnął wzrokiem do niewidocznego świata.

Dwyrin zebrał wszystkie siły, choć wydawało się, że zaraz pękną mu płuca, a serce waliło niczym młot w kuźni jego ojca. Wykonał potężny zamach rękami, próbując oderwać od dna bezwładne, unieruchomione nogi. Znow jednak osiadł tylko głębiej w błocie. Bogowie, błagał w myślach, uwolnijcie mnie! Ciemna mgła przesłoniła mu oczy. Uszy wypełniał bolesny łomot, rozpaczliwie pragnął oddychać. Ogarnęła go fala przerażenia, lecz mimo to zaczął recytować w myślach uspokajające formuły medytacyjne. Jeśli ma odejść, to przynajmniej zrobi to w pokoju.

Jakiś ciemny kształt sunął przez wodę w jego stronę. Dwyrin obrócił się w jego stronę. W ciemności pojawiła się nagle twarz Ahmeta, silne ramiona pochwyciły chłopca i pociągnęły w górę. Mistrz odepchnął się od dna, a Dwyrin wyzwolił się wreszcie z mułu, wyskoczył zeń niczym burak wyrwany z ziemi. Razem popłynęli ku powierzchni wody.

Biuro mistrza szkoły wydawało się ciemne i ciasne, ściany obwieszone były od góry do dołu rozwiniętymi zwojami papirusu. Ze zwojów patrzyły na gości szerokie, niepokojące oczy bogów i bogiń, demonów

i królów, kapłanów i diabłów. Ahmet uklęknął na zimnych, czystych kamieniach, zostawiwszy sandały przy drzwiach. Jego długie ciemne włosy, spięte z tyłu mosiężną kłamrą, opadały na jedno ramię. Oczy wpatrzone były w wąskie szczeliny między kamieniami podłogi. Dłonie spoczywały na kolanach.

Mistrz szkoły stukał o blat biurka ciasno zwiniętym zwojem, oplecionym sznurem, w którym pobłyskiwała fioletowa nić. Był to drobny mężczyzna o łagodnych rysach twarzy, jednak jego oczy, osadzone pod żółtobiałymi brwiami, patrzyły jasno i przenikliwie. Długi nos zdradzał nabatejskie pochodzenie. Szczupłe, poznaczone ciemnymi wstążkami żył dłonie bawiły się od niechcenia pieczęcią zamykającą tubę ze zwojem.

- Czułeś więc, że coś naruszyło barierę ochronną. Czy mógł to być ktoś, kto spiskował przeciwko chłopcu? Jakiś rywal z jego klanu? Osobisty wróg?

Ahm jt podniósł wzrok.

- Nie, mistrzu, rodzina tego chłopca nie ma żadnej władzy. Nikt nie mógłby skorzystać na jego śmierci czy cierpieniu. Jego ojciec jest kowalem w dalekiej Hibernii, rodzina jest biedna. Nie mogą tu mieć żadnych wrogów.

Mistrz szkoły uniósł lekko brwi, zaskoczony.

- Biedak i barbarzyńca? Więc jak w ogóle trafił do szkoły?

Ahmet wzruszył ramionami.

- Znaleźli go cesarscy łowcy czarowników. Wypłacili nagrodę rodzinie i przysłali go tutaj. Biuro taumaturgii z Aleksandrii płaci za jego naukę. Wśród młodszych uczniów jest jeszcze pięciu czy sześciu takich chłopców.

Mistrz wydał cienkie wargi i postukał zwojem o brodę. Przez chwilę patrzył spod przymrużonych powiek na rysunki zdobiące ściany jego gabinetu. Potem odwrócił się do młodzieńca, który klęczał przed nim. Przelotny uśmiech pogłębił zmarszczki w kąciakach jego oczu.

- Czyli musiał to być ktoś ze szkoły. Zazdrosny uczeń? Urażony tubylec? - Mistrz włożył zwój do koszyka stojącego na skraju ławy. Zajmie się tym później.

Ahmet milczał przez chwilę, zastanawiając się.

- Ten chłopiec, Dwyrin, jest raczej lubiany przez innych. Jest co prawda ktoś, kto może żywić do niego jakąś urazę, ale to także uczeń drugiego roku, który nie ma praktycznie żadnej władzy.

Mistrz szkoły zmrużył oczy i pochylił się nad biurkiem, opierając ręce na ciemnym, idealnie wypolerowanym blacie.

- Kto może żywić tę „urazę”? Dlaczego nie poinformowałeś mnie o tym wcześniej?

- To naprawdę rzecz bez znaczenia, mistrzu. Kilka miesięcy temu ten Hibernijczyk wymknął się ze szkoły podczas ciszy nocnej i ukradł parę pomarańczy z sadów nad rzeką. Po powrocie próbował zrzucić winę

na innego chłopca. Oczywiście złapałem Hibernijczyka, wcześniej jednak uderzyłem różgą tego drugiego.

- Zatem tamten chłopiec może mieć żal o chłostę? Któż to jest? - Mistrz wpatrywał się z uwagą w Ahmeta, a ten odwrócił wzrok, jakby nagle zainteresował go odległy zakątek pokoju.

- Mów, Ahmecie.

- Kyllun z Cylicji, mistrzu.

Mistrz szkoły syknął ze złością. Ahmet wzdrygnął się, słysząc ten dźwięk.

- Syn pretora z Macedonii? Na Horusa, Ahmecie, poleciłem ci wyraźnie, żebyś obchodził się z nim jak z jajkiem! Jego ojciec znany jest z porywczości. Jesteśmy mu ogromnie wdzięczni za to, że przysłał swego syna właśnie tutaj, do naszej małej szkoły.

Mistrz szkoły opadł na swoje krzesło, zanurzając się w głębokich, bańnianych poduszkach. Jego spojrzenie powróciło do zwoju, który odłożył przed chwilą do kosza.

- Opowiedz mi o tych dwóch chłopcach, wszystko, jakie mają stopnie, kto jest lepszy w klasie, kto jest najszybszy, wszystko, Ahmecie, wszystko.

- Cóż - westchnął Ahmet - po pierwsze, sprawa ta dotyczy trzech, a nie dwóch chłopców...

Re zniknął już za zachodnim horyzontem, unosząc łódź światła do krainy cieni, gdy Ahmet zakończył wreszcie opowieść. W pokoju zapadła cisza. Po długiej chwili milczenia mistrz szkoły wstał z krzesła i zaczął się przechadzać wzdłuż ławy, uderzając bosymi stopami o ciemne kamienie. Ahmet nie podnosił się z kłęczek. Jego dłonie znów stały się wilgotne. Z trudem przewyciężył pokusę, by wytrzeć je o tunikę.

Mistrz zatrzymał się przed zwojem ukazującym daninę złożoną faraonowi przez książąt Meroe. Gazele, ibisy, hipopotamy, kozły i wszelkiego rodzaju stworzenia paradowały przez jego pomarszczoną powierzchnię. Mistrz odwrócił się do Ahmeta, wydymając lekko usta i oświadczył:

- Jutro, Ahmecie, zabierzesz tego hibernijskiego chłopca do świątyni, zaprowadzisz go w otchłań, do jaskiń inicjacji i wprowadzisz w drugi krąg otwarcia. Obdarzysz go wszelkimi zaszczytami i władzą, jaka przysługuje temu stanowi, a także trzecim okiem postrzegania. Obudzisz moc, która leży uspiona w jego sercu. Uczynisz go jednym z nas, oświeconym.

Ahmet wpatrywał się szeroko otwartymi oczami w szczupłą postać mistrza. Jego głos, ciężki i stanowczy, wciąż wibrował w powietrzu wokół niego.

- Ależ mistrzu... - wykrztusił wreszcie. - Ten chłopiec nie jest jeszcze gotowy! Uczy się drugi rok, nie jest lepszy ani gorszy od kolegów z klasy. Ostatnio trochę się poprawił, to prawda, ale nie bardziej niż,

dajmy na to, Patroklos z Archimedei. Potrzebuje jeszcze dwóch lat, by przejść taką inicjację!

- Tak, ale jutro zabierzesz go do otehłani świątyni i uczynisz go czarnikiem drugiego rzędu. Taka jest moja wola, a ty ją wypełnisz.

Ahmet pochylił głowę. Mistrz szkoły był tu najwyższą władzą, a Ahmet przysięgał mu posłuszeństwo. Mistrz nakazał mu gestem, by podniósł się z klęczek, a potem uściśnął ramię młodego nauczyciela.

- Jeśli chłopiec nie przeżyje przejścia do drugiej sfery, ja będę winny jego śmierci, nie ty. Rozkazałem ci, a ty rozkaz wykonałeś. Odejdź ze spokojnym sercem, mój młody przyjacielu, i raduj się, że ten młodzieniec uczyni tak wielki krok i wejdzie w nasz świat.

Mistrz uśmiechnął się serdecznie, lecz Ahmet nie odpowiedział mu tym samym. Ukłonił się i wyszedł z pokoju, rozchylając zasłony plecione z trzciny. Jego twarz była spokojna i opanowana. Na zewnątrz skłonił się sekretarzowi, który kucnął przy drzwiach, trzymając pod ręką gotowe pióra i arkusze papirusu.

- Czcigodny Niisie, przekaz proszę opiekunom świątyni, że jutro o świcie przybędę tam z kimś, kto zostanie wywyższony, jeśli taka będzie wola Re i Thota.

Sekretarz oddał ukłon, a potem zaczął sporządzać odpowiednią wiadomość.

Dwyrin obudził się po raz kolejny. Bolała go głowa, czuł się nieprzyjemnie rozbity i ociężały. Nie spał dobrze tej nocy, przewracał się z boku na bok, nie mogąc znaleźć drogi do królestwa Morfeusza. Było bardzo wcześnie, między okiennicami prześwitywał blady blask świtu. Salę wypełniało monotonne chrapanie innych chłopców. Dwyrin przewrócił się na plecy i omal nie krzyknął, nagle całkiem rozbudzony. Przed łóżkiem stała jakaś wysoka postać w długim, czarno-czerwonym płaszczu. Na jej szerokiej piersi błyszczał brązowy dysk-słońce. Czarna głowa postaci osadzona była na długiej szyi i zakończona ostrym dziobem. Pod skrajem kaptura kryły się czarne oczy, lśniące niczym marmur w wodzie.

Dwyrin otworzył szeroko oczy i cofnął się na skraj łóżka, przerażony widokiem postaci ze świątyni, która nagle ożyła i stanęła z nim twarzą w twarz.

- Chodź - zadudnił głęboki, grobowy głos. - Ozyrys wzywa cię do otehłani Tuat. - Postać wyciągnęła ku niemu rękę owiniętą w czarnoszarą tkaninę i zakończoną trzema szponami. - Chodź, Dwyrinie MacDonalddie. - Dwyrin wpatrywał się ze zgrozą w czarne widmo. Nie mógł pozbierać myśli. Postać uczyniła jakiś gest, szeleszcząc przy tym swymi szatami. Zza jej pleców wynurzyły się dwie mniejsze sylwetki: przykucniętych, podobnych do ludzi istot pozbawionych twarzy. Ich hebanowe ciała pokrywały jakieś wzory i linie. Pochwyciły Dwyrina za ręce i podniosły go z łóżka. Dwyrin był tak przerażony, że nie mógł wydobyć z sie-

bie głosu, kiedy istoty wyprowadzały go z sypialni, idąc śladem wysokiej postaci o głowie ptaka.

O tej porze na terenie szkoły panowała zupełna cisza. Nie śpiewały ptaki, z kuchni nie dochodziły żadne odgłosy. Wszystko leżało ciche i uśpione pod bladoróżowym niebem. Dwie pozbawione twarzy istoty przeprowadziły Dwyrina wzdłuż głównego budynku i pod arkadą kolumn oddzielających główny budynek od biblioteki. Potem przeszli ścieżką przez ogrody na tyłach szkoły i dotarli do tylnej bramy. Tam, w głębokim cieniu, pod gęstym krzewem hibiskusa, Dwyrin dostrzegł niską postać, odzianą w białe i jasnoniebieskie szaty i wspartą na wysokiej lasce. Tajemnicza postać zniknęła mu jednak szybko z oczu, otworzyły się ciężkie wrota szkoły, a pozbawieni twarzy ludzie wyprowadzili go pomiędzy drzewa i krzewy.

Kiedy już przeszli przez szeroki pas palm i krzewów otaczający teren szkoły, dziwne istoty puściły ręce Dwyrina. Postać z głową ptaka wskazała na ścieżkę prowadzącą pomiędzy skały i wzgórza wznoszące się nad wąską doliną rzeki. Dwyrin patrzył na człowieka-ptaka szeroko otwartymi oczami, wciąż nic nie rozumiejąc.

- Idź - rozległ się głęboki głos. - Idź do drzwi umarłych. Pójdziemy za tobą.

Dwyrin rozejrzał się dokoła. Re, który wspinał się już powoli w górę nieba, oblał złotym i szafranowym blaskiem porozrzucane na wzgórzach głązy. Dopiero w tym świetle Dwyrin mógł przekonać się, że człowiek-ptak był bardzo bogato odziany; jego ręce zdobiły złote bransolety, a szaty wykonane były z grubego brokatu. Ptasia głowa była smukła i czarna, od głęboko osadzonych, błyszczących oczu biegły do tyłu czerwone pasy. Skóra była ciemna i błyszcząca niczym mahoń, dłonie z trzema palcami-szponami - szerokie i mocne. Jedna z nich wskazywała właśnie na ścieżkę prowadzącą ku wzgórzom. Istoty bez twarzy zniknęły.

Dwyrin odwrócił się i zaczął iść, stawiając bose stopy na zimnych głązach i kamieniach. Ścieżka wiła się i kluczyła w wąskim wąwozie porośniętym kolczastymi krzewami. Ich gałęzie kaleczyły nogi Dwyrina, a strome zbocze zmuszało go do coraz większego wysiłku. Na końcu wąwozu ścieżka skręcała w lewo, pod wznoszące się ukośnie urwisko, i prowadziła między dwa wielkie głązy, pokryte białymi i czerwonymi wzorami. Dwyrin wszedł między skały, do szerokiego zagłębienia w kształcie misy. Kiedy spojrział w górę, ujrzał krążące nad jego głową sępy i cienkie, postrzępione chmury, podświetlone różowokremowym blaskiem. Dach świata stawał się coraz jaśniejszy.

Przed sobą, po drugiej stronie misy, ujrzał siedmioro wysokich drzwi wyciosanych w skale. Przy każdym wejściu znajdowała się płaskorzeźba przedstawiająca jedno ze zwierząt z świątyni. Siedem bram i siedem starożytnych bóstw. Dwyrin czuł, że człowiek-ptak stanął za jego plecami.

- Wybierz - wyszeptał. - Wybierz bramę swojego przeznaczenia.

Dwyrin szedł powoli po odłamkach skał zaścielających dno misy, zmiernając do drzwi strzeżonych przez człowieka z głową sokoła. Kiedy stanął przed nimi, drzwi uchyliły się do wnętrza. Twarz Dwyrina owionął podmuch ciepłego powietrza, który niósł ze sobą zapach tymianku, cynobru i cynamonu. W środku czekały jakieś postaci o uśmiechniętych twarzach i otwartych ramionach. Dwyrin poczuł, jak ktoś popycha go od tyłu i nagle znalazł się między uśmiechniętymi postaciami.

Drzwi zamknęły się za nim bezszelestnie. Uśmiechnięte postacie zbliżyły się do Dwyrina. W blasku pochodni chłopiec dojrzał wyraźniej ich twarze i przekonał się, że choć wszystkie zastygły w uśmiechu, ich oczy są puste i martwe. Ręce sług przesunęły się wzdłuż jego Ciała i tunika chłopca opadła na ziemię. Dwyrin obrócił się gwałtownie, szukając człowieka-ptaka, lecz ten zniknął. Słudzy otoczyli go ciasnym kręgiem i popychali delikatnie w stronę wielkiej bramy znajdującej się po drugiej stronie holu. Po obu stronach pomieszczenia, pod ścianami, siedziały wielkie postacie, oświetlone jedynie pochodniami płonącymi na podłodze u ich stóp. W powietrzu unosił się zapach kadzidła.

Z daleka dobiegał jednostajny śpiew i monotonne dudnienie bębnow. Dwyrin zadrżał, choć powietrze było ciepłe. Słudzy popychali go do przodu, przez wielkie drzwi. Po drugiej stronie znajdował się pokój o podłodze wykładanej płytkami i szerokim oknie wychodzącym na wielkie miasto złotych dachów, srebrnych budynków i zielonych traw, ciągnące się aż po horyzont. Dwyrin przystanął, oszołomiony widokiem lśniących błękitnych jezior, soczyście zielonych pól i błękitnego nieba.

- To jeszcze nie dla ciebie - odezwał się za jego plecami głęboki głos człowieka-ptaka. - Oto twoja ścieżka - powiedział, odwracając Dwyrina od złotego miasta i kierując go ku schodom otwierającym się po lewej stronie pokoju.

- To twoi słudzy - powiedział człowiek-ptak. - Obleką cię w szatę inicjacyjną. Namaszczą świętymi olejkami, obmyją twe stopy, przygotowują cię do zejścia w otchłań.

Dwyrin stał nieruchomo, wpatrzony w bezdenne oczy człowieka-ptaka. Czuł, jak słudzy wkładają mu na biodra spódnicę, kładą tunikę na ramionach, nacierają ręce i nogi olejkami i pachnącą wodą. Znad podłogi unosiły się kłęby gęstego dymu, od którego chłopcu kręciło się w głowie. Po chwili człowiek-ptak odstał od Dwyrina, a w pokoju rozległy się pierwsze dźwięki jakiejś pieśni.

- Idź na dół, w królestwo ciemności.

Dwyrin ruszył w stronę schodów. Wąskie, kręte i strome schody prowadziły w głąb ziemi. Postawił stopę na pierwszym stopniu.

- Idź na dół, w królestwo strażników.

Zniknęło światło rzucane przez pochodnie, Dwyrin szedł teraz w całkowitej ciemności. Powietrze wibrowało pieśnią sług, a z dala dobiegał silny głos człowieka-ptaka.

- Idź w dół, poza światło, poza to, co widzialne, poza to, co możesz usłyszeć.

Wciąż otaczał go gęsty dym. Ściany po bokach zniknęły, szedł teraz po równej, gładkiej podłodze pokrytej drobnymi ziarnami piasku.

- Idź w dół, do serca ziemi.

Panowała nieprzenikniona ciemność. Przed oczami Dwyrina pojawiły się niewyraźne smugi światła, choć trzymał mocno zaciśnięte powieki. Błękitne, złote i szmaragdowe punkty płynęły tuż przed nim.

- Idź w dół, pozwól, by twoje ciało odeszło, by zostało tylko *ka*, tylko *sekhem*.

Podłoga usunęła mu się spod nóg, sunął do przodu w wirującym królestwie łagodnego światła i formy.

- Idź w dół, w wieczność, w nieskończoność, w nicość.

Z chaosu kolorów i płynnych kształtów wynurzył się bazaltowy tron, na którym siedziała ogromna postać brodatego mężczyzny dzierżącego królewskie insygnia.

- Idź w dół, w światło, w wolność, we wszystkie rzeczy.

Dwyrin stał przed starożytnym królem, otoczony wirem światła i kolorów. Król nachylił się ku niemu i przemówił. Z jego ust nie wydobywał się żaden dźwięk, lecz tylko barwy, kształty i tony muzyki. Ogarneły Dwyrina, a ten poczuł, że coś w nim pęka. Ogień ogarnął najpierw jego brzuch, a potem wypłynął zeń we wszystkich kierunkach. Dwyrin z krzykiem upadł na wznak, niezdolny do żadnego ruchu. Płomienie strzelały z jego palców, oczu i ust. Jego ciało spłonęło, zostawiając po sobie tylko czystą jaźń. Król usiadł ponownie na swoim tronie i uniósł przed sobą berło w kształcie znaku *anch*. Na szczycie berła otworzyło się oko, a jaźń Dwyrina natychmiast zaczęła sunąć w jego stronę. Umysł Dwyrina krzyczał przeraźliwie, kiedy jego *ka* zaczęło się rozrywać w tym potężnym podmuchu.

Gdzieś z dala, spoza kolorów, dochodził Dwyrina głos człowieka-ptaka, nie mógł jednak zrozumieć, co do niego mówi. Czuł, jak jego jaźń powoli niknie, jak wielkie lśniąco oko zdziera z niej kolejne warstwy. Ogarniał go coraz większy strach. Będziesz niczym, krzyczał jego umysł, niczym! Zostanie unicestwiony, obrócony w nicość, nie będzie już żadnego Dwyrina.

Nie pozwolę, by rządził mną strach, pomyślał i zaczął odmawiać formułę skupienia i oczyszczenia, której uczyli się w szkole. Gdy to robił, ogień znów zaczął trawić jego ręce i nogi. Dwyrin zawahał się na moment, potem jednak podjął ponownie przerwana modlitwę. Gdzieś w jego umyśle odbijał się echem głos Ahmeta. *Umysł wolny od strachu ma władzę nad wszelkimi rzeczami*. Ogień zapłonął mocniej, teraz jednak

wciągał światło i kolor w niego. Jego serce забиło mocniej i przeszedł do medytacji pierwszego otwarcia Hermesa, tej, która pozwalała uczniom ujrzeć zarysy prawdziwego świata.

Jego ciało stworzone było teraz z ognia, jasne niczym gwiazda, a coś, co leżało dotąd uśpione w jego wnętrzu, zaczęło się rozwijać, ogarnęło kręgosłup i sięgnęło do wnętrza głowy. Poczul rozdzierający ból, zdawało mu się, że czoło, ogarnięte ogniem, światłem i kolorem, pęka na pół. Złoty blask wypełnił zarówno jego, jak i całą salę z tronem. Gigantyczny król opuścił berło i wszystko rozplynęło się w pozbawionym formy chaosie, zginęło w ciemności i nicości.

Dwyrin czuł, jak jego kolana uderzają o zimną kamienną podłogę, jak pozbawione siły ręce kołyszą się u boków. Drżał na całym ciele. Czyjeś silne ramiona pochwytyły go i uniosły nad podłogę. Ktoś przygarnął go do piersi, na twarz chłopca spadły ciemne, pachnące włosy. Dwyrin zaszlochał i ukrył twarz w ramieniu mężczyzny. Łzy ciekły mu strumieniem po policzkach.

- Spokojnie, chłopcze, wszystko będzie dobrze - przemówił człowiek-ptak głosem Ahmeta, przytulając go mocno do siebie. Człowiek-ptak wstał z kamiennej podłogi i unosząc chłopca, ruszył w drogę powrotną po krętych tunelach i korytarzach labiryntu.

Re stał już wysoko na niebie, kiedy Ahmet dotarł do bramy ogrodu, pozostawiwszy wcześniej strój człowieka-ptaka w kufrze z drewna sandałowego, który znajdował się w komnacie z widokiem na miasto ze złota. Wyczerpany Dwyrin spał w jego ramionach. Z dala dobiegały głosy kucharzy i śpiew nowicjuszy oraz ich mistrzów przebywających w świątyni. Młody mistrz przemknął po długich schodach do zacienionego korytarza, który prowadził do jego kwatery. Gdy znalazł się już w swej ciasnej, mrocznej celi, ułożył chłopca na wąskim łóżku i przykrył go kocem. Dwyrin wciąż pogrążony był w głębokim śnie. Ahmet przyglądał mu się przez chwilę z troską i smutkiem. Potem potrząsnął energicznie głową, by odgonić ciemne myśli, i wyszedł z celi, kierując się ku kuchni. Spóźnił się już na śniadanie.

Ahmet siedział sam w długiej sali, która pełniła funkcję refektarza mistrzów. Stoły były już puste, na niektórych lśniła jeszcze woda, którą przemywano je po śniadaniu. Ubłagał kucharzy, by dali mu jeszcze miskę owsianki z figami. Przy lewej ręce stał kubek z wodą. Powoli nabierał łyżką dosłodzony miodem posiłek.

- Chłopiec żyje - rozbrzmiał głos za jego plecami. Ahmet skinął głową, nie przerywając jedzenia. Ława zaskrzypiała lekko, kiedy mistrz usiadł obok niego. Ahmet czuł na sobie jego spojrzenie. Nie odwrócił się jednak, lecz sięgnął po kubek z wodą.

- Będzie spał przez dwa, może trzy dni. Potem w pełni odzyska

siły. - Ahmet odwrócił wreszcie głowę: mistrz patrzył na freski na suficie.

- Przygotuję dla niego miejsce w kwaterach uczniów drugiego kręgu - powiedział Ahmet.

Mistrz oderwał wreszcie wzrok od fresków i spojrzał nań z zagadkowym wyrazem twarzy.

- To nie będzie konieczne - oświadczył przyciszonym głosem.

Ahmet wyprostował się, zdumiony.

- Jak to? - wyszeptał.

Mistrz sięgnął do swej szaty i wyjął zwój z wiadomością, przewiązany brązowo-fioletowym sznurem. Położył go na stole, między sobą i Ahmetem.

Ahmet dotknął go palcem.

- Co to jest?

- List od egzarchy Aleksandrii do naszej szkoły z prośbą o czarownika drugiego kręgu. Ma to być część daniny, dzięki której Egipt spełni żądania władcy Cesarstwa Wschodniego.

- Co? Jakie żądania? - krzyknął z niedowierzaniem Ahmet, podnosząc się z miejsca.

- Ciszej, ciszej, młody mistrzu. Nie ma tu żadnych wyjaśnień, tylko prośba o dostarczenie jednego czarownika drugiego kręgu. Nie zdołałem dowiedzieć się niczego od moich kolegów ze szkoły w Karnaku ani w samej Aleksandrii. Trybun zażądał tego samego od wszystkich szkół i świątyń w prowincji.

Mistrz położył dłoń na ramieniu Ahmeta i posadził z powrotem na ławce.

- Nie jest to dla nas żadna ujma ani wyróżnienie Ahmecie. Wszystkie szkoły są w takiej samej sytuacji i wszystkie są z tego powodu równie niezadowolone. Niestety, nasza szkoła jest jedną z najmniejszych, mamy ograniczoną liczbę nauczycieli i uczniów. Nie mogę sobie pozwolić na wysłanie czeladnika ani nawet kogoś z bardziej zaawansowanych uczniów.

Tym razem Ahmet wstał i odepchnął ławę od stołu, nie zważając na uspokajające gesty mistrza.

- Więc wyślesz chłopca, dzieciaka, który ma mleko pod wąsem? Dobrze wiesz, że pójdzie do legionów, że będzie służył z ludźmi starszymi od niego o dziesięć czy dwadzieścia lat. Zginie, pochłonie go ogień czarów albo choroba...

Mistrz skinął tylko głową, śmiertelnie poważny. Ahmet opadł na ławkę, jakby nagle zabrakło mu sił.

- Mnie też żal tego chłopca. Lecz ze względu na problemy, jakie stwarzał, i ich konsekwencje dla szkoły, tak będzie lepiej dla nas wszystkich, może nawet i dla niego. - Mistrz pochwycił Ahmeta za ramiona. - Dobrze go wyuczyłeś, Ahmecie. Jego duch jest mocny, ma talent i bystry

umysł. Mam nadzieję, że się rozwinie, że rozkwitnie na obcej ziemi, wzmocni się i dojrzeje.

- Nie - odparł Ahmet przytłumionym głosem. - Zginie, jego ciało i umysł zostaną pożarte przez zaklęcia wrogów. Jego umiejętności pozwalają mu ledwie na postrzeganie prawdziwego świata, nie wspominając już o działaniu w nim. W legionach zostanie pokonany i spłonie jak pochodnia. Wysyłasz go na pewną śmierć.

To powiedziawszy, Ahmet wstał i szybko opuścił refektarz. Mistrz siedział jeszcze przez chwilę z pochyloną głową, a potem podniósł się i oddalił do swoich obowiązków.

KWIRYNAŁ, RZYM

V / hyatis potarła palcem niezaleczoną jeszcze ranę, która biegła tuż s.^ pod linią włosów. Kołysanie lektyki nieco jej to utrudniało, nie bardziej jednak niż kołysanie okrętu na pełnym morzu. Grube muślinowe zasłony lektyki szeleściły lekko na wietrze. Thyatis odsunęła jedną z nich. Za pierwszą zasłoną znajdowała się druga - delikatna, bawełniana tkanina zdobiona wzorami w delfiny i ośmiornice, która uniemożliwiała przechodniom zagłębienie do wnętrza maleńkiego sanktuarium. Ze wszystkich stron napływały dźwięki świadczące o tym, że największe miasto świata przygotowuje się do wolnego popołudnia. Thyatis poruszyła odruchowo nozdrzami, kiedy bryza przyniosła do niej woń jednego z nubijskich tragarzy, odór potu przemieszany z aromatem cynamonu.

Powinam iść pieszo, pomyślała ze złością. Nie jestem jakąś delikatną córką Palatynu, żeby nosili mnie jak stertę cegieł.

Zwalczyła irracjonalną pokusę, by odsunąć zasłony i wyskoczyć, na zewnątrz, i pozostała w lektyce. Przyglądała delikatną suknię opinającą jej smukłe, muskularne ciało i starała się przybrać niewinną, nic niemówiącą minę.

Lektyka zatrzymała się na moment, a niewolnik prowadzący grupę zastukał brązową gałką swej laski w rzeźbione dębowe drzwi domu. Thyatis dotknęła wąskiego sztyletu przymocowanego do wewnętrznej strony uda. Był na swoim miejscu, niewidoczny i gotowy do użycia. Drzwi otworzyły się szeroko, a lektyka ponownie ruszyła do przodu. Thyatis oddychała równo i spokojnie przez nos. Nie miała już czasu na zastanowienie.

To jest moja protektorka, pomyślała, a nie wróg w labiryncie miasta czy rekin w zielonych wodach wokół Thiry. Nic mi tutaj nie grozi. Nic mi nie grozi.

Odźwierni pomogli wysiąść Thyatis z lektyki. Dziewczyna, zaskoczona ogromem holu o wysokim, kopulastym sklepieniu, nie protestowała, gdy prowadzili ją po wielkich płytach nieskazitelnie białego marmuru. Płyty osadzone w suficie przedstawiały, podobnie jak zdobienia lektyki, delfiny, syreny, węgorze i rekiny. Przez turkusowe tafle umieszczone wysoko, na sklepieniu atrium wpadały do wnętrza strumienie błękitnego światła. Wydawało się, że powietrze skrzy się w tym niezwykłym blasku. Jasnokremowe ściany, na których opierało się sklepienie, pozbawione były jakichkolwiek ozdób. Na końcu holu, podświetlony ukośnymi promieniami popołudniowego słońca, spoczywał w swobodnej pozie monumentalny Posejdon z malowanego marmuru. Otaczały go nimfy i morswiny. Całość wspierała się na masywnym cokole, pokrytym kamiennymi falami.

A niech mnie, pomyślała Thyatis, to na pewno nie jest gospodarstwo ojca!

Otworzyła szerzej oczy, kiedy słudzy poprowadzili ją przez całe atrium, do tronu morskiego króla. Choć statua była trzy razy większa od normalnego człowieka, twórcy uczynili z niej prawdziwe arcydzieło. Czarne pukle kładły się na jego ramionach niczym najprawdziwsze włosy, blad różowa skóra lśniła życiem. Usta nimf kusiły soczystym różem, niczym najdelikatniejsze kwiaty.

- Wspaniałe, prawda? - rozległ się chropawy głos, przerywając pełną nabożnego podziwu ciszę. Thyatis obróciła się powoli, dostrzegając kątem oka, jak zgromadzeni wokół słudzy odsuwają się na bok i składają głęboką pokłon. Po prawej stronie posągu znajdowały się schody prowadzące pod szerokim łukiem do wewnętrznego ogrodu. Na najwyższym stopniu stała wysoka kobieta o kruczoczarnych włosach, które opadały luźno na jej plecy. Małe złote szpilki lśniły niczym gwiazdy na firmamencie tej głębokiej, naturalnej czerni. Lśniący, niebieska suknia z jedwabiu opinała ciało. Szyję oplatał wąski naszyjnik z pereł i czystego złota, nikiący w delikatnej ciemnej kotlinie między piersiami. Thyatisomal nie otworzyła ust ze zdumienia na widok tej oszałamiającej garderoby, w porę się jednak opamiętała. Sam jedwab potrzebny do uszycia tej sukni wystarczyłby do wykupienia całej Panonii. Pełne czerwone usta drgnęły w uśmiechu, a Thyatis próbowała przybrać obojętną minę, zrozumiałwszy, że jej reakcja jest aż nazbyt czytelna dla pary ciemnofioletowych oczu, które obserwowały ją spod powiek przyprószonych złotem.

- Chodź, moja droga, zapraszam cię do mojego ogrodu.

Kobieta odwróciła się, ukazując odsłonięte aż do samej talii plecy. Dłoń o długich, wypielęgnowanych palcach skinęła od niechcienia na jednego ze sług, a ten zniknął w błękitnym półmroku holu. Thyatis ruszyła za kobietą w dół schodów, podziwiając mimowolnie jej ruchy. Zdało się, że płynie, a nie idzie, i choć Thyatis uważała, że sama też umie

się poruszać, czuła się niezdarna w porównaniu z wyjątkowo wdzięczną gospodynią.

Za wysokimi, zdobionymi szklę drzwiami z brązu i srebra rozciągał się ogród podświetlony delikatnie blaskiem popołudniowego słońca. Nad dachami otaczających go budynków wznosiły się wysokie drzewa jarzębiny. Od otwartego nieba oddzielał ogród niemal niewidoczny baldachim z przezroczystej tkaniny, która zmieniała nieco barwę światła słonecznego. Przez nienagannie utrzymany trawnik płynął wąski strumień, którego bieg regulowały ułożone starannie kamienie. Strumień przecinała wykładana płytkami ścieżka prowadząca do altany okrywającej północną część ogrodu. Thyatis weszła na ozdobny drewniany mostek i przystanęła na moment, usłyszawszy nagle delikatny dźwięk strun harfy i szept lutni. Ogarnęła ją atmosfera błęgiego spokoju, ciepła i kusząca.

Czarnowłosa kobieta usiadła na sofie w altanie i gestem zaprosiła Thyatis do zajęcia miejsca na miękkich poduszkach ułożonych po drugiej stronie sofy. Tymczasem Thyatis nie mogła uczynić żadnego ruchu, oszołomiona i przytłoczona otaczającym ją przepychem.

- Siadaj, kochana. Krista przyniesie coś do jedzenia, a my sobie pogawędzimy.

Niski, niemal chrapliwy głos wyrwał Thyatis z odrętwienia. Wyteżywszy całą siłę woli, zmusiła się do podejścia do sofy i usiadła na miękkich poduszkach, krzyżując nogi.

Gospodyni roześmiała się wystudiowanym, lekkim śmiechem, przypominającym stukot letniego deszczu o dachówki. Ułożyła się wygodnie na sofie, opierając krągłe, białe ramię na poduszkach.

- Nic ci tutaj nie grozi, moja droga, jesteś pod moją ochroną i mi służysz. A ja nie krzywdzę sług, szczególnie tych, którzy robią dla mnie tak wiele. - Kobieta uśmiechnęła się, ukazując wdzięczne dołeczki w policzkach. Thyatis czuła, że mimowolnie poddaje się urokowi gospodyni.

- Przepraszam, że tyle mówię, ale na początek musimy sobie wyjaśnić kilka rzeczy - mówiła dalej gospodyni. - Jestem księżna Anastazja de'Orelia, dama rzymskiego miasta Parma. Ty jesteś Thyatis Julia z rodu Klodiuszy, do tej pory niczym się niewyróżniających rzymskich właścicieli ziemskich. Pracujesz dla mnie od pięciu lat, choć nigdy dotąd nie rozmawialiśmy ze sobą. Przepraszam, że tak długo zwlekałam z tym spotkaniem, choć w świetle prawa jesteś jednym z moich dzieci, ale uważałam, że tak będzie najlepiej.

Thyatis pochyliła głowę, by ukryć zdumienie. Nie wiedziała, że została zaadoptowana przez swoją pracodawczynię. Czuła smutek i ogromną ulgę zarazem. Wreszcie miała swoje miejsce na ziemi.

Anastazja roześmiała się ponownie, szczerze rozbawiona.

- Jesteś bardzo grzeczna jak na młodą kobietę o twoich umiejętnościach i pochodzeniu.

Księżna spoważniała, gdy Thyatis podniosła na nią wzrok. Srebrne łańcuszki złożone z setek maleńkich, perfekcyjnie ukształtowanych ogniw, zaszeleściły na jej nadgarstku, kiedy ogarnęła gestem ogród i budynek.

- To wszystko nie trafiło do głupca czy lekkoducha - powiedziała. - Zdobyłam to, bo umiałam... bo umiem szybko myśleć, jestem sprytna i mam bardzo dobrą pamięć.

Thyatis uśmiechnęła się mimowolnie, słysząc te słowa.

- Ach, wreszcie jest Krista. - Księżna skinęła głową.

Thyatis odwróciła się i ujrzała młodą kobietę przechodzącą właśnie przez mostek. Ubrana była w prostą, białą suknię, choć wykonaną z dobrego materiału i obwiedzioną pomarańczowym paskiem. Podobnie jak Thyatis była mocno opalona, a mahoniowe włosy zaplotła w warkocze. Na pierwszy rzut oka zdawało się, że ma oczy i usta księżnej, lecz Thyatis szybko zrozumiała, że te dwie kobiety nie są spokrewnione. Dziewczyna była niewolnicą, o czym świadczyła wąska, wykładana klejnotami opaska na jej szyi i uniżone zachowanie. Niosła dużą brązową tacę z serem, owocami i chlebem. Ukłoniwszy się wdzięcznie, postawiła tacę przed księżną i uklękła na trawie. Potem zdjęła pokrywki z dwóch glinianych naczyń zawierających dżem i świeże masło. Thyatis uświadomiła sobie nagle, że jest bardzo głodna. Wezwanie od niewidzianej dotąd pracodawczyni nadeszło o świcie, i pochłonięta gorączką przygotowała Thyatis zapomniawszy całkiem o śniadaniu.

- Kristo, spójrz na tę młodą damę i powiedz mi, czy można ją uczynić jeszcze bardziej atrakcyjną niż jest teraz.

Krista milczała przez chwilę, przygotowując chleb i masło, które umieściła na porcelanowej tacy i podała najpierw księżnej, a potem Thyatis; księżna przyjęła tylko jedną kromkę, Thyatis ograniczyła się do dwóch. Potem niewolnica przysiadła na piętach i otaksowała Thyatis spojrzeniem brązowych oczu.

- Cóż, piersi są wystarczająco duże... - zaczęła.

Thyatis wciąż zgrzytała zębami ze złości na myśl o beznamietnych komentarzach niewolnicy, kiedy jakiś czas później opuściła łaźnie znajdujące się pod rezydencją księżnej. Nim się tam udała, musiała słuchać w milczeniu, jak Krista wymienia wszystkie jej oczywiste i mniej oczywiste braki, co czyniła ku uciesze swej pani i przy jej wyraźnych zachętach. Po długiej dyskusji, podczas której Thyatis czuła się jak pozbawiony uczuć i rozumu kawał mięsa, obie kobiety doszły wreszcie do konkretnych wniosków. Anastazja poleciła Kriście, by ta zaprowadziła jej gościa do łaźni i przygotowała na wieczorne spotkanie. Gdy tylko wyszły z ogrodu, Thyatis miała ogromną ochotę kopnąć przemądrzałą dziewczynę pod kolana, pochwycić ją za włosy i przywalić kilka razy jej śliczną twarzączką o najbliższą marmurową kolumnę. Była to bardzo

kuszająca perspektywa, i choć z pewnością poprawiłaby jej humor, Thyatis zdolała się jakoś powstrzymać i znosiła zabiegi łaźiebnych w ponurym milczeniu.

Później ponownie dołączyła do nich Krista, która ułożyła jej fryzurę i natarła twarz, ręce i ramiona delikatnymi olejkami i proszkami. Wprawne palce służącej dokonywały cudów, a Thyatis musiała w końcu przyznać, że dzięki tym zabiegom i pachnącej, ciepłej wodzie pozbyła się napięcia, które towarzyszyło jej przez cały dzień. Przynajmniej mam piersi, które widać, gderała w myślach, kiedy służące wkładały na nią prostą zieloną suknię i biżuterię. Jedna z nich przyniosła lustro, a Thyatis była szczerze zdumiona tym, co w nim ujrziała. Może jednak coś w tym jest, pomyślała.

Kiedy służące zostawiły ją na chwilę samą, przysiadła na szerokiej ławie pod oknem. Otaczały ją aksamitne poduszki obszyte na brzegach perłami, lecz kamień pod jej dłońmi wciąż był zimny. Z okna rozciągał się widok na dachy domów otaczających strome wzgórze, tu i ówdzie w przedwieczornym mroku błyskały czerwone plamki ognia. Na niebie gasły powoli ostatnie ślady zachodzącego słońca.

Zupełnie jak Tera o zmierzchu, pomyślała, wspominając szkołę, w której pracowała przez cztery lata. Przez chwilę ogarnął ją ogromny smutek i poczucie pustki, zateśniła za błękitnymi wodami morza otaczającego tamtą wyspę i prostym życiem za marmurowymi murami szkoły. Wzięła między palce skrawek zielonej sukni, dziwiła się miękkości grubej, kosztownej tkaniny. Alusnęła czubkami palców złoty naszyjnik i osadzone w nim klejnoty.

Ta suknia kosztuje więcej niż cały majątek ojca, pomyślała, wracając do ponurych wspomnień, a jej oczy zaszyły łzami. Bransoletki i pierścienie, które miała teraz na rękach, wystarczyłyby w zupełności na wykupienie jej braci i sióstr. Dlaczego uciekłam? - zawodziła w myślach. . j

Poderwała raptownie głowę, gdy poczuła czyjś dotyk na ramieniu, i ujrziała przed sobą brązowe oczy Kristy.

- Niech pani nie płacze - wyszeptała zatroskana dziewczyna. - Zniszczy pani makijaż.

Thyatis skinęła głową i wstała. Niewolnica sprawdziła jeszcze raz jej fryzurę, poprawiła suknię i wtarła w twarz ostatnią warstwę pudru. - Proszę iść za mną, księżna czeka.

Thyatis podniosła wreszcie głowę znad opróżnionych naczyń. Talerze i misy z chińskiej porcelany lśniły w blasku lamp zawieszonych nad stołem, niebieskie i złote wzory wypęły spod resztek pieczonej kuropaty, nadziewanych orzesznic, trzech rodzajów smażonych ryb, dwóch rodzajów sałaty i pozostałości całej armii owoców pociętych na plasterki i posypanych cukrem. Thyatis zamknęła na moment oczy i syciła się subtelnym smakiem przypraw w kremie, który właśnie zjadła.

Po drugiej stronie stołu Anastazja obrała ze skóry śliwkę i pocięła ją na cienkie plasterki ostrą krawędzią paznokcia. Księżna uśmiechnęła się czule do Kristy, która klęczała u jej boku. Nie odrywając spojrzenia od Thyatis, karmiła dziewczynę plasterkami owocu, wkładając je, jeden po drugim, do jej ust. Thyatis zadrżała, czując na sobie spojrzenie fioletowych oczu. Czowała się osamotniona i miała wrażenie, że zagraża jej jakieś nieznanne niebezpieczeństwo. Ziewając, przeciągnęła się i poprawiła na poduszkach, tak by wysunąć przed siebie prawą nogę. Oparła rękę na prawym udzie, tuż obok noża, który udało jej się ukryć i zatrzymać przy sobie pomimo wszystkich zabiegów Kristy i jej pomocnic.

Anastazja skończyła wreszcie ze śliwką i czekała w milczeniu, aż służąca umyje jej dłonie i osuszy je miękkim ręcznikiem. To uczyniwszy, dziewczyna zebrała talerze i opuściła pokój. Gdy brzęczenie naczyń całkiem ucichło w oddali, księżna wstała i podeszła do niskiego muru oddzielającego taras od zewnętrznych murów wieży. Thyatis znów zmieniła pozycję i podciągnęła nogi pod siebie. Przez dłuższą chwilę księżna stała nieruchomo przy barierce, patrząc na dachy własnego domu, ogród i stajnie.

Dom znajdował się na zboczu Kwirynału, wyniesiony ponad inne budynki przez naturę i ludzi. Poniżej rozciągało się miasto zbiegające ku brzegom Tybru. Ognie Forum płonęły po jego lewej stronie, za gmachami mauzoleów i świątyń. Pozostałe wzgórza miasta skrzyły się światłem lamp, ognisk i pochodni. Wreszcie księżna zasunęła zasłony, zamykając mały taras jadalny ustawiony na szczycie najwyższego budynku w posiadłości - szeroki ledwie na siedem kroków pokój letni wyłożony drewnem o dachu pokrytym dachówką, gdzie ze ścian wyrastały uchwyty z czarnego żelaza, w których mocowano lampki i pochodnie. Pomimo letniej pory do wnętrza wdzierał się zimny, nieprzyjemny wiatr. Anastazja ponownie uklękła przy stole i naląła wina najpierw sobie, a potem Thyatis.

- Miasto wydaje się teraz takie puste - powiedziała spokojnym, wolnym od troski głosem. - Zaraza zabrała wielu ludzi. - Przerwała na moment. - Oczywiście najbardziej ucierpieli najbiedniejsi, a stało się to, nim przybyłaś do miasta. - Księżna pociągnęła łyk wina. - Byłam wtedy świeżo po ślubie, a księżę przywiózł mnie do miasta ze swoich posiadłości na północy. Chciał zobaczyć teatr i porozmawiać z przyjaciółmi w urzędach. - Znów łyknęła wina. - Umarł, kiedy nadeszła ta straszliwa choroba, przy której człowiek nie przestaje kaszleć. Nie, to było później. Musiał umrzeć od tej, przy której ciągle się pije, a ciało i tak niczego nie zatrzymuje. Tak, on umarł w nocy, nie za dnia.

Thyatis siedziała nieruchomo, wodząc za księżną oczami niczym drapieżny ptak. Księżna mówiła powoli, od niechcenia, słowa jakby same spływały z jej ust.

- Nieważne. Tak czy inaczej zdarzyło się to, zanim przybyłaś do miasta. No, moja droga, napij się ze mną.

Thyatis podniosła kubek do ust, zwilżyła je jednak tylko ciemnoczerwonym płynem.

- Przypominam sobie, jak pojawiłaś się tutaj po raz pierwszy - mówiła Anastazja, uśmiechając się lekko.

Thyatis z trudem ukryła grymas zdumienia. Sama niewiele pamiętała z tego pierwszego dnia - tylko oślepiające słońce, trzask bicza, chrapliwe okrzyki, obezwładniający strach i smak krwi w ustach.

- Byłaś w grupie z dwudziestoma czy trzydziestoma innymi ludźmi z prowincji, miałaś ręce związane na plecach. Wyglądałaś jak strzęp człowieka, wychudła dziewczynka w poszarpanych łachmanach; jedno - z dziesiątek dzieci sprzedanych w niewolę, by rodzina miała czym spłacić długi. Miałaś ładne włosy, choć wtedy były oczywiście brudne i nieuczesane. Miałaś też silne nogi i widać było, że jeszcze się nie poddałaś. To chyba właśnie uderzyło mnie najbardziej - byłaś w niewoli od tak niedawna, że nie zostałaś jeszcze napiętnowana, a w twoich oczach wciąż płonęła wola życia.

Thyatis potrząsnęła lekko głową, wracając z odległych ponurych wspomnień do rzeczywistości. Wykorzystując tę chwilę nieuwagi, Anastazja przeszła na drugą stronę stołu i uklękła przy jej boku. Thyatis zastygła w bezruchu, choć najchętniej zerwałaby się na równe nogi i uciekła.

- Teraz wyglądasz znacznie lepiej - mówiła księżna, odgarniając Thyatis włosy z policzka i skroni. - Ktoś wreszcie o ciebie zadbał. - Anastazja wstała i wróciła na swoją stronę stolika. Usiadła, wyprostowana, i przemówiła rzeczowym tonem: - Mam dla ciebie pracę. - Zamilkła, zastanawiając się nad czymś przez moment, potem kontynuowała: - Państwo wkroczyło w bardzo trudny okres. Cesarz siedzi spokojnie na swoim tronie w Rzymie, upokorzywszy wszystkich wrogów na Zachodzie. Ludzie odzyskali choć po części wiarę i ducha, które utracili podczas zarazy i wojen domowych. Mamy wystarczająco dużo monet, a prowincje znów zaczynają przynosić zyski. Pomimo wielu katastrof, jakich doświadczyliśmy przez ostatnich trzysta lat, cesarstwo przetrwało, a teraz nawet całkiem nieźle prosperuje. To bardzo niebezpieczny okres dla senatu i narodu rzymskiego.

Thyatis uniosła brwi, zdumiona tym ostatnim stwierdzeniem. Anastazja skinęła potakująco głową i uśmiechnęła się lekko.

- Najgorsze klęski dotykały Rzym zawsze za panowania tych cesarzy, którzy nie mieli żadnych palących problemów. To właśnie w takich czasach, kiedy przyszłość wydaje się piękna i różowa, wielkie plany i wizje zakłócają normalne funkcjonowanie i utrzymanie ogromnego państwa rozciągającego się na przestrzeni tysięcy mil, od ciemnych lasów Brytanii do piasków Afryki. Doświadczenie pokazuje, raz za razem, że nieposkromiona pycha cesarza, poszukiwanie jakiegoś nieokreślonego przeznaczenia, to droga do pewnego zatracenia. Teraz właśnie znajdujemy się w takim punkcie historii, który doprowadził do zguby boskiego Ce-

zara, wielkiego Trajana czy pierwszego Aureliana. Przypomina to wciąż powracającą falę.

Anastazja znów zamilkła na chwilę, odgarnęła do tyłu włosy i przewiązała je wąską tasiemką z granatowego jedwabiu. W bladym świetle lampek i blasku księżyca, który zaglądał do pokoju przez szparę między zasłonami, wydawała się zmęczona, jakby przygnieciona jakimś ogromnym ciężarem. Zwiąawszy włosy, ułożyła się ponownie na poduszkach.

- Jeśli taka jest wola bogów, my, śmiertelnicy, nic nie możemy na to poradzić. Jeśli jednak to działanie ludzi, wynikające z ich próżności czy pychy, śmiertelna kobieta może wiele zdziałać. Jest wiele rzeczy, których mogę dokonać. Są także rzeczy, których możesz dokonać ty. - Anastazja mówiła niskim, przyciszonym głosem, który odbijał się echem od spiczastego dachu pokoju. - Służę cesarzowi, choć nie mam żadnego urzędu. Wszyscy, którzy mnie służą, służą także jemu, a poprzez niego samemu cesarstwu. Działamy poza ograniczeniami narzuconymi przez prawo, dzięki czemu możesz robić to, co zrobiłaś choćby ostatnio w dzielnicy farbiarzy. Znam cesarza od wielu lat i jestem mu całkowicie oddana. A jednak...

Przerwała i usiadła prosto. Thyatis odstawiała kubek z winem i podniosła na nią wzrok.

- Co wiesz o cesarzu i jego braciach? - spytała Anastazja

Thyatis wzruszyła ramionami.

- To samo co wszyscy. Galen jest cesarzem i bogiem. Jego młodszy bracia, Aurelian i Maksjan, to jego prawa i lewa ręka, niosą jego władzę do najdalszych zakątków cesarstwa. Za jakiś czas, kiedy Galen umrze, Aurelian zajmie jego miejsce i sam zostanie bogiem. Można przypuszczać, że Maksjan nadal będzie mu wiernie służył.

Anastazja westchnęła i pokręciła głową.

- Tego chyba właśnie powinnam się spodziewać. Pozwól, że opowiem ci o nich co nieco: Marcjusz Galen Atreusz jest naszym cesarzem i bogiem. Jest cesarzem Zachodu, jak ustanowił boski Dioklecjan, gdy cesarstwo zostało podzielone na dwie części. Nie wiem, czy uczyłaś się historii, ale podziału tego dokonano ze względu na problemy z zarządzaniem imperium spowodowane jego ogromnymi rozmiarami. Galen jest synem gubernatora, Sekstusa Wariusza Atreusza, który przez długi czas zarządzał Galią Narbońską w południowej Galii. Podczas ostatniej wojny domowej Galen i jego bracia z powodzeniem dowodzili hiszpańskimi i afrykańskimi legionami: pokonali innych pretendentów do tronu, Vatrixa i Lucjusza Nigra, zajęli Rzym i przegnali Franków i Gotów. - Anastazja zrobiła krótką pauzę i westchnęła. - Nawet straszliwe wydarzenia mogą przynieść dobre skutki. Zaraza, która zabrała tylu dobrych Rzymian, przetrzebiła także plemiona frankijskie i gockie. Księstwa za Renem urosły w siłę na tyle, by powstrzymać postępy plemion zamieszkanych dalej na wschód. Galen miał wiele szczęścia w bitwie o władzę.

Uważam, że jest mądry i sprytny. Wydaje się, że rozumie mechanizmy rządzenia równie dobrze jak wszyscy inni cesarze, którzy dzierżyli władzę w ciągu ostatnich dwustu lat. Fakt, że ma dwóch zdolnych braci, którzy do tej pory nie zawiązali przeciw niemu spisku, także dobrze wróży jego przyszłości.

Aurelian Oktawian Atreusz jest młodszy. Odważny młodzieniec, choć w bitwie jego brawura graniczy z lekkomyślnością; niektórzy powiedzieliby, że to cecha idealnego dowódcy kawalerii. Kochany przez swego starszego brata. Wierny Galenowi i imperium. To on będzie naszym następnym cesarzem, bo Galen nie ma jeszcze żadnych dzieci. Aurelian ma natomiast już całkiem sporą gromadkę pociech, a wszystkie są silne jak konie i bardzo podobne do swego taty. - Anastazja ponownie umilkła i pociągnęła spory łyk wina. Wieczorna bryza rozchyliła nieco zasłony, księżna wstała więc i zasunęła je z powrotem. Wcześniej jednak wciągnęła w płuca świeże, wieczorne powietrze i nasłuchiwała przez moment bicia dzwonów i gongów dochodzącego z pobliskiej świątyni.

- Spójrz - powiedziała - kapłanki Astarte witają księżyc.

Thyatis przyklękła na poduszkach obok swej pracodawczyni i wyjrzała na zewnątrz. W oddali, przy północno-wschodnim krańcu Forum Romanum, zapłonęły setki świec, rozświetlając kopuły świątyni Astarte. Pozostała część dzielnicy była cicha i ciemna, nad wzgórzami wznosił się już jednak złoty księżyc, a na ciemnym niebie pojawiały się, jeden po drugim, jasne punkciki gwiazd.

- Ach... - westchnęła Anastazja. - Pięknie jak zawsze. - Położyła dłoń na ramieniu Thyatis. Młodsza kobieta zdrząła lekko pod jej władczy dotyk. Anastazja od niechcienia gładziła jej włosy. Thyatis z ponurą miną znosiła te pieszczoty, choć instynkt nakazywał jej zerwać się z poduszek albo uderzyć kantem dłoni.

Tymczasem księżna mówiła dalej:

- Aurelian to cesarz, o jakim chcieliby śpiewać trubadurzy: szlachetny, śmiały, przystojny, dobrotliwy dla dzieci i szarmancki wobec kobiet, a do tego obdarzony pięknym głosem. Niestety, nie jest to najlepszy cesarz dla nas, dla państwa, dla senatu i ludu. Wiesz dlaczego, moje dziecko?

Thyatis, której chwilowo odebrało mowę, pokręciła tylko głową. Anastazja zsunęła jedwab sukni z jej ramion. Przeciągała czubkami palców po plecach młodszej kobiety, przyprawiając ją o dreszcze i gęsią skórkę. Część umysłu Thyatis przerażona była intymnością tego dotyku, część buntowała się przeciw niemu. Mimo to pozostała nieruchoma, choć jej lewa ręka sięgnęła między uda, do ukrytego tam sztyletu.

- A to dlatego, że ma mniej rozumu niż którykolwiek z jego ukochanych koni. - Księżna westchnęła. - Jestem pewna, że nie zajmowałby się sprawami państwa i przekazałby te nudne obowiązki doradcom, a sam szukałby przygód i chwały w bitwach. Zginąłby na jakimś błotnistym

polu, przeszyty zabłąkaną strzałą albo zrzucony przez zranionego konia, a może umarłby złożony chorobą pod jakimś frankijskim miastem. Wstań, moja droga.

Anastazja wstała, trzymając Thyatis za rękę, ta zatem musiała wstać wraz z nią. Rozpięta suknia Thyatis zsunęła się i opadła na podłogę u jej stóp. Księżna uśmiechnęła się ponownie. Wieczorna bryza znów zakradła się do wnętrza pokoju i zgasiła wszystkie lampy, pozwalając, by nagie ciało młodej kobiety oświetlał jedynie delikatny blask księżycy.

- Nie - kontynuowała księżna - Aurelian się do tego nie nadaje. Ale trzeci z braci, Maksjan Juliusz Atreusz, to młodzieniec z potencjałem. Potencjałem, który może uczynić zeń doskonałego cesarza. Jest młody i lubi to, co większość młodych mężczyzn... myślę, że bardzo mu się spodoba.

Thyatis zadrżała wreszcie, jakby uderzona. Księżna, widząc jej przeżalenie, roześmiała się lekko.

SZKOŁA PTHAMESA

Dwyrin znów obudził się w półmroku, lecz tym razem u stóp jego łóżka nie było człowieka z głową ptaka. Półmrok przecinały snopy łagodnego, żółtego światła. Tuż po przebudzeniu Dwyrin widział pasma błyszczącej czerwieni i błękitu, oplatające futrynę, biegnące wzdłuż grubych drewnianych belek pod sufitem i ślizgające się po obrzeżach bawełnianego koca. Zamrugał powiekami i kolorowe światło zniknęło, a kamienie i belki znów nabrały wyraźnych kształtów.

Dwyrin wstał przekonany, że zaraz skrzywi się z bólu, nie czuł jednak żadnych dolegliwości. Ogarnął go dziwny spokój, jakby otworzyła się w nim głęboka studnia, a jej wody płynęły przez jego członki. Rozejrzał się dokoła: oprócz łóżka w pokoju znajdowały się niski stolik i dwa kufry z ciemnego, wypolerowanego drewna i brązu. Na ścianach wisiały zwoje przedstawiające portrety gwiazd, przeróżne zwierzęta i symbole magiczne.

Pokój mistrza, pomyślał Dwyrin. Żaden z uczniów nie miał własnego pokoju. Co się ze mną stało? Czuł chłód kamieni pod stopami. Obejrzał swe ręce, potem brzuch. Pamiętał płomienie, trawiący go ogień. Nie widział jednak żadnych śladów, żadnych znaków tego, co podpowiadała mu pamięć. Gdy nagle zaburczało mu w brzuchu, uświadomił sobie, że jest okropnie głodny.

Znalazł swoją tunikę i pasek pod łóżkiem. Odziewszy się, wyszedł na korytarz. Jak ja teraz dostanę śniadanie? - myślał. Sądząc po pozycji Re

na niebie, wszyscy dawno już jedli. Kucharze mają na mnie oko i nie pozwolą mi wynieść niczego z kuchni.

Dwyrin stał w półmroku holu i myślał z goryczą o tym, że wśród jego kolegów nie było nikogo, kogo mógłby nazwać przyjacielem i kto zechciałby mu pomóc w tej trudnej sytuacji. Kiedyś takim przyjacielem był dlań Patroklos, ale żart z pszczołami położył kres ich zażyłości. Dwyrin pokręcił głową, próbując odegnąć ciemne myśli. Mógłbym po prostu poczekać, doszedł do wniosku. Nie, jestem zbyt głodny.

Stąpając cicho po zimnych kamieniach dotarł do końca korytarza i wyrzął do ogrodu. Za ceglanym murem okalającym ogród znajdował się budynek kuchni, a za nim sypialnia uczniów. Dwyrin rozejrzał się uważnie dokoła, a potem zbiegł po drewnianych stopniach do ogrodu. W ogrodzie panował błogi spokój, ciszę słonecznego poranka zakłócało jedynie jednostajne brzęczenie pszczoł i much. Dwyrin przemknął wzdłuż żywopłotu do tylnej części ogrodu. Tutaj mur pokryty był białym tynkiem, po którym pięł się bluszcz i pędy róży. Dwyrin cofnął się o krok, mierząc spojrzeniem mur i zastanawiając się, jak go przeskoczyć. Gdy uczynił kolejny krok do tyłu, wpadł na jakiegoś człowieka, który położył mu dłoń na ramieniu. Chłopiec zamarł w bezruchu, a dłoń bez trudu obróciła go w miejscu. Dwyrin ujrzał przed sobą szczupłego starszego mężczyznę, ledwie dorównującego mu wzrostem, odzianego w prostą białą spódnicę i tunikę. Nie miał żadnego nakrycia głowy, a jego oczy kryły się pod wielkimi, krzaczastymi brwiami. Starzec uśmiechnął się, a jego brązowa skóra pomarszczyła się jak pergamin.

- Dwyrinie, cieszę się, że wreszcie mogę cię poznać. Jestem Nefet. Na pewno zgłodniałeś po tym wszystkim, co cię spotkało. Chodź ze mną.

Starzec nie zaciskał mocno dłoni, którą trzymał na ramieniu Dwyrina, ten jednak czuł, jak prowadzi go pewnie i nieustępliwie przez ogród, a potem na parter budynku, w którym mieściły się kwatery mistrzów. Gdy weszli do korytarza, dojrzał Ahmeta, który wbiegł właśnie do ogrodu i rozglądał się dokoła zatroskany.

KUMĘ, NAD ZATOKĄ NEAPOLITAŃSKĄ

SM aksjan pięł się powoli drogą łączącą plażę z Domem Letnim jego brata. Niegdyś była to tylko kamienista ścieżka, pełna uskoków i ostrych zakrętów, teraz jednak została wyrównana i wyłożona płytkami. Od strony morza wzdłuż szlaku ciągnął się niski murek ułożony z kamieni, a wycięte ze skały uchwyty podtrzymywały lampy i pochodnie oświetlające drogę w nocy. Z każdym krokiem młody ksią-

zę stawał się coraz bardziej przybity. Niegdyś wspinaczka w górę zbrocza była przygodą, teraz stała się miłą, przedwieczorną przechadzką. Wszystkie tajemnicze zakątki czy zarośla, w których kryła się dzika zwierzyna, zniknęły, zostały wygładzone rękami niewidzialnych ogrodników i kamieniarzy. Nawet plaża wydawała się spokojniejsza, piasek jakby sam układał się w miły dla oka wzór.

Dotarli do ostatniego zakrętu, księżę przystanął i odwrócił się, by spojrzeć na małą zatoczkę. Turkusowe fale migotały wesoło w blasku południowego słońca. Ze szczytu urwiska sieć zamykająca wejście do zatoki była niemal zupełnie niewidoczna, jej obecność zdradzał tylko czasem promień słońca odbity od podtrzymujących ją boi. Maksjan dotknął poszarpanej krawędzi tuniki, czując pod palcami pył miasta. Przetłuszczone włosy przylegały płasko do jego głowy. Na twarzy nosił gęsty, trzydniowy zarost.

Roześmiał się cicho, uświadomiwszy sobie nagle, dlaczego rybacy pilnujący zatoki tak mu się przyglądali; zapewne mocno ich zdumiał widok cesarskiego brata wpływającego do ukrytej zatoki Domu Letniego w starym, przeciekającym keczu. Rozpoznali go, ale byli zapewne przekonani, że wraca z jakiejś wielodniowej popijawy. Spowaźniał nagle, uświadomiwszy sobie, że roześmiał się właśnie po raz pierwszy od chwili, gdy opuścił dom umarłych w Ostii.

- Panie? - odezwał się łagodny, wręcz delikatny głos za jego plecami. Maksjan odwrócił się powoli, odruchowo przyglądając brudne włosy. Przy jego boku stała drobna kobieta z włosami związanymi w kok, ubrana w prostą suknię zdobioną delikatnym czerwonym i zielonym haftem. Jej twarz, pomarszczona jeszcze bardziej niż zwykle, wyrażała głęboką troskę. - Dobrze się czujesz?

- *Domina*. - Ukłonił się i uśmiechnął, widząc, jak kobieta wyciąga do niego rękę. - Nie, niezupełnie. A jak się miewa mój brat?

- Jest wielce zatroskany, mój panie. Twój wygląd każe mi przypuszczać, że nic o tym nie słyszałeś, ale twoi bracia narobili ogromnego zamieszania, gdy szukali cię po całym kraju. Jestem przekonana, że wszyscy pretorzy i gubernatorzy między Genewą i Syrakuzami zajmują się teraz wyłącznie tą sprawą.

- Hm... - mruknął Maksjan, zaskoczony nieco tymi wieściami. - Od dawna mnie szukając

- Przez ostatnie dziesięć dni. Co chwilę przybywają nowi posłańcy, przynosząc wieści, że... nie zostałeś odnaleziony, panie.

Maksjan podrapał się po głowie, wydobywając spomiędzy włosów maleńkie ziarenka piasku.

- Nie wspominali zapewne, dlaczego chcą ze mną rozmawiać?

Gospodyni pokręciła głową, a w jej niebieskich oczach pojawiła się iskra rozbawienia.

- Ani słowem.

Książę podrapał się tym razem po brodzie, równie brudnej jak włosy.

- No cóż, powinienem pewnie pójść do nich i ulżyć ich stroskanym umysłom. Gdzie będą dziś po południu?

Domina odwróciła się i spojrzała przez ramię.

- Tam gdzie zawsze, kiedy są razem - odparła i zaczęła iść w górę ścieżki prowadzącej wzdłuż urwiska.

Maksjan doszedł do wniosku, że będzie musiał poczekać z kąpielą. Niepewnym krokiem ruszył przez starannie przystrzyżone trawniki okalające dom, w którym się wychował. Obłożony marmurem i granitem budynek prawie w niczym już nie przypominał tego, który Maksjan zapamiętał z dzieciństwa.

Korytarze w zajmowanej przez służących części Domu Letniego były puste i ciche. Kiedy Maksjan przechodził obok wejścia do ogromnej kuchni, dojrzał kilkunastu muskularnych mężczyzn jedzących śniadanie złożone ze świeżego chleba, oliwek i sera. Żaden z nich nie podniósł nań wzroku, kiedy przechodził obok, trzymając buty w ręce. Dotarłszy na drugą stronę korytarza, otworzył drzwi do wąskiej, ciasnej klatki schodowej, poprzedniczki ogromnego mechanizmu „ruchomych schodów” Aureliana. Ciemna przestrzeń pod schodami, w której kryły się koła zębate, przekładnie i ławy dla niewolników, była teraz pusta. W rezydencji nie przebywał obecnie żaden zagraniczny gość czy dygnitarz, któremu można by zaimponować tym niezwykłym wynalazkiem. Maksjan skorzystał więc ze zwykłych schodów, a gdy znalazł się już na górze, włożył buty.

Za czasów jego dzieciństwa pierwsze piętro Domu Letniego było królestwem ich matki, pełnym kobiet, dzieci, krosien, wiader i bezustannej krzątaniny. Choć psy i inne zwierzęta nie miały tu wstępu, cały ten poziom wypełniony był ogromną energią. Teraz jednak układ przestrzenny pierwszego piętra został zmieniony, po wyburzeniu ścian miejsce mniejszych pokoi i korytarzy zajęły wielkie sale o podłogach wyłożonych ciemnym drewnem i ścianach pokrytych niezliczonymi malowidłami. Maksjan przechodził przez kolejne sale wypełnione meblami, ubraniami i martwymi oczami malowanych postaci i z każdą chwilą czuł coraz większy niepokój. Wydawało mu się, że ze wszystkich stron, ścian, podłóg i sufitów sączą się szepty umarłych. Z dala dobiegł go jakiś dziwny głos, jakby szczekanie psa. Odwrócił się gwałtownie do tyłu.

Nic. Potrząsnął głową, by odegnać upiory.

Dotarłszy do drzwi, za którymi znajdowała się jedyna niezmienną część domu, przystanął, by oczyścić umysł. Medytacje Asklepiosa przynosiły ukojenie, pozwalały mu się wyciszyć. Wyciągnął przed siebie rękę, poruszył palcami. Powoli, z ledwie słyszalnym szmerem, brud, sadza i zaschnięty pot, które towarzyszyły mu przez ostatnie dni, podniosły się z jego ubrań, włosów i ciała. Gdy zacisnął dłoń w pięść, wirujący ob-

łok kurzu i brudu zbił się w twardą, czarną kulę. Maksjan wziął ją z powietrza i schował do skórzanej torebki, którą nosił u pasa. Potem wziął głęboki oddech i zapukał lekko w futrynę.

- Wejść! - krzyknął ktoś po drugiej stronie, a Maksjan otworzył ciężkie drzwi z drewna sandałowego.

Jego bracia podnieśli nań wzrok: Galen - szczupły i żyłasty, gładko ogolony, z krótko przystryżoną fryzurą, nieco już rzednącą na skroniach; Aurelian - wysoki i barczysty, z gęstą ciemnorudą brodą. Galen skrzywił się, ujrawszy swego zaginionego brata, i pokręcił głową. Aurelian wydawał się zaskoczony i uradowany zarazem. Maksjan potarł zarośniętą brodę i zszedł ze stopni prowadzących do wnętrza pokoju map. Jak zawsze panował tutaj nieopisany bałagan, niezliczone zwoje i płachty pergaminu leżały obok dzbanów z winem, ksiąg i woskowych tabliczek do pisania. Oprócz tego jednak w pokoju znajdowały się jeszcze dwie nowe rzeczy.

Pierwszą był ogromny stół, a właściwie mapa w formie stołu; środkowy blat wraz z rozłożonymi skrzydłami ukazywał całe imperium wyłobione w drewnie i starannie pomalowane. Wszystkie krzesła, sofy i ławy zostały odsunięte pod ścianę, by zrobić mu miejsce. Drewniana powierzchnia stołu przedstawiała niemal cały znany świat - od lodowatej Skanii na północy do jałowej Mauretanii na południu, od Wyspy Psów na zachodzie do najdalszych zakątków bogatych w jedwab Chin na wschodzie. W kilku miejscach leżały maleńkie sześciany i piramidy z czerwonej gliny, przy czym większość otaczała wielkie miasta portowe: Ostię, Konstantynopol i Aleksandrię.

Cesarz, ubrany w czerwoną koszulę i szare bawełniane spodnie podobne do tych, jakie nosili hibernijscy barbarzyńcy, stał przy wschodnim wierzchołku stołu, z rękami opartymi na biodrach. Po drugiej stronie mapy, za Hiszpanią i maleńkimi, pomalowanymi na niebiesko falami Oceanu Atlantyckiego, zajmował miejsce Aurelian, siedzący z podwiniętymi nogami na wysokim stołku. Jedną rękę trzymał nieruchomo ułożoną na kolanie, drugą bawił się od niechcienia widelczykiem z kości słoniowej.

- Jakież problemy? - spytał niepewnie Maksjan, sadowiac się na niskim krześle ustawionym obok Afryki. Teraz, gdy poczuł się wreszcie bezpieczny, ukryty przed światem w przytulnym wnętrzu gabinetu ojca, opadło go ogromne zmęczenie. - Podobno szukaliście mnie. Prawdę mó-

twiac, nie przypominam sobie, bym winien był któremuś z was znaczącej sumy... - mówił Maksjan, uśmiechając się cierpko.

- Pieniądzy mamy dość! - warknął Galen. - Brakowało nam za to niesforne go młodszego brata, który ma pewne wielce przydatne umiejętności. Brata, który sądząc po wyglądzie, tarzał się w rynsztoku w towarzystwie Bachusa. - Cesarz przechadzał się szybko wzdłuż stołu, wykonując nerwowe i energiczne gesty.

Maksjan spojrział nań ze zdumieniem: od dawna już nie widział swego brata w takim stanie.

- Na bogów, bracia, mamy wojnę?

Aurelian roześmiał się głośno, odrzucając głowę do tyłu i błyskając białymi zębami.

- Ach, zepsułeś całą zabawę, bracie cesarzu! Nasza mała mysz ma zbyt bystry wzrok, by nie dojrzeć, co się z tobą dzieje.

Aurelian zeskoczył ze stołka i lawirując między porozrzucanymi na podłodze zwojami, podszedł do dzbana z winem. Galen, zaskoczony nieco domyślnością brata, podrapał się nerwowo po głowie, a potem przeszedł na drugą stronę pomieszczenia, gdzie na kamiennym podeście spoczywała druga nowa rzecz - okrągły przedmiot przykryty kawałkiem ciężkiego wełnianego materiału. Cesarz zdjął przykrycie, odsłaniając jakiś lśniący talerz czy też tacę pokrytą tysiącami maleńkich znaczków.

- Wiesz, co to jest? - spytał cesarz, starannie składając materiał w coraz mniejsze kwadraty.

- Prawdę mówiąc, nie - odparł najmłodszy książę. Pociągnął łyk z pucharu, który podał mu przed momentem Aurelian, zakrzuszył się i wypluł wino na podłogę. - Faj! To jest paskudne!

Spojrzął gniewnie na Aureliana, który z upodobaniem sączył wino z własnego pucharu.

- Znasz się na winie jak osioł...

- To jest *telecast* - przerwał mu cesarz, ignorując sprzeczkę braci. - Jest bardzo stary, starszy od faraonów. Do Rzymu przywiózł go z Egiptu republikański generał Scypion, kiedy był gubernatorem tej prowincji. Pozwala jasnowidzowi obdarzonemu prawdziwą mocą widzieć rzeczy odległe o tysiące mil, a nawet rozmawiać z innymi ludźmi, którzy dysponują takim samym urządzeniem. - Cesarz był teraz bardzo spokojny i poważny. - Chciałbym, żebyś tego użył - zwrócił się do najmłodszego brata. Potem odstał na bok, robiąc mu miejsce przy pustym stole ustawionym obok podestu z brązową tacą. Maksjan wpatrywał się weń ze zdumieniem, a potem mimowolnie oddał Aurelianowi swój kielich. Ten czknał i przelał wino Maksjana do swojego pucharu.

- Ach, bracie - westchnął młody książę - drogi bracie... Nie jestem czarownikiem. Jestem uzdrowicielem, a przy tym wcale nie dysponuję wielką mocą. Ten, jak go nazywasz, *telecast* powinien trafić do cesarskich taumaturgów, nie do mnie.

Galen oparł się o krawędź stołu z mapą i pokręcił powoli głową. Przez dłuższą chwilę wpatrywał się uporczywie w Maksjana, a ten poczuł całą moc osobowości brata. Młody książę zadrżał lekko, przypomniał sobie, że ich ojciec często zachowywał się w ten właśnie sposób. Galen wskazał ręką na tacę. Nie zamierzał pozwolić, by ktoś sprzeciwiał się jego woli.

Maksjan wstał, wycierając dłonie o tunikę. Ostrożnie zbliżył się do urządzenia. Z daleka wyglądało jak talerz lub taca poznaczona maleń-

kimi znakami, w rzeczywistości było to jednak kilka przepłatających się ze sobą pierścieni z brązu umieszczonych na podstawie z grubego, zielonkawego metalu. Kiedy książę zbliżył się do transmitera, pierścienie dotknięte lekkim podmuchem powietrza rozdzieliły się i zaczęły powoli krążyć. Maksjan znieruchomiał zaskoczony. Galen przesunął się o krok w stronę drzwi.

Maksjan odruchowo skupił wolę i rozciągnął pole widzenia na inne wymiary, szukając źródła niewyczuwalnego wiatru, który coraz szybciej

I obracał pierścieniami i zamieniał je w nieregularną kulę. Jednocześnie pośrodku pierścieni kuli zapłonęło bładoniebieskie światło. Maksjan mimowolnie podniósł rękę, by przysłonić oczy przed światłem, które rozrastało się we wnętrzu urzędnika. Światło zamieniło się w błyskawicę, która rozświetliła na moment wnętrze pokoju, a potem przygasła. Książę podszedł bliżej do kamiennego podestu. Słyszał szuranie stóp, kiedy jego bracia podnieśli się zza ław. W powietrzu unosił się cierpki zapach podobny do tego, który zostawia po sobie letnia burza. Wirujące pierścienie zniknęły; w ich miejscu widniała teraz niebieskobiała kula o średnicy jednej stopy, poznaczona zielonymi i brązowymi plamami, zawieszona w powietrzu nad podestem. Kula wypełniała pokój niskim, ledwie słyszalnym brzęczeniem.

- Co to jest? - wyszeptał Aurelian, wpatrując się w kulę szeroko otwartymi oczami.

- To świat - odparli jego bracia jednym głosem.

Galen i Maksjan odwrócili się, spoglądając najpierw na mapę wyrysowaną na blacie stołu, a potem na kulę, która obracała się powoli nad kamiennym blokiem. Połowa kuli ginęła w cieniu, połowa była oświetlona. Widać też było, jak nad Morzem Wewnętrznym zbierają się chmury burzowe.

Maksjan pochylił się niżej nad urządzeniem, przyglądając się z bliska wybrzeżu Italii. Potem podniósł wzrok na swego brata, cesarza.

- W Puetoli będzie dzisiaj padało - powiedział.

Galen zacisnął zęby, starając się zwalczyć strach, jaki budziło w nim to niesamowite urządzenie.

- Sprytne - mruknął. - Pokaż mi wschodnią stolicę.

Maksjan westchnął tylko, przyzwyczajony do trudnego charakteru swego brata. Cofnął się i powoli okrążył kulę. Kątem oka widział, jak jego bracia przesuwają się w drugi kąt pokoju. Tymczasem kula wyraźnie zwolniła, obracała się teraz w ledwie dostrzegalnym tempie. Młody książę przekrzywił głowę, zaintrygowany jakąś dręczącą myślą, która przemknęła mu przez głowę.

Ach, uświadomił sobie nagle, oś obrotu jest trochę przekrzywiona. Dziwne... dlaczego tak się dzieje?

Na razie odsunął od siebie to pytanie. Obok kuli pojawiła się iskra energii; gdy do niej podszedł, urosła, rozbłysła jaśniej. Maksjan pochy-

lił się ostrożnie nad kulą i skoncentrował na wybraniu Konstantynopola, stolicy Cesarstwa Wschodniego.

Powierzchnia *telecastu* zawirowała, rozrosła się raptownie i runęła na Maksjana. Młody książę odskoczył do tyłu i krzyknął z bólu, uderzywszy ręką o krawędź stołu z mapą. Obraz morza, lądu i murów miasta, który pędził nań z niesamowitą szybkością, przybladł i zgasł. Bracia Maksjana odskoczyli pod ściany, wystraszeni jego reakcją.

- A niech to! - syknął Maksjan, strzepując ból z potłuczonej ręki. - Nie spodziewałem się tego.

- Czego? - spytał przytłumiony głos zza jednej z sof.

- *Telecast* pokazuje nam miasto, bracia, ale nie jest to miły widok - odparł książę.

Galen stanął obok młodszego brata, położył dłoń na jego ramieniu i spojrzal na ponurą scenę widoczną na powierzchni kuli. Grymas przestachu na jego twarzy ustąpił wyrazowi rozbawienia.

- Ach, mój brat cesarz ma dziś ciekawy dzień - powiedział Galen.

Konstantynopol płonął.

KONSTANTYNOPOL, STOLICA WSCHODNIEGO CESARSTWA RZYMSKIEGO

Vderzeniu towarzyszył głośny brzęk i snop iskier. Ogłuszony Herakliusz ciężko upadł na bok, przestając na moment widzieć na prawe oko. Stopa w wielkim, ciężkim bucie kopnęła go w żebra, gdy próbował przetoczyć się na plecy i wstać. Instynkt kazał mu podnieść tarczę i osłonić nią twarz i górną część tułowia. Sekundę później kolejny cios trafił w brązową powierzchnię tarczy, odbierając Rzymianinowi dech. Niemal zupełnie pozbawiona czucia ręka szukała miecza w błocie zmieszanym z krwią. Nagle palce natrafiły na owiniętą drutem rękogęść.

Kolejne uderzenie dosięgło tarczy, tym razem jednak Rzymianin zerwał się z ziemi i pchnął w górę krótkim, spiczastym mieczem. Czubek ostrza ześliznął się z metalowych pierścieni i wbił w ciało. Przeciwnik krzyknął z bólu. Herakliusz potrząsnął głową, by strzepać krew z oczu. Gdy przejrzał, linia bitwy odsunęła się już do tyłu, z dala od niego. Dookoła roilo się od czerwonych płaszczy gwardzistów, którzy nacierali na słowiańskich wojowników walczących na pomoście między dwiema wieżami. Bojowe okrzyki mieszały się z wyciem i jękami umierających, gdy zbrzyzgane krwią topory gwardzistów podnosiły się i opadały raz za razem. Po chwili brzęk stali uderzającej o stal zagłuszył wszelkie inne od-

głosy. Z szarego nieba lały się strumienie wody, deszczówka ściekała po szyi Herakliusza na rozgrzaną zbroję, przynosząc ulgę jego umęczonemu ciału.

Bitwa przeniosła się teraz niżej, na drabiny, które barbarzyńcy zdołali umocować na zewnętrznych murach. Po obu stronach umocnień wznosiły się wieże łączące wielki zewnętrzny mur miasta i mniejszy mur okalający wąską zatoczkę zwaną Złotym Rogiem. Widząc, że najgorsze już minęło, Herakliusz wrócił do wieży.

Z wąskiego przejścia wysypywali się saperzy w skórzanych pancerzach i hełmach. Każdy z nich niósł ze sobą słoik z grubego, zielonego szkła. Herakliusz odsunął się na bok i oparł plecami o mur, ustępując im drogi. Za saperami szli niewolnicy w tunikach z brudnej bawełny, niosący długie mosiężne rury ozdobione wizerunkami smoków. Mieli także dziwne gumowe worki przewieszane przez ramię, a ich ręce okryte były aż po łokcie grubymi skórzanymi rękawicami.

Herakliusz po krótkich zmaganiach ściągnął z głowy ciężki hełm. Dysząc ciężko, wystawił twarz ku niebu, pozwalając, by krople deszczu zmyły z niej gorący pot. Włożył hełm pod lewą rękę, a prawą przeciągnął przez długie blond włosy.

- Bracie! - doleciał go okrzyk z wieży. Herakliusz spojrział w górę. Dwadzieścia stóp wyżej na tarasie stał Teodor i machał doń, uśmiechając się szeroko. - Chodź, zobacz, Awarowie uciekają do łodzi!

Herakliusz odwrócił się i spojrział na pole bitwy. Gwardziści stracali z pomostu ostatnie ciała, tworząc z nich wielką stertę w uliczce poniżej. Wyglądało na to, że żaden z napastników nie uszedł z życiem. Bosaki i drabiny, które zawiesili na ścianie pod osłoną mgły i deszczu, zostały zrzuczone i odcięte. Saperzy przymocowywali szklane słoje do gumowych zaworów i brązowych rur. Herakliusz wiedział, że za chwilę na polu bitwy będzie straszliwie gorąco i bardzo niebezpiecznie, szczególnie przy takiej ilości wody. Przecisnął się między niewolnikami i wspiął po drewnianych schodach na szczyt wieży.

Wody Złotego Rogu były tylko częściowo widoczne przez zasłonę deszczu. Ogromne miasto za jego plecami ginęło pod warstwą chmur i dymu, widać było tylko zarysy najbliższych budynków. Zdawało się, że wieża płynie po nieskończonym morzu szarości, a towarzyszą jej tylko jakieś niewyraźne zjawy i widma. Teodor przyłączył się tymczasem do oddziału łuczników pilnujących wąskiego pasa ziemi u stóp murów. Ujrawszy Herakliusza, przywołał go do siebie.

- Drogi bracie, myślałem, że Martina nauczyła cię już, że nie powinienś wychodzić na pole bitwy w czerwonych butach - mówił Teodor z szelmowskim uśmiechem.

Herakliusz pokręcił głową, odpowiadając:

- Dzisiaj noszę ubranie zwykłego żołnierza.
- Ach, więc sam je tak poplamieś.

Herakliusz spojrział w dół: jego skórzane buty pokryte były grubą warstwą zakrzepłej krwi, która ciemniała powoli, zmieniając się z czerwonej w czarną. Uderzył młodszego brata otwartą dłonią w hełm.

- Głupiec.

- Wcale nie jestem głupcem! - odrzekł Teodor, udając gniew. - Jestem filozofem i ukazuję oczywiste prawdy tym, którzy sami nie potrafią ich dostrzec.

Herakliusz, nauczony doświadczeniem, zignorował jego docinki i wyjrzał za krawędź muru okalającego wierzchołek wieży. Pięćdziesiąt stóp niżej, na wąskiej plaży kłębił się tłum barbarzyńców wsiadających do łodzi. Waregowie stojący na niższym pomoście obrzucali ich obelgami i głowami tych napastników, którzy zdołali wdrzeć się wcześniej na mury.

W tumult wdarł się nagle przesywający gwizd, kiedy mistrz saperów odstąpił do tyłu i pomachał zieloną flagą. Gwardziści na dźwięk gwizdka schowali się pospiesznie w wieży. Pozostali żołnierze także odsunęli się na bezpieczną odległość od grupy inżynierów. Odziani w skórę mężczyźni wysunęli brązowe rury za krawędź murów. Za nimi stali niewolnicy, trzymający w rękach długie żerdzie przymocowane do gumowych pomp. Rozległ się kolejny gwizd, a niewolnicy nacisnęli z całych sił na żerdzie. Herakliusz wzdrygnął się, słysząc nawet z wysokości wieży bulgot pomp, które zassały czarną ciecz ze szklanych słoików. Inżynierowie stojący przy murach wychylili się do przodu, przystawiając do wylotu każdej z rur zapalony kawałek lontu umocowany na końcu długiego pręta. Smoła rozsmarowana na wylotach rur zapłonęła bladym płomieniem. Inżynierowie oddali pręty z lontem niewolnikom, a ci natychmiast ugasił je w wiadrach z piaskiem, przygotowanych specjalnie do tego celu. Niewolnicy przy żerdziach ponownie pchnęli je w dół, i tym razem czarna ciecz przepłynęła do wnętrza rur.

Herakliusz zmusił się do spojrzenia na wąski pas plaży. Część barbarzyńców wsiadała już do swych łodzi. Tysiące Awarów i ich słowiańskich sprzymierzeńców tłoczyło się na ziemi i w wodzie. Ich twarze wyglądały z tej odległości jak pozbawione rysów blade owale - Awarów wyróżniała ziemista cera, Słowian - bujne, rude włosy. Cesarz poczuł, jak ktoś kładzie mu dłoń na ramieniu, odwrócił się i ujrzał przed sobą bladą twarz Teodora.

- Nie musisz na to patrzeć, bracie - wyszeptał książę. - Sami wybrali sobie ten los, decydując się zbrojnie wystąpić przeciw wielkiemu miastu...

Herakliusz delikatnie zsunął dłoń Teodora, mówiąc:

- Jestem cesarzem i powinienem widzieć to, co sam wprawilem w ruch. - Odwrócił się ponownie ku plaży.

W powietrze wystrzelił pierwszy strumień żółtozielonego płomienia. Przez moment wisiał w powietrzu, niemal nieruchomy, nad zwróconymi ku gorze twarzami barbarzyńców stłoczonych na wąskim pasie lądu mię-

dzy morzem i skałami. Potem pojawił się kolejny język smoka. Potem kolejny i jeszcze jeden. W mglistym, wilgotnym powietrzu strumienie flogistonu rozprzestrzeniały się błyskawicznie, opadając ku ziemi jako obłok rozpalonego powietrza i ognia. Pierwszy z nich spadł na wielką gromadę Słowian, którzy próbowali wejść do jednej z większych łodzi. Płonące powietrze niczym delikatny woal otoczyło ludzi w łodzi i na wodzie. Wydawało się, że w tej samej chwili zniknęło, choć ludzie zaczęli krzyczeć, a z ich włosów buchnęły kłęby dymu.

W jednej chwili całą plażę ogarnęły biało-zielone płomienie, a w niebo wzbił się straszliwy krzyk. Herakliusz zadrżał, gdy do jego uszu dobiegło wycie istot umierających w straszliwych męczarniach. Ludzie na plaży wili się w płomieniach, które wżerały się w ich ciała. Napastnicy próbowali nurkować w morzu, by ugasić biało-zielony ogień, lecz flogiston wciąż oblepiał ich niczym smoła i płonął nawet w wodzie. Oszałały ze strachu i bólu tłum miotał się na wszystkie strony, pozbawieni drogi ucieczki ludzie deptali po sobie, traktując na śmierć tych, którzy znaleźli się na samym dole, a dym dusił tych, których nie strawił jeszcze ogień. Skóra okrywała się pęcherzami i pękała tam, gdzie ogień przenikał między częściami zbroi i przez otwory w hełmach. Przeciężone łodzie przewracały lię i setki tych, którzy uniknęli śmierci w ogniu, topiły się w morzu. Morze przy brzegu pokryte było płonącymi łodziami i ludźmi, którzy próbowali ugasić pożerający ich ogień. Wąski pas plaży okrywała warstwa zwęglonych ciał.

Teodor i Herakliusz cofnęli się gwałtownie, kiedy podmuch wiatru przyniósł do nich smród palonych ciał i specyficzny, słodki zapach płonącego flogistonu. Łucznicy, którzy stali obok nich na wieży, odsuwali się jak najdalej od muru, zakrywając twarze połami niebieskich płaszczy. Potężny ryk, niczym głos rozwścieczonego tytana, odbił się echem od wieży i przeniknął mgły wiszące nad miastem. Zielone płomienie rozpały brzocho chmur i grzbiety fal w Złotym Rogu.

Herakliusz wstał i ruszył chwiejnie w stronę schodów. Bitwa dobiegła końca, lecz czekało go jeszcze mnóstwo pracy. Schodząc po drewnianych stopniach, słyszał jeszcze, jak Teodor, wychylony do połowy za blanki wieży, głośno wymiotuje.

DOM LETNI, KUMĘ

P=aa> fas=}

*XJ eh - westchnął Galen - dobra robota. - Odsunął się od ponurego J * obrazu, który wciąż był widoczny na powierzchni *telecastu*. - Spryciarze z tych Greków. - Odwrócił się do swego brata, który z ogromnym skupieniem wpatrywał się w przestrzeń. Zadziwiony cesarz Zachodu

przyglądał się przez chwilę Maksjanowi, a potem pomachał mu ręką przed oczami. Żadnej reakcji.

- Aurelian? - Cesarz odwrócił się wyraźnie zatroskany do drugiego brata. Ten wzruszył tylko ramionami, równie zdumiony jak on. Galen odwrócił się ponownie, widząc, że twarz Maksjana wyraża coraz większe napięcie. Postanowił zaryzykować i delikatnie potrząsnął go za ramię.

- Maksjanie? Maksjanie!

Młody książę drgnął i rozejrzał się dokoła, wyraźnie zaskoczony, że znajduje się w takim, a nie innym otoczeniu. Galen wyciągnął rękę, by wziąć od Aureliana kielich z winem. Maksjan usiadł gwałtownie, a Galen przytrzymał go za ramię i przystawił kielich do jego bladych warg. Maksjan pociągnął łyk wina, potem wziął puchar w obie ręce i odrzuciwszy głowę do tyłu, opróżnił go jednym haustem. Wąska stróżka napoju pociekła mu po brodzie i spłynęła na tunikę.

- Och... Dziękuję, bracia. - Maksjan wysunął przed siebie puchar, prosząc tym samym, by Aurelian napełnił go ponownie. Tym razem także niemal natychmiast go opróżnił. Bładość zaczęła powoli ustępować z jego twarzy i dłoni.

Galen skrzywił się, widząc, ile wysiłku kosztowało jego brata to doświadczenie,

- Zmęczyło cię to, prawda? - spytał. - Jak się czujesz? ^q Mógłbyś uruchomić to ponownie?

Aurelian spojrzął z przyganą na starszego brata.

- Myślę, że ten chłopak potrzebuje teraz odpoczynku i kąpieli, mój bracie. Widać, że goni resztką sił.

Twarcz Galena zasnuł na moment gniew, potem jednak powrócił na nią spokój.

- Masz rację - przyznał. - Niech zajmą się nim niewolnicy w łaźni. Porozmawiamy przy kolacji.

Cesarz odwrócił się do kuli, ale ta zamieniła się już ponownie w kilka pierścieni z brązu. Sposępniał i zatopiony w ponurych myślach nie zauważył nawet, kiedy jego bracia opuścili pokój.

Galen uczynił krok do przodu i przesunął palcami po brązie, nic się jednak nie stało. Pokręcił głową zirytowany, a potem odwrócił się do wielkiej mapy. Postanowił usunąć choć na chwilę *telecast* ze swych myśli i planów. Ta zabawka kosztowała go zbyt wiele, by mógł regularnie jej używać. Uznał, że przyjdzie na to czas później.

Maksjan podniósł wzrok i uśmiechnął się do niewolnicy, która pochyliła się nad oparciem jego sofy i nalewała mu wino do kielicha. Czarnowłosa dziewczyna o delikatnej, owalnej twarzy odpowiedziała nieśmiałym uśmiechem. Maksjan upił łyk wina, odprowadzając wzrokiem niewolnicę, kiedy ta przeszła do Aureliana i także napełniła jego puchar. Galen, zajmujący miejsce po drugiej stronie niskiego stołu,

uśmiechnął się lekko. Odprawił niewolnicę gestem, kiedy ruszyła w jego stronę. Potem sięgnął po eskalopki w maśle czosnkowym i bazylii, leżące przed nim na tacy.

- Bracie - zaczął, ściągając na siebie uwagę Aureliana i Maksjana.
- Czy zmęczenie opadło cię, kiedy jeszcze używałeś *telecastu*, czy też dopiero potem?

Maksjan zmarszczył brwi, przypominając sobie tamtą chwilę.

- Najpierw reagował na moje wezwania bez najmniejszego problemu. Potem, kiedy obserwowaliśmy bitwę i wschodniego cesarza, coraz trudniej przychodziło mi się na tym skupić. Musiałem coraz mocniej wyteżać wolę, by utrzymać go na tej właśnie scenie. »

Aurelian poskrobał się po brodzie.

- Może działa tylko przez jakiś czas, a potem trzeba zrobić przerwę?

- Albo pokazywanie jednej tylko sceny jest trudniejsze - dodał Galen. - Maksjanie, czy on chciał pokazać ci inną scenę, czy też w ogóle przerwać?

Maksjan skinął głową.

- Otóż to! Miałem wrażenie, że próbuje odciągnąć mnie od tej sceny, jakby chciał pokazać mi coś innego. - Przerwał na moment, wracając myślami do tamtej chwili, przeżywając ją ponownie. - Czy istnieje jeszcze jakiś inny *telecast*?

Galen uśmiechnął się.

- Tak, wschodni cesarz ma drugi *telecast* z tej pary. Z opisów w jego listach wynika, że tamten stoi w jego gabinecie, tak jak ten w moim. Taumaturgowie ze Wschodu nie potrafili go jednak uruchomić. - Cesarz przyglądał rzadziejące włosy, wyraźnie z czegoś zadowolony. - Jeśli przy twojej pomocy uda nam się uruchomić oba, tak by ze sobą współdziałały, będzie to naprawdę ogromny skarb.

Maksjan potarł brodę, rozważając wszystkie korzyści płynące ze stosowania takiego urządzenia. Wreszcie powiedział:

- Potężna broń. Warta więcej niż dziesięć legionów. Gdybyśmy mogli zbudować więcej takich urządzeń, każda część państwa mogłaby koordynować swe działania z pozostałymi.

Uśmiechnięty Galen wstał z sofy. Niewolnik przystąpił do niego i narzucił pelerynę na jego ramiona. Cesarz naciągnął ją mocniej, a Nubijczyk spiął jej poły zapinką ze złota i ametystu. Wieczorna bryza znad zatoki przedostała się do wnętrza jadalni, przechylając płomień lamp i pochodni. Aurelian ziewnął i także wstał z miejsca. Maksjan wypił resztkę wina z kielicha i podał go najbliższej niewolnicy, którą była czarnowłosa dziewczyna. Uśmiechnęła się i ukłoniła nisko, przyjmując kielich, a tunika zsunęła się przy tym lekko z jej ramion.

- Chodźmy - powiedział cesarz. - Obejrzymy księżyc nad zatoką.

W wodach zatoki przy Domu Letnim błyszczało odbicie niecałej połówki księżyca. Nieco niżej na zboczu, gdzie stał dom, za czasów dziadka Maksjana zbudowano małą, okrągłą świątynię. Jej smukłe, białe kolumny lśniły teraz dumnie w blasku księżyca. Poniżej rozciągały się wody zatoki. Roziskrzona światła tańczyły po powierzchni morza, na której unosiły się także niezliczone okręty zacumowane w portach Neapolu i Baje. W oddali wznosił się czarny stożek Wezuwiusza, zakrywając rozgwieżdżone niebo. Bryza była tutaj chłodniejsza, niosła ze sobą słony smak morza. Maksjan czuł, jak w tej tak dobrze mu znanej ciemności powoli opuszcza go niepokój i smutek, które przywiózł ze sobą z Ostii.

Galen, który stał zaledwie kilka kroków dalej, był tylko ciemnym, niewyraźnym kształtem.

- Ciężar cesarstwa nie spoczywa na twych barkach, braciszku, nie możesz więc wiedzieć, jak trudno mi go dźwigać - przemówił chrapliwym szeptem cesarz. - Muszę pamiętać o tysiącach drobiazgów, rozważać każdą decyzję tak, by zadowolić wszystkie strony i załatwić sto interesów. Nie tak to sobie wyobrażałem, kiedy wyruszyliśmy z Saguntum. Jestem teraz potężnym człowiekiem; niektórzy powiedzieliby, że bogiem. A jednak jest wciąż tyle rzeczy, tyle istotnych czynników, nad którymi nie mam żadnej władzy.

«

Galen wyczuł raczej, niż zobaczył, że jego brat odwraca się i siada na kamiennej ławie ustawionej przy świątyni.

- Każdego dnia walczę i zmagam się z losem, tak jak tysiące ludzi, którzy służą mi we wszystkich zakątkach cesarstwa. Każdego dnia fale czasu i ludzie zabierają fragment gmachu, który razem utrzymujemy. Każdego dnia dokładamy do niego więcej cegieł, więcej zaprawy, więcej krwi. A jednak fale wciąż podmywają skały i kamienie, będą je niszczyć, aż nic po nich nie zostanie. - Choć słowa Galena były smutne, Maksjan nie wyczuwał w nich jednak rozpacz czy rezygnacji. - To się może skończyć, mój bracie. Cesarstwo znów może zaznać pokoju, wolne od strachu przed najazdem barbarzyńców, a nawet przed wojną domową. - Galen zaczął przemawiać jak mówca, choć nadal mówił cicho, półszepem. - Po stuleciach walk na zachodzie zapanował wreszcie pokój. Frankowie i Germanie za Renem siedzą spokojnie, ich królestwa wreszcie zaczynają przypominać prawdziwą cywilizację. Mieszkają w miastach, chętnie przyjmują kupców, uprawiają ziemię i budują domy z kamienia i drewna. Na zachodzie jest tylko niezmierny ocean, na południu tylko ogromne pustynie. Jedynie na wschodzie wciąż mamy wrogów.

Maksjan poruszył się niespokojnie na ławce.

- Barbarzyńcy, których widzieliśmy dzisiaj w wizji?

Galen się roześmiał.

- Nie, Awarowie i ich poddani bywają uciążliwi, ale nie stanowią żadnego zagrożenia. Zajęli większość Tracji i Mezji, ale nie utrzymają długo tych ziem. Prawdziwy wróg, mój bracie, czeka nieco dalej na

wschodzie, w Persji. Choć nie widzieliśmy tego w wizji, jedna z perskich armii stacjonuje obecnie na wschodnim wybrzeżu Propontydy i przygląda się uważnie starożytnym murom Konstantynopola. Inna zbiera się w północnej Syrii, by potem zaatakować Egipt. Tak się szczęśliwie składa, że mój brat cesarz wciąż ma silną flotę, a Persowie żadnej. Dlatego nie odważą się na atak - na razie.

- Więc za pomocą tego urzędnika chcesz skoordynować działania z Herakliuszem i zakończyć oblężenie miasta? - przemówił Maksjan. - Można by wysłać na okrętach kilka tysięcy żołnierzy do Konstantynopola i przekonać barbarzyńców, by odstąpili od oblężenia.

- W pewnym sensie przekonamy ich, by to zrobili - odparł Galen wesoło. - Prawdziwym wrogiem nie są jednak barbarzyńscy jeźdźcy, lecz sama Persja. To właśnie Persję musimy pokonać, jeśli chcemy zachować prawdziwy pokój w cesarstwie. Pokój dla Wschodu i dla Zachodu. Twój plan jest rozsądny, bracie, ale zbyt ograniczony. Ustaliliśmy już z Herakliuszem, jakiego rozwiązania potrzebujemy.

Wokół świątyni zapadła cisza. Księżyc świecił teraz zza gałęzi wielkiego dębu i cisów, oblewając świątynię blaskiem, w którym Maksjan widział wyraźnie obu swych braci. Uzdrawiacz poczuł nagle dojmujące zimno, uczucie podobne do tego, którego zaznał w domu cieśli w Ostii. Drżącymi palcami naciągnął mocniej płaszcz na ramiona. Wiatr ucichł.

- Mój brat cesarz uważa, a ja się z tym zgadzam, że Rzym i Konstantynopol, oba cesarstwa, muszą uderzyć na Persję i zetrzeć ją w proch. Kiedy to się stanie, nie będzie już traktatów, umów granicznych, danin. Persja stanie się prowincją cesarstwa i zawsze już będzie nam służyć. Wówczas wreszcie nastanie pokój.

Maksjan odkasznął, gdy jakiś niewytłumaczalny strach ścisnął mu gardło. Potem przemówił - choć z trudem przychodziło mu formułować słowa:

- Bracie, ten plan jest... niemądry. Zachód dopiero zaczyna odzyskiwać siły po niedawnych zarazach i wojnach domowych. W cesarstwie panuje pokój, to prawda, ale ludzie wciąż dochodzą do siebie, armia wciąż się odbudowuje. Trzeba dokonać pewnego wysiłku i przerwać oblężenie Konstantynopola, zgoda. Ale napadać na samą Persję? To byłoby szaleństwo...

Przerwał i ponownie odkasznął. Czuł jakieś ogromne napięcie, siłę, która nie mogła być wywołana tylko gniewnym grymasem na twarzy brata. Maksjan podniósł rękę, kierując całą swą uwagę do wnętrza. Jego umysł wypełniały jakieś chaotyczne, niepokojące obrazy, zdołał jednak uspokoić myśli za pomocą medytacji Asklepiosa. Gdy tylko przypomniał sobie kolejne wersy, niepokojące obrazy zniknęły, a napięcie zelżało. Nie ustąpiło całkowicie, teraz jednak przynajmniej czuł jego granice i siłę.

Dokonawszy wielkiego wysiłku woli, przemówił ponownie:

- Persja jest ogromna, a jej armie niezliczone. Od wielu dziesięciole-

ci panuje w niej pokój. Chosroes to silny król, a do tego ma świetnych generałów. Persja jest bogata, nawet w porównaniu z Rzymem. By na nią uderzyć, potrzebowałbyś dziesiątek albo nawet setek tysięcy ludzi. Miasta Zachodu wciąż są opustoszałe po ostatniej zarazie, nie lepiej jest w miastach Wschodu. Gdzie znajdziesz ludzi, którzy będą walczyć z Persją? Nie możesz przecież zabrać tych, którzy bronią nas przed barbarzyńcami. Galen skinął głową:

- Słuszna uwaga, bracie - powiedział. - Aurelian i ja zastanawialiśmy się nad tym od kilku dni. Z naszych ostatnich obliczeń wynika, że możemy stworzyć tymczasową armię w sile sześćdziesięciu tysięcy ludzi, która walczyłaby wraz z Herakliuszem na wschodzie. Możesz być spokojny, przemyśleliśmy to wszystko bardzo starannie.

Cesarz zaczął się przechadzać po świątyni, stukając lekko sandałami o marmurową podłogę.

- Na zachodzie mamy obecnie czternaście legionów stacjonujących na obszarze od Afryki przez Panonię do Brytanii. Oprócz tego mamy też sporo samodzielnych garnizonów. Do tego dochodzi kilka sprzymierzonych z nami plemion z Afryki i Germanii. Według naszych obliczeń Cesarstwo Zachodnie ma około stu tysięcy żołnierzy. Żaden z wymienionych przeze mnie legionów nie porzuci swoich obowiązków; wycofamy z nich tylko wybrane jednostki i kohorty. Jednocześnie wprowadzimy coś, co Aurelian, nasz nieoceniony słowotwórca, nazwał zaciągiem, co pozwoli nam zatrudnić w miejsce tych ludzi nowych rekrutów. Kiedy wyruszymy z ekspedycją na Wschód, weterani, którzy zostaną na Zachodzie, wyшкоlą zupełnie nową armię.

Maksjan pokręcił głową z niedowierzaniem.

- A gdzie znajdziecie sześćdziesiąty tysięcy obywateli, którzy nadawali się do służby w legionach? Nie zapominaj, bracie, że byłem u twojego boku podczas marszu z Saguntum do Mediolanu i Rzymu. Widziałem puste miasta i pola, które na powrót zarastały drzewami.

Aurelian odkaszlnął wyczekująco. Galen odwrócił się i spojrzał na niego, a potem nakazał mu gestem, by powiedział to, co miał do powiedzenia. Aurelian złożył przed sobą ręce i przemówił:

- My, hm... właściwie nie zamierzamy wprowadzać obywateli do armii. Chcemy zatrudnić w niej niewolników i tych, którzy nie są obywatelami.

Maksjan zachwiał się jak uderzony. Piekący, rozpalony do białości ból przeszył jego głowę, kiedy to dziwne napięcie, jakie czuł do tej pory w świątyni, stało się nagle nie do zniesienia. Miał wrażenie, że napiera nań jakiś ogromny ciężar, z którym zmagał się jego umysł. Przez dłuższą chwilę milczał, walczył z przemożną i nieznaną siłą, próbował odzyskać kontrolę nad własnym ciałem. Nagle ujrzał siebie samego, jakby z wielkiej od dali, siedzącego w małej świątyni, w towarzystwie braci. Przez moment jego umysł tkwił w zawieszaniu, wysoko nad ziemią,

widział stamtąd ogromny wir ognia i dymu rozprzestrzeniający się ponad ich trójki i ogarniający coraz większe połacie lądu i morza. W dymie pojawiały się jakieś niewyraźne kształty i twarze.

Potem wizja pękła niczym bańka mydlana, a bolesne napięcie ustąpiło.

- Niewolnicy? - wycharczał, z trudem dobywając słowa. - Senatorowie wpadną w szal, kiedy o tym usłyszą...

Galen uśmiechnął się, błyskając białymi zębami w świetle księżyca.

- Obietnica perskiego złota, majątku i dowództwa nad nowymi legionami pomoże im zapomnieć o uprzedzeniach. Plan Aureliana zakłada jedno genialne w swej prostocie rozwiązanie: nowa kontrybucja nie jest dobrowolna i każda prowincja musi dostarczyć swoją część, ale ponieważ nie dotyczy ona obywateli, ci poprą ją z całego serca. Sześćdziesiąt tysięcy nowych legionistów na Zachodzie ogromnie wzmocni cesarstwo zarówno teraz, jak i w przyszłości, kiedy już zakończą służbę.

Maksjan pokręcił głową z niedowierzaniem.

- Nie rozumiem. A co się stanie, kiedy już zakończą służbę?

- Cóż, wtedy staną się obywatelami i otrzymają ziemię i pieniądze. Te na pół opustoszałe miasta znów się wypełnią, mój bracie, wypełnią się nowym pokoleniem Rzymian, wiernych mnie i naszemu domowi.

Maksjan parsknął z rozbawieniem.

- Legiony nie zawiodły żadnego cesarza od czasów Augusta. Legiony na zachodzie są ci wierne. Nie musisz powoływać nowych na ich miejsce. - Umilkł, spoglądając na braci. - Uważam - podjął po chwili - że wasz plan jest nierozsądny. Przychodząc z odsieczą Konstantynopolowi, zakończylibyśmy walki na Wschodzie. Persowie wróciliby do domu. Nastalby pokój. Jeśli niepokoi cię sytuacja w Egipcie, od razu wyślij tam kilka armii.

Galen podniósł rękę i pokręcił głową.

- Przyjmuję twój sprzeciw do wiadomości, bracie. Ale nasz plan zostanie zrealizowany. Tutaj chodzi o wielkie rzeczy, znacznie większe niż problem' barbarzyńców czy Egiptu. Podjąłem już decyzję. Wyruszę na wschód i wraz z Herakliuszem zniszczę Persję.

Maksjan wzruszył ramionami przekonany, że nic dobrego z tego nie wyniknie.

- No cóż. Sprawa jest więc przesądzona.

NAD BRZEGAMI OJCA RZEK

Uśmiech Re odbijał się w rzece. Dziób małego okrętu przecinał turkusową taflę wody, odrzucając na boki pianę, która osiadała na wysmołowanych deskach kadłuba. Dwyrin machał leniwie nogami

zwisającymi za burtą statku, zaledwie kilka stóp nad turkusowobrązową głębiną. Żar boga okrywał go niczym gruby koc. Miał zamknięte oczy, lecz medytacje mistrzów pozwalały mu widzieć ład przesuwający się powoli na tle rdzawobrunatnego tła i silnych, granatowych prądów pod ziemią. Jedną rękę trzymał na rumplu, wyczuwając dzięki temu każdy ruch smukłego kadłuba okrętu sunącego przez wodę. Kroki załogi łaskotały jego palce niczym krople deszczu spływające po tej grubej, zielonej linii.

Od trzech dni dawa płynęła z prądem Ojca Rzek na północ, mijając zapadnięte grobowce i opuszczone, martwe miasta Starego Królestwa. Po obu stronach rzeki rozciągała się pustynia, sięgająca niemal samego nurtu, cofająca się jedynie tu i ówdzie przed miastami na wschodnim brzegu i wąskimi pasami pól uprawnych.

Minęły dwa tygodnie od porannego spotkania z człowiekiem-ptakiem, tygodnie spędzone niemal wyłącznie w towarzystwie Nefeta. Staruszek pokazywał mu przeróżne cuda i wspaniałości, zdzierał warstwa po warstwie zasłony rytuałów i ceremonii okrywających ścieżkę czarownika. Dwyrin początkowo był mocno wystraszony, gdy uświadomił sobie, że poznaje tajemnice niedostępne nawet dla tych, którzy byli już bliscy ukończenia szkoły, sekrety ognia, wiatru i powolnej, ciężkiej energii ziemi. Teraz w głębi jego umysłu płynął niewyczerpany, syczący strumień mocy, która czasami przedostawała się do jego świadomości niczym wołanie mnóstwa niewidzialnych ptaków. Za dnia starał się nie dostrzegać lśniących zwojów energii, które przesuwały się i pełzały w ciałach żeglarzy i kapitana. Pokład i takielunek dawał raz za razem rozmywały się i znikwały sprzed jego oczu, ukazując mu turkusowe głębiny rzeki i jasne iskry płynących w niej ryb.

Po sześciu dniach podróży rzeka zaczęła się rozrastać, rozszerzać. Wysokie wzgórza, które ograniczały ją aż od Tell-Ahshar teraz cofnęły się po sam horyzont. Na brzegach wyrastały coraz liczniejsze i coraz większe pola uprawne, a na samej rzece pojawiało się coraz więcej łodzi. Mijały ich długie, smukłe galery płynące w obu kierunkach, a oko Re odbijało się w pochylonych, okrytych potem plecach wioślarzy, którzy dawali im siłę. Coraz częściej mijali także miasta, a na zachodnim brzegu pojawiało się coraz więcej ruin; niemal co milę spomiędzy drzewek oliwnych i palm prześwitywały białe resztki pałaców, świątyń czy grobowców.

Dziewiątego dnia dawa przybiła na noc do brzegu, tuż za jakimś miasteczkiem na wschodnim wybrzeżu. Kapitan i załoga przycumowali łódź do sterty kamieni ułożonych tuż nad wodą, a potem, roześmiani, ruszyli w stronę świateł miasta. Dwyrin stał na rufie łodzi i patrzył z daleka na światła błyszczące i iskrzące wśród zimnego fioletu i błękitu śpiących drzew. Zamrugał powiekami, a widziany przezeń świat powrócił do normalnej czerni rozgwieżdżonego nieba i jednolitej, ciemnej masy trzciny

porastających brzeg. Jedyne członek załogi, który pozostał na statku, ułożył się wygodnie na macie przy sterze i zasnął.

Dwyrin przez długi czas siedział w ciemności, czując, jak ziemia i rzeka wokół niego oddychają. Jego umysł i oczy napełniał szept wiatru, skał i drzew rosnących wzdłuż brzegu, powolnych ruchów krokodyli płynących w głębokiej wodzie. Kiedy na zachodzie wstał Neket, strażnik nocy, Dwyrin wyzbył się całkowicie świadomych myśli. Cienkie ściany, które wznosił, by ograniczyć swe postrzeganie, zniknęły, a jego *ka* unosiło się swobodnie nad nieruchomym ciałem.

Świat wypełniony był bladą poświatą, drzewa, palmy i trawa zwilżone muśnięciem Re dołączyły do światła cieni. Matowe, czerwone płomyki na polach za łodzią znaczyły ciała śpiącego bydła. Dwyrin obracał się powoli w powietrzu, widząc uśpiony świat, nawet głębokie prądy ziemi. Rzeka sunęła powoli na północ, wypełniona zielonym blaskiem i powolnym pulsowaniem błękitu i fioleto. Odwrócił się ku zachodniemu brzegowi.

Jego *ka* cofnęło się raptownie, jakby przerażone zimnym, białym blaskiem. Za linią palm i wysokiej trawy po drugiej stronie rzeki wznosiła się wielka góra, jakby wgnieciona z jednej strony, otoczona perłowym światłem. Wokół wzgórze rozciągało się ogromne miasto srebra i bieli. Dwyrin osłonił się egidą Ateny, odmawiając pospiesznie zaklęcie. Powróciły te części jego jaźni, które przerażyły się i zaczęły odsuwać od niego w surowym, ostrym blasku miasta. Płynął powoli do przodu, nad rzeką.

Zatrzymał się przy zachodnim brzegu, gdy jego egida zaczęła uginać się pod rosnącym naporem światła. Dwyrin osadził się w miejscu i zaczął czerpać z prądu rzeki, napełniając się powolną, stałą mocą Hapi, ojca. Tarcza rozrosła się ponownie, przyćmiła światło. Dwyrin uśmiechnął się w duchu i wyęczył siły, pokonując barierę żywiołów na brzegu rzeki. Uczynił krok i przystanął zdumiony, gdy pod jego odzianą w sandały stopą zachrząścił żwir. Spojrzał w dół, wciąż nie dowierzając temu, co widzi, uniósł ku twarzy szerokie, mocne ręce. Na biodrach miał suknię z białego marszczonego sukna, na stopach brązowe skórzane sandały. Czuł ciężar krótkiego miecza, który miał przytroczony u boku. Sięgnął ręką do tyłu i dotknął długich warkoczy związanych tasiemkami z metalu.

Ruszył w stronę drzew i po chwili dotarł do szerokiej alei. Zdumiony obejrzał się za siebie, na rzekę i ujrzał szeroki, zdobiony obeliskami pomost wrzynający się głęboko w nurt. Ruszył w drugą stronę, wzdłuż długiej, krętej drogi prowadzącej w stronę góry. Po obu jej stronach przechadzały się sfinksy i lwy. Nogi niosły go szybko, choć prawie wcale nimi nie ruszał, i już po chwili znalazł się pod wielkim łukiem, na którym widniały wyrzeźbione twarze królów i bogów. Po drugiej stronie łuku wznosiły się ogromne świątynie, między którymi biegła wąska, wykładana kamieniami droga. Za świątyniami i rzędem wysokich kolumn widać było wyraźnie górę. Dopiero teraz Dwyrin mógł dostrzec, że

jej zбочce to ogromne stopnie z piaskowca i granitu prowadzące na płaski, jakby ścięty szczyt. >>

Dwyrin przeszedł pod lukiem, lecz cofnął się natychmiast, odrzucony potężnym ciosem. Za bramą stała teraz jakaś postać.

- To nie jest dla ciebie - zadudnił głos głęboki niczym grzmot. - Wracaj do krainy żywych.

Dwyrin, oślepiiony blaskiem bijącym od góry, pokręcił głową i zrobił krok naprzód. Postać podniosła dłoń zaciśniętą w pięść. Kształt zjawy był niewyraźny, jakby rozmazany. Dwyrin zdołał jednak dojrzeć głowę szakala i czerwone, rozżarzone oczy. Ręka uniosła się wyżej, palce rozprostowały. Rozległ się dziwny warkot, a Dwyrin poczuł, jak jego ciało się rozpada, rozplywa w powietrzu. Potem wszystko zakończył głośny trzask.

Dwyrin obudził się na pokładzie okrętu, wyrwany ze snu głosami żeglarzy. Wrócili właśnie z wioski, upici winem i piwem ze sfermentowanego jęczmienia. Przesunął się na bok, kiedy ich błękitne płomienie rozlały się po bladożółtej powierzchni pokładu. Zadrżał na całym ciele i zamknął oczy, próbując odgrodzić się od tego widoku. Na próżno. Nie, jego nadwidzenie było silniejsze i wyraźniejsze od tego pierwotnego. Widział, jak zbliża się do niego żółtoniebieski płomień, z którego wypłynęły melodyjne dźwięki, by potem zawisnąć w powietrzu niczym krople deszczu. Dwyrin jęknął i przewrócił się na drugi bok, a jego niepokój i udręka wypłynęły na pokład fioletowymi strumieniami. Żółtoniebieskie płomienie odsunęły się od niego. Dwyrin leżał w kałuży fioletu.

REZYDENCJA DE'ORELIO, RZYM

n

Widziana z komnat Anastazji na górnym piętrze, przywitamy ją delikatne, kobiece głosy. Poniżej, w atrium, chór młodych niewolnic śpiewał pieśń powitalną na cześć gości przyjęcia. Salę Posejdo- na wypełniał tłum ludzi, w powietrzu unosił się gwar rozmów i brzęk naczyń. Na szczęście nikt spośród miejskich notabli - bankierów, senatorów, oficerów legionów, czy też ich żon, kochanek czy kochanków - nie zwrócił na nią uwagi. Służące Anastazji pracowały nad nią przez większą część popołudnia. Jej włosy, które wyglądały teraz niczym rudozłoty obłok okalający twarz, związane były na końcu fioletową jedwabną taśmą, która opadała nisko na plecy. Starannie dobrane barwniki uwydatniły usta, oczy i linię kości policzkowych.

Ubrana była w nową suknię, podobną do jedwabnego arcydzieła, które wcześniej miała na sobie Anastazja; ta wykonana była z delikatnego lnu okrytego warstwą ciemnozielonego jedwabiu, który mienił się odcieniami złota i błękitu. Jej stopy obute były w małe, złote pan-

tofle przyozdobione delikatnymi miedzianymi drucikami, które podkreśliły smukły kształt łydek. Między piersiami spoczywał złoty naszyjnik z lazurytem. Dzięki niezwykle zręcznym palcom zatrzymała nóż i garotę, nie dostrzegły ich niewolnice, które ją ubierały. Broń pozwalała jej zachować spokój umysłu, kiedy przeciskała się przez tłum wypełniający hol i ogrody. Lawirując między licznymi gośćmi, unikała zręcznie służących, którzy wynosili z kuchni tace z owocami, sorbetem, porcjami smażonego mięsa i innymi smakołykami.

Drzewa wielkiego ogrodu obwieszono lampami, wzdłuż ścieżek ustawiono płonące pochodnie. Tutaj właśnie, w pobliżu starannie wypielęgnowanych stawów, zgromadziła się młodsza część towarzystwa. Wino lało się strumieniami z dzbanów donoszonych raz po raz przez służących. Dwaj młodzi mężczyźni przebrani za gladiatorów - patrycjusz, sądząc po fryzurach i delikatnych dłoniach - minęli Thyatis z obu stron. Dłoń jednego z nich popieściła w przelocie jej prawą pierś. Thyatis zareagowała błyskawicznie, przechwytyjąc umykający kciuk młodzieńca. Nikt nie zauważył nieznacznego ruchu ani nie usłyszał trzasku pękającej kości, a pechowy arystokrata zaniemówił na moment z bólu. Thyatis szła dalej, ignorując wypowiedziane szeptem propozycje młodych mężczyzn i kobiet ukrytych w cieniu drzew. Za kolejnym stawem znajdował się niewielki wawóz otoczony wysokim żywopłotem i krzewami róż i hiacyntów. Ogrodnicy Anastazji pracowali przez wiele lat, by stworzyć tu prawdziwy pitagorejski labirynt.

Straciwszy wreszcie z oczu dom i jego okna, pełne ludzi i światła, Thyatis uspokoiła się nieco. Mijała powoli kolejne korytarze labiryntu, oświetlone jedynie bladym blaskiem księżyca. Ze wszystkich stron dochodziły ją przytłumione jęki i posapywania. Kilkakrotnie omal nie potknęła się o pary leżące w cieniu żywopłotu. Wreszcie odnalazła środek labiryntu, niewielką polanę z fontanną, obok której stały dwie zwrócone do siebie ławki. Podczas pobytu w domu swej pani Thyatis często tu przychodziła, uciekając przed intrygami, jakimi bawiła się służba księżnej, oraz przed nużącymi ćwiczeniami.

Odszukawszy ławki w ciemności, Thyatis usiadła i odetchnęła z ulgą. Sandały były bardzo ładne, lecz jej stopy nie przywykły do tego rodzaju obuwia. Rozwiązała złote tasiemki oplatające nogi i odstawiła buty na bok. Delikatnie roztarta obolałe stopy, sycząc z bólu, gdy palce natrafiły na pęcherze. W ciemności i ciszy myśli krążyły wokół jej głowy niczym uparte ćmy.

Może powinnam opuścić to miasto i wyjechać gdzieś daleko, gdzie nikt...

- Często myślę o tym samym. Niemal codziennie - przerwał jej niski, głęboki głos.

Thyatis zamarła w bezruchu, potem powoli odwróciła głowę. Po drugiej stronie ławki, niemal niewidoczna w ciemności, siedziała jakaś postać. Thyatis czuła, jak podnoszą jej się włoski na karku. Do tej pory

uważała, że jest niezwykle czujna, a jednak nie zauważyła wcale człowieka, który siedział zaledwie krok dalej.

- Przepraszam - powiedziała. - Nie sądziłam, że mówię na głos.

- Nie szkodzi - odparł głęboki, jakby znużony męski głos. - Jeśli moja obecność pani przeszkadza, zaraz się stąd wyniosę. - Poruszył się na ławce, żwir zachrzęścił pod jego stopą.

- Nie - odparła szybko, zaskakując samą siebie. - Nie przeszkadza mi pan. W domu i w ogrodzie jest zbyt wielu ludzi, nie czuję się dobrze w tak licznym towarzystwie.

Roześmiał się cicho, śmiechem przypominającym szmer rzeki.

- Ja też nie cierpię tłumu. Szczególnie takiego jak ten, pełnego ludzi, których ciągle widzę i na których nie mogę już patrzeć. Te sprzeczki, to ciągle licytowanie się, kto ma więcej tego, a kto tego. Ach, no i nasza gospodyni, droga księżna. Kobieta o niezachwianej pozycji w społeczeństwie i... o niezaspokojonym apetycie.

Thyatis uśmiechnęła się w ciemności.

- Więc zna ją pan - powiedziała.

- Och, od lat! Zawsze chciała, bym należał do jej świty obiecujących młodych ludzi. Bolał panią stopy?

Thyatis drgnęła, zaskoczona.

- To przez te sandały. Są nowe, a ja... nie jestem przyzwyczajona do takich butów.

- Mogę? - spytał cicho głos. Thyatis poczuła, jak dwie silne szerokie dłonie dotykają jej prawej stopy wspartej o krawędź ławki. - Pobierałem nauki w świątyni, mogę zneutralizować ten ból.

- Wydaje się pan dość młody jak na kapłana - odparła Thyatis, ale obróciła się i położyła obie nogi na ławce. Delikatne dłonie musnęły jej palce i przesunęły się na środek stopy.

- Kiedy byłem młodszy, przejawiałem talenty właściwe sztuce Asklepiosa - mówił nieznajomy mężczyzna - więc moja matka oddała mnie do świątyni. Myślę, że chciała, bym uniknął w ten sposób losu ojca, który przez całe życie pracował dla rządu. Obawiam się jednak, że jej plan się nie powiódł. Niemal cały swój czas poświęcam sprawom związanym z urzędami. -W ciemnościach znów rozległ się jego śmiech - miły, niosący ukonjenie. Thyatis odchyliła się do tyłu i oparła o sztywną powierzchnię żywopłotu. Dłonie nieznajomego ugniatały i masowały jej zmęczone mięśnie.

- Cudowne uczucie - mruknęła rozleniwionym głosem. - Praca dla księżnej jest równie zabawna. Najpierw mówią ci, że będziesz robić jedno, coś, co sprawia ci przyjemność i co chętnie będziesz doskonalić, a następnie dowiadujesz się, że będzie to coś innego, coś, czego nie cierpisz. Czasami księżna doprowadza mnie do szału.

- Ale niekiedy jest przemiła i łagodna - dodał nieznajomy. - Mam nadzieję, że nie poczułaś się urażona tym, co przed chwilą o niej mówiłem.

- Nie! - Roześmiała się. - To była szczerza prawda. Czuje się szczęśliwa tylko wtedy, gdy wszystko wokół niej ułożone jest we właściwym porządku. Ale ten porządek, te właściwe proporcje mogą się zmieniać z dnia na dzień... Au!

Dłonie znieruchomiały, potem delikatnie dotknęły bolącego miejsca. W ciszy przerywanej dalekimi odgłosami przyjęcia rozbrzmiał delikatny pomruk, przypominający brzęczenie pszczoły, potem między dłonią mężczyzny a stopą Thyatis przeskoczyła iskra. Thyatis głośno wciągnęła powietrze, kiedy dziwne mrowienie objęło jej stopę, by potem przesunąć się w górę nogi, przez tułów i aż do czubka głowy. W krótkim rozbłysku światła dojrzała długie włosy, małą bródkę i wydatny nos. Później znów wszystko objęła ciemność, jeszcze głębsza niż przed chwilą.

- Przepraszam - wyszeptał. - Dawno temu zraniłaś się w nogę? Skalczyłaś ją czy stanęłaś na coś ostrego?

- Tak. Byłam w stajni i stanęłam na gwóźdź. Przebił mi stopę na wylot. - Z trudem powstrzymała drżenie na wspomnienie długich dni, które przeleżała w gorączce po tym wypadku. - Proszę nie zwracać na to uwagi.

- Pozwoli pani, że dokończę to, co zaczęło pani ciało - odparł spokojnie.

- Jak to? Przecież ta rana jest zaleczona od lat.

Gładko przycięty paznokieć przesunął się wzdłuż starej rany, potem wzdłuż łydki aż po kolano. Thyatis syknęła pod jego dotykiem. Ból sięgnął głębiej niż tylko do wnętrza stopy.

- Widzi pani? Tu wciąż jest guz po starej ranie. Zlikwiduję go, jeśli pani pozwoli. Poczujecie różnicę, obiecuję to. Stare rany wciąż żyją w ciele, nawet jeśli ich nie widać, zakłócają jego równowagę. Dziwne bóle głowy, zawroty, duszności...

Thyatis przyciągnęła kolana pod brodę. Kapłan usiadł na ławce naprzeciwko. Przez chwilę oboje milczeli. Nawet myśl o czarach, które miały jej przynieść jedynie uzdrowienie, napełniała Thyatis strachem. Nie wyobrażała sobie, by mogła wyzbyć się kontroli nad własnym ciałem i oddać ją obcemu człowiekowi, nawet jeśli wydawał się miły. Dotyk jego dłoni zbyt mocno przypominał pieszczoty Anastazji. Wreszcie, dziwnie przejęta, odparła:

- Nie, dziękuję. Nie uważam tego, za... właściwe.

- Doskonale rozumiem, proszę pani. To sprawa osobista.

Nie jestem żadną panią, chciała powiedzieć, lecz w tej samej chwili polanka wypełniła się żółtym światłem lampy. Thyatis przysłoniła oczy dłonią i podniosła buty. Kapłan spojrział spod przymrużonych powiek na szczupłą postać niosącą lampę.

- Ach, Krista, dawno już nie miałem przyjemności przebywać w twoim towarzystwie.

- Panie - odparła służąca Anastazji, kłaniając się nisko. - Kolacja jest już gotowa. Moja pani prosi, byś zechciał jej towarzyszyć podczas posiłku.

Młody człowiek skrzywił się z niechęcią, lecz wstał z ławki. W świetle lampy Thyatis zobaczyła, że jest wysoki i dobrze zbudowany, i że nosi długie ciemne włosy związane na plecach tasiemką. Ubrany był w szaty filozofa, choć wyglądał raczej jak atleta. Zaczął odwracać się do Thyatis, jakby chciał wyciągnąć do niej rękę, lecz Krista szybko wsunęła się pomiędzy nich.

- Proszę, panie, nie możemy się spóźnić - rzekła z przyjaznym uśmiechem.

Kapłan znów się skrzywił, ale pozwolił, by go odprowadzono. Nim jeszcze opuścili niewielką polanę w środku labiryntu, Krista już opowiadała mu o smakowitych potrawach, jakie księżna przygotowała na kolację. Światło lampy migotało jeszcze przez chwilę między*gałęziami, potem zniknęło. W labiryncie ponownie zapadła ciemność rozpraszana jedynie bladym światłem księżyca.

Thyatis spojrzała na sandały, które trzymała w dłoni, potem postawiła je na ziemi i rozpoczęła zmuśny proces sznurowania.

Choć wszystkie okna wielkiego holu otwarte były na oścież, a pod ścianami stała setka niewolników z wachlarzami, panował tu okropny upał. Thyatis stała w alkowie przy przejściu prowadzącym z kuchni do komnat, w których goście spożywali kolację. Ukryta za zasłoną widziała główną salę, gdzie spoczywała Anastazja i liczne grono jej wielbicieli. Był wśród nich młody kapłan, który zajmował honorowe miejsce na sofie obok gospodyni. Thyatis obserwowała przez chwilę, jak księżna karmi go kawałkami węgorza w galarecie. Ich śmiech wybijał się ponad gwar rozmów innych gości. Thyatis odwróciła się, kręcąc głową.

- Tu jesteś! - Do alkowy wpadła Krista, która niosła właśnie na salę tacę z kawałkami świeżych owoców ułożonych na kształt mapy Achai. Jej drobna twarzyczka płonęła gniewem. - Masz być tam, przy pani, zabawiać gości!

Thyatis jeszcze raz zerknęła do sali jadalnej przez szparę między zasłonami.

- Myślę, że księżna doskonale radzi sobie sama - odparła cierpkim tonem.

Krista oparła tacę na półce i potarła obolałe ramiona.

- To nie pani ma to robić, tylko ty - syknęła. - To ty masz być tajemniczą siostrzenicą we wspaniałej sukni na równie wspaniałym ciecie. To ty masz co chwila upuszczać kawałki węgorza i pochylać się, żeby podnosić je z podłogi.

- Ja? - parsknęła Thyatis. - Ostatnie tygodnie chyba wyraźnie pokazały, że nie potrafię być czarująca i uwodzicielska. Sama powiedziałaś, że jestem drętwa i nie mam poczucia rytmu.

- Ja jestem niewolnicą, idiotko! Mogę zaciągnąć księcia do łóżka, ale

nie mogę za niego wyjść, to chyba oczywiste, co? - wściekała się Krista, gwałtownie przy tym gestykując.

Thyatis wpatrywała się w nią ze zdumieniem.

- Książę?

Krista przewróciła oczami, a potem ostrożnie odchyliła zasłonę i wskazała na sofę Anastazji.

- To on, ty krowo, ten, z którym byłeś w ogrodzie. Przez chwilę nawet myślałam, że jesteś taka sprytna i zaciągnęłaś go w ten pusty zakątek, zanim jeszcze ktokolwiek się zorientował, że przyszedł na przyjęcie. Ale ty nie wiedziałaś nawet, kim on jest... - Krista opadła ciężko na stołek pod ścianą, a jej twarz wyrażała tym razem bezdenną rozpacz. - Niech Minerwa ma nas w swojej opiece, jesteś taka... taka... nawet nie wiem jaka. Pokazujemy cię na lewo i prawo, ale ciebie to wcale nie obchodzi! - Krista wzięła w palce śliwkę przyciętą na kształt greckiej świątyni i zaczęła ją podjadać. - To się nie uda, nie ma szans.

Thyatis wciąż patrzyła na salę jadalną, osłupiała ze zdumienia. Po chwili odwróciła się do Kristy.

- To jest książę? Ten, którego księżna od tygodni próbowała ściągnąć na to przyjęcie, żebym mogła zaprezentować się przed nim jak najlepsza mleczna krowa w stadzie?

Krista skinęła głową.

- Można to i tak ująć - odparła.

- On jest kapłanem! -W głosie Thyatis pojawiły się pierwsze nutki gniewu. - Mam uwieść kapłana? To nielegalne! Zamkną mnie w jakiejś dziurze w ziemi i zagłodzą na śmierć.

- Cicho! Tak karzą tylko westalki! - syknęła Krista znad śliwek. - Twoim obowiązkiem jest spełniać wszystkie rozkazy pani. Możesz być jej wychowanką czy członkiem rodziny, ale nadal dla niej pracujesz. Tego wieczora oznacza to, że masz przyciągnąć i zatrzymać uwagę tego młodego człowieka, który pewnego dnia, jeśli sprawy potoczą się tak, jak przewiduje to pani, zostanie cesarzem. Wtedy ty będziesz cesarzową, jeśli zdołasz nakłonić go do małżeństwa, co jak widzę, będzie bardzo, ale to bardzo trudne.

- Nie chcę być cesarzową, ty głupia dziewczko! Chcę wrócić do tego, co robiłam do tej pory i co lubiłam robić!

- Cóż, panno Chcę-robić-co-lubię, masz wobec księżnej ogromny dług, więc sugeruję, byś poprawiła włosy, przykleiła sobie do tej chłopskiej twarzy miły uśmiech i zabrała się do roboty, nim pani znudzi się czekaniem na ciebie i rozpocznie orgię z tym stadkiem młodych chłopców. Inaczej trafisz z powrotem na targ, a tam nie będziesz już miała żadnego wyboru!

Thyatis zmrużyła oczy, a jej ręka wystrzeliła do przodu niczym wąż, przygniatając szyję Kristy do ściany. Thyatis pochyliła się niżej, obnażając zęby w złowrogim uśmiechu.

- Pamiętaj, czym się zajmuję, dziewczynko? - wyszeptała. - Nie

próbuj mnie straszyć opowieściami o moich długach z przeszłości, albo trafisz do Cloaca Maxima i spłyniesz do Tybru. - Delikatnie wypuściła szyję Kristy z żelaznego uścisku i podniosła dziewczynę ze stołka. - Masz tu swoją tacę. Nie upuść jej.

Krista zacisnęła usta i wygładziła tunikę. Przez moment Thyatis myślała, że niewolnica ją zaatakuje, ta jednak tylko pokręciła głową.

- Możesz porozmawiać o tym z panią - powiedziała Krista, błyskając oczami, a potem wyszła z alkowy.

Na podłodze w rogu alkowy stał wiklinowy kosz z dzbanami wina. Thyatis pochyliła się i wyciągnęła jeden z nich. Czubkiem paznokcia ściągnęła woskowe zamknięcie i pociągnęła bardzo długi łyk. Było to gęste, żywiczne wino z Grecji. Upiła jeszcze jeden łyk, potem odstawiła dzban. Poprawiła włosy, wygładziła suknię i sprawdziła, czy wszystkie bransolety i pierścienie są na miejscu. W końcu odsunęła zasłonę i wyszła na korytarz.

Zabawiaj księcia, pomyślała. Ściągnij na siebie jego uwagę. Dobrze.

UJŚCIE OJCA RZEK

SM inęły trzy wschody Re, a dółka wpłynęła na zatłoczone wody delty. Setki okrętów, barek i tratw płynęły w górę i w dół wielkich arterii Nilu. Dółka przeciskała się między nimi, omijając zręcznie ogromne barki z kamieniem i trypoziomowe galery rządu cesarskiego. Wreszcie w ciężki, ogłupiający żar południa wdarł się świeży północny wiatr, niosąc ze sobą zapach morza. Kapitan da"wy był ogromnie zadowolony, że udało mu się tak szybko dotrzeć do stolicy.

Wkrótce ochrypl od wydawania komend leniwej hałastrze, którą nazywał załogą. Pod wieczór dopłynęli do miejsca, gdzie rzeka rozszerzała się na wysokości miasteczka Fuwa, a przy zachodnim brzegu wznosiły się granitowe wrota śluzy Kanału Aleksandryjskiego. O tak późnej porze dnia nie było tu praktycznie żadnego ruchu, kapitan odmówił więc żarliwą modlitwę dziękczynną do patrona wędrowców. Jego mały okręt przechylił się na burtę, przeciął wąski pas szybszego nurtu i zanurzył się w ciemności pod łukiem wrót śluzy. Kanał odsuwał się od Nilu i biegł prosto przez centrum Aleksandrii do większej czy też, jak nazywali ją inni, wojskowej przystani. Ta droga zastrzeżona była jednak wyłącznie dla galer wojskowych. Kapitan wydał usta w zamysleniu, opierając się o ster i przeprowadzając okręt przez drugie wrota.

Początkowo zamierzał zakończyć podróż, cumując przy magazynach cechu w mniejszej przystani, zwanej też kupiecką, i tam wyładować to-

wary, które przywiózł z południa. Chłopak z domu czarowników i jego dziwna choroba wykluczały jednak taką możliwość. Kapitan podrapał się po wygolonej głowie i spojrzął na szopy i niszczące budynki z cegły ciągnące się wzdłuż brzegu kanału. Dała halsowała pod wiatr, w dodatku przeszkadzał jej coraz silniejszy prąd płynący w przeciwnym kierunku, od strony ujścia kanału do morza.

Kapitan przekazał ster oficerowi i zszedł po drabinie do niskiej kajuty na rufie łodzi. Pod tylną ścianą kajuty leżał chłopiec owinięty w koce. Miał otwarte oczy, jego wzrok był jednak mętny, rozmyty. Kapitan dotknął jego czoła, było gorące i wilgotne. Kapitan pokręcił głową i wytarł dłoń o tunikę. Stary czarownik kazał mu dostarczyć chłopca do wielkiej cytadeli wojskowej wznoszącej się nad drugą, czy też większą, przystanią Aleksandrii. Ponieważ nie mógł zawinąć prosto do tej przystani, musiał popłynąć do mniejszej przystani, potem zawrócić, opłynąć obie przystanie, minąć *pharo* i dopiero wówczas wejść do przystani wojskowej.

Potań brodę w zamyśleniu. To zajęłoby mnóstwo czasu, a do tego musiałby więcej zapłacić tragarzom portowym, by pracowali dłużej, albo poczekać z rozładunkiem do rana. Kapitan pokręcił głową, chcąc oczyścić umysł, i spojrzął z niesmakiem na chłopca, który pomimo ciepłego okrycia drżał na całym ciele. Musi być jakiś inny sposób, pomyślał, a potem wspiął się z powrotem na pokład.

SZKOŁA PTHAMESA

Q j\ iedy Re krył się w warstwie gęstej mgły i dymu zalegających i Vnad Aleksandrią, ostatnie promienie złotego boga przesuwają się po wybielonych ścianach pokoju Ahmeta. Młody mistrz leżał na przyczym, opierając stopy na drewnianym oparciu. Na jego twarzy malował się wyraz głębokiej troski. Ciemnobrązowe oczy śledziły przesuwające się po ścianie pasy światła, lecz ich delikatne piękno ani odrobinę nie poprawiało mu nastroju. Wreszcie wstał, nie mogąc znieść poczucia ogromnego ciężaru, który przytłaczał jego duszę.

Kiedyś to coś dla mnie znaczyło, myślał rozglądając się po pokoju. Kiedyś to wszystko mnie cieszyło.

Stał przy oknie i oparł dłonie o drewniany parapet. Re chował się już za zachodnimi wzgórzami, zostawiając na ciemniejącym niebie wspaniałe fioletowopurpurowe malowidło. Po chwili w ciemności rozbłysły pierwsze gwiazdy. Wiatr wiejący od pustyni przyniósł zapach majeranku i oliwek. Z kuchni dochodziły dobrze mu znane odgłosy, szcęk naczyn i radosne okrzyki chłopców, którzy po skończonych zajęciach biegli na posiłek.

Ahmet spojrział w dół, widział, jak w ciemności przesuwają się jasne plamy ich tunik, które w pobliżu świec zatkniętych przy wejściu do holu nabierały wyraźnych kształtów. Stał tak przez długi czas, aż bóg zanurzył się całkowicie w świetle cieni, a pomruk głosów uczniów i nauczycieli świadczył o tym, że wszyscy znaleźli się już w jadalni. Jego myśli, tak do tej pory posępne i splątane, wyprostowały się wreszcie, doprowadzając do nieuniknionej konkluzji. Po długim czasie zaakceptował ją wreszcie, a jego umysł odzyskał spokój.

Młody mistrz odwrócił się od okna, zanurzył w ciemności pokoju. Nie zapalając światła, którego wcale nie potrzebował, odszukał cedrowy kufer, który przysłała mu jego wioska, gdy osiągnął trzeci krąg. Uniósł ciężkie wieko i zaczął wyjmować schowane w skrzyni przedmioty. Oddychał teraz równo, spokojnie, a dręczący go dotąd ciężar powoli zaczął się unosić znad jego barków.

ALEKSANDRIA

JVad miastem zapadły już ciemności. Da"wa sunęła powoli przez wody kanału, a żeglarze stojący na jej dziobie i rufie z długimi wiosłami w rękach pilnowali, by nie uderzyła w wyłożony ceglami brzeg. Po obu stronach kanału wznosiły się teraz wyższe, dwu- lub trzypiętrowe budynki, a światła płonące w ich oknach odbijały się w powierzchni wody. Powietrze wypełniał pomruk wielkiej metropolii, głosy dziesiątek tysięcy ludzi. Kapitan znów stał przy sterze, a jego ciemna twarz błyszczała w światłach tawern i domów publicznych usytuowanych nad brzegiem kanału. Czuł się teraz znacznie lepiej, pozostawiwszy za sobą ogromne połacie otwartej pustyni.

Omówił problem chłopca-czarownika ze swoim oficerem, który podsunął mu proste rozwiązanie. W miejscu, gdzie kanał cywilny łączył się z wojskowym, stała ufortyfikowana brama, w której stacjonował oddział legionistów sprawdzający okręty wpływające na teren wojskowy. Mogli tutaj zostawić chłopca i mieć pewność, że żołnierze oddadzą go we właściwe ręce.

Kapitan da"wy wpatrywał się w mgłę zalegającą nad kanałem. Po chwili ujrzał płomień, które mogły być pochodniami zatkniętymi przy bramie. Rzeczywiście, kiedy defwa opłynęła wielką barkę zacumowaną przy brzegu kanału, wyrosły przed nimi bliźniacze wieże i wysoki mur bramy, oświetlone jasno blaskiem pochodni i ogniska płonącego na brzegu. Brama była zamknięta.

- Uwaga, nabrzeże! - krzyknął oficer do ludzi stojących na dolnym pokładzie. Ci naparli na trzymane w rękach wiosła, próbując wyhamo-

wać okręt. Chwilę później dziób uderzył ze zgrzytem w kamienne nabrzeże, a załoga uspokoiła rozkołysaną dławę. Kapitan zszedł na niższy pokład, a potem na okryte mchem kamienie nabrzeża.

Za ogniskiem i skrawkiem otwartej przestrzeni stała wartownia przytulona do masywnego cokołu wschodniej wieży. Pod jedną z pochodni, na trójnogich drewnianych stołkach siedzieli dwaj legioniści o długich brodach splecionych w warkocze. Słyszając kroki, podnieśli wzrok na kapitana, a jeden z nich wstał z miejsca. Był wysoki i potężnie zbudowany, jego ręce wyglądały jak kolumny świątyni. Legionista zrobił krok do przodu i zadał jakieś pytanie.

- Witajcie, szlachetni legioniści - odparł kapitan najlepszą greką, na jaką było go stać.

Legionista znów coś powiedział i przekrzywił głowę. Kapitan zaklął pod nosem. Czy cesarstwo nie mogło wysłać do Aleksandrii żołnierzy, którzy znaliby choć trochę cywilizowaną mowę? Trzeba było wielu gestów, pantomimy i okrzyków, nim żołnierze zrozumieli wreszcie, że kapitan dawny ma coś dla nich w swej łodzi.

Tymczasem oficer przeszukał ubranie i torbę Dwyrina, zabierając jedzenie i wszystko, co mogło mieć jakąś wymierną wartość. Wykonawszy to ważne zadanie, owinął chłopca w koc i wyniósł na nabrzeże; w samą porę, bo kapitan odchodził już od zmysłów. Dwaj jasnowłosi olbrzymi śmiało się i krzyczeli na niego. Ujrzawszy chłopca, kapitan przekazał go większemu z żołnierzy, wymachując mu przy tym przed oczami pakunkiem zawierającym instrukcje, jakie otrzymał od starca ze szkoły czarowników.

Saemund, *ouragos* legionu Secunda Triana, patrzył w osłupieniu na plecy dwóch drobnych mężczyzn, którzy wracali do swojej łodzi. Na początku myślał, że to jacyś miejscowi kupcy, którzy chcą mu coś sprzedać, próbował im więc wytłumaczyć, że poprzedniego wieczora przegrał wszystkie pieniądze w kości. Pokręcił głową z niedowierzaniem i odwinął wielki, ciężki pakunek, który mu podali. Throfgar, jego towarzyszy broni, odwracał na wszystkie strony arkusz papirusu, próbując odgadnąć, gdzie jest początek, a gdzie koniec dziwnych znaków, jakimi pokryta była jego powierzchnia.

- Ach, bracie - wykrzyknął Saemund, odsłaniając zaczerwienioną i spoconą twarz Dwyrina. - Zostawili nam podrzutka!

Throfgar przyglądał się chłopcu w zdumieniu, bo jego długie, rudozłote warkocze oznaczały, że pochodzi z północy, tak jak on sam. Podrapał się po brodzie w zamyśleniu.

- Może to syn któregoś z naszych? - podsunął.

- Chyba nie, nigdy dotąd go nie widziałem - odparł Saemund, przenosząc chorego chłopca do strażnicy. Tam ułożył go delikatnie na pryczy pod ścianą małego pomieszczenia o poczerniałych od dymu ścianach. Opatulił go szczelnie kocem, a potem odwrócił się do Throfgara, wyłamując z zakłopotaniem wielkie palce.

4 - Powinniśmy zameldować o tym *tetrarchosowi* - powiedział. - Zostanę tu na straży, a ty idź do Tapezosa i powiedz mu, co się stało.

Throfgar skinął głową i wrzucił papirus do skrzynki z podpałką stojącej obok niewielkiego paleniska. Przeszedł na drugą stronę pokoju i wspiął się na wąskie, strome schody prowadzące do masywnych drewnianych drzwi. Uderzył w nie kilkakrotnie pięścią i poczekał, aż ktoś po drugiej stronie odsunie wąską metalową zasuwę umieszczoną na wysokości oczu.

- Ej, Tapezosi - zadudnił Throfgar - powiedz *tetrarchosowi*, że mamy dla niego gościa.

Tapezos mruknął coś w odpowiedzi i zasunął wizjer. Throfgar wruszył ramionami i ruszył w drogę powrotną. Saemund powrócił w tym czasie na swój posterunek przy nabrzeżu. Throfgar jeszcze raz obejrzał chłopca, który pojękiwał cicho pod jego dotykiem, a potem dołączył do towarzysza.

Jakiś czas później wewnętrzne drzwi wartowni otworzyły się z głośnym skrzypinięciem, a na nabrzeże wyszedł Michel Pelos, głośno ziewając i przecierając zaspane oczy. Throfgar i Saemund uśmiechnęli się szeroko do Greka, który poprzedniego wieczora wypił trochę za dużo wina. Michel potarł swe szczupłe, poznaczone bliznami policzki i poprawił pas z mieczem.

- No i czemu tak szczerzycie zęby, idioci? - warknął na swych żołnierzy po łacinie.

Saemund wskazał na stróżówkę.

- Tam jest paczka dla ciebie - powiedział.

Michel spojrzał krzywo na obu Skandynawów, a potem wrócił do wnętrza stróżówki, skąd za chwilę dobiegły głośne przekleństwa. Gdy ponownie wyszedł na dwór, nie wyglądał na rozbawionego.

- Bardzo zabawne. Może i jestem Grekiem, ale to nie znaczy jeszcze, że lubię młodych chłopców.

Throfgar zarechotał jak chory wielbłąd. Saemund także się uśmiechnął, dostrzegł jednak, że *tetrarchos* robi się czerwony na twarzy. Uderzył swego towarzysza w ramię, by go uciszyć, a potem powiedział *tetrarchosowi*, co się stało.

- Hm... - Michel zastanawiał się przez chwilę nad całą sytuacją. - Podrzutek, ale prawdopodobnie nie obywatel. I do tego ciężko chory. No cóż, niewiele możemy dla niego zrobić. Poślę gońca do centuriona, niech on się tym martwi.

Jakiś czas później dwaj lekarze wojskowi zabrali chłopca ze stróżówki. Wciąż był nieprzytomny i gorączkował. Saemund i Throfgar skończyli do tej pory wartę i zeszli z posterunku. Ich zmiennicy rozpalili ogień w palenisku, wykorzystując do tego papirusowy arkusz.

WILLA ŁABĘDZI

∨ nastazja jęknęła teatralnie i nakazała gestem służącej, by ta po-
y\ łożyła jej na czole kolejny zimny okład.

**~^ - Okropny żar - jęczała. - Jak w kuźniach Wulkana.

Thyatis, siedząca obok łóżka na niskim stołeczku, obserwowała ką-
tem oka Kristę. Młoda niewolnica uklękła przy swej pani i zręcznie wy-
dobyła z dzbanka okład nasączony zimną wodą. Inny niewolnik, przy-
stojny młody Nubijczyk w krótkiej tunice, wachlował swą panią wielkim
wachlarzem ze strusich piór.

Wreszcie Anastazja usiadła prosto, pozwalając, by najpierw Krista
ułożyła poduszki pod jej plecami. Tuż obok stała porcelanowa miseczka
ze świeżymi czereśniami, na wypadek gdyby pani domu poczuła się le-
piej i zechciała coś przegryźć. Anastazja, która wróciła przed chwilą
z urzędów, ubrana była elegancko, lecz zarazem skromnie. Ponure kolo-
ry, skromny dekolt, delikatny makijaż. Thyatis miała wrażenie, że dopie-
ro teraz, w przytłumionym świetle salonu, w otoczeniu fresków przedsta-
wiających leśne zwierzęta, nimfy i centaury, widać, że księżna nie jest
już najmłodsza. W jej oczach widać było znużenie, którego nie mógł
ukryć nawet najlepszy i najstaranniej dobrany puder. Thyatis wyprosto-
wała się i przybrała poważną minę, gdy spoczęło na niej zmęczone spoj-
rzenie Anastazji.

Księżna pokręciła powoli głową, a potem sięgnęła po czereśnię do
porcelanowej miseczki.

- Obawiam się, że źle cię oceniłam, moja droga. Mój zmarły mąż,
kiedy zdecydował się przyjąć mnie jako partnera i współnika w interesach,
powiedział na samym początku: dobieraj właściwie narzędzia do
zadań.

Thyatis skuliła się wewnątrz ze strachu. Klęska przyjęcia wyda-
nego na cześć księcia wydawała jej się do tej pory raczej drobnym nie-
powodzeniem, lecz teraz nabrała znacznie poważniejszego charakteru.
Dziewczyna miała ochotę wybuchnąć płaczem, powstrzymała jednak ja-
kось łzy napływające do oczu. *To nieuczciwe! Robiłam, co mogłam... to nie
moja wina, że nie wiem, jak czarować mężczyzn!*

Anastazja pochyliła się niżej, wciąż wpatrzona w Thyatis.

- Przepraszam, że źle cię wykorzystałam.

Sens wypowiedzianych cichym głosem słów dopiero po dłuższej
chwili dotarł do świadomości Thyatis. Gdy się to stało, dziewczyna
uśmiechnęła się radośnie, potem jednak ponownie przybrała poważną
minę. Anastazja skinęła głową, sięgnęła po kolejną czereśnię i obraca-
ła ją powoli w palcach.

- Masz wspaniałe umiejętności, umiejętności, które bardzo wyso-

ko cenię, ale które nie mogą ci się przydać w osiągnięciu tego właśnie celu. Wydawało mi się wcześniej, że warto zaryzykować, ale taktyka uwodzenia i miłosnych intryg to nie to, czego uczyłaś się na moje polecenie przez całe pięć lat. Jesteś ogromnie utalentowana, ale w innym kierunku. To był błąd z mojej strony, błąd, którego już nie powtórzę. Przyznaję, że kiedy dowiedziałam się, co zaszło tej nocy, byłam wściekła.

Spojrzała gniewnie na Kristę, która ukorzyła się przed nią, składając głęboki pokłon. Nim czoło niewolnicy dotknęło bladoróżowych płytek podłogi, Thyatis dostrzegła na jej ustach uśmiezek samozadowolenia. Tymczasem Anastazja mówiła dalej:

- Skoro już po kilku tygodniach zabiegów udało mi się zwabić go do domu na całą noc, powinien był spędzić ją z tym, z kim miał to zrobić, a nie z jakąś sprytną niewolnicą. - Księżna westchnęła ciężko. - Nieważne, grunt, że wyszedł stąd zadowolony. Okazuje się, że to i tak był całkiem niezły rezultat.

Tym razem to Thyatis pochylała głowę, by ukryć wyraz ulgi, że nie będzie zmuszona uwodzić księcia na oczach dwudziestu czy trzydziestu innych arystokratów. Tylko wyraźna konsternacja księcia i sprawna interwencja Kristy, która w sam czas rozsypała na podłodze zawartość tacy z owocami, uratowały ją przed ucieczką z sali jadalnej i przed całkowitą kompromitacją.

Anastazja westchnęła ponownie i zamyślona ułożyła się wygodniej na sofie. Krista, wciąż przygięta do podłogi, zaczęła się powoli wycofywać z pola widzenia swej pani. Księżna milczała przez chwilę, nawijając na palec pukiel swych czarnych włosów, potem puściła go wolno. Patrząc na jej twarz, Thyatis domyśliła się, że księżna podjęła właśnie jakąś decyzję.

- Dzisiaj - zaczęła Anastazja rzeczowym tonem - cesarz wezwał mnie do urzędów i przedstawił mi... prośbę... do mnie i do tych, którzy mi służą. Wkrótce rozpocznie ogromną operację wojskową, by pomóc cesarzowi Wschodu. Prosił mnie, bym dostarczyła mu kilka osób o pewnych umiejętnościach, które to osoby miałyby służyć mu podczas ekspedycji. Myślę, że wśród nich znajdziesz się ty, Thyatis, i twój wierny przyjaciel Nikos, jako że praca... hm... kuriera, będzie odpowiadała ci bardziej niż to, co miałabyś robić tutaj. Z początku może nie będziesz czuła się najlepiej w dziedzinie, która jest domeną mężczyzn, ale jestem przekonana, że sobie z tym poradzisz.

Thyatis ogarnęła ogromną ulgą i radością. *Wróć do dawnej pracy i to z Nikosem u boku!* Na myśl o tym, że znów zawiesi miecz u pasa i włoży wygodne stare buty, robiło jej się przyjemnie jak po butelce wina. *Dość tych przeklętych perfum i niewygodnych sukni! Dość służących, które latały wokół niej jak natrętne muchy, gdy nie usiadła dość elegancko...*

Anastazja uśmiechnęła się, widząc ogromną radość na twarzy swej podopiecznej. Potem przybrała groźną minę i pogroziła siedemnastolatce palcem:

- Uspokój się, moja droga. Już niedługo będziesz w Konstantynopolu.

MORZE CIEMNEGO WINA, NA PÓŁNOC OD KONSTANTYNOPOLA

5 krzypienie lin i tupot bosych stóp o drewniany pokład wyrwały Dwyrina z rozgorączkowanego snu. Otaczała go ciemność i okropny smród. Był ogromnie spragniony. Burza kolorów, które zaćmiewały mu wzrok przez tak długi czas, wreszcie zaczęła ustępować. Zaczynał uświadamiać sobie, że niedostatki, jakich doświadczało jego ciało, zaczęły wyostreżać umysł w miarę utraty sił fizycznych. Próbował usiąść prosto. Usłyszał brzęk łańcuchów, a na jego gardle zacisnęła się metalowa opaska. Upadł do tyłu, uderzając głową o deski. Dokoła słychać było pomruki i sapanie śpiących ludzi. Podniósł rękę do szyi i przekonał się, że oplata ją metalowa obroża. Od pierścienia przyspawanego do obroży biegł ciężki, gruby łańcuch. Z ciemności powyżej dobiegały jakieś krzyki i szum morza. Straszliwy smród uderzył w jego nozdrza.

Niech Macha ma mnie w swej opiece! - jęknął jego umysł. To statek niewolniczy!

W jego polu widzenia znów zaczęło pojawiać się światło, a zalegająca wokół ciemność wypełniła się fantastycznymi kształtami. Sylwetki uspiomych ludzi świeciły najpierw na złoto, potem na niebiesko, wreszcie rozbłysły połyskującą czerwienią. Na czerwono jawiły mu się także ogniwa łańcucha. Dwyrin próbował oczyścić umysł, skupiając się na medytacjach i rytach, których nauczył go Nefet. Dzięki nim już po chwili ujrzał wszystko „czystym wzrokiem”, który tak często ćwiczyli w szkole Pthamesa. Ogniwa łańcucha w jego dłoniach były teraz doskonale widocznie, wyjątkowo wyraźne. Przesuwał po nich palcami, aż natrafił na ogniwo o innej barwie.

Nie potrafię w harmonii z pozostałymi, pomyślał. Napał myślą na żelazo ogniwa, a przecinająca je poszarpana, fioletowa szrama zapłonęła nagle oślepiająco jasnym żarem. Żelazo rozpadło się w jego rękach na pół. Dwyrin przestraszył się nagle, że ktoś go zobaczy i dopiero po chwili zaczął przesuwac łańcuch przez żelazne kółko przy obroży. Wkrótce był już wolny.

Wstał, upewniwszy się najpierw, że nikt go nie widzi. Dokoła leżały setki innych więźniów, pogrążonych w głębokim śnie. Kilkanaście stóp dalej znajdowało się przejście, wąska ścieżka biegnąca przez środek ła-

downi. Od tego miejsca dzielił go dywan ciasno zbitych ciał. Za plecami miał ścianę z grubych dębowych desek. Nad nim znajdowały się belki głównego pokładu, w których tkwiły grube żelazne haki.

Dwyrin ocenił wzrokiem odległość, potem skoczył i pochwycił pierwszy z haków. Przytrzymując się jedną ręką, drugą szukał kolejnego punktu zaczepienia. Przez moment wisiał zawieszony na czterech palcach, drżąc z wysiłku. Wreszcie druga dłoń natrafiła na następny hak. Podciągnął wyżej stopy, uchwycił się mocno następnego haka i przerzucił ciężar ciała. Szczęśliwym trafem niemal natychmiast odszukał kolejny, a potem czwarty i wreszcie mógł zeskoczyć na wolną od ciał więźniów powierzchnię. Okręt zaskrzypiał i zajęczał głośno, wspinając się na jakąś większą falę.

Dwyrin przykucnął i próbował uspokoić oddech. Drżały mu ręce i miał zawroty głowy. Mimo to po chwili wstał i przebiegł na drugą stronę ładowni. Przez otwarty właz ujrzał skrawek nieba i gwiazdy migocące między żaglami, które niosły okręt na północ. Powoli wspiął się na drabinę prowadzącą na główny pokład.

Ostrożnie wysunął głowę na zewnątrz i rozejrzał się dokoła. Przed sobą widział wysoką rufę okrętu z dwoma wielkimi wiosłami sterującymi po obu stronach. Pośrodku, w osłonie z zielonego szkła, płonęła migotliwa lampka. Nocny wiatr niósł jakieś przytłumione głosy. Dwyrin obejrzał się za siebie, na główny pokład, niewiele jednak zobaczył, tylko sterty jakichś towarów obwiązane siecią. Po cichu wyczołgał się z ładowni i podpełzł do burty. Poniżej przesunęło się morze, ogromna głębia przetykana błękitnymi płomieniami i fioletowymi obłokami. Grzbiec fal lśnił bladoniebieskim ogniem. Kolory zaczęły wylewać się z kątek jego oczu, oślepiając go.

Po chwili wspiął się na nadburcie, przytrzymując się jednej z lin biegnących od krawędzi okrętu do najbliższego masztu. Wpatrzony w morze widział pulsującą otchłań światła i cieni. W jej głębiach widać się ogromne stworzenia morskie, tak dziwaczne, że nie umiałby sobie ich wyobrazić. Wydawało mu się, że spada, uchwycił się więc mocniej liny. Z dala, jakby z głębi jakiegoś snu, dobiegły go krzyki. Wreszcie zdołał się uspokoić na tyle, by puścić linę.

Pochwyciły go jakieś ręce, szorstkie i mocne, wciągnęły go z powrotem na pokład. Otaczały go jakieś dźwięki i słowa, których nie rozumiał. Próbował walczyć, uderzał słabo pięściami. Coś twardego uderzyło go w twarz, a ból na moment znów przywrócił mu jasność widzenia. Otaczały go twarze brutalnych mężczyzn. Jeden z nich trzymał łańcuchy, inny worek zwrócony doń otworem, który ział niczym paszcza jakiegoś głodnego potwora. Dwyrin krzyknął ze strachu i skupił myśli, kierując je na człowieka, który przygniatał go do pokładu. Znowu ujrzał jasny, oślepiający blask, a potem noc wypełniła się straszliwym wyciem. Człowiek, który przyciskał go do pokładu, odsko-

czył do tyłu, jego głowa spowita była jasnym białym płomieniem. Próbował krzyczeć, lecz ogień wżerający się w jego piersi pochłonął całe powietrze z płuc. Pozostali marynarze rozpierzchli się w przerażeniu. Płonący człowiek biegł przed siebie, wymachując na oślep rękami.

Dwyrin odpełził na bok, szukając schronienia w jednej z wielkich bel przywiązanych do pokładu. Nagle jakaś żelazna dłoń pochwyciła go za gardło. Wciąż osłabiony, próbował oderwać ostre jak szpony palce od tchawicy. Nadaremnie. Czuł jeszcze przez moment, że brakuje mu tchu, a potem na powrót zapadł w głęboką ciemność.

URZĘDY, PALATYN, ROMA MATER

W odróżnieniu od świecącego pustkami, odizolowanego Domu Letniego w Kurne, urzędy pałacu wypełnione były tłumem biurokratów, liktorów, wszelkiego rodzaju petentów, urzędników cesarskich, pretorianów w czerwonych płaszczach, cudzoziemców i niewolników.

I

Maksjan stał przez chwilę na schodach czegoś, co niegdyś było świątynią Czarnego Kamienia, wzniesioną na wielkim naturalnym podwyższeniu, na północ od Palatynu. Obecnie świątynia była siedzibą wielu różnych ambasad, zarówno obcych państw, jak i miast i prowincji należących do cesarstwa. W górę i dół schodów płynął nieprzerwany strumień ludzi, spieszących wąskim przejściem do wysokiego łuku i bramy, które prowadziły do urzędów cesarskich. Młody uzdrowiacz ubrany w niepozorną tunikę i pelerynę oparł się o kolumnę, kryjąc się w jej słabym cieniu. Powietrze było gorące i wilgotne, przesycone wyciewami tysięcy spoconych ludzi załatwiających w pośpiechu sprawy. Młodzieniec patrzył z góry na głowy petentów znajdujących się na niższych stopniach, szukając mężczyzny, z którym przyszedł się zobaczyć. Choć dysponował dość dokładnym opisem - wysoki, żółtawe włosy, krzywy nos - wciąż nie mógł go znaleźć.

Dokuczliwy upał nie wpływał dobrze na jego nastrój, który od jakiegoś czasu był raczej kiepski. Wciąż dręczyły go wspomnienia z Ostii, teraz przetykane fragmentami wizji, której doznał w małej świątyni w Kurne. Ciągle miał wrażenie, że coś łączy ze sobą oba te zdarzenia, i spędzał całe dni w Cesarskich Archiwach, próbując dowiedzieć się, co mogło spowodować taką śmierć Dromia i całej jego rodziny. Poza tym wciąż nie mógł przekonać się do planów swego brata, który wraz z Cesarstwem Wschodnim zamierzał uderzyć na Persję. Potarł oczy wierzchem poplamionej atramentem dłoni. *Gdzie jest ten Bryt?*

Stary Petroniusz, z biblioteki na tyłach term Karakalli, zaoferował mu pomoc tego cudzoziemca i zaaranżował to spotkanie. To dziwne, że ów Bryt, Mordius, chciał spotkać się na zatłoczonym placu - chyba znacznie wygodniej byłoby im rozmawiać w jakiejś gospodzie czy domu bankietowym. Nieważne, myślał książę, jeśli tylko odpowie...

- Panie?

Maksjan podniósł wzrok. Ujrzał przed sobą szczupłego blondyna, tak wysokiego, że choć ten stał o stopień niżej, ich oczy znajdowały się na tym samym poziomie. Rzeczywiście, miał krzywy nos, zapewne niegdyś złamany, i długie blond włosy splecione w warkocze. Ubrany był w spodnie i lekką tunikę z bawełny. Obrazu dopełniała mała, elegancko przystrzyżona bródka.

Maksjan spojrział nań spod przymrużonych powiek.

- Ty jesteś Mordius? Bryt?

Nieznajomy uśmiechnął się.

- Tak, panie, ten sam. Petroniusz napisał mi w wiadomości, że mam się tu spotkać z młodym, zmęczonym Rzymianinem o długich włosach. To ty, panie?

Maksjan uśmiechnął się.

- Tak, to ja. Chodźmy do jakiegoś chłodnego i ciemnego miejsca, gdzie mają dobre wino...

j

Jakiś czas później, w zaciszu gospody przy wąskiej ulicy na północ od Koloseum, Mordius wyjawiał mu przy dzbanie taniego wina, że został wysłany do Rzymu, by zarabiać pieniądze dla swych inwestorów z dalekiego Londinium. Mieszkał w mieście od sześciu lat, początkowo zajmował się wysyłką ceramiki i szkła do Brytanii, potem zaczął obsługiwać coraz większe transporty wełny, drewna, bursztynu, żelaza, węgla i cyny, importowanych z mroźnych wysp północy na nienasycone rynki Italii. Ożenił się z Rzymianką i miał małego syna. Po jakimś czasie dołączyła do niego dwójka kuzynów z Brytanii; zajmowali się magazynowaniem i transportem towarów. Mordius miał teraz inne zadanie - pomnażać pieniądze, którymi rozporządzał w samym Rzymie.

Żadna z tych wiadomości nie była zaskoczeniem dla Maksjana. Cudzoziemcy przybywali do Wiecznego Miasta od stuleci w poszukiwaniu pracy i bogactwa. Nieliczni znajdowali jedno i drugie; większość przegrywała i wracała do siebie albo żyła w biedzie na ulicach Subury. Niektórzy wędrowali dalej, szukając nowego Elizjum. Ten pozostał w Rzymie, a sądząc po jego ubraniu, akcencie i zachowaniu, odniósł tu spory sukces.

- W Rzymie nie powiedz się nikomu, kto nie przestrzega pewnych zasad - mówił Mordius. - Przede wszystkim trzeba sobie znaleźć mecenasa, który będzie reprezentował twoje interesy na dworze i który pomoże ci poruszać się w zawiłościach przepisów, przestrzegać prawa

i woli ludu. Ja miałem to szczęście, że poznałem, a może nawet zaprzyjaźniłem się, z Grzegorzem Auricusem.

Maksjan spojrzał nań ze zdumieniem.

- Tym, którego nazywają Grzegorz Magnus? Ten człowiek ma wielkie wpływy w senacie i mieście.

Mordius pokiwał głową.

- Otóż to. Bez jego pomocy wszystkie moje wysiłki spełzłyby na niczym. Gdyby nie on, w Brytanii wykopywałbym teraz korzenie z ziemi.

- Przerwał na moment i uniósł gliniany puchar, który trzymał w dłoni.

- Nawet to wino zostałoby uznane w Londinium za rarytas. Piję za Rzym, za rzymskie słońce i za dobre wino. - Opróżnił kielich. Maksjan przyłączył się do niego, a potem odstawił puchar na stół. - Petroniusz powiedział mi, że napotkałeś na jakieś trudności z realizacją pewnego interesu. Poinformował mnie o tym, kiedy się dowiedział, że sam miał ^m podobne trudności. Wydaje się, że oba te problemy mogą być ze sobą powiązane.

Mordius ponownie napełnił swój puchar, potem podał dzban Maksjanowi, ten jednak odmówił, stawiając puchar do góry dnem. Ostatnie krople wina dołączyły do mozaiki starych plam na blacie stołu.

- Tak, można to nazwać trudnościami - odparł Bryt, posępniejac. - Przepadło prawie siedemdziesiąt tysięcy sestercji zainwestowanych w ten interes. Zginął człowiek, który był mym dobrym przyjacielem. Żadnego śladu wroga, rywała w interesach. Wszystko zamieniło się w popiół w ciągu jednego dnia.

- Pożar? - spytał Maksjan, rozczarowany. Petroniusz sugerował, że było to coś więcej.

- Pożar był później - odparł Mordius. - Józef i jego rodzina byli już wtedy martwi. Powiem ci wszystko, co wiem, co słyszałem i co widziałem. - Bryt usiadł prosto i uniósł wyżej głowę, zmieniła się też intonacja jego głosu. Maksjan pomyślał przelotnie, że jego rozmówca musiał szkolić się kiedyś na oratora. - Zajmuję się wieloma rodzajami działalności handlowej, dwa z nich to import drewna, które cięte jest na deski i używane do wznoszenia budynków, oraz wełny do produkcji grubych płaszczy. Właśnie ze względu na tego rodzaju interesy niemal codziennie spotykam się z właścicielami tartaków i zakładów tkackich. Pięć miesięcy temu każdy z nich opowiedział mi dziwną historię o złotniku, Żydzie, który przychodził do ich zakładów i prosił o resztki. W tartakach prosił o wióry, tkaczy o skrawki materiału. Zaintrygowało mnie to, bo wyczuwam interes, szczególnie nowy interes, z odległości wielu mil. Rozpytywałem tu i ówdzie, wydałem kilka monet i w końcu znalazłem tego złotnika. Nazywał się Józef, a jego warsztat mieścił się w Alsientii, po drugiej stronie Tybru. Biedna okolica, ale dzięki temu mógł pozwolić sobie na warsztat, nie płacąc przy tym wielu łapówek.

Kiedy poszedłem do Józefa porozmawiać o trocinach i skrawkach, był raczej w kiepskim nastroju. Poświęcał cały czas nowemu projektowi, a jego żona zamartwiała się opłakanym stanem interesów związanych z zakładem jubilerskim. Jego synowie i córki całymi dniami siedzieli w warsztacie zajęci przerabianiem resztek, podczas gdy klienci czekali nadaremnie pod drzwiami, a potem, zniechęceni, w ogóle przestali przychodzić.

Nie muszę chyba mówić, że wyglądało to na jakiś wielce obiecujący interes; oczywiście nie znaczy to, że chciałem podpalić jego dom, a potem wykupić go za grosze... Miałem trochę srebra w torbie i gotów byłem mu je oddać w zamian za jego opowieść. Zgodził się i wiem, że był bardziej otwarty w rozmowie ze mną, cudzoziemcem, niż byłby - wybacz panie - w towarzystwie jakiegoś napuszonego Rzymianina. Opowiedział mi więc o wszystkim i zapewniam cię, że było czego posłuchać.

Józef miał brata, Menacjusza, który był skrybą i zarabiał całkiem nieźle w sklepach za Portica Aemilla, przepisując zwoje, listy i tym podobne. Wiem, jak zarabiają na życie skrybowie, sam sporo im zapłaciłem. Tak czy inaczej Menacjusz miał wiele szczęścia, los bowiem obdarzył go trójką synów, a wszyscy trzej obdarzeni byli dobrym okiem i pewną ręką. Byli do siebie bardzo podobni i z wyglądu, i z charakteru, co wielce cieszyło Menacjusza, bo także ich pisma były wręcz nie do rozróżnienia. Mógł zatrudnić wszystkich trzech do przepisywania jednej księgi, tak by każdy z nich pisał jedną trzecią. Trzech skrybów wykona daną pracę trzy razy szybciej niż jeden. Sesterce płynęły więc do niego wartkim strumieniem. Niestety, jak większość dobrych rzeczy na tym świecie, i to musiało się kiedyś skończyć.

Jeden z synów zachorował, a drugi uciekł z jakąś tancerką z Liburnii. Co gorsza, Menacjusz podpisał właśnie kontrakt z zarządcą mennicy na wykonanie siedemdziesięciu kopii kodeksu monetarnego. Miał za to dostać naprawdę dobre pieniądze, ale żeby wygrać przetarg, musiał przystać na bardzo krótki termin realizacji. Kiedy okazało się, że został mu tylko jeden skryba, znalazł się w straszliwym położeniu. Menacjusz był człowiekiem rodzinnym, poszedł więc do Józefa i mu się wyzalił. Józef, któremu nie brakowało ani zręcznych rąk, ani oleju w głowie, zastanawiał się nad tym przez długi czas, aż wreszcie znalazł rozwiązanie. Skoro nie ma już trzech synów, to trzeba uczynić coś, by jeden syn wykonywał pracę trzech. Ich siła wynikała z tego, że mieli mocny, czysty, niezmienny charakter pisma. Krótko mówiąc, Józef wymyślił coś takiego. - Mordius otworzył małą skórzaną torebkę, wyjął z niej jakiś małeńki przedmiot i wcisnął go w dłoń księcia.

Maksjan obrócił w palcach kawałek ołowiu, sześcian nie większy od kości małego palca, z jednej strony płaski z dwoma nacięciami po bokach, z drugiej wypukły. Spojrzał ze zdumieniem na Bryta, który szczyrzył zęby w szerokim uśmiechu.

- Kawalek ołowiu? - spytał Maksjan z niedowierzaniem. Mordius skinął głową. Przesunął dłonią po blacie stołu, oczyszczając go z drobnych śmieci, potem wziął od księcia kawałek ołowiu i zanurzył z jednej strony w swoim winie. Potem, ostrożnie i powoli, przycisnął wypukłą stroną do blatu.

- Spójrz - powiedział, odsuwając dłoń. Maksjan pochylił się nad stołem, próbując dojrzeć coś w półmroku tawerny.

- Alfa - orzekł wreszcie. Na stole odcisnięta była maleńka, niemal idealnie równa literka w barwie wina.

Bryt znów skinął głową.

- Józef i jego synowie zrobili setki takich kawałków, wszystkie litery alfabetu, nawet wszystkie cyfry. Każdy z tych kawałków ma po jednej stronie dwa nacięcia, by można je było wsuwać między miedziane prowadnice i w ten sposób utrzymać w jednej linii. Siedemdziesiąt listew na jednej ramie, każda rama wykonana z drewna z podkładem. Każda rama to jedna gotowa strona liter. - Bryt umilkł, przypatrując się uważnie twarzy Maksjana.

Księżę patrzył nań w osłupieniu. Po chwili miejsce zdumienia zajął strach, a jeszcze później świadomość możliwości, jakie się przed nimi otwierały. Siedział nieruchomo, oszołomiony, niezdolny wydobyć głosu. Mordius sięgnął po jego puchar, napełnił go winem, a potem przysunął w jego stronę. Maksjan mechanicznie sięgnął po kielich i podniósł go do ust.

Po jakimś czasie, gdy mógł wreszcie mówić, spytał:

- I co stało się potem?

Mordius wzruszył ramionami.

- Pojawiły się pewne problemy, to rozumiałe. Papirus nie nadawał się do użytku, zwoje pękały pod naciskiem ram. Żaden atrament nanoszony pędzlem czy piórem nie przywierał do ołowiu, a poza tym za łatwo się rozsmarowywał. Ramy były niewygodne w użyciu, a cały proces trwał tyle, ile czasu potrzebował na przepisanie tego samego tekstu dobrze wyszkolony skryba. Józef, Menacjusz i ich rodziny całymi tygodniami pracowali nad rozwiązaniem tych problemów. To właśnie zaprowadziło Józefa do tartaków i tkaczy. Szukał czegoś, co stanowiłoby lepszy materiał niż papirus. Jego synowie odkryli, że pocięte na drobne wióry drewno zatrzymuje atrament, a delikatne płótno jest na tyle elastyczne, że nie pęka pod naciskiem ram z ołowiem.

W tym czasie byłem już ich partnerem w interesach, choć nie zdradzali mi szczegółów technicznych. Zgodnie z umową miałem prawo wykorzystać ramy do własnego użytku i eksportować wyprodukowane w ten sposób książki na północ. Zwoje droższe są tam od złota i jest ich bardzo niewiele, wiedziałem więc, że zbiję na tym fortunę. Jedna kopia dzieł Platona czy Sofoklesa mogła bez większych nakładów zamienić się w tysiąc kopii, a każda z nich warta jest tyle, co worek srebra.

Zaledwie miesiąc temu przyszedł do mnie jeden z synów Józefa i poprosił, bym wpadł wieczorem do ich warsztatu. Jego ojciec rozwiązał ostatecznie wszystkie problemy techniczne. Tego samego wieczora chcieli wykonać jeden gotowy egzemplarz kodeksu, a całą resztę w ciągu kilku najbliższych dni. Do ostatecznego terminu zostało im już niewiele czasu, musieli więc ogromnie się cieszyć, że zdążyli udoskonalić swój wynalazek.

Kiedy jednak przyszedłem do nich tamtego wieczora, warsztat był zamknięty i ciemny. Pukałem i pukałem, ale nikt nie otwierał drzwi. Wreszcie zobaczyłem mnie jakiś sąsiad i powiedział mi, że cała rodzina zebrała się na wieczorny posiłek, a potem nikt nie wychodził. Pomyślałem, że musiało stać się coś złego, wyważyłem więc drzwi - a w warsztacie jubilerskim nie są to byle jakie drzwi! - i wszedłem do środka. Wyszedłem niemal natychmiast, wymiotując po tym, co poczułem i zobaczyłem. Wszyscy byli martwi, leżeli pośród resztek ich ostatniego posiłku.

Maksjan poczuł nagle, że znów napiera nań jakaś wielka siła, jakby powietrze wokół niego zgęstniało i nabrało ogromnego ciężaru. Przez moment był z powrotem w ciemnej kuchni w Ostii, wciągał Dromia na stół, błagając go, by wytrzymał jeszcze trochę. Drżącymi rękami sięgnął po puchar. Bryt obserwował go spod lekko przymkniętych powiek.

- Widziałem prawie to samo - powiedział Maksjan słabym głosem.
- Niczym bochenki chleba.

- Sąsiad zobaczył, co się ze mną dzieje - kontynuował opowieść Mordius - i wybiegł ze swego domu. Powiedziałem mu, że wszyscy nie żyją i że w środku okropnie śmierdzi. Pomyślał, że to zaraza i uciekł z wrzaskiem. Już po chwili połowa dzielnicy przybiegła tam z pochodniami i wiadrami. Przybyli też wigilowie, ale nie mogli przepchać się przez tłum. Wszyscy wrzeszczeli jak opętani, powtarzając tylko jedno słowo: zaraza. Spalili dom Józefa i dwa sąsiednie. Ja uciekłem, wiedząc, że potem przyjdzie kolej na mnie.

Wróciłem tam kilka dni później. Z domu i warsztatu Józefa została tylko sterta popiołu i kilka tych ołowianych drobiazgów, których na szczęście ogień nie tknął. Wziąłem jeden na pamiątkę, ale nic więcej. Miałem szczęście, że odwiedzałem ich dość rzadko i że tak mało wiedziałem o ich wynalazku. Dzięki temu żyję.

Maksjan wpatrywał się w ołowianą kostkę na stole. Podrapał się po brodzie. Znów miał to dziwne uczucie, jakby coś kryło się przed nim tuż za granicą poznania.

- Nikt prócz mnie i ciebie nie wie o tym wynalazku? Żaden skryba, żaden urzędnik?

Mordius skinął głową.

- Myślałem o tym samym. Ale ci Żydzi to skryci ludzie, nie rozmawiają dużo z obcymi, szczególnie z Rzymianami. Ktoś ich zabił, nie mam

jednak pojęcia kto. Gdyby im się udało, wielu zapewne przeklinałoby ich imię, ale teraz nie wiemy nawet, kto mógł to uczynić.

- Co zamierzasz zrobić?

Bryt parsknął i odstawił kielich.

- Wyjechać. Wrócić do Brytanii i kopać na polach. Walczyć u boku mego ojca i przyrodnich braci. Rzym wydaje mi się teraz zimny, nieprzyjazny. Obawiam się, że nic dobrego z tego nie wyniknie. Dzięki za wino.

Szczupły cudzoziemiec wstał z ławki, pochylając głowę, by nie uderzyć w belki sufitu.

- Dziękuję, że zechciałeś mi o tym opowiedzieć - odrzekł Maksjan, także wstając z miejsca. Sięgnął do mieszka i wyjął dwa soldy, które wcisnął w dłoń Bryta. Mordius uniósł lekko brwi, zaskoczony ciężarem monet, potem uklonił się nisko.

- Panie.

Chwilę później zniknął za drzwiami gospody, w blasku słońca spowijającym ulicę. Maksjan jeszcze przez dłuższą chwilę stał przy stole, patrząc na małą ołowianą kostkę. Wreszcie podniósł ją, schował do mieszka i wyszedł z tawerny. ..

Kiedy Maksjan wszedł do apartamentów tworzących biuro cesarza Zachodu, dobiegł go nietypowy dla tego miejsca dźwięk. Dworzanie i petenci, którzy tłoczyli się w komnatach prowadzących do ośmiokątne-go sekretariatu, przerabiali nerwowo nogami i rozmawiali o czymś przyciszonym głosem. Mijając pretorianów stojących przy wejściu do ośmiokątne-go pokoju, Maksjan uświadomił sobie ze zdumieniem, że jeden z podniesionych głosów należy do jego brata, cesarza. Sekretarza nie było w gabinecie, a wszyscy skrybowie spoglądali czujnie na uchylone drzwi prowadzące do komnat wewnętrznych.

Maksjan przystanął i obrócił się w miejscu. Jeden z pretorianów odwrócił lekko głowę i spojrzał nań pytająco. Maksjan wskazał głową na drzwi oddzielające sekretariat od poczekalni. Strażnicy natychmiast je zamknęli. Pisarze podnieśli wzrok na Maksjana, a potem pospiesznie zabrali się do pracy. Maksjan przeszedł powoli przez pokój, spoglądając na pergaminy i zwoje zalegające na biurkach. Później odszukał zwierzchnika skrybów i przywołał z pamięci jego imię.

- Priksusie, możesz ogłosić przerwę na posiłek. Natychmiast.

Priksus skłonił swą łysą głowę, a potem zaczął odkładać na bok atrament, pióra i inne przybory. Pozostali pisarze, widząc jego poczynania, zrobili to samo. Tymczasem Maksjan przeszedł do sąsiedniego pomieszczenia i starannie zamknął za sobą drzwi. Grupa ludzi stojących tuż za wejściem zasłaniała mu widok wnętrza pokoju, którego Galen używał jako swego gabinetu, słyszał jednak, że do rozmowy przyłączył się jeszcze jeden głos, mocny i czysty.

- Nie zgadzam się, cesarze. Ten sposób rekrutacji otwiera drogę

wszelkiego rodzaju nadużyciom. Oto stoją przed tobą ludzie, którzy za połowę tych kosztów mogą znaleźć taką samą liczbę legionistów, i to ludzi doświadczonych w sztuce wojennej.

Maksjan przesunął się powoli wzdłuż tylnej ściany pokoju. W komnacie znajdowało się co najmniej dwudziestu ludzi, senatorów i wojowników, wielu z nich było jednocześnie oficerami w legionach. Maksjan był tym zaskoczony - od siedmiu wieków obowiązywało prawo zakazujące legionistom wstępu na teren stolicy. Pośrodku pokoju stał starszy mężczyzna: Grzegorz Auricus, zwany Wielkim. Magnat, odziany w białą togę z delikatnej wełny, wyglądał dokładnie tak, jak według wyobrażeń ludu powinien wyglądać senator. Grzywa siwych włosów spoczywała na jego plecach, pomarszczona twarz była spokojna i opanowana. Pó drugiej stronie marmurowego biurka stał Galen, a jego twarz zasnuła była gniewem. Cesarz ubrany był w szatę dowódcy legionów, rdzawoczerwona tunika ze złotymi obszyciami, sznurowane buty i znoszony skórzany pas. Miecz, który zazwyczaj wisiał u tego pasa, spoczywał teraz na biurku, obok różnego rodzaju zwojów, liczydeł i piór.

- To, co proponujesz, Grzegorzu, sprzeczne jest z prawem cesarstwa oraz wolą senatu i ludu. - Głos Galena był ostry i władczy. - Relacje cesarstwa z *foederati* są jasno określone. Wiesz dobrze, że *foederati* używane są tylko jako *auxillia*, a nie jako jednostki należące do legionów. Nigdy dotąd cesarstwo nie wcielało do służby obcych armii, i ja także nie zamierzam tego robić. Wyraziłeś już swój sprzeciw przeciwko nowemu podatkowi, zarówno tutaj, jak w senacie. Szanuję twoje zdanie, ale wola cesarstwa jest takie właśnie postępowanie.

Grzegorz pokręcił głową, a potem zwrócił się do arystokratów i oficerów stojących w pokoju.

- Moi przyjaciele, koledzy. Prawo, które oferuje wolność niewolnikom i cudzoziemcom mieszkającym w cesarstwie w zamian za dziesięć lat służby w legionach, to cios w fundamenty całego państwa. Są inne sposoby na to, by w trudnym okresie zapewnić cesarstwu odpowiednią obronę. Namawiam was, byście udzielili mi swego poparcia i wybrali te inne sposoby.

Galen wyszedł nagle zza biurka, a Grzegorz zrobił krok do tyłu, przerywając swe przemówienie. Cesarz rozglądał się powoli po twarzach ludzi zgromadzonych w pokoju. Prawdopodobnie zauważył Maksjana, nie okazał tego jednak w żaden sposób. Wreszcie odwrócił się do magnata, który wspierał go niezmiennie od dziewięciu lat, od tamtego wietrznego dnia w Saguncie. Obaj mężczyźni przez chwilę patrzyli sobie w oczy, jakby zmagając się na odległość.

Tymczasem Maksjan nadal przesunął się wzdłuż ściany w stronę drzwi po drugiej stronie pokoju, dostrzegł tam bowiem Aureliana. Galen przemówił ponownie:

- Senatorowie i oficerowie, zebraliśmy się tutaj, by porozmawiać

o ekspedycji, która została już przedsięwzięta, by ustalić plany i strategię prowadzącą do zwycięstwa. Senat postanowił przyznać dodatkowe fundusze na udzielenie pomocy Cesarstwu Wschodniemu. Ta ekspedycja ma ogromne znaczenie nie tylko dla oblężonego Wschodu, ale i dla nas. Z tyłu pokoju podniósł się głośny pomruk, Maksjan dosłyszał jednak tylko ostatnie słowa:

- ...Wschodu gnije!

Galen usłyszał całą wypowiedź, a jego twarz pociemniała jeszcze bardziej.

- Mówimy o rzymskim Wschodzie, głupcze. Połowa obszaru naszego cesarstwa, na której mieszka niemal dwie trzecie naszych obywateli. Łatwo przychodzi nam zapomnieć o długich latach wsparcia, jakiego udzielał nam Wschód, o tym, że przez cały czas powstrzymuje Persów i ich sprzymierzeńców, że dostarcza ziarno do wielkich miast Italii. Kiedy walczyliśmy na Zachodzie, odpierając najazdy Franków i Germanów, Wschód stał przy nas. Złoto, ludzie i broń płynęły do nas szeroką strugą. Teraz oni znaleźli się w opałach. Persja nie chce daniny; chce zająć nasze tereny aż po Morze Wewnętrzne, podbić cały Egipt.

W tłumie znów podniósł się szum, tym razem graniczący ze śmiechem. Galen uderzył otwartą dłonią w marmurowy blat stołu.

- Czy czcicie pamięć waszych ojców? Czy składacie ofiary bogom waszych domów? - Potoczył złowrogim, gniewnym wzrokiem po zebranych w sali. - Lekceważycie Persów, myślicie, że to „sybaryci w spodniach”, którzy nie mogą równać się z rzymską armią. Nie wierzyacie, że stanowią dla nas jakiegokolwiek zagrożenie. Jesteście naprawdę wielkimi głupcami, jeśli uważacie kogoś za tchórze i słabeusza tylko dlatego, że człowiek ów nosi jedwabne spodnie. W ciągu ostatnich trzech lat Persowie rozbili cztery rzymskie armie. Są coraz bliżej ostatecznego zwycięstwa, a wszystkiego dokonali siłą oręża. Co więcej, słyszeli już o waszych obelgach. Tak, nawet na Wschodzie wiedzą o bzdurach, jakie wygaduje się w senacie. Nasz nieprzyjaciel znalazł nowych sprzymierzeńców w walce przeciwko cesarstwu. Król Persji wezwał na pomoc czarnoksiężników, nekromantów i alchemików.

W pokoju zrobiło się nagle całkiem cicho. Maksjan przystanął, zaskoczony słowami brata.

- Tak. - Galen, pokiwał głową, uśmiechając się ponuro. - Tym razem, kiedy Persowie na nas ruszą, będą mieli pod swoją komendą ciemne moce. Do tej pory perscy królowie zachowywali się jak ludzie honoru, odrzucając narzędzia czarnej magii. Obecnego króla interesuje tylko jedno - zwycięstwo i całkowite panowanie nad Rzymem. Groby waszych ojców zostaną otwarte i zbezczeszczone. Będziecie walczyć przeciwko waszym zmarłym braciom, a ich zimne ręce zamkną się na waszych gardłach...

Maksjan przestał słuchać złowróbnego przemówienia brata i przepchnąwszy się między dwoma bladymi jak ściana gubernatora-

mi, dotarł wreszcie do Aureliana. Ten poklepał go na przywitanie po ramieniu i wskazał głową drzwi. Maksjan przytaknął i obaj wymknęli się do sąsiedniej komnaty. Ciężkie dębowe drzwi, zdobione płasko-rzeźbą przedstawiającą zwycięstwo Septymiusza Sewera nad Arabami, zamknęły się za nimi z trzaskiem. Bracia odetchnęli z ulgą, gdy wreszcie umilkły odgłosy gniewnej dyskusji toczonyj w sąsiednim pokoju.

- Ach! - westchnął Aurelian z radością, opadając na stertę miękkich poduszek ułożonych na sofie pod przeciwległą ścianą. - Jest tam jeszcze jakieś wino? - spytał, wskazując na wiklinowy kosz ustawiony na marmurowej półce przy drzwiach. Maksjan zajrzał do wnętrza koszyka.

- Nie, tylko trochę chleba, ser i kiełbasa. - Nie czekając na polecenie starszego brata, Maksjan wyciął w bochenku okrągłą dziurę, wypełnił ją serem i kiełbasą, a potem przeciął chleb na dwie części i rzucił mniejszą Aurelianowi.

- Prosiak! - Aurelian roześmiał się. - Wziąłeś sobie większą.

Maksjan skinął tylko głową, zajęty jedzeniem. Czuł się wyczerpany i głodny, choć jadł już wcześniej, nim wyszedł ze swego apartamentu w pałacu na południowym zboczu góry. Mimo to Aurelian zlizywał okruchy z palców na długo przedtem, nim Maksjan skończył swoją porcję. Uporawszy się z nią, Maksjan wstał i podszedł do brązowej rury wystającej z podłogi przy drzwiach. Odkorkował ją i krzyknął do środka:

- Wina!

Gdy rura odpowiedziała jakimś niezrozumiałym pomrukiem, zatkał ją z powrotem. Potem zasiadł na drugiej sofie, naprzeciwko Aureliana.

- No dobrze, braciszku - zaczął Aurelian kpiącym tonem - słyszałem z wiarygodnych źródeł, że jakiś czas temu spędziłeś noc z pewną rudowłosą księżną. Czy naprawdę jest tak wspaniała, jak twierdzą niektórzy?

Maksjan wpatrywał się przez chwilę w swego brata, nie do końca wiedząc, czego dotyczy pytanie, wreszcie wybuchnął śmiechem.

- Masz na myśli przyjęcie u de'Orelia? Była bardzo miła tamtej nocy, to prawda, ale jej samej nie próbowałem. Mieli tam doskonałe wino, a ja czułem się dość zmęczony, więc do łóżka zaprowadziła mnie jakaś niewolnica. Księżna i ja mieliśmy już kiedyś okazję poznać się bliżej i muszę powiedzieć, z całym szacunkiem dla tej pięknej damy, że jest już trochę za stara jak na mój gust.

- Poszedłeś spać? - spytał Aurelian z niedowierzaniem. - Ja znam całkiem inną wersję wydarzeń. Jak donoszą moje źródła, czyli poważni i wiarygodni senatorowie, brałeś udział w wystawnej orgii wraz z księżną, jej podopieczną i całą gromadą młodych chłopców i dziewcząt, którzy byli wtedy w pałacu. Ba! Stary Strefoniusz zapewniał mnie, że wyczyny tego sławetnego rozpustnika, Elagalbusa, to dziecinna igraszka w porównaniu z tym, co ty wyrabiałeś z tą młodzieżą...

Aurelian tak się zaśmiewał, że nie miał nawet siły, by uchylić się przed poduszką, którą rzucił w niego Maksjan. Ten westchnął ciężko i opadł na oparcie sofy.

- O co właściwie Galen kłóci się z Grzegorzem? - spytał, w nadziei, że odwiedzie w ten sposób żadnego plotek Aureliana od niewygodnego tematu.

- Och, o zaciąg, fundusze na wyprawę do Konstantynopola, o pogodę, o wszystko. Warczą na siebie już pół dnia. Za/len nie chce ustąpić ani na krok; co gorsza, każdy z nich jest przekonany, że ma całkowitą rację.

- Dlaczego po prostu nie wydać dekretu i dać sobie z tym spokój? Cesarz zaproponował, senat przegłosował...

Aurelian odrzucił niespodziewanie poduszkę, Maksjan przechwycił ją jednak zręcznie i podłożył sobie pod głowę. Jego brat zastanawiał się przez chwilę, pocierając przy tym gęstą brodę. Wreszcie odrzekł:

- Finanse państwa stoją co prawda całkiem nieźle, ale Galen nie chce, żeby koszty wyprawy pokryła jedynie kasa państwowa. Wezwał tutaj tych wszystkich „szacownych” obywateli, żeby wyciągnąć od nich pieniądze, jedzenie, broń i, co najważniejsze, okręty, które przewiozłyby sześćdziesiąt tysięcy żołnierzy na wschód. Grzegorz o tym wie. Wie również, że jest najbogatszym człowiekiem w Rzymie, i że jeśli odmówi, Galen znajdzie się w nieciekawej sytuacji. Grzegorz chce rozwiązania, ale nie takiego, jakie proponuje Galen.

Maksjan podrapał się po głowie, skonsternowany.

- Grzegorz zawsze nas wspierał, był przyjacielem ojca. Co takiego mogło go poróżnić z Galenem?

- Nie, „nie może”, tylko „nie chce”. Grzegorz chciałby nadać obywatelstwo niektórym spośród swoich klientów, tym, którzy uczynili zeń takiego bogacza. Chce także „pomóc” przy przygotowaniach do ekspedycji, zbierając własne legiony, sześć, dokładnie rzecz biorąc, od tych samych klientów. Co więcej, w swej łaskawości, gotów jest je nawet wyposażyć i wyszkolić.

Zdumienie Maksjana było jeszcze większe, niż pół dnia wcześniej, w gospodzie.

- Grzegorz ma dość pieniędzy, by wysłać na wschód prawie pięćdziesiąt tysięcy legionistów? - spytał z niedowierzaniem. - Gdzie, na Hadesa, znajdzie w cesarstwie tylu młodych i sprawnych mężczyzn? Galen musiał wprowadzić ten przeklęty zaciąg, żeby dokonać tego samego!

Aurelian pokiwał powoli głową i powiedział:

- Grzegorz bierze pod uwagę nie tylko ludzi z cesarstwa.

- Nie tylko? Gdzie zamierza ich znaleźć?

Aurelian wskazał głową na północ.

- U plemion za granicą, tych, które nie osiadły jeszcze we własnych prowincjach, miastach i księstwach. Chce, by przyłączyły się do tych, które już mieszkają między nami.

- U Gotów!?! - krzyknął Maksjan, zrywając się z miejsca. Aurelian leżał spokojnie na swojej sofie i kiwał głową.

- A także Longobardów, Franków i całej zgrai innych barbarzyńców, szukających okruchów z pańskiego stołu. Grzegorz twierdzi, i trudno nie przyznać mu racji, że Goci to wypróbowani przyjaciele i sprzymierzeńcy cesarstwa. Walczą u naszego boku już od prawie stu lat, ale na mocy tych samych traktatów, które wiążą ich z nami i nas z nimi, nie są obywatelami Rzymu. Rządzą swoją ziemią w imieniu cesarza, ale są państwem poddanym. Wielu gockich książąt gości w domu Grzegorza, a odpłacają mu łatwym dostępem do ich posiadłości. Grzegorz nie doszedł do bogactwa, marnując tego rodzaju okazje, myślę jednak, podobnie jak Galen, że powoli kończą mu się przywileje, jakimi nadal mógłby zaskarbiać sobie ich względy. Wygląda na to, że teraz Goci chcą zostać obywatelami, a to może być dla nich jedyny sposób, by to osiągnąć.

- Mogliby służyć indywidualnie w legionach i osiągnąć ten sam status - zauważył Maksjan.

- Wielu tak robi, ale znacznie więcej chciałoby służyć razem, co od ponad ośmiuset lat jest sprzeczne z prawem. A poza tym, gdyby przybyło tutaj naraz pięćdziesiąt tysięcy Gotów, nie walczylibyśmy z nimi, lecz przeciwko nim, a cesarzem byłby w końcu Grzegorz, a nie nasz ukochany brat. Grzegorz wierzy, że kiedy Goci walczą razem, są niepokonani.

Maksjan parsknął lekceważąco, lecz Aurelian pogroził mu palcem.

- Przejrzyj kiedyś listę legionistów, prosiaku. Prawie połowa naszych obecnych żołnierzy to Germanie lub Goci. Są świetnymi wojownikami i potrafią być bardzo lojalni.

- Legiony zawsze były lojalne wobec państwa - odparował Maksjan.

- To prawda. Ale Galen nie chciałby sprawdzać prawdziwości tego twierdzenia. To jest kolejny powód, dla którego chciałby jednak nałożyć tę nową kontrybucję: by zdobyć jak najwięcej legionistów, którzy nie są Germanami.

Odpowiedź Maksjana zagłuszona została przez trzask otwieranych drzwi i kroki niewolnicy, która przyniosła wino. Zgrabna brunetka w krótkiej tunice postawiła amforę na marmurowej półce i zabrała ze sobą wiklinowy koszyk. Kiedy zniknęła za drzwiami, Maksjan uświadomił sobie, że Aurelian znów się z niego śmieje.

- Potrzebujesz żony albo raczej całego stada kochanek, prosiaku. Założę się, że nie słyszałeś ani słowa z tego, co do ciebie mówiłem, kiedy ona była w pokoju.

Maksjan zaczerwienił się i burknął coś w odpowiedzi. Wstał i napełnił dwa kielichy winem, sądząc po zapachu i barwie - neapolitańskim. Zakręcił nim w kielichu, a potem spróbował - wyśmienite! Podał drugi kielich Aurelianowi, a ten opróżnił go jednym haustem. Maksjan westchnął ciężko, zde gustowany zupełną obojętnością brata na subtelności smaku i aromatu tego szlachetnego napoju. Już miał coś powiedzieć na

ten temat, kiedy drzwi otworzyły się ponownie, a do pokoju wszedł Galen, który zatrzasnął za sobą z hukiem ciężkie wrota. Dwaj młodszy bracia patrzyli w milczeniu, jak cesarz przechadzał się nerwowo od ściany do ściany. Wreszcie podniósł wzrok i drgnął zaskoczony, ujrawszy swych braci.

- Och, zastanawiałem się, gdzie się podziewacie. Przepraszam. Macie tu jakieś wino?

Maksjan napełnił kolejny kielich i podał go cesarzowi. Galen usiadł i opróżnił puchar dwoma krótkimi łykami. Maksjan i Aurelian wciąż siedzieli w bezruchu, pozwalając, by starszy brat uspokoił się i uporządkował myśli.

Wreszcie Galen odstawił pusty kielich na półkę i zwrócił się do Aureliana:

- Aurelianie, zgodnie z tym, co ustaliliśmy wcześniej, senat ustanowił cię konsulem na czas mojej nieobecności. Nerwa Licjusz Kommodus, który zajmuje stanowisko drugiego konsula, pojedzie ze mną, więc zastąpi go Maksjan. Jesteście jedynymi ludźmi w tym mieście, którym ufam, proszę was zatem o ostrożność i rozwagę. Senatorowie są mocno zaniepokojeni całą tą kampanią, toteż pewnie nie dadzą wam spokoju, kiedy mnie tu nie będzie.

Aurelian skinął głową, lecz widać było, co myśli o tym wszystkim. Galen uśmiechnął się cierpko, a potem przesunął ręką po krótkich włosach.

- Maksjanie, ty jesteś filarem całego przedsięwzięcia. Zastanawiałem się, czy zabrać cię ze sobą - z pewnością wiele mógłbyś się nauczyć - ale ktoś musi obsługiwać w tym czasie *telecast* i informować mnie o wszystkim, co dzieje się na Zachodzie. W przyszłym tygodniu każę przywieźć go tutaj i umieścić w moich pokojach. Aurelian będzie się zajmował bieżącymi sprawami, ale ty musisz mieć oko na ludzi, którzy byli dzisiaj ze mną w tej sali.

Maksjan potarł lekko zarośnięte policzki. Nie podobał mu się nacisk, z jakim Galen wypowiedział słowo „uczyć”, oznaczało to bowiem, że długi okres jego wolności dobiega końca. Przez ostatnie sześć lat, odkąd powrócił triumfalnie do miasta, jego bracia starali się trzymać go z dala od spraw państwowych. Takie było życzenie rodziców, którzy widzieli dlań inną drogę rozwoju - życie kapłana-uzdrowiciela. Ale wraz z wyjazdem Galena na wschód ta wolność musiała się skończyć. Co dziwne, Maksjan nie był rozgniewany czy zirytowany tym narzuconym mu przez brata rozwiązaniem; wręcz przeciwnie, czuł się tak, jakby ktoś nałożył mu wreszcie na ramiona stary, wygodny płaszcz.

- Bracie, jeśli dobrze cię rozumiem, chcesz, żebym przejął siatkę informatorów i szpiegów zatrudnianych przez urzędy? Czy to nie domena księżnej de'Orelia?

Galen patrzył przez chwilę na swego brata głęboko zamyślony.

- De'Orelia zawsze nas popierała, braciszku, podobnie jak Grzegorz i inni arystokraci. Ale w takich czasach, czasach wielkich zmian, twarde grunto może zamienić się w piasek, a przyjaciele we wrogów. Biorąc to pod uwagę, chciałbym, żebyś zaczął organizować nowy zespół informatorów i szpiegów, całkowicie oddany naszej sprawie.

Maksjan pochylił głowę, przyjmując zadanie powierzone mu przez brata. Galen wciąż nad czymś rozmyślał, poważny i posępny.

- W ciągu miesiąca - przemówił po chwili - legiony z Hiszpanii i południowej Galii dotrą do Ostia Maxima. Tam do nich dołączę. Popłynę z nimi na wschód i połączę się z pozostałymi siłami w Konstantynopolu. Wraz z Herakliuszem rozpocznę wielką ekspedycję. Zwycięzimy i przywieziemy wam pokój.

Maksjan pokręcił głową z powątpiewaniem.

- Znów mówisz o pokoju, bracie. Podejmujesz wielkie ryzyko, rzucając się wraz z cesarzem Wschodu na Persję. Nawet jeśli uda ci się zebrać tę wielką armię, o której mówisz, możesz zostać pokonany. Możesz zginąć. Obie połowy cesarstwa mogą stracić swych władców. To sprowadzi na nas nie pokój, lecz wojny domowe, a barbarzyńcy tak czy inaczej staną u bram Konstantynopola. Czy nie rozsądniej byłoby przegonić najezdźców z Tracji, Grecji i Macedonii? Wtedy cała siła cesarstwa mogłaby wrócić się przeciw Persom w Syrii i Palestynie.

Galen roześmiał się, a jego oczy błyszczały jakąś sekretną wiedzą.

- Ostrożny! Jak zawsze ostrożny. Masz rację, taka kampania przywróciłaby dawne granice cesarstwa i odepchnęła wroga. Lecz tak właśnie postępowali „ostrożni” władcy Rzymu od czasów boskiego Augusta. Żaden z nich nie zapewnił cesarstwu pokoju, a jedynie odroczył wojnę na jakiś czas. Wielcy cesarze - Juliusz Cezar, Trajan, Septymiusz Sewer - zdobywali pokój, niszcząc wrogów. My dokonamy czegoś więcej, zaprowadzimy niema] sto tysięcy Rzymian do serca naszego odwiecznego wroga i zniszczymy nie tylko jego stolicę, ale i całe państwo. Persja, cała Persja, stanie się częścią Rzymu. Wtedy wreszcie prawdziwy pokój zapanieje nie tylko na wschodzie, ale i na całym świecie.

Galen umilkł na moment. Wydawało się, że nie tylko odzyskał spokój, ale znów tryska energią. Z jego twarzy zniknął wreszcie posępny grymas. Wstał i napełnił wszystkie trzy kielichy winem.

- Za Nike! - powiedział, wznosząc kielich ku czci bogini zwycięstwa. -1 za pokój w Rzymie.

Maksjan opróżnił swój puchar, lecz w jego sercu nie było spokoju.

Maksjan mieszkał w ogromnym labiryncie Palatynu już od sześciu lat, wciąż jednak nie potrafił odszukać biur księżnej, choć wydawało mu się, że mieszczą się w którymś z budynków na północnym zboczu wzgórza. Kiedy wreszcie trafił po raz kolejny do ogrodu po wschodniej stronie, podszedł do jednego z ogrodników wymieniających stare płyty

z marmuru. Ogród, stworzony ponad pięćset lat wcześniej przez wzgardzonego cesarza Danicjana, urządzony był na kształt toru wyścigowego. Wielkie, starannie utrzymane krzewy miały kształt galopujących koni i rydwanów. W północnej części znajdował się basen otoczony szerokim pasem marmurowych płyt, teraz już starych i popękanych. Ogrodnik, ubrany w zabłoconą tunikę i sznurowane bawełniane nogawice, próbował właśnie umieścić w przygotowanym do tego miejscu nową płytę. Maksjan przystanął z boku i przyglądał się jego poczynaniom. Mężczyzna, posapując, napał na metalowy pręt, który służył mu za dźwignię, a płyta przechyliła się wreszcie i wsunęła na swoje miejsce. Ogrodnik opał się ciężko na pręcie i podniósł wzrok na Maksjana.

- Przyjacielu, pomóż mi, proszę, jeśli masz wolną chwilę - powiedział książę. - Szukam biur księżnej de'Orelia.

Ogrodnik zmarszczył brwi i splunął do basenu.

- Właściwie nie bardzo mogę ci pomóc - odrzekł. - Księżna, choć hojna dla tych, którym los nie sprzyja, ma raczej nie najlepszą opinię w urzędach. Wprawdzie często tu bywa, nie ma jednak swojego „miejsca”. Jeśli chcesz z nią rozmawiać, musisz wybrać się do jej miejskiej rezydencji przy Aquae Virgo. Znasz drogę?

Maksjan pokiwał głową.

- Znam. Wielkie dzięki.

Powróciwszy do labiryntu korytarzy, Maksjan ruszył na południe, by w końcu dotrzeć do długiej arkady biegnącej wzdłuż południowej części Palatynu. Tutaj właśnie kłębił się największy tłum urzędników, pisarzy i niewolników. Tutaj także mieścił się gabinet szambelana pałacu. Maksjan wkroczył do sekretariatu z pewną miną; Temrys, jako jeden z niewielu urzędników pałacowych, znał go z widzenia. Najwyraźniej jednak poznał go także sekretarz szambelana, który na widok księcia przestał udzielać pouczeń dwóm innym skrybom.

- Panie! Chciałbyś zobaczyć się z szambelanem? - Twarz sekretarza wyrażała zdumienie i obawę. Maksjan uśmiechnął się w duchu; poczucie władzy było zupełnie miłe.

- Jeśli nie jest bardzo zajęty - odparł, zakładając ręce za plecami.

- Jedna chwila, panie. - Sekretarz pospiesznie opuścił komnatę, znikając w labiryncie maleńkich pokoików, królestwa Temrysa i jego podwładnych. Dwaj młodszy pisarze, rozpoznawszy zapewne profil gościa i jego kosztowne szaty, przemknęli się do wyjścia i zniknęli. Maksjan, widząc to, uśmiechnął się. Wkrótce wrócił sekretarz i złożywszy księciu ukłon, wskazał drogę do pomieszczeń na tyłach sekretariatu.

Prywatny gabinet Temrysa był zaledwie dwa razy większy od biur zajmowanych przez jego podwładnych, a przy tym nie musiał go z nikim dzielić. Szambelan wstał, kiedy w drzwiach niskiego pomieszczenia ukazał się Maksjan. Szczupły, niewysoki Grek miał charakterystyczną, ospołą twarz i wiecznie posepną minę. Tego dnia, jak zauważył Maksjan,

ubrany był w szaroczną tunikę z brązowym pasem i butami. Wziąwszy pod uwagę fakt, że do tego wszystkiego miał siwe, rzędzące włosy i wąskie usta, nie wyglądał raczej imponująco.

- Książę - mruknął szambelan, wskazując niskie, pozbawione oparcia krzesło stojące przy biurku, po czym sam zajął miejsce na swoim krześle, ani na moment nie zmieniając przy tym posępnego wyrazu twarzy.

Maksjan zdjął stertę zwojów i położył je na podłodze. On także usiadł, uśmiechając się serdecznie do starszego mężczyzny.

- Szambelanie. Mój wielce szanowny najstarszy brat poprosił mnie, bym pomógł memu starszemu bratu zarządzać państwem podczas nieobecności cesarza. Okazuje się jednak, że nie mam warunków - to jest gabinetu i sekretarza - do wypełniania tego rodzaju zadań. Dlatego też proszę cię, najbardziej doświadczony spośród urzędników państwowych, byś zapewnił mi jedno i drugie.

Twarz Temrysa sposepniała na moment jeszcze bardziej, potem nieoczekiwanie pojaśniała. Grek wyprostował się w swoim krześle i spojrział na księcia.

- Gabinet? Oczywiście, możemy znaleźć ci miejsce, panie. Dziwię się jednak, że twój brat, cesarz Aurelian, nie będzie używał Augustorum, a ty z kolei nie przejmiesz jego własnych biur. Zapewniam cię, że są bardzo dobrze wyposażone w pisarzy, sekretarzy, niewolników, posłańców i cały niezbędny personel.

- Wiem! Potrzebuję jednak czegoś bardziej... odosobnionego. Czegoś, co pozwoli mi pracować w ciszy i spokoju.

Temrys omal się nie uśmiechnął, słysząc te słowa, lecz zdołał zachować obojętną minę.

- Oczywiście, panie, natychmiast się tym zajmujemy. Znam doskonałe miejsce, trzeba będzie jednak kilku dni, by je przygotować. Czy mam przysłać wiadomość, kiedy będzie już gotowe?

Maksjan wstał, uśmiechając się ponownie, i ukłonił się nieznacznie.

- Tak byłoby najlepiej. Dziękuję.

Wychodząc z biur szambelana, który był dlań teraz wręcz nadskakująco grzeczny, Maksjan zauważył ukradkowe spojrzenia sekretarzy i skrybów. Jak można pracować w takim miejscu, zastanawiał się w duchu, gdzie wszyscy wciąż cię obserwują?

Zatrzymał się na moment przy drzwiach, by pożegnać Temrysa, potem ruszył w głąb korytarza. Ledwie dostrzegalny uśmiezek błędził po jego ustach. Nigdy nie będę używał tych biur, myślał, ale na jakiś czas odwrócą uwagę ciekawskich.

Chłodna woda zamknęła się z pluskiem nad głową Maksjana, kiedy ten zanurkował w wielkim basenie pośrodku odkrytego *notatio*. Niczym delfin sunął przez wodę, obracając się wokół własnej osi i widząc przez moment migotliwy blask słońca, odbity wysoko w górze na powierzchni-

ni wody. Potem przemknęło mu przed oczami wyłożone płytkami dno basenu, zielone, turkusowe i żółte syreny i potwory morskie. Chwilę później jego głowa przebiła się przez powierzchnię po drugiej stronie basenu. Zadowolony, wyszedł na brzeg. Dokoła dziesiątki innych pływaków baraszkowały w błękitnej wodzie basenu lub rozmawiały, siedząc na ławkach pod kamiennymi łukami. Stał przez chwilę, ociekając wodą, i zastanawiał się, czy wskoczyć ponownie do wody, czy też poszukać masażystki.

- Panie? - Jeden z *balanei* podszedł do niego. Maksjan skinął głową na powitanie, widząc, że chłopiec ubrany jest w szatę łaźiebno. - Pewien szlachetnie urodzony błaga o krótką rozmowę. Czy zechcesz, panie, dołączyć do niego w łaźni?

- Zgoda - odparł Maksjan zaintrygowany. - Czy możesz przysłać do nas *tractatora*? Bolał mnie ramiona.

Niewolnik ukłonił się i oddalił pospiesznie. Maksjan przeszedł do *caldarium* po drugiej stronie wielkiej sali głównej budynku łaźni. Pod ogromnym kopulastym dachem *cella soliaris* przelatywały gołębie i strzyżyki. Przeszedł przez atrium zajęte przez dyskutujących głośno Greków i ich pomocników. Wreszcie dotarł do wielkiej, beczkowej komnaty i przystanął. Wnętrze pomieszczenia wypełniały gęste kłęby pary, przez które trudno było kogokolwiek dojrzeć.

- Tutaj - dobiegł go głos z drugiego końca pokoju. Maksjan zszedł po kilku stopniach na drewnianą podłogę, spod której wydobywały się smugi gorącej pary. Po chłodnej kąpeli w basenie ten wilgotny żar sprawiał mu ogromną przyjemność.

Po drugiej stronie drewnianej platformy, na pojedynczym stopniu siedziała dobrze mu znana postać; Maksjan poznał starego magnata nawet przez mleczną zasłonę pary. Dokoła było zupełnie pusto, choć w *caldarium* stało jeszcze sporo ławek.

- Ave, Grzegorzu Auricucie - powiedział Maksjan, siadając na wygrzany miejscu.

- Ave, cesarzu Maksjanie - odparł magnat, skłaniając głowę. Maksjan skrzywił się, słysząc to pozdrowienie. Grzegorz, którego bystrym oczom nic nie mogło ujść nawet w półmroku, skinął głową. - Teraz to jeden z twoich tytułów. Będziesz musiał do niego przywyknąć.

- Pewnie tak, choć nie wydaje mi się właściwe, bym nosił tytuły moich braci.

Grzegorz westchnął i potarł swe szczupłe ramiona.

- Twoi bracia sporo się natrudzili przez ostatnie lata, by wypełnić życzenia twojej matki. Sami dźwigali brzemień rządzenia cesarstwem, pozwalając ci iść ścieżką, którą prowadziły cię twoje talenty. - Ujął dłoń Maksjana, przekreślił ją i przesunął swymi starymi palcami po młodej, gładkiej skórze księcia. - Gdyby Lucjusz Pius August nie padł ofiarą zaraży, byłbyś teraz przypuszczalnie najbardziej szanowanym członkiem

rodziny. Zapewne wciąż przebywałbyś w Galii Narbońskiej, wędrowałbyś od wioski do wioski, doglądając chorych i biednych, jak marzyła twoja matka.

Maksjan uśmiechnął się do tego obrazka.

- Chciałbym, żeby tak było.

Grzegorz pokręcił głową, mówiąc:

- Niestety, prawdopodobnie nigdy się tego nie doczekasz. Teraz masz inne cele. Widziałem cię tamtego dnia, kiedy spierałem się z twoim szanownym bratem w urzędach. Słyszałem potem, że senat ogłosił cię cezarem i konsulem, i że masz rządzić u boku swego brata Aureliana, kiedy august Marcjusz Galen będzie poza miastem, na wschodzie.

- Tak będzie w istocie - odparł Maksjan, zastanawiając się, czego może od niego chcieć Grzegorz Auricus.

Grzegorz uśmiechnął się lekko.

- Musisz lepiej panować nad swoją twarzą, młody cesarzu, teraz mogę z niej wyczytać każdą twoją myśl. Nie, dzisiaj niczego od ciebie nie chcę. Potrzebuję tylko odrobiny twojego czasu. Od wielu lat znam ciebie, twoją rodzinę, twoich braci. Nie wiem, czy to pamiętasz, ale kiedy byłeś młody, a twój ojciec przyjeżdżał do miasta, często zatrzymywał się u mnie, w moim rodzinnym domu w Celio. Co najmniej raz zabrał cię ze sobą do cyrku. Pamiętam, że przestraszyłeś się strusi. Twój ojciec był moim przyjacielem i wiesz dobrze, że wspierałem twego brata w walce przeciwko innym pretendentom. Mówię ci to nie po to, by zyskać twoją przychyłność, lecz by pokazać ci, że zawsze stałem za twoją rodziną, twym ojcem, a później twym bratem. Marcjusz Galen jest dobrym cesarzem. Być może najlepszym, jakiego Zachód miał od czasów boskiego Konstantyna. Jest rozsądnym politykiem, oszczędnie gospodaruje majątkiem państwa. Jest sprawiedliwy i bezstronny w osądach. Wybiera ludzi ze względu na ich umiejętności, a nie dla osobistej korzyści. Nie konfiskuje majątków i posiadłości senatorów. Ogólnie rzecz ujmując, to zdolny i rozsądny władca. Jego obecność jest błogosławieństwem dla świątyń.

Grzegorz przerwał na chwilę i westchnął ciężko, wyraźnie czymś zartroskany.

- Poza tym wszystkim jednak, jest tylko człowiekiem, a ludzie są często ślepi na pewne sprawy. Z pewnością wiele razy sam mówiłeś bratu o niepewnej sytuacji Cesarstwa Zachodniego. Zaraza przetrzebiła naszą ludność. Ci, którzy pozostali, są słabi i leniwi. Czyż nie zauważyłeś podczas swej pracy, jak delikatni wydają się Rzymianie w porównaniu z Germanami, Brytami czy Frankami? - Grzegorz ogarnął szerokim gestem innych ludzi odpoczywających w łaźni. - W tłumie takim jak ten możesz bez problemu określić po wyglądzie narodowość każdego człowieka; Rzymianin jest niski i wątyły, a do tego ma niezdrową cerę. Bryt jest wysoki i tryska zdrowiem. Podobnie wyglądają Germanie i Goci,

tyłe że ci obdarzeni są na dodatek wielką siłą. Jak zapewne dobrze wiesz, mam wielu klientów. Przychodzą do mnie, by porozmawiać o swoich kłopotach i sukcesach. Rzymianie mówią przede wszystkim o śmierci swoich dzieci, swoich dziedziców, o ich chorobach czy wypadkach. Got ubolewa nad stanem własnych finansów, ale cieszy się z silnych i zdrowych dzieci. Doszło do tego, że musiałem zaludnić całe gospodarstwa czy *fabricae* tutaj, w mieście, uwolnionymi Brytami czy Germanami.

Maksjan spojrział nań z nieskrywanym przerażeniem. Czystość krwi wiejskich patrycjuszów była strzeżona równie pilnie jak dziewictwo wstalek.

- Tak, wiem, co o tym myślisz, ale nie miałem innego wyjścia! Krew moich kuzynów stała się tak słaba, że nie mogła sama się utrzymać. Bolało mnie serce, kiedy musiałem adoptować tych ludzi spoza Italii jako moich synów i córki. Jestem stary i wiele już widziałem, lecz to przeraża mnie najbardziej: degeneracja ludu rzymskiego. Państwo nie może mieć nadziei na przetrwanie, kiedy nikt go nie wspiera. Jeśli cesarstwo ma przetrwać, trzeba wprowadzić do niego nową krew. Czy nie tak się stało na wschodzie? Tam nadano obywatelstwo wielu różnym narodom. Tutaj pilnie się strzeże tego przywileju. Prosiłem twego brata jedynie o to, by przyjął Gotów, przyjaznych Germanów i lojalnych Brytów, by byli traktowani w naszym państwie na równi z innymi. Rozmawiałem z wieloma ich książętami, przywódcami, wodzami. Są lojalni; czyż nie walczyli dla Rzymu przez ostatnie trzysta lat? Powinni otrzymać za to jakąś nagrodę.

Maksjan wydał usta, zastanawiając się nad tym problemem. Grzegorz miał sporo racji. Wreszcie powiedział:

- Każdy człowiek może szukać własnego miejsca w służbie imperium, a potem starać się o obywatelstwo. Tak jest od lat.

Grzegorz skinął potakująco głową, potem jednak odrzekł:

- Owszem, tak było zawsze, ale teraz to już nie wystarcza. Co z cieślą, który pracuje dla państwa? Co z kobietą, której umarł mąż, a która mimo to zмага się z życiem i wychowuje samotnie dzieci? Dzieci mogą co prawda służyć państwu i zostać obywatelami, ale ona nie. Czy to sprawiedliwe? Kiedy Rzymianie byli silnym ludem, miało to jakiś sens, teraz już nie ma. Wiem, że nie zdołam przekonać twego brata, ale możesz być spokojny - dam mu okręty, pieniądze i zapasy, których potrzebuje. Ja także uważam, że musimy pomóc Cesarstwu Wschodniemu. Nawet najlepsi przyjaciele mają czasem różne zdanie, a mimo to zostają przyjaciółmi.

Maksjan skinął ręką na *tractatora*, który przybył właśnie do łaźni. Potem odwrócił się do senatora i rzekł:

- Dziękuję ci za te słowa i za wsparcie, którego zawsze udzielałeś naszej rodzinie. To dla mnie wiele znaczy, tak jak wiele znaczyło dla mego ojca. Rozumiesz chyba doskonale, że choć nie zawsze zgadzam się ze swoim bratem, niezmiennie będę go popierał. Do widzenia.

Grzegorz uśmiechnął się lekko i skinął głową, opierając dłonie na rzeźbionej gałce swej laski.

- Do widzenia, młody Maksjanie. Och, jeszcze jedna sprawa. Wczoraj przyszedł do mnie jeden z moich klientów, Mordius Arthyrson, Bryt. Powiedział, że wraca do domu i że porzuca tę część rodzinnego interesu, która znajduje się tutaj, w mieście. Nie podobało mi się to, ale rozstaliśmy się w zgodzie. To był bardzo obiecujący młody człowiek. Powiedział mi też, że rozmawiał z tobą o tym, co przydarzyło się jego przyjaciółom. Nie wypytywałem o szczegóły, bo inni ludzie opowiadali mi już tę historię. Powinieneś wiedzieć, że nie był to pierwszy tego rodzaju wypadek.

Maksjan wpatrywał się przez chwilę w senatora, potem skinął głową i wyszedł.

OSTIA MAXIMA, WYBRZEŻE LACJUM

5 taccato bębnow odbijało się echem od ceglanych budynków wznoszących się nad wielką przystanią Trajana. Thyatis odwróciła się, osłaniając ręką oczy przed blaskiem popołudniowego słońca, które przebijano przez pozostałości chmur deszczowych. Kolorowe żagle setek okrętów zacumowanych w szerokim na milę sześcioboku Portu Cesarzskiego rozblysnęły jasno w tym jaskrawym świetle. Pokrzykujące mewy krążyły wysoko w chłodnym, obmytym deszczem powietrzu. Apollo i jego rydwan przygotowywali się do jazdy za zachodnią krawędź świata. Deszczowe chmury mieniły się tysiącami odcieni fioleto, złota i czerwieni. Powiała świeża bryza, niosąc ze sobą mocny zapach morza. Zniknął wreszcie smród portu i tłoczącego się za nim miasta.

- Piękny zachód - powiedziała Anastazja ze swojej lektyki.

- Owszem - zgodziła się Thyatis, która klęczała na pomoście obok swej pani. Dotknęła palcami rękojeści miecza, myśląc o tysiącach mil, które wkrótce oddziela ją od Anastazji. Miała zostać zupełnie sama, nie licząc garstki ludzi, których zabierała ze sobą na wschód. Podniosła wzrok i ujrzała przed sobą łagodny fiolet oczu swej pani. Widziała tam tylko pewność i siłę. Thyatis poczuła się nieco podniesiona na duchu, a w jej sercu zaczęła rodzić się determinacja.

- Twoje zapasy są już załadowane? - spytała księżna.

- Tak, pani, wszystko, co tylko przyszło mi do głowy, i jeszcze trochę. Wszyscy moi ludzie są już na pokładzie, śpią albo czytają.

Anastazja uśmiechnęła się.

- W końcu są żołnierzami.

Delikatnie ujęła dłoń młodej kobiety. Widząc ją teraz odzianą w szare szaty, ciężki płaszcz i znoszone buty, z włosami związanymi z tyłu,

i bez makijażu, Anastazja uświadomiła sobie, że przywiązała się do swej podopiecznej. Napawało ją to wielkim niepokojem, bo do tej pory uważała ostatnią córkę Klodiuszy jedynie za użyteczne narzędzie. Dawno już opuściły ją resztki gniewu wywołane nieudaną próbą uwiedzenia księcia. Uśmiechając się, wypuściła dłoń Thyatis z uścisku.

- Niech ci szczęście sprzyja - powiedziała, czyniąc znak Artemidy, który miał zapewnić jej pomyślność.

Thyatis wstała i ukloniła się.

- Tobie także, pani. - Potem odwróciła się i weszła na pokład statku. Anastazja obserwowała ją, kiedy wspięła się na mostek i poszła porozmawiać z kapitanem. Żeglarze zaczęli rozwiązywać cumy i rozwijać żagle. Zaczynał się odpływ.

Jakiś czas później, gdy porty przykryła fioletowa zasłona zmroku, księżna postukała w dach lektyki, dając znak do powrotu.

Krista poruszyła się obok niej, ziewnęła i otworzyła oczy.

- Czas wracać do domu, pani? - spytała zasnym głosem.

- Tak, moja droga, czas wracać.

Niewolnicy także wstali już z desek pomostu i podnieśli żerdzie lektyki, a potem ruszyli truchtem w dół ulicy. Zachodni horyzont był długą linią purpury przetykanej pasmami złota. Anastazja oparła głowę o ścianę lektyki i patrzyła na mijane domy. Jej długie palce raz po raz zwijały i rozwijały kraniec szala, przeciągając jego ostrą krawędźią po kciuku.

Mam nadzieję, że wróci żywa, pomyślała, pozwalając, by wypłynęła z niej ostatnia kropla smutku.

PALATYN, ROMA MATER

?=> fc=s=3

Było już całkiem ciemno, kiedy Maksjan wrócił z Forum. Był zmęczony i zirygowany całodziennym wysłuchiwaniami senatorów gładzących o woli bogów i zapewnieniach wyroczni, że cesarska kampania na wschodzie zakończy się zwycięstwem. Ostatnio kiepsko spał, dręczyły go nieustannie jakieś dziwne sny. Mimo napomnień starszego brata nie przejął jeszcze ciężaru, który do tej pory dźwigała de'Orelia.

Tak jak zaplanował wcześniej, dwukrotnie odwiedził biura przygotowane przez Temrysa, skwitował uśmiechem ich ostentacyjny wystrój i szybko je opuścił. Stała obecność urzędników i ich czuje spojrzenia czyniły to miejsce niezdatnym do realizacji jego celów. Wiedział, że Aurelian oczekuje od niego pomocy, na razie jednak jego myśli wciąż wracały do martwych rzemieślników. Wchodząc po schodach prowadzących do jego apartamentu, dotknął palcami ołowianej kostki, którą no-

sił w kieszeni. Przywykł już do tego, że musi polegać na nieokreślonych „odczuciach”, które były narzędziem pracy uzdrowiacza i czarownika. Odczucia, jakie budziła w nim opowieść o skrybach, przypominały mu zarówno tę straszliwą noc w Ostii, jak i wizję, której doświadczył w Kumę.

Działy tu jakieś siły niewidoczne dla oczu zwykłych śmiertelników. Niemal mógł je namacać, przechadzając się starożytnymi korytarzami, kiedy pałac był niemal całkiem pusty, tak jak teraz, gdy cesarz wraz z dworem wyjechał do Ostii i gdy w ciemnościach rozpraszanych blaskiem pojedynczych lamp tylko od czasu do czasu pojawiała się postać jakiegoś niewolnika, Maksjan czuł brzemień tragedii, które się tutaj wydarzyły w ciągu wielu wieków. Kiedy patrzył przed siebie, na obrzeżach jego pola widzenia pojawiały się cienie tych, którzy tu żyli i umarli. Gdy był młodszy i przybył tu po raz pierwszy, ogromnie go intrygowały; mgliste postacie gładko ogolonych mężczyzn, gniewnych i dumnych. To byli najsilniejsi, ci, którzy przez długie stulecia rządili cesarstwem. Teraz, kiedy dorósł i udoskonalił swe umiejętności, widział czasami także innych - tych, którzy umarli w cierpieniach podczas porodu, tych, którzy płakali, którzy śmiali się i kochali w tym miejscu. Nawet kamienie szeptały, próbując opowiedzieć swoją historię.

Zatrzymał się przy wejściu do swoich apartamentów; spod drzwi przeświecała wąska smuga światła. Kiedy wyszedł o zmroku, by towarzyszyć swemu bratu w Forum, nie zostawił zapalonych lamp ani pochodni. Wyciszył się, sięgnął do wnętrza, by znaleźć otwarcie Hermesa. Dokonawszy tego, ściągnął ku sobie moc najbliższych lamp, gasząc płonący w nich ogień. Położył dłoń na ścianie, wyczuwając pokój po jej drugiej stronie. W środku czekało troje ludzi, żaden z nich nie był w pobliżu drzwi. Wyczuwał ich niepokój, ale nie wrogość ani gniew. Przechylił głowę na bok, gasząc ów obraz. Potem otworzył drzwi.

- Panowie - powiedział do niezapowiedzianych gości, - Mam nadzieję, że macie mi coś naprawdę ważnego do powiedzenia. Jest późno, a ja jestem zmęczony.

Grzegorz Auricus skinął głową i wstał, by złożyć mu pokłon. Obok niego stały jeszcze dwie osoby; Maksjan stwierdził z zaskoczeniem, że jedną z nich jest kobieta, rówieśniczka Grzegorza, znana niegdyś jako królowa Teodelinda, władczyni krótkotrwałego państwa Langobardów. Cesarz Tyberian zginął, próbując przegnać ją z północnej Italii. Drugiego mężczyzny Maksjan nie znał.

Grzegorz wskazał na swoich towarzyszy.

- Teodelinda, moja długoletnia przyjaciółka, i Nomic, znajomy kupiec, choć mieszka w Akwilei nad Morzem Adriatyckim.

Maksjan pozdrowił każdego z gości skinieniem głowy. Teodelinda złożyła mu pokłon, a Nomic tylko pochylił głowę. Księżę powiesił płaszcz na kołku przy drzwiach i przeszedł do małej kuchni przylegają-

cej do salonu. Służba pałacowa dostarczyła tam wcześniej tacę z płacami zimnego mięsa, chlebem, serem, wędzonymi rybami i butelką wina. Maksjan zabrał ze sobą tacę i wrócił do głównego pokoju. Gdy rozsiadł się już wygodnie, pociągnął łyk wina i włożył do ust pierwszy kęs ryby, poprosił gestem Grzegorza Wielkiego, by ten zaczął mówić.

- Cezarze, przepraszam, że naruszam twoją prywatność i przeszkadzam ci w odpoczynku, ale po naszej dyskusji w łaźniach nasunęły mi się pewne wnioski i uznałem, że powinienem się nimi z tobą podzielić. Nie zabierzemy ci dużo czasu. Przyprowadziłem Teode i Nomerica, byś zrozumiał lepiej, jak poważnych kłopotów możemy się spodziewać. Uważam ich oboje za dobrych przyjaciół, choć jak widzisz, żadne z nich nie jest obywatelem. Teode uniknęła śmierci w Lombardii, przyjmując amnestię i osiedlając się we Florencji. Długo korespondowaliśmy ze sobą, nim poznaliśmy się osobiście. Nomic był kiedyś kanclerzem *foederatica* Magna Gotica w górnej Panonii.

Maksjan uniósł lekko brwi, słysząc te słowa, doskonale bowiem wiedział, że nie wypada członkom domu cesarskiego spotykać się w swoich komnatach z wysokimi funkcjonariuszami poddanych państw, szczególnie gockich. Grzegorz najwyraźniej jednak uważał, że nie ma w tym nic zdrożnego.

- Nomic oczywiście nie służy już królowi Gotów - kontynuował stary magnat. - Obecnie jest, jakby to ująć... ambasadorem bez listów uwierzytelniających. - Nomic, który do tej pory nie odezwał się ani słowem, pozwolił sobie teraz na lekki uśmieszek.

Grzegorz mocniej wsparł się na swojej lasce.

- Jestem przekonany, że będziesz badał sprawę, o której rozmawialiśmy przedtem. Być może w trakcie tego śledztwa okaże się, że potrzebujesz pieniędzy, które nie pochodzą z kasy cesarstwa. Niewykluczone, iż okaże się także, że potrzebujesz pomocy lub nawet ochrony. Rozmawiałem już o tym z moimi przyjaciółmi i wszyscy troje gotowi jesteśmy udzielić ci takiej pomocy, ochrony i wsparcia finansowego, jeśli tylko zechcesz je przyjąć.

Maksjan zjadł ostatni kawałek sera i odłożył nóż. Potem otarł usta rękawem tuniki, przechylił głowę na bok i powiedział:

- A czego oczekujecie w zamian? Mam zmieniać dla was prawo? Reprezentować wasze interesy na dworze? Moi bracia nie są przychylnie nastawieni do tych, którzy próbują przekupić urzędników państwowych, a ja w pełni się z nimi zgadzam. Dlaczego właściwie uważacie, że będę potrzebował pomocy innej niż pomoc państwa?

Grzegorz wstał, chwiejąc się nieco na swych starczych nogach, i podszedł do drzwi. Przez dłuższą chwilę stał nieruchomo, nasłuchując. Potem nagle otworzył drzwi i wyszedł na korytarz. Popatrzył w obie strony, a następnie wrócił do pokoju, starannie zamykając za sobą drzwi. Na jego czole błyszczały maleńkie kropelki potu.

- Wybacz, cesarze, ale musimy być bardzo ostrożni. Teode, powiedz, o co chodzi.

Teodelinda spojrzała z troską na Grzegorza, potem zwróciła się do Maksjana. Miała piękne, niesamowicie niebieskie oczy. Maksjan starał się skupić na jej słowach, a nie na myślach o tym, jak wyglądała, kiedy była młoda.

- Panie - zaczęła królowa - po śmierci mego męża, Agilulfa, w bitwie pod Padwą, stałam się, podobnie jak wielu moich rodaków, jeńcem cesarza. Byliśmy przekonani, że wszyscy zostaniemy zabici albo sprzedani w niewolę, ale Marcjusz Galen przyszedł do nas i zaofirował amnestię każdemu, kto wyrzeknie się zemsty i nie będzie walczył z cesarstwem. Byliśmy mu ogromnie wdzięczni, bo przybyliśmy na waszą ziemię jako najeźdźcy i chcieliśmy podbić całą Italię. Fakt, że cesarz okazał nam łaskę, zrobił na mnie wielkie wrażenie, choć na mych sukniach była jeszcze krew męża. Oczywiście, przyjąłem ofertę cesarza i wraz z rodziną oraz wszystkimi, którzy chcieli mi towarzyszyć, osiedliłam się, jak już wspomniał czcigodny Grzegorz, we Florencji. Być może zaskoczy cię to, panie, lecz Florencja, choć mała, jest centrum handlu i produkcji. Jesteśmy dumni szczególnie z naszych tkanin i przędzalni. Moi ludzie potrafią i chcą pracować, mogłam więc zacząć wszystko od nowa, tym razem raczej jako zarządzająca interesem niż władczyni ludu. Szło nam całkiem nieźle. Nie jesteśmy obywatelami, lecz wierzymy głęboko w sprawiedliwe prawo cesarstwa. Nasi ojcowie byli barbarzyńcami, mieszkali w lesie, ale nie tego chcieliśmy dla naszych dzieci. Po jakimś czasie jednak w mieście zaczęło się dziać coś niedobrego. Kiedy przybyliśmy do Florencji, *fabricae* tkanin nie była może ogromna, ale w zupełności wystarczająca. Miasto doskonale prosperowało. Nasze przybycie i dodatkowa produkcja tylko się do tego przyczyniały. W ostatnich latach próbowaliśmy jeszcze polepszyć naszą sytuację, wprowadzając udoskonolenia i nowe sposoby produkcji zaproponowane przez moje córki i synów. Wszystkie nasze wysiłki spełzły na niczym. Miałam jedenaścioro dzieci, dzisiaj żyje tylko dwoje, z tego jedno okaleczone po wypadku, do jakiego doszło podczas wznoszenia świątyni. Przez długi czas myślałam, że te „wypadki” to sprawka naszej konkurencji w interesach. Później dowiedziałam się jednak, że podobny los spotkał także inne rodziny. Wreszcie, doprowadzona do ostateczności przez te wszystkie nieszczęścia, wybrałam się w góry, by zasięgnąć rady pewnej mądrej kobiety, która opiekuje się kaplicą w Duricum. Opowiedziałam jej o wszystkim, co nas spotkało, a ona śmiała się i mówiła, że powinnam wrócić do miasta i czcić bogów, tak jak to robili ojcowie miasta. Kiedy zapytałam, co to oznacza, wskazała na moje ubranie i powiedziała, że jeśli będę ubierać się tak jak założyciele miasta, wypadki ustaną.

Teodelinda umilkła na moment i sięgnęła do torby leżącej u jej stóp. Wyciągnęła z niej kawałek materiału i podała go Maksjanowi. Tkanina była zdumiewająco miękka, a jej splot tak delikatny, że ledwie dostrzegalny. Kolorowe nici wplecione w materiał tworzyły skomplikowane i subtelne wzory. W odróżnieniu od wełnianej szaty, którą miała na sobie Teodelinda, ta tkanina mogła się niemal równać z jedwabiem.

- Co to jest? - spytał Maksjan, kładąc materiał na kolanach i gładząc go z upodobaniem.

- Nazywamy to *sericanum*, splot i materiał wymyślone przez moje córki po tym, jak przy pomocy Grzegorza zdołałyśmy wyprodukować kilka beli gotowego jedwabiu. Jest cudownie gładki, prawda? Prawie jak jedwab, choć nie do końca. Oczywiście wykonany jest z wełny i lnu, a nie rosy schwytej w liście morwy.

Maksjan podniósł wzrok na Teodelindę, zaskoczony nieco tym żarciem, przekonał się jednak, że oczy królowej wypełnione są raczej bólem niż śmiechem.

- Więc twoje córki już nie żyją - powiedział książę. Starsza dama skinęła głową. - Jeśli dobrze zrozumiałem, do czego zmierza twoja opowieść, wszyscy, którzy brali udział w produkcji tego materiału, nie żyją, a tobie pozostało tylko to, z czym zaczynałaś.

Teodelinda przymknęła na moment oczy, jakby przejęta wielkim bólem, lecz potem odpowiedziała spokojnie:

- Zostało tylko złoto. Wciąż jestem bogata, ale mój dom jest pusty.

- Czy to ostatni kawałek tego materiału? - spytał Maksjan.

- Nie - odparł Nomic cichym, chrapliwym głosem. - To część nowej beli. Została utkana niecałe cztery tygodnie temu. O ile mi wiadomo, tkacze jeszcze żyją, a nawet cieszą się dobrym zdrowiem.

Maksjan odwrócił się powoli w jego stronę, unosząc brwi w niemym pytaniu. Teoria, którą zbudował, słuchając opowieści Teodelindy i porównując ją z innymi informacjami, zatrzęsa się w posadach.

- Jak udało się wam tego dokonać?

Nomic uśmiechnął się i spojrzał na Grzegorza. Ten odkaslnął i pokręcił głową.

Nomic złożył razem rozcapierzone palce i spojrzał sponad nich na księcia.

- Fabryka znajduje się w twierdzy mojej rodziny w Sciscii. W Magna Gotica.

Maksjan odwrócił się do Grzegorza, marszcząc brwi.

- Nie widzę związku.

Grzegorz skinął głową i ponownie odchrząknął.

- Sciscia to miasto, które Goci wybudowali jako swoją stolicę po zawarciu pokoju z Teodozjuszem. To gockie miasto, pod gockim zarządem, z gockim prawem. Innymi słowy, nie jest to rzymskie miasto. Nie sięga tam władza cesarstwa. Rozumiesz, co mam na myśli?

Maksjan opadł na oparcie sofy, pocierając policzek. Drugą ręką bawił się kawałkiem tkaniny przyniesionym przez Teodelinę. Wydawało mu się, że wie już, do czego zmierza Grzegorz.

- Z tego, co mówisz, wynika, że gdyby nasz wspólny brytyjski przyjaciel spróbował zrealizować swoje przedsięwzięcie poza granicami cesarstwa, odniósłby sukces.

Grzegorz przytaknął, wyraźnie uradowany.

- Myślałem dokładnie o tym samym! Rozumiesz więc teraz, mój młody przyjacielu, dlaczego możesz potrzebować pomocy innej niż pomoc państwa?

Maksjan skinął tylko głową w zamyśleniu.

Grzegorz i jego towarzysze wyszli grubo po północy. Maksjan był jeszcze bardziej wyczerpany niż poprzednio, nie zamierzał jednak kłaść się jeszcze spać. Siedział na skraju łóżka, w pokoju oświetlonym jedynie przez płomyk pojedynczej świecy. Na niewielkim stoliku obok łóżka leżały przedmioty związane ze sprawą, która nie pozwalała mu spać. Wiedział, że powinien poczekać do rana, odpocząć, ale ciekawość była silniejsza. Rozwiązał zawiniątko, w którym trzymał fragment *sericanum* pozostawiony przez Teodelinę, ołowianą kostkę z domu pisarza i gwóźdź z warsztatu Dromia w Ostii. Ułożył je obok łóżka tak, by stanowiły wierzchołki trójkąta równobocznego, a potem sam zajął miejsce na kocu. Zastanawiał się przez moment, czy wezwać Aureliana, by ten obserwował go podczas medytacji, potem jednak odsunął od siebie tę myśl - jego brat i tak był bardzo zajęty, a poza tym Maksjan właściwie nie miał mu jeszcze nic do powiedzenia.

Usiadł ze skrzyżowanymi nogami, potem zaczął oddychać powoli, ostrożnie, tak jak nauczył się tego w szkole w Pergamonie. Po chwili pokój zaczął znikać mu przed oczu, czuł się tak, jakby spadał z wielkiej wysokości, wreszcie kamień ścian i drewno mebli rozplynęło się zupełnie. Wciąż widział cienie ścian, łóżko i drzwi, wszystko to jednak znajdowało się w wielkiej oddali, otchłani wypełnionej pasmami maleńkich ogników. Maksjan wyciszył się jeszcze bardziej, pozwalając, by jego umysł odrzucił iluzje, które świadomość nakładała na prawdziwe oblicze świata.

Poczucie materii zniknęło, zostawiając tylko te maleńkie rzeki ognia sunące z nieprawdopodobną prędkością wzdłuż zarysów krzesła, biurka i trzech przedmiotów ułożonych na podłodze. Maksjan skoncentrował się na nich, szukając ich echa. Ołowiana kostka rozrosła się przed jego oczami, stała się monstrualnie wielka. Wirujące drobinki tworzące jej powierzchnię wydawały mu się najpierw ciężkie i solidne, potem stały się tylko duchem rzeczywistości, by wreszcie, w trzecim rodzaju widzenia, zamienić się w pustkę wypełnioną obłokiem ognia i rozstać. Ogarnęło go nagle poczucie rozproszenia, a potem znalazł się w tej dziwnej

rzeczywistości. Coś poza strukturą kostki przyciągało go do siebie, sięgało do wnętrza jaźni.

Maksjan odsunął od siebie tę wizję, powrócił do szerszego pola widzenia, odrzucając rozpraszający szczegół, który tworzył kostkę. Teraz widział rezonans, echo, które uderzało w maleńki ciężar kostki. Jego umysł przeniknęło najpierw zdziwienie, potem otepiająca groza. Kostka, tkanina i gwóźdź znajdowały się w samym środku wiru sił. Ciemne energie zepsucia i rozpadu wypływały z nich spiralą, uderzły we wszystko, czego dotknęły. Maksjan czuł, jak przenikają do rdzenia jego jestestwa, niczym rak pożerają jego siłę i witalność.

Przekleństwo! - pomyślał z przerażeniem. Jakaś złowroga siła przywołana przez wielkiego czarownika! Muszę natychmiast zniszczyć te przedmioty! Ów wewnętrzny nakaz był tak silny, że Maksjan niemal nie przerwał natychmiast medytacji, gotów wybiec z przeklętymi przedmiotami. Opanował się jednak, a po chwili stwierdził ze zdumieniem, że jego własne myśli i wola uginają się pod naporem sił, które gromadziły się w pokoju. Zniszcz je - szeptał wir - zgnieć je, spal.

Zebrawszy siły, przywołał tarczę Ateny, tak jak uczono go tego już podczas pierwszych zajęć w szkole Asklepiosa w Pergamonie. Dzięki niej uzdrowiacz mógł odrzucić od swego ciała wszelkie nieprzychylne siły. Otoczył go lśniący pas błękitu i bieli, który po krótkich zmaganiach zniszczył macki czerni sięgające do jego jaźni. Natychmiast poczuł się lepiej, odzyskał panowanie nad własnym umysłem i myślami.

Ujrzawszy wyraźnie działające przeciw niemu siły, dokonał ciekawego odkrycia. Trzy przedmioty leżące na podłodze nie były źródłem wrogiej mocy, która wciąż iskrzyła i syczała przy zetknięciu z białoniebieską tarczą. Przyciągały ją raczej, tak jak krew w wodzie przyciąga rekina, a ranne zwierzę - wilka. Na jego oczach sploty w kawałku tkanki zaczęły się rozwiązywać, zamieniać w pojedyncze nici, a potem coraz cieńsze włókna. Za dzień czy dwa całkiem zniknie, pomyślał zdumiony mocą tego przekleństwa. Nawet ołów i żelazo deformowały się pod miazdzącą siłą czarnych macek. Co może im dawać taką wielką moc? Znów zaczęło go dręczyć poczucie, że gdzieś już to widział...

Zapomniawszy na chwilę o trzech przedmiotach, Maksjan uwolnił myśl i wznosił się ponad drewniane belki dachu budynku, pod rozgwieżdżone niebo nad Palatynem i miastem. Z tej wysokości miasto wyglądało jak pulsujące morze światła - ludzie, budynki, rzeka, wszystko to błyszczało własnymi rzekami ukrytego ognia. Maksjan patrzył w osłupieniu, jak pośród tego wszystkiego wznosi się czarno-niebieska energia, krąży wokół pałacu i jego pokojów niczym wielki wir. Przekleństwo wypływało z każdej cząstki miasta, z każdego kamienia, ze śpiących ludzi, z rzeźb na Forum i z piasku na arenie cyrku.

To miasto! - uświadomił sobie nagle. Miasto oczyszcza się z wroga, z... choroby.

To właśnie widział już kiedyś w trzecim widzeniu, ciało atakujące raka i niszczące go. *Intruz, coś nieprzyjaznego ciała*. Wizja nagle ustała, w mgnieniu oka znalazł się z powrotem w swoim pokoju, leżał na podłodze, zlany potem, a jego dłonie i czoło były gorące niczym rozpalone żelazo.

WYSPA DELOS, PROWINCJA EGEJSKA

f=a» <*=?

2awodzenie niewolników i trzask bicza wyrwały Dwyrina ze snu. Miał wrażenie, że jego głowa jest dziwnie lekka, zniknęły jednak orgia Darw i zakrzywienia przestrzeni. Leżał na plecach, na gładkiej marmurowej ławce i po raz pierwszy od długiego czasu czuł się naprawdę wybudzony. Burczało mu w brzuchu i okropnie chciało mu się pić, ale wreszcie normalnie widział i słyszał. Przed oczami miał niski, poplamiony sadzą sufit. Próbował się poruszyć, przytrzymały go jednak w miejscu żelazne łańcuchy na nogach i rękach. Niedobrze, pomyślał, rozglądając się po pokoju. Po lewej ręce miał wysokie okno, przez które wpadała smuga słonecznego światła. Po drugiej stronie okna widać było fragment lazuru nieba.

Marmurowa ławka, łańcuchy, okno i drzwi stanowiły właściwie jedyne wyposażenie pokoju. Przez okno dochodziły odgłosy przypominające gwar placu targowego, nie były to jednak głosy zwierząt, lecz ludzkie zawodzenie i trzask bicza. Dwyrin uświadomił sobie nagle, że statek niewolników nie był tylko złym snem. Zostałem sprzedany w niewolę, pomyślał tępo. Jak dokończę teraz naukę? Muszę stąd uciec.

Z tych niewesołych rozmyślań wyrwał go zgrzyt zasuw i skrzywienie otwieranych drzwi. Do komnaty weszło dwóch mężczyzn, jeden niski i muskularny, w nogawicach i tunice żeglarza, drugi wysoki i szczupły, z resztkami siwych włosów przyklepanych do głowy, ubrany w togę i sandały. Patrycjusz podszedł do marmurowej ławki i spojrzał na Dwyrina przejrzystymi, niebieskimi oczyma. Jego twarz była równie szczupła jak ciało, miał delikatny nos i lekko zarysowane brwi. Przez chwilę przyglądał się uważnie Dwyrinowi, zaglądał mu w oczy, badał członki. Przez cały czas uważał jednak, by nie zbliżać rąk do ust Dwyrina, i był bardzo ostrożny. Skończywszy badanie, odstał od ławki i potarł brodę w zamyśleniu.

- Jest w dobrym zdrowiu, Amochisie, choć wciąż nosi na szyi ślady twoich palców. Nadal jest pod działaniem środka oszałamiającego, więc może tu zostać jeszcze przez jakiś czas. Nie widzę jednak żadnego znaku „magicznych” mocy, o których wspominasz, choć prawdę mówiąc, nie dziwi mnie to szczególnie.

Żeglarz poczerwieniał, urażony sarkastycznym tonem lekarza.

- Widziałem to, co widziałem, panie, rzucał ogień z rąk i zabił jednego z moich ludzi. Spalił mu całkiem głowę, nie chciała zgasnąć nawet pod wodą. - Żeglarz starał się nie okazywać gniewu, ale w środku aż się gotował ze złości.

Medyk uśmiechnął się lekko.

- Nie ma się o co obrażać. Chciałem tylko powiedzieć, że nie mogę napisać zaświadczenia potwierdzającego, że ten chłopiec ma jakieś szczególne talenty prócz ładnej twarzy i rudych włosów.

Amochis zmarszczył brwi i zatknął kciuki za pas, mówiąc:

- Żeby się o tym przekonać, musiałbyś poczekać panie, aż lek przestanie działać, a wtedy mógłbyś pozbyć się głowy.

Doktor wzruszył ramionami.

- Przekażę mój raport mistrzowi handlu, ale przypuszczam, że sprzedasz mu go tylko jako zwykłego służącego. Powinieneś go przenieść do którejś piwnicy. Wyjdzie ci to znacznie taniej niż wynajmowanie tego...

- Szczupły mężczyzna o starannie wypielegnowanych paznokciach wskazał na gołe ściany pokoju. Potem odwrócił się i wyszedł. Amochis stał jeszcze przez chwilę na środku pokoju, spoglądając gniewnie na Dwyrina, który nie poruszył się ani nie przemówił podczas badania. Wreszcie żeglarz potrząsnął głową, jakby chciał odgonić gromadzącą się wokół niej chmurę złości, i mruczając coś pod nosem, wyszedł z celi. Drzwi zatrzęsły się z hukiem, potem zgrzytnęła ciężko zasuwka. Czas mijał powoli, odmierzany smugą światła, która wędrowała po ścianie, a potem przybladła i zniknęła, ustępując miejsca ciemności. Dwyrin wciąż leżał nieruchomo, nasłuchując gwaru głosów dopływających zza okna. Uświadomił sobie z przerażeniem, że muszą tam przebywać tysiące niewolników i setki nadzorców.

Słyszał o tym miejscu, kiedy był w szkole, a nawet wcześniej, gdy cesarski okręt zabrał go z odległej ojczyzny do Egiptu. Trafił za sprawą jakiegoś tragicznego splotu okoliczności na wyspę Delos. Giełdę niewolników obydwu cesarstw. Maleńka, skalista wyspa u wybrzeży Achai była największym targiem niewolników na świecie. Dziesięć tysięcy niewolników kupowanych i sprzedawanych codziennie, mówiła jakaś część jego umysłu, a ty najmniejszy między nimi. Handlarze nigdy mu nie uwierzą, że jest częścią kontrybucji dla cesarstwa. Jeśli uwierzą, że jest czarodziejem, zostanie od razu zabity jako zbyt niebezpieczny albo sprzedany moŜnym jako dziwadło i ozdoba. Łzy napłynęły mu do oczu. Gdyby tylko mógł przywołać medytacje wejścia Hermesa, zdjąłby te łańcuchy. Nic się jednak nie działo, nadnaturalna lekkość w jego głowie oddzielała skutecznie myśl od zapamiętanego kształtu mocy. Wreszcie, gdy zapadła już całkowita ciemność, głodny i wyczerpany pogrążył się we śnie.

Gdy za oknem znów zajaśniało światło dnia, Dwyrin obudził się z dojmującym bólem głowy. Zniknęła jednak lekkość spowijająca jego umysł, spróbował więc przywołać odpowiednie medytacje. Głód wciąż go rozpraszał i mącił myśli. W końcu jednak, wbijając paznokiec w dłoń, zdołał się skupić na tyle, by rozpocząć medytację pierwszego wejścia. Wciąż jednak musiał się bardzo starać, by nie myśleć o pieczonej jagnięcinie, świeżych winogronach czy cierpkich oliwkach. Zmagał się z tym, by wreszcie osiągnąć taką jasność widzenia, jaka na statku pozwoliła mu znaleźć słabe ogniwo w łańcuchu. Powoli, wiele razy przerywając i zaczynając od nowa, badał łańcuchy umocowane w marmurowej ławie. Wkrótce rozbolała go szyja, musiał bowiem trzymać wysoko uniesioną głowę, by widzieć wszystkie ogniwa. Żadne z nich jednak nie odróżniało się kolorem od innych. Dwyrin opadł ciężko na ławkę, dysząc z wysiłku.

Re wspiał się niemal na wysokość okna, kiedy znów otworzyły się drzwi celi. Dwyrin czuł, jak przechodzi przez nie zimny powiew... czegoś. Znieruchomiał na moment, potem odwrócił głowę, bojąc się spojrzeć na to, co tak lekko przestąpiło próg. W odzyskanym częściowo nadwideniu widział, jak światło przygasa, szarzeje. Dziwne strumienie mocy wypełniały pokój, pełzły po ścianach niczym pająki. Do pokoju wszedł jakiś mężczyzna, prowadząc za sobą Amochisa. Był niewysoki, ubrany w ciemnobrązową tunikę, długi płaszcz i koszulę oraz małą, ciemną czapkę z filcu. Miał wąską, trójkątną twarz o ciężkich powiekach. Dwyrin wzdrygnął się, ujrzawszy jego szarą, jakby pokrytą wapnem skórę i blade oczy o barwie ołowiu. Nieprzyjemnie białe strumienie mocy prześlizgiwały się pod i nad jego skórą niczym wielkie węże. Nie miał żadnego zapachu.

- To właśnie ten niewolnik, o którym mówiłem, panie - przemówił cicho Amochis. Dwyrin widział, że żeglarz umiera ze strachu. Kwaśny zapach jego potu wypełniał komnatę.

- Ładnie, bardzo ładnie - wyszeptał truposz głosem przypominającym stukot suchych kości opadających na dno studni. - Widzę w nim wielką obietnicę, niczym gorący węgiel zakopany w popiele. Słusznie uczyniłeś, pokazując go właśnie mnie, mistrzu Amochisie. - Lekkie niczym pióra palce przesuwają się tuż nad twarzą Dwyrina, nie dotykając jej jednak ani razu. Dwyrin zadrżał, gdy truposz pochylił się nad nim i zaczął go wąchać. Z bliska widział cienką linię szwu biegnącą wzdłuż szyi mężczyzny, aż po gardło, i sięgającą do tyłu czaszki. Czuł, jak do gardła podchodzi mu krzyk przerażenia, odchylił głowę jak najdalej do tyłu, jak najdalej od twarzy potwora.

Mięśnie policzków mężczyzny wygięły się niczym robaki, gdy przywołał na twarz odrażający uśmiech. Wąska dłoń spoczęła na ramieniu Dwyrina niczym całun na umarłym.

- Nie bój się, mój młody przyjacielu, nie ma czego. Nie skrzywdzę cię. Leż spokojnie i rozmyślaj o miłych rzeczach. Zabiorę cię stąd do miejsca, w którym zostaniesz wreszcie doceniony.

Znów się uśmiechnął, lecz tym razem mięśnie zareagowały szybciej na wolę ukrytą w czarnych jak noc oczach mężczyzny. Dwyrin zamarł niczym królik w obliczu wilka. Czarne jeziora oczu robiły się coraz głębsze i głębsze, jakby tworzył się w nich jakiś wielki wir. Dwyrin próbował rozpaczliwie przywołać medytację Serapisa, by oprzeć się przyciąganiu tej ciemności. Przegrał i znów opuściła go świadomość.

Gdy Dwyrin obudził się ponownie, nie krępowały go żadne łańcuchy. Znów słyszał skrzypienie statku i lin ocierających się o burty. Był przykryty jakimś kocem, sądząc po dotyku, bawełnianym. Wzdrygnął się na myśl, że może być nagi, czy to fizycznie czy psychicznie, w obecności tego stworzenia, które pochylało się nad nim w celi. Powietrze wydawało się gęste, przytłaczające, jakby kryło w sobie jakieś zagrożenie. Dwyrin bardzo powoli, ostrożnie otworzył oczy i rozejrzał się dokoła. Tym razem nie znajdował się w ładowni pod pokładem, lecz w niewielkim, niskim pokoju, wyposażonym jedynie w koję, na której leżał, wiadro i łukowate drzwi. Sciana, do której przymocowano koję, także była zakrzywiona, a Dwyrin uświadomił sobie, że musi leżeć w kajucie wciśniętej w kąt kadłuba. Przez wąską szparę między drzwiami a ścianą przeświecała odrobina światła, rozpraszając mrok zalegający w pokoju.

Dwyrin jeszcze raz upewnił się, czy nie ma na nogach ani rękach żadnych łańcuchów. Był cały i zdrowy, lecz zniknęło jego ubranie. Po chwili uświadomił sobie także, że jego szyję oplata cienka metalowa nić. Ostrożnie wypróbował jej wytrzymałość i zrozumiał od razu, że nie da się jej przerwać w normalny sposób. Uspokoił oddech i spróbował pierwszego wejścia. Po chwili przerwał. Moc, przejście, które zawsze nań czekały, zniknęły. Choć próbował wszelkiego rodzaju medytacji, choć ze wszystkich sił usiłował się skoncentrować, przejście pozostawało zamknięte, w jego umyśle nie pojawiło się nic, dzięki czemu mógłby przedostać się do nadświata form. Dotknął jeszcze raz nici oplatającej szyi, zdziwiony bijącym od niej ciepłem.

Skrzypienie drzwi i powódź białego światła, które zalało pokój, nie pozwoliły mu na dalsze rozmyślenia. Dwyrin przysłonił oczy, a potem skulił się odruchowo, ujrawszy w drzwiach postać truposza.

- Chodź, mój młody przyjacielu, kolacja czeka na stole. - Lekko drwiący ton głosu nieznanego tylko pogłębił obawy Dwyrina. Nie miał jednak innego wyjścia: musiał wykonywać polecenia. Powoli, gdyż jego ciało było bardzo osłabione, podniósł się z koi i pochylony wyszedł z maleńkiej kajuty. W sąsiednim pokoju znajdował się stół przykryty do podłogi, mnóstwo dywanów i ozdób, dwa krzesła oraz talerze i misy. Zapach jedzenia oplótł młodego Hibernijczyka niczym wąż, na myśl o rychłym posiłku ślina napływała mu do ust, choć jednocześnie zapach padliny zatykał mu gardło. Dwyrin usiadł na mniej-

szym z dwóch krzesel i przytrzymał się kurczowo stołu, gdy okręt nieco się przechylił.

Truposz siedział już na swoim miejscu. Pajęcza dłoń uniosła białą misę, zdjęta z niej serwetę i podsunęła Dwyrinowi.

- Chleba? - spytał głos z wypełnionej kośćmi studni. - Powinieneś jeść bardzo powoli, nie bierz za dużo naraz. - Misa spoczęła obok tacy przed Dwyrinem. Chłopiec wziął kawałek pociętego bochenka. Chleb był ciężki i twardy. Dwyrin odgryzł ostrożnie kawałek, sprawdzając językiem, czy nie ma w nim drobnych okruchów kamieni, które często zostawały w mące po przesianiu. Chleb miał jakieś osiem czy dziesięć dni, ale nadawał się jeszcze do jedzenia. Chłopiec przeżuwał powoli. Gospodarz przyglądał mu się z zainteresowaniem.

- Możesz nazywać mnie Chiron - powiedział truposz, przysuwając sobie kielich z brązu. - Jesteś teraz moją własnością, a właściwie własnością mego pana. Wyglądasz na inteligentnego młodzieńca, tym bardziej że spędziłeś trochę czasu w jednej z egipskich szkół magii. - Mężczyzna uniósł lekko brwi, widząc zaskoczone spojrzenie Dwyrina. - Nosisz wiele znaków, które o tym świadczą. Zgrubienia na palcach od pisania piórem. Plamy atramentu na rękach, niewątpliwie egipskiego pochodzenia. Medytacje, które przywołujesz, gdy chcesz się wyciszyć i narzucić swą wolę ukrytemu światu. Wszystkie te rzeczy prowadzą do jednego wniosku.

Dwyrin nie odpowiedział, tylko wciąż powoli przeżuwał chleb. Chiron odwrócił na chwilę wzrok, jakby zbierając myśli. Miał ptasi profil, wielki zakrzywiony nos i głęboko osadzone oczy ukryte pod ciężkimi powiekami. Mimo to Dwyrin był pewien, że Chiron nie jest Egipcjaninem, choć nie miał pojęcia, skąd bierze się ta pewność. Pozbawiony innego rodzaju widzenia musiał przyglądać mu się bardzo uważnie, by odszukać znaki, które przekonały go wcześniej, że ów człowiek jest martwy. Jego skóra była blada, nie miała jednak tej kredowej, ziarnistej struktury, którą widział w świecie prawdziwych form. Długie, ciemne i nieco przetłuszczone włosy, które opadały na jego ramiona, nie iskrzyły teraz lśniącoymi zwojami energii, którą widział przedtem. Jego ciemne oczy wciąż wyglądały jak dwie kałuże jadu, nie widział w nich jednak oceanu żywej ciemności. Jego usta wydawały się nawet lekko zaróżowione. Chiron uśmiechnął się nagle do niego, a Dwyrin zadrżał, widząc czystą złość i nienawiść, jaką owo stworzenie czuło do niego, żywej istoty.

- Za trzy dni dopłyniemy do wielkiego miasta - mówił truposz - a mój pan zabierze cię do swojego domu. Będziesz tam miał bardzo dobrą opiekę. Nie zabraknie ci jedzenia, picia ani rozrywek. - Chiron pochylił się niżej nad stołem. - Ale nie będziesz miał swojej drogocennej wolności, choć będziesz mógł swobodnie chodzić po mieście. Nie, mistrz z radością dołączy cię do swojej kolekcji. - Chiron uśmiechnął się ponownie i upił łyk z kielicha. Dwyrin zadrżał przejęty zimnym dresz-

czem, ujrawszy, jak powoli różowiał się nie tylko usta truposza, lecz i jego policzki.

- Jedz i pij, mój młody przyjacielu, wystarczy dla nas obu. Delos zawsze doskonale mnie zaopatruje. - Tym razem potwór roześmiał się głośno. Dźwięk ów przypominał trzask dziecięcych czaszek rozgniatanych między żelaznymi palcami, jedna po drugiej.

Dwyrin nadal przeżuwał chleb.

Okręt zakołysał się na kolejnej fali, a podmuch południowego wiatru wydał mocniej jego żagle. Płynął na północ przez ciemne morze, sterowany rękami umarłych.

KONSTANTYNOPOL

{=> ferf^}

V / hyatis stała na dziobie „Mikitisa”, północny wiatr uderzał w jej s[^] twarz i rozwiewał rozpuszczone włosy. Choć wiatr znad Morza Ciemności był zimny, egejskie słońce paliło bardzo mocno, Thyatis rozebrała się więc do skórzanej kamizelki i krótkiej spódniczki. Jej jasna zazwyczaj skóra okryła się brązem, jeszcze mocniej przyciągając spojrzenia członków załogi. Thyatis ignorowała je cierpliwie, tak jak robiła to już od trzech tygodni, odkąd wyłynęli z Ostii. Nikos obserwował ją dyskretnie z przedniego pokładu, ostrząc jednocześnie jeden ze swych licznych noży. Tymczasem statek handlowy, który księżna przysposobiła do „pracy”, wiozł ich przez błękitne wody Propontydy, rozcinając kolejne fale smukłym dziobem. Morze dokoła było szerokie i otwarte, fale łagodne. Przed dziobem widać było już bliźniacze wieże stolicy Cesarstwa Wschodniego oraz port wojskowy wypełniony lasem masztów i żagli.

„Mikitis” położył się lekko na prawej burcie, a załoga pobiegła związać główny żagiel. Wiosła sterujące uderzyły w wodę, a okręt zadrzał lekko, gdy kapitan zmienił kierunek, by przepłynąć pomiędzy dwiema wielkimi wieżami strzegącymi wejścia do portu. Za lasem masztów wznosiły się granitowe mury Konstantynopola: kamienne kolosy zwieńczone ostrymi jak zęby blankami, wśród których królowały masywne kształty wież. Nawet z tej odległości Thyatis wyczuwała moc bijącą od tej fortecy. Wiedziała tajcze z zapisków księżnej, że za murami kryło się dwumilionowe miasto, tętniące życiem i zajęte swoimi codziennymi sprawami pomimo trwającego już od pół roku oblężenia awarskich barbarzyńców i ich słowiańskich i gepidzkich sprzymierzeńców. Płynąc przez Propontydę, z daleka już widzieli ślady ich działalności - spalone domy i odległe słupy dymu.

Gdy „Mikitis” wpłynął już do portu, Thyatis mogła przyjrzeć się bliżej flotyllom galer o krótkich wiosłach, karmazynowych żaglach i obitych brą-

zerń dziobach, które błyszczały teraz dumnie w popołudniowym słońcu. Na przystani tłoczyły się setki kupców, żeglarzy i robotników, na nabrzeżach leżały ogromne ilości zapasów i wszelkiego rodzaju materiałów. Za osłoną murów wiatr ucichł całkowicie, a załoga „Mikitisa” wysunęła długie wiosła. Plusk piór zanurzanych w wodzie zagłuszony został przez głuche bicie bębna. Thyatis odwróciła się i ujrzała galerę wypływającą z wielkiej szopy zbudowanej przy zachodnim brzegu przystani. Wychynęła z ukrycia niczym wielki kot, setki wiosła lśniły w słońcu niczym las włóczni. Bęben wybijał ostry rytm, a okręt sunął do przodu jak na skrzydłach, gdy wiosła w idealnie zgranym tempie, niczym jedno, zanurzały się w wodzie.

Okręt przemknął przez zatokę niczym gigantyczny pajak. Drapieżny kształt, groźne oczy na rufie i zgranie wiosłarzy przyprawiły Thyatis o szybsze bicie serca. Dowodzić taką bestią, myślała z rozmarzeniem. Być jak bóg, pędzić przez wody... Chwilę później okręt opuścił port i wypłynął na otwarte wody Propontydy. Thyatis patrzyła za nim z żalem.

Wkrótce „Mikitis” wpłynął na wyznaczone mu miejsce w doku, a Nikos i inni ludzie pod komendą Thyatis zaczęli wyładowywać sprzęt na brzeg. Thyatis ponownie włożyła pelerynę z wielkim kapturem, a pod ubranie - kolczugę z gęsto splecionych żelaznych ogniw. Ciężar owej kolczugi oraz dotyk podwójnej bawełnianej koszulki, która oddzielała żelazo od ciała, dawały jej poczucie bezpieczeństwa. Tłumaczyła sobie, że teraz, kiedy są już na lądzie, ciężar ów nie będzie jej w niczym przeszkadzał. Poza tym było to obce miasto - przynajmniej dla niej, bo Nikos był tu już wcześniej - a to oznaczało, że musi się mieć na baczności. Przeszła między swymi ludźmi, rozmawiając z każdym z osobna, sprawdzając, czy nikt niczego nie zapomniał.

Zakończywszy inspekcję, dotarła niemal do końca doku, gdzie stał jakiś młody oficer w lekkiej zbroi z garbowanej skóry, czerwonym płaszczu i skórzanych butach. Nosił krótko przyciętą bródkę, zgodnie ze wschodnią modą, choć miał także krótkie włosy. Co chwila zaglądał nerwowo w głąb doku. Trzymał przerzuconą przez ramię sakwę na wiadomości, a nieopodal stał znudzony koń, którego uwiązał do palika przy krawędzi doku.

- Mogę w czymś pomóc? - spytała Thyatis, domyślając się, że to ich przewodnik.

- Ach, może... Szukam centuriona dowodzącego tym oddziałem. Mam rozkazy dotyczące zakwaterowania dla jego ludzi. - Wciąż zaglądał za jej plecy, choć przesunęła się tak, by stać dokładnie przed nim. Odwrócił się do niej zaskoczony, jakby dopiero teraz dostrzegł jej obecność. - Wiesz, który to? Wszyscy wyglądają trochę... niechlujnie.

Thyatis uśmiechnęła się i wyciągnęła z kieszeni płaszcza sakwę z rozkazami. Wręczyła mu ją, otwierając wcześniej zapieczętowaną klapkę. Słońce rozświetliło na moment cesarską pieczęć i mniejszą, choć równie ozdobną, pieczęć domu Orelia.

- Wszyscy wyglądamy niechlujnie, optymacy, taką mamy pracę. Ja jestem tutaj centurionem, Thyatis Julia Klodia.

Optymata wpatrywał się w nią z rozdziawionymi ustami, jakby ujrzał nagle ducha. Wreszcie zamknął usta i potrząsnął głową.

- Wybacz pani, moje rozkazy nie określały płci dowódcy. Przepraszam, jeśli uraziłem cię w jakikolwiek sposób.

Thyatis mierzyła go przez chwilę wzrokiem, potem pokręciła głową.

- Nie jestem dzisiaj w nastroju do pojedynków, a poza tym chętnie bym już poszła do tych kwater. Mam dwunastu ludzi zamiast dziesięciu. Czy to w niczym nie przeszkadza?

Optymata pokręcił głową, szczęśliwy, że uniknął zatargu z dziwnym zachodnim oficerem. Jego trybun wytłumaczył mu aż nadto dobitnie, jak ważne jest utrzymanie przyjaznych stosunków z załogą tego statku. Jakikolwiek zatarg z jednostką specjalną mógł oznaczać szybki powrót do jego majątku, tyle że w kilku kawałkach. Przyglądał się przez chwilę zachodniej załodze, która wyciągała na brzeg mnóstwo sprzętu. Ich wygląd utwierdzał go tylko w przekonaniu, że trafiła mu się najgorsza robota w całym porcie. Żaden z mężczyzn nie był zadbany; wszyscy mieli za długie, zmierzwione brody. Ubrania składające się z jakichś łachmanów i fragmentów zbroi w niczym nie przypominały prawdziwych mundurów. Wszyscy wyglądali złowrogo i groźnie, wcale nie lepiej od oddziału niskich barbarzyńców o pałąkowatych nogach, długich wąsach i skośnych oczach. Optymata uświadomił sobie nagle z przerażeniem, że byli to Hunowie albo co najmniej Sarmaci.

Rozejrzawszy się dokoła, zrozumiał, że ma kolejny poważny problem. Odwrócił się częściowo od załogi stojącej za plecami młodej kobiety i przemówił do niej unizonym tonem:

- Pani, powiedziano mi, że będzie to oddział piechoty, nie przyprowadziłem więc żadnych koni ani wozów, a twoi ludzie mają o wiele za dużo sprzętu. Czy zechcesz okazać jeszcze odrobinę cierpliwości i poczekać, aż sprowadzę tu jakiś transport?

Thyatis poskrobała się po głowie i spojrzała przez ramię na Nikosa, który jak zwykle nie wiadomo kiedy pojawił się za jej plecami.

- Cóż... - zaczęła, przeciągając każdą głoskę. - To wszystko jest okropnie ciężkie. Nie chciałabym, żeby moi ludzie się zmęczyli, muszą potem jeszcze długo pić i gwałcić.

Delikatnie ujęła optymatę za łokieć, naciskając kciukiem na tyle mocno, by przykuć jego uwagę. Potem pochyliła się i wyszeptła mu do ucha:

- Moi ludzie mogą nieść ten sprzęt przez dwadzieścia mil i to w najgorszym upale. Twoje miasto ma ledwie dwie mile. Myślę, że damy sobie jakoś radę. Jeśli jesteś zbyt zajęty, żeby pokazać nam drogę, pozwolę, żeby kierowali się instynktem - potrafią znaleźć sobie wygodne miejsce do spania bez względu na to, czy podoba się to innym, czy też nie.

Optymata nawet nie drgnął, czym zdobył sobie odrobinę uznania w oczach Nikosa, który stanął po jego drugiej stronie. Grek bez pytania wyjął rozkazy z sakwy przewieszanej przez ramię oficera i zaczął je przeglądać.

- Pani - przemówił optymata, starając się panować nad głosem - źle mnie zrozumiałaś. Moim zadaniem jest pomóc wam w dotarciu do kwater, a tobie pani także na wieczorne spotkanie. Jeśli chcecie iść na piechotę do...

- ...Pałacu Justyniana - dokończył za niego Nikos. - Bądź co bądź, królewska gościna.

Thyatis skrzywiła się z niedowierzaniem.

- Co to jest? Więzienie? Jakieś ruiny? Przecież nie zakwaterują nas w pałacu, nie żartuj sobie. - Nikos wyszczerzył zęby w uśmiechu i podał jej rozkazy. Thyatis przeczytała je, kręcąc głową ze zdumienia, a potem oddała rozkazy Nikosowi. Optymata odetchnął z ulgą, gdy wreszcie wypuściła jego łokieć.

- W takim razie lepiej ruszajmy już w drogę - powiedziała z rezygnacją. - Lepiej pozamykać ich wszystkich na miejscu, nim zaczną rozrabiać.

* * *

Marcjusz Galen Atreusz, august cesar Occidens, stał przy oknie w jednym z pokoiów, które zajmował, przebywając we wschodniej stolicy. Z trzeciego piętra Pałacu Justyniana, zwanego teraz powszechnie Drugim Pałacem, widział dachy budynków tworzących kompleks pałacowy. Niemal całą północną część nieba przesłaniała główna bryła Wielkiego Pałacu, za nią wznosiła się gigantyczna kopuła Świątyni Niezwyciężonego Słońca. Na zachodzie rozciągały się ogrody wypełniające przestrzeń między starym ceglany Pałacem Justyniana i murami Hipodromu. Za nimi znajdowało się miasto, ogromny, tętniący życiem ul z trzy, cztero- lub pięciopiętrowymi budynkami, placami wypełnionymi tłumem kupców, wielkim Kamieniem Miłowym i ogromną masą ludzi. Galen oparł się o parapet, ogarnięty nagle wielkim smutkiem. Według obliczeń jego sekretarzy Konstantynopol liczy! tylu mieszkańców, ile Rzym, Ostia i okoliczne prowincje razem wzięte. Zaraza zdziesiątkowała Italię, wydawało się jednak, że nie wyrządziła praktycznie żadnej szkody na Wschodzie.

Uprzejme chrząknięcie poinformowało go, że do pokoju wszedł jego pomocnik. Galen odwrócił się, przywołując na twarz pogodny uśmiech, by w żaden sposób nie zdradzić dręczącego go smutku.

- Ave, auguście - powiedział Aecjusz, skłoniwszy się lekko. Chłopiec wciąż zachowywał się dość sztywno w jego obecności, po części ze względu na zwyczaj panujące na wschodnim dworze. Roumulus Aecjusz Wa-

lens należał do jednej z niewielu patrycjuszowskich rodzin Rzymu, które wciąż mogły się pochwalić licznym potomstwem. Nomerus Walens, patriarcha rodziny, już wcześniej był przekonany, że jego syn uzyska to stanowisko, Galen uważał jednak, że stało się tak tylko ze względu na bardzo ograniczoną liczbę kandydatów. Aecjusz był z nich najlepszy, nawet pomimo tej irytującej skłonności do bicia pokłonów przy każdej okazji.

- Aecjuzu, jestem tylko człowiekiem, nie bogiem. Nie musisz kłaniać mi się przy każdej okazji. - Głos Galena był łagodny, podszyty cierpkim rozbawieniem. Aecjusz spojrział na niego i znów się uklonił.

- Spokojnie, chłopcze, odpręż się i powiedz mi, jakie przynosisz wieści.

Aecjusz zasalutował i stanął wyprostowany jak struna. Jego brązowe włosy przycięte były krótko tuż nad czołem, a blada zazwyczaj skóra zaczęła brązowieć w greckim słońcu. Wyjął spod pachy dwie woskowe tabliczki i położył je na biurku. Galen usiadł i zaczął przeglądać przyniesione przez chłopca tabliczki. Tymczasem ten meldował jednym tchem:

- Trzecia i szósta kohorta z Septima Augusta, jeźdźcy z Sexta Gemina i cztery tysiące Gotów wpłynęło dzisiaj do portu. Tym samym liczba zachodnich żołnierzy stacjonujących w stolicy wzrosła do dwudziestu pięciu tysięcy. Kwatermistrz prosił, by przekazać ci panie, że brakuje nam już miejsc dla kolejnych żołnierzy. Gdybyś zechciał porozmawiać o tym z cesarzem Herakliuszem...

Galen uciszył chłopca machnięciem ręki. Jego ludzie mogli spać po dwóch czy nawet po trzech w jednym łóżku przez ten krótki czas, kiedy armia miała przebywać we wschodniej stolicy. Teraz, kiedy mógł spotykać się z cesarzem Wschodu twarzą w twarz koordynacja wielkiej wyprawy znacznie się poprawiła. *Telecastu* używano sporadycznie, było to bowiem ogromnie męczące dla czarownika, który utrzymywał połączenie. Starożytne urzędnicy wciąż się rozstrajały i pokazywały jakieś odległe sceny i miejsca. Choć Galen wiele sobie po nich obiecywał, okazało się, że nie może do końca na nich polegać, postanowił zatem, że używane będą tylko w nagłych wypadkach, w razie najwyższej konieczności. Poza tym największe kłopoty mieli teraz tutaj, w Cesarstwie Wschodnim, a nie na Zachodzie, Herakliusz zaangażowany był bowiem w spór o władzę z wielkimi posiadaczami ziemskimi, którzy dostarczali większą część żołnierzy do jego armii.

- Dobrze, co jeszcze?

- Załadunek okrętów odbywa się zgodnie z planem, choć niektórzy narzekają, że niepotrzebnie sprowadzamy zapasy z miasta, skoro wszystkie towary i tak przywożone są tutaj na statkach. - Aecjusz zrobił krótką przerwę, Galen nie odpowiedział jednak na pytanie zawarte w tej informacji. Chłopiec przeszedł więc do kolejnych punktów: - Szambelan donosi, że chazarski ambasador wciąż się nie pokazał, przybył natomiast posłaniec z listem od księżnej de'Orelia.

Galen podniósł wzrok, usłyszawszy tę ostatnią wiadomość, i odłożył tabliczkę na biurko.

- Gdzie jest ten list?

*

- W rękach posłańca, auguście. Kobieta ta poinformowała mnie, że ma dostarczyć ten list osobiście. - Chłopiec zamilkł, przyjmując uniżoną pozę. Galen pokręcił głową; bał się, że zachowanie chłopca to tylko cień tego, co może czekać go ze strony wschodnich dworzan.

- Więc jest tutaj?

Aeczusz skinął głową.

- Wprowadź ją zatem, chłopcze, i przestań zachowywać się, jakbyś połknął pestkę śliwki.

- Ave, auguście!

Aeczusz obrócił się na pięcie i wymaszerował z komnaty. Chwilę później w drzwiach pojawił się posłaniec, a Galen skwitował jej wejście lekkim uniesieniem brwi. Już od kilku miesięcy plotkowano o tym, że tajemnicza i „orientalna” księżna zdecydowała się w końcu pokazać światu swą podopieczną. Choć Anastazja zarządzała siatką szpiegowską pod rządami trzech ostatnich cesarzy i choć nigdy nie dała Galenowi powodów do podejrzeń o brak lojalności, cesarz rad był, widząc znaki świadczące o tym, że jest śmiertelna.

Cesarz potrzebował wielu szpiegów i informatorów, którzy wypełniali jego wolę i byli jego oczami na terenie całego państwa. Przez ostatnie jedenaście lat frakcja de'Orelia skupiła niemal wszystkie elementy siatki szpiegowskiej w swoich rękach - najpierw gdy przeprowadził im stary książę, potem gdy zajęła się tym owdowiała księżna. Przez ostatnich kilka lat Galen próbował stworzyć własną siatkę informatorów, ludzi niezwiązanych z de'Orelia, była to jednak żmudna praca. Co najgorsze, nie mógł znaleźć żadnego mężczyzny, który realizowałby tajną strategię państwa równie skutecznie jak księżna. Choć nie miał nic przeciwko de'Orelia, nie mógł pogodzić się z myślą, że w tej dziedzinie ma nad nim przewagę.

Wysłanniczka księżnej zaszalutowała, a potem stanęła w postawie spoczynnej przed jego biurkiem. Galen stwierdził z zainteresowaniem, że jest zarówno tak młoda, jak o niej mówiono, jak i piękna. Miała na sobie proste ubranie podobne do strojów zwiadowców legionów: wysokie skórzane buty, jasnozielone bawełniane spodnie w gockim stylu i luźną brązową tunikę z lamówką na kołnierzu i rękawach. Nosiła też ciemnoszary płaszcz, lekko zsunięty do tyłu, a jej złotorudawe włosy splecione były w warkocze. Szarozielone oczy patrzyły nań spokojnie, kiedy jej się przyglądał.

- Ave, auguście cesarze. Melduje się Thyatis Julia Klodia, centurion, Legio Secundo Italia - powiedziała, wręczając mu tubę ze zwojami papirusu. - Pozdrowienia od mojej pani, księżnej Anastazji de'Orelia. Ma nadzieję, że jesteś w dobrym zdrowiu i że twoja wyprawa

zakończy się sukcesem. Gdybyś miał jakieś pytania, panie, chętnie na nie odpowiem.

Galen przyjął te słowa skinieniem głowy, potem złamał pieczęć zamykającą tubę. W środku ukryte były grube pliki ciasno zwiniętego papirusu, każdy zapisany zamaszystym, pełnym zawijasów pismem de'Orelia. Zaczął czytać, jednak już po pierwszej stronie odłożył raport na bok. Były to głównie opisy rutynowych działań, które niespecjalnie go interesowały, a inne, bardziej poufne wiadomości i tak zamierzał przeczytać w odosobnieniu. Bardziej niż wiadomości interesowała go osoba posłańca. Gestem poprosił Thyatis, by usiadła na jednym ze stołków ustawionych przy biurku. Po krótkiej chwili wahania spełniła jego prośbę.

- Aecjusz, przynieś mi coś do jedzenia. Coś lekkiego. I wino, ale nie greckie, coś, co przywieźliśmy ze sobą.

Chłopiec uklonił się i wyszedł, starannie zamykając za sobą drzwi. Galen uśmiechnął się ponownie i podrapał za uchem, spoglądając ukradkiem na siedzącą przed nim kobietę. *Jak się do tego zabrać?* Uświadomił sobie z żalem, że jedyna kobieta, z jaką rozmawiał do tej pory o „interesach”, to księżna. De'Orelia zawsze wprawiała go w nerwowy nastrój, choć nie w takim stopniu jak senat, przez który wręcz miewał palpacje serca. Galen uzmysłowił sobie, że ufał księżnej w głównej mierze właśnie ze względu na to, jak działała na senatorów.

Pokręcił lekko głową, a potem postanowił zrezygnować z uprzejmości, jaka w jego kręgach obowiązywała w stosunkach pomiędzy kobietami i mężczyznami. Wysłanniczka była kobietą, to prawda, lecz przede wszystkim jednym z jego oficerów, a on miał dla niej zadanie do wykonania. Uprzejmości i konwenanse mogły im tylko przeszkadzać.

- Klodio, stanowisz dla mnie sporą zagadkę, wzięwszy pod uwagę, że jeśli mi wiadomo, jesteś jedyną kobietą-oficerem, która bierze udział w tej wyprawie, a właściwie jedyną kobietą w mojej armii. Wiele razy rozmawiałem z księżną o tobie, twojej sytuacji i talentach, dlatego też będę mówił otwarcie. Nie sądziłem, byś dała radę wykonać zadania, które wyznaczyła ci księżna. Właściwie byłem przeciwny koncepcji tej... „specjalnej”... *cotubernia*, do której tak namawiała mnie księżna.

Thyatis siedziała w całkowitym bezruchu, nie mrugnęła nawet powieką. Galen zrobił krótką przerwę, ciekaw, czy uda mu się wy badać jej reakcję. Czekala cierpliwie, mówił więc dalej:

- Nie wtrącałem się jednak, kiedy zorganizowała twój zespół na własny koszt, a jak wynika z jej raportów, całkiem nieźle sobie radzisz. Księżna z wielką przyjemnością opowiadała mi o twoich dokonaniach w Suburze. Jestem, byłem, bardzo zadowolony z twojego sukcesu. Dowiodłaś swoich umiejętności dość skutecznie, by zdobyć miejsce tutaj, w tej wyprawie.

Dziewczyna uśmiechnęła się wreszcie, choć było to tylko ledwie dostrzegalne skrzywienie ust. Galen nie odpowiedział uśmiechem; nie skończył jeszcze.

- Tutaj sytuacja jest inna. Choć nie miałem dotąd okazji zbyt długo przebywać w mieście, zauważyłem, że wschodni oficerowie są nawet bardziej konserwatywni, nawet bardziej ograniczeni w swym myśleniu niż ja. Nie sądzę, byś mogła być tutaj przydatna w... otwartym działaniu.

Galen podniósł rękę, powstrzymując ewentualne protesty młodej kobiety.

- W dokumentach wyprawy figurujesz jako jeden z moich gości, członek mojego personelu. Przyznam, że wolałbym nie wprowadzać cię na dzisiejsze spotkanie, z drugiej jednak strony powinnaś poznać innych oficerów. Zadam ci więc to pytanie: czy twój *optio*, Nikos, nie mógłby pójść tam za ciebie?

Szare oczy Thyatis zasnuła mgła gniewu. Tylko dzięki długim i zmudnym lekcjom, jakich udzielały jej Krista i Anastazja, nie wyrzuciła z siebie całego strumienia przekleństw przystających tylko żeglarzom. Wyciszyła się, wzięła głęboki oddech i rozważyła spokojnie pytanie cesarza.

- Auguście cesarze, Nikos ma wiele zalet i umiejętności, nie jest jednak dowódcą mojego zespołu. Ja nim jestem. Ludzie wykonują moje rozkazy, bo zdobyłam sobie ich szacunek i budzę w nich strach. Jeśli pójdzie na zebranie zamiast mnie, mój autorytet zostanie podważony i stracę ten szacunek. Proszę, byś zechciał panie ponownie rozważyć swoją decyzję.

Galen zmarszczył brwi. Dziewczyna - nie, centurion - miała rację. Nie będzie podważał autorytetu któregoś z jego oficerów w taki sposób. Wiedział, że miejscowi oficerowie mogą być zaskoczeni, nie widział jednak innego wyjścia, jak tylko wziąć minotaura za rogi.

- Czy mogę liczyć na to, że nie będziesz zbyt rzucić się w oczy? - spytał bez większej nadziei, przekonany, że spotkanie będzie jeszcze dłuższe i bardziej burzliwe niż zazwyczaj. Jeśli będzie sprawiała kłopoty, pomyślał, odeśle ją do Italii.

Thyatis uśmiechnęła się, a pokój, ku zaskoczeniu Galena, wydał się nagle o wiele jaśniejszy.

- Cesarze - powiedziała - nawet nie zauważysz, że tam jestem.

Zgodnie z przypuszczeniami Thyatis, kwatery przeznaczone dla jej zespołu nie miały nic wspólnego z królewskimi apartamentami. Poniżej Pałacu Justyniana znajdowały się wielkie, kopulaste zbiorniki, osuszone już przed wielu laty, kiedy ich funkcję przejął zbiornik Filoksena, za Hipodromem. Teraz ogromne hale wypełniały wielkie sterty wyposażenia, kosze z ziarnem oraz tłum inżynierów i służących. Thyatis znalazła Nikosa i resztę zespołu w jakimś odległym, zatęchłym zakątku zbiór-

nika. Pozostała część rozmowy z cesarzem przebiegła po jej myśli, Galen był już tylko zmęczonym i zagonionym dowódcą armii, a nie podejrzliwym oponentem, niemal wrogiem. W odróżnieniu od wielu swoich poprzedników ten cesarz nie znosił dworskich konwenansów i przypominał jej raczej prowincjonalnego właściciela ziemskiego, podobnego do jej wujków, a nie żywego boga.

Nie mogła powstrzymać uśmiechu, który wypływał jej na usta. Prawą ręką sięgnęła odruchowo do rękojeści miecza. Dziesiątki rozwiązań i setki możliwości wirowały w jej umyśle, podnosiły się i opadały niczym fale na powierzchni oceanu. Jak zawsze w takich sytuacjach myśli i pomysły zaczęły się powoli klarować, tworząc zręby planu. Uradowana, uderzyła otwartą dłoń w udo.

Nikos nie próżnował, czekając na jej powrót. Jej ludzie urządzili sobie kwaterę za wielką stertą wiklinowych koszy w rogu wielkiej hali. Kiedy wróciła, większość przeglądała i czyściła broń, reszta grała w kości. *Optio* podniósł na nią wzrok, potem zrzucił wszystko z przewróconej do góry dnem skrzynki, na której przeglądał właśnie strzały. Thyatis, stękając ciężko, zrzuciła na skrzynkę wielki kawał szynki, który niosła na ramienia.

Nikos wyszczerzył zęby w uśmiechu.

- Widzę, że byłaś w kuchni. Przyniosłaś też wino? - Jego oczy błyszczały szelmowsko w świetle najbliższej lampy.

Thyatis parsknęła z rozbawieniem.

- Jak mawiał boski Juliusz, ulubionym napojem żołnierza powinien być ocet.

Nikos wyrócił oczami i wyciągnął spod skrzynki bukłak z winem.

- Nieważne, mam swoje. Jak poszło spotkanie z dowódcą? Miałaś jakieś kłopoty?

Thyatis pokręciła głową.

- Nie, poszło całkiem nieźle. Obawiał się, że moja delikatna natura może doznać wstrząsu podczas dzisiejszego spotkania z oficerami wschodniej armii. Chciał, żebyś ty poszedł zamiast mnie.

Nikos zbladł. Perspektywa spotkania z ponad setką oficerów, których większość pochodziła arystokratycznych rodzin, napelniała go przerażeniem. Wolał stanąć oko w oko z tysiącem rozwścieczonych, nacierających Piktów, niż brać udział w spotkaniu oficerów. Thyatis jednak nadal się uśmiechała, więc nie mogło być aż tak źle.

- Uspokój się - powiedziała, bawiąc się nożem. - Grzecznie odmówiłam i obiecałam, że nie będę rzucać się w oczy. Zdaje się, że między obiema armiami są jakieś zgrzyty. Cesarz nie chce teraz żadnych problemów.

Nikos potarł nos, rozmyślając.

- Jak zamierzasz nie zwracać na siebie uwagi? - spytał, myśląc o jej wyglądzie, o jej długich włosach i o tym, jak potraktuje brodatych ary-

stokratów ze Wschodu czy zarozumiałych oficerów Zachodu. Na pewno nie wyniknęłoby z tego nic dobrego. Całe miasto mówiło już o tym, że dowódcy legionów skaczą sobie do oczu, a to mogło doprowadzić do zamieszek między żołnierzami. Galen i Herakliusz oficjalnie pozostawali w zgodzie, nie zrobili jednak nic, by zmienić tę sytuację.

Większość problemów wynikała z faktu, że podczas gdy Cesarstwo Zachodnie trzymało się kurczowo struktur wojskowych stworzonych w okresie wczesnego cesarstwa, Wschodnie dawno już od nich odeszło. Choć siły Zachodu były mniej liczne, działały według jasno określonej hierarchii dowodzenia. Armia Wschodu była raczej zbieraniną pojedynczych oddziałów pozostających pod rozkazami różnych dowódców, a nie profesjonalną, nowoczesną armią. Oficerowie Zachodu spodziewali się, że siłami obu cesarstw będzie dowodził jeden człowiek - najlepiej, oczywiście, gdyby był to ich cesarz - podczas gdy arystokraci ze Wschodu chcieli mieć bezpośredni wpływ na kształt wyprawy. Oficerowie Zachodu mówili po łacinie, ci ze Wschodu po grecku lub aramejsku. To dopiero początek kłopotów, rozmyślał Nikos, przyglądając się z troską swojej dowódczyni.

Jak oni ją zaakceptują? - zastanawiał się. My ją akcept'ujemy, chociaż jest młodsza od większości nas, prócz Tychona, nie mówiąc już o tym, że jest kobietą. Dlaczego? - pytał sam siebie. Wykonujemy jej rozkazy bez szemrania, jest naszym dowódcą, choć właściwie wcale nie musimy tego robić... Odsunął od siebie tę myśl. To nie miało związku z ich aktualną sytuacją. Była jego dowódcą. Gdy tylko ją poznał, wydało mu się całkiem naturalne, że ona powinna dowodzić, a on wykonywać jej rozkazy. Ma dość szerokie ramiona, by ponieść nas wszystkich, pomyślał i uśmiechnął się do siebie.

Thyatis odwróciła się od swego porucznika i rzuciła ogryzkiem w hazardzistów w kącie. Ogryzek odbił się od turbana Syryjczyka. Ten podniósł wzrok oburzony, uspokoił się jednak, ujrawszy, kto to zrobił.

- Anagatiosie, rusz tutaj ten swój uperfumowany tyłek. Mam pytanie.

Syryjczyk zgarnął stosik monet, które wygrał do tej pory, włożył je do kieszeni i podszedł do Thyatis. Potem przyklęknął i złożył jej głęboki ukłon, wykonując przy tym zamaszyste gesty.

Thyatis uśmiechnęła się, ale uderzyła go otwartą dłonią w turban.

- Nie próbuj zaglądać mi pod spódnicę, nie noszę jej dzisiaj.

Pochwyciła go za uszy i pociągnęła w górę. Syryjczyk udał, że okropnie cierpi, a potem wygiął usta w płaczliwym grymasie i rozłożył błagalnie ręce.

Thyatis nachyliła się do jego ucha.

- Masz jeszcze tę skrzynkę z farbami mimów?

Anagatios skinął głową i wskazał na stertę swoich rzeczy.

- Przynieś ją - rozkazała, klepiąc go czule po policzku. - Musisz coś dla mnie zrobić przed wieczorem.

Syryjczyk poderwał się z klęczek i pobiegł wykonać polecenie. Thyatis pokręciła głową z rozbawieniem. Odwróciła się ponownie do Nikosa, ale teraz jej twarz była całkiem poważna.

- Czy mamy kogoś, kto mówi dobrze po wołosku?

Herakliusz, august cesarz Oriens, patrzył na twarze ludzi zgromadzonych wokół długiego marmurowego stołu z coraz większą niechęcią. Choć jego oblicze nie zdradzało targających nim emocji, w oczach pojawiły się pierwsze iskry gniewu. Teodor siedzący u jego boku, szarpnął go lekko za rękę i pokręcił głową. Herakliusz westchnął; to on powinien uspokajać swojego porywczego brata, a nie na odwrót. Po jego lewej ręce siedział cesarz Zachodu, Galen, dowódca jego legionów oraz kilku podoficerów i gońców. Po prawej kłębił się tłum wschodnich dowódców, ich pomocników, a nawet kilka konkubin, oraz nieustająca procesja podwładnych. Mikos Andrądes, *drungaros* floty, jedyny spośród nich wyglądał jak prawdziwy żołnierz, spokojny i zorganizowany.

Wreszcie Herakliusz powstał i postukał w blat stołu ręką sztyletu. Ostry dźwięk odbił się echem od ścian komnaty. Niektórzy spośród wschodnich dowódców spojrzeli w jego stronę i z ociąganiem zaczęli zajmować miejsca. Dopiero po dłuższej chwili w komnacie zapanowało coś zbliżonego do ciszy. Herakliusz przyglądał się powoli swoim ludziom.

Porównanie bogato odzianych, obwieszonych klejnotami dowódców Wschodu, z których każdy był co najmniej księciem, z garstką Rzymian siedzących po drugiej stronie stołu, budziło ogromną irytację Herakliusza. Cesarstwo Wschodnie nie zostało doświadczone przez zarazę, inwazję obcych mocarstw i wojnę domową tak jak Zachód, lecz mimo to zachodni oficerowie nosili się lepiej, byli bardziej uprzejmi i bardziej... rzymscy... niż hałastrą, którą Herakliusz próbował rządzić od pięciu lat.

- Panowie - zaczął wreszcie - mamy dziś omówić realizację największej od dwustu lat rzymskiej ekspedycji wojskowej. Każdy z was poznał już nasze zamiary, czy to podczas spotkań, czy też poprzez listy, nie będę więc rozwodził się nad szczegółami. Chciałbym wam jednak oficjalnie przedstawić władcę Zachodu, augusta Marcjusza Galena Atrousza. Stajemy razem do walki, władcy Wschodu i Zachodu, po raz pierwszy od czasów Konstantyna Wielkiego. Obaj uważamy, że konieczne jest śmiałe uderzenie, które zlikwiduje siły zagrażające Cesarstwu Wschodniemu...

Tego było już za wiele dla jednego z książąt: Teofanes zerwał się na równe nogi, krzycząc:

- Śmiałe!? Raczej lekkomyślne i samobójcze! A co z Tracją i Achają, które jęczą pod awarskim jarzmem? Co z armią barbarzyńców, która oblega miasto? Co za armią Persów, którą stacjonuje ledwie kilka mil stąd, po drugiej stronie wód Chalkedonu? Miałeś już wcześniej róż-

ne śmiałe plany, augsście cesarze, ale wszystkie okazały się porażkami, i to bardzo kosztownymi porażkami!

Herakliusz zlustrował wzrokiem tłum arystokratów i oficerów, ignorując na razie wrzaski trackiego księcia. Teofanes miał rację: poprzednie próby przepędzenia Persów i Awarów zakończyły się katastrofą. W głębi serca Herakliusz zastanawiał się, czy całe Cesarstwo Wschodnie jest przeklęte albo czy on sam został przeklęty. Miał bardzo niewielkie poparcie wśród pozostałych arystokratów, tym bardziej więc cieszył się, że w mieście stacjonował Galen z armią. Legiony Galena dawały mu nie tylko wymierne, wojskowe wsparcie, lecz pokazywały dobitnie obywatelom miasta, w tym arystokratom, że wciąż jest cesarzem.

- Teofanesie, usiądź, proszę. Wiem, co działo się do tej pory. Pamiętam o naszych klęskach. Lecz sprawy wciąż wyglądają następująco: Awarowie nie zdobędą miasta, dopóki nie będą mogli wystawić przeciw nam prawdziwej floty. Nie mają jednak ani umiejętności, ani środków, które pozwoliłyby im zbudować okręty dorównujące naszym. To oznacza, że mogą zdobyć miasto tylko wówczas, gdy Persowie zdołają przepłynąć się przez Propontydę, ci zaś dokonają tego jedynie wtedy, kiedy będą mieli flotę. Choć Odyniec rezyduje teraz w Chalkedonie, w moim Pałacu Letnim, jedząc figi z mojego ogrodu i pijąc wino z moich piwnic, to wciąż nie ma prawdziwej floty. Jeśli jednak Persowie zajmą Antiochię, Tyr lub Aleksandrię, będą mogli taką flotę zbudować. Dlatego też to właśnie Persowie są naszym największym, najgroźniejszym wrogiem. Jeśli ich pokonamy, będziemy mogli zwrócić się przeciwko Awarom i przegonić ich aż do samej Dacji.

Teofanes wciąż stał, lecz groźba ukryta w głosie Herakliusza najwyraźniej ostudziła w nim gniew, a dworzanie ciągnęli go za rękawy i namawiali głośnym szeptem, by usiadł. Wreszcie diuk uległ ich prośbom, choć zrobił to z taką miną, jakby okazywał cesarzowi wielką łaskę. Cóż, pomyślał Herakliusz cierpko, przynajmniej to mamy z głowy... Postukał Teodora po ramieniu. Księżę wstał ukłonił się zachodniemu cesarzowi, skłonił głowę przed jego oficerami i całkowicie zignorował wschodnich arystokratów. Przy pomocy jednego ze swoich pomocników umocował na drewnianej ramie ustawionej pod ścianą pokoju wielką pergaminową mapę.

- Panowie, to wschodnia część cesarstwa, od Polemonionu na peryjskim wybrzeżu Morza Ciemności na północy do Arabii Felix na wybrzeżu Sinus Arabicus na południu. Jak wspomniał już mój brat, armie Persów dotarły do Chalkedonu na zachodzie i Antiochii na południu. Na szczęście ich pochód na południe, przeciwko Palestynie, a potem Egiptowi powstrzymywany był przez ostatnie dziewięć miesięcy dzięki obecności Szahr-Baraza, tutaj, za Propontydą. Wkrótce jednak może się to zmienić. Na szczęście jeszcze przez jakiś czas możemy być spokojni

o dostawy ziarna do miasta, gdyż dostępu do Egiptu bronią sprzymierzone z nami królestwa Palmyry i Nabatei.

Teodor umilkł na moment i spojrzał ukradkiem na swego brata. Herakliusz pokręcił lekko głową, książkę pominął więc tę część planu.

- Nasze siły gromadzą się tutaj, w zachodnim krańcu Cesarstwa Wschodniego. Kiedy już będą w komplecie, wypłyniemy z miasta pod osłoną nocy. Nasi szpiedzy w Chalkedonie i portach wschodu rozpowiadają, że zamierzamy popłynąć na północ, przez Morze Ciemności, obok Synopy i do Trapezuntu. Potem nasze wojska miałyby pomaszerować na południe, wsparte przez oddziały Ormian, i odciąć te armie Persów, które znalazłyby się na zachód od linii marszu. W ten sposób moglibyśmy zmusić Persów do opuszczenia całej Anatolii i Cylicji.

Wśród wschodnich arystokratów podniósł się głośnie szum, bo właśnie taki plan przedstawiali im ich szpiedzy oraz różni oficerowie z dworu cesarskiego. Wydawał się rozsądny i właśnie dlatego zgodzili się spotkać z cesarzem. Teraz jednak wyglądało na to, że plan ma ulec zmianie, ale żaden z arystokratów nie wstał i nie spytał o to księcia.

Teodor poczekał, aż się uciszą, a potem mówił dalej:

- To jednak nie będzie nasz plan. Pomimo wieloletniego przymierza cesarstwa z Armenią i Lasyką, królestwa te nie chcą przyłączyć się do naszej kampanii. Prawdę mówiąc, jesteśmy za biedni, żeby ich przekupić, a nie chcemy tracić ludzi podczas przeprawy przez góry. Zaatakujemy gdzie indziej. Obaj cesarze uważają, że jedyny sposób na pokonanie Persów to uderzenie w samo serce ich kraju, prowincje położone pomiędzy stolicą w Ktezyfonie i miastem Ragaj. Nie wystarczy pokonać ich armii, choć z pewnością będziemy musieli dokonać i tego; musimy jeszcze zająć najważniejsze ośrodki religijne i administracyjne.

Teodor umilkł i odwrócił się do Herakliusza, który wstał właśnie z krzesła. Przez chwilę przyglądał się badawczo zgromadzonym wokół oficerom i arystokratom. Potrzebował tych ludzi, ich żołnierzy i złota, by zrealizować swój plan. W chwili nagłego olśnienia zrozumiał, że wszyscy oni są dlań takimi samymi wrogami jak Persowie czy Awarowie, choć może przez fakt, że musiał na nich polegać, byli dlań nawet niebezpieczniejsi. Na ich twarzach widział to samo, choć w różnym natężeniu: gotowość do zdrady, żądze władzy, złota, dominacji. Przez chwilę, i tylko przez tę krótką chwilę, był ich władcą. Powoli wyjął spod między fałdów brokatowej szaty zniszczony sztylet i położył go na stole.

- To jest nóż mojego ojca - powiedział. - To, co teraz usłyszycie, musi być utrzymane w najściślejszej tajemnicy. Plan przedstawiony przez mego brata mają poznać Persowie. Nie mogą się jednak dowiedzieć o tym, co wam powiem. Każdy, kto dopuści się zdrady, zginie z mojej ręki, od tego ostrza. Czy przysięgacie dochować tajemnicy?

W komnacie zapadła na moment cisza, potem zachodni cesarz podniósł się z miejsca. Jego twarz była nieruchoma i surowa, niczym

oblicze posagu wykutego z marmuru. W ślad za nim powstali także jego ludzie.

- Ja, Marcjusz Galen Atreusz, august cesar Occidens, przysięgam.

Jego ludzie jednym głosem powtórzyli przysięgę, potem wszyscy ponownie usiedli. Herakliusz odwrócił się do swoich poddanych. Ci spoglądali na siebie niepewnie, nie wiedząc, co począć w tej nowej sytuacji. Wreszcie wstał *drungaros* floty. Był to krępy mężczyzna o gęstej czarnej brodzie i krzaczastych brwiach. Ubrany był w prostą szatę, bawełnianą tunikę z godłem floty i ukrytą pod nią kolczugą. Jedyń spośród wschodnich dowódców osiągnął swą pozycję tylko dzięki umiejętnościom i ciężkiej pracy. Odwrócił się do Herakliusza.

- Ja, Mikos Andrades, *drungaros* floty Cesarstwa Wschodniego, przysięgam.

Jeden po drugim arystokraci Wschodu składali tę samą przysięgę, choć większość robiła to z wyraźną niechęcią. Gdy ostatni z nich usiadł z powrotem na swoim miejscu, ponownie przemówił Teodor:

- Flota popłynie na południe, a nie na północ, najpierw na Cypr, a potem do portu w Tarsos. Wiemy, że siły Persów w Tarsie nie są wielkie, powinniśmy więc przejąć miasto bez większego problemu. Tutaj armia zejdzie na ląd i pomaszeruje na północny wschód, do Samosaty przy starej granicy z prowincją Osroene. Jeśli raporty naszych szpiegów odpowiadają prawdzie, armia perska, która stacjonowała w Antiochii, odmaszeruje do tego czasu na południe, by zająć Heliopolis, a potem w drodze do Egiptu - Damaszek. Armia ta będzie zajęta walką z Palmyrczykami i Nabatejczykami i nie powstrzyma naszego pochodu w głąb południowej Armenii, do perskiego miasta Tauris, za jeziorem Thospitis. W okolicy Tauris powinniśmy spotkać się z siłami naszego sprzymierzeńca, kagana Chazarów. Z Tauris uderzymy dalej na wschód, w stronę Ragaju w Tabarystanie, potem zawrócimy na południe, by zająć Ekbatanę i Chermanszah, później zaś uderzymy na Ktezyfon nie z zachodu, jak to zawsze robiliśmy, lecz z północy. Dzięki temu odetniemy Persom dostęp do ich kryjówek w górach. Ich stolica upadnie, a wraz z nią całe imperium.

Wschodni arystokraci spoglądali po sobie z kwaśnymi minami. Herakliusz widział, że ów plan wydaje im się zbyt ambitny. Nieważne, pomyślał, tym razem albo wygramy, albo Wschód pograży się w tej samej ciemności, która omal nie pożarła Zachodu.

Teofanes ponownie wstał z miejsca, tym razem wyglądał jednak raczej na zamyślonego niż rozgniewanego. Trak przyglądał się przez chwilę swoim towarzyszom, wreszcie przemówił:

- Cóż, autokratorze, rzeczywiście jest to śmiały plan, który daje nie tylko okazję do wielkiego zwycięstwa, lecz i do zdobycia wielu łupów. Żadna rzymska armia nie sięgnęła nigdy poza Ktezyfon: tamtejsze ziemie muszą być bardzo bogata. Chazarscy jeźdźcy są naprawdę groźni,

boją się ich wszyscy nasi wrogowie. Uważam, że to dobry plan. Mam tylko jedno małe pytanie.

Herakliusz wyprostował się lekko na swoim krześle, domyślał się, o co zapyta go Trak i już uśmiechał się w duchu ma myśl o tym, jaka będzie reakcja arystokratów. Gestem poprosił Teofanesa, by wypowiedział głośno owo pytanie.

- Kto poprowadzi tę wyprawę? Który generał? Kto z nas zrealizuje twój plan?

Natychmiast podniosły się krzyki, a Herakliusz usadowił się wygodniej na swoim krześle i przyglądał z zainteresowaniem arystokratom skaczącym sobie do oczu. Zachodni oficerowie, którzy wiedzieli już, co postanowił Herakliusz, zamówili wino i coś do jedzenia, wiedzieli bowiem, że to trochę potrwa. Cesarz Wschodu pozwolił, by klócili się przez jakiś czas, w ten sposób mógł bowiem dowiedzieć się, jak wygląda układ sił w ich środowisku, kto uważa się za najsilniejszego, kto jest czym sprzymierzeńcem. Wreszcie, zmęczony tą zabawą, postukał ponownie w stół. Nikt nie zareagował, skinął więc na Teodora. Ten wstał, nabrał powietrza do płuc i ryknął z całych sił:

- Cesarz przemawia!

Głosy arystokratów ucichły wreszcie i wszyscy odwrócili się ku swemu nominalnemu władcy. Nie wstając ze swego krzesła, Herakliusz bał się przez moment nożem, wreszcie oświadczył krótko:

- Ja będę dowodził tą wyprawą.

W pokoju zapadła na chwilę całkowita cisza. Twarze arystokratów wyrażały zdumienie, zaniepokojenie i zwykły strach. Od ponad dwustu trzydziestu lat żaden cesarz nie odważył się osobiście dowodzić armiami Cesarstwa Wschodniego. Nie do pomyślenia było, by cesarz stał na polu bitwy, ramię w ramię z walczącymi żołnierzami. Herakliusz zerknął na Galena, który uśmiechnął się doń lekko, a potem mówił dalej:

- Nastały trudne czasy, o czym wielokrotnie już wspominałem. Lud oczekuje, że cesarz będzie bronił ich domów i rodzin. Nie widzę lepszego sposobu, by pokazać, że jedynym moim celem jest zwycięstwo, niż tylko pojechać na wojnę osobiście. To rozwiązuje także problem dowodzenia, gdyż Galen i ja będziemy wspólnie prowadzić armie obu cesarstw, jak było to kiedyś, na początku.

Zachodni oficerowie i podoficerowie zajmujący miejsca pod ścianami wstali jak jeden mąż i podnieśli ręce w salucie.

- *Ave\ Ave, cesarz!*

Wschodni arystokraci patrzyli na nich w zdumieniu: do niektórych dopiero zaczęła docierać świadomość, że pojawił się jakiś nowy, nieoczekiwany czynnik. Teodor zwinął mapę i wraz ze swymi pomocnikami opuścił pokój. Pozostali wielmoże ociągali się jeszcze przez chwilę, potem jednak i oni zaczęli się rozchodzić. Herakliusz nie ruszał się ze swego miejsca i obserwował twarze wychodzących. Andrades czekał w milczę-

niu u jego boku aż do chwili, gdy w komnacie nie pozostał nikt prócz cesarza Zachodu, jego dwóch pomocników i służącego, który gasił lampy.

- Autokratorze - powiedział Andrades cicho. -Twoja przysięga zrobiła na wszystkich wielkie wrażenie, ale nie sądzę, by to, co tu powiedziałeś, pozostało tajemnicą dłużej niż przez dzień czy dwa.

Herakliusz skinął głową i spojrzał na Galena oraz dwóch młodych ludzi stojących za jego plecami. Cesarz Zachodu uśmiechnął się.

- *Drungarosie* Andradesie, czasami trzeba zarzucić przynętę, by złapać lisa. Moi myśliwi... - wskazał na jasnowłosego młodzieńca bez brody, który stał po jego lewej ręce - czekają już na zwierzynę.

Andrades gładził w zamyśleniu swą brodę, wciąż czarną i gęstą, choć przetykaną tu i ówdzie pasmami siwizny, i przyglądał się młodeму mężczyźnie, na którego wskazał cesarz. Potem zwrócił się do Herakliusza:

- To bardzo ryzykowne, panie. A jeśli Persowie się dowiedzą? Jeśli ktoś wymknie się z sieci? Odyniec ma co najmniej jednego czarownika w swoim obozie. Mogliby wysłać wiadomość do Chosroesa w Ktezyfonie i przygotować nową armię, która czekałaby na ciebie w górach, po drodze do Tauris. Nie mielibyśmy nawet gdzie się wycofać.

- Persowie i tak dowiedzą się o tym wcześniej czy później - odparł Herakliusz. - Teraz chodzi nam tylko o to, by dowiedzieć się, kto pracuje dla Awarów czy ich perskich sprzymierzeńców. Czarownik może poznać wcześniej nasze prawdziwe zamiary, ale Szahr-Baraz tak czy inaczej musi wrócić ze swymi ludźmi do Syrii. Nasza flota jest o wiele szybsza. Do każdego punktu przy wybrzeżu dotrzemy przed nim, choćby nie wiem jak się starał. Bardziej niepokoi mnie zdrada tutaj, w domu, niż perska armia.

Andrades skinął posępnie głową, zgadzając się w zupełności ze swoim panem. Wojny Rzymian z Rzymianami trwające przez ostatnie trzydzieści lat wyrządziły o wiele więcej szkód niż inwazje Awarów czy Persów. Mogły też okazać się bardziej szkodliwe teraz, w tak trudnym dla cesarstwa okresie.

- Kto będzie dowodził obroną miasta, panie, kiedy wyjedziesz?

Herakliusz zmarszczył brwi. To pytanie dręczyło go już od długiego czasu, na razie jednak nie znalazł dobrej odpowiedzi. Gdyby powierzył to zadanie któremuś z arystokratów, ten próbowałby przejąć władzę w cesarstwie przy pierwszej porażce sprzymierzonych armii. Herakliusz dwukrotnie już wysyłał armie przeciwko Persom: obie poniosły sromotną klęskę. To była jego ostatnia szansa.

Widząc, że cesarz nie zamierza mu odpowiedzieć, Andrades odchrząknął niepewnie i powiedział:

- Mam pewną propozycję, panie, jeśli pozwolisz. Kapłan Bonus ze Świątyni Niezwycięzonego Słońca to człowiek rozumny i uczciwy. O ile dobrze pamiętam, w młodości, nim jeszcze został kapłanem, był centu-

riorem, wie więc, jak prowadzić wojnę. Ludzie go poprą, a ponieważ służy bogu, nie będzie chyba pragnął władzy.

Herakliusz przygryzł dolną wargę, zastanawiając się nad tą sugestią. Galen, który siedział teraz obok niego, skinął głową, zgadzając się z *drungarosem*. Wreszcie cesarz Wschodu także pokiwał głową.

- Dobry pomysł. Niech tak będzie.

DOM DRACULA, OKOLICE HIPODROMU, KONSTANTY- NOPOL

f=Sa» <<«===}

I Jwyrin upadł ciężko na podłogę. Ktoś zdjął mu torbę z głowy, po-
I—^zwalając, by dotarło doń wreszcie świeże powietrze. Chłopiec za-
krztusił się i próbował splunąć, by oczyścić usta, nie została w nich jed-
nak ani odrobina wilgoci. Drobne płytki pod dłońmi układały się
w mozaikę. Do jego nozdrzy dotarł zapach kadzidła, choć ból w prawym
nadgarstku przyćmiewał wszystkie inne doznania. Jakaś wilgotna ręka
chwyciła go za kark i podniosła z podłogi. Pokój wypełniony był cie-
płym, białym światłem świec. Dwyrin klęczał na skraju wielkiego koca,
pośród pięknych drewnianych mebli, jedwabiów i brokatu. Nieco dalej,
pod ścianą, stało duże drewniane biurko, za którym siedział muskular-
ny mężczyzna w jasnej koszuli i ciemnych spodniach.

Mężczyzna pochylał się do przodu i nakazał Chironowi gestem, by
ten przysunął Dwyrina bliżej. Truposz pochwycił chłopca za ręce, prze-
ciągnął kilka kroków do przodu i rzucił na dywan przed biurkiem.

- Chironie, powinienes być dla niego trochę miłszy. Jest młody. Nie
przywykł do takiego traktowania.

Mężczyzna mówił z silnym obcym akcentem, choć Dwyrin nie sły-
szał podobnego akcentu nigdy wcześniej. Podniósł głowę i napotkał
wzrok swojego właściciela. Człowiek ów miał wesołe, błękitne oczy,
błyszczące jasno w świetle lamp, szeroką i dość pospolitą twarz, na któ-
rej rysował się cień uśmiechu. Nosił niewielką, jasną brodę, widać było
też, że ma skłonności do tycia. Całe jego ciało było szerokie niczym wóz,
podobnie jak dłonie. Zaskakująco delikatny palec przesunął się po czo-
le Dwyrina.

- Młodziutki, co? - Głos wydawał się wesoły, lecz mimo to przejął
Dwyrina strachem; człowiek ten był przecież panem Chirona. Czas spęd-
zony w towarzystwie truposza był dla chłopca jednym pasmem strachu
i rozpaczy. Nawet to miejsce, gdziekolwiek się znajdowało, musiało być
lepsze od okrętu Chirona i jego podwładnych.

- O tak, panie, wzór witalności. Podoba ci się?

Mężczyzna roześmiał się ponownie.

- Jeszcze nie! - odparł. - Ale wygląda obiecująco. Jak go znalazłeś, drogi Chironie?

- Podczas mej podróży, panie, przepływałem w pobliżu Delos i postanowiłem tam zawinąć, by uzupełnić zapasy. Kiedy kupowałem bydło, zbliżył się do mnie pewien egipski handlarz niewolnikami i powiedział, że ma coś specjalnego do sprzedania. Na Delos jestem dobrze znany, myślałem więc, że to jakieś egzotyczne świecidełko. Tymczasem znalazłem tam tego słodkiego chłopca, otumanionego i pobitego. Wyczułem w nim jednak moc, kupiłem go więc, pewien, że przyda się do czegoś tutaj, w twoim domu, panie.

Muskularny mężczyzna roześmiał się na całe gardło, głębokim śmiechem, przypominającym bulgotanie górskiego strumienia.

- Więc on ma moc, tak? Widziałeś ją? Jakiż to rodzaj mocy?

Chiron położył swą szczupłą dłoń na ramieniu Dwyrina.

- Przywołuje ogień, a przynajmniej tak wynika z opowieści handlarza niewolników, który stracił jednego ze swych ludzi, kiedy chłopiec próbował uciec ze statku w pobliżu Aleksandrii. Nieszczęśnik podobno całkiem się spalił, nie została po nim nawet garść popiołu. - Ostry niczym szpon paznokiec naciągnął cienki metalowy łańcuszek oplatający szyję Dwyrina. - Jak widzisz, założyłem mu blokadę, by uniknąć podobnego losu... Ogień jest w nim bardzo silny, niczym woda zbierająca się za tamą.

- Władca ognia. - Głos mężczyzny ociekał wręcz radością. - Wielu rzeczy może dokonać tak utalentowany młody człowiek. Ranisz mnie, Chironie, przyprowadzając tak miłego towarzysza do kolacji, a potem mówiąc mi to! Postaw go.

Żelazne ręce podniosły Dwyrina z kłęczek. Muskularny człowiek także podniósł się zza biurka, a Dwyrin stwierdził z zaskoczeniem, że jest tylko odrobinę wyższy od niego. Mężczyzna oparł dłonie na biodrach i wpatrywał się w oczy chłopca. Dwyrin zachwiał się lekko w żelaznym uścisku Chirona, ale próbował wytrzymać to przesywające spojrzenie. Lampy zasyczały cicho gdzieś w tle, potem mężczyzna odwrócił wzrok.

- Wiedz, młody człowieku, że jestem Bygar Dracul, pan tego domu i wszystkiego, co się w nim znajduje. Stałeś się teraz moją własnością, niewolnikiem. Jeśli będziesz dobrze mi służył, dobrze cię potraktuję. Jeśli nie... cóż, można tu znaleźć znacznie wymyślniejsze tortury niż zwykle biczowanie. Chironie, zabierz go na dół i dopilnuj, żeby go dobrze zamknęli. Nie wolno mu jednak robić krzywdy, dopóki znów go nie wezwę.

Truposz zabrał Dwyrina z biura Bygara i sprowadził na dół, w labirynt korytarzy oświetlonych jedynie blaskiem lamp i pochodni. Dwyrin wyczuwał, że znajdują się pod ziemią. Kamiennych ścian nie zdobiły już gobeliny ani zaślony. Schodzili po długich schodach, minęli jeden zakręt, potem drugi. Ściany pokrywała wilgoć. Weszli do korytarza zakończonego grubymi dębowymi drzwiami. Chiron starannie zamknął je za

sobą, mruczając coś przy tym pod nosem. Tutaj ciemności rozpraszała pojedyncza lampka o nikłym płomyku, który skwierczał i chwiał się w podmuchach niewidzialnego wiatru. Powietrze wypełniał dziwny zapach, jakby zgniłej cytryny. Chiron odrzucił z ramion pelerynę i pchnął Dwyrina.

- Idź, chłopcze, i trzymaj się środka korytarza. - Głos truposza był niski i cichy, niczym szeptał na wietrze.

Szli więc przez jakiś czas. Dwyrin czuł, że podłoga korytarza znów opada, miał też wrażenie, że po bokach otwierają się jakieś ciemne przestrzenie. W niektórych były prawdziwe sufity i ściany, inne zostały wyżłobione w kamieniu. Z większości wydobywał się zimny podmuch powietrza. Wreszcie dotarli do kolejnych drzwi, tym razem z żelaza i obitych ćwiekami, a także kołcami. Chiron sięgnął do nich nad ramieniem Dwyrina, lecz zrobił to tak cicho, że chłopiec musiał się mocno skupić, by dojrzeć jego rękę w ciemności. Rozległ się cichy trzask, a drzwi rozszczepiły się nagle na pół. Ze środka wypłynęła smuga złotego światła, oślepiając chłopca. Chiron pchnął go do przodu, do wnętrza celi.

Cela była maleńka, oświetlona jedynie odbitym od ścian blaskiem świec i lamp, które Chiron zapalił we własnym pokoju. Gruba, żelazna krata oddzielała pokój Dwyrina od pozostałej części mieszkania Chirona. Dwyrin leżał zwinięty w kłębek, opierając się plecami o kamienną ścianę. Za łóżko służył mu cienki wełniany koc, prócz tego miał jeszcze dzbanek z wodą. Po drugiej stronie kraty Chiron chodził bezustannie po pokoju wypełnionym lampami i świeczkami, tak by w żadnym kącie nie została nawet odrobina cienia, by żadna ściana nie była ciemniejsza od innych. Prócz tego w pokoju znajdowało się jedynie wąskie łóżko i mały stojak. Łóżko przykryte było słomianym materacem i kocem, lecz gospodarz rzadko się na nim kładł. Choć Dwyrin budził się, zasypiał, budził i ponownie zasypiał, truposz wciąż chodził po pokoju.

Na stojaku znajdowały się dwie świece i jakiś obrazek, Dwyrin nie mógł jednak dojrzeć z celi, co przedstawia. Truposz nie tylko bez ustanku chodził, ale i ciągle mamrotał coś do siebie, i po szóstym przebudzeniu Dwyrin zaczął rozumieć wypowiedane przezeń słowa. Był to jakiś bełkot, pojedyncze słowa powtarzane bez końca, krótkie frazy i jakieś nieskładne monologi. Po siódmym przebudzeniu umysł Dwyrina rozbudził się na tyle, by powiedzieć mu, że jego ciało jest straszliwie głodne. Chłopiec był też wystarczająco przytomny, by zrozumieć, że Chiron przypomina sobie bez końca o wszystkich rzeczach, które robił, kiedy był żywy.

- Chironie... - Głos uwiązał Dwyrinowi w gardle. Jego język stał się ogromny, wypełniał niemal całe jego usta. - ...głodny...

Truposz przystanął i odwrócił się, kierując ptasie oczy na chłopca. Podszedł bliżej, przekrzywił głowę niczym wielkie ptaszysko i zajrzał do wnętrza celi. Jego twarz wykrzywiła się na moment w podobnie uśmie-

chu, przypominającym raczej maskę, którą nałożono na chwilę na martwą twarz. Białe ręce dotknęły krat.

- Głodny? Całkiem o tobie zapomniałem, myszko. Twój brzuch musi być już zupełnie pusty. Niedobrze by było, gdybyś teraz umarł z głodu. Dostaniesz jedzenie.

Chiron wyprostował się, a jego ciało wypełniała teraz energia. Przeszedł do drzwi; szara chmura w żółtym świetle pokoju. Po chwili pokój opustoszał, mimo że drzwi pozostały zamknięte. Dwyrin kucnął przy wejściu do celi i wysunął chudą rękę na zewnątrz. Jego palce natrafiły na stożek świecznika, stary i pordzewiały. Przesunął rękę w górę i złapał na palec kroplę roztopionego wosku. Żar przeniknął jego ramię i na moment Dwyrin odzyskał prawdziwy wzrok. Na mgnienie oka pokój rozświetlił światłem o wiele jaśniejszym od tego, który dawały płomienie świec, przez mgnienie oka Dwyrin widział błyszczącą moc ukrytą za fizycznym światłem.

Potem cienki pasek metalu wokół jego szyi stał się lodowato zimny, a Dwyrin odrzucił głowę do tyłu, wyjąc z bólu. Piekący lód wokół jego szyi dusił wszelką myśl, pozbawiał go oddechu i wrzucał w otchłań zimna wypełniona lodem i bezdennym czarnym jeziorem.

- Jedzenie... - syczał odległy głos. Dwyrin usłyszał jakiś brzęk, potem pochwyciły go jakieś pajęczne ręce i wyciągnęły z ciepłego kokonu nieświadomości, który go otulał. Wciąż czuł na szyi piekące zimno, choć teraz znacznie słabsze niż poprzednio. Ktoś wcisnął mu w dłoń miszkę z aromatyczną owsianką. Zaczął jeść drżącymi rękami prosto z miski. Owsianka była gęsta, pływały w niej kawałki orzechów i fig. W dzbanku pojawiła się świeża woda. Opróżniwszy miszkę, Dwyrin podniósł wzrok, wyczerpany tym wysiłkiem. Chiron kucnął przed nim, jego długi płaszcz rozlewał się po podłodze niczym kałuża. Głowa truposza przekrzywiona była na bok, a żółte oczy przyglądały się chłopcu z zaciekawieniem. Dwyrin pochylił głowę i odepchnął od siebie pustą miszkę. Ogromne znużenie wypełniało jego ciało od stóp do głów.

- Śpij... - powiedział Chiron, a jego głos stawał się coraz bardziej odległy.

Drzwi celi otworzyły się z trzaskiem. Na zewnątrz znów kucnął Chiron, sięgał długą ręką do środka, by wyciągnąć chłopca. Dwyrin potrząsnął głową, by odgonić resztki otepiałego snu. Ostry zapach truposza podrażnił jego nozdrza i skutecznie przywrócił mu pełną świadomość.

- Czas iść na górę - warknął Chiron, głosem napiętym równie mocno jak jego ciało. Wepchnął w ręce Dwyrina zawiniątko z ubraniami. - Włóż to.

Dwyrin zdjął tunikę i spodnie. W zawiniątku znalazł spodnie, koszulę, pasek i filcową czapkę. Ubrania wykonane były ze zwykłego szarego materiału, ozdobionego drobnymi haftami na brzegach. Były odrobinę

I za duże, szczególnie w jego obecnym stanie. Truposz przyglądał się Dwyrinowi uważnie, kiedy się ubierał, ale w jego spojrzeniu nie było szczególnej złości. Gdy na końcu założył sandały na cienkich podszewkach, Chiron zlustrował go wzrokiem, a potem pchnął w stronę żelaznych

• drzwi.

I - Nie ma czasu na zabawę - wychrypiał. Znów przemierzili długi korytarz i schody, by wrócić do biura wypełnionego świecami. Muskularny mężczyzna, Bygar, wciąż siedział za biurkiem, teraz jednak dołączyli do niego jeszcze dwaj inni. Chiron doprowadził chłopca do biurka i postawił go przed dwoma mężczyznami. Dwyrin czuł, że truposz cofnął się pod ścianę pokoju, ale nie wyszedł, po prostu usunął się z widoku. Mężczyźni na widok chłopca przerwali rozmowę. Przyglądali mu się teraz w milczeniu, a on przyglądał się im. Pierwszy był wysoki, wyższy od Chirona, miał gęstą brodę i długie włosy. Jego czarne, kręcone włosy opadały w puklach na szerokie ramiona. Ręce miał grube i potężnie umięśnione. Ubrany był w ciężki, wełniany strój, niczym kupiec, widać jednak było, że nie czuje się w nim swobodnie. Ciemne przenikliwe oczy lustrowały Dwyrina od góry do dołu, wreszcie mężczyzna skinął głową w geście akceptacji i pogładził bujną brodę dłonią przystrojoną w liczne pierścienie.

- To jeszcze dzieciak. - Głos węsacza był niczym dźwięk trąby, odbijał się echem od ścian biura. - Powinien wypasać owce, a nie zajmować się męską robotą.

Drugi mężczyzna także był dobrze zbudowany, lecz przy swoim towarzyszu wyglądał jak młode drzewko przy potężnym dębie. Ubrany był w luźną czarną szatę z jakiegoś lśniącego materiału i ciemne bawełniane spodnie, na rękach nosił pierścienie z ciemnego złota i bursztynu. On także miał długie, ciemne włosy, tyle że proste; przewiązywał je z tyłu srebrną tasiemką. Miał prostą, pociągłą twarz, z wysoko sklepionymi brwiami i ostrym nosem. Był gładko wygolony. Węsacz roztaczał wokół siebie aurę siły i witalności, niemal tryskał energią. Ten był zimny i daleki, niczym śnieg na szczycie góry. Dwyrin spojrzał na moment w jego oczy i natychmiast odwrócił wzrok. Były niczym dwa jeziora ciemności, wypełnione grozą i cierpieniem.

Dwyrinowi zrobiło się słabo, kiedy uświadomił sobie, że gdyby wciąż mógł posługiwać się innym rodzajem widzenia, ujrzałby zapewne prawdziwy kształt siedzącej przed nim istoty, a ta wiedza mogłaby zniszczyć jego umysł. Zdawało się, że obecność Chirona i tego potwora w jednym pomieszczeniu wysysa z niego całe powietrze. Dwyrin wyczuwał teraz starannie kontrolowany strach Bygara oraz stojącego w ukryciu Chirona. Szkoła i słoneczne płamy na budynku jadalni wydawały mu się obecnie nieskończenie odległe.

- On ma potencjał, Draculu. - Głos stworzenia w czerni był gładki i wystudiowany. Mówił bezbłędną greką, w której pobrzmiwała nutka

ironii. - Twój sługa dobrze się spisał. Dzięki tobie nasza podróż przyniesie nam nie tylko zysk, ale i przyjemność.

Dracul uklonił się lekko w swoim krześle, przyjmując komplement.

- Twoja obecność także jest dla nas dobrodziejstwem, lordzie Dahaku. Wiem, że kolekcjonujesz rzadkie przedmioty i stworzenia, pomyślałem więc o tobie, kiedy przyprowadzono do mnie tego chłopca. Nosi w sobie moc, trzeba ją tylko odpowiednio ukierunkować i wykorzystać.

Dahak skinął głową.

- Pokaż nam to.

Bygar skinął na Chirona, który podszedł od tyłu do chłopca i położył mu ręce na ramionach. Truposz pochylił się nad nim, przesłaniając swą szarą obecnością blask świec.

- Chłopcze, częściowo zdejmę z ciebie blokadę. Chcę, żebyś przywołał ogień z kamienia. - Zakrzywiony palec uniosł brodę chłopca i wskazał na stojak z brązu ustawiony przy ścianie obok wejścia. Na stojaku leżał podłużny krzemień. Zasłony w pobliżu krzemienia zostały zdjęte, dywan zwinięty.

- Nie za wiele. Pokaż tylko naszym gościom, co potrafisz.

Wąski, ostry paznokieć wsunął się pomiędzy łańcuch na szyi Dwyrina i jego skórę, nacinając ją lekko. Z nacięcia wypłynęła kropla krwi. Zasłona okrywająca umysł Dwyrina uniosła się nieco, odsłaniając pokój wypełniony smugami ciemnego fioleto, błękitu i jakiegoś trudnego do określenia koloru. Dwyrin uważał, by nie patrzeć na lewo, gdzie na sofie spoczywał Dahak. Echo jego obecności w pokoju było dość silne, by zakłócać przepływ mocy wokół niego. Krzemień pozostawał martwy, nie błyszczała w nim nawet iskra odwiecznego ognia.

- Przywołaj ogień... - syknął mu do ucha Chiron.

Dwyrin próbował uciec się do otwarcia Hermesa, nie zdołał jednak osiągnąć takiego poziomu spokoju, który pozwoliłby narzucić swą wolę. Paznokieć Chirona wbił się głębiej w jego szyję. Ból pomógł mu się skoncentrować, i dzięki temu zdołał dokończyć medytację Thota. Teraz moc ukryta w pokoju, w brązowym podeście, nawet w samym sercu krzemienia zaczęła się przed nim odsłaniać. Oddychając głęboko, skupił się na krzemieniu, tak jak robił to na statku, przyciągał moc, najpierw wąską nić, potem coraz większą strugę płynącą ze świec, dywanów, ścian i podłogi. W sercu krzemienia zatańczył nagle jasny, niemal biały płomień. Dwyrin wzmacniał go strumieniem energii wyciąganej z różnych części pokoju. Ogień jaśniał coraz mocniej.

Nawet Dahak drgnął zaskoczony, kiedy krzemień okrył się nagle białym płomieniem, a potem pękł z ogłuszającym trzaskiem, rozrzucając na wszystkie strony odłamki. Część z nich odbiła się od drżącej ściany energii, wzniesionej jednym, leniwym gestem Dahaka, a potem opadła niczym deszcz na podłogę i stół. Płomienie lizały ściany, a brą-

zowy stojak przewrócił się, rozdarty na kawałki. Dwyrin upadł na dywan, oszołomiony mocą.

Gdy tylko ręka Chirona przestała dotykać łańcuszka na jego szyi, przepływ doznań natychmiast ustał. Pokój wydawał się teraz Dwyrinowi okropnie ciemny.

Dahak roześmiał się przerażającym śmiechem, przypominającym zgrzyt otwieranych grobów.

- Doskonale, mój drogi Draculu. Będzie naprawdę wspaniały.

Bygar uśmiechnął się i nakazał Chironowi gestem, by zabrał towar z pokoju.

ŚWIĄTYNIA ASKLEPIOSA, INSULA TIBERIS, ROMA MATER

V I\ aksjan siedział wśród róż na omszałej kamiennej ławce. Choć *sj V* Lw ogrodzie ciągnącym się wzdłuż rzeki, na tyłach świątyni Uzdrawiaczy panował błogi spokój i cisza, umysł księcia był niespokojny. Zdawało mu się, że nad miastem zawisła ciemność, że zło czai się w cieniach budynków czy tuż pod brzegiem rzeki. Od tamtej nocy, kiedy Grzegorz przyszedł do niego z dwójką barbarzyńców, księżę nie spał w swoich komnatach na Palatynie. Szept kamieni stał się zbyt głośny. Teraz zastanawiał się, czy zdoła wytrzymać nawet w obrębie miasta.

Na szczęście udało mu się znaleźć odrobinę spokoju w świątyni, siedzibie kapłanów. Moc, która nawiedziła miasto i która odbierała życie jego mieszkańcom, nie miała wstępu do tego miejsca, strzeżonego przez boga uzdrawiania. Maksjan poruszył głowę, próbując rozluźnić węzły bólu, które uformowały się w ramionach i szyi. Parsknął cicho ze złością, pomyślawszy o tym, jak mało pożytku mają z niego jego bracia. Był przy tym ogromnie wdzięczny Aurelianowi; jego starszy brat, jakby wiedząc, że Maksjan zmaga się z jakimś poważnym problemem, zdjął zeń wszystkie obowiązki, którymi obarczył go Galen. W pewnym sensie jednak pogorszyło to tylko sytuację, gdyż teraz Maksjan czuł się bezużyteczny. Moc, która trawiła miasto od środka, była tak silna, że nie mógł uwolnić od niej nawet jednego kamienia. Nie miał jednak ochoty zajmować się sprawami, które wyznaczył mu Galen. Księżę jęknął głośno i schował twarz w dłoniach.

- Więc jest aż tak źle? - spytał łagodny bas, przypominający echo grzmotu. Maksjan podniósł wzrok, a jego zmęczona, zatroskana twarz rozjaśniła się na widok mężczyzny stojącego obok ławki.

- Tarsus! - powiedział księżę uradowany, podnosząc się z miejsca. Mężczyźni uściskali się serdecznie, a Maksjan czuł, jak ciężar odpowiedzialności spoczywający na jego barkach staje się nieco lżejszy. Potem

odsunął się o krok i przyjrzał się swemu staremu przyjacielowi. Tarsus odpowiedział mu poważnym spojrzeniem, a potem roześmiał się i na powrót przygarnął go do swej masywnej piersi.

- Jesteś za młody, żeby się tak zamartwiać, przyjacielu - mówił kapłan Asklepiosa. - Nie widziałem cię, odkąd przybyłem do miasta, opowiedz mi więc o swoich kłopotach.

Maksjan z powrotem usiadł na ławce, tym razem jednak spoglądał na niebo, gdzie długie pasma chmur tworzyły jakby gigantyczny tor wyścigowy. Tarsus usiadł obok niego i oparł się o pień wierzby rosnącej tuż obok ławki. Księżę odwrócił lekko głowę, by go widzieć.

- Natknąłem się na poważny problem - powiedział Maksjan. - Problem, który dotyka wszystkich mieszkańców miasta. Przybyłeś niedawno z Pergamonu, musiałeś więc zauważyć chorowitość obywateli!

Tarsus skinął głową, a na jego pobrużdżonej twarzy pojawił się wyraz głębokiej troski.

- Zbyt wiele martwych niemowląt lub matek umierających przy porodzie. Starcy i staruszki w wieku trzydziestu czy czterdziestu lat. Kości zbyt kruche, by mogły się właściwie zrosnąć. Przeziębienia, które zamieniają się w śmiertelny kaszel... - Uzdrziacz spojrział na księcia z powagą. - Znalazłeś przyczynę?

Maksjan przytaknął, potem jednak zachnął się i pokręcił głową.

- Być może... być może, znalazłem coś... Nie wiem. Moje umiejętności w świecie cieni nie są dość silne, bym mógł dojrzeć całokształt sytuacji. - Księżę spojrział błagalnie na swego nauczyciela. - Nie znam wystarczająco dobrze czarów, które mogłyby wywołać coś podobnego, by powiedzieć... że znalazłem...

Maksjan zamierzał opowiedzieć kapłanowi o wizji miasta tonącego w ciemności, lecz umilkł raptownie przerażony myślą, która przyszła mu nagle do głowy. Skoro przekleństwo dotykało rzeczy i ludzi będących poza jego zasięgiem, tak jak nowy materiał czy okręt w Ostii, to gdyby powiedział o swoich przypuszczeniach Tarsusowi czy Aureliano wi, także ich naraziłby na wielkie niebezpieczeństwo. Choć Tarsus był wspaniałym lekarzem, chirurgiem, administratorem i nauczycielem, nie posiadał takiej władzy nad światem cieni, jaką obdarzony został Maksjan w wyniku urazu doznanego podczas porodu. Tarsus nie mógłby obronić się przez falą zepsucia, która przenikała miasto na zewnątrz świątyni.

Maksjan odwrócił wzrok od zatroskanych oczu kapłana. Było mu niedobrze.

- Nie mogę ci teraz powiedzieć. Muszę najpierw się przekonać, czy mam rację... To bardzo niebezpieczne, Tarsusie. Gdybym mógł cię w tajemniczyć i nie drzeć potem o twoje zdrowie i życie, zrobiłbym to.

Księżę wstał i wyszedł szybko z ogrodu. Kapłan odprowadził go zatroskanym spojrzeniem, potem pokręcił głową, jakby odganiając od siebie

zmartwienia, i wstał, by wrócić do swych obowiązków w świątynnej izbie chorych.

Maksjan szedł w górę długich, wąskich schodów na południowym zboczu wzgórza Celius. Na szczycie przystanął, by złapać oddech, zdyszany i spocony. Na wierzchołku góry znajdował się mały plac, a po jego zachodniej stronie mała okrągła świątynia Jowisza. W południowym zarze ulice odbiegające od placu były całkiem wyludnione, a ciszę mącił jedynie monotony szmer fontanny po północnej stronie. Maksjan przeciął plac i wszedł po szerokich stopniach w chłodny mrok świątyni.

Pośrodku okrągłej nawy wznosił się marmurowy posąg Jowisza, który trzymał w uniesionej ręce dwie błyskawice z brązu. Z tyłu znajdował się obwiedziony kolumnami taras z widokiem na rozciągające się poniżej miasto. Maksjan usiadł na niskim murku i patrzył na tysiące dachów. Białe bryły świątyni niczym wielkie okręty wyrastały z morza czerwonych dachówek, schodzących coraz niżej, aż do samego brzegu Tybru. Po prawej, powyżej wyspy, na której znajdowała się świątynia Asklepiosa, widać było szeroką, otwartą przestrzeń obozu Marcjusza, teraz niemal całkiem opustoszałego, jako że prawie wszyscy pretorianie popłynęli z cesarzem na Wschód.

Siedząc w chłodnym cieniu świątyni, poczuł nagle wielką miłość do tego starego, doświadczonego przez los miasta. Przez całe stulecia było ostoją sztuki, cywilizacji i kultury, która promieniowała stąd na cały świat. Teraz wydawało się bliskie ruiny, wspaniałe niegdyś budowle i posągi popękały, niektóre rozpadły się w pył. Tutaj, w górze, ponad smrodem i tłumem, widział ogrom miasta i imperium, które reprezentowało. Z żalem myślał o wszystkich duchach, które widział w pałacu. Każdy z nich poświęcił całe życie marzeniom o imperium, które trwałyby wiecznie. Teraz ich chwała przeminęła, marzenia się rozwiały. Maksjan otarł oczy ogarnięty ogromnym smutkiem.

Miasto drzemało leniwie w popołudniowym słońcu, obojętne na jego rozważania i żale. Maksjan starał się nie patrzeć na jego prawdziwy kształt, wiedząc, że siły zepsucia otaczają także jego i tę świątynię. Wciąż dręczyło go pytanie, które zadał sobie przy spotkaniu z Tarsusem: jak miał walczyć z tym przekleństwem, skoro nie mógł o nim nikomu powiedzieć? Był zbyt słaby, by przełamać zaklęcie czy też zaklęcia, które sprowadziły je na miasto. Potrzebował pomocy innego czarownika, kogoś, kto był mistrzem tej sztuki, kto mógłby wesprzeć go swymi umiejętnościami.

Jeszcze jedna myśl przyszła mu do głowy, kiedy siedział oparty o chłodną marmurową kolumnę. Potrzebował pomocy kogoś, kto nie jest Rzymianinem. Zachowując nieustanną czujność, chronił swój umysł przed przekleństwem, otaczając jednocześnie ciało tarczą Ateny, jednak

w pewnym sensie przekleństwo to było również i jego udziałem. Czuł, że jego pozostałości wciąż krążą mu w żyłach. Inny rzymski czarownik, który podjąłby się takiego zadania, mógłby zostać pokonany i zniszczony - niczym *sericanum*, które pokazała mu Teodelinda - nim zdołałby podjąć jakąś skuteczną obronę. Książę potarł szorstką od dwudniowego zarostu brodę. Muszę się ogolić, pomyślał. I muszę znaleźć cudzoziemca, który będzie dość silny, by mi pomóc...

Podniesiony na duchu faktem, że wreszcie ma jakiś plan, wyszedł ze świątyni i ruszył zwawym krokiem w wąskie uliczki i alejki dzielnicy Subura.

WIELKI PAŁAC KONSTANTYNA, WSCHODNIA STOLICA

\ J łum służących wyniósł się wreszcie, pozostawiając w małej jadal-
s»^ ni na najwyższym piętrze pałacu Herakliusza tylko jego samego, Teodora, cesarza Zachodu i ambasadorów Nabatei i Palmyry. Herakliusz osobiście rozlał do kieliszków resztę wina, uważając, by nie uronić ani kropli cennego napoju na grube dywany okrywające podłogę komnaty. Wszyscy biesiadnicy byli syci po posiłku złożonym z licznych dań i przysmaków. Tylko Galen zjadł niewiele i wypił jeszcze mniej. Jego cierpki dowcip i zachodni akcent ogromnie bawiły obu ambasadorów.

Adathus, Palmyrczyk, pochylił się do przodu i oderwał dwa idealnie krągłe grona z resztek kiści. Po jego ostrej, wyrazistej twarzy błędził lekki uśmiezek. Odziany był w kosztowne brokatowe szaty zdobione klejnotami i perłami, a na palcach nosił ciężkie pierścienie. W porównaniu z nim siedzący obok Nabatejczyk, Malichus Obodas, wydawał się niemal wzorem skromności, choć miał na sobie elegancką szatę z turkusowego jedwabiu i szeroki pas. Obaj wydali ogromne sumy na te stroje, ale czy nie tego oczekuje się od kogoś, kto ma odwiedzić dwór cesarza Wschodu?

- Jakież to błogosławieństwo ściąga na nas uwagę dwóch najpotężniejszych ludzi świata? - spytał Adathus uniżonym tonem, choć jego oczy z uwagą i spokojem przyglądały się obu Rzymianom. Galen, jak zwykle, ubrany był w strój dowódcy legionu: białą tunikę z czerwoną peleryną, ciężki skórzany pas i sznurowane buty. Herakliusz wyglądał podobnie, choć zrezygnował z peleryny i nałożył tunikę z cięższego materiału, obwiedzioną złotem. Zgodnie z przypuszczeniami Palmyrczyka, obaj byli opanowani i ogromnie pewni siebie. Obaj ambasadorowie znali trudną sytuację Cesarstwa Wschodniego, widzieli też jednak, ile okrętów cumuje w przystani, i jaka siła napływa do Konstantynopola.

Herakliusz poczęstował się obraną ze skóry morelą obtoczoną w cukrze. Ugryzł kawałek i rozkoszował się przez chwilę jej smakiem. Potem odłożył ją na srebrną tacę leżącą na stoliku obok sofy.

- Wiatr skręca na wschód - powiedział beznamiętnym tonem. - Wkrótce zagoni Persów aż do samego Ktezyfonu. Barbarzyńcy, którzy rozbili obóz pod moimi murami, zostaną zniszczeni albo wrócą do swoich lasów. Odyniec zostanie upolowany, nadziany na długie włócznie. To wszystko się dokona, bez względu na to, co ustalimy dzisiaj wieczora.

Malichus pogładził swą starannie przystrzyżoną brodę.

- Jeśli tak będzie, a w to nie wątpię, po co nas wzywałeś, panie?

- Planujemy coś więcej, niż tylko przegonić stąd Persów - odparł Herakliusz. - Chcemy zadać im cios, jakiego nie doznali od tysiąca lat. Mamy dość ludzi i wiary, by tego dokonać. Teraz trzeba tylko, by figury w tej grze ustawiły się na odpowiednich polach. A do tego, szczerze mówiąc, potrzebna nam będzie pomoc waszych państw.

Adathus zerknął ukradkiem na swego towarzysza, potem uniósł brwi:

- Armie naszych miast, jako sprzymierzeńcy Wiecznego Rzymu, już od dłuższego czasu powstrzymują pochód Persów na południu - rzekł. - Bronimy Damaszku, a tym samym drogi do Aleksandrii. Co jeszcze możemy zrobić, by doprowadzić do klęski Persów?

Herakliusz skinął głową.

- To prawda. Jednak perska armia wyruszy wkrótce z Antiochii, by podbić Palestynę, a potem Egipt. Gdzieś w Celesyrii dojdzie do bitwy. Nasz plan jest już realizowany, podobnie jak plany Szahr-Baraza. Zależy nam na tym, by perska armia w Antiochii pozostała na południowym brzegu rzeki Orontes, zajęta oblężeniem Damaszku czy jakiegoś innego silnego miasta. Ten stan nie będzie musiał trwać długo, nie dłużej niż kilka miesięcy. To da nam czas na wykonanie kolejnego etapu planu.

Adathus opadł na oparcie sofy, marszcząc brwi w zamyśleniu.

- A cóż to będzie za etap? - spytał podejrzliwym tonem.

Herakliusz uderzył łyżką o cynowy kielich, z którego pił wino. Do pokoju weszli służący i uprzątnęli tace oraz inne naczynia. Ostatni zabrał obrus przykrywający stół, przy którym siedziało pięciu mężczyzn. Błat drewnianego stołu intarsjowany był mozaiką przedstawiającą szczegółową mapę Cesarstwa Wschodniego.

- Są cztery perskie armie - zaczął Herakliusz, używając widelca jako wskaźnika. Najpierw wskazał na wąski pas błękitu między Morzem Egejskim i Morzem Ciemności. - Szahr-Baraz stacjonuje po drugiej stronie Propontydy, w moim Pałacu Letnim, z oddziałami kawalerii. Choć codziennie gra mi na nosie, tak naprawdę zajmuje tylko tyle ziemi, ile mają pod stopami jego żołnierze.

Wielec przesunął się na południe i wschód, przez brązową plamę Anatolii, do wschodniego brzegu Morza Wewnętrznego, gdzie wybrzeże Lewantu stykało się z Azją Mniejszą.

- Najbliższa prawdziwa armia Persów stacjonuje w Antiochii, pod dowództwem mojego kuzyna, Szahina. To właśnie ta armia może wkrótce zagrozić Egiptowi. Prócz tych dwóch armii główne siły Persów znajdują się w Ktezyfonie, a dowodzi nimi sam szachinszach. Czwarta armia przebywa obecnie daleko na wschodzie, prowadzi kampanię wzdłuż Oksosu. Chcemy, by Persowie byli przekonani, że nasza armia pożegluje z Konstantynopola na północ i wyląduje w Trapezuncie. - Wielec przesunął się na północ, przez Anatolie i do brzegu Morza Ciemności, a potem na wschód wzdłuż wybrzeża, do gór sięgających samego morza. - Stąd nasza armia pomaszeruje na południe przez Armenię i Luristan, by uderzyć w samo serce kraju Persów. By temu zapobiec, Odyniec będzie musiał zabrać swoich jeźdźców z powrotem na wschód, przez Anatolie, by połączyć się z armią Chosroesa z centrum kraju.

Palmyrczyk przerwał mu, spoglądając na mapę.

- Ale to nie jest wasz prawdziwy plan.

- Nie. - Herakliusz uśmiechnął się i wskazał na równinę Issos na północny zachód od Antiochii. - Nasza armia wyląduje tutaj i pomaszeruje do Samosaty. Będziemy pomiędzy armią Odyńca na północy i główną armią Persów na południu, w Ktezyfonie. Znajdziemy się jednak w bardzo trudnej sytuacji, jeśli Szahin i jego armia w Antiochii nie będą już czymś zajęci.

- Zatem mamy odwrócić ich uwagę - skwitował Malichus, marszcząc brwi. - Nasze armie nadają się do drobnych potyczek na granicy, do walki z bandytami i pilnowania porządku na pustyni. Nie mamy ciężkiej piechoty ani jazdy, by stawić czoło Szahinowi i jego *dibanari*. Rozbiliby nas w puch w pierwszej bitwie.

- Wiem - odparł Herakliusz z posępną miną. - Wasi generałowie będą musieli być bardzo ostrożni i zwabić go na południe, pozorując gotowość do bitwy. Jeden legion wschodniej armii i jeden legion zachodniej dołączą do was po wylądowaniu w Aleksandrii. Jeśli uda wam się przyciągnąć uwagę Szahina, a jednocześnie uniknąć do tej pory bitwy, będziecie mieli dość sił, by potykać się z nim na równych warunkach. Ale... to też nie jest nasz plan.

Malichus i Adathus zaskoczeni podnieśli wzrok znad mapy.

Herakliusz wziął głęboki oddech, przygotowując się do dalszej mowy.

- Nim doszłoby do tej bitwy, nasze siły rozbiją armię Chosroesa gdzieś pomiędzy Samostatą i Tauris. Wtedy zwrócimy się na południe, by zaatakować stolicę Persji. Szahin pozna już do tego czasu nasze ruchy, będzie więc zmuszony zawrócić, by bronić serca kraju. Kiedy to na-

stąpi, wasze siły wraz z naszymi legionami będą w dogodnej pozycji, by utrudnić mu odwrót i przeprawę przez Eufrat.

Wodzowie przygranicznych państweczek spojrzeli po sobie i uśmiechnęli się. Wiedzieli, że wycofująca się armia będzie łatwym łupem dla małych oddziałów jazdy, którymi dysponowały ich księstwa i że mogą przy tym zdobyć cenne łupy, a wszystko to bez wielkiego ryzyka, a może i strat, jeśli uda im się uniknąć bitwy...

Galen obserwował z boku reakcję obu ambasadorów, widział, jak ich wrodzona ostrożność zmagają się ze zwykłą chciwością.

Adathus wydał wargi i wygładził wąsy długimi, śniadymi palcami.

- Ten plan jest obiecujący, panie, choć też i bardzo ryzykowny, jeśli Szahin zdoła związać w walce któregoś z oddziałów i zmusić nas do bitwy. Nie mamy wielu ludzi i musimy bardzo roztropnie dowodzić naszymi wojskami. - Jaką mamy pewność, że legiony przybędą z Egiptu na czas? Jak zrekompensujesz nam straty, które poniesiemy, gdy Persowie przejdą przez nasze ziemie?

Herakliusz starał się zachować kamienną twarz. Zaczęło się targowanie. Skinął powoli głową.

- Wojna to straszna rzecz, a wasze państwa, w szczególności Palmyra, mogą bardzo ucierpieć. Dlatego też proponuję, by w uznaniu za pomoc, której nam udzielacie, i której udzielaliście w przeszłości, królowa została mianowana trybunem ze jej wkład w obronę Wschodu.

Brwi palmyrskiego ambasadora przesunęły się w górę w wyrazie zdumienia. W hierarchii cesarstwa trybun podlegał jedynie cesarzowi, znajdował się zaledwie o dwa stopnie od samej purpury. Takich tytułów nie przyznawało się łatwo i nigdy władcom sprzymierzonych państw. Cesarz musi być ogromnie pewny siebie, a jednocześnie bardzo zdeterminowany, żeby składać taką ofertę, pomyślał.

Herakliusz odwrócił się do Nabatejczyka.

- Przyjaciele w Nabatei także od dawna stoją przy naszym boku. Wasze państwo obsługuje ogromną większość handlu z Aksum i Synopą, wasze porty nad Sinus Arabicus pełne są okrętów, które wiozą nasze towary i towary innych państw do Rzymu i Konstantynopola. Wasze patrole graniczne powstrzymują nomadów z Arabii. Do tej pory nie odwzajemniłyśmy się wam odpowiednio za pomoc i współpracę. Jeśli przyłączycie się do nas i tym razem Petra i Bostra traktowane będą jako rzymskie miasta.

Te słowa wyrwały wreszcie Nabatejczyka z sennego nastroju. Przy mierze między Bostrą i Palmyrą utrzymywało się już od długiego czasu i było korzystne dla obu stron, tradycyjnie jednak to mieszkańcy północy przewodzili w kontaktach z cesarstwem. Nabatejczycy zacierali z zadowolenia ręce, licząc monety, które spływały do ich szkatuł dzięki przepływowi towarów pomiędzy cesarstwem, Indiami i dalekimi Chinami. Mimo to, jako państwo sprzymierzone, zmuszeni byli odprowadzać ogromne opłaty, kiedy towary rzeczywiście trafiały w ręce Rzymian.

Gdyby Bostra i Petra zostały oficjalnie uznane za *urbes*, prawdziwe rzymskie miasta, niemal jedna trzecia tych opłat zostałaby zniesiona. Taka zmiana w opodatkowaniu oznaczałaby ogromne zyski.

Malichus skinął odruchowo głową.

Herakliusz uśmiechnął się serdecznie.

- Wypijmy zatem, przyjaciele, i przejdźmy do omówienia bardziej przyziemnych szczegółów naszego wspólnego przedsięwzięcia.

Wielki, pomarańczowożółty księżyc wznosił się ponad wieże i dachy miasta. Galen stał przy oknie wychodzącym na wody Propontydy. Na wschodzie, po drugiej stronie wielkiej tafli wody, widać było migotanie dalekich ognisk. Z północy, znad otwartych wód Morza Ciemności wiał zimny wiatr. Galen odwrócił się do swego towarzysza.

- Sprytnie wyprowadziłeś w pole tych ambasadorów - powiedział cicho.

Herakliusz skinął posępnie głową, oparty o ścianę. Nawet w niłym blasku księżycy Galen widział, że cesarz Wschodu jest zmarzwiony.

- Myślę, że wszystko pójdzie zgodnie z planem - powiedział Herakliusz. - Chciwość doprowadzi ich do bitwy i porażki z rąk Szahina.

- Nie jesteś teraz pewien swojej strategii? Chcesz ją zmienić? Możemy jeszcze odłączyć Sexta Gemina i dość Germanów, by utworzyć jeszcze jeden legion i wesprzeć ich.

Herakliusz odepchnął się od ściany i włożył palce za pas.

- Nie, to sprawa przesądzona. Nie stać mnie na to, by wystawić przeciwko Odyńcowi dwadzieścia tysięcy ludzi mniej, niż mógłbym ich mieć. Wysłanie tych ludzi do Syrii byłoby marnotrawstwem. Poza tym - cesarz uśmiechnął się lekko - oba te miasta są dość bogate, by poradzić sobie z taką stratą.

Galen spojrział nań spod zmarszczonych brwi, stukając palcami o kamienną ścianę.

- Petra i Palmyra od stuleci były sprzymierzeńcami cesarstwa. Jesteś pewien, że chcesz je tak zostawić? To chyba niezbyt honorowe rozwiązanie.

Herakliusz roześmiał się ponuro.

- Ten łajdak Chosroes z pewnością nie zachował się honorowo, kiedy pogwałcił traktat i zaatakował mnie pięć lat temu. W tej wojnie nie chodzi o honor, przyjacielu, tu chodzi o przetrwanie. Odplacę mu zniewagą za zniewagę. To ja jestem cesarzem Wschodu.

- To prawda - odparł Galen, nieco zaskoczony jadowitym tonem swego towarzysza. - Ale co potem, po zwycięstwie? Nadal będziemy musieli bronić granicy na pustyni, a miasta nie będą już miały żadnego wojska.

- Wtedy nie będzie ich przed czym bronić - odparł Herakliusz, koń-

cząc temat. -To Chosroes jest wrogiem. Zapłaci za zdradę i pretensje do tronu.

Galen milczał, zestawiając w myślach dobro cesarstwa jako całości ze zniszczeniem odległych miast. Wciąż stał przy ścianie, spoglądając na okrytą mrokiem Azję, kiedy Herakliusz odszedł do swoich komnat.

VIA APPIA, NA POŁUDNIE OD RZYMU

nc sięzyc przesunął się niżej, wielki pomarańczowy melon na czarnej tacy nieba. Chmury częściowo go przesłaniały, rzucając głęboki cień na drogę. Maksjan ponaglił konia, by dotrzymać tempa prowadzącemu jeźdźcowi. Stukanie końskich kopyt niosło się wzdłuż Via Appia, tłumiły je jednak rzędy krzewów rosnące po obu stronach drogi. Za krzewami znajdowały się zapuszczone pola, upstrzone tu i ówdzie niewielkimi domami lub ziemiankami. Niemal trzy mile za księciem widać było zarysy wież strażniczych na murach Porta Appia, oświetlonych lampami i pochodniami. Przewodnik zatrzymał się i podniósł swoją lampę. Po prawej stronie drogi ział wielki otwór, oznaczony dwoma białymi kolumnami. Lampa przesunęła się niżej, kiedy mężczyzna pochylił się w siodle, by odczytać napis na jednej z kolumn.

Na pobliskim drzewie zahuczała sowa, potem słychać było szelest liści, kiedy poderwała się do lotu.

Maksjan dotknął złotej monety, którą trzymał w kieszeni. Był to podwójny areus z podobizną jego brata po obu stronach. Dopiero co wybiły, jeszcze ostry na krawędziach. Westchnął i wypuścił monetę z dłoni. Jego towarzysz, stary Nabatejczyk, roześmiał się cicho.

- Cierpliwości, panie, już wkrótce dostaniesz dźwignię, której potrzebujesz.

Maksjan zastukał laską w dębowe drzwi. Późne popołudnie zamieniało się powoli w wieczór, a w wąskich uliczkach Triburtiny gęstniała ciemność. Ludzie przyspieszyli kroku, chcąc zdążyć do domów przed zapadnięciem nocy. Fragment nieba widoczny między budynkami błyszczał fioletem, który przecinały różowe chmury. Maksjan zastukał ponownie, słysząc jakieś szelesty po drugiej stronie. Drzwi niczym się nie wyróżniały, zdobiło je jedynie wyobrażenie dwóch rogów po bokach trapezu. Przyszedł tutaj, do śmierdzącej alejki w „cudzoziemskiej” dzielnicy, za namową ostatniego z całej armii czarowników, z którymi rozmawiał do tej pory. Choć zaczynał poszukiwania z ogromną determinacją i nadzieją, teraz był już wyczerpany i marzył tylko o powrocie do domu.

Czarownicy, których odwiedzał do tej pory, szczególnie ci z ulicy Magów na Forum Boarium, albo w ogóle nie chcieli z nim rozmawiać, albo wyrzucali go za drzwi, kiedy zaczynał tłumaczyć, że miasto przeniknięte jest jakąś straszliwą mocą, która może zabijać ludzi i niszczyć metal. Ostatni, żydowski numerolog, słuchał go cierpliwie przez cały wieczór, a potem rozłożył ręce i oświadczył, że nie ma doświadczenia w takich sprawach. Dodał jednak, że zna pewnego człowieka, Nabatejczyka, który mógłby mu pomóc.

Tak właśnie Maksjan trafił o zmroku do tego miejsca.

Zgrzyt przesuwanej zasuwki przedostał się przez dębowe drzwi, potem rozległ się inny dźwięk, jakby szpilki wyciąganej z metalowego otworu. Drzwi uchyliły się lekko, a ze szpary spojrzęło na księcia lśniące niebieskie oko.

- Dobry wieczór - powiedział Maksjan uprzejmym tonem. - Szukam mędrca, Abdmachusa, który tutaj mieszka. Jestem Maksjan Atreusz. Szukam pomocy w pewnej delikatnej sprawie.

Oko zniknęło, a drzwi otworzyły się na całą szerokość, odsłaniając niskiego, szczupłego człowieka o rzadkich siwych włosach, które wymykały się spod filcowej czapki. Mężczyzna ubrany był w powłóczystrą szatę w biało-niebieskie paski, przewiązaną w pasie ciemnozieloną szarfą.

- Wejdz, panie. Jestem Abdmachus. Witaj w moim domu.

Dom Nabatejczyka, wciśnięty między dwa większe budynki, był z konieczności długi i wąski. W małym frontowym pokoju podłoga wyłożona była płytkami, których nie okrywał żaden dywan. Drugie drzwi prowadziły z atrium do pozostałej części domu. Nie miały żadnego zamka, Maksjan poczuł jednak jakieś lekkie zawirowanie, kiedy przekraczał ich próg. Za wejściem znajdował się salon z paleniskiem, w którym płonął niewielki ogień. Dym unosił się prosto do rogu sufitu i znikał w częściowo odsłoniętej rurze z wypalanej gliny. Na podłodze leżały grube dywany, wszystkie w różnych odcieniach brązu i czerwieni. Dwie sofy stały naprzeciwko siebie, tak by wezgięcia znajdowały się przy palenisku.

Abdmachus zaprosił Maksjana gestem na sofę po prawej, a sam usiadł naprzeciwko. Maksjan wolał siedzieć, niż ułożyć się w pozycji półleżącej. Śniadoskóry cudzoziemiec wciąż mu się przyglądał.

Maksjan odchrząknął niepewnie i przemówił:

- Potrzebuję pomocy. Człowiek, z którym rozmawiałem wczoraj, powiedział, że potrafisz mi pomóc, panie. Czy znasz dobrze to, co niewidzialne?

Abdmachus lekko przekrzywił głowę.

- Jeśli pytasz - odparł powoli - czy jestem magiem, odpowiem, że tak, dobrze znam to, co niewidzialne. Muszę jednak przyznać, że twoja wizyta nieco mnie zadziwia. Widzę, że i ty posiadasz moc, zdolność widzenia tego, co niewidzialne. Czuję tarczę, którą się otoczyłeś. Dlaczego przyszedłeś do mnie?

Maksjan uniósł lekko brwi. Abdmachus z pewnością nie był głupcem, musiał też mieć spore umiejętności, skoro tak szybko go przejrzał.

- Nie jestem czarownikiem - wyznał książę. - Jestem kapłanem Asklepiosa. Znalazłem jednak coś, co jest o wiele za silne, bym mógł sam z tym sobie poradzić. Potrzebuję rady, a może i pomocy kogoś... bardziej doświadczonego.

Abdmachus uśmiechnął się, odsłaniając małe, białe zęby.

- O tak, doświadczenia mi nie brak - rzekł. - Nie mam już jednak takiej siły młodości jak ty. Na szczęście znam kilka sztuczek, dzięki którym jakoś sobie radzę. Nie jestem tak silny jak kiedyś, ale, jak powiedział jeden Grek, wystarczy odpowiednio długa dźwignia, by ruszyć z posad cały świat! Ta rzecz, którą znalazłeś, to coś niebezpiecznego, coś, co napotkałeś podczas swej pracy? Jeśli jednak jesteś kapłanem sztuki uzdrawiania i nie mogłeś tego pokonać, to nie jest to choroba, lecz coś... co wywołuje chorobę?

Maksjan rozłożył ręce.

- Mistrzu Abdmachusie, wysłuchaj mnie proszę do końca, nim podejmiesz decyzję. Byłem już u wielu innych czarowników i wszyscy, prócz Szymona Numerologa, w ogóle mnie nie słuchali albo mówili, że jestem obłąkany. Nad miastem wisi nieszczęście, które, jak się wydaje, widzę tylko ja. Zepsucie i zmora, które przynoszą mieszkańcom choroby, śmierć i szaleństwo. Widzę to wszędzie - w popękanym bruku ulicy, na twarzach mijanych ludzi, wszędzie dokoła. Wiem, że brzmi to absurdalnie, ale wygląda to tak, jakby nad miastem ciążyła jakaś klątwa.

Abdmachus roześmiał się ku wielkiemu zdumieniu Maksjana. Książę przez moment patrzył nań z niedowierzaniem, potem ogarnięty gniewem wstał i odwrócił się do wyjścia; spodziewał się po Nabatejczyku czegoś więcej.

Starzec przestał się śmiać i podniósł rękę.

- Poczekaj, poczekaj, mój porywczy gościu. Nie śmieję się z twojej teorii. Śmieję się z siebie, z tego, że sam straciłem tak wiele czasu. Wierzę ci. Myślę, że wiem, o czym mówisz. Usiądź, proszę.

Maksjan wrócił na sofę, choć nie był pewien, czy ma wierzyć staremu czarownikowi.

- To, co widzisz - mówił starzec - to jakby fala ciemnej mocy, która przenika całe miasto, widzialna tylko dla tych, którzy wiedzą, czego szukać. Jest subtelna i potężna, a do tego tak wszechobecna, że każdemu, kto mieszka tutaj od długiego czasu, wydaje się... naturalna. Tak?

Maksjan skinął głową.

- Tak, ale jest nieprzyjazna, niebezpieczna. Wiesz, jakie przekleństwo ją na nas sprowadziło?

Abdmachus roześmiał się znowu i pokręcił głową.

- To nie jest przekleństwo, młody mistrzu, to błogosławieństwo, dobrodziejstwo dla Rzymu.

- Jak możesz tak mówić!? - wybuchnął Maksjan. - Wiem, że klątwa zabiła już co najmniej jedenastu ludzi! Wiem, że potrafi niszczyć, psuć i deformować nawet metal, widziałem to na własne oczy!

Abdmachus znów pokręcił głową, wstał i podszedł do ściany po drugiej stronie pokoju. Przesunął dłonią wzdłuż kilku cegieł, a jedna z nich cofnęła się bezgłośnie do wnętrza muru, odsłaniając tajemny schowek. Abdmachus wyjął stamtąd woreczek z monetami. Powrócił na sofę i ostrożnie wyjął z sakiewki jedną monetę.

- Spójrz. Wczoraj otrzymałem tę monetę jako część zapłaty od pewnego patrycjusza, wysokiego urzędnika państwowego. Po raz pierwszy dotknąłem jej teraz, tylko po to, by ci ją pokazać i położyć tutaj.

Starzec położył monetę na małym stolyczku ustawionym pomiędzy sofami. Złoto błyszczało blado w świetle lamp.

- Ostatnim człowiekiem, który jej dotykał, był ów urzędnik, który prosił mnie o przysługę. Wciąż jest blisko tej monety, a moneta jest blisko niego. Została dopiero co wybita, jest więc wolna od śladów innych ludzi, pozostał na niej tylko jego kształt. Rozumiesz, o czym mówię?

Maksjan skinął głową. W szkole w Pergamonie uczył się co nieco o zarażaniu i podobieństwie, choć raczej w kontekście składania połamanych kości i leczenia gorączki niż wykorzystywania mocy na rzecz zdrowego człowieka.

Abdmachus odłożył sakiewkę za sofę i pochylił się nad monetą. Spojrzał na Maksjana.

- Wiem, że utrzymywanie tarczy jest męczące, sporządzę więc nową, która obejmie nas obu. Kiedy będzie już gotowa, opuść, proszę, swoją, by nie przeszkadzały sobie nawzajem.

Maksjan skinął głową i niemal natychmiast ujrzał prawdziwy kształt całego pokoju. Widział drżącą, ciemnobrązową aurę wokół starca. Pozostała część pokoju opleciona była siatką delikatnych, niebieskich nici ognia. Jego tarcza lśniła w powietrzu pomiędzy nim i Nabatejczykiem. Starzec siedział w bezruchu. Przez chwilę nic się nie działo, potem niebieski ogień rozbłysnął jaśniej. Ogień w palenisku zaiskrzył i zgasł, Maksjan jednak i tak widział wszystko równie wyraźnie jak poprzednio. Ściany, podłoga i sufit oddawały swą energię kuli światła, która rozrastała się powoli, by objąć najpierw Abdmachusa, a potem również Maksjana. Niebieskie płomienie wśliznęły się niczym węże do jej wnętrza i tarcza była wreszcie gotowa.

Książę rozluźnił się po raz pierwszy od wielu dni, a jego tarcza rozbłysła na moment jaśniej, a potem zniknęła. Opadł na oparcie sofy, pozwalając, by zniknął wreszcie ból głowy, z którym musiał zmagać się przez cały czas, gdy utrzymywał tarczę.

- Lepiej, prawda? - wyszeptał starzec, nie otwierając oczu. - Teraz pokażę ci błogosławieństwo Rzymu... bądź jednak gotów w każdej chwili podnieść tarczę. To może być niebezpieczne.

Nabatejczyk wyciągnął przed siebie rękę, a moneta uniosła się powoli i zawisła w powietrzu między nim i Maksjanem, obracając się powoli wokół własnej osi.

- Poprzez kształt człowieka, który trzymał tę monetę, mogę wpływać nań w dobry i zły sposób. Mogę go skrzywdzić, więc...

Starzec przekręcił dłoń, a w powietrzu pojawiła się nagle zjadliwie czerwona macka. Maksjan usiadł prosto, odruchowo unosząc rękę w obronnym geście. Ognisty wąż przesuwiał się do przodu, by po chwili otoczyć monetę. Powietrze wokół monety zadrżało, zmąciło się i na moment wokół monety pojawił się obraz surowej, patrycjuszowskiej twarzy.

- Spokojnie, spokojnie, młody mistrzu, nie skrzywdzę tego człowieka, spójrz jednak tylko za tarczę...

Maksjan skierował swą uwagę na zewnątrz i zamarł, ujrawszy, co dzieje się za jasniebieską barierą. Na niebieską kulę napierała złowroga ciemność wypełniona ogniem i jakimiś oślepiającymi kształtami. Moc, która spoczywała w mieście, w kamieniach, w powietrzu i wodzie, otaczała ich zewsząd, napierała z coraz większą siłą.

- Widzisz to? Kiedy zamierzam uczynić coś złego osobie ważnej dla państwa, filarowi cesarstwa, błogosławieństwo działa przeciwko mnie. Jego moc jego ogromna, niesamowita... Nawet tutaj, w miejscu, w którym mieszkam od wielu lat, i które wypełniłem wielką mocą, może mi zagrozić, przełamać tarczę. Wycofuję zagrożenie.

Czerwony wąż zniknął, a moneta opadła powoli na stół. Abdmachus otworzył oczy, oddychając ciężko. Ciemność za niebieską ścianą tarczy kłębiła się i uderzała falami w jej powierzchnię. Potem powoli zaczęła się wycofywać i wsiąkać z powrotem w ścianę, w powietrze, w ziemię. Maksjan wypuścił głośno powietrze, kiedy ostatnie jej fragmenty rozplynęły się w powietrzu.

Starzec, wyczerpany utrzymywaniem tarczy, opadł na oparcie sofy, jego oczy jednak wciąż były jasne.

- Zawsze dziwiło mnie, że żaden rzymski mag nie napisał o tym zjawisku ani że cesarstwo nie chwali się tym na wszystkie strony świata. Twoja zdumiona mina mówi mi jednak, że żaden Rzymianin, który wystąpił przeciw tej sile, nie przeżył tego spotkania, nie mógł więc podzielić się swą wiedzą z innymi.

Maksjan wydał usta i powoli pokiwał głową.

- Każdy, kto sprowokuje moc - mówił książę - zginie, jeśli nie będzie przygotowany. Nikt nie wiedziałby... - Przerwał nagle i podniósł wzrok na starca. - Więc jak to się stało, że ja przeżyłem to odkrycie? Jak ty je przeżyłeś?

Abdmachus zignorował na razie jego pytanie, podniósł się ciężko z sofy i zniknął za zasłoną w tylnej części pokoju. Powrócił chwilę później, niosąc dzbanki z winem i wodą oraz dwa kubki. Rozlał wino do

kubków, a potem dodał do nich wody. Opróżniwszy swój kubek, przemówił:

- Kiedy po raz pierwszy przybyłem do miasta, nie zostałem tu, że tak powiem, oficjalnie przywitany. Nie ubiegałem się o licencję na uprawianie mego zawodu, nie szukałem rozgłosu. Zamieszkałem w tym domu i zająłem się interesami. Byłem młodszy, ale mimo to bardzo ostrożny, kiedy więc po raz pierwszy podjąłem się zadania takiego jak to, które właśnie ci pokazałem, zachowałem wszelkie środki ostrożności.

Umilkł na moment i ponownie rozlał wino do kubków, gestem zapraszając Maksjana do picia. Książę powąchał wino i za pomocą swych niezwykłych talentów sprawdził, czy jest bezpieczne. Było, pociągnął więc łyk.

- Wszyscy magowie, a przynajmniej wszyscy magowie spoza Rzymu, wiedzą doskonale, że cesarstwo odporne jest na magię wszelkiego rodzaju. Uważa się powszechnie, że cesarscy taumaturgowie są tak potężni, że potrafią wytropić i zniszczyć wszelkie zaklęcia mogące zaszkodzić państwu. Jednak po wielu latach spędzonych w mieście wiem już, że jest inaczej. Wasi magowie są potężni, to prawda, lecz oni nie mogliby tego zrobić. Czy nigdy nie zastanawiało cię, dlaczego wasi wrogowie nie zabili żadnego z cesarzy za pomocą magii? Dlaczego królowie-kapłani Persji czy czarownicy Germanów nie zniszczyli waszych armii na polu bitwy? Ci ludzie mogą przywołać straszliwe siły i zapewniam cię, że robili to już nieraz w przeszłości. W walce z Rzymem ich wysiłki nie przyniosły jednak żadnego rezultatu. Każdy, kto spróbuje dokonać czegoś podobnego, może zostać zgładzony. A to, co widzieliśmy dzisiaj, jest właśnie tego przyczyną.

Maksjan odstawił pusty kielich. Czuł ogromną ulgę, że wreszcie znalazł kogoś, kto nie tylko mu wierzył, lecz sam zastanawiał się nad tym problemem. Przedstawiona przezeń wizja była jednak niepokojąca. Maksjan potarł skronie, próbując zmobilizować umysł do większego wysiłku. Abdmachus dojrzał to i uśmiechnął się ponownie, choć książę nie mógł widzieć jego uśmiechu.

- Młody mistrzu, jesteś bardzo zmęczony. Dzisiaj i tak nic już z tym nie zrobimy. Jeśli nie masz nic przeciwko, możesz spać tutaj. Tu będziesz mógł wreszcie uwolnić się od koszmarów i efektów mocy.

Opuściwszy Via Appia skręcili w alejkę, nad którą zwieszały się gałęzie wielkich cyprysów. Otoczony duszącą ciemnością Maksjan zadrzał, choć noc była ciepła. Czuł zapach pól rozciągających się po obu stronach drogi, za rzędami drzew i krzewów. Alejka prowadziła w dół, a potem w lewo. Lampka z przodu skręciła po chwili w lewo, i jeźdźcy znaleźli się na niewielkiej polanie.

Książę wyszedł wreszcie zza chmur i jego wielka tarcza wisiała teraz nad małą świątynią po drugiej stronie polany. Srebrne światło kła-

dło się na kamieniach ułożonych przy wejściu do grobowca. Abdmachus zeskoczył ze swego konia, podobnie jak dwaj pomocnicy, którzy zaprowadzili ich do tego miejsca. Maksjan rozejrzał się dokoła zaskoczony, że miejsce pochówku Juliana wydaje się tak pospolite. Potem i on zeskoczył z konia. Nabatejczyk zbliżył się do niego, niosąc jedną z przysłonionych lamp, które zabrali ze sobą.

- Zapal swoją lampę - polecił przyciszonym głosem.

Maksjan skinął głową i zdjął z siodła ciężkie zawiniątko. Pretor zarzął i trącił go w ramię swym wielkim, miękkim nosem. Maksjan uśmiechnął się w ciemności i sięgnął do kieszeni po marchewkę. Ogier łaskawie przyjął łapówkę i pozwolił przywiązać się do drzewa w pobliżu wejścia do świątyni. Uporawszy się z tym, Maksjan wyjął z zawiniątka lampę i zapalił knot jednym pstryknięciem palców. Abdmachus także zapalił swoją lampę. Nabatejczyk odwrócił się do pomocników i przykazał im, by siedzieli w cieniu drzew i obserwowali wejście do świątyni oraz prowadzącą do niej alejkę.

- Masz wszystkie narzędzia? - spytał księcia.

Maksjan podniósł skórzaną torbę, którą niósł na ramieniu; w jej wnętrzu zabręczał metal. Stary mag skinął głową z aprobatą.

- Chodźmy więc - szepnął.

Drzwi do świątyni wykonane były z ciężkiej żelaznej kraty i ozdobione solidnym zamkiem w kształcie krzyża. Abdmachus uklęknął przy zamku i ostrożnie obmacał go czubkami palców. Po chwili zaczął przemawiać bardzo cicho, ledwie słyszalnie, mimo to Maksjan wyraźnie wyczuwał kształt jego słów. Powietrze wokół obu mężczyzn zmieniło się, stało się ciężkie i gęste, potem zamek zazgrzytał głośno i otworzył się. Abdmachus wstał i odetchnął głęboko. Otarł czoło, a potem pchnął ostrożnie drzwi.

- Dawno już tego nie robiłem - oznajmił cierpko Nabatejczyk.

Weszli do długiego wąskiego pokoju prowadzącego na tyły budynku.

Wzdłuż ścian po obu stronach ciągnął się szereg głębokich nisz, a w każdej z nich stało naturalnych rozmiarów popiersie. Na końcu pokoju znajdowała się półkolista ściana i mały ołtarz. Za ołtarzem stał omszały posąg kobiety. Maksjan podszedł bliżej i spojrzał w posępną twarz bogini. Minerwa, pomyślał, choć w ciemności trudno było dostrzec jej rysy. Tymczasem Nabatejczyk stojący za jego plecami szukał czegoś w swej ciężkiej torbie.

- Z boku ołtarza powinien być okrągły otwór - wyszeptał Abdmachus. - Proszę - dodał, wręczając Maksjanowi żelazny pręt, długi na dwie dłonie i zakończony z jednej strony uchwytem. Księżę uklęknął przy marmurowym bloku tworzącym ołtarz. Przeciągnął dłonią po jego powierzchni, szukając na oślep, nie chcieli bowiem rozpalać jaśniej lamp, by nie ściągnąć na siebie uwagi przypadkowych przechodniów. Gdy jego palce natrafiły wreszcie na niewielki otwór o gładkich brze-

gach, włożył doń pręt. Abdmachus, klęczący po drugiej stronie ołtarza, zrobił to samo. Nabatejczyk spojrział na księcia ponad kamieniem.

- Gotowy? - spytał. Maksjan skinął głową. - Na dwa.

- Raz, dwa... pchaj!

Księżę naparł z całych sił na uchwyt, stękając z wysiłku. Razem zdołali przesunąć blok, odstawiając ukryty pod nim otwór. Z jego wnętrza wypływało chłodne powietrze oraz zapach wilgoci i zepsucia. Abdmachus przesunął nieco kaptur okrywający jego lampę i zajrzał do wnętrza otworu.

- Świetnie! - szepnął. - Drabina jeszcze stoi.

Maksjan roześmiał się cicho.

- Widzę, że nie robisz tego po raz pierwszy - powiedział do swego towarzysza.

W półmroku błysnęły białe zęby Abdmachusa.

- Pochodzę z biednej rodziny, a wzgórze wokół mojego rodzinnego miasta, Petry, pełne są grobowców arystokratów... czasami początkującemu magowi musi wystarczyć to, co ma pod ręką. Minęło już trochę czasu, ale pewne rzeczy pamięta się do końca życia.

Nabatejczyk przywiązał sznurek do uchwytu swej lampki, pochylił się nad otworem i zaczął ją powoli opuszczać. Gdy spoczęła na dnie dołu, przełożył nogi nad krawędzią i stanął na najwyższym szczeblu drabiny. Maksjan poczekał, aż starzec zniknie w głębi podziemnego korytarza, potem jeszcze raz rozejrzał się dokoła. Puste oczy rzeźbionych głów patrzyły nań z ciekawością z nisz grobowych. Księżę pokręcił głową, wciąż nie mogąc uwierzyć, że chce dopuścić się ze starym magiem tak wielkiej profanacji. Nieważne, pomyślał. Zmarłym jest wszystko jedno. Potrzebuję narzędzia, a dzięki temu, co zrobimy, przeżyje wielu, którzy by umarli.

Maksjan usnął, gdy tylko jego głowa dotknęła poduszki. Mały magazyn ukryty za salonem wypełniony był torbami pełnymi ziół i pudłami o dziwnych zapachach, lecz księżę nie zwracał na to uwagi. Po chwili chrapał już w najlepsze, otulony ciasno cienkim kocem.

Abdmachus stał jeszcze przez chwilę w drzwiach, trzymając przed sobą miedzianą lampę. Stary Nabatejczyk przyglądał się uważnie młodemu mężczyźnie. Rzymianin był wyczerpany fizycznie i emocjonalnie.

Dlaczego, po wszystkich tych latach, nadarza mi się taka okazja? - zastanawiał się Abdmachus. Polubił życie w barbarzyńskim mieście, nawet jeśli robotnicy odwiedzający czasem gospodę za rogiem śmiali się z jego ubrania. Zmarszczył brwi skoncentrowany, podnosząc rękę i rysując w powietrzu znak oznaczający przyjaciela.

Maksjan jęknął przez sen i przewrócił się na drugi bok, zakrywając twarz.

* * *

Tunele katakumb były wąskie i niskie. Abdmachus szedł pierwszy, niosąc przed sobą lampę, teraz już całkiem odsłoniętą, podczas gdy Maksjan niósł torbę z narzędziami i drugą lampę. Powietrze było świeże, łagodna bryza wiała im prosto w twarz, gdy przechodzili przez komnaty wypełnione kośćmi, czaszkami i przedmiotami, które pozostawiono przy zmarłych. Dopiero po dłuższym czasie książe zorientował się, że idą w dół. Od korytarza raz po raz odchodziły mniejsze tunele. Ogromny labirynt wąskich korytarzy, dołów i jaskiń został wykopany pod grobowcem Julianów. Dno korytarza pokrywała warstwa drobnych kości i kostek, które chrzęściły pod butami Maksjana przy każdym kroku.

- Mistrzu Abdmachusie, jak duże jest to miejsce? - spytał wreszcie Maksjan, kiedy dotarli do kolejnej drabiny.

Nabatejczyk roześmiał się i zszedł z ostatniego szczebla starej drewnianej drabiny, podtrzymując ją, gdy jego śladem ruszył Maksjan.

- Ta dolina jest cmentarzem Rzymu od ponad tysiąca lat, mój młody przyjacielu. Te miliony ciał muszą się gdzieś podziać. Nie martw się, jesteśmy już prawie na miejscu.

Zaledwie kilka kroków dalej korytarz zakręcał raptownie w lewo i piął się ostro w górę. Maksjan z trudem wspinał się po sypkim podłożu, po chwili jednak natrafił na twardą kamienną powierzchnię. Gdy podciągnął się wyżej, zrozumiał, że to marmurowy stopień. Schody prowadziły teraz w górę, a lampa Abdmachusa była już daleko z przodu. Szło mu się tutaj zdecydowanie łatwiej niż po osuwającym się zboczu, nadal jednak musiał zachowywać ostrożność, stopnie były bowiem mocno przechylone na lewo. Po chwili połączyły się z gładką marmurową ścianą. Maksjan przystanął, wpatrując się ze zdumieniem w płaskorzeźbę przedstawiającą rzymską rodzinę siedzącą wokół stołu i wznoszącą kubki z winem za pomyślność jesiennych zbiorów. Powyżej wyrzeźbiona była roześmiana twarz Bachusa w wieńcu z liści ostrokrzewu.

- Chodź, przyjacielu - doleciał go z przodu głos Abdmachusa. - To już tutaj.

Na szczycie przekrzywionych schodów znajdowało się wejście do wielkiej komnaty. Wysoko w górze, pod sufitem, kłębiły się poskręcane korzenie drzew. Podłoga była nierówna, pokryta żwirem i piaskiem. W świetle lamp widać było trzy grobowce wystające ze ścian i podłogi. Sądząc po wyglądzie, pochodziły z tej samej epoki co świątynia, przez którą weszli. Książe rozejrzał się dokoła zdumiony.

- Jak...? - spytał słabo.

Abdmachus, który klęczał przy drzwiach średniego grobowca, podniósł nań wzrok.

- Jak już powiedziałem, młody mistrzu, mieszkańcy miasta grzebią

tu swoich zmarłych od ponad tysiąca lat; kiedyś dolina, przez którą jechaliśmy, nie była płaska i równa, lecz przypominała raczej rów biegnący na południe od miasta. W dolinie wyrosły setki grobowców takich jak te. Jeśli wierzyć Kasjuszowi Dionowi, niedaleko od miejsca, przez które weszliśmy do podziemi, znajdowała się świątynia Magna Mater. Potem, w okresie świetności republiki, postanowiono zbudować Via Appia, a Klaudiusze zasypali dolinę, grzebiąc wszystkie te grobowce, świątynie i pomniki. Także i te...

Abdmachus odwrócił się ponownie do drzwi grobowca. Przesuwał długimi palcami po napisach wrytych na drzwiach, czyszcząc je z pyłu i ziemi. Odchrząknął niepewnie, kiedy Maksjan pochylił się nad nim z lampą w dłoni. Napis był płytki i trudny do odczytania.

- Myślę, że to właśnie ten. Wzory układają się wokół niego we właściwy sposób.

Nabatejczyk spojrział z dołu na księcia.

- Drzwi zamknięte są w taki sposób, że nie potrafię ich otworzyć. Ty musisz to zrobić, a nie będzie to łatwe. Ciało zostało tu złożone po długiej podróży, a ludzie, którzy je grzebali, obawiali się, że nie zachowa spokoju po śmierci; można się było tego spodziewać, gdy człowieka zamordowali zdradziecko rzekomi przyjaciele. Grobowca, a szczególnie tych drzwi strzeże zaklęcie, które z wiekiem nabrało jeszcze mocy, a nie osłabło. Trzeba będzie użyć sporej siły, by uporać się z nimi w czasie, który nam jeszcze pozostał.

Maksjan skinął głową i położył na ziemi torbę z narzędziami. Abdmachus przesunął się na bok, a księżę uklęknął obok niego i położył dłonie na udach. Wyciszył się, a potem wyrecytował bezgłośnie otwarcie Hermesa. Abdmachus wyjął tymczasem z torby wianek spleciony z gałęzi cisu i włożył go na głowę księcia. Ciemność jakby zgęstniała na moment wokół jego ciała, ale potem ujrzał wyraźnie prawdziwy kształt świata.

Drzwi grobowca były ciemną otchłanią. Wąskie strumyki ognia spływały po marmurowej płycie i znikwały w nieodgadnionej głębi. Maksjan zmagął się przez moment ze strachem, którym napełniał go strażnik drzwi, potem jednak skoncentrował się mocniej i sięgnął po moc ukrytą w piasku przykrywającym podłogę i w korzeniach drzew.

Przez mgnienie oka zawisł w pustce, runęła na niego oszałamiająca fala mocy płynąca ze ścian, podłogi, z kości zalegających w komnacie. Oślepiająca, rozpalona do białości energia zalewała korytarze jego umysłu.

Abdmachus stłumił całkowicie nadwidzenie i siedział ze skrzyżowanymi nogami u boku młodego mężczyzny, trzymając palce na pulsie na jego szyi. Nagle ciało księcia zeszywniało, a Abdmachus uśmiechnął się w duchu triumfalnie. Mężczyzna szarpnął się gwałtownie, jego ciałem zaczęły wstrząsać konwulsje, lecz puls, choć przyspieszył, wciąż był

mocny i równy. Nabatejczyk recytował coś półgłosem, trzymając palce na skroniach księcia. Kości zagrzebane wokół niego drżały coraz mocniej, a potem każda czaszka, łopatka czy goleń zaczął wydobywać się z ziemi. Kości palców rozdrapywały ziemię, potem wzniosły się w powietrze. Podniosły się także obojczyki i zaczęły wirować. Drzwi grobowca skrzyły się niesamowicie głębokim błękitem, niemal czernią.

Jedna z czaszek, w której brakowało już ćwierci czoła, rozprysła się nagle w powietrzu, kiedy nastąpiła koncentracja mocy czerpanej przez Maksjana ze szczątków zmarłych. Ten sam los spotkał kość strzałkową i żebra. Po chwili już wszystkie kości zaczęły się rozsypywać, kiedy niewidzialny wiatr zaczął obracać je coraz szybciej i szybciej wokół Abdmachusa i księcia.

Maksjan nie czuł ani nie widział, co dzieje się wokół niego. Jego uwagę całkowicie pochłonęła nawałnica mocy, która wtargnęła weń niczym górski potok. Jakaś drobna część jego umysłu kwiliła ze strachu w zetknięciu z płynnym ogniem, który przenikał jego ciało, lecz umysł księcia unosił się na boskiej fali możliwości. Skierował swą wolę przeciwko drzwiom grobowca, a ich strażnik zabrzączał niczym porcelanowa waza, kiedy uderzyła weń ogromna siła. Otchłań zadrżała pod ciosem, a potem zaczęła się deformować, przybierając najpierw postać srebrnego lustra, ukazującego zniekształconą postać księcia. Potem rozprysła się na maleńkie, szare drobiny. Umysł Maksjana wtargnął do wnętrza grobowca, chciwie połykając uszpioną przez wieki energię tych, którzy zostali tam pogrzebani. Pośrodku grobowca wytracił wreszcie pęd i zatrzymał się. Na prostym katafalku spoczywało ciało mężczyzny, a raczej jego wyschnięty szkielet, na którym zwieszały się resztki białej niegdys togi oraz pozostałości skórzanych sandałów.

Maksjan starał się zatrzymać lawinę-mocy, którą obudził, próbując czerpać moc jedynie z kamieni i skał. Wyczuwał bardziej, niż widział, że sklepienie grobowca, jego ściany a nawet podłoga zaczynają ulegać procesowi zniszczenia. Zdawał sobie sprawę, że jeśli nie powstrzyma tego procesu, unicestwione zostanie wszystko, nawet leżące przed nim ciało, które zgodnie z obietnicą Abdmachusa miało ocalić Rzym. Wyteżając wszystkie siły, spróbował przekierować swe myśli i po chwili, która wydawała mu się wiecznością, zdołał wreszcie pokonać rozszalałą żądzę niszczenia. Choć nie mógł tego czuć, jego ciało złane potem osunęło się w ramiona Abdmachusa.

Duch Maksjana unosił się nad martwym ciałem, wypełniony niemal nieskończoną mocą płonąca oślepiającym blaskiem w samym centrum jego jaźni. Sięgnął myślami po swój talent uzdrowiciela i odkrył, że ten uległ subtelnej zmianie. Przedtem było to delikatne narzędzie, zdolne operować z największą precyzją w zniszczonym ciele czy uszkodzonym narzędzie; teraz promieniowało nową mocą zdolną odtwarzać strzaskane kości z drobnych kawałków, rekonstruować całe ciała. Przez moment

delektował się możliwościami, jakie dawała mu ta nowa siła, potem wrócił myślami do ciała. To się uda! - radował się w duchu.

Oparł dłonie swego ducha, lśniącego niewidzialnym dla zwykłych śmiertelników światłem, na wysuszonym ciele. Rozpoczął powolną recytację, a z podłogi grobowca podniósł się obłok pyłu. Mówił dalej, powtarzając dziwne, nieludzkie słowa, a pył zbił się w jednym miejscu, tworząc ciemnoczerwony kształt serca zawieszony nad martwym ciałem. Sztywne palce sięgnęły do klatki piersiowej mężczyzny, oddzierając z niej płaty wysuszonej skóry i odsłaniając resztki narządów wewnętrznych. Serce z pyłu zaczęło bić, najpierw nieco opornie, potem jednak coraz mocniej, napełniając się krwią, z której wypływała para i dym. Maksjan wziął je do swej niewidzialnej ręki i zgniół. Gorąca, niemal wrząca krew trysnęła spomiędzy jego palców i wlała się do otwartej klatki piersiowej.

Maksjan przygotował się do ostatniej części procesu, przywołując słowa starego zaklęcia. Abdmachus pokazał mu wcześniej pewien stary, pomarszczony pergamin, a książkę z uporem uczył się wypisanych na nim słów ze starożytnego języka Tesalczyków. Teraz świeciły jasno i wyraźnie w jego umyśle, kiedy otworzył usta swego ducha, mówiąc:

- O Furie i potwory piekieł! Strzeżcie się Chaosu, co niesie zniszczenie niezliczonym światom! O Władco świata cieni, który cierpisz przez niezliczone wieki, bo śmierć bogów na górze wciąż nie nadchodzi! Persefona, która nienawidzisz własnej matki w niebie! Hekate, bogini ciemnego księżycy, która obdarzasz mnie mową zmarłych! O Strażniku, który karmisz ludzkim ciałem Psa w węzowej koronie! Odwieczny przewoźniku, który przewozisz na swej łodzi z kości ludzkie dusze! Wysłuchajcie mej modlitwy!

Rozpalona, parująca krew wsiąkała w zamknięte od wieków żyły i tętnice. Komnata wypełniła się głośnym syczeniem, a martwe ciało zarząło, gdy zaczął je wypełniać palący płyn.

- Jeśli wargi, które cię wzywają, skalane zostały dostatecznie ohydnyimi czynami, jeśli zawsze jadłem ludzkie ciało, nim odmawiałem takie zaklęcia, jeśli otwierałem piersi matek i obmywałem je ciepłym jeszcze mózgiem, jeśli jakiegokolwiek dziecko ożyje, gdy złożę w twej świątyni jego głowę i wnętrzności - spełnij me pragnienie!

Ciało, choć zaróżowione od krwi płynącej w jego żyłach, nie ruszało się.

- Tysyfona i Megaro! Czy mnie słuchacie? Czy nie sięgniecie po swe straszliwe bicze z zębów i haków, by przegonić tego nędznika z królestwa Ereba? Czy mam przywołać wasze prawdziwe imiona, by wyciągnąć was w to straszliwe światło? Czy mam ścigać was przez groby i cmentarze, przegonić was z każdego grobowca i urny? A ty, Hekate, czy mam zaciągnąć cię przed bogów w niebie i pokazać im twe prawdziwe oblicze, blade i posępne, zawsze ukryte za maską? Czy mam powiedzieć bogom, o Persefona, jakaż to strawa trzyma cię pod ziemią, jakież to więzy mi-

łosne jednoczą cię z ponurym królem nocy, jakież to świętokradztwo popełniłaś, że wyrzekła się ciebie własna matka?

Krzyk Maksjana odbijał się echem od kamieni grobowca. W powietrzu migotały dziwne światła i drżące cienie. Ale ciało leżące na katafalku wciąż się nie poruszyło, choć z jego ust i oczu wydobywały się teraz smugi dymu.

- Na ciebie, władco najniższego królestwa, spuszczę promienie słońca, otworzę twe jaskinie i uderzę światłem dnia. Czy wysłuchasz mej prośby? Czy muszę przywołać tego, którego imię w drzenie wprawia ziemię, który może patrzeć w twarz Gorgony, który smaga przerażoną Furii jej własnym biczem, który mieszka w głębiach Tartaru schowany przed twym wzrokiem, dla którego to wy jesteście „bogami z góry”, który popełnił krzywoprzysięstwo w imieniu Styksu.

Zakrzepła krew, gruba i twarda w otwartych ranach, nagle znów się zagotowała. Członki ciała zadrżały ponownie, gdy krew poczęła w nich żywiej krążyć. Wypełnione czarnoczerwoną cieczą tkanki zaczęły wibrować, nowe życie wkładało się do narządów, które dawno już o nim zapomniały, zmagalo się ze śmiercią. Ściągnęła w drżących członkach napięta się, naciągała na nowo. W końcu uniosły się także powieki, odsłaniając martwe białe źrenice. Zesztywniałe wargi poruszyły się powoli, otwarte rany zamknęły i zablizniły, a piersi uniosły się w pierwszym oddechu.

Maksjan triumfował, widząc jak w martwe ciało na nowo wpływają siły życiowe. Zakreśliło mu się w głowie, pochwycił się więc kurczowo kamiennej krawędzi katafalku. Jego pozbawione sił bezcielesne palce prześliznęły się przez kamień.

Tymczasem Abdmachus z przerażeniem wpatrywał się w sufit jaskini. Zniknął już wir kości, pożarty przez siły obudzone przez młodego mistrza. Korzenie, które podtrzymywały sufit, także zniknęły, a z góry syłał się deszcz żwiru i kamieni. Zniknęły także drzwi grobowca, zamienione w pył, a do jego wnętrza wpadał dziwny wiatr. Mimo długich lat spędzonych na grzebaniu w ziemi cmentarzy, kostnicach i wśród szczątków zmarłych, Nabatejczyk wciąż nie mógł się pozbyć starannie skrywanego lęku przed zamkniętymi przestrzeniami. Ziemia jęczała wokół niego, naruszone kamienie przesuwają się w miejscu. Starzec pochylił się nad ciałem Maksjana, wyężając wszystkie siły, by utrzymać tarczę, która chroniła młodzieńca przed pożarciem.

Ciało Rzymianina wyprężyło się nagle w jego rękach, a z wnętrza grobowca doszło jakieś szuranie. Nabatejczyk odwrócił się w stronę wejścia, choć umysł podsuwał mu historie o zimnookich upiorach i innych mieszkańcach cmentarzy. W wejściu do grobowca, oświetlonego czerwonym blaskiem jedynej lampy, jaka im została, pojawiła się nagle dłoń umazana krwią. Abdmachus zadrżał i odsunął się od ciała księcia. Do dłoni przytrzymującej się futryny drzwi dołączyła druga, a z gro-

bowca wychynęło nagie ciało starszego mężczyzny. Mężczyzna był niemal łysy, na jego czaszce pozostały tylko resztki siwych włosów, miał wydatny patrycjuszowski nos. Musiał prowadzić aktywne życie, bo jego ciało, choć zbliżające się już ku starości, wciąż było dobrze umięśnione. Liczne blizny znaczyły pierś i szyję. Truposz uśmiechnął się drwiąco, widząc przerażonego starca kulącego się przed nim na ziemi.

- Wstawaj - warknął mężczyzna z archaicznym akcentem. - Daj mi jakieś ubranie.

Abdmachus podpełznął do torby z narzędziami i zaczął w niej grzebać, zerkając kątem oka na truposza. Ten odsunął się od ściany i potrząsnął głową niczym pies otrzepujący się z wody. Potem podniósł ręce i obracał je powoli, przyglądając się swemu blademu ciału. Dotknął piersi i przesunął palcami po bliznach i starych ranach. Wreszcie spojrzął na nieprzytomne ciało księcia.

- To on dał mi życie na nowo? - wychrypiął.

Abdmachus podniósł wzrok znad tuniki, butów, koszuli i szaty z kapturem, które wyjął z torby.

- Tak - odparł. - Teraz on jest twoim panem.

Truposz parsknął, a z jego nosa wydobył się obłok dymu. Zdumiony włożył palce do nozdrzy i wyciągnął stamtąd ziemię i zasuszone resztki robaków.

- Pfuj! - Truposz zaklął i spróbował splunąć, wyrzucając z otwartych ust biały pył. - Masz jakieś wino? - spytał drżącym głosem.

- Nie - odparł Abdmachus, wręczając mu koszulę. - Włóż to.

Truposz wciągnął koszulę przez głowę i wygładził ją. Potem znów spojrzął na księcia leżącego u jego stóp.

- Mógłbym złamać mu teraz kark, kiedy śpi. Wtedy byłbym własnym panem.

Abdmachus pokręcił powoli głową, mówiąc:

- Jeśli on umrze, ty wrócisz do ziemi. Kiedy on żyje, i chce tego, żyjesz i ty.

Truposz przyjął tunikę z cierpkim uśmiechem, a potem zwrócił swe martwe oczy na Abdmachusa.

- Więc powinien żyć jak najdłużej, prawda... Persie?

ZBIORNIKI TEODOZJUSZA, KONSTANTYNOPOL

Woda chlupotała cicho za burtą długiej łodzi. Thyatis kuciała w ciemności, wysuwając głowę tuż nad krawędź kadłuba. Prawie nie słyszała oddechów dwóch mężczyzn klęczących u jej boku czy szmeru wioseł przesuwających się w wodzie. Podobnie jak Nikos i dwaj Turcy

przy wiosłach ubrana była w luźne czarne szaty, a jej twarz i włosy poczernione były sadzą. Otaczającą ich ciemność rozpraszało jedynie nikle światło przysłoniętej lampy, które odbijało się w wodzie przed nimi.

Thyatis wytrzymała wzrok, próbując dojrzeć twarze ludzi, za którymi płynęli. Było jednak zbyt ciemno, a światło lampy za bardzo migało. Zagryzła nerwowo wargę. Pościg był długi i nużący, choć początkowo wydawało się, że będzie to łatwe zadanie: śledzić dwóch wschodnich arystokratów, którzy wymknęli się z Wielkiego Pałacu na jakieś spotkanie, prawdopodobnie z perskimi szpiegami, potem napaść i pojmać. Nie przypuszczała, że ich ofiary zapuszczają się w głąb na wpół porzuconych zbiorników wydrążonych pod wzgórzem, na którym stały pałace.

Chlupot wiosel ściąganej łodzi odbijał się echem od wysokiego sufitu. Od czasu do czasu po wodzie niósł się głos któregoś z mężczyzn, lecz Thyatis nie mogła zrozumieć, co mówi. Za łodzią dziewczyny płynęły jeszcze dwie, w których kryli się pozostali ludzie z jej grupy.

Dokoła z wody wyrastały wielkie kolumny, które przesuwały się nad nimi niczym gałęzie ogromnych kamiennych drzew. Powietrze było chłodne i rześkie, woda pochodziła bowiem z górskich strumieni za miastem. Pomimo awarskiego „oblężenia” miasta akwedukty doprowadzające wodę do wielkich zbiorników działały normalnie. Nikos delikatnie dotknął ręki Thyatis. Łódź płynąca z przodu dobiła do kamiennego mola wyrastającego ze ściany ogromnej komnaty. Lampa rozbłysła mocniej, kiedy niosący ją mężczyzna zdjął przysłonę, oświetlając schody prowadzące w górę, w ciemność. Głuche uderzenie łodzi o nabrzeże jeszcze długo niosło się po wodzie.

Thyatis podniosła rękę, a Turcy powoli odłożyli swe wiosła. Dwie pozostałe łodzie zatrzymały się powoli, ukryte częściowo za jednym z wielkich filarów. Rzymianka czekała cierpliwie, obserwując, jak dwaj mężczyźni wychodzą z łodzi na molo i wspinają się na schody; w łodzi zostawili jednego człowieka z drugą lampą. Po kilku minutach z dala dobiegi przytłumiony brzęk, a ze stopni zniknęły resztki światła rzucanego przez lampę, którą nieśli dwaj arystokraci. Thyatis odwróciła się i przekazała Nikosowi wiadomość na migi. Idź tam po cichu, mówią jej znaki, i zajmij łódź.

Nikos skinął głową, a potem zdjął płaszcz i koszulę. Pozbywszy się ubrania, wsunął się powoli do wody. Thyatis i dwaj Turcy balansowali delikatnie ciałem, by łódź się nie zakołysała i nie narobiła hałasu. Tymczasem Nikos wziął głęboki oddech i zniknął pod powierzchnią wody, która zamknęła się nad nim bezszelestnie.

Mężczyźni i kobieta w trzech łodziach czekali cierpliwie w bezruchu. Thyatis siedziała wsłuchana w ciszę, w oddechy towarzyszących jej Turków. Wreszcie poczuła delikatnie tchnienie, kiedy Joczi wciągnął powietrze i odsunął od siebie łuk, napinając cięciwę. W bladym świetle lampy widać było, jak woda rozstępuje się przy burcie łodzi, a nad jej

powierzchnią pojawia się muskularna sylwetka. Dłoń Nikosa pochwyciła gardło mężczyzny i zgmiotła je w żelaznym uścisku. Nóż trzymany w drugiej ręce przebił ubranie i ciało bez najmniejszego dźwięku, a ofiara zadrżała w przedśmiertnych konwulsjach, by potem opaść bezgłośnie na dno łodzi. Nikos pochylił się nad nim, wpatrzony w schody.

Żadnego dźwięku, żadnego wołania na alarm. Nikos wyszedł z wody na molo, podniósł szybko lampę i postawił ją u podnóża schodów, tak by świeciła w górę. Thyatis dała swym towarzyszom znak, by ruszyli. Joczi opuścił łuk i wziął do ręki wiosło. Wszystkie trzy łodzie ruszyły w stronę przystani.

Dwyrin wcisnął się w maleńką niszę z boku komnaty ze świecami. Starał się być niewidzialny, ledwie oddychał, skupiając myśli na kamieniu, skale i płytkach. Pośrodku komnaty siedział Chiron, wpatrzony w mały stolik i ułożone na nim przedmioty. Od czasu do czasu sięgał swą szarą ręką i przesuwał przedmioty, stukając nimi o blat stołu. Zachowywał się tak przez cały czas, a przynajmniej od chwili, gdy obudził się Dwyrin. Powietrze w komnacie wydawało się gęste i ciężkie. Truposz nie dokuczał chłopcu, ale nie przyniósł mu też żadnego jedzenia ani wody. Dwyrin czuł coraz silniejszy ból w żołądku, nie mógł jednak nic z tym zrobić. Starał się nie zwracać na siebie uwagi, a jednocześnie obserwował truposza kątem oka.

Nagle Chiron wstał i odwrócił się, zamiatając podłogę połamami długiego płaszcza. Podszedł do ciężkich drzwi prowadzących do długiego korytarza i znieruchomiał, jakby nasłuchując. Kiedy się odwrócił, jego twarz była ściągnięta i posępna. Potem nagle wykrzywiła się w imitacji uśmiechu.

- Zdaje się, że ktoś po ciebie przyjechał, chłopcze - powiedział chrapliwym głosem.

Dreszcz przerażenia wstrząsnął Dwyrinem, łzy napłynęły mu do oczu. Skulił się jeszcze mocniej i przywarł do ściany. Chiron, zupełnie na to nie zważając, otworzył kratę, chwycił chłopca za kołnierz i wyciągnął na zewnątrz. Potem postawił go na równe nogi i otrzepał z kurzu.

- Będzie mi ciebie brakowało, myszko - powiedział truposz głosem lekkim niczym trzepot kawałka skóry na wietrze. - Chodź, czas już, byś poznał swego nowego pana.

Dotarłszy na szczyt schodów prowadzących ze zbiornika, Nikos i Thyatis stanęli po przeciwnych stronach okutych żelazem drzwi zamykających dalszą drogę. Jeden z ich ludzi, Ulfgar, stał przed drzwiami, odziany w ubranie martwego strażnika z łodzi. Anagatios skończył właśnie nakładać farbę na jego twarz, teraz наносił jeszcze tylko drobne poprawki. Zakończywszy swe dzieło, Syryjczyk zamknął starannie małą drewnianą skrzynkę i oddalił się w dół schodów. Thyatis skinęła głową

na Ulfgara, a potem wyjęła krótki miecz z przewieszanej przez plecy pochwy. Trzymając miecz w lewej ręce, prawą naciągnęła na twarz kaptur z delikatnego półprzezroczystego jedwabiu. Nikos, stojący po drugiej stronie drzwi, poprawił metalową pętlę wystającą z niewielkiej miedzianej rurki. On także miał na głowie kaptur z czarnego jedwabiu.

Ulfgar przełknął, a potem zastukał mocno do drzwi. Nie doczekał się żadnej reakcji, zastukał więc ponownie, jeszcze głośniej. Po chwili rozległ się jakiś zgrzyt, a w drzwiach otworzyło się małe okienko. Z wnętrza wylała się smuga zielonego światła, Ulfgar podniósł jednak lampę, by oświetlić swą twarz.

- O co chodzi? - warknął jakiś gruby głos po wołosku. Thyatis widziała przez okienko fragment jakiegoś małego pomieszczenia, oświetlonego blaskiem kilku lamp. Od ścian odbijało się echo chrapliwych głosów - co najmniej dwóch lub trzech mężczyzn.

- Wpuście mnie - powiedział Ulfgar ze znużeniem. - Mam już dość siedzenia w tej zimnicy.

Mężczyzna w okienku uśmiechnął się drwiąco i potarł po czubku łysej głowy, mówiąc:

- No to masz pecha, bo powinieneś siedzieć w łodzi - rzekł.

Ulfgar podrapał się po skroni palcem ręki, w której trzymał lampę, drugą zaś podniósł dzban z winem.

- Wolałbym nie pić tego sam - powiedział, uśmiechając się szelmowsko. Brwi strażnika uniosły się lekko. Widać było, jak zbiera myśli, by w końcu podjąć decyzję.

- Daj dzbanek, a my już się tym zajmiemy - odparł.

Ulfgar parsknął i włożył dzbanek pod pachę.

- Może jestem zziębnięty, ale nie głupi. - Odwrócił się i ruszył powoli w dół schodów. Strażnik w okienku spojrzał na niego i westchnął.

- W porządku! - zawołał, śmiejąc się do odchodzącego Sasa. - Możecie wejść, ty i twój dzban. Znów metal zazgrzytał o metal, drzwi uchyliły się lekko, a strażnik wysunął na zewnątrz głowę i część tułowia.

Nikos był szybki jak wąż, druciana pętla trafiła na szyję strażnika i została zaciągnięta z okrutną siłą, nim Wołoch wydał z siebie najmniejszy dźwięk. Nikos trzymał miedzianą rurkę w jednej ręce, a drugą ciągnął za koniec drutu obwiązany wokół kawałka dębowego drewna. Thyatis przemknęła obok strażnika, któremu miazdżono tchawicę i wpadła do wnętrza wartowni, nim którykolwiek z trzech mężczyzn siedzących przy stole zdołał zrobić coś więcej, niż tylko podnieść rozbawiony wzrok na dziwnie zachowującego się towarzysza.

Najbliższy patrzył przez ramię na drzwi, ale zdążył tylko szeroko otworzyć oczy na widok atakującej Rzymianki. Jej miecz wbił się w rozchylone usta, przebił tylną część czaszki, a potem błyskawicznie się wycofał niczym okrwawiony wąż. Strażnik spadał jeszcze z krzesła, z przeciętym na pół kręgosłupem i zdruzgotanymi szczękami, kiedy Thyatis przebiegła obok męż-

czynny siedzącego po prawej stronie stołu i obróciła się w miejscu. Ostrze, pokryte krwią i odłamkami kości, obróciło się wraz z nią i przecięło gardło drugiego strażnika, przewracając go wraz z krzesłem na podłogę.

Trzeci mężczyzna zerwał się ze stolka i rzucił w stronę włóczni umocowanych na drewnianym wieszaku przy drzwiach wartowni. Thyatis, która siłą rozpędu wciąż obracała się w prawo, wyjęła nóż zza pasa, przebiegła się lekko i rzuciła go, czyniąc to wszystko jednym płynnym ruchem. Ciężki nóż wbił się aż po rękojeść w plecy mężczyzny, tuż pod jego prawą łopatką, a jego pierś przebiły w tym samym momencie dwie strzały nadlatujące od strony drzwi. Strażnik runął na drewniany wieszak z bronią, ściągając go na podłogę i wzniesając przy tym ogromny hałas.

Thyatis przeskoczyła przez ciało leżące u jej stóp i podbiegła do przeciwnych drzwi. Były zamknięte na zasuwę z jej strony, co zatrzymało ją na mgnienie oka, nim wskoczyła do wnętrza korytarza. Był ciemny i szeroki, wypełniony zapachem wilgoci. Thyatis rozejrzała się uważnie na wszystkie strony, nie zauważyła jednak niczego podejrzanego. Dwaj Turcy przemknęli obok niej i zajęli pozycje przy drzwiach, zwróceniem w przeciwną stronę. Thyatis cofnęła się do wartowni.

Anagatios i jeden z Greków wyciągali właśnie na zewnątrz ciała zabitych strażników. Nikos wyczyścił swą pętlę i wsunął miedzianą rurkę do torby, którą nosił na plecach.

W porządku? - spytał na migi.

Tak - odparła w ten sam sposób - *długi korytarz, pusty i ciemny. Musimy być w piwnicach jakiegoś budynku. Weź swoich ludzi i poszukaj dachu albo jakiegoś okna. Zaalarmuj żołnierzy, a potem wracaj do walki. Ja pójdę ze swoim zespołem do głównej części budynku i poszukam perskiego agenta.*

Nikos skinął głową, a potem przywołał do siebie Greków, Anagatiosa i Ulfgara. Po krótkiej, bezgłośniejszej dyskusji weszli do ciemnego korytarza i skręcili w lewo. Thyatis zabrała swoje rzeczy z wartowni i dołączyła do grupy składającej się z dwóch Turków, wygnańca z Yueh-Chu o imieniu Timur i wielkiego Gota zwanego Fredric.

Czujesz kuchnię? - spytała na migi Jocziego.

Turek uśmiechnął się szeroko, odsłaniając rząd złotych zębów pod czarnymi jak smoła, wąskimi wąsami. Wskazał na prawo, a potem na górę.

Chodźmy - pokazała Thyatis. Dwaj Turcy szli przodem, z łukami gotowymi do strzału. Za nimi skradała się Thyatis, potem Timur i Fredric.

Tym razem, kiedy Chiron zdjął śmierdzący worek z głowy Dwyrina, nie byli w gabinecie. Stali na drewnianym tarasie, z którego roztaczał się widok na ogród z białymi kwiatami i krzewami o długich wąskich liściach. Nad ich głowami wznosił się dach z cętkowanego szkła, oparty na żelaznych filarach połączonych grubymi metalowymi listwami. Przez

szkło przeświecał wielki żółty księżyc. W powietrzu unosił się mocny, oszałamiający zapach. Dwyrin uklęknął na grubym dywanie. W wiklinowych krzesłach siedziało trzech ludzi: Bygar, potężnie umięśniony mężczyzna z wąsami i mroczny potwór w ludzkiej skórze. Chiron stanął tuż za chłopcem, nieco z boku, trzymając dłoń na jego ramieniu.

Między Bygarem a wąsaczem leżały resztki posiłku. Dahak miał przed sobą tylko kielich z winem, częściowo już opróżniony. Zapach pieczonej jagnięciny, świeżego chleba i wina drażnił nozdrza chłopca. Znów budził się w nim głód, chwytając go żelazną ręką za żołądek. Z brzucha Dwyrina wydobyło się głośnie burczenie, co ogromnie rozbawiło wąsacza. Wielkolud odwrócił się do Bygara, mówiąc:

- Przyjacielu, nie oddawaj mi towaru w tak kiepskim stanie! Dajcie mu chociaż kawałek chleba, i tak jest już wystarczająco chudy.

Bygar uśmiechnął się i uklonił lekko w swym krześle.

- Obawiam się, że mój sługa zapomniał o swoich obowiązkach - powiedział Wołoch.

Chiron przyklęknął na jednej nodze i nisko pochylił głowę:

- Wybacz, panie, rzeczywiście zapomniałem. Czy mam wezwać służbę i kazać przynieść mu posiłek?

Bygar zerknął na Dahaka, który obserwował chłopca spod półprzymkniętych powiek. Wschodni czarownik spojrzął na Bygara i wzruszył ramionami. Dla niego nie miało to żadnego znaczenia. Wołoch skinął na Chirona, mówiąc:

- Tak, chłopiec powinien coś zjeść, zanim opuści mój dom.

Dwyrin zadrzał, słysząc te słowa, i osunął się niżej. Ogarnął go strach na myśl o tym, że opuści tę namiastkę schronienia, jaką była komnata Chirona, by być z tym... stworzeniem. Dahak przyglądał długie włosy i wstał, by podejść do chłopca. Chiron odsunął się od niego, a potem poszedł w głąb ogrodu, by odszukać jakiegoś służącego. Czarownik przesunął ręką tuż nad głową chłopca, a bliskość jego dotyku była niczym podmuch straszliwego mrozu. Dwyrin zadrzał i opadł na dywan, zwiijając się w ciasną kulę.

Dahak roześmiał się, a stokrotki złożyły pąki i opuściły je nisko na dźwięk jego głosu.

- Wybacz, Bygarze. Nie chciałem zniszczyć twoich kwiatów.

Czarownik uklonił się nisko gospodarzowi. W tej samej chwili przez szklany sufit przeniknął jasny, niemal oślepiający blask. Niebo zapłonęło na moment bielą i żółcią, a przez deski tarasu przemknęły ruchliwe cienie. Bygar spojrzął w górę zdumiony, lecz wąsacz wstał szybko i wyciągnął zza krzesła swój płaszcz, kapelusz i długi miecz schowany w starej skórzanej pochwie.

- Cesarska rakietka sygnalizacyjna - wychrypiał wąsacz, nakładając kapelusz na głowę. - Czas na nas, moi panowie.

Dahak odwrócił się powoli na pięcie, marszcząc brwi w skupieniu. Dwyrin leżał zapomniany u jego stóp.

- Na zewnątrz nic nie ma... - zaczął, a potem cofnął się o krok, kiedy strzała o czarnych lotkach wbiła się ze świstem w jego pierś. Przez moment czarownik patrzył na nią z wyrazem najwyższego zdumienia na twarzy, potem sięgnął do drzewca. W tej samej chwili uderzyły weń kolejne dwie strzały, a Dahak z jękiem zwałił się na deski tarasu.

Dwyrin odtoczył się od upadającego czarownika i spadł z tarasu prosto w ciemny krzew, krzycząc z bólu, gdy długie kolce rozorały jego skórę. Słyszał tupot nóg, gdy z ciemności wypadła grupa napastników. Bygar krzyknął na alarm, a potem przeskoczył nad swoim krzesłem i zniknął w ciemności ogrodu. Wąsacz okręcił sobie płaszcz wokół lewej ręki, prawą zaś podniósł długi na trzy stopy miecz, który jakby zmateriałizował się nagle w powietrzu. On także krzyknął, a potem skoczył między atakujących ludzi.

Ku wielkiemu zaskoczeniu wąsacza jego zwodnicze uderzenie sparowane zostało błyskawicznym blokiem stalowego ostrza, którym posługiwał się przywódca napastników. Wąsacz odskoczył do tyłu, kiedy napastnik, od stóp do głów odziany w czerń, momentalnie przeszedł do ataku, omal nie raniąc go w lewy łokieć. Przez moment między dwójką walczących widać było tylko wir ostrzy, stał raz za razem uderzała o stal. Dwaj pozostali napastnicy rozdzielili się, największy pozostał na tarasie, podczas gdy drugi pobiegł w głąb ogrodu.

Dwyrin przetoczył się na ziemię i pochwycił metalowy łańcuszek oplatający jego szyję. Metal stał się nagle zimny i zaczął zaciskać się wokół jego gardła, tym razem jednak Dwyrin wiedział, co się stanie, i starał się ze wszystkich sił otworzyć umysł na nadwidzenie. Nagle rozległ się ogromny huk, a napastnik, który biegł po tarasie, odrzucony został do tyłu oslepiająco białą błyskawicą. Mężczyzna przeleciał przez cały ogród i uderzył w drewnianą ścianę, wyłamując grube belki, a jego ciało zmieniło się w krwawą miazgę zgniecionej mięsa i kości. Pozostałość błyskawicy wciąż wisiała w powietrzu, tworząc wielki, iskrzący łuk przecinający całą powierzchnię tarasu.

Dahak stanął chwiejnie na równych nogach, otoczony aureolą białoniebieskich iskier wyskakujących z jego ciała i resztek ubrania. Drewniane groty strzał spłonęły w krótkim, intensywnym rozbłysku. Grzmot przetoczył się po tarasie i odbił echem od ścian budynku. Szklany sufit zadrżał pod naporem fali uderzeniowej, a potem runął w dół rozbity na tysiące drobnych kawałków.

Dwyrin także został odrzucony do tyłu, lecz pęd mocy w ogrodzie zerwał także łańcuch na jego szyi. Dwyrin odrzucił go daleko od siebie i ujrzał wreszcie prawdziwy obraz świata, ogromną erupcję uwolnionej energii wypełniającej przestrzeń pod żelaznym szkieletem dachu. Dahak stał pośrodku wiru błyskawic i ognia. Linie mocy przecinające miasto zaczęły oddawać swą energię wschodniemu czarownikowi, z którego wypłynęła nagle ściana oslepiającego światła i ognia.

Świat przed oczami Thyatis zamienił się nagle w jedną białą plamę, potężny dźwięk uderzył w nią niczym fala, odrzucając ją aż do ozdobnego stawu w ogrodzie. Wąsaty cudzoziemiec, z którym walczyła, także odleciał do tyłu i wpadł do płytkiej wody obok niej. Jakaś odległa część umysłu Thyatis krzyczała przeraźliwie: czarownik! Wciąż ogłuszona patrzyła w zdumieniu na żelazny szkielec dachu nad ogrodem, kiedy tysiące szklanych fragmentów z rozbitego szkła odleciały na powrót w niebo niczym maleńkie komety. Drewniane ściany ogrodu zaczęły się palić.

Dwyrin podniósł się z ziemi, otoczony lśniąca tarczą Ateny. Moce uwolnione w ogrodzie wpływały także w niego, nie miał bowiem umiejętności, które pozwoliłyby mu je zatrzymać. Jego umysł instynktownie pochwycił płomienie i czerwoną strugę ognia, która piętrzyła się w ziemi pod jego stopami. Ogień zapłonął w jego dłoniach, a Dwyrin odwrócił się, by go rzucić. Płomienie niczym żywa istota wyskoczyły z jego rąk i uderzyły w roziskrzoną kulę błyskawic, którą otoczyło się stworzenie ukryte w ludzkim ciele.

Dahak zachwiał się, kiedy smuga rozpalonego do białości ognia rozdarła otaczającą go ścianę błyskawic. Odwrócił się i ujrzał przez płomienie i dym, że moc przywołująca ogień w ciele chłopca rośnie w oszałamiającym tempie. Zdesperowany czarownik ściągnął resztki energii z chmur burzowych wiszących nad miastem i utkał z nich mocniejszą tarczę. Płonął już cały budynek, a ogród wypełniał się gryzącym dymem. Z daleka dobiegały krzyki i odgłosy walki. Dahak zaklął i rozejrzał się dokoła, szukając swego towarzysza. Odyniec czołgał się po ziemi, próbując uciec przed ogniem, oblepiony mokrym ubraniem.

Trzy strzały spłonęły nagle w jasnym błysku tuż przed Dahakiem, spopielone przez płomienie napierające na otaczającą go kulę błyskawic. Dokoła przybywało coraz więcej napastników. Dość, rzekł w duchu Dahak, musimy uciekać. Przywołał wiatr i nagle wzbił się w powietrze.

Thyatis, która wyczołgała się ze stawu tuż przedtem, nim nadpłynęła nad nią chmura ognia, ruszyła biegiem w stronę drzwi do kuchni. Jochi i drugi Turek już tam byli, strzelali raz po raz w szalejący za nią ogień i błyskawice.

- Przestańcie - warknęła, wbiegając do środka. - Żadna strzała się przez to nie przebiję.

Sufit nad ich głowami zatrzeszczał złowieszczo, a Thyatis uświadomiła sobie nagle, że cały budynek stoi w ogniu.

- Wychodź! Wychodź! - krzyknęła na dwóch Turków. - Zabierzcie stąd wszystkich.

Nim jednak zdążyli wypaść na zewnątrz, szkielec dachu nad ogrodem jęknął ostrzegawczo, a potem runął z hukiem na ziemię, wzniesając kolejne obłoki ognia. Kurz i dym wtargnęły do wnętrza kuchni, a Thyatis i reszta jej ludzi uciekli do korytarza.

Dahak leciał przez burzowe chmury, otoczony grzmotami i widmowym światłem błyskawic. Moc płonęła w nim, lecz jego ciało obumierało, zniszczone przenikającymi je siłami. Odyniec, zamknięty ciasno w jego ramionach, krzyczał przeraźliwie, kiedy moce przepływające przez Dahaka wstrząsały także jego ciałem. W dole dom Bygara zawałił się, tworząc wielką piramidę ognia. Dym i sadze wzbity się setki stóp w górę, liżąc brzuchy chmur. Ulice wokół starego ceglanego budynku wypełnione były tłumem cesarskich gwardzistów, strażaków i ludzi z sąsiedztwa. Zaczął padać deszcz, lecz strażacy pracowali z całych sił, próbując ocalić magazyny po obu stronach starej rezydencji.

Dahak nie zwracał na to uwagi, koncentrując się wyłącznie na bezpiecznym powrocie na drugą stronę Propontydy. Sunęli nisko nad grzbietami fal. Czarownik ledwie widział przeciwległy brzeg. Gdy uszła zeń ostatnia iskra energii, lecieli jeszcze przez moment w nocnym powietrzu, aż wreszcie ciemne wody zatoki pochwyciły stopę Dahaka. Lodowato zimna woda uderzyła w nich z całą mocą, a potem wciągnęła w siebie. Czarownik jeszcze przez chwilę próbował walczyć, potem jednak stracił przytomność i osunął się w głębinę, wciągany tam przez bezwładne ciało Odyńca.

Dwyrin siedział na wąskiej kamiennej ławie w korytarzu. Zdenerwowany, nie wiedział, co zrobić z rękami, zaczął więc zdrapywać strupy z twarzy i przedramion. Krzak róży niezłe go poturbował, kiedy spadł z tarasu w ogrodzie Bygara. Ilir Nikos, który siedział po jego lewej stronie, szturchnął go i przykazał gestem, by się uspokoił. Timur, Turek lub Sarmata, który siedział po jego prawej stronie, spał albo udawał, że śpi. W korytarzu było gorąco, a przechodzący tędy urzędnicy, żołnierze i gońcy raz po raz tręcili kogoś z trójki. Dwyrin dotknął bandaża na prawym uchu. Swędziało go.

Ostatnią rzeczą, jaką Dwyrin widział w domu Bygara, był biały ogień jego zaklęcia uderzający w błękitnobiałą kulę błyskawic. Głos wschodniego czarownika był potężny, niczym grzmot wypełniający niebo, potem jednak pozostał już tylko ogień i dym. Czyjeś silne, umięśnione ramiona podniosły go z ziemi i wyciągnęły z płonącego budynku. Dwyrin stracił przytomność, otumaniony dymem wypełniającym gardło i płuca. Obudził się w zatłoczonych koszarach, na cienkim materacu ze słomy ułożonym za wielką stertą beczek. Nad sobą widział kamienne żebra podtrzymujące poplamiony sadzą ceglany sufit. Potem pochyliła się nad nim groźna, żółta twarz o skośnych oczach i długich, tłustych wusach. Dwyrin przez chwilę patrzył na nią w zdumieniu, oczekując najgorszego, lecz mężczyzna uśmiechnął się doń, a potem dał mu chleb, ser i słabe wino.

Dwyrin domyślił się już, że Timur jest żołnierzem, choć nie legionistą, uznał więc, że to najemnik, którego do służby dla Rzymu przycią-

gnał blask złota. On i jego koledzy byli luźno zorganizowaną bandą, która mieszkała w piwnicach jednego z pomniejszych pałaców. Wyglądało na to, że ich szefem jest Ilir Nikos, który zbadał poobijanego Dwyrina, gdy ten mógł już usiąść.

- Mówisz, że miałeś jakieś dokumenty, chłopcze?

Dwyrin skinął głową. Pamiętał, jak mistrz szkoły wciskał mu je w rękę. Gdzie były teraz? Któż to mógł wiedzieć. Pamiętał jednak, co było jego celem.

- To były rozkazy, które miałem przekazać prefekturze w Aleksandrii. Miałem zostać wcielony do legionu taumaturgów i służyć cesarzowi w wielkiej wojnie.

Nikos pokręcił głową z niesmakiem na myśl, że tak młody chłopiec zostaje wciągnięty w cesarską maszynę wojenną. Miał pecha, że wpadł w ręce handlarzy niewolników, ale legion? Timur, oparty o wiklinową skrzynkę, zachichotał, ujrzawszy minę Nikosa.

- Jesteś pewien, chłopcze? Dwudziestoletnia służba w legionie to nie przelewki. Będziesz siwy, kiedy znów odzyskasz wolność. - Nikos wskazał palcem na mężczyzn grających w kości przy wejściu do zakątka zajętego przez pozostałych członków jego oddziału. - Spójrz na nich. Z twoimi umiejętnościami mógłbyś sobie spokojnie żyć w mieście, zostać bogaty. Mieć służbę.

Dwyrin pokręcił głową. Dał staremu Nefetowi słowo, że wykona powierzone mu zadanie. Zależał od tego jego honor. Nikos i Timur spierali się z nim jeszcze przez długi czas, lecz bez skutku. Nazajutrz poszli więc z chłopcem do biura kwatermistrza w „nowym” pałacu.

W końcu w głębi korytarza otworzyły się jakieś drzwi i wyjrzał zza nich szczupły urzędnik z wieńcem siwych włosów na głowie.

- Dwyrin MacDonald, rekrut? - Głos mężczyzny pozbawiony był emocji, dotarł jednak do miejsca, w którym siedziała cała trójka.

Dwyrin, wyrwany z drzemki, zerwał się gwałtownie ze swego miejsca. Nikos wstał wraz z nim i zmierzwił mu włosy. Serdeczny uśmiech rozjaśnił na moment kwadratową twarz przysadzistego Ilira.

- Bądź ostrożny, chłopcze. Nie bierz żadnych dodatkowych obowiązków i nigdy, przenigdy nie zgłaszaj się na ochotnika. Pamiętaj o tym!

Timur także wstał, lekko przechylony, tak by odciążyć ranną nogę. Patrzył na chłopca przez dłuższą chwilę, starannie skrywając swe myśli za nieruchomą jak maska twarzą. Wreszcie i on uśmiechnął się lekko i wcisnął w dłoń chłopca nóż w znoszonej skórzanej pochwie. Ostrze noża było tu i ówdzie nieco wyszczerbione, a rękojeść owinięta w skórę tak brudną od potu i starości, że wydawała się czarna jak obsydian. Dwyrin odpowiedział uśmiechem i uklonił się, zabierając ze sobą pożegnalny prezent. Odwrócił się i wszedł do pokoju, w którym rekruci składali przysięgę.

Na zewnątrz Nikos wpatrywał się ponuro w zamknięte drzwi. Timur stał oparty o ścianę obok niego.

- Powinniśmy go przekonać, żeby został z nami - rzekł Nikos, z trudem kryjąc rozczarowanie. Timur uśmiechnął się drwiąco.

- Jest dla ciebie za młody - powiedział.

Nikos zignorował tę uwagę.

- Centurion obedrze mnie ze skóry, kiedy dowie się, że pozwoliłem odejść czarownikowi - mówił dalej. Timur wrzucił ramionami; chłopiec odszedł, sprawa była zamknięta. Nikos ruszył w głąb korytarza, ignorując urzędników i petentów, którzy wchodzili mu w drogę. Timur szedł tuż za nim, choć znów rozboleła go noga.

W pokoju znajdowało się jedynie biurko i stołek. Na stołku siedział szczupły mężczyzna o pociągłej twarzy i ciemnobrązowych włosach. Nosił tunikę, krótki płaszcz i nogawice starszego centuriona. Na prawej piersi miał złotą kłamrę w kształcie orła, która przytrzymywała poły jego płaszcza. Przed nim spoczywał rozwinięty pergamin z listą rekrutów. Urzędnik, który wprowadził Dwyrina do środka, wycofał się pod ścianę. Centurion zmierzył Hibernijczyka zimnym wzrokiem i wyduł usta w grymasie dezaprobaty.

- Nazwisko? - spytał.

- MacDonald, panie.

Centurion przeglądał przez chwilę listę, wreszcie pokręcił lekko głową.

- Nie ma tu twojego nazwiska, MacDonald - powiedział.

Dwyrin skinął głową, mówiąc:

- Miałem zgłosić się do prefekta w Aleksandrii, panie, ale zachorowałem i sprzedano mnie handlarzom niewolników. Wtedy właśnie zginęły wszystkie moje papiery, łącznie z przydziałem.

Centurion wciąż patrzył nań niezbyt przychylnym wzrokiem.

- Wiesz, do której jednostki albo legionu zostałeś przydzielony, MacDonaldzie?

- Tak, panie. Trzecia Ars Magica.

Powieki centuriona lekko drgnęły, nie dał jednak poznać po sobie, że jest zaskoczony. Odłożył główną listę na bok i sięgnął po inną, mniejszą. Przez chwilę wodził po niej palcem, wreszcie podniósł wzrok na Dwyrina.

- Jesteś tu. Masz zgłosić się do jednostki, która wypłynęła z Aleksandrii. Składałeś już przysięgę?

- Nie, panie.

Centurion westchnął i skinął na służącego stojącego pod ścianą. Siwowłosa mężczyzna wyszedł do innego pokoju i powrócił po chwili, niosąc w ręce długi drewniany kij zakończony brązowym orłem z rozłożonymi skrzydłami. Pod orłem znajdowały się dwie płytki z jakimiś literami. Służący uklęknął, wciąż trzymając godło legionu przed sobą. Potem przez te same drzwi do pokoju wszedł inny służący, z dymiącym miedzianym koszem i jakimś przyrządem z drewnianym uchwytem.

Centurion zajął do wnętrza kosza i uznawszy, że jest już gotowy, odwrócił się do Dwyrina i kazał mu uklęknąć.

- Ściągnij koszulę - powiedział beznamiętnym tonem. Dwyrin wykonał polecenie. Centurion stanął nad nim. Chłopiec wpatrywał się w podłogę, ciekaw, jak też będzie wyglądać przysięga.

- Ty jesteś Dwyrin MacDonald, z domu MacDonald. Syn Aerena.

- Ja jestem - odparł chłopiec.

- Czy przysięgasz służyć w czas wojny ludowi, senatowi i cesarzowi Rzymu?

- Przysięgam - odparł Dwyrin.

- Czy przysięgasz bronić państwa nawet za cenę życia, jeśli taka będzie wola bogów?

- Przysięgam - rzekł Dwyrin. Ogarnęło go dziwne uczucie, dreszcz podniecenia przebiegł mu po skórze. Przez moment miał ochotę przyjąć wejście Hermesa i przekonać się, czy ta sama dziwna moc wtargnęła do pokoju, ale tego nie zrobił. Centurion wciąż wygłaszał słowa przysięgi, z coraz większą emfazą i coraz głośniej.

- Przysięgam - zakończył Dwyrin. Centurion wyjął z dymiącego kosza przedmiot zakończony drewnianym uchwytem. Nim Dwyrin mógł się odsunąć, dwaj służący pochwycili go za ręce i wykręcili je do tyłu. Centurion przycisnął rozpalony do białości znak do bladej skóry chłopca.

Timur, który stanął właśnie na szczycie schodów przy wyjściu z biur kwaterymistrza, usłyszał odległy krzyk bólu. Przygładził wąsy i wsunął dłoń pod koszulę, przesuwając lekko palcami po bliznach znaczących jego piersi i brzuch. Uśmiechnął się do siebie i ruszył powoli w dół schodów. Były wąskie i wyszlizgane przez setki stóp.

DZIELNICA SUBURA, RZYM

togowie, co za smród! - Truposz skrzywił się z odrazą. Wraz z Abdmachusem jechał wąską uliczką za Forum. Alejka zapchana była śmiecia-

mi, połamanymi meblami i gnijącymi trupami zwierząt. Pers prowadził, truposz jechał za nim z ciałem nieprzytomnego księcia przerzuconym przez siodło. Prócz ubrań, które Abdmachus dał mu w grobowcu, truposz miał na sobie szary płaszcz z kapturem, skrywający teraz jego niezwykle bladą twarz. Pers skierował konia na prawo, wjeżdżając w małe podwórko za czerwonym gmachem czteropiętrowego domu czynszowego, insuli. Truposz rozglądał się uważnie dokoła, podczas gdy Pers zeskoczył z konia, wszedł na wyszczerbione schody i zapukał do drzwi na tyłach kamienicy.

Tymczasem z góry doleciał ich głuchy pomruk, głęboki i potężny, który niczym fala odbił się echem od ceglanych ścian. Truposz obrócił

się w siodle, szukając źródła tego dźwięku. Na południu zobaczył wielką marmurową ścianę wznoszącą się ponad dachami budynków. Na jej szczycie powiewał las chorągwi i proporców. Wokół budowli snuł się szary dym, który zbierał się w łukowatych otworach wieńczących jej szczyt. Truposz podrapał się po nosie, a potem podniósł rękę i przyglądał się jej w porannym świetle. Wydawała mu się dziwnie blada i wypłowiata, niczym brzuch ryby.

Mężczyzna w przybrudzonym żółtym fartuchu otworzył wreszcie drzwi i skinął na Persa. Abdmachus zszedł do swego konia.

- Co to jest? - spytał truposz, wskazując ogromny budynek górujący nad dachami kamienic.

Abdmachus odwrócił głowę, zajęty rozplątywaniem pasków, które przytrzymywały księcia na siodle. Zmrużył oczy, patrząc pod słońce.

- A, to Koloseum - odparł. - Pewnie są dziś igrzyska.

Wjechali do miasta przez Porta Ostiensis, przy rzece, o świcie. Wielki tłum kupców i wozaków zablokował już arterię prowadzącą do miasta z południowego zachodu. Pers pokazał dokumenty zapracowanym strażnikom przy bramie, a ci przepuścili całą trójkę bez najmniejszego problemu. Truposz nie mógł się najpierw nadziwić chorowitej cerze mijanych ludzi, potem ogromowi miasta, a jeszcze później niszczącym budynkom i pomnikom. Zmierzając w kierunku Subury, przechodzili przez starożytne bramy i drogi triumfalne, minęli także ogromny kompleks pałacowy Palatynu. Kiedy przepychali się przez tłum na ulicach, Pers słyszał, jak truposz mamrocze coś do siebie.

Księżę był właścicielem insuli na południowym krańcu Subury, do niej właśnie Pers i truposz wnosili jego bezwładne ciało, najpierw po schodach, potem przez śmierdzący korytarz do niemal pustego pokoju. Prócz kilku drobiazgów stało tam jedynie łóżko z sosnowych desek i skórzanych pasów. Położyli go na łóżku, a potem Pers wyszedł, by znaleźć wodę i przygotować napar dla Maksjana. Truposz przeszedł przez zakurzony pokój i otworzył okiennice. Do wnętrza wpadła smuga jasnego światła, w której iskrzyły niezliczone drobiny kurzu.

- Nie ma siły w tych rękach - mruknął do siebie truposz. Zacisnął pięść i skrzywił się, słysząc skrzypienie mięśni.

Za oknami widać było świątynie i kolumny Forum wznoszące się nad dachami budynków po drugiej stronie ulicy. W dole widać było ludzi robiących poranne zakupy. W sklepikach na parterze można było znaleźć wielką obfitość towarów: owoce, płaty mięsa, kosze z ziarnem, starannie zawinięte pióra. Hałas płynący z ulicy odbijał się echem od sufitu. Truposz przymknął trochę okiennice. Do pokoju wrócił Abdmachus, niosąc parujący garnek, z którego rozchodził się zapach mięty i szaławii.

- Co to za ogromny słup? - spytał truposz, wskazując za okno.

Abdmachus podniósł wzrok, potem odrzekł:

- Kolumna Trajana. Ta długa płaskorzeźba przedstawia jego zwycięstwo nad Dakami.

Truposz parsknął i potarł policzek, ściągając z niego warstwę brudu, potem uśmiechnął się do siebie.

- Dakowie... zawsze były z nimi problemy. Jak długo leżałem w ziemi, Persie?

Abdmachus przystawił brzeg garnka do ust Maksjana i przechylił go lekko. Młody mężczyzna poruszył się, a Pers zdołał weń wlać jeszcze odrobinę naparu. Książę jęknął, a jego powieki zadrżały.

- Ponad sześć wieków - odparł Pers w roztargnieniu, skupiony na pulsie i kolorze skóry księcia.

- Sześć wieków i republika wygląda jak chlew? - Truposz stanął po drugiej stronie łóżka i spojrzął na leżącego między nimi młodzieńca. - Sześć wieków i miasto zamienia się w ruinę pełną trędowatych i ofiar zarazy? Nie ma tu żadnego porządku? Widzę, że zdolności administracyjne senatu nie poprawiły się ani trochę...

Abdmachus spojrzął nań spod przymrużonych powiek, nic jednak nie powiedział. Książę znów się poruszył i spróbował otworzyć oczy.

- Jesteśmy w mieście? - spytał słabo.

Pers podsunął w górę obie powieki księcia i obejrzał jego oczy, wydymając usta z zaskokiem.

- Leż spokojnie, chłopcze, jesteś jeszcze bardzo osłabiony. Działanie zaklęcia było znacznie silniejsze, niż przypuszczałem.

Maksjan uśmiechnął się słabo.

- Czuję się tak, jakby ktoś zdjął ze mnie skórę, wyszorował ją i nałożył z powrotem, wilgotną. - Powoli, z wielkim wysiłkiem obrócił głowę, by spojrzeć na truposza. - Witaj znowu w krainie żywych.

Truposz skrzywił się i spojrzął przez ramię na widoczne za oknem miasto.

- Nie ma tu zbyt wiele do oglądania. Ilu ludzi zmarło podczas zarazy?

Pers i książę wymienili zdumione spojrzenia. Abdmachus odchrząknął niepewnie.

- Już po raz drugi wspominasz o jakiejś zarazie, panie. Nie wiemy, o czym mówisz.

Tym razem to truposz patrzył na nich z niedowierzaniem.

- Mówię o nich. - Wskazał za okno. - O ludziach na ulicy. Wyglądają jak duchy... Tylko raz widziałem coś takiego w wolnym, nieoblężonym mieście, a było to podczas wybuchu zarazy w Tapsus, kiedy byłem jeszcze młodym człowiekiem.

Maksjan zakasał, potem odrzekł lekko zachrypniętym głosem:

- To nie zaraza, przyjacielu, tak po prostu wyglądają teraz obywatele Rzymu. Ci ludzie są tak zdrowi, jak tylko mogą być.

Truposz jeszcze raz pokręcił głową z niedowierzaniem, a potem podszedł szybko do okna.

- Wyglądają jak chodząca śmierć - powiedział po chwili. - Na każdej twarzy widać ból i zmęczenie. Ci obywatele są... jacyś skurczeni, krusi.

Abdmachus spojrział porozumiewawczo na księcia, potem oświadczył:

- Właśnie dlatego sprowadziliśmy cię z powrotem, panie. Nad miastem wisi... klątwa. Potrzebujemy twojej pomocy, żeby jej się pozbyć. Musisz jednak wiedzieć, że jest ona bardzo silna. Przypuszczamy, że przynajmniej w części jest to dzieło twego siostrzeńca.

- Kogo? - zdziwił się truposz. - Ja nie mam... nie miałem żadnych siostrzeńców. Wszystkie moje dzieci nie żyją.

Maksjan próbował wstać, ale udało mu się tylko oprzeć o ścianę.

- „Historie” mówią, że został przez ciebie adoptowany, uczyniony twym dziedzicem. Używał części twojego imienia, by stać się dyktatorem miasta. Musisz go pamiętać: Gajusz Oktawian, syn córki twojej siostry.

Truposz był niemal zszokowany tym, co usłyszał. Potarł tył głowy, potem odwrócił się i ponownie podszedł do okna. Tam zatrzymał się raptownie i obrócił z powrotem, kładąc dłonie na biodrach.

- Oktawian? Ten mały zastraszony pochlebca mienił się moim dziedzicem? Ten bezbarwny, nudny wazeliniarz? Ciągłe za mną łaził i węszył jak pies. Nie zostawiłem żadnego testamentu, w którym mianowałbym go dziedzicem...

Abdmachus roześmiał się, widząc ogromne oburzenie truposza. Maksjan zachował powagę. Truposz przeklinał jeszcze przez dłuższy czas, aż wreszcie wyczerpał repertuar inwektyw.

- Nie wiemy, czy był to naprawdę twój testament, czy też nie, ale dokument podpisany twym imieniem został przedstawiony senatowi - kontynuował książę słabym głosem. - Po wojnie domowej Gajusz Oktawian został cesarzem. Pierwszym z wielu. Pod jego rządami republika praktycznie odeszła w przeszłość, światem rządziło cesarstwo. To właśnie w jego czasach zaczęło działać przekleństwo, którego efekty widzisz teraz na twarzach obywateli. Obaj z Abdmachusem uważamy, że tak naprawdę miało za zadanie chronić państwo i utrzymywać je w niezmiennym stanie, i przez długi czas tak było. Świat się jednak zmienia, a państwo nie może ze względu na to przekleństwo. Cierpią przez to ludzie. Państwo wciąż trwa, jest jednak coraz słabsze, coraz bardziej schorowane. Trzeba dokonać wielkich zmian, by zaradzić tej chorobie.

Truposz prawie nie słyszał tego, co mówił doń Maksjan.

- A co stało się z Markiem Antoniuszem? To on powinien zająć moje miejsce - ludzie go kochali! Senat nie oparłby się takiemu cesarzowi... czy wojny długo jeszcze trwały? Czy Rzym wciąż krwawił?

Maksjan westchnął, uświadomiwszy sobie, że trzeba będzie wiele czasu, by zapoznać truposza z obecnym stanem miasta i cesarstwa...

Gdyby tylko głowa nie bolała go tak, jakby ściskano ją w wielkim imadle. Truposz zaczął się przechadzać po pokoju. Jego nerwowe ruchy przyprawiły księcia o jeszcze większy ból głowy.

DROGA W POBLIŻU WADI MUSA, ARABIA FELIX

Wysoki Egipcjanin szedł dnem wyschniętego strumienia, kiedy nagle zaatakował go bandyta ukryty w głębokim fioletowym cieniu skał.

Po obu stronach wyschniętego koryta wznosiły się strome zbocza usłane wielkimi jak domy głazami piaskowca. Słońce, okrywając niebo szerokimi pasmami złota i szafiru, zniżało się już nad horyzontem za plecami wędrowca, kiedy wspinał się w górę długiego wzniesienia. W dzikich górach Ad-Deir noc zapadała szybko, zastępując palący żar dnia przejmującym chłodem. Piasek i żwir, czerwone jak przedwieczorne niebo, chrzęściły głośnie pod jego stopami. Ahmet miał już za sobą długą drogę z górnego Nilu do Aleksandrii, potem do nabatejskiego portu Aelana. W porcie roilo się od kupców przewożących towary przez Sinus Arabicus, to wąskie morze, które łączyło Egipt ze wschodem. Kilka monet, które pozostały w sakiewce Ahmeta po podróży z Aleksandrii, nie wystarczyło jednak na zakup wielbłąda. Poszedł więc na piechotę.

Wiedział, że zaledwie kilka mil dzieli go od „ukrytego” miasta Petra, wciśniętego między te nagie wzgórza, w ciasnej i niedostępnej dolinie. Wciąż jednak musiał iść. Był już bardzo zmęczony i dopiero w ostatniej chwili, gdy było już niemal za późno, usłyszał kroki atakującego mężczyzny.

Bandyta ubrany był cały na czarno, tylko jego oczy błyszczwały jaśniej między zwojami ciemnego materiału. Zamachnął się długim drzewcem zwieńczonym długim na dwadzieścia palców ostrzem. Ahmet odskoczył instynktownie do tyłu, a żelazo uderzyło z brzękiem o skały. Bandyta natychmiast zamierzył się do kolejnego ciosu. Tym razem Ahmet zrobił unik w lewo, chwytając gwałtownie powietrze. Wypełniona strachem krew uderzyła mu do głowy; wąski kanion i niebo zniknęły z jego pola widzenia. Teraz widział przed sobą tylko spiczaste ostrze włóczni. Zbir zaatakował ponownie, a Ahmet odskoczył w prawo. Uderzenie wymierzone było jednak niżej niż poprzednio i ostrze rozcięło łydkę Egipcjanina. Ból rozbłysnął w jego umyśle oślepiającym płomieniem, przywracając mu jasność myśli i szybkość reakcji. Błyskawicznie doskoczył do napastnika i uderzył go pięścią.

Cios trafił bandytę w skroń, wytrącając go z równowagi. Ahmet wymierzył mu potężnego kopniaka w brzuch, a potem wyrwał włócznię z rąk. Zbójca runął na ziemię, zachłystując się z bólu, a kapłan bez na-

mysłu podniósł włócznię i uderzył z całych sił, dając upust wściekłości zrodzonej przez strach. Ostrze wbiło się w pierś napastnika niczym nóż w twardy chleb, a potem zazgrzytało o kamienie. Mężczyzna przez moment charczał przeraźliwie i wił się, ale włócznia przyszpiliła go do piaszczystego dna rzeki. Ahmet wyrwał ostrze z ciała i fontanna krwi zbrzgała ziemię dokoła.

Kapłan cofnął się o krok, trzymając włócznię gotową do ciosu, i rozejrzał się. Powietrze, wypełnione teraz półmrokiem zmierzchu, wydawało się nadnaturalnie przejrzyste. Ahmet wziął kilka głębokich oddechów i uspokoił serce. Rozszalały puls powoli zwolnił, wracając do normalnego tempa. On może mieć przyjaciół, pomyślał. Skierował uwagę do swego wnętrza i pozwolił, by jego świadomość rozszerzyła się, ogarniając wielkie kamienie, ściany kanionu, karłowate krzewy i drzewka. W pobliżu nie było nikogo. Z dala dobiegło go tylko złowrogie pohukiwanie sowy wyruszającej na polowanie.

Ahmet pokręcił głową i pochylił się nad martwym zbirem. Odmówił modlitwę, która miała zaprowadzić jego duszę do Wielkiej Rzeki i Sędziów. Potem wziął nóż i sakiewkę, którą bandyta nosił przy pasie, i przymocował je do własnych rzeczy. Następnie szczelnie owinał ciało w ubrania i zaniósł je w głęboki cień. Znalazł szczelinę w skale i wsunął tam zwłoki, potem nabierał kamieni i ułożył je przy wejściu do tego prowizorycznego grobowca. W półmroku rozbłyśło na moment łagodne światło, kiedy kapłan umieścił przy zwłokach zakłęcie odstraszające zwierzęta i strzegące spokoju zmarłego.

Po tym prowizorycznym pochówku ruszył ponownie w górę kanionu. Wąski pas nieba widoczny pomiędzy ścianami mienił się tysiącami jasnych jak klejnoty gwiazd.

Już po zapadnięciu zmroku Ahmet pokonał ostatni zakręt i wszedł do doliny, w której znajdowało się miasto Petra. Dolina rozciągała się przed nim niczym ogromna misa wypełniona światłami lamp i pochodni. Terasowate zbocza doliny oblepiały setki domów, nad którymi wznosiły się postrzępione grzbiety skał: kamienna palisada zamykająca miasto w kamiennej pięści. Na niebie nie było księżycy, a blask bijący z okien domów tworzył w mgiełce zalegającej nad miastem delikatną poświatę. Ahmet stał przy wejściu do kanionu, wsparty na kiju podróżnym. Na szczycie góry po jego prawej stronie płonęło wielkie ognisko, a w nocnym powietrzu niósł się pomruk tysięcy głosów złączonych w jednej pieśni. Obywatele miasta śpiewali w Wysokim Miejscu.

Ulice były puste, a większość domów zamknięta. Ahmet błąkał się jeszcze przez długi czas, nim wreszcie po drugiej stronie miasta, za ciemnym i pustym amfiteatrem, znalazł gospodę. Za przysadzistymi kamiennymi budynkami otwierała się ciemna rozpadlina górską, z której wy-

pływał strumień, chlupoczący sennie w ciemności. Ahmet zapukał do drzwi gałką laski. Po chwili w drzwiach otworzyło się małe okienko, z którego patrzyła nań zmęczona, blada twarz mężczyzny o rozczochranych włosach.

- Dobry wieczór - powiedział Ahmet. - Czy znalazłoby się miejsce dla jeszcze jednego wędrowca?

Gospodarz zmierzył go wzrokiem, potem spojrzał w górę i w dół ulicy. Mężczyzna odziany w strój egipskiego kapłana był sam. Gospodarz zamknął okienko w drzwiach i odsunął ciężkie metalowe zasuwki. Ahmet uklonił się i wszedł do środka. Gospodarz przetarł zaspane oczy i zaprowadził Egipcjanina do wspólnej sali po prawej stronie holu.

- Mamy wolne miejsca - rzucił przez ramię. - Solidus za noc. Jest zimny gulasz w garnku i woda w wiadrze. Wino jest w miedzianym dzbanku, gdybyś miał ochotę.

- Nie, dziękuję - odparł Ahmet. - Nie piję wina.

Gospodarz odchrząknął i wskazał na schody wznoszące się po drugiej stronie sali.

- Trzecie drzwi na prawo, na górze. Dzisiaj masz cały pokój dla siebie.

Ahmet skinął głową w podziękowaniu, a potem złożył swą torbę i paczki na stole przy kominku. Sięgnął po sakiewkę, odliczył solidusa w miedziankach i wręczył pieniądze gospodarzowi. Potem wyjął nóż w skórzanej pochwie, który zabrał bandycie, i także oddał go właścicielowi gospody.

- W kanionie za miastem zaatakował mnie jakiś bandyta. Tylko jeden. To należało do niego. Może miejscowe władze powinny o tym wiedzieć.

Gospodarz uniósł lekko brwi i obejrzał nóż, obracając go w rękach.

- Nie żyje?

Ahmet skinął głową i wyjął z torby miskę i łyżkę wyrzeźbioną z rogu. Poszedł do paleniska i zaczął nabierać zimnego gulaszu z żelaznego garnka.

Gospodarz odłożył nóż między rzeczy kapłana.

- Powiem o tym prefektowi jutro rano. Nie będę budził go po nocy, skoro ten mężczyzna i tak nie żyje.

Gospodarz pożegnał się z Ahmetem i poszedł spać, przykręcając wcześniej knot lampy przy drzwiach. Ahmet usiadł i jadł gulasz w zupełnej ciszy. Woda była stęchła i śmierdziała dymem, wypił jednak kilka pełnych kubków. Po skończonym posiłku odmówił modlitwę, dziękując bogom za znalezienie bezpiecznego schronienia na noc.

- Jesteś kapłanem? - spytał zaspany głos dochodzący z ciemności po drugiej stronie paleniska. Ahmet odwrócił lekko głowę i ujrzał mężczyznę, który leżał do tej pory ukryty na ławce za drugim stołem. Teraz usiadł prosto i patrzył wyczekująco na Ahmeta.

- Tak, z zakonu Hermesa Trismegistosa. Jestem Ahmet ze szkoły Pthamesa.

Nawet w słabym świetle pojedynczej lampki i czerwonym blasku bijącym od żaru paleniska widać było błysk białych zębów mężczyzny, którego twarz okalała gęsta broda. Nieznajomy wstał ze swej ławki i podszedł bliżej, by usiąść naprzeciwko Ahmeta, po drugiej stronie stołu. Był to człowiek w średnim wieku, o ciemnej skórze, choć określenie, czy jest to jej naturalny kolor, czy tylko opalenizna, nie przyszłoby łatwo. Miał silny nos i szlachetny podbródek oraz czoło. Starannie przycięta broda i wąsy nadawały jego twarzy elegancki wygląd. Ubrany był w brązowo-białe szaty pustynnych plemion zamieszkujących pustynię na południe od nabatejskiej granicy.

- Mahomet z Banu Haszim Kurajsz. Jestem kupcem, jadę do Damaszku.

Ahmet uśmiechnął się do niego. Nie musiał korzystać ze swych nadnaturalnych umiejętności, by widzieć, że kupiec jest kłębkiem ciasno zbitej i z trudem wstrzymywanej energii. Uścisk jego dłoni był mocny i rzeczowy.

- Miło cię poznać, Mahomecie z Kurajsz. Ja też jadę do Damaszku.

W półmroku znów rozbrzmiał uśmiech kupca.

- Wielu ludziom powiedziałby, że samotna podróż przez pustynne drogi to ryzykowne przedsięwzięcie. Z tego, co opowiadałeś gospodarzowi, wynika jednak, że umiesz zadbać o siebie. Zastanawiam się...

- Nad czym? - przerwał mu Ahmet rozbawiony. Był przekonany, że mężczyzna z południa przysłuchiwał się z ukrycia ich rozmowie, a potem leżał w ciemności, zastanawiając się, co powinien powiedzieć. Pomimo bezpośredniego, a może nawet niegrzecznego zachowania Araba, czuł do niego coraz większą sympatię.

- Zastanawiam się, czy kapłan tak zręczny i tak inteligentny nie zechciałby wybrać się do Damaszku w towarzystwie kupca. Sądząc po stanie twojego płaszcza i sandałów, nie masz wielbłąda ani konia. Idziesz na piechotę, a stąd do Damaszku jeszcze bardzo długa droga.

Ahmet skinął głową, zaskoczony spostrzegawczością kupca.

- Przyszedłem tu z Aelany. To była bardzo długa droga.

Mahomet przytaknął w milczeniu, wyraźnie z siebie zadowolony. Sięgnął do swej szaty i wyjął elegancką skórzaną sakiewkę z klamerkami z kości słoniowej. Otworzył ją i wysypał na dłoń kilka srebrnych monet, które położył na stole.

- Dziesięć solidusów, jeśli zechcesz towarzyszyć mnie i moim ludziom w drodze do Damaszku i pomożesz nam ochraniać karawanę. Nim zapytasz, sam ci powiem: kapłan przynosi szczęście, a czasy są teraz niebezpieczne, szczególnie na tej drodze.

Ahmet patrzył na monety jak na gniazdo żmij. Śluby zakonne nakazywały mu ubóstwo i proste, pozbawione zbędnych wygód życie.

Złamałeś już raz te śluby - szepnął jakiś głos w jego głowie - przychodząc tutaj, szukając chłopca.

Wziął do ręki jedną monetę i obrócił ją w palcach. Była świeżo wybita. Awers przedstawiał surowe oblicze cesarza Herakliusza - rewers pieczęć mennicy Palmyry i mniejszy wizerunek kobiety w koronie. Ahmet wziął w końcu cztery monety, resztę odsunął od siebie.

- Pojadę z wami do Gerasy; szukam zaginionego przyjaciela, i nie wiem, czy dotarł aż do Damaszku.

- Zgoda, to mi wystarczy - odparł kupiec. Południowiec odsunął krzesło i zgarnął do ręki pozostałe monety. - Jesteś pewnie zmęczony, wypij się więc dobrze. Wyjedziemy najwcześniej jutro po południu. Muszę jeszcze załadować mirrę i trochę naczyń. Spytaj gospodarza, gdzie mieszkam, on będzie wiedział.

Ahmet skinął głową w podziękowaniu i włożył ciężkie monety do sakiewki. Kupiec zebrał jakieś przedmioty z sąsiedniego stołu; był wśród nich ciężki zwój papirusu. Ahmet uniósł lekko brwi na ten widok.

- Co czytasz? - spytał, kiedy kupiec skończył już zbierać swoje rzeczy.

Mahomet spojrział na papirus i roześmiał się.

- To prezent od przyjaciela. Przekonasz się, że jestem bardzo dociekliwym człowiekiem, ciągle się nad czymś zastanawiam, ciągle coś chcę wiedzieć. Zadręczałem go pytaniami o naturę i przeznaczenie różnych rzeczy na tym świecie, i w końcu dał mi to. Pewnie ma nadzieję, że przeczytam zwój, i dam mu wreszcie spokój. Nazywa to Tora. To święta księga jego ludu.

- Zatem jest kapłanem - powiedział Ahmet.

Mahomet skinął głową.

- Nazywa siebie nauczycielem, ale myślę, że masz rację. - Spojrział ponownie na zwój papirusu. - To był prawdziwie królewski dar. Będę musiał znaleźć coś równie dobrego albo lepszego, by mu się zrewanżować, kiedy wrócę na południe.

Ahmet także wstał od stołu.

- Dobranoc, Mahomecie - powiedział. - Może w drodze do Gerasy uda nam się trochę porozmawiać o naturze świata.

Kupiec skinął głową z uśmiechem i poszedł do swego pokoju.

Rankiem zbudził Ahmeta hałas dochodzący z ulicy. Egipcjanin bardzo niechętnie zwał się z miękkiego łóżka. Po czterech nocach spędzonych na posłaniu z kamieni i skał, wygody gospody były dlań prawdziwą rozkoszą. Potarł brodę okrytą kilkudniowym zarostem i otworzył szeroko okiennice. Na ulicy poniżej kłębiły się setki koni i ludzi.

Żołnierze, pomyślał. Oddział kawalerii.

Jeźdźcy ubrani byli w pustynne szaty i lekkie zbroje, dostrzegł w nich dziurki i łuki. W końcu ustawili się w równym szyku i odjechali w górę wąskiego kanionu, z którego wypływał strumień.

Kiedy wędrując śladem Dwyrina, Ahmet przybył do Aleksandrii, w mieście panował taki sam zamęt. Kanały i przystań zapchane były barkami, dawami i triemami. Rzymski legion stacjonujący w Egipcie odesłany został do walki z Persami, a dziesiątki tysięcy ludzi szykowało się do wojny. Ahmet potrzebował niemal trzech dni, by odszukać kwatremistrza odpowiedzialnego za przyjmowanie rekrutów. Wtedy, ku swemu wielkiemu rozczarowaniu, kapłan dowiedział się, że chłopiec w ogóle nie zgłosił się do swojej jednostki.

Musiał pozbyć się znacznej części zawartości swego mieszka, by nakłonić głównego skrybę w biurach prefekta w Nowym Pałacu do ustalenia, dokąd udaje się jednostka Dwyrina: Trzecia Ars Magica wchodząca w skład Legionu Tercia Cyrenaicea wchodziła właśnie na pokład okrętu płynącego do Sydonu na wybrzeżu Fenicji. Jeśli chłopiec nie zgłosił do kwatremistrza w Aleksandrii, to być może dołączył do swojej jednostki już wcześniej i był już poza miastem. Do ogarniętej wojną Syrii pływały jedynie okręty wojsk cesarskich, a Ahmet nie mógł nawet marzyć o wejściu na taką jednostkę. Wrócił więc do gospody przy południowym kanale. We wspólnej sali siedziało kilku marynarzy i po rozmowie z nimi Ahmet postanowił wsiąść na statek zmierzający w dół Nilu, do Heliopolis. Stamtąd pojechał na wielbłądzie do portu Clysma nad Sinus Arabicus. We wszystkich miejscowościach w dole delty, które odwiedzał po drodze, odbywała się mobilizacja wojsk rzymskich i sprzymierzonych z Rzymem.

Podobnie rzecz się miała w Petrze. Ogoliwszy się i odprawiwszy poranne rytuały, Ahmet zszedł na dół, gdzie powiedziano mu, że żołnierze zjedli wszystko prócz kilkudniowych bułek i odrobiny owsianki. Usiadł w rogu, gdzie poprzedniego wieczora ukrywał się arabski kupiec, i zjadł skromne śniadanie. Gdy już skończył, do jego stolika podszedł gospodarz.

- Pan Mahomet zostawił dla ciebie wiadomość. Będzie zajęty przez cały dzień, ale ma nadzieję, że wróci przed wieczorem, i że wyjedziecie jutro o świcie.

- Dziękuję - odparł Ahmet. - Chciałbym spytać o pewną rzecz, jeśli można... dokąd jadą ci żołnierze?

Gospodarz skrzywił się z niechęcią. W oddziale, który spustoszył spiżarnię gospody i zostawił po sobie ogromny bałagan, był jego syn. Niepokój o jego los nie tylko wprawił gospodarza w nerwowy nastrój, ale i przyprawił go o rozstrój żołądka.

- Pojechali na północ, do Celesyrii. Persowie chcą zdobyć Damaszek, więc wszyscy „sprzymierzeńcy” Cesarstwa Wschodniego wysyłają swoich ludzi do Damaszku, by ich powstrzymać.

Ahmet przechylił lekko głowę: gospodarz mówił o tych planach z wyraźną niechęcią.

- Powstrzymując tych wschodnich diabłów, bronicie też całej Arabii i Petry, czy nie tak?

Gospodarz parsknął lekceważąco.

- Raczej utrzymujemy rzymskie prawo i rzymskie podatki! Mamy rzymski pokój, owszem, ale moim zdaniem to okrutny pokój. Jesteśmy „sprzymierzeńcem” cesarstwa, ale ich poborcy podatkowi zdzierają z nas pieniądze tak samo jak z cesarskich prowincji. Ich bogowie wyniesieni zostali nad naszych, ich język staje się ważniejszy od naszego. Młodzi ludzie myślą o sobie jako o Rzymianach, nie Nabatejczykach.

Ahmet skinął uprzejmie głową. Sytuacja wyglądałaby tak samo, gdyby to Persowie podbili arabskie prowincje, tyle że Persowie przywozili ze sobą ciemność. Zadrzał w zimnym, mrocznym pokoju. Kapłani Hermesa Trismegistosa przestrzegali pewnych reguł - mistrzowie szkół byli w tej kwestii bardzo restrykcyjni - i z wielką ostrożnością wykorzystywali moce niewidzialnego świata. Opowieści ze wschodu, z perskiej stolicy Ktezyfon, świadczyły jednak o tym, że tam nikt nie zważał na takie ograniczenia. *Mobehedani* imperium Sasanidów zadawali się z demonami i diabłami; bezczęścili ciała zmarłych, oddając się nekromantycznym praktykom; w pogoni za mocą narażali własne dusze. Nawet w górnym Egipcie mistrzowie zakonów budzili się czasem w bezksiężycowe noce, zlni potem, kiedy odległe echa straszliwych praktyk na wschodzie zakłócały eter.

Nieważne, znajdzie chłopca i wróci do szkoły. Choć Ahmetowi wydawało się, że rozumie dobrze własne cele, w rzeczywistości jego umysł był wirem sprzecznych pragnień i zamiarów. Tak naprawdę nie miał pojęcia, dlaczego uciekł ze szkoły; wiedział tylko tyle, że nie było to już miejsce dla niego.

Minęły trzy dni, nim Mahomet załatwił swoje interesy w mieście. Przez cały ten czas kolejne partie ludzi, jeźdźców i materiałów wypływały z nabatejskiej stolicy, kierując się w górę Wadi Musa, do drogi do Jeryho i na północ. Ahmet przesiadywał w gospodzie, obserwując kolejne kolumny łuczników i jeźdźców oraz wozy wyładowane beczkami i skrzyniami. Na trzeci dzień kapłan podsumował w myślach cały ten wielki pochód - prawie piętnaście tysięcy ludzi zmierzało na północ. Biorąc pod uwagę niewielką populację Nabatei, kraju składającego się głównie z pustyni i skał, musieli to być praktycznie wszyscy zdolni do walki mężczyźni, jacy zamieszkiwali to państwo. Jeśli taki sam wysiłek podejmowano w innych miastach cesarstwa, to nadciągała naprawdę wielka wojna.

W mieszkańcach kamiennego miasta było coś dziwnego. Na pozór wyglądali jak zwykli ludzie - szczupli, bo życie na pustyni zmuszało bezustannie do wysiłku, mocno opaleni, ciemnowłosi i ciemnoocy. Ahmetowi jednak wydawali się dziwnie skryci, wręcz podejrzani. Rzadko rozmawiali z obcymi, niewiele częściej między sobą. Conocne uroczystości na szczycie góry, na Ad-Deir, zamknięte były dla obcych, a rytualne śpiewy tak ciche, że na dole słyszeć było jedynie niewyraźny pomruk. W mie-

ście dało się też wyczuć jakiś podskórny strumień energii, coś, co bez ustanku łaskotało jego umysł, choć gdy próbował tego szukać, nie znajdował nic podejrzanego.

Do gospody wszedł Mahomet z dwójką swoich ludzi. Śniadzi mężczyźni o ponurych twarzach ubrani byli w brązowordzawe szaty z szerokimi pasami, za którymi nosili ozdobne noże i zakrzywione szable. Mahomet usiadł na ławie naprzeciwko kapłana i uśmiechnął się przyjaźnie, choć widać było, że jest bardzo zmęczony.

- Gotowy do podróży?

Ahmet uniósł lekko brwi. Był gotów do podróży od trzech dni. Dłuższy odpoczynek jednak dobrze mu zrobił; czuł, że wrócił już do pełni sił po podróży z Aelany. Ale w zasadzie miał już dość pobytu w tym mieście ukrytym wśród czerwonych wzgórz.

- Gdy tylko dasz znak, Mahomecie.

Kupiec uderzył dłonią o blat stołu.

- Dobrze. Wyjeżdżamy.

PALATYN, ROMA MATER

Dwaj potężnie zbudowani pretorianie w czerwonych płaszczach i hełmach zwieńczonych pióropuszcami zamknęli ciężkie drzwi za Aurelianem. Słyszac głuchy, solidny huk zatrzaskiwanych drzwi, miody cesarz odetchnął z ulgą. Było już późno, dochodziła północ, a on dopiero zakończył pracę. Aurelian potarł zmęczone oczy wierzchem dłoni, ściągnął płaszcz i rzucił go na stołek przy drzwiach. Ciemnofioletowa peleryna dołączyła do sterty koszul, tunik i innych peleryn. Poza tym w pokoju pełno było brudnych naczyń i nadgryzionych, pleśniejących owoców.

Aurelian parsknął na ten widok, postanowił go jednak zignorować. W domu, w posiadłości na północny wschód od miasta, jego żona i zastępy służących poradziłyby sobie z tym w mgnieniu oka. Jednak tutaj, w pałacu, zakazał komukolwiek wstępu do swych pokoi, były one bowiem jedyną ostoją spokoju i ciszy pośród chaosu cesarskiego dworu. Nawet łaźnie czekali za drzwiami, dopóki nie był gotów do wyjścia.

Jak niemal każdego wieczora zastanawiał się przez moment, czy wezwać jedną z konkubin brata, by ta ukoiliła go do snu łagodnymi dłońmi i delikatnym, ciepłym ciałem. Jak co wieczór odsunął od siebie tę myśl. Był zbyt zmęczony, by myśleć o czymkolwiek innym niż tylko o łóżku i odpoczynku. Zrzucił ze stóp sandały, a potem usiadł na skraju wielkiego łóżka, największego i najważniejszego mebla w pokoju.

- Witaj, bracie.

Aurelian drgnął i odwrócił się, trzymając w dłoni nóż, który odruchowo wyciągnął z przypiętej do pasa pochwy. Maksjan siedział na krześle przy oknie, okryty ciemnoszarym płaszczem.

Aurelian uniósł lekko krzaczaste brwi - jego niepoprawny braciszek wyglądał na bardziej zmęczonego niż on.

- Dobrze się czujesz?

Tym razem to Maksjan uniósł brwi. Chciał właśnie zapytać o to samo swego brata.

- Tak - odparł książe. - A co, wyglądam tak jak ty?

Aurelian roześmiał się słabo i opadł na grube wełniane koce okrywające łóżko.

- Bogowie - westchnął, po raz kolejny przecierając oczy. - Kiedy Galen to robi, wszystko wydaje się takie proste! Myślałem do tej pory, że pomagałem mu prawie we wszystkim, ale codziennie mam do czynienia z rzeczami, o których nigdy wcześniej nie słyszałem. Nic dziwnego, że podzielili cesarstwo - nie wyobrażam sobie, żeby ktokolwiek mógł zarządzać państwem dwa razy większym od naszego.

- Przepraszam - powiedział Maksjan ze skruszoną miną. - Ja też miałem ci pomagać.

Aurelian podniósł głowę na tyle, by obrzucić brata groźnym spojrzeniem, potem ponownie opadł na łóżko, jęcząc przy tym głośno.

- Nieważne, prosiaku. Nawet ja widzę, że coś cię dręczy. O co chodzi?

Maksjan wstał powoli i podszedł do drzwi zewnętrznej komnaty.

Przesunął dłońmi wzdłuż miejsc, w których skrzydła drzwi łączyły się ze sobą i z futryną. Potem wrócił do swojego krzesła i zamknął okiennice, wykonując te same ruchy wokół ich krawędzi. Wreszcie usiadł z powrotem, odkorkował ciężką butlę wina i pociągnął długi łyk.

- Daj trochę - powiedział Aurelian, przetaczając się na skraj łóżka i biorąc od brata dzban. - Nie pijesz dużo, a już nigdy nie przynosisz własnego wina, więc sprawa musi być poważna. Kim ona jest?

- Phi! - Maksjan roześmiał się, podczas gdy jego brat z lubością pochłaniał wino. - Nie ma takiej kobiety. Umarł mój przyjaciel, a ja przejąłem się tym bardziej, niż powinienem. Potrzebowałem czasu, żeby się z tego otrząsnąć. Jeszcze raz ogromnie cię przepraszam - potrzebowałeś mojej pomocy, a ja cię zawiodłem.

- Och, jakoś przeżyję - odparł Aurelian z uśmiechem, odzyskując powoli dobry humor. - W wolnym czasie będę się zastanawiał, jak mi za to odpłacisz.

Maksjan skinął posępnie głową: był pewien, że Aurelian obmyśli jakąś szczególnie dotkliwą zemstę, którą on będzie musiał z pokorą przyjąć. Podrapał się po głowie.

- Mam do wykonania pewne zadanie - powiedział Maksjan, śmiało spoglądając bratu w oczy, choć w rzeczywistości czuł się bardzo

niepewnie. - To polecenia Galena. Chodzi o tę historię z księżną... pamiętasz?

Aurelian przytaknął, zakładając ręce za głowę.

- Tak, widuję się z nią codziennie - codziennie, braciszku - i muszę powiedzieć, że budzi we mnie strach i podziw zarazem. Wygląda na to, że wie o wszystkim, co dzieje się w mieście i państwie. Nigdy jeszcze nie zadałem jej pytania, na które nie umiałaby odpowiedzieć. - Aurelian wstał, potarł nos i pociągnął kolejny łyk z butli. - Nie mam pojęcia, czy mówi mi prawdę, czy też nie, prosiaku. Tak naprawdę może skrywać wszystko za tymi swoimi fioletowymi oczami. Każdego dnia muszę coraz bardziej na niej polegać, a wcale mi się to nie podoba. Wiem, wiem, że ojciec bezgranicznie jej ufał. Wiem, że przyjaźniła się z mamą... ale, na bogów, ja nie potrafię zdobyć się na to samo.

Aurelian zamilkł, jakby zdumiony głębią własnych obserwacji. Maksjan skinął głową, zabrał butlę i zatkał ją ponownie korkiem.

- Muszę zniknąć na jakiś czas - powiedział, chowając butlę pod pachę. - Cały czas jestem śledzony, tak jak ty. Miesiąc lub dwa powinny wystarczyć; kiedy wrócę, będę miał inne źródło informacji dla ciebie i Galena.

Aurelian spojrział na brata i uśmiechnął się do siebie. Maksjan naciągnął płaszcz i podszedł do okna.

- Wierzę - powiedział Aurelian. - Zawsze byliśmy z ciebie bardzo dumni.

Maksjan znieruchomiał z ręką opartą o okiennicę.

- Maks, kiedy wróciłeś ze szkoły z laską Asklepiosa, mama chyba była najszczęśliwszym człowiekiem na świecie. Tata też o mało nie pękł z dumy. Przykro mi, że Galen i ja musimy cię o to prosić, ale... wiesz, jak jest.

- Wiem - odparł Maksjan, nie patrząc na swego brata. - Mam nadzieję, że z tego też będziesz dumny.

Okiennica zastukała o futrynę i młody książę zniknął.

PORT TEODOZJUSZA, KONSTANTYNOPOL

Dwyrin odsunął się od okrętowego dźwigu. Ludzie wokół niego wykrzykiwali bez przerwy jakieś polecenia i przekleństwa, kiedy ogromna machina obłożnicza przesuwała się nad nabrzeżem i olinowaniem okrętu. Trzydziestu ludzi ciągnęło z całych sił liny, które miały naprowadzić machinę do ładowni wielkiego transportowca. Dzień był piękny, błękitu nieba nie mąciła najmniejsza nawet chmurka. Chłodny wiatr znad wód Propontydy przeganiał rozpalone powietrze znad pokładu okrętu. Dwyrin wspiął się na takielunek, zręczny i szybki niczym małpa.

Zająwszy nową, dogodną pozycję obserwacyjną, mógł spokojnie oglądać wypełnioną setkami okrętów przystań. Na nabrzeżu tłoczył się barwny tłum żołnierzy, inżynierów, robotników portowych i oficerów. Zdawało się, że dwie strome drogi prowadzące od murów miasta wypełnione były ciasno niekończącym się strumieniem ludzi, koni i wozów. Muły i konie protestowały głośno, wypełniając przystań wielkim hałasem. W transporcie, do którego przydzielono Dwyrina, znajdowały się także dwa oddziały inżynierów i grupa najemników. Goccy najemnicy pomagali inżynierom w załadunku, ich szerokie, umięśnione plecy lśniły od potu. Podczas pracy nosili długie blond warkocze owinięte wokół głowy, niczym złote korony. Centurion inżynierów wykrzykiwał rozkazy przez róg z brązu. Machina oblężnicza powoli osuwała się w cień ładowni.

Dwyrin wspiął się wyżej i przysiadł na drzewcu. Jego bose nogi, wreszcie opalone, a nie poparzone od słońca, dyndały trzydzieści stóp nad pokładem statku. Prawe ramię wciąż piekło go od wypalonego znaku legionu. Delikatnie dotknął bolącego miejsca. Początkowo ogromnie cierpiał, teraz jednak znak dawał mu dziwne poczucie bezpieczeństwa i przynależności. Niepokoilo go to, do tej pory bowiem nie poznał żadnego z innych członków legionu. Przekazywano go z rąk do rąk, aż w końcu *optio* kwatermistrza zostawił go na tym okręcie wraz z dokumentami i workiem podróżnym. Dwyrin wiedział jedynie, że okręt ma wypłynąć wieczorem, i że za kilka dni lub tygodni dotrze do miejsca zwanego Taurus, w którym znajdzie wreszcie swoją jednostkę.

Bryza rozwiewała jego długie rude włosy; nie obcinał ich, odkąd opuścił szkołę. Jego legion nie wymagał, by miał krótko przystrzyżone włosy, choć tak właśnie nosili się wszyscy legioniści, których widział na pokładach okrętów czy nabrzeżu. Owinąwszy linę wokół lewej ręki, prawą poprawił niesforne włosy i znów oddał się obserwacji wielkiego portu Teodozjusza, w którym niczym w gigantycznym mrowisku wrzała bezustanna praca.

- Bierzcie się do roboty, gamonie! Ciągnijcie, psiamać, ciągnijcie!

Thyatis przeszła wzdłuż szeregu spalonych na brąz, zlanych potem mężczyzn. Ulubiona jasnobrązowa tunika i spódnica kleiły się do jej ciała, także przesiąknięte potem. Była przy tym zła jak osa, podły nastrój nie opuszczał jej już od czterech dni, to jest od katastrofy w domu Wołocha. Nikos, Timur i pozostali ciągnęli ze wszystkich sił. Wóz, wyładowany ciężkimi, okutymi żelazem skrzyniami, wspinał się powoli na pomost łączący nabrzeże ze statkiem. Thyatis strzeliła z bata tuż nad uchem Jocziego. Ostry dźwięk zmobilizował mężczyzn do jeszcze większego wysiłku.

- Hej, ciągnij go! - krzyknęli razem.

Wóz przesunął się o kolejną stopę do przodu.

- Ciągnąć, parchate małpy! Ciągnąć! - Głos Thyatis ciął powietrze niczym bicz.

- Hej, ciągnij go!

Wóz znów posunął się do przodu, tym razem o półtorej stopy. Przednie koło zablokowało się na krawędzi pomostu. Mężczyźni krzyknęli ponownie, naprężając mięśnie jak struny.

- Mięczaki bez jaj! Jesteście słabi jak dzieci! Ciągnąć!

- Hej, ciągnij go!

Przednie koło zawisło na moment w powietrzu, oparte o krawędź pomostu, potem zaskrzypiało i przesunęło się wreszcie w górę. Wóz wtoczył się na pokład. Kilku mężczyzn przytrzymało go w miejscu, podczas gdy inni podkładali pod przednie koła drewniane kliny, by nie wtoczył się do otwartej ładowni. Thyatis weszła na ogromny blok drewna tworzący część głównego masztu. Pozostała część jej oddziału, składająca się teraz z dwunastu ludzi, zabezpieczała wóz, mocując go do pokładu. Zostały jeszcze tylko dwa. Thyatis uderzyła w udo ciężką rękojęścią bicia, ignorując piekący ból.

Dzień po nieudanej akcji została wezwana do prywatnej kwatery cesarza Zachodu. Siedziała na niskim krześle pośrodku jego gabinetu, wyprostowana jak struna, i patrzyła prosto przed siebie. Choć wciąż była wściekła na cały świat i siebie samą, zachowywała kamienną twarz. Była to jedna z niewielu przydatnych umiejętności, jakich nauczyły ją damy w domu de'Orelia. Cesarz Galen przyjął ją na prywatnej audyencji, towarzyszył mu jedynie młody oficer Cesarstwa Wschodniego. Był niski, lecz barczysty, wyglądał na kawalerzystę. Przypomniała go sobie ze spotkania - miał na imię Teodor. Teraz już skojarzyła całą resztę - był to młodszy brat cesarza Wschodu.

- Tak więc, centurionie, dwóch twoich ludzi nie żyje, czterech jest rannych. Spaliło się kilka sporych budynków, a zdrajcy, kimkolwiek byli, uciekli. Jeśli chodzi o zyski, to udało ci się uwolnić cesarskiego rekruta przetrzymywanego w tym domu.

Thyatis zaдрżała, dotknięta do żywego szyderczym tonem cesarza. Odchrząknęła niepewnie i powiedziała:

- Zraniliśmy perskiego czarownika, panie.

Oczy Galena zaiskrzyły gniewem.

- Wydaje wam się, że zraniliście czarownika. Ale świadkowie widzieli, jak odlatywał na wschód, nad zatoką. Co więcej, niósł kogoś ze sobą. Nie wygląda mi to na ciężko rannego człowieka.

- Był bardzo silny, panie. Omal nie zabił nas wszystkich.

Galen skinął głową. Jego twarz była równie nieprzenikniona jak twarz Thyatis.

- I wiemy niewiele więcej niż poprzednio. Wiemy, że ten Wołoch, Dracul, negocjował z Persami. Wiemy, że zdrajcy popłynęli tamtego wieczora do jego domu. Wiemy, że w mieście był perski czarownik, i że jego obecności nie wykrył żaden z taumaturgów cesarza Wschodu czy Zachodu. Żle się stało, centurionie. To może zaważyć na powodzeniu całego naszego planu.

- Tak, panie.

Galen siedział przez chwilę w milczeniu, zastanawiając się nad czymś. Thyatis z najwyższym trudem zachowywała pozory spokoju. Wreszcie cesarz spojrział na nią ponownie, zatroskany.

- Niewiele czasu minęło od chwili, gdy zdrajcy przybyli do domu Dracula, do momentu, gdy rozpoczęliście atak. Twoi ludzie weszli do ogrodu kilka chwil po tym, gdy dostali się do wnętrza domu. Być może zdrajcy nie zdążyli porozmawiać o tym, czego dowiedzieli się w pałacu. Jeden ze służących powiedział, że na spotkanie z Draculem przybyło dwóch Persów. Być może więc człowiek, którego niósł ze sobą czarownik, to był ów drugi Pers, a nasz plan wciąż jest bezpieczny.

Cesarz spojrział gniewnie na Thyatis, potem wstał i podszedł do okna. Thyatis wciąż siedziała prosto, nie odwracając głowy, kątem oka widziała jednak, że Teodor mrugnął do niej. Czyżby chciał ją pocieszyć? Galen stał przez chwilę przy oknie, stukając palcami o parapet. Gdy odwrócił się do niej ponownie, powziął już najwyraźniej jakąś decyzję.

- Miałaś szczęście, centurionie. Gdyby ów chłopiec więziony przez Dracula nie władał ogniem, ty i twoi ludzie już byście nie żyli. Nie winię cię za porażkę tej misji, choć byłem nią wielce rozczarowany. Flota wypłynie z portu w ciągu najbliższych czterech dni, a my wciąż nie mamy pojęcia, w jakiej kondycji są siły wroga. Niepowodzenie twojej misji sprawiło, że straciłem wiele szacunku w oczach wschodnich dowódców. Miałem nadzieję, że wykonasz ją bez najmniejszego potknięcia.

Thyatis czuła się tak, jakby jej żołądek skurczył się nagle do rozmiarów suszonej figi. Spodziewała się teraz najgorszego. Tylko dzięki ogromnemu wysiłkowi woli wciąż trzymała głowę prosto i powstrzymywała łzy napływające jej do oczu.

Cesarz przechadzał się teraz wzdłuż swego biurka.

- Zamierzałem zatrzymać twój oddział przy sobie i wykorzystywać twoich ludzi jako zwiadowców i posłańców. Teraz jednak będę musiał skorzystać z usług wschodnich zwiadowców, a ciebie przesunąć na jakieś mniej widoczne pozycje.

Cesarz zatrzymał się i pochylił nad biurkiem, wbijając w nią gniewny wzrok.

- Wysłałem was na wschód, przed armią. Wylosowałaś krótką słomkę, centurionie. Ty i twoi ludzie zostajecie odłączeni od armii.

Podniósł z biurka paczkę owiniętą w impregnowaną skórę. Thyatis wstała i odebrała od niego ciężkie zawiniątko. Cesarz przyglądał jej się przez dłuższą chwilę, wreszcie rzekł:

- Ta paczka zawiera rozkazy dotyczące wyprawy w góry za starą granicą. Zostaniecie wysłani okreśną drogą daleko w głąb terytorium Persów. Rozkazy określają dokładnie czas i miejsce, w którym chciałbym spotkać się z tobą ponownie. Mam nadzieję, że będę miał tę przyjemność, centurionie. Odmaszerować.

Thyatis obróciła się na pięcie i wyszła z gabinetu, starannie ukrywając rozpierającą ją radość. Nie zostaną rozwiązani! Nadal będzie dowodzić oddziałem i to podczas wyjątkowo trudnej i niebezpiecznej misji! Urzędnicy w zewnętrznych komnatach patrzyli na nią ze zdumieniem, kiedy maszerowała do wyjścia uśmiechnięta od ucha do ucha.

Nad miastem zapadł już mrok, kiedy melodyjne krzyki marynarzy i skrzypienie wiosł wrywały Dwyrina ze snu. Lampy zawieszane na maszcie i na żelaznych hakach przy wejściach do kajut były zgaszone. Nad wschodnim horyzontem błyszczał cienki sierp księżyca, w jego nikłym blasku trudno jednak było dostrzec cokolwiek prócz zarysów kadłuba i takielunku. Okręt opuścił już dok i przepływał właśnie między bliźniaczymi wieżami strzegącymi wejścia do portu wojskowego. Dwyrin wyjrzał za burtę, otulony szczelnie kocem. Poniżej, u boku transportowca, płynęła o wiele mniejsza, smukła jednostka przybrzeżna. W odróżnieniu od swego wielkiego towarzysza była dokładnie oświetlona, od dziobu po rufę.

Za falochronem otwierały się wody Propontydy. Marynarze wspięli się na liny i zaczęli rozwijać wielki żagiel. Dwyrin przyglądał im się ze zdumieniem. Żagiel był czarny, niemal tak jak nocne niebo. Mimo to wciąż nie zapalano lamp, marynarze pracowali w ciemności. Gdy tylko wypłynęli na szersze wody, statek przybrzeżny odbił na bok i nadal rżęsiście oświetlony popłynął na północny wschód, w stronę Morza Ciemności. Transportowiec sunął pod osłoną ciemności prosto na południe. Na wschodzie zbierały się chmury, zagnane tu przez wiatry znad dalekich stepów. Księżyc wkrótce zniknął pod ich grubą warstwą, i nad wodami zapanowały całkowite ciemności. Dwyrin obejrzał się do tyłu, gdzie w oddali jaśniały oświetlone mury miasta. Linie płonących pochodni znaczyły drogi prowadzące z miasta do przystani. Armia cesarstwa wciąż przygotowywała się do wypłynięcia, nawet w nocy.

Thyatis znów stała przy relingu na smukłym dziobie „Mikitisa”. Chmury zakrywały powoli wschodni horyzont, niczym plama czarnego atramentu na niewiele jaśniejszej powierzchni nieba. W górze migotały dalekie, zimne gwiazdy. Chłodny wiatr z północy wydał żagle okrętu. Thyatis dzierżyła w jednej ręce rumpel, drugą przytrzymała się relingu. Wiatr rozwiewał jej włosy, kiedy okręt sunął coraz szybciej przez fale. W ciszy noc syk rozcinanej wody wydawał się niezwykle głośny. Przed nią, po drugiej stronie Morza Ciemności, leżał Trapezunt - tam rozpoczęła się jej misja. Uśmiechnęła się w ciemności; jeszcze niedawno nawet nie marzyłaby o czymś podobnym. Zastanawiała się, jak radzi sobie księżna, która teraz znajdowała się tak daleko.

„Mikitis” pędził naprzód, wiatr wydymał mocno jego ciemne żagle. Na południu przesuwano się wybrzeże Anatolii, z rzadka tylko jarzące się światłami domów.

RÓWNINA JERYHO, ARABIA MAGNA

IVZJ hmet wrócił do obozu, postukując kijem podróznym o zimny ^{^/} ■ grunt. Nad równiną zapadła noc, a wielka kopuła nieba usiana była gwiazdami, których nie przyćmiewał cienki sierp księżyca. Jeden ze strażników Banu Haszima poruszył się na jego widok, potem jednak ponownie usiadł w aksamitnym cieniu wielkiego kamienia. Po drugiej stronie głazów płonęło małe ognisko, rzucające nikły blask na namioty karawany. Kapłan przeszedł zręcznie między linami namiotów do miejsca, gdzie na składanym płóciennym krześle siedział Mahomet. Kupiec podniósł nań wzrok i odłożył ciężki zwój, który usiłował czytać w świetle przygasającej świeczki.

Karawana już od sześciu dni jechała na północ, mijając po drodze zakurzone miasta Filadelfia i Gerasa. W obu miejscach widać było oznaki powszechnej mobilizacji wojsk nabatejskich. Poprzedniego dnia minęli dwa oddziały piechoty stacjonujące przy drodze do Gerasy. Tego dnia przez cały dzień mozolnie wspinali się w górę długiej kamienistej drogi wychodzącej z doliny strumienia zwanego Jeryho. Słońce uderzało w nich niczym młot w kowadło. Noc przynosiła wreszcie wytchnienie, choć kamienie były ciepłe jeszcze długo po zapadnięciu zmroku.

Ahmet był nieco zaskoczony i przytłoczony roztaczającą się dokoła pustką. W drodze na północ mijali niekończące się pasma gór i nagie, jałowe równiny. Gorący wiatr niósł piasek znad pustyni południa i wschodu. Od czasu do czasu z piaskowej mgły wynurzali się miejscowi pasterze pędzący przed sobą stada owiec czy kozłów. Wodę i odrobinę wytchnienia od słońca dawały tylko z rzadka rozsiane oazy. Kiedy Ahmet podzielił się swoimi spostrzeżeniami z Mahometem, ten uśmiechnął się szeroko.

- Tu jest całkiem przyzwoicie - powiedział, trzymając w ręce cugle swego ulubionego kasztana. - Na południu, za An-Nafud, jest znacznie gorzej. Tam właśnie mieszka mój lud, na skraju wielkiego piasku. Tam trzeba naprawdę wiele umieć, by przetrwać.

Jak bardzo oddalili się od żywej doliny Ojca Rzek... Ahmet pokręcił głową i ponaglił wielbłąda do szybszego truchtu. Zapadła już noc, a oni wciąż byli daleko od najbliższej gospody czy oazy. Mahomet wprowadził karawanę do niskiego siodła między dwoma wzgórzami i kazał tam rozbić obóz.

Ahmet usiadł obok kupca, krzyżując nogi.

- W co wierzysz? - spytał wprost swego towarzysza.

Kupiec westchnął ciężko.

- Nie wiem - odparł. - Mój lud wierzy w wielu bogów. Cztery boginie rządzą niebem i porami roku. Bóg Hubal, który mieszka w kamiennym domu w Zam-Zam, jest podobno największy pośród nich wszystkich. Widziałem jego kaplicę i nie znalazłem w niej nic niezwykłego prócz czarnego kamienia, który pełni tam funkcję ołtarza. Kapłani mówią, że ten kamień spadł z nieba, przynosząc ze sobą błogosławieństwo Hubala. Są też inni bogowie, ale nie znam imion ich wszystkich.

- Moją ojczyzną rządzi dziesięć tysięcy bogów - powiedział Ahmet. W jego głosie pobrzmiwała nutka tęsknoty za zielonymi gajami oliwnymi i palmami szkoły.

- A w co ty wierzysz, kapłanie? Wierzysz w Herm^osa Trismegistosa?

Ahmet roześmiał się cicho.

- Hermes Trismegistos nie jest bogiem, przyjacielu. Jest symbolem tego, co może osiągnąć człowiek. Doktryna mojej wiary mówi, że choć istnieją bogowie tacy jak Set, Apollo-Re czy inni, celem ludzkiej egzystencji jest praca nad samym sobą, ulepszanie siebie. Hermes Trismegistos był pierwszym nauczycielem naszej sekty, potężnym czarownikiem, który nauczył się widzieć to, co niedostępne dla naszych oczu, nosa i ust. - Ahmet ogarnął gestem niebo, namioty, obóz. - Wszystkie rzeczy, które tu widzisz, są tylko odbiciem tego, co starożytni zwali prawdziwą formą. Jak cienie na ścianie. Nawet ty i ja nie jesteśmy tym, czym się wydajemy. Jesteśmy echem naszego prawdziwego ja, tego, co mój lud zwie *ka*, a Żydzi duszą.

Mahomet ostrożnie zwinął papirus i schował go do okrągłego pojemnika.

- Czytałem właśnie tę księgę, Torę. Mówi ona o parze bogów, męskim i żeńskim, którzy stworzyli świat i wszystko, co na nim jest. Mówi, że człowiek jest najdoskonalszym stworzeniem tych bogów, którzy nie mają imienia. Czy twój Trismegistos też w to wierzy?

Ahmet pokręcił głową, choć gest ten był praktycznie niewidoczny w nikłym blasku ognia.

- Nie. Trismegistos uczy nas, że całość egzystencji została stworzona bardzo dawno temu przez jedną siłę. Wszystko to powstało z tchnienia kreacji, choć nie w takiej formie, w jakiej widzimy teraz świat. Ta siła jest jedynym prawdziwym bogiem, stwórcą. Każda rasa, każdy naród wie, że jakaś potężna moc stworzyła świat i nadała mu kształt i znaczenie. Trismegistos uczy nas, że wszyscy bogowie, których czczą ludzie, są tylko odbiciem tej pierwszej formy, prawdziwego stwórcy. W moim kraju ten pierwszy stwórciel nazywany jest Ptah. Wszyscy inni bogowie pochodzą od Ptaha. Trismegistos powiedziałby, że wszyscy inni bogowie są odbiciem prawdziwego boga.

Mahomet odchrząknął i pogładził dłonią brodę.

- Jak więc czcicie tego boga bez twarzy? Czy nie ma żadnych posągów, które mogłyby wyrażać jego kształt?

- Nie - odparł Ahmet. - Nie wierzymy w posągi ani obrazy. Wierzymy, że to umysł człowieka jest świątynią tego boga stworzenia. Ze wszystkich stworzeń tylko człowiek obdarzony jest świadomością istnienia boga i zdolnością zrozumienia jego wielkości. Prowadzimy proste życie, nie gromadzimy dóbr ani bogactw. Oddajemy się, można powiedzieć, zrozumieniu boga we wszystkich jego dziełach.

- Lecz kiedy powstał człowiek...

Siedzieli przy dogasającym ogniu jeszcze długo w nocy i rozmawiali. Gwiazdny krąg przetaczał się powoli nad ich głowami, aż na wschodzie pojawiły się pierwsze oznaki brzasku.

ROMA MATER

SM aksjan przetał oczy zmęczone znużeniem przeglądaniem setek ksiąg, które wygrzebał z Gajuszem Juliuszem z cesarskich archiwów lub kupił u księgarzy w mieście. Próbował spojrzeć na problem kłutwy z punktu widzenia lekarza. Coś, jakieś wydarzenie lub stworzenie, spowodowało na mieszkańców miasta zarazę. Musiało istnieć jakieś źródło tej zarazy. Gdyby je odnalazł, prawdopodobnie mógłby je także zlikwidować. Wtedy, być może, miasto i jego mieszkańcy odzyskaliby dawną siłę. Wyczerpany książę wstał z twardego krzesła, podszedł do półki przytwierdzonej do ściany pokoju i nalał sobie wina z amfory.

Po drugiej stronie pokoju pracował wytrwale Abdmachus. W odróżnieniu od Gajusza Juliusza nie czytał dobrze po łacinie, miał jednak znacznie bardziej uciążliwe zadanie. Wkrótce po tym, jak trzech mężczyźni wynajęli te pomieszczenia, zaczęły dziać się w nich dziwne rzeczy. Rzeczy spadały bez powodu na ziemię lub stawały w ogniu. Po tygodniu tego rodzaju incydentów Abdmachus podjął się trzymać straż, zarówno w świecie fizycznym, jak i niewidzialnym, i to bez chwili wytchnienia, dzień i noc. Kiedy wreszcie oderwał się na moment od swych wyczerpujących obowiązków, wyjawiał zatroskanemu księciu i obojętnemu Gajuszowi Juliuszowi to, czego książę obawiał się od samego początku.

Zaraza gromadziła się wokół ich budynku, niczym woda w zagłębieniu. Wyglądało na to, że celem jej ataku jest książę. Dokładne badanie ścian, podłóg i innych pokoi ujawniło niewidoczne jeszcze, lecz szybko postępujące niszczenie tynku, drewna w ścianach i płytek na podłogach. Ciemna fala uderzała o budynek i podmywała jego fundamenty.

Abdmachus, jak co dzień, powoli przechadzał się wzdłuż ścian, mrużąc coś pod nosem. Na podłodze stały dzbanki z farbą; Pers sięgał do nich od czasu do czasu i znaczył spękany, zniszczony tynk kolejną serią tajemnych znaków. Maksjan rozejrzał się dokoła, kręcąc głową z niedowierzaniem. Wszystkie powierzchnie - ściany, podłoga i sufit - pokryte były tysiącami znaków zapewniających bezpieczeństwo i ochronę. W świetle prawdziwych form pokoje wypełnione były migotliwym niebieskim blaskiem, wyływającym ze znaków na ścianach. Teraz mogli wszyscy bezpiecznie pracować w ich wnętrzu, choć świadomość zmagań, jakie bezustannie toczyły się wokół nich, dokuczała całej trójce.

Drzwi pokoju otworzyły się z trzaskiem i do środka wkroczył Gajusz Juliusz. Tego dnia ubrany był w togę z delikatnej białej wełny, olśniewającą jasnoniebieską pelerynę przerzucił przez ramię. Truposz przyniósł całą stertę nowych ksiąg, arkuszy i zwojów, które złożył na jedyny wolny skrawek stołu.

- Jak wam idzie, obywatele? Widzę, że ciągle się bawisz, Persie. A skoro już tam klęczysz, to może wzięłybyś przy okazji miotłę i trochę tu pozamiatał?

Maksjan odstawił kubek z winem i podszedł do truposza. Wyczuwał w nim jakąś dziwną odmianę, i nie chodziło tu bynajmniej o dobry humor Gajusza Juliusza - ta cecha jego charakteru objawiła się zaledwie kilka dni po ich powrocie do miasta. W porównaniu z powściągliwym księciem czy ugrzecznionym Abdmachusem truposz był prawdziwym wulkanem energii. Maksjan przyglądał mu się uważnie, podczas gdy Gajusz Juliusz rozkładał nowe nabytki na kilka mniejszych stert. Nagle książkę złapał truposza za ramię i odwrócił go do siebie. Słowa protestu zamarły Juliuszowi na ustach, gdy ujrzał wściekłą minę księcia.

- Coś ty zrobił? - syczał Maksjan. - Abdmachusie, chodź tutaj!
Pers odłożył farby, wytarł ręce i podszedł do księcia, który jedną ręką trzymał truposza za ucho, a drugą sprawdzał puls na jego szyi.

- O co chodzi, panie?

Maksjan uszczypnął truposza w policzek i odparł chrapliwym głosem:

- Spójrz na jego ciało: jest ciepłe i elastyczne. Spójrz na jego puls, na jego włosy. Nasz martwy przyjaciel coś przed nami ukrywa. Co robisz, Gajuszu?

Truposz odstąpił o krok do tyłu, rozcierając ucho.

- Nic ważnego, kapłanie, choć przyznaję, że nie czułem się tak dobrze od... od stuleci!

Maksjan skrzywił się, słysząc swobodny śmiech truposza. Odwrócił się do Persa i spytał przyciszonym głosem:

- Z każdym dniem nabiera życia; co mogłoby wywołać taki efekt? Czy martwi mogą po powrocie do życia odzyskać jakoś pełnię zdrowia?

Pers spojrzął z ukosa na truposza, który wyładowywał właśnie świeże jabłka i gruszki z kieszeni swojego płaszcza.

- Wolałbym nawet o tym nie wspominać, panie - przemówił Abd-machus, odwracając się z powrotem do księcia - ale wyczytałem kiedyś w starych księgach, że martwi mogą odzyskać siły życiowe, pijąc płyny żywych...

- Pijąc ich krew!? - Przerażony ksiązę otworzył szeroko oczy. Odwrócił się do truposza, który wsparty w swobodnej pozie o stół wbijał właśnie białe zęby w miąższ jabłka. - Gajuszu, co ty zrobił? Chcę, żebyś powiedział mi o wszystkim, co dzisiaj robisz, rozumiesz? O wszystkim...

Truposz przesłał mu lekko drwiące spojrzenie.

- O wszystkim? Dziwię się, że taki młody człowiek chce słuchać opowieści o przygodach starców!

Dłoń Maksjana zadrżała, a jego palce zakreśliły w powietrzu jakiś skomplikowany znak. Truposz zachwiał się nagle, nadgryzione jabłko wypadło z jego dłoni. Twarz Gajusza Juliusza zadrżała, a jego ciało pokryło się nagle straszliwą bladością. Pochylił się, jęcząc z bólu, a potem opadł na ręce i kolana.

- W innym czasie i miejscu, starcze, twa wesołość byłaby mile widziana. Lecz tutaj i teraz, gdy najmniejszy nawet błąd może doprowadzić nas do zguby, nie możemy sobie na nią pozwolić.

Maksjan pochylił się i podniósł głowę truposza. Z jego ust ciekła stróżka śliny. Ksiązę pochylił się niżej.

- Opowiedz mi o wszystkim, co robisz. Natychmiast.

Gajusz Juliusz przewrócił się na bok, dysząc ciężko, kiedy ksiązę przywrócił część nekromantycznej energii utrzymującej życie w jego martwym ciele.

- *Pax! Pax!* Powiem ci. Wyszedłem rano, w nie najlepszym humorze, jak pewnie zauważyliście. To miejsce źle na mnie działa. Poszedłem do Palatynu i odnowiłem znajomość z zarządcą archiwów. Po kilku kulkach wina i sztukach srebra pozwolił mi pogrzebać w starych zapisach dotyczących legionów i straży miejskiej. Pracowałem w tym kurzu przez całe przedpołudnie, więc w końcu postanowiłem zrobić przerwę na posiłek. Do tego czasu zebrałem już prawie wszystkie rzeczy, które tu przyniosłem. Och, słońce znacznie poprawiło mi humor. Kupiłem placek z mięsem i pieprzem i kubek słabego wina od jednego ze straganiarzy na placu Eglabalgus i znalazłem bardzo przyjemne miejsce w ogrodzie po północnej stronie wzgórza, niedaleko archiwów. Kiedy tam siedziałem, wpadła mi w oko pewna młoda dama, która przechadzała się w pobliżu. Porozmawialiśmy chwilę i udało mi się ją namówić, by usiadła koło mnie i napiła się ze mną wina. - Truposz uśmiechnął się, wielce z siebie zadowolony. - Była naprawdę ładna: długie nogi, kruczoczarne włosy, cera jak brzoskwinia. Nie miała może zbyt dużych piersi, ale ja lubię takie kobiety. Nieważne. Spędziliśmy razem trochę czasu na miłej rozmowie, a potem pożegnałem się z nią i wróciłem do archiwów.

Zarządca właśnie zrobił sobie przerwę na drzemkę, pomyślałem więc, że lepiej będzie, jeśli zabiorę wszystkie te rzeczy tutaj, zamiast tracić czas na ich przepisywanie. Och, i kupiłem jeszcze trochę jabłek i gruszek u straganiarza na końcu ulicy.

Abdmachus, który powrócił do swoich farb i zakłęb, podniósł wzrok, trzymając pędzel tuż przy ścianie. Pers i książę wymienili porozumiewawcze spojrzenia. Twarz księcia zasnuwał gniew. Młody kapłan nieświadomie zaciskał i rozluźniał pięści. Abdmachus czuł, jak w komnacie podnosi się poziom energii.

- Starcze, co powiedziałeś tej dziewczynie o swojej pracy?

Gajusz Juliusz rozłożył ręce.

- Nic, zupełnie nic. Rozmawialiśmy o jakichś mało istotnych rzeczach.

- Powiedziałeś jej, jak się nazywasz?

- Oczywiście, grzecznie się przedstawiłem.

- Rozpoznała twoje imię?

Gajusz Juliusz uśmiechnął się szeroko.

- Oczywiście, ale to popularne imię, ta dziewczyna nie miała pojęcia, kim jestem. Jeśli w ogóle będzie się nad tym zastanawiać, to pewnie dojdzie do wniosku, że moja rodzina jest biedna, ale bardzo ambitna. Doprawdy, książę, kto mógłby pomyśleć, że ja to właśnie ja?

Maksjan pokręcił głową.

- A czy ona wyjawiała ci swoje imię? Czy była może niewolnicą w szatach jednego z wielkich domów?

Gajusz Juliusz zamyślił się na moment. Widać było, że nie starał się szczególnie zapamiętać przydomku swej znajomej. Abdmachus mruknął coś do siebie i wrócił do malowania znaków na ścianie.

Maksjan usłyszał to jednak i powtórzył głośno, odzyskując powoli spokój.

- Mąż dla wszystkich żon i żona dla wszystkich mężów.

- Mam. - Ucieszył się truposz, siadając prosto. - To była Kristina albo Kristiana, albo coś takiego.

- Nie Kristina, tylko Krista - warknął Maksjan, ponownie wpadając we wściekłość. - Nosiła znak przedstawiający trzy kwiaty splecione z głową barana. Miała lekko kręcone włosy sięgające ramion i ciemnozielone oczy. Jest niewolnicą.

Gajusz Juliusz spojrzał nań ze zdumieniem.

- Tak, to właśnie ona!

Maksjan poderwał z truposza z podłogi, jakby ten ważył nie więcej niż piórko. Przytłumiony blask otaczał jego rękę, kiedy rzucił truposzem o najbliższą ścianę. Gajusz Juliusz, z ustami szeroko otwartymi ze zdumienia, uderzył głuchym o mur i osunął się na podłogę. Maksjan podszedł do niego, zaciskając pięści z wściekłości.

- Głupcze! Twoje amory mogły doprowadzić nas wszystkich do zgu-

by! To dziewczę, piękne i niewinne, to agentka, czy szefowej Cesar-
skiego Biura Barbarzyńców!

Abdmachus wstrzymał oddech i odwrócił się w stronę obu mężczyzn. Wydawało się, że Maksjan urósł w ciągu kilku ostatnich chwil. Pokój przesycony był jego gniewem, a z trudem utrzymywana moc, którą Pers wyzwolił z niego w grobowcu pod Via Appia, sączyła się teraz w otaczające go powietrze. Choć na zewnątrz świeciło jasne popołudniowe słońce, w komnacie zrobiło się ciemno. Gajusz Juliusz skulił się na podłodze, widząc swój ostateczny i nieodwołalny koniec w rozpalonych oczach księcia.

- Biuro... Biuro Barbarzyńców? - wychrypiął.

- Tak - warknął Maksjan. - Jej szefowa, dobrze mi znana, to Anastazja de'Orelia, zwana inaczej księżną Parmy. Siedzi ukryta w cieniu cesarza i pociąga za sznurki. Choć zawsze uważałem ją za przyjaciela, zarówno w sprawach osobistych, jak i w polityce, nie ma pojęcia, co odkryłem, i nie sądzę, by mi uwierzyła, gdybym jej o tym powiedział. Co więcej, ponieważ przyjąłem pomoc naszego perskiego przyjaciela, mogę teraz zostać uznany za zdrajcę. Jeśli dodać do tego jeszcze fakt, że od kilku tygodni praktycznie nikt nie wie, co się ze mną dzieje, możemy być pewni, że agenci księżnej wszędzie mnie teraz szukają.

Gajusz Juliusz odsunął się od księcia i powoli podniósł z podłogi, wsparty plecami o ścianę. Kiedy przemówił, jego głos był cichy, lecz opanowany.

- Wystarczy. Znam się na polityce i intrygach, chłopcze. Możesz mnie zniszczyć, ale wtedy nie skorzystasz z moich umiejętności ani mojej wiedzy. Jeśli ta de'Orelia rzeczywiście nas szuka, powinniśmy jak najszybciej wynieść się stąd, zniknąć. Poradzę sobie z każdym, mężczyzną czy kobietą, kto próbuje nas wytropić.

Maksjan milczał, nie odrywając odeń gniewnego spojrzenia.

Gajusz Juliusz odsunął się od ściany i po krótkiej chwili wahania skłonił głowę przed księciem.

- Przepraszam, książę Maksjanie, nie chciałem narażać naszego wspólnego przedsięwzięcia. Obiecuję, że to się już więcej nie powtórzy.

Abdmachus znów wstrzymał na moment oddech, książę jednak skinął tylko głową i odwrócił się, wracając do książek leżących na stole. Gajusz Juliusz patrzył nań przez chwilę, potem wzruszył ramionami. Patrzył na tę sprawę ze znacznie szerszej perspektywy: raz już został zabity.

- Książę? - Abdmachus odchrząknął niepewnie.

Maksjan podniósł nań wzrok.

- Panie, Gajusz Juliusz zawinił, oczywiście, ale w jednej kwestii ma rację. Musimy wyprowadzić się z tych pokojów. Nie natychmiast, ale na pewno w ciągu tygodnia.

- Dlaczego? - warknął książę, choć jego gniew zaczynał powoli już słabnąć.

- Proszę spojrzeć na to. - Abdmachus przeciągnął ręką po ścianie, obok której właśnie stał. Namalowane przez niego symbole były zamazane i wyblakłe. Pod dotykiem Persa fragment tynku oddzielił się od ściany i spadł na podłogę, odsłaniając stare, przeżarte przez korniki i robaki listwy.

- Widzisz? Budynek niszczeje pod naporem kławy. Wkrótce ściany i stropy się zawalą. Sprawdziłem wyższe piętra - są już tak zniszczone, że nie da się po nich chodzić. Pod północnym rogim domu jest kanał ściekowy. Obawiam się, że zaprawa, z której go zbudowano, też słabnie z każdą chwilą. Jeśli tu zostaniemy, budynek może się niespodziewanie zawalić.

Maksjan westchnął i opadł na swoje krzesło. Brzemie, jakie wzięła na swoje barki, ciążyło mu coraz bardziej. Każdy dzień przynosił nowe komplikacje, a oni wciąż nie znaleźli w starych księgach i zapisach żadnej wskazówki, która zbliżyłaby ich do rozwiązania tajemnicy. Oficjalne historie wczesnego cesarstwa pełne były jedynie pochwał na cześć pierwszego cesarza. Inne zapisy były straszliwie nudne - codzienne relacje urzędników i pisarzy. Księgi dotyczące magii z początków cesarstwa zostały starannie ukryte przez ówczesnych taumaturgów lub obecnie żyjących czarowników. Maksjan był pewien, że to jakiś pojedynczy incydent zapoczątkował cały ten łańcuch wydarzeń, lecz do tej pory nie znalazł najmniejszej nawet wzmianki o tym incydencie. Poza tym musiał istnieć jakiś mechanizm - lub kilka mechanizmów - który utrzymywał kławę przez całe stulecia. Jednak i on nie znalazł żadnego odbicia w starych księgach i dokumentach.

- Dobrze, musimy się przeprowadzić. Dokąd? - spytał książę znużonym głosem.

Abdmachus zmarszczył brwi; to było istotne pytanie. Po chwili namysłu odpowiedział:

- Do jakiegoś miejsca w pobliżu miasta, ale poza jego granicami. Kława jest zbyt silna w jego obrębie. Do jakiegoś miejsca, gdzie nie sięga jej wpływ... Nie wiem. Nie znam przedmieść.

Gajusz Juliusz, który wciąż rozcierał obolały kark, przemówił:

- Jeśli dobrze cię rozumiem, czarowniku, powinno to być miejsce niezbudowane przez Rzymian. Może takie, którego właściciel zatrudnił ludzi spoza cesarstwa?

Maksjan odwrócił się powoli i patrzył na truposza przez dłuższą chwilę. Potem uśmiechnął się lekko.

- Abdmachusie, nasz martwy przyjaciel ma rację. Potrzebujemy wili albo domu letniego zbudowanego poza miastem dla zagranicznego ambasadora, kupca albo wygnańca. Kogoś, kto chciał w obcym sobie miejscu stworzyć namiastkę własnej ojczyzny. Musi to być dom zbudowany

wany obcy rękami, najlepiej z materiałów pochodzących spoza Italii, a przynajmniej spoza Lacjum. Możecie znaleźć takie miejsce, kiedy ja będę pakował księgi i inne materiały?

Gajusz Juliusz podniósł rękę.

- Ja znajdę takie miejsce, książę. Abdmachus musi tu jeszcze trochę pomamrotać i pomazać po ścianach. Zacznę jeszcze dziś wieczorem.

Maksjan skinął głową. Potrzebowali bezpiecznej przystani.

- Czuję się głupcem po trzykroć i pół, książę Maksjanie - powiedział Gajusz Juliusz, kiedy wjechali na szczyt wzgórza. Maksjan dosiadł kasztanka, którego pożyczył ze stajni swego brata, truposz - narowistego czarnego ogiera. Choć był świetnym jeźdźcem, koń robił się bardzo nerwowy w jego obecności. Za nimi, w dolinie Tybru, rozciągało się ogromne miasto. Znajdowali się na północny wschód od Rzymu, niedaleko słynnej posiadłości cesarza Hadriana w Tibur. Tutaj niskie wzgórza podnosiły się znad bagnistych równin w stronę odległych grzbietów Apeninów.

Droga, którą jechali, była w bardzo kiepskim stanie. Spomiędzy kamiennych kostek wyrastała trawa, korzenie drzew samosiejek porastających pobocza wypychały starannie dopasowane kamienie. Powietrze było jednak cudownie czyste, wypełnione świeżym zapachem pomarańczy. Maksjan czuł się o wiele lepiej, odkąd wyjechali poza miasto. Tam klątwa naciskała nań z coraz większą mocą, przyprawiając go o chroniczne zmęczenie, któremu nie potrafił w żaden sposób zaradzić.

Dotarli do wysokiego żywopłotu i jechali wzdłuż niego pod osłoną rozłożystych gałęzi drzew, aż dotarli do starej bramy. Maksjan zatrzymał konia, zdumiony widokiem dwóch sfinksów strzegących przejścia.

Gajusz także się zatrzymał i obrócił konia. Uśmiechając się lekko pod nosem, wskazał bramę.

- Po pierwsze, czułem się głupcem dlatego, że zapomniałem w ogóle o tym miejscu. Po drugie dlatego, że zapomniałem, iż za nie zapłaciłem. Po trzecie dlatego, że zleciłem jego budowę, a w połowie dlatego, że sprowadziłem ją tutaj, do miasta.

Maksjan zmarszczył brwi, zdumiony smutną miną truposza.

- Kogo?

Gajusz roześmiał się i ruszył z miejsca, przejeżdżając przez bramę.

- Kogo? Więc nie uczą już tej historii młodych i bogatych mężczyzn? To skandal. Była Greczynką, przybyła tu jako podarunek i omal nie odeszła ze wszystkim, co moje.

Maksjan i jego towarzysze wjechali na niewielkie wzniesienie, zwieńczone okrągłym ogrodem. Za ogrodem, porośniętym teraz krzakami i wysoką trawą, wznosił się zdumiewający budynek. Dwa szeregi kolumn prowadziły do głównego wejścia po drugiej stronie ogrodu.

Na końcu każdego z szeregów znajdował się wielki kamienny obelisk: dwa ogromne posągi strzegły drzwi, zwrócone do siebie swymi pół człowieczymi, pół zwierzęcymi ciałami. Za nimi wznosił się piętrowy budynek z płaskim dachem. Choć idealnie usytuowany w stosunku do wzgórz i ciągnącego się za nim długiego zbocza, wyglądał jak cudzoziemiec, który ni stąd, ni zowąd pojawił się na rodzinnej uroczystości.

- Letnia rezydencja ostatniej z Ptolemeuszów: Kleopatry, królowej Egiptu. Zbudowana przez egipskich i fenickich rzemieślników, którzy przybyli tutaj na kilka miesięcy przedtem, nim Kleopatra wjechała do Rzymu u mojego boku. Kamień przetransportowany został barkami z Górnego Nilu do Aleksandrii, a potem do Ostii. Wraz z nim przybyło do Rzymu pięciuset kamieniarzy, cieśli, architektów i robotników. Wzniesli tę budowlę w ciągu sześciu miesięcy, nie licząc oczywiście czasu, który potrzebowali na wyrównanie gruntu i wzmocnienie zbocza.

Gajusz Juliusz wskazał na porośnięty drzewami mur, który powstrzymywał zbocze przed osuwaniem.

- Tutaj przebywał jej dwór, kiedy ja zajmowałem się polityką i przygotowywałem kolejną wielką wyprawę. To było naprawdę niezwykle miejsce, książę, zamieszkanе przez uczonych i filozofów. Oczywiście, żaden prawdziwy Rzymianin, żaden senator nawet się do niego nie zbliżył. Rozejrzyj się dokoła; nawet dzisiaj nie budują niczego w pobliżu. Uważali, że to diabliska, kusicielka ze wschodu. Zwiastunka „wschodniego despotyzmu”. A teraz zobacz, co dał im Oktawian... ten, który najgłośniejszej przeklinał jej imię.

- Hm... - mruknął niepewnie Maksjan, spoglądając na wielką budowlę. Nawet po tylu latach wciąż stała na swoim miejscu, żywe świadectwo umiejętności rzemieślników sprzed wieków. - Kto jest teraz właścicielem tego miejsca?

- Ano właśnie. - Gajusz Juliusz uśmiechnął się. - Ty, panie. A właściwie twój brat. To piękna posiadłość, choć zapomniana. Tutaj nikt nie powinien nam przeszkadzać.

Maksjan zeskoczył z konia. Podeszedł do szerokich kamiennych schodów prowadzących na pierwszy poziom domu. Frontowy portyk najwyraźniej został wzniesiony tylko na pokaz: kolumny podpierały długą arkadę po obu stronach ogrodu i zacieśniały front domu. Dach upstrzony był dziurami w miejscach, gdzie spróchniałe belki zawałyły się pod ciężarem kamiennego przykrycia. Rozglądając się uważnie na boki, Maksjan wszedł do pierwszego pokoju. Przez chwilę poruszał się po omacku wzdłuż ściany, wreszcie zatrzymał się, przeklinając własną lekomyślność.

Kiedy po chwili dołączył do niego Gajusz Juliusz, Maksjan wypowiedział jakąś formułę, a z jego dłoni wystrzelił niewielki, jasnożółty płomień. Gajusz Juliusz syknął, zaskoczony.

- Całkiem zapomniałem, że to tu jest - powiedział truposz, patrząc w głąb domu.

Magiczne światło odsoniło półkolisty pokój. Ściany wykonane były z marmuru, a podłoga z wielokolorowej mozaiki. Na podłodze leżały przeróżne śmieci nawiane z ogrodu, sufit jednak pozostał nienaruszony, a pośrodku półkola, na szerokim marmurowym piedestale, stał posąg jakiegoś mężczyzny. Był wysoki, wyższy niż w rzeczywistości, i niemal całkiem nagi, choć rzeźbiarz wykuł zarysy napierśnika i skórzanej spódniczki. W jednej ręce trzymał wspartą o ziemię włócznię, drugą sięgał w stronę patrzącego. Krótkie kręcone włosy zdobiły jego głowę, której rzeźbiarz nadał przystojne - być może bardziej przystojne niż w rzeczywistości - oblicze. U jego stóp znajdowały się znacznie mniejsze postacie ludzi, którzy składali mu pokłon lub leżeli martwi. Autor posągu musiał być niezwykle uzdolniony, jako że siła wyrazu dzieła była wręcz oszałamiająca.

- Aleksander... - wyszeptał książe.

Gajusz Juliusz parsknął lekceważąco.

- Jak widzę, zwróciłeś uwagę na najmniej ważnego ze swoich pedagogów. Trochę ucierpiał przez te lata. Szkoda, robił naprawdę duże wrażenie, kiedy była na nim jeszcze farba. Ona miała obsesję na jego punkcie. Często próbowała przekonać samą siebie, że jestem jego duchem wlanym na powrót w ciało.

Maksjan odwrócił się do truposza, zaskoczony jego dziwnym, jakby nieobecnym głosem.

- Co masz na myśli?

Gajusz Juliusz westchnął.

- Sam nie wiem. Myślę, że pod koniec byłem całkiem pod jej urokiem. Ja też wierzyłem, że zostanę nowym Aleksandrem. Zabili mnie z powodu wydatków przeznaczonych na nową wyprawę. Zabierałem ze skarbca wszystko, co do ostatniej monety.

Maksjan pokręcił głową.

- Nie pamiętam tego. Myślałem, że przygotowywałeś kampanię przeciwko Dacji. Tak przynajmniej mówił mój nauczyciel.

Truposz parsknął tylko i machnął lekceważąco ręką.

- Ja też czytałem tę historię, spisana przez kogoś dziewięćdziesiąt lat po fakcie. Nie, miałem znacznie ambitniejsze plany, mój młody przyjacielu. Zamierzałem podbić całą Persję - tak jak zrobił to Aleksander, a potem zawrócić na północ, podbić kraj Scytów na północ od Morza Ciemności i w drodze powrotnej napaść od tyłu na Dację.

Maksjan, zszokowany, patrzył na truposza szeroko otwartymi oczami, jakby nagle zaczynał wszystko rozumieć.

Gajusz Juliusz uniósł lekko brwi, zaskoczony reakcją księcia.

- Coś się stało?

Maksjan pokręcił głową.

- Nie, nic, przypomniałem sobie tylko o czymś. Obejrzyjmy resztę domu; zobaczymy, czy w ogóle da się w nim mieszkać.

Dziewczyna, śniada i zręczna jak gazela, klęczała ukryta w krzewach rododendronów na zboczu wzgórza. Nieco niżej znajdował się stary dom, z którego dochodziły przytłumione głosy dwóch mężczyzn przechodzących z pokoju do pokoju. Długie włosy dziewczyna związała w warkocz i wsunęła za lekką bawełnianą tunikę, którą miała na sobie, na stopach miała sandały. Talię dziewczyny oplatał lekki skórzany pas, z którego zwisały dwie sakiewki, pojemnik z twardej skóry i cienki sztylet w znoszonej pochwie.

Coś zaszeleściło w krzakach za jej plecami.

- Sigurd - syknęła dziewczyna, nie oglądając się nawet za siebie. - Przestań gapić się na mój tyłek i wracaj do koni. Sprowadź je na dół w jakieś zaciszne miejsce, żeby ci w dolinie ich nie wyczuli.

Krzaki znów zaszeleściły, a Krista westchnęła ciężko w duchu.

Mężczyźni... tak łatwo ich rozproszyć... Dziw, że cokolwiek im się udaje.

Głosy w dole rozbrzmiały nagle głośniejsz, kiedy mężczyźni wyszli na tylny ganek willi. Taras, bardziej narażony na kaprysy pogody od strony otwartego zbocza, był w znacznie gorszym stanie niż pozostała część budynku, musieli więc ostrożnie lawirować wśród popękanych płytek i resztek rozbitej fontanny.

- ..wystarczy. Dopilnuj, żeby wozy z materiałami dotarły tu jak najszybciej. Zamieszkamy tu od razu, potem doprowadzimy wodę, żeby warunki były znośne.

Krista rozsunęła lekko gałęzie, spojrzała w dół i uniosła lekko brwi zaskoczona. Rozpoznała obu mężczyzn. Sprawa wyglądała interesująco, znacznie bardziej interesująco, niż ona czy jej pani mogłyby nawet podejrzewać. Ostrożnie zsunęła gałęzie z powrotem i wycofała się w dół wzgórza. Czas wracać do miasta. Miała jeszcze mnóstwo pracy.

TRAPEZUNT, WSCHODNIA CZĘŚĆ PONTU

2imny, przesywający do szpiku kości wiatr szalał na pokładzie „Mikitisa”. Thyatis i Nikos, opatuleni we wszystkie ciepłe ubrania, jakie mieli ze sobą, siedzieli ukryci za przednią nadbudówką, wpatrzeni w pomarszczone wody przystani. Stromy ląd schodził prosto do morza, zostawiając tylko wąski pas plaży pokrytej czarnym piaskiem. Niebo było szare i ponure. Okręt stał zacumowany o ćwierć mili od mola. Od czasu do czasu z nieba spadał drobny zimny deszcz.

Nikos, owinięty w futrzany płaszcz, który wyprosił u jednego z Turków, mruknął coś pod nosem.

Thyatis odwróciła się do niego.

- Co? Nie słyszałam.

Nikos wskazał na niebo. Niesione podmuchami wiatru, nad okrętem krążyły czarne ptaki o szerokich skrzydłach.

- Kolchida - powiedział Nikos. - Kormorany.

Thyatis pokręciła głową.

- Nie rozumiem.

Nikos odwrócił się od szarego brzegu i pochylił nżej nad uchem Thyatis.

- W opowieści o Argonautach żeglarze przybyli do Kolchidy, kamiennego przerażającego lądu. Zaatakowałyby ich właśnie takie ptaki, gdyby nie robili wielkiego hałasu, waląc z całej siły w tarcze.

Thyatis znów pokręciła głową. Nadal nie widziała związku.

Nikos spojrział na nią z ukosa i westchnął.

- Pożytki klasycznego wykształcenia, centurionie. Banda greckich piratów pod dowództwem niejakiego Jazona przybyła tutaj szukać złoto-tego runa. Jak mówi legenda, przybyli do brzegu i przyłączyli się do córki króla. Zabili jej ojca i zabrali złoto. Kiedy wrócili do domu, byli bohaterami.

Thyatis się skrzywiła.

- Ojcobójstwo to żaden powód do chwały.

Nikos odpowiedział jej uśmiechem.

- Myślę, że podobałaby ci się księżniczka z tej legendy. Była silna, piękna i wiedziała, czego chce. Kiedy później odkryła, że mąż nie jest jej wierny, zrobiła z niego gulasz i nakarmiła nim dzieci.

Tym razem i Thyatis uśmiechnęła się lekko.

- Myślisz, że zabiłabym niewiernego męża?

Nikos wzruszył ramionami; nigdy nie myślał o swym dowódcy w ten sposób.

- Przypuszczam - rozmyślała głośno Thyatis - że po prostu odeszłabym. Gdyby był nieuczciwy, nie miałabym powodu, żeby z nim zostać. Potrafię sama sobie radzić w świecie; mężczyzna musiałby być moim towarzyszem, a nie panem.

Wiatr przycichł nieco. Z przystani wypłynęły łodzie, choć niełatwo było im przedzierać się przez duże fale. Thyatis wskazała na nie głową.

- Nie zadzieraj z celnikiem. Okręt i tak wzbudzi tutaj nie lada sensację, nie trzeba nam do tego jeszcze awantury z miejscowym prefektem. Ja pójdę na dół i włożę strój skromnej córeczki arystokraty.

Nikos skinął głową, zastanawiając się, czy Thyatis utrzyma nerwy na wodzy, gdy jakiś miejscowy oficerzyna spróbuje się do niej dobierać. Uśmiechnął się na myśl o swym dowódcy w sukni - wyglądała w niej wspaniale, ale też i nienawidziła tego ubrania z całego serca. Nikos wstał i także zszedł na niższy pokład, by zawołać Arastusa i Jocziego.

Trzeba było posmarować parę żądnych złota dłoni, a oni doskonale wiedzieli, jak załatwia się takie sprawy.

Miasto Trapezunt zbudowano na szerokim szelfie, nad urwiskami otaczającymi przystań. Jeszcze w czasach starożytnych wykuto drogę łączącą nabrzeże z płaskowyżem. Trapezunt ciągnął się wzdłuż samej krawędzi klifu. Był niezwykle malowniczym miastem; wśród pobielonych budynków ciągnęły się czarne jak smoła ulice, domy pokrywała winorośl i bluszcz z małymi perłowymi kwiatami. Tutaj, pod ogromnym masywem gór Tatuś, deszcze były obfite, a sezon trwał bardzo długo. Główna droga prowadząca na południe od miasta także była bardzo stara, słupki milowe stały tu już na długo przed przybyciem Rzymian. Ciemne sosnowe i świerkowe lasy okrywające zbocza gór były świadkiem narodzin i upadków wielu królestw na wąskiej równinie, która oddzielała je od morza.

Nikos podrapał się po swojej brodzie. Była postrzępiona i rosła w nieregularnych kępkach. Nie podobała mu się, ale była konieczna. Zsunął kolorowy trójkątny kapelusz na tył głowy i poprawił skórzaną kamizelkę, którą nosił teraz na tunice. Tutaj, w cieniu wielkich gór, nawet latem ranki były chłodne. Nikos otworzył bramę stajni. Joczi i jego brat, Kurak, krzyknęli na muły, wyprowadzając ze stajni wóz. Pozostali członkowie grupy dosiedli koni.

Sarmaci nareszcie byli w swoim żywiole; jeszcze w Konstantynopolu kupili za pieniądze dostarczone przez Thyatis kilka pięknych wierzchowców i wraz z nimi cierpieli katusze podczas morskiej podróży do Trapezuntu. Teraz mogli ich dosiąść i wreszcie wyglądali na szczęśliwych. Ruszyli galopem w dół drogi, pokrzykując z radości.

Pozostali jechali w wozie o szerokich burtach, na których znajdowały się malowidła reklamujące ich przedstawienie, lub maszerowali za nim. Cały sprzęt znajdował się we wnętrzu wozu lub na ich plecach. Nikos nie był szczególnie zadowolony, że Thyatis kazała im podróżować w przebraniu wędrownego trupy aktorskiej, lecz dzięki temu nie ściągali na siebie uwagi różnego rodzaju urzędników, którzy traktowali aktorów i cyrkowców z lekceważeniem lub wręcz pogardą.

Thyatis wciąż miała na sobie suknię grzecznej panienki, choć teraz jechała na wozie, z nogami opartymi o drewnianą ławkę, na której siedzieli dwaj Turcy. Ukryta za burtami trzymała przy sobie łuk i miecz. Nikos wskoczył na konia, gniadego ogiera o łagodnym usposobieniu. Podjechał na róg uliczki, prowadzącej do stajni za gospodą. Dopiero świtało, ulice były więc jeszcze puste. Nikos machnął w stronę wozu, dając znak, że droga jest wolna, i cała grupa ruszyła przed siebie. Czekali ich długa podróż na południe, a już na samym jej początku musieli pokonać strome zbocza prowadzące do przełęczy Tatuś.

Thyatis siedziała w cieniu, na omszałym głazie przy drodze. Na kolana trzymała zawiniątko, które dał jej cesarz. Rozłożyła pergaminową mapę, starannie wygładzając rogi. Kruki skarżyły się głośno w gałęziach sosen nad jej głową. Po jednej stronie drogi ciągnęła się stroma ściana kanionu, po drugiej zaś granitowe urwisko, które dawało im cień w czasie podróży. Teraz zatrzymali się na krótki popas, wykorzystując niewielką, porośniętą trawą zatoczkę na poboczu. Po drugiej stronie znajdował się pas starannie ułożonych kamieni, za którymi płynął górski strumień. Jeden z Greków, Tyrus, przyniósł Thyatis posiłek składający się z chleba, suszonego mięsa i sera. Thyatis podjadała od czasu do czasu ser.

Nieco wyżej, nad drzewami znajdował się wąski trzypiętrowy budynek wzniesiony na skalnej półce i wciśnięty w zagłębienie urwiska. Ślepe oczodoły okien patrzyły na drogę. Ściany były pokruszone lub porośnięte dzikim bluszczem. Pasterze w dolinie mówili, że budynek nawiedzany jest przez duchy i że kiedyś, w czasach ich pradziadków, była to świątynia. Teraz gnieździły się w niej kruki i wrony, a w nocy urządziły tu polowania sowy. Thyatis przyjrzała się budowli, gdy zatrzymali się na popas, nie wyczuła jednak żadnych złych mocy.

Ze zbocza osunęło się kilka drobnych kamyków. Thyatis odwróciła trochę głowę i ujrzała Nikosa schodzącego ku niej między drzewami. Kłął szpetnie, przedzierając się przez gęste krzaki jeżyn i kolcolistów. Na jego piersiach i ramionach pojawiły się wąskie strużki krwi, aż wreszcie dotarł do głazu i wspiął się na jego szczyt. Porzucił tunikę i kamizelkę, którą nosił jako mistrz ceremonii w wędrownej trupie akrobatów. Teraz miał na sobie tylko luźne kraciaste spodnie i ciężkie buty. Jego tors, potężnie umięśniony i poznaczony starymi bliznami, był brązowy od słońca. Thyatis uśmiechnęła się do niego. Nikos przysiadł obok niej i poprawił miecz i ciężkie noże, z którymi się nie rozstawał.

- Piękny dzień - powiedział, patrząc na wąski pas błękitnego nieba widoczny nad krawędzią urwiska. - Szkoda czasu na brudną robotę przy takiej pięknej pogodzie.

- Tak - przytaknęła Thyatis, przerzucając dokumenty. - Przyjemne wakacje. Jak tam oddział?

Nikos skrzywił się, mówiąc:

- Przyzwyczajają się na nowo do jazdy. Ta beczynność wszystkich rozleniwiła.

Thyatis skinęła głową, a uśmiech zniknął z jej twarzy. W jego miejsce pojawił się cień wątpliwości.

- Kiedy wyjedziemy z tych gór, znajdziemy się w trudnym i wrogim terenie. Wysokie pustynne doliny, surowe góry, plemiona, które nie uznają ani cesarstwa, ani Persji. Poza tym będzie to bardzo długa podróż. Pierwszy dłuższy przystanek czeka nas dopiero w mieście Wan na wschodnim wybrzeżu jeziora Thospitis, gdzie mamy spotkać

się z cesarskim agentem. Według moich obliczeń, to prawie czterysta mil stąd.

Nikos skinął głową:

- Trzy, może cztery tygodnie, biorąc pod uwagę wóz i pogodę. Połowę krócej, gdybyśmy byli tylko na koniach.

- Bez wozu wyglądalibyśmy na tych, kim naprawdę jesteśmy: podejrzaną bandę twardzieli, którzy prowadzą ze sobą jedną niewinną dziewczynę.

Nikos roześmiał się, choć jednocześnie przyglądał się z uwagą twarzy Thyatis. Rozkazy, o których nie rozmawiała z nim do tej pory, wyraźnie ją martwiły. Przypuszczał, że jej zdaniem mają niewielką szansę na wypełnienie misji i ujęcie z życiem. Nikos służył w różnych armiach niemal od trzydziestu lat i dawno już przyzwyczał się do myśli o nagłej śmierci. Każdy dzień traktował jak ewentualnie ostatni dzień jego życia.

- Powinnaś to zjeść, potrzebujesz sił - powiedział, wskazując na chleb.

Thyatis skrzywiła się z niesmakiem.

- Smakuje jak ziemia. Nie mogłeś ukraść czegoś świeższego?

- Najlepszy chleb to darmowy chleb. Powiesz mi, dlaczego włączymy się po tych lasach, czy sam ma zgadnąć?

Thyatis nie odpowiedziała od razu. Złożyła dokumenty i mapę i owinęła je z powrotem w skórę. Potem zjadła resztę chleba i sera, a mięso schowała do kieszeni koszuli. Kiedy zostawili już za sobą ostatnie miasto w dolinie, zrzuciła suknię i kazała Anagatiosowi schować ją wraz z pozostałymi kostiumami aktorskimi. Wróciła do lnianej bordowej koszuli i workowatych wełnianych spodni, które nosiła zwykle w zimną pogodę. Nie było to ubranie godne rzymskiej damy - same spodnie wzbudziłyby powszechne oburzenie na Forum - ale doskonale nadawało się do podróży. Thyatis sprawdziła jeszcze raz swoją broń - długi sztylet na udzie i krótki miecz w pochwie zawieszony na plecach.

Nikos czekał cierpliwie w milczeniu.

- No dobrze - powiedziała wreszcie Thyatis, zaplótłszy na nowo włosy: z przodu zostawiła tylko dwa cienkie warkoczyki po obu stronach twarzy, reszta zaś spoczywała ciasno spleciona na plecach. - W Wan spotkamy się z tym agentem, a on pomoże nam przedostać się przez góry do samej Persji. Dwieście mil na wschód od Wan, za potężnym łańcuchem górskim, leży perskie miasto Tauris. To miasto zamyka wejście do długiej doliny prowadzącej na północ, w stronę Morza Kaspijskiego. Mniej więcej miesiąc po tym, jak przybędziemy do Tauris, oczywiście niezauważeni, na południowym krańcu doliny, poniżej miasta, pojawi się cała armia rzymska. Może w tym samym czasie, a może nie, na północnym krańcu doliny zjawią się chazarscy jeźdźcy. Ci barbarzyńcy powiedzieli, że przyłączą się do nas i pomogą nam zgnieść Persów, których

nienawidzą z całego serca, jeśli jednak Tauris nie będzie w rzymskich rękach, może się to okazać bardzo trudne.

Nikos podniósł rękę, a potem policzył uważnie wszystkich ludzi śpiących na trawie obok wozu, czyszczących sprzęt i stojących na warcie.

- Cóż, z moich obliczeń wynika, że mamy do dyspozycji czterestu ludzi, łącznie z tobą. Nie ma nawet mowy o tym, żebyśmy przejęli jakąś perską twierdzę tymi siłami.

Thyatis pokręciła głową.

- Rozkazy wcale o tym nie mówią. Mówią, że mamy zabezpieczyć Tauris, kiedy przybędą tam obaj imperatorzy.

- A co konkretnie mówią?

Thyatis uśmiechnęła się doń krzywo.

- Na razie może o tym wiedzieć tylko dowódca zespołu.

Nikos westchnął, widząc cichą satysfakcję na opalanej twarzy dowódcy.

- Czytałeś greckich poetów, kiedy byłeś młodsza?

- Nie - odparła Thyatis, skrywając grymas bólu. - Nie miałam wtedy czasu na naukę. Nauczyłam się czytać i pisać, ale nie czytałam dzieł poetów odpowiednich dla młodych dam.

Nikos przechylił głowę na bok. Przeszłość Thyatis była zamkniętą księgą, choć często stanowiła temat gorących dysput między jej podwładnymi.

- A co czytałeś?

Thyatis pokręciła głową i wstała, otrzepując spodnie z igieł.

- To nieważne. Jakiego poetę chciałeś zacytować?

- Homera - odparł Nikos, podnosząc na nią wzrok. - Odyseusz mówi do Achillesa, pod murami Troi: „Szlachetna śmierć nie przynosi zwycięstwa - tylko zwycięstwo przynosi koniec śmierci”.

Thyatis uśmiechnęła się, był to jednak uśmiech zimny jak lód.

- Mój poeta mówi: „Kiedy śmierć zagłąda ci w oczy, walcz”.

EGIPSKI DOM, LACJUM

1[^] ura zajęczała przeciągle niczym dusza dręczona w Hadesie, potem ■ ^{^^}adrzała i wreszcie, po kolejnym długim jęku wypluła z siebie mętłą wodę. Maksjan, oblepiony błotem i kawałkami suchych liści, odsunął się do tyłu, uśmiechnięty od ucha do ucha. Przez jakiś czas ciekąca z rury woda była mętna, w końcu jednak nabrała przejrzystości i stała się krystalicznie czysta. Zbiornik na szczycie domu stęknął głucho, gdy woda zaczęła wpływać do jego wnętrza. Książę otarł oczy skrawkiem tuniki, próbując usunąć z nich brud i pot. Potem pozbiierał ka-

wałki miedzianych rur, młotek i szczypce, i ruszył w dół pokrytego krzewami zbocza.

Dotarłszy do domu, schował wszystkie materiały i narzędzia w pomieszczeniu na tyłach ogrodu, potem zdjął zabrudzoną tunikę i wrzucił ją do zbiornika za drzwiami. We wnętrzu domu natknął się na Abdmachusa i dwóch jego służących, którzy przyjechali z miasta, by mu pomóc. Pers mierzył właśnie długość głównego holu willi.

- Po południu będziemy mieli bieżącą wodę - rzucił książę, mijając Abdmachusa.

Pers mruknął coś w odpowiedzi i nadal starannie odmierzał kolejne odcinki za pomocą kawałka sznurka. Dwaj służący szli za nim, robiąc na ścianach znaki kolorową kredą. Maksjan pokręcił głową z rozbawieniem. Wszedł na górę po szerokich schodach zdobionych posągami z głowami sokołów ibisów. Na piętrze kolejnych dwóch służących Persa wycierało podłogę i wynosiło śmieci nawiane do wnętrza przez okna. Gajusz Juliusz wylegiwał się na sofie przywiezionej z miasta. Na stoliku przed sofą leżała sterta papirusowych zwojów. Truposz ignorował je, zajęty pożeraniem pieczonego bażanta.

- Wkrótce będziemy mieli wodę - powiedział Maksjan, otwierając kosz, w którym truposz przywiózł z miasta jedzenie. - Będzie można nawet używać łaźni, jeśli służący je uprzątną.

Gajusz Juliusz skinął głową z uznaniem. Młody książę był dobrym Rzymianinem.

- W prawdziwym domu musi być łaźnia - powiedział, wydłubując kawałki mięsa spomiędzy zębów.

Maksjan usiadł na drugiej sofie i zaczął odkrawać kawałki sera z koła, które znalazł w koszyku. Były tam też świeże winogrona i dzban z winem. Książę powąchał wino i zmarszczył nos z odrazą.

- Masz dziwny gust, jeśli chodzi o wino - rzekł, zwracając się do truposza.

Gajusz Juliusz wzruszył ramionami.

- Te współczesne wina wcale mi nie smakują. To galijskie jest chyba najlepsze z nich. W drugim dzbanie jest ocet, jeśli chcesz ugasić pragnienie.

Maksjan pokręcił głową i wziął do ręki pusty kubek po winie, który stał tu od poprzedniego wieczora. Wstał i wytarł go ścierką.

- Wolę raczej wodę niż te siki! A dzięki mojej pracy mamy już wodę.

Opuścił pokój i zszedł na dół, do małego pomieszczenia z marmurowym sedesem. Obok ławeczki znajdowała się wbudowana w ścianę misa nad nią kran ze starego, zzieleniałego brązu w kształcie delfina. Książę uderzył w delfina ręką, a ten zaskrzypiał głośno. Książę pociągnął za uchwyt, a kran zbulgotał głośno, jakby oburzony takim traktowaniem, po chwili jednak pociekła zeń woda. Już po trzech kubkach była na tyle czysta, że nadawała się do picia.

Abdmachus siedział na drugiej sofie, kiedy Maksjan wrócił do pokoju, którego okna wychodziły na ogród z tyłu budynku. Pers trzymał w dłoniach woskową tabliczkę pokrytą drobnymi znakami, owocem jego pomiarów. Podniósł wzrok na wchodzącego księcia.

- Panie, ten dom jest niemal taumatycznie proporcjonalny - zgodnie z egipskimi naukami. Myślę, że bogowie spojrzeli w końcu łaskawym okiem na nasz pro... czy coś się stało?

Maksjan znieruchomiał nagle, wpatrzony w kubek z wodą, który trzymał w dłoni. Potem podniósł wzrok i podał kubek Abdmachusowi.

- Wypij to i powiedz mi, co czujesz!

Zdumiony Pers wziął od niego kubek i wypił łyk wody.

- Smakuje jak woda, panie, i to dobra woda. Prosto ze źródła. Może tylko odrobinę czuć w niej miedź.

Maksjan odebrał mu kubek i podał go Gajuszowi Juliuszowi.

-Pij!

- Pfuj! Nie cierpię wody. -Truposz się skrzywił, ale posłusznie pociągnął łyk. - Hm... Słodka i zimna, nie jak to świństwo, które pijemy... - truposz podniósł nagle głowę, poruszony - ...w mieście.

Maksjan skinął głową, jednocześnie zasmucony i uradowany.

- W taki czy inny sposób każdy mieszkaniec miasta pije wodę, czy to w czystej postaci, czy w zupie, czy też zmieszaną z winem - mówił książę z niezachwianą pewnością siebie. - Ludzie się w niej kąpią, piorą w niej ubrania. Nie piją jednak wody z Tybru, rzeka jest zbyt brudna. Wiele źródeł, które zaopatrywały w wodę dzielnice na Wzgórzach, dawno już wyschło. Nie wszystkie, ale większość. A skąd biorą wodę do picia? - spytał Maksjan, zwracając się do Persa.

Abdmachus zmarszczył brwi, a potem rozpromienił się, znalazłszy wreszcie odpowiedź nie tylko na to pytanie.

- Akwedukty! Prawie cała woda dostarczana do miasta pochodzi z jedenastu akweduktów. Wszystkie są kontrolowane przez urzędy cesarskie, mają kluczowe znaczenie dla funkcjonowania miasta. Zakłęcie rzucone na akwedukty przemieniłoby wodę, a poprzez wodę wpływało na wszystkich mieszkańców miasta...

Maksjan skinął energicznie głową.

- Tak jest. Oto co teraz zrobimy. - Zaczął wyłuszczać szybko swój plan, a Abdmachus notował jego słowa na woskowych tabliczkach.

Sto kroków od egipskiego domu, na zboczu, pośród jarzębinowych drzew siedziało dwoje ludzi, opartych plecami o pień największego drzewa. Ukryci powyżej budynku widzieli zarówno zarośniętą drogę wijącą się na zboczu wzgórza, jak i ogród od frontu. Poranna rosa błyszczała na liściach krzewów i drzew wokół nich, oboje byli jednak szczerze opatuleni w ciepłe płaszcze i koce, które strzegły ich przed chłodem nocy i poranka. Większy człowiek chrapał cicho, z głową przekrzywioną

na bok. Mniejszy nasłuchiwał czujnie, wyrwany z drzemki skrzypieniem wozu i rżeniem koni.

Na wschodzie niebo różowiło się coraz mocniej, zapowiadając rychłe nadejście słońca i światła. Na razie jednak ziemia spała w ciszy i spokoju, nie zważając na świt, który skradał się ku niej bezszelestnie. Ciemnowłosa dziewczyna usiadła prosto i zdjęła słomiany kapelusz. Po drodze jechał wóz z dwoma woźnicami. Dotarłszy do bramy, wóz skręcił na ścieżkę przecinającą ogród. Dziewczyna wysunęła się spod koców i nie budząc swego towarzysza, zaczęła schodzić po zboczu, przemykając od drzewa do drzewa.

Dwaj mężczyźni, jeden siwowłosy, drugi z długą czarną grzywą, zaciągnęli wóz do tylnego wejścia i zdjęli zeń ciężkie beczki, wypełnione zapewne wodą lub winem. Wtoczyli beczki do domu, stukając głośno o wykładaną płytkami podłogę. Ich niewyraźne głosy odbijały się echem w pustych korytarzach. Dziewczyna przesunęła się na czworakach jeszcze niżej. Teraz od wozu dzieliło ją ledwie dziesięć kroków, ale by się doń dostać, musiała przejść przez wąską dróżkę biegnącą dokoła domu. Konie czekały cierpliwie w uprzęży. Z domu wciąż dochodziły głosy mężczyzn, choć teraz znacznie już słabsze. Dziewczyna rozejrzała się uważnie na wszystkie strony. Świt nadchodził już coraz szybciej, nad ziemią jednak wciąż zalegał mrok.

Odczekała jeszcze chwilę, a potem przebiegła szybko przez drogę i przypadła do wozu. Ukryta za kołem zerknęła na schody prowadzące do domu, lecz nie dojrzała na nich nikogo. Zmarszczyła nos: z wozu wydobywał się paskudny zapach, przypominający smród gnijącego mięsa. *Fuj. ..coty robisz, śliczny księżu?* Krista przełknęła ślinę, tłumiąc odruch wymiotny. Z domu nadal nie dochodziły żadne głosy, przeszła więc na koniec wozu i zajrzała do jego wnętrza.

W środku leżały dwa długie kształty owinięte starym, brudnym płótnem. Smród był teraz jeszcze mocniejszy, Krista wzięła jednak głęboki wdech i sięgnęła do wnętrza wozu, odrzucając na bok skrawek materiału. Grymas obrzydzenia wykrzywił jej twarz, kiedy ujrzała czarnoszarą stopę wystającą z pakunku. Była chropowata i opuchnięta. Do palców i podeszwy przywierały bryły błota. Odór był teraz jeszcze gorszy, uderzył w jej nozdrza niczym pięść. Musiała przykucnąć i zasłonić usta, by nie wymiotować.

Na schodach domu zadźwięczały kroki. Krista drgnęła, uświadomiwszy sobie nagle, że nie zdąży uciec. Powoli podciągnęła nogi i wczołgała się pod drewnianą bryłę wozu. Spod grubych, szorstkich dech widziała tylko dwie pary stóp obutych w sandały zmierzające do wozu.

- Bogowie, ależ to cuchnie... jak zepsute masło. -To był głos księcia.

- Phi, aleś ty wrażliwy... Ja już nawet tego nie zauważam.

Mężczyźni zatrzymali się przy wozie i ściągnęli jedno z ciał. Krista słyszała, jak księżę stęknął pod jego ciężarem. Starszy mężczyzna poprą-

wił jeszcze uchwyt, po czym obaj ruszyli chwiejnym krokiem w stronę domu.

Krista poczekała, aż obaj znikną we wnętrzu, potem wysunęła się spod wozu i pobiegła między drzewa. Chwilę później był już w jarzębinowym zagajniku i potrząsała Sigurda za ramię. Ten obudził się niemal natychmiast, tylko lekko oszołomiony.

- Wstawaj, musimy natychmiast wracać do miasta.

Paskudny, słodkawy odór wciąż wisiał w powietrzu, Maksjan jednak zdążył się już nań uodpornić. Medyczne wykształcenie wzięło górę nad odrazą i teraz młody książę patrzył na dwa ciała - wykopane potajemnie z cmentarza biedoty na południe od miasta, a teraz otwarte za pomocą szczypiec i noży - wyłącznie jako na obiekt badań. Gajusz Juliusz stał za nim, oparty o ścianę piwnicy w egipskim domu. Truposz miał na sobie fartuch rzeźnicki i ciężkie skórzane rękawice, spryskane czarną cieczą. Maksjan położył ręce po obu stronach głowy pierwszego ciała i zaczął głęboko oddychać.

Fizyczne zmysły jakby przestały dlań istnieć, kiedy jego ciało zrzekło się kontroli nad postrzeganiem. Otwierał się przed nim ukryty świat, niczym nieskończone złożony kwiat zakwitający w jego umyśle. Szczegóły napływały szeroką strugą jak rwący górski potok, a Maksjan musiał poświęcić chwilę na uregulowanie i uporządkowanie owego zalewu informacji. Pochylił się nad ciałem starego mężczyzny, martwym już od kilku tygodni. Jego palce wsunęły się do wnętrza zwłok, dotknęły pozostałości wątroby, śledziony i płuc. Palce były dlań teraz przedłużeniem świadomości, która wpłynęła do wnętrza rozkładającego się ciała. Martwe tkanki rozstępowały się przed nim, odsłaniając najgłębsze tajemnice poszczególnych narządów.

Gajusz Juliusz przyglądał się temu z mieszaniną podziwu i strachu. Wiele razy widział w swym życiu śmierć, dawno już przestała robić na nim wrażenie. A jednak powietrze w piwnicy wydawało się zimne i odpychające w porównaniu z polem bitwy. Ponura praca, którą wykonywali przez ostatnie kilka nocy, szukając odpowiednich ciał w alejach Sublicy i Awentynu, także odcisnęła na nim swe piętno. Ubóstwo i upadek niższych klas miasta, które wciąż kochał, wstrząsnęły nim do głębi. W swym poprzednim życiu myślał o ludziach z niższego miasta, spod wzgórz, jedynie jako o użytecznych narzędziach w walce o władzę. Teraz upadek miasta i jego ludu ugodził go boleśnie w samo serce. Wiedział, że w tym krótkim okresie, kiedy miał władzę i mógł naprawić mechanizmy zarządzania republiką lub zmienić zwyczaje dające jej siłę, nie zrobił praktycznie nic. A co teraz? Czy w jakimś stopniu to właśnie on był odpowiedzialny za to, co teraz działo się z Rzymem?

Czas mijał powoli, odmierzany ziarnami piasku przesypującymi się w klepsydrze. Wreszcie Maksjan zadrzał i odstał od pierwszego ciała.

Pot ciekł strumieniami po jego twarzy, książę wydawał się kompletnie wyczerpany. Gajusz Juliusz doskoczył doń i pomógł mu usiąść na krześle, a potem przykucnął i spojrział mu w twarz. Oczy księcia drgały nerwowo, nieskupione na żadnym konkretnym przedmiocie. Jego prawa dłoń zaciśnięta była w pięść. Gajusz Juliusz wstał i przyniósł mu trochę wina. Maksjan odsuwał głowę od kubka, truposz ujął go jednak mocno pod brodę i zmusił do przełknięcia pierwszego łyku. Potem Maksjan sam wziął od niego kubek i wychylił jego zawartość jednym haustem.

- Jak się czujesz? - Gajusz Juliusz pochylił się nad księciem i spojrział mu w oczy.

- Jestem wyczerpany. Będę chyba musiał poczekać do jutra z badaniem dragego ciała.

- Abdmachus nie może tego zrobić?

Książę pokręcił tylko głową, zbyt zmęczony, by mówić. Gajusz Juliusz podniósł mu przed oczy jego własną dłoń zaciśniętą w pięść. Maksjan nie mógł skupić na niej wzroku, gdy jednak wreszcie tego dokonał, zmarszczył brwi zdumiony.

- Dziwne. Dlaczego moja ręka to robi?

Gajusz Juliusz rozprostował jego palce i odsłonił małą, nieregularną bryłkę szarego metalu. Wyjął ją z dłoni księcia i obrócił w palcach.

- Wygląda jak pocisk z procy. Był w ciebie? Nie widziałem żadnej rany po postrzale. Od dawna nosił ją w sobie?

Maksjan pokręcił tylko słabo głową, potem odchylił ją do tyłu i zaczął chrapać. Gajusz Juliusz westchnął i odłożył dziwną bryłkę metalu na stół. Potem ostrożnie unióś księcia i chwycąc się lekko pod jego ciężarem, zaniósł go do pokoju na piętrze.

Anastazja de'Orelia, księżna Parmy, podniosła głowę zirytowana, gdy ktoś zastukał do drzwi jej prywatnego gabinetu. Wzdychając ciężko, odłożyła list, który właśnie czytała, i poprawiła włosy.

- Wejść - rzuciła, nie kryjąc nawet irytacji. Westchnęła ponownie w duchu, kiedy do pokoju weszła Krista i uklękła przy jej biurku. Być może popełniła błąd, wykorzystując tę dziewczynę do pracy w terenie. Ale Kristę charakteryzowały spryt i ostrożność, a przy tym rzadko sięgała na siebie uwagę innych - była w końcu niewolnicą.

- Tak, moja droga, o co chodzi?

- Obserwowaliśmy ten egipski dom w górach, pani, aż do powrotu księcia i jego sługi. Wrócili dzisiaj wczesnym rankiem i przywieźli ze sobą dwa ciała, świeżo wykopane z ziemi. Wnieśli je do budynku, a my wróciliśmy do miasta, żeby cię ostrzec, pani. Książę przygotowuje tam coś strasznego! Powinniśmy poinformować edylów albo prefekta i powstrzymać go.

Krista z trudem wyrzucała z siebie słowa, wciąż zdyszana po długim biegu; wracali z Sigurdem do miasta najszybciej, jak potrafili.

Anastazja westchnęła po raz trzeci i spojrzała na klęczącą obok niej dziewczynę. Młodość, pomyślała, przecierając zmęczone oczy. Wciąż brakowało jej czasu na sen, odkąd cesarz opuścił miasto.

- Moja droga, ksiązę jest może nieco dziwny, ale nie widzę w tej wiadomości niczego niestosownego. Pamiętaj, że ksiązę jest uzdrowicielem ze świątyni Asklepiosa. Choć grzebanie się w ciałach zmarłych nie jest zbyt przyjemne, w taki właśnie sposób lekarze poznają działanie ludzkiego ciała. Inni zwiadowcy donieśli mi już wcześniej, że ktoś zabrał dwa ciała z cmentarza przy drodze na południe od miasta. Rodziny nie będą pewnie zachwycone, ale to w końcu tylko zwłoki. Jeśli chcesz, bym miała z ciebie jakiś pożytek, Kristo, musisz nauczyć się widzieć cały obraz. To nawet lepiej, że ksiązę postanowił prowadzić badania medyczne poza miastem. Gdyby ktoś odkrył, że pod osłoną nocy przewozi gdzieś zwłoki z cmentarza, mógłby mieć spore nieprzyjemności.

Krista spojrzała na swą panią z ukosa, natychmiast jednak przybrała minę pełną pokory i zrozumienia.

Księżna de'Orelia kontynuowała:

- Ksiązę jest całkowicie pochłonięty swoim nowym projektem, co stanowi miłą odmianę w porównaniu z ostatnimi tygodniami, kiedy to nie zajmował się niczym pożytecznym. Oczywiście nie potępiam go za to, że szukał towarzystwa pięknych kobiet, ale to jest dla niego o wiele lepsze. Wiem, że jego brat martwi się tym nagłym zniknięciem księcia, porozmawiam więc z nim jutro i go uspokoję. A ty powinnaś tymczasem wrócić do swoich normalnych obowiązków. Wyślę Sigurda i Antoniusza od obserwacji egipskiego domu.

Przez moment Krista miała ochotę powiedzieć swej pani głośno i dobitnie, co o tym myśli, lecz wspomnienie kilku poprzednich, bardzo krótkich utarczek tego rodzaju szybko odwiodło ją od tego zamiaru. Ukłoniła się więc nisko i wyszła z gabinetu księżnej. Już za drzwiami, w holu, klęła długo i siarczyście, nim wreszcie, drżąc z gniewu, odeszła do swojego pokoju.

Głupia stara krowa, zżymała się w myślach. Śliczny ksiązę może sobie być uzdrowicielem, ale on i ten staruch knują coś złego.

Wiedziała jednak, że nie może z tym nic zrobić, jeśli chce pozostać przy życiu. Nieposłuszni niewolnicy karani byli w Rzymie bardzo surowo.

- To ołów. - Maksjan wsypał drobiny metalu do kubka stojącego na długim drewnianym stole. Choć po dwóch dniach badań zwłoki zostały usunięte z piwnicy, powietrze wciąż przesycone było trupim odorem.

Abdmachus siedział na stołku, który przynieśli z jednej z przybudówek. Gajusz Juliusz, który przed chwilą zaniósł ciało młodego Murzyna do krematorium na tyłach ogrodu, siedział na schodach i pił rozwodnione wino.

- Ołów? - zdziwił się Abdmachus. - Czy on to jadł?

- Nie wiem... Całe jego ciało było tym przesiąknięte, nosił w sobie mnóstwo maleńkich drobin, znacznie mniejszych, niż można dojrzeć gołym okiem. Najwięcej drobin znajdowało się w wątrobie, choć znalazłem też sporo w nerkach i żołądku. Kiedy zacząłem je wyciągać, okazało się, że równie dużo ołowiu zostało w jego krwi. - Maksjan wciąż był wyczerpany, powoli jednak zaczynał wracać do siebie po drugim badaniu.

- Gajuszu Juliuszu. - Księżę odwrócił się do truposza. - Ten człowiek mieszkał w mieście od wielu lat, prawda?

Gajusz Juliusz skinął głową.

- Zgodnie z tym, co mówią edylowie z jego dzielnicy, mieszkał w Rzymie niemal przez całe swoje życie, a miał pięćdziesiąt dwa lata. Był najstarszym człowiekiem w okolicy, a przynajmniej najstarszym spośród tych, którzy ostatnio umarli. Na szczęście nie miał żadnych krewnych, którzy zapłaciliby podatek pogrzebowy, inaczej jego ciało zostałoby skremowane.

- No właśnie, rzymski obywatel od pięćdziesięciu lat. Prawdopodobnie nigdy nie wyjeżdżał na dłużej z miasta, chyba że na kilka dni do ogrodów, na wakacje. Wiemy też, że wchłonił duże ilości ołowiu. A co z tym drugim, jak długo przebywał w mieście?

- Nie dłużej niż miesiąc - odparł Gajusz Juliusz. - Mauretański niewolnik, który rozżościał swego pana. Dostał w głowę ciężkim metalowym kubkiem i umarł wyrzucony na ulicę za domem swego pana. Zabrali go stamtąd zamiatacze ulic, tego samego ranka, kiedy przywieźliśmy go tutaj.

Maksjan skinął głową w zamyśleniu.

- Był zdrowy, pochodził spoza Rzymu, a w jego ciele nie było ołowiu... prócz bardzo niewielkiej ilości w żołądku.

Abdmachus spojrział nań z zaciekawieniem.

- Więc on także miał styczność z czymś, co przenosi ten metal. Maksjan podniósł bryłkę ołowiu i zgniótł ją między palcami. Sproszkowany metal opadł na dno kubka. Maksjan wytarł palce w ściereczkę.

- W moim ciele też jest ołów - oświadczył księżę ze spokojem. - Sprawdziłem to po badaniu tego afrykańskiego chłopca. Jest go znacznie mniej niż w ciele starszego mężczyzny, ale więcej niż w ciele niewolnika. Wszyscy trzej mieliśmy styczność z tym metalem, i chyba wiem już, jak do tego doszło.

Abdmachus przechylił głowę, spoglądając wyczekująco na księcia.

Nim jednak Maksjan zdążył mu odpowiedzieć, przemówił Gajusz Juliusz.

- To znowu te akwedukty. Czytałem kiedyś w dziennikach cesarskich architektów, że rury doprowadzające wodę do publicznych fontann i insuli zrobione są z ołowiu. Czy to właśnie ten smak wyczułeś przedtem w wodzie?

Maksjan odwrócił się do niego.

- Tak. Subtelny i prawie niezauważalny. Każdy, kto jednak wyczuł ten smak, zakładał od razu, że woda pochodzi z rzeki. Mamy więc kolejny element układanki.

Gajusz Juliusz wstał i przeciągnął się, stękając przy tym głośno.

- Więc to nie jest jeszcze cała odpowiedź? Czy ołów jest trujący? Czy mógłby być przyczyną zjawisk, które zauważyliście?

Abdmachus odchrząknął, dopominając się o głos.

- Wątpię, czy taka ilość ołowiu w organizmie człowieka może zrujnować jego zdrowie i przyspieszyć śmierć, lecz rzecz, której szukamy, to zasadniczo kwestia magii. Ołów, mój drogi generale, jest z pewnością odporny na czary.

- On ma rację, Gajuszu. Kiedy chcesz uchronić coś przed działaniem czarów, zamykasz to w pojemniku z ołowiu. To metal neutralny, pozbawiony oddziaływania pozytywnego czy negatywnego. Niewidzialne siły spływają po nim jak woda po szkle.

Gajusz Juliusz otwierał już usta, by coś powiedzieć, ale przerwał mu nagły wybuch śmiechu Abdmachusa. Zarówno książe, jak i truposz ze zdumieniem patrzyli na zanoszącego się od śmiechu Persa.

- Przez cały ten czas... -Abdmachus przyłożył dłoń do ust, próbując się opanować. - Przez cały ten czas zastanawialiśmy się, spieraliśmy i błagaliśmy bogów o wyjaśnienie...

- Przez cały ten czas... co? - warknął Gajusz Juliusz.

Abdmachus podniósł rękę i uszczypnął się w nos, by powstrzymać śmiech.

- Przez cały ten czas, mój drogi przyjacielu, król Persji domagał się od swoich magów odpowiedzi na pytanie, dlaczego rzymskie legiony są odporne na czary. Czy nigdy sami się nad tym nie zastanawialiście. Rzymskie wojska walczą bez pomocy magii i podbijają niemal cały świat; Egipt, siedlisko potężnych magów, pozostałości imperium Aleksandra, łamią kark Galom i ich druidom, rozgniatają Germanów i ich czarowników. A kto myśli o rzymskich czarownikach?

- Nikt! - huknął Gajusz Juliusz. - Magia to wymysł słabych Greków i Persów. To rzymski duch podbił świat!

Maksjan położył dłoń na ramieniu truposza i pokręcił lekko głową.

- Myślisz, że każdy z rzymskich żołnierzy ma żołądek pełen ołowiu - powiedział cicho, obserwując Persa. - Że każdy z nich nieświadomie nosi w sobie tarczę chroniącą go przed czarami wrogów.

- Właśnie - odparł Abdmachus ze znużeniem. - Zaklęcia i czary, które mogły pokonać całe narody wojowników, nie przyniosły żadnego skutku w walce z Rzymianami. Jestem głupcem, że nie wpadłem na to wcześniej. Nawet niektóre elementy waszego uzbrojenia wykonane są z ołowiu...

Truposz potarł gęsty zarost, który pojawił się na jego brodzie w czasie, gdy zajmował się wykopywaniem martwych ciał z grobów i śmietników.

- No dobrze, ale czy poza tym znaleźliście na ciałach jakieś oznaki wpływu owych ciemnych mocy, które przenikają miasto?

Maksjan westchnął ciężko i ponownie usiadł na krześle. Znów rozboleła go głowa, tym razem jednak był to ból wywołany zmęczeniem. Choć czuł się znacznie lepiej niż po pamiętnych wydarzeniach w grobowcu pod Via Appia, tego rodzaju badania także kosztowały go sporo sił.

- Ciało starego człowieka nosi ciemne moce jak kocica swoje małe. Kryją się w jego krwi i przekradają niezauważone, wzdłuż jego kości. Wydaje się... wydaje się, że są niemal jego częścią. W ciele Afrykanina nie znalazłem niczego podobnego. Był czysty jak łąza.

- Więc jednak jest to coś związanego z Rzymem. - Abdmachus pokijał głową. - A ty? Czy znalazłeś też coś we własnym ciele?

- Tak - odparł Maksjan. - Równie silne jak w organizmie starszego mężczyzny, może nawet silniejsze. Wydaje się, że teraz jakby przycichły, myślę jednak, że czekają tylko na dogodny moment, by wyjść z ukrycia i mnie zniszczyć. Mógłbym spróbować usunąć to z mego ciała, może tutaj, pod osłoną obcego budynku. Może potrafię tego dokonać... - Potrząsnął głową, próbując przegonić posępne myśli, które zbierały się w jego umyśle.

- Dziwne... - mruknął Pers. Podniósł tabliczki ze swoimi notatkami i zaczął czegoś w nich szukać. - Wybacz, jeśli będę zbyt ciekawski, ale jeśli dobrze pamiętam, urodziłeś się w prowincjonalnym mieście Narbo. Przybyłeś do Rzymu nie tak dawno, nie więcej niż dwanaście lat temu, prawda? Twierdzisz jednak, że klątwa działa na ciebie równie mocno jak na człowieka, który spędził tu całe życie. To by oznaczało, że klątwa nie jest jednak związana z Rzymem jako miastem, miejscem na mapie.

Maksjan zastanawiał się nad tym przez chwilę - Pers mógł mieć rację. Jeśli jednak tak było, to co przenosiło klątwę. Coś, co dotyczyło ludzi odległych od siebie o tysiące mil, choć prawdopodobnie tylko w obrębie cesarstwa. Jaka wspólna cecha narażała ich na działanie klątwy?

Dyskutował o tym z Abdmachusem aż do wieczora. Gajusz Juliusz skorzystał z okazji i wymknął się do ogrodu, gdzie uciął sobie smaczną drzemkę w cieniu cedrów. Wiedział, że będą spierać się jeszcze przez długi czas i nawet nie zauważą jego nieobecności. Słońce przyjemnie grzało, było cicho i spokojnie. Truposz ziewnął potężnie. Nawet ci, co mają ponad sześćset lat, potrzebują czasem odrobiny snu, pomyślał.

Krista skradała się niczym kot między irysami i liliami porastającymi zbocze na północ od domu. Zamieniła jasną suknię na szarą, znoszoną tunikę. Była bosa, podeszwy jej stóp dawno już jednak stwardniały od niekończących się wędrówek przez wykładane płytkami korytarze domu de'Orelia. Zrezygnowała też z kapelusza, który zawsze nosiła w słoneczną pogodę, a jej długie czarne włosy związane były w kucyk

i schowane pod tuniką na plecach. Dotarli do wąskiej ścieżki w ogrodzie, wyjrzała ostrożnie z wysokiej trawy. Nie zauważyła nikogo, nie słyszała też żadnych podejrzanych odgłosów. Przemknęła szybko do grubego muru podtrzymującego północny kraniec portyku.

Znów przystanąła, nasłuchując. Gdzieś z głębi domu dolatywał ledwie słyszalny stuk młotka i dłuta uderzającego w kamień. Dobrze, przynajmniej wiem, gdzie jest jeden z nich, pomyślała. Strach ścisnął jej żołądek żelazną ręką: bała się nie tylko, że zostanie schwytana przez ludzi mieszkających w tym domu, ale i tego, co stanie się, jeśli nie zdąży wrócić do domu, nim księżna zauważy, że jej wyprawa po kwiaty na Forum Boarium podejrzanie się przeciąga. Na szczęście nikt nie powiedział jeszcze zarządcy tajni, że Krista nie będzie już potrzebować białego kucia, którego zabierała na wyprawę za miasto z Sigurdem. Teraz kucyk stał przywiązany do drzewa na skraju pola niemal pół mili dalej, w dole zbocza.

Perspektywa bolesnej chłosty albo nawet utraty stopy, bo tak mogła zostać ukarana za ucieczkę, przyprawiała ją o zimny dreszcz przerażenia, z drugiej jednak strony była przekonana, że śliczny książę i jego dziwni towarzysze knują coś bardzo niebezpiecznego. Podczas długiej przejażdżki z miasta zmagala się z uczuciami, jakie żywiła do księcia i doszła do wniosku, że choć książę jest bardzo miły, zwłaszcza jak na cesarskiego brata, i choć nawet trochę ją lubi, to jeśli przygotowuje coś, co może zaszkodzić księżnej, będzie musiał za to zapłacić. To wykopywanie ciał zmarłych i przewożenie ich do domu na odludziu naprawdę mocno ją zaniepokoiło. Jeszcze większy niepokój budził w niej ów starszy mężczyzna, którego spotkała w archiwach. Wyglądał jak jej dziadek, lecz podczas ich schadzki był zdecydowanie bardziej aktywny, niż powinien być człowiek w jego wieku. Miał też dziwną skórę i oczy. Jego obraz nawiedzał Kristę w koszmarach jeszcze przez tydzień po tym spotkaniu.

Pochylona, przemknęła na drugi koniec muru. Tu zatrzymała się na moment i rozejrzała ponownie. Ogród na tyłach domu także był pusty. Z wnętrza wciąż dobiegał stukot młotka. *Dwadzieścia kroków i będę przy wejściu. A może powinnam wspiąć się na ten mur i wejść przez portyk?*

Żelazna klamra zamknęła się nagle na jej lewym ramieniu, a ciężka dłoń pachnąca ziemią i czymś gorszym zasłoniła usta. Krista stłumiła okrzyk przestraszenia i obróciła się w miejscu, wykonując jednocześnie zamaszyste kopnięcie. Piętą trafiła w coś mięsistego i miękkiego, a za jej plecami rozległ się przeciągły jęk. Uścisk na ramieniu zelżał, wyrwała się więc i odskoczyła od ściany. Gnana przerażeniem pędziła w dół zbocza, przeskakując nad rozbitymi fragmentami fontann i krzakami.

Precyzyjnie rzucony kamień trafił ją w głowę, kiedy przeskakiwała właśnie nad kamiennym murem w dole ogrodu. Pozbawiona świadomości runęła na ziemię i potoczyła się prosto w krzak róży. Ostatnią rzeczą, jaką słyszała, był stukot butów o mur.

- Twoja przyjaciółka jest wyjątkowo szybka - mruknął Gajusz Juliusz cierpko, rozcierając wewnętrzną część uda. - Dwa palce w prawo i wymiotowałbym własnymi jajami, a ona pobiegłaby w płasach do lasu jak Diana.

Maksjan zignorował narzekania truposza, pochłonięty badaniem głębokiej rany na głowie dziewczyny. Kamień trafił ją tuż za uchem, zostawiając głęboką ranę. Małeńkie, ostre fragmenty kamienia wbiły się w jej skórę i górną część ucha. Energia otaczała jego palce lekką, zieloną poświatą, gdy opatrywał ranę. Pod jego delikatnymi palcami odłamki kamienia zdrząły i wysunęły się powoli z ciała dziewczyny. Rozdarłe brzegi skóry połączyły się na powrót ze sobą, podobnie jak rozcięte żyłki.

Chwilę później księżę przyglądał włosy okrywające ranę. Maksjan uśmiechnął się do siebie; wiedział, że gdyby nie jego pomoc, rana jeszcze długo by się goiła, a na głowie dziewczyny zostałyby duża, szpecąca blizna. Dobrze wykonana praca napełniała go radością, jakiej nie czuł już od bardzo dawna, pozwalając mu przy tym zapomnieć choć na chwilę o brzemieniu, które wziął na swe barki. Delikatnie uniósł głowę Kriсты i wsunął pod nią brokatową poduszkę.

- Dawno ją znasz? - spytał Gajusz Juliusz obojętnym tonem. Maksjan spojrział nań spod przymrużonych powiek. Abdmachus na wszelki wypadek odwrócił się od obu mężczyzn i skupił na swoich notatkach. Truposz spokojnie patrzył Maksjanowi w oczy.

- Dwa lata - odparł wreszcie księżę chłodno.

- Co zamierzasz z nią zrobić? Mówiłeś, że służy komuś, kto może być naszym wrogiem. Przypuszczam, że szpieguje nas już od dłuższego czasu. Obejrzałem dokładnie zbrocza powyżej i poniżej domu. Na górze w kilku miejscach trawa jest jeszcze trochę wygnieciona, jakby siedziało tam co najmniej dwoje ludzi, którzy obserwowali dom. Ta twoja księżna dobrze wie, gdzie jesteśmy. Może nawet wie, co robimy.

Gajusz Juliusz mówił ze spokojem i lekkim zaciekawieniem. Maksjan uświadomił sobie nagle, że truposz naprawdę ani trochę nie przejął się faktem, że przed chwilą omal nie zabił szesnastoletniej dziewczyny - martwił się tylko tym, jak wpłynie to na ich sytuację. Przez chwilę Maksjan był w pełni świadom przepaści, jaka dzieliła go od człowieka, który dokonywał straszliwych zbrodni w imię dobra starej republiki. Potem potrząsnął głową i przypomniał sobie po raz kolejny, że stąpają po bardzo wąskiej ścieżce i że czasami dla dobra narodu trzeba poświęcić kilka istnień ludzkich.

- Nic z nią nie zrobimy, po prostu zatrzymamy ją tutaj. Masz rację, księżna może wiedzieć o wszystkim. Jeśli tak jest w istocie, znów musimy się przeprowadzić. Jak myślisz, jak długo możemy tu jeszcze zostać?

Abdmachus zakasłał dyskretnie, a Maksjan odwrócił się w jego stronę. Pers stał po drugiej stronie stołu, na którym księżę przeprowadził

prowizoryczną operację, i przyglądał się uważnie nieprzytomnej dziewczynie, jakby zaintrygowany nagle jakąś myślą.

- O co chodzi? - spyta! Maksjan.

- Panie... proszę, nie zrozum mnie źle, ale czy kiedy opatrywałeś jej ranę, czułeś w niej kłutwę?

Maksjan zastanawiał się przez chwilę, próbując odtworzyć w myślach przebieg operacji.

- Nie - odparł wreszcie, kręcąc głową. - Czułem ołów w jej ciele, i to całkiem sporo, ale nie zarazę.

- Czy ona mieszka w mieście od urodzenia, czy została tu sprowadzona, podobnie jak ten Mauretańczyk?

Maksjan znów musiał się nad tym zastanowić. Choć spędził w domu de'Orelia niejedną noc, a nawet noc w towarzystwie tej niewolnicy, rzadko kiedy rozmawiał z nią o niej samej. Dopiero teraz uświadomił sobie, że on z kolei powiedział jej o sobie i swoich braciach znacznie więcej, niż zamierzał.

- Nie pamiętam dobrze, ale wychowała się chyba w domu księżnej. Jest chyba córką jej niewolnicy.

Abdmachus podrapał się po głowie skonsternowany.

- Więc mieszka w mieście od ilu, szesnastu lat? A jednak nie jest dotknięta kłutwą. Ty, panie, mieszkasz tu od lat dwunastu i nosisz w sobie więcej owej zarazy niż pięćdziesięciolatek. Myślę, że kłutwa wcale nie jest związana z miastem. Obecność ołowiu z kolei jest równie powszechna jak wiosenny kaszel, na który chorują prawie wszyscy mieszkańcy Rzymu. To jest coś innego, coś związanego z cesarstwem, tyle że w Rzymie przejawia się mocniej niż gdziekolwiek indziej, bo tu skupiają się wszystkie najważniejsze sprawy cesarstwa.

Książę skinął powoli głową, kiedy jego umysł rozkładał wywód Persa na czynniki pierwsze i badał je ze wszystkich stron.

- Ten starszy mężczyzna - przemówił wreszcie. - Co wiesz o jego życiu, Gajuszu Juliuszu? Czym się zajmował? Czy zawsze mieszkał w tej dzielnicy, czy też przeniósł się z jakiejś innej? Co on właściwie robił?

Truposz rozłożył ręce.

- Cóż - zaczął - z tego, co mówią jego sąsiedzi, wynika, że mieszkał tam od zawsze, w mieszkaniu na piętrze, z kiepskim widokiem. Był druciarzem; reperował buty, skórzane torby, garnki, patelnie i tak dalej. Pił tyle wina co każdy inny przeciętny Rzymianin, nie sprawiał kłopotów, nie wtrącał się do polityki. Moim zdaniem, całkiem przyzwoity obywatel. Ty pewnie znasz go lepiej, skoro zaglądałeś do jego kiszek i wiesz, co jadł w ostatnim dniu życia. Wiem jednak o jednej rzeczy, o której jego sąsiedzi nie wspomnieli ani słowem. Założę się, że on sam nigdy o tym nie mówił, chyba że kiedyś po pijanemu, gdy zebrało mu się na wspomnienia. Był obywatelem, służył w legionach, sądząc po znaku na jego ramieniu.

Maksjan odwrócił się i spojrzał na Kristę. Jej pierś unosiła się powoli i opadała pod brudną bawełnianą tuniką. Odruchowo sprawdził dziewczynie puls na szyi i przegubie. Spała spokojnie, Maksjan jednak przeciągnął dłońią po jej twarzy, pogłębiając jeszcze sen. Miał teraz pewność, że kiedy się obudzi, nie będzie czuła bólu ani żadnych skutków uderzenia kamieniem.

- Obywatel. Ja też jestem obywatelem, z urodzenia i czynów. Niewolnicy nie są...

Jakaś nieuchwytna myśl przemknęła mu przez głowę, coś związanego z jego młodością w Galii Narbońskiej, coś dotyczącego...

- ...obywateli lub dzieci obywateli. Pamiętam pewnego pasterza z posiadłości mojego ojca w Narbo. Powiedział mi, że młode silnego byka są silniejsze od potomstwa słabego byka. Krew ojca i matki wpływa na siłę dzieci - mówił ksiądz z coraz większym przekonaniem. - Zaraza jest przenoszona przez tych, którzy są obywatelami lub dziećmi obywateli państwa. Musi być przekazywana wraz z krwią z pokolenia na pokolenie.

Abdmachus pokiwał głową z uznaniem.

- Ostatecznie zaraza dotknęłaby większości populacji - mówił Pers. - Wszystkich prócz tych, którzy nigdy nie byli obywatelami, albo których rodzice zawsze byli niewolnikami. Być może nawet z każdym pokoleniem nabiera mocy.

- Ładna teoria - wtrącił Gajusz Juliusz - ale od czego to wszystko się zaczęło? W jaki sposób zaraził się pierwszy obywatel? Jeśli to, co mówicie, jest prawdą, ołów nie przenosi zarazy. Nie chce mi się też wierzyć, żeby po mieście chodził jakiś czarownik i rzucał na każdego z osobna klątwę. Ktoś musiałby to zauważyć. Więc jak do tego doszło? I, co ważniejsze, dlaczego wciąż się to dzieje?

Abdmachus westchnął i wrócił na swoje krzesło. Cała ta historia coraz bardziej go męczyła. Żałował, że nie może wymknąć się z tego miejsca i wsiąść na pierwszy lepszy okręt, który zawiózłby go do domu. Minęło już prawie dziesięć lat, odkąd po raz ostatni widział zielone wzgórza swojej ojczyzny czy jechał pod niebem znanym mu z dzieciństwa. Miał coraz większe problemy ze zrozumieniem kupców przybywających z jego kraju, coraz częściej też łapał się na tym, że myśli po łacinie. Westchnął i odsunął od siebie te smutne myśli, zapisując na woskowej tabliczce ostatnie spostrzeżenia i wnioski. Chwilę później, postawiwszy ostatni znak, przemówił:

- Zaklęcie, które utrzymuje się tak długo, musi być bardzo silne. Niemał przez całe życie zajmuję się magią, lecz na samą myśl o stworzeniu takiego zaklęcia robi mi się słabo. Wydaje mi się, że tak długotrwały efekt można osiągnąć, stosując dwa zabiegi: po pierwsze, przy rzucając klątwę złożono ofiarę z krwi; po drugie, obiekt zaklęcia musi być trwaleznaczony lub zmuszany do przyjmowania czegoś, co utrwala działanie klątwy. Może to być, na przykład... uroczystość religijna? Coś,

czemu poddany zostaje każdy obywatel po osiągnięciu pełnoletności?
Nie znam tak dobrze zwyczajów waszego ludu...

Gajusz Juliusz skrzywił się i pokręcił głową.

- Nie, nie chcimy osiągnięcia pełnoletności w szczególny sposób, może to być tylko jakieś rodzinne przyjęcie. Choć nadmierne picie wina mogłoby wywołać taki efekt... to nie zmienia się od wieków. Ale to by oznaczało, że klątwa zaczęła działać dopiero po mojej śmierci, bo ja nie jestem nią dotknięty... Co?

Maksjan wpatrywał się intensywnie w truposza.

- Pokaż mi swoje ramiona - poleciał książkę.

Gajusz Juliusz był wyraźnie zaskoczony tym poleceniem, posłusznie jednak zsunął tunikę. Pokazał najpierw lewe ramię, potem prawe, z przodu i z tyłu. Maksjan mruknął coś pod nosem i odwrócił wzrok, zamysłony.

- No i co? - spytał po chwili milczenia truposz. - Wyjaśnisz nam, •e co ci chodziło?

- Służyłeś w legionach?

- Oczywiście, choć z tego, co czytałem, wynika, że nie były to takie legiony, jakie macie teraz. Korzystałem albo z mojej osobistej straży, albo wzywałem pod broń obywateli, kiedy miasto było zagrożone. Chociaż nie, chwilę. Moi żołnierze byli już zawodowcami; armia złożona ze zwykłych obywateli po raz ostatni zebrała się chyba w czasach mojego dziadka. No dobrze, i co z tego?

- Nie masz żadnego znaku na ramieniu?

Gajusz Juliusz roześmiał się głośno.

- Oczywiście, że nie, chłopcze, byłem oficerem politycznym! Tak oznaczani byli tylko zwykli rekruci, którzy musieli służyć od sześciu do dwudziestu lat, a znak miał zapobiegać dezercji. Żaden z wyższych oficerów nie musiał poddawać się takiej procedurze; my służyliśmy z wyboru, dla dobra naszej kariery politycznej. Wygląda na to, że ten August, mój „syn”, zreorganizował legiony i wprowadził nowe zasady - znakowanie, zaświadczenie o rekrutacji, znaczek identyfikacyjny odlany z cyny. Tak wiele się zmieniło od mojej śmierci...

Truposz jakby nagle ogromnie się postarzał; przez moment wydawało się, że jego duch i wola są równie stare jak wskrzeszone po stuleciach ciało. Właśnie dlatego, że jego świat w znacznej mierze się nie zmienił, te jego elementy, które były dlań nowością - wino, rozmiary miasta, straszliwe ubóstwo niższych klas obywateli czy ogromne bogactwo wyższych warstw - uderzyły go z ogromną siłą. Maksjan spojrzął nań ze współczuciem, potem jednak zganił się w myślach: ów człowiek był martwy, stanowił jedynie narzędzie, ewentualną dźwignię zdolną poruszyć górę.

Abdmachus przeglądał notatki, które sporządzał wcześniej wraz z Maksjanem. Po chwili wyciągnął spod sterty zwojów i arkuszy księgę

w skórzanej oprawie. Otworzył ją na trzeciej lub czwartej stronie, odchrząknął i przeczytał głośno:

- Przysięgam republice rzymskiej, senatowi i ludowi rzymskiemu, że będę im wiernie służył, wykonywał rozkazy przełożonych i trwał na straży, choćby wszyscy inni się poddali. Przysięgam na honor mój i mojej rodziny, przysięgam na własną krew.

Pers odłożył książkę i pokiwał lekko głową, przeglądając kolejny rozdział „Annale Militatum”. Maksjan zmarszczył brwi.

- Tak brzmi przysięga - przemówił ponownie Pers - którą wprowadził August podczas reorganizacji armii, w szesnastym roku jego rządów jako princepsa republiki. Wcześniej żołnierze przysięgali wierność danemu legionowi, a właściwie jego dowódcy. Wprowadzając przysięgę składaną przed znakiem legionu jako symbolem całego miasta i państwa, August chciał uświadomić żołnierzom, że odpowiadają nie tylko przed swoim dowódcą, ale przed całą republiką, senatem i cesarzem,

m

- Czy to przyniosło jakiś skutek? - spytał Gajusz Juliusz z nutą zazdrości w głosie.

Abdmachus wzruszył ramionami.

- Nie czytałem historii wojskowości cesarstwa, ale dyscyplina i sprawność bojowa rzymskich legionów znana jest na całym świecie. Wygrywają bitwy ze znacznie liczniejszymi siłami wroga. Prawie nigdy się nie buntują i nie pustoszą własnych ziem.

- Przysiędze towarzyszy znakowanie, wypalanie symbolu rozżarzonym żelazem - odezwał się Maksjan. - Jednocześnie zostaje więcznaczony umysł i ciało żołnierza. Możemy spokojnie założyć, że w ciągu całej historii cesarstwa taką przysięgę złożyły setki tysięcy, może nawet miliony rzymskich obywateli. Wielu otrzymało ziemię w różnych zakątkach cesarstwa i założyło tam swoje nowe domy. Ich dzieci, chcąc nie chcąc, także związane były przysięgą i przekazywały ją z pokolenia na pokolenie...

Abdmachus przewrócił kilka kolejnych stron i przeczytał:

- Synowie męża, który zakończył swą służbę i przyjął albo ziemię, albo pieniądze na założenie własnego interesu, po ukończeniu szesnastu lat zobowiązani są także odbyć służbę w armii republiki. Ci, którzy ukończą służbę, otrzymują te same korzyści i przekazują te same zobowiązania swoim dzieciom.

Pers zamknął księgę i odłożył ją na bok.

- Wygląda więc na to, że wiele pokoleń składało tę przysięgę - mówił - i że w każdym pokoleniu przysięga coraz bardziej się umacnia. W ciągu setek lat niewielki talent do używania mocy, jaki nosi w sobie każda kobieta i każdy mężczyzna, uwiązany tą przysięgą wzrastał i przybrał formę, którą widzimy dzisiaj. Każdy kamień położony ich rękami, każdy utkany przez nich płaszcz, nawet wino z ich piwnic - wszystko do-

tknięte jest tą odrobiną mocy, która rośnie i rośnie do potwornych rozmiarów...

Maksjan usiadł ciężko na krześle. Próbował objąć myślami obraz zaklęcia, wzmacnianego przez sześćset lat przez kolejne pokolenie mężczyzn i kobiet. Miliony obywateli, a każdy z nich dokłada swoją część mocy, ta zaś rośnie niczym grzyb w cieniu państwa, aż połknie cały świat. *Bogowie, jakaż siła musi się kryć w takiej strukturze!* Jakiś głos w głębi jego umysłu skamlał ze strachu - w żaden sposób nie mógł powstrzymać takiej mocy!

Potrząsnął energicznie głową i wstał.

- Przywieźcie mi więcej ciał, tym razem żywych. Muszę poznać się tej rzeczy.

Krista jęknęła cicho i przewróciła się na bok, jakby odsuwając się od księcia.

Maksjan ją zignorował.

- - Gajuszu Juliuszu, potrzebuję żołnierzy, zarówno tych niedawno wcielonych do armii, jeśli tacy w ogóle jeszcze są w mieście, jak i tych, którzy odsłużyli już swoje. Im szybciej, tym lepiej.

OKOLICE MIASTA WAN, ARMENIA POD OKUPACJĄ PERSKĄ

Aniech to, dużo ich. - Thytis schowała lunetę do skórzanego pokrowca i zsunęła się z grzbietu skalistego zbocza. Nikos i Timur, którzy leżeli w cieniu głazu na dnie wyschniętego strumienia, obserwowali w milczeniu, jak skrada się do ich kryjówek. Gdy wreszcie ułożyła się w ostatnim skrawku cienia pod głazem, Nikos podał jej bukłak z mętą wodą z ostatniej studni, jaką mijali po drodze. Thytis piła długo i łapczywie, rozlewając odrobinę wody na brodę.

- Pfu! - warknęła, ścierając z twarzy brudną smugę. - Paskudny kraj. Cóż, moi wierni żołnierze, sprawy nie wyglądają najlepiej. Od bram miasta dzieli nas jakieś sześć tysięcy Persów. Macie jakiś pomysł, jak się tam dostać?

Timur oparł się o chłodny kamień i zamknął oczy. Był tylko zwiadowcą, planowanie należało do dowódców. Wiatr sunął ze świstem wzdłuż kamiennych brzegów i chłodził ich swym ciepłym oddechem. Timur czuł się tak, jakby wracał do domu, choć wiedział, że to nieprawda. Ta sucha i jałowa równina, rozciągająca się wokół wielkiego jeziora otoczonego wąskim pasem zieleni, przypominała jego rodzinne strony tylko w takim stopniu, by obudzić wspomnienia, nie mogła jednak ukazać jego otwartym oczom wyniosłych szczytów Ałtaju czy Khir Sahr. Bolała

go noga, co było kolejnym znakiem, że nie jest w domu. Czy gdyby miał zdrową nogę, byłby tutaj?

- Jesteś pewna, że mamy spotkać się z tym człowiekiem w mieście?

Thyatis skinęła głową.

- Tak, znam hasło, dzięki któremu będę mogła się z nim skontaktować, ale nie mam pojęcia, jak dotrzeć do jego ludzi w Tauris. Bez niego będziemy musieli dostać się do Tauris wyłącznie o własnych siłach, bez niczyjej pomocy. Musimy wejść do miasta i odnaleźć tego człowieka. Jeśli nie żyje albo uciekł, spokojnie możemy przerwać misję i przedzierać się na południe, na spotkanie z armią, ale jeśli mamy jeszcze jakiegokolwiek szanse na realizację zadania, musimy je wykorzystać.

Nikos skinął głową.

- No dobrze, ale jak się tam dostaniemy? Tutaj jest całkiem pusto; nie damy rady przemknąć się niezauważenie pod same mury. Nie spotkaliśmy nawet żadnego tubylca, nie możemy więc nikomu przekazać wiadomości ani nikogo przekonać, żeby pokazał nam jakieś sekretne wejście. Nie wiemy nic o tych perskich wojskach, kiedy zmieniają się strażę, skąd pochodzą, więc nie możemy podszywać się pod ich żołnierzy.

- To prawda... Uwielbiam twój optymizm, Nikosie. Timurze, otwórz oczy i odpowiedz mi na kilka pytań. Byłeś wczoraj w nocy na zwiadzie; czego się dowiedziałeś?

Timur uniósł powieki i zamrugął kilkakrotnie, oślepiiony.

- *Beki jegun*, widziałem dwa *wadi* - odparł. - Wyschnięte koryta, takie jak to. Biegną między wzgórzami do jezior po obu stronach miasta. Południowe jest szersze i głębsze. Wydaje się, że przechodzi dość blisko murów miasta, toteż kilkoro z nas mogłoby zakraść się stamtąd pod same mury, a potem spróbować na nie wejść. Przy odrobinie szczęścia dostaniemy się w ten sposób do środka, rzecz jasna, jeśli strażnicy nie przebiją nas wcześniej włóczniami.

- To zbyt ryzykowne. - Nikos pokręcił głową. - Możemy narobić zamieszania, a nie chcemy, żeby obrońcy miasta czy Persowie wiedzieli, że tu jesteśmy. Musimy zakraść się niepostrzeżenie i niepostrzeżenie wymknąć, razem z tym mężczyzną. Jeśli nikt się nie dowie, że tutaj byliśmy, będzie to można nazwać sukcesem.

Tym razem to Timur pokręcił głową.

- *Beki arban*, marzenie ściętej głowy. Ziemia jest sucha, a niebo czyste. Wcześniej czy później perscy zwiadowcy zobaczą ślady naszego wozu, dowiedzą się, że tu jesteśmy, i zaczną nas ścigać.

Thyatis uderzyła otwartą dłonią w udo, wzbijając przy tym obłok kurzu.

- Obaj jesteście głupcami, ja zresztą też. Mamy przecież doskonałą drogę do miasta, leży prosto przed nami, jasna i niebieska jak niebo. Jezioro. Możemy w nocy pod płynąć łodzią pod same mury miasta.

- Łodzią? - parsknął Nikos. - Gdzie znajdziemy łódź na tym pustkowi? Nie sądzę, żeby ludzie z miasta zostawili jakieś łodzie Persom, a nie mamy ani drewna, ani czasu, żeby zbudować nową.

Thyatis roześmiała się i wyszła z cienia głazu. Słońce wędrowało powoli ku zachodowi, wciąż jednak stało wysoko na niebie. Thyatis spojrzała na nie spod przymrużonych powiek, oceniając czas, jaki pozostał im do wieczora, potem ruszyła energicznym krokiem w dół *wadi*. Timur jęknął i wyczołgał się powoli z cienia. Ból w nodze stawał się coraz dokuczliwszy. Nikos ruszył biegiem za swoim centurionem. Timur patrzył na oboje z troską - nikt przy zdrowych zmysłach nie powinien biegać w takim upale.

Niebo nad jego głową było idealnie błękitne, niezmacone najmniejszą nawet chmurką.

- Więc dlatego ciągnęliśmy ze sobą ten przeklęty wóz? - spytał szeptem Nikos. Thyatis z trudem odróżniała jego słowa od chlupotu wody uderzającej o brzeg jeziora. Nieśli między sobą składaną łódź, którą Sarmaci przywieźli w wozie. Na dnie łodzi leżały suche ubrania i broń.

Skradali się ostrożnie przez plażę dzielącą ich od wód jeziora. Nieco wyżej, w kępie drzew kryjących wóz i pozostałych ludzi, rozległo się przeciągłe pohukiwanie sowy. Thyatis i Nikos natychmiast przypadli do ziemi, ostrożnie kładąc łódź, by nie robić hałasu. Noc była cicha, słychać było jedynie chlupot drobnych fal jeziora.

Thyatis obróciła się, tak by widzieć plażę w obu kierunkach. Nie dostrzegła żadnych świateł, nie słyszała też stukotu kopyt o kamienie. Kiedy po chwili nad brzegiem wciąż panowała cisza, poczuła się nieco lepiej, choć nadal nie było sygnału oznaczającego wolną drogę. Księżyc jeszcze nie wstał, toteż nad brzegiem zalegały całkowite ciemności.

Ciszę nocy przeciął nagle krzyk bólu, potem w kępie drzew rozległ się szczęk żelaza. W górę wystrzelił nagle płomień, oświetlając sylwetki biegnących ludzi. Thyatis wstała i zamarła w bezruchu, niezdeterminowana. Z ciemności wyleciała nagle strzała, która wpadła do wody tuż za nimi.

- Ruszaj się! - syknął Nikos i zaczął szybko ciągnąć łódź do wody. - Nic już tu po nas, uciekajmy!

Kolejna strzała uderzyła w rufę łodzi. Thyatis otrząsnęła się wreszcie i popędziła za Nikosem, który był już w wodzie i spychał łódź na głębinę. Wbiegła do jeziora, wysoko podnosząc nogi, potem odskoczyła na bok, usłyszawszy świst za plecami.

Włócznie uderzyła z pluskiem w wodę, a stojący kilka kroków dalej mężczyzna zaklął głośno. W ciemności rozświetlanej blaskiem ognia płonącego w koronach drzew widać było tylko jego ciemną

sylwetkę. Ogień odbił się w ostrzu miecza, który trzymał w dłoni. Postąpił o krok do przodu i zamierzył się do ciosu. Thyatis zablokowała uderzenie, odbijając otwartą dłonią płaz ostrza, wyskoczyła z wody, wściekła, że zostawiła własny miecz w łodzi, i wykonała szerokie, obrotowe kopnięcie, mierząc w głowę napastnika. Ćwieki jej buta zachrzęściły o metalowy hełm, a mężczyzna odleciał do tyłu, wymachując rękami.

Thyatis ruszyła biegiem przez wodę, uciekając od perskiego żołnierza. Trzydzieści stóp dalej, gdy okryła ją już ciemność, weszła w głębszą wodę. Na plaży pojawiły się kolejne sylwetki, słychać było wykrzykiwane ostro rozkazy. Na wzgórzu ucichł szcęk broni, zagłuszony rykiem ognia pochłaniającego krzaki jałowca. W jego blasku Thyatis widziała dziesiątki mężczyzn w zbrojach biegnących w dół zbocza, na plażę.

Och, Timur, pomyślała, dlaczego musiałeś mieć rację!

Szła dalej, aż tylko jej nos i oczy wystawały ponad powierzchnię wody. Potem zaczęła powoli płynąć w stronę Nikosa, utrzymując ręce pod wodą. Na plaży kręciło się coraz więcej ludzi z pochodniami i latarniami, przeszukujących wodę przy brzegu.

Nikos, ty pół Greku, pół Mrze i bogowie wiedzą co jeszcze, nie waż się ode mnie uciekać...

Łódź kołysała się delikatnie na wodzie. Nikos leżał na jej dnie, trzymając na brzuchu łuk z nałożoną na cięciwę strzałą. Z brzegu dolatywały go przekleństwa perskich sierżantów, którzy rozstawiali swych ludzi po plaży. Słyszał także plusk wody i głosy żołnierzy, którzy weszli do jeziora z lampami i włóczniami w rękach. Nie umiał ocenić, jak daleko są od brzegu i łodzi. Nie odważył się też wyrzeć za burtę w obawie, że zdradziło światło odbite w jego oczach. Postanowił więc zagwizdać, naśladowując przeciągły pisk lelka. Czterdzieści uderzeń serca później zagwizdał ponownie.

Nagle na plaży rozległ się krzyk, wołanie myśliwych, którzy dostrzegli swoją ofiarę. Gwizdy oficerów przecięły noc, a światła na brzegu przesunęły się na północ. Nikos usiadł w łodzi, zapominając o wcześniejszych obawach. Pochodnie migotały nad wodą niczym roje świetlików. Znowu ktoś krzyknął, rozległ się zgrzyt metalu o metal. Pochodnie zbiegły się w jedno miejsce, ludzie gniewnie krzyczeli. Nikos wyciągnął szyję jeszcze mocniej, nie dojrzał jednak nic więcej. Jego serce wypełniał ból i bezsilna złość - jeśli nie dowódca, to z pewnością ktoś z jego ludzi wpadł właśnie w ręce wroga.

Łódź zakołysała się gwałtownie, a zmęczony głos szepnął:

- Idioto! Połóż się i uspokój łódź, zanim wypadniesz.

Nikos przesunął się na drugą stronę łodzi, pochwycił rękę Thyatis i szybko wciągnął ją do środka. Była całkiem przemoknięta

i wciąż miała na sobie kolczugę, którą włożyła, gdy tylko ujrzeli po raz pierwszy oblężone miasto. Dysząc ciężko, leżała na dnie łodzi w kałuży wody.

- Wiosłuj - warknęła głosem pełnym wściekłości i bólu. - Zabierz nas stąd.

Odgłosy walki na brzegu ucichły, wśród myśliwych zapanowało jakieś poruszenie. Nikos włożył wiosło do wody i przesunął je do tyłu. Łódka powoli ruszyła naprzód, w czerń nocy. Thyatis, krańcowo wyczerpana, leżała na dnie łodzi i cicho szlochała.

EGIPSKI DOM

9i alo! Hej! - Krzyki odbijały się echem od kamiennych ścian korytarza. - Jest tam kto? Hej, przekłete psie syny! Halo! - Krista wisiała na kracie celi, w której się obudziła, opierając stopy na najniższym szczeblu drzwi, i wrzeszczała z całych sił. Jej włosy zlepione były błotem i zakrzepłą krwią, jedno ramię całkiem podrapane, a głowa i twarz z jednej strony dziwnie wrażliwe. W celi leżały koce, trochę słomy i postawiono dwa wiadra.

- Wypuście mnie! Wypuście mnie albo pożałujecie!

Wściekła i zachrypnięta zeskoczyła z powrotem na podłogę i zaczęła przechadzać się nerwowo po ciasnym pomieszczeniu. Było małe i surowe, i bez wątpienia służyło za celę.

Ten stary piernik potrafi rzucać, mruknęła do siebie, wściekła, że dała się złapać. Pani nie będzie ze mnie zadowolona.

Zniknęła jej biżuteria oraz sandały i rzemyki, którymi związywała włosy. Krista przypuszczała, że została dokładnie przeszukana, nim rzucono ją jak worek ziemniaków na podłogę celi.

W korytarzu rozległy się czyjeś kroki, a Krista ułożyła się szybko na podłodze, zwinięta w kłębek, tak jednak, by widzieć drzwi. Już po chwili oddychała równo i powoli, pochrapując nawet od czasu do czasu. Jakaś wymizerowana postać stanęła przy wejściu i oparła się o kratę wyczerpana.

- Oj, biedna dziewczyno, co ja z tobą zrobię? - Głos księcia był słaby, wypalony zmęczeniem, straszliwie długimi godzinami nieprzerwanego wysiłku. Miał na sobie ciężki rzeźnicki fartuch pokryty plamami zakrzepłej krwi. Jego nogawice także były poplamione, otaczał go przy tym nieprzyjemny, trupi zapach. Krista, która przyglądała mu się spod ledwie uchylonych powiek, była przerażona jego wyglądem. Dłonie księcia także pokryte były warstwą zakrzepłych cieczy.

- Wypuść mnie - wyszeptwała. *Kto wie, gdzie jest teraz ten starzec albo*

ci ludzie o wschodnim wyglądzie, którzy przebywali w tym domu i wychodzili z niego? - Nie szpiegowałam was, byłam tylko ciekawa...

Maksjan podniósł głowę i przez mgłę zmęczenia dostrzegł, że Krista uniosła lekko głowę nad podłogę i patrzy prosto na niego. Poczł ogromną ulgę, że wróciła do zdrowia, i że praca, jaką poświęcił na opatrywanie jej rany, nie poszła na marne. Nagle uświadomił sobie, że jest straszliwie zmęczony i że natychmiast powinien położyć się spać.

- To dobry pomysł - potwierdziła Krista, Książę wypowiedział bowiem swoje myśli na głos. - Jeśli mnie wypuścisz, pomogę ci wrócić na górę. Powinieneś się też wykąpać.

Maksjan spojrzł na siebie i przeraził się własnym wyglądem. N < chwilę zakręciło mu się w głowie, kiedy zrozumiał, ile krwi ma na sobie, i jak stare są niektóre plamy. Wspomnienia zaczęły tłoczyć się w jego umęczonym umyśle, pospieszna procesja obiektów badań - jednych martwych, drugich żywych, a jeszcze innych - bliskich śmierci. Zgrzyt piły przecinającej kości. Trzask członków łamanych w imadle. Wibrująca energia w jego rękach, sięgająca w głąb narządów drgającego jeszcze ciała, potem wycie i oślepiający błysk, kiedy otworzył czaszkę niezżyjącego od lat generała, a moc martwego ciała wpłynęła weń niepostrzymaną falą.

Straszliwe, bolesne wycie wyrwało się z jego ust i wypełniło korytarz. Krista zasłoniła dłońmi uszy i odsunęła się jak najdalej od stworzenia leżącego pod drzwiami celi. Potem stworzenie owo zaczęło płakać, jego ciałem wstrząsał głęboki szloch. Krista podczołgała się do niego i sięgnęła po klucze zawieszzone z tyłu sztywnego fartucha. Jeden z nich pasował do zamka w drzwiach celi, które szczęśliwie dla niej otwierały się do środka. Krista wyszła na zewnątrz, spoglądając ze współczuciem na człowieka bijącego głową o kamienie podłogi. Drzwi po drugiej stronie korytarza były otwarte.

- Proszę... - dobiegł ją głos spod celi, kiedy wchodziła na schody - proszę, nie zostawiaj mnie...

Krista odwróciła się, spoglądając w ciemny korytarz.

W dole od głównego budynku domu, w cyprysowym zagajniku, stała niewielka kapliczka poświęcona Jowiszowi. Maksjan klęczał w jej wnętrzu przed prostym kamiennym ołtarzem. Gęsty bluszcz oplatał zewnętrzne ściany kaplicy i przesłaniał małe okna. Książę postawił na ołtarzu dwie świece, po jednej z obu stron. Kiedyś w niszy za ołtarzem znajdował się niewielki posążek boga, zniknął jednak stamtąd już wiele lat wcześniej. Książę wyciągnął przed siebie rękę i położył na kamieniu dwie bryłki cyny.

- O panie sprawiedliwości, przebac mi. Zbezczeszciliem ciała dwóch twoich sług, Aurusa Antoniusza Sabeinosa i Juliusza Terencjusza, którzy służyli wiernie państwu i cesarzowi, nie wyrządzając nikomu krzywdy.

Sprofanowałem ich ciała i pociąłem je na części. Błagam, byś pozwolił im zaznać pokoju w twoim królestwie i stanąć w całości przed twoim sądem. Ręce księcia drżały lekko, kiedy nalewał wino do płytkiego dzbana stojącego na podłodze przed ołtarzem. Potem wsypał do wina skrzystalizowany miód i ziarno, które nabrał z dwóch małych misek. Jego ciało było całe obolałe, zmaltretowane mocą, którą wykorzystywał podczas badania ciał znoszonych do piwnicy. Dziwne plamy światła i cieni latały mu przed oczami. Nie doszedłby do kaplicy bez pomocy Kristy.

- O Mitro, który osądzasz i oceniasz wszystkich ludzi, wybac mi te czyny. Pragnę pomóc wielu, ludowi i senatowi, ale żeby tak się stało, kilku innych musi umrzeć. Biorę ten grzech na siebie, przyjmuję odpowiedzialność, w tym i w przyszłym życiu, za wszystkie te czyny.

Maksjan pochylił się nisko, przykładając czoło do miękkiej piaszczystej gleby. Jego umysł wreszcie był jasny. Po załamaniu, które przeżył pod celą Kristy, leżał przykuty do łóżka przez trzy dni. Jego ciało, doprowadzone do granic wytrzymałości, odmówiło w końcu posłuszeństwa. Dopiero wówczas uświadomił sobie, że pochłonięty szaleńczą pracą dopuścił się straszliwych zbrodni. Podniósł głowę znad podłogi, ocierając łzy spływające po jego policzkach. Próbował zapomnieć o ohydzie swych czynów, powtarzając w myślach słowa wypowiedziane zimnym głosem Gajusza Juliusza: „Chłopcze, dobry dowódca musi być gotów poświęcić kilka żywotów, by zapewnić zwycięstwo i bezpieczeństwo całej reszty”]

- O Mitro, przyjmij moją ofiarę, proszę, proszę, przebac mi...

JEZIORO THOSPITIS, PERSKA ARMENIA

/_/romień słońca, złoty i ciepły, przesunął się powoli po policzku Thyatis. Nie zważając na linie wyżłobione przez łzy w warstwie brudu, tańczył przez moment na jej brodzie, a potem niżej, na obojczyku, by wreszcie zniknąć za poszarpaną krawędzią tuniki. Pojawił się jednak następny, rozpalil płataninę złotych loków, a potem przesunął się na powiekę. Thyatis zmarszczyła nos i ziewnęła. Kurz z koca, pod którym spała, połaskotał ją w nozdrza i kichnęła. Przebudzona leżała jeszcze przez chwilę w bezruchu. Czowała wyraźnie kołysanie łódki i delikatne podmuchy wiatru, słyszała też chłopot pojedynczego wiosła. Ostrożnie zsunęła koc z twarzy.

Nikos, przystrojony w jej słomkowy kapelusz, siedział na rufie i zanurzał wiosło raz po prawej, raz po lewej stronie łodzi. Łódź sunęła z sykiem przez błękitne fale. Widząc, że już nie śpi, uśmiechnął się do niej i trącił stopą słomianą torbę leżącą na dnie.

- Zostało trochę jedzenia - powiedział znużonym tonem. - I jest mnóstwo wody.

Thyatis podniosła się i wyrzała za burtę, by zobaczyć ogromną niebieską tafłę jeziora. Małe fale, wzniecane przez wiatr, marszczyły lekko jego powierzchnię. Słońce wciąż wędrowało w górę nieba, świt jednak dawno już minął. Daleko na północnym wschodzie rysowała się brązowa linia brzegu i majaczących na horyzoncie wzgórz. Na północy, prosto przed łodzią, widać było wielkie niebieskie pasmo gór wyrastających ponad mgłę znaczącą równinę ciągnącą się wybrzeżem. Thyatis wskazała na nie ręką.

- Płyniesz do przełęczy Ala?

Nikos skinął głową i odłożył na chwilę wiosło na kolana. Ręce ciążyły mu jak olów po dwunastu godzinach nieprzerwanego wiosłowania. Westchnął i potarł twarz, czując, jak jego skóra wysycha i pęka w bezlitosnym blasku słońca odbitym od powierzchni wody.

- Tak - wychrypiął przez wyschnięte gardło. Potem napił się wody z bukłaka leżącego między jego stopami. - Według twojej mapy gdzieś przed nami do jeziora wpada strumień. Pomyślałem, że przybijemy na chwilę do brzegu i poszukamy czegoś do jedzenia, nim ruszymy na północ.

Thyatis odwróciła się do niego, zajęta grzebaniem w słomianej torbie. Znalazła kawałek sera i kilka pasków suszonego mięsa. Nie mieli już ani odrobiny chleba. Znalazła też drugi bukłak i napiła się wody. Mięso było bardzo twarde, włożyła je więc do ust, by nieco zmiękło. Nie jadła też sera; miała zbyt wysuszone usta.

- Północ? Myślisz, że będziemy wtedy dostatecznie daleko od Persów z Wan?

Nikos skinął głową.

- Z mapy wynika, że to prawie trzydzieści mil od miasta, więc nie będzie tylu patroli. Możemy poruszać się wzdłuż strumienia i przeciąć tę równinę, którą widać przed nami. Za półwyspem dotrzemy do drogi biegnącej na północ, przez Ala, i do doliny pod Araratem.

Thyatis otarła usta i zatkała bukłak. Przysłoniwszy dłonią oczy, patrzyła na północ, w stronę odległych błękitnych gór. Droga na północ, do góry Ararat i doliny Araksesu prowadziła przez wielkie góry na wschodzie - korzystając z tego rozwiązania, weszliby od północy do doliny, w której leżało miasto Tauris, a nie od zachodu, gdzie znajdowała się główna droga. Mniej Persów, mniej pytań, ale duże opóźnienie. Przybyliby do miasta kilka tygodni później, niż zamierzali. Spojrzała pytająco na Nikosa, ten jednak wzruszył tylko ramionami. On także przemysłał już wszystkie za i przeciw.

Thyatis wbiła zęby w twarde mięso. Czekala ich bardzo długa droga. Nie myślała o martwych towarzyszach, których zostawili za sobą nad brzegiem jeziora, ani o człowieku, który nadaremnie oczekiwał ich w Wan.

Thyatis kuciała w gęstwinie krzaków głogu, trzymając nad głową płaszcz. Zaledwie kilkanaście stóp dalej wstęga twardo ubitej drogi przecinała zbocze góry i zbiegała w głąb niewielkiej doliny, z której wspinali się od samego rana. Słońce paliło Thyatis w kark, dokładając kolejną warstwę brązu do jej i tak ciemnej już skóry. Delikatna, ledwie wyczuwalna bryza znów zmieniła kierunek, przynosząc do jej uszu stukot kopyt. Nikos usłyszał go już wcześniej, kiedy maszerowali po krętej drodze prowadzącej w stronę odległej linii zielononiebieskich sosen. Obejrawszy się, dostrzegli na drodze dwóch jeźdźców zdążających w tym samym kierunku co oni. Choć od Thyatis i Nikosa dzieliło ich jeszcze ponad dwie mile, stukot kopyt odbijających się od starożytnego kamiennego mostu łączącego brzegi doliny niósł się w czystym powietrzu na dużą odległość. Dwójka uciekinierów miała dość czasu, by ukryć się w krzakach po przeciwnych stronach drogi.

Nikos chował się za pochylonymi ze starości drzewami, jakieś czterdzieści kroków nad drogą, tuż za ostrym zakrętem. Thyatis była niżej, zaledwie kilka stóp od miejsca, gdzie zbocze zamieniało się niemal w urwisko. Coraz wyraźniej słyszała stukot kopyt i głosy dwóch mężczyzn. Sprawdziła jeszcze raz, czy miecz gładko wychodzi z pochwy, i po raz kolejny pożałowała, że nie ma ze sobą włóczni albo łuku. Nieważne, pomyślała, gdy pierwszy z jeźdźców wyjechał zza zakrętu poniżej. Sądząc po ich wyszywanych płaszczach i kapeluszach, byli perskimi posłańcami. Nie spieszą się zbytnio, pomyślała, obserwując ich spod płaszcza.

Gdy tylko jeźdźcy ją minęli, Thyatis odrzuciła płaszcz. Czekwała w bezruchu, jedną rękę trzymając na gałęziach, które musiała odepchnąć, by dostać się do drogi. Ukryty za drzewami Nikos naciągnął cięciwę i wymierzył strzałę o czarnych lotkach w pierwszego jeźdźcę. Wypuścił powietrze z płuc, a strzała ze świstem przecięła powietrze i wbiła się w pierś Persa.

Mężczyzna wciąż patrzył ze zdumieniem na drzewce wystające z jego ciała, kiedy Thyatis ruszyła biegiem w górę drogi. Drugi z Persów nadal pytał swego towarzysza, co się stało, kiedy Thyatis doskoczyła do niego i chwyciła go za szyję. Gniady ogier, przestraszony, zarżał gniewnie i wierzgnął, wyrzucając jeźdźcę w powietrze. Thyatis natychmiast zwolniła uścisk, pozwalając, by Pers przeleciał kilka stóp i uderzył głucho o twardą drogę, potem odskoczyła w bok, uciekając przed zębami rozwścieczonego konia.

Tymczasem przeszyty strzałą zwiadowca opadł bezwładnie na grzbiet swego wierzchowca, który zaczął kręcić się w kółko, zdezorientowany. Nikos podchodził doń powoli i przemawiał łagodnym tonem. Thyatis zaczęła okrążyć nerwowego gniadosza.

- Dobry konik. Dobry konik. Chcesz jabłko? Dobre jabłuszko.

Nikos pochwycił wreszcie wierzchowca, wyjął wodze z dłoni martwego mężczyzny i zepchnął bezwładne ciało na ziemię. Potem odprowa-

dził konia na bok, do niewielkiej kępy jałowców przy drodze. Kiedy wrócił, Thytis zdążyła już uspokoić drugiego konia.

- Sprawdź go - powiedział Nikos, biorąc od niej wodze gniadosza.

Thytis skinęła głową: nie zapomniała o drugim jeźdźcu. Wsunęła miecz do pochwy i zbliżyła się ostrożnie do mężczyzny leżącego w kurzu drogi. Wciąż żył, choć jego oczy zasnuły mgłą, a z kącików ust sączyła się powoli krew. Thytis uderzyła go lekko w policzek, a Pers otrzeźwiał nieco i skupił wzrok na jej twarzy.

- Żołnierzu, dokąd jedziecie? - spytała łamanym perskim, starając się mówić słodkim i zmysłowym tonem.

- Ach... - Mężczyzna jęknął i spróbował przekręcić się na bok. Thytis przytrzymała go łagodnie. Przypuszczała, że ma złamany kark i że krwawi od wewnątrz. - Do... Dogubayazit... do wodza...

Zaczął kasłać, a jego usta wypełniły się krwią. Thytis skrzywiła się i wbiła cienki sztylet w oko Persa. Jej zasmucona twarz była ostatnią rzeczą, jaką widział w życiu. Thytis wytarła nóż i idąc w ślady Nikosa, który zajmował się już swoją ofiarą, ograbiła Persa ze wszystkiego prócz zakrwawionej koszuli i przepaski biodrowej. Potem wrzucili ciała do skalnej szczeliny w zboczu góry, dosiedli koni i ruszyli ponownie na północ. Nikos obserwował młodą kobietę kątem oka. Na jej policzku wciąż widniały plamy krwi, ale Thytis nawet nie próbowała ich zetrzeć.

Promienie słońca odbijały się od szczytu góry, śnieżnej czapy widocznej nawet z odległości trzydziestu mil. Thytis przysłoniła oczy, spoglądając ponad dolinę Dogubayazit na ogromną, stożkową bryłę Araratu wyrastającego samotnie z dna doliny. Niżej położone partie zboczy były szarobrazowe, potem górę otaczał pas zielonych sosen i świerków, a później szare skały zwieńczone śnieżnobiałą grzywą. Sam szczyt góry otaczała korona chmur, które zahaczyły o nią podczas podniebnej wędrówki.

Gniadosz zarżał zniecierpliwiony, a Thytis poklepała go po szyi. Jej wierzchowiec najwyraźniej nie lubił stać w śniegu, chętnie więc ruszył z powrotem w dół zbocza, do wąskiej drogi, którą prowadziła w górę skalnych zboczy Tenduriiku.

Od dwóch dni jechali coraz wyżej i wyżej w góry otaczające basen jeziora Thospitis. Poprzedniego dnia minęli ostatnią z maleńkich górskich wiosek. Przejechali przez nią wyjątkowo szybko; wciąż mieli na sobie ubrania perskich zwiadowców, a spojrzenia, jakie rzucali im mieszkańcy wioski, świadczyły jednoznacznie o tym, że Persowie nie cieszą się tam wielką sympatią. Za wioską droga zamieniała się w ścieżkę przecinającą ukwiecone łąki i gęste świerkowe zagajniki. Powietrze było zimne i robiło się coraz zimniejsze, w miarę jak wspinali się coraz wyżej.

Tego dnia dotarli jednak wreszcie do szerokiej, ośnieżonej przełęczy. Po lewej stronie wznosił się wielki masyw górski, po prawej zaś, na wschodzie, widać było mniejsze szczyty. Thytis wskazała ręką właśnie

w tę stronę, na poszarpane grzbiety górskie ciągnące się po sam horyzont. Za nimi, na południowym wschodzie, wznosiła się wielka ściana gór, przez które właśnie przejechali.

- Persja - powiedziała Thyatis. - Za tymi górami jest Tauris. - Odwróciła się i wskazała na północny wschód: tu ściana gór kończyła się i schodziła w dół szerokiej doliny, oddzielającej błękitne pasmo gór od bryły Araratu na północy. - Dolina Zangmar; zaprowadzi nas w góry na północ od Tauris, a potem do miasta.

Nikos zdrzął. Zimny wiatr uderzył go w twarz, naciągnął więc mocniej chustę, dzięki której na mniejszych wysokościach chronił usta i nozdrza przed pyłem. Teraz chronił nią nos przed odmrożeniem. Thyatis jednak jakby nie czuła zimna; jechała z odsłoniętą głową i twarzą. Nikos westchnął i ruszył jej śladem w dół krętej ścieżki, która biegła wzdłuż przełęczy i zagłębiała się w stromy kanion prowadzący do doliny pod Araratem.

- Wjedziemy do miasta? - spytał, kiedy opuścili już przełęcz.

Thyatis pokręciła głową.

- Nawet w tym przebraniu nie możemy ryzykować. Ten Pers powiedział, że jada do wodza Dogubayazit, a nie do dowódcy garnizonu. Myślę, że w dolinie nie ma ani perskich, ani rzymskich wojsk. Widziałeś, jak patrzyli na nas w tej ostatniej wiosce. Mogą przyjąć nas przyjaźnie, ale możemy też nie przeżyć następnej nocy. Mamy dość zapasów i znamy drogę, nie musimy korzystać z niczyjej pomocy.

- To prawda. - Nikos skinął głową. - Ale też od sześciu dni jesteśmy odcięci od świata. Powinniśmy zdobyć jakieś wiadomości, cokolwiek. Może wojna dawno już się zaczęła!

Thyatis spojrzała na niego, a jej szare oczy były zimne jak morze.

- Cesarz będzie w Tauris za trzy tygodnie. Nie mogę się spóźnić.

Na wschód od Dogubayazit stara droga odchodziła od rzeki, skręcając na północ, i wspiwała się na szeroki płaskowyż porośnięty wysoką trawą i kępami drzew. Nikos jechał na przedzie od czasu, gdy przekroczyli rzekę płynącą na zachód, w stronę miasta. Thyatis jechała za nim, pogrążona w myślach. Kaptur zakrywał jej złote włosy, szerokie rondo kapelusza przesłaniało twarz. Ominęli szerokim łukiem miasto, opuszczając drogę z Tenduriiku najszybciej, jak było to możliwe, potem przejechali u podnóży gór - przez gęste krzewy kolcolistu i zarośnięte gęstwiną jeżyn wąwozy - by w końcu dotrzeć do rzeki na wschód od miasta. Większą część poprzedniego dnia spędzili na poszukiwaniu brodu, znaleźli go dopiero jednak tego ranka. Przeprawili się przez rzekę o świcie, uczepieni siodeł koni.

Zaledwie dwie godziny wcześniej dotarli do drogi. Według mapy, którą Thyatis wyjęła ze swego zawiniątka, droga biegła na wschód wzdłuż rzeki, na kolejny płaskowyż, a potem do Zangmar. Wkrótce mia-

ła ich wyprowadzić spośród drzew na szeroką pustą równinę. Nagle Nikos gwizdnął i podniósł rękę. Patrzył w dół, na drogę prowadzącą do miasta. Thyatis zatrzymała się obok niego.

- Spójrz - powiedział, wskazując na odsłonięty fragment drogi, po której jechała grupa jeźdźców. Promienie słońca odbijały się od ostrzy ich włócznie i wypolerowanych hełmów. - To musi być perski patrol.

- Z drogi - rozkazała Thyatis, ściągając wodze konia. - Schowajmy się w najbliższym wąwozie i poczekajmy, aż przejadą. - Poderwała swego konia do kłusa i wjechała w wysoką, rozkołysaną trawę. Nikos jechał tuż za nią, ale raz po raz obracał się w siodle, by sprawdzić, czy nie zostali zauważeni.

Przecięli trawiaste zbocze i wjeżdżali właśnie na drugą stronę koryta strumienia, kiedy z południowego wschodu dobiegł ich głos rogów.

- Iiha! - krzyknęła Thyatis, popędzając konia w górę zbocza. Nikos podniósł się w siodle i obejrzał za siebie. Z tyłu, na drodze, zwiadowcy jadący przed główną grupą, dęli w rogi i pokazywali na nich. Jeden stanął w strzemionach i sięgnął po łuk przypięty do siodła.

- Uważaj! - krzyknęła Thyatis, gdy wjechali na szczyt wzniesienia. Pierwsza strzała przeleciała ze świstem tuż obok jej konia, druga szczęśliwie także chybiła celu. - Mają łuczników!

Ruszyła galopem w lewo, a Nikos w prawo, w dół przeciwległego zbocza góry porośniętego niskimi drzewami i wysoką trawą. Nikos dotarł do następnego strumienia i skręcił na prawo, dźgając konia piętami.

Tymczasem pierwszy z perskich jeźdźców wjechał właśnie na szczyt wzgórza i ruszył w dół, lawirując między ciernistymi krzewami. Nikos wyjął własny łuk z pochwy przy siodle. Sięgnął do kołczanu, nałożył strzałę na cięciwę i napiął łuk jednym płynnym ruchem. Nauki sarmackich braci z pewnością nie poszły na marne. Na wzgórzu pojawił się tymczasem drugi jeździec. Teraz dwóch Persów pochyliło się nisko w siodłach, szukając ich "śladów na ziemi. Ten z prawej drgnął nagle i zsunął się z konia. Strzała przebiła go na wylot i utkwiała w pniu drzewa za jego plecami. Nikos uśmiechnął się drapieżnie i skrył wraz z koniem w gęstwinie.

Uśmiech znikł jednak z jego twarzy, gdy na grzbiet wjechało kilkadziesiąt uzbrojonych jeźdźców w zbrojach. Rogi zagrały także na wschodzie i południu. A niech to Hades pochłonie, warknął w myślach, wjeżdżając w głąb wąwozu. Przecież to cała armia!

Gnidosz parsknął cicho i trącił nosem głowę Thyatis. Mimo zdenerwowania wywołanego pościgiem Thyatis co chwila trącała delikatny aksamitny pysk konia, który sprawdzał, czy nie ma dlań jakiegoś smakowitego kawałka marchewki. Zwierzę ucichło, kiedy w wąwozie rozległ się stukot kopyt. Trzech perskich zwiadowców ukazało się na moment między gałęziami drzew porastających brzegi wąwozu. Thyatis wyprosto-

wała się, gotowa do walki. Słyszała, jak konie Persów przedzierają się przez krzewy w dole zbocza. Ujęła mocniej krótki łuk, który zabity przez nią posłaniec woził w drewnianej lakierowanej skrzynce przy siodle. Cztery krótkie strzały tkwiły wbite w ziemię tuż przed nią. Były to strzały przeznaczone do polowania, a nie do walki, w tej sytuacji jednak musiały jej wystarczyć.

Od przodu i z lewej strony osłaniał ją gęsty krzew o podłużnych liściach i słodkim zapachu. Po prawej wznosiła się skalna ściana wąwozu wyżłobionego u podnóża Araratu przez maleńki strumień, który spływał ku odległej równinie Dogubayazit. Trzydzieści stóp niżej, gdzie Persowie przedzierali się właśnie przez krzewy, strumień skręcał lekko w lewo i biegł pod ogromnym ciernistym drzewem o grubym pniu. Ściany wąwozu, wyżłobione w warstwie zastygłej lawy, wznosiły się na wysokość niemal dwudziestu stóp i zwieńczone, były koroną długiej trawy. W górze widoczny był wąski pas błękitnego nieba, po którym pędziły białe obłoki.

Pierwszy zwiadowca wychynął spod gałęzi ciernistego drzewa i wyprostował się, trzymając w ręce gotową do rzutu włócznię. Rozejrzał się uważnie dokoła. Ziemia wokół niego była twarda jak kamień, a odrobina piasku w pobliżu drzewa całkiem zdeptana, prawdopodobnie przez przechodzące tędy zwierzęta. Thyatis zastygła w bezruchu, a gniadosz, jakby wyczuwając jej niepokój, także stał nieporuszony.

- Masz coś? - zawołał jeden ze zwiadowców czekających po drugiej stronie drzewa. Mówił z akcentem charakterystycznym dla mieszkańców wschodniej części Persji.

Pers wciągnął powietrze w nozdrza i jeszcze raz obejrzał grunt.

- Nie bardzo - odkrzyknął. - Ale myślę, że ruszyli tędy w góry. Chodźmy.

Zwiadowcy po drugiej stronie zgodzili się ze swoim dowódcą, a ten zaczął ciąć gałęzie drzewa, by zrobić przejście dla koni. Wkrótce odkrył jednak to samo, co wcześniej Thyatis, że jedna giętka gałąź przytrzymuje większość innych gałęzi po prawej stronie drzewa. Nie zważając na bolesne zadrapania, Pers napał na nią ramieniem, a jego towarzysze wjechali w utworzone w ten sposób przejście.

Kiedy ostatni z Persów znalazł się pod gałęziami, Thyatis jednym płynnym ruchem wyjęła strzałę z ziemi, nałożyła ją na cięciwę i wypuściła z łuku. Druga strzała była już na cięciwie w chwili, gdy pierwsza wbiła się w odsłonięty fragment głowy zwiadowcy. Krew trysnęła z jego ust i zalała oczy, kiedy ciężki grot przebił z trzaskiem czaszkę tuż nad prawym uchem. Pers runął na ziemię, a gałąź odskoczyła na swoje miejsce, uderzając w konia i twarz trzeciego zwiadowcy. Żołnierz krzyknął przeraźliwie, kiedy setki kolców wbiły się w jego skórę. Koń, uderzony gałęzią prosto w nos, zarżał z bólu i przysiadł na zadzie. Pers próbował nad nim zapanować, lecz przerażone zwierzę nie słuchało jego poleceń.

Druga strzała przemknęła tuż obok twarzy drugiego zwiadowcy, który odwrócił się w ostatniej chwili, by powiedzieć coś do swego towarzysza. Pers poderwał konia i ruszył na nią z krzykiem. Thyatis rzuciła luk i sięgnęła po włócznię, opartą o szary krzew. Napastnik przemknął obok niej, uderzając lekko zakrzywionym, długim mieczem. Thyatis zablokowała uderzenie drzewcem włóczni. Drewno pękło, lecz zatrzymało cios. Thyatis rzuciła przepołowioną włócznią w Persa, kiedy ten zawracał konia, szykując się do następnego ataku. Napastnik przesunął się zrećźnie w siodle, a włócznia przemknęła obok, nie czyniąc mu krzywdy.

Z głośnym okrzykiem Pers rzucił się ponownie do ataku, podnosząc miecz do ciosu. Miecz przy siodle gniadosza zazgrzytał głośno, kiedy Thyatis wyrwała go z pochwy. Przykucnęła, a potem prześliznęła się na drugą stronę zdenerwowanego gniadosza. Pers natychmiast zawrócił, zrećźnie kierując koniem za pomocą kolan. Tym razem jednak Thyatis zaatakowała pierwsza, zamierzając się na głowę konia. Pers i koń niczym jedno odskoczyli na bok, a Thyatis w ostatniej chwili sparowała uderzenie z góry.

Przeklinając głośno, przesunęła się jeszcze dalej na prawo, z dala od ściany. Wolną ręką wyjęła nóż z przypiętej do pasa pochwy.

Pers przesunął się odrobinę do przodu, próbując przycisnąć ją barkiem wierzchowca do ściany wężowca, a jednocześnie zadał kolejny cios. Stał zabrzęczała głośno w zamkniętej przestrzeni wężowca, kiedy Thyatis zablokowała kolejne uderzenie. W tym samym momencie kopnęła konia w nogę, a ten odsunął się na bok, przestraszony. Thyatis prześliznęła się między jego głową a skalną ścianą, przecinając jednocześnie nożem popręg.

Pers dźgnął konia kolanami, próbując obrócić go w miejscu, lecz pozbawione punktu zaczepienia siodło ześliznęło się z końskiego grzbietu, zrzucając go na ziemię. Zwiadowca próbował się jeszcze ratować, czepiając się końskiej grzywy, co skończyło się tylko tym, że koń również runął na ziemię. Thyatis rzuciła się do ataku, przeskoczyła obok wierzgającego konia i zatopiła ostrze w gardle mężczyzny. Fontanna krwi spryskała jego twarz i kaftan. Thyatis odsunęła się do tyłu, dysząc ciężko. Koń zarżał żałośnie i po kolejnej próbie zdołał wreszcie podnieść się z ziemi. Thyatis obróciła się na pięcie, gotowa do odparcia kolejnego ataku.

Pierwszy zwiadowca leżał martwy pod drzewem, strzała wystawała z jego głowy niczym jakaś makabryczna chorągiewka. Trzeci, ten, który uderzony został ciernistą gałęzią, zniknął bez śladu. Koń trafionego strzałą Persa trącał go nosem, parszcząc cicho. Thyatis skrzywiła się, podeszła ostrożnie do wierzchowca i ujęła go za uzdę. Zwierzę było nieco zdezorientowane, Thyatis zaprowadziła go jednak do własnego konia, by wierzchowce się zapoznały. Wokół ciał zabitych zwiadowców zaczęły krążyć muchy.

Thyatis wskoczyła na grzbiet swego konia i skrzywiła się z bólu. Odchyliła zakrwawiony rękaw koszuli i odkryła, że jej lewa ręka jest rozcięta od ramienia po łokieć. Z rany sączyła się gęsta krew. *Kiedy to się stało?* Uwiązawszy oba konie do siodła swego wierzchowca, ruszyła w górę wąwozu. Miała nadzieję, że gdzieś z przodu wąwóz wrzyna się w grzbiet góry i że przedostanie się tam na jej przeciwległe zbocze. Noc zbliżała się wielkimi krokami.

Nikos przedzierał się przez trzciny porastające brzeg stawu. Głos rogów rozbrzmiał w lesie na wzgórzach po jego lewej stronie, potem wyżej na zboczu góry, a później znów z tyłu. Ilir biegł teraz w płytkiej wodzie tuż przy brzegu, rozrywając długie pasma wodorostów. Niebo ciemniało, a ziemia u podnóży gór pogrążała się w mroku. Rogi ponownie zagrały, tym razem znacznie bliżej na zboczu, choć też i wyżej. Nikos zanurzył się głębiej w wodę stawu i na pół brodząc, na pół płynąc, ruszył w stronę przeciwległego brzegu.

Gdzieś w pobliżu parsknęły konie, a Ilir bezgłośnie zanurzył się pod wodę. Niebo na zachodzie płonęło jaskrawą czerwienią przechodzącą w fiolet. Nad Tenduriikiem zebrały się chmury, a słońce zanurzało się w nich powoli, zostawiając za sobą szeroki, krwawy ślad. Nad stawem kładła się przedwieczorna szarość. Nikos tkwił pod wodą, wystawiając ponad powierzchnię tylko oczy i nos, i powoli przesunął się w stronę drugiego brzegu. Ten, który właśnie opuścił, znajdował się już pod obserwacją. Co najmniej dwóch jeźdźców przeszukiwało bardzo uważnie linię brzegową.

Niewyraźne głosy niosły się ku niemu po wodzie; teraz jeźdźców było co najmniej trzech. W lesie nad jeziorem rozbrzmiał głos rogu, jasny i dźwięczny w przedwieczornym powietrzu. Wkrótce odpowiedziały mu inne rogi, a na brzegu pojawiło się jeszcze więcej jeźdźców. Nikos przeklął w myślach wszystkich bogów, którzy przywiedli go do tego miejsca - szczególnie tych, którzy dwie mile wcześniej zabrali mu konia i cały sprzęt. Jego ręce trafiły na przybrzeżny muł.

Ktoś skrzesał ogień i zapalił pierwszą lampę, oświetlając ludzi zgromadzonych pod drzewem. Z lasu wyszło już trzydziestu, czterdziestu ludzi o szczupłych twarzach ozdobionych wąskimi brodami i wąsami. Niektórzy nosili na zbrojach czerwone tuniki, inni byli w wysokich hełmach z czepcami kolczymi. Czyjś dudniący głos wybił się ponad niewyraźny pomruk ich rozmów, a żołnierze przesunęli się nieco, jakby otaczając kogoś, kogo Nikos nie mógł dojrzeć za tłumem ludzi i koni. Wsunął się pod wystające nad wodę korzenie starego, poskręcane drzewa.

Ludzie po drugiej stronie wysłuchali rozkazów dudniącego głosu, potem zaczęli się rozdzielać na mniejsze grupy. Niektórzy wsiedli na konie i pojechali w las, inni zostali na brzegu, rozkulbaczali konie i zbierali drzewo na ognisko. Nad samym brzegiem stawu została tylko jedna

postać, nieruchoma i wpatrzona w jego ciemną taflę. W świetle pochodni i latarni Nikos widział, że ów człowiek jest potężny i ma wielką brodę. Ilir wczołgał się ostrożnie na brzeg za pniem drzewa i pobiegł w ciemność.

Thyatis syknęła przez zaciśnięte zęby, obwiązując rozcięte ramię kawałkiem szmaty. Rana zaczęła krwawić coraz mocniej, kiedy przedierała się przez wąwóz, by uciec jak najdalej od perskich wojsk. Od czasu do czasu słyszała ich rogi gdzieś daleko w dole, choć zdarzało się, że głos ten dobiegał i z mniejszej odległości. Jazda po ścieżkach wydeptanych przez zwierzęta na zboczu góry nie należała do łatwych. Raz po raz drogę przecinały strome kaniony, co zmuszało ją do długich objazdów. Przejechała dopiero kilka mil, odkąd opuściła wąwóz, w którym zginęło dwóch perskich zwiadowców. Zjechała z niebezpiecznego, pokrytego luźnymi łupkami zbocza i znalazła się na dnie szerokiego kanionu. Przez jakiś czas posuwała się dość szybko, później jednak kanion zamienił się w wąską i stromą ścieżkę, po której spływał górski strumyk.

Wkrótce zapadła ciemność rozpraszana jedynie odrobiną światła rzucaną przez wąski sierp księżyca. W tych warunkach nie miała szans na znalezienie wyjścia z kanionu, zatrzymała się więc na skalnej półce przy jednej ze ścian. Rozpaliła małe ognisko, potem napoiła konie i nakarmiła je resztą ziarna z worka. Ognisko ukryte było za niewielkim głazem. Na skraju półki rosnęło też kilka drzew.

Thyatis owinęła rękę kawałkiem szmaty i zacisnęła ją, używając do tego drugiej ręki i zębów. Kiedy znów otworzyła oczy, otaczała ją głęboka, rozgwieżdżona noc. Ogień jeszcze całkiem nie zgasł, a jego blade światło wydobywało z mroku wyrzeźbione w skale nad jej głową figury - lwy, gazyle i postać grubej kobiety z wysoko upiętymi włosami. Tajemnicze płaskorzeźby migotały w ciemnościach. Thyatis zamknęła oczy, nieświadoma, że znów pogrąży się we śnie.

Nikos wciąż biegł, choć wydawało mu się, że przy każdym kroku przeciąga nogi przez gęste błoto. Ubranie na nim zdążyło już wyschnąć i sztywne od zaschniętego błota ocierało teraz skórę. Przed nim rozciągała się skalista równina, upstrzona dziwnymi wzniesieniami i wieżycami z czarnego kamienia. Uderzył stopą w kamień i omal nie skręcił nogi w kostce. Zatrzymał się. Bieganie po nieznanym terenie w niemal całkowitych ciemnościach było nierozsądne i niebezpieczne. Błędem jednak było także zatrzymywanie się, gdyż wyczerpane nogi odmówiły mu posłuszeństwa i musiał ratować się przed upadkiem, opierając rękę na najbliższym głazie z zastygłej lawy. Kamień, chropowaty i ostry niczym pumeks, rozciął mu dłoń, choć ból dotarł do jego otepiałego umysłu dopiero po dłuższej chwili. Nikos wyprostował się i wytarł zakrwawioną rękę o nogawicę.

Ruszył przed siebie, instynktownie wybierając drogę między wulkanicznymi głazami rozrzuconymi po równinie. Zmęczenie okazało się jednak silniejsze i gdy się obudził, leżał zwinięty w kłębek między dwoma kamieniami na niewielkiej łasze piasku. Łódź księżycy pokonała już większą część nieba. Nikos podniósł się i podjął przerwany marsz.

Miłą za polem zastygłej lawy dotarł do płytkiego wyschniętego koryta strumienia. Kiedy tam dotarł, zrozumiał, że nie ma już sił, by wspiąć się na przeciwny brzeg. Zaczął więc iść po dnie koryta. Droga Mleczna wisiała nad jego głową, a z przodu w blasku księżycy i gwiazd majaczył ogromny masyw góry.

Czysty głos dzwonek wyrwał Thyatis ze snu. Otworzyła oczy i ujrzała nad sobą sufit z wypolerowanego drzewa cedrowego. Blask słońca, przefiltrowany przez złote zasłony, padał na brzegi platformy, na której spoczywała. Dokoła rozbrzmiewał głośny pomruk tłumy. Czowała się dziwnie; nie mogła ruszyć rękami i nogami, jakby odmówiły jej posłuszeństwa. Sufit kołysał się nad nią lekko. Uświadomiła sobie, że znajduje się we wnętrzu czegoś, co toczy się powoli po nierównej drodze. W powietrzu rozchodził się zapach kadzidła, który obmywał jej twarz i płynął dalej, za jej głowę. Delikatny jedwab okrywał całe jej ciało, a na czole spoczywał diadem ze srebrnych liści.

Na szczęście mogła chociaż poruszać oczami, dojrzała więc złote kolumny wokół platformy, na której leżało jej łóżko. Głowice kolumn zdobione były misternie rzeźbionymi liśćmi i pąkami kwiatów, które okrywała lśniąca zielona i żółta farba. Thyatis czuła też zapach prawdziwych kwiatów i domyśliła się, że jej łóżko spoczywa w otoczeniu całej masy różnego rodzaju kwiecica. Znowu zadźwięczały dzwonki, a wóz się zatrzymał. Pomruk tłumy przybrał na sile, słychać było głębokie pokrzykiwania mężczyźni.

Pod sufitem płynęły wstęgi dymu z kadzidła. Głosy wznosiły się i opadały, całkiem jednak umilkł śpiew - wszechogarniający i niesłyszalny, dopóki nie ucichł. Złote zasłony po lewej stronie rozchyliły się, odgarnięte przez dłoń w rękawicy. Thyatis próbowała wstać, lecz jej członki były ciężkie jak z ołowiu. Pojawiła się twarz mężczyzny, który patrzył na nią smutnymi oczyma. Był już stary, miał krótkie siwe włosy i wysokie czoło. Ubrany był w fioletową lnianą koszulę i burgundowy płaszcz spięty klamrami ze srebra i złota. Miał krótką, starannie przyciętą brodę, przetykaną pasmami siwizny. Mężczyzna położył dłoń na czole Thyatis i pochylił głowę.

Łzy kapiące z jego oczu skrzyły w blasku słońca. Ramiona starca trzęsły się od płaczu. Thyatis poruszyła lekko głowę, strącając słońcą wodę z twarzy, lecz pogrążony w smutku mężczyzna niczego nie zauważył. Gdy wreszcie podniósł wzrok, był już opanowany. Pochylił się nad nią nisko, tak nisko, że Thyatis poczuła zapach czystych ubrań, kolendry i tymianku. Jego usta musnęły jej czoło, potem wyprostował

się i spojrzął na nią z góry. Cień dachu padł na jego twarz. Znow był królem.

- Żegnaj, bracie - powiedział przytłumionym głosem. - Zabiorę cię do twojego prawdziwego domu i zbuduję ci pomnik, który będzie trwał przez tysiąc lat. - Potem odwrócił się i wyszedł przez złote zasłony. Głosy znow rozbrzmiały mocniej, żołnierze skandowali jakieś imię, kiedy wyszedł w słońce. Thyatis próbowała wsłuchać się w ich krzyk, lecz świat znow chował się do ciemnego tunelu. Głosy ludzi ucichły, a Thyatis na powrót pogrążyła się we śnie.

* * *

W sen Nikosa wdarł się chrzęst butów na żwirze i piasku. Ilir leżał nieruchomo, uchylwszy tylko minimalnie jedną powiekę. Przed sobą widział parę nóg obutych w ciężkie skórzane buty, nieco dalej drugą. Ciszę przerwało parskanie koni. Nikos nadal oddychał równo, choć wiedział, że za późno już na jakiegokolwiek podstępny. Drgnął, gdy coś ostrego dźgnęło go w ucho.

- Wiesz - przemówił jeden z Persów niskim, gardłowym głosem - ten tutaj może już nie spać.

Nikos poczuł dwa kolejne ułucia, tym razem między łopatkami. Otworzył jedno oko i podniósł lekko głowę. Otaczało go trzech perskich jeźdźców. Jeden z nich klęczał i trzymał czubek noża przy jego głowie. Mężczyzna uśmiechnął się do niego i przesunął nóż wzdłuż policzka, by zatrzymać ostrze na gardle. Nikos przełknął ślinę, by zwilżyć język.

- Nie ucieknę - powiedział. - Pozwólcie mi wstać, a wtedy zabierze- cie moją broń.

- Rozsądny - skomentował jeden z Persów. Dwie włócznie i nóż odsu- nęły się od niego na tyle, by mógł wstać, były jednak wystarczająco bli- sko, by w każdej chwili go uśmiercić. Nikos wstał powoli, całkiem już wy- bity ze snu. Krzak, w którym schował się tuż przed świtem, wydawał się teraz znacznie mniejszy i rzadszy niż w nocy. Jeszcze jeden Pers siedział na koniu, kilka kroków od krzewu, i trzymał w rękach napięty łuk. Nikos obrócił się powoli, a jego oczom ukazała się wielka bryła góry i dwóch ko- lejnych jeźdźców. Położył ręce na głowie. Nic nie mógł już zrobić.

Mężczyzna ze sztyletem odpiął szybko miecz Ilira, nóż do gotowania i sztylet, który nosił na lewej nodze. Potem sprawdził z wprawą fałdy ko- szuli i spodni. Upewniwszy się, że to wszystko, oddał broń jednemu ze swoich podwładnych i wyciągnął kawałek sznura.

- Odwróć się - rozkazał. - Ręce na plecy.

Nikos wykonał jego polecenie. Słońce świeciło mocno, chodź na nie- bie pojawiły się pierwsze deszczowe chmury. Nikos spojrzął na śnieżną czapę Araratu.

Niech bogowie ci sprzyjają, dziewczyno, pomyślał.

I Związawszy Ilirowi ręce, Pers pomógł mu wsiąść na konia, a potem cały oddział pogalopował na południe, zostawiając za sobą kłęby białego kurzu. Ciasne więzy wrzynały się w nadgarstki Nikosa. Ręce już zaczęły mu drętwieć. Gdy Thyatis się obudziła, na jej piersiach spoczywał jakiś ciężar. Poruszyła lekko tułowiem, próbując zsunąć się z kamienia, który uwierał ją w lewą łopatkę. Znieruchomiła jednak natychmiast, usłyszawszy głośny syk. Poczowała, jak między jej piersiami przesuwa się muskularny zwój. Leżała przez chwilę w całkowitym bezruchu, potem powoli otworzyła oczy. Ujrzała przed sobą trójkątny łeb z czarnymi paciorkowatymi oczami. Ciężkie, okryte łuską ciało leżało zwinięte na jej piersiach i brzuchu. Thyatis nie śmiała nawet głośniejszy oddychać, spróbowała jednak poruszyć lekko dłońmi i stopami. Znów miała w nich władzę. Głowa zmii kołysała się z boku na bok, jej bladuróżowy język raz po raz smakował powietrze. Leżała pod jej tuniką, przy ciepłej skórze. Czuła chłód na policzku i szyi, gdzie jeszcze przed chwilą spoczywała głowa gada.

Choć groziło jej straszliwe niebezpieczeństwo, Thyatis nie wpadła w panikę ani nie krzyczała. Obserwowała w bezruchu, jak wąż wysunął umięśnione ciało spod jej koszuli i zsuwał się po ramieniu. Miał lub trzy stopy długości - a w środkowej części ciała tak grube jak ramię dorosłego, muskularnego mężczyzny. Wreszcie ogon gada musnął jej lewą pierś i zniknął. Thyatis powoli wypuściła powietrze z płuc i odwróciła głowę.

Żmija zniknęła. Na suchej ziemi nie zostały żadne ślady niespodziewanego gościa. Trzy konie spokojnie skubały liście drzew, do których zostały przywiązane. Choć wciąż czuła się ogromnie zmęczona, usiadła prosto. Słońce stało wysoko na niebie, jego promienie wpadały do wnętrza kanionu. Niewielki krąg popiołu znaczył miejsce, w którym płonęło ognisko. Echa dziwnego snu wciąż dźwięczały jej w głowie. Mężczyzna, który patrzył na nią we śnie, wydawał jej się znajomy - w pewnym sensie, choć wyglądał zupełnie inaczej, przypominał jej ojca. Thyatis pokręciła głową; roztrząsanie tej sprawy nie miało sensu.

Konie przywitały ją z radością, choć nie miała dla nich żadnych jabłek czy ciastek. Odwiązała je i zaprowadziła do strumienia. Zbliżyła się już południe. Thyatis napiła się zimnej wody ze strumienia, potem umyła twarz i włosy. Skrzywiła się, ujrawszy własne obicie w wodzie; spalona skóra schodziła jej z czoła i uszu. Słońce nigdy nie było jej przyjacielem, miała zbyt bladą cerę, lecz jej ręce, nogi i brzuch były już dość opalone, by wytrzymać takie natężenie promieni słonecznych.

Śniadanie złożone z racji dwóch Persów, których zabiła poprzedniego dnia, było wyjątkowo obfite. Thyatis siedziała na szerokiej, płaskiej skale zwieszającej się tuż nad strumieniem, w cieniu drzewa o czarno-białej korze i szerokich liściach. Wokół niej leżały rzeczy zabitych zwia-

dowców: amulety, noże, sakiewki z monetami, opatrunki, krzesiwo, garść słomy, klamry, paciorki nanizane na nić i prymitywna mapa wyrysowana na kawałku pergaminu. Porównawszy ją z własną mapą, Thyatis doszła do wniosku, że przedstawia okolice miasta Tauris. Zastanawiała się, dlaczego jeźdźcy mieli ze sobą taką mapę.

Musieli naprawdę jechać z zachodu, a nie ze wschodu, pomyślała. Przednia straż jakiejś większej siły. Z tego wynika, że do doliny, do której właśnie jadę, weszła perska armia, tyle że nie z południa czy wschodu, jak przypuszczałam, ale z tyłu, z zachodu. To pewnie jakiś perski oddział, który pustoszył wcześniej płaskowyż Anatolii i został teraz odwołany do kraju. Nikos miał rację: wojna już się zaczęła.

Thyatis przeżuła kawałek marynowanej jagnięciny i wypila większość wody z bukłaka. Potem napełniła go ponownie. Kiedy była już spakowana, a konie napojone, dosiadła gniadosza i ruszyła w drogę. Jeśli gdzieś istniało wyjście z tego kanionu, to w górze strumienia, a nie w dole. Od Tauris wciąż jeszcze dzieliło ją wiele mil, a teraz była sama.

DOM DE'ORELIO, KWIRYNAŁ, ROMA MATER

W ciemności rozległ się wyraźny dźwięk dzwonka. Anastazja otworzyła oczy. Przez wąską szparę między zasłona-
mi wpadała do pokoju smuga księżycowego światła, wydobywając z mroku zarysy mebli i ciężkich dywanów pokrywających podłogę. Księżna westchnęła ciężko i podniosła się z łóżka. Jedwabna kołdra, która chroniła gładką skórę przed chłodem nocy, zsunęła się z jej ciała.

-Tak? - rzuciła w ciemność zaspanym i zmęczonym głosem, przeciągając ręką po splątanych włosach. Po drugiej stronie drzwi ktoś się poruszył, potem zgrzytnęła odsuwana zasłona.

- Pani? - Drzwi uchyliły się lekko, a do pokoju wpadła smuga światła lampy. - Księżę prosi o chwilę twojej uwagi. - Niepewny głos należał do Betii, jej nowej służącej. Drobną blondynką wciąż ogromnie się bała księżnej; służący w domu de'Orelia byli przekonani, że „tajemnicze” zniknięcie Kristy było wynikiem jej nieposłuszeństwa.

Anastazja przetarła oczy i naciągnęła kołdrę na ramię. Światło lampy padało na jej piersi i twarz.

- Księżę Aurelian czy księżę Maksjan?

- Cezar Maksjan, pani. Czeka na dole.

Anastazja westchnęła ciężko - wydawało się, że niektóre noce nie mają końca.

- A niech to... No dobrze, przyślij go tutaj.

- Tutaj? - zdumiała się piskliwie Betia. - Do sypialni?
- Tak, moja droga - odparła Anastazja oschle. - Nie każemy przecież księciu czekać.

Betia oddaliła się pospiesznie, szurając bosymi stopami o płytki korytarza. Anastazja poprawiła włosy, a potem ułożyła poduszki tak, by mogła oprzeć się o nie plecami. Wzdychając po raz kolejny ze zmęczenia, zsunęła koldrę z łóżka i okryła się tylko jednym cienkim prześcieradłem.

- Tros - rzuciła do niewolnika stojącego w cieniu za drzwiami. - Bądź tak dobry i zapal co drugą lampę.

Niewolnik, potężny mężczyzna z długimi czarnymi włosami, bez słowa wykonał jej polecenie. Anastazja leżała wśród poduszek, poprawiając je tu i ówdzie, by lepiej się zaprezentować. W korytarzu słychać było już ciężkie kroki mężczyzny.

- Sio! - Anastazja oddaliła niewolnika ruchem ręki. Mężczyzna z kamienną twarzą ruszył do drzwi prowadzących na balkon, wyciągając po drodze *gladius*. Księżna zwilżyła wargi i uniosła lekko brwi, gdy otworzyły się drzwi sypialni.

- Pani - zaczął Maksjan, odwracając się, by starannie zamknąć za sobą drzwi. - Wybacz, że niepokoję cię o tak późnej porze... - Księżę odwrócił się i znieruchomiał, zapomniawszy o następnym zdaniu. By ukryć rumieniec, który wypłynął na jego twarz, ukłonił się nisko. - Wybacz pani, nie wiedziałem, że udałaś się już na spoczynek.

- Och, nie przejmuj się tym, księżę - odparła Anastazja niskim, zmysłowym głosem. - Często myślałam o tym, jak miło byłoby zabawić cię późną nocą.

Maksjan dobrze słyszał kpiącą nutkę w jej głosie, udawał jednak, że bierze to za dobrą monetę. Pokój oświetlony był ciepłym blaskiem lamp i świec ukrytych pod ścianami. Księżna prezentowała się wspaniale w tym przytłumionym świetle, pod cienkim lśniącem jedwabiem okrywającym ciało. Księżę odwrócił wzrok i przysunął do łóżka krzesło stojące obok okna.

- Ze względu na późną porę przejdę od razu do rzeczy. Mam coś twojego, pani, coś, co zgubiłaś jakiś czas temu. Wybacz, że nie zwróciłem tego od razu, ale byłem zajęty innymi sprawami.

Księżna wyprostowała się nieco, przechylając jednocześnie głowę. Maksjan przełknął ślinę, kiedy prześcieradło zsunęło się niżej, lecz w ostatniej chwili biała dłoń księżnej je złapała.

- Muszę przyznać się do mej niewiedzy, ceszarze, ale nie miałam pojęcia, że czegoś mi brakuje. Powiedz mi, proszę, co to jest.

Maksjan rozsiadł się wygodniej i założył nogę na nogę. Potem spojrział śmiało w oczy księżnej, wyczuwając lekką zmianę napięcia, jakie się między nimi wytworzyło. W ciepłym świetle jej fioletowe oczy wydawały się niezwykle duże. Maksjan przygryzł lekko wargę.

- W mojej posiadłości, pani, znaleziono jedną z twoich służących.

Moi strażnicy zamknęli ją w areszcie, ale zapomnieli poinformować mnie o tym przez jakiś czcete.

- Krista? - Tym razem w głosie księżnej pojawiła się nuta gniewu. De'Orelio usiadła prosto i podciągnęła nogi pod siebie. Prześcieradło, ściągnięte mocno pod jej ręką, przylgnęło do jej brzucha niczym druga skóra. - Ukarales ją? Jeśli nie, ja z pewnością to zrobię.

Maksjan uśmiechnął się lekko, widząc iskry złości w oczach Anastazji. *Aha, więc poszła bez pozwolenia... Lekkomyślna niewolnica, chyba nie wie nawet, czym się zajmujemy!*

- Prawdę mówiąc - zaczął ksiązę, wstając i wygładzając tunikę - ucieszyłem się, kiedy przyprowadzono ją do mnie. Zapomniałem zabrać ze sobą do pałacu własnych służących, a Krista naprawdę umie zadbać o dom. - Podeszedł do łóżka i usiadł, przygniatając biodrem skraj prześcieradła. Księżna otworzyła szerzej oczy.

- Cieszę się, że Krista... cię zadowala, panie. - Prześcieradło wysuwało się pomalutku z rąk Anastazji. Maksjan położył prawą nogę na łóżku, i to ostatecznie wyrwało tkaninę z uchwytu księżnej. Syknęła cicho, gdy owiało ją zimne powietrze.

- Muszę przyznać - mówił ksiązę, pochylając się ku Anastazji - że nigdy jeszcze nie zdarzyło się, by kontakty z domem de'Orelio rozczarowały mnie w jakikolwiek sposób. Co skłania mnie do płożenia pewnej propozycji.

- Naprawdę? - mruzczała zmysłowo księżna, odwracając ku niemu twarz. Jej prawa dłoń spoczęła na udzie księcia. - Czego pragniesz od domu de'Orelio tej nocy?

- Chciałbym zatrzymać tę służącą, pani. Dobrze utrzymany dom jest dla mnie wiele wart. Czego pragniesz w zamian, pieniędzy czy przysługi? - Maksjan podniósł prześcieradło i ponownie okrył panią domu, czując jednak, jak ponownie ześlizguje się z jej piersi i brzucha. Skóra księżnej emanowała ciepłem pod jego dłonią.

- Och, przysługa wystarczy, panie. Lecz o tej porze będziesz musiał naprawdę się postarać, bym uznała tę wymianę za uczciwą.

Ich usta spotkały się wreszcie, a księżna opadła powoli na poduszki, wbijając palce w jego ramiona.

PORT SOLI, PROWINCJA CYLICJA, CESARSTWO WSCHODNIE

V I ertia Cyrenaicea, czwarty manipuł. To oddział jazdy. Drago! Gdzie s[^]y jest ten półgłówek? - Centurion ryczał niczym niedźwiedzica w rui. Jego głos wybijał się ponad tumult panujący w porcie Soli. Prawie

sześcudziesięciu mężczyzn tłoczyło się w dusznym namiocie, napierając na cienką drewnianą przegrodę. Centurion kwatermistrz, mężczyzna o kamiennej twarzy i nieprzeniknionym spojrzeniu, siedział na stołku obok składanego stolika za przegrodą. Żołnierze o ramionach szerokich i twardych jak pnie drzew powstrzymywali napierający tłum. Legioniści krzyczeli i przepychali się, próbując dotrzeć do przedniej części namiotu.

- Drago! - wrzasnął ponownie starszy centurion. Kłapa z tyłu namiotu uchyliła się, wpuszczając do środka gorące promienie słońca. W szparze pojawiła się głowa Greka o niezdrowej cerze. - Gdzieś ty się włóczył, zarazo? - Grek wyszczerzył tylko zęby w odpowiedzi.

- Ten chłopak - mówił kwatermistrz, wskazując grubym palcem na Dwyrina, który stał w wąskim pasie wolnej przestrzeni między zdenerwowanym tłumem i stolikiem. - Ten chłopak potrzebuje konia i sprzętu, żeby mógł dogonić swój oddział. Jego ludzie wyjechali do Samosaty już trzy tygodnie temu. Zaprowadź go do stajni i daj mu, co trzeba, a potem zaraz tu wracaj!

Otaczały ich setki namiotów ustawionych w klasycznym obozowisku rzymskich legionów, tyle że to obozowisko przybierało monstrualne rozmiary. Port Soli, do którego przybijały okręty połączonych armii obu cesarstw, jeszcze przed czterema tygodniami, nim pojawiły się tu pierwsze jednostki floty Galena, był sennym rybackim miasteczkiem położonym przy płytkiej, półkolistej zatoczce.

Galen wysadził na plaży dwa tysiące piechurów i zajął miasto. Większość jego mieszkańców uciekła, gdy tylko na horyzoncie pojawiła się czarna flota cesarstwa. Ci, którzy nie zdążyli uciec albo wrócili po swoje rzeczy, zmuszeni zostali do pracy. Trzystu inżynierów, kamieniarzy i cieśli zburzyło miasteczko i poszerzyło zatokę, wykorzystując do tego cegły, drewno i kamienie z budynków. Potem do brzegu przybił Galen z pięciuset konnymi Sarmatami i strażą przyboczną. Sarmaci pod wodzą księcia Teodora pojechali w głąb lądu, by zająć formalnie rzymskie miasto Tarsos, położone osiemnaście mil od brzegu.

Nim po dwunastu dniach podróży z Konstantynopola okręt Dwyrina przybił do portu w Soli, cesarz Zachodu wysadził już na brzeg piętnaście tysięcy ludzi, którzy przybyli tu z pierwszą częścią floty. Teodor i jego lekka jazda zabezpieczyła Tarsos i okoliczne miasteczka. Grupy wojsk wspomagających patrolowały okolicę, konfiskując konie, muły, wozy, jedzenie i paszę - wszystko, co tylko wpadło im w ręce. Do starego drewnianego mola w zatoce dołączyły dwa nowe - jedno wykonane ze specjalnie w tym celu zatopionego okrętu, drugie z cegieł i ziemi pozostałych po zburzeniu miasteczka.

Pierwotny obóz rozrósł się dwukrotnie, a potem trzykrotnie, za każdym razem otaczając się nowym rowem i palisadą. Pierwszy, wewnętrzny obóz zajęty był teraz przez Galena, jego straż przyboczną i służbę

oraz generałów. Trzy zachodnie legiony - Sexta Gemina, Secunda Triana i Tertia Augusta - które wylądowały wraz z Galenem, zajmowały następny krąg namiotów, w zewnętrznym zaś kwaterowali barbarzyńcy. Za ostatnim z rowów obronnych znajdowały się zagrody i szopy, w których trzymano tysiące koni, mułów i osłów potrzebnych do transportu zapasów i sprzętu armii rzymskiej.

Każdego dnia przybywało coraz więcej okrętów, przywożących materiały, zapasy i ludzi - całe formacje, mniejsze oddziały i pojedynczych żołnierzy, takich jak Dwyrin. Zachodni oficerowie bez ustanku próbowali przyporządkować ludzi do właściwych im jednostek i rozładować zator, który od rana do wieczora blokował port.

- Niezłe zamieszanie, co? - Drago odciągnął Dwyrina od przejeżdżającego obok wozu załadowanego drzewcami strzał. Nogi chłopca zbryzgane były błotem. Co prawda w okolicy dawno już nie padał deszcz, lecz równiny wokół Soli leżały tuż nad poziomem wód gruntowych. Drago z odrazą pociągnął nosem, spoglądając na blocko, które udawało nawierzchnię obozowych uliczek. - Ani trochę nie przypomina to wschodniego błota - mruknął. - U nas błoto jest twarde jak smoła i żółte jak żółć!

Dwyrin rozglądał się uważnie dokoła, gdy szli przez środkowy obóz: tysiące namiotów ustawiono w równych szeregach, a każdy kwartał oznaczono godłem legionu. Setki legionistów spieszyły w różne strony; kilka oddziałów pogłębiało wewnętrzny rów i wzmacniało palisadę; jeszcze inni maszerowali w równym szyku, spiesząc gdzieś poza obóz. Wszędzie panowała atmosfera z trudem kontrolowanego chaosu i energii.

- Hm... - mruknął Grek, obserwując manipuł legionistów, którzy wracali właśnie z zewnętrznego obozu, niosąc na ramionach ciężkie bukłaki z wodą. - Widzę, że próbują ich czymś zająć. Chodźmy, przed nami jeszcze kawał drogi. Z twoich papierów wynika, że jesteś w Tertia C, w batalionie taumaturgów; dostaniesz standardowe wyposażenie bez zbroi i konia. Powiem ci od razu, że nie masz nawet co marzyć o jakimś przyzwoitym wierzchowcu; wszystkie albo są już w polu z księciem Teodorem, albo czekają, zarezerwowane, na wschodnią armię.

Dwyrin ciągnął za sobą ciężką torbę z osobistymi rzeczami - sprzętem do gotowania, zwiniętą matą do spania i płaszczem. W pasie opinała go podwójna skórzana uprząż, na której wisiał miecz i nóż. Na szczęście nie musiał nosić włóczni - jego oddział ich nie używał. W torbie znajdował się także prowiant: suchary, suszone mięso i ser. Na drugim ramieniu niósł bukłak z wodą. Wszystko razem ważyło jakieś sto libarów - Dwyrin ledwo trzymał się na nogach pod tym ciężarem.

Do zewnętrznego obozu prowadził drewniany most przerzucony nad fosą wypełnioną setkami półnagich mężczyzn z łopatami w dłoniach. Kilka podjazdów z utwardzonej ziemi łączyło dno fosy z jej zewnętrznym brzegiem - tędy wywożono wykopaną z fosy ziemię. We wschodniej

części fosi zbudowano tamę powstrzymującą wody rzeki Efrenk. Rzeka płynęła tuż obok wschodniej krawędzi obozu i jeszcze do niedawna zapatrywała miasteczko w wodę. Inżynierowie zamierzali zmienić nieco jej bieg, by wypełniła fosę.

- Czy Persowie zamierzają atakować obóz? - spytał Dwyrin, kiedy weszli już do zewnętrznego obozu, szerokiego pasa grząskiej ziemi zastawionego setkami namiotów barbarzyńskich *auxilia*. Droga prowadząca do zewnętrznej bramy była prosta i twarda jak prawdziwa rzymska droga, lecz obozowiska poszczególnych grup w niczym rzymskiego porządku nie przypominały. Stacjonowali tu żołnierze ze wszystkich niemal stron znanego świata - długowłosi Hunowie, Sarmaci o ciałach pokrytych tatuażami i rytualnymi bliznami, rudowłosi Goci, Alanowie, Celtowie o pomalowanych na niebiesko twarzach, jasnowłosi Skandynawowie czy czarni Afrykanie. Wszyscy spierali się ze sobą, walczyli, grali, czyścili broń lub spali. Wszyscy czekali na sygnał do wymarszu na północ.

- Nie - odparł Drago, krzywiąc twarz. - Najbliższa perska armia jest o dwieście mil stąd, po drugiej stronie zatoki Issos. - Wskazał na południowy wschód, za szerokie, błękitne wody Morza Wewnętrznego. - Słyszałem niedawno od kapitana pewnego cypryjskiego okrętu, że wielki książę Shahin zbiera właśnie siły i przygotowuje się do marszu na południe, do Damaszku. A wszystkie te przygotowania, które tu widzisz, służą tylko temu, żeby zająć czymś żołnierzy, nim armia będzie gotowa do wymarszu. Większość zachodnich wojsk wyjdzie stąd w przeciągu tygodnia, pomaszeruje do Tarsos i połączy się z siłami księcia Teodora, a za miesiąc zostanie tu już tylko garnizon.

Greki wyprowadził Dwyrina z barbarzyńskiego obozu i skręcił w prawo. Zagrody umiejscowione były wzdłuż rzeki Efrenk, co ułatwiało pojenie zwierząt. Gdy zbliżali się do namiotów przy bramie prowadzącej do labiryntu zagród, minął ich oddział kawalerii. Dwyrin patrzył nań z zaciekawieniem: jeźdźcami byli biali mężczyźni o długich czarnych brodach, odziani w płaszcze ze złota i mosiądzu. Każdy z nich trzymał w rękę włócznię wspartą o specjalny uchwyt przypięty do siodła.

Drago odsunął połę największego namiotu i wszedł do środka. Dwyrin wszedł za nim, mrugając powiekami, by przyzwyczaić wzrok do półmroku. Był to kolejny pokój wypełniony małymi stolikami i tłumem rozgniewanych mężczyzn. Drago rozmawiał z jakimś szczupłym Sycylijczykiem, a Dwyrin wykorzystał krótką przerwę i zrzucił swój bagaż w kąt namiotu. Powietrze pod płóciennym dachem było gorące i wilgotne, lecz nawet to lepsze było od palących promieni słońca.

Greki postukał go w ramię i wręczył plik źle wyprawionych arkuszy pergaminu.

- To twoje rozkazy, chłopcze. Według ostatniego raportu Tertia ruszyła z Tarsos przed Teodorem i jest teraz w drodze do Samosaty. To będzie

punkt wypadowy dla całej armii. On mówi - Drago wskazał człowieka, z którym rozmawiał przed chwilą - że droga między Soli a Samosatą jest czysta.

Dwyrin włożył dokumenty do tuniki i uściskał ramię Greka.
- Dzięki, Drago. Ruszam w drogę.

Koń, na którym Dwyrin wyjechał z Soli, był bliżej nieokreślonej maści i cierpiał na dziwną przypadłość objawiającą się częstym wywracaniem oczami, poza tym jednak wydawał się całkiem znośny. Był to mały, przysadzisty konik stepowy, skonfiskowany w którejś z przybrzeżnych wiosek. Dwyrin nazwał go Macha w nadziei, że duch tej bogini natchnie do go czynu i przyda jego krótkim nóżkom większej prędkości. Nadzieje te okazały się płonne - konik człapał w równym tempie przez cały dzień, nie dał się jednak zmusić do kłusa, nie wspominając już o galopie. Był przy tym jednak bardzo łagodny i prawie w ogóle nie gryzł.

Droga z portu do miasta Tarsos zatłoczona była przez legionistów spieszących w obie strony, a także przez ciężko wyładowane wozy. W Tarsos, miście ceglanych domów i gmachów z kiepskiego marmuru, roilo się od wschodnich oficerów i jeźdźców. Dwyrin przespał się w szopie po wschodniej stronie miasta; w samym mieście wszystkie kwatery dawno już zostały zajęte przez wojsko. Rankiem zjadł skromne śniadanie i napił Machę wodą ze studni na wschodnich obrzeżach miasta. Mieszkańcy, którzy także czerpali wodę z tej studni, twierdzili, że księżę Teodor przygotowuje się do wymarszu na wschód, na ziemie Persów, bez wsparcia pozostałej części armii, która wciąż zbierała się w Soli.

Napoiwszy konia, Dwyrin ruszył w drogę, musiał jednak zatrzymać się przy zablokowanym moście nad rzeką za miastem i czekać tam niemal cały ranek za oddziałem gockich jeźdźców i cyrenejskich łuczników. Po drugiej stronie mostu stał wóz z pękniętą osią. Jeźdźcy z północy poganiali oddział rzymskich inżynierów, którzy próbowali przesunąć wóz, lecz ten wyładowany był kosztami z ołowiem i ciężkimi kłodami drewna. Cyrenejczycy przysiedli w mniejszych grupach na moście i rozmawiali przyciszonymi głosami. Ich wzorzyste peleryny i ciemna skóra kontrastowały z czerwonymi od słońca twarzami Gotów i ich długimi, jasnymi włosami. Dwyrin postanowił zaryzykować i zdołał jakoś przecisnąć się między unieruchomionym wozem i krawędzią mostu, choć ściągnął na siebie gniew i przekleństwa centuriona dowodzącego grupą inżynierów. Ci, zniecierpliwieni, zaczęli krzyczeć na siebie nawzajem.

Dwyrin jechał dalej, pustą już niemal drogą. Kilkaset kroków za rzeką stał kolejny obóz. Jego załogę stanowili ciemnowłosi Celtowie, którzy z rozbawieniem spoglądali na przejeżdżającego obok Hibernijczyka, ledwie widocznego spod sterty bagażu i wielkiego, czerwonego płaszcza.

- Tylko wróć do domu przed kolacją! - wołali za nim, śmiejąc się.

Dwyrin pomachał im tylko i jechał dalej. Przed nim rozciągała się nizi-
na Adana, żyzna dolina gajów oliwnych, winnic, pobielanych domów
z cegły, świerkowych i cedrowych zagajników. Za nimi, na wschodzie,
wznosiło się niskie pasmo górskie, biegnące od morza na północy do
wielkiej skarpy gór Taurus. Nawet w wilgotnym powietrzu Dwyrin wi-
dział okryte śniegiem szczyty błyszczące w popołudniowym słońcu. Gro-
madziły się między nimi chmury, na razie jednak słońce było jasne,
a niebo czyste. Małeńkie czerwone ptaszki śpiewały w gałęziach drzew
rosnących przy drodze. Tutaj, z dala od armii, pokrzykiwań i zamiesz-
ania, panował błogi spokój i cisza.

Dwyrin spróbował poderwać Machę do szybszego truchtu; miał
przed sobą jeszcze długą drogę.

Zimny wiatr dął z północy, ciskając gryzący piach i pył prosto
w twarz Hibernijczyka. Dwyrin pochylił się do przodu, owinięty szcze-
lnie płaszczem, teraz już szarym od kurzu. Drobinę żwiru podrywane
przez wiatr siekły go po odsłoniętych nogach. Macha człapał posłusznie
za nim, pochylając nisko głowę. Piękne przybrzeżne doliny dawno już
zostały za nimi. Pokonawszy również ponure pasmo skalistych gór
i piaszczystych wzgórz, Dwyrin wkroczył na niekończącą się równinę
wysuszonego błota i szerokich, suchych koryt rzek. Góry Taurus wciąż
dominowały na północnym horyzoncie, zimne i odległe, lecz stara rzym-
ska droga, której trzymał się Dwyrin, prowadziła niemal prosto na
wschód, przez ogromną równinę rzeczną.

Co dziesięć mil przy drodze, zasypanej w znacznej mierze przez
piach i kurz niesiony z niziny, wznosił się drogowskaz. Stele, niegdyś
ozdobione głęboko rzeźbionym godłem Rzymu i cesarzy, którzy je tam
postawili, były już mocno zniszczone i starte. Droga biegła prosto, lecz
kamienie na jej brzegach były popękane i poprzewracane. Czasami
Dwyrin dostrzegał w oddali jakieś wioski lub ruiny wiosek. Spomiędzy
przydrożnych kamieni wyrastały źdźbła krótkiej trawy, lecz niskie wzgó-
rza były żółte i wysuszone, pozbawione jakichkolwiek drzew czy wyż-
szych krzewów. Nawet obozy legionów, wykopane w błocie zaledwie
przed kilkoma tygodniami, wyglądały tak, jakby porzucone zostały
przed wielu laty.

Wiatr dręczył go od chwili, gdy wyszedł spomiędzy wzgórz nad porzu-
conym miastem Gaziantep, cztery dni wcześniej. Wiatr nie słabł nawet
w nocy, kiedy nad niziną, rozpaloną za dnia jak piekarski piec, zapadał
trudny do zniesienia chłód. Oczy Dwyrina były bez ustanku zalepione
brudem. Włosy i twarz pokrywała gruba warstwa żółtego nalotu. Mimo
to chłopiec wciąż maszerował na wschód, trzymając się drogi i śpiąc
w zagłębieniach, które choć trochę chroniły go przed wiatrem. Przy co
trzecim drogowskazie stał dom wybudowany z kamienia lub cegły. Pod
osłoną tych niszczących budynków znajdowały się także zbiorniki na

wodę, wydrążone w ziemi i otoczone kamieniami. Zwykle na dnie tych zbiorników można było znaleźć choć odrobinę wody.

Po kilku dniach podróży Dwyrin zaczął odczuwać coraz większy niepokój. Choć nadwidzenie nie narzucało mu się już z taką mocą jak podczas podróży do Aleksandrii, różne drobiazgi wciąż przedostawały się do jego świadomości. Zdawało się, że ogromna równina wpływa jakoś na jego umysł, opróżnia go z błahych myśli, sprowadza jedynie do pragnienia nieustannego marszu, stawiania stopy przed stopą. Towarzyszyło mu nieustające brzęczenie much. Moc płynęła tutaj głęboko pod powierzchnią ziemi, ukryta i przytłumiona. Czasami, kiedy przechodził przez płytsze doliny, czuł wodę płynącą pod ziemią, chłodną i świeżą, jednak te ukryte strumienie nigdy nie zbliżały się do powierzchni. Do świadomości chłopca przenikały także inne rzeczy. Czasami zdawało mu się, że słyszy głosy wołające w ciemności, miał wrażenie, że ziemia przygląda mu się z niechęcią i gniewem.

Pewnej nocy, gdy spał schowany za starym kamiennym murem, przebudził się nagle i ujrzał cztery postacie stojące tuż za kręgiem światła rzucanego przez jego ognisko. Macha spał spokojnie, oparty o mur. Dwyrin wiedział, że widmowi mężczyźni patrzą na niego, choć ich twarze kryły się w mroku. Ubrani byli w długie, zdobione haftami szaty i płaskie hełmy z mosiądzu. Mieli trefione, malowane brody, a ich oczy błyszczały w czarnych owalach twarzy niczym gwiazdy. Gdy Dwyrin poruszył się, by wstać i podejść do ognia, tajemnicze postacie zniknęły, pozostało jednak echo ich gniewu i nienawiści. Tej nocy Dwyrin zwinął obóz jeszcze przed świtem i wyruszył w drogę niemal w całkowitych ciemnościach, by jak najszybciej opuścić to miejsce.

Po czterech dniach podróży przez równinę dotarł na szczyt wzniesienia, którego wcześniej nawet nie zauważył - tak łagodne było jego zbocze - i spojrzął w dół, na wstęgę zieleni i szerokie pasmo wielkiej rzeki. Droga zakręcała i biegła w dół zbocza, do małej wioski i wielkiego mostu o kamiennych przęsłach. W dali widać było ludzi w czerwonych płaszczach, stojących na straży przy wieżach po obu stronach mostu. Rzeka miała co najmniej dwieście kroków szerokości, a jej błękitne wody toczyły się majestatycznie pod przęsłami z piaskowca. Macha zarżał głośno, poczuwszy wodę i zieleń. Dwyrin uśmiechnął się i ruszył w dół zbocza.

W cieniu jednego z budynków oddalonych nieco od wioski leżały ludzkie zwłoki. Dwyrin zatrzymał się na trzydzieści stóp przed wejściem do wioski. Dokoła panowała cisza przerywana tylko stukotem okiennic poruszanych przez wiatr. Dwyrin czuł smród bijący od rozkładających się zwłok, widział też, że wyciągnięte w jego stronę ramię było spuchnięte i blade. Hibernijczyk podrapał się po brodzie, zsunął na plecy czerwony płaszcz legionisty i powoli ruszył przed siebie. Myśli kłębiące się

w jego umyśle rozpieczęły się nagle, ustępując coraz szerszej oazie spokoju, która rozlewała się niczym olej na wodzie. Dwyrin rozciągnął obszar postrzegania aż do spalonych słońcem murów i chłodnych cieni odrzwi.

Pośrodku wioski znajdował się kwadratowy plac ubitej ziemi, a za nim rozpadająca się świątynia wsparta na czterech ceglanych kolumnach. Front świątyni wyłożony był drewnianymi płytami, które miały udawać marmur. Plac otaczały inne budynki o pustych i ciemnych odrzwiach. Dwyrin przejechał przez plac, kierując się w lewo, w stronę mostu. Mijając świątynię, dostrzegł nagie stopy dwóch innych ciał leżących przy wejściu. Muchy brzęczały jednostajnie w nieruchomym powietrzu pośrodku wioski. Trzasnęły jakieś drzwi, Dwyrin czuł jednak, że pchnął je wiatr, a nie człowiek. Zaczął odmawiać półgłosem formułę, podnosząc wokół siebie tarczę Ateny. W częściowo otwartym nadwidzeniu ujrzał, jak otacza go bładniebieska poświata. Moc rzeki była blisko, sięgnął więc do prądu pchającego leniwe wody naprzód. W głębi jego umysłu zapłonął jasny płomyk, który powoli nabierał mocy. Macha człapał naprzód, w stronę alejki odbiegającej od placu.

Tutaj domy wyglądały nieco lepiej; zbudowane były z kamieni pokrytych tynkiem. W głębi ulicy, po lewej stronie, od ściany domu odchodził mur ogrodowy, pokryty winoroślą, która zakwitła właśnie białoniebieskimi kwiatami. Dwyrin poruszył się niespokojnie w siodle: wyczuwał zimno i głód sączące się zza krawędzi tarczy. Poluzował miecz, który nosił w pochwie przypiętej do prawego biodra. Ulica była pusta, niósł się po niej tylko stukot kopyt jego konia. Za domami ciągnął się szereg palm, odgradzających ulicę od ogrodu. Kiedy Dwyrin minął ostatni dom, o szczelnie zamkniętych okiennicach i drzwiach pomalowanych na czerwono, drgnął i spojrzał w prawo, na ogród. *Coś...*

Potężne uderzenie, któremu towarzyszył ogłuszający huk, ściągnęło Dwyrina z konia i rzuciło na ziemię. Tarcza Ateny rozbłysła pełną mocą, gdy toczył się bezwładnie po ziemi. Macha zarżał z bólu i runął bez życia, pozbawiony prawie całego zadu. Dwyrin był częściowo oślepiiony, wciąż miał przed oczami nieregularny zygzak białoniebieskiego światła. Płomień w jego umyśle eksplodował, a dłonie same ułożyły się w przywołanie Gęba, kamienia ziemi. Przez zasłonę łez widział mężczyzn wybiegających spośród palm po lewej stronie drogi. Odwrócił się i wyciągnął ręce w ich stronę, uwalniając moc, którą wcześniej wyciągnął z ziemi i rzeki.

Strumień szkarłatnego ognia przemknął nad drogą i uderzył w grupę napastników. Dwaj pierwsi mężczyźni, odziani w pustynne szaty i lekkie metalowe kolczugi, spłonęli niczym słomiane kukły, zamieniając się w garść popiołu. Ci, którzy biegli dalej, zaczęli krzyczeć w przerażeniu, gdy ściana ognia ogarnęła ich ubrania i ciała. Dwyrin postąpił o krok do przodu, otoczony aureolą oślepiająco białego płomienia. Pozostałości

wiernego konia zaczęły obficie dymić, a potem spłonęły w gwałtownym wybuchu ognia, wypełniając powietrze gęstym czarnym dymem. Dziewięciu mężczyzn wiło się w straszliwych męczarniach, ich mięśnie i tłuszcz skwierczały w żarze przywołanym przez Dwyrina. Poskręcane, na pół zwęglone członki uderzały o ziemię w przedśmiertnych drgawkach, by wreszcie spocząć nieruchomo.

Hibernijczyk dobił mieczem ostatnią ze swych ofiar. Poskręcana, pozbawiona oczu twarz z ustami otwartymi w niekończącym się krzyku patrzyła nań drwiąco z osmalonej ziemi. Płonęły także palmy, wysyłając w niebo smugi białego dymu. Dwyrin odwrócił się, oszołomiony dziełem zniszczenia, które sam sprowadził. Płonął także ogród, a pobliskie domy czarne były od dymu. Nadwidzenie całkiem ogarnęło jego umysł, świat fizyczny zniknął w burzy kolorów i dźwięków. Dwyrin upadł na kolana. Otworzył usta, chwytając łapczywie powietrze, nie mógł jednak wydobyć z siebie żadnego dźwięku.

Wąskie smugi dymu snujące się po nocnym niebie przestaniały część gwiazd i rosnący sierp księżyca. Nad ziemią zalegały ciemności rozpraszane tylko blaskiem dogasającego ognia. Dwyrin jęknął i powoli otworzył zaklejone pyłem oczy. Usiadł prosto, a oblepiająca go warstwa popiołu opadła na ziemię białym obłokiem. Świat znów miał konkretne kształty, pod stopami chłopca była twarda ziemia, a nie otchłań wypełniona maleńkimi ogniami i pulsującym blaskiem ukrytych mocy. Niebo odzyskało swój dobrze znany kształt, jego czarna kopuła wypełniona była przyjemnym światłem gwiazd, a nie milionami wirujących kul ognia.

Palmy przy drodze spłonęły do samej ziemi, pobliskie domy zapadły się do środka. Ciała zabitych wciąż leżały wokół niego wraz z resztkami biednego konia. Skorpiony i padlinożerne zwierzęta uciekły spłoszone ruchem Dwyrina. Chłopiec podniósł się powoli z ziemi i otrzepał z popiołu. Dopiero teraz zauważył, że zniknął cały bagaż, który wioził na koniu. Chwycił się za pasek i zaklął głośno.

- Matko burz! Złodzieje grobów...

Kiedy leżał nieprzytomny, ktoś zabrał jego sakiewkę, nóż i miecz, zostawiając jedynie wełnianą koszulę, nogawice, płaszcz i, na szczęście, buty. Dwyrin sięgnął do skórzanej torebki zawieszanej na szyi i odczekał z ulgą; rozkazy i jego dysk identyfikacyjny były na miejscu. Potarł cynowy dysk i od razu poczuł się lepiej. Pomyślał, że gdy tylko dotrze do jakiegoś legionu, znów poczuje się jak w domu. Pochylił się nad ciałem konia i zaczął cicho nucić. Odmówiwszy modlitwę za zmarłych, złożył razem dłonie i dmuchnął w nie. Po chwili zapłonęła między nimi iskra, która zamieniła się w zimne białe światło. Dwyrin umieścił je w powietrzu przed sobą, by oświetlało mu drogę, i ruszył w stronę mostu. O ile dobrze pamiętał, wcześniej byli tam rzymscy żołnierze.

Most był pusty. Nieopodal znajdowały się pozostałości obozu, lecz żołnierze zniknęli. Węgla w ognisku ostygły, a Dwyrin nadaremnie przetrząsał puste namioty, szukając czegoś, co mogłoby się mu przydać. W końcu znalazł porzuconą włócznię, którą wykorzystał jako kij podróżny. Mała kula światła zbliżyła się do ostrza włóczni, a potem przylgnęła do niego na dobre. Rzeka bulgotała cicho, kiedy przechodził po moście. Dotarłszy na drugi brzeg, przystanął.

W powietrzu panowała cisza. Wiatr ustał. Dwyrin obejrzał się za siebie, na most lśniący blado w świetle księżyca. Wiedział, że coś w wiosce zaatakowało go mocą burzy. Ocaliła go tarcza, którą podniósł ledwie kilka chwil wcześniej. Teraz nie wyczuwał niczego w eterze nocy. Ziemia spała; tylko rzeka niestrudzenie toczyła wody w swym łóżysku. Dwyrin odwrócił się z powrotem i ruszył przed siebie. Kątem oka dojrzał błysk ukrytego ciepła. Zignorował go, choć odwrócił lekko głowę, by przekonać się, czy nie było to tylko przywidzenie.

W cieniu ostatniego przęsła, na wschodnim brzegu rzeki, siedział jakiś człowiek. W mroku widać było jedynie zarys jego postaci, choć teraz, gdy Dwyrin bardziej skupił wzrok, dostrzegał także żar pulsujący w jego krwi i kościach. Chłopiec zatrzymał się i odwrócił do mężczyzny, wsparty o swój kij podróżny.

- Nie gryzę - powiedział zaskakująco piskliwym głosem i skrzywił się. Chciał pozować na silnego, pewnego siebie mężczyznę, a mówił jak zmęczony szesnastolatek. - Pokaż się. Jesteś Rzymianinem?

Nieznany mężczyzna poruszył się i wstał. Ciemny płaszcz opadł na bok, odsłaniając ostrze miecza, to jednak zniknęło zaraz w pochwie. Mężczyzna wyszedł powoli z cienia, stając na skraju kręgu światła rzuconego przez płomień przyklejony do ostrza. Był już nie najmłodszy, miał krótką, szpakowatą brodę i rzadkie brązowe włosy. Jego twarz przecinały zmarszczki wyżłobione przez lata spędzone na słońcu i wietrze. Głęboko osadzone oczy błyszczały w białym świetle płomyka. Miał na sobie płaszcz rzymskiego żołnierza i ciężką, grubą kolczugę. Na ramieniu trzymał starą skórzaną torbę, miał też krótki miecz, dwa długie noże i krótką włócznię. Mężczyzna przesunął się ostrożnie na bok.

- Kim jesteś? - spytał chrapliwym głosem. - Przyszedłeś z wioski?

Dwyrin skinął ze znużeniem głową. Nie ruszał się; mężczyzna w każdej chwili był gotów do ucieczki.

- Zszedłem dziś ze wzgórza, ale ktoś mnie zaatakował w wiosce i musiałem się bronić. Straciłem przy tym dużo sił i... chyba zemdlałem. Kiedy się obudziłem, było już ciemno. Stacjonowałeś w tym obozie?

Mężczyzna skinął głową, nadal jednak był bardzo czujny. Przełożył włócznię do prawej ręki.

- Jestem Kolonna - powiedział. - *Ouragos* z czwartej *lochaga* szóstej *banda* Tertia Cyrenaicea. A ty jak się nazywasz?

- Dwyrin MacDonald. Jestem rekrutem z *Ars Magica* z Tertia Cyre-

naicea. Spóźniłem się do Konstantynopola i teraz próbuję dogonić mój oddział.

Kolonna parsknęła i przerzuciła włócznię przez ramię, pozbywszy się wreszcie obaw. Podeszedł bliżej i przyjrzał się Dwyrinowi uważnie.

- Cudotwórca? Wyglądasz bardzo młodo jak na czarownika.

Dwyrin odpowiedział mu hardym spojrzeniem, choć uszy paliły go niemal żywym ogniem. Mężczyzna w rekordowo krótkim czasie przeszedł od strachu do lekceważenia. Kiepsko skrywany uśmiezek na jego twarzy był Dwyrinowi aż nazbyt dobrze znany - bandyci z wioski niczym się nie różnili od tego człowieka.

- Co tu się stało? - spytał Dwyrin, tym razem panując nad swoim głosem.

Kolonna wzruszył ramionami.

- Bandyci zaatakowali wczoraj wioskę. Pięćdziesięciu albo sześćdziesięciu ludzi na koniach i wielbłądach. Doszło do walki między domami i *lochagos* postanowili, że powinniśmy wycofać się do mostu. Nie mieliśmy żadnych szans, ale bandziom i tak się nieźle dostało. Ja wpadłem do wody i nie spieszyłem się z powrotem, zresztą do tej pory i tak wszyscy nasi zginęli. Potem schowałem się na skraju pola i obserwowałem okolicę. - Żołnierz wskazał na most. - Dzisiaj zadekowali się w wiosce, a kilku przebrało się w płaszcze zabitych i stanęło przy moście. Wtedy przeniosłem się pod most, żeby ich podsłuchać. Większość wyszła z wioski w południe razem z ludźmi z wioski. To najeźdźcy z północy, szukają łatwych łupów, a na wojnie o to nietrudno. Zabrałem swoje rzeczy z obozu, kiedy w wiosce zaczęło się przedstawienie.

Dwyrin uniósł lekko brwi.

- Przedstawienie?

- Tak, błyskawice i słupy ognia. Większa część wioski poszła z dymem, więc postanowiłem, że przejdę na drugi brzeg i stamtąd będę się wszystkiemu przyglądał. Wszystko uciхло szybciej, niż myślałem, a wkrótce potem uciekli ostatni bandyci, ale bałem się tam wracać. Pomyślałem, że poczekam dzień i zobaczę, co się wydarzy. No i mam ciebie...

- Masz mnie. - Dwyrin pokiwał głową. - A jeśli nie masz też w pobliżu jakichś koni, to powinniśmy chyba od razu ruszać w drogę. Jak daleko stąd do Samosaty?

Kolonna oparł włócznię na ramieniu i przyglądał się przez chwilę chłopcu. Potem opuścił włócznię i postukał nią o ziemię. Dwyrin czekał cierpliwie. Wreszcie żołnierz ponownie wzruszył ramionami i poprawił torbę na plecach.

- To jakieś trzy dni drogi, chłopcze. Jesteś pewien, że nie chcesz tutaj poczekać? Na pewno wkrótce pojawi się jakiś konwój. To niebezpieczna okolica, lepiej nie chodzić tędy w pojedynkę.

- Nie - odparł krótko Dwyrin, ruszając w drogę. Za nic w świecie nie zostałaby w tym miejscu.

- To niebezpieczny kraj - mówił Kolonna, kiedy weszli na szczyt wzgórze i zaczęli wreszcie schodzić do doliny usłanej zielonymi sadami i polami. Zarówno stary żołnierz, jak i młodziak nosili kapelusze splecione z trzciny i trawy zerwanych przy ostatniej rzece, jaką mijali po drodze. Dwyrin ignorował paplaninę Sycylijszyka. Po trzech dniach podróży z *ouragosem* coraz częściej oddawał się rozmyśleniu nad tym, co robią nauczyciele w jego szkole. Lekcje, które z takim uporem usiłowali wtłoczyć do jego opornego umysłu, wracały doń teraz i to w całości, jakby wszystkie odbyły się ledwie kilka dni wcześniej. Odtwarzał je w myślach podczas długiego marszu.

- Słońce usmaży tu człowieka jak na patelni. Miejscowi są podli z natury i zamordują każdego, kto oddali się od swojej jednostki i zostanie choć na chwilę sam. W nocy jest tak zimno, że można zamarznąć. Woda jest brudna i można dostać po niej biegunki.

Kolonna mówił i mówił, napełniając uszy Dwyrina niekończącą się litaniją narzekań. Dwyrin przypuszczał, że weteran w pewnym sensie chce mu pomóc, przekazując wiedzę, którą nabył podczas długich lat służby, lecz od tej gadaniny bolała go już głowa. Miał nadzieję, że widoczne przed nimi miasto to Samosata i że wkrótce pozbędzie się uciążliwego towarzystwa.

- Żmije chowają się pod kamieniami i wpełzają na materac, kiedy śpisz. Budzisz się i czujesz, jak wbija w ciebie zęby. Pasza dla koni jest gorzka i ciężkostrawna, zwierzęta, które się tu nie wychowały, na ogół chorują, a niektóre nawet zdychają. Ziemia nienawidzi ludzi, no i...

Dwyrin przestał słuchać. Było mu zimno, choć słońce paliło bezlitośnie. Coś, co kryło się w martwych skałach przy drodze i w spękanej ziemi, napełniało go coraz większym niepokojem. Miasto falujące w rozpalonym powietrzu wciąż wydawało się bardzo odległe. Dwyrin zatrzymał się nagle i odwrócił, spoglądając na drogę schodzącą w dół zbocza. Czuł dziwne mrowienie na skórze. Coś obserwowało ich zza głazów.

Kolonna także się zatrzymał i oparł na swoim kiju podróжным. Żołnierz wydawał się jeszcze starszy i bardziej zmęczony niż zwykle. Dwyrin omiół spojrzeniem cały horyzont. Nic.

- Dziwne uczucie? - spytał żołnierz.

- Jakby ktoś obserwował nas z ukrycia.

Kolonna skinął głową.

- Mam to przez cały czas. Oni rzeczywiście obserwują nas zza skał. Pamiętaj, ta ziemia nas nienawidzi, i nienawidzą nas ludzie, którzy tu mieszkają. Czekają tylko na okazję, żeby nas bezkarnie zamordować.

Ruszyli ponownie naprzód, choć teraz Dwyrin spoglądał na wyjątkową równinę tak, jakby znajdował się na środku wrogiego morza. Złe zamiary prześlizgiwały się pod powierzchnią ziemi, czekając tylko na okazję, by wynurzyć się i zatopić w wędrowcach swe zęby. Bezlitosne słońce wypełniało białą misę równiny palącym żarem. W kącikach oczu,

gdzie dominowało nadwidzenie, Dwyrin ujrzał ciemną zieleń i przytłumioną czerwień pełzające wzdłuż drogi. Jakiś czas później minęli zburzony budynek. Białe kolumny, popękane i skruszone, leżały rzucone na ziemię, białe zęby w czerwonych dziąsłach gleby. Dwyrin wzdrygnął się, gdy mijali zniszczoną świątynię, i przesunął się na skraj drogi, zostawiając Kolumnę bliżej studni rozpaczy zamkniętej między skruszonymi cegłami.

Kolumna umilkł.

Samosata okazała się ponurym labiryntem pustych ulic. Miejscowi strażnicy bez słowa przepuścili ich przez zachodnią bramę. Mieszkańcy miasta nosili duże turbany, spod których widać było tylko wąskie szczeliny oczu. Mieli długie włócznie i zakrzywione miecze zawieszane na wybijanych klejnotami pasach. Nawet ich ręce były szczelnie owinięte. Na ulicach było niemal całkiem pusto. Domy o szarych, ponurych ścianach miały niewielkie okna, teraz szczelnie zamknięte czerwonymi okiennicami. Nad placami wisiało duszne, wilgotne powietrze.

Zatrzymali się po drugiej stronie miasta. Choć nie widzieli po drodze prawie nikogo, czuli, jak rośnie w nich dziwne napięcie, obawa przed nieuniknionym zagrożeniem. Plac, który miał ledwie trzydzieści stóp szerokości, przylegał do wschodnich murów miasta. Z pozostałych stron otaczały go dwupiętrowe budynki z otynkowanej cegły. Mury przecinała brama o dwóch kwadratowych wieżach, nie dostrzegli jednak żadnych strażników ani na murach, ani przy bramie. Kolumna zatrzymał się przy studni w południowo-wschodnim rogu placu. Podczas gdy żołnierz wyciągał wiadro, Dwyrin stał zwrócony ku wąskiej alejce, którą doszli do tego miejsca.

Ciszę zalegającą nad placem przerywało jedynie skrzypienie liny i stukot wiadra wyciąganego ze studni. Dwyrin oparł się na swoim kiju, kryjąc twarz w cieniu kaptura. Miał zamknięte oczy i w ciszy swego umysłu wyczuwał, jak otaczające ich powietrze drży od skrywanej mocy. Gorąca iskra, która zawsze tliła się gdzieś z tyłu jego umysłu, zapłonęła nagle jasnym płomieniem, podsycona strachem.

- Spokojnie, chłopcze - szepnął Kolumna. Nonszalancka nuta w jego głosie zniknęła, ustępując chłodnemu spokojowi zawodowca. - Ja też to czuję. Po prostu czekaj.

Wiadro zazgrzytało o skraj cembrowiny. Kolumna rozchylił wlot buklaka i napełnił go zimną wodą. Potem podniósł wiadro do ust i pił łapczywie. Woda ściekała mu po brodzie i kapłała na płaszcz. Zaspokoiwszy pragnienie, podał wiadro Dwyrinowi.

Wiadro było niemal puste, lecz Dwyrin wypił całą resztę wody, nie zważając na błoto zgromadzone na dnie. Powietrze wyplukiwało wilgoć ze wszystkich żywych istot, a woda smakowała wtedy jak najcudowniejszy eliksir. Dwyrin odstawił wreszcie wiadro i otarł usta. Na ulicy po

drugiej stronie placu pojawiły się dwie postacie. Dwyrin zwrócił się w ich stronę.

Podobnie jak mieszkańcy miasta obaj mężczyźni nosili pustynne szaty, tyle że jasnobeżowe i białe. Nie byli uzbrojeni, lecz poczucie zagrożenia wypływało z nich niczym gęsta mgła. Dwyrin czuł, jak Kolonna staje za nim i podnosi włócznię. Ludzie pustyni weszli na plac i stanęli pod ścianą budynku. Ulica za ich plecami wypełniła się nagle ciemnością. Dwyrin syknął zaskoczony.

- Co się dzieje? - szepnął Kolonna. - Tam coś jest?

Dwyrin podniósł rękę. W mroku ulicy coś się kryło. Coś kalekiego, lecz wypełnionego goryczą i palącą, ciemną mocą. Smród palonego ciała dotarł aż do Rzymian, na drugą stronę placu.

- Aiii... nie pachnie mi to najlepiej. - Kolonna zmienił postawę, podnosząc włócznię do rzutu. Dwyrin skierował swój kij ku kamieniom, którymi wybrukowany był plac. Strumyki czerwono-czarnej mocy sączyły się powoli między kamieniami, inna niebieskozielona moc kryła się głęboko w studni. Wykorzystując kij jak soczewkę, Dwyrin próbował nagiąć moc kamieni ku swej woli. Nie byłaby to wielka siła, ale lepsza niż nic.

Coś w ulicy podpełzło bliżej, jego nienawiść uderzyła w Dwyrina niczym żar bijący od ogniska. Pojawili się kolejni ludzie pustyni. Moc w kamieniach, powietrzu i wodzie zmieniła nagle swój wzór, obróciła się ku ujściu ulicy niczym opiłki żelaza w stronę magnesu. Dwyrin zaczął się pocić. Stworzenie ukryte w mroku było bardzo, bardzo silne. Chłopiec przygotowywał się do uwolnienia ognia, który huczał już w jego sercu.

- Przygotuj się - rzucił do Kolonny. - Zakryj oczy i schowaj się za mną.

Szczęk łańcuchów przesuwanych przez mosiężne zasuwki przerwał nagle ciszę zalegającą nad placem. Brama między wieżami zaskrzypiała i zaczęła się powoli otwierać. Strażnicy w brązowych szatach wyszli z ciemnych otworów u podstawy wież i odciągnęli na boki ciężkie drewniane skrzydła bramy. Dwyrin na powrót spojrzał w mroczne ujście ulicy. Ludzie pustyni zawrócili i kryli się w bocznych uliczkach. Gorzka nienawiść kalekiego stworzenia także zaczęła słabnąć i odsuwać się. Końskie kopyta zastukały o bruk.

- Dzięki niech będą Mitrze! - Kolonna westchnął, czyniąc w powietrzu znak byka. Przez bramę wjeżdżał oddział rzymskiej kawalerii w krótkich czerwonych płaszczach i skórzanych pancerzach. Byli to żołnierze Cesarstwa Wschodniego, wyposażeni w lekkie łuki, które nosili na plecach, i długie włócznie umocowane w skórzanych pochwach przy siodłach. Dowódca oddziału, śniady mężczyzna o krzaczastej, czarnej brodzie, zatrzymał konia przed studnią. Dwyrin podniósł nań wzrok. Przez chwilę zmagął się ze sobą, powstrzymując ogień, który mógł wyskoczyć z jego umysłu i pożreć spoglądającego nań oficera. Wreszcie

jednak chłopiec jęknął z bólu, stłumiwszy wir płomieni, i opadł wyczerpany na kolana.

Kolonna pochwycił go za ramiona i postawił prosto. Uśmiechnął się szeroko do dowódcy i zsalutował, mówiąc:

- Chłopak nie przywykł jeszcze do gorąca, panie. Wystarczy dać mu trochę wody i dojdzie do siebie.

DAMASZEK, SYRIA MAGNA

hmet siedział w cieniu drzewa oliwkowego, na kolanach trzymał kapelusz odwrócony rondem do góry. Było późne popołudnie, ale z niego nie spał tylko Mahomet. Pozostali, nawet strażnicy, chrapali smacznie pod drzewami. Wielbłądy i konie pasły się nieopodal w cieniu drzew. Nawet muchy ucichły, a te nieliczne, które wciąż krążyły wokół głowy Egipcjanina, były ociężałe i leniwe. Ahmet jadł pomarańcze i wrzucał skórki do kapelusza. Ze swego miejsca widział zбочe niskiego wzgórza schodzące prosto do bram wielkiego miasta. Obłok dymu i kurzu unosił się nad drogą prowadzącą z południa. Ahmet włożył do ust kolejny kawałek pomarańczy i rozkoszował się przez chwilę słodkim smakiem.

Między wzgórzami a murami Damaszku płynęła szeroka rzeka. Poganiacze bydła, których spotkali poprzedniego dnia, nazywali ją Baradas. Nad rzeką wznosiły się dwa bliźniacze mosty; szerokie, długie, drewniane, wsparte na przęsłach z szarego kamienia, prowadzące do wielkiego bastionu wież i bram, przez które wjeżdżało się na zatłoczone ulice miasta. Od południa i wschodu miasto otaczały grzędzawiska i ogrody, a cały ruch z tych kierunków skupiał się na trzech drogach usypanych nad grząskim gruntem. Wszystko to nie robiło na Ahmecie specjalnego wrażenia - Aleksandria była trzy razy większa od tego prowincjonalnego miasteczka.

Droga prowadząca nad rzekę była zatłoczona, podobnie jak poprzedniego dnia. Nieustający strumień ludzi wypływał z Damaszku, zmierzali na południe, czy to na piechotę, czy na wielbłądzie, czy na wozie. Jednocześnie oddziały wojska, zarówno konnicy, jak i piechurów, próbowały wydostać się na północ. Gdy Ahmet dojadał właśnie pomarańczę, kolejny oddział jeźdźców uzbrojonych w długie włócznie przejechał u podnóża wzgórza, przepychając się przez tłum blokujący drogę. Powietrze przyniosło do uszu Ahmeta gniewny pomruk stłoczonych w dole ludzi. Armie wschodnich książąt próbowały zająć pozycje na północ od Baradasu. Nawet arystokraci musieli pokornie czekać na swą kolej przy moście.

Pod wieczór ludzie Mahometa obudzili się i zaczęli zbierać drewno na ogień. Ahmet stał na skraju zagajnika, trzymając złożone ręce na plecach, i patrzył na światła miasta. Wielkie czarne i srebrne chmury ptaków podniosły się znad moczarów i przetaczały się po niebie, polując na owady przed zapadnięciem nocy. Gdy dolinę okrył już przedwieczorny mrok, Egipcjanin dojrzał ogniska płonące w obozowiskach rozłożonych przy północnych i zachodnich drogach do miasta. Do białych kamiennych murów starego miasta dołączyły nowe, tętniące życiem przedmieścia z drewna i brezentu.

Nad górami po zachodniej stronie miasta zaczęły się już pokazywać gwiazdy, gdy wrócił wreszcie Mahomet. Wspinał się na wzgórze, prowadząc za sobą ciężko objuczonego konia i niosąc na ramionach jeszcze dwa dodatkowe worki.

- Ho, kapłanie! - zawołał Mahomet, dysząc ciężko. - Pomóż człowiekowi w potrzebie. - Kupiec zrzucił jeden worek z ramienia, a Ahmet pochwyił go i jęknął głucho. Worek był bardzo ciężki. Kilku kuzynów Mahometa wzięło odeń drugi worek i wodze konia. Kupiec wyprostował się i wygiął obolałe plecy.

- O jak dobrze! Mówię ci, tam w dole jest dzisiaj prawdziwe piekło. To miejsce to istny dom wariatów! - Mahomet rozejrzał się dokoła, licząc ludzi. Zadowolony, że wszyscy są na miejscu, odpędził swoich ludzi i przywołał Ahmeta. Razem oddalili się od obozu i weszli na szczyt wzgórza zwieńczony stertą kamieni. Mahomet usiadł na jednym z nich i zaczął czyścić sandały. Ahmet przysiadł obok.

- Szukałem twojego przyjaciela - mówił południowiec, masując obolałe stopy. - Ale w mieście nie ma rzymskich legionów. Są Arabowie, Syryjczycy, Palmyrczycy, Nabatejczycy, Palestyńczycy, Goci, Turcy i Etiopczycy, ale ani jednego żołnierza rzymskiego. - Mahomet umilkł na moment, spoglądając w stronę mostu na Baradasie. - Gdybym nie wiedział, o co tu chodzi, pomyślałbym, że w mieście szykuje się bunt przeciwko cesarstwu, ale wszyscy mówią o wojnie z Chosroesem, królem Persji. Rozmawiałam z ludźmi, których poznałem tu podczas poprzednich wizyt, i żaden z nich nie wiedział, by w mieście, były jakieś oddziały rzymskie. Gubernator ma jeszcze jakichś strażników, ale jak powiedział mi mój przyjaciel Barsames, dwie kohorty Secunda Triana, które stacjonowały w mieście, zostały wycofane do Tyru na wybrzeżu już niemal przed miesiącem.

Ahmet pokręcił ze zdumieniem głową.

- Nie rozumiem - powiedział. - Kwatermistrz w Aleksandrii zapewniał mnie, że trzeci legion został wysłany do Damaszku, razem z jeszcze jednym legionem.

Mahomet wzruszył ramionami.

- Nie wiem, jak to się stało, przyjacielu, ale tak czy inaczej w Damaszku nie ma człowieka, którego szukasz. Te legiony mogą tu wkrótce przybyć, sporo mówi się o tym w mieście, ale do tej pory...

Ahmet wstał skonfundowany i zaczął przechadzać się wzdłuż sterty kamieni.

- Pojadę więc na wybrzeże - rzekł w końcu. - Do Tyru czy każdego innego miejsca, w którym stacjonują legiony.

Mahomet odwrócił się lekko, by widzieć swego przyjaciela.

- Jesteś pewien, że musisz znaleźć tego człowieka? Jesteś mu to winien?

- Tak - odparł Ahmet ze smutkiem. - Jestem mu winien to i znacznie więcej, choć nie sądzę, by wiedział... ba, na pewno nie wie, że go szukam. Ale nie mogę zgodzić się na to, co mu zrobiono, i uważać się nadal za człowieka honoru.

Mahomet rozłożył ręce w niemym pytaniu.

Ahmet westchnął ciężko i usiadł, chowając głowę w dłoniach.

- Jeszcze kilka tygodni temu byłem nauczycielem-kapłanem w szkole w Górnym Egipcie, szkole, która naucza dzieł i filozofii Hermesa Trismegistosa i innych starożytnych mędrców. Szkoła jest dosyć znana i wiele bogatych rodzin wysyła tam swe dzieci, by uczyły się techniki sztuki widzenia i kontrolowania mocy. Byłem najmłodszym mistrzem w tej szkole, nauczycielem. Pewnego dnia otrzymaliśmy z Aleksandrii wiadomość, że musimy wypełnić cesarski rozkaz i wysłać do legionów czarownika trzeciego rzędu. By wypełnić to zobowiązanie, mistrz szkoły postanowił wysłać Dwyrina MacDonalda, jednego z moich uczniów. Protestowałem przeciwko tej decyzji, ale Dwyrin i tak został wysłany.

Mahomet uniósł lekko brwi; obserwując swego egipskiego przyjaciela, jego zachowanie i sposób mówienia, domyślał się po trosze, że ten nie jest przeciętnym kapłanem, nie przypuszczał jednak, że podróżuje w towarzystwie człowieka, który włada ukrytymi mocami. Zachichotał w duchu; doprawdy nie mógł znaleźć sobie lepszego towarzysza podróży!

- Czy ten Dwyrin nie chciał jechać? Co o tym myślał?

Ahmet parsknął z niesmakiem.

- Jestem pewien, że Dwyrin czuł się ogromnie wyróżniony tym wyborem. Problem w tym, że Dwyrin tylko w teorii jest czarownikiem trzeciego rzędu. Nie był nawet najlepszym z moich uczniów! Szesnastoletni chłopiec, utalentowany, owszem, ale pozbawiony dyscypliny i doświadczenia, jakie powinien mieć prawdziwy mistrz. Ach, powinienem był pójść zamiast niego.

- Macie szesnastoletnich mistrzów? - spytał skonfundowany Mahomet.

- Nie! - wykrzyknął Ahmet ze zgrozą. - Kiedy mistrz szkoły dowiedział się o zaciągu, kazał mi zabrać chłopca do ukrytej świątyni i wprowadzić go w tajemnice trzeciego kręgu - ale on nie ma ani doświadczenia, ani dyscypliny, ani cierpliwości, jakie są do tego potrzebne! Został otwarty dla świata, którego nie potrafi właściwie postrzegać ani kontro-

lować. To jeszcze dziecko, kłopotliwe dziecko, którego mistrz szkoły chciał się pozbyć, by nie przysparzało mu więcej problemów, ale to jest usprawiedliwienie. Chłopiec został ofiarą rzuconą na pożarcie bogom wojny. Może już nie żyje.

Ahmet umilkł, wpatrywał się tylko niewidzącym wzrokiem w rozgwieżdżone niebo.

Mahomet położył mu dłoń na ramieniu.

- Więc porzucisz szkołę, by go odszukać? Co zrobisz, kiedy go znajdziesz?

- Zajmę jego miejsce - odparł Ahmet znużonym głosem. - Albo przyłączę się do niego i nauczę go wszystkiego, co sam umiem, jeśli nie pozwolą mi zrezygnować. - Był... jest moim uczniem. Jestem za niego odpowiedzialny, pomimo wszystkich jego żartów i nieposłuszeństwa. Miał talent, mógłby wyrosnąć z niego ktoś naprawdę wartościowy, kto dokonałby wielu dobrych czynów. Słabo mi się robi na myśl, że być może leży już gdzieś martwy na polu bitwy, zjadany przez wrony tylko dlatego, że mistrz szkoły postanowił pozbyć się w ten sposób kilku problemów.

Mahomet uśmiechnął się do siebie w ciemności. *Czyż nie tak zachowuje się cały świat?*

- Nie ma trudniejszej drogi niż ta, po której stąpa człowiek honoru

- powiedział uroczystym tonem. - Ahmecie, jutro wjedziemy do miasta i zostawimy naczynia ceramiczne i szklane w magazynie należącym do brata kuzyna mojej żony. Wtedy zakończę wreszcie wszystkie interesy, jakie chciałem załatwić podczas tej podróży. Myślę, że powinniśmy pójść potem do twierdzy i dowiedzieć się, czy rzymskie władze wiedzą, gdzie może być legion Tertia Cyrenaicea. Potem zaś, jeśli nie masz nic przeciwko memu towarzystwu, pojedziemy razem szukać twojego ucznia i utraconego honoru.

Ahmet spojrzał nań zaskoczony.

- To bardzo szlachetne z twojej strony, zwłaszcza że znamy się ledwie od trzech tygodni. Dlaczego chcesz to zrobić?

Mahomet westchnął i złożył przed sobą ręce.

- Kieruje tobą honor i poczucie obowiązku. Ja nie mam żadnych zobowiązań tego rodzaju. Mam wspaniałą żonę i bogatą rodzinę w moim rodzinnym mieście. Mógłbym spędzać dni na czytaniu i rozmyślniach, i robiłem to już. Spędziłem też sporo czasu w siodle, najeżdżając wioski i oazy wrogów mego plemienia. Mógłbym bawić się w kupca, podróżować do odległych krajów i miast; to także już robiłem. Moje serce jest głodne, a ja nie znalazłem jeszcze tego, czym powinienem je nakarmić. Jestem niespokojnym duchem, przyjacielu, i chcę zrozumieć to wszystko. - Mahomet ogarnął gestem niebo, wzgórze i ziemię pod ich stopami.

- Tęsknię za żoną i domem, jednak ciągle mi czegoś brakuje. Pojadę więc z tobą i zobaczę przynajmniej coś, czego nie widziałem do tej pory. Może znajdę też to, czego szukam! Człowiek nigdy nie wie, dokąd za-

jedzie, gdy rusza w nieznaną drogę. Prawda może leżeć za następnym zakrętem albo wzgórzem.

W czasach pokoju targowiska Damaszku wypełnione były wrzaskliwym tłumem tysięcy ludzi, którzy przepychali się przez wąskie alejki. Teraz, kiedy pod miastem lub w samym mieście obozowały dziesiątki tysięcy żołnierzy, sytuacja wyglądała jeszcze gorzej. Ahmet niemal przez pół dnia przepychał się przez ulice zapchane oddziałami uzbrojonych mężczyzn, chybotliwymi straganami i mieszkańcami miasta, nim wreszcie dotarł do szerokiego placu otoczonego przez świątynie i budynki państwowe, który to plac stanowił centrum miasta. Tam dopiero mógł spokojnie odetchnąć i iść w normalnym tempie. Udał się najpierw do świątyni Zeusa górującej nad całym placem i przyległymi budynkami.

Pokonał długie schody przed wejściem, potem minął szereg fontann, z których woda spływała do ozdobnych sadzawek u podstawy budynku. Kroki licznych kapłanów i penitentów odbijały się echem od wysokich sufitów, kiedy wszedł w wąski korytarz odchodzący od głównej nawy. Ahmet, który wcześniej dokładnie wypytał o drogę niewolnika przed świątynią, mijając kolejne biura, by niemal na samym końcu korytarza trafić do pokoju człowieka, z którym chciał się zobaczyć.

- Mistrz Monimus?

Szczupły mężczyzna z resztkami siwych włosów na głowie, spojrzawszy na biurko zasłanego zwojami papirusów. Oczy kapłana były niebieskie i pogodne, a jego twarz, choć pocięta głębokimi zmarszczkami, wydawała się otwarta i miła.

- Jestem Monimus - odrzekł czystym głębokim głosem. - Usiądź, proszę. Tu jest wino, jeśli jesteś spragniony.

- Dziękuję, mistrzu. Jestem Ahmet ze szkoły Pthamesa w Egipcie. Ja także służę Hermesowi Trismegistosowi.

Monimus skłonił lekko głowę, a potem sięgnął po starą, czerwono-czarną amforę i napełnił dwa kubki winem. Podał jeden *krater* Ahmetowi, a sam uprzejmie pociągnął łyk z drugiego. Ahmet także skosztował wina i odstawił je na brzeg biurka. Monimus czekał z cierpliwością, jaką cechowali się wszyscy kapłani zakonu Trismegistosa. Ahmet odchrząknął, nie bardzo wiedząc, jak zacząć, potem jednak pomyślał, jak zabrałby się do tego Mahomet, i postanowił przejść od razu do rzeczy.

- Mistrzu Monimusi, chciałbym prosić ciebie i twój dom o dwie przysługi. Jestem w długiej podróży i obawiam się, że mistrz mojej szkoły nie jest z tego zadowolony. Nie udzielił mi zezwolenia na tę podróż, z pewnością też nie podobał mu się pośpiech, z jakim opuściłem szkołę. Mimo to uważam, że powinienem powiedzieć mu, gdzie jestem, dokąd zmierzam i dlaczego postąpiłem w taki, a nie inny sposób.

Ahmet otworzył ciężką płócienną torbę, którą kupił w Gerasio, i wyjął z niej list napisany na kiepskim papirusie. Położył go na biurku między sobą i mistrzem.

- Byłbym wdzięczny, gdybyś dopilnował, by list ten trafił do mistrza Nefeta ze szkoły Pthamesa, obok Panopolis w Górnym Egipcie. Moja druga prośba, a właściwie pytanie, jest bardziej nagląca, choć możesz nie znać odpowiedzi. Czy dotarły może do ciebie jakiegokolwiek wiadomości o legionie cesarskim zwanym Tertia Cyrenaicea? Muszę znaleźć człowieka, który w nim służy. Według moich informacji legion miał zjawić się tutaj, lecz do tej pory go nie ma.

Monimus siedział przez chwilę w milczeniu, przyglądając się Ahmetowi. Młody Egipcjanin czuł się coraz mniej pewnie pod tym spojrzeniem, siedział jednak w całkowitym bezruchu, powstrzymując wszelkie nerwowe odruchy. Wreszcie syryjski kapłan westchnął i podniósł list przyniesiony przez Ahmeta.

- Oczywiście, dopilnuję, by ten list dotarł do twojego przełożonego w Panopolis. Wydaje mi się, że znam tego Nefeta z czasów, gdy służyłem w świątyni zakonu w Efezie. To surowy człowiek, jeśli dobrze pamiętam, ale dba o swoich podopiecznych i wybacza im błędy. Jeśli chodzi o drugą prośbę, to nie mogę ci niestety pomóc, bo nie wiem nic o tej sprawie. Wszyscy mówią w mieście o wojnie przeciwko Persji, ale nie słyszałem nic, co świadczyłoby o tym, że zmierzają tu wojska cesarskie. Zależy ci bardzo na odnalezieniu tego człowieka?

Ahmet skinął głową.

Stary kapłan skubał w roztargnieniu skraj listu, wyraźnie czymś zartroskany.

- Wiesz, oczywiście, o zaciągu?

Ahmet ponownie skinął głową, a na jego twarzy musiał pojawić się grymas gniewu.

- Tak, to paskudna sprawa - powiedział Monimus, zniżając głos do szeptu. - Nie wiadomo, co z tego wyniknie, ale musimy to zrobić. Może nie wyczuwacie tego w głębi Egiptu, ale tutaj, tak blisko granicy, często dochodzą nas echa tego, co wyczyniają perscy *mobehedan* - ostatnio niemal codziennie. Ściany między naszym światem i innymi światami są coraz cieńsze. Boimy się szczególnie tych nocy, kiedy księżyc jest w nowiu, bo wtedy jest jeszcze gorzej. Oni desperacko pragną zwycięstwa. Płacą straszliwą cenę za siłę, której chcą użyć przeciwko Rzymowi. Jeśli jedziesz na północ lub na wschód, musisz być bardzo ostrożny. W tamtych stronach grasują złe siły.

Ahmet jeszcze raz skinął głową. Jadąc z karawaną Mahometa na północ, odczuwał coraz większy niepokój. Powietrze wydawało się kruche i rzadkie, słońce dziwnie przyćmione. W nadwidzeniu dostrzegał dziwne kształty, słyszał jakieś przytłumione głosy wypełniające jałowe przestrzenie pustyni, linie napięcia i sił gromadzące się w różnych miejscach bez konkretnej przyczyny.

- Mistrzu, będę ostrożny. - Ahmet ukłonił się nisko, niemal dotykając głową podłogi.

Monimus uczynił znak boga i patrzył w milczeniu na oddalającego się młodzieńca. Wciąż odczuwał niewytłumaczalny niepokój. Westchnął i zajął się ponownie przeglądaniem dokumentów dotyczących budowy nowego domu noclegowego za świątynią.

Mahomet czekał w cieniu wielkiego portyku przed wejściem do świątyni Zeusa i przyglądał się gigantycznemu posągowi gromowładnego boga. Zeus spoczywał na niezbyt udanie wyrzeźbionych chmurach, jego ciało jednak było proporcjonalne i dopracowane. W ręce, którą podparł się o chmury, trzymał kilka błyskawic z brązu, drugą unosił kamienną pochodnię. W pochodni płonęła lampka olejowa, a jej blask odbijał się od marmurowego sufitu świątyni. Migotliwe światło sprawiało, że skóra i włosy posągu wyglądały niemal jak żywe. Ahmet zaklął uprzejmie.

Mahomet pokręcił głową i odwrócił się do przyjaciela. Choć ze względu na powagę miejsca starał się nie okazywać emocji, Ahmet widział, że z trudem powstrzymuje uśmiech, który cisnął mu się na usta.

- Chodź - wyszeptał kupiec szeptem cichym jak krzyk. - Poszczęściło mi się dziś rano!

Na zewnątrz Mahomet wręcz zbiegł ze schodów. Ahmet przyspieszył, by dotrzymać mu kroku. Kupiec przemknął przez plac, zatrzymując się tylko na moment, by kupić drewniany rożen z pieczonym mięsem. Przeżuwając, mówił do Ahmeta:

- Dzisiaj wieczorem ma odbyć się narada wodzów i książąt w rzymskiej cytadeli. Przyjechali już wszyscy wezwani wodzowie. Gubernator zwołał to zebranie, żeby przedstawić plany kampanii. To spotkanie to najlepsza okazja, żeby dowiedzieć się, gdzie stacjonuje i gdzie będzie stacjonować trzeci legion. Będą tam wszyscy, nawet książęta Nabatei i Palmyry.

- A jak my dostaniemy się to na zebranie możnych? - spytał Ahmet cierpko.

- Och, przyjacielu, to jest właśnie najpiękniejsze! Podróżujesz ze mną, więc wszystko jest możliwe! Tak się złożyło, że jeden z oddziałów włóczników, którzy zostali najęci przez Palmyrczyków, to kuzyni wujka żony brata mojej żony. Przekonałem ich dowódcę, starego łajdaka zwanego Amr Ibn Adi z plemienia Tanuchów, że powinniśmy pojechać z nim, a tym samym wziąć udział w spotkaniu jako jego pomocnicy.

- Rozumiem. Czy zawsze pakujesz swoich przyjaciół w takie kłopoty?

Mahomet roześmiał się głośno.

- Nie! Wszyscy moi przyjaciele uwielbiają moje towarzystwo, wszyscy mówią, że jestem szalenie interesującym człowiekiem! Poza tym Amr Ibn Adi nie mówi po grecku ani po łacinie, więc będziemy jego tłumaczami.

Noc na ulicach miasta była niemal tak jasna jak dzień. Tysiące lamp wisiało nad drzwiami domów i pod dachami straganów. Pochodnie zdołyły ściany otaczające prywatne ogrody. Grupy ludzi prowadzone przez chłopców z lampami gromadziły się powoli przy bramie rzymskiego obozu, który leżał obok najdalej wysuniętej na północ bramy miasta. Światło odbijało się od niskich chmur, które napłynęły wieczorem nad miasto, przynosząc ze sobą chłodny deszcz.

Ahmet i Mahomet znajdowali się w grupie jednego z pustynnych wodzów, Amra Ibn Adiego. Był to postawny starzec o długich wąsach i szpakowatej brodzie, który nad bogate ubrania i ozdoby przedkładał stary poszarpany płaszcz i kaptur. Jego trzej gwardziści - bo tylko na tyłu pozwalał gubernator - barczyści, postawni mężczyźni również nosili zwykłe płaszcze i wysłużone zbroje. Mahomet z kolei włożył czerwona koszulę, ciemne spodnie i długi płaszcz w biało-zielone pasy. Ahmet, który nigdy nie interesował się modą, uważał, że jego przyjaciel wygląda olśniewająco w tym ubraniu - prawdopodobnie jego najlepszym, wziął je bowiem ze sobą w małym kufrze specjalnie na takie okazje. Ahmet nie próbował mu nawet dorównać: przed wejściem do miasta wyczyścił tylko swoją białą tunikę i szatę, a włosy splótł w dwa warkoczki i spiął srebrną klamrą. Miał też swój kij i skórzaną torebkę przywieszoną u pasa.

Rezydencja rzymskiego gubernatora była w istocie ufortyfikowanym obozem, wydzielonym spośród budynków w północno-zachodniej części miasta. Wejście do obozu prowadziło przez potężną bramę z drewna i żelaza, której strzegł oddział podstarzałych gwardzistów w niedopasowanych zbrojach. Oddział Ibn Adiego został zatrzymany przez ich dowódcę, weterana o krótko przyszczyżonych siwych włosach i pociętej bliznami twarzy. Emerytowany legionista przeszukał ich dokładnie, nim zostali wpuszczeni do obozu.

Ahmet przyglądał się z zaciekawioną ceglanym budynkom ustawionym w równych szeregach i rozdzielającym je brukowanym ulicom. Był to dowód stałej obecności silnego garnizonu rzymskiego w mieście, jednak starannie zamknięte drzwi i okiennice świadczyły o tym, że garnizon ów opuścił swą siedzibę. Mahomet także rozglądał się dokoła, wyraźnie czymś zdziwiony. Szeroka ulica prowadząca w głąb obozu wypełniona była wielobarwnym tłumem, składającym się w większości z grup towarzyszących wodzom licznych pustynnych plemion.

- Dlaczego wszyscy ci ludzie chcą walczyć za Rzym? - spytał Egipcjanin, kiedy wraz ze zbirami Ibn Adiego maszerowali w dół ulicy. - Większość wygląda na zbójów albo włóczęgów. Myślałem, że mieszkańcy pogranicza nie przepadają za cesarstwem.

Mahomet skinął głową, uśmiechając się drapieżnie.

- Mało kto kocha tutaj Rzym, przyjacielu. Ale wszyscy też wiedzą dobrze, że Persja wcale nie jest lepsza, a być może znacznie gorsza.

Pod rzymskimi rządami, czy też pod rzymską „ochroną”, panuje jakiś porządek, jakieś prawo. Pod rządami Króla Królów, tego Chosroesa, nie ma żadnego prawa. Ci wodzowie przyszli tu, by bronić praw i przywilejów, którymi cieszą się dzisiaj. Odkąd zapanowała tutaj władza Rzymu, sytuacja jest w miarę stabilna, nic nie zmienia się praktycznie od stuleci. Jeśli Persja podbije te ziemie, wszystko będzie inne.

Ahmet skinął głową, potem spytał;

- Więc żaden z nich nie spodziewa się odnieść jakichś korzyści dzięki przymierzu z Persją? Wielu może przecież uważać, że to doskonała okazja na pozbycie się rywali i wzmocnienie własnej pozycji.

Południowiec roześmiał się cicho, gdyż jeden ze strażników Ibn Adiego odwrócił się w ich stronę, jakby próbował podsłuchać rozmowę, którą toczyli. Weszli właśnie do wewnętrznego obozu, strzeżonego przez bramę osadzoną w potężnym kamiennym murze. W cieniu bramy stali czterej potężni mężczyźni w kolczugach i pancerzach z wygotowanej skóry. Mieli rude włosy i byli wyżsi o głowę od każdego z przechodzących między nimi mężczyzn. Uzbrojeni byli w długie miecze przypięte do pasa, a na ramionach nosili metalowe bransolety. Ahmet spojrzał śmiało w zimne, niebieskie oczy jednego ze strażników. Germanie, pomyślał, kiedy weszli do obozu gubernatora.

- Ludzie, którzy rozumują w ten sposób i postanowili stanąć po stronie Króla Królów, mój przyjacielu, nie przyszli na to spotkanie. Nie, oni pojechali już na północ, do Antiochii, by przyłączyć się do armii wielkiego księcia Szahina - mówił przyciszonym głosem Mahomet, postępując pół kroku za Ahmetem. -Tutaj zebrali się ludzie, którzy urosli w siłę pod protekcją cesarstwa. Jeśli cesarstwo przegra, oni stracą najwięcej. Ci ludzie zniszczyli swych wrogów, nazywając ich zdrajcami, heretykami lub oszustami. Wodzowie tacy jak ci, których rodziny od pokoleń dzierżą władzę pod okiem cesarstwa, są od niego uzależnieni. Wykorzystując patronat Rzymu, kontrolują najlepsze szlaki handlowe, niszczą mniejsze klany lub podporządkowują je swej woli.

Ahmet zerknął na Mahometa: w głosie południowca słyszał nutę gorzkiego gniewu.

- Czy dlatego nienawidzisz Rzymu? Czy coś podobnego spotkało twoją rodzinę?

Mahomet spojrzał nań ze zdumieniem, najwyraźniej nieświadom emocji ukrytych w jego głosie.

- Czy nienawidzę Rzymu? Nie, nie żywię nienawiści do cesarstwa. Jest, jakie jest. Nienawidzę tych, którzy uciskają słabych, którzy przepędzają niepokornych. Ale cesarstwo jest jak głaz na zboczu góry. Kiedy puścisz je w ruch, nie zważa na to, co gniecie po drodze. Głaz ignoruje wszystko, co nie może go zatrzymać. Człowiek taki jak ty czy ja nie ma dłań żadnego znaczenia. Jesteśmy zbyt słabi, by wyrzucić mu krzyw-

dę. Ale nie powiem też, bym kochał Rzym. Jakże mógłbym go kochać, skoro on nie kocha mnie?

Ibn Adi i jego ludzie, którzy wyprzedzili ich o kilka kroków, zatrzymali się przed stopniami prowadzącymi na szeroką werandę. Strażnicy stali w cieniu pomiędzy kręgami światła rzucanymi przez lampy zawieszane na żelaznych hakach wzdłuż ścian. Ibn Adi odwrócił się do Mahometa i przywołał go gestem. Kupiec zbliżył się doń i skłonił głowę. Ahmet stał u jego boku.

- Pamiętajcie, moi nowi przyjaciele, że nie mówię żadnym z tych barbarzyńskich języków, którymi posługują się nasi gospodarze. - Głos Ibn Adiego był głęboki i silny, niczym wiatr na pustyni. Ahmet rozumiał go bez żadnych problemów, choć aramejski nie był jego najlepszym językiem. - Al-Kurajsz, ty będziesz mówił w moim imieniu, a twój egipski przyjaciel będzie tłumaczył wszystko, co mówią inni. Mów cicho, kapłanie; mam dobry słuch i wiem, że inni wodzowie nie mają tej drobnej przewagi, którą raczył mi zesać Pan Niebios. Nie będziemy pomagać im za darmo, jasne? Trzymajcie też broń w pogotowiu. Ludzie, którzy tu dziś przyszli, mogą narobić sporo zamieszania, a jeśli stanie się coś nieprzewidzianego, musimy być przygotowani. Ale nie wyciągajcie mieczy bez mojego rozkazu!

Mahomet i Ahmet skinęli głowami. Wódz przyglądał im się uważnie, szczególnie Mahometowi, który przybrał swobodną i przyjazną minę. Wreszcie uśmiechnął się i odwrócił do wejścia. Gdy wszedł na schody, jakby nagle się skurczył, zaczął utykać na jedną nogę i oparł się mocno na swoim kiju. Mahomet zerknął na Ahmeta i mrugnął doń porozumiewawczo.

We wnętrzu drewnianego budynku znajdowała się komnata o wysoko sklepionym suficie z kamiennych płyt ułożonych na drewnianych belkach. W środku było już około sześćdziesięciu ludzi, spoczywających na sofach ustawionych w kręgu. Stoły, które zazwyczaj stały pośrodku pokoju, zostały zepchnięte pod ściany. Po drugiej stronie komnaty stało podium, na którym znajdował się ołtarz z jasnego kamienia. Za nim, na ścianie, wisiał odlew z brązu przedstawiający byka. Wzdłuż całego pokoju biegły dwa szeregi drewnianych kolumn. Ibn Adi nie próbował przepychać się na środek komnaty, lecz przeszedł na jej prawą stronę i stanął przed jedną z kolumn. Mahomet zajął miejsce tuż przed nim, a Ahmet po jego lewej stronie. Trzej strażnicy stanęli za kolumną.

Pod drewnianymi belkami wisiały lampy, a w miedzianych uchwytach osadzonych na kolumnach płonęły świece. Przestrzeń pod belkami już wypełniała się dymem, Ahmet dostrzegł jednak zakratowane otwory w suficie, przez które dym wydobywał się na zewnątrz. Do komnaty wchodzili kolejni ludzie, a po chwili na środku podniósł się hałas, kiedy niektórzy z nich próbowali zdobyć sobie miejsce na sofach. Ahmet

stał w bezruchu, jako że oparty o kolumnę Ibn Adi najwyraźniej był zadowolony ze swego miejsca.

Spoglądając między stojących przed nim mężczyzn, Ahmet zauważył, że trzy spośród oddalonych od drzwi sof - większe i bardziej bogato zdobione niż pozostałe - wciąż są puste. Miał właśnie spytać Mahometa, na kogo czeka całe zgromadzenie, kiedy przy drzwiach powstało nagle jakieś zamieszanie. Ludzie odwracali głowy w tamtą stronę i milkli.

Do komnaty weszła grupa mężczyzn w ciemnoczerwonych ubraniach - długich pelerynach z kapturami - lśniących bransoletach i naszyjnikach ze srebra. Czwórka tak ubranych mężczyzn o wąskich, ptasich twarzach, wbiła się klinem w tłum, a pustynni wodzowie i ich towarzysze rozstąpili się przed nimi niczym wody przed dziobem okrętu. Między czterema gwardzistami szedł mężczyzna średniego wzrostu o oliwkowej skórze i elegancko przyciętej brodzie. Miał ostre, wystające kości policzkowe, nie nosił prawie żadnej biżuterii prócz dwóch złotych pierścieni i srebrnej przepaski na czole. Ubrany był w prostą tunikę z jasnoczerwonego jedwabiu, przepasaną czarnym pasem. Kiedy przechodzili przez salę, Ahmet poczuł, jak opływa go fala kontrolowanej mocy. Czarownik, pomyślał, i po raz pierwszy od wielu dni wyostrzył nadzmysły.

Wyciszył się i pozwolił, by nadwidzenie objęło nowo przybyłych ludzi. Czterej gwardziści w kapturach otoczeni byli fioletowoczarnym płomieniem, podobnym do ognia, który tańczy na obrzeżach paleniska. Ahmet wzdrygnął się, zrozumiał, że każdemu z nich towarzyszy zniewolony duch, upiór wyciągnięty ze szczelin i rozpadlin, które wyrzucały czasem umęczone i przerażające istoty w świat zwykłych ludzi. Mężczyzna w jedwabnej szacie błyszczał ukrytą mocą, niczym światło schowane za kolorowym szkłem lub lodem. Mężczyzna zatrzymał się przy pierwszej z trzech wolnych sof i usiadł na niej. Czterej gwardziści bez słowa ustawili się za nim. Ahmet zastanawiał się, czy i oni go wyczuwają.

- To jest Aretas, dziewiąty potomek szlacheckiego rodu - powiedział Ibn Adi przytłumionym głosem. - To książę Petry na północy. Mieni się królem Nabatejczyków, choć ci są raczej poddani gubernatora rzymskiej prowincji Arabia Minimis. To próżny i niebezpieczny człowiek.

Władca Petry usadowił się wygodniej i przyjął kryształowy kielich, gdy drzwi otworzyły się ponownie, a wszyscy spojrzeli w ich stronę, by przekonać się, kto tym razem przybył na zebranie. W porównaniu ze złowrogą siłą emanującą od Nabatejczyka i jego gwardzistów nowo przybyły wydawał się Ahmetowi równie nieszkodliwy jak przeciętny urzędnik, który spóźnił się na spotkanie ze swoim panem. Był wysoki i szczupły, miał zakrzywiony nos i postępującą łysinę, a biała tunika - choć bogato zdobiona - wisiała na nim jak prześcieradło. Otaczało go jednak czterech rudowłosych gwardzistów, a kiedy zajął miejsce na środkowej sofie, Ahmet zrozumiał, że musi to być gubernator Fenicji.

- Lucjusz Ulpiusz Sulpicjusz, najchudszy Rzymianin, jakiego kie-

dykolwiek widziałem. Choć rezyduje w Tyrze na wybrzeżu, zarządza także Damaszkiem. - Głos Ibn Adiego, choć lekko ironiczny, pełen był również szacunku dla tego chudego człowieka, który siedział z nieszczęśliwą miną na środkowej sofie. Jego Germanie odsunęli nieco dalej napierających na sofę Arabów.

Lucjusz odchrząknął i postukał ręką w drewniane oparcie sofy.

- Przyjaciele, brakuje co prawda jeszcze jednego uczestnika naszego spotkania, ale robi się późno, a mamy wiele spraw do omówienia, musimy więc zaczynać. Będę mówił krótko i zwięźle: cesarstwo dziękuje wam za przyjaźń, którą okazaliście, przychodząc tu dzisiaj. Wasza wierność zostanie nagrodzona, a cesarstwo nie zapomni, kto stał się na wezwanie, a kogo zabrakło.

Mahomet odwrócił się lekko i szepnął do Ahmeta:

- Ach, Konstantynopol będzie pamiętał tych, którzy lizali mu rękę i całowali jego buty, jak pies, który przybiega na każde zawołanie...

Ibn Adi uciszył młodego kupca gniewnym spojrzeniem. Ahmet przetłumaczył mu słowa gubernatora, a wódz skinął w milczeniu głową.

- Zbliża się wojna - ciągnął gubernator - wojna, która zniszczy nas wszystkich, jeśli nie powstrzymamy wroga, i to z dala od Damaszku czy Tyru. Wróg jest silny. Ostatnie raporty z północy mówią o sześćdziesięciu tysiącach ludzi.

Przez salę przebiegła fala szeptów, a Ahmet widział po twarzach zgromadzonych wokół wodzów, że większość jest zdumiona i przerażona rozmiarami armii perskiej. Zastanawiał się, ilu ludzi mogą wystawić do walki wszyscy zgromadzeni w tej komnacie. Ibn Adi nie wyglądał jednak na zmartwionego, gdy usłyszał tę informację. Był raczej ciekaw reakcji innych wodzów.

- Nie obawiajcie się - kontynuował gubernator, podnosząc nieco głos, by przekrzyczeć szum rozmów. - Nasza armia jest co najmniej równie liczna, może nawet większa. W ciągu trzech dni zgromadzimy resztę naszych sił i pomaszerujemy na północ, przez góry do Emesy, by tam spotkać się z najeźdźcami. Racja jest po naszej stronie; pobijemy Persów i zepchniemy ich aż za Eufrat.

- Czym? - Jeden z wodzów, odziany w ciężką brokatową szatę, wstał z sofy. Miał gęstą czarną brodę zaplecioną na końcach w dwa warkoczki, w których wisały maleńkie klejnoty. - Widzę tu wielu śmiałych mężów, ale my możemy wystawić tylko lansjerów i konnych łuczników. Słyszę piękne słowa z Konstantynopola, ale nie widzę żadnych rzymskich żołnierzy. Gdzie są legiony? Jechaliśmy tu przez sześć dni z Gerasy i nie widzieliśmy po drodze ani jednego. Kuzyni mówią mi, że rzymskie obozy w Bostrze i Lejjun są puste. Tutaj także nie ma legionów. Gdzie jest Rzym? Gdzie jest cesarz Wschodu?

Lucjusz wysłuchał spokojnie zarzutów wodza i odrzekł:

- Legiony zostały wysłane na wybrzeże, by przyjąć posiłki z Egiptu

i Cesarstwa Zachodniego. Potem pomaszerują drogą wzdłuż wybrzeża i spotkają się z nami w Emesie. Będą to trzy legiony: Tertia Cyrenaicea, Secunda Triana i Sexta Ferrata. Razem z nimi nasze siły będą liczyć nie mniej niż osiemdziesiąt tysięcy ludzi.

- Nie wierzę! - krzyknął wódz z Gerasy, a jego twarz poczerwieniała od gniewu. - Kiedy przyjdą Żelazne Kapelusze, nie będzie z nami żadnych Rzymian, tylko nasza lekka jazda i łucznicy. Ta wyprawa nie ma najmniejszego sensu! Każdy, kto pojedzie na północ, zginie. - Gerasańczyk odwrócił się, spoglądając wyzywająco na tłum.

- Nieprawda! - Lucjusz wstał, czerwony z gniewu. - Rzym was nie porzuci. Honor cesarstwa będzie z wami, tak jak i jego żołnierze!

- Kłamstwa! - wrzasnął wódz z Gerasy, potrząsając pięścią w stronę gubernatora. - Rzym robi z nas takie same dziwki jak te, które stoją na stopniach Forum! - Ludzie wodza także zaczęli krzyżeć, a germańscy gwardziści przesunęli się do przodu, by stanąć pomiędzy południowcami a ich panem. W pokoju zapanował tumult, ludzie przeciskali się do przodu, by zobaczyć, czy dojdzie do walki. Ahmet cofnął się o krok i zrelacjonował Ibn Adiemu obelgi, którymi Gerasańczyk obrzucał gubernatora. Usta Ibn Adiego drgnęły lekko, jakby kryjąc uśmiech. Strażnicy wodza wyszli zza kolumny, trzymając ręce na broni.

Ahmet cofnął się jeszcze o krok, próbując dojrzeć coś nad głowami krzyczących ludzi, i wpadł na kogoś, kto stał za nim. Odwrócił się, gotów do przeprosin, lecz słowa zamarły mu na ustach.

Kobieta, która stała tuż za nim, położyła mu dłonie na ramionach. Najpierw widział tylko jej oczy - bardziej błękitne niż niebo - z gęstymi czarnymi rzęsami. Uśmiechnęły się do niego, a siła ukrytej w nich osobowości poraziła go jak grom. Kobieta przesunęła go lekko na bok, mrużąc: „Wybacz, święty mężu”. Ahmet zdążył tylko dostrzec chmurę lśniących czarnych loków zdobiących smukłą alabastrową szyję, nim przesłoniła je solidna stalowa zbroja, a ręce Ibn Adiego i Mahometa odciągnęły go do tyłu. W ślad za kobietą postępował oddział czarnoskórych mężczyzn w ciężkich kolczugach i stalowych zbrojach. Ahmet przypomniał sobie poniewczasie o oddychaniu.

- A ja powtarzam - ryczał Gerasańczyk - że nie poprowadzę swoich ludzi na północ, jeśli Rzymianie nie pójda z nami! Nie obchodzi mnie twój honor, Lucjusz Ulpiuszu, ja muszę dbać o swoich ludzi, a nie o kufry Konstantynopola i Rzymu! Nie jestem taki tani!

- Twój ojciec przysięgał stać przy cesarstwie w czas próby - syknął gubernator, zaciskając pięści. - A ty powtórzyłeś tę przysięgę, kiedy stałem z tobą obok jego grobu. Czy teraz chcesz złamać tę przysięgę? Zapomnieć o swoim ojcu? O honorze?

Gerasańczyk warknął tylko coś niezrozumiałego, a zgrzyt noża wyciąganego z pochwy przeciął nagle pandemonium, jakie rozpętało się

w komnacie. Ludzie, którzy tworząc dwie przeciwstawne frakcje, ustawili się za gubernatorem i księciem Jeryho zamarli w bezruchu. Wszyscy wstrzymali oddech, gdy sztylet księcia błysnął w jego rękę. Lucjusz Ulpiusz, błądzący jak ściana, wpatrywał się w czubek ostrza tańczący zaledwie o stopę od jego brzucha. Gerasańczyk zrobił krok do przodu, a jego sztylet natrafił na kremowobiałą pierś kobiety z grzywą kruczoczarnych włosów, która stanęła przed gubernatorem. Maleńka kropla krwi wykwitła w miejscu, gdzie czubek ostrza przeciął jej skórę.

- Chcesz mnie zabić, Zamanesie? - Jej głos niósł się przez cały pokój, choć mówiła spokojnym, wyciszonym tonem. - Chcesz zabić przy mierze między cesarstwem i miastami Decapolis?

Gerasański książę, zszokowany, cofnął się o krok, opuszczając bezwładnie rękę. Jeden z jego sług wyjął sztylet z nieruchomych palców i włożył go do pochwy. Kobieta także się odwróciła, ignorując gubernatora, który schował się za plecami swoich gwardzistów, i weszła na sofę stojącą obok niego.

Ahmet znów zapomniał oddychać, kiedy kobieta wzniosła się ponad głowy mężczyzn zgromadzonych w komnacie. Była szczupła, lecz wysoka jak na kobietę, miała pięć i pół stopy wzrostu, a w jej obecności wszystkie inne rzeczy jakby się kurczyły. Błękitny błysk jej oczu uderzył Ahmeta niczym pięść. Kaskada ciężkich czarnych włosów opadała na jej nagie białe ramiona i plecy. Siatka ze złota i pereł nie pozwalała im zasłaniać jej czoła i twarzy. Ubrana była w fioletową suknię zdobioną na brzegach maleńkimi haftowanymi różami i liliami. Jej piersi nie były zbyt duże, lecz ich krągłość ukryta pod jedwabiem wydawała się Egipcjaninowi najdoskonalszym kształtem na świecie. Maleńka kropla krwi błyszczała między nimi niczym rubin. Jej głos przypominał mruczenie kota, był jednak mocny, dość mocny, by dotrzeć do najdalszych zakątków komnaty.

- Wezwał nas Rzym - zaczęła - lecz nie przyszedłszy tutaj dla Rzymu. Przyszedłszy tutaj, bo wszyscy jesteście zagrożeni. Przyszedłszy tutaj, bo nadszedł nasz czas. Cesarstwo poniosło zbyt wielkie straty, by nadal chronić nas przed Persami tylko o własnych siłach. Nadszedł czas, by lud Decapolis, Petry i Palmyry odłączył się wreszcie od swego rodzica i broił sam, jak dorosły człowiek. Ja stanę do walki z szalonym królem, Choroeseem. Sama, jeśli trzeba będzie, jak niegdyś moja imienniczka. Kto stanie ze mną?

Ahmet odwrócił się i spojrzał na Ibn Adiego, który uśmiechał się drapieżnie, niczym lew oczekujący obfitego polowania.

- Kto...? - wyszeptał.

- Nasza królowa - odparł stary wódz z dumą. - Zenobia z Palmyry. Jedwabna Królowa.

Bładoróżowy świt ogarniał już niebo na wschodzie, gdy zebranie wódzów dobiegło wreszcie końca. Ahmet, który spędził większość tego cza-

su na medytacji, przebudził się całkowicie. Ludzie pustyni wychodzili z budynku, rozmawiając między sobą półgłosem. Większość lamp już pogasła, w niektórych tlił się jeszcze niewielki płomyk. Wypaliły się także świece na kolumnach. Egipcjanin wstał ze swego miejsca pod ścianą i przeszedł między sofami usłanymi pustymi dzbanami i talerzami. Powietrze wciąż było ciężkie od dymu i zapachu wielu ludzi zgromadzonych w zamkniętej przestrzeni. Mahomet, który nie miał okazji odpocząć ani przez chwilę, siedział teraz na skraju sofy zajmowanej wcześniej przez gubernatora i trzymał się za głowę.

Ahmet stanął obok niego i delikatnie pociągnął go za ucho. Mahomet podniósł nań zmęczony wzrok. Egipcjanin uśmiechnął się a potem przyłożył palce do jego skroni i zanucił w myślach kołysankę, którą matka śpiewała mu, gdy spał jeszcze w wiklinowej kołysce. Powieki Mahometa zadrżały, a potem się zamknęły. Opadł ciężko na sofę i zachrapał donośnie. Ahmet ułożył go wygodniej.

- Możesz zrobić coś takiego i dla mnie, święty mężu?

Jej głos nie był już tak silny i czysty, teraz wydawał się raczej ogromnie zmęczony. Ahmet odwrócił się i uklęknął przy niej na jednym kolanie. Jej suknia była pomięta i poplamiona winem. Włosy, które wymknęły się spod złotej siatki, leżały teraz na jej plecach splecione w jeden zwykły warkocz. Jej piękna twarz była spokojna wskutek krańcowego zmęczenia. Błękitne oczy jednak nadal patrzyły nań badawczo. Spojrzała na nią, nie tracąc przy tym oddechu, co było sporym postępem.

- Pani, mogę cię uspić, ale najpierw powinnaś wrócić do obozu. Jeśli dobrze wszystko rozumiałem, po dzisiejszym zebraniu będziesz mieć wielu wrogów. A ja... ja nie jestem świętym mężem. Nazywam się Ahmet, należałem niegdyś do szkoły Pthamesa, dawno już jednak przestałem mienić się kapłanem.

Zenobia ucięła jego wymówki krótkim ruchem dłoni. Zsunęła się z sofy i ujęła jego dłoń. Spojrzała mu prosto w twarz, a jej oczy wydawały się przez moment bezbronne i całkowicie człowiecze - pozbawione wyniosłego, cesarskiego chłodu, który zachowywała przez całą noc.

- Zabierz mnie do mojego obozu, Ahmecie, i spraw, bym usnęła. Inaczej nigdy mi się to nie uda. Będę chodziła z miejsca na miejsce, obmyślała plany i strategię, aż padnę z wyczerpania. Potem będę spała przez cały dzień, choć nie mogę sobie na to pozwolić.

Położyła dłoń na jego policzku; była zimna jak lód. Ahmet wzdrygnął się pod jej dotykiem, wziął jednak dłoń królowej między swoje.

- Jesteś ciepły - powiedziała, uśmiechając się do niego, i oparła głowę na jego piersiach. Ahmet odruchowo wziął ją w ramiona. Przytuliła się do niego, ciepła i bliska. Bez pośpiechu podniósł ją z sofy i wyszedł z komnaty. Na zewnątrz, gdy zmierzał już w stronę bramy, zaczął nucić melodię, którą tylko ona mogła usłyszeć.

EGIPSKI DOM, OKOLICE RZYMU

Grzmot przetoczył się po ciemnym niebie. Kolejna błyskawica połączyła dwie chmury ciężkie od deszczu. Wiatr przemknął pod arkadami wokół domu, ciągnąc za sobą suche liście i żdźbła trawy. Drzewa

na wzgórzu nad domem pochylały się ku ziemi, a trawy falowały przy każdym podmuchu niczym wzburzone morze. Wewnątrz, w każdym pokoju domu płonął ogień - w koszach z brązu, w paleniskach wbudowanych w ścianę, w otoczonych ceglami zagłębieniach wydrążonych w podłogach. W ukrytym pokoju pod sufitem wisiały metalowe cylindry wiążące ostre, białe światło, które odbijało się w gładkich kamieniach wilgotnych od krwi i słonej wody. W niewidzialnym świetle pod fundamentami domu płynęła niebiesko-czarna rzeka mocy.

Wijące się wściekle macki niebieskiego ognia uderzały o błyszczącą tarczę czerwonego światła, otaczającą dom i piwnice. Trawa ciągnąca się wzdłuż owej niewidzialnej bariery wędła i rozsypywała się w pył. Drzewa, które stały tu od dwustu lat, spróchniały, pozostawiając po sobie tylko resztki kory. Liście, które dotknęły ziemi, spaliły się na popiół, choć ani na moment nie ogarnął ich płomień. Kamienie pękały i zamieniały się w żużel, żużel zaś rozpadał się w pył. Mieszkańcy odległego o pięć mil domu Juniusza Alpicjusza Nigra obudzili się nagle w tym samym momencie i odkryli, że wszystkie zwierzęta na terenie ich posiadłości - udomowione i dzikie - padły martwe. Rozgniewane niebo pluło błyskawicami na dom pośród wzgórz. Czerwona tarcza blokowała płomienne palce, które próbowały się przez nią przebić. Kamienie drżały, gdy nad domem przetaczał się kolejny grzmot. Upiorny blask błyskawic oświetlał kamienną twarz Aleksandra stojącego w holu. Wydawało się, że w tym niesamowitym świetle sławny wódz uśmiecha się lekko.

Maksjan krzyczał w udęce, trzymając palce zanurzone w piersiach małego, wstrząsanego spazmami ciała. Mięśnie jego twarzy, piersi i nóg drżały przy każdym uderzeniu, jakby kierowane własną wolą. Na podłodze widniał wielki trójkąt, wryty głęboko w kamieniu i wypełniony tojadem i srebrem. Trójkąt wpisany był w większe koło ze złota. Maksjan stał na jednym wierzchołku, podczas gdy Abdmachus i Gajusz Juliusz drżeli z bólu na dwóch pozostałych. Każdy z nich ubrany był tylko w przepaskę biodrową i każdy znajdował się pośrodku potrójnego kręgu wyznaczonego kolorową kredą i złotym drutem. Wężę ultrafioletowego ognia wypęzły z ich ciał, trzaskając i sycząc głośno. Moc kłębiła się w powietrzu i wpływała w ciało Maksjana przez obraz odwróconej piramidy wytatuowanej na jego piersiach.

Palce księcia tańczyły w ciele małego dziecka, pokrywała je krew, uryna i fekalia. Moce, którą czerpał z ziemi, nieba, i wszystkiego,

co reprezentował truposz, zmagają się w obrębie tego maleńkiego organizmu ze śmiercią i zepsuciem rozrywającym wnętrzości dziecka. Twarz Maksjana była blada jak kreda i ściągnięta bólem, wypocił już całą wodę, jaką mogło oddać jego ciało, lecz pomimo oślepiającego bólu głowy, który przesłaniał mu świat chmurami białych iskier, wciąż walczył z zarazą. Ta jednak nie chciała ustąpić, bez względu na to, z jaką siłą nacierał. Odbudował wszystkie narządy wewnętrzne z mieszaniny kości, krwi i tkanek, która wypełniała piersi dziecka, jednak gdy tylko zdołał tego dokonać, poszczególne organy znów psuły się i rozpadały.

Sto sześćdziesiąt ziaren piasku po rozpoczęciu walki Maksjan zachwiał się, uderzony błyskawicą czerni obwiedzionej zgniłą czerwienią, i runął na ziemię. Jego ciało upadło na krawędź trójkąta i w tej samej chwili zniknął łańcuch ultrafioletowego ognia, żegnany potężnym grzmotem, od którego dom zatrzęsł się w posadach. W ciszy, która zapadła po tym wstrząsie, nawet odgłosy szalejącej na zewnątrz burzy wydawały się odległe i wyciszone. Maksjan jęknął i przekręcił się na bok, wstrząsany niekontrolowanymi spazmami. Ciało dziecka spoczywające na stole zamieniło się w kałużę czarnozielonej mazi, która rozlała się po stole i zaczęła skapywać na podłogę.

Abdmachus, który wciąż leżał w chroniącym go kregu, zadrżał na całym ciele. Z kącików jego ust spływała ślina, oczy zaszklił ból. Gajusz Juliusz drgnął raz, niczym kij wyjęty z ziemi, i znieruchomiał. Po chwili otworzył! oczy. Ustąpił ból, który smagał go niczym ognisty bicz. Usiadł prosto i pokręcił głową. Kurz opad! białą chmurą z jego nagiej skóry. Truposz strzepał go niedbałym gestem, zostawiając tylko czerwone smugi tam, gdzie jego stare rany wilgotne były od nowej krwi. Rozejrzał się uważnie dokoła, choć nie widział jeszcze najlepiej, i ujrzał ciało księcia. Potem spojrział na schody prowadzące do wyjścia. Jego pan był co najmniej nieprzytomny, być może umierał. Niewykluczone, że Pers się mylił, być może mógłby żyć bez mocy iskrzącej słabo w ciele młodego człowieka. A może rozpadłby się w proch i pył, opuszczając dom na wzgórzu.

Westchnął ciężko, wstał i podszedł do księcia. Lewa żrenica młodzieńca była nienaturalnie wielka, wypełniała niemal całe jego oko. Oddychał płytko i nieregularnie. Jego dłonie i ramiona były czerwone i popękane, jakby wrzucono je do ognia, usta sine, a puls ledwie wyczuwalny. Gajusz Juliusz westchnął ponownie i wziął księcia na ręce. Kiedy odwrócił się do wyjścia, coś ukłuło go w szyję.

- Doskonały wybór, starcze. - Krista trzymała przy jego szyi gotową do strzału broń własnej konstrukcji. - Zanieś księcia na górę, potem ja się nim zajmę. Musisz tutaj posprzątać. I dopilnuj, żeby ten Pers nie udusił się własnymi wymiocinami.

Gajusz Juliusz przygryzł tylko wargę w bezsilnej złości. Dziewczyna, ubrana teraz w prostą czarną tunikę i szarą spódnicę, przesunęła się do tyłu, znikając z jego pola widzenia. Ostry jak brzytwa czubek strzały we-

tkniętej w broń Kristy drapał go w szyję. Nie powinienem jej wtedy łapać, pomyślał truposz ze złością. Powinienem pozwolić jej uciec...

Deszcz stukał jednostajnie w dach budynku, od czasu do czasu wzgórza rozświetlała na mgnienie oka kolejna błyskawica. Truposz zaniósł księcia do północnej sypialni i ułożył na łóżku sprowadzonym z miasta tydzień wcześniej na wyraźne życzenie Kristy. Gajusz Juliusz okrył drżące ciało młodzieńca kołdrą, podczas gdy dziewczyna podsyciła ogień w palenisku i miedzianym koszu przy oknie. Wiatr otworzył w czasie burzy ciężkie okiennice; Krista zamknęła je z powrotem, starannie mocując brązowe klamry w kształcie żmij. Odgłosy burzy przycichły, a Gajusz Juliusz nagle sam poczuł się bardzo słaby. Drżały mu ręce, kiedy usiadł przy łóżku. Księżę wyglądał jeszcze gorzej niż przed chwilą.

Krista pochwyciła jego spojrzenie i skinęła głową.

- Umrzesz, kiedy on umrze - powiedziała. - Widziałam, jak zastanawiałeś się tam, na dole. Myślałeś, że możesz być wolny. Nie będziesz. Jeśli on umrze, ty wrócisz do robaków. Chcesz tego?

Gajusz Juliusz nie odpowiedział. Krista spojrzała mu w oczy.

Wreszcie pokręcił powoli głową.

- Nie. Chcę żyć.

- No to przynieś dzban mocnego wina, jakikolwiek rosół czy zupę, jaką uda ci się znaleźć, i trochę drewna.

Gdy truposz się oddalił, by wykonać jej polecenie, Krista przeszukała pokoje na górze, gdzie znalazła jeszcze dwa koce i jeden metalowy kosz, który zaciągnęła do sypialni. Polała olejem suche polana i skrzesała ogień. Małe płomienie rozpetzły się po drewnie, a Krista dmuchała w nie delikatnie. Kiedy Gajusz Juliusz wrócił objuczony garnkiem z zupą, dwoma dzbanami wina i trzema wielkimi polanami drewna, w pokoju było już ciepło i jasno jak w dzień.

Krista odpieczętowała dzban z winem i wlała gęsty burgundowy napój do miedzianej miski zawieszanej nad jednym z koszy. Wino parowało obficie w zetknięciu z rozgrzanym metalem. Po chwili Krista zdjęła miskę z ognia i wlała jej zawartość do ciężkiego kubka z ciemnozielonego szkła. Do wina dołała chochlę rosołu. Dziewczyna przysiadła na skraju łóżka i uniosła delikatnie powieki księcia. Jego skóra wciąż była chorośliwie blada i zimna jak kamień, a oddech bardzo słaby. Krista rozchyliła zęby księcia i wlała w jego usta gorącą miksturę. Maksjan szarpnął się gwałtownie, omal nie wytrącając kubka z jej dłoni, lecz Krista łagodnie pogłaskała go po gardle. Pod jej dotykiem mięśnie na szyi Maksjana zadrżały i przepuściły pierwszą porcję napoju. Krista podniosła mu głowę, by się nie zakrztusił, a potem powtórzyła całą operację. Usta księcia powoli zaczęły odzyskiwać normalną barwę.

- Zrób jeszcze więcej - rzuciła Krista do truposza. - Niech wypije, ile tylko zdoła.

Gajusz Juliusz skinął głową i wlał wino do miedzianej misy. Na zewnątrz wciąż szalała burza. Woda w strumieniach wzbierała powoli, a na jej powierzchni unosiły się martwe ryby i zaby.

Krista i truposz siedzieli w sypialni. Dziewczyna weszła pod kołdrę i przytuliła do księcia. Wciąż był zimny, ustąpiła jednak straszliwa bladeść okrywająca jego twarz i ręce. Na poduszce obok Kristy leżał zwinęty w kłębek mały, czarny kot. Gajusz Juliusz siedział przy ogniu, wkładając weń małe kawałki patyka. Świeże drewno skwierczało i trzaskało, pożerane przez płomienie. Palenisko zbudowane było tak, że ciepłe powietrze wracało do pokoju, ogrzewając zimne kości truposza, podczas gdy dym odprowadzany był przez gliniane rury na dach budynku.

- Dlaczego nie uciekłaś? - spytał Gajusz Juliusz zmęczonym głosem. - Miałas wiele okazji od czasu, kiedy cię złapałem.

Krista zastanawiała się nad tym przez chwilę, potem odrzekła:

- Dzień po tym, jak mnie złapaliście i zamknęliście w celi, przyszedł do mnie książę. Powiedział mi, że on i Pers odkryli jakąś straszliwą klątwę ciężącą nad miastem. Tylko oni dwaj mogli wiedzieć o tej klątwie i nadal żyć. Mówił, że nie może o tym powiedzieć nikomu, nawet własnemu bratu, jeśli najpierw nie zniszczy klątwy. Nie rozumiałam, więc otworzył drzwi celi i zaprowadził mnie na górę. Na ganku stał wiklinowy koszyk, a w nim leżał gołąb. Książę powiedział, że gołąb przyleciał tego ranka z pałacu w mieście. Potem książę napisał coś na skrawku pergaminu, włożył go do małej rurki przy nodze gołębia i wypuścił go z kosza. Gołąb poleciał nad ogród, w stronę miasta. Wiesz, co się z nim stało?

Gajusz Juliusz wstał i przysunął się bliżej do ognia. Okiennece za drzwały lekko, gdy nad wzgórzami przetoczył się kolejny grzmot.

- Nie - odparł. - Co?

Krista przytuliła się mocniej do księcia, obejmując jego ramiona.

- Kiedy wyleciał nad ogród, na niebie pojawiła się czarna błyskawica, jakby atakujący drapieżny ptak. Z gołębia została tylko garść piór. Powiedziałam, że to musiała być sowa, ale Książę zaprowadził mnie na skraj ogrodu, tam gdzie Pers kładł te sterty kamieni. Leżały tam resztki gołębia, już zgniłe i pełne robaków.

„Widzisz? - powiedział książę. - Wszystko, co zna ten sekret, umiera, jeśli nie zapewni sobie dostatecznej ochrony. Ten dom jest bezpieczny ty też jesteś bezpieczna, dopóki przebywasz ze mną albo z Abdmachusem. Nie ma lepszej celi niż ta wiedza". Tak więc, starcze, zostałam tutaj, bo nie miałam innego wyjścia. To samo dotyczy ciebie czy służących.

Gajusz Juliusz stał w ciemności przy oknie. Opowieść Kristy potwierdziła tylko jego obawy. Cała masa planów i zamierzeń, fermentujących w jego umyśle przez ostatnie dwa tygodnie, zbiegła się teraz w jedną

ropkę rosy, która zsunęła się z powierzchni liścia i wpadła do nieruchomej wody. Odwrócił się do dziewczyny.

- Możemy więc zrobić tylko jedno - powiedział. - Jeśli którekolwiek z nas ma stąd uciec, musimy robić wszystko, co w naszej mocy, by pomóc chłopcu zniszczyć tę klątwę.

Zaspana Krista otworzyła oko i spojrzała na truposza.

- Chcesz powiedzieć, starcze, że nie robimy wszystkiego, co możemy, żeby mu pomóc?

Gajusz Juliusz uśmiechnął się.

- Nie, dziecko, nie zrobiliśmy wszystkiego, co mogliśmy. Wydaje mi się, że dopiero zaczęliśmy robić wszystko, co możemy.

Krista parsknęła tylko i naciągnęła kołdrę na głowę. Było już późno, a ona była bardzo zmęczona.

Truposz siedział przez chwilę, rozmyślając i wrzucając ostatnie kawałki patyka do ognia. Uświadomił sobie, że po raz pierwszy od czasów dzieciństwa był naprawdę sam w bezpiecznym miejscu i miał mnóstwo czasu na myślenie. Po raz pierwszy od wielu lat nie dręczyły go te same

Izłe sny. Wyprostował się nagle i wstał. Nie śnił!

Gajusz Juliusz uśmiechnął się w ciemności od ucha do ucha. Powrócił myślą do pierwszych chwil swego nowego życia, kiedy wyszedł z zakurzonego grobu, i zrozumiał, że od tego czasu nie miał żadnych snów. Mijały tygodnie, a kiedy zamykał zmęczone oczy, czekała nań tylko czarna otchłań, wolna od głosów i obrazów.

- Ja jestem wolny - powiedział głośno, lecz Krista już spała, a mały czarny kot ziewnął tylko, pokazując mu różowy języczek i białe kły, po czym schował nos pod ogon i zasnął z powrotem.

Wąska dolina prowadziła na jałowy, skalny grzbiet górski. Zimny wiatr smagał odsłonięty szczyt, a goccy strażnicy owinęli się szczelniej płaszczami. Maksjan zatrzymał konia, patrząc na ciągnący się po horyzont górski krajobraz. Chmury i mgła wypełniały kaniony między poszczególnymi szczytami, upodabniając je do hełmów gigantycznych żołnierzy błędzących w białej pianie. Ojciec Maksjana nie zważał na zimno, choć wiatr rozwiewał jego białe włosy. Wskazywał ręką na zachód, na drugi brzeg doliny wypełnionej dymem. Maksjan odwrócił się i zobaczył, jak kiedyś w dzieciństwie, płonąca twierdzę Montsegur.

Kwadratowe wieże fortecy z białego kamienia wyrastały z wielkiej skalnej iglicy o poszarpanych i stromych zboczach. Na szczyt prowadziła tylko kręta droga wyciosana w południowym zboczu, choć i nad nią zwieszały się w wielu miejscach położone wyżej skalne ściany. Montsegur wznosiła się dumnie ku niebu, pozornie nietykalna, lecz tego dnia spowijały ją płomienie. Nad płonącym zamkiem unosił się wielki słup czarnego dymu, i nawet z odległego o dwie i pół mili szczytu

Maksjan widział języki ognia wypływające z okien wież i centralnej bazyliki.

Powietrze między szczytem, na którym stał Maksjan, a dogorywającą fortecą, było czyste jak łąka. Chłopiec widział maleńkie postaci, obwiedzione czerwienią płomieni, skaczące z murów cytadeli. Ciągąc za sobą smugę dymu, zanurzały się w bieli chmur wypełniających doliny niczym iskry spadające do morza. Powietrze nad Montsegur drżało poruszane falami gorąca bijącymi od wapiennych murów.

Starszy Atreusz odchrząknął, gdy jedna z wież, wystająca z południowego muru, pękła nagle u podstawy i zsunęła się majestatycznie do otchłani. Przez moment spadająca budowla o wysokości siedemdziesięciu stóp zachowywała swój kształt, potem jednak uderzyła w krawędź urwiska i rozpadła się z wielkim hukiem, który dało się słyszeć po drugiej stronie doliny. Maksjan wdrygnął się, poruszony ogromem tej katastrofy. Chwilę później dotarło doń echo odbite od ścian kanionu.

- Chodź, mój synu, zobacz dzieło cesarza. - Starszy Atreusz ruszył naprzód, w dół ścieżki przecinającej pokryte lupkami i głazami zbocze góry-

Pod chmurami zalegającymi w dolinie Montsegur wrzała praca. Tysiące ludzi zbudowało na jałowej ziemi ogromne obozowisko. Maksjan jechał za swym ojcem i przyglądał się z zachwytem mijanym chorągwiom i herbom. Stacjonowały tu cztery legiony armii Zachodu, a każdy z nich rozbił się obozem w równej odległości od podstawy szczytu. Legioniści zbudowali drogę biegnącą środkiem doliny, a potem w górę zbocza. Kiedy mijali szeregi namiotów, żołnierze stawiali po obu stronach drogi wysokie słupy. Każdy ze słupów zwieńczony był szeroką prostopadłą belką.

Wokół podstawy góry ciągnął się głęboki rów, a tuż za nim wysoki nasyp wzniesiony z wydobytej tu ziemi. Na szczycie nasypu znajdowała się palisada z pni sosnowych. Legioniści trzymali straż na wieżach umieszczonych w równych odstępach wzdłuż palisady.

Gdy zbliżali się do podstawy góry, ukrytej teraz całkowicie w białych chmurach, coraz wyraźniej słyszeli ryk ognia i trzask pękających kamieni dochodzący z nieba. Między urwiskami a rowem i nasypem ciągnął się pas ziemi porośniętej rzadką, suchą trawą. Na całej długości owego pasa leżały beładnie porozrzucone ciała, niektóre nadjedzone już przez kruki. Na skrzydłach bramy wisały ciała dwóch mężczyzn, przybite do poprzecznych belek. Maksjan odwrócił głowę, nie mogąc znieść widoku ich zmasakrowanych twarzy. Świeżo usypana droga wspinała się stromo w górę, przecinając trzy pierwsze zakręty starego szlaku.

Jechali nową drogą w milczeniu. Chmury płynęły nisko nad ziemią, niczym falujący szary sufit zawieszony tuż nad ich głowami. Mimo to starszy Atreusz wciąż podążał w górę, a Maksjan popędzał swego konia, by nie zostać zbyt daleko w tyle. Przejazd przez chmury był dziwny

- mgła lepiała się do nich, zostawiając wilgotne smugi na twarzach. Od czasu do czasu przelatowały przez nią dziwne dźwięki, a Maksjan przeraził się nagle, że nigdy już nie zdoła wydostać się z tego niesamowitego świata rozmytych kształtów. Wkrótce jednak mgła zaczęła rzednąć. Coraz wyraźniej słychać było jęki i szczęk metalu.

Starszy Atreusz zjechał na skraj drogi i zatrzymał się. Maksjan zrobił to samo, podobnie jak ich trzech goccy strażnicy. Po chwili z mgły wynurzyły się ludzkie postacie, długi szereg nagich mężczyzn i kobiet, powiązanych razem drutem, który oplatał ich szyje. Po bokach szeregu szli legioniści w poplamionych sadzą zbrojach, uzbrojeni w nabijane ćwiekami pałki, którymi poganiali ślaniających się ze zmęczenia jeńców. Droga, po której stąpali pędzeni przez legionistów ludzie, czerwona była od krwi sączącej się z ich poranionych stóp.

Maksjan patrzył na niknącą we mgle kolumnę.

- Ojczce, czy oni nie stracą na wartości, jeśli będziecie ich tak traktować?

Starszy Atreusz roześmiał się i obejrzał przez ramię.

- Oni nie mają żadnej wartości, chłopcze, idą prosto na ukrzyżowanie. Jutro wszyscy będą martwi, a ich ciała zawisną przy drodze stąd aż do Narbo. Będzie ich jeszcze znacznie więcej, więc zamknij przed nimi swe serce.

- Ojczce, kim są ci ludzie? Czy to buntownicy? Barbarzyńcy?

Gubernator parsknął tylko i popędził konia w górę drogi. Maksjan, czerwony ze wstydu, ruszył za nim.

Droga robiła się coraz węższa; Maksjan i jego ojciec musieli zatrzymać się jeszcze sześć razy, nim dotarli do jej końca. Kilkakrotnie mijali długie kolumny jeńców, zakrwawionych i poparzonych, o pustych, pozbawionych nadziei oczach. Wielu z nich nosiło głębokie rany, ślady uderzeń bicia i pałki. Maksjan odwracał wzrok, widząc ich pozbawione wyrazu oczy. Na końcu drogi wznosiła się wysoka wieża z kamiennych bloków, przebita długim tunelem, źle oświetlonym i śliskim. Przy wejściu żołnierze ściągali z wozów ludzkie ciała i rzucali je w dół zbocza. W kanale wyżłobionym w skale wzdłuż drogi płynęła spieniona, czerwona woda, która niosła ze sobą szczątki ciał i ludzkie kości. Koń Maksjana zatrzymał się raptownie, przerażony zapachem wydobywającym się z tunelu, chłopiec nie mógł jednak na to pozwolić, klepnął go więc mocno i popędził naprzód.

Po drugiej stronie tunelu znajdowało się podwórze, zalane bladym blaskiem słońca. Starszy Atreusz zatrzymał konia na skraju podwórza i przyglądał się beznamiętnym wzrokiem otaczającemu go dziełu zniszczenia. Grupy żołnierzy w osmalonych i zbryzganych krwią zbrojach wbiegały do tunelu. Jakiś centurion zatrzymał się na moment przed gubernatorem i uniósł rękę w geście pozdrowienia. Maksjan wpatrywał się w płomienie strzelające z okien bazyliki.

Z wnętrza budynku dobiegło głośne skrzywienie, a potem cała górna kondygnacja zawałowała się z hukiem do środka. Ziemia zatrzęsała się od potężnego uderzenia, a w niebo wystrzeliła chmura iskier i gęstego dymu. Maksjan zakrył twarz, z góry leciał bowiem deszcz rozżarzonych odłamków. Starszy Atreusz wziął konia Maksjana za wodze i ruszył ponownie przed siebie. Szara klacz minęła sterty ciał zalegających na podwórzu i wspięła się na kamienny podjazd prowadzący na szeroki taras przylegający do murów.

Wszędzie dokoła unosiły się chmury dymu. Zamek wciąż płonął, a rzymscy żołnierze wynosili z niego w pośpiechu wszystko, co miało jakąś wartość. Chmury pociemniały i podniosły się, przesłaniając drogę i bramę. Maksjan patrzył na mlecznobiałe chmury, obmywane podmuchami gorącego powietrza bijącego od zamku. Jego ojciec zsiadł z konia i przywiązał go do ułamanego pała.

- Rozumiesz to, synu?

Maksjan obrócił się w siodle, bliski łez.

- Nie, ojczcze, nie rozumiem. Kim byli ci ludzie? Dlaczego musieli zginąć w taki sposób? Buntowali się przeciwko cesarstwu?

Starszy Atreusz spojrział na swego syna nieodgadzionym wzrokiem.

- Nie, synu, to nie byli buntownicy. Pragnęli jedynie mieszkać w swoich wioskach i w spokoju praktykować swą wiarę. Nie krzywdzili nikogo, robili dobre rzeczy, wychowywali swe dzieci na uczciwych i bogobojnych ludzi. Szanowano ich i lubiono w całej Galii i Hiszpanii.

Maksjan zaczął płakać i pytał łamiącym się głosem:

- Więc dlaczego zginęli? Dlaczego zostali ukarani?

Gubernator podszedł do konia i ściągnął swego syna z siodła. Chłopiec przytulił się do niego, szlochając. Okropieństwa, które widział w ciągu całego dnia, były dlań zbyt mocnym przeżyciem.

Starszy Atreusz pogłaskał go po głowie i przytulił mocno.

- Synu, ci ludzie umarli, bo nie złożyli odpowiedniej ofiary na ołtarzu cesarza. Nazywali go człowiekiem, a nie bogiem, uznając tym samym, że nie zasługuje na ich wiarę. Wierzyli, że tylko ich bliźniaczy bogowie godni są szacunku i czci. Władca cesarstwa nie może tego tolerować. Widzisz, cesarstwo jest jak rodzina, a cesarz jest jej głową i obrońcą, on rządzi i wydaje sądy. Podobnie jak ojciec rodziny cesarz broni swój lud przed barbarzyńcami i anarchią. Jak ojciec daje dobry przykład młodym ludziom, którzy pozostają pod jego ochroną. Cesarz sądzi wtedy, gdy nie ma już żadnych innych sędziów. Cesarz daje życie, wychowuje kolejne pokolenia, zasiada u szczytu stołu, między bogami i ludźmi. Lecz bez należytego szacunku, bez synowskiego posłuszeństwa swych dzieci - poddanych - cesarz nie może rządzić. Ojciec, którego nie szanują jego własne dzieci, jest słaby, a jego rodzina podzielona. Synowie walczą między sobą, a córki stają się łupem. W miastach panuje chaos, na wsi mnożą się bunt. W kwestiach wiary cesarstwo zawsze by-

ło kochającym ojcem, przebaczącym i wyrozumiałym, pozwalało różnym rasom i ludom pozostającym pod jego ochroną czcić własnych bogów. Lecz ze względu na zdrowie i dobrobyt rodziny każdy mężczyzna i każda kobieta muszą też oddawać należytą cześć - w świątyni czy w domu - ich ojcu, cesarzowi. Ci ludzie - mówił ojciec Maksjana, wskazując na zniszczoną twierdzę - choć uczciwi i pracowici, sprzeciwili się temu. Odmówili składania czci cesarzowi. Trwali w swym uporze nawet wtedy, gdy poddawani byli straszliwym torturom. Spotykali się potajemnie i namawiali innych do nieposłuszeństwa. Ich pobożność była jednocześnie największym aktem niewiary. W ich świątyniach znieważano imię cesarza. Tego nie można tolerować. Widzisz, jak wygląda ich koniec, ostateczny wyrok na ich lud i wiarę, wyrok, o którym będą opowiadać przyszłe pokolenia.

Maksjan nie mógł przestać płakać i wtulił się mocniej w pierś ojca. Starszy Atreusz długo jeszcze stał na murach, trzymając swego syna w ramionach. Wapienne ściany i kolumny zniszczonej świątyni syczały zielonym płomieniem, a słup czarnego ognia wznosił się coraz wyżej i wyżej w ciemniejące niebo.

Krista klęczała na mokrej ziemi pośród wysokich krzewów bocznego ogrodu. Dzień był zimny i wietrzny, obwiązała więc włosy szalem i włożyła grube wełniane spodnie, które ukradła starcowi. Ostрым szpadlem wydrążyła w ziemi dołek długości pięciu lub sześciu dłoni i odłożyła na bok kawałki darni. Potem umieściła w dołku zawiniątko z bawełny, obwiązane ciasno sznurkiem. Następnie otworzyła ciężki ceramiczny słoik, który przyniosła z piwnicy, i posypała zawiniątko szarozielonym pyłem, odwracając twarz, gdy doleciał ją ostry, trudny do zniesienia zapach. Zamknęła słoik, odłożyła go na bok i przykryła zawiniątko kamieniami. Wreszcie ułożyła kawałki darni na swoim miejscu, przyklepała je starannie i schowała szpadel i słoik do worka. Westchnęła i pochyliła się nad zasypanym właśnie dołkiem.

- Spoczywaj w pokoju, braciszku - powiedziała, czyniąc znak pożegnania i błogosławieństwa. Przed odejściem skropiła jeszcze grób winem i rozsypała na nim ziarna pszenicy. Miała nadzieję, że dusza małego chłopca znajdzie drogę do zielonych pól na drugim brzegu Lete. Potem przekradła się między krzewami, zmierzając do frontowego wejścia. Tym razem nikt jej nie widział.

* * *

- Obawiam się, że nie nadaję się na przywódcę tej wyprawy - powiedział Maksjan zachrypniętym głosem. Siedział na drewnianym krześle z oparciami, przykryty kocem. Wciąż był blady, choć odzyskał już większość sił. Wprawdzie nadal wyglądał młodo, w jego oczach jednak krył

się cień, który sprawiał, że wydawał się znacznie starszy niż przed tygodniem. Krista siedziała za nim, na skraju łóżka, i głaskała czarnego kota leżącego na jej kolanach. Truposz i Pers zajmowali dwa inne krzesła, ale tylko Abdmachus, który siedział ze skrzyżowanymi nogami, w pozycji typowej dla swojego ludu, wyglądał na zadowolonego.

- Naraziłem nas wszystkich na wielkie niebezpieczeństwo, podchodząc do problemu w nieprzemyślany, lekkomyślny sposób. Myślałem o tej... rzeczy... jako o zarazie, chorobie. Myliłem się. To jest kłątwa, skomplikowana konstrukcja form i wzorów w niewidzialnym świecie. Jako taka wymaga całkiem innego podejścia. - Książę podniósł rękę, powstrzymując Abdmachusa, który chciał coś powiedzieć. - Wiem, przyjacielu, że wielu czarowników próbowało już tego dokonać i nic nie osiągało lub traciło życie, lecz ta rzecz działa w obrębie własnych reguł i granic. To nie jest choroba i nie można tego tak traktować, lecząc jednego pacjenta po drugim. Wszystkie jej elementy są starannie dopasowane jak układanka albo kamienie w moście. Wystarczy usunąć jeden z kluczowych kamieni dla konstrukcji, a cała budowla runie. Myślę, że jeśli uda nam się tego dokonać, kłątwa zostanie zniszczona.

Abdmachus uniósł lekko swe białe brwi.

- Co jest, książę, tym kamieniem?

Maksjan uśmiechnął się, lecz nie odpowiedział. Potem jego twarz sposepniała.

- Wiem też, że moja obecna moc, choć wydaje się naprawdę znacząca, jest niczym w obliczu tego, czego będziemy potrzebowali. Muszę mieć dostęp do ogromnych zasobów mocy, znacznie większych niż te, które tkwią w skałach i kamieniach, czy nawet w nas trzech. Gdzie mogę znaleźć taką siłę?

Pers zadrżał pod surowym spojrzeniem księcia. Zerknął na Gajusza Juliusza, ten jednak uśmiechnął się tylko i uniósł brew w niemym pytaniu. Krista ignorowała mężczyzn całkowicie, bo kot na jej kolanach przewrócił się na plecy i bawił końcówkami jej warkoczy.

Abdmachus odwrócił się z powrotem do księcia, który patrzył nań dziwnym, niemal wyglodniałym wzrokiem.

- O, książę, ja... ja nie wiem, gdzie można znaleźć taką moc! Ekshumowani to rezerwuary mocy, o czym mogłeś sam się przekonać podczas naszej wizyty na cmentarzu. Wiesz, jak wiele nekromantycznej energii kryje się w naszym przyjacielu Gajuszu. Sam nie wiem... może jakiś innych cesarz, równie poważany jak on? Może odszukalibyśmy ciało Oktawiana Augusta i...

- Phi! - parsknął głośno Gajusz Juliusz. - Nikt nie urządza pielgrzymek do jego świątyni, ani uroczystych parad w dzień jego urodzin. Jeśli dobrze cię zrozumiałem, książę, potrzebujesz mocy bogów. Mocy, która pozwoli ci wyjąć jeden kamień z serca góry i w ten sposób doprowadzić do jej upadku.

- Tak - szepnął książkę, wciąż nie odrywając wzroku od Persa, który zaczął coraz mocniej drzeć pod jego spojrzeniem. -Tak, Gajuszu, potrzebuję mocy boga.

- Cóż... - zaczął truposz, wstając ze swego miejsca i zachodząc przerażonego Abdmachusa od tyłu - zakładając, że nie zdołamy wdrzeć się na Olimp i zmusić Jowisza, by nam służył, musimy znaleźć jakieś inne rozwiązanie. Persie, ty wiesz, co to za rozwiązanie, prawda? I sądząc po twojej minie, wiesz też, gdzie go szukać.

- Co masz na myśli? - spytał Pers zdławionym szeptem, ogarnięty coraz większym przerażeniem.

- Mam na myśli to - odparł Gajusz Juliusz, kładąc dłonie po obu stronach szyi Persa - że czytałem „Historie”. Wiem, że grobowiec jest pusty od czasu, gdy trzysta sześćdziesiąt lat temu cesarz Walerian został pojmany przez Szapura z Persji. Wiem, jaką cenę Rzym zapłacił za jego uwolnienie. Nie wiem tylko, gdzie jest teraz sarkofag. Czy ty możesz mi to powiedzieć? Czy możesz mi powiedzieć, gdzie Król Królów, ten Szapur, go ukrył?

- Nie, nie! Nie mam pojęcia! Nie wolno mi tego wiedzieć! Jedyne *mobehedanie* wiedzą takie rzeczy! Ja jestem tylko zwykłym *moghanem*.

Palce Gajusza, pomarszczone i twarde jak korzenie dębu, wbiły się w szyję Persa. Abdmachus skulił się, gdy paznokcie nacisnęły nerwy, nie miał jednak dość powietrza, by krzyżeć. Truposz pochylił się nad jego uchem.

- Ufali ci na tyle, by wysłać cię tutaj, do jaskini wroga. Ufali ci na tyle, byś zaniósł ich plan do domu wroga. Jesteś dość silny, by zbudować tarczę chroniącą ten dom przed czymś, co jest największą mocą na świecie, prócz mocy samych bogów.

Palce truposza zaczęły gnieść tchawicę Persa. Ten próbował rozpaczliwie łapać powietrze, przychodziło mu to jednak z coraz większym trudem.

- Gdzie jest sarkofag? Mów!

Gajusz Juliusz zwolnił nagle uścisk, gdy Maksjan uczynił nieznaczny gest ręką. Pers łąpczywie chwycił powietrze. Gdy doszedł wreszcie do siebie, książkę znów dał Gajuszowi znak, a ten z nieprzyjemnym uśmiechem na twarzy podał Persowi kubek z winem. Abdmachus opróżnił go niemal jednym haustem i odstawił. Zerknął ze strachem na truposza, potem jednak zwrócił się do księcia.

- Książę, proszę, to chyba nie jest konieczne? Musisz przyznać, że wiernie ci służyłem! Jestem Persem, to prawda. Zostałem tu wysłany jako szpieg, to także prawda. Ale jestem twoim przyjacielem, powierzyłem ci swój los. Proszę, nie pytaj mnie o takie rzeczy!

Maksjan pochylił się do przodu. Jego głos zgrzytał jak kamień kruszący kości zmarłych.

- Abdmachusie, jesteś mi wierny, to prawda, lecz jedynym wyjściem z tej pułapki jest zwycięstwo. Jeśli nie dasz mi dobrowolnie tego, o co

cię pytam, wyciągnę to z twej martwej czaszki. Gajusz Juliusz z przyjemnością pozbawi cię życia, a ja wskrzeszę cię na nowo, tyle że wtedy będziesz już moim stworzeniem, a twoje sekrety należeć będą do mnie. Jeśli zechcesz służyć mi dobrowolnie, będziesz żył i cieszył się wolną wolą. Musisz sam dokonać wyboru, i to teraz.

Abdmachus spojrział błagalnie na księcia, rozumiał już jednak, że od tego wyroku nie ma odwołania. W czasie krótkiej przemowy Maksjana Gajusz Juliusz wyjął mocny, cienki sznur i stanął za plecami Persa. Krista podniosła nań wzrok, skrzywiła się z niesmakiem, wzięła kota na rękę i wyszła z pokoju.

- Książę... - zaczął Pers, ale umilkł. Strach, rozpacz i resztki nadziei, jakie malowały się na jego twarzy, ustąpiły w końcu całkowitej rezygnacji. - Tak, zrobię, co każesz.

Maksjan uśmiechnął się, w jego oczach jednak nie było radości. Wstał z krzesła i odłożył na bok koc. Pochylił się, ujął głowę Abdmachusa w dłoń i podniósł ją tak, by mógł patrzeć mu w oczy. Powietrze wypełniło się dziwnym brzęczeniem, jakby do pokoju wleciał rój pszczoł, a Pers szarpnął się nagle. Maksjan puścił jego głowę i przyglądał zmierzwiłemu siwym włosom.

- Gdzie jest sarkofag? - spytał.

Abdmachus jęknął i upadł na kolana. Podniósł drżącą dłoń do czoła, cofnął ją jednak szybko, odnalazłszy tam znak. Choć go nie widział, był pewien, że to obraz odwróconej piramidy, wryty w jego ciele mocniej niż jakikolwiek tatuaż. Łzy płynęły mu z oczu, kiedy uklęknął przed księciem, przykładając czoło do podłogi.

- Słyszałem, że wielki król Szapur zabrał sarkofag do *mobadan-mobad*. Wysoki kapłan zażądał tego od Króla Królów jako rekompensaty za zamordowanie braci Szapura. Sarkofag został przewieziony na wschód, do jakiegoś ukrytego miejsca, bo magowie obawiali się, że wrogowie spróbują im go odebrać. Zbudowali nowy grobowiec ze złota i ołowiu, bo wielu próbowało otworzyć sarkofag, choć nikomu się to nie udało. Największy z *mobehedanów* umarł, próbując zgłębić jego sekrety. Nie wiem, gdzie magowie go ukryli, wiem tylko, że jest gdzieś w głębi Persji... Proszę, jego nie można znaleźć!

Gajusz Juliusz uśmiechnął się i poklepał zdradzieckiego Persa po głowie.

- Chłopcze, nie ma rzeczy niemożliwych, jeśli tylko człowiek bardzo się postara. - Spojrzął na Maksjana, który opadł z powrotem na krzesło, zmęczony. - Ten sarkofag zawiera całą moc, jakiej potrzebujesz, książę. Musimy go tylko znaleźć i otworzyć.

Truposz bawił się od niechcenia swoim nożem. Było to bardzo stare ostrze; kupił je od pewnego kolekcjonera w mieście. Teraz wyjął go pochwy, a zgrzyt żelaza pocierającego o brąz przyprowadził Persa o zimny dreszcz.

- Gdzie znajdziemy kogoś, kto wie, dokąd czarownicy zabrali to ciało, mój perski przyjacielu? - Łysa głowa Gajusza Juliusza lśniła w blasku ognia, gdy pochylił się nad Abdmachusem.

Pers przełknął ciężko i odsunął się od truposza.

- Błagam, książę! To wielki sekret, o którym nie rozmawia się nawet szeptem. Agenci *mobeheadanów* zabijają w Persji każdego, kto mówi o takich rzeczach!

- W takim razie - rzekł Gajusz Juliusz, przeciągając czubkiem ostrza po szyi Persa - może wie to ktoś, kto nie jest Persem? Egipcjanin? Chaldejczyk? - Czubek ostrza zatrzymał się przy oku Abdmachusa.

- Au! Proszę... jest pewien człowiek w Konstantynopolu. Zbiera rzadkie rzeczy: książki, dzieła sztuki, sekrety! On może wiedzieć, gdzie został zabrany sarkofag. Au!

Po ostrzu noża potoczyła się kropla krwi, a truposz uśmiechnął się szeroko.

- Znam tego człowieka. Proszę, zabiorę was do niego. Jeśli macie złoto lub jakieś sekrety na sprzedaż, da wam wszystko, czego tylko chcecie!

- Wystarczy. - Maksjan był już zmęczony tą grą. - Abdmachusie, dopilnuj, by piwnice były dobrze posprzątane.

Gajusz Juliusz patrzył na oddalającego się pospiesznie Persa, powizdując wesoło.

Maksjan obserwował go spod przymrużonych powiek. Truposz był podekscytowany, wręcz tryskał energią. To było coś nowego i zastanawiającego.

- Dlaczego to ciało jest dla ciebie takie ważne, Gajuszu Juliuszu? Teraz to tylko kilka kości i garść prochu.

- Ja też byłem tylko garścią prochu, książę, nim mnie wskrzesiłeś. Jeśli uda nam się wykraść ciało Zdobywcy, jego także będziesz mógł

przywrócić do życia, prawda?

Maksjan skinął ostrożnie głową. Truposz zachowywał się w nietypowy dla siebie sposób - próbował być szczery.

- Proszę, zrozum, książę, przez całe życie marzyłem o Zdobywcy - o byciu nim, o podbiciu całego świata. Przez całe dorosłe życie próbowałem zrealizować to marzenie. W końcu właśnie ono mnie zabiło. Teraz, po śmierci, już się tym nie przejmuję, ale... Ale chciałbym go zobaczyć żywego. Chciałbym z nim porozmawiać, stanąć u jego boku w bitwie.

Gajusz Juliusz umilkł na moment, widząc zatroskaną minę księcia.

- Tak - powtórzył truposz powoli - w bitwie. Wiesz, że to może się skończyć tylko walką, straszniejszą od wszystkich, jakie świat znał do tej pory. Wojną, którą będziesz musiał wygrać, jeśli masz odnieść sukces. Pomyśl tylko! To właśnie on mógłby dowodzić twoimi armiami! Na całym świecie nie ma lepszej broni.

Maksjan podniósł rękę, uciszając truposza. Wstał, zmęczony i wychudzony, i sięgnął po koc. Przez chwilę patrzył na Gajusza, potem powiedział:

- Rano pojedziecie z Abdmachusem do starego portu w Ostii. Znajdziesz tam okręt, szybki okręt. Musimy wyruszyć na wschód jak najszybciej. Ja zajmę się przygotowaniem do wyjazdu tutaj, w domu. Och, *j* dopilnuj, by mój brat nie dowiedział się, że wyjeżdżamy. Zajmij się tym jak najszybciej.

Gajusz Juliusz uklonił się i wyszedł z pokoju. Maksjan podszedł do paleniska i spojrzął w ogień. Czuł się pusty i wyziębiony. Walka z zarazą ogromnie go osłabiła. Jego ciało mówiło mu to samo co Krista: że był bardzo bliski śmierci. Uratowało go tylko szybkie działanie niewolnicy. Zastanawiał się, co powinien z tym zrobić.

Odrzucił się, usłyszawszy tupot małych łapek. Czarny kot wbiegł do pokoju i wskoczył na krzesło. Ziewnął szeroko, pokazując białe kły, i zwinął się w kłębek. Maksjan uśmiechnął się do siebie i wrócił na krzesło.

- Witaj, Kristo - powiedział, siadając.

- Panie. -Weszła do pokoju odziana w czarne i szare szaty. Odgarnięte do tyłu włosy spadały gęstą chmurą na jej plecy.

- Usiądź.

Krista przeszła przez pokój i usiadła na sofie naprzeciwko.

- Wkrótce wyjedziemy na wschód. Gajusz Juliusz wybierze się jutro do portu...

- Słyszałam.

Książę umilkł na chwilę; wiedział, że nie będzie to łatwe zadanie. Postanowił przejść od razu do rzeczy.

- Zawdzięczam ci życie - zaczął - i chciałbym ci to jakoś wynagrodzić, nie mam jednak zbyt wielkiego wyboru. Pomyślałem, że mógłbym kupić cię od księżnej i darować ci wolność, ale ponieważ wiesz, czym się tu zajmujemy i co się stało, byłaby to tylko wolność z nazwy. Dopóki nie pokonamy zarazy, żadne z nas nie będzie wolne. Jesteś skazana na mnie lub Abdmachusa, dopóki cała ta historia się nie skończy.

Krista zmrużyła oczy. Sama doszła już do podobnych wniosków.

- Jadę więc z wami na wschód - powiedziała. -I kim jestem? Wciąż niewolnicą? Kobietą wolną w połowie? Myślę, że nadal jestem niewolnicą i zawsze nią będę. Nie musiałeś mi mówić nic o tym, co tu robicie. Mogłeś odesłać mnie do księżnej albo pozwolić mi uciec. Nie zrobiłeś tego. Będę ci posłuszna. Jestem tutaj, bo podoba ci się moje towarzystwo w łóżku i poza nim. Twoja wdzięczność nie ma żadnego znaczenia dla niewolnika, bo jest to wdzięczność właściciela dla psa, który dobrze się spisał na polowaniu, ale o którym rano już się nie pamięta.

Maksjan zacisnął dłonie w pięści. Po chwili westchnął i odwrócił wzrok.

- To prawda. Rzeczywiście chcę twojego towarzystwa. Nie ufam tru-

poszowi ani Persowi. Gajusz Juliusz natychmiast uczyniłby ze mnie swego niewolnika, gdyby tylko miał taką możliwość. Abdmachus... cóż, do dzisiejszego wieczora myślał, że to on jest panem sytuacji; teraz należy do mnie. Potrzebuję kogoś, z kim mógłbym porozmawiać, komu mógłbym zaufać. Mam nadzieję, że będziesz to ty, jeśli nadal chcesz ze mną pojechać.

- Nie mam wyboru - odparta Krista z rezygnacją. - Zginę, jeśli wyjdę poza tarczę, którą tworzysz ty i Pers. Chcę żyć, więc mówię: tak, pojedę z tobą. Nie sądzę, byś kiedykolwiek myślał o mnie jako o wolnej kobiecie, ale życie jest lepsze niż śmierć.

Choć nie chciał tego okazywać, Maksjan czuł się dotknięty jej odrzuceniem. *Dlaczego ona nie rozumie, że chcę jej pomóc? Tyle że po prostu nie mogę. Nie teraz. Ale wkrótce będę mógł!*

Wstał i położył się do łóżka, starając się nie przestraszyć czarnego kociaka. Krista dołożyła do ognia i rozebrała się. W domu zapadła cisza, przerywana jedynie jednostajnym bębnieniem deszczu o kamienny dach.

WZGÓRZA NAD TAURIS, GRANICA PERSJI

n

\\ niada klacz człapała powoli drogą ukrytą w cieniu cyprysów. Jeź-
^/ dziec drzemał w siodle, kryjąc twarz pod szerokim rondem słomianego kapelusza. Ubrany był w zwykły szary płaszcz, narzucony na brązową tunikę i nogawice. Tylko kosmyk złotorudych włosów wymykający się spod kapelusza zdradzał, że nie jest to ktoś przeciętny. Z tyłu szedł drugi koń uwiązany do siodła klaczy. Droga wiła się łagodnymi łukami u podnóży wielkich gór widocznych za plecami jeźdźca, zmierzając ku szerokiej dolinie wypełnionej strumieniami, winnicami i polami. W dali widać było też roziskrzoną wstęgę rzeki. Za rzeką wznosiły się rdzawe urwiska skarpy tworzącej podnóże wielkich stożków wulkanicznych. Koń trzymał się lewej strony drogi, tutaj bowiem zalegał cień, a poza tym środek drogi był całkiem rozjeżdżony.

Droga zakreślała i biegła prosto w dół zbocza, zmierzając ku gęstwinie cyprysów porastających brzeg rzeki. Między wzgórzem a rzeką ciągnął się szeroki pas wysokiej trawy i jasnożółtych kwiatów. Ze zbocza Thyatis dojrzała grupę jeźdźców, którzy wyjeżdżali właśnie spośród drzew na pole - ostrza ich włóczni lśniły w słońcu, nad ich głowami powiewały niebieskie i czerwone chorągwie.

Thyatis zakłęta szpetnie i skręciła z drogi między gęste krzewy. Sto stóp od drogi zatrzymała konia i zeskoczyła na ziemię. Przywiązała klacz do najbliższego drzewa i ściągnęła z siodła torbę z paszą. Garść ziarna

skutecznie uciszyła konia. Potem Thyatis wzięła do ręki włócznię i ukryła się w krzewach przy drodze.

Jakieś trzydzieści czy czterdzieści stóp od drogi znajdowała się kępa jałowców, zapewniająca doskonałą kryjówkę, a jednocześnie można było stamtąd doskonale obserwować drogę. Thyatis zauważyła ją wcześniej i teraz postanowiła wykorzystać. Słyszała pobrzękiwanie uprzęży zbliżających się jeźdźców.

Po chwili zza najbliższego zakrętu drogi wychynęło trzech jeźdźców; byli to wysocy mężczyźni ubrani w brązowe tuniki i skórzane buty do konnej jazdy. Przemknęli obok kryjówki Thyatis, pokrzykując na siebie.

Ścigając się do szczytu, pomyślała.

Pozostała część grupy poruszała się w bardziej dostojnym tempie. Wszyscy jeźdźcy, a było ich około trzydziestu, byli dobrze uzbrojeni i bogato odziani. Wieźli ze sobą włócznie, łuki i miecze, nie mieli jednak buklaków na wodę ani cięższego sprzętu potrzebnego do rozbicia obozu. Patrol, pomyślała. Miasto musi być już blisko.

Na samym końcu kolumny jechał potężny mężczyzna z wielką czarną brodą. W lewej ręce trzymał okrągłą tarczę, na której znajdował się czarno-biały wizerunek dzika z wielkimi szablami. Koń człapał niespiesznie w górę zbocza. Zdawało się, że powieki Persa ciężkie są od snu, jakby ten drzemał w popołudniowym słońcu. Thyatis przyłgnęła mocniej do ziemi, wstrzymując oddech. Pers jechał z łukiem przełożonym przez grzbiet konia, w tej samej ręce trzymał strzałę. Thyatis odczekała, aż wszyscy Persowie znikną za następnym zakrętem drogi, potem odetchnęła z ulgą i podniosła się, by oprzeć plecy o pień największego jałowca.

- Siedzi cicho jak mysz pod miotłą, co?

Thyatis znieruchomiała. Krzaki i trawy po jej prawej i lewej stronie zaszeleściły lekko, a Thyatis otworzyła seerzej oczy ze zdumienia, ujrzawszy trzech mężczyzn w cętkowanych brązowo-zielonych płaszczach. Nosili drewniane maski przedstawiające twarze o skośnych oczach i krótkich brodach. Dwaj po lewej trzymali w rękach długie noże z rękojeściami ze skóry i włócznie o żelaznych ostrzach, ten po prawej uzbrojony był w długi łuk z żółtego drewna. Łucznicz przykucnął i odłożył broń na ziemię.

- Witam - powiedział po grecku z dziwnym akcentem. - Moi przyjaciele i ja nie mamy złych zamiarów.

Thyatis wyprostowała się powoli, nasłuchując jednocześnie uważnie, czy w okolicznych krzakach i drzewach nie kryją się jeszcze jacyś inni ludzie. Nie słyszała nic podejrzanego, ale nie usłyszała też przecież i tych trzech, choć byli zaledwie kilka kroków od niej.

- Kim jesteście? - spytała kiepską greką. Jeden z mężczyzn po lewej syknął zaskoczony. Thyatis nie mogła obserwować wszystkich trzech jednocześnie, patrzyła więc prosto przed siebie, tak by widzieć ich choć kątem oka. Mężczyzna po prawej podniósł rękę w skórzanej rękawicy.

- Jestem Dahwos. To moi bracia, Jusuf i Sahul - oświadczył głosem przytłumionym nieco przez maskę.

Thyatis przyglądała im się w milczeniu. Mieli buty do jazdy konnej, ich wierzchowce musiały więc czekać gdzieś w pobliżu. Nosili jasne koszule, zdobione bogatymi haftami na rękawach i kołnierzu. Jeden z mężczyzn nosił na przedramieniu ciężką srebrną bransoletę. Mężczyźni milczeli, czekając na jej odpowiedź.

Wreszcie odrzekła:

- Jestem Thyatis. Witajcie.

Mężczyźni spojrzeli po sobie i skinęli głowami. Ten po prawej, który prawdopodobnie był ich przywódcą, zdjął drewnianą maskę i z westchnieniem ulgi schował ją w przywieszonej do pasa torbie. Miał młodą, jasną twarz o niebieskich oczach i regularnych rysach. Thyatis obróciła lekko głowę, by spojrzeć na twarze pozostałej dwójki. Zauważyła, że żaden z nich nie nosi brody, choć najstarszy miał lekki zarost. Był niższy i tęższy od pozostałych, a w jego jasnych włosach błyskały pasma siwizny. Thyatis dostrzegła rodzinne podobieństwo między dwójką młodszych mężczyzn, ten jednak był znacznie starszy i miał całkiem inne rysy.

- Dziwnie wyglądacie - powiedziała, spoglądając na ich twarze. - Dlaczego golicie brody?

Młody dowódca, ten o jasnoniebieskich oczach, uśmiechnął się lekko.

- Bo jesteśmy Rzymianami - odparł. - A wszyscy wiedzą, że Rzymianie nie noszą brody.

Thyatis parsknęła, z trudem tłumiąc śmiech.

- Jesteście najdziwniejszymi Rzymianami, jakich widziałam w życiu.

- A skąd ty możesz to wiedzieć? - warknął niebieskooki.

Thyatis odsłoniła w uśmiechu śnieżnobiałe zęby.

- Bo sporo wiem o Rzymie i Rzymianach - odparła. - Powiem więcej, sama jestem Rzymianką, moi barbarzyńscy przyjaciele; jak widzicie, w ogóle nie mam brody. A teraz powiedzcie mi, dlaczego skradacie się po lesie, unikając perskich patroli i udając Rzymian bez bród?

Tym razem to starszy mężczyzna parsknął śmiechem. Podniósł nóż, który położył na ziemi na początku ich spotkania, i zniknął między krzewami. Drugi z braci, młodzieniec o jasnobrązowych oczach, wzruszył ramionami i oparł się o drzewo. Opatulony zielono-brązowym płaszczem niemal całkiem zlewał się z otoczeniem.

Dahwos skrzywił się i zaczął bawić się nożem.

- Przyjechaliśmy tu z północy, zobaczyć, co tu jest ciekawego.

Thyatis uniosła lekko brwi - przypomniawszy sobie fragment spotkania oficerów przed wyjazdem z Konstantynopola. Uśmiechnęła się do barbarzyńcy.

- Przyjechaliście tu ze stepów. Jesteście chazarskimi nomadami - mówiła powoli. - Zwiadowcami armii kagana Ziębiła.

«

- Nie jesteśmy Chazarami! - syknął Dahwos ze złością. - Jesteśmy Bułgarami*, dwa razy odważniejszymi od Chazarów i mamy trzy razy więcej synów! Nasze strzały lecą dalej, nasze włócznie trafiają celniej! Ba! W porównaniu z nami Chazarowie są niczym niemowlaki.

Thyatis zerknęła na drugiego mężczyznę, Jusufa, który przewracał tylko oczami, słuchając swego brata.

- Cieszę się, że was spotkałam, dzielni Bułgarzy. Od kiedy jesteście w dolinie Araksesu? Ilu Persów widzieliście? Dotknęliście bramy miasta, żeby dowieść swojej odwagi?

Dahwos nasrożył się, słysząc kpinę w jej głosie.

- Owszem, Rzymianko. Jesteśmy to już od... jakiegoś czasu. Widzieliśmy... - zamyślił się na moment - dwieście Żelaznych Kapeluszy na drodze i wiele więcej w mieście. Wszyscy jadą na południe. Jusuf był w mieście, bo mówi ich językiem, a ja nie. Mówi, że panuje tam wielki ruch, wszyscy uwijają się jak mrówki.

Thyatis zastanawiała się nad jego słowami przez chwilę, potem wzięła do ręki patyk i odgarnęła liście ze skrawka ziemi. Narysowała podłużny kształt, a potem odchodzącą od niego krętą linię i niewielki kwadrat.

- Wiedzieliście jezioro? - spytała wskazując na owal. Obaj mężczyźni skinęli głowami. Jusuf przysunął się bliżej. -Ta kreska to rzeka Talkeh, która wpada do jeziora. Ten kwadrat to miasto Tauris, na północ od nas. - Byliście na południe od miasta?

- Nie - odparł Dahwos, spoglądając na swego brata. - Między miastem a jeziorem ciągną się wielkie bagna, nie do przejścia dla koni i wozów. Droga je omija i biegnie prosto przez miasto, po moście z czerwonej cegły. Po drugiej stronie miasta są urwiska, strome i niebezpieczne dla koni. - Podniósł drugi kij i narysował za kwadratem miasta zakrzywioną linię, przedstawiającą skarpe. Kagan - mówił dalej - przyjedzie tą drogą z północy. Ale w mieście jest wiele Żelaznych Kapeluszy, a mury są mocne. Ludzie nie przejdą przez rzekę, jeśli Żelazne Kapelusze zostaną w mieście.

Thyatis skinęła głową; wiedziała o tym już wcześniej. Jej zadaniem było ułatwić rzymskiej armii spotkanie ze sprzymierzeńcami; wyglądało na to, że znalazła właśnie nieoczekiwaną pomoc. Uśmiechnęła się do braci.

- Mój pan, cesarz Rzymu, także tu nadchodzi. Przysięgam mu, że bez trudu zdobędzie miasto Żelaznych Kapeluszy, gdy podejdzie pod jego mury. Dlatego właśnie tu jestem. Jeśli chcecie dokonać chwalebnych czynów, jedźcie ze mną na południe. Zamierzam zakraść się do

* Przedkawkazie na początku VII wieku zamieszkiwały dwa ludy: Bułgarzy, mający siedziby na prawym brzegu Kubania aż po Don, oraz Chazarowie, osiadli na obszarze między dolnym brzegiem Tereku a dolną Wołgą.

miasta, tak by nie zauważyli tego Persowie. Macie dość odwagi, by to zrobić?

Bracia spojrzeli po sobie, a potem z powrotem na Thyatis.

Dahwos odpowiedział pierwszy, błyskając zębami w uśmiechu.

- Pani, chętnie z tobą pojedę. Przekonasz się, że Bułgarzy są najodważniejszymi z ludzi!

Jusuf spojrział na swego brata z niedowierzaniem. Potem i on skinął głową, miał jednak zatroskaną minę. Thyatis obejrzała się przez ramię, by sprawdzić, czy droga jest pusta, potem wstała z ziemi i otrzepała spodnie. Dahwos poderwał się na równe nogi i zarzucił łuk na plecy. Thyatis spojrzała na Jusufa, który wciąż siedział oparty plecami o drzewo, i podała mu rękę. Przyjął jej pomoc, choć patrzył na nią tak, jakby była jadowitym wężem.

- No to bierzmy się do roboty - powiedziała Thyatis i ruszyła w stronę swoich koni.

Po zmierzchu na niebo wypłynęły chmury, zakrywając księżyc i gwiazdy. Było już dobrze po północy, kiedy Thyatis i Sahul wrócili do maleńkiego obozu, który bułgarscy zwiadowcy rozbili na wzgórzach za miastem. W całkowitych ciemnościach nawet Sahul się zgubił, spędzili więc niemal pół nocy, błądząc w labiryncie pól i kanałów nawadniających, nim wreszcie dotarli do wzgórz. Thyatis była obolała i zmęczona, weszła jednak do namiotu wzniesionego przez zwiadowców, gotowa poprowadzić naradę. Dahwos i Jusuf przesunęli się na bok, by wpuścić Rzymiankę i ich starszego brata.

Tuż pod wierzchołkiem namiotu, w miedzianej miseczce paliła się niewielka świeczka. Dym ulatywał przez okrągłą dziurę w poszyciu. Thyatis spojrzała na twarze swych kompanów, oświetlone bladym, migotliwym blaskiem. W ciemności na zewnątrz spało sześciu kolejnych Bułgarów.

Zatem ponownie dowodzę mężczyznami, pomyślała.

Właściwie dopiero teraz uświadomiła sobie, że ci ludzie zaakceptowali jej dowództwo bez słowa protestu. Postrzegali ją zapewne niemal jako ducha, który pojawił się nagle między nimi. Sama obecność kobiety wyćwiczonej w sztuce wojennej, i to w miejscu tak odległym od jej domu i rodziny, musiała być dla nich na tyle niezwykła, że przejęcie dowództwa nad oddziałem nie było już żadnym zaskoczeniem.

- Sahul i ja podpłynęliśmy rzeką pod mury miasta. Widzieliśmy duży obóz kawalerii na północ od miasta. Twierdza jest bardzo silna, mury są nowe i mają dodatkowe wzmocnienia. Wzdłuż nich niemal bez ustanku chodzą strażę, widzieliśmy co najmniej trzy patrole, kiedy tamtędy płynęliśmy.

Thyatis ułożyła na dywanie mapę z gałązek i liści. Mężczyźni pochylili się nad nią, wypełniając nozdrza Rzymianki zapachem koni, potu i skóry. Sahul odchrząknął i uczynił pionowy gest ręką.

- Tak. -Thyatis skinęła głową. -Widzieliśmy też coś jeszcze. Flaga wisząca nad bramą miasta ma to samo godło, które widziałam na tarczach jeźdźców dwa dni temu. Zdaje się, że jest to znak perskiego generała Szahr-Baraza, nazywanego Odyńcem króla. Jeśli tak jest w istocie, będzie nam bardzo trudno zdobyć miasto. Szahr-Baraz dowodzi Nieśmiertelnymi Króla Królów, jego najlepszymi wojownikami.

Dahwos odkaszlnął i postukał żdźbłem trawy w maleńką mapkę.

- To jak, uciekamy?

Thyatis wymieniła cierpkie spojrzenia z Sahulem. Młodzi mężczyźni! - pomyślała. Kiedyś doprowadzą mnie do zguby. Sahul wzruszył ramionami, zachowując obojętną minę. W jego oczach widać było jednak rozbawienie.

- Nie, będziemy musieli zachować ostrożność. Po pierwsze, trzeba znaleźć wśród mieszkańców kogoś, kto zechce nam pomóc. Musimy też dokładnie poznać rozkład miasta. Potem wejdziemy do środka i postaramy się doprowadzić Odyńca do zguby.

Dyskusja trwała jeszcze przez jakiś czas, potem Sahul pożegnał się i opuścił namiot. Thyatis nie zauważyła nawet, kiedy wyszedł; najstarszy z braci poruszał się jak duch. Dahwos ziewnął potężnie i udał, że wychodzi, choć w końcu to Jusuf musiał wypchnąć go na zewnątrz. Trzeci brat uklonił się grzecznie i zasunął za sobą połę namiotu. Thyatis siedziała sama w ciemności, czując, jak powoli wypełnia ją cisza. Namiot dostała od Sahula już pierwszej nocy, którą spędziła z Bułgarami w dolinie Tauris. Nomada nigdy nic nie mówił, nawet w gardłowym języku stepów, lecz jego intencje były jednoznaczne - skoro miała z nimi podróżować kobieta, powinni ją dobrze traktować.

Thyatis nie miała ochoty się z nim spierać. Samotna podróż z Araratu była długa i męcząca. Spała znacznie lepiej, wiedząc, że ktoś trzyma nad nią straż, choć i tak nigdy nie spała zbyt głęboko. Na zewnątrz zerwał się wiatr, dął ze wschodu, poprzedzając niewidoczne jeszcze słońce. Thyatis zgasiła świecę i położyła głowę na zrolowanym kocu. Bawił ją fakt, że choć Bułgarzy byli zwiadowcami we wrogim kraju, wozili z sobą ogromne ilości bagażu. Jednocześnie jednak byli najlepszymi tropicielami, jakich kiedykolwiek poznała; i znali las jak mało kto. W czytaniu śladów przewyższali Nikosa czy Sarmatów.

Na myśl o jej ludziach, a szczególnie o szerokiej, śniadej twarzy Nikosa, ogarnął ją ogromny smutek. Chciałaby ich należycie opłakiwać, ale nie miała czasu, a ci ludzie mogliby nie zrozumieć jej smutku, lub zrozumieć go opacznie. Wzdychając ciężko, odsunęła od siebie myśli o zmarłych, skupiając się na tym, co czekało ją w ciągu najbliższych dni.

Balansowała już na krawędzi snu, kiedy ktoś zaskrobał w połę namiotu. Otworzyła jedno oko i spojrzała na nocne niebo widoczne przez otwór w dachu. Zbliżał się już świt. Westchnęła po raz kolejny i rzuciła „wejść”.

Do namiotu wśliznął się Jusuf, szczupły, ciemny kształt na tle jasnej tkaniny. Thyatis patrzyła nań zaskoczona: była pewna, że to Dahwos chce złożyć jej niezapowiedzianą wizytę.

- Wybacz - powiedział greką lepszą niż ta, którą posługiwał się jego młodszy brat. - Chciałem z tobą porozmawiać. - Jego głęboki głos kojarzył się Thyatis z mrocznymi lasami i potężnymi drzewami. Bułgar usiadł przy wejściu, krzyżując nogi. Thyatis także usiadła prosto, czekając, aż jej gość przemówi pierwszy.

- Sahul i ja rozmawialiśmy o tobie...

Thyatis zakryła spiesznie usta; nie chciała się śmiać.

- Sahul mówi? - spytała, z trudem skrywając rozbawienie. Czowała jednak, że Jusuf uśmiecha się w ciemności. Od razu nabrała do niego więcej sympatii, do tej pory bowiem wydawało jej się, że jest całkiem pozbawiony poczucia humoru.

- Tak - odparł Jusuf. - Czasami. Kiedy uważa to za konieczne. Czasami też śpiewa, ale tylko podczas jakichś ważnych uroczystości albo świąt. Ma piękny głos.

- Do rzeczy. Chciałabym się trochę przespać, zanim wyruszymy rano.

- Jasne. Jeszcze raz przepraszam za to najście, ale Sahul i ja jesteśmy zaniepokojeni. Przychodzisz z lasu jak Diana, z mieczem w rękę i śmiercią na twarzy. Mówisz, że jesteś Rzymianką i że przysięgłaś wejść do miasta Tauris, i przygotować je na przybycie cesarza. Nie wspominasz ani słowem o tym, jak się tu znalazłaś. Dahwos, który zgodnie z tradycją dowodzi tym oddziałem, jest tobą zauroczony i robi wszystko, co mu każesz. Jesteśmy tu, by służyć mu radą i pomocą, by uczył się na naszych doświadczeniach. Teraz jednak to ty nas prowadzisz, nie on. Zastanawialiśmy się z Sahulem, czy przyjechałaś tu sama, a jeśli nie, to gdzie są twoi ludzie.

- Nie żyją - odparła Thyatis głucho. - Zginęli z rąk Persów na brzegach wielkiego jeziora albo później po drodze. Tylko ja zdołałam uciec; ich poświęcenie przyniosło chociaż taką korzyść.

- Tego się właśnie obawiałem. - Thyatis wyczuła, że uczynił jakiś gest w ciemnościach, nie wiedziała jednak, co mógł on znaczyć. - Sahul powiedziałaby, że na twoim ramieniu siedzi kruk, zwiastun śmierci. Wiadć też od razu, że jesteś przyzwyczajona do wydawania rozkazów jak do starego płaszcz. Wiedz, Rzymianko, że będziemy ci posłuszni, dopóki taka będzie wola Dahwosa, on jest tutaj *bagaturem*. Jeśli jednak Dahwos zginie albo zmieni zdanie, będziemy kierować się tylko i wyłącznie własnym rozumem.

- Myślisz, że doprowadzę was do zguby?

- Rzymianko, wiem, że mnie doprowadzasz do zguby. Zależy mi na dobru Sahula i innych. Nie poświęcaj ich, by ukoić własny ból.

To powiedziawszy, Jusuf wstał i wyszedł z namiotu, ponownie zostawiając Thyatis samą.

Thyatis przysłoniła dłonią oczy, oślepią blaskiem popołudniowego słońca. Na drugim brzegu turkusowej rzeki wznosiły się mury Tauris, potężne i wysokie niczym skalne urwiska. Czerwono-złote chorągwie zatknięte na ich szczycie trzepotały w północnym wietrze. Thyatis i Bułgarzy kryli się na piaszczystej skarpie na zachód od rzeki, w kępie leszczyn i modrzewi. Jusuf i jeden z jego ludzi poszli na zwiad w dół rzeki, by zbadać brzegi i znaleźć dogodny bród. Czekać na ich powrót, Thyatis liczyła ludzi na murach i konie w obozowisku pod miastem.

Sahul dotknął jej ramienia. Odwróciła się i ujrzała Jusufa prowadzącego przed sobą jakiegoś niskiego, śniadego mężczyznę. Młody wojownik pchnął swojego jeńca, tak że ten padł na kolana, a potem sam ukląkł. Był zdyszany i miał siniaka na policzku.

- Jakież kłopoty? - spytała Thyatis, przyglądając się jeńcowi.

Jusuf pokręcił głową.

- Byłem nad brzegiem w trzcinach, obserwowałem grupę Żelaznych Kapeluszy, którzy kąpali się w strumieniu wpadającym do rzeki. Próbowaliśmy podejść bliżej i natknąłem się na tego oto człowieka, kiedy właśnie załatwiał się do rzeki. Namówiłem go, żeby ze mną poszedł i porozmawiał z tobą.

Thyatis uśmiechnęła się do Jusufa. Tymczasem jeńiec rozglądał się dokoła, jakby próbując odgadnąć zamiary otaczających go ludzi, oceniając ich zachowanie i uzbrojenie. Miał cztery stopy wzrostu, kręcone ciemnobrązowe włosy i krótką, równo przyciętą brodę. Ubrany był w workowatą szarą koszulę, zdobioną haftami na kołnierzu i mankietach, ciemnoczerwone spodnie i skórzane, mocno już znoszone buty. Jusuf położył pod najbliższym drzewem torbę, łuk, kołczan i dwa sztylety. Thyatis uśmiechnęła się do jeńca, ten jednak odpowiedział jej tylko gniewnym spojrzeniem.

- Mówisz po grecku? - spytała. - Po łacinie? Aramejsku?

Nieznajomy jeszcze raz rozejrzał się dokoła i usiadł, krzyżując nogi.

- Mówię trochę po grecku - odparł z fatalnym akcentem.

- Jestem Thyatis *■ powiedziała Rzymianka, wyjmując z torby chleb podróżny i łamiąc go na pół. Położyła jedną połówkę na grubym liściu, odgryzła kawałek, a potem położyła resztę przed nieznajomym. - Witam cię w pokoju i zapraszam do mego domu. - Wyjęła zatyczkę z bukłaka, wypila łyk, a potem podała go jeńcowi.

Ten patrzył przez chwilę na chleb, potem na nią, potem na Bułgarów, których większość schowała się z powrotem między drzewami. Wreszcie podniósł chleb i odgryzł kawałek. Przeżuł go, skrzywił się i podniósł do ust bukłak z winem, ściskając go tak, by strumień cieczy wpadał do jego ust z pewnej odległości. W końcu wytarł usta rękawem i głośno beknął. Thyatis dołączyła swój kawałek chleba. Smakował okropnie.

- Jestem Bagratuni - powiedział śniady mężczyzna. - Przyjmuję twoje zaproszenie.

- Witaj, Bagratuni - odrzekła Thyatis. - Lubisz Persów? - Wskazała na drugą stronę rzeki, na mury miasta.

Mężczyzna roześmiał się drwiąco.

- Leję na Persów - powiedział, wykonując obsceniczny gest. - Przyszliście tu walczyć z nimi? - spytał, wskazując na ich broń.

Thyatis spojrzała nań, przekrzywiając lekko głowę. Podobał jej się ten człowiek, nie wiedziała jednak, jak dalece może mu zaufać.

- Polujemy na Persów - powiedziała, wskazując na siebie i Bułgarów. - To dobra zabawa. Możesz nam w tym pomóc? Byłeś kiedyś w mieście?

Bagratuni uderzył otwartą dłonią w udo, uśmiechając się radośnie. Potem potarł nos, namyślając się przez chwilę nad odpowiedzią.

- W mieście źle się poluje na nizinnych. Nie ma tam wolnych Prawdziwych Ludzi, tylko nizinni i ich kobiety. Bardzo niebezpieczne miejsce na polowanie.

Thyatis zmrużyła oczy.

- Powiedziałeś, nie ma wolnych Prawdziwych Ludzi. A co z niewolnikami? Czy w mieście są uwięzieni Prawdziwi Ludzie?

Bagratuni skinął głową, a uśmiech zniknął z jego twarzy.

- Tak - odparł powoli. - W mieście jest wielu Prawdziwych Ludzi, którzy służą nizinnym. Wielu Prawdziwych Ludzi umarło, kiedy nizinni przyszli budować miasto. Wielu pracowało w mieście bez jedzenia, bez odpoczynku. Spotkała ich śmierć. Nizinni wkładali kości dzieci do zaprawy. Śmiali się.

- Bagratuni, wprowadzisz nas do miasta? - Thyatis pochyliła się do przodu. - Nie wszystkich, tylko kilka osób.

Bagratuni zamyślił się na chwilę, odchrząknął, cmoknął kilka razy, wreszcie rzekł:

- Może... Jeśli mnie puścisz, wrócę i wprowadzę was do miasta ukrytym przejściem. Ale mam pewną sprawę do załatwienia, więc muszę się spieszyć.

Thyatis zerknęła na Sahula, ten jednak jak zawsze miał nieodgadnioną minę, potem na Jusufa, który pokręcił powoli głową. Wreszcie spojrzała ponownie na Bagratuniego i uśmiechnęła się:

- Drogi gościu, nie będę cię zatrzymywać, jeśli spieszno ci w drogę.

Bagratuni podniósł się powoli z ziemi, wyraźnie zaskoczony.

- Idź w pokoju - powiedziała Thyatis, nakazując gestem Jusufowi, by oddał mu broń. Bagratuni przypiął do pasa miecz i sztylety, uklonił się nisko, a potem zniknął w krzakach. Thyatis spojrzała na Sahula i wskazała głową krzewy. Bułgar odpowiedział skinieniem głowy i ruszył w ślad za Bagratunim. Thyatis odwróciła się do Jusufa, który stał wsparty o włócznię i patrzył na nią ze zgorzaniem.

- Chciałaś, żebym znalazł ci tubylca, więc sprowadziłem jednego, i to w doskonałej formie. Jest zdrowy, ma wszystkie zęby... A ty go po prostu wypuszczasz!

Thyatis obdarzyła go spojrzeniem, pod którym Jusuf wyprostował się i odchrząknął niepewnie.

- Zostaw tu kogoś na straży, niech poczeka, aż Bagratuni wróci, sam czy też z przyjaciółmi. Cała reszta, razem ze mną, przenosi się w inne miejsce. Jeśli ten człowiek nie wróci do wieczora, przeprawimy się przez rzekę, tak jak to wcześniej planowaliśmy.

Jusuf skinął głową i zniknął między drzewami. Thyatis odwróciła się i spojrzała na miasto. Ile czasu mi zostało? - zastanawiała się. Nie miała pojęcia, gdzie znajduje się rzymska armia. Bułgarzy nic nie wiedzieli, a ona nie mogła czekać beczynn timer jak Odyniec, jeśli to on właśnie rezydował w mieście czerwieni i złota.

STARY PORT W OSTU, LACJUM

y iu ius udra uśmiechnął się i rozłożył szeroko swe potężne ręce.

idzisz, panie? Mówiłem, że jest piękny.

Gajusz Juliusz wskoczył na pokład statku. Rzeczywiście był pod wrażeniem jego urody, starał się jednak nie okazywać żadnych emocji.

- Jest szybka jak wiatr nad wodą i zwrotna jak młoda dziewczyna w tańcu.

Gajusz Juliusz uniósł lekko brew i ogarnął spojrzeniem szeroki tekowy pokład „Nisir”. Długi okręt był czysty i zadbane, liny starannie powiązane i poukładane. Po obu stronach pokładu wznosiły się wysokie ściany, z wypolerowanego drewna głównego pokładu wyrastały dwa maszty. Z przodu wznosił się wysoki, zawinięty dziób, pomalowany na szaro i czarno. Z tyłu okrętu, na pokładzie sterowniczym, sterczały dwa wysokie wiosła sterujące. Na pokładzie nie było żadnego członka załogi, Gajusz Juliusz i Ziusudra mogli więc spokojnie rozmawiać o interesach.

- Wygląda zdrowo - powiedział Rzymianin, sprawdzając węzły na jednej z lin przywiązanych do masztu. - Ile czasu zajęłaby podróż do Aleksandrii albo, dajmy na to, Tingis na wybrzeżu Mauretanii?

Tyreńczyk uśmiechnął się ponownie, odsłaniając mocne białe zęby ukryte w gęstwinie czarnej brody.

- „Nisir” jest szybka i mocna. Przepląnąłem z Ostii do Aleksandrii w osiem dni, a do Kadyksu na wybrzeżu Hiszpanii w cztery. „Nisir” zabierze cię wszędzie, gdzie zechcesz, jak rydwan bogów.

Gajusz Juliusz pokręcił głową z rozbawieniem - kapitan każdego okrętu na Morzu Wewnętrznym mówiłby to samo. Rzymianin potarł swój

długi nos, spoglądając na kapitana, na okręt, na grube deski pod jego stopami.

- Słyszałem, że ostatnio spotkało cię jakieś... niepowodzenie.

Ziusudra zmrużył oczy, widząc lekki uśmieszek na twarzy patrycjusza.

- Owszem, mieliśmy pewne... kłopoty z ładunkiem węgorki osiem miesięcy temu. Ale to była wina dostawcy! My zdążyliśmy ze wszystkim przed czasem!

- Węgorki - mówił powoli Gajusz Juliusz - wydostały się z pojemników i uciekły przez luki w ładowni, mój przyjacielu. Dwaj ludzie z twojej załogi musieli prosić o pomoc lekarza, żeby odczepił te uparte stworzenia od ich ciał. Paskudna historia, naprawdę szczerze ci współczuję. Zastanawiam się jednak, czy można bezpiecznie przewozić cenne ładunki twoim okrętem.

Tyreńczyk spojrzał gniewnie na Gajusza i oparł dłonie na biodrach. Gdyby był garnkiem z wodą, zapewne już by się gotował.

- Te kosze miały być szczelne! A najgorszy ze wszystkiego był smród. Musieliśmy przez tydzień szorować deski pod pokładem, nim się go pozbyliśmy. Chyba nie zamierzasz przewozić jakichś rzadkich i drogocennych zwierząt?

- Nie - odparł Gajusz Juliusz. - Tylko kilku turystów... Ale ma to być prywatna wycieczka, więc nikt obcy nie będzie mógł wejść na pokład. Och, i nie zabieramy też żadnego ładunku, tylko bagaż mój i moich przyjaciół.

- Żadnego ładunku!? - oburzył się Ziusudra. - To na czym mam zarabiać? Mam długi do spłacenia, mój panie. Muszę zarobić na tym rejsie!

- To nie ma znaczenia. - Gajusz Juliusz wyjął z tuniki drewnianą tubę. - Pozwoliłem sobie wykupić twoje weksle od bankiera Zuscisa. Był bardzo zadowolony z tej transakcji, ja zresztą też. To naprawdę ładny okręt. - Gajusz Juliusz uśmiechnął się szeroko, pokazując Tyreńczykowi, że i on ma zdrowe białe zęby. Ziusudra patrzył nań gniewnie spod ściągniętych brwi. - Jeśli dobrze się sprawisz, „Nisir” wróci do ciebie.

OKOLICE SAMOSATY, PÓŁNOCNA RÓWNINA EUFRATU

/ imna woda przywróciła Dwyrinowi przytomność. Chłopiec krztusił y[^]sifi i parskał przez moment, nim czyjaś mocna dłoń podniosła go znad koryta, nad którym się pochylał. Dwyrin odkaslnął raz jeszcze i potrząsnął głową, czując, jak zimna woda spływa mu za koszulę.

- Obudź się, chłopcze - warknął znajomy głos, pozbawiony jednak

napięcia, które było w nim słycać przez kilka ostatnich dni. - Wracaj do krainy żywych!

Dwyrin przetarł oczy i rozejrzył się dokoła. Znajdował się w obozie wojskowym, pełnym namiotów i otoczonym wałem ziemnym. Stał obok wielkiego namiotu, za którym wznosiła się wysoka drewniana rama. Rama wspierała z jednej strony szeroki na trzydzieści stóp płócienny dach, który zacieniał niewielką przestrzeń pośrodku placu, obóz w obozie.

Kolonna przytrzymał kciukami powieki Dwyrina i zajrzał mu w oczy.

- Mhm. - Żołnierz pokiwał głową. - Chyba wreszcie doszedłeś do siebie. Często mdlejesz?

Dwyrin odepchnął jego rękę i wstał, choć nogi lekko się pod nim ugięły.

- Gdzie moja jednostka? Muszę się zameldować. •

- Cóż... - zaczął Kolonna, drapiąc się po brodzie i odwracając wzrok.

- Może najpierw coś zjemy, a potem pójdziesz się zameldować do trybuna. I tak jesteś mocno spóźniony, kilka chwil nie zrobi większej różnicy.

Dwyrin zaczął się zastanawiać, lecz żołądek szybko dokonał wyboru. Kolacja.

W dużym namiocie ustawionym niedaleko środka obozu znajdowała się kuchnia i jadalnia. W odróżnieniu od starannie rozplanowanego obozu w porcie ten był bezładną plataniną namiotów, rowów i wałów ziemnych. Stacjonowało tu wielu jasnowłosych i wytatuowanych barbarzyńców, którzy wylegiwali się w cieniu namiotów.

Kolonna podniósł połę namiotu kuchennego, wpuszczając do środka Dwyrina. Nie było tutaj żadnych stołów, tylko kilka wielkich garów wypełnionych gulaszem. Kolonna wręczył chłopcu powyginaną miskę cynową i łyżkę wyrzeźbioną z rogu.

- Nie zapomnij oddać, to mój jedyny zapas.

Dwyrin skinął głową i podsunął miskę siwowłosemu legionście bez ręki, a ten wypełnił ją ciemnobrązową packą z kawałkami jakiegoś bliżej nieokreślonego mięsa. Kolonna dostał to samo, tyle że jego miska była nieco większa.

Jedli na zewnątrz. Kolonna stał pod ścianą namiotu i wymachiwał energicznie miedzianą łyżką. Dwyrin kucał na ziemi. Był zbyt zmęczony, by stać. Mięso w gulaszu pochodziło z kozy lub świni, ale Dwyrinowi i tak było to obojętne. Kiedy skończyli, Kolonna kazał mu popić dziwną, kwaśną wodą. Przy pierwszym łyku chłopiec zakrztusił się i omal nie wypłuł wszystkiego.

Żołnierz klepnął go w plecy.

- Napój legionistów, woda z octem. Podobno gasi pragnienie. Ja też tego nie cierpię, ale będziesz musiał się przyzwycząić.

Było już prawie ciemno, kiedy Kolonna zabrał Dwyrina do trybuna. Wewnętrzny obóz otoczony był kręgiem różdżek wbitych w ziemię, rozstawionych mniej więcej co stopę. Przy jedynym wejściu do obozu czarowników siedział strażnik na trójnożnym stołeczku. Ubrany był w prostą tunikę i skórzane buty. Kolonna przedstawił siebie i Dwyrina, potem obaj pokazali swoje dyski identyfikacyjne. Wśród namiotów otoczonych palisadą z różdżek pobłyskiwały dziwne, przytłumione światła. Kiedy przechodzili przez ogrodzenie, Dwyrin poczuł zimny powiew i rozejrzał się dokoła. Strażnik roześmiał się i wskazał im namiot trybuna.

Wielka zasłona, która za dnia zapewniała cień, pełniła teraz funkcję dachu. Pod osłoną znajdował się krąg kamieni, w którym płonął pomarańczowoczerwony ogień. Słabo oświetlone uliczki między namiotami były całkiem puste. Cisza i bezruch panujące w obozie napępiały Dwyrina niepokojem, tym bardziej, że odkąd przekroczyli płot z różdżek, nie słyszał ryku wielbłądów ani głosów ludzi z zewnętrznego obozu. Przed jednym z namiotów, odsuniętym nieco od pozostałych, stał sztandar. Był podobny do typowego orła legionów, tylko znajdował się na nim pojedynczy dysk ze znakiem Horusa, a nie herb i wieniec laurowy. Brakowało też listy bitew.

4

- Trybun Quintus Metelus Pius? -W głosie Kolonny znów pojawiła się nuta strachu.

- Wejść - odpowiedział mu niski, chrapliwy głos z wnętrza namiotu.

Kolonna wszedł pierwszy, za nim Dwyrin. Wnętrze namiotu oświetlała mosiężna lampa, emitująca dziwne białe światło o jednolitym natężeniu. Trybun siedział za stołem, pochylony nad całą masą drobnych metalowych przedmiotów rozłożonych na serwecie. Dwyrin drgnął zaskoczony, gdy uświadomił sobie, że w lampie znajduje się nie płomień, lecz szklana kula więżąca jakiegoś ducha. Gdy przyjrzał się jej uważniej, dostrzegł maleńką twarz przyciśniętą do szkła, i trzepotanie skrzydeł. Stworzenie spojrzało prosto na Dwyrina, a ogromne złote oczy wypełnione były straszliwym bólem.

- *Ouragos* Kolonna, trybunie - zsalutował weteran.

Trybun podniósł na moment głowę, przesunął spojrzeniem po Kolonnie i chłopcu, po czym znów zajął się stertą sprężyn, kółeczek i innych drobiazgów.

- W jakiej sprawie? - spytał obojętnym tonem. Kolonna wyprostował się jeszcze bardziej.

- Ten chłopiec, Dwyrin MacDonald, zgłasza się pod pańskie dowództwo. Miał dołączyć do pańskiej jednostki w Konstantynopolu, ale nie dotarł na czas.

- Aha - mruknął trybun, nakładając kółko zębate na maleńką, noliwioną oś przymocowaną do czegoś, co wyglądało jak jajko zrobione z cyny. - Zaprowadź go do Blanca, tam się nim zajmą. Zdaje się, że są jeszcze wolne miejsca w namiocie czwartym. Możecie odejść.

Kolonna zawahał się i spojrzął przez ramię na Dwyrina, który niemal spał na stojąco. Spotkanie z tajemniczym monstrem w mieście bardzo go wyczerpało.

- Tak, panie, jest tylko jeden mały problem. Jeśli można...

Trybun podniósł wzrok i odłożył wreszcie metalowe części, która trzymał w dłoni. Przesunął brudną dłoń po krótko przyciętych, rudych włosach, zostawiając na nich pasmo sadzy i tłuszczu. Nie był piękny, ale miał w sobie coś, co budziło szacunek. Nie wiadomo dlaczego, skojarzył się Dwyrinowi z krową o wielkich uszach, stojącą na wielkiej łące, szybko jednak odegnał tę myśl.

- Mów - rozkazał trybun, spoglądając wreszcie na Dwyrina. Podniósł lekko brew, ujrzawszy jego tunikę, nadpaloną i pokrytą kurzem drogi.

Kolonna odkaszlnął i powiedział:

- Chłopiec został zaatakowany na drodze, przy moście nad Eufratem, stracił konia i sprzęt. Czy może dostać coś z magazynu?

Trybun uśmiechnął się zimno i oparł ręce na stole.

- Nie mamy zbyt wielkiego wyboru, *ouragosie*, tylko jakieś odrzuty i to, co zostało po zmarłych. Ale chłopiec potrzebuje ubrania i sprzętu, więc wystawię wam rozkaz.

Trybun sięgnął do kosza pod stołem, wyjął stamtąd kawałek glinianego naczynia i naskrobał na nim coś metalowym rylcem. Kolonna odebrał od niego ową notkę i zasalutował ponownie. Tym razem Dwyrin także pamiętał o salucie. *Ouragos* odwrócił się i wypchnął go z namiotu.

- Nie jest źle - podsumował stary żołnierz, kiedy maszerowali uliczką między namiotami. - Dostaniesz przynajmniej jakiś sprzęt.

Zatrzymali się przy bramie. Kolonna odwrócił Dwyrina do siebie.

- Kiedy zgłosisz się jutro do centuriona, nie pójdzie ci tak łatwo. Znam centuriona, który zajmuje się tym oddziałem, to twardego, niejaki Blanco. Kara za utratę sprzętu jest surowa, ale jeśli będziesz trzymał się reguł, jakoś sobie poradzisz. No dobrze, namiot czwarty jest tutaj.

Kolonna wcisnął tabliczki z rozkazem w dłoń Dwyrina.

- Muszę złożyć raport trybunowi piechoty, a ty idź się trochę przespacerować.

Sycylińczyk ruszył w dół uliczki oświetlonej dryfującymi w powietrzu iskrami światła, a Dwyrin wszedł chwiejnym krokiem do namiotu czwartego. Nareszcie w domu, pomyślał.

Dwyrin stał nieruchomo, czując, jak odrętwienie ogarnia nie tylko jego nogi, ale i ręce. Centurion podniósł nań wzrok.

- Jakiś problem, MacDonald?

Dwyrin przełknął ciężko.

- Nie mam sprzętu. Zostałem okradziony, a mój koń zabity.

Blanco skinął głową i westchnął. Wskazał ręką na pryz stojącą po drugiej stronie biurka.

- Siadaj.

Dwyrin usiadł.

- Czy Kolonna zaprowadził cię już do trybuna?

- Tak jest.

- Co trybun powiedział o twoim sprzęcie, chłopcze? Mówił coś na ten temat?

Dwyrin zaczerwienił się i poczuł, jak w głębi jego umysłu migoce gorąca iskra. Wiele razy słyszał w akademii ten cierpliwy, szyderczy ton. Nienawidził, gdy traktowano go jak dziecko, nawet jeśli był tak młody.

- Tak, panie, powiedział, że mam wziąć nowy sprzęt z magazynu, i że mam...

Gardło Dwyrina zamknęło się nagle. Blanco zacisnął dłoń w pięść, a mięśnie Dwyrina stężały w bolesnym skurczu. Zakręciło mu się w głowie, a przed oczami zaczęły latać białe plamy. Poczul w ustach krew wypływającą z przygryzionej wargi. Moc buzowała w powietrzu wokół jego głowy. Dłonie Dwyrina zacisnęły się na krawędzi pryczy.

Blanco pokręcił głową.

- Żadnego pyskowania - powiedział.

Głowę Dwyrina wypełniał nieprzyjemny zgrzytliwy dźwięk, jakby piły trącej o marmur. Próbował zaczerpnąć oddechu. Iskra w jego umyśle rozbliła jaśniej i zgasła. Widział niewyraźną zieloną smugę, która opłatała jego szyję i poruszała się na najmniejszy znak dłoni centuriona.

Nie myśl, przemówił w jego głowie głos Kolonny.

Dwyrin opuścił bezwładnie ręce i rozpoczął medytację. Świat zamykał się powoli przed jego oczami. Światło świecy gasło powoli, przybierając swą pierwotną formę.

- Jesteś wolny, o wiele za wolny... - usłyszał jeszcze, nim opuściła go świadomość.

Pierwszym dźwiękiem, jaki dotarł do niego po przebudzeniu, był ryk wielbłąda. Gdy otworzył oczy, ujrzał przed sobą kamienie i żwir. Czyjeś mocne ręce trzymały go za ramię i udo. Błękitne niebo przesunęło mu się przed oczami, potem uderzył głową o jakiś słupek. W ustach czuł smak starej zakrzepłej krwi. Ktoś inny podniósł mu rękę i zawiązał na niej gruby rzemień. Wzrok Dwyrina wyostrzył się nagle, gdy jego druga ręka została skrępowana rzemieniem. Zobaczył wielki dach namiotu kuchennego i inne pawilony. Chłodny wiatr owiał jego gołe nogi.

Po obu stronach drewnianej ramy, na której został właśnie zawieszony, stali dwaj chłopcy, niewiele starsi od niego. Ten po lewej, niski, śniadoskóry, ciemnowłosa, o pociągłej twarzy i szczupłym nosie, ubrany w białą koszulę i spodnie, przyglądał mu się nieufnie spod przymrużonych powiek. Po prawej stał odrobinę niższy choć bardziej umięśniony chłopiec o okrągłej twarzy i krótkich blond włosach. On także miał na

sobie jasne szaty i patrzył na Dwyrina z nieufnością, choć ogólnie wyglądał na wesołego i otwartego.

Lewa noga Dwyrina została przyciągnięta mocniej do ramy i obwiązana trzykrotnie sznurem. Czuł, jak ogarnia go coraz większy strach. Wiedział już, co zdarzy się za chwilę. Centurion nie żartował. Wisiał na ramie do biczowania. Oczyma wyobraźni widział już, jak za chwilę podejdzie doń jakiś weteran o ramionach wielkich jak pnie drzewa, z biczem nabijanym żelaznymi hakami, i zamieni jego plecy w czerwoną papkę. Dwyrin zachłysnął się ze strachu, a z jego ust wydobył się cichy jęk.

Ostre szarpnięcie otrzeźwiło go nagle i kazało spojrzeć w bok. Tuż obok stała młoda kobieta, która chwyciła go właśnie za włosy i odciągnęła mu głowę do tyłu.

- Zamknij się - syknęła. Miała czarne, gęste włosy, przepasane czerwoną opaską na czoło. Jej twarz, podobnie jak twarz chłopca po lewej, była pociągła i szczupła. Nad ciemnobrązowymi oczami rysowały się wdzięcznie sklezione brwi. Potrząsnęła nim ponownie, potem przyciągnęła jego głowę do siebie.

- Jeśli będziesz wrzeszczał jak zarzpięta świnia, Celcie, dopilnuję, żebyś nie miał tu ani chwili spokoju, rozumiesz? Jesteś teraz w naszej piątce i jeśli przyniesiesz nam wstyd, osobiście obedrę cię ze skóry.

Dziewczyna wypuściła wreszcie jego włosy i przykucnęła, by przywiązać drugą nogę do ramy. Po drugiej stronie niewielkiego placu za namiotem, na drewnianej ławeczce siedzieli Blanco i Kolonna i popijali coś z glinianych kubków. Obok nich leżały drewniane talerze z resztkami posiłku. Żołnierze, pochyleni ku sobie, pogrążeni byli w rozmowie.

Nad namiotami i płataniną linek widać było wysokie szczyty nad Tauris. Słońce odbijało się od wielkich czap śniegu i lodu. Wiatr ze wschodu przynosił bijący od nich chłód.

Z boku dobiegło czyjeś kałanie. Dwyrin odwrócił powoli głowę, słysząc chrzęst żwiru. Ciemnowłosa dziewczyna odsunęła się od ramy i stanęła obok chłopców.

Blanco i Kolonna odłożyli kubki i wstali, salutując, gdy na plac wkroczył trybun. Podobnie jak poprzedniego wieczora ubrany był w poplamione spodnie i pomietą koszulę. Okulary nadawały mu wygląd roztrągniętego mędrca.

Trybun odpowiedział salutem na pozdrowienia podkomendnych, potem rozejrzał się dokoła i pociągnął nosem. Podeszedł do namiotu kuchennego i zastukał w maszt. Jeden z kucharzy wystawił głowę z namiotu.

- Coś gorącego, chłopcze - powiedział trybun. Potem odwrócił się, oparł o maszt i dał znak Blancowi.

Centurion wyszedł na plac, założył ręce do tyłu i odchrząknął.

- Legionista Dwyrin MacDonald nie dopełnił swoich obowiązków, gdyż utracił powierzony mu sprzęt i konia, musi więc zgodnie z prawem

ponieść karę w postaci dwudziestu pięciu batów - oświadczył. To powiedziawszy, wrócił do ławeczki i dał znak dziewczynie w opasce na włosach. Ta stanęła obok ramy i podniosła powoli gruby bykowiec, pokazując go blademu jak ściana Dwyrinowi. Potem przeszła za jego plecy.

Dwyrin zacisnął zęby i naprężył mięśnie.

Słyszał, jak bat przesuwają się po kamieniach i żwirze, potrząsany dłońmi dziewczyny, a potem unosi nad ziemię. Stopy dziewczyny zmieniły nieco pozycję. Dwyrin zaczął się modlić. Dłonie chłopca, zawieszane na rzemieniach, były mokre od potu. Wiatr owiał jego gołe plecy i przejął go zimnym dreszczem.

- Raz - zagrzmiął Blanco.

Dwyrin przygryzł wargę.

Bicz uderzył w jego plecy i szyję i odleciał do tyłu. Dwyrin zakołysał się na rzemieniach.

- Dwa.

Dwyrin zachłysnął się bezgłośnie, gdy palący ból dotarł do jego świadomości. W tym momencie otrzymał drugi cios, a jego zęby same zacisnęły się w spazmatycznym odruchu. Mięśnie i nerwy zawyły z bólu. Zachłysnął się ponownie, tłumiając raszliwy krzyk, który rodził się w jego ciele.

- Trzy.

Spomiędzy zębów Dwyrina wydobył się przeciągły, jękliwy bulgot. Chłopiec poczuł na sobie pogardliwe spojrzenie dziewczyny.

Krew tętniła mu w uszach, kiedy bicz podniósł się ze świstem nad jego plecami. Znowu zakołysał się na rzemieniach. Przygryzł wargi, tłumiając jęk, który wymykał się z ust. W głębi jego umysłu zapłonęła czerwona iskra. Blanco, siedzący po drugiej stronie placu, podniósł nań wzrok, zaciekawiony. Dwaj chłopcy stojący obok ramy znieruchomieli niczym dwa psy uwięzione na smyczy. Kątem oka, w migotliwej szarej mgłę, widział ich postacie pojawiające się raz w normalnym świetle, to znowu w nadwidzeniu, najpierw na zielono, potem na niebiesko.

Dziewczyna uniosła bicz i poprawiła skórzany pasek na przedramieniu. Krople potu wsiąkały w czerwoną opaskę na jej czole. Odgarnęła włosy wpadające jej do oczu i zmrużyła powieki. Słońce stało wysoko nad szczytami gór, zalewając obóz palącymi promieniami. Maszty i chorałwie drżały lekko w falującym z gorąca powietrzu.

Dwyrin wisiał bezwładnie na rzemieniach.

Bogowie, nie pozwólcie, by widziała, jak płacę, modlił się, wściekły na swe ciało, drżące przy każdym dźwięku. Próbował sięgnąć umysłem do nerwów i mięśni. Słyszał chrzęst żwiru pod stopami dziewczyny, gdy zamierzała się do kolejnego uderzenia.

Iskra tańczyła i wirowała w umyśle Dwyrina, wypełniając jego serce palącą wściekłością. Blanco stał na rozstawionych szeroko nogach i przyglądał mu się z zainteresowaniem. Kolonna usiadł z powrotem na

ławce i sięgnął po odstawiony wcześniej kubek. W drzwiach namiotu kuchennego pojawiła się kucharka, która zagoniła swych pomocników do pracy, a sama stanęła na zewnątrz, w cieniu namiotu. Dwyrin widział przez falującą zasłonę bólu, że jej suknia jest długa i niebieska, obwiedziona czerwonymi i żółtymi kwiatami. Szczegóły i drobiazgi wydawały mu się teraz o wiele wyraźniejsze niż ogólny obraz.

- Pięć - warknął Blanco. Ciało Dwyrina znów go zdradziło, napinając mięśnie i rzemienie. Bicz przeciął jego plecy niczym smuga białego ognia. Tym razem dziewczyna przyłożyła się do uderzenia. Iskra w jego umyśle zanurzyła się na moment w ciemności, by potem nabrać jeszcze większych rozmiarów. Nerwy krzyczały w straszliwym cierpieniu.

- Sześć.

- Siedem.

Jego głos, w oddali, był przeraźliwym, dziewczęcym piskiem, jak serce wypełniała ciemność. Blanco uśmiechał się pod nosem i kołysał powoli na piętach. Kolonna siedział oparty o płócienną ścianę namiotu, a po jego twarzy także błędził uśmiech.

- Osiem. - Blanco zaczął gwizdać jakąś skoczną melodię. Prawe oko Dwyrina zgasło, ogarnięte chmurą białych iskier, które tylko on mógł widzieć. Lewe oko patrzyło tępo przed siebie, prosto na wyszczerzone w uśmiechu zęby Kolonny. Dwyrin widział, jak centurion odwraca się i mówi coś do Sycylijczyka. Ten roześmiał się głośno i uderzył otwartą dłoń w kolano. Dwyrin warknął wściekle, nie zauważając nawet śliny, która ciekła mu z kącików ust.

- Dziewięć.

- Dziesięć.

- Jedenaście. - Dziewczyna zwolniła teraz tempo, celowo przeciągając każde uderzenie. Dwyrin czuł jej pogardliwe spojrzenie, słyszał też przytłumiony śmiech obu chłopców. Iskra zawirowała jeszcze mocniej i ogarnęła także lewe oko. Teraz widział już tylko pulsującą biel i oranż, podszyte zielenią i fioletem. Poczuł, jak jego ciało poddaje się wreszcie, ogarnięte czarnym i czerwonym bólem. Uwolniony umysł zanurzył się w świecie form, bez wstępnej medytacji, bez wchodzenia w trans. Moc wirowała wokół niego feerią barw, nie potrafił odnaleźć w niej jednak znajomych analogii i tematów. Zmienny wzór nicości uwięził go w zamkniętej przestrzeni. Wiry form kręciły się w pustce wokół niego. Nie mógł odnaleźć znajomych wzorów przepływu energii życia i ziemi. Próbował skupić się na medytacji, odzyskać spokój, widział jednak tylko wirującą iskrę, rozedrganą i nieuchwytną.

Z nicości wynurzył się duch, zbudowany z wirujących w różne strony warstw; duch naprężył się i wygiął, potem wystrzelił energią. Dwyrin uświadomił sobie, że dziewczyna uderza go po raz kolejny, choć smuga błękitnej i czerwonej energii wypływającej z ducha nie dosięgła go, lecz rozplynęła się w zetknięciu z nicością. Jego serce rozrosło się nagle,

a czerwona iskra pochłoneła nicość, rozbiła ją na miliardy drobnych odłamków.

Postać ducha nabrała wreszcie konkretnych kształtów, jednak w tej samej chwili z wirującego chaosu energii wynurzyły się węzowe kształty dziewczyny i dwóch chłopców. Wąski pas ciemności bicza dosięgnął go po raz kolejny, został jednak pochłonięty przez rozpaloną do monstrualnych rozmiarów iskrę. Dwyrin zawył bezgłośnie, wyrzucając z siebie gorące żółte światło, które uderzyło w jasnoniebieskie kształty oddzielające go od postaci chłopców.

Duch dziewczyny runął do ataku, uderzył weń rozpalonymi do czerwoności pięściami. Iskra zawirowała wokół własnej osi, rozrzucając dookoła warstwy światła. Dwyrin uspokoił ją i przeszedł do kontrataku, czepiąc zielono-czarną energię z ziemi pod jego stopami. Pochwycił blade ognie drewnianej ramy i zanurzył je w jasnej strzale swego ataku.

Dziewczyna zawirowała w miejscu i odskoczyła, jej smoczy ogon przechwycił i połknął jego uderzenie. Dwaj chłopcy zaatakowali jednocześnie, przeciwstawiając się ruchowi kuli, którą Dwyrin stworzył wokół siebie. Kula pękła na pół, przecięta smugą ognia, a dziewczyna zaatakowała go przez otwartą w ten sposób szczelinę. Dwyrin zadrżał, czując, jak jego duchowa postać rozpada się wokół maleńkiego otworu. Przeciwnicy byli niesamowicie szybcy, uchylali się przed ciosami, systematycznie niszczyli jego tarczę. Sięgnął ponownie do ziemi, lecz płynące w niej strumienie energii były zbyt głęboko ukryte. Kamienie poddały się jego woli i rozpadły w pył. Błyskawica rozświetliła świat ukrytych form, kiedy Dwyrin zamarkował uderzenie i zdołał unieruchomić jednego z chłopców. Jednak w tej samej chwili dziewczyna przebiła się przez ostatnią warstwę jego tarczy i uderzyła w rozpalone do czerwoności jądro jego jestestwa. Drugi chłopiec przyłączył się do ataku, przerywając jego połączenie z ziemią. Ciemność i pustka ogarnęły umysł Dwyrina.

Dwyrin otworzył powoli oczy. Dysk Re wędrował powoli przez niebo, by schować się wkrótce w gęstwinie lin i masztów podtrzymujących siatkę zawieszoną nad wewnętrznym obozem. Jakaś twarz przesłoniła nagle niebo. Dwyrin zamrugał zaskoczony. Twarz dziewczyny nabrała ostrości, widział teraz krople potu spływające po jej czole i nosie. Zmrużone oczy wyglądały jak dwie szczeliny. Podniosła jego powieki, a potem klepnęła go lekko w policzek. Dwyrin zakrztusił się i próbował usiąść. Pałący ból ogarnął jego plecy i szyję. Łzy napłynęły mu do oczu, oślepiając go na moment.

- Poradzi sobie - usłyszał. - Trochę balsamu i po tygodniu będzie jak nowy.

Czyjeś dłonie wsunęły się pod ramiona Dwyrina i podniosły go z ziemi. Przez chwilę widział nad sobą płócienny dach namiotu przesłaniający niebo, potem ułożono go na rozkładanej pryczy. Brzęk monet odbi-

jął się echem od ścian namiotu. W polu widzenia Dwyrina pojawili się dwaj chłopcy. Blondyn uśmiechnął się zachęcająco. Jego usta czerwone były od soku.

- Granatu? - zaproponował nieśmiało. Drugi chłopiec zmarszczył brwi i odgarnął z czoła niesforny kosmyk włosów. Dwyrin odwrócił lekko głowę, gdy chłopiec sięgnął po coś w bok i podniósł do jego ust brązową manierkę. Zimna woda zwilżyła suche usta Dwyrina. Przez chwilę pił łąpczywie, skupiony tylko na tej jednej czynności, potem jednak poczuł dokuczliwy ból pleców. Zdawało mu się, że nawet podczas bicowania ból nie był tak ostry. Blondyn oderwał kawałek granatu i wsunął go między wargi Dwyrina. Cierpki, orzeźwiający sok wypełnił jego usta.

- Miałeś szczęście - rzekł blondyn, przeżuwając resztę owocu. - Zwykle biją do samego końca, nawet jeśli zemdlejesz.

- To prawda - przytaknął brunet. - Straciłem kiedyś muła i dostałem piętnaście batów, co do jednego. - Obaj chłopcy pokiwali głowami.

- Miałeś szczęście... - mówili, gdy Dwyrin zanurzył się najpierw w szarej mgle, a potem w nicości.

RZYMSKI OBÓZ W DENABIE, POŁUDNIOWA SYRIA MAGNA

Łusto - krzyknęła Zenobia, galopując w dół głównej drogi obozowiska. Wiatr dał pustymi ulicami, gnając przed sobą śmieci i osty. Na środku, przed szerokim ceglanyim budynkiem kwatery głównej, Zenobia zatrzymała czarnego ogiera i odwróciła się w stronę swych towarzyszy. Ahmet, Mahomet i pozostali dołączyli do niej po chwili. Plac przed główną kwaterą wyłożony był płaskimi kamieniami. Budynek za plecami Zenobii ział pustką, drzwi i okiennice były szczelnie zamknięte. Setki ceglanych budynków ustawionych w równych rzędach także wyglądały na opuszczone. Przy placu stał także zwieńczony kopulastym dachem gmach łaźni; Ahmet widział, że jego drzwi są otwarte, a wiatr nawiewa do środka piasek i śmieci.

- Nie zostawili nawet jednej kury - powiedziała królowa Palmyry, pochylając się w siodle i drapiąc swego konia za uchem. - Prawdziwi Rzymianie; nie zostawiają niczego, zabierają wszystko. Al-Kurajs, czy twoi zwiadowcy znaleźli coś w pobliżu?

Mahomet pokręcił głową. Formalnie to Amr Ibn Adi dowodził zbieraniną wojowników z różnych plemion, Palmyrczykami, Syryjczykami i Nabatejczykami, którzy tworzyli oddział lekkiej konnicy. Jednak to Mahomet był teraz ich przywódcą, a Ibn Adi stał się jednym z najbliż-

szych doradców Zenobii. Mahomet czuł się doskonale w swej nowej roli, a już z pewnością znacznie lepiej niż w roli kupca.

- Nie, cesarzowo, okoliczne wzgórza są całkiem puste. Moi zwiadowcy donoszą, że jakieś cztery mile stąd, nad strumieniem, znajduje się doskonale miejsce na obóz. Pojedziemy tam teraz?

Zenobia roześmiała się głośno, odrzucając głowę do tyłu.

- Co takiego? Mielibyśmy zrezygnować z tego obozu? Skoro mamy wykonywać pracę Rzymian, to powinniśmy także korzystać z ich przywilejów! Zostaniemy tutaj co najmniej przez tydzień, może dwa. Wkrótce dołączy do nas mój brat z resztą armii. Rozkwateruj ludzi, postaw strażę i napraw szkody w umocnieniach. Do roboty!

Mahomet uklonił się w siodle, zawrócił konia i pogalopował. Pozostali dowódcy - Zabda, który dowodził katafraktami, wywodzącymi się głównie z ciężkozbrojnej arystokracji Decapolis, Nabatei i Syrii, oraz Achimos Galeriusz, który prowadził połączone oddziały piechoty z różnych miast - także złożyli ukłon i oddalili się do swych podwładnych. Zenobia odczekała chwilę i westchnęła ciężko, po czym zwróciła się do tych, którzy pozostali z nią na placu:

- Kiedy przybędzie Worodes z moją piechotą, będziemy potrzebowali trochę czasu, żeby przygotować się do marszu na północ. - Królowa spojrzała na Ibn Adiego, który najwyraźniej drzemał w siodle, miał bowiem zamknięte oczy, a z jego ust wydobywało się ciche pochrapywanie.

- Stary Ojcze, kiedy się obudzisz, poszukaj ludzi, którzy znają tę okolicę, i obstaw nimi wszystkie drogi prowadzące do tego miejsca. Chcę, by meldowano mi o każdym, kto się na nich pojawi.

Ibn Adi uchylił jedną powiekę i skinął głową, po czym oddalił się w stronę południowej drogi, którą wkraczała do obozowiska armia, pochodem długim na pół mili.

Nabatejski książę, Aretas, roześmiał się ponuro, patrząc na odjeżdżającego wodza.

- Ten człowiek nigdy nie śpi, siostrze.

Zenobia odpowiedziała mu równie zimnym uśmiechem.

- Bracie - powiedziała z ledwie zauważalną nutą sarkazmu. - Ja będę pracować poza kwaterą główną, jeśli ty i twoi kapłani zechcecie zamieszkać w *praetorium*. Dopilnuj, proszę, by zapłonęły ognie w świątyni, a bogowie zostali należycie uczczeni.

Aretas skłonił lekko głowę, odpowiadając:

- Będziemy zaszczytni, zajmując kwatery dowódcy obozu, zadbamy też o to, by armii nie niepokoiły żadne złe siły czy nieczyste duchy.

Książę skinął na swych strażników ubranych w burgundowe płaszcze i emaliowane zbroje. Pożegnał królową zimnym uśmiechem i odjechał, by odszukać swoje wozy i oddział ciężkiej jazdy, która służyła pod jego dowództwem. Ahmet poczuł, jak opuszcza go dręczący niepokój, gdy oddalił się Petryjczyk. Król południowych gór nie cieszył się zbyt wielką

sympatią, wcale zresztą o nią nie zabiegał. Oddał niemal całą swą armię pod dowództwo Zenobii, nie brał jednak udziału w naradach innych dowódców i kierował się wyłącznie własnym zdaniem. Wydawało się jednak, że w zasadzie odpowiada mu sytuacja, gdy ktoś podejmuje decyzję za niego.

Królowa spojrzała na Ahmeta i uśmiechnęła się.

- Synu Egiptu, czy zajmiesz się szpitalem i łaźniami? Nie sądzę, by ktoś z tutaj obecnych nadawał się do tego zadania lepiej niż ty. Odszukaj kuzyna Zabbaja i każ wszystkim kucharzom, kwatermistrzom i lekarzom przenieść się do szpitala. To duży obóz, więc gdzieś w pobliżu musi być źródło. Znajdź je i dopilnuj, by we wszystkich budynkach była bieżąca woda. Zostaniemy tu dłużej, musimy być więc pewni, że niczego nam nie zabraknie.

- Tak, pani - odparł Ahmet, skłaniając lekko głowę.

Królowa znów uśmiechnęła się do niego i dodała łagodniejszym już tonem:

- Kiedy skończysz, przyjdź do mnie. Jeśli chcesz, możesz zająć kwatery obok moich. Chciałabym później z tobą porozmawiać.

Ahmet ponownie się uklonił, choć czuł, że kręci mu się w głowie. Zenobia odwróciła od niego swą niezmiernie piękną twarz i roziskrzona oczy, a Ahmet otrząsnął się i ruszył w stronę bramy obozu. Miał jeszcze dużo pracy.

Ahmet i grupa syryjskich kamieniarzy, którzy włączeni zostali do armii, by uratować honor swego miasta, napanili z całych sił na dźwignię. Kamień, który próbowali wyrwać ze ściany cysterny, zadrżał, a potem wysunął się ze zgrzytem. Strumień ciemnej i zimnej wody trysnął do wnętrza okrągłej komnaty.

- Do lin! Do lin! - krzyczał Ahmet, gdy woda uderzyła weń i zbiła go z nóg. Kamieniarze krzyknęli ze strachu, kiedy jedna z pochodni zgasła z sykiem, porwana przez wodę. Ludzie stojący nad nimi, w kwadratowym otworze wybitym w ceglany zbiornik, zrzucili liny. Ahmet zmagął się przez chwilę z niezwykle mocnym prądem wody, wreszcie zdołał stanąć na równych nogach. Kamień zatykający starą rurę akweduktu jęknął przeciągle, pchany strumieniem wody, i runął w dół. Ahmet odskoczył na bok przerażony, a ciężki bazaltowy blok uderzył dokładnie w miejsce, w którym przed momentem stał Egipcjanin. Woda podnosiła się coraz szybciej.

Kamieniarze wspinali się na liny niczym małpy i wypelzali na zewnątrz przez kwadratowy otwór. Ahmet także pochwycił jedną z lin i wsunął czubek stopy w szparę między kamieniami, z których zbudowana była ściana. Woda wypełniająca zbiornik zakołysała nim raz jeszcze, lecz on wspinał się już na ścianę, by po chwili znaleźć się na zewnątrz.

- Kiedy woda dojdzie do kamienia ze znakiem - wydyszał - otwórzcie wrota śluzy i napełnijcie łaźnie.

To powiedziawszy, opad! bezwładnie na podłogę, drżąc z wysiłku i strachu. Czuł, jak woda uderza o ściany i wprawia je w drżenie. Blisko, bardzo blisko, pomyślał. Po chwili przekręcił się na brzuch i powoli wstał.

* * *

Pochodnie w korytarzach głównej kwatery obozu skwierczały głośno, wypełniając powietrze zapachem żywicy. Ahmet wszedł, utykając lekko, do atrium leżącego przed biurami dowódcy obozu. Strażnicy Zenobii, posępni Baktrowie o zakrzywionych nosach, brodach splecionych w dwa warkoczyki i w wysokich turbanach na głowach, zatrzymali go i dokładnie przeszukali. Baktrowie byli tylko jedną z wielu grup tworzących wielotysięczną armię najemników zgromadzonych pod sztandarem królowej. W obozie stacjonowali między innymi blemmenijscy łucznicy, aksumiccy włóczniecy, arabska lekka konnica, Hindusi, sogdiańska kawaleria, mnóstwo Tanuchów, a nawet katafrakci skuszeni złotem królowej. Wszystkie te oddziały stanowiły dość chaotyczną zbieraninę, wśród której wyróżniała się tylko doskonale zorganizowana i jakby nieprzystająca do całej reszty nabatejska kawaleria i ciężka piechota. Upewniwszy się, że Ahmet nie ma żadnej broni, Baktrowie wpuścili go do gabinetu królowej.

Zenobia podniosła wzrok znad ciężkiej marmurowej ławy, która służyła jej za biurko, i uśmiechnęła się. Warkocz miała zarzucony na plecy. Sekretarze i skrybowie siedzieli przy małych przenośnych biurkach pod ścianami komnaty, a dwie służące królowej siedziały na poduszkach i szyły. Królowa zrzuciła ciężkie jedwabne szaty, których używała podczas jazdy, zamieniając je na prostą bawełnianą tunikę i lniane nogawice. Zdjęła także ciężki naszyjnik ze złota, symbol jej władzy. Lewy policzek miała poplamiony atramentem. Ahmet ukłonił się i zauważył, że jego szata jest rozdarta i ubłocona.

- Nie godzi się - rzekła Zenobia z uśmiechem - by zwykły kapłan zażywał kąpieli przed królową. Nic ci się nie stało? - spytała poważniejszym już tonem.

- Na szczęście nie - odparł, próbując zetrzeć błoto, które przykleiło się do jego tuniki. - Szpital jest już praktycznie gotowy. Łaźnie są nagrzane, a w zbiornikach jest woda. Rzymianie zablokowali wylot akweduktu. Mieliśmy drobne kłopoty z usunięciem kamieni.

Zenobia skinęła głową. Przez chwilę patrzyła nań w milczeniu, jakby zastanawiając się nad czymś, wreszcie pchnęła w jego stronę dwa zwoje papirusu leżące na ławie. Ahmet zauważył, że zniknęły także pierścienie zdobiące jej palce - lazuryt i szmaragd osadzone w delikatnych złotych splotach. Paznokcie królowej były krótkie, lecz starannie wypilowane, często bowiem jeździła w rękawiczkach.

- Byłabym wdzięczna, gdybyś zechciał przeczytać te depesze; rozu-

miem, że znasz łacinę równie dobrze jak grekę i egipski. Wydaje mi się, że właściwie rozumiem ich treść, ale chciałabym mieć całkowitą pewność. Zajrzyj do mnie, kiedy skończysz, ale nie wcześniej niż po drugiej zmianie warty. Mam jeszcze sporo pracy.

Ahmet uniósł lekko brew; strażnicy zmieniali się dopiero przed północą. Powstrzymał się jednak od komentarza, uklonił i wyszedł. Pomyślał też, że pomimo żartu królowej skorzysta z łaźni i porządnie się wyszoruje.

Tuż po dzwonku oznajmającym zmianę warty Ahmet ponownie wszedł do kwatery dowódcy. Tym razem Baktrowie stojący na straży przepuścili go bez najmniejszego problemu. W komnacie nie było już nikogo prócz królowej, która siedziała za biurkiem i pisała coś na arkuszu pergaminu.

W obozie panowała niemal absolutna cisza; wszyscy, prócz strażników, spali wyczerpani długim marszem z Damaszku. Początkowo armia posuwała się bardzo powoli, jako że każdy oddział zaczynał i kończył pochód według własnego harmonogramu. Po trzech dniach marszu Zenobia zreorganizowała całą armię, co znów opóźniło nieco jej postępy. Teraz armia podzielona była na cztery główne *banda*, jak nazwano by je w Cesarstwie Wschodnim - lekka konnica, bez względu na przynależność do szczepu czy miasta, pozostawała pod dowództwem Ibn Adiego, a właściwie Mahometa, jego głównego pomocnika. Katafrakci i *clibanari*, arystokraci w ciężkich zbrojach (zbroje nosiły także ich konie), uzbrojeni w długie włócznie, maczugi i długie miecze, prowadzeni byli przez kuzyna królowej, Zabdę z domu Odenatusa. Piesi łucznicy, włócznie i procarze pozostawali pod dowództwem Achimosa Galeriusza, syryjskiego księcia, który służył wcześniej w armiach Cesarstwa Wschodniego. Jedynie Nabatejczycy nie chcieli podporządkować się reorganizacji zarządzanej przez Zenobię - Aretas nie zgodził się oddać komukolwiek swej straży przybocznej, liczącej ni mniej, ni więcej tylko dwa tysiące jazdy ciężkozbrojnej. Królowa musiała więc uczynić Aretasa dowódcą rezerw, w których skład wchodziły także jej osobiste wojska oraz oddział perskich wojowników z południowego wschodu Iranu. Inny kuzyn Zenobii, Zabbaj, odpowiedzialny był za transport sprzętu i szpital.

Ahmet siedział w milczeniu, położywszy przed sobą dwa zwoje papiirusu, i czekał, aż królowa zwróci nań uwagę.

Zenobia pisała szybko i zdecydowanie, stawiając równe i zgrabne litery. Jej twarz widziana z profilu, jakby nabierała mocy. Miała wysokie czoło, przecięte delikatnymi łukami brwi, i długą i smukłą szyję. Z jej uszu zwisały maleńkie kolczyki z rubinami, na ramionach nosiła złote bransolety w kształcie węży. Jej oczy błyszczały niczym dwa gagaty. Widok włosów upiętych w złotą siatkę poruszył jakieś wspomnienie w pamięci Ahmeta, kiedy jednak próbował je pochwycić, wymknęło się.

Wreszcie Zenobia skończyła pisać i posypała dokument drobnym piaskiem. Podniosła na moment wzrok i uśmiechnęła się przelotnie do Ahmeta, potem osuszyła pergamin, złożyła go i zapieczętowała fioletowym woskiem.

- Gotowe. - Westchnęła ze znużeniem. - Przeczytałeś listy?

Ahmet skinął głową.

Zenobia wstała, opierając się na rękę, którą usłużnie podstawił jej Ahmet. Pokręciła lewą nogą, próbując przywrócić w niej krążenie.

- Z tyłu komnaty są schody prowadzące na dach. Chodźmy tam.

Podniosła lampkę stojącą na brzegu ławki, zapaliła nasączony olejem knot i podniosła ją nad ramię. Potem podeszła do zasłony kryjącej korytarz na tyłach pokoju, odgarnęła ją na bok i weszła do wąskiej klatki schodowej prowadzącej na dach budynku. Po chwili oboje byli już na górze. Dach zabudowany był trójkątnymi kopułami, pod którymi znajdowały się poszczególne komnaty, musieli więc poruszać się między nimi, wzdłuż wąskich, płaskich alejek. Wreszcie dotarli na płaski skraj dachu, graniczący z budynkiem łaźni. Z tego punktu widzieli tylko część obozu, mogli za to bez przeszkód rozkoszować się widokiem rozgwieżdżonego nieba.

Zenobia usiadła i oparła się o pochyłą ścianę kopuły za jej plecami.

- Usiądź - powiedziała, gasząc knot lampy. Ahmet usiadł obok niej i stwierdził z zaskoczeniem, że na dachu leży gruby wełniany koc. Od wzgórz wiał lekki wiatr, który przynosił zapach ziół i perfum Zenobii. Królowa okryła siebie i kapłana drugim kocem, przysuwając się bliżej do niego. Ręka Ahmeta, jakby kierowana własną wolą, objęła ją w pasie i przytuliła mocniej. Zenobia westchnęła cicho i oparła głowę na jego ramieniu. Jej drobna, delikatna dłoń odszukała jego dłoń.

Po jakimś czasie, kiedy myślał już, że zasnęła, a nad wzgórza wy płynął księżyc, królowa poruszyła się i ścisnęła jego dłoń.

- Przeczytałeś listy? - spytała sennie.

- Tak - odparł Ahmet lekko zachrypniętym głosem. Rozpraszała go jej bliskość.

- I co o tym myślisz?

Tym razem to on ciężko westchnął. Raporty, słane przez palmyrskich kupców z portów Aleksandrii, Tyru, Sydonu i Cezarea Maritima, potwierdzały tę samą brutalną prawdę. Początkowo nie mógł w to uwierzyć, w końcu jednak musiał pogodzić się z rzeczywistością.

- Myślę, że twój człowiek w Cezarei ma rację. Trzy legiony, które cesarstwo wycofało na wybrzeże, już tu nie wrócą. Nikt też nie widział owych dwóch legionów, które cesarze obiecali twojemu ambasadorowi, Adathusowi. Zostaliśmy sami przeciwko armii Szahina, która stacjonuje w Antiochii, gotowa zająć całe wybrzeże. Zamierzasz iść dalej, na północ?

Zenobia zmieniła pozycję, kładąc mu głowę na kolanach. Jego mózg wyłączył się na chwilę całkowicie, a gdy znów zaczął pracować, królo-

wa opierała głowę na jego piersiach, oplótszy się jego ramionami, które skrzyżowane spoczywały na jej piersiach. Jej włosy łaskotały go w nos.

- Prawie czterysta lat temu król Palmyry znajdował się w gorszej sytuacji. Rozbił Persów w otwartej bitwie pod Nikeforionem, kiedy cesarstwo pochłonięte było wojną domową. Cesarz Gallien nagroził go tytułami *dux Romanorum* i *restitutor totius Orientis*. Od tej pory królowie i królowe Palmyry stoją przy cesarstwie jak tarcza chroniąca je przed Persami. Moja imienniczka, pierwsza królowa Zenobia, poślubiła cesarza Aureliana, oddając władzę kuzynowi, Timolausowi. Moim obowiązkiem jest chronić tę ziemię przed najeźdźcami.

- Nawet jeśli Rzym nie stoi przy tobie? - powiedział Ahmet w delikatną chmurę jej włosów.

Roześmiała się, był to jednak gorzki śmiech.

- Rzym zakłada, ale nie zapewnia. Ponieważ zawsze staliśmy u boku cesarstwa, jego władcy przekonani są, że nadal będziemy tak czynić. Aretas przypomina mi o tym każdego ranka. A jednak... Herakliusz to mądry i sprytny król. Skoro wycofał swoje wojska z Syrii, to zapewne potrzebuje ich do realizacji jakiegoś innego planu. Wiem, że nie porzuci tych prowincji. Jest przecież Rzymianinem, a podatki, które płacimy, są zbyt wysokie, by Rzym dobrowolnie z nich zrezygnował. Mamy w tym planie jakąś rolę do odegrania, choć sami nie wiemy jaką. Jeśli wszystko dobrze się ułoży, na pewno sporo na tym zyskamy.

- Twoi dowódcy boją się wojny z Persami - powiedział powoli Ahmet. - Wahają się. Gdyby wiedzieli, że Rzym nie przyjdzie im z pomocą, uciekliby na pustynię.

Zenobia parsknęła pogardliwie.

- Znam ich. Są słabi. Mówią o wielkich marzeniach i wielkich planach, ale kiedy psy osaczają jelenia, tchórzą i wycofują się. To ja będę musiała wbić włócznię w jego serce, nawet jeśli będzie próbował wziąć mnie na rogi! Jeśli ja poprowadzę, pójdą walczyć, bo co motywuje mężczyznę lepiej niż odwołanie się do jego dumy? Jeśli ja, kobieta, ośmielę się stanąć do walki z Lwem Persji, to czy oni mogą być mniej odważni? Pojadę na północ, a oni pojadą ze mną. Armia Szahina jest wielka, ale nie ma z nim Odyńca, a ja jestem lepsza od Szahina.

Ahmet roześmiał się i przytulił ją mocniej. Odwróciła się doń, uśmiechnięta.

- Prawdziwa z ciebie lwica, królowo.

Zenobia zmarszczyła swój perkaty nosek, potem jednak opadła na jego kolana zmęczona.

- Śmiejesz się ze mnie. - Westchnęła. - Każę ci za to uciąć głowę.

Ahmet uśmiechnął się, że drży ze strachu, potem spytał:

- A kto śpiewałby ci wtedy do snu, księżniczko piasku?

- Nikt - odparła ze smutkiem. - Znów byłabym sama.

Siedzieli przez długi czas w milczeniu, zapatrzeni w rozgwieżdżone niebo. Księżyc powoli chował się za horyzontem. Znad pustyni wiał zimny wiatr.

- Wybacz, pani, że pytam, ale dlaczego tak mnie wyróżniasz? Nie jestem ani najprzystojniejszym z mężczyzn, ani najbogatszym. Pochodzę z biednej rodziny, nie wiadomo, czym się właściwie zajmuję. Łaskawość, jaką mi okazujesz, musi ogromnie irytować wszystkich wodzów, którzy są pod twoją komendą. Aretas, na przykład, patrzy na mnie jak na żmiję.

Zenobia roześmiała się i wyjęła rękę spod koca, by ścisnąć go za czubek nosa.

- Co z ciebie za człowiek! W ogóle nie doceniasz własnej wartości. Wszystkie te punkty, które wymieniłeś, to twoje zalety. Nikt, nawet ten nadęty Aretas, nie uważa cię za coś więcej niż tylko chwilowy kaprys - tajemniczy egipski kapłan schwyty w sieć sprytniej kobiety. Ludzie w obozie mówią, że przestają z tobą, bo chcą zaskarbić sobie łaski starych bogów. Książęta i arystokraci krzywią się z pogardą i dyskutują o moim niewyszukanym smaku. Żaden z nich nie uważa cię za jakiegokolwiek zagrożenie dla planów, jakie mają wobec mnie.

Ahmet zmarszczył brwi.

- Jak możesz żyć w takim otoczeniu?

- Urodziłam się w nim - odparła spokojnie. - Zawsze mnie otaczało. Jedyna córka domu Septimus Palmyrene jest albo nagrodą większą niż wszystkie pozostałe, albo zwyciężczynią, która sama sięga po nagrodę. Pamiętam doskonale dwie ciotki bijące się o miejsce w kondukcie pogrzebowym mojej matki. Tak było, jest i będzie. Lubię cię, bo masz dobre serce i mało o mnie wiesz. Przy tobie choć przez chwilę mogę być tylko sobą - nie królową, nie politykiem, nie trybikiem w wielkiej machinie cesarstwa - lecz Zenobią, kobietą. Niedoszłą poetką. Uczoną.

Ahmet skinął głową przekonany, że rozumie.

- Chciałabym prosić cię tylko o jedno, Ahmecie. Ciężko mi to przychodzi, ale nie widzę innego wyjścia. - Odwróciła głowę i spojrzała nań z powagą. - Wkrótce dojdzie do bitwy, a ja poprowadzę do niej mych ludzi. Będę ci ogromnie wdzięczna, jeśli staniesz wtedy u mojego boku i będziesz mnie chronić.

- Chronić ciebie? Przecież ja nie jestem wojownikiem - zdumiał się Ahmet.

Uśmiechnęła się doń ze smutkiem.

- Owszem, jesteś, mój przyjacielu. I to najcenniejszym. Persja uderzy na nas nie tylko siłą oręża; wojowników będą wspierać czarownicy i nekromanci. Właśnie do tego jesteś mi potrzebny; by powstrzymać ciemne siły, które skierują przeciwko mnie.

- Ale... myślałem, że Aretas...

Zenobia pokręciła głową i położyła palec na jego ustach.

- Jeśli polegnę w bitwie, Aretas przejmie dowodzenie. On i jego czarnownicy mają chronić armię jako całość, i jestem przekonana, że to zrobią, lecz Persowie nie są głupcami, wiedzą, z kim walczą. To ja będę głównym celem ich uderzenia. Proszę, bądź wtedy przy mnie.

Błagalny wyraz jej twarzy pozbawił go resztek skrupułów.

- Oczywiście - odparł. - Będę przy tobie.

Zaginiony uczeń przestał się w tej chwili liczyć.

Cztery dni po tym, jak armia Zenobii przybyła do Denaby, Ahmet i Mahomet siedzieli w swych kwaterach w *principia* i grali w grę, którą kapłan otrzymał w podarunku od jednego z indyjskich oficerów. Mahomet przesunął jednego ze swych jeźdźców wzdłuż prawej krawędzi planszy. Ahmet zmarszczył brwi: Arab grał bardzo agresywnie, a Ahmet wciąż próbował określić i przewidzieć typowe wzorce ruchów, jakie figury wykonywały wśród czerwonych i czarnych pól planszy. Przesunął słonia na prawo, by zablokować linię ataku jeźdźca.

Mahomet przyglądał się właśnie sytuacji na planszy, kiedy ktoś zapukał głośno do drzwi. Obaj mężczyźni odwrócili głowy w stronę wejścia i ujrzeli tanuskiego zwiadowcę, szarego od kurzu drogi, który padł przed nimi na kolana i przyłożył głowę do podłogi.

- Błogosławieństwo i pozdrowienia! - zaczął mężczyzna. - Przywożę wieści z północy. Perska armia przekroczyła Orontes przy Aretuzie.

Mahomet wstał, zapominając o grze.

- Ilu ludzi? Czy Odyniec jest z nimi? Mają słonie?

Posłaniec przysiadł na piętach. Długa jazda go wyczerpała, miał twarz czerwoną z wysiłku.

- Podobno jest tam sześćdziesiąt tysięcy Persów pod wodzą wielkich książąt Szahina i Rhazatesa. Nie widziano żadnych słoni.

- Świetnie. Dobra robota, Abu Kabirze. Idź, odpocznij i nie powtarzaj nikomu tego, co mi powiedziałeś.

Tanuch, uradowany, że dowódca pamięta jego imię, uklonił się jeszcze raz i wyszedł. Mahomet odwrócił się do Ahmeta, który wciąż analizował sytuację na planszy.

- Aretuza leży na północy, dziewięćdziesiąt mil stąd, mój przyjacielu. Bitwa jest już bliska. Szahin dotrze tu za sześć dni, może nawet wcześniej, jeśli się pośpieszy.

Ahmet skinął głową, a potem pokręcił nią z niesmakiem. Jego sytuacja na planszy była beznadziejna. Wstał i sięgnął po swoją torbę i kij.

- Poinformujesz królową?

Mahomet skinął głową, ogromnie podekscytowany.

- Dobrze. Powinieneś wysłać kilku ludzi na drogę do Palmyry i sprawdzić, gdzie jest Worodes ze swoją armią. Królowa nie będzie chciała przyjąć bitwy, dopóki nasze siły nie zostaną wzmocnione.

Arab zatrzymał się w drzwiach i spojrzał ostro na swego przyjaciela, który zapinał właśnie pas.

- Więc teraz jesteś generałem?

Ahmet uśmiechnął się przelotnie i pokręcił głową.

- Nie, ty masz ten dar. Słyszałem tylko, co mówiła na ten temat. Idę sprawdzić, jak wygląda sytuacja w szpitalu. Ty musisz natychmiast zobaczyć się z królową.

OKOLICE HIPODROMU, KONSTANTYNOPOL

daje się, że twój przyjaciel znalazł swój ostatni sekret, Persie - rzekł Gajusz Juliusz z przekąsem, jdmachus zaklął pod nosem i podrapał się po głowie. Wąska ulica, ograniczona z jednej strony insulami z drugiej zaś magazynami, rozszerzała się gwałtownie. Po północnej stronie w szeregu budynków widniała wielka wyrwa. Spomiędzy stert popękanych kamieni i nadpalonych belek wystawały osmalone kikuty ceglanych kolumn. Dzieci szukały w ruinach spalonego domu przedmiotów, które nadawałyby się jeszcze do użytku. Zachmurzone niebo i warstwa szarego dymu zwieszającego się nad miastem pogłębiały jeszcze poczucie zniszczenia.

- Jego biblioteka pewnie się spaliła albo została zasypana - powiedział Maksjan obojętnym tonem. Tulił do siebie Kristę, trzymając skrzyżowane ręce na jej piersiach. Ubrany był w szary płaszcz i czarną tunikę, które to kolory pasowały idealnie do jego aktualnego nastroju, oraz skórzany kapelusz o szerokim rondzie, który osłaniał głowy ich obojga przed dokuczliwym deszczem. Krista ubrana była w ciemnozielony płaszcz, narzucony na rdzawą tunikę i sznurowane buty.

- Może nie, książę - odparł cicho Abdmachus. - Biblioteka jest w piwnicy, dobrze chroniona zarówno przez kamień i drewno, jak i przez niewidzialne siły.

- Pewnie masz rację. - Książę skinął głową, posepny i zdeterminowany. Dużo rozmyślał podczas kilkudniowej podróży z Ostii do wschodniej stolicy i doszedł do pewnych wniosków dotyczących jego przeciwnika oraz siły, jakiej będzie potrzebował, by go zniszczyć. Właśnie ze względu na te wnioski gotów był bez żadnych skrupułów naruszyć cudzą własność i przetrząsnąć bibliotekę zmarłego antykwariusza. - Widzę, że nikt nie pilnuje pogorzelska, więc człowiek ów albo nie miał żadnych spadkobierców, albo mieszkają oni gdzieś daleko stąd, albo po prostu wcale ich to nie obchodzi. Gajuszu?

- Tak? - Starszy Rzymianin, zajęty oglądaniem innych domów, odwrócił się do księcia.

- Popytaj, kogo trzeba, i dowiedz się, czy ta posiadłość jest na sprzedaż i ile kosztuje. Jeśli mamy dość pieniędzy, kup ją. Znajdź też jakieś kwatery w pobliżu. Ja wrócę z Kristą do portu, zajmiemy się rozładunkiem i rozliczymy z kapitanem Ziusudrą.

Gajusz Juliusz patrzył z zainteresowaniem, jak księżę i Krista, objęci wpiętymi ramionami, oddalają się w głąb ulicy. Przesunął palcem wzdłuż nosa i westchnął, myśląc o swej utraconej młodości. Z nieba wciąż kapąca woda. Chmury wydawały się jeszcze ciemniejsze niż przed chwilą.

- Cóż. - Gajusz Juliusz westchnął, odwracając się do Persa. - Nam zostaje więc brudna robota. Prawdę mówiąc, nie spodziewałem się niczego innego...

Abdmachus spojrzał nań z troską.

- Jak kupimy ten budynek? Jeśli są jacyś krewni, procedury sądowe mogą potrwać nawet kilka miesięcy.

Gajusz Juliusz uśmiechnął się, dotykając ciężkiej sakwy ze złotymi aureusami przypiętej do jego pasa.

- To nie ma znaczenia, mój przyjacielu. Pracowałem kiedyś z człowiekiem, który żył ze spalonych budynków. Myślę, że pamiętam jeszcze to i owo z tamtych czasów. Chodź, pokażę ci, jak ojcowie miasta targują się o ruiny czyichś marzeń.

- Posiadłość była zadłużona na sporą sumę - mówił Gajusz Juliusz, zwracając się do Maksjana, który siedział na stołku w swej kabinie na „Nisir”. - Chodziło o zaległe podatki. Sześć tysięcy aureusów, dokładnie rzecz biorąc.

Maksjan wzdrygnął się, usłyszawszy tę liczbę. Starszy Atreusz dołożył wszelkich starań, by wpoić synom tradycyjne rzymskie zamiłowanie do oszczędności. Dlatego też Maksjan nie lubił wydawać pieniędzy, szczególnie dużych sum.

- I co? Będziemy musieli kopać po kryjomu?

- Wcale nie - odparł Gajusz Juliusz z uśmiechem. - Udało mi się nabyć całą posiadłość za jedyne cztery tysiące aureusów, nie licząc, oczywiście, sówitej gratyfikacji dla sekretarza archiwów miejskich. Wydaje się, że ten dom nie miał najlepszej reputacji i że teraz praktycznie nie da się go sprzedać, zwłaszcza że został zniszczony w tak dziwnych okolicznościach.

- To znaczy? - Maksjan słyszał już to i owo o pożarze od celnika w porcie. - Że pod domem obudził się smok i zaczął pluć ogniem, a potem odleciał na wschód?

Abdmachus zakasłał nagle i ukrył twarz w dłoniach, jakby chciał stłumić śmiech.

Gajusz Juliusz obrzucił go gniewnym spojrzeniem, a potem położył na stole skórzaną sakwę.

- Nie tyle smok, ile czarownik, jak sądzę. Rozmawiałem z dwoma młodymi ludźmi, którzy służyli w tym domu. Obaj mówią, że tuż przed eksplozją i pożarem ich pan, ten Bygar Dracul, przyjmował jakiegoś tajemniczego gościa ze wschodu. Przypuszczam, że przyjaciel naszego perskiego sprzymierzeńca negocjował z wrogiem...

Maksjan wpatrywał się przez chwilę w sufit kajuty, zbierając myśli. Krista spakowała już ich rzeczy i kończyła właśnie składać koce i kołdry ułożone na łóżku wbudowanym w przeciwległą ścianę. Maksjan zapomniał się na chwilę, obserwując jej szybkie, zręczne ruchy i zgrabną sylwetkę. Uświadomił sobie nagle, że nie czuje tego ogromnego ciężaru, który napierał na otaczającą go tarczę, gdy przebywał w Rzymie.

- Gdzie są teraz ci słudzy? - spytał, wracając do rzeczywistości. - Powinniśmy z nimi porozmawiać.

Gajusz Juliusz uśmiechnął się ponownie, podszedł do drzwi kajuty i zastukał głośno w futrynę.

- Jeśli dobrze ich zrozumiałem, są obcokrajowcami i mówią trochę niewyraźnie, ale jakoś sobie radziłem - są jakby częścią tej posiadłości. Powiedziałem im więc, że mają nowego pana. Bardzo się z tego ucieszyli, choć nie tak bardzo, jak administrator tej dzielnicy. Kiedy powiedziałem mu, że zamieszka tutaj kapłan Asklepiosa, radość jego była ogromna. Myślę, że za bardzo przejął się całą tą gadaniną o kłátwie.

Otworzyły się drzwi kajuty i do środka weszli dwaj młodzi mężczyźni. Byli szczupli, mieli długie proste włosy i krzaczaste brwi. Obaj ubrani byli w szarobrązowe tuniki, a na lewym ramieniu nosili srebrną bransoletę. Jeden z nich, wysoki młodzieniec o głęboko osadzonych, ciemnych oczach, wysunął się o krok do przodu. Jego kolega, nieco niższy i lekko przygarbiony, rozglądał się ukradkiem po kajucie i zaciskał nerwowo dłonie.

- Panie - zaczął wyższy, klękając na podłodze i składając Maksjanowi głęboki ukłon - jesteśmy ogromnie radzi, że możemy ci służyć.

Maksjan usiadł prosto, poczuwszy dziwne łaskotanie w głębi umysłu. Oczy obu młodzieńców przepełniał ból. Czuł, że cierpią, podobnie jak niegdyś wyczuwał ból żołnierzy leżących w szpitalu.

- Witajcie - powiedział, wstając zza biurka. Podszedł do pierwszego ze sług i dotknął włosów opadających na jego plecy. - Dręczy was ból?

- Tak, panie - odparli obaj, kłaniając się do samej podłogi.

- Może zdołam wam jakoś ulżyć - rzekł książę, czując, jak wiry i prądy ich choroby ocierają się o jego wyciągnięte ręce. - Jak się nazywacie i skąd pochodzicie? - spytał.

Krista spakowała ostatni koc i usiadła na łóżku, ziewając.

WIELKI OBÓZ, SAMOSATA

V Ifurz opadł powoli na stopy Dwyrina, kiedy ten stanął kilka kro-

I \j<ów od tarczy strzelniczej. Jego spalona słońcem skóra przestała się wreszcie łuszczyć i przybrała brązowy odcień. Plecy przecinało sześć wąskich ran, wciąż nieco opuchniętych i swędzących. Podobnie jak Odenatus i Eryk ubrany był w prostą bawełnianą tunikę, zszytą tylko na krawędziach, i brązowe wełniane spodnie. Włosy, które w prażącym słońcu wyblakły i przybrały barwę różowawej słomy, leżały na jego plecach, związane skórzaną tasiemką. Minęły już dwa tygodnie, odkąd przyjęty został do „piątki” Zoe, która w istocie okazała się tylko czwórka.

Wojna prawdopodobnie już się zaczęła, choć w pobliżu miasta i obozu nie widziano jeszcze żadnego Persa. Dwyrin nie wychodził z wewnętrznego obozu, słyszał jednak, jak Blanco rozmawiał z trybunem o poszerzeniu wielkiej fosi otaczającej cały obóz i roztawieniu kolejnych namiotów. Twarze starszych czarowników z każdym dniem stawały się coraz bardziej zatroskane. Dwyrin i jego koledzy nie byli jednak o niczym informowani, a całe dnie spędzali na ćwiczeniach, którymi zadęczał ich Blanco.

Cała czwórka codziennie zrywała się z łóżek przed świtem i biegła przez godzinę wokół wewnętrznego obozu. Każdy z nich musiał dopasować się do tempa narzuconego przez centuriona, nie wyprzedzać go ani nie zostawać w tyle. Dwyrin jakoś sobie z tym radził, wiedział jednak, że Zoe i Eryk mieli znacznie większe kłopoty. Zoe, rzecz jasna, nigdy o tym nie mówiła i zawsze kończyła bieg na swoim miejscu, tuż za nim. Eryk pojękiwał teatralnie i często padał na kolana przed wejściem do jadalni, błagając o wodę. Blanco ignorował te wygłupy, dopóki Eryk wypełniał swe obowiązki, karał jednak błyskawicznie i boleśnie każdego, kto próbował się objąć.

Ćwicząc walkę na miecze, posługiwali się zwykłymi kijami; Blanco nie pozwolił im nawet dotykać prawdziwej broni.

- Miecze nie są dla dzieci - drwił, ignorując jadowite spojrzenia Zoe. - Lepiej, żebyście nauczyli się dobrze władać kijem pasterskim niż *gladiusem*.

Mimo to Dwyrin co wieczór kładł się do łóżka cały posiniaczony i pobijany. Kolonna odwiedzał go dość rzadko, kiedy jednak przychodził, był równie złośliwy jak zawsze. Tutaj, w obozie, wydawał się Dwyrinowi większy i odważniejszy, ale też zmysły chłopca były przytępione zmęczeniem i nieustającym bólem.

Blanco zaprowadził ich na strzelnicę usytuowaną po północnej stronie wewnętrznego obozu, tuż pod wałem ziemnym i palisadą wyznacza-

jącą granicę obozowiska czarowników. Po wschodniej stronie długiego na pięćdziesiąt stóp pasa ziemi znajdowała się sterta słomianych bali. Przed balami stały ciężkie drewniane ramy, na których wisiały tarcze z grubych desek. Gdy Dwyrin podszedł bliżej, przekonał się, że tarcze są mocno podziurawione i popękane. W niektórych otworach tkwiły głęboko błyszczące groty strzał.

Zatrzymał się kilka stóp przed tarczą, otarł pot z czoła i odwrócił. Blanco, który stał po drugiej stronie strzelnicy, podniósł prosty, krótki łuk.

- Hai! - zawołał centurion, naciągając cięciwę. Dwyrin stał nieruchomo, wpatrzony w przestrzeń. Już od dwóch dni cała czwórka godzinami obserwowала lot strzał. Blanco zwolnił cięciwę, a strzała przeleciała ze świstem o stopę od głowy Dwyrina. Hibernijczyk poszerzył swoje widzenie, dostrzegając teraz wszystkie rzeczy z jednakową wyrazistością, i poczuł lśniący ślad obecności, który zostawiła po sobie strzała.

Blanco założył następną strzałę i podniósł łuk. Dwyrin czuł napiętą cięciwę, naprężone mięśnie dłoni centuriona. Wycofał się odrobinę, by widzieć i czuć mniej. Po raz kolejny przypomniał sobie słowa centuriona. *Widzieć wszystko to tak, jakby nie widzieć nic, musisz widzieć tylko to, co ważne.* Dłoń zwolniła cięciwę, a zwieńczona miedzią śmierć wystrzeliła naprzód. Dwyrin zepchnął ją z toru, uderzając niebieskozieloną smugą gorącego powietrza, mocą zaczerpniętą z kamieni i rozpalonej ziemi.

Blanco wypuścił kolejną strzałę. Pocisk rozmył się na moment w powietrzu, Dwyrin kontrolował jednak jego lot. Znów uwolnił rzekę energii ukrytą w ziemi, uderzył w strzałę od góry, wbijając ją w ziemię cztery stopy przed nim. Uśmiechnął się od ucha do ucha, uśmiech jednak szybko zniknął z jego twarzy, kiedy Blanco niemal jednocześnie wypuścił w jego stronę cztery strzały.

Hibernijczyk odskoczył na bok, przeklinając głośno, gdy trzy spośród czterech pocisków przeszły powietrze w miejscu, w którym stał chwilę wcześniej. Udało mu się zmienić tor tylko jednej ze strzał, która wbiła się w belki wieży strażniczej po jego prawej stronie. Pocił się teraz jeszcze mocniej niż przed chwilą.

- Jeszcze raz! - krzyknął Blanco ze swojego stanowiska. - Eryk stanie teraz obok ciebie.

Wieczorem jeden z *hippocratii* obwiązał ich rany i opatrzył drobniejsze zadrapania i skaleczenia, których dorobili się podczas całodziennego treningu. Trybun i Blanco, na zmianę, uczyli ich wszystkiego, co musiał wiedzieć i umieć prawdziwy legionista. Dwyrin każdego wieczora kładł się do łóżka krańcowo wyczerpany. Żołnierze mieszkający w tysiącach otaczających go namiotów także padali na swe prycze, śnając się

ze zmęczenia. Dwaj cesarze nie zamierzali pozwolić, by w szeregach ich armii zakradło się lenistwo.

OKOLICE DOMU BYGARA DRACULA, KONSTANTYNOPOL

6==a» «**==?

JM ad pogorzelskiem ciągle unosiły się smugi dymu, znacząc miejsca, gdzie wciąż tlił się ogień. Ziemia wokół zniszczonego budynku została uprzątnięta, a wejścia do przylegających domów zamurowane. Nad miastem wisiały szare chmury, z których bez ustanku sączył się lekki jak mgła deszcz. Zimny wiatr z północy rozpędzał smugi dymu. Po pogorzelsku snuły się trzy zakapturzone postacie w długich wełnianych płaszczach. Przechodzący obok strażnicy miejscy przyglądali się im przez chwilę, potem jednak podjęli przerwany obchód i zniknęli w jednej z wąskich alejek. Pierwsza z postaci, najniższa z całej trójki, zatrzymała się i spojrzała na klatkę schodową zasypaną popiołem i nadpalonymi belkami.

- Tutaj! Wyczuwam coś pod spodem, jakiś odmienny wzór.

Dwie pozostałe postacie ruszyły powoli w stronę towarzysza. Ogromny żar zamienił betonowe filary, na których wspierał się dom, w ziarnisty biały popiół. Na nierównym, pełnym ukrytych dołków i zapadlin pogorzelsku każdy krok groził upadkiem, obie postacie zdołały jednak dotrzeć na miejsce bez większych problemów. Druga z nich przyklekła obok zasypanej klatki i wzięła do ręki garść osmolonego żwiru. Spod żwiru wyrzwał fragment niebiesko-zielonej posadzki, kiedy jednak człowiek w kapturze dotknął jednej z płytek, ta rozsypała się w pył. Inny fragment podłogi był powykrzywiany i przezroczysty, niemal jak szkło.

- Znajdź robotników, którzy potrafią dochować tajemnicy - zwrócił się klęczący na pogorzelsku człowiek do trzeciej postaci. - Niech odkopią te schody. Pod ziemią są tunele i komnaty, które być może uniknęły zniszczenia. Ufam, że zachowasz należyłą dyskrecję.

Trzecia postać skinęła głową, odwróciła się i ruszyła w stronę ulicy. Dwie pozostałe obserwowały ją w milczeniu. Gdy zniknęła już za najbliższym budynkiem, książę podniósł się z klęczek, odsunął krawędź kaptura i spojrzał w niebo. Deszcz spływający po jego twarzy przynosił ochłodę i orzeźwienie. Woda wsiąkała w zapuszczoną niedawno brodę i zalewała oczy.

- Dobrze się spisałeś - powiedział książę do swego towarzysza, a ten uklonił się nisko. - Moi słudzy mówią mi, że ty i twoi ludzie umiecie dochować tajemnicy, a ja potrzebuję teraz dyskretnych ludzi. Znam też twoją trudną sytuację. Jeśli będziesz lojalny, postaramy się temu jakoś zaradzić.

Rozmówca Maksjana skłonił się jeszcze raz, trzymając przed sobą złożone dłonie.

- To piękne słowa, książę. Jeśli są prawdziwe, będziemy ci ogromnie zobowiązani. Wybacz moją szczerłość, lecz nasza historia pełna jest pustych obietnic i zdrady. Niełatwo nam teraz komuś zaufać.

Książę skinął głową; nie spodziewał się niczego innego. Sięgnął do sakiewki i wyjął z niej złotą monetę nawleczoną na łańcuszek. Podał ją swemu rozmówcy na otwartej dłoni.

- Obie strony muszą zdobyć zaufanie partnera. Dajcie mi okazję, bym zdobył wasze, a nie rozczarujecie się. Powiedz to swoim przełożonym.

Jego rozmówca skinął głową i sięgnął po monetę i łańcuszek, które chwilę później zniknęły w jego kieszeni.

- Jeśli takie będzie ich życzenie, przyjdę do ciebie, panie, i przyniosę ci wiadomości. Jeśli nie, nie ujrysz mnie już więcej.

Książę skłonił lekko głowę, a zakapturzona postać zaczęła się oddalać, stąpając lekko po osmolonych ruinach. Gdy zniknęła, Maksjan ponownie naciągnął kaptur na głowę. Był zmęczony, i zaczęło mu się robić zimno. Usiadł na popękany marmurowy bloku. W otaczającym go powietrzu wyczuwał ogromny gniew i resztki mocy ognia, który zniszczył dom. Coś potężnego musiało pojawić się w tym miejscu, przynosząc ze sobą wielkie zniszczenie. Wzdrygnął się, pomyślawszy o tego rodzaju mocy. Potem westchnął ciężko. On musiał poradzić sobie z większą mocą; ten pożar był wynikiem konfliktu ludzi, a nie czegoś tak ogromnego, że mogłoby być bogiem. Ukrył twarz w dłoniach. Był ogromnie zmęczony.

Krista zgniotła w moździerz garść lśniących liści, zielonych na górze i szarych na dole. Z naczynia wypłynął ostry, świeży zapach. Krista wyspała skruszone liście do garnka z wrzątkiem. Aromat rozkwitł w gotującej się wodzie i wypełnił małą kuchnię. Krista uśmiechnęła się do siebie; ten aromat przypominał jej Terę o poranku. Kiedy liście moczyły się w garnku, ułożyła na tacy świeży, ciężki chleb i miękki ser. Na zewnątrz wciąż padał deszcz, wypełniając centralny ogród domu licznymi kałużami.

Maksjan siedział w tylnym pokoju, nazwanym gabinetem, gdyż wypełniały go przedmioty przyniesione z ruin budynku po drugiej stronie ulicy. Gajusz Juliusz bez trudu znalazł pusty dom do wynajęcia, bo po dziwnym pożarze i towarzyszących mu wydarzeniach, wielu ludzi wyniosło się z tej okolicy.

Spśród wszystkich zadań, jakie Maksjan wyznaczył staremu Persowi, odkopywanie spalonego domu wołoskiego kupca sprawiało mu chyba największą radość. Gdy tylko książę dał mu wolną rękę, Abdmachus zabrał się do pracy z zapalem, wykorzystując umiejętności, których

nabył jeszcze jako chłopiec w nawiedzanych przez upiory kanionach Petry. Nawet teraz, w deszczu, pracował w tunelach pod ruinami, kierując poczynaniami swych ludzi. Co jakiś czas przez ulicę przemykali posłańcy, którzy znosili do domu księcia poczerniałe skrzynki, pudła i jakieś bliżej nieokreślone przedmioty. Maleńkie staruszki - Krista nie miała pojęcia, gdzie książę je znalazł - przeglądały złożone na parterze resztki, cierpliwie oddzielając stopione szkło od spalonych pergaminów. Widząc, z jakim zapałem pracuje Abdmachus, Gajusz Juliusz śmiał się głośno.

- Kto raz został złodziejem grobów, zawsze nim będzie!

Maksjan nawet nie podniósł wzroku znad jakiegoś starego zwoju, kiedy Krista weszła do gabinetu. Był blady, całe dni spędzał bowiem w domu albo w ciemnych tunelach po drugiej stronie ulicy. Rysy jego twarzy nabrały ostrości, kości niemal przebijały skórę. Krista postawiła kubek z naparem na biurku, z dała jednak od łokci Maksjana, gdyż ten coraz częściej strącał na podłogę różne przedmioty, pochłonięty całkowicie pracą. Dziewczyna usiadła na sofie przy oknie i wyjrzała na zewnątrz. Szara zasłona deszczu przesłaniała niemal całkowicie inne budynki, nawet wielki gmach pałacu na południowym wschodzie. Miasto w zasadzie bez przerwy spowijała mgła. Pożary wzniecone przez Awarów oblegających miasto także przyczyniały się do zanieczyszczenia powietrza; nawet w pogodne dni słońce przyćmione było przez warstwę szarego dymu.

- Książę, powinieneś napić się czegoś ciepłego. Na dworze jest dzisiaj bardzo chłodno.

Maksjan zamrugał powiekami i podniósł głowę. Dopiero po chwili zdołał skupić wzrok na Kriście, lecz gdy to zrobił, uśmiechnął się szeroko i opadł na oparcie krzesła.

- Och, dziękuję ci bardzo. Czy jest coś... o, i ser!

Uświadomiwszy sobie, jak bardzo zgłodniał, zabrał się z zapałem do jedzenia. Gdy pochłoniął cały chleb, ser i wszystkie oliwki w oleju, ponownie rozejrzał się dokoła i westchnął. Wypił łyk naparu. Był cierpki w smaku i miał mocny, orzeźwiający zapach. Książę czuł, jak jego umysł oczyszcza się powoli, i dopiero wtedy uświadomił sobie, że pracował w jakimś dziwnym otępieniu.

Krista stanęła obok niego i zaczęła przeglądać zgromadzone na biurku dokumenty.

- Czy to aż takie ważne? - spytała z powątpiewaniem.

Maksjan spojrział na dokumenty i roześmiał się.

- Nie, raczej nie. To zapiski chaldejskiego architekta, niejakiego Warusa Trisgesene. Uwielbiał różne mechanizmy i dziwne urządzenia. Te wykresy to projekty, które chciał zrealizować w wolnym czasie, zwykle zapiski.

Krista obróciła arkusz do góry nogami, potem do poprzedniej pozycji.

- Chciał zbudować nietoperza?

Maksjan zajrzał na tę stronę; rysunek rozmazany był w miejscach, gdzie spadły nań krople wody.

- Myślę - rzekł księżę, oglądając rysunek - że rozcinał nietoperze, by zobaczyć, jak wyglądają w środku.

Krista skrzywiła się z obrzydzeniem i wróciła na sofę.

- Znalazłeś to, czego szukałeś? - spytała na pozór obojętnym tonem, Maksjan wiedział jednak, że życie w ukryciu ogromnie ją nuży. Nie miała się nawet czym zająć, by zabić nudę. Zamyślił się na moment. *Jest szpiegiem, ale kogo ja miałbym szpiegować?* Poczuił się nagle tak, jakby był o krok od popełnienia straszliwego błędu.

- Ach - westchnął, odsuwając od siebie tę myśl. - Jeszcze nie. Przypłynęliśmy tu, by dowiedzieć się, gdzie leżą kości Zdobywcy. Miałem nadzieję, że znajdę jakąś informację o położeniu sarkofagu. Ten Dracul, właściciel spalonego domu, kolekcjonował stare książki i przedmioty. Abdmachus miał nadzieję, że człowiek ów powie nam, czy budowniczy sarkofagu zostawili jakieś zapiski.

- Czy ten Trisgesene był jednym z budowniczych?

Maksjan się zaczerwienił.

- Nie. Natrafiłem na jego „Medytacje”, przeglądając wszystkie te książki, i zacząłem je czytać. Strata czasu...

Krista zmarszczyła brwi i wstała. Połowa gabinetu zastawiona była skrzynkami z książkami i zwojami, które ludzie Abdmachusa wydobyli z ruin. Wiele z nich zostało zniszczonych przez ogień lub wodę, inne były w językach, których nikt już nie potrafił odczytać. Krista oparła ręce na biodrach i odwróciła się do księcia.

- Będziesz musiał przeczytać wszystkie te księgi, zanim stąd wyjdziemy?

Maksjan skinął głową i uśmiechnął się cierpko.

- Przynajmniej przejrzeć, by upewnić się, że nie mają nic wspólnego z naszymi poszukiwaniami.

- W jakich językach napisane są te książki?

Maksjan spojrział na nią ze zdumieniem.

- Dlaczego pytasz?

Krista podniosła jedną ze skrzynek i postawiła ją obok sofy, potem wzięła do ręki pierwszą z brzegu książkę.

- „Siedmiu przeciwko Tebom” - przeczytała głośno - autorstwa Greka Eurypidesa. - Zerknęła na Maksjana, który wpatrywał się w nią z rozdziawionymi ustami. - Nie rób takiej głupiej miny. Oczywiście, że umiem czytać zarówno grekę, jak i łacinę. Nie przydałabym się do niczego mojej pani, gdybym nie umiała pisać i czytać.

Rzuciła sztukę na podłogę i sięgnęła po kolejną księgę. Maksjan powoli zwinął „Medytacje” i schował je do drewnianej tuby. Nie potrzebował szpiega; potrzebował jasności myśli.

- „Druga księga Atlantydy” Platona - czytała dalej Krista. - Zdaje się, że nie był to cieśla, złotnik ani balsamista.

Krista westchnęła i wrzuciła kolejny zwój do wielkiego wiklinowego kosza, który kupiła na targu. Wyjęła ciężką miedzianą tubę z kolejnej skrzynki i ściągnęła dłonią warstwę szarego błota z pokrytego patyną metalu. Gdy jednak obróciła ją w dłoni, środek ciężkości tuby zmienił się nagle, a z wnętrza dobiegł chłupot przelewającej się wody. Od dnia pożaru nad miastem niemal bez ustanku wisały chmury deszczowe, a wiele zagłębień i pomieszczeń pod spalonym domem wypełniło się czarną wodą. Krista skrzywiła się i odłożyła tubę do kosza. Gdy odwróciła się ponownie w stronę okna, znieruchomiła.

Abdmachus i ośmiu robotników przechodzili właśnie przez ulicę, niosąc na ramionach wielką drewnianą skrzynię. Słyszała głos czarownika dochodzący z głębi ulicy. Po chwili wszyscy zniknęli jej z oczu.

- Książę - powiedziała, zwracając się do Maksjana, który siedział na swoim miejscu za biurkiem i próbował przetłumaczyć jakiś starożytny dokument zapisany maleńkimi ostrymi znaczkami. - Pers chyba coś znalazł. Niosą to właśnie do domu.

Maksjan oderwał się od pracy i przetarł oczy. Potem skoncentrował się na tyle, by sięgnąć do Persa i dotknąć go przez znak, który umieścił na jego czole. Czarownik był ogromnie podekscytowany. Maksjan wstał i przerwał połączenie, nie chcąc, by emocje innych ludzi pozbawiały go jasności umysłu.

W kuchni na dole stał wielki dębowy stół o masywnych nogach. Robotnicy, czarni od sadzy i błota zalegających w korytarzach pod spalonym domem, stękali z wysiłku, opuszczając ciężką skrzynię na blat stołu.

- Panie! Zdaje się, że znalazłem coś bardzo interesującego!

Abdmachus niemal łasił się do Maksjana, ciągnąc go za rękaw w stronę stołu. Książę spojrział nań z ukosa. Odkąd położył na nim swój znak, osobowość Persa zaczęła się powoli zmieniać. Zniknęła całkowicie jego poprzednia wyniosłość, ustępując miejsca nadskakującej grzeczności, niemal służalczości. Czarownik pracował bez ustanku, by spełnić życzenia swego „pana”, Maksjan zauważył jednak, że coraz częściej musi nim kierować i kontrolować jego działania. Zastanawiał się, czy nie powinien usunąć znaku, stwierdził jednak z zakłopotaniem, że nie wie, jak to zrobić.

Długa na siedem stóp skrzynia zbita była z grubych desek i kołków. Maksjan rozpoznał w nich pozostałości skrzynek, w których tydzień wcześniej dostarczono im jakieś materiały. Wieko przywiązane było do skrzyni konopnymi sznurami.

Abdmachus przyciągnął krzesło do stołu, wszedł na nie i zaczął rozplątywać sznury.

- Mistrzu, mogę wreszcie powiedzieć, że nasze starania przyniosły

wspaniały owoc! Poprzedni właściciel tego domu, Bygar Dracul, miał wiele sekretów, choćby ten, że zadawał się potajemnie z Persami, lecz wśród skarbów, które zgromadził przez lata, ów jest chyba najbardziej zdumiewający. - Stękając z wysiłku, Abdmachus zepchnął ciężkie wieko. Zajrzawszy do wnętrza skrzyni, oświetlonego jedynie blaskiem lamp zawieszonych pod sufitem, syknął z radości.

- O tak! Panie, spójrz tylko na to arcydzieło!

Maksjan pochylił się nad stołem i zajrzał do skrzyni. W jej wnętrzu leżało ludzkie ciało, wciąż okryte warstwą błota i popiołu. Książę dotknął szyi martwego mężczyzny i odkrył ze zdumieniem, że jego skóra wciąż jest miękka i elastyczna. Potem jego palce natrafiły na twarde zgrubienie ciągnące się wzdłuż szyi trupa. Maksjan gwizdnął ze zdumienia.

- O tak, panie, to coś niesamowitego! - Mały Pers zatarł ręce z zadowolenia.

- Co to jest? - Krista stała po drugiej stronie stołu, obok Gajusza Juliusza. Patrzyła na ciało w skrzyni z nieskrywanym obrzydzeniem. Rzeczywiście, nie wyglądało ono najlepiej. Półprzezroczysta skóra przybrała żółtozielony odcień, w wielu miejscach znaczyły ją ciemniejsze plamy siniaków i krwi. Włosy na głowie trupa przyklejone były do czaszki, a widoczne spod warstwy błota resztki płaszcza i tuniki przywierały ciasno do ciała.

- To homunkulus, pani! - tłumaczył z przejęciem Abdmachus. - Człowiek stworzony z członków i organów innych martwych ludzi i obdarzony za pomocą magii nowym życiem. Widzisz, jego skóra...

- Jest zszyta - dokończył Maksjan, który podniósł właśnie prawą rękę homunkulusa i oczyścił ją z błota. Przyjrząwszy się z bliska jego skórze, dostrzegł na niej delikatne linie szwów, utrzymujących zewnętrzną powłokę w całości. - Stworzenie czegoś takiego musiało zająć co najmniej kilka miesięcy. - Opuścił rękę, która zawisała bezwładnie nad krawędzią skrzyni.

- Gajuszu, Abdmachusie, pomóżcie mi oczyścić to z błota i popiołu. Krista, przynieś ciepłą wodę i szmaty. - Maksjan zaczął zrywać z ciała homunkulusa fragmenty zaschniętego błota.

Godzinę później ciało homunkulusa leżało na stole, nagie i czyste. Maksjan i Gajusz Juliusz usunęli najpierw nadpalone resztki ubrań i butów, a potem zmyli błoto i popiół. Homunkulus był mężczyzną o ostrych rysach twarzy i wysokim czole. Miał długie ręce i nogi, ale i tak nieco za krótkie w stosunku do tułowia. Na piersiach widać było ślady po ranach, dawno już zabliznionych. Siegające ramion włosy były proste i ciemne.

- Musiał być na jednym z górnych poziomów domu, kiedy doszło do eksplozji - rzekł Abdmachus, zbierając jednocześnie błoto ze stołu i wrzucając je z powrotem do skrzyni, przesuniętej pod ścianę kuchni. Na zewnątrz zapadła już ciemność.

- Znaleźliśmy to dziwo, kiedy rozkopaliśmy dolną część komina. Leżał głęboko w błocie, pod warstwą gruzu. Czułem go jednak nawet przez cegły, jak dogasający płomień. Pewnie zdołałby się wyczołgać na zewnątrz, gdyby jego pan nie zginął w pożarze.

- Hm... - mruknął Gajusz Juliusz. - A dlaczego właściwie tak bardzo podniecamy się tą chodzącą poduszką na szpilki?

Abdmachus zgromił Rzymianina spojrzeniem.

- Takie stworzenie doskonale nadaje się do wypełniania sekretnych misji różnego rodzaju. Prawdopodobnie znało wiele tajemnic tego domu. Gdyby znów mogło mówić, być może powiedziałoby nam wiele o sprawach swego pana; może nawet o tym, czego szukamy. Może mieć kilkaset lat. Och, ile rzeczy musiało już widzieć.

Maksjan pochylił się nad stołem, przyglądając się uważnie twarzy, szyi i klatce piersiowej homunkulusa. Gajusz Juliusz usiadł na schodach prowadzących w górę, na tyły kuchni. Krista także tam siedziała, błada jak ściana. Gdy truposz usiadł obok niej, przesunęła się na drugi kraniec stopnia. Gajusz udał, że niczego nie zauważył. Tymczasem książkę zaczął nucić jakąś melodię. Po chwili kamienie podłogi odpowiedziały mu basowym pomrukiem. Później zapadła cisza. Maksjan podniósł nieobecny wzrok ku sufitowi. Gdy oprzytomniał, potrząsnął głową i spojrział na Gajusza Juliusza.

- Mogę przywrócić to stworzenie do życia. Przynieś mi krew, świeżą krew. Co najmniej dziewięć *sextariusów*.

Truposz otworzył szeroko oczy. Twarz księcia była nieprzenikniona niczym maska.

- Krew? Jaką krew?

Maksjan uśmiechnął się, ujrawszy strach w oczach Gajusza.

- Wystarczy krew świni. Pospiesz się, czeka nas dużo pracy.

Truposz wyszedł, zabierając z kuchni miedziane wiadro. Krista poszła na górę. Maksjan usiadł na schodach i owinął się szczelnie płaszczem, w pokoju panował bowiem nieprzyjemny chłód. Abdmachus siedział na krześle, wpatrzony w homunkulusa, i mamrotał coś do siebie.

Gruba niebieska iskra wystrzeliła z palców Maksjana i połączyła je na moment z czaszką homunkulusa, by potem zniknąć w martwym ciele stworzenia. Rozgrzane powietrze falowało wokół księcia, kiedy ten pochylił się nad stołem, trzymając ręce tuż nad głową homunkulusa. Wyśpiewywał cicho modlitwę, która pomagała uspokoić umysł i ukierunkować myśli. Abdmachus był jego kotwicą, klęczał u podnóża stołu, w kręgu nakreślonym kredą i srebrnym pyłem. Błękitnobiała błyskawica rozdzielała obu czarowników, okrywając ciało homunkulusa całunem światła. Od czasu do czasu jego martwe kończyny naprężyły się gwałtownie lub wpadały w drżenie. Głos Maksjana przybierał na sile, by wreszcie zamienić się w krzyk, gdy moc drzemiąca w powietrzu

i kamieniach wpływała coraz szerszym strumieniem w leżące na stole ciało.

Nagle, gdy ta niematerialna substancja przybrała lśniący kształt o idealnych proporcjach, ciałem wstrząsnął dreszcz, a powieki uniosły się powoli, odsłaniając żółte oczy o czerwonych źrenicach.

- Aaa... - Gardło stworzenia było wysuszone i zapchane sadzą. Homunkulus krztusił się i niczym ryba chwycił powietrze, otwierając szeroko usta. Maksjan zerknął na Gajusza Juliusza, a stary Rzymianin, który przyglądał się temu widowisku z nieskrywanym obrzydzeniem, doskoczył do stołu i przewrócił ciało na brzuch. Z gardła homunkulusa wypłynęła woda zabarwiona na czarno sadzą. Po blacie stołu przesunęła się niebieska błyskawica, która wpełzła we wracające do życia ciało. Homunkulus zawył, szarpnął się i wreszcie zaczął oddychać.

- Krew - rzucił Maksjan do Kristy, kiedy Gajusz Juliusz odwrócił ciało z powrotem na plecy i przygniół je do stołu. Homunkulus zaczął się szarpać i wyrywać, a jego siła, choć jeszcze tak bardzo ograniczona, była ogromna. Gajusz Juliusz musiał wyczerpać wszystkie siły, by utrzymać go w miejscu. Krista zawahała się na moment, potem jednak podeszła do stołu. W jednej ręce trzymała ciężki pęcherz, wypełniony gęstą cieczą, w drugiej rurkę wykonaną ze świńskiego jelita. Wyciągnęła rękę i włożyła koniec rurki do ust homunkulusa, choć ten szarpał głową na wszystkie strony, wyjąc z bólu.

Maksjan ujął głowę trupa w obie dłonie i unieruchomił, choć przez moment wydawało się, że homunkulus odrzuci go od stołu. Krista z beznamiętną miną wepchnęła rurkę głębiej w gardło stworzenia. Homunkulus próbował ją ugryźć, a Maksjan, zdesperowany, włożył palce w kąciki jego oczu. Krista nacisnęła na pęcherz, a rurka wypełniła się gęstym czerwonym płynem. Krew płynęła do ust trupa i wypełniła jego gardło. Krzyki zamieniły się w okropny bulgot, a z ust homunkulusa wytrysnęły krople krwi. Krista doskoczyła do stworzenia i krzywiąc się z odrazą, jedną ręką przytrzymała jego szczękę, a drugą rurkę z krwią. Gajusz Juliusz zaklął głośno; świńska krew obryzgała mu twarz i tunikę.

Palce księcia zatańczyły nad zwłokami, a mięśnie wokół ust homunkulusa przesunęły się nagle do środka i zacisnęły na rurce. Krista odsunęła się od stołu, zdumiona i przerażona tym widokiem. Gajusz Juliusz, który wciąż dociskał zwłoki do stołu, zakrztusił się i odwrócił głowę. Upewniwszy się, że rurka pozostanie na swoim miejscu, Maksjan zanurzył palce w kościach i ścięgnach wokół czaszki, a homunkulus zadrżał po raz ostatni i znieruchomiał. Jego oczy zapłonęły na moment dziwnym, białym żarem, a potem przygasły, gdy książę wyjął palce z jego ciała. Otwory w kościach i skórze zasklepiły się natychmiast, nie pozostawiając najmniejszego śladu na skórze mężczyzny.

Gajusz Juliusz odsunął się od stołu i upadł na kolana, a potem zaczął wymiotować, wstrząsany spazmami obrzydzenia. Krista kuliła się

pod ścianą, kryjąc twarz w dłoniach. Tylko książę i Abdmachus pozostali na swoich miejscach. Maksjan położył dłoń na szyi homunkulusa. Martwe usta wypuściły rurkę, a ta opadła na stół, roniąc kilka ostatnich kropel krwi. Homunkulus zaczął głęboko oddychać i ponownie uniósł powieki. Czerwone źrenice spojrzały prosto w spokojne brązowe oczy Maksjana.

- Witaj - powiedział książę, uśmiechając się nieznacznie. - Jestem twoim nowym panem.

Homunkulus opuścił powoli powieki, lecz tym razem z jego ust nie wydobył się jęk bólu, lecz przeciągły syk rozpaczy.

* * *

Ktoś zastukał lekko do drzwi kuchennych wychodzących na ogród znajdujący się pośrodku domu. Gajusz Juliusz podniósł wzrok znad ścierki, którą usuwał plamy zakrzepłej krwi i wymiociny z podłogi. Pukanie powtórzyło się po chwili. Przez matową szybę w drzwiach widać było tylko drobną białą rękę. Gajusz rozejrzał się dokoła. Książę, Krista i Pers przesłuchiwali homunkulusa w gabinecie.

Truposz poluzował sztylet w pochwie i podszedł do drzwi. Sięgnął do zasuwki, potem jednak znieruchomiał.

W murze na tyłach ogrodu nie ma żadnej bramki, pomyślał. Jak więc dostali się do ogrodu? Potem pokręcił głową i roześmiał się cicho. Przecież ja już jestem martwy, czego miałbym się obawiać? Podniósł zasuwkę i otworzył drzwi.

Za drzwiami stały trzy zakapturzone postacie w długich do ziemi ciemnozielonych płaszczach. Środkowa wspierała się na kijku z kości słoniowej, równie wysokim jak ona sama. Dłoń owej postaci była delikatna i biała, opleciona cienkimi bransoletami z ciemnego metalu. Gajusz Juliusz oblizał wargi, ogarnięty nagle dziwnym niepokojem. Długie, przycięte w szpic paznokcie owej dłoni miały metaliczną granatową barwę i przypominały pancerz egipskiego skarabeusza.

- Czego... czego chcecie? - spytał Gajusz Juliusz słabo i zirytował się na samego siebie. *Kim ja jestem, żeby bać się jakichś widm? Ja, który zniszczyłem moc druidów, ja, który zbudowałem imperium?*

- Chcemy zamienić kilka słów, przyjaznych słów, z panem tego domu - odpowiedziała zakapturzona postać niskim, chrapliwym głosem. - On rozmawiał kiedyś z jednym z naszych ludzi. Dał mu znak.

Dłoń zniknęła w fałdach płaszcza, a gdy pojawiła się znowu, trzymała w palcach złotą monetę na mosiężnym łańcuszku. Gajusz Juliusz skinął głową, a potem wziął do ręki monetę i obejrzał ją dokładnie. Na awersie znajdowała się podobizna augusta Galena, na rewersie portret samego Maksjana. Moneta pamiątkowa, pomyślał truposz.

- Dobrze, przekazę to panu domu. Zaczekajcie tutaj.

Gajusz Juliusz wspiął się na trzecie piętro i wszedł do gabinetu księcia. Pośrodku pokoju, na drewnianym stołku, siedział homunkulus ubrany w prostą tunikę z brunatnej wełny. Przywrócony do życia mężczyzna był zgarbiony, jakby zapadnięty w sobie. Maksjan siedział na stole, którego używał jako biurka, a Pers przechadzał się od ściany do ściany. Krista, opatulona w koc i kołdrę, leżała na sofie pod oknem. Miała zamknięte oczy i wyglądało na to, że śpi, Gajusz Juliusz jednak nie wierzył w to ani przez moment.

- Książę, ktoś...

- Jesteśmy tutaj - odezwał się chrapliwy głos za jego plecami. - Zgodnie z prośbą księcia.

Maksjan, zaskoczony, podniósł wzrok, słysząc obcy głos. Gajusz Juliusz odskoczył od drzwi i obrócił się w miejscu, sięgając jednocześnie po sztylet. Ujrawszy jednak stojącą w drzwiach kobietę, opuścił nóż i pozwolił jej wejść do środka. Tuż za nią postępowały dwie pozostałe kobiety.

Nieznajoma była wysoka, niemal równie wysoka jak Maksjan, miała jasną skórę i ciemnoczerwone, wpadające w czerń włosy sięgające aż do pasa. Delikatna siatka ze srebra utrzymywała włosy nad czołem kobiety, a w jej uszach lśniły maleńkie rubiny. Zarzucony na plecy płaszcz odsłaniał gładkie, białe ramiona i suknię z czarnego jedwabiu z białymi guzikami. Kobieta była szczupła i wiotka jak trzcina. Miała bladoróżowe usta, a ostre, wyraziste rysy podkreślały jeszcze niezwykle piękno jej twarzy. Niebieskie oczy nieznajomej były tak jasne, że źrenica niemal zlewała się w jedno z białkiem.

- Dałeś nam znak i obietnicę, książę - powiedziała kobieta, podchodząc bliżej. Dopiero teraz Maksjan zauważył, że jest bosa. - Przyszliśmy o tym porozmawiać.

Maksjan wstał i założył ręce do tyłu. Dwie pozostałe kobiety wciąż stały w przejściu. Obie były niezwykle piękne. Jedna miała włosy jak len, złote i długie, druga - czarne i lśniące jak skrzydło kruka. Ich płaszcze były lekko rozchylone, książę mógł więc dostrzec skrawek białego uda i krągłość pełnych piersi ukrytych pod ciasno przylegającym jedwabiem. Przy swojej pani obie wyglądały jednak jak jej niedoskonałe odbicia, blade gwiazdy przy lśniącym w pełni księżycu.

- Owszem, dałem. Czy ten, który przyniósł znak, mówił o mojej propozycji?

- Tak. - Kobieta podeszła do stołu i dotknęła swymi smukłymi palcami leżącego tam zwoju papirusu. - Potrzebujesz pomocy w realizacji wielkiego przedsięwzięcia. Możemy ci pomóc, jeśli dobrze rozumiem, co jest twoim celem.

Spojrzała prosto w oczy Maksjana, uśmiechając się lekko. Książę niemal zadrżał, widząc obietnicę ukrytą w jej spojrzeniu. Zwolnił oddech i sięgnął po moc, którą gromadził z coraz większą łatwością.

W niewidzialnym świetle pojawiły się tarcze otaczające Kristę, Gajusza Juliusza i jego samego. Abdmachus, który wycofał się pod okno, już tkwił w środku wirującej kuli ognia.

Kobieta roześmiała się perliście.

- Książę, szukasz przecież sprzymierzeńców. Nie będziemy z tobą walczyć. Jesteś zbyt silny. Jeśli okaże się, że nie możemy zostać przyjaciółmi, znikniemy. Ten, z którym wcześniej rozmawiałeś, ufa ci, a ty ufasz jemu. Czy chcesz zdobyć nasze zaufanie? Naszą przyjaźń? - Kobieta stanęła na wprost księcia, zaledwie o krok przed nim.

- A czy wy możecie zasłużyć sobie na moje zaufanie? - Głos Maksjana był czysty i spokojny, choć w pokoju robiło się coraz ciemniej. Dwie pozostałe kobiety weszły do pokoju i stanęły obok swej pani. Ogień w kominku zgasł, pozostawiając tylko rozżarzone węgle. Książę słyszał, jak Krista porusza się pod okrywającymi ją kocami. - Czy możecie zdobyć mą przyjaźń?

Kobieta złożyła mu ukłon, rozkładając ręce w geście poddania.

- Jaka jest cena przyjaźni księcia? Czego pragniesz, książę? Złota? Klejnotów? Czyjejs śmierci? Mnie?

Maksjan roześmiał się lekko, by ukryć gniewny syk Kristy.

- Nie jestem Antoniuszem - powiedział z rozbawieniem. - Do przyjaźni i zaufania wiedzie długa droga, królowo. Ale żeby ją przebyć, trzeba postawić pierwszy krok. Ja dam wam prezent, a wy się odwzajemnicie. Jeśli obie strony będą zadowolone z podarunków, uczynimy kolejny krok.

- Słusznie - odrzekła królowa aksamitnym głosem. - Co nam podarujesz, książę?

- Ulgę w bólu, królowo.

Kobieta cofnęła się o krok. Jej oczy błysnęły gniewnie, a wargi rozchyliły lekko, ukazując równe, białe jak śnieg zęby.

- Co chcesz przez to powiedzieć, człowieku? Co ty wiesz o bólu?

Maksjan podszedł do stołu i podniósł małe czarne pudełko leżące obok świec. Otworzył je i wyjął ze środka małą szklaną fiołkę. W blasku świec zawartość fiołki połyskiwała głęboką czerwienią.

- Jestem uzdrowicielem, królowo, mam wiele cennych umiejętności. Czuję chorobę w ciele tego, z którym rozmawiałem. Czuję, jak ból sący się w twoje kości niczym kwas. Ten środek, przyjmowany w rozsądnych dawkach, pozwoli ci zapomnieć o cierpieniu przez cały miesiąc. Za jakiś czas, kiedy już będziemy sobie ufać, nauczę was wytwarzać taki specyfik.

Królowa spojrzała na fiołkę wzrokiem zimnym jak lód, potem odwróciła się i ruszyła do drzwi.

- Przyjaźń nie może opierać się na zniewoleniu, książę. Nie pójdziemy z tobą tą drogą.

Odziane w czerń kobiety zniknęły w drzwiach, nie pożegnawszy się ani słowem. Maksjan widział tylko jeszcze przez moment twarz tej o jasnym włosach i jej pełne żalu spojrzenie.

W pokoju zapadła cisza. Maksjan czuł, jak kobiety wychodzą przez drzwi ogrodu. Kiedy odeszły, wydał z siebie długie, drżące westchnienie i oparł się o stół.

- Poszły sobie - oznajmił głośno. - Gajuszu, idź, zamknij za nimi drzwi.

Abdmachus usiadł na podłodze i objął rękami kolana.

- Książę... niewiele brakowało, bardzo niewiele.

Maksjan spojrział na Persa, a kącik jego ust drgnął w ledwie widocznym uśmiešku.

- Jesteśmy wystarczająco silni - powiedział. - Mogliśmy powstrzymać je jeszcze przez chwilę. Ich moc nie skrzywdziłaby Gajusza ani Kristy.

Usłyszał jakiś trzask za sobą. Gdy się odwrócił, ujrzał, jak Krista chowa pod kocem swą broń. Spojrzała mu prosto w oczy, a potem uśmiechnęła się niespodziewanie.

- Gdyby ci się spodobała, książę, zabiłabym cię - oświadczyła.

Maksjan skinął głową i odwrócił się do homunkulusa, który przez cały ten czas siedział nieruchomo na środku pokoju.

- Więc nazywasz się Chiron... - powiedział Maksjan, patrząc na jego obojętną twarz.

Homunkulus podniósł powoli głowę i spojrział na księcia.

- Jestem Chiron - odparł zachrypniętym głosem.

- Kto jest twoim panem, Chironie? - pytał Maksjan cierpliwie, jakby przemawiał do dziecka.

- Moim panem jest Bygar Dracul - odparł homunkulus, choć wydawał się nieco skonfundowany.

Maksjan pochylił się niżej i spojrział prosto w jego gadzie oczy.

- Bygar nie żyje - powiedział. - Teraz ja, Maksjan Atreusz, jestem twoim panem. Dałem ci nowe życie i mogę ci je także odebrać. Służysz teraz mnie.

- Służę Maksjanowi Atreuszowi - powtórzył homunkulus. Nagle drgnął i wstał. Maksjan cofnął się o krok i złożył ręce na piersiach. Wydawał się zadowolony. Chiron rozejrzał się dokoła, jakby dopiero teraz uświadomił sobie, gdzie się znajduje. Na moment zatrzymał spojrzenie na Kriście i Abdmachusie, potem odwrócił się z powrotem do Maksjana. - Jesteś moim panem.

- Co pamiętasz, Chironie? Co widziałeś tuż przedtem, nim straciłeś świadomość?

Homunkulus namyślał się przez chwilę, zaciskając odruchowo szczęki. Widok mięśni przesuwających się pod półprzezroczystą skórą budził w Kriście wyjątkowe obrzydzenie. To stworzenie było jak pozbawiony skóry wąż, wstrętne i odrażające. Zerknęła na księcia, ten jednak wydawał się ogromnie uradowany z faktu, że udało mu się przywrócić zwłoki do życia. Krista zacisnęła dłoń na broni ukrytej pod kocem. Wiedziała, że może wpakować długi na dłoń metalowy pocisk prosto w głowę

księcia. Umarłby natychmiast. Wiedziała, że w tej samej chwili umarłby także Gajusz i Chiron. Musiałaby poradzić sobie tylko z Abdmachusem. Spojrzała na Persa, lecz ten pochłonięty był całkowicie widokiem chodzącego i mówiącego homunkulusa.

Opuściliśmy Cesarstwo Zachodnie, pomyślała. Może jesteśmy już dość daleko, by uwolnić się od klątwy. Nie, muszę mieć pewność, że będę żyć.

- Pamiętam ogień - przemówił Chiron głuchym, przesyconym bólem głosem. - Mój pan rozmawiał w ogrodzie z ważnymi gośćmi. Przyprowadziłem im chłopca: cennego chłopca ze złotymi włosami. Chłopiec spodobał się temu ciemnemu, chciał go kupić... Potem na niebie pojawiły się światła, a potem ogień, jakby wschodziło słońce. Wszystko płonęło, wskoczyłem do windy kuchennej. Było tam chłodno i ciemno. Potem dom się zatrzęsł i zostałem zasypany. Spadały na mnie jakieś rzeczy, a ja nie mogłem się ruszyć. Nie mogłem oddychać. Potem spłynęła woda, przykryła mnie. Było ciemno.

Głowa homunkulusa opadła na piersi. Jego dłonie drżały. Maksjan podniósł głowę trupa i spojrzał na jego oczy. Były na wpół zamknięte.

- Chironie, zostałeś ponownie ożywiony. Żyjesz. Chodzisz, mówisz, widzisz i słyszysz. Rozkazuję ci żyć na nowo. - Dłoń Maksjana rozblęsnęła niebieskim blaskiem, który padł na twarz homunkulusa. Ten otworzył szerzej oczy, odzyskawszy świadomość.

- Twój były pan znał wiele sekretów, Chironie. Musiałeś o nich wiedzieć, kiedy mu służyłeś. Opowiedz mi o nich, a będziesz żył. Opowiedz mi o nich, a dostaniesz krew do picia, świeżą krew.

Homunkulus uniósł wyżej głowę i przeszył księcia wyłodniałym spojrzeniem. Jego żółte oczy wypełniły się wreszcie ogniem.

- Krew? - wyszeptał. Jego dłoń zacisnęła się na rękawie Maksjana. - Krew dla mnie?

- Tak - odparł Maksjan kojącym tonem. - Krew. Gorąca, pulsująca jeszcze gorączką życia.

Chiron opadł na podłogę i złożył księciu głęboki pokłon.

- O panie, proszę, daj mi krwi, a będę ci zawsze służył! Pytaj, powiem ci wszystko!

Maksjan spojrzał nań z góry, uśmiechając się lekko. Jego dłoń pogłaskała guzowatą czaszkę stworzenia.

- Czy słyszałeś kiedykolwiek, by twój pan wspominał o sarkofagu albo Zdobywcy?

Chiron podniósł głowę i uśmiechnął się do księcia, odsłaniając ostre czarne zęby.

- Tak, panie, wiele razy. Mój dawny pan bardzo tego pragnął. To właśnie ta rzecz, ta trumna ze złota i ołowiu, sprowadziła tego ciemnego do domu mego pana.

Krista wyczuła, że coś dziwnego dzieje się z Abdmachusem i spojrzała w jego stronę. Pers był wyraźnie przestraszony, wpatrywał się w homunkulusa z przerażoną miną.

- Mów dalej, dobry sługo - zachęcał Maksjan.

- O panie, Dracul wiedział wiele rzeczy, był silnym czarownikiem, ale pragnął władzy tak jak Rzymianin złota. Zbierał sekrety i sprzedawał je za rzeczy, które mogły uczynić go silniejszym. Ciemny przybył tu po jakiś skarb, a mój pan gotów był mu go dać, o tak. Ciemny znał sekret, którego pożył mój pan. Widział trumnę ze złota i ołowiu. Przybyli tu, żeby uzgodnić warunki, kiedy wybuchł pożar.

Maksjan ujął głowę homunkulusa w dłonie i spytał łagodnym tonem:

- Gdzie jest sarkofag, Chironie? Czego dowiedział się twój pan?

- O panie, wyprosilili z pokoju! Słyszałem tylko kilka słów, ledwie strzępek rozmowy! Czy mogę dostać już krew? - błagał Chiron.

Maksjan pokręcił powoli głową.

- Najpierw musisz mi powiedzieć, potem dostaniesz krew, jeśli tego zechcę.

Chiron opuścił głowę i zaszlochał żałością.

I - Proszę, panie, tylko mały łyżeczek, odrobinę!

- Co słyszałeś, nim wyszedłeś z pokoju, Chironie? - Głos Maksjana nabrał ostrzejszych tonów.

- Słyszałem tylko, jak wspominali o jakimś miejscu, panie, jakimś straszliwym miejscu, do którego nikt nie może dotrzeć. To miasto na wschodzie. Mówił o nim ten ciemny, nazwał je Dastagird.

Abdmachus syknął cicho zaskoczony. Krista miała wrażenie, że jest jeszcze bardziej wystraszony niż przed chwilą.

- Dobrze, dobrze Chironie - pochwalił go Maksjan. Potem podniósł homunkulusa z klęczek. - Dostaniesz krew. Abdmachusie, przynieś z kuchni resztę świńskiej krwi.

Abdmachus nie ruszył się z miejsca, wpatrzony w homunkulusa. Na jego twarzy malowało się bezgraniczne przerażenie.

- Abdmachusie? - Maksjan podszedł do niego, zatroskany.

- Jak... - zaczął drżącym głosem Pers - jak nazywał się ten „ciemny”?

Chiron obrócił się powoli i uśmiechnął, ujrzawszy strach na twarzy żywego człowieka.

- Mój pan nazywał go Dahak.

Abdmachus zbladł jak ściana i zachwiał się, jakby rażony gromem. Maksjan doskoczył i podtrzymał go. Pers wbił palce w jego ramię.

- Co się stało? - dopytywał się książę, zaniepokojony stanem Persa.

- Kim jest ten Dahak? Kristo, zostało ci jeszcze trochę naparu?

Maksjan ułożył Abdmachusa na podłodze i wsunął mu pod głowę zwinięty w wałek koc. Krista przyniosła z kuchni resztkę naparu i przy-

klekła obok Persa, by przelać napój do kubka. Książę przystawił porcelanowy kubek do usta czarownika. Ten wypił kilka łyków i spojrzał nań z wdzięcznością. Wciąż był chorobliwie blady, a na czoło wystąpiły mu grube żyły.

- O panie - wyszeptał. - To przerażające imię. Imię starego demona, wcielonego zła. Księgi umarłych opisują go jako jednego z najpotężniejszych sług pana ciemności, Arymana. Człowiek, który przybrał sobie takie imię, musi być naprawdę potężnym czarownikiem. Już jakiś czas temu zacząłem podejrzewać, że coś bardzo silnego przebywało w domu po drugiej stronie ulicy. Echa tej mocy wciąż tkwią w popękanych płytach i ceglach w środku domu, niczym zgnilizna, której nie da się zniszczyć żadnym sposobem.

Maksjan spojrzął na Persa i uśmiechnął się doń łagodnie. Jego palce dotknęły szyi czarownika, wyczuwając bijący w szalonym tempie puls.

- Nie obawiaj się, mój przyjacielu, nie umrzesz. Potrzebujesz odpoczynku i snu. Pracowałeś ostatnio zbyt ciężko. Ja dokończę to, co zacząłeś. Powiedz mi, gdzie jest ten Dastagird. Czy to daleko stąd? Ile czasu zajęłaby podróż?

Abdmachus westchnął ciężko, wystraszony i zmęczony.

- Dastagird to twierdza magów. Leży na brzegu wielkiej rzeki Tygrys, zaledwie o dwadzieścia mil na północ od perskiej stolicy Ktezyfonu. To zamknięte miasto, mogą tam wejść tylko *mobehedani* i ich słudzy. Kiedyś, gdy byłem bardzo młody, zostałem tam wprowadzony, by przyjmując śluby zakonne, ale pamiętam tylko wysokie budynki z czarnego białtu i zielonego steatytu.

- Ktezyfon... - Maksjan wstał i nakazał gestem Kriście, by podała Persowi koc i kołdrę. - To bardzo daleko. Musimy się spieszyć. - Skrzywił się ze złością. - Niech Hades pochłonie tę wojnę moich braci! Gdyby nie ona, moglibyśmy podróżować znacznie szybciej! - Książę umilkł i zaczął mrużyć coś pod nosem.

WZGÓRZA NAD SAMOSATĄ

I ewa! - krzyknął Eryk, uchylając się przed wirującym dyskiem niebieskiego ognia. Dysk odbił się od skał na zboczu góry i uderzył w drzewo jałowca. Jałowiec natychmiast stanął w ogniu. Dwyrin wbiegł za Erykiem na wzgórze, klucząc między głazami. Prawą ręką pochwycił powietrze, a ogień trawiący jałowiec wystrzelił jeszcze wyżej, zamieniając drzewo w biały popiół. Ogień rozdzielił się na kilka mniejszych kul i popędził w dół zbocza, w stronę ukrytych za skałami członków drugiego oddziału.

Zza skał wystrzeliła fontanna białego światła. Dwyrin poczuł uderzenie, które powstrzymało wysłany przezeń ogień, i pośliznął się na kruchych kamieniach. Eryk przystanął, skoncentrowany. Hibernijczyk przytrzymał się ostrych skał i syknął głośno, gdy z pokaleczonych palców wypłynęła strużka krwi. Ból pomógł mu jednak wyostrzyć zmysły. Dopiero teraz ujrzał wyraźnie moce targające powietrzem nad zboczem wzgórza. W dole poruszały się trzy oddzielne grupy światła, przeskakujące od kamienia do kamienia. Gdy jedna grupa się przemieszczała, pozostałe rozpały powietrze niewidzialnymi błyskawicami. Poszarpane, białe smugi przeskakiwały od głazu do głazu, osłaniając postępy poszczególnych grup.

Eryk zachwiał się, gdy jedna z błyskawic uderzyła w jego tarczę. Dwyrin przygryzł wargę, przypominając sobie, że on też miał ich osłaniać. Próbował jak najszybciej wyciszyć umysł i dodać własną moc do postrzępionej, niekompletnej tarczy, którą Eryk ustawił pomiędzy nimi i napastnikami. Niestety, trwało to znacznie dłużej niż wyciąganie mocy z ognia trawiącego drzewo. Tarcza Ateny powoli, bardzo powoli wyrastała w powietrzu między nimi a ludźmi wspinającymi się na pokryte wulkanicznymi skałami zbocze.

Kolejna błyskawica rozświetliła niebo, a kamienna iglica, stojąca zaledwie piętnaście stóp przed nimi, rozprysła się na drobne kawałki. Chmura ostrych odłamków przebiła delikatną sieć tarczy wniesioną przez Eryka. Dwyrin krzyknął z bólu, gdy ostry jak brzytwa odłamek rozorał mu policzek. Skoczył do przodu, przed Eryka, podnosząc jednocześnie rękę, a chmura odłamków zatrzymała się raptownie, uderzając w ścianę ognia. Skalne odłamki spadły na ziemię, dymiąc obficie.

- W górę! W górę! - Pochwycił Eryka za rękę i przerzucił ją przez swoje ramię. Jego towarzysz krwawił obficie z licznych ran na twarzy i rękach. Dwyrin Jbiegł w górę zbocza, ciągnąc za sobą oszołomionego Eryka. Powietrze drżało od mocy. Z nieba znów spadł deszcz drobnych kamieni.

Zajmowali się tymi ćwiczeniami, jak nazywał je Blanco, odkąd nad posepną, jałową równiną wstało słońce. Na północ od obozu wznosiło się pasmo wulkanicznych wzgórz, porośniętych jedynie suchymi krzewami i karłowatymi drzewami. Kamienie i skały były kruche i porowate; niektóre można było zgnieść w gołej dłoni. Inne były ostre jak brzytwa, a ich nierówna powierzchnia mieniła się odcieniami błękitu i zieleni. Było to ponure i nieprzyjazne ludziom miejsce.

Trybun jednak uwielbiał wysyłać tam żołnierzy na ćwiczenia. Tego dnia już o świcie czwórka Zoe trafiła tam jako przynęta dla rekrutów z innych kohort. Było to wyjątkowo długie i męczące ćwiczenie. Czwórka młodych żołnierzy przez cały dzień kryła się w wyschniętych korytach strumieni i wąskich, kamienistych kanionach. Na polecenie Zoe maksymalnie wyciszyli swą moc. Zoe i Odenatus czuli się wśród głazów

i karłowatych drzew jak u siebie w domu. Eryk cierpiał w upale, Dwyrin też nie radził sobie najlepiej. Gorące i suche powietrze pozbawiało ich sił. Mimo to, głównie dzięki Zoe, przez długi czas wymykali się pogni.

Teraz nie mieli już dokąd uciekać. Nocne powietrze drżało od tłumionej mocy.

Dwyrin pchał Eryka przed sobą. Potykając się i ślizgając na kamieniach, zeszli w dół skalnego zbocza. Niebo rozświetliła niebieskozielona błyskawica.

•••

- Chodźmy na spacer.

Dwyrin przekreślił się na drugi bok, udając, że wciąż pogrążony jest w głębokim śnie. Zoe stała pochylona nad jego pryczą. Dwyrin odwrócił się twarzą do płóciennej ściany namiotu, czując, jak żołądek podchodzi mu do gardła. Przywódczyni ich czwórki miała groźną minę, podkreśloną jeszcze przez bandaż oplatający skroń. Pojękując w duchu, Hibernijczyk zakrył oczy przedramieniem.

Zoe syknęła ze złości i uderzyła Dwyrina w kolana krótką drewnianą pałką, którą zawsze nosiła przy sobie. Chłopiec zerwał się na równe nogi, tłumiąc okrzyk bólu. Zoe podniosła głowę i spojrzała mu prosto w oczy.

- Przejdziemy się, barbarzyńco, i porozmawiamy. - Wypchnęła go przed sobą z namiotu. Eryk wciąż spał w najlepsze, rozrzucony na boki ręce obwiązane bandażami nasączonymi miodem.

Obóz tętnił życiem. Słońce schowało się już za krawędzią świata, dzięki czemu zelżał wreszcie straszliwy upał. Ziemię okrył przyjemny chłód, w powietrzu śmigły dziesiątki nietoperzy polujących na owady, które tłoczyły się wokół lamp zawieszonych nad obozowymi uliczkami. Wszyscy, którzy mieli jeszcze dość sił, by się ruszać, wylegli na zewnątrz. Z obozu *auxilia* dobiegał głos bębnow i fletów.

Zoe maszerowała szybko w górę wzgórza, oddalając się od namiotów zajmowanych przez taumaturgów. Dwyrin szedł za nią, powłócząc nogami. Gdy dotarli do wieży strażniczej przy bramie, Zoe skinęła głową na wartownika. Ten bez słowa uchylił wrota. Zoe wysliznęła się na zewnątrz. Dwyrin zawahał się na moment, przełknął ślinę i poszedł za nią.

Zbocze wzgórza, o które opierał się obóz, pokrywały głązy i cierniste krzewy. Dziewczyna dotarła na szczyt wzniesienia, a potem zaczęła schodzić w dół przeciwnego zbocza. Gdy oddaliła się już wystarczająco, by uciec przed światłami obozu, a jednocześnie wciąż widzieć szczyt wieży wartowniczej, przystanęła i usiadła na głązie. Dwyrin stał, wpatrzony w ciemność, z rękami założonymi do tyłu. Zoe westchnęła, odchyliła głowę do tyłu i spojrzała na nocne niebo, wypełnio-

ne miriadami roziskrzonych gwiazd. Powietrze było przyjemnie chłodne i czyste.

- Martwisz mnie, MacDonaldzie - oświadczyła po chwili spokojnym, beznamiętnym tonem. Dwyrin się zaczerwienił.

- Jesteś silny, równie silny jak Odenatus czy ja, ale nie umiesz kontrolować swojej mocy. Jesteś szybki, ale potrafisz tylko szybko robić straszliwy bałagan. Możesz przywołać ogień ze zwykłego kamienia, ale potrzebujesz całych wieków, żeby postawić najprostszą tarczę. Nigdy jeszcze nie widziałam kogoś, kto pracowałby nad tym tak ciężko i z tak kiepskim rezultatem.

Dwyrin zaczerwienił się jeszcze mocniej, dotknięty ironicznym tonem dziewczyny. Potem usiadł na sąsiednim kamieniu.

- W samotnej walce możesz sprawić sporo kłopotu innym rekrutom, a nawet niektórym mistrzom, ale kiedy walczymy w grupie - a musimy tak walczyć, jeśli mamy przetrwać na polu bitwy - stanowisz tylko zagrożenie dla pozostałych. Ty i Eryk zginęliście dzisiaj dziesiątki razy tylko dlatego, że sama idea pracy w zespole nie mieści się w twojej barbarzyńskiej głowie.

Zoe umilkła na moment, wyduła usta i wypuściła powoli powietrze. Dopiero teraz zauważyła, że rytmicznie stuka swoją pałą o kamień.

- Centurion Blanco spytał mnie dzisiaj, po tym jak trybun przestał się już nade mną pastwić, czy chcę odesłać cię do innej piątki. Jakiś kapryśny bóg musiał odebrać mi wtedy rozum, bo powiedziałam, że sama poradzę sobie z tym problemem.

Dwyrin zadrżał, poczuwszy na szyi gładką i zimną powierzchnię pałki. Zoe nachyliła się do niego. Czuł jej oddech na czole.

- Jesteś osłem, MacDonaldzie, nadajesz się tylko do najprostszych zadań. Ale, na Hekate, jesteś moim osłem, a ja przekonam się, ile możesz unieść. Nauczysz się walczyć z nami. Nauczysz się, jak być skutecznym. Jeśli nie, pozbędę się ciebie. Rozumiesz?

Dwyrin skinął głową. Zoe zsunęła się z kamienia i zniknęła w ciemności. Chrzęst kamieni pod jej sandałami długo jeszcze dźwięczał mu w głowie. Nie ruszał się z kamienia, czując, jak noc zamyka się wokół niego. Łzy spływały mu po policzkach, starał się jednak stłumić płacz. Miał szesnaście lat, wystarczająco dużo, by znieść to po męsku. Gwiazdy przesunęły się powoli nad jego głową, lśnią jasno w czystym, przejrzystym powietrzu.

Koło wozu uniosło się powoli nad ziemię, znieruchomiło na moment, a potem zaczęło kołysać się w wolnej przestrzeni przed namiotami kohorty. Dwyrin i Eryk stali po obu stronach drewnianego dysku. Obaj mieli zamknięte oczy. Pot spływał strumieniami po twarzy Hibernijczyka, przyklejając tunikę do jego piersi. Eryk radził sobie niewiele lepiej; zaciskał mocno swe pulchne pięści i dyszał ciężko. Koło podnio-

sło się jeszcze o stopę, a potem zaczęło chwiejnie kręcić wokół własnej osi. Dwyrin czuł, jak ciężkie drewno i metal wymykają się z jego niewidzialnego uchwytu. Przygryzł wargę, skupiając siły, próbując ustabilizować koło.

Koło przesunęło się w jego stronę, kiedy wziął cały ciężar na siebie. Eryk postąpił o krok do przodu i podniósł rękę. Koło nabrało nagle prędkości i ruszyło w stronę Dwyrina, kiedy Eryk stracił nad nim kontrolę.

Dwyrin krzyknął, widząc, jak drewniany pocisk zmierza prosto na jego głowę, i odepchnął je mocno od siebie. Koło zmieniło raptownie kurs, obracając się w powietrzu i błyskawicznie przeleciało nad niewielkim placem. Eryk odskoczył na bok, szeroko otwierając oczy ze strachu. Koło rozerwało ścianę najbliższego namiotu i wbiło się w bok wozu. Dwyrin opadł ciężko na ziemię i ukrył twarz w dłoniach. Drżał na całym ciele.

- No tak - westchnął jakiś ponury głos nad jego głową. - Więc ćwiczenie z kołem też odpada.

Dwyrin podniósł się ociężale z ziemi, stając przed centurionem. Tym razem Blanco nie wyglądał na rozgniewanego, na jego twarzy malowała się raczej rezygnacja. Zoe stała tuż ze centurionem, niższa od niego prawie o głowę. Jej twarz ściągnięta była w gniewnym grymasie, oczy miały błyskawice. Dwyrin przełknął ciężko, ale nie odpowiedział ani słowem.

- Chłopcze, musisz nauczyć się pracować z innym czarownikiem. - Głos Blanco był nadspodziewanie spokojny. Centurion wskazał na zniszczony namiot i wyglądających z niego, przestraszonych żołnierzy. - To proste ćwiczenie, bardzo proste, niemal równie proste jak splot. Wystarczy tylko podnieść koło i obracać je w miejscu. Przecież to koło, na Mitrę, ono chce się kręcić.

- Proste jak... splot? - Dwyrin poczuł się tak, jakby ktoś dzielił go po głowie młotkiem.

- Tak, MacDonaldzie, splot... no wiesz, jak w szkole?

Blanco znieruchomiał i zmrużył oczy, widząc kompletny brak zrozumienia na twarzy chłopca.

- Jak, powiedzmy... - zamilkł na moment, szukając właściwych słów - zaplatanie warkoczy? Czy tak to nazywają w twojej ojczyźnie? Albo... jak się nazywa splot w Palmyrze, Zoe?

- Splot. Po prostu splot. - Głos Zoe był ostry i suchy. Nie wyglądała na zadowoloną.

- Nie znam tego, panie. Nigdy o tym nie słyszałem. - Dwyrin czuł, że kręci mu się głowie.

Blanco nachylił się do niego, po raz pierwszy przyglądając się z bliska swemu najnowszemu rekrutowi. Uświadomił sobie, że popełnił błąd, zostawiając nowych czarowników wyłącznie na łasce i niełasce dowódców piątek. Znał Hibernijczyka już od kilku tygodni, nigdy jednak nie zadał sobie trudu, by dowiedzieć się czegoś więcej o jego kwalifika-

cyjach czy dotychczasowym życiu. Centurion podrapał się po bliźnie za uchem. Teraz chłopiec wydawał mu się młodszy niż przy pierwszym spotkaniu. Nie osiągnął jeszcze nawet swego pełnego wzrostu. Był ładnie umięśniony, ale ciągle miał tu i ówdzie resztki dziecięcego tłuszczu. Blanco oparł pięści na biodrach. Kiedy chłopiec pojawił się w obozie bez konia i sprzętu, wyglądał na zwykłego nieudacznika, ale teraz...

- Powiedz mi wszystko o swoim wykszoleniu, MacDonaldzie. Jaka szkoła, jaki mistrz, wszystko. Który krąg osiągnąłeś, jakich technik cię nauczono?

Dwyrin uśmiechnął się doń niepewnie. Do tej pory nikt go nie pytał, jak trafił do legionu. Po prostu przyjęli go i zagnali do pracy. Teraz, gdy mogło się okazać, że zostanie stąd wyrzucony, uświadomił sobie, jak bardzo chciałby pozostać w legionie, zdobyć szacunek Eryka i Odenatusa, a nawet Zoe. Odruchowo wtulił głowę w ramiona i zebrał się na odwagę, spojrzał centurionowi prosto w oczy.

- Cesarscy czarownicy znaleźli mnie, gdy miałem osiem lat...

Blanco opadł ciężko na składane krzesło. Był potężnym mężczyzną, miał grube uda i ramiona jak konary drzew, więc drewniane krzeselko zaskrzypiało pod nim ostrzegawczo. Przez płócienny dach namiotu przenikała ledwie odrobina światła słonecznego, lecz Zoe dostrzegła drugie krzesło. Ona także usiadła, choć jej ciężar nie był żadnym wyzwaniem dla płótna obozowego mebla. Twarz centuriona była nieprzenikniona, Zoe nie potrafiła wyczytać z jego oczu żadnych emocji. Wydawało się, że patrzy gdzieś w dal. Zoe czekała cierpliwie, z trudem hamując nerwowo tik. Miała ogromną ochotę sięgnąć po kosmyk włosów i nawijać go na palec. Nie ruszyła się jednak, tylko trzymała ręce ułożone równo na udach.

Wreszcie Blanco westchnął i poprawił się na swym krześle. Podrapał się po brodzie i otworzył drewnianą skrzynię stojącą przy jego łóżku. Wyjął stamtąd bukłak i odkorkował go. Potem sięgnął po dwa cynowe kubki, postawił je na stoliku i napełnił wodnistą czerwoną cieczą. Gdy zakorkował już bukłak i schował go na powrót w skrzyni, podniósł jeden kubek, a drugi pchnął w stronę Zoe.

- Napij się.

Zoe skrzywiła się nieznacznie, a potem wypila jednym haustem porcję zaprawionego sokiem octu i odstawiła kubek z powrotem na stół.

- Dziękuję.

Blanco skinął głową, potem westchnął raz jeszcze i spytał:

- Co zamierzasz teraz zrobić z tym kłopotliwym rekrutem?

Zoe wzruszyła ramionami.

- Nie wiem. Pewnie będziemy musieli zaczynać szkolenie od początku. Nie ma nawet połowy umiejętności dobrze przygotowanego rekruta. Nie wie o rzeczach, które dla nas są podstawą treningu. To dziwne,

by nie powiedzieć, okrutne, że ktoś wysłał go na wojnę tak słabo przygotowanego. *Nie spodziewałabym się tego po żadnej z egipskich szkół;* zwykle chlubią się tym, że bardzo dbają o swoich uczniów.

Blanco skinął głową.

- Mogło być gorzej; mogli przysłać kogoś bez palca, dłoni czy nawet całej ręki. Wtedy musielibyśmy poszukać kogoś na jego miejsce... Myślę, że mistrz szkoły przysłał go tutaj, by chronić innych uczniów - lepszych od niego albo takich, co nie żałują aureusów za naukę specjalności, którą sobie wybrali. Uznał więc zapewne, że może poświęcić tego jednego.

- Też tak sędzę... ale to jeszcze dziecko! Nie powinnam była traktować go tak surowo.

Blanco roześmiał się.

- Zawsze tak jest, więc lepiej do tego przywyknij. Pozostaje pytanie, co z nim zrobisz.

Zoe podniosła wzrok i spojrzała centurionowi w oczy. Nie wiedziała, co zrobić, a wstydziła się przyznać do tego przełożonemu. W końcu jednak pokręciła głową i rzekła:

- Nie wiem. Każę Erykowi nauczyć go podstaw, i może coś jeszcze z niego będzie.

- Dlaczego Erykowi? - zdziwił się centurion, ściągając brwi.

Zoe spojrzała nań ze zdumieniem.

- Bo już są parą. Czemu miałabym ich rozdzielać?

- Bo... - odezwał się powoli Blanco - Eryk nie jest dobrym nauczycielem. Prócz MacDonalda to właśnie on jest najsłabszy w waszej piątce, najmniej doświadczony... Powinnaś połączyć Dwyrina z lepszym taumaturgiem. Wtedy nauczy się szybciej, a jego słabości nie będą tak widoczne.

Zoe skrzywiła się z niesmakiem. Ten pomysł wcale jej się nie podobał. Stanowili z Odenatusem zbyt dobry zespół, by ich teraz rozdzielać.

- Nie mogę poświęcić Odenatusa - odparła. - Dobrze nam ze sobą; odgadujemy już niemal swoje myśli!

Blanco parsknął głośno.

- Ha! Wcale nie myślałem o Odenatusie. To ty musisz wziąć Hibernijczyka pod swoje skrzydła. Odenatus i Eryk są jak bracia, zgrają się bez większych kłopotów. Ty jesteś dowódcą piątki, ty więc musisz wziąć na siebie to zadanie i odpowiedzialność.

Głos centuriona był twardy i stanowczy. Zoe wiedziała, że podjął już decyzję, i że to rozkaz.

Pfuj! - pomyślała. Mam szkolić tego barbarzyńcę... on śmierdzi!

- Tak, centurionie - odparła pokornie.

Zapłacisz mi za to, MacDonalddie, dodała w duchu.

PAŁAC PTAKÓW, KTEZYFON

\ I adchodzi Wielki Król! Wszyscy na kolana przed szachinszachem >w/ V całej Persji!

Donośny głos trąb odbił się echem od ścian wielkiego holu stanowiącego centralny punkt cesarskiego pałacu. Po sali przeszedł szmer przypominający szelest liści poruszanych wiatrem, kiedy dwa tysiące sług, ambasadorów i arystokratów uklękło wzdłuż ścian komnaty. Długie pasy słonecznego światła, wpadające przez okna umieszczone wysoko pod sufitem, dzieliły salę na równe, jaśniejsze i ciemniejsze części. Tłum mienił się złotem, jedwabistą czerwienią, lśniącymi piórami i skrzącym się brokatem. Na przeciwległym krańcu holu wznosił się tron ustawiony na czterostopniowej piramidzie z emaliowanych cegieł. Tron miał wysokie oparcie z masy perłowej i siedzisko wykładane ciemnofioletowym aksamitem. Nad tronem wisiała, umocowana na srebrnych łańcuchach, wielka złota korona wysadzana perłami, szmaragdami i indyjskimi rubinami.

Kawad Sziroje, stojący na drugim stopniu piramidy podtrzymującej tron, także opadł na kolana. Nie było to łatwe w szacie ze sztywnego brokatu i ciężkiego jedwabiu, musiał jakoś sobie poradzić. Nie lubił ceremonii towarzyszących publicznym audiencjom ojca, wiedział jednak, że nie może tego zmienić. Król Królów uwielbiał tego rodzaju parady niczym małe dziecko zabawki. Radowało go wszystko, co dodawało mu chwały i majestatu.

Z drugiej strony holu dobiegł stukot setki stóp. Sziroje podniósł wzrok, zerkając spod runda ciężkiego, ozdobnego kapelusza, który musiał nosić podczas ceremonii. Przed Królem Królów maszerowali ciemnoskórzy mężczyźni, z których każdy miał co najmniej sześć stóp wzrostu. Ubrani byli w zbroje z przyciemnianego złota, a na głowach nosili hełmy z mosiądzu i srebra, które zakrywały ich twarze. Zbroje nie okrywały potężnie umięśnionych ramion i nóg gwardzistów. Każdy z nich trzymał przed sobą wysokie drzewce zwieńczone proporcem ukazującym godło Domu Sasanidów.

Za gwardzistami szli ustawieni w trzech rzędach służący, odziani w lniane i jedwabne szaty. Słudzy maszerujący w środkowym rzędzie nieśli zamknięty w pucharze ogień Pana Światła, Ahura Mazdy, oraz małe miedziane piramidy z dymiącym kadzidłem.

Za służbą postępowała straż przyboczna króla - wojownicy z królestw Indii w bogato zdobionych zbrojach okrywających ich ciała od stóp do głów. Metalowe buty wojowników stukały głośno o wykładaną płytkami podłogę. Każdy z nich nosił na piersiach wykładane złotem znaki zwycięstwa i porażki. Ich hełmy zwieńczone były wysokimi, kolo-

rowymi pióropuszcami. Tylko wąskie szpary odsłaniające oczy wojowników świadczyły o tym, że są to zwykli ludzie odziani w stal. Hindusi uzbrojeni byli w długie ciężkie miecze ukryte w skórzanych pochwach.

Sziroje drgnął, ujrawszy swego ojca. Wielki Król Chosroes, Król Królów Iranu, szachinszach Persów, siedział w odsłoniętej lektyce niesionej przez szesnastu rosnących Etiopczyków. Na twarzy nosił złotą maskę, jak miał to w zwyczaju już od dziewięciu lat, przedstawiającą oblicze starożytnego króla Dariusza Wielkiego. Oczy króla wyglądały spod prze-myślnie wyrzeźbionych powiek. Szerokie ramiona okrywały lśniące fioleto-owe szaty z najdelikatniejszego jedwabiu, pod nimi zaś kryła się obcista olśniewająca biała tunika. Król siedział na tronie z kości słoniowej zamocowanym pośrodku szerszej platformy usłanej świeżymi kwiatami. W miarę jak pochód przesunął się wzdłuż sali, kolejni dostojnicy i słudzy podnosili się z klęczek, szeleszcząc szatami. Za tylnym oddziałem straży przybocznej szło czterech niewolników w krótkich bawełnianych tunikach, którzy trzymali w rękach wielkie wachlarze i chłodzili nimi Króla Królów.

Kiedy królewska procesja zbliżyła się do tronu, Sziroje, podobnie jak wszyscy zgromadzeni na stopniach, przyłożył czoło do podłogi. Słudzy towarzyszący Królowi Królów rozchodzili się przed stopniami na boki. Dopiero najbliżsi władcy strażnicy weszli na piramidę i zajęli pozycję na drugim stopniu. Dwaj paziowie wybiegli zza piedestału i rozwinęli dywan ukryty dotąd pod wysadzonym klejnotami tronem. W dywanie kryły się suszone, aromatyczne kwiaty, dlatego król, idąc do tronu, stapał po płatkach róż i lilii. Chosroes podszedł do tronu, odwrócił się i usiadł, starannie układając szaty.

Znów zagrały trąby i bębny. Gundarnasp, dowódca *gjanawsjarów*, Towarzyszy Króla, stanął na najniższym stopniu i podniósł do ust tubę z emaliowanego mosiądzu.

- Oto przybył Król Królów - oświadczył głosem wzmocnionym przez tubę. - Ten, który kroczy przez świat niczym przedwieczny Tytan, zechciał was przyjąć. Podejdźcie bliżej, wy, którzy szukacie jego sprawiedliwości, miłosierdzia i miłości!

Sziroje jęknął w duchu i poprawił sztywny kołnierz, który uwierał go w szyję. Nie cierpiał dworskich uroczystości, kiedy przez cały dzień musiał stać nieruchomo u boku ojca. Pomyślał z tęsknotą o Barsine i innych konkubinach, które czekały nań w jego komnatach.

Tymczasem do tronu zbliżyło się poselstwo księcia Samarkandy, grupa śniadych, długowłosych mężczyzn w czarno-niebieskich szatach. Sziroje westchnął ciężko. *To potrwa całe wieki!* Wezyr Chomane dźgnął go lekko w plecy, a księżę wyprostował się natychmiast, przybierając beznamiętny wyraz twarzy. Wizyty na dworze króla, związane z uczestnictwem w różnego rodzaju uroczystościach, pochłaniały Iwią część wolnego czasu, jakim dysponował księżę, jednak wszystkie mądre głowy

zgadzały się, że jest to absolutnie konieczne, by zapewnić poddanych o niesłabnącej sile imperium.

Rozbrzmiał ostatni akord wygrywanej na cymbałach melodii. Ostatnia grupa tancerek odzianych w pióra i zwiewne, przezroczyście szaty zbiegła z podwyższenia ustawionego pośrodku sali jadalnej. W komnacie pojawili się służący, którzy zaczęli zbierać srebrne i złote talerze z długich stołów otaczających podwyższenie z trzech stron. Podłoga po czwartej stronie opadała łagodnie ku ścianie przebitej licznymi łukami, za którymi ciągnął się długi rząd tarasów. Ogrody schodziły aż do lśniącej powierzchni wielkiego Jeziora Rajskiego, które stworzone zostało na polecenie dziadka Szirojego. Teraz królowały tam ryby, ptaki i trzciny. Ogrody zajmujące tarasy po północnej stronie pałacu porośnięte były gęsto drzewami pomarańczowymi, jaśminowcami i różami. Wiatr od jeziora wypełniał pokoje ciągnące się wzdłuż ogrodów oszałamiającym aromatem kwiatów. Sziroje wypił resztkę wina i rzucił puchar - brąz wysadzany rubinami - pod swoją sofę. Uśmiechnął się słabo do przechodzącej obok służącej, która niosła tace i puchary.

Nie odpowiedziała na jego uśmiech, skupiona całkowicie na utrzymaniu chwiejnej piramidy naczyń w całości. Sziroje zmarszczył brwi, potem jednak machnął na nią ręką. Miał do dyspozycji tysiąc innych kobiet, każdą piękniejszą od drugiej. Mógł wybierać do woli. Sięgnął po winogrona i obtoczone w miodzie plastry owoców, leżące przed nim na stole.

- Pokażcie mapę świata! - Złota maska zniekształcała nieco głos jego ojca. Sziroje podniósł wzrok, kryjąc oczy pod długimi, ciężkimi rzęsami. Jego ojciec wchodził właśnie na podwyższenie, na którym przed chwilą występowały tancerki. Zrzucił ciężkie fioletowe szaty, odsłaniając muskularne ramiona. Od tyłu widać było skórzane paski przytrzymujące złotą maskę na twarzy króla i jego rzędzące włosy. Sziroje strzelił palcami, a jeden z niewolników, Grek, sądząc po wyglądzie, przyniósł mu natychmiast kolejny puchar z winem.

Chosroes spojrzął w górę, podparłszy się pod boki.

Sufit nad jego głową opuszczał się powoli w dół - ogromny dysk wyłożony kolorową mozaiką. Wyciągarki i bloczki skrzypiały głośno, gdy przesuwają się przez nie grube liny podtrzymujące dysk. Środek komnaty, zdominowany przez podwyższenie, dopasowany był kształtem do kopulastego sufitu zwieńczonego okrągłą płaszczyzną. Teraz właśnie to wielkie koło o średnicy trzydziestu stóp zjeżdżało powoli, przechylając się coraz mocniej na jedną stronę, aż wreszcie stanęło pionowo na podłodze. W górze widać było ukryte zazwyczaj pomieszczenie wypełnione różnego rodzaju mechanizmami i płataniną sznurów. Na powierzchni dysku, oświetlonej licznymi świecami i lampami, które natychmiast zamocowali tam obecni w sali służący, znajdowała

się mapa całego świata ułożona z dziesiątek tysięcy maleńkich, kolorowych płytek.

Pośrodku mapy znajdowało się, oczywiście, miasto Ktezyfon, obecna siedziba Króla Królów. Na południu mapa sięgała krańców znanego świata, Wyspy Psów na nieskończonym oceanie, który Rzymianie zwali Atlanticus. Na południu znajdowały się dzikie wybrzeża Aksum i Canoptis, ozdobione maleńkimi obrazkami dziwnych zwierząt i ras ludzkich. Na wschodzie, za Indiami i Chinami, krańce znanego świata wyznaczała nieprzebyta dżungla. Na północy, wysoko ponad głową Króla Królów, rozległe stepy Scytii i ziemie Hunów zamieniały się w krainę lasów i śniegu. Jednak środek dysku, gdzie teraz stał Chosroes z szeroko rozpostartymi rękami, zajmowała precyzyjnie wykonana mapa Persji, na której zaznaczono tysiące najmniejszych nawet osad, fortec, miast i miasteczek.

- Zbliżyliśmy się wielkimi krokami do ostatecznego zwycięstwa - oświadczył Wielki Król. - Rzymski nieprzyjaciel został wielokrotnie pokonany. Nasze armie stoją na jego terytorium. Nasi sprzymierzeńcy oblegają jego stolicę. Wielki książę Szahin i wielmożny Rhazates wkrótce zajmą wybrzeże Lewantu i odbiorą mu Egipt. Bez egipskiego ziarna Konstantynopol i Rzym skazane będą na głód.

Na podwyższeniu wspiął się odziany w jasnyniebieską szatę skryba trzymający w dłoni długi drewniany wskaźnik. Sługa zajął miejsce za plecami króla. Chosroes zamilkł na moment i potoczył wzrokiem po zgromadzonych w komnacie generałach, wezyrach i książętach. Jego spojrzenie zatrzymało się na moment na Szirojem, który objadał się właśnie kawałkiem smażonego mięsa. Książę zaczerwienił się, czując na sobie surowe spojrzenie króla, i opuścił głowę ze wstydem. Potem jednak Chosroes odwrócił wzrok w inną stronę, a Sziroje opadł z ulgą na sofę. *Czego on może ode mnie chcieć?* Książę wciąż nie mógł odgadnąć, czego oczekuje odeń jego wyniosły, nieprzystępny ojciec.

- Zebrano już plony, szlachetni panowie, a wróg wreszcie ruszył przeciwko nam. Z ostatnich raportów Szahr-Baraza z Chalkedonu... - sługa podniósł kij, by wskazać na wybrzeże w pobliżu Konstantynopola, w górnej, lewej kwarcie mapy, gdzie odwzorowano Morze Ciemności i Morze Egejskie - ...wynika, że armia trzykrotnie pokonanego cesarza Herakliusza, który wkrótce będzie moim sługą, wypłynęła z całą flotą na północ, by przekroczyć Morze Ciemności i wylądować, bez wątpienia, przy mieście Trapezunt. - Sługa przesunął wskaźnik na wschód, wzdłuż wybrzeża północnego Pontu do wschodniego krańca Morza Ciemności. - Stąd ten rzymski pies może przedostać się przez góry i zaatakować nas od północy. Odyniec, mój najlepszy generał, przeprowadził już Nieśmiertelnych na wschód, do nowego miasta Tauris nad brzegami jeziora Matian. - Wskaźnik przesunął się na południowy wschód, gdzie pomiędzy górami znajdował się biało-niebieski obraz jeziora. Na

wschodnim brzegu znajdował się maleńki znaczek, miasto o czerwonych murach i kopułach. - Jeśli Rzymianie chcą przejść na wschód, muszą najpierw zdobyć Tauris, a tam czeka już na nich Odyniec ze swoją armią. Ostatnio dotarły do nas plotki, że jakaś rzymska armia wylądowała w Tarsos, na równinie Cylicji. - Sługa przesunął się szybko na lewo, wskazując na zatokę przy wschodnim wybrzeżu Morza Wewnętrznego, na północ od zajmowanej przez Rzymian wyspy Cypr. - Moi szpiedzy w stolicy wroga sugerują, że jest to mała armia zachodnich Rzymian, dowodzona przez cesarza Marcjusza Galena Atreusza.

Chosroes umilkł nagle, odrzucił głowę do tyłu i wybuchnął grzmącym śmiechem.

- Przybywają do mnie dwaj cesarze - krzyczą - i obaj będą moimi sługami! Nie wydám ich za żaden okup; będą żyli u mojego boku, pozbawieni oczu i języków, przez następne sto lat! Kiedy umrą, uczynię z nich ozdobę mego dworu. Każę zabalsamować ich ciała i wypchać solą i przyprawami. Będą bili pokłony przed tronem Króla Królów po wsze czasy! Ten sam los spotka wszystkich zdrajców i odstępców.

Sziroje skulił się na sofie, przerażony wybuchem swego ojca. Król Królów coraz częściej urządzał tego rodzaju przedstawienia, dlatego jego syn coraz więcej czasu spędzał w swych prywatnych komnatach.

On jest szalony, myślał Sziroje pośepnie. Mój ojciec jest szalony. Jak mogę kochać kogoś, kto zatracił ludzkie cechy?

- Widzę wasze oczy, wiem, że się boicie! Nigdy nie byliśmy tak blisko ostatecznego pokonania Rzymu. Nigdy, nawet pod rządami moich wspaniałych przodków, nie mieliśmy tak doskonałej okazji do odebrania wszystkiego, wszystkiego, co zabrał nam ten przeklęty Grek! Stoją przeciwko nam trzy armie, ale armie małe, słabe i oddzielone od siebie szmatem ziemi. Mamy przewagę i zgnieciemy je, jedną po drugiej, a potem wybrukujemy ulice naszego miasta rzymskimi czaszkami!

Chosroes umilkł, a echo jego krzyku cichło powoli pod wysokim sklepieniem komnaty. Generałowie i wezyrowie zgromadzeni przed podwyższeniem spoglądali po sobie niepewnie. Król pochylił lekko głowę i zmierzył swych poddanych lodowatym spojrzeniem, ci zaś odwrócili wzrok. Sziroje znów się zaczerwienił, gdy wzrok króla przeniósł się ponownie na niego.

- Wielki Królu - mamrotał książę, próbując podnieść się z sofy. Nogi ugięły się pod nim, musiał więc trzymać się mocno oparcia, by nie stracić równowagi. - O Królu Królów, jak... jak my ich pokonamy? Tylko... tylko dwie nasze armie są w polu. Odyniec stacjonuje daleko na północy, a Szahin daleko na południu. Jeśli ten cesarz Galen uderzy na stolicę z Antiochii, nie będzie tu nikogo, kto mógłby mu się przeciwstawić.

Król Królów powoli ruszył w dół schodów. Arystokraci i wezyrowie rozstąpili się w ciszy na boki, otwierając władcy drogę do księcia, któ-

ry stał przy sofie, drząc lekko. Chosroes zatrzymał się przed synem i zmierzył go wzrokiem. Sziroje czuł się błądy i słaby w porównaniu z imponującą postacią swego ojca. Chosroes przewyższał go o pół głowy, jego ramiona były szerokie, a ręce pokryte splotami mięśni. Tylko złoty połblask maski psuł nieco wrażenie, jakie czyniła jego fizyczna postać. W młodości twarz króla nie odbiegała urodą od reszty jego ciała, teraz ukazywał tylko surowe, nieprzeniknione oczy.

- Wielki księżę Szahin mógłby wrócić do stolicy, synu mojej pierwszej żony - powiedział król. - Lecz wtedy ta pustynna hałastra, która powstała przeciw niemu, grabiłaby bezbronne miasta na północnej równinie. Odyniec także mógłby opuścić swe stanowisko na północy, przyprowadzić tu dziesięć tysięcy Nieśmiertelnych i znieść wroga, lecz wtedy Rzymianie na północy zajęliby górskie prowincje. - Chosroes położył dłoń na policzku swego syna. Usta ukryte pod uśmiechniętą niezmiennie maską wykrzywiły się lekko w prawdziwym uśmiechu.

- Czy Persja nie jest największym imperium na świecie?

Wielki Król odwrócił się, obrzucając spojrzeniem arystokratów, którzy odsunęli się od niego przerażeni.

- Czy Persja nie jest największym imperium na świecie? - powtórzył, podnosząc głos do krzyku.

Arystokraci upadli na kolana i złożyli mu niski pokłon. Ich głosy odbijały się echem od gładkiej marmurowej podłogi,

- O królu, Persja jest największym imperium na świecie!

Chosroes skinął głową i zachichotał.

- Wierni poddani... stwórzcie nową armię, największą armię, jaką widział świat. Czterdzieści tysięcy Rzymian maszeruje z Tarsos - niech spotka ich czterysta tysięcy perskich wojowników! Kiedy się to dokona, wróg legnie pokonany, będziegnił pod perskim słońcem. Gundarnasp... wierny żołnierzu...

Dowódca straży pałacowej podniósł się z podłogi. Był najwierniejszym spośród wszystkich ludzi Chosroesa, posłusznym narzędziem, gotowym wypełniać najdziwniejsze nawet zachcianki Króla Królów. Uśmiechnął się lekko, domyślając się już, jakie będzie życzenie jego pana. Uśmiech odsłonił na moment szereg złotych zębów ukrytych w jego gęstej brodzie. Twarz strażnika pocięta była bliznami, pamiątkami długich lat spędzonych w walce. Zbroja Gwardii Nieśmiertelnych szezękała cicho, kiedy podniósł się z klęczek. Pod ręką trzymał hełm o gładkiej, złotej powierzchni, przeciętej jedynie wąskimi szparami na oczy.

- Rozkazuj, Wielki Królu. - Głos Gundarnaspa był szorstki i zachrypnięty, zniszczony przekrzykiwaniem bitewnego tumultu i jęków umierających.

- Zbierz taką armię - mówił król, przechodząc między klęczącymi wciąż arystokratami. - Dopilnuj, by wszyscy, nawet ci najbogatsi i najbiedniejsi, zapłacili swą część w ludziach, broni lub złocie. Plony już ze-

brane, mury mocne, a spichlerze wypełnione ziarnem. To będzie wielkie zwycięstwo, niech więc nawet najmniejsi spośród narodu perskiego staną na polu bitwy i wzniosą włócznie w triumfalnym geście! - Król z powrotem wszedł na podwyższenie. - Każdy, kto nas opuści, kto nie stanie przy nas na tym polu, pozbawiony zostanie majątku i czci. Zostanie wypędzony ze swego domu, a jego żony trafią do innych. Jego ziemie rozdane zostaną między tych, którzy mają honor, którzy staną wraz z nami przeciwko Rzymowi. Niech wszyscy się o tym dowiedzą! Nie pozwolimy, by ktokolwiek nazywał Persów tchórzami.

Sziroje opadł ciężko na sofę i poprosił gestem o kolejny puchar wina. Sługa, pochylony do ziemi, podał mu naczynie drżącymi rękami. Król Królów stał na podwyższeniu, wpatrzony w mapę świata i odwrócony plecami do arystokratów. Ci klęczeli jeszcze przez chwilę w ciszy, a potem zrozumieli, że Król Królów nie chce już z nimi rozmawiać. Gundarnasp przeszedł między nimi, uśmiechając się niczym rekin pośród płotek. Generałowie i wezyrowie zaczęli się powoli wycofywać, starając się przy tym nie ściągać na siebie uwagi króla ani jego wiernego strażnika. Po chwili wszyscy zniknęli za drzwiami, nawet Gundarnasp, pozostawiając Sziroję w towarzystwie jego ojca.

Pochodnie dawno już się wypaliły, ogień dogorywał już nawet w czterech wielkich koszach, które oświetlały mapę od dołu, gdy Sziroje przebudził się nagle. Po zakończeniu audiencji ojciec całkowicie go zignorował, a książę zapadł w nerwowy sen wypełniony dziwnymi obrazami. Teraz wracał powoli do przytomności, ogarnięty dziwnym nieprzyjemnym chłodem. Ostrożnie przewrócił się na plecy.

Jego ojciec wciąż stał na podwyższeniu, trzymając ręce założone do tyłu, nie przyglądał się już jednak mapie świata, lecz wpatrywał się w ciemne arkady prowadzące na zewnątrz, do ogrodu. Sziroje także spojrział w tamtą stronę, próbując przebić wzrokiem ciemności. Choć księżyc dawno już powinien pojawić się na niebie i oświetlać srebrnym blaskiem drzewa i kwiaty, przestrzeń za arkadami ginęła w czarnym jak smoła mroku. Ognie w koszach zapłonęły na moment jaśniej, rzucając ogromny, wykrzywiony cień króla na mapę świata, a potem zgasły. Został tylko jeden, płonący w koszu najbardziej oddalonym od arkad. Z zewnątrz dobiegły czyjeś kroki. Sziroje leżał nieruchomo na sofie, gdy powiew zimnego powietrza przesunął się przez pokój i zaszeleścił zasłoną za jego plecami.

- Wielmożny Dahak. - Głos Chosroesa wydawał się dziwnie odległy i przytłumiony.

- Królu... - odpowiedział mu szept, a w ciemności zalegającej między kolumnami ogrodu pojawiła się jakaś postać. Do komnaty wszedł wysoki, szczupły mężczyzna o jasnej twarzy. Jego ramiona okrywał luźny płaszcz z ciemnego jedwabiu, spod którego wзираła biała, pozba-

wioną włosów pierś poznaczona straszliwymi ranami. Jego wyrazista, blada twarz także zeszpecona była siatką świeżych blizn i ran. Chosroes syknął głośno, zaniepokojony tym widokiem.

- O tak, mój królu, aż nazbyt się do ciebie upodobałem. Moja wizyta w mieście wschodnich Rzymian była krótka i miała raczej niefortunne zakończenie. - Wąskie usta Dahaka wykrzywiły się w sardonicznym uśmiechu, odsłaniając równe, białe zęby. Długi wąski palec dotknął blizn na piersiach i szyi mężczyzny. - Niektórych prezentów lepiej nie otwierać.

- Co się stało... czy poza tym jesteś w pełni sił?

W głosie Chosroesa pobrzmiwała nuta gniewu, irytacja człowieka, który nagle dowiaduje się, że tak przydatne dotąd narzędzie uległo uszkodzeniu. Wielki Król odruchowo podniósł rękę do własnej twarzy.

Dahak pokłonił się nisko, pozwalając, by długie czarne włosy spadły na jego ramiona.

- Moja moc jest do twojej dyspozycji, jak zawsze. Nie obawiaj się, królu, spełnię twoje życzenia. Wciąż mogę spłacać swój dług.

- Dobrze. - Głos króla był jak zgrzyt kamienia o kamień. - Twój dług jest ogromny i wciąż jeszcze niespłacony.

- Czyżbym o tym nie wiedział, królu? Rozkazuj, a ja poruszę cały świat, by cię zadowolić.

Chosroes odchrząknął i stał przez chwilę w milczeniu. Dahak także zastął w bezruchu, choć Sziroje miał wrażenie, że to tylko pozór, pod którym kryje się gotowość do natychmiastowego działania.

- Twoje umiejętności są nam teraz bardzo potrzebne - przemówił wreszcie Chosroes. - Rzymianie nacierają na nas z trzech stron, a ja mam tylko jednego Odyńca, który może wziąć ich na swoje szable. - Umilkł, dojrawszy jakiś grymas na twarzy czarownika. - Co?

Dahak wspiął się na podwyższenie i spojrzał na wielką mapę świata. Widok tego straszliwego człowieka stojącego u boku ojca napełnił Szirojego złymi przeczuciami. Choć Król Królów był wyższy i potężniejszy od swego nocnego gościa, łączyła ich jakaś dziwna zażyłość, która nie wróżyła niczego dobrego.

- Mój królu, w rzeczywistości maszerują przeciw tobie tylko dwie armie. Zatrzymałem się na chwilę w drodze powrotnej z Konstantynopola, by zbadać poczynania twych wrogów. Rzymska flota wcale nie popłynęła do Trapezuntu, to był tylko manewr mający cię wyprowadzić w pole. Cała siła wroga wyruszyła z Tarsos...

W powietrzu pojawił się nagle zielony płomyk, który podświetlił obraz miasteczka na równinie Cylicji, w miejscu gdzie łączyły się ze sobą wybrzeże Azji i Lewantu.

- ...wschód, do Tauris. - Zielony płomień przesunął się na prawo, przez północny skrawek równiny Tygrysu i Eufratu, przez wysokie góry, i skręcił na północ, do szerokiej doliny zdominowanej przez niebiesko-białe jezioro.

- Wróg uderzy na Tauris, a Odyniec już tam jest. Baraz ogromnie się ucieszy z tego spotkania...

Chosroes wpatrywał się w dysk świata, podświetlony teraz blaskiem zielonego płomienia.

- Rzymianin nie szuka bitwy - warknął Król Królów. - Chce wejść w górzyste tereny Media i zniszczyć ziemię, które zawsze były kręgosłupem imperium. Przeklęty Rzymianin! Walczy z nami jak poborca podatkowy. Podły, pozbawiony honoru...

Dahak przekrzywił lekko głowę, jakby rozbawiony wybuchem gniewu króla. Ukrył dłonie w fałdach swej szaty i przybrał swobodną pozę. Chosroes odwrócił się do swego sprzymierzeńca.

- Czy mógłbyś w ciągu jednego dnia przetransportować człowieka przez całe imperium?

- Oczywiście, królu. Wiesz, że to tylko jeden z moich talentów.

Król patrzył przez chwilę w ciemność ogrodu, potem odwrócił się ponownie do Dahaka.

- Znajdź Odyńca w Tauris; niech wyśle swoich Nieśmiertelnych na południe, na spotkanie ze mną i armią, którą tworzy Gundarnasp. Powiedz mu, by powierzył obronę miasta komuś kompetentnemu; musi zatrzymać Rzymian co najmniej przez miesiąc! Potem zabierz go do Szahina na południe. Odyniec musi znaleźć armię plemion pustyni i zniszczyć. Potem niech natychmiast wraca do mnie. Armia Szahina musi uderzyć na Egipt najszybciej, jak to możliwe, gdy tylko zginie ta dziwka królowa. Pomóż mu w miarę możliwości jak najszybciej doprowadzić do jej śmierci.

Dahak uklonił się ponownie.

- Jak sobie życzysz, mój królu.

Zielony ogień zniknął sprzed mapy, gdy Dahak zszedł z podwyższenia i rozplątał się w ciemnościach pod arkadami. Sziroje odważył się wyjrzeć zza oparcia sofy i zdążył jeszcze zobaczyć, jak czarna noc owija się wokół czarownika i unosi go nad ziemię w łopocie ogromnych, niewidzialnych skrzydeł. Nagle ogród wypełnił się blaskiem księżyca, który wpłynął także do pustej i ciemnej komnaty. Książę opadł na sofę, wypuszczając cicho powietrze z płuc. Chosroes po raz ostatni spojrzął na mapę i wyszedł, stukając głośno o marmurową podłogę.

DROGA DO TAURIS

fi wyrin pił łapczywie z bukłaka, gotów wysączyć ostatnią kroplę wilgoci z brudnego, skórzanego pojemnika. Gdy wreszcie otarł usta, na jego dłoni pozostała smuga żółtego kurzu. Splunął i oddał tor-

bę Erykowi, który siedział na stercie kamieni obok niego. Germanin pokryty był grubą warstwą tego samego żółtego kurzu, z którym zmagął się Dwyrin. Eryk skinął głową z wdzięcznością i przystawił bukłak do ust. Dwyrin podrapał się po nosie, który w bezlitosnym słońcu znów pokrył się czerwienią i płatkami złuszczonej skóry.

Poniżej kopca kamieni, na którym siedzieli obaj chłopcy, ciągnęła się droga prowadząca w górę doliny Rawanduz. Ziemia drżała pod dziesiątkami tysięcy stóp odzianych w ciężkie żołnierskie buty. Z wysokości kamiennego wzgórza Dwyrin widział długi lśniący wąż stali, który z jednej strony piął się w górę doliny, a z drugiej sięgał aż do szerokiej równiny wysuszonego błota i trawy. Dwyrin słyszał, że połączone armie obu cesarstw liczyły sześćdziesiąt tysięcy ludzi, co przerastało jego chłopięcą wyobraźnię. Wydawało się, że kolumna wojsk nie ma końca, drogą płynął nieprzerwany strumień kohort, *banda* i *alae*. Obok wzgórza przechodził właśnie rzymski legion. Żołnierze nieśli tarcze i torby przewieszane przez plecy, ich nogi poruszały się w równym tempie.

- Był sobie ptaszek z żółtym dziobem - śpiewali głębokimi głosami w rytm marszu - czerwony miał ogon na ozdobę...

Legioniści byli gładko ogoleni, ich sprzęt czysty i zadbane, zbroje lśniły w gorącym słońcu. Niemal wszyscy nosili plecione kapelusze o szerokich rondach, podobne do tego, którym Eryk osłaniał twarz przed słońcem. Włócznie oparte na ich ramionach wyglądały jak las żelaznych ostrzy. Podbite żelazem buty stukwały miarowo o kamienie drogi. Krępy mężczyzna w krótkiej białej koszuli maszerował na końcu kolumny, a jego potężny głos wznosił się ponad śpiew setek żołnierzy. Przechodząc obok sterty kamieni, obrzucił Dwyrina i Eryka srogim spojrzeniem, ale nie skarcił ich ani słowem.

Za zachodnimi wojskami jechały wozy ciągnięte przez muły i woły, załadowane zwojami płótna i drewnem. Woźnice maszerowali obok zwierząt, świadomi, że zbocze jest zbyt strome, by jeszcze bardziej obciążać ciężkie pojazdy. Przy drodze wznosiło się skalne rumowisko, fragment zbocza góry, która dominowała nad całą doliną. Dwyrin odwrócił się i przysłonił oczy dłonią. Droga wiodła między ogromne góry zwieńczone czapami śniegu i lodu. Wiedział, że za tymi górami leży Persja.

Dwyrin syknął z bólu, gdy czyjaś twarda pięść uderzyła go w ucho. Zoe stała nad nim i spoglądała groźnie na obu chłopców.

- Wstawać, nieroby, ruszamy w drogę.

Dwyrin spojrzał na nią spod przymrużonych powiek; w słonecznym blasku widział tylko jej ciemny kształt. Syryjka wciąż była dlań bardzo surowa, choć nie traktowała go już z tak wielką złością, jaką okazywała jakiś czas temu. Była od niego starsza najwyżej o rok, lecz Dwyrin nie śmiał kwestionować jej autorytetu. Szybkość, z jaką reagowała na wszelkie ataki w ukrytym świecie, sprawiała, że Dwyrin nie miał na razie większych szans w bezpośrednim starciu. Poza tym ostatnio poświęcała

mu dużo czasu, ucząc go splotu i innych ćwiczeń, które dla Eryka i Odenatusa nie były żadną nowością.

Już jakiś czas temu Dwyrin uświadomił sobie z przerażeniem, że jego szkolenie w Egipcie zostało przerwane w drastyczny sposób i że zna tylko podstawy tego, co powinien wiedzieć każdy czarownik. Zamiast praktycznych umiejętności znał kilka medytacji i zaklęć, którymi posługiwali się raczej bardziej doświadczeni mistrzowie tej sztuki. Umiejętności, jakimi dysponował, były w gruncie rzeczy ogromnie dla niego niebezpieczne; dowiódł tego okres halucynacji, które przeżył w drodze z Egiptu.

- Chodź, barbarzyńco. - Zoe podała mu swą silną, opaloną dłoń. Dwyrin przyjął ją i wspinał się na szczyt kopca. Eryk, posapując ciężko, szedł jego śladem. Tygodnie ciężkiej pracy i nieustannego wysiłku fizycznego nie poprawiły kondycji ani sylwetki Germanina. Odenatus, który podnosił się właśnie z kamieni, Zoe i Dwyrin nabrali sił i zamienili tłuszcz na mięśnie. Dwyrin uderzył dłonią w udo, które stało się twarde i mocne jak pień drzewa. Czasami nie mógł uwierzyć, jak wygodne życie pędził w szkole czarowników.

Dwyrin szedł za Zoe w dół zbocza, wpatrzony w trzy długie warkoczki kołyszące się na jej plecach. Dziewczyna miała w sobie dzikie, nieokiełznane piękno, które tak bardzo przypominało mu jego siostry. Potknął się o kamień i runął w dół zbocza. Na szczęście zatrzymał się na wielkim głazie ledwie kilka stóp niżej. Wstał i otrząpął się z kurzu. Zoe przystanęła i patrzyła nań z politowaniem.

- Nic mi nie jest - powiedział, podnosząc kapelusz.

- To dobrze. - Skinęła głową. - Idź pierwszy. A właściwie biegnij, niedługo musimy objąć straż. - Nie uśmiechnęła się, Dwyrin czuł jednak, jak jego policzki okrywa rumieniec; z pewnością wiedziała, że więcej uwagi poświęcał kształtowi jej kostek niż ziemi, po której stapał. Zsunął się na dół zbocza i przystanął na moment. Drogą maszerował właśnie oddział łuczników w żółtych płaszczach. Dwyrin poprawił plecak i ruszył biegiem w górę drogi, trzymając się pustego pobocza. Tępy ból łydek przypominał mu, że biegł także poprzedniego dnia, ale starał się nie zwracać na to uwagi. Zoe była tuż za nim.

Wieczorem siedzieli wokół małego ogniska. Eryk zszedł do kucharzy, którzy utrzymywali ogień w wielkich metalowych koszach, i przyniósł świeży chleb. Dwyrin rozerwał zębami nieco przypalony bochenek. Dopóki nie wyruszyli w drogę, nie zdawał sobie nawet sprawy, jak dobry może być chleb, jeśli dostaje się go tylko raz na trzy dni. Na niebo wypłynęły chmury, zakrywając księżyc i gwiazdy, zrobiło się zimno. Zoe, siedząca pomiędzy nim a Odenatusem, zajrzała do wnętrza pogietego garnka ustawionego na rozżarzonych węglach.

- Jeszcze niegotowe - mruknął Odenatus, kryjąc twarz za wełnią-

nym szalikiem. - Ta żółta fasola musi się gotować co najmniej przez dwie klepsydry.

Zoe zignorowała go i zamieszała jedzenie w garnku. Kiedy armia zatrzymała się przed zachodem słońca na nocny postój, Zoe kazała Erykowi i Dwyrinowi znaleźć jakieś ciche, oddalone od głównego obozu miejsce i rozbić tam namioty. Potem wzięła łuk i pobiegła między wzgórzami. Armia rozłożyła się obozem na wąskim pasie w miarę płaskiego łądu wrzynającego się między góry. W ciągu kilku następnych dni miała przekroczyć górskie pasmo i wejść na teren Persji. Teraz jednak wszyscy odpoczywali pośród karłowatych drzew, wielkich głazów i spękanych skał. W cieniu większych kamieni leżał śnieg, a na szczytach gór wznoszących się ponad doliną błyszczała wieczna zmarzlina.

Dwyrin i Eryk nazbierali ciężkich kamieni, którymi zamierzali przyłożyć linki namiotu. Główne siły armii, szczególnie kohorty zachodniego cesarza, zajęły płaski teren po obu stronach drogi. Słońce chowało się już za górami, kiedy żołnierze kopali wąski rów w twardej ziemi i ustawiali prowizoryczny obóz.

Dwyrin wspinał się na kolejne głazy i półki skalne, aż znalazł osłonięte od wiatru miejsce pod skalnym urwiskiem. Wraz z Erykiem i Odenatusem przeniósł tam sprzęt z wozu i rozbił namiot. Żołnierze wschodniego cesarza, którzy wciąż napływali do doliny, kładli się gdzie popadnie i natychmiast zapadali w sen.

- Jak myślicie, co będzie, kiedy dojdzie do bitwy? - spytał Dwyrin, popiwszy przypalony chleb łykiem kwaśnego wina. - Wydaje się, że to dwie różne armie, połączone tylko przez przypadek.

Zoe parsknęła, mieszając cebule i wysuszone morele, które wrzuciła do fasoli. Podniosła wzrok i spojrzała na Dwyrina. W jej oczach odbijał się czerwony blask ogniska.

- Skoro ty możesz nauczyć się walczyć z nami w ukrytym świetle, barbarzyńco, to i te dwie armie mogą walczyć jak jedna.

Eryk zakrzuszył się ze śmiechu, a Odenatus huknął go w plecy. Dwyrin skrzywił się zirytowany i podał mu bukłak z winem. Eryk wypił dwa łyki i odetchnął.

- Ale ja mówię poważnie - nie dawał za wygraną Dwyrin. - Widzicie, jak oni maszerują, jak bezładna zbieranina. Ruszają i zatrzymują się, kiedy chcą, brudzą wodę we wszystkich rzekach, przez które przechodzimy, nie słuchają nikogo prócz samych siebie.

- Rzeczywiście, brak im dyscypliny - zgodził się Odenatus. - Ale są tutaj i będą walczyć. Oczywiście legiony Zachodu to podstawa. Jeśli one wytrzymają, wygramy.

- Chyba już gdzieś to słyszałam - mruknęła Zoe. - Myślę, że ta fasola jest gotowa. Dajcie mi swoje miski.

Klepsydrę po północy Zoe wróciła do obozu z kwaśną miną. Niebo za jej plecami rozjaśnione było blaskiem ognisk rozpalonych przez armię.

W rękach trzymała tylko łuk i trochę ziół i cebul, które nazbierała po drodze, ale żadnego zwierzęcia. Była bardzo zadowolona, że Dwyrin znalazł jakiś opał, bo na zboczach poniżej nie było już niczego, co nadawałoby się do spalania. Słowa podziękowania z jej ust ogromnie podniosły go na duchu, choć nie musiał się specjalnie wysilić, by na nie zasłużyć: znalazł pod kamieniem resztę chrustu zostawioną przez kogoś, kto obozował wcześniej w tym miejscu. Każdy na jego miejscu zrobiłby to samo.

Fasola była kwaśna i twarda, lecz po wielu dniach marszu Dwyrin z radością przywitał jakąś odmianę w diecie złożonej niemal wyłącznie z solonej wieprzowiny i baraniny. Rozgryzł cebulę i sycił się przez moment jej smakiem. Dobrze było siedzieć przy ognisku, w towarzystwie przyjaciół, po dniu pełnym ciężkiej pracy.

- Pierwsza bitwa będzie decydująca - powiedziała Zoe, czyszcząc miskę palcem. - Jeśli ktoś spanikuje i ucieknie albo jeśli barbarzyńcy zaskoczą nas jakąś przemyślną strategią, przegramy. Jeśli jednak uda nam się ich pokonać, będziemy niezwyciężeni.

Eryk zajął do garnka, szukając resztek jedzenia. Westchnął z rozczarowaniem i odstawił puste naczynie na ziemię.

- Co będziemy robić? Jesteśmy najsłabszą piątką w Ars Magica, to prawda, ale nie chciałbym znów trzymać koni, kiedy inni ruszą do walki...

- Możesz być spokojny. - Zoe pokiwała głową. - Pójdziemy na pierwszą linię. Kolonna wspominał mi o tym wczoraj. Trybun postanowił rzucić nas do walki. Będziemy szli z procarzami i łucznikami. Trybun ma nadzieję, że uda nam się wystraszyć wrogów w czasie, gdy oni będą przygotowywać się do strzału. Aha, mamy też szukać słoni.

Dwyrin zerknął na Odenatusa, który wydawał się przygnębiony tymi wiadomościami. Zoe też nie miała najszcześniejszej miny. Dwyrin zastanawiał się nad tym przez chwilę, wreszcie doszedł do jedyne logicznego wniosku.

- Hm... - zaczął niepewnie - to znaczy, że mamy ściągnąć na siebie uwagę głównych sił wroga, tak?

- Tak - odparła Zoe, wykrzywiając usta w grymasie przypominającym uśmiech. - Jesteśmy przynętą dla grubej ryby. Trybun pocieszał mnie, że jeśli zginiemy, srodze nas pomści.

NIEBO NAD SYRIA MAGNA

5zahr-Baraz krzychał z radości, choć wiatr natychmiast porywał jego słowa. Pochylił się do przodu, napinając skórzane pasy, którymi przywiązany był do pleców *byakhee*. Siedzący przed nim Dahak, także zamknięty w uprzęży ze skóry i metalu, skrzywił się, zde gustowany ludz-

ką głupotą. Czarownik przechylił się w lewo, a jego dłonie rozbłyły niebieskim światłem, które zmusiło ogromne stworzenie do nieznaczącej zmiany kursu.

Baraz spojrzął w dół, kiedy zwierzę przechyliło się na bok. Jego ogromne skrzydła w blasku księżyca były niewyraźną plamą. W dole przesuwały się ogromne połacie pustyni, choć na północy widać było światełka znaczące zapewne ludzkie miasta. Chwilę później na ziemi pojawiły się lśniące srebrne pasma rzek, niczym grzbiety ogromnych węży. Przemknęli nad pasmem czarnych wzgórz, potem nad rozsypnymi światłami ludzkich osad.

Wkrótce wylądujemy, rozbrzmiał w jego głowie głos czarownika. Dolina Orontesu leży przed nami.

Baraz spojrzął w przód, pochylając się nisko nad ramionami Dahaka. Nagle przemknęli nad miastem - garścią świateł oblanych blaskiem księżyca. Na południowym wschodzie widać był błyszczącą taflę wielkiego jeziora. Baraz zlustrował wzrokiem przesuającą się pod spodem ziemię, szukając...

Jest! - ucieszył się, dojrawszy obóz rozświetlony setkami ognisk. Przed namiotami wisały lampy, a długie szeregi pochodni znaczyły ulice obozowiska. Stworzenie jednak leciało dalej, obóz zniknął z tyłu, zasłonięty pasmem wzgórz. Baraz obejrzał się za siebie, widział tylko długie ogon i lotki.

Co? Powinniśmy chyba wylądować!

Spojrzał ponownie do przodu. Stworzenie rozpostarło szerzej ogromne skrzydła i zaczęło zniżać się nad ziemią w powolnym, spiralnym locie. Bezpośrednio pod nimi leżał nagi, skalisty szczyt góry. Podmuch powietrza rozproszył suche liście i kurz, gdy stworzenie wylądowało delikatnie na swych długich nogach. Potem przechyliło się lekko na bok i złożyło skrzydła wzdłuż długiego, pomarszczonego ciała.

Dahak spojrzął przez ramię na swego towarzysza. Baraz rozpiął już sprzączki, które utrzymywały go w uprzęży. Odyniec przerzucił przez ramię ciężką torbę, a potem zrzucił na ziemię dwa wiklinowe kosze, które leżały za nim. Czarownik także zaczął rozpinać uprząż, choć z mniejszym zapalem. Ręce drżały mu lekko ze zmęczenia. Tymczasem Baraz zsunął się z owłosionego grzbietu *byakhee* i opadł ciężko na ziemię. Potem sięgnął w górę i ściągnął zawiniątko z bronią, na którym siedział podczas lotu. Spojrzął na Dahaka i znieruchomiał.

- Dlaczego się rozpinasz? - spytał zdumiony.

Dahak westchnął i stanął na ogromnym ramieniu bestii. Ta zadrżała, czując, jak czarownik powoli uwalnia ją spod swej kontroli. Dahak był już zmęczony utrzymywaniem na wodzy woli zwierzęcia i w końcu zszedł na ziemię w taki sam sposób jak Baraz.

- Odsuń się - warknął na Persa. - Będzie mocno wiać, kiedy wystartuje.

Byakhee rozwinął swe ogromne skrzydła, przesłaniając księżyc i gwiazdy. Podniósł się wiatr, który rzucał w twarze obu mężczyzn drobne kamienie i gałązki z drzew otaczających szczyt wzgórza. Bestia zawyla posępnie i wzbija się w powietrze, by po chwili zniknąć w ciemnościach nocy. Baraz podniósł się z ziemi i splunął.

- Nie chciałem być natrętny, ale... dlaczego zostałeś ze mną?

- Król Królów rozkazuje, a ja wykonuję jego polecenia - odparł Dahak beznamiętnym tonem. - Rozkazał, bym towarzyszył ci w tej kampanii.

Baraz spojrział na zmęczoną twarz czarownika i uśmiechnął się pod nosem. *Zatem mogę jeszcze liczyć na pomoc czarownika! Mam wszystkie atuty w dłoni. Rzymianie będą się mieli z pyszna!*

Dahak owinał się szczelniej płaszczem i naciągnął kaptur na głowę.

- Obóz wielkiego księcia Szahina jest za tymi wzgórzami - powiedział czarownik, po czym ruszył na północ, między drzewa. Baraz spojrział na księżyc, a potem na południe, skąd przylecieli. Przez chwilę podkręcał w zamyśleniu wielkie wąsy, od których wziął się jego przydomek, a następnie ruszył śladem Dahaka.

Odyniec, ubrany w ciężki płaszcz okrywający zbroję z grubej skóry, podszedł do wielkiego namiotu ustawionego pośrodku perskiego obozu. Dokoła ciągnęły się długie szeregi innych namiotów, setki przysadzistych kształtów podświetlonych blaskiem lamp i pochodni. Głowa Odyńca była odsłonięta, a gęste włosy przyczesane tak, by spoczywały na ramionach niczym peleryna. Starannie przycięta została także broda, choć niełatwo było tego dokonać w mroku zalegającym poza granicami obozu. Na szczęście Dahak dał się namówić i wyczarował kulę białego światła, dzięki czemu Baraz mógł zobaczyć się w lusterku, które zawsze woził ze sobą. Swoją ulubioną miecz niósł w przewieszanej przez plecy pochwie z drewna owiniętego skórą. Dahak kuśtykał powoli za nim, posępny i rozeźlony. Czarownik skręcił nogę w kostce, kiedy schodzili w dół zbocza w ciemności. Teraz podpierał się na długiej lasce z drewna jarzębiny. Żołnierze, którzy nie położyli się jeszcze spać, zerkali z ciekawością na tę dwójkę, szybko jednak odwracali wzrok lub chowali się do namiotów.

Baraz zignorował dwóch strażników stojących przy wejściu do namiotu i przeszedł między nimi z wysoko uniesioną głową. Żołnierze nie próbowali go powstrzymać, w porę bowiem poznali swego byłego dowódcę. Nie śmieli też zaczepiać Dahaka, gdy ten obrzucił ich zimnym, posępnym spojrzeniem. Kiedy obaj już wkroczyli do wnętrza namiotu podzielonego na wiele komnat, w głównej sali zapadła nagle cisza.

- Wielmożny Szahinie. - Głos generała zabrzmiał dziwnie głucho, niczym uderzenie topora w mięso.

Szahin, zajmujący miejsce pośrodku pokoju, wstał powoli ze swego krzesła. Był to krepny mężczyzna o pociągłej twarzy i gęstej kręconej

brodzie. Wielki książę, kuzyn Króla Królów, odziany był w bogate szaty z lnu i jedwabiu. Nosił złotą przepaskę na głowie i liczne pierścienie na dłoniach. Odstawił kryształowy kielich napelniony winem i uklonił się w powitalnym geście.

- Generale Szahr-Baraz, witaj w moim namiocie. Pozwolisz, że przedstawię mych towarzyszy?

Baraz parsknął głośno, niczym odyniec. Szahin zmrużył oczy, obwiezione proszkiem węglowym. Wielki książę przyzwyczajony był do uprzejmego traktowania, nawet ze strony swych rywali, a tutaj - w otoczeniu swych popleczników i własnej armii - nie zamierzał pozwolić, by ktokolwiek go lekceważył.

- Nie ma czasu na uprzejmości, wielki książę. Wezwij swych dowódców i sprzymierzeńców, mamy wiele do zrobienia przed nadejściem świtu.

Dworzanie, którzy nie wstawali ze swych miejsc, czekając, aż wyjaśni się, kto zdobędzie przewagę w tym starciu, zachichotali, kryjąc usta i brody za wypielegnowanymi dłońmi. Baraz rzucił okiem w ich stronę i przekonał się, że namiot wypełniony jest bogato wystrojonymi mężczyznami w perfumowanych jedwabiach i błyszczących klejnotach. Ściągnął gniewnie brwi; liczba półnagich niewolnic, które wspierały się na ramionach obecnych w namiocie arystokratów, dowodziła jednoznacznie, co jest głównym zajęciem dowódców i w jakim tempie armia posuwa się w głąb terytorium wroga. Generał odwrócił się do Szahina, który patrzył nań z lekko przekrzywioną głową, niczym bocian na smakowitą zabę.

- Cieszę się ogromnie z twojej wizyty - powiedział wielki książę łagodnym głosem - ale jest już trochę późno, a ja miałem się wkrótce udać na spoczynek. Czy przynosisz jakieś wiadomości, które trzeba przekazać innym jeszcze przed wschodem słońca?

- Tak jest - odburknął Baraz. - Ale najpierw odpowiedz mi na jedno proste pytanie: czy wiesz, gdzie stacjonuje tej nocy armia plemion pustyni?

Szahin był wyraźnie zaskoczony tym dziwnym pytaniem.

- Przykro mi, ale nie - odparł, wygładzając rękaw. - Weszliśmy już głęboko w terytorium wroga, lecz na razie widzieliśmy tylko kilka nic nieznaczących śladów.

Wielki książę powrócił na sofę, z której wstał przed momentem. Tam zajęły się nim dwie niewolnice odziane tylko w półprzezroczyste jedwabie. Najwyraźniej przybycie Odyńca zmusiło Szahina do przerwania pielęgnowania dłoni. Jedna z niewolnic, z rudymi włosami spiętrzonymi na głowie niczym chmura burzowa, spojrzała bojaźliwie na Baraza, potem jednak szybko pochyliła się nad wyciągniętą ręką wielkiego księcia i sięgnęła po pilniczek.

Baraz warknął gniewnie, potem odwrócił się na pięcie i wyszedł z namiotu. Po drodze zauważył, że Dahak siedzi w rogu komnaty, jakby zu-

pełnie niedostrzegany przez całe zgromadzenie; tylko jedna z niewolnic, na jego wyraźny rozkaz, przyniosła mu miskę z pokruszonym lodem. Wyszedłszy przed namiot, generał postukał pięściami w hełmy strażników. Ci odwrócili się rozwścieczeni, spokornieli jednak, ujrawszy potężną sylwetkę Odyńca.

- Szybko, chłopcy, sprowadźcie mi tu dowódców kawalerii, piechoty i wszystkich innych oddziałów. Biegiem!

Strażnicy zaszalutowali i pobiegli w ciemność. Baraz odprowadził ich wzrokiem i mruknął do siebie:

- Wspólnie z Dahakiem możemy jeszcze wygrać...

Kiedy wrócił do namiotu, dworzanie i książę rozmawiali w najlepsze, jakby nic się nie stało. Kwartet muzyczny przygrywał cicho w rogu. Baraz poczerwiał i przeszedł przez pokój prosto do bębniarza. Ten odsunął się na bok wystraszony, gdy generał wyrwał mu instrument z rąk i uderzył weń otwartą dłońią.

- Wynoście się stąd wszyscy! Wynocha! Już! - wrzeszczał Baraz i walił z całej siły w bęben, przepychając się przez tłum dworzan, którzy przerażeni zrywali się ze swych miejsc.

- Wynocha! Wynoście się stąd wszyscy! - Odyniec przewracał stoły i rozdzielał kopniaki na lewo i prawo. Potem wyrzucił bęben z namiotu, przewracając jednego z poetów, który uciekał w pośpiechu na zewnątrz. Ten runął w proch ulicy i pozostał tam nieruchomy. Wielki książę także zerwał się na równe nogi i krzyczał na Baraza ile sił w płucach. Pozostali arystokraci i niewolnice rozbiegli się na wszystkie strony. Baraz wymierzył kopniaka ostatniemu z pijanych gości, wyrzucając go tym samym za drzwi. Generał odwrócił się w samą porę, by ujrzeć przystrojoną pierścieniami pięść zmierzającą ku jego twarzy.

Potężna dłoń Baraza przechwyciła rękę napastnika i zacisnęła się na niej niczym korzenie drzewa. Wielki książę zachłysnął się z bólu i opadł na kolana. Odyniec wypuścił jego rękę i spojrzał nań z nieskrywaną pogardą.

- Na rozkaz Chosroesa, Króla Królów, przejmuję dowodzenie nad tą armią - oświadczył grzmiącym, nieznoszącym sprzeciwu głosem. - Jeśli uważasz tę decyzję za krzywdzącą, możesz wybrać się do Ktezyfonu i porozmawiać o tym z Wielkim Królem. - Pochylił się niżej nad pobladłą twarzą księcia. - Ale nie radziłbym ci tego robić. Król nie jest ostatnio w najlepszym humorze.

- Nie wierzę ci! - Szahin podniósł się z klęczek i cofnął o krok. Wielki książę był jednym z najpotężniejszych ludzi w imperium; jego posiadłości niemal dorównywały wielkością posiadłościom Króla Królów. Stać go było na utrzymanie własnej armii, był też blisko spokrewniony z Domem Sasanidów. - Wielki Król powierzył tę kampanię mnie! Mnie, ty prostaku z lasu! Jaki masz dowód, że to rozkaz króla? Nie otrzymałem żadnej wiadomości, która by o tym mówiła!

Baraz roześmiał się prosto w czerwoną twarz wielkiego księcia.

- Posłaniec przyniósł mi te wiadomości dzisiejszego wieczora, i oto jestem. Będziesz dowodził lewym skrzydłem armii; to także jest życzenie Króla Królów. Lecz ja przejmuję dowództwo nad całą armią, księżę Szahinie, a ty masz słuchać moich rozkazów.

Szahin splunął na dywan zakrywający podłogę namiotu.

- Gdzie jest ten posłaniec? Znasz go? To jakiś królewski kurier? Masz rozkaz na piśmie? - Księżę uśmiechnął się chytrze, przekonany, że zapędził Baraza w kozi róg.

Odyniec zachichotał i odwrócił się w stronę wyjścia.

- Oto i posłaniec, wielki księżę. Kwestionujesz jego wiarygodność?

Szahin przeszedł obok Baraza, gotów ponownie wybuchnąć gniewem, obraźliwe słowa zamarzyły mu jednak na ustach, kiedy ujrzał Dahaka. Ten uśmiechnął się lekko, a ogień płonący w kryształowych lampach, które rozświetlały wnętrze namiotu, zaskwierczał nagle i zgasł. Przez chwilę w namiocie panowała całkowita cisza, przerywana tylko cykaniem świerszczy, potem w miejscu, gdzie znajdowały się oczy czarownika, zapłonęły dwa czerwone punkty.

- Mówi Król Królów - przemówił Dahak głębokim, basowym głosem. - Sprzeciwiasz się jego woli?

Szahin, oniemiały, cofnął się o krok, uderzając w szeroką pierś Baraza.

- Nie! Nie, panie, będę ci posłuszny! - Księżę padł na kolana i ukłonił się trzy razy.

Ogień na powrót zapłonął w kryształowych lampach, a namiot wypełnił się ciepłym światłem. W złowieszczą ciszę wdarły się krzyki ludzi biegnących w stronę namiotu. Dahak odwrócił głowę od dwóch mężczyzn stojących pośrodku namiotu i jakby wtopił się w kolorową płócienną ścianę.

Do namiotu wbiegło siedmiu lub ośmiu na wpół odzianych mężczyzn z mieczami i włóczniami w dłoniach. Wszyscy stanęli jak wryci, ujrawszy, że nie ma tam nikogo prócz wielkiego księcia i Odyńca; z łóżek zerwały ich krzyki „zabójcy!” i „bunt!”.

- Generale! - Dowódcy oddziałów należących do armii Szahina byli ogromnie zdumieni widokiem człowieka, który według ich informacji powinien znajdować się szmat drogi od tego miejsca. Odyniec uśmiechnął się do nich szeroko, pokazując równe rzędy białych jak śnieg zębów. Postawił jeden z przewróconych stolików, nie zwracając uwagi na owoce i dzbanki z winem porzucane po podłodze.

- Cieszę się, że was widzę, przyjaciele. Gdzie jest dowódca lekkiej kawalerii? Widzę katafraktów, włóczników, inżynierów... Kto dowodzi zwiadowcami? Tahwaz?

Kapitanowie pokręcili głowami, zerkając z ukosa na wielkiego księcia, który usiadł na swoim krześle i ocierał spocone czoło. Baraz odwrócił się w jego stronę i zmierzył go podejrzliwym spojrzeniem.

- Wielki książę? Gdzie jest dowódca lekkiej kawalerii? - Głos Baraza był zaskakująco uprzejmy.

Szahin podniósł nań błyszczące nienawiścią oczy.

- Ten żaloszny Tahwaz został miesiąc temu odesłany do Ktezyfonu. Był lekkomyślny i nieposłuszny. Wszyscy mieliśmy go dość.

Baraz wyjął usta; coś, co niepokoiło go podczas długiego zejścia z góry, stało się teraz całkiem jasne. Odwrócił się do oficerów, którzy coraz liczniej wypełniali wnętrze namiotu. - Chadamesie... ty dowodzisz kataraktami; czy w tej armii jest jakaś lekka kawaleria?

Dowódca ciężkiej konnicy pokręcił ze smutkiem głową.

- Zatem nie macie żadnych zwiadowców, tylko garść strażników wokół obozu? - upewnił się Odyniec. - Czy tak to wygląda, odkąd armia opuściła Antiochię?

Kapitanowie wzruszyli ramionami, a Chadames spojrzał prosto w oczy swego byłego dowódcy.

- Nie, generale Baraz, maszerowaliśmy w ciasnym szyku, osłaniany przez moich ludzi. Nie widzieliśmy jak dotąd wroga... Może nie wyruszył jeszcze z Damaszku... - Jego głos ucichł nagle, gdy Baraz założył ręce do tyłu i przeszył go lodowatym spojrzeniem. Pozostali oficerowie opuścili głowy ze wstydem.

- Nieprzyjaciel jest zaledwie kilka mil stąd - mówił Baraz swobodnym, niemal towarzyskim tonem - za wzgórzami na południu. Biorąc pod uwagę, że ma do swej dyspozycji całą chmurę bandytów, możecie być pewni, że zna każdy wasz ruch, dokładną liczbę waszych ludzi i temperaturę kaszy, którą jedliście na kolację. Widziałem jego obóz i wiem, że jego armia jest równie liczna jak nasza, może nawet większa.

Gorzki śmiech Szahina przerwał wypowiedź generała. Wielki książę wstał ze swego miejsca, najwyraźniej odzyskawszy zwykłą pewność siebie.

- Wielkość jego armii nie ma znaczenia, generale. Nasza ciężka jazda rozniesie wszystko, co może nam przeciwstawić podczas bitwy. Nie ma takiej siły jak my, nie może stawić nam czoła w otwartej bitwie!

Baraz nawet nań nie spojrzał.

- Nie widzieliście jeszcze nieprzyjaciela, bo zastawił na was pułapkę. To on chce wybrać miejsce i czas walki, czyha tylko na dogodną okazję. Do tej pory zadowolony się zabijaniem waszych zwierząt i porywaniem waszych kobiet. Co stało się z łucznikami Lakmidów i włócznikami Tahwaza? Mogą nam jeszcze oddać niejedną przysługę... O co chodzi?

Tym razem kapitanowie nie kryli już swego niezadowolenia. Chadames westchnął ciężko i oświadczył:

- Doszło do sporu o zapłatę, generale. Lakmidzcy najemnicy nie są już z armią. Kiedy widziałem ich po raz ostatni, stacjonowali w Aretuzie.

Baraz zacisnął dłonie w pięści i odwrócił się do Szahina. Ten cofnął się o krok, potem jednak uniósł dumnie głowę.

- Wodzowie Lakmidów nie dostali zapłaty?

- Zażądali dwa razy więcej, niż było uzgodnione! Nie pozwolę, by jacyś brudni wieśniacy okradali imperium! Nie potrzebujemy ich, sprawiali nam tylko same kłopoty! Kazałem im wracać do domu, a oni to zrobili.

W rogu namiotu rozległ się gorzki śmiech. Kapitanowie odwrócili głowy w tę stronę, zdumieni obecnością jeszcze jednej osoby, a potem cofnęli się przestraszeni, ujrawszy szczupłą, ciemną postać czarownika, znaną im z wielu plotek i przerażających opowieści.

- Żaden wódz nie pójdzie tam, gdzie każe mu iść wyperfumowany elegant, wielki książę. Jeśli pozwoliłeś odejść kilku tysiącom lakmidzkich wojowników, możesz być pewny, że ci odebrali już swoją zapłatę, pustosząc ziemie, które uważałeś za swoją zdobycz. - Dahak mówił szepem, lecz jego głos docierał do wszystkich obecnych w namiocie i prznikał ich zimnym dreszczem.

Szahin spałowiał, nie ośmielił się jednak spierać z czarownikiem.

- Dość - warknął Baraz, rozwścieczony. - Chadamesie, wybierz najszybszych ze swoich ludzi. Zbierz zapłatę, którą obiecano Lakmidom i trzy razy tyle, i załaduj to wszystko na konie. Wyślij zaufanego człowieka do Aretuzy. Powiedz lakmidzkim wodzom, że ja, Szahr-Baraz odwołuję się do ich honoru i wzywam ich do udzielenia pomocy imperium. Powiedz im... powiedz im, że jeśli dojdzie do walki, Tanuchowie będą ich. Powiedz, że obiecuje im to Szahr-Baraz!

- Tak jest, generale. Wyślę do nich mojego bratanka, Bahrama.

Dowódca ciężkiej kawalerii ukłonił się nisko i wyszedł z namiotu.

Odyniec odwrócił się do pozostałych oficerów i przywołał do siebie.

- Musimy się wycofać, i to szybko. Ludzie pustyni czekają na nas w pułapce, a my musimy mieć trochę miejsca i swobodę ruchów. Wszyscy żołnierze muszą być gotowi do wymarszu na północ, i to przed świtem. Sytuacja jest trudna, ale jeśli się pospieszymy, możemy jeszcze wygrać tę partię... - Baraz przerwał nagle, a w jego oczach pojawił się chytry błysk. Odwrócił się do Szahina. - Przede wszystkim musimy zostawić tu ten namiot i wszystko, co w nim jest. Nie zabierzemy stąd ani jednego przedmiotu, tak jak nie zabierzemy namiotu twoich towarzyszy i powierników.

Szahin miał już wybuchnąć gniewem, powstrzymał się jednak, gdy Baraz uniósł rękę.

- Sprowadziłeś na armię imperium wielkie niebezpieczeństwo, książę. Teraz musisz zapłacić za swą lekkomyślność. Idź, poprowadzisz jeźdźców, którymi dowodził zaufany oficer Chadamesa.

Szahin rozejrzał się dokoła, nie znalazł jednak żadnego poparcia wśród swoich oficerów. Wreszcie wyszedł z namiotu, czerwony z bezsilnej złości. Gdy w końcu zniknął za drzwiami, Baraz odetchnął z ulgą. Miał jeszcze dużo do zrobienia.

- Ty, chłopcze. Jak się nazywasz? •

Jeden z kurierów, należących do służby Szahina, wystąpił przed szeregiem, wyraźnie speszony. Był bardzo młody, miał co najwyżej szesnaście lat, i wyglądał na członka któregoś z pustynnych plemion. Przez moment Baraz zastanawiał się, co skłoniło go do służby w armii Króla Królów. Nieważne, pomyślał, natychmiast o tym zapominając.

- Chalid, panie generale.

- Chalidzie, mam dla ciebie trzy zadania. Po pierwsze, przyprowadź mi konia Szahina. Jeśli stajenni będą ci robili jakieś kłopoty, powiedz, że to rozkaz Odyńca. Po drugie, przynieś tu sztandar i płaszcz wielkiego księcia. Po trzecie, pomimo tego, co przed chwilą powiedziałem, zabierzemy na północ jeden wóz: dobrze resorowany, wysoko zawieszony i osłonięty ze wszystkich stron. Pojedzie nim mój przyjaciel, który przez jakiś czas nie może szybko chodzić.

Chalid zerknął na Dahaka, który przyglądał się w milczeniu oficerom zgromadzonym w namiocie, i przełknął ciężko.

- Tak jest, generale! Natychmiast się tym zajmę! - Chłopiec obrócił się na pięcie i wybiegł z namiotu.

- Dobrze, a wy powiedzcie mi, w jakim stanie są poszczególne oddziały...

Dahak odprowadził chłopca spojrzeniem. Wprawdzie wydawało się, że beczynnym drzemie w kacie, w rzeczywistości jednak jego umysł pracował na pełnych obrotach. Choć w obozie trwała gorączkowa krzątanina i choć tysiące żołnierzy wybiegało z namiotów, by pozbierać swój sprzęt i przygotować się do wymarszu, czarownik okrył całe to zamieszanie pozorem spokoju i nocnego odpoczynku. Tanuchowie, zwiadowcy, ukryci na wzgórzach wokół obozu nie mogli zauważyć niczego podejrzanego, a Dahak skupił całą wolę na podtrzymaniu tego fałszywego obrazu.

DZIELNICA ORMIAŃSKA, TAURIS

\ I est tam, pani, tak jak mówiłem.
^"/ Thyatis zignorowała drobnego człowieka o ospowatej twarzy. Podczołgała się na skraj kopuły i wyjrzała za krawędź obwiedzonego zdobieniami dachu. Czerwone dachówki pod jej rękami były gorące od południowego słońca. Trzydzieści stóp niżej leżała wąska brukowana uliczka. Po drugiej stronie uliczki wznosił się biały ceglany mur, wysoki na co najmniej dwadzieścia stóp. Wzdłuż górnej krawędzi muru ciągnęły się rozstawione w równych odstępach otwory strzelnicze. Z miejsca, gdzie leżała Thyatis, mogła się przyjrzeć dokładnie wiszącemu ogrodowi po drugiej stronie muru. Ogród zbudowany został na dachu potężnej budowli, w której niegdyś mieściła się rezydencja gubernatora

miasta. Teraz dach porastały drzewa owocowe, krzaki róż i tysiące kolorowych kwiatów. Pośrodku ogrodu szemrała cicho niewielka fontanna.

Thyatis nie zwracała uwagi na te wszystkie cuda. Za szeregiem krzewów różanych wznosił się drugi mur, wysoki ledwie na kilka stóp, za którym leżało centralne podwórze budynku. Podwórze wybrukowane było czerwonymi cegłami. Otaczające je mury także zbudowano z cegły, choć teraz przykrywała je warstwa białego tynku. Na jego powierzchni widać było zarysy miejsc, w których niegdyś znajdowały się okna i łukowate przejścia, teraz dokładnie zamurowane. Pozostały tylko pojedyncze drzwi prowadzące na podwórze. Przy drzwiach stał samotny mężczyzna, z głową ukrytą w cieniu dachu. Mężczyzna trzymał przed sobą wyciągnięte ręce, między którymi pobłyskiwały ogniwa metalowego łańcucha.

- Nikos! - szepnęła Thyatis. Nie wierzyła kuzynowi Bagratuniego, kiedy ten opowiedział im o Rzymianinie więzionym w Starym Pałacu. A jednak mówił prawdę. Obserwowała go przez jakiś czas, aż na podwórze wyszło dwóch strażników, którzy wprowadzili go z powrotem do budynku. Thyatis odczołgała się od krawędzi dachu, a potem, pochylona przebiegła, do szybu wentylacyjnego. Tędy właśnie wspięła się na dach świątyni Pana Światła, prowadzona przez małego Ormianina.

Zatrzymawszy się przy szybie, pociągnęła dwukrotnie za linę niknącą w ciemności. Po chwili poczuła dwa mocne szarpnięcia z dołu i nakażała Ormianinowi gestem, by zszedł pierwszy. Ten skinął głową i zniknął w mrocznym wnętrzu szybu, a Thyatis ociekając potem, czekała na kolejne szarpnięcie. Słyszała śpiew kapłanów Ahura Mazdy dochodzący z okien świątyni. Miała nadzieję, że alkoholicy nie wymykają się na dach, by uciec przed uciążliwymi obowiązkami. Wsunęła się do szybu i oparła stopy na ścianie. Ujęła linę w obie dłonie i ruszyła w dół ciasnego tunelu.

Niebo nad jej głową skurczyło się do rozmiarów małego niebieskiego kwadratu, a potem całkiem zniknęło, gdy zeszła do podziemi świątyni. Otoczyła ją wilgotna ciemność i smród brudnej wody. Jej buty zanurzyły się w strumieniu ścieków; gdy tylko stanęła pewnie na obu nogach, pochyliła się i weszła do niskiego tunelu z trójkątną apsydą. Straszliwy smród zatykał jej nozdrza, zdołała jednak doczołgać się na drugą stronę i przejść przez otwór wybity w ścianie. Mocne ręce pomogły jej przecisnąć się przez wąską szczelinę.

Poklepała Jusufa po ramieniu i dała mu znak, by prowadził. Bułgar skinął głową i ruszył w dół tunelu, stąpając po wąskiej półce ciągnącej się wzdłuż ściany. W dole płynął strumień ciemnej wody, pokrytej grubym kożuchem brudu. Odór był naprawdę trudny do zniesienia, Thyatis zatkaną jednak nos i ruszyła za Jusufem. Wiedziała, że wkrótce znów będzie mogła spokojnie oddychać.

Bułgarzy tłoczyli się na małym strychu, w którym Thyatis mieszkała już od tygodnia. Niższe poziomy duży ceglany dom zajęte były przez Nieśmiertelnych Odyńca, których zakwaterowano w dzielnicy ormiańskiej. Właściciele zmuszeni byli przenieść się na górę, na niewykończone jeszcze ostatnie piętro i strych. Persowie większość czasu spędzali na picu i hulankach, nikt więc nie zauważył, kiedy miejsce rodziny stopniowo zajmowali ludzie Thyatis i kuzyni Bagratuniego. Bułgarzy wybili nowe wejście, z dachu prosto na strych, i poruszali się głównie nocą, chyba że musieli coś załatwić jako formalni właściciele domu.

Sufit strychu był dość niski, wsparty na belkach z niewykończonych bali drewna. Thyatis siedziała w rogu pomieszczenia, obok małego okna, przez które do wnętrza wpadała odrobina świeżego powietrza. Słońce chyliło się już ku zachodowi.

Thyatis nakreśliła mapę w warstwie kurzu na podłodze.

- ...więzień jest w budynku po drugiej stronie ogrodu. Chcę go stamtąd wyciągnąć, żywego i całego, zanim cokolwiek mu się przydarzy. Niestety, Nikos zna tajne rozkazy mojego cesarza, więc jeśli go złamię, wszyscy będziemy mieli kłopoty.

Jusuf westchnął i pochylił się do swego brata, Dahwosa, który kucnął obok niego.

- Widzisz? - przemówił małym głosem Bułgar. - Ona zabije nas wszystkich...

Sahul posłał mu gniewne spojrzenie, a potem odwrócił się z powrotem do Thyatis.

- Mam plan, jak go stamtąd wydostać - kontynuowała Thyatis. - Jeśli bogowie pozwolą, zrobimy to tak, by Nikos był nie tylko żywy i cały, ale także by nikt przez jakiś czas nie zauważył nawet jego nieobecności.

Thyatis roześmiała się, ujrawszy kwaśną minę Jusufa. Wiedziała, że nie będą chcieli jej uwierzyć. Wymyśliła ten plan, leżąc niemal przez cały dzień na dachu naprzeciwko starego pałacu. Szanse na całkowity sukces były niewielkie, większe jednak niż wówczas, gdyby zaatakowała pałac od podwórza i próbowała zabić wszystkich w środku. Według ostatnich wyliczeń Bagratuniego w mieście stacjonowało prawie dwa tysiące Nieśmiertelnych, a ona miała do dyspozycji dwunastu ludzi.

- By tego dokonać, potrzebujemy trzech rzeczy, a żadna z nich nie jest łatwa do zdobycia. Po pierwsze, musimy znać rozkład wewnętrznego budynku. Bagratuni?

Mały Ormianin wzruszył ramionami i podrapał się po nosie.

- Pani, córka siostry mojego kuzyna wiele ryzykowała, przekazując nam wiadomość, że w więzieniu jest Rzymianin! Jeśli poprosimy ją o coś jeszcze, może się załamać. Jest młoda i nie ma tak silnej woli jak siostra mojego kuzyna. - Bagratuni umilkł na chwilę, zastanawiając się. - A może - przemówił po chwili - spróbowałibyśmy przekupić jakiegoś strażnika albo sługę?

Thyatis pokręciła głową.

- Nie, nie mamy czasu na to, by szukać kogoś, kto jest dość słaby, by wziąć od nas pieniądze, i dość uległy, by nie zażądać więcej albo nie donieść o tym swoim przełożonym. Najpóźniej za cztery dni musimy być gotowi do działania. - Westchnęła ciężko: nie znając rozkładu pomieszczeń w budynku ani liczby i posterunków strażników, nie mieli praktycznie żadnych szans.

- Jak wysoka jest córka siostry twojego kuzyna? - spytała. - Czy nosi chustę na twarzy, kiedy jest w budynku?

Bagratuni uśmiechnął się krzywo i pokręcił głową.

- Jest prawie o stopę niższa od ciebie, pani. Ma brązowe włosy i nosi chustę. Ale nie jest ani trochę do ciebie podobna!

Sfrustrowana Thyatis stuknęła czubkiem noża o podłogę.

- Gdyby tylko był tu Anagatios... - mruknęła. - Nieważne. Porozmawiaj z tą dziewczyną, Bagratuni, spróbuj delikatnie wypytać, czy nie zechciałyby pomóc nam jeszcze raz...

- Kto to jest Anagatios? - Głos Jusufa był cichy, lecz jego ton kazał Thyatis spojrzeć na Bułgara z uwagą. Jusuf przyglądał się jej spod na wpół uchylonych powiek. Thyatis jęknęła w duchu - tego jej tylko brakowało, podejrzeń i zazdrości ze strony towarzyszy.

- Przyjaciel - odparła cierpko. - Niemy Syryjczyk, który zajmował się kiedyś teatrem. Był dość niski i dość szczupły, by uchodzić za dziewczynę, a potrafił się tak pomalować, że nikt nie rozpoznałby w nim mężczyzny. Zginął w drodze do Tauris. Zadowolony?

Jusuf pochylił głowę i nie odpowiedział.

Sahul postukał palcem w podłogę, chcąc zwrócić na siebie uwagę Thyatis. Miał dziwną minę.

Rzymianka spojrzała nań z zainteresowaniem.

- O co chodzi, Sahulu?

Bułgar wskazał na swoich braci, choć tylko Dahwos zwracał nań uwagę. Thyatis patrzyła, jak jego palce układają się w różne znaki; już od wielu dni próbowała nauczyć się je rozszyfrowywać.

Najmłodszy z braci przyglądał się temu przez chwilę ze skupieniem, potem skinął głową i uśmiechnął się szeroko.

- Mój brat mówi, że widział niemego aktora na targowisku przy północnej bramie. Jest bardzo zręczny, żongluje i robi różne sztuczki. Sahul mówi, że to jakiś cudzoziemiec i że przyjechał do miasta kilka dni temu. Mówi też... - Dahwos przerwał na moment, by odczytać resztę wypowiedzi swego brata - ...że jest bardzo ładny i mógłby udawać dziewczynę.

Thyatis gwizdnęła przeciągle. *Czy to możliwe? Nie, to musiałby być jakiś niesamowity zbieg okoliczności. Ale może ten cudzoziemiec spisałby się równie dobrze jak Anagatios...*

- Znajdź tego aktora i przyprowadź go do mnie. Bagratuni, zabierz swoich kuzynów na spacer.

Mały Ormianin uśmiechnął się od ucha do ucha, a potem zniknął w otworze prowadzącym na niższy poziom.

Thyatis poprosiła gestem, by trzej bracia bliżej się do niej przysunęli.

- Sahulu, twoje zadanie jest najtrudniejsze. Będziesz musiał opuścić miasto i maksymalnie się od niego oddalić. Potrzebuję...

Każdy z braci otrzymał jakieś zadanie. Choć żaden nie wyglądał na zachwyconego, Dahwos i Sahul oddalili się bez słowa sprzeciwu. Tylko Jusuf został przy Thyatis, jak zawsze gotów do sporu.

- To się nie uda - rzekł. - Musisz być szalona, jeśli naprawdę wierzysz, że oni niczego nie zauważą. Jest za to całkiem prawdopodobne, że wszyscy ludzie, których zabierzesz ze sobą do Starego Pałacu, zginą albo zostaną pojmani.

Thyatis uśmiechnęła się do niego i wskazała na okno gałązką, której używała zwykle do rysowania.

- Za pięć dni - powiedziała - księżyc będzie w nowiu. Bagratuni twierdzi, że perscy kapłani ognia mają wtedy wielką uroczystość. Wszystkie ważniejsze osobistości z miasta i garnizonu będą wtedy w świątyni. Strażnicy w więzieniu na pewno trochę sobie pofolgują, kiedy zostaną bez nadzoru oficerów. To nasza najlepsza szansa. Jeśli się uda, a wierzę, że się uda, nasza sytuacja ogromnie się poprawi.

- A ty odzyskasz swojego przyjaciela! - warknął Bułgar. - Ile on jest dla ciebie wart? Czy naprawdę jest taki dobry? - Głos Jusufa aż drżał z emocji.

Thyatis skrzywiła się, zirytowana jego insynuacjami.

- Nikos był moim zastępcą prawie przez dwa lata. Traktuję go jak członka rodziny. Co zrobiłbyś, gdyby to Dahwos czy Sahul byli w tym więzieniu, hm? Pozwoliłbyś, żeby Persowie biczowali Dahwosa albo przypalali go rozżarzonym żelazem? Gdyby zdarzyło się coś takiego, zamartwiałybyś się teraz, że cztery dni opóźnienia mogą kosztować ich życie.

Przesunęła się do przodu i kucnęła twarzą w twarz z Bułgarem. Otaczał go ostry, intensywny zapach koni, potu, żelaza i krwi. Jusuf patrzył jej prosto w oczy, równie mocno rozgniewany jak ona. Thyatis pochwyciła go nagle za włosy i przechyliła jego głowę.

- Czy pozwoliłbyś swoim braciom - szeptała mu prosto do ucha - położyć głowę pod topór, byle tylko ocalić swą cenną skórę?

Jusuf zadrżał zaskoczony jej bliskością i odepchnął ją od siebie. Thyatis opadła na pięty i roześmiała się gorzko. Bułgar odwrócił się od niej i nie powiedziawszy ani słowa, opuścił strych. Thyatis odczekała chwilę, a potem sama wsunęła się w otwór w suficie. Słońce zniknęło już za górami na zachodzie, zostawiając tylko długie pasma czerwieni i fioleto na niebie.

Odziana od stóp do głów w czarną szatę, kaptur i chustę na twarzy, Thyatis stała ukryta w wąskiej uliczce odchodzącej od północnego tar-

gowiska Tauris. Uliczka była chłodna i mroczna, gdyż setki ubrań, rozwieszonych na linach rozpiętych między budynkami, skutecznie blokowały blask słońca. Bagratuni, ubrany w spodnie, koszulę i kamizelkę charakterystyczną dla niższych warstw Ormian, siedział na stopniach przy wejściu do budynku. Na kolanach trzymał koc, na którym leżały tanie miedziane ozdoby.

- I jak? - spytała Thyatis głosem przytłumionym przez grubą warstwę ubrań.

- Wcale nie mam stąd dobrego widoku, to kiepskie miejsce! Widzę, co się dzieje w głębi ulicy tylko wtedy, kiedy nikt nie stoi mi na drodze. - Odchrząknął i zaczął wołać. - Bransoletki! Bransoletki miedziane, piękne i tanie! - Dwie roześmiane Ormianki minęły wreszcie Bagratuniego, odsłaniając widok na plac.

- Aha, teraz go widzę! Odgrywa jakąś sztukę - zdawał relację mały Ormianin. - Udaje chyba żeglarza; a teraz jest zawstydzoną panienką. Ten facet jest naprawdę dobry! Żeglarz daje dziewczynie bransoletę. No tak, a teraz jest dziewczyną i bierze bransoletę od żeglarza. Nie widzę żadnego z moich kuzynów... O, a teraz jest jakimś skąpcem, chce, żeby dziewczyna z nim poszła.

Thyatis niecierpliwie stuknęła stopą o bruk. Sztuka, w której jeden aktor musiał odgrywać wszystkie role, przeciągała się w nieskończoność. Bagratuni opowiadał jej na bieżąco przebieg wydarzeń. Wciąż nie widział swoich kuzynów.

- Jeśli to jest Anagatios, osobiście obedrę go ze skóry... - Thyatis traciła już cierpliwość. Brakowało tylko tego, żeby na ulicy pojawił się jakiś tutejszy odpowiednik edyla i zobaczył ją w tym przebraniu. Zamknęliby ją w więzieniu za prostytutkę, bez dwóch zdań...

- Pani, chyba już skończył. Tak, ludzie dają mu jakieś monety. Kłania się, robi salto, znowu się kłania... o, są wreszcie moi kuzyni. Aj... jest naprawdę szybki, ale nie zdążył, złapali go za obie ręce. Już go tu prowadzą.

Bagratuni przesunął się na skraj schodów, przytrzymując koc z ozdobami na kolanach.

- Jak myślisz, co to była za sztuka? - spytał, spoglądając przez ramię na Thyatis.

- Patrz przed siebie! Wygląda mi to na „Dziewczynę z Miletu”, co pasowałoby do Anagatiosa. Tak, ta sztuka to świetny sposób na sprowokowanie Persów i trafienie prosto za kratki.

Dwaj kuzyni Bagratuniego wepchnęli aktora do bramy, wymierzyszy mu uprzednio kilka łagodnych kuksańców, które miały nauczyć go pokory. Aktor, uwolniwszy się wreszcie z objęć dwóch potężnie zbudowanych mężczyzn, otrząpiał ubranie, a w jego dłoni pojawił się nagle nóż o ząbkowanym ostrzu. Thyatis zrobiła krok do przodu i uniosła rękę. Mężczyzna pochylił się i namacał piętą ścianę za swymi plecami.

Bagratuni przesunął się z powrotem na środek schodów prowadzących do bramy.

- Aktorze, co masz do powiedzenia swoim krytykom?

Mężczyzna podniósł raptownie głowę, ukazując śniade oblicze o szczupłym nosie, wysokich kościach policzkowych i brązowych oczach. Nóż zachwiał się w jego dłoni. Thyatis powoli ściągnęła chustę z twarzy. Syryjczyk wyszczerzył zęby w szerokim uśmiechu, a potem uklonił się nisko, przykładając głowę do ziemi bez uginania kolan. Nóż zniknął w jego rękawie. Thyatis podeszła doń i uściskała go mocno.

- Witaj, stary przyjacielu - powiedziała ciepło. - Myślałam już, że nie żyjesz.

Anagatios pokręcił głową, lecz jego oczy były smutne. Palcami nakreślił w powietrzu kilka znaków, a Thyatis westchnęła. *Udało mi się uciec. Czekałem ukryty w krzakach, aż żołnierze odejdą. Nie widziałem, żeby prowadzili jakichś jeńców. Przykro mi.*

Nieważne - odpowiedziała w ten sam sposób. - *Mamy mało czasu. Musisz nam pomóc.*

Syryjczyk uśmiechnął się ponownie, odsłaniając lśniące białe zęby. Thyatis odpowiedziała mu uśmiechem.

Thyatis, ubrana tylko w bawełniane przepaski okrywające biodra i piersi stała w głębokiej do ud wodzie płynącej rwącym strumieniem

Iw dół kanału. Jusuf i dwaj inni Bułgarzy, odziani tylko w krótkie spodniczki, stali kilka stóp dalej. Zawieszona pod sufitem lampa oświetlała ich głowy i grubą belkę, którą trzymali na ramionach. Thyatis pochwyciła koniec belki, dając im w ten sposób znak, by się zatrzymali. Sahul obejrzał się przez ramię, a potem zagwizdał. Gwizd powtórzony został w głębi tunelu.

Szum ścieków zagłuszał niemal wszystkie dźwięki, jakie wydawało trzydziestu ludzi poruszających się w tunelu. Zatrzymawszy cały pochód, Thyatis sięgnęła nad głowę i odszukała ciężką skórzaną opaskę zawieszoną na końcu długiej liny. Pochwyciła ją mocno i przesunęła na poziom belki. Wiedziała, że Bagratuni i jego kuzyni, ukryci w oknach świątyni, obserwują w napięciu, jak lina przesuwa się przez bloczki umocowane na ciężkiej drewnianej ramie na szczycie szybu. U pasa Thyatis wisała ciężka skórzana torba wypełniona żelaznymi prętami. Rzymianka przeciągnęła jeszcze dalej skórzaną opaskę i założyła ją na koniec belki, który wcześniej został przyciosany toporem na kształt krzyża.

- Czy to nie przesada? - syknął Jusuf, poprawiając ciężką belkę na ramieniu. - Wystarczyłaby przecież zwykła drabina.

- Drabina na ulicy budziłaby podejrzenia - odparła Thyatis, kręcąc głową. - W ten sposób wejdziemy i wyjdziemy niezauważeni. Minie kilka dni, a może nawet tygodnie, nim strażnicy zorientują się, że coś jest nie tak.

Gdy tylko skórzana obręcz znalazła się za nacięciem, Thyatis sięgnęła do torby i wyjęła żelazny pręt. Jeden koniec pręta zakończony był tępym stożkiem, drugi zaś szeroką główką. Thyatis wepchnęła zaostrowany koniec w jeden z dwóch otworów wywierconych w przyciętej końcówce belki. Pręt utkwił w połowie drogi, a Thyatis zakłęła pod nosem, zirytowana niezaplanowanym opóźnieniem. Klepnęła Jusufa w ramię, a potem podeszła do niewielkiej półki ciągnącej się wzdłuż ściany kanału. Woda była zimna, i Thyatis czuła, jak powoli zaczynają drętwieć jej nogi.

- Ty po prostu nie lubisz prostych rozwiązań, co? Naprawdę, stara, dobra drabina...

Thyatis zignorowała go, sięgnęła po drewniany młotek, odłożony wcześniej na półkę, i wróciła z nim do belki. Trzej mężczyźni przytrzymujący belkę zaparli się stopami o ścianę kanału, a Thyatis uderzyła kilkakrotnie w pręt, aż jego główka oddalona była od drewna na szerokość dłoni. Zaostrowany koniec wystawał mniej więcej na taką samą długość po drugiej stronie belki. Thyatis pochyliła się, weszła pod belkę i w ten sam sposób wbiła drugi pręt; oba pręty ułożone były względem siebie pod kątem prostym. Pociągnęła za linę, a ukryty na górze Bagratuni odsłonił lampę wystawioną nad skraj szybu. Thyatis dojrzała dwa mignięcia.

- Gotowe! - syknęła do trzech mężczyzn, a ci przesunęli się tak, by koniec belki znalazł się tuż za otworem w suficie kanału. Thyatis pociągnęła trzykrotnie za sznur, a ten naprężył się w jej dłoni.

- Połóżcie to - rozkazała trójce mężczyzn. Jusuf skinął na pozostałą dwójkę, a ci powoli opuścili belkę z jednej strony, kładąc ją na wodzie. Skórzana obręcz przesunęła się do przodu i zatrzymała na żelaznych bolcach, przytrzymując drugi koniec belki w powietrzu. Z góry dobiegło ciche skrzywienie. Thyatis położyła ręce na belce, by wprowadzić ją w otwór. Lina naprężyła się, przejmując cały ciężar drewna, a potem belka zaczęła się powoli podnosić. Thyatis i jej towarzysze wprowadzili pal do szybu, a potem patrzyli, jak znika w ciemności nad ich głowami.

- Przygotujcie następne - powiedziała Thyatis do Jusufa, wręczając mu torbę z prętami i młotek. - Jak się nad tym zastanowić, mój bułgarski przyjacielu, to możemy jeszcze wykorzystać te słupy do wielu innych celów.

Jusuf spojrzał na nią ze zgrozą.

- Mamy przenosić je z powrotem? - spytał, podnosząc głos niemal do krzyku.

Thyatis obdarzyła go spojrzeniem, które mogłoby stopić brąz, i wskazała ręką w głąb tunelu.

Jusuf wzruszył ramionami i odszedł, by przygotować do podniesienia kolejne dziewięć belek, które wcześniej pod osłoną nocy zostały spławione rzeką do służby miejskiej, a potem wciągnięte do kanałów. Błoczeki w górze zaskrzypiały głośniejsze, a Thyatis zaczęła się martwić, że usły-

szy je ktoś w świątyni. Odruchowo sięgnęła do rękojeści miecza, ten jednak leżał w zawiniątku, wraz z jej innymi rzeczami, na górze szybu. Usłyszała nad sobą jakiś hałas i odskoczyła na bok, kiedy z ciemności wyleciała płócienna torba wypełniona piaskiem i wpadła z chlupotem do wody. Thyatis zaklęła i otarła z twarzy lepką ciecz.

- Szybko, do haka! - zawołała, sięgając po linę. Ta zadrżała w jej ręce, wciąż mocno naciągnięta. Dwaj mężczyźni rzucili się do przodu i pochwycili torbę obwiązaną liną, na której zawieszony był hak.

- Jest!

Lina zwiotczała, a mężczyźni szybko rozplatali węzeł na kołnierzu torby. Z jej wnętrza wysypał się piasek, niesiony mocnym prądem wody. Thyatis czuła, jak ostre ziarna ocierają się o jej nagą skórę.

Lepsze to niż szczury, pomyślała. Wypuściła linę, zastanawiając się, czy Bagratuni i jego towarzysze będą wystarczająco domyślni, by opuścić skórzaną obręcz powoli, a nie zrzucić jej na głowę. Chwilę później z otworu wysunęła się pusta obręcz.

- Przynieście następną - zawołała. Z ciemności wyszło trzech mężczyzn, niosących kolejną belkę, zaopatrzoną już w żelazne pręty.

- Bliżej - przywołała ich, podciągając obręcz. Nogi zdrętwiały jej aż do ud.

- Widać coś? - spytała szeptem Thyatis spod czarnej chusty okrywającej jej twarz. Sahul, który kucał obok niej na dachu świątyni, pokręcił głową. Rzymianka skrzywiła się i odsunęła od krawędzi dachu. Na ulicy poniżej panowała całkowita cisza. Chwilę wcześniej przebiegli tędy dwaj bratankowie Bagratuniego, którzy pogasili wszystkie lampy w pobliżu świątyni. Teraz w dole zalegały niemal całkowite ciemności. Thyatis westchnęła i odwróciła się do Jusufa i Bagratuniego, przyzywając ich gestem. Ci przeczołgali się przez dach, dołączając do niej i Sahula.

Na ciemnym jak atrament niebie widać było tylko migoczące klejnoty gwiazd. Ludzie przyczajeni na dachu, odziani od stóp do głów w czerń, byli w tych warunkach praktycznie niewidzialni. Zdradzały ich tylko dłonie, jaśniejsze plamy w ciemności. Ormianie posmarowali sadzą nawet i tę część ciała.

W głębokiej ciszy nocy słychać było śpiewy dochodzące z wnętrza świątyni Ognia. Wcześniej Thyatis obserwowała, jak do budynku świątyni wchodzi ponad dwustu perskich notabli z żonami, konkubinami i dziećmi. Trzask ognia płonącego na wielkim palenisku pośrodku świątyni sięgał nawet małych okienek wykutych wysoko, niemal pod dachem budynku. Ludzie Thyatis zgromadzili się wokół niej, kucając w ciasnym kręgu.

- Anagatios nie wrócił z wyprawy do Starego Pałacu - szeptała. - Nic nie świadczy o tym, że ktoś go złapał, więc albo Persowie są spryt-

niejsi, niż przypuszczałam, albo zdarzyło się coś, co zmusiło go do pozostania w budynku. Dzisiaj mamy najlepszą szansę, więc nie będziemy już dłużej czekać.

Jusuf pokręcił głową z powątpiewaniem, uspokoił się jednak, kiedy Thyatis spojrzała nań gniewnie.

- Czy pierwszy pomost jest już gotowy? - spytała, zwracając się do Sahula.

Bułgar skinął głową.

- Dobrze, wysuwajcie go.

Sahul przebiegł na czworakach przez dach, trzymając się trasy ułożonej z koców, które miały tłumić ich kroki. Zatrzymał się przy pierwszej belce i dał znak przyczajonym obok mężczyznom, by zaczęli. Dwaj ludzie, którzy czekali dotąd cierpliwie na szczycie dachu, podnieśli ciężką drewnianą ramę z wyciętym na górze półkolem. Mężczyzna po lewej sięgnął do stojącego obok skórzanego wiadra, zaczerpnął garść smaru i pokrył nim wewnętrzną część półkola. Kiedy przygotowywał prowadnicę, zespół dwunastu mężczyzn podniósł z dachu pierwszy słup. Sahul przeszedł wzdłuż długiego na trzydzieści stóp pala, sprawdzając, czy wszystkie części połączone są żelaznymi prętami.

Słup składał się z czterech krótszych pali długości ośmiu stóp, które wciągnięte zostały na dach z kanału i połączone ze sobą. Każde nacięcie na końcu pala miało taki kształt, by wsuwać się w nacięcie kolejnego drzewca. Pręty wsunięte w otwory na krzyżowych wypustkach tworzyły żelazne kłamry. Thyatis zarzekła się, że pale z cedrowego drewna utrzymają ciężar dorosłego mężczyzny. Sahul nie był tego taki pewien, ale musiał też przyznać, że nie wierzył, by udało im się wciągnąć do wrogiego miasta dziesięć ciężkich belek i połączyć je ze sobą na dachu największej świątyni.

Przedni koniec słupa leżał na półkolistej prowadnicy i przesunął się dzięki grubej warstwie smaru. Z drugiej strony, do ostatniego bala przykręcony był metalowy pierścień. Dwaj Bułgarzy przywiązywali właśnie do niego dwie grube liny. Liny biegły od końca słupa do drugiego, cięższego pierścienia, który przykręcony został do dachu.

To właśnie był, zdaniem Thyatis, najtrudniejszy punkt całej operacji. Ciężki pierścień przykręcony został do grubej na stopę belki podtrzymującej poszycie dachu. Potrzebowali aż dwóch nocy, by przewiercić belkę i przykręcić pierścień, nie budząc przy tym podejrzanych kapłanów ze świątyni. Jednak bez tego pierścienia utrzymanie kontroli nad słupem byłoby niemożliwe.

Upewniwszy się, że liny przymocowane są do pierścienia, a wszyscy członkowie zespołu czekają już na swoich miejscach, dała znak, by rozpocząć przesuwanie słupa.

Jeden z mężczyzn stojących przy drewnianej prowadnicy podniósł rękę, a słup przesunął się do przodu o trzy stopy. Opuścił rękę i słup się

zatrzymał. Drugi mężczyzna sięgnął do wiklinowego kosza stojącego przy jego boku i wyciągnął długi na jedenaście cali drewniany kołek. W drugiej ręce trzymał drewniany młotek. Wsunął kołek do otworu wywierconego w palu i wbił go jednym mocnym uderzeniem.

Wszyscy zamarli na moment w bezruchu, nasłuchując. Z wnętrza świątyni wciąż dochodziły jednostajne śpiewy. Nikt nie poruszył się w Starym Pałacu ani na ulicy. Człowiek przy prowadnicy podniósł rękę i rozwarł pięść. Ludzie stojący przy słupie przekręcili go o pół obrotu. Mężczyzna z młotkiem wbił następny kołek, oddalony od poprzedniego o sześć cali.

Kolejne kołki rozmieszczone były w odległości dwóch stóp od siebie. Thyatis, która przykucnęła przy krawędzi dachu i nasłuchiwała uważnie, czy ktoś nie wszczyna alarmu, odliczała z niecierpliwością czas, jaki potrzebny był im do wysunięcia całego słupa. Mężczyźni przy prowadnicy musieli wbić trzydzieści kołków, za każdym razem obracając słup w jedną i drugą stronę. Zdawało się, że cały ten proces trwa wiecznie.

W miarę jak słup wysuwał się nad ulicę, podtrzymujący go ludzie przesuwali się do tyłu, by trzymać liny. Thyatis przystanęła obok pierścienia na skraju dachu. Gdy sięgnął już nad budynki po drugiej stronie ulicy, słup zaczął się coraz mocniej kołysać, zataczając nieregularne półkola. Thyatis wstrzymała oddech. Niemal wszyscy jej ludzie trzymali liny, próbując utrzymać słup w miejscu. Thyatis dopiero teraz uświadomiła sobie, że powinna przymocować liny wzdłuż całej długości słupa, a nie tylko na jego końcu. Za późno, pomyślała. Słup przesunął się w prowadnicy i zaskrzypiał ostrzegawczo.

- Opuście go - syknęła do ludzi przy linach. - Powoli!

Mężczyźni zaczęli powoli popuszczać liny, a słup zniżał się coraz bardziej nad ogrodem po drugiej stronie ulicy. Thyatis syknęła, zaniepokojona, kiedy koniec drzewca przechylił się nagle na jedną stronę i złamał drzewko pomarańczowe. Rozejrzała się nerwowo na wszystkie strony. Ulica wciąż była pusta. Thyatis odwróciła się do swych ludzi i nakazała im gestem, by opuścili słup jeszcze niżej.

Koniec pała opadł na dach, zgniatając jakieś maleńkie drzewko. Thyatis sprawdziła, czy miecz ma przypięty mocno do pleców, a buty zasnurowane.

- Sahul! Jusuf! Pójdziecie za mną. Zabierzcie torbę.

Dwaj Bułgarzy przysunęli się bliżej, niosąc między sobą wielką płócienną torbę, w której mógłby się zmieścić dorosły człowiek. Thyatis stanęła na krawędzi dachu i odczekała chwilę, spoglądając w głęboką na trzydzieści stóp przepaść, podczas gdy mężczyźni przy prowadnicy wbili w słup ostatnie kołki. Potem odchrząknęła cicho i wzięła głęboki oddech.

»

Weszła na słup, stawiając lewą stopę na pierwszym kołku. Słup próbował obrócić się pod jej ciężarem, liny zatrzymały go jednak w miej-

scu. Nogi ugięły się pod nią lekko, szybko jednak odzyskała spokój. Przesunęła prawą nogę, stawiając stopę na kolejnym kołku. Słyszała, jak Sahul i Jusuf wciągają głośno powietrze, jeden z ludzi przy prowadnicy krzyknął nawet odruchowo. Uśmiechnęła się do siebie. Odzyskawszy równowagę, ruszyła biegiem w dół słupa, przestawiając stopy na kolejne kołki. Dotarłszy na koniec słupa, zeskoczyła i przetoczyła się przez ramię. Powietrze w ogrodzie ciężkie było od zapachu pomarańczy i jaśminu.

Sahul stęknął głucho, gdy Jusuf zarzucił mu na plecy płócienną torbę. Była bardzo ciężka, ale Sahul wierzył, że sobie z nią poradzi. Po krótkiej chwili wahania ruszył w dół słupa na czworakach, używając kołków jako podpórek dla rąk i nóg. Modlił się w duchu, by żaden z nich nie załamał się pod jego ciężarem. Nie chciał przyznać się do tego przed Rzymianką, ale robiło mu się słabo, gdy musiał stanąć nad jakąś przepaścią czy na dachu wysokiego budynku. Przedramiona i łydki Bułgara drżały pod ciężarem dodatkowego obciążenia.

Tymczasem Thyatis podbiegła do wewnętrznego muru i spojrzała w dół, na podwórze. Było ciemne jak studnia, jakby pozbawione dna. Przez chwilę nasłuchiwała uważnie. Nikt chyba nie usłyszał stuku pala opadającego na dach. Wróciła do słupa, by pomóc Sahulowi zejść na dach. Potem odwiązała linę, którą była przepasana, przywiązała ją do ostatniej pary kołków i ciągnąc ją za sobą, przeszła do wewnętrznego muru. Sprawdziwszy jeszcze raz, czy na podwórzu nikogo nie ma, rzuciła linę w dół. Odczekawszy chwilę, zeszła po linie. Potem jej śladem ruszył Sahul, a na końcu Jusuf, który także przebiegł po słupie - klnąc pod nosem - by dostać się szybciej do ogrodu.

Bagratuni, który przyglądał się temu wszystkiemu z dachu świątyni, odetchnął głęboko z ulgą. Ci szaleni Rzymianie zrobili to! Kiedy Rzymianką - Bagratuni zaczął nazywać ją w myślach Dianą - zaproponowała ten szalony plan, był przekonany, że zostaną zdemaskowani i zabici, nim jeszcze akcja zacznie się na dobre. Nawet wyszukanie i przetransportowanie cedrów do miasta było wyczynem, którym można by się chwalić przy ogniu jeszcze przez kilka dobrych pokoleń! To było jeszcze bardziej szalone, jeszcze bardziej niesamowite! Uśmiechnął się w ciemności i zagonił swych ludzi do pozycji przy linach. Bułgarzy stanęli na skraju dachu, trzymając wartę. Teraz musieli tylko czekać i modlić się, by żaden kapłan nie nabrał ochoty na nocny spacer po dachu.

Thyatis podkradła się do drzwi po drugiej stronie podwórza i przystawiła do nich ucho. Zza ciężkich drewnianych płyt dochodził niewyraźny pomruk, wydawało się jednak, że jego źródło leży dość daleko od drzwi. Chwilę później do Thyatis dołączyli zdyszani Sahul i Jusuf. Rzymianką podrapała się i »o nosie i wyciągnęła zza pasa cienki, płaski kawałek blachy. Gdy przyglądała się drzwiom więzienia z dachu świątyni, wydawało jej się, że zamknięte są na klucz. Próbowwała teraz odszukać

po ciemku dziurkę od klucza, stwierdziła jednak z zaskoczeniem, że drewniane płyty są gładkie. Napała na nie ramieniem, a drzwi odrobi-
nę się uchyliły, nim coś je zablokowało.

- Po drugiej stronie jest sztaba - szepnęła do Sahula. - Bądź gotów. Jeśli uda mi się ją podnieść, narobi trochę hałasu. - Próbowała wsunąć pasek metalu między drzwi i futrynę, szukając najwęższej choćby szczeliny. Bez rezultatu. Thyatis zakłęła w myślach. Jeszcze raz obmacała drzwi. Były grube i solidne, a oni nie mieli czasu na wycinanie zamka.

- Jusufie, nie przejdziemy tędy - powiedziała cicho. - Zobacz, czy na górnym poziomie są jakieś okna. Może udam nam się... - Umilkła raptownie, gdy zza drzwi doszedł jakiś szmer. Sahul i Jusuf odsunęli się natychmiast na bok, niknąc w ciemnościach. Thyatis przywarła plecami do ściany. Ktoś poruszył drzwiami, potem rozległ się trzask podnoszonej sztaby. Thyatis wsunęła miecz do pochwy i sięgnęła po sztylet.

Drzwi otworzyły się powoli, wylewając na podwórze smugę żółtego światła. W prześwicie pojawiła się głowa kobiety w znoszonej sukni. Thyatis wzięła głęboki oddech i doskoczyła do swej ofiary, jedną ręką zatykając jej usta, a drugą przystawiając nóż do szyi. Ładne brązowe oczy obwiedzione węglem i błyszczącym szafirem otworzyły się szeroko, a kobieta podniosła ręce o wypielęgnowanych, długich paznokciach, w geście kapitulacji. Sahul i Jusuf wśliznęli się do wnętrza budynku, trzymając w dłoniach obnażone sztylety. Korytarz przy wejściu był pusty, tylko pod ścianami stały wielkie gliniane słoje. Thyatis weszła do środka i zamknęła za sobą drzwi.

- No tak - mruknęła - widzę, że nieźle się tu bawisz.

Sahul i Jusuf odwrócili się, zaskoczeni, gdy Thyatis schowała nóż do pochwy. Kobieta wzruszyła ramionami i sięgnęła za kark, ściągając z głowy ciężkie, czarne pukle. Anagatios potrząsnął głową i poprawił swe prawdziwe włosy, a potem schował perukę do torby pod suknią. Jusuf gwizdnął cicho.

- Ładniejsza z ciebie kobieta niż mężczyzna - powiedział, uśmiechając się krzywo.

Thyatis zignorowała go i odwróciła się do Anagatiosa.

Znalazłeś Nikosa? - spytała na migi.

L» *Tak* - odparł aktor. - *W piwnicy są cele dla więźniów dowódcy garnizonu. Nikos tam jest, ale nie sam.*

Co masz na myśli? - spytała, lecz Syryjczyk pokręcił tylko głową, uśmiechając się smutno.

Zobaczysz. Co jest w tej torbie?

Thyatis odpowiedziała mu chytrym uśmieszkiem. *Zabierz nas do piwnicy, to zobaczysz.*

- Bogowie chyba mnie przeklęli - jęknęła Thyatis, wyglądając zza rogu korytarza. -W tych celach jest ze trzydziestu albo czterdziestu ludzi.

Dobrze, że chociaż śpią, przynajmniej na razie. - Odwróciła się i spojrzała pytająco na Sahulę. - Dlaczego Odyniec trzyma aż tylu „specjalnych” więźniów?

Sahul wzruszył tylko ramionami i postawił na podłodze ciężką torbę.

Anagatios, kim są ci wszyscy ludzie? - spytała na migi.

To miejscowi - odpowiedział - *głównie zakładnicy. Mają gwarantować dobre zachowanie wodzów z miasta i okolicznych wiosek. Co z nimi zrobimy?*

- Zwycięstwo należy do odważnych - oświadczyła głośno Thyatis. - Zmieniamy pierwotny plan. Jusuf, Sahul, wróćcie na górę i zablokujcie wszystkie drogi, które prowadzą do tej piwnicy. Potem ty, Jusufie, wróć na dach świątyni i powiesz Bagratuniemu, że zamierzamy uwolnić wszystkich jego krewnych. Powiedz mu też, żeby wciągnął słup na dach, podzielił go na pale i wrzucił do kanału. Wyjdziemy inną drogą. Potem niech przeniesie się w jakąś inną część miasta i narobi tam hałasu; chcę, żeby za jakieś dwadzieścia ziaren odwrócił uwagę żołnierzy od tego miejsca. Sahulu, ty wróć do ogrodu i zrzuć na podwórze więcej lin, oczywiście wcześniej mocno je przywiążesz. Potem będziemy potrzebowali jeszcze więcej lin do zejścia po zewnętrznej ścianie. Spróbujemy uwolnić stąd wszystkich. Anagatiosie, podrzyj swoją suknię na pasy, każdy długości mniej więcej dwóch stóp.

Thyatis wstała i poprawiła pas. Sahul i Jusuf przez chwilę patrzyli na nią w milczeniu, jakby nie wierząc własnym uszom. Potem jednak odwrócili się i ruszyli biegiem w górę korytarza. Anagatios zdjął suknię i zaczął drzeć ją na pasy.

Thyatis podczołgała się do przodu; miała nadzieję, że uda jej się nie obudzić nikogo, nim będzie gotowa. Mężczyźni siedzieli zamknięci w celach po lewej, kobiety i dzieci naprzeciwko, po prawej stronie korytarza. Cele, nie większe od przeciętnego pokoju, wydrążone były w glinie zalegającej pod całym miastem. Od korytarza oddzielała je ceglana ściana z solidnym dębowymi drzwiami i zakratowane okna, przez które można było zajrzeć do wnętrza.

Nikos siedział w trzeciej celi, oparty o ścianę, i spał. Thyatis zakłęta w duchu. Ilir naprawdę pogrążony był we śnie, nie udawał. Przyklęknęła i odcięła skrawek jednego z rzemieni, które trzymały jej buty. Potem stanęła przy oknie i wrzuciła twardy kawałek skóry do środka, mierząc w Nikosa. Trafiony w prawe oko, Ilir drgnął i uchylił jedną powiekę. W prawej ręce trzymał zaostrowany kawałek miedzi. Rozejrzał się uważnie dokoła, a potem otworzył szeroko oczy, ujrzawszy twarz Thyatis za kratami. Rzymianka przyłożyła palec do ust. Nikos skinął głową.

Thyatis uniosła powoli sztabę zamykającą drzwi od zewnątrz, potem położyła ją delikatnie na podłodze i otworzyła drzwi. Nikos czekał już po drugiej stronie, przeszedłszy nad ciałami śpiących współwięźniów. Thyatis poprosiła go gestem, by wyszedł. Potem zamknęła za nim drzwi.

Przez chwilę stali nieruchomo, patrząc na siebie. Wreszcie Thyatis uśmiechnęła się szeroko i zamknęła Nikosa w uścisku, który omal nie połamiał mu żeber. Odpowiedział jej równie serdecznym uściskiem, a potem odsunął od siebie na odległość ramion.

Którędy do wyjścia? - spytał na migi.

Najpierw jedno pytanie - odparła. - *Czy można polegać na tych ludziach, którzy siedzą w celach?*

Nikos spojrział na nią ze zdumieniem, a potem jego palce zatańczyły w pytaniu: *Co ty knujesz, wariatko?*

Thyatis przybrała niewinną minę, a potem odrzekła: *Uwolnimy wszystkich, jeśli się uda. Dzięki temu miejscowe plemiona będą moimi dłużnikami. Potrzebuję ich pomocy, jeśli mamy pomóc cesarowi.*

Nikos jęknął tylko bezgłośnie. Potem zauważył torbę leżącą na podłodze za Thyatis. *Co jest w tej torbie?* - zapytał.

Och, nic takiego... tylko twoje ciało.

NA PÓŁNOC OD EMESY, PROWINCJA SYRIA MAGNA

V \ rólowo! -Tanuski zwiadowca wpadł galopem do obozu dowódców. Nabatejscy włóczęgi strzegący bramy w ostatniej chwili uskoczyli przed jego spienionym wierzchowcem. Zenobia, jeszcze nieuczesana, wyszła spośród kręgu zaspanych oficerów, którzy stali u wejścia do jej namiotu. Od czasu gdy jej armia wyruszyła w pole, królowa nosiła strój myśliwski - spodnie z miękkiej kożłęczą skóry i grubą skórzaną kamizelkę wkładaną na bawełnianą koszulę. Zenobia pochwyciła konia zwiadowcy za uzdę i zatrzymała. Zarówno zwiadowca, jak i jego wierzchowiec dyszeli ciężko po długim biegu.

- Al-Kurajsz śle ci pozdrowienia w ten piękny poranek, o pani, i przekazuje wiadomość, że perska armia zatrzymała się na północnej drodze i gotuje się do bitwy.

Królowa uśmiechnęła się promiennie. Jej armia rozbiła obóz na niskich wzgórzach przy głównej drodze wychodzącej na północ z rzymskiego miasta Emesa, od którego oddalili się już o jakieś dziewięć mil, i prowadzącej do mniejszego miasteczka Aretuza nad rzeką Orontes. Szczyt wzgórza porastał niewielki zagajnik, a kolorowe namioty służących królowej i jej dowódców stały między jałowcami i niskimi sosnami. Ku niebu wznosiły się wąskie smugi dymu bijące z ich ognisk. Wzgórze ciągnące się wzdłuż północnego horyzontu zasłaniały widok na Orontes. Na południu rozciągał się widok na Emesę leżącą pośrodku zielonej, żyznej doliny. Poranne słońce, które dopiero przed momentem wysunęło się nad wschodniego horyzontu, okrywało wszystko białoró-

zową poświęcają. W chłodnym, rześkim powietrzu widać było parę bijącą z końskiego pyska.

- Rzeczywiście, piękny ranek. Powiedz Al-Kurajszowi, że wkrótce doń dołączymy.

Mężczyzna zawrócił konia i popędził wzdłuż linii drzew.

Zenobia spojrzała na północ, uśmiechając się chytrze, i uderzyła w udo trzcinką, której używała jako wskaźnika podczas spotkań z oficerami. Persowie wreszcie zdecydowali się stanąć do walki. W końcu nadszedł dzień, który miał okryć ją sławą równą tej, jaką cieszył się jej daleki przodek, i uwolnić jej lud od obu imperiów. Odwróciła się i weszła z powrotem między zgromadzonych przy wejściu oficerów. Z boku, za grupką żołnierzy, siedział Ahmet, który spożywał w milczeniu poranną owsiankę. Zerknął na królową, kiedy ta wchodziła do namiotu. Zenobia była w dobrym humorze.

Ahmet podskakiwał na końskim grzbiecie, posykując z bólu. Mocniej objął Zenobię w pasie, kiedy wjechali naostatnie wzgórze. Oprócz swych zwykłych szat włożył także kufie, luźne nakrycie głowy z miękkiego jedwabiu, przewiązane grubym plecionym sznurem. Przez kilka ostatnich dni siedł na piechotę obok wozów wiozących osobiste rzeczy królowej, dziś jednak Zenobia bardzo się spieszyła, zatem jechał wraz z nią.

Za wzniesieniem rozciągała się szeroka dolina w kształcie ostrza włóczni skierowanego na północny wschód. Wzdłuż przeciwległej krawędzi równiny, za którą wznosiło się kolejne pasmo wzgórz, płynął strumień. Droga z Emesy schodziła na ukos ze zbocza, przecinała strumień i pięła się ponownie na zbocza wzgórz. Równinę porastała niska, sucha trawa i karłowate krzewy, tu i ówdzie leżały niewielkie głazy i odłamki skał. Zenobia obejrzała ten teren z błyskiem w oku.

- Ktoś za długo wypasał tu bydło - rzekła, zwracając swego ulubionego, czarnego ogiera na wschód. - Twarda ziemia, dobre podłoże dla koni i ludzi.

- Szkoda, że Persowie zawrócili, nim natknęli się na twoją niespodziankę przy jeziorze Bahrat.

Zenobia zerknęła nań przez ramię, a w jej oczach błysnęła iskra gniewu.

- Tak, Szahin chyba po raz pierwszy w życiu posłuchał głosu zdrowego rozsądku, a nie swojej pychy.

Ahmet skinął głową i przywarł mocniej do królowej, kiedy wjechali między strome skały. Armia Zenobii ustawiła się na południowym skraju równiny; kolejne jednostki wciąż napływały tu zarówno główną drogą, jak i mniejszymi szlakami, które znaleźli wśród wzgórz zwiadowcy Mahometa. Ciężka kawaleria z Nabatei i Palmyry przesuwała się powoli w ciasnej, podłużnej formacji szerokiej na pięciu, sześciu jeźdźców. Włócznie wzniesione nad ich głowami wyglądały jak gęstwina stalowych trzcin.

Sztandary i proporce trzepotały dumnie na wietrze, kiedy dowódcy poszczególnych oddziałów próbowali ustawić formacje w szyku. Z wąskich ścieżek po obu stronach głównej drogi wysypywała się syryjska i nabatejska piechota, nazywana przez Rzymian *arithmoi*. Czarnoskórzy mężczyźni z kolorowymi piórami we włosach i włóczniami w dłoniach biegli gęstą chmurą w dół zbocza. Zenobia zmierzała ku urwisku wznoszącemu się po prawej stronie głównej drogi. Na szczycie urwiska stał już oddział wojowników w czerwonych zbrojach. Aretas i jego kapłani, pomyślał Ahmet.

- Jesteś pewna, że to Szahin nadal dowodzi Persami? - spytał cicho, choć tętent kopyt na skalnym podłożu i tak skutecznie zagłuszał jego słowa.

Zenobia skinęła głową.

- Musieli zauważyć któregoś z naszych zwiadowców - odparła. - Inaczej nie opuszczaliby obozu w takim pośpiechu. - Zgrzytnęła zębami ze złości. - Jeszcze jeden dzień i weszliby na równinę przy Bahrat. Ha, już byśmy go mieli, gdyby Mahomet zdołał powstrzymać tych swoich tanuskich bandytów przed płądrowaniem perskiego obozu. O tak, mój ojciec miał rację, kiedy mówił, że czas i miejsce bitwy nigdy nam nie sprzyjają! - Wskazała na rozciągającą się przed nimi równinę. - Dla tego perskiego eunucha to wymarzone pole bitwy! Jego *clibanari* i katafrakci mogą nam nieźle złoić skórę, jeśli nie damy z siebie wszystkiego.

Królowa zamilkła, kiedy ogier wspiął się na zbocze urwiska i wjechał między gwardzistów Aretasa. Nabatejscy służący rozstawili już otwarty z dwóch stron namiot, a księżę, odziany w emaliowaną czerwoną zbroję, siedział na stołku przed namiotem. Jego słudzy przygotowywali właśnie stoliki zastawione tacami z wodą, powyginanymi kawałkami metalu i całą masą dziwnych przedmiotów. Za plecami księcia, w cieniu namiotu, siedziało dwunastu zakapturzonych mężczyzn, którzy nucili cicho jakąś jednostajną melodię.

- Księżę - powiedziała Zenobia, zręcznie zatrzymując konia. - Czy ty i twoi ludzie jesteście gotowi do bitwy?

Aretas podniósł wzrok znad zwoju, który właśnie czytał. Ahmet zauważył, że czarownik niemal całkiem zgolił brodę, pozostawiając tylko wąskie pasy zarostu nad ustami i wzdłuż kości policzkowych. Na jego czole widniał wyrysowany czerwonym atramentem trapez.

- Oczywiście - odparł uprzejmym tonem. - Jestem gotowy, podobnie jak wszyscy moi pomocnicy. Dłoń okryta rękawicą ze skóry i drobnej metalowej siatki wskazała na zakapturzonych mężczyzn. - Moi *tagma* właśnie ustawiają się na pozycjach. Wkrótce dołączy do nich piechota *arithmoi*. Czy chcesz ode mnie czegoś jeszcze, pani?

Zenobia ściągnęła gniewnie brwi, zdołała jednak powstrzymać nerwy na wodzy.

- Czy zdołasz przeciwstawić się sile perskich magów? Czy możesz zapanować nad nimi i ich czarami?

THOMAS HARLAN

Aretas uśmiechnął się zimnym, nieprzyjemnym uśmiechem, który nie sięgnął jego nieprzeniknionych oczu. Otworzył prawą dłoń, rozwijając palce niczym szpony. Spomiędzy palców wypłynęła ciemność rozdzierana raz po raz światłem błyskawic.

- Zrobię wszystko, czego wymaga ode mnie honor - odrzekł i zaciśnął dłoń w pięść. - Myślę, że Rzym dzisiaj zwycięży. Persowie nie domyślają się nawet, jak wielką siłą dysponujemy.

Wzmianka o Rzymie ponownie rozbudziła gniew Zenobii, w końcu jednak pominęła ją milczeniem.

- Jeśli więc wszyscy zrobimy dzisiaj to, co do nas należy, zwycięstwo będzie nasze - powiedziała i zasalutowała księciu. - Powiedz swym *dekarchoi*, by czekali na mój sygnał, nim przystąpią do bitwy. Musimy najpierw przygotować naszych perskich gości na to spotkanie!

Aretas skłonił głowę i wstał. Zenobia również odpowiedziała skinieniem głowy, zawróciła konia i poderwała go do galopu. Z wysokości urwiska Ahmet widział, że armia pustynnych miast przybyła już w całości na równinę. Na prawym skrzydle wznosiło się urwisko, z którego właśnie zjeżdżali. U jego podnóża stanęła kawaleria Aretasa, odziana w jednolite czerwone zbroje. Przed nimi, sto kroków dalej w dół zbrocza uformowała się linia nabatejskiej piechoty *arithmoi*, złożona z włóczników, procarzy i łuczników. Oddziały lżejszej kawalerii przejeżdżały właśnie przed Nabatejczykami, by zająć pozycje po ich prawej stronie.

Zenobia i jej oficerowie, wraz z oddziałem Tanuchów, jechali wzdłuż linii wojsk. Baktryjscy gwardziści, ubrani w ciężkie zbroje i futra, otaczali królową szczelnym kręgiem, trzymając włócznie zatknięte w specjalne skórzane uchwyty przy siodłach. Pośrodku armii gromadziły się dwa wielkie bloki piechoty - jeden złożony z Palmyrczyków pod wodzą brata Zenobii, Worodesa, którzy dołączyli do głównych sił w Emesie, oraz kohorty z miast Decapolis dowodzone przez Achimosa Galeriusza. Zenobia przystanęła na chwilę, by wydać Galeriuszowi ostatnie instrukcje. Ten skinął tylko głową, a potem powrócił do kłótni z dowódcami oddziałów z różnych miast.

Za piechotą kłębiła się zbieranina najemnych oddziałów kawalerii - ekspatriowani Persowie w zbrojach i stożkowatych hełmach, indyjscy rycerze w jasnych płaszczach i lśniących kolczugach, uzbrojeni w długie łuki, które na razie trzymali przypięte do siodła. Wzdłuż drogi przebiegł jeszcze jeden oddział aksumickich włóczników, zmierzający w stronę jednej z kilku przerw między poszczególnymi blokami piechoty. Zenobia zajęła pozycję na wzniesieniu po lewej stronie drogi, jakieś pięćdziesiąt, sześćdziesiąt kroków od najemnej kawalerii. Ahmet ogromnie się uradował, że zatrzymał się chociaż na chwilę; był przekonany, że jeśli ta podróż się przedłuży, wcześniej czy później spadnie z końskiego grzbietu.

Na lewo od piechoty Worodesa stał wielki oddział palmyrskiego rycerstwa. Na lewym, najbardziej na zachód wysuniętym skrzydle armii

stali arystokraci z Palmyry, Damaszku i innych miast Decapolis, odziani w półpancerze i dosiadający koni okrytych grubą warstwą filcu nabitego metalowymi ćwiekami. Oddziały lekkiej konnicy tanuskiej osłaniały ich z tyłu i z boku.

Zenobia stanęła w strzemiączkach i ogarnęła spojrzeniem pole bitwy. Ahmet starał się dyskretnie podtrzymywać jej nogi, podpierając twarde uda królowej.

- Tak, to sztandar Szahina. Ma przy sobie tę samą bandę nierobów co zawsze.

Perska armia stanęła nad brzegiem strumienia w lekko wygiętym, sierpowatym szyku. Sądząc po zieleni ciągnącej się wzdłuż wschodniego brzegu strumienia, ziemia była tam miękka i bagna. Po prawej stronie armii Szahina znajdowały się oddziały średniej kawalerii. Ahmet widział gęszcz włócznie przywiązanych do pleców jeźdźców. Poranne słońce odbijało się w ostrzach i wypolerowanych zbrojach. Wydawało się, że koni nie okrywa żaden pancerz. Wojownicy trzymali w dłoniach gotowe do strzału łuki.

Centralne miejsce w szyku perskiej armii zajmowały cztery bloki piechoty - najpierw szereg włócznie z tarczami z wikliny i skóry, potem łucznicy, potem znów żołnierze uzbrojeni we włócznie. Choć oddziały nie tworzyły tak precyzyjnych szyków jak rzymskie legiony, poszczególne bloki były wyraźnie od siebie rozdzielone. Za piechotą, niemal przy samym strumieniu, stał wielki namiot, a przed nim widniała sylwetka perskiego dowódcy dosiadającego śnieżnobiałego konia. Jego zbroja rozsiewała dokoła złoty blask, który padał na otaczających go dworzaków przystrojonych w jedwabne szaty. Na wysokim drzewcu trzepotał sztandar przedstawiający białe koło. Dwa wielkie parasole z zielonego jedwabiu chroniły dowódcę przed promieniami słońca.

- Wyglądają, jakby szykowali się na ucztę, a nie na bitwę - zauważył Ahmet.

Zenobia parsknęła pogardliwie.

- Pod Nisbis, gdzie Odyneć zgniół armię Cesarstwa Wschodniego i otworzył tym samym drogę do Antiochii, Szahin dowodził prawym skrzydłem - podobno przez cały dzień bawił się w najlepsze ze swoimi towarzyszami, podczas gdy na polu bitwy zginęło dziesięć tysięcy ludzi. Jest kuzynem Króla Królów, jego ulubieńcem, ale kiepski z niego dowódca. Jeśli to on będzie dzisiaj dowodził tą armią, zwyciężymy.

Na lewo od perskich włócznie ustawili się dwa wielkie klipy ciężkiej kawalerii - ci wojownicy odziani byli od stóp do głów w zbroje, podobnie jak większość ich koni. Sto kroków przed perską armią stał długi szereg łuczniców w spódniczkach i metalowych hełmach. Czarnoskórzy Blemeneje, którzy służyli w armii Zenobii, ustawili się w podobnym szyku przed wojskami Palmyrczyków. W powietrzu między dwiema armiami śmigały pojedyncze strzały. Kilka z nich dosięgło

celu, Ahmet nie mógł się jednak dopatrzeć większego sensu w tym działaniu.

- Dziwne... - Zenobia gwizdnęła głośno, a jeden z tanuskich kurierów precyzyjnie się przez krąg Baktrów otaczających królową. Zatrzymał konia i uśmiechnął się szeroko.

- Gadimathos, nie widzę lekkiej konnicy w perskiej armii. Powinni oddzielać główne siły od naszych łuczników. Gdzie oni są?

Tanuch wzruszył lekceważąco ramionami.

- Lakmidowie boją się stanąć oko w oko z prawdziwymi wojownikami, z Tanuchami. Nie chcą walczyć.

Zenobia pokręciła głową z niedowierzaniem.

- Jedź do Ibn Adiego i Al-Kurajsza i powiedz im, żeby uważali na Lakmidów. Muszą być gdzieś w okolicy. Roześlij zwiadowców po okolicy; może próbują zająć nas od tyłu.

Królowa sięgnęła do tyłu i ucisnęła nogę Ahmeta, kiedy jej oddział ruszył naprzód.

- Nie martw się, kapłanie, wkrótce zacznie się bitwa, a wtedy przestaniesz się bać jazdy konnej.

Ahmet przytulił ją mocniej, a królowa roześmiała się radośnie. Zawrócili i w wolniejszym już tempie przejechali ponownie wzdłuż całej palmirskiej armii.

- Dlaczego tak cię martwi nieobecność Lakmidów? - spytał Ahmet skonfundowany.

Zenobia zmarszczyła brwi i wskazała na zachód, gdzie stały wojska Persów.

- Jeśli zabraknie lekkiej kawalerii z łukami, która chroniłaby ich ciężką konnicę, nasi Tanuchowie będą strzelać do nich przez cały dzień jak do tarczy. Ciężka kawaleria nie da rady ich złapać, więc będzie tylko powoli się wykrwawiać. Słyszałam, że Szahin najął plemię Lakmidów, którzy mieli służyć mu jako zwiadowcy i lekka kawaleria podczas bitwy. Kolejny błąd. Jeśli rzeczywiście ich tutaj nie ma, będzie go to drogo kosztować.

Ahmet skinął głową.

- Co się dzieje w niewidocznym świecie? - spytała nagle. Ahmet potrzebował kilku chwil, by się skoncentrować; eter już wypełniał niewidzialne moce.

- Aretas zbiera siły - mówił Ahmet, oddychając ciężko. Czasami trudno było oddychać, mówić i patrzeć na niewidoczny świat jednocześnie. - Perscy magowie podnieśli tarczę* która ma chronić ich przed naszymi czarami. Aretas szuka w niej jakichś słabych punktów, szczelin. Czerwony Książę jest mocny!

Zenobia skinęła głową i spojrzała na pole. Powietrze przesycone było dziwnym zapachem, jakby zbierało się na burzę, choć niebo było całkiem czyste. Zagrały trąby, potem w szeregach Persów odezwały się bęb-

ny. Środek armii Persów, ku zdumieniu Zenobii, ruszył w górę zbocza. Opuszczone włócznie poruszały się równą, lśniąca falą. Królowa ponownie stanęła w strzemionach i spojrzała na wschód i na zachód. Po jej prawej stronie, na wschodzie, naprzeciwko Nabatejczyków, między linię piechoty a oddział kawalerii stojący na krańcu perskiego frontu, wbiegła lekka piechota odziana jedynie w spódniczki i uzbrojona we włócznie. Ci ludzie także ruszyli w górę zbocza, w stronę Blemenejów. W powietrzu latało coraz więcej strzał.

Dwa kliny ciężkiej kawalerii perskiej po zachodniej stronie frontu pozostały na swoich miejscach, choć ich sztandary i flagi podnosiły się i opadały w odpowiedzi na ruchy flag zawieszonych nad grupą dowódców. Perscy włócznicy, zajmujący miejsce pośrodku wrogich linii, zaczęli strzelać salwami ponad szeregiem procarzy. Zenobia opadła na siodło, zastanawiając się nad zagadkową strategią Persów.

- To dziwne - wyszeptał Ahmet. - Perska tarcza opiera się atakom Aretasa, choć powietrze aż gotuje się od jego mocy. I przesuwa się wraz z żołnierzami.

- Co w tym dziwnego? - spytała Zenobia w roztargnieniu. Gwizdnęła ponownie, przywołując jednego ze swych oficerów. - Wyślij Tanuchów przeciwko katafraktom i *clibanaril* - Jeden z kurierów zawrócił konia i pomknął jak strzała na zachód. Jednocześnie dwaj chorążowie królowej podnieśli czarną flagę z białym symbolem i pochylili ją dwukrotnie. Wkrótce potem oddziały Tanuchów na lewym skrzydle zbiły się w trzy większe grupy i ruszyły pędem w stronę perskich linii.

Ahmet zaczął nucić medytację, która miała pomóc mu w koncentracji. Czuł, jak po jego czole spływają krople potu. Lekka tarcza, którą otoczył siebie i Zenobię, gdy tylko dowiedział się o nadchodzącej bitwie, nabrzmiała mocą, zamieniając się w skomplikowaną sieć świetlnych kręgów. Kręgi z kolei przybrały postać pancerzy utkanych ze światła, które wirowały wokół własnej osi w różnych kierunkach. Ukryty świat wypełniony był krwawym blaskiem. Persowie postępowali w jednostajnym tempie do przodu, a tarcza przesuwała się wraz z nimi. Aretas i jego kapłani atakowali ją z coraz większą zawziętością, ich pociski przecinały raz po raz świat form i wzorów, którego bladym odbiciem byli ludzie, ziemia i niebo. Ahmet czuł coraz większy przepływ mocy, kiedy Nabatejczycy sięgnęli do strumieni ukrytych w niebie i pod ziemią, by zasilić nimi błękitne błyskawice, które ciskali w ciemną tarczę wroga.

- Pani, perscy czarownicy są bardzo silni. Jeśli ta tarcza nie pochłania całej ich mocy, a może tak być, Aretas nie dotrzyma im pola, jeśli zdecydują się przejść do kontrataku.

Niepokój ukryty w głosie Ahmeta kazał Zenobii odwrócić się do niego.

- Co to znaczy? Czy Persowie będą mogli pokonać moją armię dzięki magii?

Nagle nabatejski atak ustał, zniknął deszcz niebieskich błyskawic bijących w perską tarczę. Czarna zasłona tkwiła nienaruszona nad liniami wroga.

- Teraz przestali. Aretas zrozumiał chyba, że sama siła nie wystarczy do rozwiązania tej zagadki. Pani, dopóki po obu stronach walczą wyrównane siły magii, na polu bitwy także panuje równowaga. Jeśli jednak któraś grupa czarowników zyska przewagę, dojdzie do masakry.

Zenobia skinęła głową i podniosła rękę. Jedna z jej flag sygnałowych także się podniosła. Środkowe linie Persów wciąż szły w górę zbocza. Tanuchowie podjechali do oddziałów ciężkiej jazdy po lewej stronie armii wroga i zaczęli ostrzeliwać je z luków. Zenobia opuściła rękę, a jej chorąży zadęli w trąby. Flagi sygnałowe powędrowały w górę. Prawe skrzydło palmyrskiej armii ruszyło do przodu.

- Do ataku! - krzyknęła Zenobia i popędziła konia do przodu. Wraz z gwardzistami jechała na wschód, wzdłuż swych linii. Piechota *arithomi* opuściła włócznie i ruszyła w dół zbocza. Ciężka kawaleria Decapolis ukryta do tej pory za tanuską konnicą skierowała się ku zasypywanej gradem strzał ciężkiej konnicy Persów. Cała armia Palmyry ruszała do ataku. Ahmet patrzył na najemną kawalerię, która niczym potężna machina wojenna zadrżała na całej linii, by potem ruszyć z miejsca i powoli nabierać rozpędu. Był w tym jakiś straszliwy majestat.

Baraz podrapał się za uchem. Wielki brokatowy kapelusz Szahina, podobnie jak cała jego zbroja, okropnie go uwierał. Czuł się jak głupiec w bogato zdobionym kostiumie, dopóki jednak służyło to wygranej, gotów był cierpieć. Wojska pustynnych plemion ruszyły do frontalnego ataku, a dworzanie, których „pożyczył” od Szahina zaczęli nerwowo mamrotać. Uśmiechnął się i skinął na gwardzistów, którzy towarzyszyli mu podczas tej bitwy. Potężnie zbudowani żołnierze stanęli szczelnym murem za kolorową grupą, pilnując, by żaden z ulubieńców Szahina nie próbował uciec.

Harcownicy rozsypani na polu między dwiema armiami cofnęli się do swych linii, a wojska Rzymian zbliżyły się do perskiej armii na odległość stu pięćdziesięciu kroków. Choć przyciasna zbroja utrudniała Odyńcowi obserwację pola walki, widział, że pustynna armia pchnęła do ataku na lewe skrzydło także ciężką konnicę i piechotę.

Baraz skinął na jednego ze swych sygnalistów, a ten podniósł czarną flagę z przekrzywionym krzyżem. Bębniarze zaczęli wybijać głośny, marszowy rytm. Oddziały perskiej piechoty ruszyły w górę zbocza. Po przejściu zaledwie kilku kroków żołnierze z tylnych szeregów rozstąpili się na boki, by nie nadepnąć na swych poprzedników, zacierając tym samym wyraźne linie pomiędzy poszczególnymi pododdziałami. Baraz jęknął w duchu. *Typowa piechota - żadnej dyscypliny!*

Do grupy dworzan podjechał posłaniec w przekrzywionym hełmie.

- Panie! - Był to jeden z żołnierzy Chadamesa. - Wielmożny Chadames prosi, byś pozwolił mu zaatakować skrzydło wroga - coraz więcej jeźdźców ginie od strzał.

Baraz roześmiał się ponuro i pokręcił głową.

- Nie, chłopcze. Powiedz Chadamesowi, że jeśli ruszy się z miejsca bez mojego rozkazu, każę go ściąć, a jego rodzinę sprzedam na rynku niewolników w Ktezyfonie. Zaatakuję dopiero wtedy, gdy mu każę, ani chwili wcześniej!

Młodzieniec zawrócił konia i ruszył pędem ku swojemu oddziałowi. Baraz uśmiechnął się do siebie, widząc przerażenie w oczach otaczających go dworzan.

- Nie martwcie się, przyjaciele! - krzyknął swym potężnym głosem. - Wkrótce będzie mogli wykazać się prawdziwym męstwem! Czy wyciągnęliście już miecze z pochew? Czy naciągnęliście już łuki? - Roześmiał się, ujrawszy miny dworzan. Wojownicy z Luristanu uśmiechnęli się szeroko i sięgnęli po broń.

Perska piechota była już zaledwie o pięćdziesiąt kroków od Rzymian. Wkrótce pole bitwy miało zamienić się w piekło. Baraz dał znak bębniarzom, a ci przyspieszyli rytm. Chorągwie załopotwały w powietrzu. Oddalony o dwieście kroków od swej pozycji, Rhazates wrzeszczał z całych sił, wydając rozkazy dowódcom piechoty. Perska linia zatrzymała się, lekko wygięta, gdyż oddziały po lewej stronie zareagowały z opóźnieniem. Żołnierze w pierwszym szeregu przyklękli na kolano, obniżając włócznie i wbijając tarcze w ziemię. Drugi i trzeci szereg stanął za nimi, wystawiając do przodu las dłuższych pik i włóczni.

Baraz poprawił się na grzbiecie białego konia i zaczął rytmicznie uderzać palcami o wysoki łęk siodła. Posłańcy tłoczyli się wokół niego, przekazując informacje jego oficerom. Rozkazał harcownikom, którzy schowali się przed chwilą za regularną piechotą, by przeszli na lewe skrzydło, gdzie regiment piechoty i łuczników chronił wielkiego księcia Szahina i jego przyboczną gwardię przed atakiem nabatejskiej piechoty. Nad środkiem pola bitwy podniósł się olbrzymi obłok kurzu, zwiastując rozpoczęcie bitwy. Odyniec wezwał do siebie jednego z posłańców.

- Chłopcze, odzyskaj Rhazatesa i powiedz mu, żeby trzymał się swojej pozycji. Nie może się cofać ani iść do przodu. Niech odwraca uwagę wroga najdłużej, jak się da.

Nad polem walki przetoczył się głuchy grzmot. Baraz popatrzył w górę, na nieskazitelnie błękitne niebo. Zimny dreszcz przebiegł mu po plecach. Odwrócił konia i spojrział do tyłu, na czarny wóz po drugiej stronie strumienia. Otaczała go grupa jeźdźców Uze, którzy jakby nie zauważali tego, co dzieje się wokół nich. Baraz miał wrażenie, że powietrze wokół wozu lśni dziwnym, niezdrowym kolorem.

Na lewym skrzydle palmyrskiej armii, gdzie Mahomet i jego jeźdźcy podjeżdżali wielkimi grupami do ciężkiej konnicy perskiej, by wypuścić chmurę strzał, a potem błyskawicznie się wycofać, pojawili się wreszcie palmyrscy rycerze, ustawieni w szyku złożonym z dziewięciu szeregów. Mahomet stanął w strzemionach i pomachał zieloną flagą. Jego żołnierze, ujrawszy sygnał, rozjechali się na lewo i prawo, zostawiając miejsce dla ciężkiej kawalerii. Mahomet przemknął wzdłuż linii wroga, rzucając okiem na martwych i umierających Persów przesytych strzałami o czarnych lotkach - wielu z nich siedziało wciąż na swoich koniach, zamkniętych w ciasnym szyku.

Mimo to Persowie trwali na swoich miejscach, nie ruszając bez rozkazu do ataku. Mahomet pokręcił głową, podziwiając ich odwagę i dyscyplinę - żaden arabski oddział nie wytrzymałby takiej próby. Pogalopował w górę zbocza, prowadząc za sobą grupę chorążych.

- Przegrupować się! Przegrupować się! - krzyczał Mahomet. Tanuchowie, rozproszeni na północnej części równiny, zawrócili w jego stronę, gromadząc się wokół biało-zielonej flagi Ibn Adiego. Tymczasem Persowie nadal tkwili na swoich pozycjach. Upewniwszy się, że wszyscy podoficerowie panują już nad swymi oddziałami, Al-Kurajsz zawrócił konia i podjechał do linii palmyrskich rycerzy.

- Zabda! - zawołał do dowódcy stojącego za szeregiem uzbrojonych jeźdźców. - Persowie nie ochłonęli jeszcze po naszym ataku, trzeba natychmiast szarżować! Stoją plecami do strumienia, możecie zepchnąć ich na bagno!

Zabda dźgnął konia piętami i przecisnął się do przodu. Ubrany był w zbroję złożoną z metalowych blach złączonych rzemieniami, pod którą nosił kolczugę. Na głowie miał ciężki stożkowaty hełm, zakrywający także jego twarz. Na czubku hełmu powiewał kolorowy proporzec. Ramiona, piersi i głowę jego konia okrywał pancerz z grubej skóry, na który nabito metalowe łuski. Generał zatrzymał się przy Mahomecie i położył dłoń na jego ramieniu.

- Ich jest dwa razy więcej, Al-Kurajszu! Nie poślę moich ludzi na pewną śmierć. Patrz, królowa przysłała nam posiłki.

Wskazał do tyłu, na główne siły palmyrskiej armii. Mahomet spojrział w tamtą stronę. Rzeczywiście, oddziały najemnej kawalerii jechały kłusem przez pole, by do nich dołączyć. Na środku pola starły się pierwsze linie piechoty, wzbijając w powietrze wielkie tumany kurzu. Mahomet nie widział sztandarów Zenobii.

- Kiedy tu dotrą, będzie już za późno na pierwszy atak! - warknął do starego generała. - Moi Tanuchowie zaatakują razem z wami, będzie nas więcej!

Zabda roześmiał się szyderczo.

- Twoi pustynni bandyci? Przecież oni nie mogą równać się z Żelaznymi Kapelusznymi! Nie, zaczekamy na posiłki.

Mahomet zaklął paskudnie i zawrócił konia w miejscu. Zjeżdżając ze zbocza, krzyczał do swoich chorążych.

- Zawiadomcie dowódców! Niech przegrupują oddziały i przygotują się do ataku!

Zabda wołał coś za nim, lecz Mahomet go nie słyszał.

Baraz zrzucił wreszcie ozdobny kapelusz i zdarł z ramion jedwabny płaszcz. Gruba, zielona tkanina opadła powoli na ziemię, gdzie natychmiast została rozdeptana przez końskie kopyta. Atak rzymskiej piechoty odrzucił Persów na ich pierwotne pozycje, teraz linia perskiej piechoty powoli wyginała się w środku. Perskie formacje zamieniły się w bezładną ludzką masę, Rzymianie jednak wciąż utrzymywali się w szyku i napierali z coraz większą siłą. Baraz i jego gwardziści przejechali na zachód, by sprawdzić, co dzieje się na prawym skrzydle. Wyglądało na to, że Palmyrczycy szykują ciężką konnicę do ataku, dotąd jednak nie ruszyli z miejsca. Baraz spojrział na lewo; rzymska piechota koncentrowała się na walce w środku linii.

- Posłaniec! - Jeden z młodych żołnierzy natychmiast podjechał do niego. - Jedź do Chadamesa, niech natychmiast rozpoczyna atak! Flagi! Zasygnalizować atak na prawej flance.

Generał podjechał do grupy łuczników siedzących na ziemi, daleko za linią walki. Kapitan oddziału zerwał się na równe nogi, widząc sztandar wielkiego księcia powiewający za Barazem.

- Kapitanie, przeprowadź swoich ludzi na lewo. Nabatejczycy związali walką nasze skrzydło. Pomóżcie piechocie i kawalerii Szahina. Wykonać!

Łucznicy zarzucili na ramiona łuki i kołczany. Ubrani byli tylko w krótkie bawełniane spódniczki, ociekające teraz wodą i błotem. Kapitan zasalutował i odwrócił się do swych ludzi, wydając im rozkazy. Oddział ustawił się w równych, dwójkowych kolumnach i ruszył na wschód. Baraz przysłonił oczy i spojrział na jeźdźców Chadamesa po prawej stronie. Sztandary ciężkiej kawalerii pochyliły się dwukrotnie, potwierdzając odebranie rozkazu. Lśniąca masa ludzi i koni zaczęła się przegrupowywać i ustawiać w szeregach, by po chwili ruszyć do ataku na Rzymian.

Baraz opuścił rękę i zawrócił konia, wracając w stronę środka linii. Teraz już tylko od Chadamesa zależało, kto zwycięży na prawym skrzydle; Baraz zrobił wszystko, co w jego mocy, by mu to ułatwić.

- Jak to, odmawiają wykonania rozkazu? - Oczy Zenobii rozbłyły gniewem.

Posłaniec skłonił się nisko, mówiąc:

- Kapitan rycerzy kazał powtórzyć, że ruszy tylko na rozkaz Aretasa, nie twój, pani.

Zenobia nie wierzyła własnym uszom. Spojrzała w górę, na urwisko, gdzie książę i jego kapłani wciąż zmagali się z mocą perskich czarowników. Prawe skrzydło palmyrskiej armii, wspierane przez nabatejską piechotę oraz łuczników i procarzy, starło się z mniej liczną lekką piechotą perską i zepchnęło ją na bok, zachodząc z flanki główne siły perskiej piechoty. Za włócznikami stały liczne oddziały perskich katafraktów, wycofały się jednak, zostawiając na placu boju włóczników i łuczników, którzy zamienili swą broń na miecze i walczyli wręcz z Nabatejczykami. Ciężej uzbrojeni i lepiej opancerzeni Nabatejczycy wyrzynali Persów, którzy w większości mieli tylko tarcze z wikliny i krótkie włócznie lub miecze.

Ponad zgiełkiem bitewnym - krzykiem umierających, szczękiem broni i świstem strzał - wznosił się głos Zenobii, która wydawała rozkazy swym sygnalistom.

- Wyślijcie posłańca do Aretasa. Niech natychmiast przesunie swoją kawalerię na prawo! Możemy zgnieść całą flankę Persów, jeśli teraz szybko zaatakujemy! - Dwaj posłańcy zasalutowali i ruszyli galopem w stronę urwiska.

- A niech go...! - Zenobia otarła pot z czoła. Zrobiło się gorąco, a jej grupa bez ustanku jeździła po polu bitwy. Dwukrotnie już zmieniała konia. Ahmet skinął z roztargnieniem głową, skupiony na obserwacji niewidocznego świata. Wydarzenia ze świata pozorów, w którym toczyła się bitwa, przenikały także i tutaj. Wiry i strumienie nienawiści i strachu, światło bijące od umierających unosiły się nad polem walki w świecie prawdziwych form. Nabatejscy kapłani powstrzymali atak na czarną tarczę, choć nawet ona zaczęła się rozpadać i blednąć w bitewnej zawierusze. Teraz jednak to perscy czarownicy przeszli do ataku, wystrzelivując całe pęki ultrafioletowych błyskawic. Aretas i jego towarzysze musieli wyczerpać wszystkie siły, by powstrzymać napór Persów.

Jedna z błyskawic sięgnęła Ahmeta i Zenobii. Tarcza Ateny otaczająca królową rozbłysła niemal widzialnym światłem. Pocisk uderzył w kulę i prześliznął się po jej powierzchni, płonąć oślepijaco czerwonym blaskiem. Ahmet syknął, zaskoczony siłą uderzenia, i spróbował zaczerpnąć jeszcze więcej mocy z otaczającej go ziemi. Kamienie i skały zostały już jednak wykorzystane przez Aretasa. Zdesperowany Ahmet sięgnął do emocji wypełniających powietrze, a niebieska kula tarczy utrzymała się dość długo, by odepchnąć błyskawicę wroga. Kiedy ta zniknęła wreszcie, przy akompaniamencie głośniego trzasku, Ahmet odechnął głęboko i otarł pot z czoła.

- Czarownicy wroga są niezwykle silni, królowo - wyszeptał do ucha Zenobii. - Aretas nie może ci pomóc, jest całkowicie pochłonięty walką.

- Więc ja poprowadzę jego ludzi! Ha! - Ogier poderwał się nagle do biegu, a Ahmet przywarł mocniej do pleców królowej, przygotowując się do długiej i męczącej jazdy.

Mahomet zawrócił konia i zjechał na lewe skrzydło Tanuchów. Jego chorągwy pędzili tuż obok niego. Al-Kurajsz pochylił się w siodle i opuścił szybko rękę. Trzy tysiące Tanuchów poderwało konie do galopu, ruszając wygiętą niczym sierp linią na perską konnicę jadącą w górę zbocza. Mahomet spojrzał na nich z dumą; nikt nie zawahał się ani na moment, gdy przyszło ruszyć do walki. Potem odwrócił się i wydał z siebie przeciągły okrzyk bitewny. Trzy tysiące gardeł odpowiedziało mu ogłuszającym rykiem. Tanuskie konie niemal unosiły się nad ziemią, pędząc w dół zbocza, prosto na szeregi Żelaznych Kapeluszy. Mahomet nigdy jeszcze nie czuł się tak skupiony i tak podekscytowany jak w tej chwili. Lśniące pancerze perskiej jazdy były coraz bliżej.

Zenobia odwróciła głowę, usłyszawszy straszliwy okrzyk wojenny. Dotarła już niemal do dowódców nabatejskich *tagma*, którzy stali obok namiotu Aretasa. Podniosła się w siodle, próbując przebić wzrokiem tuman kurzu, i zobaczyła, jak pierwsza linia jeźdźców uderza w ciężką konnicę Persów na lewym skrzydle jej armii. Pobladła, gdy nad polem bitwy przetoczył się głuchy huk. Jej dłonie odruchowo zacisnęły się w pięści.

- Posłaniec - wyszeptała, a potem krzyknęła. Podjechał do niej jeden z Tanuchów, równie błady jak ona. - Jedź do Zabdy i powiedz mu, żeby atakował, na Hekate! - Jej głos podniósł się niemal do histerycznego krzyku. - Powiedz też najemnikom, żeby dołączyli do Zabdy najszybciej, jak to możliwe! - Królowa czuła, że robi jej się słabo. Mimo to wyprostowała się dumnie i podjechała do nabatejskich oficerów, którzy stali przy swych koniach w cieniu namiotu.

Oblicze Zenobii było ponure i zacięte, kiedy stanęła obok Nabatejczyków.

- Wydałam wam rozkazy. Mielicie wesprzeć piechotę na prawym skrzydle - powiedziała spokojnym, opanowanym głosem.

Jeden z oficerów, lekko otyły mężczyzna o nosie podobnym do nosa Aretasa i mocno kręconych włosach, skłonił przed nią głowę.

- Pani, otrzymaliśmy wyraźne rozkazy od naszego księcia i króla, by nie ruszać z miejsca, dopóki on o tym nie postanowi. Powiedział nam wyraźnie, że mamy atakować tylko i wyłącznie na jego rozkaz.

Zenobia przesunęła spojrzeniem po twarzach zgromadzonych przed nią oficerów.

- Wasz ukochany król i księżę zajęty jest swoją własną bitwą, moi panowie. Nie może tracić czasu na wydawanie wam rozkazów. Ja wydaję wam teraz rozkazy. Zaatakujecie na prawym skrzydle, wspierając własną piechotę i odrzucicie wojska Persów do tyłu. Czy to jasne?

Otyły oficer podniósł wyzywająco brodę i spojrzał hardo na królową. Jego lud władał ogromnymi obszarami pustyni przez długie stulecia, nim dziwny układ Bliźniaczych Rzek uczynił z Palmyry bogatą krainę i dał siłę przeróżnym pustynnym plemionom.

- Ruszamy tylko na rozkaz Aretasa, pani, nikogo innego!
- Głupiec! - warknęła królowa, tracąc cierpliwość. - Losy bitwy zawisły na włosku, a ty tracisz tutaj czas na głupie pozy. Każesz swym ludziom ruszyć do ataku albo odbiorę ci dowództwo!

Otyły oficer sięgnął do rękojeści miecza, lecz w tej samej chwili Ahmet przemówił zachrypłym głosem:

- Coś się dzieje! Aretas jest osaczony...

W ukrytym świetle Persowie przestali się wreszcie bawić w kotka i myszkę i uderzyli całą swoją siłą. Aretas i jego kapłani krzyknęli z przerażenia. Słudzy podbiegli do namiotu, potem jednak cofnęli się, patrząc ze zgrozą na swego pana. Księżę wyszedł chwiejnym krokiem na zewnątrz, sięgając rękami do oczu, które nagle wypełniły się krwią i eksplodowały, rozrzucając czerwone galerętowate fragmenty na stojących dokoła ludzi. Aretas krzyknął ponownie i wbił palce w twarz, zdzierając z niej długie krwawe pasy skóry. Jego ciało zatrzęśło się gwałtownie, skóra zaczęła się wybrzuszać i zapadać, jakby w środku kłębiły się uwięzione węże lub robaki. Aretas zrobił krok do przodu, a potem rozłożył szeroko ramiona i zstąpił z krawędzi urwiska.

Spadające ciało, widoczne dla wszystkich jeźdźców zgromadzonych poniżej, okryło się nagle płomieniami, a potem uderzyło głucho w ziemię i rozpadło na drobne, dymiące fragmenty.

Zenobia i Ahmet odruchowo zakryli oczy. Nabatejscy oficerowie patrzyli na urwisko z szeroko z rozdziawionymi ustami, bladzi jak śnieg. Ahmet wzmocnił tarczę, wyczuwając, że jakaś ogromna istota przeszła przez pole bitwy w niewidocznym świetle i sięgnęła do namiotu, by zerwać kapłanów księcia na strzępy. Dokonawszy morderczego dzieła, uniosła łeb i zaryczała triumfalnie. Nawet w widzialnym świetle słychać było echo tego krzyku, wznoszące się nad polem bitwy niczym wycie potępionych. Ahmet wzdrygnął się, dojrawszy wreszcie kształt potwora. Na jego grzbiecie leżały złożone trzyczęściowe skrzydła, w miejscu ramion wiły się ogromne macki. Potwór odwrócił łeb, omiatając pole bitwy swym jedynym wielkim okiem przypominającym ślepię kota.

Ahmet mocno przygarnął do siebie Zenobię, drżąc w atawistycznym strachu, kiedy spojrzenie monstrum przesunęło się po nich. Królowa, ogarnięta nagle straszliwym przerażeniem, którego źródła nie mogła dostrzec w widzialnym świetle, zadrżała w jego ramionach i skuliła się odruchowo. Na szczęście potwór nie dostrzegł ich i odszedł, wprawiając ziemię w drżenie. Ahmet odetchnął z ulgą, choć wciąż był ogromnie wystraszony. Spojrzał na drugą stronę pola bitwy i po raz pierwszy, niczym mysz, która nagle dostrzega skradającego się kota, dojrzał za liniami wroga odległy czarny kształt.

- O pani, wróg jest potężny. To musi być jeden z wielkich, *mobeheadan mobad*.

Zenobia zadrżała raz jeszcze, a potem odsunęła się od szerokiej pierśsi Ahmeta. Otarła usta i uderzyła trzcina w ramię otyłego oficera.

- Teraz ty dowodzisz, Obodasie. Ruszaj natychmiast do ataku albo cię zabiję. - Jej dłonie spoczęły na rękojeści szabli, którą wozila przypiętą do łęku siodła. Obodas podniósł na nią niewidzące spojrzenie. Potem jednak otrząsnął się, wziął głęboki, drżący oddech i skinął głową. Nabatejscy oficerowie podbiegli do swych koni i wskoczyli na siodła.

Zenobia zawróciła swego wierzchowca; musiała wrócić na środek linii i sprawdzić, co stało się na lewym skrzydle. Ahmet przywarł do niej niczym żeglarz do masztu na targanym sztormem okręcie. Drżał na całym ciele i oczekiwał lepkiem potem.

Dahak opadł ciężko na poduszki z końskiego włosia. Jego dłonie trzęsły się i przez chwilę nie mógł skupić wzroku na migocących świecach, którymi otoczył się we wnętrzu wozu. Mięśnie na jego ramionach i nogach drżały mimowolnie odpowiadając na wezwanie nerwów pobudzonych ogromną mocą, która przed momentem płynęła przez jego ciało. Czarownik pochylał się do przodu i sięgnął po miedziany kubek stojący przy poduszkach. Po dwóch próbach zdołał go podnieść do ust i pił chciwie. Czerwony płyn, zakrzepły niemal w galarete, spływał po jego policzkach. Zadrżał ponownie, czuł jednak, jak powoli odzyskuje siły.

Podczołgał się do drzwi wozu i zastukał w drewno. Po chwili drzwi uchyliły się lekko, a do wnętrza zajrzał wystraszony Uze.

- Jedź - wychrypiał Dahak z trudem - do obozu Odyńca. Poślij do niego człowieka z wiadomością.

Baraz podrapał się po brodzie w zamyśleniu. Posłaniec kucał na ziemi i żuł żdźbło trawy.

- „Teraz to już tylko sprawa ludzi”. Tak brzmi wiadomość wielmożnego Dahaka?

Uze splunął na bok i skinął głową.

Baraz wydał usta, a potem pokręcił głową.

- Jedź. Dopilnuj, żeby wielmożny Dahak bezpiecznie dotarł do obozu.

Baraz nie miał pojęcia, czego dokonał Dahak, wiedział jednak, że sytuacja na polu bitwy przybiera nieciekawą obrót. Nabatejczycy na lewym skrzydle ruszyli wreszcie do ataku, a całe lewe skrzydło Persów cofało się teraz pod ich naporem. Baraz rzucił do walki ostatnie oddziały włóczników i łuczników, to jednak nie zmieniło zasadniczo obrazu bitwy. Ciężka konnica dowodzona przez wielkiego księcia Szahina wciążyła się cofała i była coraz bliżej bagniska ciągnącego się wzdłuż brzegów strumienia.

- Przygotujcie się! - krzyknął do swych gwardzistów. Uśmiechnął się szeroko do dworzaków, którzy tłoczyli się wokół niego jak kolorowe ptaki uwiecznione w klatce ze stali. - Potrzebują nas na lewym skrzydle,

więc zaatakujemy między Czerwonymi i Rzymianami. Ich linia jest tam najslabsza!

Dźgnął swego konia piętami, i cała grupa złożona z siedemdziesięciu, osiemdziesięciu ludzi ruszyła do przodu. Dworzanie zaczęli płakać i krzyżeć ze strachu, lecz gwardziści otoczyli ich ciasnym kołem i gnali bez litości do przodu. Baraz uśmiechnął się na ten widok, potem jednak sposepniał, spoglądają na prawe skrzydło; wciąż nie miał stamtąd żadnych wieści.

Mahomet zamierzył się szeroko na perskiego rycerza, a jego lekka szabla uderzyła z głośnym brzękiem w ciężki miecz wroga. Pers natychmiast przeszedł do kontrataku; Mahomet błyskawicznie usunął się na bok, a miecz przeciął ze świstem powietrze w miejscu, w którym znajdował się jeszcze przed momentem. Dokoła kłębił się tłum ludzi i koni, szcękąca stal. Szarża Tanuchów zaskoczyła Persów i rozbiła dwa pierwsze szeregi Żelaznych Kapeluszy. Jednak gdy tylko Persowie ochłonęli ze zdumienia, ponownie zwarli szyki i sami przeszli do ataku. Tanuchowie, pomimo swej ogromnej odwagi i poświęcenia, nie mieli szans w tym starciu.

Al-Kurajsz obrócił konia w miejscu, próbując wyrwać się z bitewnego ścisku. W tej samej chwili inny perski rycerz także zawrócił swego wierzchowca, a jego ciężki opancerzony zad uderzył w klacz Mahometa. Ta zarżała ze strachu i bólu, cofając się nagle o krok. Mahomet odsunął ją od Persa i uderzył weń nad jej głową. Ostrze trafiło w opancerzone ramię rycerza i ześliznęło się w dół. Pers wziął szeroki zamach, zamierzając się nań toporem. Tarcza Araba pękła na pół od potężnego ciosu. Mahomet rzucił zniszczoną tarczą w Persa i dźgnął mocno piętami swego konia. Klacz poderwała się gwałtownie do przodu, przenosząc go obok zaskoczonego rycerza. Mahomet ujrzał nagle, jak otwiera się przed nim wąska uliczka i ruszył galopem do przodu.

Nieco dalej grupa Tanuchów zaatakowała dwóch Persów okrytych tylko półpancerzem. Włócznia dosięgła jednego z nich, przebiła mu podbrzusze i wynurzyła się z drugiej strony ciała, oblepiona krwią. Pers krzyknął przeraźliwie i runął na ziemię. Arabowie krzyknęli triumfalnie i sięgnęli po szable zawieszane na ich plecach. Mahomet natychmiast znalazł się przy nich.

- Daj znak do odwrotu! - zawołał głosem ochrypłym od krzyku. - Wycofujemy się! Zbierz ludzi!

Zagrały trąby, a jedyny pozostały przy życiu chorąży podniósł flagę wyżej i kreślił nią w powietrzu ósemkę. Mahomet i jego ludzie gnali całym pędem w górę zbocza. Pozostali Tanuchowie próbowali uwolnić się od siekących bezlitośnie Persów i ruszyć ich śladem, większość jednak została już otoczona i odcięta. Al-Kurajsz zatrzymał się i obrócił konia, by sprawdzić, czy do wszystkich dotarł jego rozkaz.

Jakaś zabłąkana strzała, wystrzelona przez perskich piechurów, uderzyła w jego bok. Mahomet zachwiał się w siodle i spojrzał z niedowierzaniem na ułamane drzewce wystające spod jego prawej pachy. Nagle ogarnął go straszliwy chłód. Szabla wypadła z odrętwiałych palców. Dwaj Tanuchowie podjechali doń i podtrzymali z obu stron, chroniąc przed upadkiem.

- Wracajcie do królowej - wyszeptał. - Ona nas poprowadzi...

Uwolnwszy się wreszcie od roju pustynnych bandytów, Chadames przywołał do siebie oficerów. Dwie formacje ciężkiej konnicy zostały zdeorganizowane przez niespodziewany atak i musiały się teraz szybko przegrupować. Generał miał ogromną ochotę podrapać się po nosie, lecz ciężki hełm skutecznie mu to uniemożliwił. Wspaniała zbroja, którą jego słudzy czyścili i polerowali przez cały poprzedni wieczór, ochłapaną była teraz krwią i pogięta od dziesiątek uderzeń. Ramiona wodza ciężkie były od zmęczenia; wydawało mu się, że nie znajdzie już dość sił, by po raz kolejny podnieść miecz. Wyjrzał przez wąskie szpary w hełmie i zobaczył, że jego ludzie szybko i sprawnie wyrównują szyki.

A palmyrska ciężka konnica wciąż nie atakowała.

- Formować szyki! - krzyknął i pognął konia do przodu. - Przygotować się do ataku!

Wciąż miał dość sił, by podnieść miecz i wskazać nim na wrogie szeregi.

Zenobia zmierzała na lewe skrzydło armii, dotarła jednak dopiero na środek pola, do drogi, gdy z prawej strony doleciał ją nagle wielki krzyk. Zawróciła konia i spojrzała na zbitą masę ludzi walczących na prawym skrzydle perskiej armii. Gdy Obodas i jego ludzie ruszyli wreszcie do ataku, perskie linie, i tak już mocno naciskane przez nabatejską piechotę, załamały się ostatecznie. Teraz Persowie uciekali z pola walki, biegnąc w stronę mostu i brodu na rzece.

- Mars i Wenus! - wyszeptła nagle królowa. Ahmet podniósł wzrok zaniepokojony dziwnym tonem jej głosu. Zza perskiej piechoty wypadła grupa kolorowo odzianych jeźdźców, prowadzona przez ogromnego mężczyznę z odkrytą głową i wielką, czarną brodą. Nawet z odległości dwustu kroków Ahmet widział, że jego twarz promienieje radością, jakby udział w bitwie był dlań najwspanialszą rozrywką. Olbrzym wymachiwał wielką maczugą nabijaną gwoździami. Po chwili czarnobrody wojownik i jego okryty zbroją koń uderzyli w trójkę nabatejskich rycerzy. Maczuga zawirowała w powietrzu i spadła na głowę pierwszego z nich, zamieniając ją w krwawą masę. W szeregach Persów podniósł się wielki krzyk radości.

Twarc Zenobii okryła nagle trupia bledość.

- To Odyniec, Szahr-Baraz... dałam się oszukać!

Ahmet pochwycił ją za ramię i potrząsnął nią.

- Bitwa jeszcze nie skończona - syknął. - Mamy przewagę. Wygrywasz.

Królowa wciąż nie mogła otrząsnąć się z osłupienia.

- On nigdy nie przegrał bitwy... - szeptała. - Zabił tysiące, dziesiątki tysięcy...

Tymczasem brodaty olbrzym i jego ludzie wbili się klinem w szeregi Nabatejczyków i siekli na lewo i prawo. Wielu rycerzy w czerwonych zbrojach rzuciło się do ucieczki na widok Odyńca, a cały atak Palmyrczyków nagle się zatrzymał.

- Musisz poderwać swych ludzi do walki, królowo. Uwierzą w ciebie. Twoja legenda silniejsza jest od jego! -Ahmet patrzył prosto w oczy Zenobii, próbując przywrócić jej wiarę w siebie.

Wreszcie i w jej oczach zapłonął gniewny ogień. Odwróciła się i stanęła w siodle, wznosząc głos ponad bitewny zgiełk.

- Palmyra! Za mną! Palmyra i Zenobia!

Czarny ogier skoczył do przodu, gdy dźgnęła go mocno piętami. Dzięki krzyk wściekłości wyrwał się z jej piersi, a całe pole bitwy zamarło ze zdumienia, widząc, jak królowa i jej Baktrowie uderzają w bitewny tłum niczym błyskawica.

Baraz obrócił się w siodle, usłyszawszy potężny krzyk Rzymian, i zobaczył, że w jego stronę zmierza wielki czarny ogier na czele sporego oddziału konnych. W siodle ogiera stała szczupła postać w złotej zbroi i skrzydlatym hełmie, ze srebrnym mieczem w uniesionej ręce. Odyniec zamrugał dwukrotnie, nim udało mu się skupić wzrok na szarżującej postaci.

Zenobia! - zdumiał się. Słyszał już kiedyś, że Królowa Jedwabiu sama prowadzi czasami swych ludzi do walki, do tej pory jednak w to nie wierzył. Czuł, że sytuacja na polu bitwy znów się zmienia; Rzymianie omal się nie załamali, kiedy ruszył do ataku, teraz jednak na powrót odzyskali wiarę w zwycięstwo.

- Zenobia i Palmyra! - Okrzyki Rzymian wznosiły się ponad szcęk broni i krzyki umierających. Rzymianie znów parli do przodu. Perscy dworzanie i gwardziści runęli pod ich naporem, sieczeni i dżgani lasem włóczni, mieczy i toporów.

Baraz wycofał się na tyły i zebrał wszystkich jeźdźców, którzy walczyli na lewym skrzydle. Z rozczarowaniem stwierdził, że jednym z niedobitków jest wielki książę Szahin. Jego wspaniała zbroja z brązu i złota była powginana i ubłocona. Po wymizerowanej twarzy księcia spływały krople krwi z głębokiej rany na czole. Boki jego konia oblepione były błotem i zakrzepłą krwią. Baraz policzył wszystkich jeźdźców; zostało ich zaledwie czternaście. Spojrzał na prawo i stwierdził z przerażeniem, że sytuacja na środku linii wygląda jeszcze gorzej niż poprzednio.

Piechota cofnęła się niemal do samego mostu i bliska była odcięcia od pozostałych sił.

- Wracać do mostu! - krzyczał. Persowie ruszyli na zachód najszybciej, jak mogły ich unieść zmęczone konie.

Ziemia drżała pod trzydziestoma tysiącami kopyt. Kurz wzbijał się wielkim obłokiem nad wysuszoną ziemię, kiedy Chadames i jego rycerze pędzili w górę zbocza w zachodniej części pola bitwy. Palmyrczycy, którzy czekali dotąd beczynn timerze w górze zbocza, zaczęli wreszcie formować szyk bitewny, lecz było już za późno. Chadames krzyknął z radości, czując, jak znów nabiera sił. Nieprzyjaciel zbyt długo czekał na posiłki; teraz przewaga leżała po stronie Persów. Poświęcenie pustynnych bandytów poszło na marne. Twarz perskiego dowódcy wykrzywiła się w straszliwym uśmiechu. Ziemia uciekała spod nóg ośmiu tysiącom koni pędzących w górę zbocza wielkim półkolem.

Zenobia pochyliła się w siodle i wyprowadziła błyskawiczne pchnięcie. Czubek jej szabli ześliznął się z ochraniacza na nos i wbił prosto w oko Persa. Ciało rycerza zadrżało konwulsyjnie, a królowa wydała z siebie okrzyk triumfu i wyjęła ostrze z jego głowy. Ahmet odwrócił wzrok, kiedy martwy żołnierz zsunął się z konia. Zenobia zawróciła konia i pogalopowała na zachód. Pęd porwał białe nakrycie głowy Ahmeta i rozwiął jego włosy. Jego twarz poplamiona była krwią. Królowa jechała w górę zbocza, w stronę drogi i jej namiotu. Połowa Baktrów, którzy rzucili się za nią do walki, opuściła bitewny tłum i pędziła teraz, by znów do niej dołączyć. Tylko dwóch posłańców pozostało przy życiu.

Nad polem bitwy unosił się gęsty kurz, trudno więc było dojrzeć, co dzieje się na skrzydłach armii. Zenobia poprawiła swój złoty hełm; jedno ze skrzydeł zostało odcięte i teraz hełm wciąż się przekrzywiał. Po kilku próbach królowa zdjęła go z głowy i urwała drugie skrzydło. Zenobia rozplatała warkocz, który rankiem schowała pod hełmem, i pozwoliła, by opadł na jej plecy.

- Mówcie! - wychrypiła do posłańców, którzy przygalopowali do niej wśród obłoków kurzu. - Co się dzieje?

Jeden z posłańców, Tanuch, pochylił głowę.

- Pani, wojska wielmożnego Mahometa zostały rozbite, on sam jest ciężko ranny, leży w swoim namiocie. Emir Ibn Adi dowodzi teraz resztkami Tanuchów, ale... - Przerwał i wskazał bezradnie na zachód.

Nad polem bitwy przetoczył się potężny ryk, po którym nastąpił straszliwy huk, jakby nagle uderzyły w siebie dwa ogromne młoty. Chwilę później teren na zachód od drogi wypełnił się tłumem uciekających jeźdźców. Tuż za nimi z szarych obłoków kurzu wychyły srebrne kształty perskich rycerzy, którzy rozbili formacje Palmyrczyków.

Zenobia jęknęła i zacisnęła pięści na grzywie konia. Ahmet pochwycił ją za ramię, lecz jakiś dźwięk dochodzący z drugiej strony pola bitwy kazał mu odwrócić głowę.

Na wschodzie, w dole strumienia, za miejscem, gdzie Nabatejczycy rozbili prawe skrzydło perskiej armii, pojawiła się kolumna jeźdźców zdążająca w górę doliny. Ubrani byli w czarne szaty, a nad ich głowami powiewały sztandary przedstawiające długiego czerwonego węża na czarnym tle. Ahmet spojrzął na prawo. Urwisko, na którym stał namiot Aretasa było puste, leżało na nim tylko kilka ciał i porzuconych sztandarów Księcia Miasta Czerwonej Róży. Po lewej wciąż walczyli nabatejscy jeźdźcy i włócznicy; wydawało się, że wkrótce całkowicie zgniotą prawe skrzydło perskiej piechoty. Nic nie oddzielało jeźdźców w czerni od odsłoniętych tyłów palmyrskiej armii.

- Zenobio - wyszeptał Ahmet. - Ci brakujący jeźdźcy, Lakmidowie, jak wyglądają ich sztandary?

- Czerwony wąż na czarnym polu - odparła królowa, odwracając się, i wtedy także ona ich zobaczyła. Jej źrenice rozszerzyły się na moment, potem podniosła głowę. Ogień w jej oczach gasł powoli, gdy uświadomiła sobie, jak musi zakończyć się ta bitwa. Przywołała ostatniego trębacza, jaki przy niej pozostał. Przystawiła trąbkę do ust i odegrała jedną prostą nutę. Rzymscy dowódcy podnieśli głowy, oglądając się za siebie. Niektórzy widzieli królową w lśniącej zbroi ze złota, inni tylko ją słyszeli.

- Wycofać się - krzyknęła, choć ścisnęła jej gardło rozpacz. - Wycofać się!

BRAMY TAURIS

W nocne niebo nad Tauris podświetlone było nieprzyjemnym zieloną/ W nym blaskiem. Dziwne światła migotały nad umocnieniami miasta. O milę dalej w dół rzeki stał cesarz Zachodu, Marcjusz Galen Atreusz, wpatrzony w ciemności po północnej stronie wód rzeki Talech. Rzeka była tutaj głęboka, a drugi brzeg ledwie majaczył niewyraźnie w bladym świetle księżyca. Cesarz stał nieruchomo na szczycie wzgórza, otoczony przez gwardzistów trzymających pochodnie i lampy. Wiatr szeleścił w gałęziach sykomor i osik porastających brzeg rzeki. Jeden ze zwiadowców stojących u boku cesarza podniósł zasłoniętą lampę i dwukrotnie uchylił sztywny skórzany kołnierz.

W ciemnościach po drugiej stronie pojawiła się odpowiedź: dwa krótkie błyski. Przez tłum otaczający cesarza przeszedł cichy pomruk; nikt nie spodziewał się, że ich sprzymierzeńcy będą tam, gdzie obiecali.

Kto by się tego spodziewał po barbarzyńcach? Galen podniósł rękę i wszystkie rozmowy natychmiast ustały.

- Wyślij człowieka z liną na drugi brzeg - powiedział cesarz do stojącego obok centuriona. Ten odwrócił się i rzucił krótki rozkaz w ciemność. Chwilę później na wzgórzu pojawiło się dwóch mężczyzn rozebranych do pasa. Byli potężnie zbudowani, mieli szerokie piersi i ramiona jak zapaśnicy. Ich ciemne włosy były krótko przycięte, a skóra lśniła w świetle latarni. Galen przyjrzał im się i skinął głową.

- Na drugim brzegu stoi oddział jazdy - zwrócił się do nich centurion. - Mają ze sobą emisariusza, który chce rozmawiać z cesarzem. Przeciągnijcie linę na drugi brzeg i sprowadźcie go tutaj. - Kiedy centurion mówił, inni legioniści zaczęli grubą, nawoskowaną linę o haki osadzone w szerokich skórzanych pasach, które mieli na sobie dwaj wysłannicy. Ci zaszalutowali i zeszli w dół zbocza, znikając w trzcinach porastających brzeg rzeki.

- Batawowie. - Centurion pokiwał głową. - Pływają jak węgorze.

Kiedy mówił, z jego ust wydobywały się obłoczki białej pary. Galen otulił się szczelniej ciężkim wełnianym płaszczem. Nadchodziła zima. Z trzcin doszedł cichy plusk, jakby do wody wskoczyła zaba. Lina zaczęła się powoli przesuwac w rękach trzymających ją legionistów. Cesarz czekał cierpliwie w ciemnościach.

Galen potarł zmęczone oczy. Było już późno, a on pracował od samego świtu. Na szczęście teraz mógł rozsiaść się wygodnie na swoim krześle, ustawionym obok wielkiego, pozłacanego tronu, który służy Herakliusza ciągnęli za sobą przez ostatnie sześć tygodni, przenosząc go przez góry, doliny i pustynie. Namiot wielkości sporej willi był dobrze ogrzany, setki świec oświetlały komnatę przyjęć w jego centrum. Wschodni tłumacz słuchał uważnie słów pomarszczonego starca w jasnoniebieskiej koszuli, obszytej gęstym ścięciem na kołnierzu i mankietach, oraz żółtych spodniach. Siwowłosego staruszek przypominał zachodniemu cesarzowi mima z objazdowych teatrów. Uśmiechnął się do siebie, a potem na powrót zajął się przeglądaniem notatek dostarczonych mu przez sekretarza: był to raport o liczbie sprawnych wozów oraz buszli pszenicy i żyta, które im jeszcze zostały.

Dawno temu, kiedy Galen po raz pierwszy spotkał się ze wschodnim cesarzem na dłuższym posiedzeniu, ustalili pewną zasadę dotyczącą sytuacji, gdy jeden z nich znajdował się na terenie drugiego. Otóż obaj cesarze mianowali się nawzajem swoimi *magister militum*; był to stary tytuł zarezerwowany dla człowieka odpowiedzialnego za armie państwa. Każdy z cesarzy zgodził się też, że kiedy *magister* nie może sprawować swojej władzy, drugi obejmuje pozycję stratega, który praktycznie wypełniał wszystkie funkcje związane z kierowaniem armią. Teraz, kiedy obaj ruszyli na wojnę, Galen przekonał się, że Herakliusz potraktował

tę umowę poważnie. Okazało się też, że taki układ bardzo dobrze się sprawdza, Herakliusz spędzał bowiem większość czasu na rozwiązywaniu politycznych problemów i sporów między poszczególnymi arystokratami, podczas gdy Galen rzeczywiście kierował armią.

Starzec umilkł, a tłumacz zwrócił się do wschodniego cesarza, który zaczął się już niespokojnie wiercić na swoim tronie.

- Autokratorze - zaczął tłumacz, arystokrata z Tarsos, który dołączył do armii na życzenie księcia Teodora. - Wódz błogosławi twój dom i twoich synów i wita cię na ziemi Ormian. Mówi, że Persowie mają wielu ludzi, wiele tysięcy żołnierzy w mieście. Ale wie, że armia Rzymian jest najsilniejsza, i że cały jego kraj będzie wkrótce wolny od zarazy Żelaznych Kapeluszy.

Herakliusz skinął głową i pogładził swą brodę. Był zmęczony; on także pracował od samego rana.

- Powiedz mu, Prokulusie, że cesarz z radością przyjmuje jego przyjaźń. Powiedz mu, że on i inni wodzowie w okolicy otrzymają ode mnie wiele cennych podarunków, jeśli będą naszymi dobrymi przyjaciółmi. Spytaj go, czy wie, kto dowodzi obroną miasta po drugiej stronie rzeki, i - co ważniejsze - czy w pobliżu są jakieś inne mosty prócz tego, który prowadzi do miasta.

Tarski arystokrata przetłumaczył pytania cesarza staremu Ormianinowi, a potem obaj rozmawiali ze sobą, aż Herakliusz uniósł brwi w niemym pytaniu, a Prokulus pochylał głowę w przeproszającym geście.

- Wybacz, panie. Wódz mówi, że obroną dowodzi podobno generał zwany Odyńcem i że żołnierze, którzy stoją na murach noszą czerwono-złote zbroje. Wnoszę z tego, że to Nieśmiertelni.

Usłyszawszy to, Galen podniósł wzrok znad swoich notatek. Do tej pory słuchał rozmowy z wodzem jednym uchem, przygotowując rozkazy dla swoich poruczników. Wschodni oficerowie zeszywnieli na dźwięk słowa „Odyńec”. Galen zmarszczył brwi, szukając w pamięci właściwych skojarzeń: no tak, Odyńec to przydomek najlepszego generała Persów, Szahr-Baraza, olbrzyma, który podobno nie przegrał jeszcze żadnej bitwy. Rzymianin przypomniał sobie także, że kiedy Chosroes rozpoczął tę wojnę, Herakliusz wysłał przeciwko niemu trzy armie, i wszystkie trzy zostały rozbite przez Odyńca. Galen potarł brodę pokrytą twardym, kłującym zarostem. Jak oni mogą nosić te brody? - zastanawiał się. Imię Odyńca było dla ludzi Wschodu jak magiczne zaklęcie - wróg, który nigdy nie został przez nich pokonany.

- Spytaj wodza - przemówił Herakliusz - czy ostatnio przybyli do miasta jacyś nowi ludzie albo czy jacyś ludzie niedawno je opuścili. Spytaj też, czy widział generała Baraza, czy też tylko słyszał, że on tu dowodzi.

Prokulus znów rozmawiał ze starcem przez chwilę, by potem zwrócić się do cesarza:

- Panie, wódz mówi, że dwadzieścia dni temu wielu jeźdźców wyjechało w pośpiechu na południe, ale nie było z nimi Odyńca. Mówi też, że często widywano tu Odyńca, kiedy przechadzał się po murach ze swymi ludźmi. Twierdzi, że widział go na własne oczy. Nikt inny nie opuścił miasta prócz kilku dużych oddziałów Żelaznych Kapeluszy, którzy mieli ukarać okoliczne wioski.

Galen spojrział na Herakliusza zaskoczony. Wschodni cesarz przestał bębnić palcami o poręcz tronu.

- Ukarać wioski? A co takiego się stało, że trzeba je ukarać?

Prokulus rozłożył szeroko ręce.

- Wódz nie wie. Mówi, że czternaście dni temu w mieście było wielkie zamieszanie. Rano z miasta wyjechało kilka oddziałów Żelaznych Kapeluszy, które napadły na wszystkie wioski w dolinie. Większość mieszkańców wcześniej uciekła, ale ci, którzy zostali, poszli w niewolę, a ich domy spalono.

Herakliusz podniósł brwi i spojrział na Galena, który pokręcił lekko głową.

- Od tego czasu Żelazne Kapelusze codziennie wypuszczają się za miasto i łapią wszystkich, którzy są na tyle głupi, żeby chodzić po otwartej przestrzeni. Wódz mówi, że prawie wszyscy mieszkańcy wiosek uciekli w góry. Nie ma żadnych wiadomości z Tauros.

Galen zmarszczył brwi i napisał na glinianej tabliczce dwa słowa: *miejscowi robotnicy?*

Cesarz Wschodu rozmawiał z wodzem jeszcze przez chwilę, a potem zakończył audiencję, obdarowawszy uprzednio swego gościa licznymi szatami i klejnotami. Gdy wódz zniknął już za drzwiami namiotu, Herakliusz wstał, przeciągnął się i zdjął ciężką szatę i koronę. Słudzy natychmiast uprzątnęły te przedmioty.

- Co o tym myślisz? - spytał Herakliusz.

Galen podniósł głowę i odłożył na bok tabliczki z notatkami.

- Myślę, że moi inżynierowie mogą w ciągu sześciu, siedmiu dni zbudować most dość mocny, by mogły po nim przejechać konie i wozy. Jeśli dopisze nam szczęście, znajdziemy jakieś dogodne miejsce do przeprawy, z dala od miasta. Chazarowie przejdą rzekę, a my będziemy mogli zostawić miasto w spokoju.

Herakliusz potarł nos i zmarszczył brwi, usłyszawszy tę propozycję.

- To oznaczałoby obecność silnego garnizonu wroga na naszych tyłach. Chyba dość trudno byłoby nam się wtedy kontaktować się z Konstantynopolem.

Galen skinął głową.

- Jeśli mamy zdobywać miasto, bracie - rzekł - też musimy zbudować most i przeprowadzić armię na drugą stronę. To zajmie jeszcze więcej czasu, a jak sam zapewne zauważyłeś, noce robią się coraz zimniejsze.

Herakliusz wydał wargi w zamyśleniu. Gestem nakazał jednemu ze służących, by przyniósł mu wino.

- Persowie - przemówił powoli - zbudowali świetny kamienny most nad tą rzeką.

Zachodni cesarz spojrział krzywo na wschodniego cesarza. Herakliusz z wdzięcznością przyjął mosiężny kielich wypełniony czerwonym winem.

- Ten świetny kamienny most prowadzi prosto do bramy strzeżonej przez dwie wieże, w centrum miasta zajętego przez kilkadziesiąt tysięcy doświadczonych żołnierzy, dowodzonych, być może, przez generała, który już trzy razy spuścił ci łanie. Gdybyśmy, gdybyśmy, powtarzam, mieli zdobywać most i miasto, to moi ludzie zapłaciliby za to krwią - stwierdził Galen.

Herakliusz skinął posępnie głową i opróżnił kubek.

- Ty masz ciężką piechotę i doświadczenie. Kiedy możemy przypuścić atak?

Galen opadł na oparcie krzesła i zamyślił się. Herakliusz poprosił o następny kubek wina. Zachodni cesarz sięgnął po tabliczkę i zapisał na niej jakieś wyliczenia.

- Będę potrzebował sześciu dni na przygotowania - oświadczył wreszcie. - Potem zobaczymy. Potrzebuję wszystkich ludzi, jakich możesz mi dać do pomocy w przygotowaniach.

W jego głosie pojawił się dziwny ton, który kazał Herakliuszowi przyjrzeć mu się uważniej. Galen uniósł lekko brwi, nic jednak nie powiedział. Jego oczy nabrały drapieżnego wyrazu. Miał już pewien pomysł. Sięgnął ponownie po tabliczkę i zapisał szybko: *smar*.

- Plotki się potwierdzają - mówił Nikos, przysiadłszy na skraju kamienną kryptę. - Na południowym brzegu Talkeh stoi rzymska armia. Z dachu magazynu zboża widziałem, że pracują nad czymś w górze rzeki, na wschód od miasta. Pewnie budują most, ale może to być też coś innego, na przykład jakiś kanał, którym chcą odprowadzić część wody w rzece, by obniżyć jej poziom.

Thyatis skinęła głową i odwróciła się do Bułgarów, Ormian i mieszczan zgromadzonych w krypcie. Po tajemniczym zniknięciu więźniów Persowie wprowadzili w mieście stan wojenny. Nikt nie mógł wychodzić z domu po zapadnięciu zmroku, a w ciągu dnia nie wolno było gromadzić się w grupach większych niż dwie, trzy osoby. Sprzymierzeńcy Thyatis spotkali się więc w krypcie rodziny Sesain, jedynej kryjówce w mieście, która mogła pomieścić prawie trzydzieści osób.

- Rzymska armia bardzo lubi budować fortyfikacje - powiedziała, stając przed Nikosem. - W innych okolicznościach przeszliby przez rzekę i otoczyli miasto ziemnym wałem, przez który nikt nie mógłby się przemknąć. Wtedy zabraliby się na dobre do pracy. Ta armia jednak działa w pośpiechu, podejmie więc zapewne bardziej drastyczne kroki.

Thyatis odwróciła się i sięgnęła do otwartej trumny. Niektórzy Ormianie zaczęli szeptać między sobą, lecz Jusuf i Sahul, trzymający straż przy drzwiach, uciszyli ich groźnymi spojrzeniami. Thyatis wyjęła z trumny garść kości i dwie czaszki. Nikos odgarnął butem kurz zakrywający podłogę pośrodku krypty.

- Kluczem do miasta, i do całej sytuacji, jest most nad Talkeh. - Ułożyła równolegle do siebie dwie kości udowe, a potem, prostopadle do nich, dwa piszczele. - Dość szeroki, by przejechały po nim dwa wozy, a przy tym jedyny w okolicy. Prowadzi prosto do centrum miasta, między dwiema ośmiokątnymi wieżami. - Położyła dwie czaszki przy końcu piszczeli, a potem, na ich ciemięch, kość przedramienia. - Za dwiema zewnętrznymi wieżami jest podwórze, a potem dwie następne wieże. Są też trzy bramy, po jednej z obu końców i trzecia, z żelazną kratą, pośrodku.

Żebra ułożone za czaszkami miały symbolizować wewnętrzne mury, a zuchwy bramy.

- Większość Nieśmiertelnych, którzy zostali w mieście, stacjonuje w tym bastionie. Wiemy już, że bastion ma własną służbę, więc jeśli Rzymianie nie zmienią biegu rzeki albo jej nie zatrują, wody Persom nie zabraknie. Na pewno mają też mnóstwo jedzenia i broni. Za wewnętrznymi wieżami... - na podłodze spoczęły kolejne dwie czaszki, znacznie mniejsze od poprzednich, które symbolizować miały ostatnią parę wież - ...jest następne otwarte podwórze. Teraz będzie używane jako zimowe targowisko i miejsce zebrania dla karawan szykujących się do drogi na południe. Między wewnętrznym murem a najbliższym budynkiem jest pięćdziesiąt stóp otwartej przestrzeni. Po obu stronach mostu są tylko niskie murki, toteż perscy łucznicy mogliby bez trudu wystrzelać wszystkich, którzy znaleźliby się tam bez dodatkowej osłony.

Thyatis wstała i wytarła dłonie w długą, ciemną suknię, którą nosiła od kilku dni wraz z nakryciem głowy i chustą na twarz. Jusuf musiał uciekać się do pomocy Sahula, prosząc go, by przekonał Thyatis, że musi zacząć chodzić w przebraniu. Persowie oferowali ciężką torbę złotych monet za głowy tych, którzy uwolnili więźniów.

- Wydaje się, że armii rzymskiej pozostaje tylko jedno wyjście - przepłynąć przez rzekę w łodziach i na tratwach, a potem przypuścić szybki szturm na miasto. Jeśli uda im się zdobyć pozostałą część miasta, będą mogli przetransportować tu ciężkie maszyny oblężnicze i zamienić bastion w kupę gruzu. Musimy być przygotowani na ten dzień. Wszyscy powiedzieliście, że będziecie walczyć z Persami.

Zgromadzeni w krypcie mężczyźni pokiwali głowami. Surowe rządy Odyńca nie przysparzały mu przyjaciół, a od jego zniknięcia rodziny ludzi gotowych do walki z Persami nie były już zagrożone. Thyatis słuchała rozmów, jakie Ormianie toczyli ze sobą nocami, i wiedziała, że uważają obecność Rzymian za zjawisko równie krótkotrwałe jak śnieg

w lecie. Wierzyli, że po przegnaniu Persów znów staną się panami własnej ziemi. Zauważyła, że Jusuf i Sahul także przysłuchują się tym rozmowom; zastanawiała się, czy Bułgarzy nie zamieniliby swego zimnego kraju na północy na żyzniejsze i cieplejsze doliny. Nic jednak nie mówiła na ten temat; jej misja była prosta i jednoznaczna.

- Postaramy się mieć swój udział w tej bitwie - mówiła. - Podzielę naszą grupę na dwa oddziały. Jeden, dowodzony przez naszego przyjaciela Jusufa, ukryje się w pobliżu bramy północnej, Dastewan. Kiedy Rzymianie przystąpią do ataku, jego ludzie zaatakują bramę z drugiej strony i spróbują ją otworzyć. Drugi, większy oddział pod moją wodzą zajmie się południowym bastionem. -Thyatis uśmiechnęła się w półmroku. - Przyjaciel Jusuf podzielił się ze mną swoimi wątpliwościami co do moich szans zdobycia bastionu. Powiem wam, tak jak powiedziałam jemu, że przysięgam oddać to miasto memu cesarzowi i zrobię to.

Nikos przyglądał się jej ukradkiem. Jego dowódca robiła się coraz śmielsza.

Noc dobiegała powoli końca, ustępując przed ukrytym jeszcze nisko za horyzontem słońcem. Dwaj perscy żołnierze, Nieśmiertelni, w swych złoto-czerwonych płaszczach, stali na południowo-wschodniej wieży umocnień Tauris. Rzeka szemrała cicho u podnóży murów, obmywając kamienne bloki. Nad ziemią wciąż zalegała ciemność, powietrze jednak zaczęło się zmieniać pod dotykiem niewidocznego jeszcze słońca. Starszy z dwóch żołnierzy, w futrzanej czapie z nausznikami, wpatrywał się w mrok. Teren wokół miasta był opustoszały i cichy. Młodszy Pers wyciągnął zziębnięte dłonie do lampy, która oświetlała mur poniżej ich posterunku.

- Nie rób tego - powiedział jego towarzysz głosem przytłumionym przez wełniany szal, który nosił owinięty wokół twarzy. - Nic potem nie będziesz widział.

- Phi, a na co tu patrzeć? Przecież tu nic nie ma.

Starszy żołnierz pokręcił tylko głową i powrócił do obserwacji rzeki.

Tymczasem nad wodą podniosła się zimna mgła. Przez chwilę wisiała nieruchomo nad rzeką, a potem wpełzła na brzeg. Starszy żołnierz, pomimo swej czujności, nie zauważył jej, dopóki nie przesłoniła lampy. Potem zaklął głośno, bo robiło się coraz zimniej. Odsunął się od krawędzi muru i podszedł do kosza wypełnionego rozżarzonymi węglami. Jego towarzysz już tam był, grzał dłonie nad niewielkim płomieniem. Nie widzieli, jak mgła podnosi się coraz wyżej, dopóki nie sięgnęła otworów strzelniczych i nie przelała się nad górną krawędzią murów niczym białoszara woda. Była gęsta jak mleko i tłumiała wszelkie odgłosy.

Zoe kuciała na dziobie łódki, wyglądając zza gałęzi sykomory zwieszających się niemal do samej powierzchni wody. Mgła gęstniała z każdą

chwilą, ograniczając widoczność zaledwie do kilku stóp. Eryk i Dwyrin siedzieli na rufie, obaj trzymali w dłoniach kije, którymi mieli przepchać łódź na drugi brzeg rzeki. Odenatu[^] leżał na dnie łodzi, owinięty w wełniane koce i płachtę starej skóry, którą Eryk ukradł z namiotu któregoś z gockich najemników. Oddychał płytko, choć jego oczy bezustannie poruszały się pod powiekami. Zoe podniosła rękę i zacisnęła dłoń w pięść.

Dwyrin i Eryk ujęli mocniej kije i podnieśli się ze swych miejsc. Łódź zakotłosała się lekko na boki. Gdzieś z ciemności nadszedł sygnał i Zoe opuściła rękę. Chłopcy wbili kije w muliste dno, a łódź odbiła bezgłośnie od brzegu. Eryk i Dwyrin wyrwali kije z dna i zaczęli na przemian zanurzać je w wodzie. Łódź skręciła najpierw odrobinę w lewo, potem znów w prawo, utrzymywała jednak wyznaczony kierunek. Zoe stała na dziobie, trzymając w rękach swój kij i wpatrując się w szarą ciemność.

Dwyrin opuścił swobodnie ręce, kiedy jego kij przestał sięgać dna, trzymał go jednak w wodzie dość długo, by skorygować kurs łodzi po tym, jak Eryk zachwiał się gwałtownie, nie sięgnąwszy drągiem dna. Dwyrin pochwycił go za kołnierz i przytrzymał mocno, w ostatniej chwili ratując towarzysza przed upadkiem do wody. Choć raz Hibernijczyk czuł się bardziej doświadczony i sprawniejszy niż jego towarzysze z piątki: od małego wychowywał się pośród jezior i bagien, a sterowanie łodzią taką jak ta miał niemal we krwi. Eryk, drżąc z wysiłku, usiadł na rufie. Dwyrin pozostał na swoim miejscu. Zoe obejrzała się w którymś momencie do tyłu i zobaczyła, że chłopiec się uśmiecha.

Dziewczyna skinęła głową i ponownie spojrzała przed siebie. Świat jakby zastygł w całkowitej ciszy, kiedy płynęli. Prądem w dół rzeki w gęstej, wilgotnej mgle. Nagle łódź przechyliła się lekko i zaczęła dryfować bokiem. Dwyrin podniósł kij, wpatrując się w ciemność. Woda przed dziobem łodzi podniosła się lekko, a Zoe dojrzała na jej powierzchni stojącą falę. Szybko wysr.nęła swój kij do przodu i uderzyła nim w krawędź przęsta.

Dwyrin także je dostrzegł i napał na nie końcem swego kija. Łódź odsunęła się od kamiennej konstrukcji. Kije Dwyrina, Zoe i Eryka ślizgały się na omszałej powierzchni, kiedy wszyscy troje próbowali przepchnąć łódź dalej. Wreszcie fala otaczająca przęsto podniosła ich i wepchnęła pod most. Dwyrin natychmiast się odwrócił i wyciągnął spod tylnej ławki ciężką linę z hakiem. Eryk przykucnął i schował się za nim, by mu nie przeszkadzać. Prąd był teraz silniejszy, znosił ich na prawo. Dwyrin poczuł, że zbliżają się do jakiegoś wielkiego kształtu, a potem zza mgły wychyły nagle mury miasta.

Hibernijczyk zamknął oczy, odcinając się od zmysłowego postrzegania świata. Mieli bardzo mało czasu, lecz Dwyrin udowodnił już, ku niekłamanej satysfakcji centuriona, że to właśnie on potrafi najszybciej z całej piątki wejść w drugi krąg. Wciąż miał spore kłopoty z kontrolowaniem swej mocy, teraz jednak najważniejsza była dla nich prędkość.

Po jego prawej stronie pojawił się lśniący pierścień żółci i zieleni. Tymczasem Zoe wbiła kij w dno przed dziobem łodzi. Łódka zakreśliła się w miejscu, a jej tylna część uderzyła w mury miasta.

Hak Dwyrina wsunął się bezgłośnie w pierścień, a chłopiec szybko owinał linę wokół występu na rufie łodzi. Łódź szarpnęła się lekko i zniechęciła, wsparta o mur. Eryk i Dwyrin zaczęli ciągnąć linę, przesuując tym samym łódkę do przodu. Wreszcie dotarli do pierścienia i wąskiego chodnika pod mostem. Zoe poprawiła warkocze ułożone na czubku jej głowy i wspięła się na śliski, wilgotny chodnik. Eryk podał jej koc i dwie bawełniane torby. Dwyrin przykleknął na dnie łodzi i delikatnie poklepał Odenatusa po twarzy.

Palmyrczyk uniósł powieki i jęknął głośno.

- Cicho! - szepnął Dwyrin, zakrywając dłonią usta chłopca. - Jesteśmy przy bramie. - Hibernijczyk pomógł Odenatusowi podnieść się, a potem wspiąć na chodnik. Zoe i Eryk zniknęli już w ciemnościach. Dwyrin dał Odenatusowi chwilę na złapanie oddechu, podczas gdy on sam wyjmował hak z pierścienia. Kręcąc głową nad marnotrawstwem, jakim było porzucenie dobrej łodzi, położył hak na jej dnie, a potem puścił linę. Uwolniona łódź otarła się jeszcze raz o mur, a potem odpłynęła z prądem rzeki.

- Chodź, musimy znaleźć resztę - wyszeptał Dwyrin do ucha Odenatusa. Jego towarzysz skinął głową i wstał, chowając zziębnięte ręce pod pachy. Nie tracąc dłużej czasu, ruszyli w stronę bramy. Świt był już blisko.

Thyatis otworzyła oczy. Jej umysł natychmiast zaczął pracować na pełnych obrotach, całkowicie wolny od sennego otumanienia. Sięgnęła w bok, odszukała ucho Nikosa i ścisnęła je między palcami. Ilir obudził się z grymasem bólu na twarzy, nie wydał jednak z siebie żadnego dźwięku. Nad miastem zalegały głębokie ciemności, lecz coś się w nim działo. Thyatis miała wrażenie, że powietrze stało się jakby cięższe. Wstała i podniosła swój miecz i sztylet. Ubrana była w gruby bawełniany kaftan i skórzane nogawice. Jej tułów okrywała także stara żelazna kolczuga, którą Bagratuni wygrzebał z jakiegoś starego kufra na wsi. Prócz tego znalazł też starożytny hełm z żelaznym grzebieniem i błyszczącymi ochraniaczami na policzki. Thyatis nałożyła hełm, ułożywszy wcześniej na czubku głowy ciasno splecione warkocze, i dopięła skórzany pasek pod brodą. Nikos także już wstał i cicho budził pozostałych ludzi.

Thyatis weszła na schody piwnicy i ostrożnie otworzyła drzwi prowadzące do sklepu, który zajęli poprzedniego wieczora. Sklep był pusty; wszystkie towary wywieziono stąd wcześniej. Wzdłuż ścian ciągnęły się szerokie drewniane półki, które zostawiały tylko wąskie przejście pośrodku. Thyatis prześliznęła się do wejścia, zasłoniętego przez ciężkie drewniane okiennice. Pośrodku jednej z nich znajdowała się niewielka dziurka. Thyatis uniosła lekko sztabę zakrywającą otwór i wyrzała na ze-

wnątrz. Południowy plac był ciemny i pusty, lecz w świetle lampy zawieszanej na ścianie jednego z budynków widać było pierwsze pasma mgły. Thyatis odwróciła się do Nikosa, który stanął za jej plecami. Do sklepu wchodzili kolejni członkowie jej oddziału.

- Mgła - wyszeptała. - Mamy szczęście. Zawiadom pozostałe sklepy. Atakujemy, gdy tylko wszyscy zajmą pozycje.

Nikos pochwycił ją za ramię.

- Jesteś pewna? - spytał z troską w głosie. - Nie dostaliśmy żadnej wiadomości z zewnątrz...

- Zwycięstwo należy do odważnych - odparła, uśmiechając się szeroko w mroku. - Jest jeszcze ciemno, a do tego pojawiła się gęsta mgła. Bez względu na to, co zrobią Rzymianie, mamy szansę zdobyć bastion własnymi siłami.

Ilir przyglądał jej się jeszcze przez chwilę, potem pokręcił głową i odszedł, by przygotować ludzi do akcji. Thyatis ponownie wyjrzała na podwórze. Poczowała znajomy dreszcz emocji. Setki ludzi czekały na jej rozkaz, niczym rączy rumak wstrzymywany ręką jeźdźca. Ich losy zależały teraz od jej sprytu i odwagi. Zaciśnęła dłoń na oplecionej sznurkiem rękojeści miecza. Pożyczony hełm dobrze leżał na jej głowie.

Galen stał we mgle, okrywając swą pozłacaną zbroję ciężkim wełnianym płaszczem. Towarzyszył mu sługa, który trzymał w dłoniach jego miecz i hełm zwieńczony pióropuszem. W otaczających go ciemnościach kryły się tysiące ludzi gotowych do ataku. Po twardo ubitej drodze toczył się wielki drewniany taran; nasmarowane świńskim tłuszczem osie kręciły się niemal bezgłośnie. Galen próbował przebić wzrokiem ciemności i mgłę otulające most. Widział jednak tylko niewyraźne, ciemne kształty. Potarł nos, czując, jak narasta w nim coraz większy niepokój. Przez moment żałował, że nie jest swoim bratem Aurelianem. Aurelian nigdy nie czuł strachu przed bitwą, nigdy nie martwił się o własne bezpieczeństwo. Cesarz zastanawiał się przez chwilę, jak radzi sobie Maksjan przywalony papierkową robotą w pałacu. Potem westchnął cicho i odsunął od siebie myśli o braciach. Rzeka powoli toczyła swe wody, okryta białym kocem mgły.

Wilgoć osadzała się kroplami na potężnych belkach tworzących bramę miasta. Mgła lizała czarne kamienie chodnika. Dwyrin i Zoe kucali u podstawy bramy, przykryci szarym płaszczem. Cienka warstwa wełny nie mogła ochronić ich przed dojmującym zimnem, lecz dawała chociaż pozór ciepła. Hibernijczyk klęczał, skupiając całą uwagę na połączeniu między dwoma skrzydłami bramy. Wzdłuż zewnętrznej krawędzi prawej połowy ciągnął się szeroki na dziewięć palców pas żelaza, który zachodził na lewe skrzydło.

Dwyrin zadrżał, czując wibrację zaklęć zamkniętych w dębowych wrotach. Oddychał powoli, próbując uspokoić umysł. Wszedł ponownie

w drugi krąg, potem w trzeci. Percepcja odpadała od niego niczym płatki jakiegoś olbrzymiego kwiatu, a każda warstwa odsłaniała dziesięć tysięcy innych warstw. Brama błyszczała ukrytą mocą. Skomplikowana sieć linii mocy chroniła je przed atakiem wroga, delikatne wzory o stu poziomach. Chłopiec zdumiony był ogromem pracy, jaką ktoś włożył w przygotowanie tej bariery.

Zoe, która, choć nieco wolniej, zeszła wraz z nim do ukrytego świata, szepnęła mu do ucha:

- Zostaw to, zajmij się kamieniami.

Dwyrin spojrział w dół, odrywając uwagę od zmieniających się bezustannie wzorów mocy w bramie. Ciężkie wulkaniczne kamienie, którymi wyłożono drogę przy bramie, były ciemne i martwe, pozbawione jakichkolwiek oznak mocy. Dwyrin skupił mocniej uwagę. Przyłożył palce do zimnej powierzchni drogi, a jego postrzeganie wpłynęło daleko w głąb kamienia, szukając choćby najmniejszej iskierki.

Wreszcie znalazł ją głęboko pod bramą, w fundamentach wieży. Maleńki ogień zamknięty w wielkiej bazaltowej płycie, tworzącej podłoże wieży. Jego duch otulił szczelnie maleńki płomyk, próbując go delikatnie rozdmuchać. Ogień przygasł na moment, a potem rozbłysnął jaśniej. Dwyrin czerpał moc z innych kamieni, coraz bardziej podsycając ukryty płomień.

Zoe zadrżała. Chłód ciągnący od rzeki i mgły wspinał się po jej nogach, obejmował łydki i uda. Hibernijczyk wciąż pogrążony był w transie, jego palce drżały w zetknięciu z kamieniem. Zoe przesuwiała ciężar ciała z nogi na nogę, próbując podtrzymać w nich krążenie. Dwyrin zadrżał nagle i podniósł na nią wzrok.

- Chodźmy - wychrypiał. Zoe pomogła mu wstać, zaskoczona ciepłem bijącym od jego ciała. Starannie złożyła wełniany płaszcz i pchnęła Dwyrina w dół chodnika przy bramie. Chłopiec ruszył chwiejnym krokiem przed siebie, a nad jego rozpaloną skórą unosiły się kłęby pary. Spomiędzy kamieni pod bramą wydobył się cichy trzask.

Tupot setek nóg odbijał się echem od ciemnego muru górującego nad południowym placem. Thyatis biegła w mroku, otoczona ciemnymi postaciami ludzi ze swego oddziału. Pierwszy szereg niósł długie drabiny, zebrane z całego miasta w ciągu ostatnich tygodni, oraz słupy, które tak irytowały Jusufa. Mur będący obiektem ich ataku miał dwadzieścia stóp wysokości od strony miasta, drabiny zaś mierzyły prawie trzydzieści stóp. Wszystkie drabiny i słupy owinięte były od góry grubymi szmatami, które miały tłumić stukot drewna opadającego na mur. Nad miastem wciąż zalegała gęsta mgła, w której ginęły wszelkie dźwięki wydawane przez biegnących żołnierzy.

Pierwszy szereg zatrzymał się o kilka kroków przed murem. Ludzie niosący drabiny oparli dolne końce na ziemi i stanęli na najniższych szczeblach, podczas gdy ci z tyłu zaczęli pchać je do góry. Thyatis zwolniła

i podniosła miecz, dając znak pozostałym, by oni także się zatrzymali. Po-tem z powrotem schowała miecz do przewieszanej przez plecy pochwy.

Pierwsza drabina podniosła się znad ziemi, stanęła pionowo, a potem opadła powoli na krawędź muru. Thyatis natychmiast do niej doskoczyła i zaczęła wspinać się na szczeble, zręcznie niczym małpa. Jednak nim jeszcze dotarła na szczyt, usłyszała bicie dzwonów alarmowych w cytadeli. Syknęła z wściekłością i zeskoczyła na mur.

- *Roma Victrix* - krzyknęła z całych sił, sięgając jednocześnie po miecz. Pod murami stała już setka drabin, a pierwsza fala nacierających pięła się w górę. Na szczycie umocnień było jeszcze pusto, Thyatis ruszyła więc biegiem na lewo, w stronę najbliższej wieży wartowniczej. Słyszała setki zaniepokojonych głosów, tupot nóg. We mgle rozbłyśły światła lamp, drzwi wartowni otworzyły się z trzaskiem, a z wnętrza zaczęli wysypywać się żołnierze.

Pierwszy uzbrojony był tylko we włócznię: w pośpiechu zapomniał o nałożeniu zbroi. Thyatis wyskoczyła z mgły, a jej miecz zawirował w powietrzu, przecinając odsłoniętą szyję żołnierza. Pers złapał się za gardło, rozpaczliwie próbując chwycić powietrze, a jego włócznia opadła ze stukotem na kamienie. Thyatis była już za nim. Następny Pers ubrany był w półpancerz i uzbrojony w topór, a kolejni mieli już włócznie i tarcze. Thyatis czuła, jak wzbiera w niej ogromna wściekłość. Wyjąc preraźliwie, wpadła między wartowników niczym demon zniszczenia.

Jej nóż zablokował topór uderzający z prawej strony, a miecz w lewej ręce wystrzelił do przodu, wślizgując się między żebra Persa. Kopnęła umierającego wroga, by się na nią nie osunął, i obróciła w stronę kolejnego napastnika. Ten próbował wbić włócznię w jej szyję, Thyatis odchyliła się jednak i zanurzyła ostrze długiego noża w jego gardło. Fontanna krwi okryła jej ręce śliską mazią. Świat wokół jakby tracił kolory, zwalniał. Jej miecz zawirował w powietrzu i przeciął na pół włócznię Persa atakującego z prawej strony. Widziała, jak z lewej zbliża się do niej miecz, obróciła więc tułów tak, by jego ostrze ześliznęło się po ciężkich metalowych kółkach kolczugi.

Natychmiast wyprowadziła kontratak, przecinając głęboko ramię napastnika. Pers zawył jak potępieniec, choć jego krzyk wydawał jej się dziwnie odległy, podobnie jak szczęk broni za plecami czy wrzaski dochodzące z podwórza. Uderzyła rannego żołnierza przedramieniem w nos, przewracając go na ziemię, i odwróciła się w prawo. Włócznik odrzucił bezużyteczne drzewce i sięgnął po sztylet zatknięty za pasem. Rzucił się na Thyatis, a ta przyjęła uderzenie na ostrze noża, który trzymała w prawej ręce. Jej dłoń wygięła się nagle w nadgarstku i zatoczyła niewielkie kółko, wyłuskując broń z ręki napastnika. Nim ten zdołał odskoczyć, Rzymianka pchnęła go mocno do tyłu. Stopa Persa ześliznęła się z krawędzi muru, a ręce rozpaczliwie szukały w powietrzu jakiegoś oparcia. Thyatis uśmiechnęła się dziko przez strumienie krwi żale-

wające jej twarz i kopnęła go w pierś. Wartownik zniknął w gęstej mgłę, szeroko otwierając oczy ze zdumienia.

Czas nagle powrócił na swe normalne tory, a świadomość Thyatis powróciła do rzeczywistych wymiarów, obejmując wszystko, co działo się dokoła. Na murach roilo się od żołnierzy i świateł. Coś przegnało mgłę znad umocnień, jakiś dziwny wiatr wiejący od bastionu i głównej bramy. Ludzie Thyatis wciąż wchodzili na mury, lecz Persowie na podwórzu i w innych wieżach zasypywali ich gradem strzał. Ormianie wspinający się na drabiny spadali martwi na ziemię. Sto kroków dalej Nikos próbował się odgryzać, strzelając z łuku. Jakaś zabłąkana perska strzała uderzyła w ścianę tuż obok Thyatis. Rzymianka wbiegła do wartowni, z której przed chwilą wypadła grupa Persów.

Niewielki kwadratowy pokój zaśmiecony był przedmiotami należącymi do perskich żołnierzy. Thyatis przewróciła stół, blokując nim drzwi po drugiej stronie, i dopadła do schodów prowadzących w dół wieży. Kilku Bułgarów przedostało się na zewnątrz mimo gradu strzał i dołączyło do niej, dysząc ciężko.

- Na dół - rzuciła, wskazując mieczem schody. - Oczyszćcie inne poziomy, żebyśmy mogli zejść na podwórze.

Bułgarzy przebiegli obok niej, uśmiechając się drapieźnie. Thyatis wróciła do drzwi.

Mury zasłane były ciałami zabitych. Na umocnieniach wciąż pojawiali się nowi ludzie, lecz ostrzał Persów zbierał obfite żniwo. Nikos gdzieś zniknął. Thyatis wyszła na zewnątrz, by sprawdzić, jak wygląda sytuacja jej ludzi. Otworzyła usta, by zawołać Nikosa.

Niebo na południu zapłonęło nagle oślepiająco białym blaskiem, który rozproszył resztki mgły. Tuż po nim mury owionęła fala gorącego powietrza, a nad ziemią przetoczył się potężny, ogłuszający grzmot. Podmuch odrzucił Thyatis na ścianę wartowni. W ostatniej chwili zdążyła jeszcze podnieść rękę, by osłonić oczy.

Galen przechadzał się powoli między swymi gwardzistami. Wszyscy przewyższali go co najmniej o głowę, ogromni Germanie w zbrojach z żelaznych pierścieni przszytych do grubych skórzanych kaftanów. Przed zimnem chroniły ich futra i owcze skóry. Na głowach nosili hełmy z wąskimi otworami na oczy, a w rękach trzymali owalne tarcze z drewna obciągniętego skórą. Galen wyglądał jak drobny chłopiec między tymi olbrzymami, nikt jednak nie śmiał nawet się ruszyć bez jego rozkazu. Przed chwilą przybiegli doń ostatni posłańcy, przynosząc meldunki znad brzegów rzeki. Wszystkie kohorty były gotowe.

Cisza, początkowo mile widziana, teraz wydawała się przytłaczająca. Mgła zaczęła się powoli rozjaśniać na wschodzie. Galen niemal fizycznie czuł, jak przesypują się kolejne ziarna czasu, niszcząc fragment po fragmencie jego plan. Podniósł rękę, a trębacz przytknął do ust instrument.

Galen wpatrywał się we mgłę. Nic nie poruszało się na moście. Westchnął ciężko, gotów wydać rozkaz do ataku.

Nagle znad murów dobiegł go dźwięk dzwonu, przytłumiony nieco przez gęstą mgłę. Galen drgnął zaskoczony, wciąż trzymając rękę uniesioną nad głowę. Potem do dźwięku dzwonu dołączył przeraźliwy gwizd i krzyki perskich żołnierzy.

- Odkryli nas - jęknął Galen i dał znak trębaczowi. - Atakujemy!

Trębacz wziął głęboki oddech i zadał w swój instrument. Czysty dźwięk rogu rozbrzmiał wyraźnie po obu stronach rzeki, przebijając się przez mgłę. Trębacz ponownie odegrał sygnał do ataku, a z prawej i lewej odpowiedziały mu inne rogi. Tysiące ludzi wokół cesarza poderwało się nagle z miejsc. Germanie otoczyli go ciasnym kręgiem, tworząc ze szcepionych tarcz nieprzenikloną ścianę drewna i skóry. Taran wtoczył się na most. Stu ludzi ukrytych w jego wnętrzu naparło na słupy, posuwając ogromną maszynę do przodu.

Wzdłuż okrytych skórą ścian taranu biegli łucznicy z bronią gotową do strzału. Nad rzeką niósł się chlupot setek łodzi i barek, które wcześniej przetoczono nad brzeg po okrągłych belkach. Centuria za centurią wbiegały na szerokie tratwy i odpychały je od brzegu. Za tratwami płynęły wypełnione ludźmi łodzie przeróżnych kształtów i rozmiarów, które ściągnięto wcześniej z okolicznych wiosek.

Gdzieś za Galenem, po prawej stronie, rozległ się głośny trzask, gdy zwolnione ramię onagera wyrzuciło w powietrze pierwszy pocisk. Wielka kula zielonego szkła przeleciała ze świstem nad rzeką i uderzyła w jedną z wież fortecy. Uderzeniu towarzyszył brzęk pękającego szkła, który rychło zamienił się w szum płomieni, gdy wieżę okryła warstwa rozpalonego flogistonu. Po chwili dołączyły do nich przeraźliwe krzyki żołnierzy stojących na wysuniętej z wieży platformie; flogiston oblepił ich ciała nieugaszalnym ogniem. Przez mrok przebił się jaskrawy zielony blask.

Taran sunął powoli naprzód, osłaniając swą wielką bryłą stłoczonych na moście legionistów.

Galen wpatrywał się w ciemność. Zaciskał pięści tak mocno, że spod wbitych w dłonie paznokci sączyły się krople krwi.

Nad głowami Rzymian przeleciała kolejna szklana kula.

Od fortecy powiał nagle mocny wiatr. Galen zakrył twarz, kiedy coś przeleciało z wyciem obok niego, rozdzierając zasłonę mgły, którą podnieśli rzymscy czarownicy, by ukryć przygotowania armii do szturm. Nad wieżami miasta podniósł się dziwny zielony blask i nagle cały most i rzekę zalało światło. Powierzchnię rzeki pokrywała gęstwina tratw i łodzi. Pierwsze z nich właśnie dotarły do przeciwnego brzegu. Nad umocnieniami podniósł się wielki krzyk, a Galen ujrzał, że na murach miasta tłoczy się mrowie perskich żołnierzy. Deszcz strzał spadł na ludzi stłoczonych w łodziach poniżej. Na wodą rozbrzmiały pierwsze krzyki umierających i rannych.

Druga szklana kula rozbiła się na murach nad bramą i rozkwitła białym ogniem, który przywarł do kamieni i płytek okrywających wieże. Oblepiani płomieniami Persowie wili się z bólu, wyjąc jak zwierzęta, niektórzy skakali do rzeki. Na murach rozbłysła na moment czerwona iskra, a potem z góry runęła kaskada ognia, zalewając tratwę, na której tłoczyli się rzymscy legionieści. Tratwa zakołysała się, gdy żołnierze zaczęli skakać do wody, większość jednak została uwięziona między ciałami swych towarzyszy. Paleni żywcem legionieści krzyczeli przeraźliwie, aż ogień wypełnił ich usta i odebrał głos.

Galen zaklął, widząc, jak szturm zamienia się powoli w rzeź jego ludzi. Taran był za wolny! Nie dotarł nawet jeszcze do bramy. Odwrócił się, by zarządzić odwrót.

Coś wypełniło powietrze wokół niego oślepiająco białym światłem. Cesarz poczuł, jak jakaś ogromna siła rzuca go na ziemię niczym trzcinę przygniecioną kopytem wołu. Germanie krzyknęli ze strachu, a potem nad ziemią przetoczył się straszliwy huk i powiew gorącego jak ogień powietrza. Galen zniknął pod ciałami gwardzistów, którzy rzucili się nań, by chronić go przed demonem, który zawładnął nagle światem wokół nich.

Chodnik biegnący wzdłuż rzeki zakołysał się pod ich nogami, gdy kamienie pod bramą rozkwitły nagle białym płomieniem. Zoe poleciała na bok, na Dwyrina. Oboje stracili równowagę i wpadli do rzeki. Eryk, który patrzył właśnie w stronę bramy, gdy eksplodował kamień rozpalony przez Dwyrina, oślepiiony został blaskiem wybuchu, okręcił się w miejscu i runął prosto do rzeki. Otworzył usta do krzyku, lecz ciemne wody zamknęły się nad nim i pociągnęły w głąb. Odenatus, który dotarł już do samego końca chodnika, poczuł, jak owiewa go fala rozpalonego powietrza, i przywarł mocniej do kamiennego muru.

Wyrwane z zawiasów skrzydła bramy uniosły się nad ziemię niczym dwa gigantyczne liście. Potem przechyliły się na boki i opadły powoli, majestatycznie ku rzece, wbijając się niczym ogromne topory w dwie rzymskie barki. Zdumieni legionieści w ciężkich zbrojach ratowali się, wskakując w ciemne, mętne wody. Dwie wieże po obu stronach bramy zatrzęśły się w posadach, pozostały jednak na swych miejscach, choć ukryci w nich ludzie ogłuszeni zostali hukiem eksplozji. Wewnętrzny dziedziniec za bramą wypełniony był płonącymi ciałami perskich żołnierzy. Rzymscy łucznicy, którzy biegli przed taranem, zostali spaleni lub zrzućeni z mostu do rzeki. Siła wybuchu odepchnęła taran dwadzieścia stóp do tyłu, zgniatając schowanych w nim ludzi na miazgę. Potem machina wojenna cofnęła się o kolejne dziesięć stóp, ślizgając się na krwi zgniecionych legionistów.

Wielu spośród żołnierzy biegnących za taranem zginęło lub zostało okaleczonych, Siwy centurion, na wpół oślepiiony wielką drzazgą, która niemal odcięła mu kawałek twarzy, pierwszy stanął na równe nogi.

- Naprzód! - ryknął i przeskoczył nad ciałami swych towarzyszy.

Kohorty Tertia Augusta podniosły się z ziemi i ruszyły za nim, choć sandały żołnierzy ślizgały się na krwi i ciałach zabitych. - *Roma Victrix!* - krzyczeli, biegnąc do bramy.

Dwyrin szamotał się w lodowatej wodzie. Ciemność kłębiła się wokół niego, próbując pozbawić go poczucia kierunku, zimny prąd ciągnął go ze sobą. Lewą ręką obejmował Zoe w pasie, prawą zaś odpychał się ku górze. Rzeka obróciła ich w miejscu i nagle ciemność rozstała się, gdy głowa Dwyrina wychyłała nad powierzchnię wody. Świat tonął w czerwonym blasku ognia, wszędzie dokoła płynęły łodzie. Dziób jednej z nich zbliżał się do niego od lewej. Hibernijczyk odpłynął na bok, przewracając się na plecy i wciągając Zoe na siebie.

Jego nogi, wzmocnione dzięki ciężkim ćwiczeniom w ostatnich tygodniach, pracowały bez ustanku, przepychając go przez wodę. Łódź przepłynęła obok, wielka i czarna. Dwyrin omal nie zachłysnął się wodą, gdy na moment zakryła go fala wzbudzona przez łódź.

Chwilę później uderzył głową w kamień przy brzegu, na płyciźnie poniżej murów miasta. Krzyknął z bólu, nie wypuścił jednak Zoe, która leżała bezwładnie w jego objęciach. Dwyrin stanął na dnie i wyciągnął Zoe na brzeg przez gęstwinę trzcin. Noc wypełniały krzyk ludzi, blask płonącej fortecy i ciemne postacie biegnących żołnierzy. Do brzegu przybijały kolejne łodzie, legionieści wyskakiwali na płyciznę. Dwyrin położył Zoe, gdy tylko znalazł kawałek twardego gruntu. Nie oddychała.

Ułożył ją na boku, objął od tyłu, trzymając dłonie na jej brzuchu, i ścisnął mocno. Z ust dziewczyny wypłynęła strużka wody. Scisnął ponownie, wypychając kolejną porcję wody. Potem szybko przewrócił ją na plecy i odchylił głowę do tyłu. Powstrzymując łzy, pochylił się nad nią i wtłoczył powietrze do jej ust. Dokoła biegali legionieści, słychać było wrzaski centurionów, którzy usiłowali zwołać swych ludzi. Zoe zakasłała, opluwając twarz Dwyrina wodą. Chłopiec otarł oczy i odchylił się do tyłu. Zoe ponownie zakasłała, a Dwyrin przetoczył ją na brzuch. Dziewczyna zaczęła oddychać.

Hibernijczyk tulił ją mocno do siebie, próbując ogrzać jej zimne ciało. Od strony miasta dobiegł kolejny huk, płomienie strzeliły wyżej. W czerwonym blasku Dwyrin widział oddziały legionistów biegnące w stronę murów. Zoe zadrżała w jego ramionach. Ogień odbijał się w wodzie niczym plama żywej krwi.

HUTA ŻELAZA, KONSTANTYNOPOL



ługi pręt rozżarzonego do białości żelaza, zamknięty w szczypcach
trzymanych przez dłonie w skórzanych rękawicach, zanurzył się

w tłustej ciemnej wodzie, wydając przy tym głośny syk. Kowal odsunął się do tyłu, wyjmując hartowany pręt z wody, potem odwrócił się i położył go na wielkim stalowym bloku. Potężny młot uderzył z góry w rozpalone żelazo, wyrzucając w powietrze chmurę iskier, które dołączyły do tysięcy innych wypełniających rozgrzane wnętrze huty.

Maksjan szedł powoli przez ciemności zalegające w hucie. Tuż za nim stapał Abdmachus, ubrany jedynie w spodnie i sandały. Jego ciało okrywała lśniąca warstwa potu, która rozmyła symbole wypisane atramentem na skórze czarownika. Blask bijący od wielkich pieców i palenisk odbijał się od zapadniętych policzków Maksjana, podkreślając jego nos i kości policzkowe. W zamkniętej hali panował tak wielki hałas, że książę niemal nie słyszał własnych myśli. Wszędzie dokoła pracowali ludzie ubrani w ciężkie skórzane fartuchy. Powietrze było ciężkie, wypełnione parą i wonią potu. Maksjan wstąpił na kamienne schody prowadzące na podwyższenie znajdujące się z boku wielkiej komnaty.

Teraz mógł ogarnąć spojrzeniem całą hutę. W otwartej przestrzeni pomiędzy rzędami kuźni i dołów z roztopionym żelazem wznosiła się jakaś wielka konstrukcja. Snopy iskier wylatywały spod młotów, które łączyły żelazo z żelazem. Robotnicy ostrożnie podnosili kości wielkiego szkieletu, wspomagani przez cały system wyciągarek i bloczków zawieszonych pod sufitem. Wysoko w górze rysowały się ogromne łuki skrzydeł. Maksjan patrzył na swe dzieło roziskrzonymi oczami.

Och, Aurelianie, rozmyślał, byłbyś tym zachwycony...

- Dobrze się sprawiłeś, przyjacielu - powiedział Maksjan, zwracając się do Abdmachusa.

Pers uklonił się i spojrzał w oczy Rzymianina. Jego twarz rozciągnęła się w szerokim uśmiechu. Ta konstrukcja była jego największym dziełem. Maksjan odpowiedział uśmiechem, zadowolony, że jego przyjaciel znalazł wreszcie prawdziwy cel. Bez niego i bez jego umiejętności wypełnienie tego zadania byłoby niemożliwe.

Ludzie pracujący w hucie nie podnosili wzroku, choć czuli na sobie spojrzenie swego pana. Książę wpatrywał się w oblicze stalowej poczwary, w jej ogromną, lekko przechyloną głowę o potężnych kłach i głęboko osadzonych oczach.

Wkrótce ożyjesz, pomyślał.

Wielka głowa, wyższa od dorosłego człowieka, patrzyła nań obojętnie pustymi oczodołami, które podświetlał jedynie blask płomieni. Maksjan odwrócił się i wyszedł przez ciężkie, okrągłe drzwi zawieszane na zawiasach z zardzewiałego żelaza. Za drzwiami hałas przycichł, zamieniając się w jednostajny, tępy pomruk. Abdmachus otarł czoło i ruszył w dół schodów, do wnętrza hali. Właśnie zaczynały się prace przy jednym ze złączy skrzydła, a tworzenie tak delikatnych elementów wymagało jego nadzoru i fachowej pomocy.

Krista czekała w pokoju z dokumentami. Ubrana była w kaftan, poplamiony czarnymi cętkami, i luźną koszulę o ciężkich rękawach zawiniętych nad nadgarstki. Na jej nosie widniała smuga ciemnego atramentu. Uszy Maksjana wciąż wypełniał huk młotów. Widział, że Krista porusza ustami, nie słyszał jednak, co do niego mówi.

Podniósł rękę i przymknął na moment oczy, koncentrując się. Był jeszcze chudszy niż zwykle, choć na jego ramionach i piersiach pojawiły się wyraźnie zarysowane mięśnie, wynik ciężkiej pracy. Gdy wreszcie otworzył oczy, słyszał już normalnie.

- Ktoś chce się z tobą zobaczyć - powiedziała Krista uprzejmym tonem. Maksjan znał ją jednak zbyt dobrze, by nie usłyszeć lodowatej nuty w jej głosie. Uniósł lekko brwi w niemym pytaniu.

- Jedna ze służących ciemnej kobiety. Jest w przedpokoju.

Książę skinął głową i przeszedł do drzwi po przeciwnej stronie pokoju, omijając stoły zastane gęsto arkuszami pergaminu i zwojami papirusu. Wszystkie ściany i niemal cała podłoga pokryte były rysunkami, książkami i maleńkimi modelami z gliny i drewna. Pośrodku jednej ze ścian znajdował się wielki rysunek, wryty starannie przez Kristę w arkuszu miedzi, ukazujący konstrukcję w całej jej drapieżnej chwale. Maksjan uśmiechnął się, gdy jego wzrok padł na ów rysunek.

Czego mogłaby dokonać ludzkość, gdyby tylko chciała podnieść głowę i marzyć? - pomyślał z głęboką satysfakcją. *<

Zatrzymał się przy drzwiach i spojrzał przez ramię na Kristę. Ta wciąż stała przy stole, oparta jedną ręką o blat. Patrzyła w bok, na pergamin i papirusy. Znał jej nastroje wystarczająco dobrze, by dostrzec w jej postawie ukryty głęboko gniew.

- Masz jeszcze tę swoją dziwną broń na sprężynę? - spytał cicho.

Krista odwróciła powoli głowę i spojrzała nań spod opuszczonych nisko powiek.

- Tak.

- Pokaż mi ją.

Wyciągnął ku niej rękę, pobrudzoną węglem. Krista jakby znieruchomiała na moment, a potem broń ukazała się nagle w jej prawej dłoni. Maksjan pokiwał głową z uznaniem, a potem wziął od niej ciężką metalową rurkę. Nigdy nie widział jej z bliska. Miedziana rurka była długa na osiem palców, a z zewnątrz przytwierdzono do niej uchwyty z grubego drutu. Z jednej strony rurki znajdował się suwak z pierścieniem grubości kciuka. W tej chwili pierścień znajdował się na samej górze rury. We wnętrzu tkwił pierścień zwiniętej stali osadzony w dwóch wyżłobieniach. Maksjan widział tylko niewyraźny kształt sprężyny w środku rurki. Uchwyty były już mocno wytarte od częstego używania.

- Mogę zobaczyć strzałę?

Strzała - pół dłoni wypolerowanej stali o stożkowatym ostrzu i czterech czarnych lotkach - pojawiła się w jej ręku równie szybko jak sama broń.

Była ciężka, jakby wykonano ją z żelaza. Maksjan oddał Kriście rurkę, zatrzymał jednak strzałę, obejmując ją ciasno dłońmi. Pocisk rozbłysnął na moment białym światłem, kiedy książę wyszeptał jakieś zaklęcie.

Gdy w końcu oddał strzałę Kriście, ta przyjęła ją *be/*, słowa komentarza czy choćby urażonej miny. Włożyła pocisk do rury i przesunęła pierścień. Strzała zniknęła we wnętrzu broni, a pierścień zatrzymał się z trzaskiem w niewielkim wycięciu u podstawy rurki. Całe urządzenie zniknęło ponownie w rękawie Kristy. Maksjan przyglądał się temu uważnie, wciąż jednak nie wiedział, jak jego służąca i kochanka chowa broń tak szybko i sprawnie.

- Chcę, żebyś poszła ze mną na to spotkanie.
- Dlaczego? - W jej oczach pojawił się wreszcie ślad zainteresowania.

- Czuję się pewniej, kiedy stoisz za moimi plecami - odparł książę.
- Szczególnie kiedy z przodu stoi jedna z tych kobiet.

Krista wzruszyła ramionami i odwinęła rękawy. Gdy książę odwrócił się od niej, uśmiechnęła się przelotnie, lecz potem na powrót przybrała obojętną, wręcz posepną minę.

* * *

Maksjan wszedł do pokoju, pochylając się lekko, by nie uderzyć głową o nadproże. Włożył nową koszulę z ciemnozielonej bawełny, przyczesał też włosy. Jego twarz nie wydawała się już tak blada i wymizerowana jak przed chwilą.

Kobieta wstała powoli. Jej szaty spływały z ramion niczym skrzydła nocy. Była to ta blondynka, która wychodząc poprzednio od księcia, spojrzała nań z żalem przez ramię. Czarny płaszcz okrywał ramiona kobiety, lecz jej śnieżnobiałe piersi niemal rozsadały ciasny skórzany gorset, podtrzymywany ułożonymi na krzyż paskami z czarnej skóry. Ukłoniła się nisko, pozwalając, by rozcięcie sukni odsłoniło jej kształtną łydkę i udo. Paski sandałów, owinięte ciasno wokół łydki, sięgały niemal do kolan. Oczy kobiety były błękitne niczym czyste zimowe niebo nad ośnieżonym lasem.

- Jestem Alais — powiedziała przyciszonym, zmysłowym głosem. Nozdrza Maksjana zafalowały; powietrze wokół kobiety przesycone było słodkim, oszałamiającym zapachem wiosny, który oplatał go niczym pętla w ukrytej pod liśćmi pułapce. Usta kobiety rozchyliły się lekko, różane wargi odsłoniły na moment równe, białe zęby. Książę czuł, jak jego ciało drży w reakcji na jej zmysłową urodę. W tej samej chwili usłyszał przytłumiony śmiech Kristy. Ten dźwięk przywrócił go do rzeczywistości, podziałał jak kotwica, która nie pozwoliła jego myślom zawędrować ku gładkim udom i piersiom Alais.

- Witaj, Alais - odparł spokojnym, przyciszonym głosem, choć nie

wyzwolił się jeszcze do końca spod jej uroku. - Co sprowadza cię do naszego domu? Masz jakieś wieści od swej pani?

Błękitne oczy zaiskrzyły na moment, a kształtne usta wykrzywiły się w niechętnym grymasie na wzmiankę o kobiecie w czerni.

- Przyszłam tu z własnej woli, panie. Choć wszyscy bardzo szanujemy naszą panią, nie jest ona naszą władczynią. Słyszałam twoją hojną ofertę, panie, gdy namawiała z tobą jakiś czas temu. Czy twa propozycja wciąż jest aktualna?

Maksjan przekrzywił głowę i przyjrzał się uważnie jasnowłosej kobiecie. Znowu panował nad sobą. Układ sił w pokoju wyraźnie się zmienił. Pomimo swej olśniewającej urody Alais była tylko echem w pustej przestrzeni.

- Pragniesz uwolnić się od bólu?

Pochyliła nisko głowę.

- Tak, panie. Ja i wielu innych będziemy ci wiernie służyć, jeśli tylko zechcesz dać nam eliksir. - Jej głos drżał z nadmiaru skrywanych emocji.

- Wiesz, że dopóki nie zdobędziecie mojego zaufania, nie wyjawię wam tajemnicy jego produkcji?

- Tak, panie... wiem... wiemy.

- Jesteście gotowi złożyć przysięgę wierności? Wypełnić moją wolę i oddać się pod moją ochronę w zamian za uwolnienie od bólu?

- Tak. - Kobieta uklękła na podłogę, a atmosfera w pokoju znów uległa ledwie wyczuwalnej zmianie. Krista czuła, jak podnoszą się jej włoski na karku. Lampy przygasły nieco, wypełniając pokój dziwnym, złotawym blaskiem. Suknia i płaszcz Alais ułożyły się na podłodze niczym wielka kałuża atramentu, przecięta jedynie jasnymi wstęgami jej włosów. - Złożę przysięgę i będę ci wiernie służyć. - Jej drżąca dłoń wysunęła się do przodu, by dotknąć czubka butów Maksjana.

Książę wpatrywał się przez moment w klęczącą kobietę. Potem poruszył stopą, a wyciągnięta dłoń szybko skryła się pod suknią.

- Twoja pani cię odrzuciła. - Słowa księcia zawisły w powietrzu.

- Tak - wyszeptła kobieta po chwili. - Ja... niektórzy spośród nas nie zgadzali się z jej decyzją. Błagaliśmy ją, by przyjęła twą ofertę i uwolniła nas od bólu. Ona jednak nie słuchała głosu rozsądku, myślała jedynie o podtrzymaniu starych tradycji i zwyczajów naszego ludu. Mówiła, że wolność w bólu cenniejsza jest od rozkosznej niewoli. Sprzeciwiałam jej się zbyt mocno, oświadczyła więc, że nie jestem już jej poddana.

- Jesteś zatem wygnańcem. Bez domu, bez jakiegokolwiek ochrony, ogarnięta bólem, cierpieniem, które dotyka twój lud.

- Tak... - Kobieta załkała i pochyliła się niżej, przykładając czoło do podłogi u jego stóp. - Proszę, pomóż mi, głód jest jak kwas...

- Wstań więc i poprzysięgnij mi wierność, a zaznasz pokoju i wyzwolisz się od bólu.

Alais wyprostowała się, podnosząc wzrok na Maksjana. Książę ujął jej dłoń i pomógł wstać z podłogi. Twarz kobiety była teraz jeszcze bledsza niż zwykle, a oczy wypełnione strachem i cierpieniem. Krista wydeła lekko usta, widząc, że jej płaszcz jest już miejscami przetarty i zniszczony. Maksjan ułożył ręce kobiety na jej piersiach i podniósł lekko głowę Alais. Potem wyjął z kieszeni małą kapsułkę wypełnioną rubinowym płynem i uniósł ją nad czoło Alais.

- Zamknij oczy, Alais.

Powieki kobiety opadły, a różowe usta rozchyliły się, ukazując czubek języka. Maksjan uczynił znak na jej czole. Kobieta zachwiała się lekko, książę jednak podtrzymał ją w miejscu. Krista postąpiła o krok do przodu, by dobrze widzieć ich oboje.

- Przysięgasz wypełniać moją wolę, wykonywać me rozkazy i służyć mi z całych sił? W zamian ofiarowuję wam ochronę, jaką może zapewnić mój dom i moi słudzy.

- Przysięgam, panie. Jesteśmy silni i możemy ci dobrze służyć.

- Uwolnię cię więc od bólu.

Książę odciągnął kciukiem woskowy korek na fiolce i wlał odrobinę czerwonego płynu w otwarte usta kobiety. Gdy ta przełknęła eliksir, Maksjan cofnął się o krok. Alais zadrżała i osunęła się na podłogę, pozbawiona nagle siły w członkach. Zaczęła się krztusić, krew napłynęła jej do twarzy. Książę potarł brodę w zamyśleniu, przyglądając się reakcji jej organizmu. Krista powoli wysunęła broń z rękawa i skierowała ją na kobietę wijącą się na podłodze. Alais jęknęła głośno, przeciągle, potem zadrżała raz jeszcze i znieruchomiła.

Maksjan dotknął delikatnie czubka jej głowy, a kobieta podniosła nań wzrok. Krista syknęła głośno, zaskoczona. Chorobliwa bladość zniknęła z twarzy Alais, ustępując miejsca rumieńcom. Jej błękitne oczy napełniły się życiem. Czerwone usta kobiety przylgnęły do dłoni księcia w pocałunku wdzięczności.

- Panie, twe błogosławieństwo wypełnia świat.

Książę uśmiechnął się lekko.

- Wstań, Alais. Stań przy mnie. Mówiłaś, że wśród twego ludu są jeszcze inni, którzy myślą podobnie jak ty. Przyprowadź ich do mnie, a ja udzielę im tego samego błogosławieństwa, jeśli przysięgną mi posłuszeństwo.

Alais ukloniła się nisko. Na jej twarz wypłynął powolny, leniwy uśmiech, pełen niewypowiedzianych obietnic.

- Uczynię, co rozkażesz, panie. -W jej głosie znów pojawił się zmysłowy pomruk.

Krista, niewidoczna dla księcia i kobiety, przewróciła oczami i wsunęła sprężynową wyrzutnię do skórzanej pochwy przywiązanej do ręki. Maksjan wypuścił dłoń Alais. Kobieta okryła się płaszczem, a potem ukloniła raz jeszcze, ukazując na moment pełne piersi i smukłą szyję,

i wyszła. Księżę wpatrywał się przez chwilę w drzwi, pocierając brodę okrytą kilkudniowym zarostem. Potem odwrócił się do Kristy, która stała przy przeciwnych drzwiach z obojętną, nieprzeniknioną miną.

- No tak. - Księżę westchnął. - Myślę, że powinienem oddać ją Gajuszowi Juliuszowi, to go trochę rozrusza. Wydaje mi się, że jest zazdrosny o Abdmachusa i jego dzieło.

- Zazdrosny? - Krista uniosła brwi. - Raczej znudzony... Trzymasz go tu w zamknięciu, podczas gdy ty i Pers zajmujecie się swoim projektem. On chce wyjść na zewnątrz, wkładać ten swój wielki nos tam, gdzie nie trzeba, kręcić się po mieście, słuchać plotek i śledzić intrygi.

Maksjan zmarszczył brwi, doznawszy tego samego uczucia straconej szansy, której doświadczył już wcześniej, gdy Krista ujawniła swój talent do języków. *Gdybym zrobił go szefem siatki szpiegowskiej w Rzymie...*

- Masz rację. Nie powinienem pozwolić, by tracił czas na pijaństwo i podrywanie służących. Niech zajmie się pracą, którą lubi najbardziej.

- Słusznie. - Krista skinęła głową, odwracając się z powrotem do stołów zasłanych rysunkami.

PALMYRA, MIASTO JEDWABIU

L/o obu stronach drogi z pustyni wyrastały wieże z bladej złotej piaskowca. Ahmet im się przypatrywał, kiedy jego wielbłąd człapał powoli po ubitej drodze. Kwadratowe wieże zbudowane były z wielkich kamiennych bloków. Na wysokości kilku stóp znajdowały się okna i drzwi wychodzące w pustą przestrzeń. Jedna z wież stała tuż przy drodze, Egipcjanin mógł więc przyjrzeć się z bliska płaskorzeźbom ludzi, wielbłądów i okrętów zdobiących drzwi. Z wnętrza wieży doleciała go znajoma woń.

Zapach zabalsamowanych zwłok ludzi ułożonych do wiecznego spoczynku.

Las grobowców porastał całe dno doliny i wspinał się na zbocza wzgórz. Ich cienie, wąskie i wydłużone w blasku popołudniowego słońca, przecinały skalne podłoże nieregularnymi pasami. Wysoko na niebie krążył jastrząb. Kroki maszerującej armii odbijały się echem od ścian grobowców.

Nikt się nie odzywał. Ludzie dosiadający koni i wielbłądów jechali ze zwieszonymi głowami. Kurz okrył grubą warstwą ich ubrania i zbroje. Przy boku Ahmeta jechała Zenobia, za nią Mahomet. Południowiec siedział sztywno w siodle, obciążając bardziej prawy bok. Jego tułów oplatały bandaże przesycone zakrzepłą krwią i potem. Był bladej i wycieńczony. Długi odwrót spod Emesy mocno nadwerżył jego siły, choć

i tak trzymał się bardzo dzielnie. Królowa zasłoniła twarz następnego dnia po klęsce pod Emesą i nie patrzyła nikomu w oczy. Gdy się odzywała, jej głos był słaby i zachrypnięty.

Droga ominęła szerokim łukiem ostatnią grupę wież i z za zakrętu wynurzyło się wreszcie miasto.

Ahmet podniósł wzrok na mury miasta. Była to ogromna konstrukcja z wielkich, lekko pochylonych brył złotego piaskowca, które wyglądały niczym zabawki rzucone na pustynię przez starożytnych tytanów. Zarówno umocnienia, jak i potężne wieże, strzegące bramy od strony Damaszku, były świadectwem bogactwa Palmyry. Armię oddzielał jeszcze od miasta szeroki strumień, nad którym przerzucono solidny drewniany most. Na odległych szczytach murów, wysokich co najmniej na czterdzieści stóp, widać było tysiące ludzkich postaci. Trudno było doszukać się wśród nich jakichś żywszych barw, wszędzie dominowała szarość i czern: królowa wysłała już wcześniej jeźdźców z wieściami o klęsce jej armii.

Zenobia dźgnęła konia piętami, obracając go w miejscu, Ahmet zrobił to samo. Królowa zjechała z drogi i przystanęła na płaskim piaszczystym poboczu. Kiedy Mahomet pociągnął konia za uzdę, chcąc do niej dołączyć, wskazała ręką miasto.

- Najpierw wchodzi armia - powiedziała słabym głosem. - Ja wejść na końcu, kiedy już wszyscy moi ludzie znajdą bezpieczne schronienie.

Mahomet skinął głową w milczeniu i ponownie wjechał na środek drogi. Armia kontynuowała swój powolny marsz. Zenobia siedziała nieruchomo w siodle i patrzyła na przechodzących obok żołnierzy. Wszystkie oddziały były zdziesiątkowane, wielu ludzi rannych. Ocalały tylko niedobitki piechoty, przepadły wozy z prowiantem i sprzętem. Wszystko to zostało utracone podczas bezładnej ucieczki z pola walki, gdy Odyniec rozbił w pył marzenia Zenobii o wolności.

Wreszcie minęła ich tylna straż, nieliczni Tanuchowie, którzy przetrwali szaloną szarżę Mahometa na perskich rycerzy. Jeźdźcy pochyliłi się w siodłach przed królową, choć ich poznaczone bliznami twarze nie wyrażały nic prócz krańcowego zmęczenia. Ostatni jechał Ibn Adi, posępny i milczący. Podniósł rękę w geście pozdrowienia, a Ahmet zauważył ze zdumieniem, że szejek stracił podczas bitwy dwa palce. Jego dłoń obwiązana była brudnym bandażem.

Kurz opadł powoli na ziemię, nad pustynię powrócił spokój. Wysoko na niebie wciąż krążyły jastrzębie. Zenobia wyciągnęła rękę ku Ahmetowi, ten ujął ją i uściśnął lekko. Przez chwilę siedzieli obok siebie nieruchomo, trzymając się za ręce. Słońce zniknęło za górami, nad którymi zapadał zmrok. Królowa ścisnęła mocniej dłoń Ahmeta, a potem wypuściła ją i zdjęła chustę z twarzy.

- Ci nieliczni, którzy przetrwali, na pewno są już w mieście - powiedziała. - Muszę tam pojechać i spojrzeć w oczy moim poddanym.

Odwróciła się do Ahmeta i spojrzała nań oczami zamglonymi od łez i zmęczenia. Koń wiercił się pod nią niespokojnie, Zenobia położyła jednak dłoń na jego głowie, a zwierzę natychmiast się uspokoiło.

- Ty mógłbyś pojechać dalej. Szlaki na południu wciąż są przejezdne. Mógłbyś pojechać do domu, do Egiptu.

Ahmet pokręcił głową, uśmiechając się smutno.

- Pozostanę na twojej służbie, pani. W Egipcie nie ma już nic, co byłoby drogie memu sercu.

Królowa nie dawała jednak za wygraną.

- Jeśli zostaniesz - kontynuowała - na pewno zginiesz, gdy Szahr-Baraz zdobędzie miasto. Jeśli odjedziesz, przeżyjesz. Czy to nie lepsze od śmierci?

- A jeśli pojedę... czy ty, pani, pojedziesz ze mną? - spytał, z trudem panując nad głosem.

Na jej twarzy zagościł grymas rozpacz i ogromnej tęsknoty.

- Och, Ahmecie... Nie mogę. Muszę wypełnić swój obowiązek, ocalić resztki honoru. Moja pycha doprowadziła mych ludzi do zagłady. Jak spojrzałabym w oczy ojcu w Domu Bela, gdybym icli teraz porzuciła? Jedź, mój przyjacielu, proszę. Tutaj do niczego już się nie przydasz.

Ahmet ponownie pokręcił głową i pociągnął za uzdę. Wielbłąd parsknął z oburzeniem, potem ruszył z ociąganiem naprzód. Egipcjan obejrzał się na samotną młodą kobietę.

- Ruszaj, pani. Miasto czeka na swoją ukochaną królową.

Bramy zamykającej drogę do Damaszku strzegły dwie potężne wieże, wysokie co najmniej na siedemdziesiąt stóp i zwieńczone trójkątnymi zębami. Szczyty wież zniknęły teraz na tle nocnego nieba. Długi korytarz szerokości trzydziestu stóp, otwarty z góry, a z boków strzeżony przez ściany wież, prowadził do otwartej na oścież bramy. Brama zbudowana była z grubych cedrowych skrzydeł o wysokości dwudziestu stóp. Na każdym ze skrzydeł znajdowało się inkrustowane brązem i srebrem godło miasta, znak Pana Pustyni. Po obu stronach bramy stali w równym szeregu strażnicy okryci zbrojami ze srebra, sięgającymi od głów aż pod kolana. Setka pochodni oświetlała wjazd do miasta. Zenobia przejechała przez bramę w towarzystwie Ahmeta, z wysoko uniesioną głową i rozpuszczonymi włosami, które opadały szeroką falą na jej plecy. Choć okryta kurzem i wyczerpana, wyglądała tak, jak powinna wyglądać prawdziwa królowa.

Za bramą znajdował się krótki zjazd prowadzący na plac. Wzdłuż wybrukowanej drogi stały kolejne szeregi strażników, którzy powstrzymywali napór tłumu. Za masą ciemnych ubrań i bladych twarzy wznosiły się wielkie kolumny tworzące kolumnadę wokół placu. Na szczycie kolumnady płonął ogień, oblewający całą scenę migotliwym czerwonym blaskiem. Aleja, którą jechali królowa i Ahmet, biegła prosto na północ, w głąb miasta. Wzdłuż alei także stały szeregi wysokich, lekko zwężają-

cych się ku górze kolumn. Pomędzy kolumnami wznosiły się ogromne, marmurowe podesty, na których stały marmurowe posągi królów i bogów o pomalowanych twarzach.

Zenobia jechała w powolnym, równym tempie, Ahmet trzymał się kilka kroków za nią. Królowa patrzyła prosto przed siebie. Stukot kopyt jej konia i brzęk uprząży były jedynymi dźwiękami, jakie mąciły wieczorną ciszę. Jechali wzdłuż głównej alei miasta w milczeniu. Dziesiątki tysięcy ludzi zgromadzonych pod kolumnadą ze smutkiem patrzyło na królową. Ahmet uświadomił sobie, że wszyscy zakładają, iż miasto skazane jest na zagładę. Mimo to przyszli tutaj, by spojrzeć na królową i dzielić jej smutek.

W odległości tysiąca stóp od bram miast aleja skręcała ostro w prawo i prowadziła ku wielkiej kolumnadzie stanowiącej serce miasta. Ahmet zdławił okrzyk zdumienia, ujrawszy widok, jaki ukazał się jego oczom. Aleja rozszerzała się znacznie, kolumny wznosiły się na wysokość trzydziestu, a nawet czterdziestu stóp, a wszędzie dokoła rozciągał się tłum ludzi. Dziesiątki tysięcy pochodni wypełniały aleję światłem. Armia, która przybyła tu wcześniej, stanęła teraz w szyku po obu stronach drogi. Gdy królowa przejeżdżała obok nich, żołnierze podnieśli ręce w salucie, nie wznosili jednak żadnych okrzyków.

Przejechali przez okrągły plac, pośrodku którego wznosił się dom złożony z czterech części, podpartych z każdej ze stron czterema potężnymi kolumnami. Na stopniach prowadzących do wnętrza budynku stały setki kapłanów w biało-żółtych szatach. Gdy królowa przejeżdżała obok nich, ukłonili się nisko. Za domem aleja pięła się w górę, ku wielkiemu podwyższeniu dominującemu nad wschodnią częścią miasta. Tam także wznosił się ogromny budynek o białych ścianach okrytych marmurem, otoczony murami. Ściany zdobiły wielkie rzeźbione fryzy, ukazujące ludzi w walce, na polowaniu, żeglujących na smukłych okrętach. Wejścia do budynku strzegły dwa kamienne lwy ze skrzydłami.

Przy wejściu stało trzech mężczyzn w zniszczonych ubraniach i zbrojach. Blask ognia odbijał się w ich hełmach i oczach. Zenobia zatrzymała konia u podnóża podjazdu i spojrzała w zmęczone oczy swego brata.

- Witaj Zenobio, królowo miasta. - Jego głos był lekko zachrypnięty, lecz mocny, niósł się ponad tłumem ludzi, którzy wypełniali aleję poniżej budynku. - Wielki bóg Bel wita cię w imieniu swego ludu. Wejź do swego pałacu, o królowo, z jego błogosławieństwem.

Zenobia pochyliła się w siodle, przytrzymała drżącą ręką kulbaki i zeskoczyła na ziemię. Ahmet także zsiadł z wielbłąda, gdy ten przyklęknął na kamieniach, którymi wybrukowany był plac przed wielkim budynkiem. Egipcjanin dotknął lekko ramienia królowej, a ta drgnęła lekko, gdy między palcami kapłana a jej ciałem przeskoczyła pomarańczowa iskra. Zenobia skinęła głową i wyprostowała się. Trzymając wysoko uniesioną głowę podeszła do miejsca, w którym czekał jej brat oraz Mahomet i Ibn Adi.

Wszyscy trzej uklonili się nisko, najpierw Worodes, potem Mahomet i stary szejk. Książę miasta przyklęknął na jednym kolanie i podał królowej obręcz z jasnego złota. Zenobia patrzyła przez chwilę na koronę, potem wzięła ją w obie ręce. W tym czasie Ahmet odprowadził na bok jej konia i swego wielbłąda. Królowa odwróciła się i uniosła koronę nad głowę. Nad dziesiątkami tysięcy ludzi zgromadzonych na placu i w alei przeleciał głośny pomruk.

- Dopóki żyje choć jeden Palmyrczyk, honor naszego miasta nie zginie. - Jej głos, czysty i mocny, odbijał się echem od kolumn i ścian. - Zagraliśmy z Marsem i przegraliśmy, lecz nasze miasto oprze się perskiej nawałnicy. Rzym przyjdzie nam z pomocą, jak czynił to zawsze do tej pory, a wtedy Persowie szczeną na pustyni, umrą z pragnienia i wyczerpania. Palmyra pozostanie wolna i silna jak zawsze.

Włożyła koronę na głowę, przedzielając czern włosów jej białą opaską. Potem odwróciła się i ruszyła w górę podjazdu. Gdy stanęła na jego szczycie, skąd mogła objąć wzrokiem wszystkich zgromadzonych, wzniosła ręce ku niebu.

- Niech Bel nas błogosławi i stoi przy nas. Miłość, jaką darzę mój lud, wytrzyma każdą próbę.

Zenobia odwróciła się i weszła do cytadeli. Ludzie zaintonowali przeciągłą, jednostajną modlitwę do Bela. Potem wszyscy złożyli ukłon przed wielkim budynkiem i królową, która była symbolem ich miasta. Ahmet w towarzystwie kilku gwardzistów stał u podnóża podjazdu prowadzącego do pałacu, i spoglądał na tłum. Powietrze przesycone było dziwną mocą, której centrum stanowiła królowa ukryta za murami budynku, Ahmet czuł, jak budzi się w nim nadzieja.

Na szczycie skarpy stały dwie postacie, wpatrzone w dolinę rozciągającą się poniżej. Księżyc jeszcze nie wzeszedł i ziemię spowijały ciemności, widać było jednak blask bijący od centralnego placu miasta. Na murach płonęły ognie, w ich blasku widać było licznych strażników obserwujących drogi prowadzące do miasta. W ciszy nocy niósł się odległy pomruk, jakby pieśń śpiewana przez tysiące głosów. Wyższy z dwójki mężczyzn podrapał się po brudnej brodzie.

- Mało wody - powiedział ochryplym od kurzu głosem. - Ten piach i słońce wykańcza naszych ludzi.

Jego towarzysz drgnął i zacisnął mocniej palce na kościanej lasce.

- Zrób tamę na strumieniu. Zniszcz akwedukt. My będziemy mieli mnóstwo wody, a oni w ogóle.

Wyższy mężczyzna skinął głową. Miasto odpoczywało, strzeżone przez potężne mury i czujność swych obrońców.

- To zajmie sporo czasu, a przecież powinniśmy być już daleko stąd, przy bramach Damaszku.

Mniejszy z rozmówców uśmiechnął się, błyskając białymi zębami.

- Napadałaby na ciebie z ukrycia niczym lampart, kąsała cię bez ustanku, aż wykrwawiłbyś się na śmierć.

- Tak. - Wyższy mężczyzna roześmiał się cicho. - Nie powinna zamykać się w mieście. Błąd zmęczonego umysłu. Teraz nie ma żadnej możliwości manewru, nie może uciec na pustynię. Zniszczymy tego wroga całkowicie. Wtedy nic już nie będzie dzielić nas od Egiptu.

Dahak odwrócił się, stukając laską o kamienie na szczycie urwiska. Wyczuwał coś w powietrzu, jakiś ślad znajomego wspomnienia; podniósł wyżej głowę, by pochwycić lepiej ten zapach. Generał nie ruszał się z miejsca, obserwując bacznie teren, szacując wysokość murów i wież, szerokość strumienia. Palmyra była potężną fortecą, ale on zdobywał już równie potężne miasta.

Układanka, rozmyślał, problem murów, wież i ludzkiej woli walki. To człowiek tworzy taką łamigłówkę i człowiek też może ją rozwiązać.

Jakiś czas później odwrócił się i ruszył w dół zbocza. Czarownik dawno już zniknął we wnętrzu swego wozu, który wraz z całą armią zatrzymał się za wzgórzami o zachodzie słońca. Baraz maszerował samotnie, pod rozgwieżdżonym niebem, i nagle uświadomił sobie, że jest niemal szczęśliwy. Roześmiał się głośno, rozbawiony tą myślą.

* * *

Służący zaprowadzili Ahmeta do małego pokoju, który przypominał raczej celę, choć na łóżku z cedrowego drewna leżał delikatny miękki materac. Egipcjanin umył ręce i twarz w cynowej misie umocowanej w trójnożnym stojaku przy łóżku. Był ogromnie zmęczony, poświęcił jednak jeszcze kilka chwil, by uspokoić umysł i odmówić modlitwy, które przygotowywały go do snu. Zasnął pod cienkim bawełnianym kocem, zwrócony twarzą ku drzwiom zdobionym kolorowymi wzorami.

Późno w nocy, gdy Egipcjanin pogrążony był w głębokim śnie, drzwi jego komnaty uchyliły się bezgłośnie, a w progu stała jakaś postać w długim ciemnym płaszczu. Przez chwilę stała nad łóżkiem, wpatrzona w oddychającego równo mężczyznę, a potem wyszła, starannie zamykając za sobą drzwi.

Obudziło go głośne stukanie do drzwi. Ahmet otworzył oczy i ujrzał nad sobą biały sufit przecięty grubymi pasami belek. Słońce padało na ścianę po jego prawej ręce, oświetlając czarno-białe, geometryczne wzory. Stukanie powtórzyło się i do pokoju zajrzał jakiś mężczyzna o wygolonej głowie.

- Święty ojciec - powiedział - jesteś wzywany do komnat królowej.

Ahmet wstał, odrzucając na bok cienki koc. Udałoby się go po długiej podróży na grzbiecie wielbłąda. Potarł twarz i skrzywił się, poczuwszy pod palcami twardy zarost. Jego rzeczy leżały na skrzyni z jasnoczerwo-

nego drewna, ustawionej pod przeciwległą ścianą. Ubrał się i ponownie umył twarz. Na stoliku stał porcelanowy dzbanek wypełniony świeżą wodą. Egipcjanin napił się, a potem włożył tunikę i nakrycie głowy. Jeszcze raz dotknął brody, w końcu jednak uznał, że nie będzie się goili. Było już późno, słońce za oknem stało wysoko na niebie.

Komnaty królowej ociekały wręcz przepychem. Ahmet rozglądał się dokoła, oszołomiony bogactwem jedwabnych zasłon i arrasów zdobitych ściany. Podłogi wyłożone były trzema lub czterema warstwami dywanów, pod którymi kryły się białe jak śnieg marmury. Zwężające się ku górze kolumny, zdobione stylizowanymi liśćmi akantu, podtrzymywały ogromną kopułę dachu. Światło wpadało do wnętrza przez okrągłe okna osadzone w kopule.

Po drugiej stronie komnaty stało kilka sof i krzeseł, wokół których gromadzili się jacyś ludzie. Ahmet szedł powoli w ich stronę, przyglądając się bogato zdobionym szatom mężczyzn. Każdy z nich nosił co najmniej trzy pierścienie z ciężkiego złota, przyozdobione błyszczącymi klejnotami.

Królowa siedziała pośrodku na wielkim krześle wyrzeźbionym z turkusowego porfiru. Jedną ręką opierała się o poręcz, która nieco niżej przybierała kształt spienionej fali. Ubrana była w długą szatę z białego jedwabiu, nałożoną na fioletową koszulę, a jej włosy niknęły niemal całkowicie pod ciężkim złotym nakryciem głowy. Jej ramiona i przeguby zdobiły liczne bransolety ze złota. Twarz królowej była gładka i biała, a oczy pomalowane tak, by ukryć ślady zmęczenia.

Ahmet stanął obok grupy mężczyzn pogrążonych w rozmowie i uklonił się nisko królowej. Zenobia odpowiedziała lekkim skinieniem głowy i spojrzała w bok. Ahmet powędrował za jej spojrzeniem i zobaczył Mahometa siedzącego na niskim stołku za Ibn Adim, na skraju kręgu krzeseł. Usiadł obok swego przyjaciela.

- Wielmożni panowie, usiądźcie, proszę, i poczęstujcie się winem.

Zenobia uczyniła nieznaczny gest ręką, a spomiędzy arrasów wyszli służący z tacami pełnymi pociętych na plastry owoców, pokrytych miodem i cukrem. Inni nieśli dzbany z winem. Bogato odziani mężczyźni kręcili się jeszcze przez chwilę, potem zajęli miejsca na sofach i krzesłach. Niektórzy poczęstowali się winem, wielu jednak tego nie zrobiło. Gdy wszyscy już usiedli, królowa skinęła głową na brata, który siedział u jej boku.

- Witajcie, panowie - rzekł Worodes, wznosząc puchar ze złota. Upił mały łyk. - Nastają dla nas trudne czasy - mówił dalej, odstawiając kielich. - Ranek powitał nas widokiem armii Persów stacjonującej na wzgórzach. Innymi słowy, miasto jest oblężone, co zdarza się dopiero trzeci raz w naszej długiej historii.

Przez grupę arystokratów przebiegi głośny pomruk. Ahmet widział, że niektórzy z nich zerkają na królową z ciekawością lub gniewem. Zenobia milczała, wpatrzona w jakiś punkt nad ich głowami.

- Persja ruszyła przeciwko nam, tak jak się tego obawialiśmy. Teraz Odyniec czeka na zewnątrz i wkrótce przystąpi do działania. Już teraz zmniejszył się strumień wody płynącej z akweduktu, wkrótce całkiem ustanie. Persowie zapewne zbudują umocnienia wokół miasta i zamkną nas w nim. Wiecie jednak, panowie, jaką siłą dysponujemy. Nasze zbiorniki są głębokie, spichlerze wypełnione ziarnem. Możemy czekać spokojnie, aż Persowie będą zmuszeni zjeść swoje konie i wielbłądy, potem buty, a w końcu, miejmy nadzieję, siebie nawzajem. Być może zabraknie im też wody; nasze strumienie bywają kapryśne. - Książę przerwał na moment i przyjrzał się twarzom arystokratów i bogatych kupców. Ahmet także to zrobił i ujrzał ludzi, którzy zbyt długo żyli w luksusie. Zastanawiał się, czy znajdą w sobie dość sił i wytrwałości do takiej bitwy. Miasto wzbogaciło się na handlu i przepływie towarów. Teraz handel ustał, a ze wschodu na zachód i z powrotem nie płynęły żadne towary.

- Królowa postanowiła stawić Persom twardy opór - przemówił ponownie książę. - Nie będziemy negocjować z Persją, nie zamierzamy się też poddawać.

Jeden z bogaczy, o twarzy spalonej na brąz przez pustynne słońce, poruszył się niespokojnie, usłyszawszy te słowa.

- Wybacz mi śmiałość, panie - przemówił głębokim, chropawym głosem - ale trudno w naszej sytuacji liczyć na jakąkolwiek pomoc. Niepowodzenie, jakiego doznała nasza armia, pozbawiło nas wsparcia nabatejskich sprzymierzeńców i syryjskich żołnierzy. Ponieważ nic nie wiadomo o tym, by jakieś rzymskie legiony szły nam z odsieczą, nie pozostaje nam nic innego, jak...

- Rzym nas nie opuści - powiedziała cicho królowa.

Kupiec spojrział prosto w lazurowe oczy Zenobii. Jego twarz była zacięta i posepna. "

- Pani, nie jesteśmy dziećmi. Rzymska armia wycofała się, by bronić Egiptu. Zostaliśmy sami. Jedyna nadzieja na przetrwanie to negocjacje. Byliśmy dobrymi sprzymierzeńcami Rzymu; możemy też służyć Chosroesowi.

Zenobia uczyniła gest, jakby chciała wstać, jej obojętna na pozór twarz drgnęła w grymasie gniewu, w porę jednak zdołała się opanować.

- Chosroes - przemówiła tym samym, przyciszonym tonem - zniszczy nas wszystkich. Jest szalony. Żąda się z ciemnymi mocami. Rzym zwycięży i powróci. Pozostaje nam tylko wytrwać do tej chwili.

Kupiec pokręcił głową z rezygnacją. Jego ciemne oczy wypełniał smutek.

- Skoro taka jest twoja wola, pani, wypełnimy ją, ale dla miasta nie ma żadnej nadziei. Zostaje nam tylko długa męczarnia oblężenia, a potem śmierć lub niewola.

Zenobia spojrzała na twarze pozostałych wielmożów i znalazła w nich tę samą rozpacz. Spośród wszystkich ludzi siedzących w komnacie tylko synowie pustyni pozostali nieugięci. Oczy Ibn Adiego błyszcza-

ły tym samym ogniem, który wypełniał je przed klęską pod Emesą. Al-Kurajsż także wydawał się pełen energii. Królowa zerknęła na Ahmeta. Jego ciepły uśmiech dodał jej otuchy.

- Jest nadzieja, moi panowie - oświadczyła głośno. Sięgnęła między fałdy szaty i wyjęła brązową tubę na zwój papirusu, nieco już wytartą i pociętą. Otworzyła tubę z jednej strony i wysunęła ze środka ciężki zwój białego papirusu, związany fioletowym sznurkiem. Rozwiązała sznurek i wyprostowała zwój na kolanach.

- To jest list od cesarza Wschodu, Herakliusza - oświadczyła. - Został wysłany z Konstantynopola tuż po tym, jak nasza armia wyruszyła na północ z Damaszku. Dostaliśmy go, wracając z Emesy, ale do tej pory nie zdradziliśmy nikomu jego treści.

Umilkła na moment i wzięła głęboki oddech.

Córko,

Wielmożna Zenobio, Królowo Palmyry, dux Romanorum Oriens

Pozdrowienia od twego cesarskiego ojca, Herakliusza, augusta cezara.

Wiedz, o Królowo, że legiony, które zgodnie z naszą obietnicą miały bronić Damaszku i wschodnich ziem pod Twoją protekcją, zostały zatrzymane w Aleksandrii przez zarazę. Gdy tylko ta wstrętna choroba przestanie dręczyć lud Aleksandrii, legiony natychmiast pospieszą Ci z pomocą.

Zenobia umilkła, starannie zwinęła zwój i schowała go w brązowej tubie. Rozejrzała się po twarzach otaczających ją ludzi i uśmiechnęła się, a był to uśmiech drapieżny, pełen gniewu.

- Niedźwiedź sam zapędził się w pułapkę, nie może porzucić obłędzenia, które właśnie rozpoczął. Od najbliższej wody dzieli go ponad trzydzieści mil. Wkrótce armie cesarstwa zamkną go w żelaznych kleszczach, i tak zakończy się jego legenda. Kości Szahr-Baraza będą bielić się w słońcu, jak kości wielu naszych nieprzyjaciół. Dlatego właśnie będziemy się bronić i nie wpuścimy Persów do miasta. Pomoc nadchodzi, panowie, i jeśli będziemy cierpliwi, odniesiemy wielkie zwycięstwo.

Śniadolicz kupiec zmarszczył brwi, powstrzymał się jednak od komentarza. Pozostali wyraźnie nabrali otuchy i szeptali między sobą o tym, jak to będą opowiadać wnukom o wielkiej klęsce Persów pod złotymi murami miasta. Królowa skinęła głową na Ibn Adiego, który natychmiast wybudził się z drzemki.

- Jeśli chodzi o sprawy związane z obroną miasta - zaczęła Zenobia głośno, przerywając rozgadanym arystokratom - postanowiliśmy oddać dowództwo w ręce szlachetnego szejka Amra Ibn Adiego, który od wielu już lat jest dobrym przyjacielem Palmyry. Mój brat, Worodes, będzie jego zastępcą, a szlachetny Mahomet Al-Kurajsż postara się uprzykrzać życie naszym nieprzyjaciołom i zniechęcać ich na wszelkie sposoby do oblegania miasta.

Niektórzy arystokraci rozglądali się dokoła wyraźnie zaskoczeni, przekonali się jednak szybko, że nie ma wśród nich wielmożnego Zabdy. To właśnie on powinien dowodzić obroną miasta, jeśli Zenobia czy Worodes nie podejmowali się tego osobiście. Zastanawiali się, czy generał poległ pod Emesą, jako że od powrotu armii nikt nie wspominał o nim ani słowem.

- Dobrze, skoro nie ma żadnych uwag, przejdziemy do szczegółowego omówienia poszczególnych punktów...

Ahmet napawał się przez chwilę urodą komnaty, przechodząc w stan lekkiej medytacji. Wiedział, że niemal cały dzień upłynie teraz na dyskusji.

Słońce ponownie chyliło się ku zachodowi, a Baraz znów patrzył na miasto okryte czerwoną poświatą. Gdy tylko nad ziemią zaczął kłaść się mrok, na murach rozbłysnęły ognie. Odyniec siedział na szczycie najwyższej z wież grobowych na zachód od miasta. Jego nogi, przewieszane nad krawędzią dachu, uderzały raz po raz w kruszejące cegły grobowca. Gorący wiatr rozwiewał mu długie włosy i wyplukiwał resztki wilgoci ze skóry. Większość armii pozostała między wzgórzami, budując obóz i tamę na strumieniu. Konie potrzebowały mnóstwa wody.

Dahak siedział obok niego, ze skrzyżowanymi nogami i głową okrytą czarnym kapturem. Czarownik wyglądał jak wielki kruk, który przysiadł na dachu wysokiej budowli. Spod długiego płaszcza widać było tylko jego dłoń zaciśniętą na kościanej lasce.

- Dałbyś radę sam otworzyć drogę do miasta? - spytał Baraz w zamyśleniu.

Czarownik poruszył się, a Odyniec poczuł na sobie jego zimny wzrok.

- Masz do dyspozycji całą armię. Chyba potrafisz robić coś więcej niż tylko jeść, spać i srać.

Baraz zerknął z-ukosa na czarownika, nieco zaskoczony jego reakcją. Wiedział, że jeśli Dahak wpadnie w gniew, może go w każdej chwili uśmiercić. Nie mógł jednak dostrzec twarzy czarownika ukrytej w cieniu kaptura.

- Moi ludzie są wyczerpani długą podróżą przez pustynię. Konie ledwie żyją. Mamy mało prowiantu, a na tym pustkowiu trudno znaleźć cokolwiek do jedzenia. Im dłużej tu zostaniemy, tym będziemy słabsi. Nie mamy drewna, z którego moglibyśmy zbudować maszyny oblężnicze. Król nakazuje mi pośpiech, muszę więc uciekać się do każdej strategii, do każdej... - tu Odyniec zrobił krótką pauzę - broni.

Dahak siedział przez chwilę w milczeniu, wreszcie odparł:

- Król Królów prosił, bym pomógł ci na wszelkie możliwe sposoby, wielmożny Barazie. Jestem ci winien posłuszeństwo. Mów, czego ode mnie oczekujesz.

Baraz odchrząknął i ponownie spojrzął na potężne mury miasta. W ciągu dnia okrążył je kilkakrotnie, przyglądając się uważnie wszystkim umocnieniom i budynkom widocznym znad krawędzi murów. Przy

wschodnim krańcu miasta, na niewielkim wzniesieniu, stał wielki pałac - imponująca budowla ze złotego kamienia, wsparta na licznych kolumnach. Na zachodzie, przy wielkiej bramie Damaszku, znajdował się inny wielki budynek. W jego wnętrzu znajdowały się zapewne targowiska, ogrody i magazyny. W mieście musiało żyć kilkadziesiąt tysięcy ludzi. Fortecę otaczały potężne mury i wieże. Umocnienia w najniższym miejscu miały trzydzieści stóp wysokości, i to tylko tam, gdzie u ich podnóża znajdowała się głęboka rozpadlina, którą płynął strumień. Gdzie indziej mury osiągały około pięćdziesięciu stóp, a wieże rozstawione w regularnych odstępach były znacznie wyższe.

- To bardzo silna forteca - rzekł Baraz. - Ale jak w każdej fortecy, najsłabszym punktem jest brama. Nie mamy żadnych drabin, żadnych machin. Jeśli mamy zdobyć miasto, musimy szturmować bramę. Może udałoby nam się zbudować kilka taranów, ale to trochę potrwa. Czy możesz ją dla nas otworzyć? Czy możesz rozerwać bramę i wpuścić nas do środka?

Dahak milczał przez chwilę, jakby przyglądając się odległym murom miasta.

- W mieście jest moc, wielmożny Barazie - przemówił wreszcie. - Coś, co czułem już wcześniej na polach Emesy. Jest wielka, choć nie tak wielka jak moc Czerwonego Księcia, którego zabiłem w bitwie.

- Jeszcze jeden czarownik? - zdumiał się Baraz. Był pewien, że Dahak zabił wszystkich czarowników stojących po stronie Rzymian w bitwie pod Emesą. - Jak mógł ci się wymknąć?

- Nie stanął do walki - rozmyślał głośno Dahak. - Przyglądał się jej tylko z boku. Może być bardzo sprytny. Może chciał się tylko przekonać, jak silny jestem w niewidzialnym świecie. Chociaż... może też być całkiem słaby, może być niewolnikiem. Nie... Coś chroniło Jasną Królową przez całą bitwę. To musiał być właśnie on.

- Co to oznacza? - spytał Baraz, podciągając jedną nogę i opierając brodę na kolanie.

- Miasto otoczone jest niewidzialnymi barierami i zaporami - odparł Dahak. - Brama także. Tam zresztą te bariery są najsilniejsze. Wielu kapłanów i czarowników pracowało nad nimi przez lata. Z kolei... brama musi się otwierać, to jej zadanie. Jeśli będę miał dość czasu i siły, mogę ją pokonać.

- Ale? - dopytywał się Baraz, usłyszawszy w głosie czarownika niewypowiedzianą wątpliwość.

- Ten czarownik może być dość silny, by mi to uniemożliwić. Jeśli zdołamy go jakoś unieszkodliwić, miasto będzie nasze. Jeśli nie... Słońce grzeje tu bardzo mocno, i wasze kości szybko w nim zbieleją.

Baraz parsknął i odwrócił się ponownie ku miastu. Po chwili rzekł:

- W świecie ludzi łatwiej jest się bronić niż atakować. Czy z czarownikami jest tak samo?

- Owszem - przytaknął Dahak. - Co zamierzasz?

- Gdyby ten czarownik wyszedł z ukrycia i stanął do otwartej walki, mógłbyś go zniszczyć?

Dahak roześmiał się ponuro.

- Gdyby stanął do walki, nie miałby żadnych szans. Lecz jak tego dokonać?

- Trzeba odwołać się do honoru - odparł Baraz z chytrym uśmiechem na twarzy. - Mój honor przeciwko honorowi królowej.

- Honor? - prychnął Dahak, podnosząc się z kamiennego dachu wieży. - To właśnie honor nas tu sprowadził, honor i posłuszeństwo strasz-nemu królowi. Pluję na honor. Ale jeśli ma przysłużyć się naszemu celowi, niech i tak będzie.

* * *

Szerokie smugi czerwonego blasku padały na marmurowe ściany ogrodowej komnaty królowej. Zachodzące słońce przeświecało przez otwory ciągnące się wzdłuż zachodniego krańca ogrodu. Zenobia siedziała na skraju sofy obszytej miękkim aksamitem. Ubrana była w luźną fioletową koszulę i długie bawełniane spodnie, tak delikatne, że widać było przez nie zarys jej bladych nóg. Sofa stała na drewnianym podwyższeniu. Rozciągający się dokoła ogród wypełniały kwiaty i zioła. Smukłe kolumny podtrzymywały dach z drewnianych płyt. Królowa obierała pomarańczę i oglądała zachód słońca. Rozpuszczone włosy opadały szeroką falą na jej ramiona. Wrzuciła skórki do srebrnego wiaderka i wgrzyła się w cząstkę pomarańczy.

Ahmet siedział za nią i masował jej plecy. Królowa syknęła z bólu, gdy jego palce znalazły szczególnie bolesne, napięte miejsce. Egipcjanin uśmiechnął się i wprawnie rozmasował twardy punkt.

- To było sprytne - powiedział. - To zagranie z listem.

Zenobia spojrzała nań przez ramię. W jej oczach odbijał się złoty blask zachodzącego słońca.

- Wygnany nauczyciel nie powinien drwić z królowej - odparła lekko urażonym tonem.

Ahmet pokręcił głową i przygarnął ją do siebie. Zenobia westchnęła lekko i przytuliła się doń, zaciskając palce na jego przedramieniu. Zachodni horyzont mienił się wszystkimi odcieniami żółci, czerwieni i fioleto.

- Wcale z ciebie nie drwiłem, królowo. To naprawdę podniosło ich na duchu, dodało im sił. Nim zrozumieją, że Rzym jednak nie przyjdzie nam z pomocą, będzie już za późno.

- To prawda - wyszeptła. - Do końca będą walczyć za miasto.

- I dla ciebie - szepnął jej prosto do ucha. - I dla ciebie.

Królowa ukryła twarz w jego ramionach. Słońce zniknęło za zachodnim horyzontem, choć na niebie pozostał jeszcze jego ślad. Ogród zbu-

dowany na dachu pałacu pograżał się powoli w ciemnościach. Poniżej jaśniały światła miasta, dziesiątki tysięcy iskier.

TAURIS, PERSKA ARMENIA

9i erakliusz i Galen szli powoli przez ruiny bramy, starannie wybierając drogę między stertami gruzu. Dokoła wznosiły się słupy gęstego, śmierdzącego dymu. Pod butami cesarzy i towarzyszących im gwardzistów chrzęściły pokruszone, dymiące jeszcze cegły wewnętrzne-go dziedzińca. Legioniści z chustami na twarzach wyciągali z budynków ciała poległych i rzucali na wozy. Wielka środkowa brama została wyrwana z zawiasów; grube drewniane skrzydła leżały teraz przy wejściu do miasta. Herakliusz wszedł na stertę gruzu i ujrzał grupę Rzymian stojących w cieniu wartowni.

Jednym z nich był trybun, który prowadził do ataku Tertia Augusta. Gdy dwaj cesarze zbliżyli się do niego, podniósł rękę w salucie, ignorując rozrzucone dokoła krwawe strzępy ludzkich ciał. Trybun był potężnie zbudowanym mężczyzną o szpakowatej brodzie. Jego twarz była z jednej strony poraniona i poparzona. Lewa ręka wisiała na prowizorycznym temblaku.

- Ave, auguście. Przejeliśmy cytadelę i całe miasto. Większość Persów nie żyje, choć wielu się też poddało. Trzymamy ich na placu za bramą.

- Dobrze - odparł Herakliusz, przyglądając się pozostałym Rzymianom stojącym za trybunem. - A ci ludzie?

- To nasi... sprzymierzeńcy. Otworzyli bramę, kiedy moi ludzie zostali uwięzieni na środkowym podwórzu. Gdyby nie przegonili perskich łuczników z murów, wszyscy byśmy zginęli.

Herakliusz skinął głową. Atak na bramę, mimo wsparcia ze strony taumaturgów, omal nie zakończył się klęską. Gdy kohorty Tertia Augusta przebiegły przez pierwszą bramę, okazało się, że wewnętrzne podwórze to pułapka; legioniści otoczeni byli ze wszystkich stron przez perskich łuczników. Ponad czterystu ludzi zginęło, próbując wydostać się z okrażenia, lecz jedyne wyjście zamykały kolejne kohorty napierające od strony bramy. Wschodnie oddziały nie zdołały wdrzeć się na mury, poniosły ciężkie straty podczas szturm. Tylko nieoczekiwana odsiecz przyjaciół ukrytych w mieście zapobiegła katastrofie.

- Dobra robota - powiedział wschodni cesarz do osmolonych i okrwawionych ludzi stojących za trybunem. Ich zbroje były brudne i pogięte, miecze wyszczerbione. Cała piątka pokryta była warstwą czarnego popiołu. Wyglądało też na to, że każdy z nich odniósł jakieś rany.

Herakliusz zmrużył oczy, spoglądając na ich przywódcę, wysokiego, rudowłosego żołnierza. Wydawało mu się, że już go kiedyś widział...

Rudowłosy wystąpił o krok do przodu i zasalutował. Herakliusz uniósł lekko brwi, mężczyzna zwrócił się bowiem do Galena, a nie do niego.

- Ave, auguście Galenie. Thyatis Klodia z Sexta Victrix melduje się zgodnie z rozkazem. Z żalem informuję, że niemal wszyscy moi ludzie polegli w walce, lecz cel został osiągnięty.

Galen, kryjąc uśmiech, odpowiedział salutem.

- Dobra robota, centurionie.

Rudowłosy odwrócił się do Herakliusza i zasalutował ponownie.

- Auguście Herakliusz, pozwolę sobie przedstawić naszego sprzymierzeńca, księcia Tauris, Tarika Bagratuniego. Bez jego pomocy nasze wysiłki na nic by się nie zdały.

Herakliusz spojrzął na niskiego mężczyznę w poszarpanej licznymi ciosami kolczudze. Bagratuni wystąpił o krok i uśmiechnął się szeroko, błyskając białymi zębami w osmolonej twarzy. Ormianin uklonił się i zatkanął kciuki za szeroki skórzany pas podtrzymujący kilka noży i miecz.

- Witaj, Bagratuni, będziemy musieli porozmawiać...

Thyatis zwróciła się ponownie do cesarza Zachodu. Galen uśmiechał się lekko. Jego włosy były przycięte jeszcze krócej niż przy ich poprzednim spotkaniu, nieskazitelna czysta zbroja lśniła złotem i srebrem. Za jego plecami tłoczyli się Germanie z wielkimi mieczami w dłoniach i podejrzliwie spoglądali. Galen wyciągnął rękę i otarł sadzę z jej policzka.

- Nie sądziłem, że jeszcze cię zobaczę, Klodio. Przykro mi z powodu twoich ludzi. Umyj się i odpocznij, potem przyślę po ciebie posłańca. Musimy omówić kilka spraw.

Zachodni cesarz spojrzął na Nikosa, Jusufa i Dahwosa. Wszyscy trzej wyglądali jeszcze gorzej niż Thyatis, wyczerpani całodzienną bitwą. Nikos został trafiony strzałą w ramię i teraz próbował zatamować sączącą się z rany krew. Bułgarzy wyglądali tak, jakby wyczołgali się z krwawego rynsztoku za rzeźnią. Najgorzej prezentował się Dahwos: jego prawe oko okryte było warstwą ropy sączącej się spod krzywych ściągów.

- Centurionie! - zawołał Galen ponad głowami swych gwardzistów.

- Zabierz tych ludzi do łaźni, a potem do uzdrowiciela. Dopilnuj, by zostali dobrze potraktowani.

Thyatis zachwiała się nagle, Galen jednak w porę ją podtrzymał.

- Jestem z ciebie bardzo dumny - powiedział do niej cicho. - Nie zapomnę o twych zasługach.

Brodaty centurion ruszył w stronę bramy, prowadząc za sobą grupę ludzi. Thyatis pozwoliła, by dwóch legionistów podtrzymywało ją pod ramiona, kiedy przechodzili na drugą stronę rzeki. Most pokryty był rdzawobrazowym blockiem, które przyklejało się do ich butów. Nad rzeką wciąż wisały strzępy mgły. W kilka punktach miasta nadal płonął ogień, wysyłając ku niebu czarne wstęgi dymu.

Z miedzianej rury wypłynął gęsty obłok pary, wypełniając drewnianą łaźnię cudowną, mleczną mgiełką. Thyatis zanurzyła się w wodzie, pojękując z rozkoszy. Obok stał grecki służący, trzymający w rękach kociołek z gorącą wodą. Thyatis nakazała mu gestem, by dołał nieco wrzątku do kąpielni. Potem zamknęła oczy i zanurzyła się cała w drewnianym cebrze, rozkoszując się czystą, gorącą wodą. Służący wyszedł, pozostawiając obok wanny kociołek, trochę mydła i brązową skrobaczkę. Thyatis spędziła w kąpielni godzinę, szorując się do czysta.

Przy wannie leżały też bawełniane ręczniki, nieco już wysłużone. Thyatis nie zwracała na to uwagi: sam fakt, że mogła się wreszcie umyć i odpocząć był już dla niej wystarczającą nagrodą. Jeszcze przez długi czas siedziała w drewnianym pomieszczeniu, bawiąc się skrobaczką i rozmyślając o poległych. Nawet gdyby ktoś wszedł do łaźni, w gęstych oparach pary nie dojrzałby łez na jej twarzy.

Wreszcie ktoś zapukał nieśmiało do drzwi. Thyatis podniosła wzrok, wytarła nos, a potem twarz.

- Wejść - rzuciła, okrywając biodra ręcznikiem.

Jusuf wsunął głowę do pokoju, potem ujrzał Thyatis, naga od pasa w górę, i zaczerwienił się.

- O przepraszam - wykrztusił i wycofał się pospiesznie, zamykając za sobą drzwi. Gdy tylko znalazł się na zewnątrz, oparł się plecami o ścianę łaźni i zamknął oczy, wciąż widząc przed sobą obraz niemal zupełnie nagej Thyatis. Potem uniósł powieki, wyprostował się i westchnął głęboko, bezskutecznie próbując odzyskać panowanie nad sobą. Zgrzytnął zębami i przyłożył pięści do szorstkich desek; gdy tylko przymykał powieki, ona już tam była, jej piersi okryte kroplami wody, złote włosy opadające na jasne, piegowane ramiona.

- Halo' - doszedł go z łaźni zirytowany głos Thyatis. - O co chodzi?

- Przepraszam, pani, nie wiedziałem, że jesteś naga.

Thyatis roześmiała się i wysunęła głowę zza drzwi. Jej rozpuszczone włosy opadały niemal do samej ziemi. W zimnym, wieczornym powietrzu znad jej rozgrzanej skóry unosiły się wstęgi gęstej białej pary.

- Nie jestem naga - powiedziała, wciąż się śmiejąc. - Mam na sobie ręcznik.

Jusuf odwrócił wzrok, spoglądając na wieczorne niebo. Liście drzew, wśród których Rzymianie rozbili obóz, zaczęły już zmieniać kolor. Jesień zbliżała się wielkimi krokami.

- Pani, zwyczajnie mego ludu nakazują, by kobieta była w obecności mężczyzn w pełni odziana. Nie chciałem cię w jakikolwiek sposób urazić.

Thyatis skrzywiła się i zamknęła drzwi. Dziwaczne zwyczaje barbarzyńcy nieco popsuły jej dobry humor.

- Więc będziesz musiał poczekać, aż się odpowiednio ubiorę. Powiedz mi, czy uzdrowiciele opatrzli już oko Dahwosa?

Jusuf przełknął ciężko i odwrócił się do ściany, rozkładając szeroko ramiona i opierając otwarte dłonie o deski.

- Tak - odparł. - Opatrzyli, trochę już na nie widzi. Mówi, że na razie wszystko jest nieco rozmyte, ale dojdzie do siebie. Pozostali jedzą kolację. Brakuje tylko jednego człowieka. Pani, ja...

Thyatis wyszła wreszcie z łaźni. Długie włosy przewiązała zieloną wstążką, na nogach miała ciemnoszare nogawice i wysokie, sznurowane buty, a jej tułów okrywała koszula z grubej, farbowanej na niebiesko wełny. Przez ramię przerzuciła pas z mieczem i nożem. Thyatis spojrzała nań z ukosa, wiążąc mocniej włosy.

- Kogo brakuje, Jusufie?

Bułgar odwrócił się do niej wreszcie. Twarz Thyatis była ponura i zacięta.

- Zniknął Sahul, pani. Nigdzie nie możemy go znaleźć. Nie ma ciała, nic. Zawsze zostaje z nami, chyba że musi się gdzieś wybrać, ale wtedy powiedziałby o tym mnie albo Dahwosowi!

Thyatis skinęła głową, zachowując kamienną twarz, choć w rzeczywistości ta wiadomość mocno ją poruszyła. Sahul był tak rzetelnym i niezawodnym sprzymierzeńcem, że trudno byłoby pogodzić się z jego stratą.

- Był z wami przy północnej bramie? Kiedy widzieliście go po raz ostatni?

Jusuf rozłożył szeroko ręce i pokręcił głową.

- Nie wiem. Ruszyliśmy do ataku, potem zrobiło się ciemno, walczyliśmy... Ormianie też niczego nie wiedzą. Bagratuni kręci tylko głową i mówi, że tak to już jest w bitwie.

Thyatis położyła dłoń na ramieniu Jusufa i spojrzała mu prosto w oczy.

- Jusufie, nie uwierzę w śmierć Sahula, dopóki nie zobaczę jego ciała, zimnego i sztywnego. Do tej pory będzie żył, przynajmniej w moim umyśle. Może poznał jakąś dziewczynę...

Skinął głową i wbił wzrok w ziemię. Thyatis poklepała go lekko po policzku i uszczypnęła w ucho.

- Odszukaj resztę ludzi i powiedz im, żeby przed północą byli w naszych namiotach - poleciła Bułgarowi. - Ja porozmawiam z kwatermistrzem o koniach i spręcie. Aha, a gdyby pojawił się tutaj ktoś od augusta, pošlij go za mną.

Thyatis odprowadziła wzrokiem Jusufa, kiedy ten szedł błotnistą ścieżką między namiotami. Pomyślała o swoich braciach, szybko jednak odsunęła od siebie to wspomnienie; było zbyt bolesne. Westchnęła i poprawiła broń przy pasie, upewniając się, czy wszystko jest na swoim miejscu.

- Witaj, centurionie. Usiądź, proszę. - Było już dobrze po północy, gdy Marcjusz Galen Atreusz odsunął od siebie stertę glinianych tabliczek i papyrusów, nad którymi spędził cały wieczór. Thyatis rozejrzała się

dokoła i, na skinienie cesarza, przysiadła na szerokim drewnianym zydli. Przed wizytą w namiocie cesarza przebrała się w prostą tunikę i starannie związała włosy. Galen przyglądał jej się przez chwilę; dziewczyna, którą wysłał z Konstantynopola w szaleńczą misję, wróciła doń szczuplejsza i bardziej posępna.

Prawie kobieta, pomyślał, ale kobieta z legendy... rzymska Boudika, stojąca w wojennym rydwanie, okryta błyszczącą zbroją, triumfująca.

Choć zdawał sobie sprawę, że jest jego narzędziem, strzałą, którą rzucał w serce wroga, wzdrygał się przed wykorzystywaniem jej do tak trudnych zadań. Przyznawanie kobiecie praw należnych mężczyznom, między innymi prawa do noszenia broni w obronie państwa, wydawało mu się obce, by nie użyć tego okropnego słowa, „orientalne”.

- Ten książę miasta bardzo cię chwali. Był ogromnie zaskoczony, ujrzawszy kobietę, która zbrojnie służy cesarstwu. Nazywa cię... jak to było... ach tak, nazywa cię Dianą Lowczynią.

Thyatis uśmiechnęła się uprzejmie. Zmęczony generał, którego widziała w pałacowej komnacie w Konstantynopolu, zniknął, ustępując miejsca ospałem mężczyźnie w jasnych szatach. Pomyślała, że coś zmieniło się w postawie Galena, w jego zachowaniu. Wydawał się teraz jakby bardziej cesarski, otoczony aurą władzy. Paradoksalnie właśnie tutaj, na końcu świata było to widoczne bardziej niż w cesarskim pałacu, być może jednak taką zmianę przynosiło zwycięstwo w ważnej bitwie. Thyatis czuła się tylko zmęczona.

- Dokonałście naprawdę wielkiego dzieła. Herakliusz nie wierzył, że to się uda; przegrał zakład o dziesięć tysięcy denariów! Szkoda tylko, że zginęło tak wielu twoich ludzi. Ale... zdaje się, że znalazłaś godnych następców na ich miejsce. Ci Bułgarzy... podobno są równie groźni jak Sarmaci. Ufasz im?

Thyatis zmrużyła lekko oczy. Była pewna, że cesarz nie pytał o to bez powodu.

- Moje życie było w ich rękach, augsście cesarze. Nie zawiedli mnie i zapłacili krwią za tę służbę. Tak, ufam im.

Galen skinął głową. Zastanawiał się przez chwilę, pocierając w roztergnięciu brodę. Wreszcie podniósł na nią wzrok, a jego cesarska wyniosłość zniknęła bez śladu.

- Możesz zrobić to jeszcze raz? - Jego głos był szczery, pozbawiony sztuczności, z jaką musiał czasem przemawiać na Forum. - Możesz wprowadzić grupę ludzi na teren wroga i dokonać tego, co zrobiłaś tutaj?

Thyatis zesztywniała na swym krześle i spojrzała nań spod przymrużonych powiek.

- Co masz na myśli, augsście cesarze? Masz dla mnie kolejne zadanie?

Galen skinął głową ze smutkiem.

- Zawsze będę miał dla ciebie jakąś pracę - odrzekł, uśmiechając się słabo. - Jesteś niezwykle utalentowanym dowódcą, lepszym od większo-

ści mężczyzn. Skoro tkwisz w moim kołczanie, to czemu nie miałbym nałożyć cię na cięciwę i wystrzelić? Ludzie z Cesarstwa Wschodniego wciąż nie mogą się nadziwić mej śmiałości i twemu sukcesowi. Oni nadal myślą, że jesteś mężczyzną. Po prostu nie mogą uwierzyć, że kobieta zdolna jest do czegoś takiego, to przekracza granice ich pojmowania! Głupcy.

Thyatis uśmiechnęła się lekko. Potem jednak natychmiast spoważniała, zastanawiając się nad konsekwencjami tego, co powiedział Galen.

- Cezarze, jestem żołnierzem, a ty jesteś moim dowódcą. Ty rozkazujeś, a moim obowiązkiem jest wykonywać twe rozkazy. Ludzie, którzy przyszedli tu ze mną z Rzymu, pójdą ze mną dalej. A reszta? Nie wiem. Powiem im, co zamierzam, ale tylko od nich zależy, czy zechcą iść ze mną.

Galen wydał usta w zamyśleniu, potem wstał i podszedł do stołu, który na jego życzenie został przetransportowany najpierw z Rzymu do Konstantynopola, a potem do Tarsos i pod mury Tauris. Stół rozkładał się na mniejsze części, które potem można było ponownie połączyć za pomocą drewnianych kołków. Przesunął palcem po zniszczonym już nieco blacie. Kiedyś, gdy obecny cesarz był jeszcze dzieckiem, stół stał w gabinecie jego ojca, w Narbo. Kiedy Galen opuścił Hiszpanię, by walczyć z innymi pretendentami do tronu, stół wędrował wraz z nim. Przez ostatnie dziesięć lat stał w jego gabinecie na Palatynie, a teraz trafił tutaj. Galen odsunął na bok stertę tabliczek i sięgnął po jedną z map ułożonych na stercie obok.

- Spójrz, centurionie, jesteśmy pod Tauris, w tych górach... - Jego palce przesuwaly się powoli po mapie. Thyatis stanęła obok niego i pochyliła się nad mapą. - A tutaj zaczyna się właściwa Persja. Zgodnie z planem mamy teraz posuwać się na północ, w dolinę rzeki Kerenos, która płynie z tych gór aż do morza Chazarów, Morza Kaspijskiego, a potem połączyć się & armią wielkiego chana Ziębiła.

Morze Kaspijskie było wielkim owalem błękitu, ciągnącym się z północnego zachodu na południowy wschód. Mapa ukazywała pasmo gór ciągnące się wzdłuż południowego wybrzeża.

- Tutaj jest przełęcz - mówił dalej Galen, wskazując palcem - zwana przez Persów Al-Burz. Za nią rozciąga się kraina zwana Partią. To niezwykle bogaty kraj, serce królestwa Sasanidów. Połączone armie Rzymu i Chazarów uczynią zeń pustynię.

Thyatis podniosła wzrok i ujrzała posępny uśmiech Galena.

- Nigdy dotąd rzymska armia nie dotarła aż do Partii - powiedział, odpowiadając na jej nieme pytanie. - Zawsze była to ostoja Persów, forteca, której nie mogliśmy zdobyć. Zajęcie tych ziem jest jednym z celów naszej kampanii, lecz główna nagroda to Ktezyfon.

Galen przesunął rękę na zachód i południe, przez góry otaczające krainę Dwóch Rzek i równinę Mezopotamii. Przy wszystkich miastach, kanałach i drogach widniały jakieś małe znaczki i napisy. Na południu, gdzie Eufrat i Tygrys zbliżały się do siebie, znajdował się złoty symbol.

- Stolica Persji. Rezydencja Chosroesa, Króla Królów, *regnum parthorum*. To serce jego królestwa. Miasto, w którym mieszka niemal milion ludzi, siedziba wszystkich najważniejszych urzędów i mechanizmów zarządzających państwem. To twój kolejny cel, jeśli ponownie naciągnę cięciwę luku.

Thyatis oszacowała wzrokiem odległość na mapie. Od stolicy wroga dzieliła ich jeszcze ogromna odległość.

- Chcesz, żebym dostarczyła ci to miasto jak paczkę owiniętą elegancko w sznurek?

- Nie - odparł Galen, kręcąc głową z z troskaniem.,- Choć Ktezyfon jest tak ważny dla całego państwa, nie ma praktycznie żadnych umocnień. Mury Rzymu są znacznie wyższe od murów Ktezyfonu, nie wspominając już o Konstantynopolu. Tego miasta może bronić tylko armia w polu. Jeśli do niego dojdziemy, będzie nasze. Chcę, żebyś dostała się potajemnie do miasta i czekała tam na nasze armie - jako zabezpieczenie.

Galen przerwał na moment i spojrzał na nią. Thyatis wyprostowała się. W oczach cesarza kryły się jakieś dziwne emocje. Wreszcie westchnął i powrócił spojrzeniem do mapy.

- Potrafisz wykorzystać okazję, kiedy taka ci się nadarzy. Nie możesz tego jednak zrobić, jeśli nie wiesz, co jest okazją. Mało kto o tym wie, centurionie, ale pierwsza żona Króla Królów, Chosroesa, była rzymską księżniczką - nazywała się Maria i była córką cesarza Wschodu, Maurycjusza. Tak, tego Maurycjusza, który został zamordowany przez uzurpatora Fokasa, zgładzonego z kolei przez Herakliusza. Synowie Chosroesa mają więc prawa do tronu Cesarstwa Wschodniego. Prawdę mówiąc... - cesarz przerwał i wziął głęboki oddech - prawa większe niż sam Herakliusz. Tak przynajmniej zdecydowałby każdy sąd.

Thyatis gwizdnęła przeciągle, potem założyła ręce za plecy i czekała.

Galen zwinął mapę, włożył ją do pojemnika z kości słoniowej i spojrzał prosto w oczy Thyatis.

- Prawo jednak nie ma z tym nic wspólnego - oświadczył. - To kwestia siły i walki między imperiami. My wygramy tę wojnę, bo nasze zwycięstwo oznacza pokój dla całego świata. Chcę, byś była ze swoimi ludźmi w Ktezyfonie, gdy przybędą tam nasze armie. Chcę, byś wykorzystwała każdą nadarżającą się okazję i dopilnowała, by dzieci księżnej Marii albo nie przeżyły upadku miasta, albo trafiły pod moją opiekę.

Zimny dreszcz przebiegł po plecach Thyatis. Brawurowa polityczna misja, niemal bez żadnych szans na powodzenie. Zdawało się, że śmierć stoi już za jej plecami i szepcze do ucha. Cesarz odwrócił wzrok.

- Ach... cesarze, chcesz powiedzieć, że te dzieci nie mogą wpaść w ręce wschodniego cesarza i jego agentów?

- Tak - odparł, wciąż na nią nie patrząc. - Mają trafić w moją ręce albo w żadne.

- Dobrze. - Jej odpowiedź była krótka i pozbawiona wszelkich emocji. Galen w końcu podniósł na nią wzrok.
- Kiedy dotrzemy do Ktezyfonu - powiedział cicho - będę szukał cię w ruinach.

* * *

Thyatis siedziała na wielkim omszałym głazie. Białe poranne słońce rozpałało czerwony blask w jej złotych włosach. Z dołu, zza drzew otaczających głaz i łąkę, dochodziło przytłumione dudnienie. Rzymska armia maszerowała na północ, a przez most obok Tauris przejeżdżały wozy. Między pniami drzew widać było oddziały maszerujące w górę drogi. Słońce odbijało się w ostrzach włóczni i hełmach żołnierzy. Za głazem, na niewielkiej łące porośniętej białymi kwiatami, pasł się deresz Thyatis. Jeszcze wyżej, pośród drzew, siedzieli jej ludzie, zajęci ostrzaniem broni, naprawą zbroi lub cerowaniem ubrań.

Spojrzała ponownie w dół, w dolinę. Wciąż widać było zarys wielkiego obozu, jednak wszystkie namioty już zniknęły, nawet budynek łaźni został rozebrany i załadowany na wozy wraz z wielkimi miedzianymi kotłami. Thyatis bawiła się sznurówką spinającą jej skórzane nogawkę, pogrążona w rozmyśleniach. Ocknęła się, gdy pomiędzy drzew dobiegł ją stukot końskich kopyt. W górę zbocza jechał Dahwos. Jego twarz wciąż przecinała opaska zakrywająca zranione oko.

Młody Bułgar wyglądał znacznie starsze niż w dniu, gdy Thyatis ujrzała go po raz pierwszy. Jego twarz wciąż ściągnięta była wspomnieniem bólu, choć wiedział już, że odzyska wzrok i dawną sprawność. Wydawał się dojrzały, bardziej skupiony. Zbroja z żelaza i srebra leżała na nim jak druga skóra. Koń tańczył pod jego dotykiem, a zdrowe oko czujnie obserwowało las.

Thyatis westchnęła i podniosła rękę w geście pozdrowienia.

Dahwos podjechał bliżej. Prócz nowej zbroi miał na sobie rękawice z delikatnej kozłowej skóry, ciężką skórzaną czapę i spodnie z ciemnozielonej wełny zszytej burgundową nicią. Na siodle wioził całą kolekcję broni.

- Pani - przemówił, zatrzymawszy się przed Thyatis.
- Witaj, wielmożny Dahwosie - odparła Thyatis. - Czy są jakieś wieści o twoim bracie?

Dahwos pokręcił głową i odwrócił wzrok. Rzymianka zauważyła, że zacisnął mocniej zęby.

- A co z tobą? Jedziesz z armią na północ na spotkanie z Chazarami?

Odwrócił się do niej ponownie. Jego oczy wypełnione były bólem i gniewem.

- Tak, pani - odrzekł. - Moi ludzie uważają, że spisałem się na tyle dobrze, by dowodzić „naprawdę” oddziałem wojsk kagana Ziębiła.

Umen dziesięciu tysięcy włóczników jest moją nagrodą za śmierć moich przyjaciół.

Odwrócił się w siodle i wskazał na długie kolumny włóczników i łucz-
ników przekraczających rzekę.

- Idziemy na północ, do Araksesu, a potem do białej rzeki, do kraju
zwanego Albania, nad brzegiem Morza Kaspijskiego. Tam będzie czekał
na nas Ziebil z armiami.

Spojrzał w górę, na błękitne niebo przezierające spośród koron
drzew.

- Zima już blisko. Obie armie mogą przeczekać ten czas w bogatej
Albanii. Wiosną uderzymy na południe, na bogate perskie ziemie. To
wielkie przedsięwzięcie...

Thyatis wstała i wytarła ręce o wełnianą koszulę. Spojrzała z góry na
młodego Bułgara.

- Będziesz świetnym dowódcą, Dahwosie. Powodzenia. Gdybyś zna-
łaż w końcu brata, powiedz mu, że napędził mi porządnego stracha, i że
musi mi to kiedyś wynagrodzić. Trzeba ruszać w drogę. Spotkamy się
wiosną. - Jej usta ułożyły się w półuśmiechu.

Dahwos także się uśmiechnął.

- Ha! Nim dotrzemy do Ktezyfonu, ty rzucisz imperium na kolana,
zostaniesz królową i zasiądziesz na tronie Chosroesa! Dbaj o mojego
brata. Zostało mi ich już tylko czterech, i nie chciałbym oddać żadnego
z nich Bogini Kruków.

Thyatis zeskoczyła z głazu i dosiadła konia.

- Cieszę się, że Jusuf jedzie z nami, choć oznacza to, że jest głupcem.
Cesarz uwielbia śmiałe plany, które kończą się albo sromotną klęską, al-
bo błyskotliwym sukcesem. Jusuf powinien być przy tobie, osłaniać two-
je tyły i nieść w bitwie twój sztandar.

Dahwos pokręcił głową, nagle poważniejąc.

- Jest zbyt oddany tobie, pani. Uważaj na niego. Często miewa hu-
mory i podejmuje lekkomyślne działania. Myślę, że... Nieważne. Nie
mnie o tym mówić. Dobrego polowania i czystego nieba!

Thyatis siedziała w bezruchu, kiedy Bułgar jechał w dół zbocza,
zręcznie manewrując koniem między drzewami i wielkimi głazami. Cz-
ła, że już tęskni za nim i za jego pogodą ducha.

Dość! - przykazała sobie w myślach i ruszyła w górę zbocza, by dołą-
czyć do swych ludzi. Wiosna była już niedaleko.

Nikos wstał, gdy podjechała bliżej. Pozostali siedzieli na swoich miej-
scach, zajęci reperowaniem broni i ubrań. Thyatis obróciła konia, przyglą-
dając się swemu oddziałowi. Poprzedniego wieczora dołączyli do nich
dwaj synowie Bagratuniego, uzbrojeni po zęby w noże, topory i włócznie.
Wszelkie próby pozbycia się obu Ormian spełzły na niczym, siedzieli więc
teraz spokojnie przy swoich koniach. Jusuf przyprowadził czterech Bułga-
rów, którzy przeżyli bitwę przy bramie Tauris. Anagatios był dziesiąty.

- Wsiadajcie na konie, chłopcy. Musimy przejechać jeszcze kawał drogi, nim spadnie pierwszy śnieg.

Jusuf i Nikos jednocześnie skinęli głowami i odwrócili się do pozostałych. Gdy to zauważyli, obaj znieruchomieli i spojrzeli na siebie wrogo. Thyatis omal się nie roześmiała - patrzyli na siebie jak dwa rozszłoszczone psy, gotowe w każdej chwili do walki. Żaden z nich nie odezwał się ani słowem, żaden też nie ruszył się z miejsca.

- Jusufie - przemówiła Thyatis łagodnym tonem. - Przyzwyczaiłam się już, że to Nikos jest moim zastępcą. Kiedy mnie tutaj nie ma, on dowodzi.

Bułgar obrzucił ją gniewnym spojrzeniem. Przez chwilę myślała, że spróbuje się jej przeciwstawić, w końcu skinął tylko głową i odwrócił się. Nikos spojrział na nią z troską. Wszelkie tarcia w tak małej grupie mogły szybko doprowadzić do katastrofy. Thyatis pokręciła lekko głową, mówiąc w języku migowym: *Porozmawiam z nim później.*

Nikos wzruszył ramionami i odwrócił się do pozostałych.

- Sprawdzić sprzęt, konie i wodę! Wyruszamy za dziesięć ziaren!

* * *

Wóz przejechał ze stukotem przez drewniany most. Dwyrin trzymał się kurczowo ławki, by nie spaść z podskakującego na każdej desce pojazdu. Zoe, która siedziała tuż obok niego, uśmiechnęła się lekko, choć jej ciemne oczy były poważne. Dwyrin także odpowiedział uśmiechem i wsunął rękę za jej plecy, by lepiej uchwycić się deski. Odenatus siedział w tyle wozu, wciśnięty pomiędzy zwinięte w bale namioty i skrzynki z prowiantem. Nawet nie próbował kryć ponurego nastroju. Jego partner zginął, pochłonięty przez ciemne wody rzeki. Teraz czuł się jak wyrzutek.

- Wio! - Kolonna strzelił lejcami, a cztery muły zaprzęgnięte do wozu parsknęły głośno i przyspieszyły kroku, stukając kopytami o brukowane ulice Tauris. *Ouragos* ubrany był w dwie koszule i gruby płaszcz. Zoe okryła się równie grubą warstwą ubrań, na którą nałożyła jeszcze futrzany płaszcz. Dwyrin wciąż był w lnianej koszuli i brudnych niebieskich nogawicach.

Wreszcie jakaś normalna pogoda! - pomyślał.

W chłodnym porannym powietrzu widać było białe obłoczki pary wypływające z jego nozdrzy. Pomimo smutku, jakim nappełniała go śmierć Eryka, uśmiechnął się szeroko do dwojga pozostałych pasażerów. Zoe spojrzała nań przeciągle i odwróciła głowę. Dwyrin przygaśł - dzień był naprawdę piękny, ale dla niej najwyraźniej nie miało to żadnego znaczenia.

Rzymska armia wiła się ulicami Tauris niczym stalowy wąż. Budynki odbijały echem miarowy krok dziesiątek tysięcy stóp. Dwyrin widział przed wozem hełmy piechoty i ostrza włócznie tańczące nad ich głowami.

Żołnierze śpiewali jakąś sprośną piosenkę o służącej z łaźni. Przemarszowi wojska przyglądali się nieliczni mieszkańcy miasta, ukryci w cieniu szerokich odrzwi. Twarze kobiet były zasłonięte, mężczyźni patrzyli na Rzymian w milczeniu. Dwyrin zmarszczył brwi, wyczuwając źle skrywaną wrogość.

- Oni nie chcą nam zrobić krzywdy - powiedziała Zoe niemal prosto do ucha Dwyrina. - Są cierpliwi, czekają, aż sobie stąd pójdziemy. Wtedy miasto ożyje. Ale wcale nie kochają Rzymu, tak jak nie kochali Persji.

- Dlaczego? - zdziwił się Dwyrin.

- Ten lud, podobnie jak mój, od stuleci był pionkiem w grze między imperiami. Najpierw należał do Persji, potem do Rzymu, potem znów do Persji. Nigdy nie miał własnego króla. Kto jest wolny od Rzymu? Nikt.

- Mój lud jest wolny, ma własnych królów - sprzeciwił się Dwyrin. - Rzymianie przybyli, by z nami handlować, nie żeby nas podbijać.

Zoe spojrzała nań z ukosa, a potem uniosła dumnie głowę.

- To dlatego, że jesteście barbarzyńcami - parsknęła. - Kto chciałby wami rządzić?

/ /

FORUM BOARIUM, KONSTANTYNOPOL

SM aksjan powoli, niemal bezgłośnie zamknął drzwi. Krista wciąż spała mocno w ich wielkim łóżku, tuląc do siebie wielką poduszkę. Książę przekradł się do okna po drugiej stronie korytarza oświetlonego jedynie nikłym blaskiem lampki olejowej. Dom pogrążony był we śnie. Nawet homunkulus, który często przez całą noc siedział na krześle z otwartymi szeroko oczami, położył się do łóżka. Książę otworzył szeroko okno, wpuszczając do środka świeżą, chłodną bryzę przesyconą zapachem morza.

Przytrzymałszy się jedną ręką ramy, wszedł na parapet. Księżyc płynął nisko nad dachami miasta, oblewając złotym blaskiem setki wież, kopuły i domów. Maksjan wziął głęboki oddech, wyciszył się i uspokoił. Ogród rozciągający się pod oknem ginął w całkowitych ciemnościach, zgasło nawet światło zazwyczaj tłące się w kuchni. Książę sięgnął głębiej za okno i uchwycił się ołowianej rynny, odprowadzającej wodę z dachu na grządki z kwiatami. Skupił się jeszcze bardziej, rozpoczął wspinaczkę w górę ściany, wkładając palce u nóg w szczeliny między kamieniami.

Alais czekała już na niego uśmiechnięta. Książę przeszedł powoli wzdłuż krawędzi pochylego dachu, ostrożnie stawiając jedną stopę przed drugą. Wołoska kobieta złożyła mu ukłon, a potem wyciągnęła ku niemu bladą rękę. Maksjan chętnie przyjął pomoc, a długie paznokcie Alais wbiły się w jego nadgarstek. Kobieta ubrana była w obcisłą ko-

szulę z farbowanego na granatowo jedwabiu i nogawice z delikatnej bawełny. Długie włosy leżały na jej plecach, związane ciasno w jeden gruby kucyk.

- Panie - zamruczała - gotów jesteś uczyć się nocy?

- Tak - odparł, czując, jak przyspiesza mu puls. Alais ukłoniła się ponownie i odwróciła od niego, by przebiec lekko po ceglach gzymsu. Maksjan przełknął ślinę i zsunął płaszcz z ramion. Potem wziął głęboki oddech i ruszył za nią. Dotarłszy na koniec dachu, Alais odbiła się sprężystością, by przeskoczyć nad czarnym kanionem ulicy rozdzielającej budynki.

Maksjan także skoczył w ciemność i zawisł na ciemną przepaścią, by potem opaść na dach magazynu. Pod jego butami zapłonęły na moment iskry płynnego światła, a kolana ugięły się, by zamortyzować uderzenie. Krew w jego żyłach krążyła coraz szybciej, wypełniona radością, jaką daje poczucie całkowitej swobody. Jasnowłosa kobieta biegła dalej, wiatr niósł ku niemu jej perlisty śmiech. Księżę ponownie poderwał się do biegu. Na drugim końcu dachu Alais ponownie wybiła się w powietrze. Maksjan syknął przez zaciśnięte mocno zęby, widząc, jak jego przewodniczka ląduje bezpiecznie na sąsiednim budynku.

- Spryciara - warknął, szykując się do skoku.

- Jak długo już twój lud jest w mieście? - Głos Maksjana był lekko zachrypnięty, a jego ciało obolałe i zmęczone po długim biegu. Oparł się wygodnie o nogi wielkiego posągu z brązu. Blask księżycy padał na góry i doliny miasta leżącego u ich stóp. Alais siedziała obok niego, obejmując ciasno kolana podciągnięte do brody. Wieże świątyni Apolla, która wznosiła się za ich plecami, były najwyższą budowlą w mieście. Przewyższał je jedynie sam posąg boga, a właściwie jego złota korona, błyszcząca nawet w bladym świetle księżycy.

- Długo? - odparła Alais w zamyśleniu. -Hm... raczej nie. Ja jestem tutaj dopiero od siedmiu lat. Nasza pani... ona była tutaj zawsze. Myślę, że gdy kładziono tu pierwsze fundamenty i wznoszono pierwsze budynki, ona przyglądała się temu z ukrycia. Właśnie dlatego ona nami rządzi, jest najstarsza.

Alais wyprostowała ręce, jakby przyglądając się swym dłoniom i długim paznokciom.

- Ja jestem szybsza, silniejsza, zręczniejsza. Ale ona jest najstarsza, więc to ona tutaj rządzi.

- Skąd pochodzisz? - Księżę wyciągnął rękę i przesunął dłonią po jej gładkich plecach. Alais wyprostowała się pod jego dotykiem i przysunęła bliżej. Jej skóra była gorąca, ogrzewała go w zimnym, nocnym powietrzu.

- Pochodzę z północy - odparła, opierając brodę na dłoniach złożonych na jego kolanie. - Z wysokich gór pokrytych lodem i śniegiem, z dolin porośniętych wielkimi, zielonymi drzewami i jasnymi kwiatami.

Moja rodzina żyła w takim właśnie miejscu, ponad ludzkimi siedzibami, polując, jak zawsze. Powietrze jest tam niezwykle czyste, wolne od dymu i zapachu ludzi. To były cudowne czasy. Bardzo za nimi tęsknię.

- To dlaczego się stamtąd wyniosłaś? - Maksjan podrapał ją za uchem, a Alais przekrzywiła głowę, wydając z siebie głęboki, niski pomruk.

- Zaczęła się wojna. Królowie Nocy i ich krwio pijcy przyszli z dolin z długimi włóczniami i ogniem. Mój lud walczył i przegrał, nawet gdy wsparli go zwykli ludzie z wiosek. Król-Smok i jego karmazynowy sztandar nie mógł przegrać. Wszyscy moi bracia i siostry zginęli, walcząc w forcie Surena. Ludzie myśleli, że to nasza jedyna szansa na zwycięstwo - ale to była tylko pułapka Smoka, jego uczta.

Alais podniosła nań wzrok. W ciemności źrenice wypełniały niemal całe jej oczy.

- Mój lud nie miał kogoś takiego jak ty, panie. Nie było nikogo, kto by nas poprowadził, kto by nam rozkazywał, kto uzmysłowiłby nam, że za zwycięstwo trzeba płacić krwią.

- Naprawdę myślisz, że warto płacić za zwycięstwo krwią? - spytał Maksjan z powątpiewaniem. - Poświęcać ludzkie życie dla jakiegoś większego celu?

Alais usiadła prosto i odwróciła głowę, patrząc mu prosto w oczy.

- Posłuchaj mnie, panie. Jesteś księciem swego ludu, nie jakimś zwykłym człowiekiem. Obowiązkiem księcia, króla czy wodza jest widzieć dobro całego swego ludu. To on musi zdecydować, co jest ważniejsze: życie kilku jednostek czy życie całego ludu. - Alais przemawiała z mocą i przekonaniem. - W chwili zagrożenia niektórzy muszą zginąć, by ocalał cały naród.

- Czy ja zrobiłem coś takiego? - Głos księcia wydawał się odległy i posępny, jego umysł dręczyły złe wspomnienia. - Czy ocalałem kogokolwiek? Wszystko, czego do tej pory dotknąłem, próbując nieść pomoc, umarło, a ci którzy ocaleli, z każdym dniem zbliżają się do śmierci...

- Ocalisz ich - przerwała mu Alais, wbijając palce w jego nogę. - Ocalisz świat. Jesteś dość silny, mój książę, by tego dokonać, by za to zapłacić. - Umilkła i podniosła się. Potem podała rękę księciu, pomagając mu wstać. - Ruszajmy, panie, wkrótce wzejdzie słońce. Czas na ostatni wyścig.

DOLINA ARAKSESU, PERSKA ARMENIA

t wyrin pochylił się nisko nad strumieniem i zmrużył oczy rażony blaskiem słońca odbitym od roziskrzanej powierzchni. Woda była zimna, zrodzona z górskich strumieni i stopionego śniegu. Hibernijczyk był rozebrany do pasa, jego blada skóra błyszczała od kropli potu.

Obie dłonie trzymał tuż nad powierzchnią wody, nieruchomy jak posąg. Po obu stronach strumienia rozciągał się obóz rzymskiej armii. Układ obozu zależny był nie tyle od rasy czy narodowości poszczególnych oddziałów, ile ich miejsca w szyku.

Zostało już tylko kilka dni do chwili, gdy Rzymianie mieli spotkać się ze swymi sprzymierzeńcami. W tej chwili jednak Dwyrin nie myślał o tym, nie słyszał pokrzykiwań centurionów, którzy poganiali legionistów do pracy. Był skupiony jedynie na błyskających w strumieniu rybach. Nauka z czasów dzieciństwa, wpajana ciężką ręką ojca, mówiła mu, że w wodzie czekają tłuste ryby o bokach pokrytych szarymi, różowymi i czarnymi plamami.

Jego dłonie zanurzyły się w wodzie, powoli, bardzo powoli, nie wzbudzając nawet najmniejszej zmarszczki na powierzchni. Dwyrin nie zwracał uwagi na chłód przenikający jego stopy, na zimną lepkość spodni. Wsunął dłonie pomiędzy dwie skały. Czekał, oddychając równo i powoli. W kanał między kamieniami wpłynął gruby pstrąg, otarł się o jego dłonie drobnymi łuskami. Dwyrin uśmiechnął się do siebie. Jego dłonie zaczęły delikatnie łaskotać boki ryby. Pstrąg zadrzał pod jego dotykiem, Dwyrin nadal jednak delikatnie go łaskotał.

Nagle dłonie chłopca zamknęły się w żelaznym uścisku. Pstrąg próbował się jeszcze wyrwać, szarpać, ale było już za późno. Hibernijczyk rozeźmiął się i nanizął rybę na długi sznur przywieszony u pasa, przebijając skrzela ryby kościaną igłą. Nieostrożny pstrąg dołączył do sześciu innych, które wcześniej padły ofiarą Dwyrina. Chłopiec poprawił spodnie i już miał ponownie przystąpić do łowienia, gdy jakiś obcy dźwięk kazał mu się odwrócić.

Na brzegu rzeki stała młoda kobieta, odziana w białą suknię i jasnozielony płaszcz. Kobieta klaskała głośno w dłonie, uradowana.

- Wspaniale! - zawołała, przysłaniając dłonią oczy. Dwyrin zaczerwienił się, a potem złożył jej ukłon. Kobieta także odpowiedziała ukłonem, potem jednak przysiadła ciężko na głazie. Dwyrin ruszył pospiesznie w jej stronę. Młoda dama - sądząc po jakości jej bransolet i szpilek do włosów, musiała pochodzić z jakiegoś arystokratycznego rodu - była nieco blada. Hibernijczyk zauważył także, że jest w zaawansowanej ciąży.

- Nic ci nie jest, pani? - spytał z troską. - Może powinienem wezwać twoją służbę?

- Nie! - odparła, posapując ciężko. - Zagłaszczą mnie na śmierć. Mam piękny letni dzień, niebo błękitne jak morze, wieje orzeźwiający wiatr; nie będę siedzieć w dusznym namiocie i słuchać paplaniny służących. Jesteśmy na obcej ziemi, pełnej perskich szpiegów i dzikich tubylców - chciałabym chociaż od czasu do czasu spojrzeć na kraje, przez które podróżujemy.

Dwyrin skinął głową ze współczuciem, choć myśl o troskliwych zabiegach młodych, atrakcyjnych służących wcale nie była mu taka niemiła.

Mimo to także uważał, że lepiej siedzieć na słońcu, niż dusić się pod zasłoną grubej skóry i rozmyślać o tym, co dzieje się na zewnątrz.

- Masz rację, pani, choć w twoim stanie powinnaś bardzo uważać.

- Phi - parsknęła. -Wszyscy mówią mi tylko o tym, czego nie powinienam robić ze względu na mój stan. Mam tego dość. Powiedz mi, młodzieńcze, skąd pochodzisz i gdzie nauczyłeś się tak łapać ryby?

Uśmiechnęła się do niego. Jej zielone oczy błyszczały radośnie, gładka skóra jaśniała w słońcu niczym perła. Dwyrinowi zakreśliło się lekko w głowie, uświadomił sobie jednak, że nieznajoma dama jest niewiele starsza od niego; młoda kobieta w zaawansowanej ciąży dotrzymująca towarzystwa jakiemuś bogatemu mężowi - zapewne któremuś z dowódców armii wschodniej. Ta myśl przywołała odległe skojarzeni;? /e szkoły, na wpół zapomniane nauki. Rozejrzał się ukradkiem dokoła.

- Pani, czy nie powinna ci towarzyszyć jakaś przyzwoitka albo służąca? Widzę po twojej skórze i dłoniach, że jesteś szlachetnie urodzona! Ja jestem tylko zwykłym żołnierzem. Nie powinienem zadawać się z ludźmi takimi jak ty... Proszę, nie zrozum mnie źle!

Kobieta westchnęła i także rozejrzała się dokoła? Linia jej szyi nie odpowiadała rysom klasycznych piękności uwiecznionych przez greckich rzeźbiarzy, jej nos był nieco zbyt zadarty i okrągły, by mogła uchodzić za wcielenie Ateny, lecz jej radosne usposobienie i szczerość już podbiły serce Dwyrina. Upewniwszy się, że są sami, młoda dama wydeła usta i przyłożyła dłonie do policzków.

- Och, nienawidzę przyzwoitek! Spójrz na siebie, jesteś żołnierzem, stajesz twarzą w twarz z wrogiem, z pewnością wyróżniasz się odwagą i poświęceniem - a zachowujesz się teraz jak uczeń, którego przyłapano na podkradaniu deseru! Dłużej już chyba tego nie wytrzymam... na pewno nie.

Dwyrin uznał, że lepiej będzie, jeśli nie powie jej, iż w rzeczywistości jest tylko uczniem.

- Powiniem już iść - wymamrotał, starając się nie patrzeć na nią. Młoda kobieta zmarszczyła brwi i poklepała głaz obok siebie.

- Siadaj tu - przykazała surowo - i opowiedz mi o życiu w legionach. Widzę tyłu żołnierzy, ale nie mam pojęcia, co właściwie robią całymi dniami! Jeśli mi nie opowiesz, zacznę krzyczeć, zrobię scenę i zostaniesz ukarany!

- Zabiją mnie! - wybuchnął Dwyrin, a potem szybko zasłonił usta rękami. Młoda dama uśmiechnęła się doń słodko i ponownie poklepała kamień obok siebie. Hibernijczyk usiadł, choć wcale nie był z tego zadowolony.

- No dobrze - westchnęła, wyciągając woskową tabliczkę z kieszeni wszytej od wewnątrz w jej suknię. - Powiedz mi teraz, jak wygląda życie żołnierza armii rzymskiej. Nie pomiń żadnego szczegółu; do wieczora mamy jeszcze mnóstwo czasu.

Dwyrin przysiadł na kamieniu, ułożywszy wcześniej ryby na płyciźnie. Pstrągi szarpały się, próbując uciec z wiążącej je liny, nie miały jednak żadnych szans. Dwyrin czuł się podobnie.

Było już całkiem ciemno, kiedy Dwyrin wspiął na wzgórze, przeszedł przez cedrowo-brzozowy zagajnik i stanął na skraju łąki, gdzie poprzedniego wieczora rozbiła się jego piątka. Podrapał się po czerwonym od słońca ramieniu, mruczając pod nosem coś o wścibskiej naturze młodych greckich dam. Zatrzymał przynajmniej złowione wcześniej ryby, mające stanowić miłe urozmaicenie posiłków, które od wielu dni składały się niemal wyłącznie z sucharów i solonej wieprzowiny. Przeszedł przez linię straży, podając właściwe hasło dwóm brodatym Ormianom wspartym na włóczniach. Namioty jego piątki stały pod wysokimi drzewami o czerwonej korze. Przed jednym z nich płonęło niewielkie ognisko.

Zoe obrzuciła Dwyrina morderczym spojrzeniem, kiedy wszedł do obozu i usiadł ciężko przy ognisku. Odenatus zerknął nań ze współczuciem, co oznaczało, że Zoe powiedziała już wiele gorzkich słów o jego nieprofesjonalnym zachowaniu i karach, jakie mogą go za to spotkać. Hibernijczyk uśmiechnął się do nich słabo.

- Złowiłem trochę ryb - wymamrotał, zabierając się do patroszenia zdobyczy. - Pewna szlachetna dama zobaczyła mnie w strumieniu i przywołała do siebie. Zadręczała mnie pytaniami przez cały dzień! Nie mogłem odejść, to byłoby niegrzeczne...

Zoe słuchała go w milczeniu, bawiąc się nożem, jednym z wielu, które nosiła zatknięte za pas lub w cholewie butów. Ostrze, w którym odbijał się blask ognia, lśniło krwawą czerwienią.

- Szlachetna pani... - powtórzyła z nieskrywaną pogardą. - Cóż za żalosne kłamstwo. Raczej tania dziwka. Jej też zapłaciłeś rybami? Warto było?

Dwyrin zeszywniał, słysząc przesycony jadem głosem Zoe. Odruchowo wyprostował się i zmrużył oczy.

- To była szlachetna dama, dobrze wychowana, potrafiła pisać. Wypytywała mnie dokładnie o życie w służbie cesarza; co jemy, jak maszerujemy, kto niesie topory do ścinania drzew, wypytała chyba o wszystko, co przyszło jej do głowy! W moim kraju - skończył, rzucając Zoe gniewne spojrzenie - staramy się być uprzejmi dla obcych i traktujemy ich z szacunkiem.

Zoe także się wyprostowała, dotknięta obelgą, jaka kryła się w słowach Hibernijczyka. Nóż w jej dłoni przesunął się i skierował ku niemu. Dwyrin czuł, jak atmosfera przy ognisku nagle gęstnieje, nie uczynił jednak żadnego gestu, nie wyrzekł ani słowa - choć nie było to łatwe! Część jego chciała doskoczyć do Zoe i uderzyć ją w twarz albo przywołać ogień i spalić ją na popiół. Nie zrobił jednak nic. Wiedział przecież, że mówi prawdę.

Zoe wypuściła powoli powietrze, uspokajając się, i opadła na swoje miejsce.

- Pewnie była bardzo piękna - powiedziała ostrożnie, ale z goryczą.

- Właściwie nie - odrzekł Dwyrin, przyjmując gałązkę oliwną, jeśli tym właśnie były słowa Zoe. - Ale za to w ciąży! Moja matka powiedziała by pewnie, że zostało jej tylko kilka tygodni do porodu.

Zoe uniosła lekko brwi, a przez jej twarz przemknęła cała gama emocji. Schowała nóż do pochwy i wsunęła ją za pasek.

- Ciężarna? - spytała podejrzenie niewinnym tonem. - Szlachetna dama, powiadasz?

- Tak - odparł Dwyrin podejrzliwie, zadziwiony nagłą odmianą w jej zachowaniu. - Bogato odziana. Miała zielone oczy, długie brązowe włosy i delikatną skórę.

Odenatus cmoknął z uznaniem i pochylił się bliżej, by nie uronić ani słowa.

- Dotykałeś jej? - W jego głosie pobrzmiwała nuta lubieżnego rozbawienia. - Co się jeszcze wydarzyło?

- Nic, chwała niech będzie Masze! - odparł Dwyrin, czyniąc znak pomyślności. - Rozmawialiśmy tylko przy strumieniu, to wszystko.

Zoe objęła kolana rękami i przyglądała się Dwyrinowi ponad płomieniem ogniska.

- Czy ta twoja szlachetna dama miała jakieś imię? Jakies służące? Przyzwoitkę? Strażników?

- Nie. - Dwyrin westchnął. - Niestety. Gdyby nie była sama, łatwiej przysłoby mi uciec, i już dawno bym wrócił. Co to kogo obchodzi, jak włóczniecy wiążą buty, albo że raz na trzy dni dostajemy wino?

- Hm... - mruknął Odenatus, najwyraźniej nie mogąc zapanować nad swoją ciekawością. - Pocałowałaś ją?

Dwyrin odwrócił się i przeszył Palmyrczyka lodowatym spojrzeniem. Odenatus parsknął tylko i zaczął grzebać patykami w ogniu.

- Myślę, że nasz barbarzyński przyjaciel był zbyt uprzejmy, by skorzystać z takiej okazji - przemówił po chwili milczenia. - Jego lud się tak nie zachowuje... i może dlatego jest ich tak niewielu! - Roześmiał się głośno, a Dwyrin po chwili wahania przyłączył się do niego. Miło było siedzieć tak przy ognisku i dzielić się wrażeniami z minionego dnia.

- Mówisz, że ta dama była ciężarna - odezwała się ponownie Zoe. - Wiesz w końcu, jak miała na imię, czy nie?

- Hm... - Dwyrin podrapał się po głowie, próbując sobie przypomnieć, czy w natłoku jej pytań udało mu się przemycić chociaż jedno swoje. - Tak, Martyna, jeśli się nie mylę. Jej mąż jest oficerem z Afryki, chyba z Kartaginy. Nie jestem bardem czy druidem, żeby pamiętać wszystkie szczegóły...

Zoe pokręciła głową, potem wstała, podnosząc wzrok ku gwiazdom prześwitującym między koronami drzew. Włożyła kciuki za pas i odwró-

ciła się tyłem do ogniska, ogrzewając nogi. Noce robiły się coraz zimniej -
sze, nawet tutaj na nizinie.

- Zakładam, że naprawdę byłeś dla niej uprzejmy.

- Owszem - warknął Dwyrin, dotknięty nutą powątpiewania w jej głosie. - Traktowałem ją jak jedną z moich ciotek albo jak moją matkę, choć ona wcale nie jest taka młoda ani taka ciekawsza jak ta kobieta.

- To dobrze. - Zoe skinęła głową i zerknęła nań przez ramię. - Kara za zbytne spoufalanie się jest wyłupienie oczu albo nawet powolna śmierć na torturach. Mam nadzieję, że trybun potraktuje cię wyrozumiale. To troskliwy i łagodny człowiek.

- Myślisz, że będzie miał przez to jakieś kłopoty? - Odenatus uderzał kijem w żar na skraju ogniska i przyglądał się Zoe uważnie. - Słyszałem, że ona jest bardzo mądra, nawet jak na swój młody wiek. Widziała chyba, jaka niedorajda z tego naszego barbarzyńcy...

Zoe przerwała mu krótkim, ostrym gestem i odwróciła się twarzą do ognia. Dwyrin spoglądał to na jedno, to na drugie, czując jak w żołądku rośnie mu wielka, zimna kula.

- Nie martwi mnie cesarzowa - mruknęła Zoe - ale raczej temperament jej męża.

- Cesarzowa? - wyszeptał Dwyrin, czując, jak robi mu się słabo. - Jaka cesarzowa?

Zoe nawet nań nie spojrzała, tylko mówiła dalej:

- Cesarz Wschodu kazał kiedyś poćwiartować pewnego człowieka i nakarmić nim świnię za to, że ośmielił się obrazić cesarzową. To prawda, był wrogiem jej domu i wstrętnym kłamcą, ale... Albo uzurpator Fokas, to dopiero miał paskudną śmierć! Cesarz jest tylko człowiekiem i daje się czasem ponieść emocjom. Myślę, że kocha ją zbyt mocno, by być tak dobrym cesarzem, jakim mógłby... - Zoe umilkła nagle.

- Martyna jest cesarzową? - Dwyrin położył się na zimnych sosnowych igłach. Kręciło mu się w głowie.

- Tak. - Odenatus westchnął, wyjmując upieczonego pstrąga z ognia i kładąc go na drewnianym talerzu, który ukradł z ruin Tauris. - Jedyna ciężarna dama w rzymskiej armii to cesarzowa Martyna, młoda i nieprzyzwoita żona cesarza Wschodu, Herakliusza z Kartaginy.

- Nieprzyzwoita? - Dwyrin wyprostował się raptownie. - Nie słyszałem o tym! Co zrobiła? Zabawiała się ze stajennymi? Z gladiatorami?

Może ciągle rozmawia z młodymi barbarzyńcami, pomyślał z przerażeniem.

Odenatus pacnął go otwartą dłonią w głowę.

- Nie, ty idioto. Martyna jest jego siostrzenicą. Grecy są wściekli na Herakliusza, że poszedł za głosem serca; mówi się, że kocha ją do szaleństwa, mimo że znają się od lat. Niektórzy uważają, że powinien raczej wykorzystywać swe nasienie gdzieś daleko od swego kraju...

- To nie ma tutaj nic do rzeczy - wtrąciła Zoe z powagą. - Problem

w tym, że nasz rybak wsadził nos w polityczne gniazdo szerszeni. Prędzej przyjdzie nam zginąć przez jakieś polityczne rozgrywki niż z rąk Persów. Od dziś nie będziesz opuszczał obozu sam, zawsze ktoś musi ci towarzyszyć - zwróciła się do Dwyrina. - A tym kimś będę pewnie ja - dodała, krzywiąc się.

Cóż, pomyślał Dwyrin, patrząc na księżyc, w sumie to był dobry dzień.

MURY PALMYRY

Zenobia stała na murach nad bramą Damaszku. Na jasnym, niemal białym niebie nad jej głową wisił wielki mosiężny dysk słońca. Dolinę wypełniał straszliwy żar, fale rozpalonego powietrza biły od kamieni i piasku. Królowa ubrana była w cienkie, jedwabne szaty, które powiewały w lekkim, gorącym wietrze i przylegały ciasno do krągłości jej ciała. Rozpuszczone włosy opadały ciemną kaskadą na ramiona. Zamieniła ciężką koronę na wąski pasek srebra, w którym tkwił jeden duży rubin wielkości jej kciuka. Patrzyła z góry na perskich posłańców stojących pod bramą.

- Ja jestem królową - powiedziała. - Jeśli chcecie rozmawiać z miastem, rozmawiajcie ze mną.

Perski posłaniec, szczupły śniady mężczyzna o długim nosie, odpowiedział jej przyjaznym spojrzeniem. Ubrany był w brązowo-białe pustynne szaty i kufie, które doskonale nadawały się na tego rodzaju pogodę, lecz towarzyszący mu ludzie, w ciężkich, bogato zdobionych zbrojach i szatach, byli czerwoni z gorąca i spływali potem. Zenobia przypuszczała, że co najmniej jeden z nich zastabnie, jeśli przetrzyma ich wystarczająco długo na słońcu. Czekala na tę chwilę ze złośliwą satysfakcją.

- Mój pan - odezwał się posłaniec - prosił, bym przekazał ci jego najlepsze życzenia. Pyta, czy zechciałabyś zastanowić się nad poddaniem miasta potędze Persji i przyjęciem jego łaski i wdzięczności.

Zenobia wykrzywiła swe pełne, podkreślone ciemną henną wargi w drwiącym uśmiechu.

- Przekaż swemu panu kondolencje z powodu jego rychłej śmierci. Możesz go zapewnić, że kiedy już sępy objedzą jego kości do czysta, dopilnuję, by wdowa otrzymała resztki w eleganckim płóciennym worku. Potraktuję jego rodzinę wyjątkowo i osobiście zetrę kości na proch! Miasto nie chce łaski bandytów i złodziei. Powiedz swemu panu, że nie ugniemy przed nim karków. On jednak może tu przyjść i błagać o przebaczenie za swoje występki. Moja łaskawość znana jest na świecie.

Posłaniec skinął głową, starając się zapamiętać dokładnie jej słowa.

- Mój pan - odpowiedział po chwili - wielki generał Szahr-Baraz,

znany jako królewski Odyniec, ulubieniec Wielkiego Króla Chosroesa, Króla Królów, także znany jest ze swej łaskawości, pani, oraz z wielkiego honoru.

Zenobia przekrzywiła głowę, spoglądając zimno na posłańca.

- A co wspólnego ma honor z mordowaniem moich ludzi i okradaniem grobowców ojców miasta?

Poprzedniego wieczora z zachodu dochodziły jakieś dziwne trzaski i łomoty. Zwiadowcy Mahometa, którzy wymknęli się z miasta o zmierzchu, wrócili przed świtem z wieściami, że Persowie rabowali w nocy grobowce w wieżach i wynosili wszystkie cenne przedmioty do perskiego obozu między wzgórzami. Zenobia zmuszona była trzymać zwiadowców w zamknięciu, by wieść ta nie rozniosła się po mieście. Gdyby mieszkańcy Palmyry dowiedzieli się, że groby ich czcigodnych przodków zostały zbezczeszczone w taki sposób, otworzyliby na oścież bramy i ruszyli do ataku z nożami kuchennymi w dłoniach, by zemścić się na perskiej armii.

- Honor mego pana jest nieskazitelny, o królowo. Nie jest wrogiem twoim ani twojego miasta. Walczy z Rzymem i zabójcami jego wielkiego i dobrego przyjaciela, cesarza Maurycjusza. Nie chce wyrządzić wam krzywdy; chce tylko pokoju między wielkim i szlachetnym królestwem Persji i twoim miastem, królowo.

- Cóż, wyraża swą przyjaźń w dość dziwny sposób - drwiła Zenobia. - Tysiące zginęły już w tym „pokoju”, a znacznie więcej umrze w tym straszliwym upale, nim ów „pokój” dobiegnie końca.

Jeden z perskich arystokratów zaczął ciężko oddychać i przechylił się niebezpiecznie na bok. Pozostali zerkali nań kątem oka, nikt jednak nie pospieszył mu z pomocą. Pers zrobił się czerwony jak ogień, dyszał coraz ciężiej.

Posłaniec zignorował odgłosy dobiegające zza jego pleców i ponownie przemówił do Zenobii.

- O królowo, jeśli ten spór nie zostanie rozstrzygnięty w pokojowy sposób, twój lud zginie lub zostanie wypędzony na pustynię. Twoje miasto zniknie z powierzchni ziemi, nie zostanie po nim kamień na kamieniu. Jego nazwa zniknie z kart historii, pogrzebana pod piaskiem. Lecz pokój... Pokój i przyjaźń z Persją uczynią cię potężną. Cały świat usłyszy o chwale Palmyry i będzie zdumiewał się jej blaskiem. Cóż takiego daje wam Rzym, ten skąpy starzec, który czepia się was chciwymi palcami? Ten zachłanny ojciec, który bez końca każe wam płacić, a nie daje niczego w zamian? Gdzie jest teraz Rzym? Zostałaś sama przeciwko całej potędze Persji. Nikt nie może ci zarzucić, że nie dopełniłaś swego obowiązku; honor miasta został już ocalony. Po co dłużej walczyć?

Zenobia pochyliła się do przodu, opierając dłonie o rozgrzane kamienie murów.

- Powiedz swojemu świńskiemu panu, temu Odyńcowi, że Zenobia nie łamie raz danego słowa. Jego pan jest wrzodem wypełnionym złem,

a jego honor to tylko puste słowo. Palmyra nigdy się przed nim nie ugnie.

Posłaniec skinął głową, uśmiechając się lekko.

- Niech i tak będzie, królowo. Mój pan składa ci jeszcze jedną, ostatnią propozycję, choć skoro i tak nazywasz go nikczemnym, nie zmieni to zapewne twojej opinii. Otóż mój pan przyśle tutaj swego najlepszego wojownika, by stanął do walki z jednym spośród twoich wojowników. Stoczą pojedynek tutaj, przed bramą miasta. Jeśli zwycięży twój człowiek, mój pan wycofa swą armię. Jeśli zwycięży nasz wojownik, Palmyra przyjmie przyjaźń Persji i otworzy bramy.

Posłaniec uklonił się nisko w siodle i zawrócił konia. Pozostali arystokraci także zawrócili, choć ten, który najbardziej ucierpiał w słońcu, musiał skorzystać z pomocy dwóch innych. Poselstwo odjechało w stronę wzgórz, przecinając rozpaloną do białości równinę. Gdy ostatni z jeźdźców zniknął za horyzontem, Zenobia odwróciła się i zeszła po szerokich kamiennych schodach na podwórze za bramą, głęboko zamyślona i zatroskana.

- Wiem, że cała ta przemowa to w większości czczy gadanina - rzekł Ibn Adi - ale muszę przyznać, że nigdy nie słyszałem, by Szahr-Baraz nie dotrzymał słowa. Zawsze służył Chosroesowi z honorem, nawet gdy król był więźniem w jego zamku. Czyż nie poszedł na wygnanie za młodym królem aż do Rzymu, zostawiając tu cały swój majątek i rodzinę? Jeśli przysięga, że w razie porażki zostawi miasto, to pewnie tak właśnie uczyni. - Szejek opadł na oparcie krzesła, głaszcząc swą długą brodę w zamyśleniu.

Zenobia rozejrzała się dokoła, próbując odczytać z twarzy otaczających ją mężczyzn ich opinie. Jej młodszy brat, Worodes, i południowiec, Mahomet, spoglądali na siebie czujnie, czekając, kto pierwszy ofiaruje się bronić honoru miasta. Wysoki kapłan Bela, stary Septimus Haddudan, pogrążony był w głębokiej depresji. Choć w młodości był wielkim wojownikiem i politykiem, teraz wycofał się z życia publicznego, zmęczony i zniechęcony. Dawniej w radzie zasiadał także generał Zabda, lecz od czasu bitwy pod Emesą Zenobia nie chciała mieć z nim nic wspólnego. Wreszcie spojrzała na Ahmeta. Jego oczy były zatroskane, twarz jednak wyrażała spokój.

- Los jednego z nas i los całego miasta - powiedziała powoli. - Ja także słyszałam, że Odyniec jest człowiekiem honoru. Wie, że to oblężenie może się dla niego źle skończyć, szuka więc wyjścia, które pozwoli mu odnieść zwycięstwo małym kosztem.

Jej paznokcie, długie i starannie spiłowane przez służące, uderzały miarowo w gładki blat stołu. Ahmet przyglądał się jej uważnie, czekając na ostateczną decyzję.

- Przyjmę wyzwanie - oznajmiła wreszcie królowa. - Mahomecie, wyślij jednego ze swoich ludzi do obozu Persów, niech przekaże im mo-

THOMAS HARLAN

ją zgodę. Niech powie Odyńcowi, że mój wojownik spotka się z nim przed murami miasta jutro rano o świcie.
Mahomet uniósł brwi, zaskoczony.

- Myślisz, że on sam stanie do walki?

- A czy kiedykolwiek przegrał jakikolwiek pojedynek? - odparła Zenobia pytaniem. - Nie. A przynajmniej tak głosi legenda. Nie należy do ludzi, którzy w sprawach honoru wysługują się innymi. To będzie on.

- Więc jego porażka ugodziłaby Persję podwójnie - podsumował Worodes podekscytowany. - Po pierwsze, nie zdobyliby miasta, a po drugie, straciliby swą najgroźniejszą broń!

Twarz Zenobii wykrzywiła się w ponurym grymasie.

- Tak, o to właśnie nam chodzi.

Ahmet obudził się w ciemności. Zenobia leżała wtulona w jego bok, z głową opartą o jego ramieniu. Słyszał jej delikatnie świszczący oddech. W pokoju panował mrok; nawet wąski pas nieba widoczny przez okna był czarny jak smoła. Ahmet odsunął się od Zenobii, zostawiając ją uśpioną na środku łoża. W nikłym blasku księżyca wydawała mu się jeszcze piękniejsza niż zwykle, alabastrowy posąg pośród ciemności. Włożył spodnie i tunikę i odgarnął włosy do tyłu. Potem narzucił płaszcz i wyszedł z komnaty.

Mur otaczający pałac w południowo-wschodnim krańcu tworzył szpic. Ahmet szedł powoli wzdłuż krawędzi muru oświetlanego przez pochodnie zatknięte na blankach. W pobliżu przechadzało się dwóch strażników obserwujących czujnie wzgórze na zachodzie. Egipcjanin niespiesznie stawiał kroki, smakując nocne powietrze, próbując odgadnąć, co właściwie wyrwało go ze snu. Wyczuwał w powietrzu jakieś dziwne napięcie, które przyprawiało go o zimne dreszcze. Miał wrażenie, że pośród dolin i wzgórz na zachód od miasta gromadzą się jakieś ciemne siły.

Przez chwilę wpatrywał się w mrok, widział jednak tylko migotliwe iskry znaczące ogniska płonące wokół obozu Persów. Świt był już blisko. Pokręcił głową niespokojny i wrócił do komnaty.

Niebo na wschodzie mieniło się różem i czerwienią. Zenobia, dosiadająca pięknej kasztanowej klaczy, podjechała do bramy Damaszku w towarzystwie Ahmeta i Mahometa. Worodes i królewscy gwardziści czekali już na nią, trzymając w dłoniach zapalone pochodnie. Księżę był głęboko zasmucony i wcale tego nie krył, witając się z królową.

- Spokojnie, braciszku. - Królowa się uśmiechnęła. - Wiesz, że jestem lepszym szermierzem. Chyba nie muszę ci tego jeszcze raz udowadniać.

Królowa odziana była w ciemną zbroję: żelazny napierśnik ozdobiony godłem miasta okrywał jej tors. Ramiona i ręce przykrywała kolczuga z grubych metalowych pierścieni, które przesuwają się przy każdym jej ruchu. Na hełm, mocno zapięty pod brodą, powróciły poślaczane skrzydła. Na siodle leżał długi miecz w metalowej pochwie zdobionej wi-

zerunkami lwów i słoń. W wysuniętym odrobinę fragmencie ostrza odbijało się światło lamp i pochodni, zamieniając metal w żywy klejnot. Nogi królowej okryte były żelaznymi płytami przylegającymi do boków konia. Buty i rękawice z grubej skóry chroniły jej stopy i dłonie. Drugi miecz, znacznie bardziej zużyty, wisiał z tyłu, na siodle. W prawej ręce Zenobia trzymała długą włócznię o ostrzu w kształcie liścia. Worodes pochwycił strzemiona wierzchowca królowej.

- Proszę, pozwól, żebym to ja tam pojechał - błagał swą siostrę. - Jeśli zginiesz, miasto straci serce. Jeśli ja zginę, ty poprowadzisz je do zwycięstwa. Odyniec ma nad tobą przewagę, jest znacznie cięższy! To olbrzym, a choć ty władasz mieczem sprawniej niż jakikolwiek mężczyzna, pokona cię czystą siłą!

Zenobia uśmiechnęła się i pogłaskała jego włosy.

- Ja też cię kocham, braciszku. To moja głupota sprowadziła na nas to nieszczęście; moim obowiązkiem jest naprawić własne błędy, jeśli tylko zdołam.

Królowa spojrzała na posępne twarze otaczających ją mężczyzn.

- Przyjaciele, cieszę się, że mogłam stać z wami ramię przy ramieniu w bitwie i w pokoju. Myślałam o tej chwili przez całą noc. Jestem lepszym szermierzem niż mój brat. Ty, Ibn Adi, jesteś za stary, choć widzę w twym sercu i twych łzach, że poszedłbyś za mnie, gdybym cię o to poprosiła. Mogłabym wysłać ciebie, Mahomecie, gdybyś pochodził z miasta, ale jesteś tu obcy, choć chwala Belowi, że zechciałeś nam pomóc. Bez ciebie i bez twojej odwagi nikt z nas nie uszedłby żywy z pól Emesy. Zostałeś ty, Ahmecie, mój drogi Egipcjaninie. Czy zdarzyło ci się kiedykolwiek w życiu trzymać miecz w dłoni?

Ahmet roześmiał się, widząc iskrę w jej oku, pozostali mężczyźni dołączyli do niego. Straszliwe napięcie ustąpiło choć na moment. Zenobia rozejrzała się dokoła, podniesiona na duchu.

- Otwórzcie bramę. Niech się stanie, co ma się stać.

Worodes- dał znak strażnikom stojącym po obu stronach bramy. Zgrzytnęły ogromne bolce wsuwane w kamienie wież. Zaskrzypiały kołowroty, kiedy ukryci we wnętrzu wież ludzie napaarli na koła odsuwające grube na stopę zasuw. Gdy te ustąpiły, gwardziści napaarli na ciężkie skrzydła z cedrowego drewna i otworzyli bramę.

Zenobia szarpnęła lekko cugle, a jej koń ruszył powoli w dół podjazdu. Na tle coraz jaśniejszego nieba widać było już równinę i odległe kształty grobowców znaczących jej granicę. Zenobia czekała samotnie przed bramą miasta, aż nadejdzie dzień.

Jakiś czas później zza horyzontu wyjrzał wreszcie skrawek słońca, oświetlając drogę prowadzącą do wież grobowców. Na drodze czekała samotna postać - ciemny kształt na czarnym koniu. W pobliżu nie widać było żadnych Persów; wycofali się nawet zwiadowcy. Blask słońca dotknął koron jednej z wież, która rozbłysła niczym perła.

Ciemny kształt ruszył powoli naprzód, a królowa poczuła, jak przenika ją zimny dreszcz. Słońce wznosiło się coraz wyżej, rozpalając szczyty kolejnych grobowców.

- To ten, którego czułem pod Emesą - powiedział Ahmet, ukryty w cieniu bramy. - Straszliwa siła, która zgmiotła Czerwonego Księcia.

Wysunął się o krok do przodu i zrzucił z ramion płaszcz. Ogarnął go nagle ogromny spokój, zrobiło mu się dziwnie lekko na sercu. Wiedział już, dlaczego przybył do tego miejsca.

- To zadanie dla mnie, pani, nie dla ciebie.

Zenobia odwróciła się w siodle, spoglądając na kapłana w osłupieniu.

Ahmet uśmiechnął się lekko.

- Odyniec pragnie jedynie zwycięstwa, a nie szacunku świata.

- Nie... - wyszeptała, tkwiła jednak w bezruchu, kiedy przeszedł obok niej, trzymając pod pachą swój kij.

Ahmet zatrzymał się na dole podjazdu.

- Zamknijcie bramę i postawcie strażę na wszystkich murach. To tylko mały podstęp; może szykują większy.

Ibn Adi i Mahomet wyjęli wodze z bezwładnych rąk Zenobii i zaprowadzili ją z powrotem do miasta. Worodes jeszcze przez chwilę patrzył na pustkowie, po którym stapał samotny Egipcjanin, a potem wraz z innymi napał na skrzydła bramy, by ponownie ją zamknąć.

Piach skrzypiał lekko pod stopami Ahmeta, kiedy przeszedł po moście u podnóży ścian. Ciemny kształt wciąż tkwił w bezruchu, ukryty w cieniu jednego z grobowców. Egipcjanin wyciszał stopniowo umysł, wchodząc w czwarte otwarcie Hermesa. Choć równina wydawała się całkiem gładka, w rzeczywistości upstrzona były drobnymi głazami i dołkami. Egipcjanin wiedział, że nie może stracić równowagi i że musi zachować poczucie fizycznego ciała. Jego postrzeganie otwierało się coraz szerzej, niebo zamieniło się w chaos oślepiających światła i zmiennych wzorów siły. Ahmet skupił się na utrzymaniu w jedności fizycznego wzroku i zmysłów.

Czarna postać ruszyła wreszcie z miejsca, koń zrobił kilka kroków do przodu. Potem zatrzymał się, a jeździec zeskoczył na ziemię i odrzucił kaptur, odsłaniając bladą głowę. Ahmet zeszywniał, ujrawszy czaszkę o gadzim kształcie. Wrażenie było tak szokujące, że odczuł je jak cios w twarz. Wróg odprawił swego konia. Potem odwrócił się, unosząc lekko ręce. Jego oczy płonęły nikłym, głęboko ukrytym ogniem.

Martwa istota w kształcie żywego człowieka, pomyślał ze zdumieniem. Z jakiego piekła się wyczołgała, by poznać ludzkie zwyczaje i mowę?

Tarcza Ahmeta zaiskrzyła, z każdą chwilą nabierając mocy. Egipcjanin wypowiadał pod nosem przeróżne zaklęcia, formuły, które niegdyś szeptali mistrzowie jego zakonu, klucze otwierające moc starożytnych bogów. Powietrze wokół niego zadrżało, a zaprawa w wieżach otaczających plac boju zaczęła się kruszyć.

Dzieliło ich już tylko jakieś siedemdziesiąt stóp. Ciemny kształt pochylił głowę, a Ahmet poczuł, jak ziemia odbija echem jakąś ciemną myśl. Rozstawił szerzej nogi, wyciszając umysł. Stworzenie podniosło nań wzrok.

Jestem Dahak, przemówiło w jego myślach. Złóż mi pokłon, a będziesz żył.

Nie, odparł Ahmet. Między ludzką rasą a tobą nie może być pokoju.

Więc będziesz służył mi w śmierci.

Piasek pustyni eksplodował nagle ogniem, gdy ciemny kształt podniósł ręce w potężnym zakłęciu. Ahmet odskoczył na bok. Jego tarcza zadźwięczała niczym dzwon, gdy uderzyły w nie strumienie płomieni. Okrył się cały potem, lecz jego ręce zatańczyły w przeciwnym kierunku, a czarny potwór odleciał do tyłu niczym lalka kopnięta przez dziecko. Ziemia zatrzęsa się, a z najbliższej wieży spadło kilka cegieł. Dahak podniósł się z ziemi, a Ahmet pędził przez piasek, wyjąc niczym wiatr. Ogromne błyskawice wystrzeliły z jego ciała, uderzając prosto w Dahaka, złościąc wielkie czarne zagłębienia w piachu pustyni.

Potwór wytrzymał uderzenie, wciąż stał prosto, zaciskając pięści. Tarcza Ahmeta popękkała i rozpadła się pod nieoczekiwanym ciosem, odrzucając go trzydzieści stóp do tyłu. Egipcjanin otrząsnął się szybko i przetoczył na bok, gdy smuga białego ognia wypaliła ziemię w miejscu, w którym upadł. Egipcjanin przesunął dłoń przed swoim ciałem, a powietrze oddzielające go od Dahaka zafalowało niczym płynne szkło. Druga błyskawica czarownika zatrzymała się na niewidzialnej barierze, paląc jej powierzchnię niczym kwas. Piasek pod ścianą powietrza zagotował się i stopił w cętkowane szkło.

Ahmet warknął wściekle i wchłonął moc ukrytą w kamieniach najbliższej wieży. Kamienie trzasnęły niczym zwolniona cięciwa łuku, i cała trzydziestostopowa budowla, stworzona z kamiennych głazów większych od człowieka oraz cegieł i zaprawy, runęła na ziemię. Dahak odskoczył na bok, gdy wieża zwała się na miejsce, w którym stał przed momentem. Straszliwy huk towarzyszący upadkowi uderzył w Ahmeta niczym fala, ziemia zadrżała pod jego stopami. W powietrze wbił się obłok kurzu, przesłaniając widok. Egipcjanin ruszył biegiem w prawo.

Ziemia zatrzęsa się za nim, zaczęła się wybrzuszać niczym jakiś gigantyczny grzyb. Potem pękła, wyrzucając piasek na wszystkie strony, a ze szczeliny wynurzyły się jakieś ogromne, wijące, czarno-zielone maczki, które niemal natychmiast zniknęły w zapadającym się gruncie. Brzegi rozpadliny zwały się z hukiem, zakrywając ranę na powierzchni pustyni. Z dłoni Ahmeta wystrzeliła błyskawica, która przebiła obłok kurzu powstały po upadku wieży.

Potężne uderzenie rzuciło Ahmeta na ziemię, jego tarcze rozbłyśły niczym słońce, by potem rozpaść się na sto warstw. Przez zasłonę potu i opadającego piasku Ahmet dojrzał ciemną postać czarownika stojącą

na szczycie wieży po jego lewej stronie. Egipcjanin podniósł się na kolana i krzycząc z wściekłości, przypuścił kolejny atak. Wieża eksplodowała, rozrzucając na wszystkie strony pokruszone skały i cegły, a potem osunęła się majestatycznie na ziemię. Ciemna postać zachwiała się na moment, a potem wyskoczyła w górę i podleciała do następnej wieży, rozkładając poły płaszcza niczym ogromne czarne skrzydła.

Ahmet zawył z wściekłości.

On lata!

Egipcjanin podniósł się na równe nogi i złożył dłonie przed sobą, na wysokości piersi, koncentrując się. Piasek i skały w promieniu dziesięciu kroków od niego rozbłysły biało-niebieskim płomieniem, a potem zamieniły się w popiół i dym. Egipcjanin wyrzucił ręce do przodu, kierując dłonie ku wrogowi, który leciał w jego stronę. Zaczął krzyżeć nieludzkim, strasliwym głosem, który wypełniał całą dolinę. Szklane okna w mieście pękały, zrzucając na ulice obłoki maleńkich odłamków. Zakrwawieni ludzie krzyczeli z bólu i przerażenia. Mury miasta zdrząły, a strażnicy padali na ziemię ogłuszeni strasliwym głosem.

Dahak skręcił w bok, próbując uniknąć uderzenia, było już jednak za późno. Jakaś gigantyczna siła uderzyła weń, rozpalając jego tarcze, rozrzucając na wszystkie strony języki ognia. Kręcąc się chaotycznie w powietrzu, odleciał do tyłu i uderzył w ścianę kolejnej wieży. Budowla zdrząła i pękła, część wyższych kondygnacji osunęła się w dół, wyrzucając na boki chmury kurzu. Czarownik podniósł się powoli ze sterty skruszonych cegieł, czyniąc przed sobą jakiś znak.

Ahmet biegł w jego stronę, przeskakując zwalone na ziemię posągi i kolumny. Błyskawica wystrzeliła z jego dłoni i uderzyła w powierzchnię pękniętej wieży. Dahak przesunął bladą dłońią po ustach; zostały na niej smugi krwi. Potężne uderzenie przedarło się przez jego tarcze, a górna część wieży odleciała do tyłu w chmurze cegieł, kurzu i kości. Ciężkie głazy runęły prosto na czarownika, przygniatając go do ziemi.

Egipcjanin przystanął, dysząc ciężko, w bezpiecznej odległości od wieży. Ta zdrząła raz jeszcze i opadła z hukiem na ziemię. Ahmet starał się jak najszybciej odbudować swe tarcze. Trzęsły mu się ręce, z trudem utrzymywał równowagę i zbierał myśli. Pięść Horusa była jeszcze potężniejsza, niż rzekazywały stare opowieści.

Dahak podniósł się znad sterty gruzu, otoczony ciemnym płomieniem. Jego twarz była okrwawioną masą zgniecionych kości i mięśni. Otworzył usta, odsłaniając ostre kły, i wydał z siebie strasliwy, przeciągły krzyk wściekłości. Ludzie w mieście padali na ziemię, przejęci ogromną trwogą, która odbierała im zmysły. Był to ryk strasliwej bestii polującej w mroku, tuż za kręgiem światła rzucanym przez ognisko. Zapłakana Zenobia, która wciąż stała na murach, wbiła palce w kamienne blanki.

Otoczony kulą ultrafioletowych płomieni Dahak runął na Ahmeta, wydając jakieś nieludzkie dźwięki. Niebo pociemniało, nawet słońce

jakby zaczęło tracić moc. Ahmet wbił palce w ziemię, czerpiąc z ukrytych głęboko pod powierzchnią turkusowych rzek mocy. Dahak podniósł rękę i zakreślił w powietrzu koło, tworząc kulę wypełnioną ciemnością. Potem skierował dłoń ku Ahmetowi. Egipcjanin podniósł się z ziemi, otoczony zielonym ogniem, potem świat zniknął na moment w oślepiającym rozbłysku, a cała równina wokół miasta zadrżała.

Zenobia załkała, ujrawszy ogromną chmurę ognia wypływającą spośród zniszczonych wież. Olbrzymie płachty płomieni wystrzeliły na boki, niczym rozkładające się płatki jakiegoś piekielnego kwiatu, by obrócić wieże grobowców w popiół i zamienić piach w szkło. Podmuch rozpalonego powietrza uderzył w mury i wzgórze. Zenobia odwróciła się, osłaniając twarz ręką, wciąż okryta ciężką zbroją. W niebo wystrzelił czarny dym, tworząc gigantyczny słup. Gdy Zenobia odwróciła się ponownie ku pustyni, ujrzała tylko ruiny wież i czarną postać, która zmierzła chwiejnym krokiem ku wzgórzom.

Dahak widział tylko zarysy przedmiotów, oślepiiony straszliwym bólem. Jego skóra dymiła, stracił wszystkie włosy. Wszedł w coś twardego - resztki ściany - i oparł się o to. Był wyczerpany, drżał ze zmęczenia. Jego palce, pociemniałe i zmarszczone, szukały jakiegoś oparcia na kamieniu, ten jednak był gładki jak szkło i gorący jak ogień. Czarownik zajęczał głośno. Powietrze wokół niego wypełnione było trzaskiem kamieni pękających z gorąca. Odczołgał się na bok, instynktownie szukając jakiegoś schronienia.

Pięćdziesiąt kroków dalej leżał Ahmet. Popiół opadający z nieba okrywał go niczym szaroczarny całun. Ubranie kapłana spłonęło, a długie czerwone oparzenie znaczyły jego ciało i twarz w miejscach, gdzie pękła jego tarcza. Jego oddech, płytki i nierówny, po chwili całkowicie ustał.

Nad doliną wisiła gęsta chmura dymu i kurzu, która przesuwała się powoli na południe.

* * *

Baraz, który obserwował pojedynek czarowników spomiędzy głązów na szczycie wzgórze, wysunął się ostrożnie z ukrycia i spojrzał na miasto w dole. Nie dostrzegł żadnego ruchu. Podniósł rękę, dając znak swemu chorążemu i trębaczom. Na wietrze zatrzepotała długa flaga, przedstawiająca stylizowaną głowę dzika na ciemnozielonym tle. Odyniec ubrany był w swoją starą zbroję, porysowaną i pociętą w dziesiątkach bitew. Przesunął dłońmi po brudnym, żelaznym napierśniku. Tak właśnie powinno być, pomyślał. To ludzie dokonają tego dzieła i odniosą zwycięstwo. Machnął na sygnalistów stojących kilka kroków za nim.

- Dajcie sygnał do ataku! - krzyknął głosem dźwięcznym jak dzwon. Dziesiątki tysięcy Persów ukrytych w cieniu wzgórz podniosło się z zie-

mi i ruszyło naprzód. Kilka machin oblężniczych, które inżynierowie Odyńca zdołali sklecić z rozebranych na części wozów, wjechało na drogę. Szahr-Baraz" spojrział ponownie na mury miasta i uśmiechnął się drażnie.

- Persja! - krzyknął, wznosząc miecz ku niebu. - I zwycięstwo!

PERYFERIA KAHAK, PÓŁNOCNA PERSJA

Jvikos stał w cieniu i spoglądał na oświetloną blaskiem pochodni ulicę w dole. Okiennice były szeroko otwarte, w pokoju zalegały jednak ciemności. Ilir krył się tuż za skrajem okna, oparty o niechlujnie wytynkowaną ścianę z cegły. Z dołu dochodziło rżenie koni i krzyki ludzi. Thyatis siedziała ze skrzyżowanymi nogami na cienkim sienniku pod przeciwległą ścianą pokoju. Ostrzyła właśnie miecz, który leżał na jej kolanach.

- Co widzisz? - spytała cicho, nie podnosząc wzroku.

- Widzę około stu jeźdźców - relacjonował Nikos. - Konie okryte są półpancerzem z grubej skóry i metalowych pierścieni. Wszyscy jeźdźcy mają brody, uzbrojeni są w długie włócznie i zakrzywione miecze. Na hełmach mają różnokolorowe pióropusze, a na chorągwi jest głowa tygrysa na złotym polu.

- To herb króla Luristanu, Kurusza z domu Aksane - przemówił jeden z ormiańskich chłopców. - A ci ludzie to jego *dihganie*, w waszym języku „rycerze”, z dalekiego południa. Przejechali wiele mil, by dotrzeć do tego miejsca. '

Thyatis skinęła głową. Przesunęła palcem wzdłuż krawędzi hinduskiego ostrza. To był dobry miecz: dostała go od księżnej po pierwszej udanej misji. Wsunęła miecz do pochwy.

- To dziwne, że do takiej dziury zjechało aż tylu ludzi.

Jusuf, który siedział pod ścianą obok Ormian, skinął głową.

- Król Królów wie, że pierwsze śniegi nadejdą w tym roku później niż zwykle - powiedział.

Thyatis zastanawiała się nad tym przez chwilę.

- Naprawdę trzeba będzie jeszcze tyle czekać na śnieg? - spytała. - Już jest bardzo zimno.

- Rzeczywiście, robi się zimno - przyznał Bułgar - ale od dawna już nie padał deszcz. To suchy rok. Być może pierwszy śnieg spadnie dopiero za miesiąc.

- W takim razie Król Królów będzie miał dość czasu, by zgromadzić armię i posłać ją na północ, przeciwko cesarzom i ich armii - powiedziała Thyatis.

- Zgadza się. - Nikos odszedł od okna i przykucnął obok niej. - To już trzeci oddział *dihganów*, który przejechał dzisiaj przez miasteczko. Z rozmowy gospodarza i kupców wywnioskowałem, że gdzieś niedaleko, na północ od Kahak zbiega się kilka dużych dróg.

- Tak - przytaknął jeden z Ormian. - Wielka droga biegnie z południa do brzegów Morza Kaspijskiego i perskiego miasta Dastewan. Zbudowali ją wiele lat temu, kiedy nasi dziadowie walczyli z barbarzyńcami na stepach na północ od Araksesu.

Jusuf odkasznął i spojrzął gniewnie na obu chłopców. Ormianie zaczerwienili się, przypomniawszy sobie poniewczasie^{skąd} pochodzi ich towarzysz.

- W takim razie powinniśmy jak najszybciej stąd wyjechać, najlepiej jeszcze dziś, zanim ktoś wspomni któremuś z tych arystokratów o grupie cudzoziemców z północy. -Thyatis patrzyła na dwójkę ormiańskich chłopców.-Jeden z was... powiedzmy, Menahem, pojedzie na północ z Ormianinem, żeby zawiadomić cesarską armię o tym, co tutaj widzieliśmy. Pozostali pojedą ze mną na południe.

Menahem, jeden z Bułgarów, podniósł wzrok, usłyszawszy swoje imię. Był niskim, krępy męczyzną o bujnej brodzie i gęstych, kręconych włosach. Rzadko się odzywał, choć nie był aż tak małomówny jak Sahul. Wstał i wysunął zza pasa długi nóż o ząbkowanym ostrzu.

- Mam doglądać jakiegoś chłopczyka przez całą drogę do Araksesu? A jak narobi pod siebie, mam go przewinać? - Bułgar uśmiechnął się drapieżnie do Ormianina. Ten, blady z gniewu, także zerwał się na równe nogi.

- Przestańcie - warknęła Thyatis. - Chłopiec zna doskonale drogę, a ty odstraszysz każdego, kto spróbuje was zatrzymać. Dopilnujcie tylko, by te wieści jak najszybciej dotarły do augusta Galena. No już, szykujcie się do drogi.

Gdy obaj posłańcy wyszli, Thyatis przywołała do siebie Nikosa i Jusufa. Kiedy usiedli obok niej, przemówiła przyciszonym głosem:

- Wyruszamy natychmiast, ale nie będziemy jechać dalej na południowy wschód. Skoro armia perska stoi już w polu, powinniśmy omijać ją z daleka. Wrócimy trochę na zachód i przejedziemy przez krainę między Dwoma Rzekami.

Nikos chciał coś powiedzieć, Thyatis podniosła jednak rękę, uprzedzając jego protesty.

- Cesarze chcieli spędzić wiosnę na grabieniu wiosek i posiadłości na wschodzie, a my mieliśmy być ich oczami i uszami. Ciekawa jestem, czy nabiorą śmiałości, kiedy staną do walki z tą armią. Pojedziemy do Ktezyfonu najszybciej, jak tylko będzie to możliwe. Coś wisi w powietrzu. Chosroes sporo ryzykuje, wydając nam bitwę o tej porze roku. Jest słaby.

Nikos wzruszył ramionami. Dawno już nauczył się, że przeczucia Thyatis rzadko ją zawodziły. Poklepał Jusufa po ramieniu i poszedł przygo-

tować pozostałych do rychłego odjazdu. Bułgar pozostał przy Thytis, głęboko nad czymś zamyślony.

- O co chodzi? - spytała Thytis cicho. - Myślisz o Sahulu?

Dziwny grymas przemknął po twarzy Jusufa, jakby nagle ogarnęło go poczucie winy. Pokręcił głową.

- Nie... myślałem o Dahwosie i jego oddziale. Wkrótce dojdzie pewnie do wielkiej bitwy, a ja nie będę mógł stać wtedy u jego boku. Boję się o niego.

- Żałujesz, że pojechałeś z nami na południe?

Jusuf podniósł na nią wzrok. Jego twarz zastygła w nieodgadzionym, pozbawionym emocji grymasie.

- Z wami? Nie, nie żałuję tego ani przez chwilę. Jak mógłbym robić cokolwiek innego?

Wstał, zły na siebie, i szybko wyszedł z pokoju. Thytis także wstała, zastanawiając się nad jego słowami, i podrapała się, po nosie skonsternowana. *Mężczyźni!*

RZYMSKI OBÓZ, ALBANIA, WYBRZEŻE MORZA KASPIJSKIEGO

n

I ienka warstwa chmur przesłaniała księżyc. Pędzili na zachód, zostawiając za sobą długie pasma bieli i szarości. Jakiś pasterz siedział na zboczu góry, wsparty plecami o ogromny granitowy głaz, większy niż świątynia Zeusa w jego wiosce. Dwa czarno-białe psy drzemały u jego stóp, śniąc o ekscytujących polowaniach.

Jeden z psów poruszył się i warknął przez sen. Pasterz spojrzął czujnie na owce, nie zauważył jednak niczego podejrzanego. Nasłuchiwał przez chwilę, siedząc w bezruchu. Wreszcie i on to usłyszał: piskliwy, przeciągły krzyk, podobny do krzyku dziecka. Podniósł wzrok ku niebu i ujrzał jakiś ciemny kształt, skrzydlate stworzenie przypominające gigantycznego nietoperza, które pędziło przez nocne niebo, przesłaniając zamgloną tarczę księżyca.

Potem z góry dobiegł straszliwy, przeszywający pisk. Pasterz, który zerwał się wcześniej na równe nogi, teraz przepadł do ziemi, zakrywając dłońmi uszy. Przeciągłe wycie odbiło się echem od skał, a potem powietrzem zatrzęsł przytłumiony huk, który po chwili ucichł w oddali, na wschodzie. Psy tuliły się do stóp pasterza, skamłąc w przestraszu. Ten podniósł głowę i wpatrywał się w ciemność, jakby szukając w niej kolejnych demonów. Owce odwróciły głowy, znieruchomiałe ze strachu. W ich przerażonych oczach odbijał się migotliwy blask ogniska.

To dziwne, pomyślał Maksjan. Słyszeć mowę z mojego miasta pod tymi obcymi gwiazdami...

Stał w cieniu grupki drzew, spoglądając w dół trawiastego zbocza na ogniska wielkiego obozu. Słyszał śmiechy i śpiew. Wyczuwał w powietrzu znajomy aapach; wiatr ze wschodu niósł słony posmak morza. Nocne powietrze było rześkie, lecz nie zimne, Maksjan zsunął z głowy ciężki kaptur. Blask ognia oświetlał jego wychudzone policzki i odbijał się w ciemnych oczach. Tuż obok przeszło czterech legionistów trzymających straż wokół obozu. Księżę uśmiechnął się w ciemności, czując, jak jego siła wypełnia powietrze i ziemię, na której stoi, ikt nie mógł go zobaczyć, jeśli nie chciał być widziany.

Ruszył w dół zbocza, sycąc się aromatem kwiatów i świeżej trawy. W górach czuć już było mroźny powiew zimy, lecz tutaj, na równinie w pobliżu morza, wciąż panowało lato. Noc ciężka była od zapachu jaśminu i kwitnących drzew pomarańczowych. Nawet gwiazdy wydawały się miłsze niż zwykle, migotały wesoło do płonących w obozie ognisk. Maksjan doszedł do rowu otaczającego obóz i zatrzymał się. Ziemia w pobliżu rowu została oczyszczona z krzewów i gałęzi, a z jego dna wyrastały zaostrome kije, ustawione w równych odległościach od siebie i nachylone pod takim samym kątem. Tuż za fosą, wznosiła się palisada z grubych belek.

Księżę przypomniał sobie Alais, jej długie, mocne nogi przelatujące nad dachami budynków we wschodniej stolicy. Zmarszczył brwi, koncentrując się, a potem skoczył do przodu. Jego buty uderzyły ciężko o szczyt palisady. Księżę zachwiał się i zawisł na moment nad fosą najeżoną ostrymi palami. Potem uspokoił rozszalałe serce i stanął prosto, odzyskując równowagę. Przed nim rozciągał się rzymski obóz, setki namiotów ustawionych w równych szeregach, uliczki oświetlone blaskiem latarni i świec. Słyszał teraz przytłumiony pomruk głosów, tysiące rozmów. Ze szczytu palisady widział wielki, dobrze oświetlony namiot stojący pośrodku obozu.

Zeskoczył bezgłośnie na ziemię, pozwalając, by strażnik przeszedł obok niego po wąskiej półce zbudowanej za ogrodzeniem z pali. Maksjan owinął się szczelnie płaszczem i wszedł między namioty.

Marcjusz Galen Atreusz, cesarz Zachodu, siedział przy swoim składanym biurku. Na skraju blatu płonęły jasno świece zabrane z pobliskiej wioski przez jeden z patroli. Niemal całą powierzchnię biurka zajmowały sterty starannie poukładanych tabliczek woskowych i zwojów papirusu. Cesarz odchylił się w swym krześle i przetarł oczy. Był bardzo zmęczony, choć odkąd opuścił Wieczne Miasto nie zdarzyło się jeszcze, by czuł się inaczej. Było już późno, odesłał więc wszystkich sekretarzy do łóżek. Sięgnął po tabliczkę ze spisem okaleczonych i okulawionych koni w armii. Kątem oka dostrzegł jakiś ciemny kształt stojący tuż przy wejściu do jego namiotu.

Galen podniósł wzrok zaskoczony, że straż bez uprzedzenia wpuścił kogoś do jego kwatery. Potem zamarł w bezruchu i otworzył szeroko oczy.

- Witaj, bracie. - Głos Maksjana był zmęczony i zachrypnięty.

Galen wstał z miejsca, uśmiechając się radośnie.

- Maksjan! - Znieruchomiał nagle, ujrawszy straszliwą bladłość na twarzy swego brata i zrozumiał, jak dziwna jest jego obecność w tym miejscu. - Co się stało?

Cesarz oparł się o stół, pozbawiony nagle siły. Tysiące straszliwych podejrzeń kłębiły się w jego umyśle.

- Aurelian? Miasto? Co się stało? - dopytywał się, oczekując najgorszego.

Maksjan podszedł do przodu i usiadł na stołku obok biurka. Uśmiechnął się lekko i pokręcił głową.

- Nie obawiaj się, bracie. Miasto jest bezpieczne. Cesarstwo także. Aurelian, kiedy widziałem go po raz ostatni, był w całkiem niezłej formie.

Galen opadł ciężko na krzesło i odetchnął z ulgą. Potem spojrzał na brata spod ściągniętych brwi.

- To dobrze... Ale niezłe mnie nastraszyłeś, przez chwilę myślałem, że to jakiś cień z otchłani Hadesu. Jesteś ostatnią osobą, jaką spodziewałbym się tutaj zobaczyć. Co się stało? Musiałeś opuścić Rzym wiele tygodni temu, by tutaj trafić. Nie podróżowałeś chyba samotnie, co? A właściwie dlaczego nie? Czego miałbyś się obawiać uzdrowiciel...

Maksjan przyglądał się uważnie zatroskanemu obliczu swego brata. Uświadomił sobie, że ogromnie za nim tęsknił, chociaż Galen miał apodyktyczny charakter. Że tęsknił za obydwojema braćmi. Ostatnimi czasy, kiedy pracowali w ogromnym pośpiechu nad budową maszyny, zaczął myśleć o Kriście, AUtis i pozostałych jak o swojej rodzinie. Teraz, siedząc w przytulnym wnętrzu namiotu, w blasku świec, przypomniał sobie setki podobnych wieczorów, kiedy to ukryty gdzieś w ciepłym zakątku takiego właśnie namiotu obserwował, jak jego bracia planują podbój cesarstwa.

Brakowało mu tej bliskości, dni spędzonych w marszu, surowej jedności armii. Ogarnął go nagle wielki smutek i poczucie ogromnej samotności. Łzy napłynęły mu do oczu, gdy zmagął się z tym wielkim przypiływem uczuć. Zastanawiał się przez moment, czy wyjść; to było zbyt bolesne.

- Podróżowałem z przyjaciółmi, bracie. To było bardzo bezpieczne, bezpieczniejsze niż twoja podróż.

Galen skinął głową, uśmiechając się lekko.

- Więc o co chodzi? Poczekaj, coś mi się zdaje, że dawno już nie jadłeś porządnego posiłku. Najedz się najpierw, a potem mi opowiedz.

Cesarz sięgnął po dzwonek leżący na brzegu stołu, a po chwili do namiotu wszedł służący. Stary Grek uśmiechnął się radośnie, ujrawszy Maksjana, i złożył mu głęboki ukłon.

- Mój brat miał długą i męczącą podróż. Przynieś mu coś ciepłego do picia i kolację.

Starzec pospiesznie opuścił namiot i natychmiast przywołał innych służących, którym wydał polecenia. Galen wstał i wyszedł zza stołu. Maksjan podniósł nań umęczone oczy. Cesarz sięgnął do rąk brata i podniósł go ze stołka. Przez chwilę obaj stali w bezruchu, a potem padli sobie w ramiona i uściskali się mocno. Maksjan odwrócił głowę, z trudem hamując łzy.

- Tęskniłem za tobą i Aurelianem - wyszeptał Galen. - Ja...

Do namiotu weszła cała grupa służących, obładowana tacami i dzbanami z winem. Maksjan odsunął się od brata i przywitał kucharkę oraz pozostałych służących; znał ich wszystkich od dziecka. Przygotowali dlań prawdziwą ucztę: pieczonego bażanta, gulasz z jagnięciny, smażone ryby, ciepłe bułeczki z masłem, gęsty kleik z przyprawionej ciecierzycy. Kucharka wcisnęła mu w ręce kubek z gorącym winem. Maksjan pociągnął łyk i poczuł, jak przyjemne ciepło rozchodzi się po całym ciele. Usiadł z powrotem na swoim miejscu i wpatrywał się ze zdumieniem w bogactwo rozstawionych przed nim potraw.

- Jedz - powiedział Galen. - Poczekam.

•••

Machina spoczywała w uspieniu, jej ognie zostały wygaszone, skrzydła złożone ciasno wzdłuż węzowatego ciała. Leżała w dolinie odległej o jakąś milę od rzymskiego obozu, ukryta za zasłoną gęstych drzew i krzewów. Krista siedziała okrakiem na jej wielkim, wydłużonym pysku, wciąż czując pod nogami ciepło bijące od żelaza. Na czas podróży włożyła wełniane nogawice i ciężką koszulę, którą przykryła jeszcze półtuniką z jagnięcej skóry podszytej futrem. Jeden z Wołochów służących teraz księciu pokazał jej, jak to robić. Tunika była bardzo ciepła; kiedy wylądowali na ziemi, w łagodny letni wieczór wydawała się nawet za ciepła, gdy jednak machina leciała wysoko wśród chmur, wiatr wbijał w nich swe lodowate kły. Krista spojrzała posępnie w stronę rzymskiego obozu. Wkrótce musiała podjąć decyzję; pozostać przy księciu czy odejść; wypełnić swój obowiązek czy poczekać i zebrać jak najwięcej informacji.

Z rozmyślań wyrwał ją nagle głośny chichot. W ciemnościach pod kadłubem maszyny poruszały się jakieś dwa kształty. Biała skóra zajaśniała na moment w blasku księżyca, potem z dołu dobiegł głęboki męski głos. Krista wydeła usta z niesmakiem. Jak na martwego człowieka, stary Rzymianin wciąż miał ogromny apetyt na cielesne uciechy.

A Alais jest zawsze chętna, wszędzie szuka korzyści.

Tempo pracy małej grupy towarzyszącej księciu zmieniło się zasadniczo po tym, jak dołączyła do niej wołoska dziewczyna i jej „przyjaciele”. Pozostali Wołosi, bladzi i milczący, okazali się wyjątkowo pomocni przy

budowie maszyny. Odkąd Maksjan obdarował ich swym eliksirem i wyzwolił ze straszliwego cierpienia, pracowali niemal bez przerwy. Niektórzy z nich, jak chłopiec o imieniu Władimir, byli nawet mili na swój sposób. Władimir spędził długie godziny na wyszywaniu wizerunku smoka, który zdobił teraz plecy jej póttuniki. Ale Alais? Alais przypominała truciznę.

Krista uśmiechnęła się i pogłaskała wypukłość znaczącą miejsce, gdzie do jej lewej ręki przypięta była sprężynowa wyrzutnia. Pocieszała się myślą, że pewnego dnia w jakimś zamieszaniu wydarzy się coś nieoczekiwanego, i wołoska kobieta o pełnych białych piersiach, wybujałych niczym jakiś kwiat pozostawiony zbyt długo w półmroku, stanie się zimnymi zwłokami. Spomiędzy drzew dobiegł perlisty śmiech. Rzymianin i kobieta odeszli w las, w górę zbocza. Kristina wyprostowała się i poprawiła tunikę. W świetle księżyca widać było niewielką polanę, na której przystanęła Alais i Gajusz Juliusz.

Wołoszka tańczyła w srebrnym blasku, jej białe włosy wirowały jak peleryna. Suknia przylegała do niej niczym pajęczyna, cienka i półprzezroczysta. Długie nogi migotały w świetle księżyca, gdy obracała się wokół własnej osi. Gajusz Juliusz stał oparty o pień drzewa, jego twarz nikała w cieniu. Alais zbliżyła się do niego, a Juliusz pochylił się nagle do przodu i złapał ją za ramię. Krista odwróciła wzrok i zsunęła się na ziemię. Przystanęła na moment przed wejściem do mrocznej, ciepłej komnaty we wnętrzu urzędnika. Miała nadzieję, że Maksjan wkrótce wróci.

Galen przyglądał się uważnie swemu bratu, kiedy ten jadł kolację. Coś stało się z młodzieńcem, którego zostawił w stolicy. W ciągu ostatnich kilku miesięcy młodzieniec stał się mężczyzną, mężczyzną o porannej troskami twarzy i tajemnicach ukrytych za zasłoną oczu. Jego ubranie także było dziwne: ciemny, gruby płaszcz, a pod spodem cętkowana, szarozielona tunika.

Księżę opróżnił wreszcie tacę i odsunął ją od siebie. Cesarz odstawił swój kubek z winem i dał znak służącym, by zostawili ich samych.

- Co cię trapi, Maksjanie? Coś ważnego musiało się wydarzyć, odkąd opuściłem miasto. Powiesz mi, co się stało?

Maksjan skinął ociężale głową. Zjadł właśnie więcej niż w ciągu całego minionego tygodnia, a jego ciało domagało się teraz odpoczynku. Po raz pierwszy od wielu dni pomyślał o śnie. Stary, znajomy namiot, szczupła zatroskana twarz brata, zapach świec i koni, wszystko to sprawiało, że poczuł się bezpiecznie i błogo. Ziewnął, a potem zamrugał kilkakrotnie powiekami, by odgonić sen, i energicznie potarł twarz.

- Pamiętasz tę noc, kiedy razem z Aurelianem byliśmy w Domu Letnim? Mówiłeś o swoich planach inwazji na Persję. Czułem tamtej nocy coś dziwnego, coś, co czułem tylko dwa razy wcześniej. Byłem przerażony. Wiesz, że jestem uzdrowicielem i dzięki temu widzę świat niewidzialny dla zwykłych ludzi.

Galen skinął głową, skupiony na tym, co mówił jego brat.

- Niczym czarownik widzę niewidzialne moce - kontynuował Maksjan. - Tamtej nocy, w małej świątyni pod gwiazdami, czułem coś potężnego. Coś nieprzyjemnego ludziom. Rozbudziło to moją ciekawość, więc zacząłem zadawać pytania...

Maksjan mówił jeszcze przez długi czas, opowiadał niemal o wszystkim, co robił i co widział od tamtej nocy. Pomiął tylko szczegóły dotyczące jego towarzyszy. Kiedy skończył, upił łyk wina z pucharu, który służący zostawili na stole.

Galen wpatrywał się weń ze zgrozą, blady jak ściana. Potem odwrócił wzrok, a gdy spojrzął ponownie na Maksjana, jego oczy pełne były gniewu.

- Głupiec z ciebie, braciszku! Ile razy mogłeś zginąć w tym czasie. I nikt by nawet nie wiedział, co się z tobą stało! A ta twoja klątwa... Jeśli to prawda, to nie mogę wrócić na Zachód. Umrę wtedy tak, jak twoi przyjaciele z Ostii czy ci tkacze.

Cesarz wstał z krzesła i zaczął przechadzać się po namiocie, zdenerwowany.

- Nie - odparł Maksjan, nieco zaskoczony reakcją swego brata. - Ty jesteś bezpieczny. Taka konstrukcja potrzebuje jakiegoś centralnego punktu, ośrodka, z którego wyrasta wszystko inne. To właśnie ty jesteś tym centralnym punktem, tak jak cesarz jest centralnym punktem państwa. Wiem, że jesteś bezpieczny. To może wpływać na twoje myśli i zamiary, ale jednocześnie cię chroni. Spośród wszystkich ludzi na świecie, prócz tych, którzy władają magią w takim stopniu, by się ochronić przed taką klątwą, ty jeden możesz wiedzieć o tej rzeczy.

Galen odwrócił się, zaciskając pięści w gniewie.

- Więc co mam twoim zdaniem zrobić? Porzucić państwo, które przysięgłem bronić? Zniszczyć cesarstwo, które pomimo wszystkich swych wad daje spokój i bezpieczeństwo połowie świata? Nie mogę tego zrobić i nie zrobię! - Galen mówił coraz głośniejszym, niemal krzyjącym głosem.

- Ależ bracie...! - Maksjan wstał ze swego miejsca, on także mówił podniesionym głosem. - Możemy się od tego uwolnić, a cesarstwo zostanie takie, jakie jest. Potrzebuję tylko wystarczająco długiej dźwigni i wystarczająco mocnego punktu podparcia, by zrzucić ten ciężar. Wiem, gdzie znaleźć dźwignię, jestem tego pewien. Pomóż mi to zrobić, a powstanie nowy świat, w którym wszyscy ludzie będą wolni. Nasi biedni obywatele znów mogą być krzepcy, Rzym urośnie w siłę, kiedy pozbędzie się tej klątwy.

Galen spojrzął na wyciągniętą rękę Maksjana i cofnął się o krok. W jego głowie wirowały myśli i obrazy związane z wędrówką jego brata przez cesarstwo. Uświadomił sobie nagle, że w jego opowieści brakuje pewnych rzeczy, że niektóre zostały pominięte milczeniem, a niektóre tylko wspomniane.

- Jak zdołałeś dotrzeć do mnie tak szybko? - spytał Galen przyciszonym, opanowanym głosem. - Z twojej opowieści wynika, że opuściłeś Konstantynopol ledwie kilka dni temu. Jak moc cię tu przeniosła?

Maksjan miał już coś powiedzieć, w końcu jednak zamknął usta i pokręcił głową.

- Coś cię tutaj przywiozło, prawda? Co to jest? Gdzie to jest?

- Nie - odparł Maksjan ostro. - Widzę, że mi nie pomożesz, więc odejdę i nie będę ci już więcej sprawiał kłopotu. Może jest jakiś inny sposób na przełamanie kłątwy. Jeśli rzeczywiście jest, znajdę go sam, wcześniej czy później.

Galen spojrzał nań podejrzliwie spod przymrużonych powiek.

- Słyszałem - mówił powoli cesarz - że perscy magowie posługują się siłami, które przenoszą ich na wielkie odległości. Masz jakichś sprzymierzeńców, o których zapomniałeś wspomnieć?

Maksjan ruszył w stronę wyjścia.

- Pomogli mi przyjaciele. Przyjaciele, którzy nie są zaślepieni strachem tak jak ty. A ja jestem panem samego siebie; nie możesz mi rozkazywać, ty ani ktokolwiek inny.

Galen powstrzymał księcia, kładąc dłoń na jego piersi.

- Chosroes, Król Królów, zacierałby ręce z zadowolenia, widząc cesarstwo pozbawione opieki.

Maksjan spojrzał nań gniewnie.

- Nie obchodzi mnie Król Królów - syknął. - Twoja wojna jest dla mnie tylko jedną z wielu niedogodności, niczym innym. Zapominasz, śniąc o swoim wielkim imperium, że zwykli ludzie płacą za twoją chwałę krwią. Mam tego dość. Człowiek z natury rzeczy uczy się i dorasta, poszukuje nowych wyzwań. Jeśli cesarstwo nie może się z tym pogodzić, to i ono nie ma dla mnie znaczenia. Odsuń się. Zegnam cię, bracie.

Galen pokręcił głową i zagwizdał głośno. Germanie, którzy stali już przy namiocie, zaniepokojeni odgłosami kłótni dochodzącymi zza płóciennych ścian, wpadli do środka.

- Mój brat jest śpiący i poirytowany - powiedział cesarz. - Zabierzcie go do mojego namiotu i dopilnujcie, by odpoczywał tam bezpiecznie do samego rana. Sen przywróci mu dobry humor.

Maksjan milczał, mierząc wzrokiem szerokie bary i potężnie umięśnione ręce Germanów. Było ich wielu, a on czuł olbrzymie zmęczenie. Skinął głową, uśmiechając się słabo.

- Niech i tak będzie - powiedział i nie opierał się, kiedy wyprowadzali go z namiotu.

Galen, ogromnie zatroskany, oparł się o słupek przy drzwiach namiotu i patrzył, jak Germanie odprowadzają brata w ciemność. Podrapał się po głowie i wrócił do biurka. Miał jeszcze trochę pracy. Postanowił, że rano ponownie rozmówi się z braciszkiem.

* * *

Książę leżał pośród miękkich poduszek na szerokim, wygodnym łozu. Zmęczenie napływało falami, zamykało oczy. Pod dachem namiotu błyszczała kryształowa lampa, blask płomienia odbijał się po wielokroć w małych szlifowanych powierzchniach. Ułożona z desek podłoga otoczona była ścianami z grubych, bogato zdobionych tkanin. W namiocie było ciepło i przytulnie. Maksjan uśmiechnął się, przypomniawszy sobie oburzone miny dwóch konkubin, które zostały wypędzone w noc przez Germanów.

Pomimo zmęczenia nie spał spokojnie. Dręczyły go sny wypełnione ogniem i wielkimi kołami kręcącymi się w ciemności. W pewnej chwili ujrzał samego siebie stojącego na jakimś podwyższeniu, otoczonego kolumnami z zimnego marmuru. Słyszał też jakiś głośny huk, jakby morskich fal uderzających o skalne urwisko. Widział ogromne skrzydła zasłaniające słońce i czuł radość, kiedy gorący wiatr rozwiewał jego włosy. Później zobaczył Kristę, bladą i skoncentrowaną, z ręką wyciągniętą w jego stronę. W końcu zapadł w głębszy sen, lecz nawet wtedy niepokoiły go dźwięki i obrazy miejsc, których nie widział, i ludzi, których nie poznał. Z góry patrzyła nań jakaś kobieta, znał ją dobrze, choć nie mógł przypomnieć sobie jej imienia, jej oczy były szare jak północne morze. Niebo za jej obliczem było czerwone od płonących obłoków.

Obudziło go dotknięcie, lekkie niczym muśnięcie pióra. Otworzył oczy; lampka już zgasła, pogrążając wnętrze namiotu w całkowitej ciemności. Pochyliła się nad nim jakaś jasna twarz, jakby oświetlona dziwnym, wewnętrznym blaskiem. Długie, białe włosy opadały ku niemu niczym skrzydła. Pełne usta się poruszyły.

Panie?

- Alais... - mruknął, zamroczony jeszcze snem. Podniósł rękę i dotknął jej policzka. Odwróciła głowę i ucałowała jego dłoń. Pocałunek był szokująco gorący. Wilgotny język przesunął się powoli po wewnętrznej stronie dłoni. Pogłaskał Wołoszkę, odgarniając jej włosy na plecy. Zadrżała pod jego dotykiem.

- Panie, musimy iść - przemówiła szeptem. - Rzymianie przeczesują las, szukają czegoś. Setki ludzi z pochodniami wyszły poza obóz.

- Aha, mój brat bardzo chciałby się czegoś dowiedzieć. Więc nawet brat nie ufa bratu. Pomóż mi wstać.

Jej ręce, mocne jak żelazo, podniosły go z łóżka. Zebrał swoje ubranie i pozwolił, by Alais pomogła mu je włożyć. Jej dłonie były zadziwiająco ciepłe. Książę uśmiechnął się w ciemności. Jeśli musiał iść sam, bez bra-

Sci, gotów był to zrobić. Obywatele byli ważniejsi. Ocalenie niewinnych ludzi przed niewidzialną, niepowstrzymaną śmiercią było ważniejsze. Alais odsunęła zasłonę przy wejściu, szepcząc jakieś zaklęcia w ciemności. Strażnicy siedzieli nieruchomo na swoich posterunkach, nie pod-

nieśli wzroku, gdy książę wyszedł z namiotu i ponownie zakrył wejście. Potem ruszył w stronę ogrodzenia, wołoska kobieta szła o krok za nim.

NA POŁUDNIE OD RZEKI KERENOS, ALBANIA

n

I chłopiec biegł przez las, z jego rozciętej głowy spływała strużka krwi. Dyszał ciężko i chwiał się przy każdym kroku, stąpając niezdarnie na prawej nodze. Grunt piął się stromo w górę, porastały go coraz gęściej krzewy. Chłopiec potknął się i opadł na kolana. Przez moment czołgał się na czworakach, wreszcie znalazł jakieś podparcie i wstał.

Z tyłu doszły go gwizdy i krzyki ludzi. Tętent koni stawał się coraz głośniejszy! Chłopiec zgiął się wpół, jakby chciał schować się za zasloną krzewów. Gdy dotarł na grzbiet wzgórza, znów stracił równowagę i stoczył się ze zbocza. Krew sączyła się z głębokiego rozcięcia na prawej nodze. Przez chwilę leżał na ziemi, dysząc ciężko, niezdolny do ruchu.

Jego prześladowcy zaczęli już wspinać się na wzgórze, ich głosy były coraz bliżej. Słyszał parskanie koni i brzęk zbroi. Przez zaslonę liści nad głową widział błękitne niebo upstrzone białymi chmurami. Przetoczył się na brzuch, zagryzając splekaną wargę, by nie krzyknąć z bólu. Powoli przeczołgał się wzdłuż zbocza, z dala od grzbietu. Ziemia była nierówna, twarda i pokryta drobnymi kamieniami. Gęste krzewy ustąpiły miejsca karłowatym drzewom o ostrych igłach.

Dotarł do występu skalnego i podciągnął się do pozycji stojącej. Opierając się na kamieniu, zdołał obejść go dokoła, stąpając po wąskiej półce skalnej. Przez chwilę jego sylwetka była wyraźnie widoczna na jasnym tle nieba.

Chłopiec obrócił się nagle w miejscu, jego dłoń ześlizgnęła się z granitowej powierzchni kamienia. W ramieniu utkwiała strzała o czarnych lotkach, ubranie wokół drzewca zaczęło barwić się powoli ciemną krwią. Przez moment chłopiec patrzył na niebo i rozciągające się za jego plecami zbocze po drugiej stronie wzgórza. Potem kolana ugięły się pod nim, jego ciało zsunęło się ze skalnej półki i potoczyło w dół zbocza.

Gordius Falco, zwiadowca konny z Tertia Augusta Fretensis, patrzył zszokowany, jak ciało młodego mężczyzny w porwanym ubraniu toczy się w dół stromego zbocza, by wreszcie znieruchomieć w zagłębieniu u podstawy grubego jałowca. Gordius zawrócił wierzchowca, rezygnując z wyprawy na szczyt wzgórza. Rozejrzał się uważnie dokoła, nikogo jednak nie dostrzegł. Podjechał do jałowca, zeskoczył z konia i potrząsnął chłopca za ramię.

Młodzieniec odwrócił powoli głowę i uniół powieki. W jego oczach pojawił się błysk radości. Gordius obmacał delikatnie ranę wokół strzały, struga wypływającej krwi tworzyła czerwoną kałużę między korze-

niami jałowca. Chłopiec próbował coś powiedzieć, ale z jego ust nie wydobył się żaden dźwięk. Gordius pochylił się niżej.

- Żelazne Kapelusze... - usłyszał jeszcze, nim głowa chłopca opadła bezwładnie na ziemię. Gordius podniósł się z klęczek i przesunął spojrzeniem wzdłuż grzbietu wzgórza. Na prawo, gdzie linia szczytu załamywała się lekko, dostrzegł jakiś ruch. Zmrużył oczy i dojrzał w niewielkim prześwicie między kępami trawy i krzewami pięciu ludzi na gniadych koniach. Wszyscy odziani byli w zbroje okryte płaszczami, nosili spiczaste kolorowe czapki i przewieszane przez plecy łuki. Do siodeł przypinali długie miecze w pochwach.

- Mitro... - wyszeptał Gordius, wskakując pospiesznie na siodło. - Czas wracać!

Zawrócił konia i zjechał powoli w dół zbocza, kryjąc się za zasłoną drzew. Miał dalej ścisnąć mocniej boki wierzchowca i ruszył klusem na północ, by spotkać się z resztą swego patrolu.

Herakliusz stał na wysokim podwyższeniu z drewna i spoglądał na pole na południe od rzymskiego obozu, kiedy jeden z posłańców wspiął się na drabinę za jego plecami. Cesarz odwrócił się, słysząc ciężki oddech chłopca.

Teodor roześmiał się i pochwycił posłańca za ramię, nim ten spadł z podwyższenia.

- Spokojnie, chłopcze, bo kark skręcisz!

Posłaniec upadł na jedno kolano przed cesarzem i relacjonował zdyszczanym głosem:

- Przyjechał patrol, panie! Zwiadowcy widzieli perskich jeźdźców jakieś siedem, osiem mil na południe od rzeki, jechali na północ.

Herakliusz wymienił porozumiewawcze spojrzenia z Galenem, który wysłał wcześniej patrole na południe, oraz z trzecim królem stojącym na podwyższeniu, Ziębiłem z chanatu Chazarów. Zachodni cesarz zmęczony był już wypatrywaniem wroga, lecz te wiadomości także wcale go nie ucieszyły. Chazar, niski, barczysty mężczyzna o jasnych włosach przetykanych siwizną i bardzo krótkiej brodzie, wzruszył ramionami znudzony. Ziebil rzadko się odzywał; wołał raczej słuchać i patrzeć. Herakliuszowi mówiono, że w bitwie to prawdziwy demon, choć do tej pory wydawał się wręcz nienaturalnie spokojny.

- Tego się właśnie spodziewałeś? - zwrócił się Herakliusz do Galena. Ten pokręcił głową.

- Zima już blisko - powiedział zachodni cesarz. - Pewnie wysłali ludzi na północ, żeby nie przepuścili nas na równiny, nim śnieg zamknie przełęcze. Przegonimy ich?

Herakliusz skinął głową, podjąwszy już decyzję. Chciał przekonać się, jak jego chazarscy sprzymierzeńcy spisują się na polu walki.

- Wielki chanie? Zechcesz się tym zająć?

Ziebil wyjął usta i wyjął zza pasa ciężki nóż. Przerzucił go z jednej dłoni do drugiej, a potem szybko z powrotem schował do pochwy. Skinął głową, a na jego ponurej twarzy pojawił się cień uśmiechu. Pochylił się nad krawędzią platformy i gwizdnął głośno. Dwa oddziały jeźdźców odłączyły się od tłumu manewrującego na polu i ruszyły galopem w stronę swego wodza.

Ziebil odwrócił się do posłańca.

- Chłopcze, zaprowadź tych ludzi do patrolu, który widział Persów. - Chazar wskazał na południe i krzyknął do swoich ludzi. - Żelazne Kapelusze!

Odpowiedział mu radosny okrzyk. Chazarowie przybyli do Tauris później, niż się ich spodziewano, i nie wykrwawili się podczas szturmów ani podczas walk na ulicach miasta. Pragnęli bitwy. Posłaniec zszedł z platformy i wskoczył na swego konia. Wszyscy razem odjechali na południe.

Herakliusz westchnął i odwrócił się do swoich towarzyszy. Galen wciąż był czymś zatroskany; nie zdradził nikomu, co go trapi, kazał jednak dokładnie patrolować teren wokół obozu. Herakliusz postanowił się tym nie przejmować, pewien, że chodzi tylko o jakiegoś zbiegłego niewolnika albo bliżej nieokreślone przeczcucia.

WZGÓRZA NAD PALMYRĄ

Ciemność skradała się przez skały, czerwonoooka i drapieżna. Na jej grzbiecie błyszcząły błoniaste skrzydła. Blask księżyca oblewał powierzchnię kolejnej skały. Stworzenie zatrzymało się, podniosło głowę i syknęło na widok księżyca. Z jego ciemnych oczu wypływał przytłumio-

ny czerwony ogień. Długi czarny język wystrzelił do przodu, smakując powietrze. Stworzenie było przerażone, przypadło do powierzchni kamienia. Palce uzbrojone w szpony pochwyliły zwierzę za cienki kark i wyciągnęły je z powrotem w blask księżyca. Skrzydlaty potwór syczał i szamał się, próbując dosięgnąć swego oprawcę ostrymi pazurami, nie miał już jednak żadnych szans. Palce, mocniejsze niż żelazo, zacisnęły się, skrzydlate stworzenie zapiszczało żałośnie i zawisło bezwładnie w pomarszczonej dłoni. Dahak wyjął torbę spomiędzy szat i włożył do niej swą ofiarę. Potem zarzucił torbę na ramię i ruszył, mocno utykając, w dół zbocza, by po chwili zniknąć między dwoma wielkimi głazami.

Baraz śnił. Śnił, że chodzi po polu bitwy usłanym trupami żołnierzy. Tylko on pozostał przy życiu, jego miecz wyszczerbiony był od walki, nogi zbryzgane krwią. Dziesiątki tysięcy zwłok zasłały pole bitwy niczym straszliwy kobierzec, gnijący i pokryty mrówkami. Na horyzoncie widać

było potężne szczyty, okryte śnieżnymi czapami. W górze wisiał biały dysk słońca. Sztandary zwisały nieruchomo z drzewców, splamione i poszarpane. Nad polem zalegała absolutna cisza, choć Baraz był pewien, że jeszcze przed chwilą panował tu ogłuszający hałas. Był jedynym żywym człowiekiem pośród tysięcy trupów, a ta świadomość wypełniała jego serce ogromną radością. Wzniósł ręce ku niebu, krzycząc, a jego głos odbił się echem od ścian strasznej doliny.

Obudził się, gdy coś dotknęło jego ramienia. Prawą ręką natychmiast poszukał rękojeści sztyletu. W namiocie było ciemno, wyczuwał jednak obecność kogoś, kto stał przy jego łóżku. Generał wciągnął powietrze w nozdrza, a potem zaklął.

- Dahaku, czy ty dasz mi się kiedyś wyspać?

Odyniec sięgnął po lampkę ustawioną za łóżkiem i skrzesał ogień. W bladym świetle ukazała się postać czarownika siedzącego na jednym ze stołków.

Baraz spojrzał nań krzywo.

- Co się stało? Szykują coś w mieście?

Dahak roześmiał się ponuro.

- Nie - odparł. - Dostaliśmy wiadomość.

Baraz usiadł prosto i opuścił nogi na podłogę. Gęste, kręcone czarne włosy okrywały jego piersi i brzuch, lecz ręce i nogi były starannie wygolone. Sięgnął pod łóżko i wyciągnął buty do konnej jazdy. Odwrócił je cholewami w dół i uderzył o brzeg łóżka. Z jednego wypadł mały, żółty skorpion. Odbił się od ziemi, potem przewrócił na brzuch i pobiegł w ciemny kąt pokoju.

- I cóż jest w tej wiadomości? - Baraz włożył tunikę przez głowę, a potem zapiął gruby skórzany pas.

Dahak sięgnął między fałdy swej szaty i wyjął stamtąd niewielki cylinder z kości słoniowej.

- To do ciebie - powiedział zachrypniętym, obolałym głosem. Rany, które odniósł podczas pojedynku pod miastem, goiły się bardzo powoli. - Nie otwierałem.

Baraz zmarszczył brwi i wziął od niego przesyłkę. Skrzywił się, poczuwszy pod palcami jakąś lepką substancję. Położył cylinder na stole i podniósł lampkę, by lepiej się mu przyjrzeć. Gładką powierzchnię okrywała częściowo zakrzepła krew.

Generał skrzywił się z odrazą.

- Nie można by dostarczać tego w jakiś inny sposób? Żeby choć raz było czyste...

Dahak milczał, przycupnął na stołku niczym jakiś wielki ptak. Baraz pokręcił głową z rozbawieniem i otworzył cylinder. W środku spoczywał zwinięty w rulon arkusz pergaminu. Baraz wyciągnął go ostrożnie i rozwinął.

Przeczytawszy wiadomość, podniósł wzrok na Dahaka. Ten wpatrywał się weń błyszczącymi oczyma.

- To od Chosroesa. Armia Gundarnaspa zamknęła Rzymian w dolinie Kerenos, w Albanii. Król Królów życzy sobie, byś mnie tam dostarczył. Mam dowodzić naszą armią podczas zwycięskiej bitwy z dwoma cesarzami. Nalega, bym się pospieszył.

Dahak westchnął przeciągle, a jego głos brzmiał niczym wiatr świszczący między kamiennymi nagrobkami. Wydawał się bardzo zmęczony.

- Czy on... Król każe, ja wykonuję. Kto będzie dowodził tu pod naszą nieobecność, ten fircyk Szahin?

Baraz uniósł lekko brwi, zaskoczony gorzką nutą w głosie czarownika.

- Ma do tego prawo, choć Chadames byłby lepszy. Ale jeśli zostawię ich tutaj samych, bez mojego czy twojego nadzoru, na pewno nie wyniknie z tego nic dobrego.

Dahak zamyslił się na chwilę, wpatrzony w płomień lampy.

- Mógłbym wysłać cię samego... - rozmyślał na głos. - To da się zrobić, jeśli nie zabraknie ci odwagi. Mógłbym zostać tutaj i doprowadzić sprawę do końca.

Baraz uśmiechnął się pod nosem.

- Chcesz Egipcjanina, prawda? Myślisz, że wciąż żyje i przebywa w mieście.

Dahak warknął niczym jakieś drapieżne zwierzę zamknięte w klatce.

- Nikt nie pokazał mi jego zwłok. On żyje. Dopadnę go. Jest mi winien ogrom bólu i dopilnuję, by spłacił swój dług.

Generał odwrócił arkusz pergaminu na drugą stronę i wygładził go na blacie stołu. Potem sięgnął do stojącego obok pióra i kałamarza. Skreślił kilka słów, potem podmuchał na pergamin i posypał go piaskiem.

- Napisałem Królowi Królów, że wkrótce dołączę do Gundarnaspa, a oblężenie będzie kontynuowane. Przygotuj, co trzeba. Czy ja też muszę jakoś szczególnie się przygotowywać?

Dahak wstał ze swojego miejsca.

- Nie, zbieraj tylko odwagę, będzie ci potrzebna.

Mahomet stał w drzwiach komnaty, ponury i milczący. Ubrany był w ciężką zbroję podobną do tej, którą nosili Persowie. Kolczuga sięgała mu poniżej kolan, u pasa wisiał długi, ciężki miecz. Pod ręką trzymał pogięty i osmolony hełm. Był wychudzony i zmęczony, niemal całkiem zgolił brodę, przycinając ją do samej skóry. Jego oczy wypełniał gniew.

W głębi pokoju stało łóżko z ozdobnymi kolumnami z cedrowego drewna. Zenobia leżała zwinięta w kłębek na grubych kołdrach i kocach, przytulona do Ahmeta. W pokoju słychać było jedynie cichy, jednostajny pomruk, przerywany nieregularnym oddechem Egipcjanina. Każdego dnia Mahomet przychodził do tego pokoju, ukrytego głęboko we wnętrzu pałacu, by zobaczyć, co dzieje się z jego przyjacielem. Każdego dnia Ahmet wyglądał tak samo, pogrążony w śpiączce i bliski śmierci. Królowa tylko z konieczności wychodziła na zewnątrz.

Mahomet odwrócił się i ruszył w głąb korytarza. Jego buty stuknęły cicho o podłogę pokrytą turkusową mozaiką. Gdy dotarł do schodów, zsunął hełm na oczy, by oglądać świat jedynie przez wąskie szczeliny. Wkrótce miała się zacząć kolejna bitwa, podobna do tych, które toczyli każdego dnia. Persowie nie dawali im ani chwili wytchnienia.

Baraz czuł pod plecami chłód kamienia. Leżał na wielkiej płycie piaskowca tworzącej szczyt jednego ze wzgórz okalających od zachodu równinę Palmyry. Dahak kucał u jego stóp, trzymając dłonie ściśnięte między kolanami i mrucząc coś pod nosem. Baraz podniósł wzrok. Ciemna kopuła nieba wirowała powoli nad ich głowami. Znad pustyni wiał zimny wiatr, który rozwiewał jego kręcone włosy. Księżyc podniósł się niedawno na wschodzie, ogromny pomarańczowy dysk nad niekończącym się morzem piasku. Ciemna głowa Dahaka odchyliła się do tyłu, wpatrzona w otchłań gwiazd.

Baraz zadrżał. Ubrany był tylko w bawełnianą spódniczkę i koszulę, nie miał nawet butów. Musiał pozbyć się wszelkich metalowych ozdób, nawet szpilek, które podtrzymywały jego czarną grzywę. Swędziało go czoło, gdy Dahak nakreślił na nim jakieś tajemne znaki małym srebrnym nożem. Generał leżał nieruchomo.

Głos Dahaka przycichł, zamienił się w niski, gardłowy warkot. Wreszcie czarownik wyprostował się i stanął okrakiem nad stopami Baraza. Jego dłonie rozbłysły na moment w ciemności, wyciągnęły się ku niebu. Krzyknął coś niezrozumiałego. Potem znów usiadł na ziemi, krzyżując nogi. Wyjął z kieszeni ukrytej w fałdach szat srebrny flet i zaczął na nim grać.

Dźwięki, które czarownik wydobywał z fletu, przyprawiły Baraza o zimny dreszcz. Czuł, jak ogarnia go strach, uczucie, którego nie doznał od wielu, wielu lat. Zerwał się wiatr. Baraz zamknął oczy, by uchronić je przed ostrymi ziarnami piasku. Dźwięk fletu przybierał na sile, przyprawił Baraza o szaleństwo, ogłuszał go. Potem urwał się raptownie, ustępując miejsca ciszy.

Cisza nie trwała jednak długo. Nagle powietrze wypełniło się szelestem chitynowych pancerzy, skrzypieniem milionów świerszczy stłoczonych w wielkiej kamiennej kadzi. Zrobiło się bardzo zimno. Baraz zaciśnął mocno powieki; nie ośmielił się ich otworzyć z obawy przed tym, co mógłby zobaczyć, zawieszonym tuż nad jego ciałem, ogromnym, przesłaniającym niebo i księżyc.

Chwilę potem usłyszał głos Dahaka albo coś, co brzmiało jak jego głos. Cichy i niewyraźny, lecz wypełniony mocą. Potem, przez szelest i chrzęszczenie przebiły się wyraźne, zrozumiałe słowa..

- Spij, generale, a kiedy się obudzisz, jeśli się obudzisz, będziesz na północy, gdzie czeka cię wielka bitwa. Śpij i nie waz się śnić o czymkolwiek.

Ciemny całun opadł na Baraza. Ten zadygotał pod jego dotykiem, potem jednak zapadł w sen pozbawiony wizji, choć podniósł się ku niebu, niesiony w dziesiątkach tysięcy maleńkich, przezroczystych odnóży.

Mahomet wbił piętę w bok konia, gnając go w górę brzegu *wadi*. Żwir i piasek tryskały spod kopyt kasztanki, gdy pięła się na strome zbocze. Śladem Mahometa pędziło trzydziestu Tanuchów i trzydziestu mężczyzn z miasta odzianych w brązowo-białe, pustynne szaty. Nie zwalnając ani na moment tempa, Al-Kurajsz wyjął z pochwy miecz i uniósł go nad głowę. Perscy żołnierze, pracujący kilkadziesiąt kroków dalej, przy wysokiej na trzydzieści stóp wieży oblężniczej, zastygli w bezruchu, zaskoczeni i przerażeni. Większość rozebrana do pasa, ciągnęła za liny, przesuając drewnianego olbrzyma do przodu. Inni szli obok wieży, uzbrojeni we włócznie i tarcze. Ujrawszy szarżującego Mahometa, zaczęli coś krzyczeć i pokazywać nań palcami.

Pracujący żołnierze rozbiegli się na wszystkie strony, porzucając liny i uciekając przed nacierającymi ludźmi pustyni. Mahomet wpadł jak burza pomiędzy włóczników, którzy biegli na tył wieży, próbując sformować tam linię obrony. Szabla Mahometa mignęła w powietrzu, przecinając twarz pierwszego wojownika. Krew trysnęła fontanną, a ranny złapał się za twarz i runął na ziemię. Pozostali Tanuchowie uderzyli tymczasem w inżynierów. Persowie jeszcze przez chwilę próbowali się bronić, potem jednak, ogarnięci paniką, rzucili się do ucieczki. Tanuchowie wzniesli triumfalny okrzyk.

Mahomet zawrócił konia, by wrócić do swoich ludzi. Miasto leżało w odległości dwóch mil, jego dachy widoczne były nad palmami rosnącymi w otaczających ją gospodarstwach. Persowie usypali wokół miasta prowizoryczne umocnienia, odległe zaledwie o jakieś sto kroków od jego murów, byli więc przekonani, że tutaj, dwie mile dalej, ich inżynierowie mogą czuć się bezpieczni.

Mahomet podniósł się w siodle, krzycząc do swoich ludzi:

- Na boki! Ciągnijcie na boki!

Większość włóczników zginęła, pozostali uciekli między palmy, podobnie jak robotnicy. Tanuchowie podjechali do wieży i ostrzelali jej wnętrze. Mahomet widział, jak jakiś perski inżynier, odziany w zielone szaty, runął na ziemię z najwyższej platformy, przeszyty trzema strzałami. Palmyrczycy wrzucili płonące pochodnie do najniższej komnaty wieży.

Mahomet pochylił się nisko w siodle i podniósł jedną z lin przymocowanych do wieży. Potem owinął ją wokół łęku siodła i dał znak pozostałym, by zrobili to samo. Gdy tylko Palmyrczycy, siedzący w cięższych, mocniejszych fiodłach, pochwycili pozostałe liny i przywiązali je do łęków, Mahomet opuścił rękę, i wszyscy jednocześnie ruszyli na wschód.

Liny napięły się jak struny, lecz wieża wciąż stała w miejscu. Palmyrczycy wbili mocniej pięty w boki wierzchowców, a te naparły z całych sił

na liny, pochylając nisko łby. Wieża zadrżała i zaczęła się przechylać. Mahomet krzyknął na dwóch Tanuchów, którzy stali nieruchomo, patrząc na chylącą się ku nim konstrukcję. Wieża zatrzeszczała głośno, a potem runęła z hukiem na ziemię, wzbijając przy tym obłok kurzu. Palmyrczycy zakrzyknęli radośnie, a Mahomet uśmiechnął się do nich szeroko.

- Pochodnie! - krzyknął. Kilku Tanuchów, którzy trzymali się do tej pory z tyłu, podjechało teraz bliżej i wrzuciło do wieży słoje z gęstym olejem z oliwek i płonące pochodnie. Z wnętrza konstrukcji zaczęły wydobywać się kłęby gęstego czarnego dymu. Mahomet zawrócił konia i ruszył galopem w stronę miasta. Pozostali wojownicy poszli jego śladem, wyjąc niczym banda upiórów.

- Dość - rzucił Dahak ostro, ucinając długą listę wymówek i usprawiedliwień. - Ci barbarzyńcy wychodzą z miasta, kiedy chcą, i wracają do niego bez najmniejszego problemu. To się musi skończyć. Chcę, żeby umocnienia były gotowe za dwa dni. Wielmożny Chadamesie, wszyscy mają się zająć kopaniem. Będziecie pracować na zmiany, dzień i noc, dopóki nie skończycie.

Chadames skłonił się sztywno, spoglądając na bladą twarz arystokraty, który odpowiedzialny był za maszyny oblężnicze. Wszystkie trzy, budowane z mozołem przez kilka tygodni, zostały zniszczone. Cenne drewno, które uzyskali z rozebranych wozów, domostw i nielicznych drzew rosnących w okolicy, uleciało w chmurach czarnego dymu. Arystokrata był kuzynem wielkiego księcia Szahina, ale to nie mogło uchronić go przed lodowatym gniewem czarownika.

Opuszczając armię, Baraz polecił, by to Chadames przejął nad nią dowództwo i by zechciał przy tym korzystać ze „świątłych rad” wielmożnego Dahaka. Szahin już na drugi dzień zakwestionował prawo niższej urodzonego Chadamesa do dowodzenia armią perską, a jego pretensje poparło wielu arystokratów. Dahak nie miał jednak ochoty ani czasu na takie przepychanki i oświadczył krótko, że to on będzie dowodził. Nikt nie ośmielił mu się sprzeciwić.

Od tej pory oblężenie nabrało rozmachu i tempa. Wydawało się, że Dahak nigdy się nie męczy i że oczekuje równie silnej woli i wielkiego poświęcenia od swoich podkomendnych. Baraz zachęcał do boju własnym przykładem, podrywając żołnierzy do czynów, na które sami nigdy by się nie zdobyli. Dahak rządził za pomocą obojętnego, zimnego strachu. Nie tolerował żadnych niepowodzeń, jeśli wynikały one z niekonsekwencji.

- Twoje zadanie było proste i gdybyś kierował się radami wielmożnego Chadamesa, poradziłbyś sobie bez problemu. Zignorowałeś jednak jego przestrogi i moje rozkazy. Nie będę tego tolerował. Mimo strat przystąpimy do ataku, choć dam wam jeszcze jeden dzień na dokończenie umocnień. A ty, wielmożny Pacorusie, wyczerpałeś już moją cierpliwość.

Chadames wzdygnął się, ujrawszy złowieszczą minę czarownika. W namiocie zapadła ponura cisza. Dahak wstał z wiklinowego krzesła, które należało do Baraza, i spojrzał na arystokratę zgiętego w ukłonie należnym raczej królom niż generałom. Czarownik rozejrzał się dokoła, zmuszając zgromadzonych w namiocie do spojrzenia mu prosto w oczy. Były zimne i bezlitosne; Chadames uzmysłowił sobie nagle, że źrenice Dahaka są wąskie niczym źrenice kota i że pobłyskuje w nich zieleń i złoto.

- Niech to będzie lekcja dla was wszystkich. Zapamiętajcie ją dobrze. - Dłoń Dahaka zacisnęła się w pięść. Spomiędzy palców wypłynęły smugi ciemnoczerwonego światła. Pacorus jęknął głośno i próbował się podnieść. Stopa Dahaka, okryta butem z czarnej lśniącej skóry, nastąpiła na kark arystokraty, przygniatając go do ziemi. Pacorus zaczął drżeć, jego członki miotwały się w spazmach bólu. Chadames odwrócił wzrok, gdy skóra nieszczęśnika zaczęła się wybrzuszać i falować, jakby pod spodem pełzały tysiące robaków.

- Atakujemy za dwa dni, tuż przed zachodem, kiedy będziemy mieli słońce za plecami. Jasne?

Pacorus wył w straszliwej męce pod butem czarownika, gdy jego mięśnie zaczęły się rozpadać, a na podłogę wypłynęła ciecz, która niegdyś była jego kośćmi i ścięgnami.

OBÓZ RZYMIAN, NA PÓŁNOC OD RZEKI KERENOS, ALBANIA

Vwyrin westchnął głęboko, wypuszczając z ust obłoczek białej pary, widoczny wyraźnie nawet w mroku przedświt. Stał obok Zoe, na końcu szeregu swej kohorty, ustawionej w paradnym szyku. Ukradkiem przejrzał swe ubranie i sprzęt, upewniając się, czy wszystkie paski są równo ściągnięte i czy nic nie zwisa luzem. Niebo było czarne jak smoła - w nocy nadciągnęły chmury i zakryły gwiazdy - teraz zdani byli więc jedynie na migotliwy blask pochodni i lampek. Taumaturgowie stali w czterech ćwierciach, zwróceniem plecami do namiotów, ustawieni według rangi i doświadczenia - w pierwszym szeregu zajmowali miejsca wyłącznie starsi czarownicy, otoczeni niewidocznymi dla zwykłego oka tarczami, które zapewniały im ciepło i wygodę.

Dwyrin przeklął w myślach kapłanów ze szkoły Pthamesa, którzy nie nauczyli go żadnych pożytecznych zaklęć, choćby takich, dzięki którym nie marzłby w zimny jesienny poranek. Z drugiej strony i tak był w lepszej sytuacji niż Zoe czy Odenatus, którzy opatulili się wszystkimi kawałkami materiału, jakie tylko udało im się znaleźć. Po drugiej stronie Palmirczyka stał czarownik z Galii, wyraźnie zadowolony z takiej

temperatury - dla niego był to tylko rześki, miły chłód. Zoe, pomimo grubej warstwy ubrań, trzęsła się z zimna. Dwyrin zastanawiał się przez moment, czy objąć ją i przytulić, potem jednak pomyślał o nożu przypiętym do jej pasa i szybko zrezygnował z tego pomysłu.

- Żołnierze, baczność!

Wzdłuż szeregu szedł trybun wraz ze wszystkimi czterema centurionami. Dziwne kawałki szkła zawieszane przed jego oczami lśniły w blasku pochodni. Podobnie jak centurionowie ubrany był w ciężki wełniany płaszcz i futrzany kaftan. On także nie wyglądał na zmarzniętego.

- Wkrótce staniemy do bitwy - przemówił trybun tubalnym głosem.

- Armie Persji zmierzają ku nam w pośpiechu. Wkrótce także zmieni się pogoda i zamknie przełęcz prowadzące na południe. Król Królów, jak zwie sam siebie Chosroes, chce, by do ostatecznej rozgrywki między nami a jego zdradliwym cesarstwem doszło jeszcze przed zimą. Spieszno mu do kłęski. Niektórzy z was nigdy jeszcze nie brali udziału w prawdziwej bitwie. Posłuchajcie teraz uważnie moich słów! Jeśli będziecie słuchali rozkazów i nie oddalali się od swego oddziału, jeśli będziecie wykonywali polecenia swojego centuriona i dowódcy oddziału, jeśli utrzymacie swoje miejsce w szyku i nie uciekniecie, przeżyjecie i będziecie cieszyć się zwycięstwem.

Dwyrin wyprostował się, gdy trybun i centurionowie dotarli na sam koniec szyku i przechodzili obok niego. Zoe patrzyła prosto przed siebie, nad głowami stojącymi przed nią mężczyzn. Dwyrin odwrócił wzrok.

- Niektórzy z was - kontynuował trybun, przechodząc za ich plecami

- nie będą walczyć w szyku. Zostaną wysłani do przodu, przed główne siły, by utrudniać postępy wroga, dręczyć go z ukrycia. *TÓ* nasza nowa strategia, niewypróbowana jeszcze w prawdziwej walce. Niewykluczone, że okaże się zawodna, ja jednak wierzę, że przyniesie nam sukces. Jestem też przekonany, że to właśnie my, magiczne ramię legionów, zadecydujemy o zwycięstwie. To nasz sukces rozstrzygnie losy tej bitwy.

Trybun ponownie wyszedł przed szereg i zatrzymał się, lustrując wzrokiem swoich podwładnych.

- Patrzy na was cesarz, a poprzez niego miasto, senat i lud. Nie zawiadźcie ich.

Dwyrin poczuł, że i jemu robi się chłodno, nie był to jednak chłód ogarniający go z zewnątrz, lecz taki, który zrodził się w jego umyśle.

- Myślisz, że jutro dojdzie do bitwy? - spytał cicho Dwyrin. Od śmierci Eryka spali w jednym namiocie. Choć było im trochę ciasno, noce zrobiły się tak zimne, że tylko dzięki tej ciasnocie utrzymywali we wnętrzu namiotu przytulne ciepło. Było to szczególnie miłe rankami - przynajmniej dopóki ktoś z nich nie musiał wyjść na zewnątrz. Dwyrin wiedział, że Zoe nie śpi - czuł, jak porusza się pod wełnianym kocem. Rozmyślała, tak jak on, o tym, co wydarzy się następnego dnia.

- Nie - odparła, odwracając do niego głowę. Nawet w bardzo niskim świetle, wpadającym do namiotu przez otwór z przodu, widział zarys jej twarzy, ciemność oczu. Zastanawiał się przez moment, czy Odenatus także ma kłopoty z zaśnięciem. Pewnie nie, pomyślał, zawsze śpi jak kamień. Przekręcił się lekko i uwolnił jedną rękę, by podrapać się po nosie.

- Do namiotu dowodzenia ciągle przyjeżdżają zwiadowcy - mówiła dalej Zoe. - Kiedy wróg będzie już dość blisko, wymaszerujemy stąd. Wtedy będziemy wiedzieli, że zbliża się bitwa. Byłeś już kiedyś w prawdziwej bitwie? Takie jak ta, nie jak wtedy, w mieście...

- Nie. - Dwyrin przestał drapać się po nosie. Miał wrażenie, że Zoe czuje się nieco zagubiona, może nawet przestraszona, o co nigdy dotąd by jej nie podejrzewał. Pracowali razem od tygodni, razem ćwiczyli, uczyli się walczyć jak jedno. Śmierć Eryka pokrzyżowała ich plany ~ teraz zamiast w dwóch parach musieli walczyć w trójkę, i musieli uczyć się tego od nowa. W pewnym sensie było to łatwiejsze - zarówno Zoe, jak i Odenatus mieli spore umiejętności, brakowało im jednak mocy, którą mógł przywołać Dwyrin. Potrafili stworzyć tarczę znacznie szybciej niż on, kiedy go jednak osłaniali, Hibernijczyk mógł przywołać ogień czy rzucić nim w kogoś z niezwykłą prędkością. Kolonna, który przyglądał się ich treningom, stwierdził, że przypominają mu starożytnych tebańczyków, którzy walczyli w parach, przy czym każdy posługiwał się innym rodzajem broni.

- Ja nigdy nie widziałam prawdziwej bitwy - przemówiła ponownie Zoe. - Przed Tauris nie widziałam w ogóle żadnej bitwy. Nie widziałam walki na śmierć i życie, trupów zrzucanych na sterty jak snopki zboża. Nie musiałam patrzeć na śmierć przyjaciół. - Coś chwyciło ją za gardło. Odwróciła od niego głowę. Dwyrin także poczuł dojmujący ból, gdy pomyślał, co znaczy stracić przyjaciela.

- Zoe - wyszeptał, dotykając jej włosów. - Mnie też brakuje Eryka. To był ślepy los, nie mogliśmy temu zapobiec.

Wymamrotała coś niezrozumiałego, wciąż odwrócona* doń tyłem. Dwyrin wpatrywał się w dach namiotu, czując, jak szloch zbiera się w jego piersiach, podchodzi do gardła. Podobnie jak Zoe nie załkał głośno, lecz pozwolił, by łzy spływały w ciszy po jego policzkach. Wreszcie zasnął, wciąż dotykając jej włosów.

OKOLICE DASTAGIRD, RÓWNINA EUFRATU

2imny wiatr z północy pędził przed sobą tumany kurzu. Nikos i AnagaŁios chowali się za resztkami zniszczonej ceglanej ściany. Dodatkową osłonę dawały ich konie, przywiązane do palików wbitych w miękką, piaszczystą ziemię. Niebo było ciemne, za gęstą zasłoną piasku

prześwitywał tylko blady, przyćmiony krąg słońca. Żółtobrazowy pył wciskał się wszędzie, do ich kryjówek, między ciasno zawinięte ubrania. Siedzieli w milczeniu, czekając na przejście burzy. Wiatr świszcział i wył wokół zrujnowanego budynku.

W piasku pojawiła się na moment jakaś postać, szczelnie owinięta ubraniami. Szła pochylona do przodu, zmagając się z północnym wiatrem. Nikos podparł się jedną ręką, jakby chciał wstać, Anagatios pochwycił go jednak za ramię i przytrzymał w miejscu. Postać jeszcze przez chwilę walczyła z wiatrem, by wreszcie dotrzeć do ich kryjówek i usiąść ciężko obok nich. Nikos i Anagatios pochylił się ku niej, nasłuchując.

- ...miasto... tam...-Postać wskazywała ręką w brudną ciemność.

Nikos pokręcił głową; ryk burzy skutecznie wszystko zagłuszał. Postać krzyknęła coś ponownie, lecz jej słowa nadal były niezrozumiałe. Wreszcie machnęła ręką zrezygnowana i oparła się o ścianę. Konie wciąż stały ze spuszczoneymi głowami, a wokół stóp czekających wędrowców zaczęła gromadzić się piasek.

Burza wreszcie się skończyła, a na granatowym niebie rozbłysły pierwsze gwiazdy. Słońce zaczęło zniżać się nad horyzontem, gdy nad zrujnowanym budynkiem przeszły ostatnie smugi burzy piaskowej. Podróżnicy otrzepali ubrania z pyłu, oblani niezwykle czerwonozłotym blaskiem. W powietrzu wciąż wisiał gęsty obłok brązowego kurzu, który filtrował promienie słońca i nadawał im przeróżne odcienie i kolory. Jusuf, Nikos i Thyatis stali na brzegu kanału, w odległości stu kroków od zniszczonych murów. Po drugiej stronie kanału, za pasem roślinności, na szerokim płaskim wzgórzu wznosiło się miasto. Miasto nie miało praktycznie żadnych murów, tylko wielką bramę. W samym centrum miasta wznosił się ogromny budynek w kształcie piramidy, wystający o ponad sto stóp nad dachy innych budynków. Gruba warstwa piasku pokryła ulice i place. Z wydm wyrastały poprzekrzywiane, potrzaskane kolumny. Okna budynków były ciemne, jedynie na szczycie zigguratu płonął niewielki, pomarańczowy ogień.

- Dziwnie tu jakoś - mruknął Jusuf, drapiąc się po brodzie, z której wytrzeptał właśnie kilka garści piasku. - Powinny być jakieś światła, głosy, cokolwiek.

- I mury - dodał Nikos, wpatrując się w ogarnięte półmrokiem miasto. - Arabska pustynia jest już całkiem blisko; w mieście mogą być jacyś bandyci.

Thyatis także coś czuła, jakieś dziwne mrowienie na karku. Spojrzała na ciemne wody kanału, w których odbijały się pierwsze gwiazdy. W pobliżu nie było żadnego mostu ani brodu.

- Niektóre rzeczy lepiej oglądać tylko z daleka - powiedziała cicho, nie chcąc ściągać na siebie uwagi. - Pojedziemy wzdłuż kanału. Musimy znaleźć jakiś most, jeśli mamy dostać się do Tygrysu...

Świt był już blisko, kiedy machina opuściła się nad ziemię. Ogłuszający ryk płomieni przeszył ciszę nocy. Czerwone światło okryło jedną z wydmy, kiedy odnóża maszyny wsparły się o grunt i ugięły pod jej ciężarem. Płomienie syknęły raz jeszcze, a potem zgasły, nad pustynią znów zapadła cisza. Stopiony piach bulgotał jeszcze przez chwilę w miejscach, gdzie dotknęły go szpony maszyny. Drzwi, umieszczone raczej na górze kadłuba niż na jego boku, otworzyły się szeroko, a na piachu pojawiła się smuga żółtego światła. Z wnętrza maszyny wyszło kilka postaci, które przeciągały się i postękiwały po długim locie z północy.

Jedna z nich, wyższa od pozostałych, weszła na grzbiet najbliższej wydmy. Dwie niższe szły tuż za nią, po obu jej stronach. W oddali wznosiły się ciemne kształty martwego miasta, ciche i opustoszałe. W dole, za zasłoną wydmy, kilka osób wyładowywało z wnętrza maszyny zapasy i namioty.

- Więc to jest miasto magów - rzekła pierwsza z postaci swobodnym tonem.

- Tak, panie - odparł najniższy z jego towarzyszy. - To zakazane miejsce. Dastagird starożytnych królów. Niegdyś była to rezydencja Króla Królów, miasto marmurowych pałaców i pięknych ogrodów. Lecz kapłani pozazdrościli królowi tego miejsca i mu je odebrali. Teraz ogrody przykrywa piach, a w pałacach mieszkają cienie.

Książę ściągnął kaptur i rozprostował ramiona. Był trochę zdenerwowany, choć uważał, że właściwie nie ma się czego obawiać. On też miał po swojej stronie różne moce i to potężne.

- Gajuszu? - zwrócił się do drugiego ze swoich towarzyszy. Stary Rzymianin stał w swobodnej pozie, z rękami założonymi do tyłu. - Jakies pomysły?

Truposz skinął głową, uśmiechając się lekko.

- Najpierw rozejrzemy się trochę po okolicy, książę. Potem pokażemy się tym w mieście. Jeśli pozwolisz, wołoska dziewczyna i ja pójdziemy tam dziś wieczorem.

Maksjan skinął krótko głową, potem odwrócił się i ruszył w dół wydmy. Jego ludzie wciąż zajęci byli rozładunkiem. Książę był zmęczony i miał nadzieję, że wkrótce będzie mógł się przespać. Towarzyszący mu Pers po raz ostatni rzucił okiem na ciemne miasto, a potem ruszył jego śladem. Gajusz Juliusz jeszcze przez długi czas stał na szczycie wydmy i przyglądał się wielkiemu zigguratowi. Po chwili dołączyły doń dwie inne postaci. Gdy wreszcie odwrócił się ku maszynie, obie złożyły mu lekki pokłon.

Truposz uśmiechnął się, ujrawszy swą małą armię.

- Alais. Chiron. Jesteśmy gotowi?

- Tak, panie - wyszeptali. - Jesteśmy gotowi.

- Dobrze. - Sprawdził, czy krótki miecz przy jego boku łatwo wysuwa się z pochwy, i czy bransolety trzymają się jego ramion. - Ruszamy.

Wiatr pędził pustą ulicą kulisty krzak ostu. Gajusz Juliusz szedł środkiem przysypanego piaskiem trotuaru, czuł pod podeszwami sandałów twarde krawędzie kamieni. Słońce wstało właśnie nad horyzontem, kiedy wkroczyli do miasta przez wschodnią bramę. Bładoróżowe światło padało na ciemne cegły i kamienie. Jedynym ruchomym elementem, jaki widział przed sobą Gajusz, był jego własny cień. Alais szła o krok z tyłu, po jego prawej ręce, okryta czarnym płaszczem z kapturem. Nawet jej twarz niknęła w cieniu kaptura, spod którego widać było tylko niewyraźną białą plamę. Chiron szedł po lewej, odziany w brązowe pustynne szaty. Jego twarz także była ukryta pod kufią, spod której wзираły jedynie jego oczy.

Tylko Gajusz otwarcie pokazywał swą twarz. Ubrany był w prostą tunikę i spódniczkę oraz szeroki skórzany pas, miecz niósł przewieszony przez plecy. Jego łysa głowa lśniła w blasku słońca. Ulica zwężała się, by potem otworzyć się nagle na wielki plac pośrodku miasta. Po zachodniej stronie placu wznosiły się ogromne stopnie zigguratu. Gajusz Juliusz przystanął. W mieście panowała cisza, czuł jednak, że coś się w nim zmieniło, odkąd przeszli przez bramę.

- Ktoś na nas patrzy - powiedział homunkulus. Jego głos wciąż był zachrypnięty i przyciszony. Nawet ogromne ilości świńskiej i cielęcej krwi nie przywróciły mu dawnej siły. Gajusz Juliusz skinął głową. Czuł znajome, niepokojące mrowienie z tyłu głowy. Przed oczami stanął mu obraz z odległej przeszłości: ciemnozielony las i wojownicy © twarzach pomalowanych na niebiesko i długich rudych włosach zlepionych tłuszczem i brudem. Jego towarzysze postąpili o krok, jakby chcieli wspiąć się na wielkie stopnie zigguratu, Gajusz powstrzymał ich jednak, podnosząc rękę.

Przez chwilę stał w milczeniu, czekając i mrużąc oczy w coraz silniejszym blasku słońca. Chiron, jak zawsze gdy nie musiał nic robić, zastygł w całkowitym bezruchu. Alais przysunęła się bliżej, na tyle blisko, że poczuł jej perfumy. Był to gorzki zapach, przypominający mu płatki róży, które zwiędłe i umarłe wciąż wisały na ciernistej lodydze.

Na drugim poziomie zigguratu pojawił się jakiś człowiek. Był to starzec o długiej białej brodzie i krzaczastych brwiach. Jego skóra była ciemna i lśniła niczym wypolerowana skorupa orzecha. Gajusz wyczuwał ukrytą w nim moc. Starzec ubrany był w długie, ciemnoniebieskie szaty i wspierał się na wysokiej lasce. Nie nosił żadnego nakrycia głowy, pozwalając, by wiatr bawił się jego długą, białą grzywą.

- Nikt cię tu nie chce, martwy człowieku. - Potężny głos starca wypełniał cały plac i odbijał się echem od budynków. - Odejdź.

Gajusz Juliusz wsadził kciuki za pas i spojrzał krzywo na starca.

- Mój pan kazał mi tu przyjść - odkrzyknął głosem czystym i silnym, choć nie tak potężnym, jak głos starca. - Przyszedłem więc. Mój pan nie ma złych zamiarów. Nie przyszedł tu z ogniem ani z armiami. Przychodzi otwarcie, szukając wiedzy. Czy wpuscicie go do swych posiadłości? Czy potraktujecie go jak gościa?

Starzec nie odpowiedział od razu. Obok niego pojawiło się dwóch kolejnych mężczyzn, równie starych jak on.

- Nie - rozbrzmiała wreszcie odpowiedź. - Wyczuliśmy wczoraj najeście twojego pana. Nie chcemy go tutaj i nie chcemy ciebie, martwy człowieku.

Gajusz Juliusz, obejrawszy uważnie miasto i ludzi na zigguracie, uklonił się nisko, a potem obrócił na pięcie. Alais i Chiron ruszyli jego śladem. Wiatr odprowadził ich do bramy, świszcząc w pustych drzwiach i oknach. Ukryte za murami oczy śledziły ich aż do chwili, gdy wyszli z miasta. Na szczycie pierwszej wydmy Rzymianin przystanął i obejrzał się za siebie, mierząc wzrokiem odległości i wzniesienia.

- O co chodzi, Gajuszu? - Głos Alais był słodki i przeznaczony tylko dla jego uszu, choć Chirona i tak wcale to nie interesowało. Gajusz odwrócił się i wykrzywił usta w zimnym uśmiechu.

- Nic ważnego. Musimy opowiedzieć księciu o tym, jak nas tu przyjęto.

Maksjan skinął głową, przygotowany na podobne wieści. Stał w cieniu maszyny, nieregularnym i poszarpanym, przynoszącym jednak wytchnienie od palącego słońca. Krista stała po jednej stronie księcia, Alais po drugiej. Gajusz Juliusz i Chiron opierali się o jeden z potężnych pazurów wbitych w piach pustyni. Wołoscy chłopcy tłoczyli się na piasku pod kadłubem.

- Chironie, co czułeś?

Oczy homunkulusa otworzyły się i obróciły w stronę księcia niczym wieżyczka maszyny obłączniczej.

- Panie, widzieliśmy trzech ludzi stojących na zigguracie, ale inni patrzyli na nas z ukłycia. Niektórzy nie byli ludźmi, choć żaden nie był podobny do mnie czy Gajusza Juliusza. Ani do Alais. Wyczułem piętnaście, dwadzieścia stworzeń schowanych w budynkach. Bały się.

- Alais? - spytał księżę, nie odwracając głowy.

Kobieta postąpiła o krok do przodu i złożyła mu głęboki ukłon, choć wcale nie musiała tego robić.

- Panie, miasto jest puste, mieszkają w nim tylko psy i wrony. Tylko w zigguracie są jeszcze żywi ludzie. Widziałam otwory na szczycie piramidy, wypływało z nich gorące powietrze. Przypuszczam, że siedziba magów ukryta jest pod zigguratem.

Maksjan odwrócił się do Abdmachusa, który jedyny spośród ich wszystkich spływał potem.

- Przyjacielu?

- Panie... - zachłysnął się Pers - to było tak dawno... prawie nic nie pamiętam!

Na jakiś dyskretny znak dany przez księcia Chiron doskoczył do Persa niczym wąż, a jego pokryte plamami dłonie zamknęły się na gardle

czarownika. Abdmachus zagulgotał przerażony, gdy zimne palce naciśnęły tchawicę. Maksjan uśmiechnął się przyjaźnie. Krista, ukryta za jego plecami, zmarszczyła lekko brwi.

- Abdmachusie, proszę, to dla mnie bardzo ważne. Chiron i Gajusz pomogą ci przypomnieć sobie to i owo. Alais, idź z nimi. Sporządźcie jak najdokładniejszą mapę.

Trzy postacie ruszyły w stronę wejścia do maszyny, prowadząc przed sobą małego Persa. Twarz Alais pojawiła się na moment w przejściu, potem drzwi się za nią zamknęły. Maksjan westchnął i odwrócił wzrok. Krista pozostała w cieniu, nieruchoma i na pozór obojętna. Maksjan podszedł do niej i uklonił się lekko.

- Pani, czy zechcesz wybrać się ze mną na krótki spacer? - spytał oficjalnym tonem.

Krista przytaknęła i naciągnęła chustę na głowę. Słońce prażyło coraz mocniej.

Książę prowadził ją w górę wysokiej wydmy wznoszącej się nad ich obozem. Po drugiej stronie zbocze opadało bardzo stromo, trzeba więc było stąpać powoli i ostrożnie, by się nie przewrócić. Poniżej rozciągał się szeroki pas lekko pofalowanego piasku, z którego wyrastały - zupełnie nieprzystające do tego krajobrazu - pozostałości kręgu marmurowych kolumn zwieńczonych akantowymi kapitelami. Książę zaprowadził tam Kristę i przysiadł na jednej z przewróconych kolumn. Krista stała, złożony przed sobą dłonie, i spoglądała wyczekująco na księcia.

- Dziś wieczorem - zaczął Maksjan - może tu być para koni z wodą, jedzeniem i zapasami. Wierzchowiec będzie miał na siodle parę perskich orłów. Całość będzie warta jakieś pięćset lub sześćset aureusów. Pożyczyłem od Abdmachusa pozytywne zaklęcie; kopyta konia nie będą zostawiać na piasku żadnych śladów. To moje dary dla ciebie, konie i to. - Książę sięgnął do swej szaty i wyjął zwój pergaminu opatrzonej grubą fioletową pieczęcią. Podał go Kriście, a ta po chwili wahania przyjęła podarunek. - Jesteś teraz wolną kobietą, nie masz żadnych zobowiązań względem księżnej. To cesarski dokument, z cesarską pieczęcią, który stwierdza to jednoznacznie i bezwarunkowo.

- Dlaczego? - spytała Krista spokojnie, choć w jej głowie kłębiła się cała masa pytań i wątpliwości.

Maksjan uśmiechnął się przelotnie.

- Rozprawa z miastem magów będzie trudna i okrutna - powiedział. - Wkroczyć na ścieżkę otoczoną ciemnością. Usunięcie tego zepsucia... będzie wymagało rozlewu krwi. Wolałbym, żebyś nie wchodziła na tę samą ścieżkę, bez względu na to, jak bardzo potrzebuję twojej pomocy. Jedź na wschód, do Taprobane albo Seriki. Zaczynaj nowe życie, wolne od przeszłości, wolne od klątwy, wolne ode mnie.

- To miły gest, książę.

- Więc przyjmiesz go?
 - Być może... - westchnęła. - Nie chciałabym dać tej białej suce satysfakcji.

Brwi Maksjan powędrowały w górę.

- Zazdrosna?

- Raczej żądna walki - odparła z zagadkowym uśmiechem. - Widziałam już dość dużo, by przekonać się, że możesz mieć rację. Obowiązkiem mojej pani... moim obowiązkiem, jest stać przy cesarstwie w obliczu zagrażającej mu katastrofy. Zostanę.

Maksjan patrzył na nią przez długi czas, zatroskany. Zastanawiał się przez chwilę, czy Krista wie o jego nocnych wyprawach w towarzystwie wołoskiej kobiety. Wreszcie wstał i otrząpał spódniczkę z piasku.

- Świetnie. Dziękuję ci.

Krista pokręciła głową, odpowiadając:

- Podziękuj mi, kiedy będzie po wszystkim, jeśli będziesz jeszcze żył.

RZĘKA KERENOS, ALBANIA

k

\ i rzej cesarze naradzali się, otoczeni murem rudowłosych Waregów. <^ Droga biegnąca tuż obok maszerowały dziesiątki tysięcy żołnierzy, ich stopy wzbijały błoki gęstego gryzącego kurzu. Wschodnie i zachodnie oddziały tłoczyły się obok siebie, próbując zachować właściwy porządek marszu. Galen oddalił swych służących, każąc im pozostać w oddalonym o pięć mil obozie. Podczas narady towarzyszyło mu trzech wysokich rangą oficerów. CJazar Ziebil był sam. Wokół Herakliusza, odzianego już częściowo w zbroję - gruby napierśnik z żelaza, ozdobiony wizerunkiem pary orłów - tłoczyło się dziesięciu służących, oficerów i gońców.

- Auguście Galenie, twoje legiony zajmą środek.

Herakliusz wskazał na otwarte pola rozciągające się na południe od miejsca ich postoju. Rzymskie kohorty i centurie rozstawiły się na nich w równym szyku, zgodnie z wcześniejszymi ustaleniami. Ich sztandary kołysały się lekko na wietrze, gdy poszczególne oddziały przechodziły na swoje miejsca. Tylko jedna dobra droga z obozu biegła na południe przez rzekę i na tę suchą równinę. Zwiadowcy Ziębiła wrócili poprzedniej nocy z patrolu, donosząc, że perska armia znalazła się wreszcie w zasięgu uderzenia. Rzymianie zwinęli obóz dobrze przed świtem, wysyłając naprzód Chazarów, którzy zabezpieczali drogę i północny skraj równiny.

- Chanie Ziebilu, twoi jeźdźcy będą na lewym skrzydle, zostaw jednak sporą rezerwę za linią bitwy. Las jest tutaj gęsty, i nie wiadomo, czy Persowie nie spróbują zająć nas z boku.

Dochodziło już niemal południe, a większość armii wciąż tłoczyła się na drodze prowadzącej na równinę. Zachodnie legiony Galena sprawiły się najlepiej, zwinając obóz o czasie i wyruszając w uporządkowanym szyku. Sexta Gemina dotarł do pola bitwy o świcie. Gdy wczesnym rankiem pojawił się tam Galen, zastał swoich legionistów wylegających się pod drzewami. W pobliżu nie było jeszcze żadnych Persów.

- Teodorze! - Herakliusz zwrócił się do swego brata, ubranego podobnie jak on w czerwone buty, ciężką zbroję i kolczugę. - Ty będziesz dowodził prawym skrzydłem, ze wschodnimi rycerzami i wojskami Anatolii w odwodzie. Kiedy tylko ustawimy się w odpowiednim szyku, a między *tagmata* będzie dość miejsca, ruszymy do ataku. Jeśli Persowie będą jeszcze rozproszeni, natrzemy wzdłuż całej linii i zepchniemy ich między drzewa. Jeśli zdążą się uformować, Chazarowie... - Herakliusz wskazał głową Ziębiła - zamarkują atak z lewej, a my uderzymy z prawej.

Zachodnie legiony stały na polu bitwy dobrze przed południem. Łucznicy i procarze, których Galen wysłał wcześniej do przodu, by osłaniali gromadzące się legiony, donieśli, że spomiędzy drzew na południowym skraju pola zaczęła wychodzić ogromna armia perska. Na lewe skrzydło rzymskiej armii napływały kolejne oddziały Chazarów, a wschodni rycerze wciąż tłoczyli się na drodze. Otrzymałszy wiadomości szacujące wielkość armii perskiej na ponad sto tysięcy ludzi, Galen osobiście wyjechał do przodu, by ujrzeć na własne oczy ogromne rzesze perskich żołnierzy.

Tysiące sztandarów łopotało już na wietrze, a z lasu wciąż wychodziły kolejne oddziały. Armia nieprzyjaciela mieniła s^ę barwami - zielenią i żółcią sztandarów, czerwienią i jaskrawym błękitem ubrań niektórych jeźdźców. Wydawało się, że każdy oddział nosi stroje w innym kolorze, a nawet o innym kroju, trudno jednak było stwierdzić to z tak dużej odległości.

Jeszcze przed południem w południowej części równiny, gdzie gromadziły się siły wroga, było już około dwustu tysięcy ludzi, którzy kłębili się w trudnym do opanowania chaosie. Według doniesień chazarzkich zwiadowców siły wroga składały się głównie z wieśniaków uzbrojonych w wiklinowe tarcze, włócznie i lekką broń. Właśnie w chwili, gdy armię wroga obserwował zachodni cesarz, na jej czele pojawili się jeźdźcy w futrzanych kubrakach i okrągłych czapkach. Galen pokręcił głową i wrócił do swoich wojsk, które stały już w równym szyku, gotowe do walki.

- Jakież pytania? - Herakliusz zerknął na Galena, który wyraźnie się nad czymś zamyślił. - Auguście Galenie?

- Tak... wydaje się, że armia wroga jest co najmniej dwukrotnie większa od naszej. Ale wygląda na zdezorganizowaną. Proponuję wysłać naprzód naszych taumaturgów, by wprowadzali zamieszanie w szeregi Persów i utrudniali im sformowanie szyków. Im dłużej pozostaną przy linii drzew, tym więcej będziemy mieli czasu na manewry.

Herakliusz zmarszczył brwi, Galen bowiem nie przedstawił mu tego pomysłu poprzedniego wieczora, kiedy omawiali plan bitwy. Zerknął na swych oficerów; jeden z nich był czarownikiem.

- Demostenesie?

Starzec odkaslnął, zaskoczony, i podrapał się po nosie.

- Autokratorze, podstawowym zadaniem taumaturgów podczas bitwy zawsze była obrona, osłanianie armii przed czarami wrogów. O zwycięstwie rzymskich armii zawsze decydowała siła oręża, a nie magii. Mówiąc wprost, panie, ani ja, ani moi bracie nie jesteśmy biegli w sztuce ataku, a przynajmniej nie w takim stopniu jak Persowie. Co innego oblężenie...

Herakliusz uciszył go spojrzeniem, a potem odwrócił się do Galena.

- Niektórzy spośród moich czarowników - rzekł ten spokojnie, nie zważając na gniewne spojrzenie wschodniego cesarza - znają się na sztuce ataku. Wyślę ich naprzód, by wprowadzili zamieszanie w szyki wroga. To da nam trochę czasu na manewry.

- Doskonale - warknął Herakliusz. - To twoi ludzie, możesz ich używać według własnej woli. Panowie, na pozycje. Dziś zwyciężymy lub zginiemy.

Chan Ziebil ziewnął i przecisnął się przez tłum otaczających go wojowników. Jego wierzchowiec, czarna, lśniąca klacz, czekał nań cierpliwie. Chazar wskoczył na siodło i ruszył z kopyta, znikając wkrótce w tłumie ludzi i koni na drodze. Galen odprowadził go wzrokiem, wyraźnie czymś skonfundowany.

- O co chodzi? - spytał książę Teodor, stając obok zachodniego cesarza.

- Nadal nie rozumiem, dlaczego Chazarowie walczą dziś z nami. Przecież tak właściwie to nie ich sprawa. Ryzyko porażki jest znacznie większe niż nagroda, jaką może być złupienie kilku górskich miasteczek.

Teodor roześmiał się i poklepał Galena po ramieniu.

- Mój brat to sprytny kupiec. Ofiarował chanowi wiele cennych podarków, między innymi własną córkę za żonę. Poza tym Chazarowie mogą zebrać tu sporo łupów, a i przymierze z Konstantynopolem ma swoją wagę. Przyjaźń poparta złotem i szkoleniem jego ludzi wiele znaczy dla chana.

- Własną córkę? - Galen był oburzony; nie słyszał o tym wcześniej, a miał okazję poznać Epifanię, kiedy przebywał we wschodniej stolicy. Była to nieśmiała dziewczyna o długich brązowych włosach, zainteresowana raczej muzyką i książkami niż polityką. Dobrze rozumiała się też z Martyną, choć Galen nie był pewien, czy Martyna zastępuje jej raczej utraconą matkę, czy też starszą siostrę.

- O tak. - W oczach Teodora pojawił się błysk rozbawienia, wywołany reakcją zachodniego cesarza. - Mój brat zawsze nosi ze sobą jej portret w broszce. Wysłał ją chanowi wiele miesięcy temu, wraz z pierwszym poselstwem. Wygląda na to, że przypadła starcowi do gustu.

Galen odwrócił się od niego zde gustowany. Dla jego zachodniej natury podobne zachowanie było wręcz odrażające. Wskoczył na konia i naciągnął hełm. Gwardziści otoczyli go szczelnym kołem, oddzielając go od tłumu kłębiącego się wciąż na drodze. Teodor odjechał na prawe skrzydło wraz z grupą towarzyszących mu wszędzie młodych arystokratów. Galen spojrział na szeregi swych wojsk. Przez moment myślał o swoich braciach, żałował, że nie ma przy jego boku Aureliana, i zastanawiał się, dokąd uciekł Maksjan.

Jesteś tam? - pytał w myślach, przerażony taką perspektywą. Czy Persja cię wysłuchała?

- Wielmożny Barazie! Panie, twój sztandar!

Odyniec odwrócił się w siodle i ujrzał jednego ze swych gońców, który przeciskał się przez otaczający ich tłum piechurów. Chłopiec wioził na siodle zwinięty w rulon sztandar, starając się uchronić go przed wystającymi ze wszystkich stron grotami włóczni.

- Och, zabieraj to stąd - warknął Baraz, tracąc cierpliwość. - Wystarczy mi sztandar Króla Królów. Pozbądź się tego.

Chłopiec zbladł, zaskoczony i przerażony gniewną reakcją generała, potem szybko zawrócił. Baraz natychmiast o nim zapomniał i ponownie ruszył naprzód, przeciskając się przez napierający nań ze wszystkich stron tłum. Ponad głowami piechurów widział rzekę rycerzy, za nimi zaś sztandary Rhazamesa. Dźgnął konia piętami, a ten przyspieszył kroku, roztrzaskując ludzi na boki. Dokoła podniosły się oburzone krzyki poszkodowanych, Baraz jednak nie zwracał na nie uwagi. ^

Po tym, co przeszedł w ciągu ostatnich pięciu dni, Odyniec z tęsknotą wspominał czas spędzony w Syrii. Tam, pomimo trudnej sytuacji, do której doprowadziły poczynania Szahina, dowodził armią doświadczonych żołnierzy. Wielu z nich służyło wcześniej pod jego komendą i wiedziało, jak maszerować i walczyć. Ten motłoch był zupełnie inny. Kiedy Chosroes polecił Gundarnaspowi stworzyć „największą armię na świecie”, ten postawił wyłącznie na ilość, a nie na jakość. Na drodze tłoczyli się chyba wszyscy właściciele ziemscy zamieszkujący ziemie od Nisbis do Tokaristanu, których stać było na włócznię i konia, a także ogromna liczba piechurów, wozów i mułów. Baraz zdołał wreszcie przedostać się przez rzekę ludzi blokujących drogę i wjechał na niewielkie wzniesienie.

Generał przypuszczał, że jego armia liczy niemal dwieście pięćdziesiąt tysięcy ludzi. Obawiał się jednak, że pomimo swego ogromu jest niemal bezużyteczna. Dziesięcioletni oddział Nieśmiertelnych, którymi dowodził od tak dawna, był w tym wielkim tłumie jedyną siłą, na jakiej naprawdę mógł polegać. Wiedział, że wykonają jego rozkazy i zaatakują lub wycofają się zgodnie z jego poleceniami. Reszta... Baraz pokręcił głową z niesmakiem. Po raz pierwszy od dziewięciu lat, kiedy to

Chosroes rozpoczął tę wojnę, Odyniec obawia! się, że nie ma większych szans na wygraną.

Jednym z nielicznych jaśniejszych punktów na czarnym tle tej wyprawy była obecność dwóch oddziałów Hunów, najemników opłaconych przez gubernatora wschodniego miasta Balch. Hunowie byli niezwykle zręcznymi jeźdźcami i doskonałymi zwiadowcami. Wieści, jakie przywieźli mu z północy, były raczej przygnębiające, wiedział jednak, że są prawdziwe. Armia dwóch cesarzy liczyła niewiele ponad sto tysięcy, z czego połowę stanowiła piechota, a drugą połowę jazda. Gdyby zwycięstwo i przegrana zależały tylko od liczebności wojsk, Baraz bez namysłu wydałby rozkaz do ataku.

Niestety, armia wroga składała się z doświadczonych oddziałów, doskonale wyszkolonych i zdyscyplinowanych. Trudno było przypuszczać, by wpadli w popłoch na widok ogromnej liczby Persów, a to oznaczało, że „największa armia” Króla Królów wpadnie prosto w maszynkę do mięsa. Baraz liczył jedynie na to, że przy pomocy pospolitego ruszenia uda mu się zatrzymać wojska rzymskie dość długo, by jego Nieśmiertelni i ciężka jazda obeszlili je i uderzyli z flanki.

Dotarł do sztandaru Rhazamesa w chwili, gdy młody arystokrata i jego oficerowie przekrzykiwali się nawzajem, nie mogąc dojść do zgody.

Baraz wjechał w sam środek rozkrzyczanej grupy i ryknął z całych sił:

-•Zamknąć się! Spokój. Powiedźcie mi, co się wydarzyło do tej pory.

Rhazames odchrząknął i nerwowo wygładził rzadkie wąsy. Nosił otwarty hełm ozdobiony wizerunkiem smoka. Miał nie więcej niż osiemnaście lat.

- Wielmożny Barazie! Armia wciąż się zbiera, a Rzymianie wystali naprzód swoich czarowników. Atakują pierwsze szeregi piechoty ogniem i błyskawicami. Wielu ludzi już zginęło, inni uciekają.

Baraz skrzywił się na myśl o tłumie piechurów wpadających w popłochu na oddziały, które wciąż próbowały dostać się na pole bitwy. Sytuacja i bez tego była bardzo trudna.

- Gdzie są nasi czarownicy?

Rhazames wzruszył ramionami.

- Nie wiem, panie. Wydaje mi się, że widziałem ich wozy jakiś czas temu przy drodze, ale...

Baraz ogromną siłą woli pohamował wybuch gniewu. Chłopiec był bardzo młody i prawdopodobnie nigdy jeszcze nie dowodził w bitwie. Jego ojciec służył pod komendą Baraza w pierwszych kampaniach przeciwko Syrii, zginął jednak w pojedynku w Antiochii. Odyniec podjechał do przodu i stanął na szczycie wzniesienia, z którego widział pole bitwy. Ujrzawszy, co się tam dzieje, zaklął siarczyście. Cała rzymska armia była już na polu i przesuwała się do przodu. Obejrzał się za siebie, na drogi wciąż zablokowane przez wielki tłum ludzi i zwierząt. Nawet polowa

jego armii nie dotarła jeszcze na miejsce. Przywołał do siebie najbliższego gońca.

- Chłopcze, pędź jak wicher na prawe skrzydło i odszukaj kagana Hunów. Powiedz mu, żeby zaatakował rzymskie linie i spróbował je zatrzymać. Potem znajdź lekką konnicę Lakmidów, niech przegonią tych czarowników.

Goniec skinął głową i popędził w dół zbocza, zostawiając za sobą tylko obłok kurzu.

- Ty, ty i ty... zjedźcie do tego bałaganu i wyślijcie piechotę do przodu, a rycerzy na skrzydła. Nie wiem jak, ale musicie to zrobić i odblokować drogę. Nadchodzą nowe oddziały, a większość tych, które już dotarły, stoi w miejscu i zastanawia się, co ze sobą zrobić.

Kolejni jeźdźcy ruszyli w dół zbocza, by wypełnić jego polecenia.

- Wielmożny Rhazamesie, zjedź ze swoim wojskiem na dół i zajmij pozycje pośrodku piechoty. Jeden twój człowiek na pięciu wieśniaków. Rozprowadź ich na boki i zwróć w stronę wroga. Każdy, kto straci włócznię, miecz czy topór cofa się do drugiego szeregu. Tam mogą podnieść broń z ziemi.

Młodzieniec uklonił się w siodle i odjechał. Jego towarzysze pospieszyli za nim, bladzi i przerażeni. Baraz odetchnął z ulgą. Ogromnie brakowało mu oficerów, którymi dowodził w Syrii. Ta armia była zbyt nieod doświadczona, by przez cały dzień dotrzymywać pola zdyscyplinowanym oddziałom zawodowych wojsk. Nad polem bitwy przetoczył się ogromny huk. Baraz drgnął i spojrzął w dół zbocza. Nad pierwszymi szeregami unosił się słup czarnego dymu. Błyskawice rozpętały się wśród piechurów niczym węże. Ludzie padali na ziemię, płonąc jak pochodnie.

Odwrócił się i zaczął:

- Ty... - Potem jednak przerwał nagle zdumiony. - Salabalgus? Co ty tu robisz?

Przysadzisty mężczyzna uśmiechnął się do niego spod krawędzi hełmu. Ubrany był w ciemnozielony płaszcz narzucony na mocno już zużytą kolczugę. Na ramieniu nosił brązową broszę w kształcie głowy dzika.

- Witaj, bratanku. Przybył do nas posłaniec Wielkiego Króla i zarządził nowy pobór, przyjechałem więc tutaj razem z chłopcami z posiadłości. Stoimy tu w dole, pod wzgórzem.

Baraz spojrzął na wskazany przezeń oddział i stwierdził z przerażeniem, że zna niemal wszystkich jego członków.

- O Panie Światła - wyszeptał Baraz ze zgrozą, odwracając się ponownie do swego wuja. - Czy ktoś w ogóle został w domu?

Salabalgus pokręcił w milczeniu głową.

Baraz przeciągnął palcami przez brodę i owinął kosmyk włosów wokół palca. Przed dziewięć laty opuścił swe posiadłości w Baktrii wraz z dwoma tysiącami żołnierzy, spełniając tym samym żądania króla. Do tej pory spośród owych dwóch tysięcy przy życiu zostało jeszcze kilku-

set ludzi, a wszyscy byli podoficerami lub oficerami w oddziałach Nieśmiertelnych. W rodzinnych stronach pozostawił garść weteranów i młodzieńców: ktoś musiał strzec trzód i gospodarstw przed zbójami. Teraz Salabalgus był tutaj, a wszyscy młodzieńcy, którzy wyrosli przez ten czas na mężczyzn, stali u podnóża wzgórza.

Spojrzał na ogromną rzeszę ludzi na polu i tych, którzy szli jeszcze drogą. Wszyscy byli albo za starzy, albo za młodzi. Przebiegł go zimny dreszcz. *Ilu już ludzi Chosroes zabił podczas tej wojny?* Szybko jednak odsunął od siebie te myśli. Musiał zająć się bitwą.

Zoe biegła przez krótką trawę, pochylona lekko nad ziemią. Dwyrin i Odenatus byli tuż za nią, osłaniając ją z boków. Kilka kroków przed nimi pędzili Ormianie z łukami i kołczanami pełnymi strzał. Trawa płonęła z przodu i po prawej stronie, śląc ku niebu wstęgi białego dymu. W górze świszczały strzały przelatujące w obu kierunkach. Pierwsza linia perskich wojsk stała zaledwie sto kroków dalej. Zoe zatrzymała się i przykłękała na kolanie. Dwyrin dobiegł do niej i także przystanął, dysząc ciężko; nie czuł się zmęczony, lecz podekscytowany.

- Strzelać! - krzyknął dowódca Ormian. Łucznicy zatrzymali się w nierównym szeregu, unieśli łuki i wypuścili strzały. Pociski wzbily się wysoko w niebo, a potem opadły na ciasno zbity tłum perskich włóczników. Z tłumy dobiegały okrzyki bólu i wściekłości. Ormianie sięgnęli do kołczanów po kolejne strzały.

- Strzelać! - krzyknęła Zoe, marszcząc czoło w skupieniu. Dwyrin, który uwolnił się już wcześniej z więzienia ciała, zacisnął dłoń w pięść i machnął ręką przed sobą. Moc ściągnięta z nieba i ziemi pod jego stopami otoczyła jego pięść błękitnymi płomieniami. Dwyrin pchnął ją w stronę łuczników. Płomienie, które przybrały kształt kuli, wystrzeliły z jego ręki i popędziły w stronę Persów. Żołnierze nieprzyjaciela próbowali rozbiec się na boki, byli jednak zbyt stłoczeni. Ogień rozjarzył się oślepiającą bielą, gdy kula uderzyła w piersi jednego z włóczników.

Mężczyzna zniknął w potężnym rozbłysku. Jego towarzysze zaczęli wyć z bólu i przerażenia, gdy ogień ogarnął ich ciała, przeskakując błyskawicznie od jednego do drugiego. Moment później z dłoni Zoe wystrzeliły błyskawice, które uderzyły w pierwszy szereg niczym ogromny bicz. Ginęli kolejni ludzie, ich ciała zamieniały się w czarne węgle, skórzane pancerze płonęły niczym słoma. Dłoń Odenatusa opadła niczym młot, a ziemia pod stopami Persów zafalowała raptownie, przewracając jednych na drugich. Włócznie kołysały się niczym liście na drzewach, raniły stojących obok ludzi.

Dwyrin skrzywił się na moment, widząc umierających ludzi, zwłoki pokrywające ziemię. Ale ich los był mu dziwnie obojętny, jakby odległość czyniła ich cierpienie nierealnym. Gdyby znów ujrzał śmierć Eryka, czułby smutek, przerażenie, odrazę. Teraz jednak upajał się własną mocą, gdy kolejne kule ognia uderzały w szeregi wroga.

Kolejna chmura strzał wzbiła się w niebo, przesłaniając na moment słońce. Ormianie opróżnili kołczany i ruszyli biegiem z powrotem ku rzymskim szeregom. Dwyrin posłał jeszcze jeden pocisk w stronę Persów, a potem poderwał się do biegu, podobnie jak Zoe i Odenatus. Z tyłu rozległ się ogromny, gniewny krzyk. Hibernijczyk obejrzał się przez ramię i zobaczył, że pierwsze szeregi perskiej piechoty ruszyły wreszcie do ataku.

Galen jechał powoli wzdłuż linii swych wojsk. Ustawił legionistów w dwóch rzędach. Pierwszy rząd składał się z pięciu szeregów: pośrodku stali weterani z Tertia Augusta, po bokach zaś Secunda Triana i Sexta Gemina. Potem następowała szeroka na dwadzieścia kroków przerwa i kolejne pięć szeregów: Secunda Audiatrix na zachodzie, gwardia cesarska na środku i Tertia Gallica na wschodzie. Sygnaliści trzymali się blisko cesarza, nie odstupując go dalej niż na kilka kroków. Ludzie w spiczastych filcowych czapkach zbiegali z pola bitwy i przemykali do tyłu korytarzami, które oddzielały poszczególne legiony.

Galen skończył objazd swych wojsk i spojrzał na pole. Perska armia zajęła południową część równiny i ruszyła do przodu. Galen nie wiedział jednak, czy był to planowany atak, czy też manewr wymuszony naciskiem kolejnych oddziałów wchodzących na pole. Widział także, jak ormiańscy łucznicy i taumaturgowie, których wysłał naprzód, wrócili pod bezpieczną osłonę legionów.

Spojrzał na zachód: na końcu linii wojsk ustawiły się dwa potężne kliny *wschodnich rycerzy*. *Słońce odbijało się w grotach dwudziestu tysięcy włóczyń*. Pośrodku zbitej masy koni i ludzi trzepotały czerwone cesarskie proporce. Na wschodzie z kolei, rozciągnięci w szerokim łuku, stali Chazarowie, łącząc rzymskie kohorty z linią drzew. Poruszali się bez ustanku, grupy jeźdźców galopowały tam i z powrotem w pozornym chaosie. Pośrodku łukowatego szyku stał Ziebil ze swymi ciężkozbrojnymi, ponad piętnaście tysięcy jeźdźców.

W rzymskich szeregach odezwały się trąby, potem dołączył do nich głos bucin. Legiony ruszyły do przodu w równym tempie, przesuwały się niczym potężna machina wojenna opancerzona tysiącami lśniących tarcz i najeżona włóczyniami. Cesarz Zachodu jechał między poszczególnymi oddziałami, zmierzając ku czerwonym płaszczom swych gwardzistów. Żołnierze, których mijał po drodze, wznosili radosne okrzyki. Galen uśmiechnął się i podniósł rękę w salucie. Osiem tysięcy głosów odpowiedziało mu ogłuszającym krzykiem:

- *Ave, Cezar! Ave! Roma Victrix!*

Galen uśmiechnął się ponownie, podekscytowany perspektywą zbliżającej się bitwy. Krew żywiej krążyła mu w żyłach. Krzyk tysięcy wiernych wojowników wypełniał jego uszy.

Baraza opanowała obawa i wściekłość.

Pierwsze szeregi żołnierzy stojących pośrodku formacji, którą jego oficerowie dopiero co ustawili w jakim takim porządku, nagle ruszyły biegiem w stronę Rzymian. Tylne szeregi wciąż się wahały, niektórzy parli do przodu, naciskani przez ludzi od tyłu, inni próbowali się wycofać. Baraz zaklął ponownie i przesunął spojrzeniem wzdłuż całej linii frontu. Oddziały jeźdźców na prawym i lewym skrzydle wciąż ustawiały się w szyku, według sztandarów i rodów. Nieoczekiwany atak piechoty na środku nie miał więc żadnego wsparcia. Konnica Hunów rozpierzchła się na boki, kiedy sześćdziesiąt tysięcy ludzi poderwało się do biegu, jakby nie widząc zmierzających w ich stronę Rzymian. Barazowi zrobiło się na moment słabo. Zastanawiał się, czy niewyszkoleni wieśniacy, uzbrojeni we włócznie i miecze, wiedzieli, na co się porywają.

- Goniec! - Jeden z czekających obok chłopców natychmiast podjechał do niego. - Do Salabalgusa i Doronosa na prawym skrzydle: powiedz im, żeby poczekali, aż ta hołota dobiegnie do Rzymian. Potem niech atakują, jeśli Chazarowie spróbują uderzyć na nich z flanki.

Jego wuj i inny wschodni wielmoża panowali, przynajmniej do pewnego stopnia, nad całą ciężką konnicą - byli to tak zwani *clinabari*, czyli ludzie-pieczę, nazywani tak od długich, okrywających całe ciało zbroi. Gdyby Chazarowie z prawego skrzydła rzymskiej armii chcieli wykorzystać okazję i uderzyć na odsłoniętą piechotę perską, jego kontruderzenie mogłoby ich zniszczyć.

Chłopiec pogalopował w dół zbocza. Baraz przygryzł kciuk, patrząc, jak środek jego armii zmierza prosto w paszczę lwa.

Kagan Ziebil, chan Chazarów, czuł się swobodnie na koniu. Minęło już sporo czasu, odkąd po raz ostatni siedział w siodle, i odkrył, że jego ciało pamiętało to doświadczenie lepiej niż umysł. Potarł pokrytą krótkim zarostem brodę i spojrzał na prawo, gdzie szczyły rzymski król, Galen, prowadził swych ludzi prosto na ogromny czarny tłum wrzeszczących Persów. W odróżnieniu od Persów, którzy pędzili naprzód w mniejszych i większych grupach, zupełnie zdezorganizowani, Rzymianie szli w równym tempie, przesuając do przodu lśniąca ścianę zachodzących na siebie tarcz.

Gdy odległość między obiema armiami skurczyła się zaledwie do jakichś pięćdziesięciu kroków, Rzymianie przystanęli, zamykając przestrzeń między swymi liniami. Pierwszy szereg zafalował lekko, gdy żołnierze podnieśli włócznie na wysokość głowy, a potem, na sygnał zachrypniętego centuriona, wyrzucili je do przodu. Powietrze wypełniło się chmurą ciemnych pocisków, a rozpędzeni Persowie zatrzymali się nagle, gdy spadł na nich deszcz żelaza. Ziebil uśmiechnął się, widząc, jak pierwszy szereg wroga zamienia się w krwawą masę umierających ludzi.

Skinął na jednego ze swoich sygnalistów, który opuścił długi czarny sztandar raz, a potem jeszcze dwa razy.

Długi szereg chazarskich włócznie zakotywał się, gdy jeźdźcy Ziębiła ruszyli do przodu. Lekka konnica, dowodzona przez księcia Dahwosa, przegoniła już wcześniej Hunów i łuczników, którzy próbowali nękać ich z oddali.

Tymczasem pośrodku pola Rzymianie stojący w pierwszym rzędzie wyciągnęli miecze. Dźwięk czterech tysięcy ostrzy wysuwanych jednocześnie z pochew wzbudził się ponad bitewny tumult. Drugi szereg wyrzucił włócznie, kiedy kolejni Persowie przebiegli nad ciałami swych poległych towarzyszy. Potem zrobił to samo trzeci szereg. Perska piechota zwolniła, uciekający zderzali się z kolejnymi grupamiatakujących. Rzymianie stali w bezruchu.

Wreszcie czarna masa Persów uderzyła z hukiem w linie rzymskie. Legioniści cofnęli się o trzy kroki, a potem stanęli. Ziębił słyszał przeźliwie wrzaski wzbijające się ponad szum innych odgłosów. Tysiące żelaznych ostrzy migotało w powietrzu, kiedy legioniści zaczęli rozprawiać się z napierającymi na nich włócznie. Kagan uśmiechnął się pod nosem, myśląc o krwawej rzeźni, jaką sprawiali Rzymianie perskim napastnikom. W walce wręcz krótkie miecze Rzymian miały ogromną przewagę nad inną bronią. Tymczasem do walki włączali się kolejni Persowie, jakby zupełnie nieświadomi tego, co dzieje się z ich towarzyszami.

Ziębił dał kolejny znak swym sygnalistom. Dwie flagi pochylały się na moment, a potem podniosły z powrotem. Jeźdźcy po prawej stronie jego klina podjechali do przodu, w stronę skrzydła armii. Gdy pierwsze szeregi Persów naparły na Rzymian od przodu, następni piechurzy zaczęli obchodzić rzymską formację z boków. Chazarowie ruszyli galopem do przodu, stając w strzemionach i przygotowując łuki. Do każdego z siodeł przymocowane były dwa kołczany wypchane strzałami. Chazarowie z pierwszych szeregów napięli cięciwy i wypuścili pierwsze strzały. W powietrzu zaroilo się od czarnych pocisków. Dziesiątki, setki Persów padło na ziemię, przeszytych długimi drzewcami.

Salabalgus niewiele widział spod swojego hełmu, ale to, co ujrzał, w zupełności mu wystarczało. Prawe skrzydło piechoty kurczyło się pod deszczem chazarskich strzał. Oficerowie Salabalgusa krzydzeli nań, po-naglając go do ataku na chazarskich łuczników. Ignorował ich żądania, wpatrzony w szczyt wzgórza, na którym powiewał sztandar Króla Królów. Salabalgus walczył z Barazem, odkąd ten potrafił utrzymać w dłoni miecz. Wiedział, że jego bratanek jest doskonałym strategiem, a jemu niespieszno było do śmierci. Czekał.

Na pole bitwy Wchodziły kolejne tysiące perskich piechurów. Pierwsze szeregi, związane walką z Rzymianami, nie mogły skorzystać z łuków, szeregi stojące z tyłu nie widziały wroga. Rzymscy legioniści metodycz-

nie wycinali wrogów, powoli jednak tracili siły, a środek pierwszej linii legionów zaczął powoli wyginać się do środka.

Bystre oko Baraza natychmiast wychwyciło niewielkie wybrzuszenie w liniach wroga. Generał zauważył też, że prawe skrzydło wroga wciąż powoli przebiega do przodu, i że od jego ciężkiej jazdy dzieli ją zaledwie dwieście lub trzysta kroków.

- Dajcie znak Salabalgusowi - krzyknął do swoich sygnalistów. Ci podnieśli zielony sztandar Domu Rhazatesa i zatoczyli nim szeroką ósemkę. Baraz spojrział na lewo, gdzie rzymscy *equites* i *lanciarii* czekali cierpliwie na wynik starcia perskiej i rzymskiej piechoty pośrodku pola.

Herakliusz musi tam być, pomyślał Baraz. Widać, że nauczył się cierpliwości.

Przywołał do siebie jednego z gońców.

- Wiadomość dla wielmożnego Gundarnaspa na lewym skrzydle. Powiedz mu, by posłał swoich Lakmidów i Hunów przeciwko rzymskiej jeździe. Kiedy zwiąże ich walką, niech zaatakuje po łucznicach.

Baraz spojrział ponownie na prawo. Wojska Salabalgusa przygotowywały się do walki. Odyniec uśmiechnął się, błyskając długimi zębami w południowym słońcu.

\

Chan Ziebil także dostrzegł znaki przekazywane za pomocą sztandaru, a potem poruszenie wśród perskich *clibanari*. Zagwizdał głośno, później wskazał naprzód i opuścił szybko rękę. Piętnaście tysięcy chazarских jeźdźców obniżyło długie włócznie i poderwało się do szarży. Ziemia zadrżała pod końskimi kopytami. Po chwili półkolistą linią ataku rozdzieliła się na trzy kliny, każdy z nich prowadzony przez grupę ciężkozbrojnych rycerzy.

Ziebil, który prowadził środkowy klin, wysforował się naprzód, wydając z siebie przeraźliwy okrzyk wojenny.

Nie zwalniając ani na moment tempa ataku, jeźdźcy Ziębiła sięgnęli do kołczanów, nałożyli strzały na cięciwy i gdy od wroga dzieliło ich zaledwie około stu kroków, wypuścili strzały. Pociski wzbity się czarną chmurą pod niebo, a potem opadły ze świstem na perskie szeregi. Chazarscy jeźdźcy przewiesili łuki przez plecy i sięgnęli po włócznie, szykując się do ataku. «.-

Galen poczuł, jak przez ziemię przechodzi drżenie, jakby bezgłośnie echo wielkiego bębna. Uniósł się w siodle i przystoził ręką oczy. Sztandary Chazarów na lewym skrzydle sunęły nad ziemią, by wbić się w szeregi Persów. Galen zawrócił konia i krzyknął do swoich trębaczy:

- Odtrąbić atak dla Tertia Gallica i Secunda Audiatrix!

Sygnaliści natychmiast podnieśli rogi do ust. Gońcy jechali już w stronę rzymskich odwodów. Galen uderzył rękawicą w udo, wpatrzony w zachodnie skrzydło armii.

Gdzie jesteście? - zastanawiał się, myśląc o Herakliusz.

Dwa legiony, które czekały dotąd na sygnał do ataku, podniosły tarcze i ruszyły truchtem w równej kolumnie, omijając od tyłu legionistów związanych już walką.

Baraz patrzył z coraz większą wściekłością na poczynania kawalerii stojącej na prawym skrzydle. Minęło sporo cennego czasu, nim poszczególne oddziały i rody, spierające się o honorowe miejsce w pierwszych szeregach, stanęły wreszcie w odpowiednim szyku. Widział sztandary Śalabalgusa, który czekał cierpliwie, aż jego podkomendni uformują wreszcie oddziały. Gdy jednak w końcu udało im się tego dokonać, było już za późno. Chazarscy jeźdźcy wyskoczyli do przodu niczym zgraja dobrze wytresowanych psów gończych. Baraz mógł tylko podziwiać z dala ich atak.

Pierwszy klin uderzył w Persów w pełnym galopie, wdzierając się dokładnie pomiędzy oddziały Śalabalgusa i Doronasa. Persowie zdążyli zaledwie ruszyć z miejsca i podjechać kilka kroków do przodu, gdy Chazarowie wbili się w nich niczym topór w mięso jagnięcia. Huk, jaki towarzyszył uderzeniu chazarskiej jazdy, zagłuszył na moment inne odgłosy bitwy. Baraz skrzywił się z bólem, kiedy lśniący klin wrogich sił przeciął prawe skrzydło perskiej armii.

Tuż potem uderzył drugi i trzeci klin, a całe prawe skrzydło zamieniło się w wir ludzi walczących o życie. Sztandar Śalabalgusa zniknął pod gromadą chazarskich włóczników i nie podniósł się już więcej. Hełmy *clibanari* były tylko srebrnymi wysepkami w morzu chazarskich jeźdźców. Długie zakrzywione kije łąpały Persów 2*1 zbroję i hełmy, arkany zaciskały się na ich szyjach.

Ze środka pola dobiegł nagle inny dźwięk, a Baraz odwrócił się szybko w tamtą stronę. Rzymskie linie pośrodku rozwinęły się nagle niczym stalowy kwiat. Gruby szereg rzymskich legionistów rozłożył skrzydła, by otoczyć i zamknąć tłum perskich piechurów.

Odyniec zamyślił się na moment. Zostało mu już tylko dwóch gońców. Przywołał ich do siebie.

- Ty - powiedział, wskazując palcem pierwszego. - Pojedziesz wzdłuż drogi i powiesz wszystkim dowódcom, żeby zatrzymali swoje oddziały. Potrzebujemy miejsca do manewrowania, a nie kolejnych problemów. Kiedy zatrzymasz już wszystkich, każ im wracać do miejsca, w którym obozowaliśmy ostatnio, niech tam sformują szyki. Obawiam się, że wkrótce do nich dołączę.

- A ty... - rzekł, zwracając się do drugiego gońca. - Jedź do Gundarnaspa na lewym skrzydle i odwołaj mój poprzedni rozkaz. Ma nie atakować, powtarzam, nie atakować. Niech przegrupuje lekką jazdę i wycofa się do tego wzgórza.

Gońcy odjechali, a Baraz siedział przez chwilę w bezruchu, zamyślony. Miał jeszcze swoich Nieśmiertelnych, którzy czekali cierpliwie

u podnóży wzgórze. Środek pola był już stracony, ale walka mogła jeszcze przez jakiś czas zatrzymać piechotę. Sytuacja na prawym skrzydle wyglądała jeszcze gorzej. Mógł poświęcić odwody i próbować ratować sytuację, albo poczekać, aż sformuje się jeszcze więcej oddziałów...

* * *

Szczupły mężczyzna o śniadej skórze nachylił się do Herakliusza i wyszeptał mu coś do ucha. Wschodni cesarz uśmiechnął się uradowany wieściami. Wcisnął gruby mieszek z monetami w dłoń kapłana i przyglądał wąsy. Sprawy rozwijały się lepiej, niż mógł przypuszczać. Ruszył do przodu, przejeżdżając między szeregami czekających na rozkaz żołnierzy. Dwadzieścia tysięcy ciężkozbrojnych jeźdźców ustawionych wzdłuż prawego skrzydła rzymskiej armii podzielonych zostało na dwie grupy. Herakliusz dotarł do pierwszego szeregu grupy, którą dowodził, i obrócił konia w miejscu. Jego głos, wzmocniony jeszcze specjalnym kształtem hełmu, wzbijał się ponad bitewny tumult.

- Wojownicy Rzymu! Nieprzyjaciel ucieka. Spieszmy do ataku!

Wschodni arystokraci podchwycili okrzyk bojowy i ruszyli naprzód.

Ogromna masa jeźdźców przesuwała się do przodu, najpierw powoli, potem jednak z każdą chwilą nabierała prędkości. Wkrótce pędziła już galopem w stronę perskiego skrzydła.

Herakliusz jechał z przodu, jego wielki brązowy ogier niemal unosił się nad ziemią. Ceiarz siedział pochylony, rozkoszując się pędem powietrza. Trzymał miecz nieco odsunięty do tyłu, równoległe do konia, czekając na odpowiednią chwilę. Perska lekka konnica, Hunowie, sądząc po wyglądzie, rozpierzchła się na widok szarżujących Rzymian. Niektórzy Hunowie odwracali się w siodle i strzelali z luku, ich pociski były jednak zbyt nieliczne, by mogły wyrządzić jakąś szkodę.

Perska konnica dopiero się rozpędzała, niemal stała w miejscu. Herakliusz widział twarze jeźdźców, przerażone widokiem bliźniaczych klinów katafraktów zmierzających w ich stronę. Cesarz wyprostował się w siodle i podniósł miecz.

- Rzym! - krzyknął z całych sił. - *Roma Victrix!*

Ziębił zakasłał i splunął krwią. Czuł, jak ziemia drży pod kopytami jakiegoś wielkiego oddziału szarżującej kawalerii. Powoli podniósł się i sięgnął po swój długi nóż. Był jeszcze trochę oszołomiony po ciosie perską maczugą, która strąciła mu hełm z głowy. Krew zalewała mu prawe oko, mrugał raz za razem, próbując ogarnąć wszystko, co działo się wokół niego. Konie i ludzie przemykali obok niego, szamotali się w bitewnym wirze. Jego koń zniknął, podobnie jak mała tarcza przymocowana do ramienia.

Jakiś Pers w lekkiej zbroi ruszył w jego stronę i ciął z góry długim zakrzywionym mieczem. Ziębił uchylił się, próbując dosięgnąć nożem

nóg konia. Chybił, poczuł jednak, jak ostrze wroga przecina mu ramię. Nowy ból przeniknął lewą połowę ciała. Odskoczył na bok, uciekając przed kolejnym szarżującym koniem, był jednak zbyt wolny i runął na ziemię, uderzony w pierś butem Persa. Nim jeszcze zdążył złapać oddech, zamroczony upadkiem, ujrzał nad sobą długie błyszczące ostrze włócznie, a potem poczuł straszliwy ból w trzewiach.

Chciał krzyknąć, ale w jego piersiach nie było już powietrza. Ludzie krzyczeli, słyszał jeszcze słabnący głos wywołujący jego imię. Ciemność zakryła niebo, przez moment widział jeszcze, jak unosi się nad nim ostrze pokryte krwią. Było mu bardzo zimno. Luchzie walczyli zaciekle nad jego ciałem, jemu było już jednak wszystko jedno. Zamknął oczy.

*••

Baraz zawył z rozkoszy, kręcąc nad głową swym wielkim mieczem. Ruszył na trzech Chazarów, którzy zarzucili arkan ha jednego z Nieśmiertelnych i próbowali ściągnąć go z konia. Odyniec uderzył na nich od tyłu, pierwszego pozbawił głowy jednym zamaszystym cięciem, dwóch pozostałych otrzymało potężne ciosy maczugą i runęło na ziemię z krzykiem. Generał i jego ludzie parli naprzód, siejąc spustoszenie wśród lżej opancerzonych Chazarów. Prawe skrzydło* Persów zaczęło formować się na nowo wokół oddziału Nieśmiertelnych.

Pozostali Chazarowie ustąpili, znikając za deszczem strzał. Baraz nie próbował ich ścigać. Zebrał wokół siebie niedobitki, oddziałów Doronasa i Salabalgusa - obaj dowódcy zginęli - i wrócił na wzgórze.

Galen i jego oficerowie obserwowali w milczeniu odwrót Chazarów na lewym skrzydle. Czerwone i żółte sztandary Nieśmiertelnych powiewały wśród stert trupów znaczących kierunek ich ataku. Zachodni cesarz zmarszczył brwi i dokonał w myślach szybkich obliczeń. Tertia Gallica zajęty był walką na lewym skrzydle perskiej piechoty. Jedyne resztki chazarskich łuczników oddzielały jego odstąpną piechotę od ciężkiej konnicy Persów.

- Cezarze! - Jeden z jego oficerów wskazywał na zachód. Galen odwrócił się w tę stronę.

Szarża Herakliusza dosięgła celu, odrzucając pozostałości łuczników i druzgocąc całe prawe skrzydło Persów. Perscy jeźdźcy uciekali na południe pojedynczo lub małymi grupkami, większość jednak ginęła od mieczy żołnierzy Herakliusza. Galen uśmiechnął się ponuro i dał znak swoim trębaczom.

- Niech wszyscy cofną się o dziesięć kroków i zatrzymają - krzyknął. Odpowiedział mu głos bucin. - Niech gwardziści przejdą na prawo i zabezpieczą Tertia Gallica od flanki.

Waregowie i Germanie ruszyli biegiem do przodu, trzymając w rękach włócznie i obnażone miecze. Galen obrócił konia i spojrzął na linie Persów. Jego legionieści cofnęli się o dziesięć kroków, by przeformować szyki; żołnierze stojący dotąd z tyłu podbiegli do przodu i uzupełnili pierwszy szereg tam, gdzie wyszczerbiły go perskie włócznie. Persowie przystanęli zdezorientowani. Linie Rzymian znów zamieniły się w równy mur tarcz, mieczy i włóczni. Nagle z tyłu perskich wojsk podniosły się krzyki. Wszyscy odwrócili się w tamtą stronę. Herakliusz i jego rycerze pędzili w dół zbocza, prosto na włóczników. W szeregach Persów zapanał chaos. Jakiś żołnierz na prawym skrzydle rzucił się do ucieczki. Po chwili już cała perska piechota, wciąż ponad trzydzieści tysięcy ludzi, biegła w panice w stronę drogi.

Jeźdźcy Herakliusza wzniesli bojowy okrzyk i runęli niczym morska fala na uciekających Persów. Galen zamknął na moment oczy, lecz huk uderzenia i straszliwe krzyki zabijanych wypełniły jego uszy. Cezar uniósł powieki i ruszył do przodu.

- Wszystkie legiony, naprzód!

Zachodnie legiony rozpoczęły powolny marsz, zamykając śmiertelną pułapkę.

* * *

- Panie zepsucia, miej mnie w swojej opiece...

Baraz pokręcił głową. Nieśmiertelni rozstawili się szerokim łukiem wokół jego pozycji na wschodniej części równiny. Rozproszone oddziały Persów - jazdy, łuczników, piechoty - gromadziły się wokół niego niczym okruszki soli na nitce zawieszanej w morskiej wodzie. Sytuacja na polu bitwy przedstawiała się tragicznie. Dziesiątki tysięcy Persów poległo, wielu innych uciekało na południe, w stronę zablokowanej drogi. Niemal wszystkie formacje i oddziały zostały rozbite. Baraz nie widział sztandaru Rhazamesa na środku pola, był też pewien, że oddziały Gundarnaspa i całe lewe skrzydło armii zostały rozbite.

Tymczasem Rzymianie przegrupowywali szeregi. Z miejsca, w którym znajdował się teraz jego sztab, Baraz nie widział, czy którakolwiek z rzymskich kohoj-t została zniszczona. Zdawał sobie jednak sprawę, że wkrótce ruszą w jego stronę. Przywołał jednego ze swych oficerów.

- Ta bitwa jest już przegrana. Odeślij stąd piechurów, a potem konnicę. Droga na południe jest zablokowana, za chwilę dojdzie tam do prawdziwej rzezi. Ruszemy na wschód, przez lasy do wybrzeża, a potem na południe, z powrotem do Persji.

Baraz patrzył na pole zasłane stertami ludzkich i końskich trupów. Pośrodku stała armia rzymska, okryty stają potwór najeżony tysiącami włóczni i mieczy. Pokręcił głową, żałując przez chwilę, że Król Królów tak skwapliwie wykorzystał moc Dahaka. Gdyby musiał dotrzeć tutaj

konno, pochód perskiej armii zostałby opóźniony, a decydująca bitwa rozegrałaby się dopiero wiosną. Być może miałby wtedy dość czasu, by uczynić z tej zbieraniny przynajmniej namiastkę prawdziwej armii.

Nieważne, pomyślał, Chosroes zaryzykował i przegrał. Teraz muszę myśleć tylko o tym, jak uratować własną głowę!

Roześmiał się nagle, gdyż ta gra, w której liczył się przede wszystkim spryt i zręczność, ogromnie go bawiła. Zgromadzeni wokół niego Nieśmiertelni zadrżeli; radosny śmiech w tych okolicznościach był oznaką szaleństwa.

ZIGGURAT MAGÓW

SM aksjan i jego towarzysze weszli do martwego miasta sekretną drogą. Alais na polecenie Gajusza Juliusza znalazła wydeptaną przez kozy i owce ścieżkę, która wiodła do miasta od północy, a potem wiodła się między zrujnowanymi pałacami i świątyniami. Stary Rzymianin był wyjątkowo zadowolony z siebie: to on pierwszy doszedł do wniosku, że nawet czarownicy muszą czasem coś jeść. Maksjan stąpał ścieżką powoli, pozwalając, by większość jego umysłu zanurzyła się w ukrytym świecie. Dziwne wzory i figury wypełniały przestrzeń pomiędzy budynkami, a nawet niebo nad miastem. Truposz miał rację, radząc mu, by zakradł się do miasta niepostrzeżenie. ^

Ścieżka prowadziła przez podłogę wyłożoną popękaną mozaiką, jedną z niewielu pozostałości po pysznym pałacu, który wznosił się niegdyś w tym miejscu. Księżę kroczył w zamyśleniu po chmurach i błękitnym niebie wypełnionym przedziwnymi ptakami. Dwaj Wołosi szli przed nim, pochyleni nisko nad ziemią, obwąchując uważnie wszystko, co natknęli na swej drodze.

Krista osłaniała księcia z prawej strony. Tuż za nią podążał homunkulus, niosąc na rękach ciało nieprzytomnego Persa. Trzeba było dużo czasu, by wydobyć z Abdmachusa wszystkie znane mu sekrety zigguratu; gdy Gajusz wynurzył się wreszcie z wnętrza maszyny z mapą miasta w ręku, był blady i ponury. Piersi i ramiona obojętnego jak zawsze Chirona pokryte były świeżymi ranami i siniakami. Alais z kolei promieniała, jej włosy były gęstsze i bardziej lśniące, przypominały teraz barwą stopione złoto.

Dorodna blondynka i pozostali Wołosi szli za homunkulusem, bezgłośnie niczym koty. Krista poruszała się najciszej, jak potrafiła, choć irytowała ją łatwość, z jaką barbarzyńcy dokonywali rzeczy praktycznie niemożliwych dla zwykłego śmiertelnika. Czuła się ciężka, przytłoczona kolczugą, którą włożyła pod ciemne ubrania. Księżę szedł niemal

równie lekko jak Wołosi, choć wcześniej nie przejawiał takich zdolności. Krista zerknęła przez ramię na Alais.

Wołoska kobieta patrzyła na księcia ze źle skrywaną chciwością. Choć świadoma, że w każdej chwili mogą znaleźć się w ogromnym niebezpieczeństwie, Alais ubrała się w obcisłą skórzaną kamizelkę odsłaniającą wystarczająco dużo, by pobudzić wyobraźnię każdego mężczyzny, jedwabne spodnie, wysokie skórzane buty i ciężki czarny płaszcz. Krista uśmiechała się w duchu szyderczo, ignorując fakt, że i ona ubierała się kiedyś bardzo podobnie, choć w nieco innych okolicznościach.

To nie jest letnie przyjęcie na Siedmiu Wzgórzach, pomyślała. Wkrótce ktoś tu zginie... może kobieta pozbawiona smaku.

Brakowało jej księżnej. Anastazja była tak biegła w tego rodzaju sprawach, że gdyby tu była, barbarzyńska kobieta już dawno by uciekła zawstydzona. Rzymianka przeciągnęła dłonią po ukrytej pod rękawem wyrzutni. Na szczęście i ona nie była całkiem bezbronna.

Wołoski chłopiec przewodzący całej grupie zatrzymał się nagle i podniósł rękę. Potem wskazał na lewo, w ciemne zagłębienie. Ścieżka skręcała w prawo i prowadziła do wysokiego budynku z kamiennych bloków i cegieł. Ostry zapach kóz i owiec drażnił nozdrza. Księżę podszedł kilka kroków i naradzał się szeptem z wołoskimi chłopcami.

- Wkrótce poleje się krew - wyszeptał Gajusz Juliusz do ucha Kristy.

Rzymianka skinęła głową i odwróciła się, by spojrzeć na pozostałych. Wołosi przykucnęli} czekając cierpliwie na dalszy rozwój wydarzeń, Alais podeszła do księcia i położyła mu ręce na ramionach. Gajusz Juliusz zerknął na Kristę i wykrzywił się, jakby kryjąc grymas rozbawienia.

Krista zgrzytnęła zębami ze złości, potem jednak uśmiechnęła się niewinnie. \$.-

- Pewnie już się cieszysz na myśl o bitwie, nie robiłeś tego tak dawno...

Gajusz Juliusz skrzywił się i pokręcił głową.

- Nie - odparł. - Nigdy nie brakowało mi wojny. Brakuje mi raczej dyskusji w Forum. Zmagañ intelektu i głosu. Ta wyprawa jest intrygująca, ale niewiele ponad to... Zawsze mówiłem, że do wojny uciekają się tylko przegrani albp^barbarzyńcy, którzy nie znają innych rozwiązań. Skoro musisz walczyć, to znaczy, że przegrałaś już swoją sprawę, rozumiesz?

Gajusz Juliusz umilkł nagle, gdy księżę syknął na nich i wskazał na ciemne zagłębienie. Jeden z wołoskich chłopców zniknął już na ukrytych w cieniu schodach, prowadzących w dół. Krista skinęła głową, nie ruszyła jednak z miejsca, dopóki wszyscy inni nie zeszli w cień. Potem rozejrzała się jeszcze raz dokoła i drgnęła przestraszona, gdy zza rogu budynku wychyłała nagle jakaś biała twarz. Potem odetchnęła z ulgą i omal nie roześmiała się na głos.

Gdy wchodziła na schody, żegnało ją zdumione spojrzenie kozy.

Krista zbiegła po schodach, by dogonić resztę grupy. Klatka schodowa przechodziła w wąski i niski korytarz; Krista musiała schylić głowę, by nie uderzyć o trójkątny sufit. Gdy dotarła wreszcie na koniec korytarza, ujrzała księcia stojącego kilka kroków przed innymi. Pozostali klęczeli na zakurzonej podłodze.

- Przed nami - szeptał książę - są drewniane drzwi. Nie są zamknięte na zamek, ale strzeże ich jakiś wzór. Chironie, przynieś tu naszego perskiego przyjaciela i użyj jego ręki do otwarcia tych drzwi. - Maksjan uśmiechnął się. Jego twarz, oblana dziwnym jasnozielonym blaskiem, wyglądała jak twarz trupa. - Za drzwiami jest hol. Czuję dym. Pójdziemy na prawo, w stronę środka komnat. Wcześniej czy później kapłani przyjdą do mnie albo ja przyjdę do nich. Wtedy zakończymy ten spór. Pamiętajcie, musimy znaleźć sarkofag, więc nie zabijajcie nikogo bez potrzeby!

Książę spojrział znacząco na Alais i Chirona. Homunkulus przyjął jego słowa z obojętną miną. Wołosi pokiwali głowami. Alais uśmiechnęła się przymilnie. Krista sprawdziła sznurowanie butów i skórzaną uprząż, którą opasała wąską talię. Dotykała każdej sztuki brdpi po kolei, upewniając się, czy wszystko jest na miejscu. Chiron ruszył do drzwi, niosąc przed sobą bezwładne ciało Abdmachusa.

Drzwi otworzyły się z cichym trzaskiem, zalewając korytarz ciepłym pomarańczowym blaskiem bijącym od jakiegoś ukrytego ognia. Chiron odrzucił nieprzytomnego Persa na bok i wszedł do środka. Wołosi natychmiast ruszyli jego śladem. Maksjan uczynił krok do przodu, potem jednak zatrzymał się nagle i podniósł rękę, powstrzymując Alais i Gajusza Juliusza.

Zza drzwi dobiegło przeraźliwe wycie i ludzkiąkrzyki, potem słychać było szczęk metalu i brzęk rozbijanego szkła. Książę ponownie podniósł rękę, a korytarz wypełnił się nagle hukami, od którego zdrząły grube ceglane ściany*

Podziemia zigguratu składały się głównie z szerokich ceglanych korytarzy o trójkątnym suficie. Maksjan szedł przez nie otoczony ogniem i dymem.

Palce Chirona wbiły się w wysokie na piętnaście stóp drzwi z ciemnego drewna, osadzone w murze złożonym z ogromnych kamiennych bloków. Gruba drewniana deska trzeszczała pod naciskiem jego palców. Książę stał z tyłu, owinięty szczelnie płaszczem. Deska zatrzęszczała jeszcze głośniej, gdy homunkulus napał na nią. Żelazne bolce zdrząły, a potem jęknęły przeciągle, wysuwane powoli ze ściany. Mięśnie na karku i ramionach homunkulusa wybrzuszyły się i napięły pod półprzezroczystą skórą. Sztaba, która zamykała wielkie drzwi, zaczęła trzeszczeć. Z otworów, które Chiron wybił w powierzchni dębowych desek, wypłynęła krew, czarna i gęsta.

Wreszcie sztaba pękła z trzaskiem, niczym amfora zrzuciona z dużej wysokości na marmurową podłogę. Chiron wydał z siebie zwierzęcy

okrzyk i wyrwał jedno skrzydło drzwi ze ściany. Potem podniósł je nad głowę i rzucił w posąg jakiegoś starożytnego króla. W przejściu pojawiły się nagle białoniebieskie płomienie, a homunkulus cofnął się o krok, pokryty cienką warstwą ognia.

Maksjan wyrzucił ręce do przodu, kierując dłonie ku drzwiom. Białołękitny ogień zgasł niczym świeca zanurzona w wodzie. Chiron upadł bezwładnie na podłogę, jak szmaciana lalka. Księżę zacisnął dłoń w pięść i pchnął ją do przodu. Drugie skrzydło oderwało się z hukiem od ściany, wyrzucając na środek komnaty żelazne bolce. Włosy przypadli do ziemi, kiedy bolce przeleciały tuż obok nich. Tymczasem drugie skrzydło drzwi wleciało do wnętrza komnaty i uderzyło w schody znajdujące się naprzeciwko wejścia.

Krista podniosła się z podłogi i odgarnęła włosy z oczu. Potem przyklekła i szybko splotła warkocz, który rozwiązał się, gdy wykonywała szybki unik. Włosy ruszyli biegiem w stronę wejścia do komnaty, lecz ostry gwizd Gajusza Juliusza zatrzymał ich w miejscu. Księżę stał w przejściu, trzymając ręce z dala od tułowia. Alais przesunęła się do przodu, stając za księciem. Krista po raz pierwszy wysunęła nóż schowany w pochwie na przedramieniu.

W wielkiej komnacie huczały płomienie wypływające z otworów ułożonych w dwóch rzędach wzdłuż ścian. Pomędzy poszczególnymi otworami stały posągi ludzi w długich szatach. Posągi po prawej miały gładko wygolone twarze i wysokie czoła. Posągi po prawej przedstawiały ludzi o brzydkich, oszpeconych i wykrzywionych gniewem twarzach. Podłoga między rzędami posągów pokryta była lśniącymi ośmiokątnymi płytkami. Teraz leżały na niej także drzazgi i odłamki drewna z rozbitych drzwi. Całą przeciwległą ścianę zajmowały schody wznoszące się na jakiś niewidoczny z tego miejsca poziom.

Na stopniach stali trzej starcy, z którymi rozmawiał wcześniej Gajusz Juliusz. Gorący wiatr, bijący od wypełnionych ogniem dziur, rozwiewał ich brody. U podnóży schodów czekało także kilku służących, choć wyrwane ze ściany drzwi rozgniotły dwóch z nich, zostawiając na podłodze krwawą masę rozczłonkowanych ciał. Księżę wszedł do wnętrza komnaty. Jego towarzysze ustawili się za nim w szerokim półkolu.

Krista wsunęła się do komnaty ostatnia i przesunęła się na prawo, znikając w cieniu jednego z posągów. Podczas gdy księżę kroczył powoli przez wielki pokój, Krista przemykała pomiędzy kolejnymi statuami, wciąż ukryta w półmroku. Jej kroki zagłuszał nieustający ryk wielkich płomieni.

- Zabroniliśmy ci wchodzić do tego miejsca. - Głos odzianego w brązowe szaty starca zagłuszył na moment ryk ognia. - A ty wdarłeś się tu siłą, wbrew naszej woli.

Maksjan zatrzymał się i spojrzął na starców. W niewidzialnym świetle każdy z nich był obłokiem jasnych geometrycznych form. Wzory układały się w niemal całkiem wyraźne kształty, potem znów wyginały się

?

i oddalały od siebie. Starcy byli silni, czuł jednak ich strach, ukryty głęboko pod tarczami i barierami, którymi oddzielili się od niego. Zastanawiał się, dlaczego jest ich tak niewielu. Komnaty, przez które przeszli w drodze do tego miejsca, sanktuarium świątyni Ognia Ahura Mazdy, były wielkie i bogate. Mogły pomieścić setki kapłanów, a nie tylko trzech.

Twój brat ich stąd odciągnął, wyszeptano coś w jego pamięci. Walczą na północy.

Książę uśmiechnął się.

- Wysłałem mego człowieka z otwartym poselstwem - odparł, a jego głos odbił się echem od ogromnych posągów i dalekiego, niewidocznego dachu. - Odmówiono mu, i to bardzo niegrzecznie. Nie przyjmuję tej odmowy, bo to, co tu przetrzymujecie, nie jest waszą własnością, ukradliście to. Chcę ujrzeć na własne oczy twarz Zdobywcy. Nie możecie mnie powstrzymać.

Szok malujący się na twarzach trzech starych był widoczny nawet dla Kristy, która dotarła tymczasem na drugi koniec pokoju. Za ostatnim posągami znajdowały się ukryte schody. Weszła na nie, przytrzymując się po omacku szorstkiej ceglanej ściany.

Najstarszy z kapłanów jakby przygarbił się na moment, potem jednak stanął prosto i uniósł dumnie głowę.

- Naszym obowiązkiem jest chronić rzecz, o której mówisz. Wielu próbowało poznać jej sekrety, lecz nikt nie zdołał tego dokonać. Ty także tego nie dokonasz, lecz tobie nie pozwolimy nawet spróbować.

Starzec uderzył w podłogę laską. Dwaj pozostali podnieśli ręce, a z ich ust wydobył się przeciągły jęk. Maksjan cął, jak ukryty świat wokół niego faluje i ztraca kształty. Podłoga zadrżała, a ogień w ścianach nagle zgasł. Książę podniósł ręce i wymówił trzy słowa.

Z jego dłoni wystrzeliły błękitne błyskawice, które wiły się z trzaskiem w powietrzu. Gajusz Juliusz i Alais, którzy podbiegli do przodu i stanęli obok niego, krzyknęli teraz z bólu, gdy łańcuch błyskawic objął ich ciała. Przerażeni Wołosi rzucili się do wyjścia. Nadfioletowy ogień otaczał księcia niczym mgłą, wypływał z jego oczu i otwartych ust. Abdmachus, zapomniany i pozostawiony przy drzwiach, krzyknął nagle z bólu i strachu. Błyskawice dosięgły także jego, zamykając go w wirującym kręgu mocy.

Nagle podłoga pod stopami księcia i jego dwójkiem towarzyszy zapadła się w otchłań wypełnioną ogniem. W trzech wielkich otworach huczały czerwone płomienie, głęboko w dole syczała i bulgotała rozpalona lava. Lecz książę nie upadł. Błękitne błyskawice unosiły całą trójkę w powietrzu. Płytki zakrywające podłogę rozsunęły się na boki, zostawiając pośrodku tylko siatkę wąskich ścieżek. Trzej starcy zaklęli głośno, kiedy książę i jego słudzy wylądowali na jednej z nich.

Maksjan rozeźmiął się i skierował moc ukrytą w ciałach truposza, wołoskiej kobiety i Persa do swego serca. Nagle zerwał się wokół niego

wiatr, potem pojawiła się kula jasnioletowego światła. Rozwścieczeni starcy wyciągali w jego stronę ręce, lecz przywołany przez nich strumień ognia został częściowo wchłonięty przez kulę, a częściowo skierowany na boki, gdzie zamienił się w żrącą ognistą mgłę.

Krista wbiegła wyżej na schody, kiedy powietrze w sali wypełniło się płomieniami. Wiatr przemknął obok niej z ogłuszającym świstem i uderzył w drewniane drzwi na górze schodów. Krista doskoczyła do nich, otworzyła je kopniakiem i wpadła do następnej komnaty. Była to jakaś świątynia, wielki ośmiokątny pokój, pośrodku którego wznosił się pojedynczy słup ognia. Rozpalone do białości płomienie otoczone były kręgiem ołtarzy. Sufit podtrzymywało sześć wielkich kolumn, między nimi wisiały sięgające podłogi jedwabne gobeliny. Podłoga była bardzo śliska; Krista przekonała się o tym, gdy upadła na ziemię i rpdjechała aż do podstawy jednego z ołtarzy. Dopiero wtedy oprzytomniała na tyle, by rozejrzeć się dokoła, a to co, zobaczyła, wprawiło ją w najwyższe zdumienie.

Podłoga wykonana ze szkła, była gładka i lśniąca niczym tafla jeziora. Ołtarze zrobiono z wypolerowanego marmuru, tak dokładnie obrobionego, że wydawał się niemal półprzezroczysty. Gobeliny wyszywane były złotymi i srebrnymi nićmi, a na każdym z nich widniał obraz jakiegoś lśniącego stworzenia ze złotymi skrzydłami.

Podłoga zadrżała nagle, a gdzieś w korytarzu rozległ się ogłuszający huk. Krista przetoczyła się na bok i wylądowała pod osłoną marmurowego ołtarza. Jeden ze starców wleciał do pokoju, jakby rzucony ręką olbrzyma, i uderzył w kolumnę. Jego ciało zawisło na mgnienie oka w bezruchu, a potem osunęło się na podłogę, zostawiając na białej powierzchni kolumny czerwoną smugę krwi. Drugi kapłan wszedł tyłem do pokoju. Jego twarz krwawiła, poznaczona maleńkimi nacięciami, powietrze wokół niego drżało bez ustanku, gdy niewidzialne siły uderzały w chroniące go tarcze. Nagle tuż przed nim zmaterializowała się płynna sieć o dwunastu bokach. Potem siatka rozpadła się, zrzucając na podłogę deszcz drobnych bładozielonych fragmentów. Kapłan zadrżał i chwycił się za pierś. Rozległ się dziwny trzask, jakby pękającego jajka, a starzec opadł bezwładnie na podłogę.

Krista odważyła się wysunąć głowę nad krawędź ołtarza. Na szycie schodów prowadzących do komnaty pojawiła się czarna ściana, przetykana błękitnymi błyskawicami. Wybiegł z niej najstarszy kapłan. Krista podniosła się z podłogi i przesunęła w bok. Gdy kapłan przebiegał obok ołtarza, jej przedramię uderzyło go z impetem w pierś. Kapłan otworzył szeroko oczy, kompletnie zaskoczony, a potem runął jak długi na podłogę. Krista natychmiast znalazła się przy nim, przycisnęła kolaniem jego gardło, a prawą ręką sięgnęła po nóż. Kapłan bulgotał coś, przerażony, gdy uderzyła go w skroń ręką. Starzec wyrzucił oczy i znieruchomiał.

W świątyni zapadła nagle przedziwna cisza, która aż dzwoniła Kristacie w uszach. Odciągnęła ciało starca na bok i związała mu ręce liną,

którą nosiła przy pasie. Potem oderwała fragment jego szaty i zakneblowała mu usta.

Ściana czerni pękła i zaczęła rozpylić się w powietrzu, a do komnaty ponownie wtargnął ryk płomieni. Po chwili na szczycie schodów pojawił się Maksjan, podtrzymywany przez Gajusza Juliusza. Przed nimi szła Alais, jej twarz rozpalona była jakimś wewnętrznym ogniem. Zniknął jej płaszcz, zerwany podczas walki z kapłanami. Pomarańczowe światło ognia podkreślało jej kształty, tańczyło na ostrzu włóczni, którą trzymała w dłoni.

Krista wytarła dłonie w nogawice i wstała.

- Już po wszystkim - zawołała, przekrzykując syk płomieni. - Ostatni kapłan jest tutaj.

Maksjan uśmiechnął się do niej, a potem opadł bezwładnie w ramiona Gajusza Juliusza. Stary Rzymianin opuścił go powoli na podłogę i odechnął z ulgą. Alais opuściła ostrze włóczni ku ziemi. Przysunęła się bliżej do Kristy, która odpowiedziała uśmiechem na jej drapieżne spojrzenie.

- Och, moja droga - mruzczała blondynka. - Myślałam, że zginęłaś. Jak dobrze widzieć cię całą i zdrową.

Krista odsłoniła w uśmiechu swe zęby, białe i długie, choć nie tak długie jak kły Alais.

- Też się cieszę, że cię widzę. Najadłaś się dzisiaj? Nie czujesz się już tak... staro?

Alais warknęła, dosłyszawszy nutę ironii w głosie Kristy. Podniosła włócznię, lecz Krista zrobiła krok do przodu i blondynka nie mogła użyć długiej broni. W jej ręce ponownie pojawił się nóż.

- Wiesz, czego chce książę. Nie będzie zadowolony, kiedy się dowie, że zabiłaś większość mieszkańców tego pałacu...

- Wiem, czego pragnie książę - odparowała Alais groźnym, zimnym głosem. - I w odróżnieniu od ciebie daję mu to.

- Szkoda mi czasu na rozmowy o twoich fantazjach - syknęła Krista. - Mamy jeszcze sporo do zrobienia.

Przeszła obok blondynki, niemal odpychając ją na bok. Z trudem ukryła zaskoczenie, gdy wyczuła pod jej delikatną skórą twarde jak stal mięśnie. Książę leżał na plecach, a Gajusz Juliusz rozcierał mu nadgarstki.

Krista przykucnęła obok starego Rzymianina.

- Co się dzieje? - spytała na pozór spokojnie, choć stan księcia mocno ją niepokoił.

Gajusz Juliusz podniósł na nią wzrok. Był przerażony.

- Złamanie ostatniej bariery było zbyt wyczerpujące - wyszeptał. - Jest zimny, bardzo zimny...

Krista zmarszczyła brwi i ujęła głowę księcia w dłonie. Był zimny jak lód. Zakłęła cicho i odszukała jego puls.

- Wygląda tak samo jak wtedy w egipskim domu, kiedy jego ciało przeniknęło zbyt wiele mocy. Musimy napoić go czymś ciepłym, jakąś zupą.

Krista wstała i rozejrzała się dokoła zamyślona. Wielka komnata zamieniła się w morze ognia, przecięte tylko siatką wąskich ścieżek; nie odważyłaby się przenieść tamtędy ciała księcia. W komnacie świątynnej nie było niczego, co mogłoby się jej przydać. Zmarszczyła brwi, chwytając jakąś ulotną myśl. Kapłan dokądś biegł. Odwróciła się w jego stronę.

Alais podnosiła się właśnie znad ciała starego kapłana. Jej twarz była rozpalona, oczy błyszczały jasno. Na jej policzku widniała smuga świeżej krwi. Krista zakłęta, czując, jak zalewa ją fala ogromnego gniewu. Podeszła szybko do wołoskiej kobiety i uderzyła ją pięścią w ucho. Alais straciła równowagę i poleciała na najbliższy ołtarz.

- Idiotko! - warknęła Krista. - Tylko on znat wszystkie sekrety tego miejsca!

Alais zerwała się na równe nogi. Wściekły grymaś wykrzywił jej twarz, długie zęby błyszczały w blasku ognia. Krista stanęła w pozycji walki, długi nóż tańczył przed nią w powietrzu. Alais poderwała się do skoku szybciej niż kot. Z jej palców wysunęły się długie, ostre jak brzytwa szpony. Krista zbiła atak uderzeniem z góry i postąpiła o krok do przodu, wbijając łokieć w twarz przeciwniczki. Alais zawyła z bólu i odleciała do tyłu.

Gajusz Juliusz odciągał ciało księcia na bok, w cień.

Alais ponownie zaatakowała, tnąc powietrze czerwonymi od ognia szponami. Krista odskoczyła do tyłu, wciąż trzymając przed sobą nóż. Poczula za sobą gładką powierzchnię kolumny i wybiła się w górę, mierząc lewą nogą w głowę Alais. Wołoszka zrobiła unik i zamierzyła się szponiastą dłonią na wewnętrzną stronę uda Kristy. Rzymianka błyskawicznie opuściła prawą rękę, w której trzymała skierowany ku ziemi nóż. Alais znów zawyła z bólu, kiedy jej dłoń natrafiła na stalowe ostrze, które przecięło błonę między palcami.

Krista opadła *rfe.* ziemię, przetoczyła się przez ramię i błyskawicznie poderwała na równe nogi. Alais zachodziła ją od lewej, pochylona nisko nad podłogą. Krista ponownie zaatakowała, markując cios nożem. Wołoszka odsunęła się na bok i wyprowadziła kopnięcie z obrotu. Podkuty stała obcas otarł się o głowę Kristy, a jego ostra krawędź zaplątała się na moment we włosach i przecięła podtrzymującą je skórzaną opaskę.

Krista odskoczyła na bok, unikając kolejnego kopnięcia. Poczula pod stopą krawędź jaja wyższego stopnia schodów. Alais niespodziewanie odsunęła się do tyłu, Krista mogła więc zrobić krok do przodu i oddalić się od niebezpiecznej stromizny schodów. Tymczasem blondynka podniosła z podłogi swą włócznię. Krista poczuła, jak ogarnia ją zimny strach, zdążyła jednak wyjąć zza pasa wygięty żelazny hak przymocowany do długiej liny, którą obwiązana była w pasie. Alais ruszyła naprzód, włócznia tańczyła w jej rękach, lśniące ostrze cięło powietrze.

Krista odsunęła się do tyłu, w pośpiechu odwijając linę z talii. Wołoszka wydała z siebie przeraźliwy okrzyk i skoczyła do przodu, zamierzając się do ciosu. Krista odskoczyła na bok, a ostrze włóczni przecięło po-

wietrze w miejscu, w którym jeszcze przed momentem znajdowała się jej szyja. Potem wzięła szeroki zamach i wyrzuciła przed siebie hak, by mgnienie oka później przyciągnąć go z powrotem. Alais zdążyła się uchylić, gdy hak leciał w jej stronę, zawyła jednak z bólu, gdy w drodze powrotnej wbił się w jej ramię. Krew trysnęła fontanną, a Alais zawyła z wściekłości. Włócznia w jej ręce zatoczyła półkole i uderzyła Kristę w pierś.

Ciężkie, wzmocnione żelazem drzewce rzuciło Rzymiankę na kolumnę przy schodach, łamiąc jej co najmniej dwa żebra i pozbawiając tchu. Głowa Kristy uderzyła z nieprzyjemnym trzaskiem o marmur, pozbawione sił palce wypuściły nóż. Lina zakończona hakiem wciąż owinięta była wokół jej ręki, a hak ciągle tkwił w ramieniu Wołoszki. Alais, płacząc z bólu, wyciągnęła hak z ciała. Jej dłoń zamknęła się na linie w żelaznym uścisku. Krista próbowała się podnieść, lecz świat wirował jej przed oczami, mętny i rozmazany. Dwie, potem trzy jasnowłose kobiety o zakrwawionej ręce kołysały się i kręciły przed nią.

Alais pociągnęła za linę, a Krista poleciała w jej stronę. Prawa ręka Wołoszki pochwyciła Rzymiankę, szpony wbiły się w gardło. Krista zacharczała, czując, jak twarde, niesamowicie silne palce Alais miażdżą jej tchawicę. Próbowała uderzyć ją w twarz, lecz Wołoszka trzymała ją w wyciągniętej prosto ręce, stopę nad ziemią.

Alais roześmiała się ponuro, patrząc, jak Rzymianka wiję się w jej uścisku.
*

Palce Kristy wbiły się w ramię blondynki, próbowały nacisnąć odpowiedni nerw i pozbawić ją siły w ręce, lecz mięśnie Alais były twarde jak granit. Coraz głośniejszy szum wypełniał uszy feristy, zrobiło jej się ciemno przed oczami. Twarz Alais, wykrzywiona straszliwym uśmiechem, niknęła w tunelu wirującej szarości. Krista zgięła lewą rękę, a wyrzutnia sama wsunęła się w jej dłoń. Nacisnęła kciukiem spust.

Żelazna strzała wbiła się prosto w lewe oko Alais, z którego trysnął strumień krwi. Wypolerowany metal okrył się zielonym płomieniem, gdy zaczęło działać zaklęcie nałożone przez Maksjana wiele tygodni wcześniej. Z ust i drugiego oka Wołoszki wypłynęło zielone światło. Zdawało się, że Alais krzyczy, Krista jednak nic już nie słyszała. Jej ciało, wypuszczone wreszcie z żelaznego uścisku, opadło bezwładnie na marmurową posadzkę.

Gajusz Juliusz zbliżył się ostrożnie do dwóch nieruchomych ciał. Wcześniej odciągnął księcia na bok i przyglądał się walce dwóch kobiet z bezpiecznej odległości. Teraz Krista leżała nieruchomo na schodach, w połowie drogi na dół. Alais, zwinięta w kłębek, spoczęła na najwyższym stopniu. Zielony ogień zniknął, pozbawiwszy ją życia. Truposz uklęknął obok niej i odgarnął z jej twarzy wysuszone włosy.

- Byłaś zbyt łakoma, koteczku - wyszeptał. - Za dużo śmietanki...

Zszedł kilka stopni w dół i uklęknął obok Rzymianki. Wciąż żyła, choć na jej szyi pojawiały się wielkie fioletowe siniaki. Gajusz Juliusz

pokręcił głową, zastanawiając się, co robić. Potem pomyślał o księciu i własnej kruchej śmiertelności. Westchnął ciężko i wstał.

Alais była lekka, jej ciało pozbawione kości i wiotkie. Gajusz Juliusz zniósł ją na sam dół i stanął na krawędzi otchłani wypełnionej ogniem. Od momentu śmierci najstarszego kapłana płomień zaczęły przygasać, nadal jednak w głębi ukrytej pod podłogą przepaści falował płynny żar. Truposz uniósł ciało kobiety nad głowę i rzucił je przed siebie. Alais runęła w dół, by po chwili zniknąć w objęciach ognia. Po chwili z otchłani wypłynął obłok czarnego dymu. Gajusz Juliusz obserwował przez chwilę, jak wznosi się ku sufitowi, a potem wrócił do żywych.

Ognie przygasały powoli, a ogromna sala wypełniała się mrokiem. Spomiędzy resztek rozbitych posągów wyrzały ostrożnie głowy tych, którzy kryli się dotąd w ciemności. Po drugiej stronie komnaty, za otchłanią żaru, stała nieruchoma postać Chirona czekającego na rozkazy swego pana. Prawa ręka homunkulusa trzymała za szyję ciało nieprzytomnego Persa. Z tyłu kulili się wołoscy chłopcy, przerażeni i zdeorientowani. Chiron wpatrywał się w ciemność objętym wzrokiem.

OKOLICE MIASTA GANZAK, PÓŁNOCNA PERSJA

V *if* ohorta odpoczywała na skraju drogi obok wciągniętych na krótko I V.ką, brązową trawę wozów. Większość weteranów spała. Zoe, Odenatus i Dwyrin przysiedli na polnym kamieniu, odwróciwszy plecami do cisów, które wyrosły za głazem. Dalej rozciągało się puste pole, sięgające kolejnej ligii drzew. Za drzewami wznosiły się łagodne, okrągłe wzgórza porośnięte z rzadka krzewami i drzewami. W powietrzu unosił się kurz, rzadki cień cisów nie dawał wystarczającej ochrony przed palącymi promieniami słońca. W górach wyrastających na północy, za pasmem wzgórz, padał śnieg, a powietrze skrzyło się od mrozu. Tutaj, w osłoniętych dolinach, które tubylcy nazywali Azerbejdżanem - krainą ognia - wciąż trwała ciepła jesień.

Drogą przejechał oddział *clibanari*. Jeźdźcy ustawieni w luźnym szyku zsunęli z głów hełmy i przewiesili je przez ramiona, włócznie spoczywały w specjalnych uchwytych. Kopyta ich koni wzbijały w powietrze jeszcze więcej kurzu, który opadł na trójkę młodych magów. Kurz towarzyszył im już od wielu tygodni, odkąd armia zjechała z gór. Słysze-li, że armie Wschodu i Zachodu rozdzieliły się na dwie wielkie kolumny i maszerowały na południe wzdłuż osi doliny, nie pozostawiając na swej drodze niczego, co mogłoby się przydać komuś innemu. Dwyrin mógł się o tym przekonać na własne oczy, gdy przejeżdżali przez wypalone miasta i złupione wsie.

Jeźdźcy zniknęli za zakrętem, pozostawiając za sobą tylko obłok kurzu. Dwyrin, który z braku lepszego zajęcia splatał łodygi traw, podniósł wzrok, usłyszawszy stukot końskich kopyt.

- Ktoś... - zaczął mówić do Zoe, lecz jeździec wychynął już zza zakrętu ścieżki, schylony, by nie zawadzić o niskie gałęzie drzew - ...tu jedzie.

Posłaniec zwolnił i zatrzymał konia przed odpoczywającą kohortą. Młody jeździec pokryty był błotem i kurzem drogi. Miał na sobie skórzane ubranie i kapelusz typowy dla kurierów Cesarstwa Wschodniego. Uzbrojony był w miecz przyczepiony z tyłu jego siodła i przewieszony przez plecy łuk i kołczan ze strzałami. Pochylił się w siodle, rozmawiając z Kolonną i Blankiem. Dwyrin widział, że centurion i ouragos nie podnieśli się z ziemi, a to oznaczało, że człowiek na koniu nie przewyższał ich rangą.

Dwyrin powrócił do splatania traw. Zoe drzemała, wsparta na jego ramieniu, Odenatus spał, pochrapując z lekka. Po zwycięstwie nad rzeką Kerenos armia niemal natychmiast wyruszyła na południe. Rozproszeni Persowie nawet nie próbowali powstrzymać Rzymian od przejścia przez przełęcz nad Dastewanem. Taumaturgowie nie mieli praktycznie żadnego zajęcia, nie oznaczało to jednak, że mogli odpoczywać. Przez ostatnie tygodnie maszerowali całymi dniami, rozbijali obóz wieczorem tylko po to, by zwinąć go ponownie wczesnym rankiem. Stracili dwa wozy, przechodząc w bród przez rzekę, i nie mieli czasu, by zbudować lub ukraść nowe. Dwyrin przez cały dzień był dziwnie podenerwowany i nie mógł się nawet zdrzemnąć. Próbował się uspokoić, zajmując ręce bezmyślnym splataniem i rozplataniem traw.

- MacDonald! - Blanco, wyrwany z drzemki, usiadł prosto i przywołał Dwyrina. Hibernijczyk zeskoczył z głązu i podbiegł do śpiących żołnierzy. Tymczasem goniec zsiadł z konia, by rozprostować nogi. Był młody, choć podobnie jak wszyscy żołnierze armii dwóch cesarstw, miał zmęczone, coraz starsze oczy. Wyglądał na wyczerpanego i niewyspanego.

- Oto twój specjalista - powiedział Blanco, gdy Dwyrin dotarł do trójki mężczyzn. - Odstaw go tylko z powrotem, kiedy zrobi swoje.

- Centurionie... - Dwyrin starał się nie okazywać zdenerwowania. Blanco ułożył się z powrotem na trawie i naciągnął kapelusz na oczy. Kolonną puścił oko do Dwyrina i także powrócił do drzemki. Pozostawiony samemu sobie Hibernijczyk odwrócił się do gońca. Ten drapał się o brudnej zakurzonej brodzie.

-E...tak?

Goniec zmierzył go spojrzeniem i zmarszczył brwi.

- Jesteś taumaturgiem? - Wydawał się zbyt zmęczony, by okraścić to pytanie szyderczym uśmiechem.

- Tak jest. Dwyrin MacDonald, trzeci z trójki, kohorta Ars Magica.

- No i dobrze. Masz pojechać ze mną do głównej kwatery. Zabierz swoje rzeczy. Potrzebują eksperta i padło na ciebie.

Kurier nie zawiózł Dwyrina do kwatery głównej. Dwie mile dalej, przy moście nad wartkim strumieniem, natknęli się na oddział Waregów w czerwonych płaszczach i kolczugach. Dowodził nimi młody Grek z gęstą rudą brodą i jasnymi oczami o przeszywającym spojrzeniu. Kurier przekazał mu Dwyrina, a sam zjechał na skraj drogi i przysiadł na trawie. Dwyrin był nieco zaskoczony tym nieoczekiwanym obrotem spraw, ruszył jednak posłusznie za oficerem, kiedy jego oddział skręcił w jakąś boczną dróżkę.

Jechali między wzgórzami, wzdłuż doliny, mijając po drodze winnice i sady nie tak dawno jeszcze ciężkie od owoców, teraz zniszczone i spalone. Domy i dwory stojące pośród pól były puste - nawet pies na nich nie zaszczekał, kiedy przejeżdżali obok bramy. Gdy wreszcie pod koniec dnia dotarli na szczyt wzgórza, Dwyrin cicho zagwizdał.

Na zboczu terasowatego urwiska wznosił się ogromny budynek. Z boku góry wyrastały trzy szerokie platformy, każda dwukrotnie wyższa od normalnego budynku. Wzdłuż każdego z pięter ciągnęły się rzędy kolumn, wysokich i białych. W wieczornym półmroku lśniły niczym białe świece. Pierwsze dwa poziomy przykryte były kopułami, trzeci jednak zwieńczony był wielką okrągłą wieżą wyrastającą ze szczytu stożkowatego dachu. Ze szczytu wieży wypływał czerwony blask podświetlający chmury dymu wiszące nad budynkiem. Wszędzie panowała niesamowita cisza.

Grek podjechał Dwyrina i pochylił się ku niemu, opierając rękę na łęku siodła.

- To jest świątynia Żywego Ognia, chłopcze, święte miejsce zoroastrian. Słyszałeś o nich bogu zwanym Ahura Mazda i jego proroku Zoroastrze? - Grek mówił czystą łaciną z ledwie słyszalnym, delikatnym akcentem.

Dwyrin spojrzał mu w oczy i doznał niemal fizycznego szoku. Ten człowiek był kimś przyzwyczajonym do wydawania rozkazów i rządzenia.

- Niewiele, panie - odparł, uspokajając konia, który przestraszył się wielkiego kasztanowatego ogiera Greka. - Wiem tylko tyle, że czczą ogień i składają mu ofiary.

- Pewnie z małych dzieci - dodał Grek cierpkim tonem. - Palą je żywcem w wielkich piecach...

Dwyrin zaczerwienił się i pokręcił głową.

- Nie, panie, nic-takiego nie słyszałem. Ale niewiele wiem o ich wierze.

- Cóż, chłopcze, nie mam teraz czasu na dłuższe pogawędki, powiem ci tylko to, co najważniejsze. Ten budynek, zajęty obecnie przez wojska cesarstwa, przez ludzi pod moim dowództwem, to centrum ich wiary. Wszystkie świątynie ognia w tym kraju, nawet te w wielkich miastach, Ktezyfonie i Seleukei, mają żywy ogień pochodzący z tego pierwszego ognia ich wiary. W tym budynku płonie ogień, który nigdy nie umarł, ogień wzniecony przez Zoroastra, ogień, który miał zwyciężyć ciemność i zepsucie.

Dwyrin ponownie spojrzał na drugą stronę doliny. Świątynia była nie tylko ogromna, ale i bogata, zbudowana z najlepszego marmuru

i drewna. Powierzchnie ścian i sufitów zdobiły ogromne płaskorzeźby. Ryk ognia płonącego w wieży wybijał się ponad wieczorne pokrzykiwania ptaków i rozmowy otaczających go żołnierzy.

- Po co tu przyjechałem, panie? Gонец powiedział, że potrzebujecie eksperta, ale ja nic nie wiem o tym bogu czy jego kapłanach. Umiem tylko przywoływać ogień...

- Otóż to. - Grek skinął głową. - Chodź, pokażę ci, co musisz zrobić.

Szerokie, długie schody wysokości stu stóp łączyły najniższy poziom budynku z wejściem do wieży na jego szczycie. Ściany korytarza ozdobione były marmurowymi płytami, na których wykuto płaskorzeźby przedstawiające jakieś sceny religijne. Wzdłuż schodów stali gwardziści w czerwonych płaszczach, z włóczniami i pochodniami w dłoniach. Greci oficer szedł pierwszy, przestępując po dwa stopnie naraz, Dwyrin truchtał za nim. Wydawało się, że rudobrody oficer nigdy się nie męczy, choć z pewnością spędzał całe dnie w siodle. Na szczycie schodów znajdowało się wielkie sklepienie przejście prowadzące do długiej arkady ciągnącej się na lewo i na prawo.

Kolumny arkady miały kształt płomieni wypływających z okrągłych kamiennych podstaw, które z kolei pokryte były rzeźbami przedstawiającymi ludzi dręczonych przez jakieś demoniczne stworzenia o okrutnych twarzach i ludzi pozbawionych oczu. W górze, przy głowicach, unosiły się skrzydlate postacie o łagodnych twarzach, które pomagały innym ludziom wznieść się ponad ogień. Dwyrin zadrżał. Wyczuwał coś dziwnego w powietrzu wypełniającym to miejsce, jakoby tłoczyły się wokół niego jakieś wspomnienia i obrazy z odległej przeszłości. Stąpali po podłodze wykładanej marmurem o czerwonych żyłkach, przeszli przez wysokie, masywne drzwi, potem następne, minęli oddziały Germanów i Sarmatów. Barbarzyńcy wydawali się podenerwowani, rozglądali się uważnie na boki, kiedy Grek i Dwyrin przechodzili obok nich. Było bardzo cicho, z dala dochodził tylko ryk płomieni.

Korytarz otwierał się na wielką, okrągłą komnatę. Podłoga komnaty zmieniła się w szerokie stopnie prowadzące do głębokiego otworu; przypominało to amfiteatr. Wokół otworu wznosiły się grube, wysokie kolumny podtrzymujące okrągły sufit pomalowany na wzór nocnego nieba, wypełniony konstelacjami, księżycami i planetami. Na szerokich stopniach znajdowały się miejsca siedzące dla tysięcy osób, które mogły obserwować otwór i wypływający z niego ogień.

Za ogniem znajdował się ogromny posąg mężczyzny klęczącego na jednym kolanie. Miał królewską twarz, groźną, majestatyczną i mądrą jednocześnie. Ciało posągu było potężnie umięśnione, niczym ciało Herkulesa, a na jego plecach spoczywały planety i niebo wyrzeźbione w brązie i precyzyjnie pomalowane. Uda olbrzymia okrywała spódniczka z grubych arkuszy metalu. Dwyrin nigdy jeszcze nie widział tak wielkiego dzieła sztuki.

- Oni czczą Atlasa? - Jego głos słabo zabrzmiał w tak wielkim pomieszczeniu.

- Nie. - Grek roześmiał się, spoglądając nań z rozbawieniem. - To Chosroes, Król Królów. Nie brakuje mu ambicji, tego możesz być pewien.

U stóp posągu, w otworze obwiedzionym obsydianem, ryczał ogień. Był niemal biały, nie wypełniał jednak komnaty straszliwym gorącem. Dwyrin bez namysłu ruszył do przodu, jakby pchany jakąś wewnętrzną siłą. Grek szedł za nim, trzymając rękę na rękojeści miecza. Słup ognia nie dotykał dna wgłębienia, wisiał jakieś dziesięć stóp nad podłogą. Płomienie strzelały w górę, sięgając cylindrycznego otworu w dachu komnaty. Wnętrze otworu wyłożono lustrami, tak że blask ognia jaśniał, ponad świątynią. W górze widać było także chmury pędzące po niebie, podświetlane niesamowitą czerwoną poświatą.

Dwyrin czuł, jak jego umysł odrzuca zwykłe, zmysłowe postrzeganie, i nie próbował się temu sprzeciwić. Płomienie zaczęły się rozrastać, wypełniły najpierw całą komnatę, a potem cały świat. Dwyrin tkwił zawieszony w ogromnym wirze ognia. Potem ujrzał w dali wielką, lekko spłaszczoną kulę. Jej powierzchnię raz po raz przecinały długie linie ognia, niektóre wylatywały ponad kulę, by potem zatonać w niej z powrotem. Owa kula, ten wszechświat światła, była żywa. Dwyrin czuł niezwykle złożony wzór form i energii, które gotowały się i dymiały w jej wnętrzu.

Ruszył w jej stronę. Jeszcze przed chwilą drżał ze strachu, był przekonany, że zostanie wchłonięty, rozproszony przez coś tak wielkiego, teraz jednak gotów był to przyjąć. Wszedł w wewnętrzną skorupę ognistego światła, czując, jak opływa go jakiś eteryczny wiatr. Powierzchnia kuli wykrzywiła się nagle, a potem otworzyła przed nim niczym wielki kwiat lotosu. W ślodku znajdowało się coś jasnego. Podpłynął bliżej.

Ocknął się nagle, gdy czyjaś mocna ręka potrząsnęła go za ramię. Rozejrzał się dokoła oszołomiony. Grecki oficer pochylał się ku niemu.

- Możesz zgasić ten ogień?

- Co? - Dwyrin potrząsnął głową. Głos Greka był bardzo słaby, jakby docierał doń z dna głębokiej studni. Dwyrin uświadomił sobie, że dzwoni mu w uszach.

- Potrafisz przywołać ogień ze zwykłego kamienia. Wiem o tym, byłem w Tauris. Możesz go także odesłać?

Dwyrin spojrział na Greka, potem na słup ognia, wreszcie rozejrzał się dokoła, widząc po raz pierwszy ponurych gwardzistów i żołnierzy stojących między kolumnami. Nie dostrzegł ani jednego kapłana. Grek mocniej ścisnął mu ramię i obrócił go ku sobie.

- Możesz to zrobić? - spytał, wpatrując się weń natargiwie. - Ktoś musi to zrobić.

Dwyrin poczuł dziwny ucisk w piersiach. Czuł, jak wola oficera napiera nań, zmusza go do posłuszeństwa. Jednocześnie piękno ognistego kwia-

tu przyzywało go do siebie, śpiewało w jego umyśle. To była rzecz, której szukał od dawna, której pragnął jak wody na pustyni, choć do tej pory nie zdawał sobie z tego sprawy. Spojrzał ponownie na oficera, nie zauważywszy nawet, że germańscy gwardziści podchodzą coraz bliżej, a ich miny nie wróżą nic dobrego. Myśl, że coś tak pięknego może umrzeć, zostać wyrzucone ze świata, rozdzierała mu serce. *Co się stanie ze światłem?*

- Możesz to zrobić? - Oficer trzymał go teraz za ramiona i wpatrywał mu się w oczy. - Powiedz mi, chłopcze. To bardzo ważne.

- Co się wtedy stanie? - Dwyrin miał kłopoty z mówieniem, udało mu się jednak wydobyć głos z gardła. - Co się stanie, kiedy ogień zgaśnie?

- Wtedy umrze także wola kapłanów Ahura Mazdy - odparł oficer, prostując się. - Jesteśmy daleko od domu, MacDonalddie, w obcym kraju, otoczeni przez nieprzyjaciół. Ich wiara, ich kapłani dają im wolę i siły do walki z nami. Jeśli pokażemy, że nasza moc i nasi bogowie są silniejsi od nich, wielu z pewnością się podda. Pozostali stracą serce do walki. Cesarze potrzebują pomocy każdego rodzaju, wszystkiego, co da się wykrzesać ze skały i kamienia. Potrzebują także twojej pomocy. Możesz zgasić ten ogień?

Nie! - krzyknęła część umysłu Dwyrina, próbując zawładnąć jego językiem i głosem. Ten ogień nie może zgasnąć! Jeśli tak się stanie, ziemię ogarnie ciemność uwolniona z łańcuchów, które nałożył na nią Zoroaster!

- Tak - odparł, dziwiąc się własnym słowom. Inne moce przedostały się do jego umysłu. Jego lewe ramię było zimne jak lód. Próbował wypowiedzieć inne słowa, własne słowa, jednak nie umiał. - Zgaszę ten ogień.

Grecki oficer uśmiechnął się i zdjął ręce z jego ramion. Gwardziści wrócili na swoje miejsca, rozmawiając między sobą, Dwyrin odwrócił się, choć toczył wewnętrzną walkę, jego umysł próbował odzyskać kontrolę nad ciałem, nie mógł jednak znaleźć żadnego punktu zaczepienia. Jego ciało schodziło po stopniach równym, spokojnym krokiem, by wreszcie stanąć na śliskich marmurowych płytkach otaczających zagłębienie. Potem podniosło ręce.

Słup ognia syczał i huczał, wił się niczym płatanina wielkich ogniowych węży. Dwyrin spojrzął w dół, na dnie zagłębienia dostrzegł jednak tylko płytki podobne do tych, którymi wyłożono podłogę. Nie było tam żadnego drewna, niczego, co mogłoby służyć za opał. Ogień wypływał z powietrza, najpierw jasnoniebieski, potem oślepiająco biały. Spojrzał ponownie w górę, na odległy krąg nocy zawieszony nad jego głową. Chmury sunęły w jednostajnym pochodzie nad świątynią.

- Ogniu, chodź do mnie - powiedział, krzyżując ręce na piersiach. Zamknął oczy.

W jego wnętrzu znów toczyła się walka. Poczł falę chłodu, która przyprowadziła go o dreszcze, potem na jego twarz i ramiona wystąpiły krople potu. W jego wnętrzu zrodził się drugi słup ognia, wirował wokół kręgosłupa. Lód uderzył weń, zabijał cząstkę po cząstce. Wreszcie został tylko jeden maleńki płomyk zawieszony tuż nad jego żołądkiem.

Z dala dobiegły doń krzyki przerażonych ludzi. Nagle poczuł potężny wiatr, otrzymał cios prosto w brzuch. Otworzył oczy, przestraszony. Żywy ogień wykrzywił się, odsunął od ziemi, strumień białego ognia wpływał teraz w jego pierś. Cofnął się o krok, lecz strumień przesunął się wraz z nim. Zaczął krzyczeć ze strachu, lecz ogień go nie pochłoniął. Jasny punkt w jego przeponie kręcił się i wirował, wciągając płomień. Strumień ognia z sykiem osuwał się w wielką otchłań, krył w jednym maleńkim punkcie. Łód napierał nań ze wszystkich stron. Dwyrin stracił czucie w palcach u rąk i nóg.

Słup ognia skurczył się nagle, by potem runąć w dół zagłębienia. Komnata zatrzęsała się od ogromnego huku i nagle pogrążyła się w całkowitych ciemnościach. Dwyrin opadł na kolana. Jego skórę pokrywała warstwa szronu. Drżał na całym ciele. W całej komnacie z powietrza spadały płatki popielatego śniegu. Było straszliwie zimno. Wyżej, na stopniach, grecki oficer i jego żołnierze podnosili się z podłogi, ogłuszeni i przerażeni.

Dwyrin zwinął się w kłębek, próbując ogrzać ręce i nogi. Było mu straszliwie zimno. Jego ciało trzęsło się, wypełnione ukrytym gdzieś w głębi pomrukiem radości i przyjemności. Dwyrin czuł, że robi mu się niedobrze; nigdy jeszcze nie doświadczył czegoś podobnego. Wciąż padał śnieg, okrywając podłogę warstwą białego puchu. Płatki lądowały mu na twarzy, przyklejały się do jego długich warkoczy.

Resztki ciepłego lata odeszły już w przeszłość, ziemię spowiło zimne powietrze, które tak długo nie mogło wdrzeć się w doliny. Rzymska armia maszerowała na południe w chłodnej mgłę i powracającym bez ustanku deszczu. Dwyrin szedł z pochyloną głową, krople deszczu uderzały w jego słomiany kapelusz. Przed deszczem chroniła go także futrzana peleryna narzucona na wełniany płaszcz. Musiał stąpać ostrożnie, by nie pośliznąć się w warstwie rozdeptanego błocka zalegającej na drodze; deszcze zaczęły zamieniać drogi prowadzące na południe, do Eufratu, w błotniste strumienie. Pogoda przypominała mu rodzinny dom, choć był pewien, że na końcu drogi nie czeka nań palenisko i miska gorącego gulaszu z cebulą przygotowanego przez jego matkę, lecz zimny obóz przy drodze i zapleśniały chleb z kawałkiem solonej wieprzowiny.

Dwyrin szedł gstatni w kolumnie taumaturgów, nawet za Kolonną, zauważył więc, że wkroczyli do wioski dopiero wtedy, gdy minęli pierwsze zrujnowane domy. Gdy podniósł głowę, zobaczył, że kolumna skręca w lewo w ulicę, wzdłuż której ciągnęły się pobielone domy i ogrodzone płotem ogródki. Okna domów były otwarte i puste, ściany - okopcone. Z zapadniętych dachów wystawały resztki zwęglonych belek. Błoto na ulicach, przemieszane z popiołem i sadzą, tworzyło czarną, kleistą papkę. Hibernijczyk zadrżał - nie z zimna, które nie było nawet w części tak dokuczliwe jak chłód w jego rodzinnych stronach, lecz pod dotykiem jakiejś ponurej tajemnicy wypełniającej przestrzeń między domami.

Gdy dotarli do niewielkiego skrzyżowania, gdzie jedna droga skręcała w lewo, prowadząc w górę zbocza, druga zaś w prawo, w stronę nadrzecznych równin, Dwyrin przystanął. Usłyszał dziwne trzaski, jakby stukanie metalu o kamień, dochodzące z drogi po lewej stronie. Spojrzał do przodu, ujrzał jednak tylko zgarbione plecy towarzyszy, zmierzających powoli w stronę rzeki. Potem znów doszedł go ów stuk, uderzenia młotka lub innego narzędzia. Z szarego nieba wciąż spadały krople deszczu.

Dwyrin poprawił pas i rzemienie podtrzymujące na plecach torbę i posłanie, a potem ruszył żwawym krokiem w górę drggi po lewej. Wyczuwał pod stopami bruk przykryty cienką warstwą błota. Na szczycie wzgórze, nieco oddalony od pozostałych budynków, stał solidny drewniany dom ze spiczastym, krytym dachówką dachem. Jako jeden z niewielu w całej wiosce nie został spalony, a przynajmniej nie tak, by widać to było z zewnątrz. Dwyrin podszedł bliżej i stanął w wejściu obok wyrwanym z zawiasów drzwi.

Wnętrze budynku niemal w całości zajmowała *dnia* komnata, ograniczona dwoma szeregami kolumn. Pośrodku komnaty znajdowało się okrągłe zagłębienie obwiedzione czarnymi kamieniami. Dwyrin poczuł zimny dreszcz na karku. Potarł zziębnięte ramiona. Z góry, przez okrągły otwór w dachu, do wnętrza komnaty wpadało szare światło dnia. Na krawędzi zagłębienia siedział przygarbiony starzec i uderzał o siebie dwoma kamieniami. Przed nim, na kamieniu, stała niewielka piramidka z drobnych gałązek i trawy, obok leżało kilka drew. Starzec miał zakrzywiony, niemal haczykowany nos, gęste, krzaczaste, białe jak śnieg brwi i długą, rozwidloną brodę. Był wychudzony, skóra na jego twarzy wyglądała jak mocno naciągnięty pergamin.

- Zimno wam, ojczy? - Głos Dwyrina odbił się echem od kopulastego sufitu budynku.

Starzec podniósł nań wzrok.

- Wszystkim jest zimno, chłopcze. Ogień zgasł. Widzisz?

Dwyrin podszedł do krawędzi otworu. Na dnie leżały zwęglone resztki drewna, przykryte teraz cienką warstwą wody. Starzec raz po raz uderzał kamieniem o kamień, usiłując skrzesać iskrę i rozpalić małą piramidkę. Dwyrin odsunął się i złożył bagaż na podłodze.

- Pozwól, że ja to zrobię - powiedział, zacierając dłonie.

Starzec podniósł nań jasne, lśniące oczy. Pokręcił głową.

- Nie - odparł chropawym głosem. - To mój ogień. Będę tu siedział, dopóki sam go nie rozpalę.

Dwyrin usiadł obok niego i objął rękami kolana.

- Nie jest wam chłodno? Pada deszcz, idzie zima...

- Tak, tak - odparł starzec, kiwając głową. - To będzie ciężka zima. Dużo deszczu, dużo śniegu w górach. Wszystkim będzie trudno. Ale to mój ogień i muszę poświęcić mu odpowiednio dużo czasu.

Dwyrin zmarszczył brwi. Ogień nie był czymś, czemu należałoby poświęcać dużo czasu. Widział, że ręce starca drżą już ze zmęczenia. Przesunął się bliżej.,

- Mam krzemień... - zaczął mówić, lecz starzec spojrział nań groźnie i przesunął się tak, by oddzielić Hibernijczyka od sterty chrustu.

- To mój ogień - powtórzył z naciskiem. - Jeśli chcesz rozpalić własny, zrób to. Mojego nie można poganiać, przynaglać. Ogień przyjdzie sam, kiedy zechce, na swój sposób. Krzeszę go dwoma kamieniami - jeden jest z góry Ormuzd, a drugi z góry Aryman. Właśnie w ten sposób światło przychodzi na świat.

Starzec odwrócił się plecami do Dwyrina i ponownie zaczął uderzać kamieniem o kamień. Dwyrin zmełł w ustach przekleństwo i wstał. Krople deszczu z kaptura spływały mu po plecach. Był pewien, że minie jeszcze wiele czasu, może wiele dni, nim starzec rozpali wreszcie swój ogień. Przez okrągłą dziurę w suficie widać było ciężkie chmury gromadzące się na niebie - wkrótce mógł spaść śnieg. Nie zważając na słowa starca, Dwyrin podszedł do zagłębienia i spojrział w dół.

Powierzchnia wody zalegającej na dnie otworu pokryta była warstwą oleju, który tłumiał niewielkie fale wzbudzone przez spadające nań krople deszczu. Dwyrin pomyślał o słupie ognia w świątyni, którą odwiedził kilka dni temu. Gdy wyjeżdżali z niej wraz z greckim oficerem i jego ludźmi, całą dolinę okrywała ciemność. Dwyrin nawet nie obejrzał się wtedy za siebie, taki był osłabiony i chory.

Hibernijczyk podniósł rękę, czując, jak moc wpływa weń szerokim strumieniem. Węgla na dnie zagłębienia zaczęły syczeć, a woda parować. To takie proste, pomyślał z uśmiechem. Jeden z węgla rozżarzył się czerwienią, a oleista woda zaczęła się gotować. Z otworu wypływały gęste kłęby pary, na dnie jaśniał coraz większy żar. Krople deszczu wpadające przez dziurę w dachu wyparowywały, nim zdążyły dotrzeć do dna zagłębienia.

- Spójrz, oto twój ogień na zimę!

Płomienie strzeliły w górę, w pokoju zrobiło się nagle bardzo ciepło. Resztki wody wyparowały z sykiem, pozostawiając jasny ogień i rozżarzone węgle. Dwyrin odwrócił się do starca, uśmiechnięty od ucha do ucha.

Starzec także wstał, jego twarz była jednak ciemna jak letnia burza. Oczy błyszczały gniewnie w blasku ognia.

- Niczego tu nie widzę. Trzeba znaleźć ogień, który jest ukryty, i pozwolić, by przyszedł tu z własnej woli. Jesteś prostakiem bez żadnych zahamowań. - Głos starca brzmiał jak przytłumiony grzmot.

Dwyrin cofnął się o krok, zawstydzony nagle żalem i wyrzutem widocznymi w oczach starca.

- Płomień, który szybko przychodzi, szybko umiera. - Starzec uczynił krok do przodu, a Dwyrin omal nie przewrócił się o własny bagaż. - Ogień, który rozświetla świat, potrzebuje czasu i troski, trzeba go pielęgnować, troszczyć się o niego. Mogą minąć lata, dziesięciolecia, może na-

wet całe wieki, nim zechce do nas powrócić. Magiczny ogień jest niczym, to tylko przelotny kaprys.

Dwyrin stał nieruchomo jak ogłuszony. Ogień w zagłębieniu przysgał, potem zniknął, zostawiając po sobie tylko kilka popękanych kamieni. Krople deszczu z sykiem opadały na pogorzeliśko. Ogromny żal i wstyd ogarnął nagle hibernijskiego chłopca. Podniósł swój bagaż i wybiegł na zewnątrz. Deszcz padał jeszcze mocniej niż przed chwilą, zrobiło się zimno. Dwyrin ruszył w dół drogi, by dogonić swych towarzyszy. Długo jeszcze słyszał za sobą trzask uderzających o siebie kamieni.

tf

PAŁAC PTAKÓW, KTEZYFON

/pomimo późnej pory korytarze pałacu wypełniało światło. Thyatis, I która szła za Jusufem, wyjątkowo radosnym i ożywionym tego dnia, zerkała z ukosa na długie szeregi smukłych marmurowych kolumn zwieńczonych akantowymi kapitelami. Na każdej kolumnie płonęły jasno lampy i pochodnie. Podłogi wyłożone były błękitnymi płytkami, ściany zaś pokryte malowidłami przedstawiającymi zwycięstwa królów Persji. Thyatis miała na sobie delikatną jedwabną Suknię, na którą narzuciła płaszcz z grubego ciemnego materiału. Znad krawędzi chusty widać było tylko jej szare oczy obwiedzione czernidłem. Jak przystało kobiecie, szła za Jusufem, milcząca i pokorna. L

Jusuf z kolei odziany był istic po królewsku, w błękitno-czerwone szaty i jedwabny szal udrapowany wokół szyi. Zdobione klejnotami buty miały wysokie, zakręcone do góry czubki. Niemal całe popołudnie spędził na pielęgnowaniu brody i wąsów. Dzięki temu wyglądał teraz jak nieprawdopodobnie bogaty i elegancki arystokrata, co doskonale pasowało do wnętrza pałacu Króla Królów i czyniło go niemal niewidzianym. To samo dotyczyło nieco skromniej odzianej Thyatis, choć pomimo przebrania Rzymianka była ogromnie zdenerwowana, odkąd ich wóz został wpuszczony na teren ogromnego pałacu. Służący, który wskazywał im drogę, zatrzymał się przed wysokimi, zwieńczonymi łukiem drzwiami. Ukłonił się dwóm strażnikom, potężnie zbudowanym mężczyznom odzianym w skórę i żelazo, i coś im szepnął.

Strażnicy odpowiedzieli ukłonem i otworzyli drzwi. Z wnętrza wydobyla się delikatna, przyciszona muzyka. Thyatis z trudem zachowywała spokój, kiedy Jusuf ukłonił się łaskawie i leniwym krokiem wszedł do komnaty. Służący podbiegł do Bułgara, a ten pochylił głowę, by go wysłuchać. Gdy do dłoni eunucha trafił worek wypchany monetami, służący ukłonił się nisko i wyszedł z komnaty, zamykając za sobą drzwi.

Thyatis stała obok Jusufa, kołysząc się na czubkach palców. Zwykła zuchwałość zaprowadziła ich aż do tego pokoju, teraz jednak mieli się przekonać, czy śmiały plan Jusufa naprawdę się powiedzie.

Trzy dni wcześniej, gdy siedzieli na murku przed gospodą na obrzeżach ogromnej stolicy Persji, Thyatis patrzyła na Jusufa z niedowierzaniem.

- Przyjacielu - mówiła - nie zrozum mnie źle, ale w gruncie rzeczy dość ponury z ciebie facet. Jesteś odważny, świetnie władasz mieczem i łukiem, to prawda, ale trudno powiedzieć, żebyś był typem wesołka. Powiedziałaabym raczej, że zwykle masz minę kwaśną jak cytryna.

Jusuf stał przed nią z rękami skrzyżowanymi na piersiach i uśmiechał się z wyższością. Uśmiech ten w głównej mierze przeznaczony był dla Nikosa, który jak zwykle spoglądał nań z nieskrywaną niechęcią.

- No dobrze - zaczął - dojechalśmy na miejsce i co? Nie ma tu żadnych Ormian, którzy mogliby wzniecić bunt? Jeśli mamy pomóc cesarzom, powinniśmy być we właściwym miejscu, kiedy ich armie staną wreszcie u bram miasta.

Bułgar odwrócił się i wskazał na dachy miasta. Na wzgórzu wyrastającym nad brzegiem Tygrysu wznosiły się tysiące pobielanych budynków. Nad wszystkimi górował zbudowany na specjalnym wzniesieniu pałac Króla Królóvc, a właściwie jeden z trzech pałaców. Ten lśnił w gorącym słońcu jak latarnia morska. Jego dachy pokryte były złotem, a delikatna architektura wież i kopuł ostro kontrastowała z wąskimi, zatłoczonymi uliczkami i targowiskami miasta.

- A czyż najwłaściwszym miejscem nie będzie właśnie Pałac Ptaków?

Nikos zakasłał i spojrzał krzywo na barbarzyńcę.

- Thyatis ma dziwną słabość do podziemnych skrytek i korytarzy, mój drogi Jusufie, ale jestem niemal pewien, że kanały pod królewskim pałacem są pilnie strzeżone. Jak chcesz się tam dostać?

Jusuf uśmiechnął się jeszcze szerzej.

- Otóż, moi drodzy rzymscy przyjaciele, znam kogoś w pałacu. Kogoś bardzo ważnego.

Niedowierzanie, z jakim Thyatis przyjęła te słowa, musiało być aż nadto widoczne na jej twarzy, bo Bułgar parsknął śmiechem.

- Kogo? - spytała. Nie wierzyła, by jakiś stepowy jeździec miał znajomości w drugim-co do wielkości mieście na świecie, nie mówiąc już o samym pałacu króla.

- Zobaczycie - odparł Jusuf, wciąż uśmiechnięty od ucha do ucha. - Ile złota wam zostało?

Okrągła komnata oświetlona była przez wysokie lampy wykonane z miedzi i ametystu. Na podłodze leżały grube, miękkie dywany, a ściany niemal w całości przysłaniały ciężkie gobeliny. Na złotych łańcuchach zwieszających się z sufitu płonęły dodatkowe, mniejsze lampki. W powietrzu unosił się słodki zapach kadzidła. Gdzieś w dali, za jakimiś

drzwiami, grała lira, tak cicho i delikatnie, by można było rozmawiać przy jej muzyce półszepem.

Jusuf stał i czekał cierpliwie. Thyatis policzyła drzwi - troje - a potem zajrzała do ukrytych za nimi komnat. Wyglądało na to, że urządzone są z jeszcze większym przepychem niż hol, w którym właśnie stali. Po chwili z drzwi po lewej stronie wyszła ciemnowłosa kobieta w szarych szatach. Jej twarz była zacięta i surowa. Widok tej ponurej matrony stojącej pośród delikatnego, miłego dla oka przepychu był prawdziwym szokiem. Kobieta zmarszczyła brwi na ich widok.

- Musicie stąd natychmiast odejść - rzuciła ostro. - Moja pani nie przyjmuje gości o tej porze. - Głos, choć zmieniony nieco przez gniew, brzmiał melodyjnie, a jej perski był bezbłędny.

Jusuf uklonił się, trzymając ręce wzdłuż tułowia.

- Pani, proszę - rzekł po persku pokornym, przyciszonym głosem. - Przybyłem z dalekiej północy i mam ważne wieści dla wielmożnej Szirrin. Proszę, pozwól mi z nią porozmawiać. Te wieści przeznaczone są tylko dla jej uszu. J

Kobieta patrzyła nań w milczeniu, przekrzywiając lekko głowę. Dzięki czarnym jak smoła włosom, spiętrzonym na czubku głowy, przypominała Thyatis kruka siedzącego na lśniącym kamieniu. Wreszcie zmrużyła lekko oczy i skinęła głową.

- Dobrze. Przekażę twoją wiadomość i zobaczę* czy pani zechce cię przyjąć. Poczekaj tutaj.

Kiedy matrona odeszła, Thyatis wyszeptała:

- Cóż to za wieści, o tajemniczy? v

- Przekonasz się - odparł Jusuf z uśmiechem.

Po chwili matrona wróciła, wyraźnie zaskoczona decyzją swej pani. Stała w drzwiach i zaprosiła ich gestem do środka. Gdy tylko weszli do komnaty, zaciągnęła grubą zasłonę za ich plecami. Thyatis nasłuchiwała uważnie, lecz nie słyszała żadnych kroków na grubych dywanach.

- Wielmożna pani - przemówił Jusuf, kłaniając się nisko - jesteście naszymi gośćmi dzięki waszej gościnności.

Thyatis także się ukloniła, rozglądając się jednocześnie ukradkiem po pokoju. Muzyka liry ucichła.

Dwie ściany pokoju były całkowicie przeszklone, otwarte drzwi wychodziły na ogród porośnięty bujnymi kwiatami i gęstą, krótko przyciętą trawą. Na drzewach wisały papierowe latarnie, ich blask odbijał się w ozdobnej sadzawce pośrodku ogrodu. Thyatis otworzyła szeroko oczy, zachwycona perfekcyjnie dobranym ułożeniem kwiatów, krzewów i kamieni. W porównaniu z tym miejscem ogrody wokół domu księżnej były biedne i źle utrzymane. Ta komnata, ogrody, cały pałac wypełnione były przepychem, o jakim nawet jej się nie śniło. >

Kobieta, która podniosła się niczym sylfida z kręgu ciepłego światła i miękkich poduszek, dopełniała obrazu tego miejsca. Była średniego

wzrostu, choć wydawała się wyższa ze względu na smukłą sylwetkę. Miała delikatną twarz o doskonałych krągłościach i płaszczyznach oraz wielkich brązowych oczach, podkreślonych jeszcze przez niezwykle długie rzęsy i wąskie, łukowate brwi. Rozchyliła pełne ciemne wargi w radosnym uśmiechu. Faliste ciemnobrązowe włosy opadały gęstą kaskadą na jej gładkie oliwkowe ramiona i plecy. Ubrana była w czerwoną suknię z głębokim dekoltem, który podkreślał idealną krągłość jej pełnych piersi. Thyatis poczuła przez moment, jak budzi się w niej iskra zazdrości, na szczęście jednak zgasła równie szybko, jak się pojawiła. Kobieta, która z uśmiechem odwzajemniła pokłon Jusufa, nie mogła budzić nienawiści czy zazdrości, lecz tylko podziw.

- Wujku! - zawołała delikatnym, zmysłowym głosem. - Nigdy nie myślałam, że cię tu zobaczę, i to w takim stroju! - Patrzyła na Jusufa ze zdumieniem, a ten obrócił się powoli w miejscu, rozkładając szeroko ręce. - Co cię zmusiło do włożenia takiego ubioru?

Jusuf uklonił się ponownie, rozpromieniony.

- Nie mogłem odwiedzić mojej ulubionej bratanicy w byle jakich ła-
dach! Poza tym nie wpuściliby mnie do pałacu, gdybym wyglądał jak obdartus.

Szczupła dłoń o długich palcach zakryła usta damy, kiedy ta usiłowała stłumić śmiech. Nie udało jej się, wkrótce jednak zamilkła, ujrawszy po raz pierwszy Thyatis. Jej brwi powędrowały w górę w wyrazie zdumienia. Przeszła obok Jusufa i ukloniła się Rzymiance.

- Wujku, zaniedbujesz mnie! Obiecałeś, że będziesz pisał, a nigdy tego nie robisz, i teraz nie znam imienia twojej żony!

Thyatis odchrząknęła zaskoczona i sięgnęła ręką do twarzy. Zapomniała, że ma na sobie tradycyjne perskie szaty. Jusuf roześmiał się, widząc jej gest. Kobieta obróciła się na pięcie, dzwoniąc maleńkimi dzwoneczkami, które oplatały jej kostkę.

- Wujku! Nie śmieję się ze mnie!

Jusuf podniósł rękę, by powstrzymać gniew rodzący się w ciemnych oczach dziewczyny.

- Poczekaj, poczekaj! Twoja matka jeszcze mnie nie wyswatała! To moja towarzyszka podróży. Proszę... mogę przedstawić cię, jak należy?

Bratanica Jusufa odwróciła się nadąsana i skrzyżowała ręce na piersiach.

- Może...

Thyatis skrzywiła się pod chustą i próbowała ściągnąć ją z twarzy, była jednak zbyt mocno zaciśnięta. Pochyliła się więc i sięgnęła po koniec tkaniny owinięty wokół jej szyi.

- Moja droga, czy mogę przedstawić ci Thyatis Julię Klodię z domu Klodiuszy?

Thyatis odrzuciła głowę do tyłu, rozrzucając swe długie, złote włosy. Odetchnęła z ulgą; zawsze miała wrażenie, że udusi się pod chustą, która przesłaniała jej twarz. Bratanica Jusufa otworzyła szeroko oczy zdu-

miona. Thyatis uśmiechnęła się do niej, błyskając swymi mocnymi, białymi zębami.

- Thyatis, oto moja bratanica, księżniczka Szirin, młodsza żona Chosroesa, Króla Królów. Nasza gospodyni w Pałacu Ptaków.

- Miło mi cię poznać, pani. Przyjemne miejsce.

Thyatis ukloniła się lekko, próbując przypomnieć sobie nauki księżnej dotyczące obcych rodzin królewskich. Niestety, pamięć podsuwała jej jedynie krótkie zdanie powtarzane wielokrotnie przez Anastazję: „...i trzymaj się z dala od ich sypialni!”.

Szirin cofnęła się o krok, zdumiona i rozgniewana zarazem. Potem oparła ręce na biodrach i odwróciła się do Jusufa, marszcząc groźnie brwi.

- Wujku, ta kobieta jest Rzymianką!

- Owszem - odparł Jusuf z niewinną miną. - Jest.

- Nie możesz wprowadzać Rzymianki do Pałacu Ptaków! Chyba zdążyłeś się już zorientować, że mój mąż prowadzi wojnę z Cesarstwem Rzymskim!

Jusuf potarł brodę w zamyśleniu.

- Tak, właściwie masz rację - powiedział powoli.*- Prowadzimy wojnę z Persją.

Szirin, która podniosła już palec, przygotowując się do dłuższej przemowy, zastygła w bezruchu. Na jej twarzy pojawił się strach.

- My prowadzimy wojnę z Persją? §

- Tak - odrzekł Jusuf cicho, a potem wziął Szirin za rękę i zaprowadził ją z powrotem do sofy. - Opuściliśmy Tauris wiele tygodni temu, lecz rzymscy cesarze i kagan byli już wtedy związani mocnym przymierzem. Być może nawet w tej chwili maszerują na Ktezyfon.

Szirin usiadła ciężko, zszokowana. Thyatis odwróciła wzrok i przeszła do drzwi prowadzących do ogrodu. Jusuf usiadł obok księżniczki i wziął jej drobną dłoń w swoje dłonie.

- Cesarz Wschodu - powiedział Jusuf - sprzymierzył się z kaganem. Ziebil przyprowadził na południe czterdzieści tysięcy ludzi. Czterdzieści tysięcy naszych najlepszych wojowników. Dlatego tutaj jesteśmy.

- Och, Jusufie, jalc Sahul mógł to zrobić? Obiecał Chosroesowi pokój na naszym ślubie! Jak może sprzymierzać się z mordercami?

Thyatis obróciła się na pięcie i przeszła Jusufa spojrzeniem.

- Ach... drogi przyjacielu Jusufie, może zechcesz mi wytłumaczyć, co ma z tym wszystkim wspólnego nasz zaginiony towarzysz?

- Zaginiony? - powtórzyła słabo Szirin. - Czy Sahul nie żyje?

- Ależ skąd. - Jusuf ciężko westchnął. - Był zdrowy i cały, kiedy widziałem go po raz ostatni w Tauris. - Podniósł rękę, powstrzymując gniewny wybuch Thyatis. - Wybacz, pani, kagan prosił mnie, bym nic ci nie mówił, dopóki sam ponownie się z tobą nie spotka.,

- Jak mogłeś pozwolić mi wierzyć, że Sahul nie żyje? To podłe zagra-
nie, przyjacielu!

- Przepraszam. - Jusuf westchnął ponownie. - Myślę, że walka pod twoimi rozkazami była dla mojego brata miłym wytchnieniem od zwykłych obowiązków. Nie chciał utrudniać ci zadania w Tauris.

- Jasne! - warknęła Thyatis. - Zazwyczaj to królowie wydają rozkazy centurionom, a nie odwrotnie!

- Poczekajcie! - zawołała Szirin, podnosząc obie ręce obwieszone platynowymi bransoletami. - Powiedzcie mi najpierw, o co w tym wszystkim chodzi, a potem będziecie mogli klócić się do woli. Gdzie się poznaliście i dlaczego? Co stało się potem?

- A potem - kończyła Thyatis - twój wujek dostał oślego rozumu i postanowił wejść do pałacu i zobaczyć się z kimś ważnym. - Sięgnęła po porcelanowy puchar i pociągnęła długi łyk wina. Od długiego mówienia całkiem zaschło jej w gardle, a cierpkie wino smakowało jej teraz jak najśłodszy nektar. Szirin, zwinięta w kłębek na aksamitnych poduszkach, okryła się szczelniej kołdrą.

- Naprawdę zmusiłaś Jusufa, żeby słuchał twoich rozkazów? - spytała sennym głosem. - Dahwosa i Jusufa? Oni zawsze mnie ignorowali, kiedy byłam mała. On był najgorszy - mruknęła, wskazując palcem na swego wujka, który siedział ze skrzyżowanymi nogami na podłodze, oparty o sofę. - Dokuczał mi cały czas i podrzucał mi żaby do łóżka.

Thyatis uśmiechnęła się, przypomniawszy sobie swoich starszych braci.

- To znaczy, że cię kochał.

- Pewnie tak. - Księżniczka ziewnęła. - Mogę zobaczyć twój miecz?

Thyatis skinęła głową i usiadła obok księżniczki. Wniosła miecz do pałacu pod ubraniem, przywiązany na plecach. Teraz powoli wysunęła lśniące ostrze z wykładanej jedwabiem pochwy. Księżniczka przesunęła dłoń nad wzorgmi wyrytymi w metalu, nie dotknęła ich jednak. Potem wzięła do ręki skórzaną rękojeść, dopasowała palce do zagłębień wytartych przez Thyatis.

- Jest ciepły - powiedziała. - Choć teraz śpi. Zabiłaś wielu ludzi?

Thyatis schowała miecz do pochwy i zablokowała go specjalnym rzymskim. Potem ponownie odwróciła się do księżniczki.

- Zabijałam i zabijam ludzi - odparła krótko. - Nie czerpię z tego żadnej przyjemności.

Szirin przytulifa do piersi poduszkę zdobioną maleńkimi perłami i spojrzała znad jej krawędzi na Rzymiankę. Thyatis poczuła dziwne mrowienie w żołądku, kiedy ujrzała oczy księżniczki. Wyglądały jak bezdenne oceany brązu, intrygujące i całkowicie bezbronne.

- Zamierzasz zabić mojego męża?

Jusuf syknął głośno i zaczął podnosić się z podłogi. Thyatis uspokoiła go machnięciem ręki.

- Szirin - zaczęła - mój pan, cesarz Zachodu, wysłał mnie do Persji, bym przygotowała drogę dla jego armii. Twój mąż i mój lud prowadzą ze

sobą wojnę. Jestem zobowiązana zrobić wszystko, co może memu panu pomóc w wygraniu tej wojny. Ale... - zrobiła krótką przerwę - ...nie przybyłam tu po to, by zamordować twego męża.

- Więc co zrobisz? - spytała Szirin spokojnym na pozór głosem, choć Thyatis wyczuwała w nim lekkie drżenie, oznakę strachu lub niepewności.

Rzymianka wzruszyła ramionami i wskazała głową na Jusufa.

- To on chciał się z tobą zobaczyć.

Jusuf podniósł się z podłogi i uklęknął obok Szirin, a potem wziął ją za rękę.

- Biedroneczko, wiem, że kochasz Króla Królów, jile słyszałem opowieści, które napawają mnie strachem o ciebie. Thyatis, musisz wiedzieć, że przybyłem tu dla Szirin, a nie ze względu na twoją misję.

Szirin patrzyła przez chwilę na swego wujka, a potem cofnęła rękę.

- Mój mąż nie czuje się dobrze, odkąd zmarła Maria. - Podniosła rękę do twarzy. - Uważa, że jest teraz brzydki, oszepecony przez ogień.

Thyatis pokręciła głową skonfundowana.

- Nic nie rozumiem - powiedziała. - Jaki ogień? JCim była Maria?

Jusuf westchnął i opadł z powrotem na podłogę. %pojrzał na Szirin, ona jednak widziała tylko własne lęki.

- Maria była pierwszą żoną Chosroesa - zaczął. - Córką cesarza Wschodu, Maurycjusza.

- Rzymianka! - powiedziała powoli Thyatis, przypominając sobie słowa Galena, wypowiedziane w jego obozie pod Tauris. - Jak...

Jusuf zgromił ją wzrokiem.

- Pozwól mi, proszę, dokończyć opowieść - wycedził. Potem odchrząknął i powrócił do przerwanej wątku: - Kiedy Chosroes był bardzo młody, młodszy od ciebie, jego ojciec, wielki król Hormuzd, został zamordowany przez jednego ze swych generałów, Bahrama. Chosroes stał się narzędziem w jego rękach, marionetkowym królem, w porę jednak uciekł z Ktezyfonu na północ. Umarłby w dziczy, nawet mimo pomocy swego wschodniego przyjaciela, Szahr-Baraza, miał jednak szczęście i trafił do obozu Chazarów.

Mój brat, który był wtedy dowódcą tego oddziału, wziął Chosroesa do siebie. Kiedy dowiedział się, kim jest ów chłopiec, postanowił mu pomóc. Chosroes i Baraz podróżowali z nami przez całą zimę. Potem Sahul i ja zabraliśmy ich do Konstantynopola. Sahul myślał, że Chosroes znajdzie bezpieczne schronienie na dworze cesarza Maurycjusza. Początkowo nie mówiliśmy nikomu, kim jest ten perski chłopiec, ale Sahulowi udało się spotkać na prywatnej audiencji z synem cesarza, księciem Teodozjuszem, i przekonać go, że dzięki pomocy cesarstwa Chosroes może zostać przywrócony na tron Persji. Księżę z kolei przekonał do tego planu swego ojca, który później zaprzyjaźnił się z Chosroesem i pomógł mu obalić Bahrama. - Jusuf pokręcił głową ze smutkiem. - To były dobre czasy. Walczyliśmy z Chosroesem, Sahul stał u jego boku, kiedy

Bahram został zabity podczas bitwy pod Dastagirdem. Wtedy właśnie Chosroes poznał Szirin w namiotach naszego ludu. Wcześniej zgodził się już poślubić córkę Maurycjusza, Marię, by w ten sposób przypieczętować pokój między oboma cesarstwami, wszyscy widzieli jednak, że pokochał Szirin od pierwszego wejrzenia.

Dłoń księżniczki wysunęła się spod kołdry i ujęła dłoń Jusufa.

- I rzeczywiście, przez jakiś czas panował pokój - kontynuował Jusuf. - Dopóki Maurycjusz i jego dzieci nie zostali zamordowani przez uzurpatora Fokasa. Myślę, że Maria znienawidziła cesarstwo, gdy dowiedziała się, że jej ojciec, matka, wszyscy bracia i siostry zostali zabici, a tłum wiwatował na ulicach, kiedy obnoszono ich obcięte głowy. Nie zmieniła zdania nawet wtedy, gdy Herakliusz obalił Fokasa.

- To prawda - odezwała się Szirin spod kołdry, * Namawiała męża, by rozpoczął wojnę z cesarstwem i przywrócił prawowitego cesarza na tron. Miała wielki wpływ na Króla Królów.

- Prawowitego cesarza? - zdziwiła się ponownie Thyatis.

- Jej syna, Kawada Sziroje - odparła Szirin. - To jedyny żyjący męski potomek Maurycjusza.

Thyatis otworzyła szeroko oczy.

- Ja zawsze zajmowałam pierwsze miejsce w jego sercu - mówiła dalej Szirin. - Ale Maria dała mu pierwszego syna i wykazała się wielką odwagą, decydując się na życie u jego boku, w całkiem obcym jej kraju. Była silną kobietą.

- Co się stało? W pałacu wybuchł pożar?

Szirin wzruszyła ramionami.

- Nikt nie wie, co się naprawdę wydarzyło, nikt prócz Chosroesa i tego czarnego maga. Królowa była wściekła na generała Baraza za to, że nie udało mu się pokonać cesarstwa w pierwszym roku wojny. Wymyśliła jakiś plan, w który wciągnęła czarnego kapłana. Potem w Pałacu nad Rzeką wybuchł pożar. Chosroes próbował wyciągnąć ją z płomieni, ale było już za późno. Do dzisiaj nosi blizny na twarzy... mój biedny mąż.

Jusuf pogłaskał ją po głowie i wstał.

- Już późno - powiedział. - Wszyscy powinniśmy położyć się *spać*.

- Och, musicie być bardzo zmęczeni po podróży - zawołała Szirin. - Możecie położyć się spać w drugiej komnacie, tam też są sofy. Nikt nie będzie wam przeszkadzał.

Księżniczka wstała, rozrzucając po drodze kołdry i poduszki. Ziewnęła szeroko, przeciągnęła się i ukloniła Thyatis. Jusuf wziął ją za ręce i mocno przytulił. Szirin oparła głowę na jego piersiach. Thyatis wymknęła się do ogrodu. Powietrze było przyjemnie chłodne, wypełnione mocnym zapachem kwiatów. Nad zachodnim horyzontem unosił się księżyc, jego blask srebrzył liście i trawy niczym rosa. Było bardzo spokojnie.

Szklane drzwi komnaty zamknęły się z cichym trzaskiem. Thyatis czuła, jak do ogrodu wszedł Jusuf. Odwróciła się i powiedziała:

- Twoja bratanica jest bardzo piękna, zarówno na zewnątrz, jak i wewnątrz.

- Tak. - Jusuf westchnął. - Wszyscy pragnęliśmy jej szczęścia.

- Dlaczego Sahul zerwał przymierze z Królem Królów?

Jusuf pokręcił głową.

- Nie wiem. Szirin pisała do niego regularnie, musiał znaleźć w tych listach coś, co wzbudziło jego podejrzenia. Zeszłego roku zaczął poważne rozmowy z ambasadorami Cesarstwa Wschodniego. Dawali mu wiele prezentów, ale on wydawał wszystko na broń i zbroje. Obawiał się czegoś, ale nigdy nie mówił czego. Dahwos i ja byliśmy bardzo zdziwieni, kiedy oświadczył, że wyruszy na wojnę przeciwko swojemu zięciowi.

Thyatis położyła dłoń na ramieniu Jusufa. Czuła, jak męczyzna drgnął, zaskoczony.

- Przyjacielu - wyszeptła - kiedy nadejdzie pora, zabierzemy ją stąd.

Jusuf opuścił wzrok. Trudno było stwierdzić w ciemności, czy się czerwieni, ale Thyatis była pewna, że tak.

Dwaj mali chłopcy o śniadej skórze, w poplamronych trawą tunikach, przebiegli z chichotem obok Thyatis. Rzymianka uśmiechnęła się spod szerokiego randa słomianego kapelusza, który chronił jej nos przed palącymi promieniami słońca. Ciepły zimowy dzień okrywał ogrody pośrodku Pałacu Łabędzi niczym miękkie, przytutoy koc. Sięgnęła po wysoki, kryształowy kielich i pociągnęła soku cytrynowego z wodą. Sok był słodki i cierpki zarazem, przyjemnie szczypał w język. Siedziała na drewnianym krześle, na skraju szerokiego trawnika rozciągającego się przy kopulastym budynku, w którym mieściły się prywatne kwatery Szirin. Dzieci księżniczki bawiły się z Anagatiosem i Nikosem.

Ilir krył się w krzakach róż, wydając z siebie dźwięki przypominające ryczenie lwa. Dziewczynki piszczały i podskakiwały, podekscytowane, chowając się za plecami swych braci, ci zaś chichotali bez opamiętania i podsuwali się do krzaka, prowokując groźnego lwa do ataku. Anagatios skakał wokół nich, robił gwiazdy i udawał, że okropnie się boi przerażającej bestii. Nagle z krzaka wysunęła się wielka opalona ręka i pochwyciła starszego z braci za nogę.

Chłopiec krzyknął zaskoczony, ale potem zaczął walić drobnymi piąstkami w straszliwy szpon potwora. Siostrzyczki piszczały jeszcze głośniejsze i skakały jeszcze wyżej, kiedy lew powoli ciągnął swą ofiarę ku zgubie. Drugi chłopiec pochwycił go za głowę i próbował odciągnąć do tyłu. Mały książę krzyknął jeszcze głośniejsze, kiedy jego braciszek, kierowany jak najlepszymi chęciami, złapał go za uszy. Anagatios zamienił się w odważnego myśliwego i wskoczył w krzaki. Rozpętała się zaciekle walka, w górę leciały liście i grudki ziemi. Thyatis sięgnęła do tyłu i dotknęła pochwy miecza. Był na swoim miejscu. Opadła z powrotem na oparcie krzesła i zajęła się obserwacją wróbli przelatujących nad kopułami pałacu.

Kątem oka dojrzała jakiś ruch. Szirin schodziła po schodach łączących ogrody z balkonami na pierwszym piętrze pałacu. Poruszała się powoli, trzymając jedną rękę na marmurowej poręczy. Ubrana była w głęboko wyciętą, jasnożółtą suknię z cienkiego, niemal przezroczystego jedwabiu. Włosy zaczesła do góry i spięła złotymi szpilkami i bursztynowymi nićmi. Thyatis postawiła kieliszek na ziemi i wstała, nie zapominając jednak o mieczu, który przewiesiła przez drugie ramię. Ona także się przebrała, zamieniając tradycyjne perskie szaty na luźną bluzkę z egipskiego jedwabiu i workowate, zielone spodnie. Była bosa. Dzieci wciąż się bawiły; zajmowały się właśnie wypłaszaniem ptaków z drzewek owocowych.

Szirin zatrzymała się u podnóża schodów, w smudze cienia. Księżniczka stała oparta o ścianę, trzymając złożone razem dłonie na ramieniu brodatego łuczniaka wyrzeźbionego w kamiennej ścianie. Thyatis dołączyła do niej, chowając się w miłym, chłodnym cieniu. Szirin była blada i zmartwiona.

- Co się stało? - spytała Thyatis cicho. Księżniczka pokręciła głową, choć jej ręce drżały lekko. Thyatis pochwyciła ją za ramię i łagodnie, lecz stanowczo odwróciła do siebie. Szirin nie podnosiła na nią wzroku. Z tak niewielkiej odległości Rzymianka wyczuwała już jej delikatne cynamonowe perfumy.

- Jakież wieści z wojny?

Szirin skinęła głową i ścisnęła mocno dłoń Thyatis. Drugą ręką zakryła twarz.

*

-Złe?

- Na północy była wielka bitwa. - Głos Szirin z trudem wydobywał się z zaciśniętego gardła. - Armia Króla Królów została zniszczona. Wszyscy kapitanowie zottali zabici albo pojmami przez Rzymian. Nawet Odyniec zginął, a przynajmniej tak twierdzi posłaniec.

Thyatis drgnęła zaskoczona, gdy księżniczka rzuciła się jej w ramiona, łkając. Objęła ją niepewnie i przytuliła do siebie. Księżna nie uwzględniła w swym szkoleniu podobnych sytuacji.

- Król... Król Królów dowiedział się, że Chazarowie walczyli z Rzymianami przeciwko Persji. Ja... - Księżniczka urwała, nie panując już dłużej nad swoim głosem. Thyatis przytuliła ją mocniej. Czuła się dość dziwnie, trzymając inną kobietę w ten sposób.

- Król Królów postawił dodatkowe straże w pałacu - przemówiła ponownie księżniczka, opanowawszy się nieco. - Nie mogę stąd wychodzić bez jego pozwolenia.

Thyatis ujęła Szirin pod brodę i delikatnie odchyliła jej głowę do tyłu. Łzy zniszczyły makijaż księżniczki. Rzymianka uśmiechnęła się krzywo i starła rękawem czarne smugi.

- W takim razie, księżniczko, będziemy musieli cię stąd zabrać.

- Jak on może mnie kochać, a mimo to mi nie ufać? Moje dzieci i ja

jesteśmy więźniami! Będziemy zakładnikami, których może wykorzystać przeciwko memu ojcu... dlaczego on to zrobił?

Thyatis wpatrywała się w nią, próbując odgadnąć, kogo właściwie ma na myśli: swego ojca czy męża.

- Szirin. Szirin! - Rzymianka poczekała, aż księżniczka skupi na niej wzrok. - Pani - zaczęła czystym, spokojnym głosem. - Poddaj się woli męża. Kiedy nadejdzie właściwa pora, wywieziemy ciebie i twoje dzieci z miasta i ukryjemy w bezpiecznym miejscu. Na razie jednak musisz być posłuszna mężowi. Jeśli zaczniesz cię podejrzewać albo jeśli się dowie, że gościsz tu kogoś obcego, ucieczka stanie się niemożliwa.

Szirin jakby wreszcie zrozumiała, co mówi do niej Thyatis i skinęła lekko głową. Potem cofnęła się o krok i otarła zapłakane oczy, powoli wracając do równowagi. Ujęła dłonie Thyatis.

- Tak, masz rację.

Szirin westchnęła i odwróciła się w stronę ogrodu. Nikos tarzał się po trawie, przykryty przez cztery drobne postaci, które łaskotały go we wszystkie odkryte miejsca. Radosny śmiech dzieci wabijał się pod samo niebo. *

- Moje dzieci będą bezpieczne. Dziękuję ci, Thyatis.

Rzymianka oparła się plecami o zimny kamień i przygryzła wargę. To było sprytne. Ale co teraz? - zastanawiała się. Cztery rozbrykane dzieciaki, my wszyscy, a do tego księżniczka i pewnie cała zgraja służących... Powinnam była zatrzymać ten cyrkowy wóz.

- Rozumiem - mówił Nikos, przeciągając powoli spółgłoski. - Przyjechaliśmy tutaj po to, żeby zająć się tym księciem, Kawadem, ale ty nagle postanowiłaś wszystkich zaskoczyć i zmieniłaś zdanie. - Ilir skrzywił się i spojrzał z ukosa na Thyatis. Siedzieli w chłodnym cieniu drzew na tyłach ogrodu, oparci o omszałą kamienną ścianę. W szparach między kamieniami rosły maleńkie żółte kwiaty.

- Sam widzisz, jak wiele księżniczka znaczy dla Jusufa - odparła Thyatis, wrusząc ramionami. - Słyszałaś to samo co ja. Król Królów zagrał w ciemno i przegrał. Teraz dwaj cesarze maszerują na południe. Będą tutaj w ciągu najbliższego miesiąca, a wtedy może się zrobić naprawdę gorąco.

Nikos skinął głową, przyjmując argumenty Thyatis, nadal jednak trzymał się swojego zdania.

- Centurionie, myślę, że za bardzo się gorączkujesz. Naszą misją jest pojmanie księcia. Jusuf bardzo nam pomógł, to prawda, ale my mieliśmy wykonać inne zadanie.

- Posłuchaj. - Thyatis usiadła prosto i położyła dłonie na lewym kolanie, trzymając drugą nogę wyprostowaną. - Jusuf jest naszym przyjacielem. Stał przy nas w najcięższych chwilach. Szirin przyjęła nas pod swój dach. Jesteśmy im to winni.

Nikos wciąż miał kwaśną minę: nie lubił takich zmian. Później rodziły się z nich tylko same kłopoty. Przymuszczałnie bardzo duże kłopoty. Wyglądało jednak na to, że jego zwierzchniczka podjęła już decyzję, a on i tak nie mógł jej zmienić.

- Centurionie, czy zmieniasz cel misji? - spytał oficjalnym tonem.

Thyatis westchnęła i podrapała się po nosie.

- Tak - odparła cicho. - Zmieniam cel misji. Naszym zadaniem jest wydostać księżniczkę Szirin i jej dzieci z pałacu przy najbliższej nadarzającej się okazji.

- Rozumiem.« Nikos skinął głową, usatysfakcjonowany. - Niech tak będzie.

Thyatis westchnęła ciężko: czasami Ilir przyprawiał ją o ból głowy.

- Po pierwsze - zaczęła, przechodząc do planu> musimy ściągnąć do pałacu pozostałych Bułgarów. Będziemy potrzebować ich pomocy.

* * *

- Ja pójdę - powiedział Jusuf. Wraz z Thyatis i Nikosem siedzieli w pokoju, który Szirin oddała do wyłącznej dyspozycji Rzymianki. W porównaniu z innymi pomieszczeniami w pałacu pokój ów był mały i ciasny, co oznaczało, że mógłby się w nim zmieścić cały lochaghai legionistów. W pokoju znajdowało się tylko jedno okno, z którego widać było jedynie dachy innych, budynków i niebo, co bardzo ucieszyło Thyatis. Poza tym wejście do pokoju znajdowało się na samym końcu korytarza.

Bułgarski książę nie chciał usiąść i przechadzał się nerwowo po pokoju. Nikos siedział na łóżku oparty plecami o ścianę i jadł granat. Thyatis zgromiła go wzrokiem, a Ilir przestał wypluwać pestki za oparcie łóżka. Potem spojrzała na księcia, który właśnie przeszedł obok niej. Rzymianka siedziała na jedynym krześle w pokoju i czyściła sztylet.

- A jeśli cię złapią? - spytała. - Wszyscy w pałacu dowiedzą się, że próbujesz wykraść stąd swoją bratanicę, a wtedy ona i jej dzieci trafią do lochów pod pałacem.

Nikos splunął, a pestka zatoczyła szeroki łuk i wyleciała przez otwarte okno.

- Do żadnych lochów - powiedział, dłubiąc palcem w zębach. - Wsadzą ich do wieży nad rzeką. Nazywają ją Wieżą Ciemności, bo kto tam trafi, nigdy już nie ujrzy światła dziennego. Ponury budynek.

- Więc kto? - warknął Jusuf, odwracając się do Thyatis. - Ty? On? Problem pozostaje ten sam; jeśli przesłuchają służących, dowiedzą się, że jesteśmy gośćmi księżniczki. Jesteśmy bezpieczni dopóty, dopóki nikt nie wie o naszej obecności.

Thyatis uśmiechnęła się drapieźnie.

- Niemądry chłopiec. Oczywiście, że nie. Wyślemy eksperta.

Nikos podniósł na nią wzrok zaskoczony. Przypuszczał, że to właśnie on wykona to zadanie.

- Wyślę Anagatiosa. Wszedł do tego pałacu przebrany za kobietę, więc nikt nie skojarzy go z nami, a poza tym w żaden sposób nie zmuszą go do mówienia, prawda?

- Aktor! - Jusuf się zezłościł. - Wysyłasz aktora tam, gdzie trzeba prawdziwego mężczyzny? To absurdalne!

Thyatis wstała powoli z krzesła, trzymając w dłoni obnażone ostrze. Jusuf znieruchomiał, ujrawszy jej minę. •

- Posłuchaj, książę, my zarabiamy w ten sposób na życie, więc pozwól nam zrobić to po swojemu, dobrze? I jeszcze jedno, Anagatios jest dwa razy bardziej męski niż ty czy Nikos, mogę cię o tym zapewnić.

Jusuf cofnął się o krok, zaskoczony jej gniewnym wybuchem, i podniósł ręce w geście pojednania.

- Pax! Poddaję się. Skoro chcesz wysłać tego ślicznego chłopca, zrób to. Ja powiem Szirin, co planujemy. „J

- Nie - odparła Thyatis krótko. - Nie dowie się o tym nikt, prócz nas trojga.

- Hej - rzucił Nikos, wstając z łóżka. - Anagatios jest dwa razy bardziej męski niż ja czy on?

- Co najmniej - odparła Thyatis z powagą, choć w jej oczach pojawił się szelmowski błysk. Nikos podniósł oba kciuki, spojrzał na nie i gwizdnął przeciągle. Jusuf wodził wzrokiem od niego do Thyatis i z powrotem.

- Co? - spytał nadąsany. -- ł

Thyatis tylko się roześmiała.

- Chciałaś się ze mną zobaczyć, księżniczko?

Szirin podniosła wzrok i uśmiechnęła się, ujrawszy Thyatis w drzwiach swej komnaty. Odłożyła koronkę, nad którą właśnie pracowała, i gestem zaprosiła Rzymiankę do środka. Thyatis usiadła na skraju sofy i złożyła ręce przed sobą.

- Tak. Wczoraj do miasta przybył wielmożny Zarmihr, byłem wtedy właśnie w komnatach Króla Królów. Nigdy wcześniej nie spotkałam tego człowieka, pochodzi ze wschodnich prowincji Tocharistanu. Był na polu bitwy pod Kerenos, na północy, kiedy armia zgromadzona przez Gundarnaspa została rozbita przez dwóch cesarzy.

Thyatis nadstawiła uszu i przyjrzała się uważniej księżniczce. Szirin wydawała się dziwnie spokojna, niemal radosna.

- To pierwszy świadek bitwy, jaki dotarł do stolicy. Jechał bardzo szybko, wiele razy zmieniał konie po drodze. Plotki nie kłamały: Odyniec poniósł klęskę, jego sztandar został przechwycony przez wroga. Wszyscy arystokraci i kapitanowie zginęli albo poszli w niewolę. Z dwustu tysięcy ludzi, którzy pomaszzerowali na północ, tylko kilka tysięcy

uciekło na południe. Gundarnasp nie żyje, podobnie jak wielmożny Rhazames i wielu innych, których znałam osobiście.

- A armia rzymska? - Thyatis wstrzymała oddech.

- Do króla przybył także posłaniec z Niniwy nad Tygrysem. Rzymianie są już tylko o kilka tygodni marszu stąd. Musieli iść bardzo szybko, żeby dotrzeć do ciepłych stron, nim zima zamknie przełęcze na północy. Gubernator Niniwy kazał zniszczyć mosty na rzekach i kanałach.

Szirin umilkła, patrząc na Thyatis z tym samym, zaskakującym spokojem.

- Co jeszcze?" - spytała Rzymianka, skonfundowana zachowaniem księżniczki.

- W rzymskiej armii nie ma Bułgarów. Zarmihr mówi, że w armii dwóch cesarzy było wielu barbarzyńców, ale nie¹ znał ich sztandarów. Król Królów wypytywał go szczegółowo o moich krewniaków, ale Zarmihr nie widział żadnego Bułgara.

Thyatis wydeła lekko usta i spojrzała z niedowierzaniem na księżniczkę, która ponownie wzięła do rąk koronkę i zajęła się szyciem. Jej twarz rozświetlał wewnętrzny uśmiech.

- Więc możesz już wychodzić z pałacu?

- Nie - odparła "Szirin, zerkając na nią przelotnie. - Ale wkrótce będę mogła. Mój mąż wkrótce dojdzie do siebie. Urzędnicy i wielmoże, którzy szepczą mu do ucha, nie będą mieli nic do powiedzenia. Moje dzieci będą bezpieczne.

- Więc nie widzisz żadnego powodu - mówiła Thyatis powoli, starannie dobierając słowa - by opuścić pałac po kryjomu z twoim wujkiem i ze mną?

- Och, nie - zapewniła ją królowa. - W ciągu miesiąca wszystko wróci do normy. *r*

Rzymianka potarła nos w zamyśleniu, potem wstała.

- Pani, to wspaniałe wieści. Przekażę je twojemu wujowi i wkrótce rozpoczniemy przygotowania do wyjazdu. Przykro mi, że tak się wystraszyłaś.

- Och, to nieważne! - Szirin się roześmiała. - Za kilka dni będę mogła odejść stąd w spokoju.

- Opowiadajcie - rzuciła Thyatis, gdy ponownie spotkała się w swym pokoju z Nikosem, Jusufem i Anagatiosem. - Co mówią służący i niewolnicy?

Nikos zmarszczył brwi. Jego mina nie wróżyła niczego dobrego. Wymieniał ponure spojrzenia z Anagatiosem.

- Jest źle. Bardzo źle. Gatios mówi, że wczoraj z miasta wyjechało trzech arystokratów z rodzinami. To ci najbystrzejsi. Dziś wyjadą następni. W łaźniach mówi się, że Król Królów całkiem już postradał zmysły. Podobno twierdzi, że klęska pod Kerenos to tylko drobne potknięcie.

Dorwał dwóch wielmożów, którzy zostali jeszcze w pałacu, i kazał im zebrać nową armię złożoną z mieszkańców miasta. Chce stu tysięcy ludzi. Jusuf parsknął, kręcąc głową.

- Skoro dwieście tysięcy ludzi zginęło na północy, to w całym imperium nie ma już kolejnych stu tysięcy. Co ten król zamierza zrobić, uzbroić niewolników?

Nikos sposepniał jeszcze bardziej.

- Podobno chce uzbroić kobiety i dzieci. W noże i zastrzone kołki. Wszystko, co uda im się znaleźć w mieście. Starcy pewnie też wchodzą w grę.

- Myślicie, że naprawdę to zrobią? - spytała Thyajis, stukając w rękojeść miecza. - Myślicie, że boją się Chosroesa na tyle, by zagonić do walki mieszkańców miasta?

Jusuf roześmiał się ponuro.

- Nikosie, czy straż pałacowa i miejska może to zrobić?

Ilir spojrzął jej w oczy i pokręcił głową.

- Nie, w pałacu została tylko garść gwardzistów, może ze stu, a strażnicy miejscy nie pogonią swych rodzin na miecze^legionistów. Poza tym... - uśmiechnął się lekko - dwaj arystokraci, którzy mieli się tym zająć, zdążyli już uciec. Zostawili wszystko, konkubiny, majątki, i wystrzelili z miasta jak z procy.

- To dobrze. - Thyatis spojrzała za okno, zamyślona. - Obiecałam Szirin, że nie zabiję jej męża. - Odwróciła się do Syryjczyka. *Anagatio-sie* - przemówiła w języku migowym. - *Sprawdziłeś tę zastawkę wodną w ukrytym ogrodzie?*

Aktor wzruszył ramionami, a potem podniósł ręce, by jej odpowiedzieć.

Me spytałaś królowej?

Nie, miałam to zrobić dzisiaj, ale wygląda na to, że musimy poradzić sobie bez jej pomocy.

Więc nie mogę stwierdzić niczego na pewno. Wydaje się, że ogród jest częścią prywatnych kwater Króla Królów i że niższa zastawka musi prowadzić do rzeki. Ale jeśli nie będę miał łodzi i nie sprawdzę tego osobiście, nie mam pewności.

Thyatis pokręciła głową niezadowolona. Jusuf i Nikos, którzy zrozumieli tylko część ich rozmowy, obserwowali ją z zafascynowaniem.

- Nic nam się nie układa - warknęła. - Musimy improwizować. Nikos, przygotuj wszystko do wyjścia. Jusufie, ty ani na moment nie spuszczaaj oka z Szirin. Wkrótce może się tu zrobić naprawdę gorąco. Nie możemy zgubić dzieci w zamieszaniu. Gatios, ty musisz znaleźć jakiś lepszy sposób, żeby dostać się do tego ogrodu. Nie sądzę, żeby Szirin chciała wspinać się po ścianach jak my wszyscy.

Thyatis wstała i skinęła na trzech mężczyzn.

- To wszystko. Biercie się do roboty.

Kiedy wyszli, podeszła do okna i położyła dłoń na rękojeści miecza. Niebo robiło się już fioletowe, nad dachami zapadał mrok. Westchnęła

i potarła nos. *Sahulu, dlaczego nie przyjechałeś na południe? Co wydarzyło się na północy?*

i

BRAMA DAMASZKU, PALMYRA

/powietrze zadrżało od potężnego wybuchu. Nad dachami unióś się I słup kurzu i "dymu. Błękitu porannego nieba nie mąciła ani jedna chmura, a słup dymu wyglądał na jego tle niczym wielka smuga brudnej farby. Mahomet odwrócił się od drzwi. Jego twarz wciąż była młoda, lecz zmęczone oczy mogłyby należeć do osoby starszej o kilkadziesiąt lat. Kufia okrywająca jego głowę i spadająca na ramiona była brudna i poplamiona starą krwią. Na osmalonym pancerzu widać było dziesiątki maleńkich zagłębień znaczących miejsca, w których stał zatrzymała ostrza włóczni, mieczy i strzał. Warstwa zakrzepłej krwi okrywała także ■ jego dłonie i palce owinięte brudnymi bandażami. Mimo to wciąż potrafił sprawnie posługiwać się szablą.

- Pani - powiedział. - Muszę iść-do bramy. Persowie znów nadchodzą w wielkiej liczbie.

- Czy to ostatni dzień? - odpowiedział mu cichy głos z ciemności. Potem rozległ się szelest odsuwanych prześcieradeł. Al-Kurajszył widział, jak w mroku podnosi się*powoli jaśniejsza niewyraźna plama, która zbliża się do niego, przybierając kształt kobiety. Ukłonił się i ujął jej dłoń.

- Tak, to może być ostatni dzień - odparł głosem zachrypniętym od wydawania komend. - Coś wisi w powietrzu... Być może pokaże się dzisiaj czarownik. Jeśli taksie stanie, brama padnie, a Persowie wejdą do miasta.

Zenobia ścisnęła mocniej jego dłoń.

- Każę ludowi miasta schronić się w pałacu - powiedziała. - Jeśli brama padnie, będziemy walczyli tutaj. Mahomecie...

Wypuścił jej dłoń. Była ubrana w prostą bawełnianą szatę, sięgającą jej do kostek, rozpuszczone, nieuczesane włosy opadały jej na kark i ramiona. Południowiec podniósł rękę i przyłożył palec do jej ust.

- Nic nie mów^ani. Chcę zostać z moimi przyjaciółmi. Nie żałuję tego. Przykro mi tylko, że nie spełniły się twoje marzenia. Przez wiele lat byłem zagubiony. W tej walce odnalazłem swój cel i choć niewiele czasu minęło, ogromnie się z tego cieszę.

Królowa uśmiechnęła się, jej oczy rozbłyły lekko w półmroku. Wydarzenia ostatnich dni wyrwały ją w końcu z odrętwienia, w którym trwała tak długo.

- W takim razie będę przy tobie, Al-Kurajszy.

Z zewnątrz dobiegło echo kolejnego wybuchu, silniejszego niż poprzedni.

*

- Idź, czekają na ciebie.

Mahomet uklonił się ponownie i wyszedł, stukając butami o wyłożoną płytkami podłogę.

Zenobia wróciła do łóżka i pochyliła się nad leżącym w nim mężczyzną. Przesunęła palcami po jego czole, ostrym nosie i ustach. Potem pochyliła się niżej i ucałowała go, choć on nawet nie drgnął. Czują tylko lekki oddech na policzku, lecz to wystarczyło jej, by wiedzieć, że Ahmet wciąż żyje.

- Śpij spokojnie, kochanie. Ja muszę coś załatwić.

Zenobia wyprostowała się i ściągnęła halkę prze* głowę. Potem zeszła z łóżka i przeciągnęła palcami przez włosy. Zmarszczyła brwi, natrąfiwszy na splecione pukle.

Głupia, zachnęła się w myślach. Nieważne, czy pójdziesz na śmierć uczesana czy nie.

Potem jednak zamyśliła się na moment i w końcu odwróciła ku sobie srebrne lustro stojące na jej toalecie.

Nie, pomyślała. Dziś to jest ważne.

Sięgnęła po maleńki szklany dzwoneczek, lecz przywołać służących, którzy ją wykąpią i ubiorą.

Mahomet patrzył w dół, na równinę przed miastem i kłębiący się tam tłum ludzi, koni i machin wojennych. Persowie^f już od samego świtu wychodzili spośród wzgórz, długie szeregi włóczników i jeźdźców z lśniącą w słońcu bronią. Cztery potężne maszyny oblężnicze czekały w gotowości sto kroków od murów miasta. Za stertami kamieni i ziemi kryły się potężne katapulty. Właśnie w tej chwili jedna z nich wyrzuciła w powietrze głaz wielkości człowieka.

- Uwaga! - krzyknęli ludzie na murach, a potem schowali się za blankami. Kamień przemknął ze świstem nad murami i uderzył w wieżę po lewej stronie bramy. Na skulonych poniżej ludzi spadły odłamki kamieni. Wieża stała nienaruszona, choć na jej powierzchni pojawiła się kolejna wielka blizna.

Mahomet wyprostował się i ponownie spojrzał na pole, przysłaniając oczy dłonią. Setki perskich łuczników w zbrojach i z pełnymi kołczanami biegło w stronę bramy. Część z nich osłaniała się od góry specjalnymi opończami zrobionymi z końskiej skóry i trzciny porastających brzegi strumienia płynącego w pobliżu miasta. Wzdłuż całej linii wrogiej armii formowały się oddziały. Z nacierających szeregów wyleciały pierwsze strzały, gniewne, ciemne chmury pocisków.

- Tak jest - mruknął Mahomet, odwracając się do swoich oficerów. - Wyszedł.

W dali, po drugiej stronie równiny, za machinami oblężniczymi i dziesiątkami tysięcy ludzi, pojawił się czarny wóz ciągnięty przez dziesięć czarnych koni. Otaczał go mur rycerzy w ciężkich zbrojach. Nieśli

ciemne długie chorągwie w kształcie węży o szkarłatnych łuskach. Marszerujący żołnierze armii perskiej odsuwali się od wozu i otaczających go rycerzy. Mahomet zamrugał powiekami - wydawało mu się, że powietrze nad odległym obrazem drży i migoce.

- Dziesięć węży... - mruknął, wydymając usta w zamyśleniu. Potem pokręcił głową, nie mogąc przywołać z pamięci właściwego wspomnienia.

- Do broni! - krzyknął, a jego głos odbił się echem od murów i opuszczonych budynków poniżej. Metal zadźwięczał o kamień, kiedy Palmyrczyki podbiegli do blanek. Południowiec ogarnął ich spojrzeniem, nierówny szereg ludzi w powyginanych zbrojach i o poznaczonych bliznami twarzach. Tylko nieliczni byli prawdziwymi żołnierzami; większość stanowili mieszkańcy miasta zmuszeni do obrony ^wych domów. Wielu z nich do czasu oblężenia nigdy nie trzymało w dłoni włóczni ani nie próbowało zabić innego człowieka. Teraz, po wielu dniach nierównej walki, byli prawdziwymi, zahartowanymi w ciężkim boju weteranami. Mahomet odwrócił się ponownie w stronę równiny. Z nieba spadła chmura strzał, które uderzyły ze stukotem o kamienną powierzchnię murów. Mahomet przywarł mocno do najbliższej blanki.

Przeczekawszy wrogą salwę, obrońcy stawali prosto, wypuszczali strzały w atakujących Peksów i ponownie kryli się za murami. Mahomet wyciągnął szablę i sprawdził jej ostrze. Pod ścianą rozległ się potężny okrzyk. Kolejny głąz uderzył w najbliższą wieżę, odbił się od niej i spadł na mury. Mahomet odwrócił głowę i odruchowo zasłonił się tarczą. Głąz spadł prosto na grupę obrońców, piekarzy, sądząc po znakach, które wymalowali na swych tarczach, i zamienił ich w miazgę złożoną z krwi, potrzaskanych kości i zgniecionych wnętrzości. Strzały padały gęściej niż krople deszczu.

Drabiny uderzyły w górną krawędź murów. Mahomet doskoczył do blanki i podniósł jfeiiecz.

- Do broni! - kzyknął ponownie.

Dwaj Tanuchowie, którzy nie odstępowali generała na krok, próbowali odepchnąć drabinę włóczniami. Ostrze jednej z nich wbiło się w drewniany pał, a Tanuch napał na drzewce z całych sił. Drabina przesunęła się w bok, a potem przewróciła. W powietrze wzbily się okrzyki bólu i złości. Mahomet pobiegł z powrotem na platformę wysuniętą z boku najbliższej wieży. Setki drabin opierały się już o mury, a obrońcy miasta uwijali się jak w ukropie, próbując je odepchnąć. Palmyrcy łucznicy strzelali w tłum kłębiący się u podnóża murów. Kolejny głąz przeleciał nad umocnieniami i uderzył w dach domu po drugiej stronie ulicy. Z dziury wybitej w budynku buchnął ogień.

Niebo nad miastem było błękitne i spokojne jak toń górskiego jeziora.

Zenobia wyszła na szerokie ceglane podwyższenie przed budynkiem pałacu. Przez otwarte na oścież bramy płynął nieprzerwany strumień kobiet, dzieci i starców, którzy zajmowali tereny wokół pałacu. Królowa

wspięła się na podest, gdzie stał posąg wielkiego skrzydlatego lwa, i oparła się o jego paszczę. Służący naprawili i wyczyścili jej złotą zbroję i wypolerowali srebrny hełm. Na zbroję narzuciła jeszcze długi fioletowy płaszcz obsyty złotą nicią. Skrzydła na hełmie jasno błyszczały w słońcu. Królowa czuła, jak po jej policzku spływa kropla potu.

Ludzie przechodzący przez bramę spoglądali na nią i uśmiechali się, choć ich twarze zmęczone były długim oblężeniem. Wielu podnosiło ku niej ręce, prosząc o błogosławieństwo. Zenobia uśmiechała się do nich. Niewiele mogła już zrobić, miała jednak nadzieję, że jej odważna postawa może dać im nadzieję choć na ten krótki czas, jak*im pozostał. Czuła, jak pomimo upału ogarnia ją chłód, przecucie nadchodzącej kłęski.

Lew zadrżał pod jej dłonią, powietrze zatrzęsło się od ogłuszającego huku. Zenobia odwróciła się w stronę obleganej bramy, skąd dobiegł ów dźwięk. Ujrzała jakiś ogromny kształt, coś ukrytego wśród płomieni i dymu, górującego nad wieżami. Potem nad bramą rozwinęły się olbrzymie skrzydła, a Zenobia zachwiała się ogarnięta rudościami. Słońce jakby przygasło w obliczu owego monstrum, nad ziemią zaległa cisza. Czarny kształt uderzył ponownie, a ziemia zadrżała od huku. Przy kolejnym uderzeniu kamienna wieża zatrzęszczała i pękła na pół, by potem runąć na ziemię w ogromnej chmurze dymu i kurzu: Wieża po prawej stronie osunęła się na ziemię chwilę potem, jakby podcięta przy samej nasadzie. Ogromne kamienne bloki runęły na ulice miasta. Potwór wszedł w dym, z którego po chwili strzeliły pierwsze płomienie, następnie odrzucił łeb do tyłu i wydał triumfalny ryk. Zenobia upadła na kolana, serce biło jej jak szalone.

Ludzie na placu przypadali do ziemi, krzycząc ze strachu. Nad ziemią zaległ mrok. Zenobia podniosła się z klęczek, jej twarz wykrzywił grymas gniewu i pogardy. Czarny kolos znów ruszył do ataku, przewracając kolejną wieżę. Kamienie spadały z hukiem na ziemię, ludzie strącani z murów ginęli rozgniatani jak mrówki. Zenobia sięgnęła po miecz swego ojca. Chciała krzyknąć, pokazać czarnemu monstrum, że nie zna strachu, lecz z jej ust nie wydobył się żaden dźwięk.

- Dość - rozbrzmiał nagle głos za jej plecami. - To jest świat ludzi, nie demonów.

Potwór przy bramie rósł w oczach, górował nad całym miastem, jego wężowy ogon niszczył całe budynki. Czerwona paszcza otworzyła się powoli, wypełniając ulice gorącym podmuchem. Wysuszone drewniane domy stanęły w ogniu. Straszliwy ryk pozbawiał ludzi resztek odwagi, odbierał im rozum.

Zenobia zebrała wszystkie siły i odwróciła powoli głowę, przygnieciona ogromnym strachem i rozpaczą. W bramie stał Ahmet oparty na kiju z jasnego drewna, okryty tylko cienką bawełnianą szatą. Otaczały go białe płomienie, drżący całun tysięcy promieni. Królowa krzyknęła z bólu, oślepiąca bijącym od niego blaskiem.

- Azi Dahaku, wyzywam ciebie, ciemna mocy magii i kłamstw. - Głos Ahmeta dźwięczał niczym grzmot. *■

Potwór przy bramie zadrżał, z jego ciała podniosły się smugi dymu i pary. Wysunął przed siebie ogromny szpon, z którego wystrzeliła smuga ognia. Ahmet podniósł rękę. Ogień zamigotał i zgasł, opadając na ulice jako biały dym.

- Azi Dahaku, dziesięć węży, wyzywam cię.

Słońce rozbłysło jaśniej, na ziemię padły dziesiątki cieni kładących się w różnych kierunkach.

- Azi Dahaku, odbieram ci moc w imieniu tego, który włada mocą, rozkazuję ci w imię Boga, który Umarł i Wstał ze Słońcem.

Zenobia upadła na ziemię, ogromny hałas wypełniał jej uszy, pozbawiał myśli i zmysłów. Cały świat zamienił się w zachrypły głos Ahmeta przekrzykujący wiatr.

Kolos górujący nad miastem wbił szpony w ziemię, rozdzielając beton i kamienie niczym suchą trawę. Ahmet podszedł do przodu i zatrzymał się na szczycie podestu. Uczynił przed sobą znak, coś, co rozbłysło, zmieniło kształt i zawisło w powietrzu niczym płonąca gwiazda.

- Azi Dahaku, w imię Pana Światła, stwórcy świata, mówię ci, odejź!

Nad miastem zerwał się nagle potężny wiatr. Cegły, kawałki kamieni, dachówek i desek zerwanych z domów leciały w stronę potwora. Wirujący podmuch ogarnął opuszczone ulice i ogrody. Belki, wozy, ciała ludzi, całe dachy i ściany unosiły się nad ziemię. Wir uderzył w monstrum, ogarnięte płomieniami i błyskawicami. Olbrzym skurczył się, walił wokół siebie na oślep, przewracając pałace i świątynie. Kolumny stojące wzdłuż głównej alei odrywały się od ziemi i wbijały niczym strzały w serce bestii. Marmur i agat wybuchały ogniem w zetknięciu z czarnym kształtem. Słońce rozrosło się nagle do monstualnych rozmiarów, przesłoniło całe niebo. Ludzie krzyczeli i wili się z bólu, czując, jak ich ciała płoną w straszliwym żarze.

Gigantyczny grzmot zatrzęsł całym miastem, rozbijając posągi starożytnych królów, zamieniając puchary i amfory w kurz. Potwór, który zmagał się z otaczającym go wirem, złożył skrzydła, skurczył się, a potem zniknął w ledwie widocznym rozbłysku.

Nad miastem zapadła nagle cisza. Wiatr ucichł. Na czystym, błękitnym niebie znów świeciło jasno słońce. Z nieba opadał powoli szary kurz, okrywając wszystko żałobnym całunem.

Zenobia wyczołgała się spod rozbitych szczątków skrzydlatego lwa. Jedno kamienne skrzydło upadło na nią, osłaniając ją przed lecącymi z nieba odłamkami. Głowa lwa zniknęła, ucięta równo niczym toporem. Resztki drugiego lwa zaścielały środek podwórza.

Ahmet leżał przed bramą, okryty poszarpanymi resztkami bawełnianej szaty. Zenobia dotknęła jego twarzy. Była zimna jak kamień. Drżące

ręce dotknęły jego szyi, nie znalazły jednak żadnego tętna. Na wychudzoną, ciemną twarz Egipcjanina spadły łzy. Królowa miasta płakała.

Generał Chadames podniósł głowę, otrzepując z hełmu potrzaskane odłamki dachówek. Wokół niego, przed murami miasta, z ziemi podnosiło się trzydzieści tysięcy ludzi, zdumionych, że wciąż żyją. Wstawali pojedynczo, okryci szarym pyłem, duchy w opuszczonym świecie. Chadames także się podniósł i przesunął rękami wzdłuż ciała. On również był zdumiony, że żyje, a tym bardziej, że wciąż jest cały. Rozejrzał się dokoła, przecierając zasypane pyłem oczy.

Drabiny odpadły od ścian, zrzucając na ziemię setki żołnierzy, których większość zginęła lub została poważnie ranna. Machiny oblężnicze rozzerwane zostały na pół, niczym snopki zboża; wielkie koła, pozbawione oparcia, leżały na ziemi lub opierały się o sterty połamanych belek. Całe połacie ziemi za miastem pokrywały trupy zabitych koni; ich jeźdźcy zniknęli lub leżeli nieprzytomni obok swych wierzchowców.

Brama miasta zniknęła. Obie wieże zostały zniszczone, w ich miejscu widniały tylko dwie wielkie sterty gruzu. Wrota zniknęły, odrzucone prawdopodobnie na drugi koniec miasta. Zza ruin wзираła pusta ulica, wzdłuż której ciągnęły się kikuty połamanych kolumn. Z gruzów podnosili się oszołomieni ludzie, niektórzy błakali się po ulicy, wciąż nie mogąc oprzytomnieć i uwierzyć w to, co się przed chwilą stało.

Chadames odchrząknął i otworzył usta, by wydać rozkazy swym ludziom, potem jednak zamknął je i rozejrzał się dokoła ogarnięty nagłym strachem.

Czarny wóz zsunął się z drogi, leżał jakieś sto kroków z tyłu. Wokół wozu leżały martwe ciała czarnych koni, dziwnie wysuszone i pomarszczone. Podobny los spotkał czarnych rycerzy osłaniających wóz, ich zwłoki zmieniły się w stertę splątanych, połamanych, zgniecionych członków i korpusów. Chadames próbował wyszeptać jakąś krótką modlitwę, lecz głos uwiązł mu w gardle.

Jakaś ciemna postać szła powoli przez pole umarłych, wspierając się na lasce z kości słoniowej. Jej ciało okrywał czarny płaszcz, twarz osłonięta była wielkim kapturem. Postać zbliżyła się powoli do Chadamesa, bijąca od niej groza ogarnęła generała lodowatym powiewem i sparaliżowała. Jeden z rycerzy jęknął i poruszył ręką. Ciemna postać pochyliła się nad nim, zakryła jego twarz połą płaszcza.

Jęki rycerza zakończyły się nagle krótkim, przesywającym krzykiem. Ciemna postać wyprostowała się, wypełniona na moment nową siłą, i podeszła do Chadamesa. Generał upadł na jedno kolano i zacisnął dłoń na rękojeści miecza.

- Droga jest otwarta - syknął głos spod kaptura. - Wchodzimy do miasta.

Chadames skinął głową, nie podniósł jednak wzroku, dopóki czarna postać nie przeszła obok niego.

- Zabierzcie go stąd - krzyknęła Zenobia, ocierając policzki z łez. - Ukryjcie go w piwnicach, gdzieś, gdzie nikt go nie znajdzie. Szybko!

Jej służące podniosły z ziemi ciało Ahmeta, stękając głośno pod jego ciężarem. Królowa klasnęła niecierpliwie w dłonie, przynaglając je do biegu. Żołnierze, którym udało się przeżyć zagładę miasta, wychodzili teraz z ruin i spieszyli do pałacu. Jako jeden z pierwszych dotarł tam Tanuch z głową owiniętą bandażem. Ujrzawszy Zenobię, podszedł do niej i wydyszał:

- O, królowo, Persowie weszli do miasta. Są ich tysiące, a nas ledwie garstka.

Zenobia skinęła głową i rozejrzała się szybko dokoła. Do pałacu zbliżało się niewiele ponad stu żołnierzy, kilku innych biegło jeszcze opustoszałą aleją. Długie szeregi kolumn zamieniły się w ruinę, zostały po nich tylko wyszczerbione kikuty. Królowa patrzyła na śmierć swego dumnego miasta suchymi oczami. Nie miała już łez, którymi mogłaby je opłakiwać.

- Kto ma łuk, niech idzie na mury, pozostali zamykają bramę. Tanuchu, czy wielmoży Al-Kurajsza przeżył bitwę przy bramie?

Tanuch pokręcił powoli głową.

- Nie, królowo, nie widziałem go. Zginęli wszyscy, którzy byli na murach albo w wieży.

- Dobrze chociaż, że padł z honorem - rzekła Zenobia. Jej oczy błyszczały jak stal. Sięgnęła po miecz. Ostrze wciąż było gładkie i ostre.

- Zaczynjcie budować barykadę! - krzyknęła do ludzi, którzy zamykali bramę. - Tutaj, ca podjeździe. Ty i ty, biegnijcie do pałacu, przynieście olej i drewno, wszystko, co się będzie paliło.

Przeszła na szczyt podwyższenia i stanęła na szeroko rozstawionych nogach. Miecz błyszczał jasno w jej rękach. Czekwała w milczeniu, podczas gdy jej ludzie budowali barykadę z kamieni, ciał, wszystkiego, co mieli pod ręką. Twarz królowej była zimna, jej oczy wypełnione nienawiścią.

W dole główną aleją miasta szli okryci zbroją żołnierze, nad którymi powiewał sztandar przedstawiający koło splecione z dziesięciu węży. Szli w milczeniu, spoglądając ze zgrozą na otaczające ich spustoszenie.

DOM BIAŁEGO ŁABĘDZIA, PAŁAC PTAKÓW, KTEZYFON

jDani?

1 Księżniczka Szirin podniosła wzrok, przerywając grę na harfie. W drzwiach pokoju stała Ara, ciemnowłosa kobieta, która pierwsza wyszła na spotkanie Jusufa i Thyatis. Podobnie jak wtedy ubrana była w stonowane, ciemne szaty, równie posępna była także jej mina. Thyatis, która leżała na brzuchu na podłodze, przetoczyła się na bok, by lepiej

ją widzieć. Szirin odłożyła harfę i złożyła ręce na kolanach. Promienie popołudniowego słońca, wpadające do komnaty przez szklane okna, podkreślały jej profil i lekką jedwabną suknię w kolorze złota.

- O co chodzi, Aro?

Kobieta skłoniła się i wskazała ręką za siebie.

- Przyszedł książę Kawad Sziroje, pani, chce z tobą rozmawiać. Wydaje się dość... - Ara umilkła na moment, zerkając na Thyatis, a potem ponownie na swoją panią - ...poruszony.

Szirin zmarszczyła brwi i odłożyła harfę do futerału.

- Przyślij go tutaj, ale poczekaj jeszcze momenjk,

Thyatis podniosła się z podłogi. Ubrana była w bursztynowe spodnie z jedwabiu - prezent od Szirin - i zieloną koszulę, przepasaną szeroką szarfą w kolorze starego wina. Uśmiechnęła się szeroko do księżniczki, która odpowiedziała jej tym samym.

- Dziękuję za pieśń, pani. Już znikam.

Thyatis złożyła księżniczce ukłon i sięgnęła po miecz leżący obok sofy, na której siedziała Szirin. Księżniczkę bawił fakt, że Rzymianka zawsze nosi przy sobie broń. Thyatis robiła się nerwowa, jeśli nie miała pod ręką miecza. Bosa, wyszła z pokoju i starannie zaciągnęła za sobą ciężką zasłonę. Czubek pochwy stukał od czasu do czasu o marmurową podłogę, kiedy szła przez korytarz. W drugim holu, oddzielonym drewnianym ekranem, po którym pięły się kłacza egzotycznych kwiatów, słychać było głos Ary i jakiegoś mężczyzny. Książę, pomyślała Thyatis.

Ukryła się na końcu korytarza, wciśnięta w ciemną niszę, w której niedługo stała jakaś wielka waza. Chwilę później przeszła obok niej Ara. Thyatis odczekała jeszcze moment, a potem przemknęła się bezszelestnie na drugą stronę holu, trzymając pochwę i miecz wysoko nad podłogą.

- Ukochana ciociu. - Niepokój w głosie Kawada Sziroje był wyraźnie słyszalny nawet przez warstwę grubych zasłon.

- Witaj. Usiądź, proszę. Mam pyszne ciasteczka i sorbet.

Brzęknęło szkło stawiane na tacy. Szirin wydawała się spokojna i pogodna, zadowolona z tego, co działo się w jej życiu. Thyatis odsunęła nieco zasłonę i zajrzała przez wąską szparę do wnętrza pokoju. Szirin leżała na sofie, owinięta szerokim szalem, który okrywał jej ramiona i piersi. Książę ubrany był w ciemny, niemal czarny jedwab o brązowym połysku. Jego długie włosy były rozpuszczone i nieuczesane, a książę ciągle odrzucał je do tyłu. Thyatis uniosła lekko brwi; uwięzieni w Pałacu Łabędzi nie mieli dotąd okazji, by spotkać arystokratów przebywających na królewskim dworze. Dziś po raz pierwszy ujrzała dziedzica tronu.

Był przystojny, miał wyrazistą twarz i smukłe, proporcjonalne ciało. Wysokie czoło mogło stanowić świadectwo nieprzeciętnej inteligencji. Jego ciemne oczy obwiedzione były węglem, delikatnymi kreskami, które uwydatniały ich urodę. Ogólnie rzecz biorąc, był bardzo atrakcyjnym mło-

dym mężczyzną. Brakowało mu jednak owej aury władzy i wyższości, która z pewnością otaczała jego ojca. Zamiast niej na jego twarzy malował się wyraz troski i niepewności; nawet najlepszy makijaż nie mógł ukryć podkrążonych oczu. Był też mocno wystraszonym młodym mężczyzną.

- Ciociu, wiem, że szczerze kochasz mego ojca; od śmierci cesarzowej byłaś mi jak druga matka. Wiem, że dałaś mi wszystko, co mogłaś, i w normalnych okolicznościach nie śmiałbym cię prosić o nic więcej. Teraz jednak sytuacja zmusza mnie do tego, bym zadał ci jedno pytanie. Proszę, odpowiedz mi szczerze, właśnie ty, która przebywasz z nim najwięcej.

- Oczywiście - odparła Szirin nieco zaskoczona. - Pytaj, proszę, chętnie ci odpowiem.

Księżę przygryzł wargę i rozejrzał się po pokoju. Thyatis struchlała, potem jednak doszła do wniosku, że chłopiec jest tak przejęty, iż nie zauważyłby nawet kohorty legionistów rozstawionych pod ścianami komnaty.

- Proszę, nie zrozum mnie źle, nie mam żadnych złych intencji, dręczą mnie jednak pewne wątpliwości, nie dają mi spać... Muszę to wiedzieć... Czy mój ojciec oszalał?

Przez twarz Szirin przemknął cień. Jej dłonie drżały lekko.

- Prawdę mówiąc... nie wiem. Potraktował mnie tak samo jak ciebie, odesłał od siebie. Praktycznie nie wychodzi ze swoich komnat i nie wzywa mnie tam. Martwię się o niego tak samo jak ty. W pałacu aż huczy od plotek i dziwnych opowieści. Kiedy po raz ostatni widziałeś mojego męża?

Kawad pochylił głowę, wbijając wzrok w podłogę.

- Jakiś tydzień temu... Wezwał swoich doradców, by przedyskutować z nimi sprawę Rzymian.

Thyatis zamieniła się w słuch.

- Było tam tylko kilka osób, mniej niż połowa tych, których wezwał. Najpierw wpadł w wściekłość, potem nagle się uspokoił i przywitał z każdym po kolei. Ja siedziałem po drugiej stronie komnaty, chowałem się przed nim, ale nawet mnie powitał jak gościa. Widziałem jego oczy przez szpary w masce. Były spokojne, ale jego głos był dziwny. - Kawad westchnął ciężko i zaczął się bawić złotymi rzemieniami przy swoich butach. - Pytał, czy wielki księżę Szahin wrócił z wyprawy do Egiptu. Nikt nie potrafił mu odpowiedzieć; odkąd armia Szahina wkroczyła kilka miesięcy temu na pustynię Syrii, nie dostaliśmy od nich żadnych wieści. Potem spytał, czy ddyniec wrócił z wyprawy na północ. I znów nikt nie mógł mu odpowiedzieć; z północy przyjeżdżają tylko posłańcy z wieściami o postępach armii rzymskiej. Wreszcie spytał, czy stworzono już nową armię z mieszkańców miasta. Nikt się nie odezwał. Wtedy rozejrzałem się po komnacie i zobaczyłem wokół siebie tylko starców i służących. Wszyscy wielmoże uciekli do Ekbatany albo dalej, do swoich posiadłości. Ciociu, zostaliśmy sami!

Szirin westchnęła i owinęła się szczelniej szalem. Rozpuściła włosy, gdy śpiewała Thyatis, teraz zaczęła je z powrotem splatać.

- Siostrzeńcze - przemówiła łagodnym tonem - Król Królów ma wiele smartwień. Ta wojna nie idzie po jego myśli, ludzie, nawet ci najbogatsi, zaczynają się bać. Gdyby on sam okazał choć cień strachu, wszyscy wpadliby w panikę, a wojna byłaby przegrana. Strach to normalna rzecz, czujemy go wszyscy, mężczyźni i kobiety. Nie można jednak pozwolić, by nami rządził. Bądź silny dla swego ojca, stój u jego boku, walcz do końca jak on.

Jej głos ucichł nagle, gdy ujrzała zważenie w oczach Kawada. Młodzieniec wstał i pokręcił głową.

- Nikt nam nie pomoże. Odyniec nie żyje, wielki książę Szahin przypuszczalnie też. Żadna armia nie przyjdzie nam z odsieczą, jeśli będziemy bronić miasta przed Rzymianami. Jedyne, co możemy teraz zrobić, to uciec rzeką w góry. To właśnie powiem mojemu ojcu, bo nie ma innego wyboru.

Szirin obserwowała go z zatroskaną miną. Kiedy ruszył w stronę drzwi, podniosła rękę, zatrzymując go.

- Twój ojciec nade wszystko ceni odwagę i honor, drogi siostrzeńcze. Nie rozgniewaj go. Może się na ciebie obrazić.

Kawad uśmiechnął się drwiąco.

- Chcesz powiedzieć, że uzna mnie za tchórza, który chowa się za spódnicą mamy? Że wyrzeknie się mnie, kiedy powiem mu prawdę? Wiem, ale jestem jego synem. Powiniennem być szczery wobec własnego ojca.

Uklonił się i opuścił komnatę. Księżniczka odwróciła głowę i wpatrywała się w ogród za oknem. Thyatis odsunęła się od zasłony, choć miała ogromną ochotę wejść do pokoju i przytulić Szirin. (Czekała jednak cierpliwie w ciemnym korytarzu, zastanawiając się, czy książę zginie z rąk własnego ojca, kiedy ten wpadnie w niepohamowaną wściekłość.

DROGA DO KTEZYFONU, RÓWNINA EUFRATU

O ciana deszczu przesłaniała drogę i ciągnące się wzdłuż niej palmy. *KmJ* Gęste gliniaste błoto oblepiało buty i nogi Dwyrina. Deszcz nie był obfity, ale padał nieprzerwanie od wielu dni. Kanały biegnące równoległe do drogi wypełniała woda, która przelewała się już niemal nad groblami chroniącymi przed zalaniem pola ciągnące się aż po horyzont. W krótkich chwilach wytchnienia, kiedy deszcz ustawał, a zza chmur wyzierało słońce, Dwyrin widział miasta i miasteczka wzniesione na wielkich hałdach ziemi. Kraina, przez którą maszerowali, wydawała się dziwnie opustoszała; brakowało pasterzy i chłopów. Nawet mury miast były puste. Dwyrin człapał powoli, noga za nogą. Błocko cmokało głośno, gdy wyciągał z niego but, by potem ponownie zanurzyć go w lepkiej mazi.

Wokół niego szli inni magowie, niektórzy opierali się o, wóz, by choć odrobinę ulżyć zmęczonym nogom. Od czasu do czasu mijali ich jeźdźcy, kopyta koni jeszcze bardziej niszczyły drogę.

Hibernijczyk zastanawiał się, czy kiedykolwiek ujrzą koniec tego bagna, czy cel ich podróży kiedykolwiek pokaże się nad ogromną równiną pól, miast i drzew. Gdy armia zeszła z gór sąsiadujących z Niniwą, pogoda poprawiła się na moment. Przez kilka dni maszerowali po twardej drodze, pod błękitnym niebem. Powietrze było wtedy chłodne i rześkie, kolejne mile szybko umykały spod ich nóg. Minawszy jednak wielkie północne miasto, weszli na równinę między dwiema rzekami, ogromny obszar błota i miękkiej gliniastej ziemi.

Wtedy znów zaczęło padać, a świat zamienił się w płachtę szarego nieba i błotnistej drogi. Dwyrin stawiał stopę przed stopą. Był zmęczony, bardzo zmęczony. Zoe spojrzała nań przez ramię, równie zmęczona i posepna. Hibernijczyk zostawał w tyle. Przykazała mu gestem, by ich dogonił. Dwyrin westchnął i przyspieszył kroku.

PAŁAC PTAKÓW, KTEZYFON

i

JV a równinie płonęły ognie, czerwone i złote punkty pod zachmurzonym niebem. Rudawy blask odbijał się w brzuchach ciemnych deszczowych chmur. Thyatis stała na dachu domu Szirin, wdychając pełną piersią czysty zapach deszczu na pustyni. Rozłożyła szeroko ramiona, pozwalając, by wilgotny wiatr rozwiewał jej włosy. Miasto wokół niej było cienine, rozświetlone tylko przez nieliczne światła. Pod bramami Ktezyfonu stanęła armia rzymska, ale mieszkańcy stolicy jakby tego nie zauważyli.

Thyatis poczuła ruch powietrza i odwróciła się. Nikos wszedł na dach i stanął obok niej.

- Wszyscy gotowi? - Ogarnął ją wielki spokój, jej myśli były klarowne. Wkrótce miała się zacząć trudna akcja.

- Nie - odparł Nikos wyraźnie zirytowany. - Jusuf musiał się wysiłać, a kiedy wrócił, nie było Szirin. Jej służące powiedziały, że Król Królów wezwał ją do siebie.

- Mitro! Gdzie są dzieci?

- Anagatios się nimi zajął. Dodał do ich soku trochę maku, teraz grzecznie śpią. Bułgarzy są z nim.

- Coś... zresztą, może już wystarczy. Dobrze, w takim razie możemy wykorzystać rynnę. Niech Anagatios i Bułgarzy wejdą na dach. Jusuf i ja pójdziemy inną drogą, potem spróbujemy was dogonić... co?

Nikos wyszczerzył białe zęby w uśmiechu.

- Jusuf już poszedł. Zabrał miecz i pobiegł za tą dziewczyną.

Thyatis zastanawiała się przez mgnienie oka, czy nie poświęcić pięciu ziaren czasu na wiązkę siarczystych przekleństw, w końcu jednak odłożyła tę przyjemność na później.

- Świetnie... Muszę się spieszyć. Zabierz dzieci do zastawki.

- Ave, centurionie. - Nikos odwrócił się, potem jednak przystanął i wyciągnął do niej rękę. Thyatis uściśnęła ją mocno jak zawsze. Ciemność skrywała twarz Ilira.

- Powodzenia - powiedział tylko, a potem ruszył w dół dachu, do okna jej komnaty.

Thyatis podniosła się i powoli obróciła w miejscu, przeczesując wzrokiem miasto. Słyszała ludzi biegnących przez ulicę, nie widziała jednak żadnych pożarów ani dymu. Poprzedniego wieczora do Ktezyfonu przybyli mieszkańcy okolicznych wsi, krzycząc, że nadciągają Rzymianie. Mało kto się tym przejął, bo przez ostatnie dwa tygodnie stolica niemal całkiem opustoszała. Thyatis zastanawiała się, czy ktoś jeszcze mieszka » w ciemnych budynkach. Pałac był niemal całkiem ruiny, zostali w nim tylko gwardziści i kilku służących. Od kilku dni nikt nie widział Króla Królów. Czyżby zdecydował się uciec, rozmyślała Thyatis, czy po prostu umrzeć w ruinach swych marzeń?

Jej komnata była pusta; Nikos już wcześniej spakował wszystkie rzeczy. Zarzuciła torbę podróżną na plecy i sprawdziła paski i rzemienie. Potem zasznurowała buty, zawiązując rzemienie tuż pod kolanami, i zrobiła kilka kroków i wymachów ramion, by torba dobrze ułożyła się na jej plecach.

Starannie zamknęła za sobą drzwi i ruszyła w stronę schodów. Na parterze, w salonie, w którym po raz pierwszy ujrzała księżniczkę, siedzieli Nikos, Anagatios i Bułgarzy, obładowani sprzętem. Ilir niósł ze sobą całą masę dodatkowego uzbrojenia.

- Jesteś pewien, że chcesz ciągnąć ze sobą ten łuk?

Nikos podniósł na nią wzrok i uśmiechnął się, dotykając skózanego pokrowca przymocowanego do jego torby.

- Nigdy nie wiadomo, kiedy się przyda - odparł.

Thyatis sprawdziła skórzane pasy, podtrzymujące czwórkę uszpionych dzieci na plecach Bułgarów. Potem uściśnęła mocno dłonie obu mężczyzn, zaglądając im głęboko w oczy, jakby szukała tam śladów strachu czy niepewności. Wszyscy odpowiedzieli jej spokojnym, nieugiętym spojrzeniem.

- Karmi, Efraim, nie zgubcie bagażu, jasne? Właścicielowi bardzo na nim zależy.

Bułgarzy roześmieli się, błyskając białymi zębami w czarnych jak noc brodach. Thyatis odwróciła się do Anagatiosa, dając mu znak: *Nie czekajcie na mnie przy bramie.*

Syryjczyk zmarszczył brwi, przyjął jednak rozkaz. Thyatis pożegnała wszystkich skinieniem głowy i wyszła z komnaty.

Nikos podszedł do drzwi i poczekał, aż Thyatis zniknie z pola widzenia. Potem je zamknął i zasunął zasuwę.

Anagatios - zwrócił się do Syryjczyka. - *Zabierz Bułgarów do ogrodu, zaczynajcie już schodzić do służby.*

Aktor pokręcił posępnie głową.

Drogi Nikosie, dlaczego to robisz? Przecież najprawdopodobniej i tak nikt nie dowie się, co zrobił centurion. A jeśli ona dowie się, co ty zrobiłeś, będziesz miał się z pyszna!

Nikos nie mógł się z nim zgodzić; dokonał już wyboru.

Ktoś musi to zrobić- odpowiedział - *inaczej cały jej wysiłek może pójść na marne. W ten sposób minie dużo czasu, nim ktokolwiek zacznie coś podejrzewać.*

Jesteś szalony - pokazywał *Anagatios* - *ona nigdy i ty na to nie pozwoliła.*

To prawda - odparł Nikos, wzdychając cicho - *ona nigdy nie zrobiła-by czegoś, co może zasmucić księżniczkę. Ale my jesteśmy jej przyjaciółmi, zrobimy to więc dla niej i wezmę całą odpowiedzialność na siebie.*

Anagatios skrzywił się z powątpiewaniem. Wciąż uważał, że Ilir nie ma racji.

Idź, ja tu wszystkiego dopilnuję.

Anagatios rozłożył szeroko ręce, pokazując coś o bogach, potem wyknął się przez otwarte drzwi do ogrodu, gdzie czekali nań Bułgarzy. Nikos obszedł powoli całą komnatę, zaglądając do kufrów i za zasłony, by upewnić się, że niczego tam nie zostawili. Potem sprawdził także pozostałe komnaty; szklany okój, w którym! Szirin grała na harfie, pokój bankietowy, sypialnię księżniczki, pokoje jej służących. W małej komnacie za kwaterami służących, znalazł pod krzesłem miedzianą sprzączkę pozostawioną przez jednego z Bułgarów. Skrzywił się ze złością i schował ją do kieszeni. Wychodząc z poszczególnych komnat, zostawiał za sobą otwarte drzwi, czasami blokując je krawędzią krzesła czy stołu.

W ostatnim pomieszczeniu, czyli wejściu do łaźni, na wyłożonej zimnym kamieniem podłodze leżało kilkoro mężczyzn i kobiet związanych grubym sznurem. Nikos przystanął i przeliczył ich raz jeszcze. Wszyscy leżeli w bezruchu, głęboko uśpieni, prócz Ary, damy dworu księżniczki. Kobieta przestała się zmagać z krepującymi ją więzami, gdy tylko ujrzała w drzwiach Nikosa. Teraz patrzyła nań z wściekłością. Nikos zignorował ją i położył na ławce przy drzwiach zawiniątko z ubraniami. Potem zsunął z ramienia dzban z olejem i oparł go o ławkę. Ara wydała z siebie jakiś przytłumiony dźwięk, Grek jednak nie zwracał na nią uwagi.

Wyciągnął długi nóż ukryty w pochwie, którą nosił przewieszoną przez ramię. Była to perska broń, wykradziona ze strażnicy Domu Czarnego Łabędzia, w którym spał Król Królów. Wypolerowane ostrze lśniło w blasku lampki olejowej. Nikos przykleknął i przewrócił pierwszego ze skrepowanych mężczyzn na plecy. Uniósł jedną powiekę służącego, któ-

ry wciąż był nieprzytomny. Kilkoma sprawnym ruchami rozciął jego ubranie i rozbierał Persa do naga.

Nikos podniósł głowę, sprawdzając, co robią pozostali więźniowie. Ara przewróciła się na bok i patrzyła nań szerokimi ze strachu oczami. Hir odwrócił wzrok i jednym mocnym pchnięciem wbił nóż między żebra mężczyzny. Ten zadygotał na całym ciele, a jego usta otworzyły się w bezgłośnym krzyku. Po chwili znieruchomiał, a z kącika ust wyciekła strużka krwi. Nikos ubrał go szybko w futrzane buty i proste, ręcznie tkane ubranie barbarzyńcy z północy. Skończywszy, wstał i spojrzał na pozostałych.

Mało czasu, pomyślał, przechodząc do następnego mężczyzny.

Gdy wreszcie pochylił się nad ostatnią z brzegu Arą, ta patrzyła nań oczami pełnymi bezgranicznego przerażenia.

Thyatis biegła przez pałacowe korytarze, mijając wielkie komnaty wypełnione bogactwem, które mogło przyprawić zwykłego śmiertelnika o zawroty głowy. Jej stopy opadały na bajecznie kolorowe mozaiki, przedstawiające sceny z historii i baśni. Kryształowe lampy dogasały, nie było bowiem nikogo, kto uzupełniłby olej w zbiornikach, pochodnie, zatknięte tu i ówdzie na ścianach, dawno już zgasły. Thyatis wbiegła na szerokie, monumentalne schody; każdy stopień wykonany był z turkusowego marmuru, rzeźbionego na kształt fali. Przebiegła przez ogromną komnatę z setkami kolumn i wielką piramidą pośrodku. Na szczycie piramidy stał pusty tron ze złota i srebra. Po drugiej stronie komnaty, za ciężką aksamitną zasłoną, Thyatis znalazła otwarte drzwi i pobiegła w dół wąskim, stromym korytarzem."

k

Mijała ośmiokątne pokoje, wypełnione sofami i szafami. Większość szaf była otwarta, z niektórych wysypywały się bogate szaty, w innych widać było rzędy lśniących, wykładanych klejnotami butów.

Zwolniła nieco, usłyszawszy dochodzące gdzieś z przodu gniewne głosy. Przeszła przez sypialnię zajętą w dużej części przez ogromne łóżko z baldachimem z fioletowego jedwabiu wyszywanego złotymi gwiazdami. Pościel leżała zrzucona na jedną stronę, delikatny egipski jedwab i bawełna. W niewielkiej fontannie w kształcie misy szemrał cicho strumyk. Zachodnia ściana pokoju złożona była z drewnianych ram podtrzymujących setki kwadratów barwionego szkła.

Za sypialnią rozciągał się ogród wypełniony tysiącami białych kwiatów. Niebo wciąż było ciemne, tylko na wschodzie jaśniała różowa luna. Perłowe kwiaty błyszczały w świetle setek papierowych latarni zawieszonych na drzewach. Ogród składał się z trzech wielkich tarasów, schodzących łagodnie ku majaczącym w dole murom. Przez całą długość ogrodu biegły schody ułożone z cedrowych belek. Thyatis zatrzymała się na okrągłym podeście z drewnianych płyt, tuż przy sypialni.

Szirin stała w ciemności na schodach - jasnożółty płomień w długiej sukni. Nieco niżej stał Jusuf z obnażonym mieczem w dłoni. Jego ciem-

nozielone szaty zlewały się w jedno z krzewami i trawą, w ciemności majaczyła tylko pociągła twarz oblana różowym światłem. Thyatis dostrzegła za Szirin wysokiego, umięśnionego mężczyznę o bardzo szerokich ramionach i czarnych, kręconych włosach. W jednej dłoni trzymał wykręconą do tyłu rękę księżniczki, w drugiej miecz skierowany ku bułgarskiemu księciu.

- Odsuń się, chłopcze. - Głos mężczyzny był dziwnie przytłumiony. Thyatis przesunęła się w bok, kładąc lewą dłoń na rękojeści miecza. Twarz mężczyzny jaśniała dziwnym złotym blaskiem; Thyatis uświadomiła sobie nagle, że nie jest to jego prawdziwe oblicze, lecz odlana ze złota maska.

- Nie, Chosroesie, Królu Królów. Zostaw Szirin w spokoju. Nie pójdzie dzisiaj tobą.

- Jusufie... Ach! - Szirin krzyknęła z bólu, gdy Chosroes mocniej wykręcił jej rękę.

- Uspokój się, żono. Ciebie, chłopcze, uważałem kiedyś za przyjaciela. Teraz przychodzisz do mojego domu w towarzystwie wrogów i żądasz, bym oddał ci moją własność. Nie będę tego tolerował. Odsuń się, a daruję ci życie. Jeśli tego nie zrobisz, zginiesz jak twój brat.

Thyatis syknęła, zaskoczona, na szczęście zagłuszył ją gniewny krzyk Jusufa.

- Sługo kłamstwa! Mój brat jedzie tu ze swoją armią, by położyć kres twojemu szaleństwu!

Chosroes odrzucił głowę do tyłu i roześmiał się głośno. Potem wbił miecz w ziemię i owinął rękę Szirin sznurkiem wyciągniętym z kieszeni. Księżniczka próbowała mu się opierać, było już jednak za późno. Jusuf podbiegł wyżej, ale nie zaatakował. Thyatis zaczęła powoli wysuwać miecz z pochwy. Widok twarzy Szirin wykrzywionej bólem obudził w niej płomyk wściekłości, który powoli przybierał na sile.

- Twój brat, krzywoprzysięzca, nie żyje - grzmiał Chosroes. - Zginął pod Kerenos, przeszyty włóczniami. Jego ciało zostało uniesione z pola bitwy na tarczy Domu Asena, podtrzymywane setkami włóczy.

Szirin krzyknęła z bólu i padła na kolana.

- Nie mam czasu, żeby właściwie się tobą zająć, żono, ale to powinno wystarczyć.

Król Królów wyrwał miecz z ziemi i stanął na szeroko rozstawionych nogach.

- Chodź, złodzieju, spróbuj zabrać, co moje, jeśli potrafisz.

Jusuf pobladł i uniósł wyżej miecz, szykując się do skoku, powstrzymał go jednak donośny, dźwięczny głos Thyatis:

- Nie, Jusufie, zabraniam.

Chosroes obrócił się w miejscu, przyjmując pozycję do walki. Jego maska błyszczała blade w świetle lamp, oczy kryły się w czarnych szczelinach.

Thyatis zesza powoli z drewnianego podestu, trzymając przed sobą uniesiony miecz.

- Rozstaniemy się w pokoju, królu Chosroesie, jeśli pozwolisz Szirin pójść własną drogą.

- Prawdziwa Rzymianka! - dziwił się głośno król, przesuając się powoli w lewo. - Cóż to za dziwne czasy! Jesteś zabawką Jusufa? Zawsze lubił egzotyczne rzeczy.

- Nie jestem niczyją zabawką - odparła Thyatis, także przechodząc w lewo, by utrzymać stałą odległość od Persa. - To Jusuf jest moim podwładnym. Pozwolisz Szirin odejść własną drogą?

- Nie! - zagrzmiął król metalicznym głosem. - Jest moją własnością, jej rodzina oddała mi ją z własnej woli. Pójdzie tam, gdzie ja. Ani ty, ani ten pozbawiony honoru młokos nie możecie mi jej odebrać. Jeśli tak bardzo ci na niej zależy, podejdź bliżej i zagraj o nią własną krwią.

- Nie chcę cię zabijać, Królu Królów. Obiecałam Szirin, że daruję ci życie.

- Ty obiecałaś jej? - powtórzył z niedowierzaniem Chosroes. - Własność nie może obiecywać niczego innej własności! Czy sokół obiecuje coś psu? Czy wół składa przyrzeczenie owcom? Twoje słowa nic nie znaczą. - Odwrócił się od Thyatis, zde gustowany. S

- Myślisz, że nie wybrałaby cię sama, gdybyś ją o to poprosił? - spytała ostro Thyatis.

Chosroes zatrzymał się zaskoczony i spojrział na Szirin, która zdołała podnieść się na kolana. Podczas szamotaniny król zerwał fragment jej sukni, odsłaniając lewe ramię i fragment kształtnej piersi. Twarz księżniczki wymazana była błotem, na które upadła pchnięta przez Chosroesa.

- Dlaczego miałyby iść ze mną? - wyszeptał, podnosząc dłoń do zakrytej maską twarzy. - Kto wybrałby, z własnej woli towarzystwo potwora, zeszczonej kreatury niegodnej być królem?

- Ależ ty jesteś królem, najdroższy - odparła Szirin przez łzy. - Zawsze byłeś wspaniałym władcą, potężnym i dumnym. Proszę, dość już przelano niewinnej krwi.

- Nie wybrałabyś mnie - rzekł król nieobecny głosem, dotykając opuszkami palców jej głowy. - Jestem karykaturą człowieka, powinienem ukryć się w ciemnościach.

- Nie! - szlochała Szirin. - Kocham cię. Zawsze byłeś dla mnie najważniejszy. Kiedy patrzę na ciebie, widzę twarz mojego męża, mojej miłości, a nie tylko twoje ciało.

Chosroes odwrócił się, zaciskając mocno dłoń na rękojeści miecza. Thyatis stała zaledwie kilka stóp dalej, na lekko ugiętych kolanach, z mieczem odchylonym w lewo, z dala od króla.

- Widzisz? - powiedziała cicho. - Poproś ją! Wybierze ciebie. Wtedy Jusuf i ja się odsuniemy, a wy przejdziecie oboje do bramy. Noc jest ciemna, a Rzymianie nie mają łodzi. Możecie uciec rzeką...

Król uniół miecz. Na niebie rozlewała się powoli czerwona łuna, coraz większa i jaśniejsza. Thyatis słyszała głosy tysięcy ludzi. Rzymska armia wkroczyła już do miasta.

- Szydzisz ze mnie! - warknął Chosroes. -To kłamstwo! Wszyscy Rzymianie to kłamcy, jedyny, który mówił prawdę, dawno już nie żyje. Twój lud potrafi tylko kłamać i oszukiwać.

Thyatis przesunęła lekko prawą stopę do przodu i obróciła się powoli, stając w jednej linii z ostrzem miecza. Jej umysł oczyścił się z wszelkich niepotrzebnych myśli, wyczułone zmysły wychwytywały setki zapachów i dźwięków dolatujących z ogrodu: głosy ptaków, pobrzękiwanie broni Anagatiosa schodzącego po linie na końcu ogrodu, chrapliwy oddech stojącego przed nią mężczyzny.

Miecz króla błysnął nagle w górze, a Thyatis błyskawicznie zmieniła pozycję i przesunęła się do przodu. Ciężkie ostrze Chosroesa zatrzymało się z brzękiem na mieczu Thyatis, jednocześnie Rzymianka uderzyła ramieniem w tułów przeciwnika. Król stęknął ciężko, a Thyatis odskoczyła do tyłu, pozbawiona na moment czucia w ramieniu. Z trudem utrzymywała broń w zdrętwiałych palcach. Chosroes krzyknął i rzucił się naprzód, zamierzając się do kolejnego uderzenia.

Thyatis odskoczyła do tyłu, zbijając czubkiem miecza jego cios. Chosroes przeszedł do frontального ataku, zasypywał ją gradem uderzeń. Thyatis reagowała błyskawicznie, ostrze migotało w jej ręku, odpierając cios za ciosem. Coraz bardziej bolały ją ramiona, każde uderzenie zmuszało ją do maksymalnego wysiłku. Cofała się powoli, krok za krokiem, dysząc ciężko. Na jej rękach ramionach pojawiły się pierwsze małe rany. Chosroes roześmiał się sędziko.

Thyatis poświęciła jeden oddech, by krzyknąć do Jusufa:

- Do bramy! Idźcie do bramy!

Bułgar zatrzymał się na szczycie schodów i wyciągnął rękę do Szirin. Obejrzał się przez ramię. Bułgarzy obarczeni dziećmi księżniczki schodzili w dół omszałej ściany po grubych, plecionych linach.

Szirin syknęła hań ze złością:

- Ratuj moje dzieci, niezdaro!

Jusuf obrócił się na pięcie i ruszył biegiem w dół schodów, przeskakując po trzy stopnie naraz.

Thyatis uchyliła się w bok i w dół, pozwalając, by miecz króla przeciął powietrze w miejscu, w którym przed momentem znajdowała się jej szyja. Jednocześnie wyprowadziła dalekie kopnięcie, trafiając Chosroesa w kolano. Jej stopa-odskoczyła do tyłu, jakby natrafiła na kamień, Chosroes jednak stęknął z bólu i zmienił pozycję, przesuwając zranioną nogę do tyłu. Thyatis także cofnęła się o krok.

- Rzymianin polega w walce na własnych umiejętnościach? - szydził Chosroes. - Doprawdy, nastał wiek cudów.

Thyatis ujęła oburącz miecz. Zamierzyła się na ramię króla, ostrze przecięło powietrze niczym błyskawica. Chosroes odbił cios i rzucił się na nią z rykiem, uderzając łokciem w jej piersi. Żelazne pierścienie zbroi przejęły część siły, większość jednak została wytlumiona przez

ukrytą pod spodem warstwę grubej skóry. Thyatis odleciała do tyłu i uderzyła plecami w młode drzewko.

Drzewo złamało się pod jej ciężarem, a Thyatis runęła na ziemię. Miecz wyśliznął się z jej spoconej dłoni, gdy wykonywała przewrót do tyłu, by potem błyskawicznie zerwać się na równe nogi. Król Królów okrążył drzewko i kopnął jej broń w trawę. Thyatis, pochylona, przesunęła się w drugą stronę. Chosroes zaatakował ponownie, śmiejąc się jak opętaniec i wywijając mieczem nad głową.

Thyatis uchyliła się przed dwoma ciosami, a potem znów kopnęła go w kolano i natychmiast wykonała przewrót w tyłu, by uniknąć kontrataku. Znalazła się na murku oddzielającym poszczególne poziomy ogrodu. Rozłożyła szeroko ręce, by nie stracić równowagi. Chosroes roześmiał się ponownie i sięgnął do przekrzywionej maski, by zerwać ją z twarzy i odrzucić na bok, prosto w krzaki róży, a potem otrzeć pot zalewający oczy.

Thyatis zmrużyła powieki, przyglądając się uważnie jego prawdziwej twarzy oświetlonej blaskiem lamp. Kiedyś musiał być bardzo przystojny, miał dumny nos, mocne, pełne usta i wysokie, kształtne kości policzkowe. Jego ciemne, obwiedzione długimi rzęsami oczy przyprawiłyby o szybsze bicie serca każdą rzymską damę. Teraz jednak oblicze króla zniekształcone było straszliwymi bliznami, jedno oko zostało niemal całkowicie zasłonięte przez grubą fałdę lśniącej, różowej skóry.

- Sama widzisz! - zawył, widząc błysk obrzydzenia w jej oczach. - Żaden ze mnie król!

Znów poderwał się do ataku, tnąc z ukosa, wkładając w uderzenie wszystkie siły. Thyatis podskoczyła wysoko, podciągając po sobie nogi. Ostrze przecięło powietrze, a król poleciał do przodu i zatrzymał się na skraju murku, z trudem zachowując równowagę. Thyatis natychmiast przeszła do kontrataku, zasypując jego twarz gradem ciosów, uderzając pięściami i łokciami. Chosroes krzyknął przeraźliwie, kiedy ze złamanego ponownie nosa trysnęła krew. Thyatis precyzyjnym kopnięciem w nasadę kciuka wytrąciła mu broń z ręki. Ostrze upadło z brzękiem na schody niższego tarasu.

Król Królów otrząsnął się z zaskoczenia i próbował się bronić, lecz jego ciężkie, zamachowe ciosy trafiały w pustkę. Thyatis uchyliła się przed kolejnym uderzeniem i wyprowadziła szerokie kopnięcie z obrotu. Obcas jej buta trafił Chosroesa w głowę, z głębokiego rozcięcia trysnęła krew. Wściekłość dodawała Thyatis sił, jej pięści uderzały z niesamowitą prędkością i precyzją. Chosroes wymachiwał rękami, próbując zablokować uderzenia, słabł jednak z każdą chwilą. Raz po raz trafiała go w twarz i przeponę.

Czubek buta uderzył w krocze króla, a ten zawył przeraźliwie i zgiął się wpół. Prawy łokieć Thyatis trafił w kark pochylonego Chosroesa, posyłając go na ziemię. Rzymianka przyklękała, pochwyciła Króla Królów za włosy i odchyliła jego głowę do tyłu.

Szczupła dłoń złapała jej rękę podniesioną do ostatniego, miazdzącego tchawicę ciosu.

- Nie! Thyatis... obiecałaś!

Rzymianka odwróciła się powoli, a szara mgła wściekłości, w której majaczyła zakrwawiona twarz króla, zaczęła ustępować sprzed jej oczu. Szirin trzymała ją mocno za rękę, cała ubłocona i rozczochrana. Ręce księżniczki posiniaczone były przez mocno zaciśnięte więzy, które przecięła przed chwilą porzuconym mieczem Thyatis. Jasnożółta jedwabna suknia wisiała na niej w strzępach.

- Zostaw go - powiedziała Szirin, odciągając Thyatis od jęczącej na ziemi postaci. - Dokonał już wyboru.

Za plecami księżniczki, na dachu pałacu, pojawiły się nagle płomienie. Z okien dobiegały krzyki podekscytowanych żołnierzy. Ciemne brzuchy chmur błyszczały czerwienią pożarów rozniecanych w mieście. Ktezyfon płonął.

- Brama... - wyszeptła Thyatis, opadając nagle z sił. Szirin wsunęła się pod jej ramię i objęła Rzymiankę w pasie. Potem zaczęła prowadzić ją w stronę stopni, ale Thyatis jednak obróciła się niezdarnie. Zaczął padać deszcz, pierwsze krople uderzały o dachy pałacu. - Mój miecz...

Szirin zakłęta i oparła Thyatis o pień najbliższej jabłoni. Rzymianka przywarła do niej mocno, dopiero teraz czując straszliwy ból przenikający jej klatkę piersiową i ramiona. Księżniczka brodziła w trawie, klnąc jak szewc. Deszcz przybierał na sile, przebijał się przez gęstą zasłonę liści. Thyatis podniosła głowę ku niebu, pozwalając, by woda spływała po jej twarzy, chłodziła jej skórę.

Księżniczka podbiegła do niej, przemoczona do suchej nitki i zdyszana.

- Proszę - wysapała, wciskając jej miecz do ręki. - Musimy iść.

Zabrzęczała rozbijana szyba, a na górnym tarasie rozbłysło czerwone światło. Szirin ponownie ujęła Thyatis w pąk i zaczęła prowadzić ją w dół schodów. Thyatis ohjejrzała się za siebie, na pałac podświetlony blaskiem ognia. Znów rozległ się brzęk tłuczonego szkła, kiedy żołnierze rabujący komnaty Króla Królów zaczęli wyrzucać różne przedmioty przez szklane drzwi. Na dole, przy bramie, czekał już Nikos. Choć woda spływała strumieniami po jego twarzy, uśmiechał się od ucha do ucha: uwielbiał wilgoć.

Szirin przekazała mu słaniającą się na nogach Thyatis. Nikos wziął ją na ręce i przeniósł do łodzi. Księżniczka odwróciła się, by po raz ostatni spojrzeć na Pałac Czarnego Łabędzia. Kopuły pałacu spowite były ogniem, słup czarnego dymu piął się ogromną kolumną ku niebu. Na balkonach tłoczyły się postacie w zbrojach i hełmach, wyrzucające na podwórze meble i dywany. Nieco niżej, w ogrodzie, widać było barczystą, czarną sylwetkę podnoszącą się powoli z ziemi, podświetloną przez czerwoną łunę pożaru. W powietrzu gęsto było od dzikich krzyków i wrzasków.

Szirin drżącymi dłońmi otarła wodę z twarzy. Odwróciła się, zamknęła żelazne wrota i napała z całej siły na zamykającą je zasuwę. Zardzewiała sztaba opierała się przez chwilę, potem jednak ze zgrzytem wsunęła się na miejsce.

Nikos stał już na rufie długiej łodzi wyposażonej w niewielką kabinę. Wsparty na grubym drągu czekał, aż wszyscy wejdą na pokład. Dwaj Bułgarzy podeszli do burty i pomogli Szirin wejść do łodzi. Księżniczka bez słowa przeszła do kabiny i zniknęła w jej wnętrzu. Po niebie przetoczył się pierwszy grzmot. Błyskawica połączyła na mgnienie oka dwie chmury. Bułgarzy wciągnęli na pokład linę cumowniczą, a Nikos wbił drąg w dno. Łódź odsunęła się powoli od nabrzeża, by wypłynąć na pomarszczoną deszczem tafłę rzeki. Nikos, dawno już przemoczony do suchej nitki, zaczął śpiewać piosenkę z czasów swej młodości. Otaczała ich coraz głębsza ciemność. Bułgarzy napaarli mocniej na drągi. Od drugiego brzegu dzieliła ich prawie mila.

Tymczasem ukryta w ciepłym mroku kabiny Szirin okryła się szczerlnie wełnianymi kocami, przygarniając do siebie uśpione dzieci. Te mamrotały coś przez chwilę, potem jednak zasnęły ponownie, uspokojone znajomym zapachem jej perfum. Łódź kołysała się łagodnie w rytm ruchu wioseł. Księżniczka drzemała, otoczona swymi dziećmi. Tuż obok posapywała wyczerpana Thyatis, jej prawa ręka spoczęła na brzuchu Szirin. Łzy ciekły strugą z oczu księżniczki nawet po tym, gdy zapadła już w głęboki sen.

WRONY NAD PALMYRA

i

Dahak stał w ruinach bramy Damaszku okrytych warstwą siwego popiołu. Dwaj kamieniarze, bladzi ze strachu, klęczeli przed nim, trzymając w rękach ciężką czarną tablicę z polerowanego bazaltu. Na powierzchni kamienia widniał wyryty starożytny napis. Tylko Dahak mógł odczytać te słowa, uważał to jednak za świetny żart, wyciągnięty jeszcze ze wspomnień odległej młodości. Jego palce, pomarszczone i ostre jak szpony, pieściły gładką powierzchnię kamienia. Napis głosił:

Zniszczyłem ich, zburzyłem mury i spaliłem miasto ogniem; pojmałem tych, którzy przeżyli, i nadziałem ich na pale przed ruinami ich miasta... Przed bramą ułożyłem stopy czaszek... Poćwiartowałem ich ciała na drobne kawałki i nakarmiłem nimi psy, świnie, sępy... Powoli zdzieratem z niego skórę... Niektórym uciąłem ręce i nogi; innym nosy, uszy i ręce; wielu żołnierzom wydłubałem oczy... Obdarłem ich ze skóry, a szczątki powiesiłem na murach miasta...

Dahak roześmiał się cicho, czując, jak radość z dokonanej zemsty rozgrzewa jego pierś, zawsze zimną jak lód. Odwrócił się i stanął na stopniach swego wozu, który żołnierze na jego polecenie wyciągnęli z rowu i przyozdobili bogactwami zrabowanymi z pałacu. Arkusze złota

okrywały drzwi, na ich powierzchni widniały liczne znaki i napisy wydrążone kwasem przyrządzonym z ludzkiej krwi. Czarownik położył prawą dłoń, już niemal zdrową, na uchwycie przy drzwiach i podciągnął się.

- Przybijcie do muru nad ścianą, tam, nad wejściem.

Kamieniarze złożyli mu głęboki pokłon, dotykając czołami bruku.

Byli jedynymi mieszkańcami miasta, jacy przeżyli najazd Persów. Żołnierze pomogli im podnieść czarny kamień. Zadzwięczały młoty, żelazne bolce powoli zaczęły wsuwać się w blok piaskowca.

Dahak rozejrzał się dokoła, ogarniając spojrzeniem swe dzieło. Był z siebie zadowolony. Długie mury miasta leżały w gruzach, zniszczone przez ogień, wodę i błyskawice. Domy zamieniły się w puste skorupy wypalone ogniem. Nie ostał się żaden posąg, żadna kolumna nie spoczywała na swojej podstawie. Cztery świątynie bogów miasta zamieniły się w sterty gruzów. Przy bramach wznosiły się ogromne kopce czaszek wpatrzonych czarnymi oczodołami w niebo i pustynię.

Na szczycie resztek bramy wisiały przyszpilone czarnymi gwoździami zwłoki. Po śmierci Zenobia nie wydawała się już taka piękna. Strzały i włócznie rozdarły jej ciało, gdy wreszcie zginęła przy ostatniej bramie. Trzydziestu ludzi poległo od jej miecza. Dopiero łucznicy zdołali ją pokonać, nikt bowiem nie śmiał stawić jej czoła w otwartej walce. Jej ciało przeciągnięte zostało przez ulice miasta przed oblicze Dahaka zasiadającego w ruinach jednej ze świątyń. Na jego rozkaz żołnierze wylupali królowej oczy, a potem atknęli na pal jej odciętą głowę, którą obnosili przed szlochającymi mieszkańcami miasta.

Wszystko to pozostali przy życiu Palmyrczycy widzieli, nim Dahak przeszedł między nimi, uczując. Gdy skończył, na ziemi leżały tysiące martwych ciał o wysuszonej, przywierającej do kości skórze. Rozniecono ogromne ogniska, a żołnierze przez całą noc wrzucali do nich trupy.

Palmyra umierała długą i bolesną śmiercią.

Dahak roześmiał się ponuro.

- Żegnaj, o potężna królowo - powiedział, oddając szyderczy ukłon zwłokom zawieszonym nad bramą. Głowa Zenobii została ponownie przyszyta do ciała, choć bardzo niezdarnie i w pośpiechu. - Nie obawiaj się o swego ukochanego. Jest pod moją opieką.

Dahak poklepał sarkofag ułożony w tylnej części wozu. Sarkofag wykonany był z ciężkiego, szarego kamienia, w którym wiele lat wcześniej złożono jednego z szanowanych obywateli miasta. Teraz jego szczątki leżały rozrzucone na pustyni, a w sarkofagu spoczęło ciało egipskiego kapłana owinięte w całun pogrzebowy i obsypane solą. Pieczęć ze złota i ołowiu wypełniała szpary pomiędzy dolną i górną częścią. Dahak ujął mocno cugle.

- Jazda! - krzyknął, szarpiąc za cugle, a dwadzieścia mułów zaprzęzonych do wozu ruszyło powoli naprzód. Dahak rozsiadł się wygodniej na drewnianym fotelu i uśmiechnął do siebie. W ślad za wozem ruszyły oddziały konnicy. Gdy cała kolumna przejeżdżała między wiezami cmentarnymi,

dołączyli do nich włócznicy, objuczeni łupami ze zdobytego miasta. Wozy wytaczały się powoli na drogę. Perska armia opuszczała miasto na pustyni.

Dahak ogarnął spojrzeniem swoją armię - bo uważał ją już za swoją, zmuszoną do uległości przez strach i udział w straszliwych zbrodniach - i znów uśmiechnął się z zadowoleniem. Jego dług zniknął wraz ze śmiercią Króla Królów, wyczuwalną nawet z odległości wielu mil. Teraz nie musiał się już powstrzymywać.

Słońce niezmordowanie ogrzewało wypaloną, pustą ziemię. Nad miastem krążyły stada wron.

KTEZYFON

SM iasto płonęło przez trzy dni i trzy noce, nim wreszcie obfity deszcz ugasił ostatnie pożary. Rozgrzane karnienie syczały i pękały w zetknięciu z zimną wodą, kiedy Galen przechaazał się między ruinami wielkiego pałacu stojącego niegdyś nad rzeką. Germanie otaczali go szerokim kołem, które przemieszczało się tam, gdzie on. Dzień był szary, zarówno na niebie, po którym sunęły ciężkie, deszczowe chmury, jak i na ziemi okrytej cienką warstwą popiołu. Barbarzyńcy z północy wciąż nie mogli się nacieszyć ogromnymi skarbami, jakie zrabowali w mieście i pałacach. Każdy z nich ugiął się pod ciężarem złotych łańcuchów i pierścieni. Wszyscy ludzie z armii obu cesarza mogli zabrać ze sobą tyle skarbów, ile tylko mogli unieść.

Galen wszedł na szerokie schody zasłane popękkanymi deskami i nadpalonymi belkami. Tereny wokół cesarskich rezydencji okrywała warstwa lepkiego błota przemieszanego z popiołem. Miasto leżało w gruzach, niemal wszyscy jego mieszkańcy uciekli jeszcze przed przybyciem armii rzymskiej. Galen wszedł na szczyt schodów, zatrzymał się i odwrócił, spoglądając na szeroką taflę rzeki i ograniczające ją groble, wznieszone i utrzymywane przez całe pokolenia rolników i mieszkańców miasta. Woda sięgała już niemal górnej krawędzi wałów. Jeszcze jeden lub dwa dni deszczu i przeleje się na drugą stronę.

Cesarz pokręcił głową. *Me ma już nikogo, kto mógłby naprawić tę groblę.*

Herakliusz stał na podwyższeniu pośrodku wielkiej sali. Poniżej tłoczyli się jego oficerowie w czerwonych płaszczach i ubłoconych butach, gwardziści stali w nierównym kręgu pośród ruin otaczających podwyższenie. Kolumny biegnące wzdłuż ścian komnaty leżały popękane na podłodze, ogromna kopuła przykrywająca hol zamieniła się w wypaloną szkielet, przez który wpadały do wnętrza krople drobnego deszczu.

Cesarz Wschodu patrzył w dół na ogromny, popękany dysk wyłożony mozaiką przedstawiającą mapę świata. Galen podszedł do niego, pozostawiając swych gwardzistów u stóp podwyższenia.

- Witaj, bracie - zwrócił się do Herakliusza.

Wschodni cesarz podniósł nań jasne, roziskrzone oczy.

- Szkoda, że to się zniszczyło - powiedział, wskazując na rozbite resztki mapy. - Ale rzymska byłaby dokładniejsza.

Galen uniósł lekko brwi zaskoczony, nie skomentował jednak tej uwagi.

- Szkoda, że całe miasto zostało zniszczone - odparł. - Było bogate, pełne *fabricae* i kupców.

Herakliusz roześmiał się, odstępując od mozaiki i rozkładając szeroko ramiona.

- Zbudujemy tu nowe miasto, jeszcze większe, jeszcze wspanialsze, ale to będzie rzymskie miasto! Stolica rzymskiej Persji...

Herakliusz umilkł na chwilę, jakby zapatrzony w jakiś odległy, niewidoczny dla innych obraz, a potem odwrócił się i wziął Galena za ramię. Razem przeszli ku otwartej części komnaty, w której niegdyś stały imponujące arkady prowadzące do luksusowego ogrodu. Pozostali oficerowie i arystokraci powoli szli za nimi.

- Persja leży u naszych stóp, pobita, zgnieciona na miazgę. Ich armia jest rozproszona, Chazarowie pustoszą kraj. Miną dziesięciolecie, nim pojawi się jakiś król zdolny odbudować to imperium. - Herakliusz zatrzymał się i odwrócił do Galena. - To nasza szansa, bracie, by wreszcie położyć kres walce pomiędzy wschodem i zachodem. Wschodnia granica będzie sięgać aż do Indii!

- A Chosroes? - spytał z rezerwą Galen. - Co z nim?

- Ano właśnie - odparł Herakliusz, uśmiechając się jak kot w spizarni. Kopnął jakiś tobołek leżący na podłodze, ciężki i owinięty w płótno. - Swiad! Pokaż cesarzowi, co znalazłeś.

Wareg, olbrzym ze złamanym nosem i łysą czaszką, pochwycił kraniec płótna i rozwinął. Ze środka wypadło coś czarnego i spuchniętego, pokrytego warstwą mrówek i robaków. Galen skrzywił się z odrazą. Ręka trupa upadła na podłogę tuż obok jego stóp, jego palce wyglądały jak nabrzmiałe wodą, przegotowane, szare kiełbaski. Zachodni cesarz zakrył usta i nos chusteczką. Smród był trudny do wytrzymania.

- Widzisz - mówił Herakliusz, jakby nie zauważając straszliwego odoru. - Król Królów to już przeszłość.

- Gdzie... go znaleźliście? Jesteś pewien, że to Król Królów? - Galen zamilkł, zmagając się z falą nudności.

Herakliusz dał Waregowi znak, by zwinął płótno z powrotem. Potem odwrócił się i powoli ruszył z powrotem w stronę rozbitej mapy.

- Kilku twych ludzi, nieświadomych, z kim mają do czynienia, zadłgało go włóczniami pierwszej nocy. Podobno i tak był już ranny

i okrwawiony. Jego ciało leżało w ogrodach pałacu przez dwa dni, nim znalazł go jeden z pozostałych przy życiu Persów. Hojnie nagrodziłem tego sługę, bo przyniósł mi naprawdę cenny podarek.

Wschodni oficerowie patrzyli z uśmiechem na nadchodzącego Herakliusza i Galena. Jednym z nich był brat wschodniego cesarza, Teodor. Prawą dłoń trzymał na ramieniu młodego człowieka o posępnym wyrazie twarzy. Galen uniósł lekko brwi - chłopiec był niemal ładny, choć kryło się w nim coś dziwnego. Jego ubranie, skóra i włosy były typowe dla Persa, lecz oczy, nos, a nawet usta kogoś cesarzowi przypominały...

- Ach, mój przyjacielu. - Herakliusz westchnął, kłaniając się chłopcu. - Teodorze, puść go.

Księżę delikatnie wypchnął Persa do przodu. Chłopiec podniósł smutny wzrok, jego usta drżały, jakby był bliski płaczu. Galen położył ręce na biodrach.

- A to co? - spytał, spoglądając wyczekująco na Herakliusza. Wschodni cesarz uśmiechnął się i przygłodził wąsy. Spojrzał przez ramię na owinięty płótnem toból, który Waregowie ciągnęli w dół, do ogrodu. Wschodni oficerowie uśmiechali się do siebie i tręcali porozumiewawczo, jakby brali udział w jakimś sekretnym żarcie.

- Czy jestem zadowolony? - zaczął Herakliusz, najwyraźniej mówiąc do siebie. - Naród związany traktatem pokojowym napada na moje państwo. Armie wroga pustoszą moje miasta, biorą w niewolę moich obywateli, rabują i zabijają. Wysyłam do tego narodu poselstwa z orędziem pokoju, a wracają do mnie ucięte głowy posłów. Słę listy, próbując dowiedzieć się, czym wzbudziłem gniew tego narodu, a w zamian nazywany jestem plugawym i szalonym niewolnikiem. Wreszcie, całkiem innymi kanałami, dowiaduję się, co jest przyczyną konfliktu między domem moim i domem Ghosroesa. Wysyłam głowę mordercy przyjaciela perskiego cesarza jako znak pokoju!

Galen spojrział na otaczający go krąg twarzy. Wschodni oficerowie uśmiechali się od ucha do ucha, podekscytowani jakimś sekretnym pragnieniem. Pers przestał drzeć i uniósł wyżej głowę. Galen zmarszczył brwi: ten chłopiec wydawał mu się dziwnie znajomy!

- Pragnę chronić siebie i obywateli mego miasta, lecz wróg wysyła przeciwko mnie kolejne armie. Giną dziesiątki tysięcy ludzi, płoną miasta. Lecz mimo to mój lud błaga mnie, bym pozostał w ukryciu, za grubymi murami stolicy. Ja jednak nie poddam się i przy pomocy mego brata cesarza wychodzę do otwartej walki i ostatecznie utwierdzam swą władzę.

Herakliusz spojrział wreszcie prosto w oczy chłopca. Teodor i dwaj spośród jego ludzi zbliżyli się do Persa. Galen uczynił krok do tyłu, wyczuwając ponure myśli i zamiary przenikające umysły młodych oficerów w czerwonych płaszczach. Dał znak swym gwardzistom. Germanie natychmiast przesunęli się do przodu, kładąc dłonie na rękojeściach mieczy.

- Przynoszę śmierć i zniszczenie. Rozbijam armie. Burzę miasta. Stoję nad ciałem mego wroga! - Herakliusz krzyczał, czerwony na twarzy i pochylony nad perskim chłopcem. - Czy jestem zadowolony? Czy jestem zadowolony? Nie! Nie jestem. Między twoim a moim domem jest krew, Kawadzie Sziroje, krew, która wciąż nas różni!

Pers nawet nie drgnął, jakby przygotowany na ten wybuch. Galen otworzył szerzej oczy, zrozumiał wreszcie wszystko. Ach, westchnął w duchu ze smutkiem, więc przegrałem to rozdanie.

- Czy jego śmierć by cię uspokoiła? - spytał zachodni cesarz, kładąc dłoń na ramieniu Herakliusza. - Czy śmierć Fokasa przywróciła ci spokojny sen, gdy zostałeś cesarzem?

- Tak - warknął Herakliusz, strącając rękę Galena. - Ta walka dobiegnie wreszcie końca, skończymy raz na zawsze z przeszłością. Gdy ta gałąź zostanie odcięta, pozostanie tylko Szirin, a ją obiecałem Teodorowi.

Galen zmrużył oczy, podszedł do chłopca i obrócił się do Herakliusza. Wschodni cesarz cofnął się o krok, zaskoczony.

- A wtedy - rzekł Galen - twój brat będzie rządził krajem Persów z perską królową u boku?

- Słyszałem, że jest piękna - odparł Herakliusz, zatykając kciuki za szeroki, rzemienny pas. - Rodzi zdrowych, mocnych synów. Ale nie jest Persjanką, tylko kim... Ormianką? Nieważne. Będzie godną nagrodą dla mego brata.

Galen odwrócił się, spoglądając na Teodora. Młody książę uśmiechał się szeroko, podniecoły i uradowany wizją korony spoczywającej na jego skroniach. Gdy jednak zachodni cesarz wbił weń zimne, twarde jak stal spojrzenie, Teodor pobladł nagle i cofnął się o krok. Galen sięgnął do pasa i wyjął krótki, szeroki nóż. Wszyscy zamarli w bezruchu, słysząc zgrzyt metalu <j,metal. Waregowie podnieśli topory, gotowi do ataku, potem jednak znieruchomieli skonfundowani; nie mogli podnieść ręki na cesarza Zachodu.

- Młody człowiek powinien żyć w pokoju, w domu niesplamionym niewinną krwią - powiedział Galen donośnym głosem, by słyszeli go wszyscy obecni w komnacie. - Ten oto człowiek jest Rzymianinem, zrodzonym z Rzymianki. Jest wnukiem cesarza Rzymu zwanego Maurycjuszem, który został zamordowany przez zbrodniarza Fokasa. Zgodnie z prawem krwi powinien rządzić zarówno Persją, jak i Cesarstwem Wschodnim, jako jednym niepodzielnym państwem.

Herakliusz chciał głośno zaprotestować, Galen uciszył go jednak spojrzeniem.

- Władza jednak spoczywa w rękach tego, kto rządzi. Obowiązkiem *pater familias*, głowy rodziny, jest utrzymanie porządku w domu, zachowanie pokoju i szczerości. Ten obowiązek, zgodnie ze starożytnymi obyczajami rzymskiego ludu, dotyczy nawet braci. Nie mogę pozwolić, by w domu mego brata panował gniew, by jego członkowie żywili do siebie urazę.

Lewa ręka Galena zeszytniała nagle, a ostrze noża zanurzyło się w piersiach Kawada Sziroje. Chłopiec spojrział ze zgrozą na Galena, a potem złapał się kurczowo za krwawiącą pierś. Zachodni cesarz wyjął nóż z jego ciała, a potem łagodnie ułożył go na podłodze. Krew spływała strumieniem na niebieskie płytki. Galen pochylał się i ucałował chłopca w oba policzki. Z ust Szirojeego jeszcze przez chwilę wydobywał się świszczący oddech, potem jego przerażone oczy zaszyły mgłą, a głowa opadła bezwładnie na bok.

- Żegnaj, kuzynie - powiedział cicho Galen i wyprostował się. Wytarł nóż w skraj swego purpurowego płaszcza, a potem podniósł wzrok na zszokowane twarze Teodora i Herakliusza. »

- Taki jest obowiązek cesarza - rzekł głośno, a w jego głosie pobrzmiwała jednocześnie gorycz i szyderstwo. - Teraz wreszcie zapanuje pokój, zarówno w twoim domu, bracie, jak i na całym świecie. A twoje ręce - Galen wyciągnął przed siebie ręce, poplamione krwią - są czyste.

Teodor odwrócił wzrok, nie mogąc spojrzeć mu w oczy.

* * *

.V

Dwyrirt siedział na osmalonym, ceglany podwyższeniu w pobliżu ogrodów publicznych na skraju jednego z pałaców. Przed nadejściem Rzymian na podwyższeniu stał posąg, ale teraz zostały tylko obcięte na wysokości kolan nogi i głowa, która potoczyła się pod drzwi porzuconej tawerny po drugiej stronie ulicy. Kohorta taumaturgów stacjonowała w ogrodach, które cudem ocalały z szalejących w całym mieście pożarów. Powietrze wypełniał stukot siekier-uderzających ję drzewa. Hibernijczyk wymachiwał nogami, jego pięty stukały miarowo o ceglany murek. Zoe siedziała obok niego, ani zbyt blisko, ani zbyt daleko. Odenatus także leżał na podwyższeniu, trzymając przed sobą skrzyżowane nogi. Dzień był szary, niebo wciąż zakrywała gęsta warstwa chmur.

- I co teraz? - zastanawiał się głośno Dwyrin. Dotknął ciężkiego łańcucha z monet oplatającego jego szyję, każda moneta została przedziurawiona tak, by można było napleść na sznurek. Miał także nowe buty, zabrane z domu jakiegoś bogatego Persa, który i tak już ich nie potrzebował. Zoe nałożyła na siebie tyle warstw ubrań z jedwabiu, lnu i delikatnej bawełny, że wydawała się niemal dwa razy grubsza niż normalnie.

- Co teraz? - powtórzył Odenatus cierpkim tonem i podniósł głowę, by spojrzeć na Hibernijczyka. - Teraz wrócisz do domu, do Rzymu, i przez następne dwadzieścia lat będziesz robił to samo. - Szerokim gestem objął zrujnowane, złupione miasto.

Dwyrin skrzywił się, sięgając ręką do dysku identyfikacyjnego, zawieszono go na jego szyi. Potem odwrócił się niespodziewanie do Zoe, która z minimalnym opóźnieniem próbowała ukryć smutek za cynicznym uśmiechem.

- A ty? Czy ty i Odenatus też zostajecie?

- Nie - odparła Zoe, kręcąc głową. - Pojedziemy do domu mojej ciotki, do Miasta Jedwabiu. Wysłała nas do legionów po naukę, nie chciała, żebyśmy tu zostali. Teraz, kiedy wojna się skończyła, wrócimy do domu i będziemy służyć w armii miasta.

Dwyrin westchnął ciężko. Tego się właśnie obawiał. Zoe wyciągnęła doń rękę i uściskała mocno jego dłonie.

- Może będziecie stacjonować w Syrii - powiedziała z nadzieją w głosie. - Wtedy moglibyśmy odwiedzać cię w wielkim obozie legionów w Denabie. To tylko kilka dni jazdy od naszego miasta.

- Chciałbym zobaczyć Palmirę - odparł Dwyrin przez ściśnięte gardło. - Musi być naprawdę piękna.

- O tak - rozmarzyła się Zoe. - To najpiękniejsze miasto na świecie.

- MacDonald! - ryknął Kolonna, wychodząc na plac przed ogrodem. - Masz robotę. Rusz tutaj to swoje leniwe barbarzyńskie dupsko! Ty też, moja panienko!

Dwyrin wyszczerzył zęby do Zoe i oboje zeskoczyli z podwyższenia. Odenatus podniósł się nieco wolniej i otrzepał tunikę z piasku i sadzy. Potem i on zszedł na ziemię i ruszył biegiem w ich stronę.

Galen stał w małej kamiennej komnacie z rękami skrzyżowanymi na piersiach. Ściany pokoju pokryte były sadzą, wypalony dach zapadł się do środka. Błoto i sadza okrywały jego buty, lepiły się do płaszcza. Dwaj Germanie posapali ciężko, przewracając wielkie kamienne bloki.

- Jesteście tego pewni? - Głos cesarza naznaczony był smutkiem.

- Tak, panie - odparł wódz Germanów, umazany sadzą. - Jeden ze słujących, których złapaliśmy w pałacu, zna ten pierścień i srebrną opaskę.

Germanin sięgnął w dół i delikatnie podniósł z podłogi pomarszczoną od gorąca, osmaloną rękę. Częściowo stopiona srebrna bransoleta opasywała rękę w górnej części, na palcu widniał nadtopiony złoty pierścień.

- Kobieta z ciemnymi włosami, panie, nosząca znaki księżniczki Szirin. Nie żyje.

Ramię opadło na ziemię i spoczęło między rozbitymi fragmentami dachu. Galen rozejrzał się. Drzwi także zostały częściowo spalone, choć na ich zewnętrznej powierzchni widać było ślady uderzeń toporów.

- Ktoś tu walczy?

Germanin skinął głową i przewrócił butem jedno ze zwęglonych ciał. Na zwłokach, choć zdeformowanych i spalonych, widać było jeszcze resztki kolczugi i głęboką ranę, która mogła powstać tylko od pchnięcia mieczem.

- Niektórzy próbowali walczyć, ale zginęli, a kobiety zostały zamordowane.

- Co jeszcze? - spytał cesarz, wodząc spojrzeniem po zrujnowanej komnacie.

- To. - Germanin sięgnął do skórzanego mieszka przy pasie. Jego grube palce wyjęły stamtąd cynowy dysk z otworem. Ogień zniszczył go

częściowo, większość napisu pozostała jednak czytelna. Galen wziął go do ręki i podniósł do oczu, by odcyfrować zamazane litery.

- Dardanus Nikolaeus. Nikos. Piętnaście lat w służbie. - Cesarz poczuł przelotne rozczarowanie. - To mi wystarczy. Pochowajcie pozostałych, powiedzcie kwatermistrzowi, żeby wpisał wszystkich, których można rozpoznać, na listę zmarłych.

Szkoda, myślał cesarz, idąc przez ruiny pałacu. Wydawało się, że szczęście nigdy jej nie opuszcza.

NEKROPOLIA DASTAGIRD**

\ j\ rista stała w deszczu, ciężkie krople uderzały miarowo o grubą

I ^tkaninę jej kaptura. W górze szalała burza, niebo raz po raz rozpalało się błękitnym blaskiem, błyskawice przeskakiwały z chmury na chmurę lub uderzały w pola po drugiej stronie rzeki. Stała na szczycie zigguratu w martwym mieście, odwrócona plecami do wielkiego ołtarza wieńczącego tę budowlę. Pod niebem przetoczył się kolejny grzmot. Ukryta pod kapturem twarz Kristy była sucha i zamyślona.

Na horyzoncie rozkwitała czerwona luna. Pulsowała niczym płonące serce, doskonale widoczna nawet przez gęstą zasłonę deszczu.

To musi być jakieś miasto, pomyślała, trawione ogniem.

Zastanawiała się, kto mieszkał w tym mieście. Czy byli to tacy sami ludzie jak ci, którzy mieszkali w Rzymie? A może były to potwory, o których opowiadali podróżnicy, człekokształtne istoty z twarzami na brzuchu?

Westchnęła ciężko, zadając sobie po raz kolejny to samo pytanie.

Czy czas już odejść? Jesteśmy na krańcu świata, na pewno dość daleko, by uciec przed kłatwą. Ale dokąd mogłabym pójść? Odrzuciłam ofertę księcia; teraz miałabym przynajmniej konie i zapasy.

Wciąż bolały ją zębra, choć pod dotykiem ozdrowiałego już Maksjana kości i ścięgna zrosły się ze sobą. Zniknęły też siniaki i opuchlizna; tylko dzięki temu mogła się teraz swobodnie poruszać.

Bez niego, mówił jeden głos w jej głowie, słaby i nieśmiały, już byś nie żyła.

Bez niego, odpowiadał inny ze złością, byłabyś w Rzymie, cała, zdrowa i bezpieczna, na przyjęciu albo w łóżku z jakimś przystojnym, miłym arystokratą.

Kamienie pod jej stopami zaczęły drzeć, woda w kałużach marszczyła się i falowała. Krista westchnęła i odsunęła się od ściany. Książę znów pracował, głęboko w dole, a ona powinna być przy nim. Gdy wstąpiła na schody prowadzące w głąb piramidy, dwaj Wołosi wysunęli się ze spowitej deszczem ciemności i ruszyli jej śladem.

Krista uśmiechnęła się do siebie. U Wołochów ród szedł za najsilniejszym. Bawiła ją myśl o tym, że teraz to ona jest Królową Suką, ukłucie w piersiach przypomniało jej jednak, ile kosztowało ją zdobycie tego tytułu. Na środkowym tarasie Krista zeszła ze schodów i wcisnęła kamień w ścianie. Otworzyły się niewidoczne dotąd drzwi, zza których wypłynął obłok dymu i pary. W dole migotał czerwony blask. Krista weszła do środka, tuż za nią wśliznęli się dwaj wołoscy chłopcy.

Długie dni wędrówek po zakurzonych korytarzach i walenia głową w niskie sufity porzuconych komnat przyniosły wreszcie owoce. W głębokich piwnicach, położonych nawet pod paleniskami, w których płonęły świątynne ognie, krył się niepozorny chodnik. Pod pokrytymi grzybami cegłami, wydobywanymi starannie, jedna po drugiej, przez włóskich chłopców, pracujących pod czujnym okiem Gajusza Juliusza, znajdowały się okrągłe drzwi osadzone w podłodze z wapienia. W drzwi wpuszczono dziewięć mosiężnych kręgów, a na każdym z nich wryto tysiące znaków. Znaki znajdowały się także na powierzchni kamienia, pomiędzy metalowymi kręgami.

W drzwiach nie było żadnego zamka czy zawiasów, tylko gładka powierzchnia mosiądzu i kamienia. Po dokładnym zbadaniu kamieni w podłodze okazało się, że jakieś siedem stóp od okrągłych drzwi w powierzchni chodnika widnieje niewielkie zagłębienie, jakby jakaś ogromna siła uderzała lub pocierała to mfejsce wiele razy.

Po bitwie w komnacie ognia Maksjan zajął komnaty najwyższego kapłana świątyni. Cały obóz księcia został przeniesiony do pomieszczeń pod zigguratem. Spiżarnie były doskonale zaopatrzone, ukryte pod piramidą zbiorniki wypełnione zimną słodką wodą. Chiron i Wołosi przeciągnęli do miasta nawet wielką maszynę latającą i umieścili ją we wnętrzu ogromnej starożytnej świątyni w pobliżu zigguratu.

Gajusz Juliusz, z właściwą sobie niefrasobliwością, a także gorliwością w wypełnianiu życzeń swego pana, praktycznie złupił całą świątynię, wyładowując maszynę pudłami i skrzyniami pełnymi zwojów, listów, ksiąg, maleńkich posążków ze steatytu, arkuszy pergaminu wciśniętych między miedziane płyty, kamiennych sztyletów i wielu innych skarbów. Później dołączyła do nich także skrzynia z czaszkami nabijanymi klejnotami oraz mnóstwo monet i złotych sztabek. Krista niemal umierała z nudów, starała się jednak nie zwracać uwagi na kurz i dotyk martwych robaków na palcach, by móc pomagać księciu w przeglądaniu starych dokumentów.

- Tego już za wiele - warknął Maksjan, odpychając od siebie dziennik jakiegoś kapłana zmarłego przed wielu laty. - Za czasów Faridoona XII kapłani wchodzili do grobowca i wychodzili z niego codziennie, żeby dokonać pomiarów czy modlić się. Ale nie ma ani jednej wzmianki o tym, jak otworzyć te przeklęte drzwi.

Krista złożyła ostrożnie ostatnie fragmenty nadjedzonego przez mole pergaminu.

- Wygląda na to, że było tak zawsze, aż do niedawna - rzekła zmęczonym głosem. Mijał już kolejny dzień jałowych poszukiwań. -W tym drugim dzienniku, ktoś pisał, że podjęto odpowiednie kroki, by uniemożliwić Panu Kłamstwa wejście do grobowca.

- Tak - pokiwał głową Maksjan. - Ale kim jest ten Pan Kłamstwa? Dlaczego kapłani boją się go teraz, a nie bali się wcześniej? - Postukał się palcem w głowę. - Szkoda, że Alais tak okrutnie potraktowała Abdmachusa. Może powiedziałby nam teraz, jak otworzyć te drzwi.

- Kłamstwo jest największym z ich grzechów - rzekł Gajusz Juliusz, który siedział na ławce przy drzwiach i odbijał kulkę z jakiejś czarnej miękkiej substancji znalezionej w magazynach na parterze. - Jedną z pokus zesłanych przez boga ciemności, by odciągać ludzi od światła.

Krista spojrzała z zaciekawieniem na starego Rzymianina. Maksjan skrzywił się i spytał z niedowierzaniem:

- A wiesz to, bo...?

Truposz przestał się bawić czarną kulką. j

- W kuchni na ścianie wisi lista, pewnie służy imflo modlitw. Wymienia wszystkich bogów, jest też przyjemny obrazek boga światła na górze, a w dole, pod jego stopami, boga ciemności.

Maksjan wstał, przeciągnął się i zarzucił płaszcz-na plecy.

- Czy bóg światła to ten sam, którego nazywają Ormuzd?

- Chyba tak - odparł stary Rzymianin. - Rywał tego, którego nazywają Aryman. j

Krista także wstała ze swego miejsca i otrzepała rękawy z drobin spleśniałego pergaminu. Wiedziała dobrze, że choć Gajusz Juliusz uwielbiał udawać prostaka, był bardzo bystry, i choć rzadko pomagał im w poszukiwaniach, znał grekę, łacinę i perski lepiej niż którekolwiek z nich.

- Przekonajmy się. więc, co może ta modlitwa - rzekł książe.

Gdy wymówił pełne imię Ormuzda, boga światła i drogi prawych myśli, drzwi jęknęły przeciągle, a potem zaczęły się powoli obracać, wykręcając się z podłogi. Gajusz Juliusz patrzył na to z wysoko uniesionymi brwiami: wcześniej proponował, by przebić kamienną płytę młotkami i dłutami, teraz jednak okazało się, że ma ona co najmniej dwie stopy grubości. Powietrze brzęczało, wypełnione jakąś niewidzialną mocą. Wreszcie drzwi wysunęły się całkiem z otworu, a potem odsunęły na bok i spoczęły na podłodze.

W dole widać było schody, wąskie i ciemne, wykute w zielonkawym kamieniu.

Światło lampy oświetlało wejście do wąskiego korytarza. Krista zdjęła płaszcz i powiesiła go w piwnicy, a potem weszła na kręte schody. Grobowiec ukryty był trzydzieści stóp niżej, w głębi ogromnej, litej bryły wapienia. Korytarz prowadzący do grobowca był kręty i nierówny, przebijał się przez warstwy bieli, ochry i brązu. Pomieszczenie zawiera-

jące sarkofag było bardzo małe; wokół trumny było tylko tyle wolnej przestrzeni, by mógł ją obejść pojedynczy człowiek. Krista stanęła w drzwiach i oparła dłonie na ścianach po obu stronach.

Sarkofag lśnił złotem, srebrem i jadem w blasku lamp, które znieśli tu wcześniej Maksjan i Gajusz Juliusz. Trumna miała kształt człowieka, wysokiego i przystojnego mężczyzny o falowanych włosach i przesywającym spojrzeniu. Przypominała egipskie mumie: ręce mężczyzny skrzyżowano na piersiach, jego rysy były łagodne i zaokrąglone. Wzdłuż obu stron trumny ciągnęły się szeregi znaków i symboli wymalowanych złotą farbą.

Maksjan siedział ze skrzyżowanymi nogami u stóp sarkofagu. Gajusz Juliusz zajmował miejsce w prawym rogu pomieszczenia, u wejścia trumny. Krista prześliznęła się obok księcia i przeszła do drugiego rogu. Ona także usiadła na podłodze, krzyżując nogi. Księżę najwyraźniej był już w innym świecie, jego twarz wydawała się spokojna i nieruchoma, oczy jednak bez ustanku poruszały się pod powiekami. Truposz z kolei wyglądał, jakby spał.

Homunkulus i Wołosi czekali przy wejściu do korytarza, dziesięć stóp wyżej.

Maksjan podniósł rękę i zaczął rhówić. Wciąż miał zamknięte oczy.

- Daj nam ciało zawieszony na gwoździu - przemówił głuchym głosem.

Na chwilę w pomieszczeniu zapadła cisza.

- Daj nam to ciało, choć należy do naszego króla.

Z dłoni księcia wystrzeliło jasnyniebieskie światło. Krista czuła, jak w kamiennych blokach podłogi budzi się jakiś wibrujący dźwięk.

- Na to ciało rzucam pożywienie życia. - Ręce księcia poruszały się w powietrzu przed sarkofagiem.

- Na to ciało rzucam wodę życia. - Dłonie księcia złożyły się razem, a potem odwróciły; jakby wylewał jakąś ciecz na podłogę.

Ciśnienie w pomieszczeniu się zmieniło, powietrze naparło na Kristę z ogromną siłą. Rzymianka zaczęła mrugać gwałtownie powiekami, by powstrzymać łzy ciekące jej z oczu. Księżę podniósł ręce i wyciągnął je ku niej i ku Gajuszowi Juliuszowi. Krista uspokoiła oddech i podniosła ręce, próbując także zapanować nad umysłem.

Nagle rozbłysło wokół niej białe światło, wypełniło cały pokój i korytarz prowadzący na górę. Dreszcze ogarnęły całe ciało Kristy, wstrząsały nią raz po raz. Choć zacisnęła mocno powieki, widziała dokładnie cały pokój, każdy kamień, każdą szczelinę i pęknięcie. Błyskawica pełzała w jej stronę, sunęła przez powietrze wolniej niż ślimak. Krista nagle sobie uświadomiła, że przestała oddychać. Wpadła w panikę, lecz ciało nie chciało jej słuchać. Pragnęła krzyknąć, gdy poczuła, że krew zatrzymała się w jej żyłach, lecz z jej ust nie wydobył się żaden dźwięk.

Błękitny wąż błyskawicy podpełzł bliżej, sięgając od dłoni księcia prosto do jej dłoni.

Gdy wreszcie połączył ich ze sobą, wszechświat Kristy runął, wszystkie wspomnienia, wszystkie odczucia zbiegły się w jeden punkt tuż za jej oczami. Każda myśl, każde uczucie, każde słowo, które kiedykolwiek wypowiedziała, przemykały obok niej, wchłaniane przez ten jeden ogniasty punkt migoczący tuż za jej oczami.

Do jej uszu dobiegł jakiś trzask, potem głośny zgrzyt.

Świadomość wróciła do normalnych wymiarów i kształtów. Krista opadła na podłogę, pozbawiona na moment sił. W powietrzu unosił się cierpki zapach, przypominający aromat palonego pieprzu. Podniosła powoli głowę. Włosy oplotły jej twarz niczym gąszczem.

Trumna była otwarta. Ze środka podniósł się owinięty bandażami mężczyzna. Silna dłoń, spalona niemal na brąz przez starożytne słońce, pocierała twarz o szlachetnych proporcjach. Mężczyzna nie był wysoki, ale proporcjonalnie zbudowany i umięśniony. Długie, złote włosy spadały gęstymi falami na jego ramiona i szerokie, muskularne plecy. Mężczyzna rozejrzał się dokoła, mrużąc błękitne jak niebo oczy. Krista ocknęła się ze zdumienia i zamknęła usta. Potem odgarnęła włosy z twarzy.

- Czy... czy ja umarłem? - spytał dźwięcznym i donośnym głosem, który wyzwalał w ludziach odwagę i gotowość do śmierci na polu bitwy. Jego greka brzmiała dość dziwnie, była ostra i szybka. Krista odchrząknęła, by oczyścić wyschnięte gardło.

- Tak - wychrypiła i podniosła się, zapominając o niskim suficie. - Au! Mężczyzna roześmiał się melodyjnie i podał jej rękę. Nie przyjęła jej pomocy.

- Jesteś martwy już od bardzo długiego czasu -> powiedziała, zerkając na Maksjana, który dopiero zaczął odzyskiwać przytomność. Wskazała na niego. - On sprowadził cię tutaj z powrotem.

- Więc jest moim przyjacielem - rzekł Aleksander, syn Filipa, stając niepewnie na miękkich jeszcze nogach. - Podziękuję mu za to.

Gajusz Juliusz przekręcił się na bok, jęcząc i przyciskając nasady dłoni do oczu.

- Tak - odparła Krista, mierząc Zdobywcę spojrzeniem. Rzeczywiście, był dobrze zbudowany. - Podziękujesz mu.

OAZA SABCHAT MUH, NA POŁUDNIE OD RUIN PALMYRY

3 ciało królowej?
- Złożone w grobowcu jej ojca, szejku.
To dobrze.

Mahomet westchnął i położył ręce na grzywie swej szarej klaczy. Zwiezję rękę spojrzano nań przez ramię i zastrzygło uszami. W palmach wokół

obozu śpiewały ptaki. Dwudziestu ludzi pod jego komendą wspięło się na grzbiety wielbłądów i zmusiło je do wstania. Ostatni zdeptał resztki ogniska i także dosiadł swego wielbłąda.

Południowiec dotknął boku twarzy, przesuując palcem wzdłuż bliźny, która przesłaniała prawe oko, przecinała wąsy, wargi i brodę. Długi, wąski odłamek kamienia, który oderwał się od padającej wieży przy bramie Damaszku, mógł zakończyć jego życie; dzieliło go od tego nie więcej niż szerokość palca. Mahomet zastanawiał się, czy kiedykolwiek jeszcze będzie widział na to oko.

Ciekawe, czy jakiś kapłan mógłby to uleczyć, pomyślał, lecz na wspomnienie okaleczonych ciał swych przyjaciół postanowił pozostawić bliźnę. Jego ludzie odwrócili wzrok, widząc grymas gniewu na jego twarzy. Wiedzieli, że lepiej nie patrzeć na Al-Kurajsza, kiedy jest w takim nastroju. Wódz zabił już jednego człowieka, kiedy ten źle mówił o zmarłych.

Mahomet poprawił swoją kufie i dotknął pochwy miecza, którym walczył w bitwie. Ostrze było tępe i wyszczerbione, lecz w jego rodzinnym mieście nie brakowało kowali, którzy mogliby przywrócić mu dawną świetność. Wydawało mu się, że wciąż czuje na dłoni dotyk jej palców, chłodnych i delikatnych, wiedział jednak, że to nieprawda. Dźgnął klacz piętami, a ta wyjechała z cienia-palm prosto w pałac słońce pustyni.

Za nim jechało dwudziestu Tanuchów, wszyscy pozostali przy życiu członkowie ich szczepu. Po śmierci Ibn Adiego przyszli do Mahometa, kiedy ten wracał do zdrowia, kryjąc się w odległych o kilka mil od miasta jaskiniach, i oddali się pod jego dowództwo. Przed nimi rozciągało się morze piasku, ogromna jałowa przestrzeń w środku świata. Mahomet jechał w spokojnym tempie, wiedział bowiem, że musi pokonać jeszcze wiele mil, nim ujrzy bramy swego miasta i usłyszcy radosny głos żony.

Jego oczy rozbłysły na nowo wściekłością, kiedy przypomniał sobie wieści przywiezione przez bratanka Ibn Adiego, wieści o klęsce Persji i zajęciu ich wielkiej stolicy przez rzymskie wojska. Gdyby legiony przeszły zaledwie kilkaset mil dalej, mogłyby wyzwolić Palmyrę. Myślał o zdradzie królów i poświęceniu dzielnej królowej oraz kapłana, który ją kochał.

W jego sercu rosła nienawiść, z niej zaś rodziła się chęć zemsty. Koń, jakby wyczuwając jego pragnienia, przyspieszył kroku. Czekala ich jeszcze długa droga.